

PRZEZNACZENIE SKRYTOBÓJCY



❖ ROBIN HOBB

PRZEZNACZENIE SKRYTOBÓJCY



❖ ROBIN HOBB

PRZEŁOŻYŁA AGNIESZKA BARBARA CIEPŁOWSKA

WYDAWNICTWO MAG
WARSZAWA 2019

Tytuł oryginału: *Assassin's Fate*

Copyright © 2017 by Robin Hobb

Copyright for the Polish translation © 2019 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Urszula Okrzeja

Korekta: Magdalena Górnicka

Okładka: Dominik Broniek

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Tomek Laisar Fruń

ISBN 978-83-66409-96-5

Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 132519
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Dressler Dublin sp. z o. o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 227 335 010
www.dressler.com.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

Spis treści

Strona tytułowa	2
Karta redakcyjna	3
Dedykacja	7
Prolog	8
Rozdział 1 Pszczoła żądli	9
Rozdział 2 Dotyk srebra	25
Rozdział 3 W górach.	50
Rozdział 4 Kraina Miedzi	70
Rozdział 5 Pertraktacje	83
Rozdział 6 Nowa wiedza	115
Rozdział 7 Żebraczy los	133
Rozdział 8 Tintaglia	155
Rozdział 9 „Smolisty”	176
Rozdział 10 Zapiski Pszczoły	200
Rozdział 11 Przeprawa	217
Rozdział 12 Żywostatek „Niezrównany”	225
Rozdział 13 Pod pełnymi żaglami	245
Rozdział 14 Umowa z „Niezrównanym”	261
Rozdział 15 Kobieta interesu	284
Rozdział 16 Wyspy Pirackie	302
Rozdział 17 Wężowy szlam	334
Rozdział 18 Srebrne statki i smoki	355
Rozdział 19 Inny statek, inna podróż	379
Rozdział 20 Ufność.	398

Rozdział 21 Pod żaglami	422
Rozdział 22 Motyla peleryna	446
Rozdział 23 Clerres.	463
Rozdział 24 Ręka i noga	500
Rozdział 25 Przekupstwo	512
Rozdział 26 Tajemnica srebra.	533
Rozdział 27 Od pióra do ostrza.	555
Rozdział 28 Zdradliwy port	570
Rozdział 29 Oskarżenia	581
Rozdział 30 Przeszkody i czarna flaga	589
Rozdział 31 Pan motyl	598
Rozdział 32 Wejście	611
Rozdział 33 Świece.	621
Rozdział 34 Dym	631
Rozdział 35 Starcia	646
Rozdział 36 Zrządzeniem losu	660
Rozdział 37 Dotyk	683
Rozdział 38 Smoczy statek	688
Rozdział 39 Zemsta.	712
Rozdział 40 Ciepła woda	735
Rozdział 41 Podróż na „Werwie”	751
Rozdział 42 Furnich	764
Rozdział 43 Miasto Wolnego Handlu	779
Rozdział 44 W górę rzeki	797
Rozdział 45 Księżniczka z rodu Przezornych.	812
Rozdział 46 Kamieniołom	826

Rozdział 47 Wilcze serce	838
Rozdział 48 Czas.	851
Rozdział 49 Kłamstwa i prawda	876
Rozdział 50 W górach.	884

Bastardowi i Błaznowi,
moim najlepszym przyjaciółom od ponad dwudziestu lat.

Prolog

Ustawione w koło dzieci trzymają się za ręce. Jedno jest w środku. Ma na twarzy opaskę, na niej wymalowane oczy, szeroko otwarte: czarne koła, z czerwonymi krawędziami. Ta dziewczynka obraca się w miejscu, z rozpostartymi ramionami. Dzieci, które ją otaczają szerokim kręgiem, idą i śpiewają:

*Dopóki kółko trwa w całości,
Można odgadnąć wiele przyszłości.
Jeżeli chcesz rozdzielić ręce,
To pewnie masz kamienne serce.*

Wygląda to na radosną zabawę. Każde dziecko z koła wykrzykuje jakieś zdanie albo wyrażenie. Do mnie nie dociera, co mówią, lecz ta dziewczynka pośrodku, ta z zasłoniętymi oczyma, słyszy je doskonale. Odpowiada głośno, jej słowa porywa leniwie narastający wiatr. „Spalić wszystko”. „Upadek smoków”. „Morze wezbrane”. „Niebo usiane klejnotami”. „Jeden jako dwa”. „Czwórka będzie żałować”. „Dwa jako jedność”. „Wasze rządy skończone!”. „Odebrać życie”. „Nikt nie przetrwa!”.

Przy ostatnim krzyku z dziewczynki stojącej pośrodku rodzi się wiatr. Okruchy postaci rozpierzchają się na wszystkie strony, a wicher porywa krzyczące dzieci i rozrzuca je na wszystkie strony. Obraz czernieje, widać tylko jeden krąg bieli. W samym jego środku jest dziecko z opaską, z czarnymi oczyma, które patrzą i patrzą.

Pszczoly Przejornej „Dziennik snów”

Rozdział 1

Pszczoła żądli

W pokoju mapy na wyspie Aslevjal przedstawiono większą część Królestwa Sześciu Księstw, fragment Królestwa Górskiego, spory obszar Krainy Miedzi oraz ziemie ciągnące się wzdłuż obu brzegów Rzeki Deszczowej. Przypuszczam, iż są to granice terytorium Najstarszych z czasów, gdy postawały te odwzorowania. Nie miałem okazji zapoznać się z planem umieszczonym w opuszczonym przez Najstarszych mieście, znanym teraz jako Kelsingra, sądzę jednak, że jest bardzo podobny.

Na mapie z wyspy Aslevjal w obszarze Królestwa Sześciu Księstw zaznaczono punkty odpowiadające miejscom, w których znajdują się kamienne filary. Można zatem przyjąć, bez wielkiego ryzyka pomyłki, że identyczne symbole na terenie Królestwa Górskiego, Deszczowych Ostepów, a nawet Krainy Miedzi wskazują rozmieszczenie kamiennych filarów, które są magicznymi portalami. Kondycja owych zagranicznych portali jest nam w przeważającej części nieznana, dlatego też niektórzy uzdolnieni we władaniu Mocą przestrzegają przed korzystaniem z tych przejść, dopóki nie zostaną one sprawdzone przez osobę upoważnioną, która dotrze na miejsce zwykłym sposobem i zaświadczy, iż są w stanie doskonałym. Jeżeli zaś chodzi o kamienne filary w granicach Królestwa Sześciu Księstw oraz na terenie Królestwa Górskiego, wydaje się wskazane, dla zachowania właściwej ostrożności, nie tylko wysłanie obdarzonych Mocą kurierów, by odwiedzili każde ze wskazanych miejsc, lecz także nałożenie na władców tamtejszych ziem obowiązku dbałości o czarne kolumny. Kurierzy weryfikujący stan magicznych kamieni powinni dokumentować także rodzaj oraz wyrazistość run.

W kilku przypadkach znane nam czarne filary nie są uwzględnione na mapie na Aslevjalu. Nie wiemy, czy zostały stworzone później, niż mapa, czy też nie uwidoczniono ich ze względu na to, iż już nie funkcjonują. Należy traktować je z najwyższą ostrożnością, podobnie jak wszelką inną magię Najstarszych. Nie wolno nam uważać się za mistrzów, póki nie dorównamy im w tworzeniu przedmiotów użytecznych, nasyconych magią.

Ciernia Spadającej Gwiazdy „Portale Mocy”

Biegłam. Podkasałam ciężkie białe futro – i biegłam. Było mi w nim gorąco, a na dodatek czepiało się każdej gałązki, zahaczało o każdy pień. Za mną Dwalia krzyczała do kogoś: „Łapać ją, łapać!”. Słyszałam też najemnika. Ryczał nieludzkim głosem. Ciskał się na oślep we wszystkie strony, a w pewnej chwili przemknął tak blisko mnie, że musiałam się uchylić.

Moje myśli gnały prędzej niż stopy. Pamiętałam, że porywacze wciągnęli mnie w magiczny filar. Przypomniałam sobie nawet, jak ugryzłam w rękę żołdaka, z nadzieją że puści dłoń Szkody. Udało się. Mnie jednak trzymał mocno i pociągnął w ciemność. Nie dostrzegałam teraz ani Szkody, ani tej Sługi, która znalazła się na końcu ludzkiego łańcucha. Może obie zostały przed filarem? Miałam nadzieję, że Szkoła jej ucieknie. A może już uciekła? Pamiętałam dojmujący mróz w Księstwie Kozim. Teraz byliśmy w jakimś innym miejscu i zamiast przenikliwego zimna czułam zaledwie chłód. Śnieg skurczył się do wąskich, brudnych smug w głębszym cieniu drzew. Las czuć było wczesną wiosną, choć drzewa jeszcze nie wypuściły liści. Jak to możliwe, by z siarczystej zimy w jednym miejscu przeskoczyć gwałtownie gdzie indziej w początek wiosny? Nie mogłam się w tym rozeznać, ale nie miałam czasu tego roztrząsać, bo musiałam rozwiązać inny palący problem. Jak schować się w lesie bez liści? Wiedziałam, że nie prześcignę pogoni. Musiałam znaleźć kryjówkę.

Futro znienawidziłam z całego serca. Nie mogłam wysunąć się z niego dołem, bo ręce miałam niezdarne jak płetwy, a równocześnie wiedziałam, że w żaden sposób nie zdołam zgubić prześladowców, mając na sobie obszerny, biały płaszcz. Biegłam więc, mając świadomość, że nie ucieknę, lecz zbyt przerażona, by dobrowolnie pozwolić im się pojmać.

„Wyszukaj odpowiednie miejsce, gdzie nie będą mogli przyprzeć cię do muru ani otoczyć. Znajdź jakąś broń: kij, kamień, wszystko jedno. Jeżeli nie zdołasz uciec, niech drogo zapłacą za schwytanie cię. Walcz bez wytchnienia, nie ustawaj”.

„Dobrze”.

Wilk-ojciec. Przywołałam jego imię w myślach, by dodać sobie odwagi. Jestem wilczym szczeniakiem. Chociaż moje kły i pazury to żałosna broń, będę walczyć.

Tylko jak? Brakowało mi sił.

Nie pojmowałam, co się ze mną stało w czasie przejścia przez kamienny filar. Dlaczego byłam osłabiona, wręcz kompletnie wyczerpana? Pragnęłam jedynie osunąć się na ziemię i znieruchomieć. Chciałam zamknąć oczy i zapaść w sen, lecz nie śmiałam. Słyszałam nawoływania, okrzyki, wiedziałam, że ścigający nawzajem sobie mnie pokazują. Czas się zatrzymać, wyszukać odpowiednie miejsce. Wybrałam to, gdzie trzy drzewa rosły w kępie tak blisko jedno drugiego, że ja mieściłam się

między pniami z niejakim trudem, a dla każdego z moich prześladowców byłoby to nie lada wyzwanie. Słyszałam za sobą przynajmniej trzy osoby przedzierające się przez krzaki. Ile ich było w rzeczywistości? Starłam się uspokoić na tyle, by zacząć myśleć. Na pewno Dwalia, kobieta ze słodkim uśmiechem na ustach, która mnie porwała. Ona dowodziła. Wciągnęła mnie w filar Mocy. Dalej, Vindeliar, ni to chłopiec, ni mężczyzna, ten, co potrafił nakazać ludziom zapominanie. On też wszedł w kamień. Kerf, najemnik z Krainy Miedzi. Miał po wyjściu z magicznego kamienia tak pomieszane w głowie, że nie wiadomo było, czy wcale nie jest groźny, czy też może zabić każdego, kto mu się nawinie pod rękę. Kto jeszcze? Alaria. Ta bez pytania wykona każde polecenie Dwalii. To samo Reppin, która omal nie zmiażdżyła mi dłoni, gdy wciągała mnie w portal. Innymi słowy siły znacznie szczuplejsze niż te, którymi lingstra dysponowała wcześniej, jednak wciąż było to pięcioro na mnie jedną. Kucnęłam za jednym z drzew, wyrwałam rękę z rękawów, gorączkowo wwiерciłam się pod ciężki płaszcz, a potem starałam się jak najszybciej wypełznąć spod futrzanej sterty. Wreszcie się oswobodziłam. Ze zdumiewającą siłą chwyciłam to znienawidzone źródło udręki i cisnęłam jak najdalej... Cóż, niezbyt daleko.

Biec dalej? Nie mogłam. Zbierało mi się na mdłości miałam kolkę. Koniec ucieczki.

Teraz broń. Nie było nic. Tylko jakiś patyk. Grubszy koniec miał w obwodzie nie więcej od mojego nadgarstka, z cieńszego wyrastały trzy gałązki. To były bardziej grabie niż kostur. Podniosłam tę gałąź, ścisnęłam w dłoniach. Przywarłam plecami do drzewa i zamarłam w bezruchu, chwytając się, niczym tonący brzytwy, nadziei, że pogoń dostrzeże futro, nie mnie, a wówczas zyskam czas, by znaleźć lepszą kryjówkę.

Zbliźali się. Dwalia sapała głośno.

– Wiem, że się boisz! – krzyczała spazmatycznie. – Ale nie uciekaj. Sama w lesie umrzesz z głodu. Albo pożre cię niedźwiedź. Bez nas nie przeżyjesz. Wracaj, Pszczoło. Nikt się na ciebie nie gniewa. – Nagle zwróciła się do swoich i wówczas cała prawda wyszła na jaw. – Gdzie ona zniknęła?! Alario, ty durna safandulo, wstawaj! Wszyscy ledwo trzymamy się na nogach, ale bez niej nie możemy wracać! – A potem, z jeszcze większą złością: – Pszczoło! Dość tych wygłupów! Chodźże tu do mnie natychmiast! – I dalej: – Vindeliarze, prędzej! Skoro ja biegnę, ty też możesz. Znajdź ją i zapanuj nad jej wolą!

Stałam za drzewem, starając się oddychać jak najciszej, a Vindeliar szukał mnie magią. Z wielką starannością uszczelniłam zaporę odgradzającą myśli, tak jak uczył mnie ojciec. Zacisnęłam zęby i skupiłam się na bronieniu dostępu. Mglisty chłopiec

stworzył dla mnie iluzję słodkiego, ciepłego deseru, gorącej zupy i pachnącego, świeżego chleba. Pokazywał mi to, czego tak bardzo pragnęłam, lecz ja stanowczo oparłam się pokusie, bo gdybym pozwoliła sobie na myślenie o tych rarytasach, przedostałby się do mojego umysłu. Nic z tego.

„Surowe mięso. Przymarznięte do kości. Odgryzam je trzonowcami. Myszy. Futerko łachocze w podniebienie, kruche łebki trzaskają na kłach. Wilcza strawa”.

Wilcza strawa.

Niesamowite, jak apetycznie zabrzmiało to w moich uszach. Mocniej ścisnęłam gałąź w obu dłoniach i czekałam, niepewna, czy powinnam ukrywać się z nadzieją, że mnie przeoczą, czy też wyjść im naprzeciw i pierwsza zadać cios, wykorzystując zaskoczenie.

Nim zdążyłam podjąć decyzję, brnąca resztką sił Alaria natknęła się na futro. Przystanąła, wbiła w ciężkie okrycie ogłupiałe spojrzenie, a gdy po jakimś czasie odwróciła się do pozostałych, by ich zawiadomić o swoim odkryciu, zobaczyła mnie, całkiem niedaleko.

– Tu jest! – krzyknęła. – Znalazłam ją! – Wskazała mnie trzęsącą się ręką.

Rozstawiłam stopy na szerokość ramion – jakbym miała ćwiczyć z ojcem użycie noża – i czekałam. Alaria patrzyła na mnie jeszcze jakiś czas, po czym osunęła się na ziemię, utonęła w białej kałuży własnego futrzanego płaszcza. Nawet nie próbowała wstać.

– Znalazłam ją – powtórzyła słabo. Bez siły zamachała wiotką dłonią.

Usłyszałam kroki po lewej.

– Uwaga! – przestrzegła kogoś, lecz było już za późno.

Zamachnęłam się z całej siły i wyrznęłam napastnika w twarz, po czym od razu odskoczyłam w prawo, z powrotem między drzewa. To była Dwalia. Stałam w gotowości, mając pień za plecami. Lingstra krzyczała przeraźliwie, lecz ja nawet na nią nie spojrzałam. Nie zamierałam sprawdzać, czy wyrządziłam jej krzywdę. Przy odrobinie szczęścia mogło się zdarzyć, że wybiłam jej oko, lecz tymczasem zbliżał się do mnie Vindeliar ze swoim gamoniowatym uśmiechem na ustach.

– Braciszku! Tu jesteś! Nareszcie cię znaleźliśmy! Teraz już jesteś bezpieczny.

– Nie zbliżaj się, bo pożałujesz – ostrzegłam.

Dotarło do mnie, że wcale nie chcę go skrzywdzić. Owszem, był narzędziem w rękach wroga, jednak w nim samym nie sposób było się doszukać choćby śladów nieprzyjaznego nastawienia. Niestety, brak złej woli nie powstrzyma go przed wyrządzeniem mi krzywdy.

– Braaacie... – Przeciągnął słowo ze smutkiem.

Była to przygana, lecz dobrodusznna. Uświadomiłam sobie, że Vindeliar

promieniuje ku mnie łagodnością i czułością. Przyjaźnią i sympatią.

Nie. To wszystko były miraż.

– Cofnij się – nakazałam.

Najemnik brnął ku nam chwiejnym krokiem, zataczając się na boki, jęcząc i lamentując. Celowo czy przypadkiem – nie potrafiłam ocenić – potracił mglistego chłopca. Ten chciał uskoczyć mu z drogi, lecz potknął się i z żalnym okrzykiem padł jak długi, akurat w chwili gdy Dwalia okrążyła trzy pnie. Z rękoma wyciągniętymi ku mnie niczym szpony, z ociekającymi krwią wyszczerzonymi zębami, wyglądała, jakby zamierzała mnie zagryźć. Zamachnęłam się kijem, ściskając go w obu rękach, i pewnie straciłabym jej głowę z ramion, gdyby nie to, że moja broń... pękła. Złamała się na przeszkodzie i tylko nierówny koniec zostawił na czerwonej twarzy lingstry szkarłatny ślad. Rzuciła się na mnie z pazurami, wczepiła mi się w ciało, przebijając zniszczone ubranie. Urwała mi kawałek rękawa, ledwo zdołałam się jej wydrzeć i wcisnąć między drzewa.

Tam czekała na mnie Reppin. Jej rybie szare oczy napotkały moje spojrzenie. Nienawiść zmieniła się w szaleńczą radość i lurika rzuciła się na mnie z wrzaskiem. Odskoczyłam w bok, a ona zamknęła w objęciach pień i wyrznęła w niego głową. Była jednak bardziej przytomna, niż przypuszczałam: pomyślała jeszcze o tym, by podstawić mi nogę. Podskoczyłam i uniknęłam pułapki, lecz potknęłam się na nierównym gruncie. Tymczasem Alaria zdołała zebrać siły. Zawyla wściekle i przypuściła szturm. Dopadła mnie, powaliła na ziemię samym swoim ciężarem. Nie zdążyłam się spod niej wydostać, bo ktoś nadepnął mi na kostkę. Jęknęłam, a potem krzyknęłam. Miałam wrażenie, że kości mi się wyginają i lada moment popękają. Pchnęłam Alarię z całej siły, wyswobodziłam się spod niej, lecz w tym samym momencie Reppin kopnęła mnie w bok, wciąż stojąc mi na nodze.

Całe powietrze uszło mi z płuc. W oczach wezbrały zniechęcone łzy. Zamachałam bezsilnie rękoma, lecz już w następnej chwili owinęłam się napastniczce wokół nóg, chcąc zsunąć ją z mojej kostki. Niestety złapała mnie za włosy i potrząsnęła gwałtownie. Bolało strasznie, wyrwała mi pełną garść włosów, nie mogłam skupić wzroku.

– Przyłóż jej! – usłyszałam Dwalię. – Tu masz, tym. – Głos jej drżał od emocji. Co to było? Gniew? Ból? – Byle solidnie.

Spojrzałam w górę. I to był błąd. Reppin uderzyła mnie złamanym kijem, trafiając w policzek, szczękę i ucho. Zadzwońło mi w głowie, usłyszałam własny krzyk. Byłam w szoku, wściekła, rozsierzdzona – i obezwładniona bólem. Próbowałam się odczołgać, jednak Reppin w dalszym ciągu trzymała mnie za włosy. Kostur opadł ponownie, tym razem na plecy, wysoko, na łopatki. Mało miałam ciała na kościach,

a bluza nie chroniła wcale. Poczułam najpierw ból po ciosie i zaraz pieczenie rozdartej skóry. Zawylałam potępieńczo, wykręciłam się, sięgając w górę, by chwycić lurikę za nadgarstek, wyrzucić jej z uścisku swoje włosy. Przeniosła więcej ciężaru na moją kostkę, teraz już tylko miękkie leśne poszycie chroniło mnie przed złamaniem. Wrzasnęłam znów i ponownie spróbowałam ją odepchnąć.

Znowu kij spadł mi na plecy, tym razem niżej, a ja nagle wyraźnie poczułam, gdzie żebra łączą się z kręgosłupem i jak dwie bliźniacze kolumny mięśni ciągnących się po obu jego stronach gwałtownie protestują przeciw bolesnym razem.

Wszystko to działo się błyskawicznie, a równocześnie każde uderzenie nabierało charakteru wyjątkowego, niepowtarzalnego zdarzenia, którego miałam nigdy nie zapomnieć. Ojciec nigdy nie użył w stosunku do mnie siły, a matka, jeśli nawet uznała za stosowne mnie skarcić, ograniczała się do nieznacznego szturchańca albo lekkiego klapsa. I to zawsze wyłącznie po to, by mnie ustrzec od niebezpieczeństwa, żebym nie dotknęła nagrzanej osłony kominka albo żebym nie ściągnęła z kołka czajnika z wrzątkiem. Nie zdobyłam też doświadczeń w dziecięcych bijatykach z czasu, gdy jeszcze mieszkałam w Białym Gaju. Bywałam bombardowana szyszkami lub kamykami, a raz jeden jedyny wdałam się w prawdziwą bójkę, w efekcie której popłynęła krew, jednak nigdy nie uderzył mnie nikt dorosły. Nie zdarzyło się, by osoba dorosła przytrzymywała mnie w taki sposób, żeby sprawić mi ból, i z wściekłością okładała z całej siły, nie bacząc na to, iż może mi wyrządzić nieodwracalną krzywdę. Raptem uświadomiłam sobie, że nikogo by nie obeszło, gdyby Reppin wyłupiła mi oko albo powybijała zęby.

„Przestań się bać. Odgroź się od bólu. Walcz!”

Nagle wsparł mnie wilk-ojciec, z obnażonymi zębiskami, z nastroszoną sierścią.

„Nie mogę. Ona mnie zabije!”

„Nie daj się! Gryź, drap, kop! Niech zapłaci za twoje cierpienie. Będzie cię biła, ile da radę, więc przynajmniej odpluć jej pięknym za nadobne. Spróbuj ją zabić!”

„Ale...”

„Walcz!”

Przestałam wyciągać włosy z jej garści. A gdy kij ponownie spadł mi na grzbiet, zamiast próbować się przed nim uchylić, z furią natarłam na lurikę, chwyciłam ją za rękę trzymającą kij i pociągnęłam do ust. Rozwarłam szczęki, jakbym się miała przenieć, po czym zacisnęłam je niczym żelazne klamry. Ugryzłam. Nie po to, by zaledwie sprawić ból, nie żeby zostawić ślady zębów, czy usłyszeć przeszywający krzyk. Ugryzłam, aby dostać się do kości, rozderżyć ścięgna, oderwać kawał ciała. Gdy krzyknęła, gdy się zamachnęła, wbiłam w nią zęby z wściekłą pasją i gwałtownie potrząsnęłam głową. Puściła moje włosy, kij wypadł

jej z dłoni, zatańczyła wkoło, wyjąc z bólu i ze strachu, ale ja i tak nie puściłam: rękoma i zębami wpiłam się jej w przedramię, a równocześnie, gdy ciągnęła mnie za sobą, kopałam ją po stopach, piszczelach i kolanach. Skupiłam się na tym, by złączyć trzonowce. Całym swoim ciężarem zawisłam na przedramieniu kobiety i zacisnęłam zęby najmocniej, jak potrafiłam.

Reppin wyła z bólu. Już nie myślała o tym, żeby mnie okładać, tylko jak się ode mnie uwolnić. Nie była szczególnie wysoka ani mocno zbudowana, a ja wgryzłam się jej w rękę bezlitośnie, uwięziłam w zębach kawał bezkrwistego mięsa i zwiotczałych mięśni. Zaciskałam szczęki bez wytchnienia, pracowałam nimi jak nigdy w życiu, byle mocniej, byle głębiej, byle je zewrzeć razem.

– Zostaw mnie! Puszczaj! – wrzasnęła lurika.

Drugą dłoń położyła mi na czole, by odepchnąć moją głowę, a ja jej na to pozwoliłam. Wrzasnęła dziko, bo w ten sposób jedynie pomogła mi odrywać mięso od kości. Uderzyła mnie, jednak niezbyt mocno. A ja ścisnęłam jeszcze silniej. Rękoma i zębami. Osunęła się na ziemię. Nadal nie puściłam.

„Uważaj!” – ostrzegł mnie wilk-ojciec. – „Uciekaj!”.

Byłam jednak zaledwie szczenięciem i nie dostrzegłam zagrożenia. Widziałam tylko, że wróg upadł pokonany. Wtedy Dwalia kopnęła mnie z taką siłą, że rozwarły mi się szczęki. Odpadłam od Reppin na wilgotną ziemię. Zabrakło mi powietrza, zdołałam jedynie przetoczyć się na bok, zamiast zerwać się na nogi i uciekać. Kopała mnie metodycznie. W brzuch. W plecy. Zobaczyłam but zbliżający się do mojej twarzy.



Odzyskałam przytomność w chłodzie i ciemności. Udało im się rozpalić ognisko, lecz jego blask ledwo mnie muskał. Leżałam na boku, tyłem do ognia, ze związanymi rękoma i nogami. W ustach miałam słony smak krwi, świeżej i zakrzepłej. Zmoczyłam się, więc spodnie były dojmująco zimne. Nie wiedziałam, czy posiusiałam się ze strachu, czy też zostałam aż tak mocno pobita. Nie pamiętałam. Obudził mnie własny płacz... a może rozplakałam się już po przebudzeniu? Bolało mnie wszystko. Twarz z jednej strony miałam spuchniętą i nabrzmiętą. Tam, gdzie Reppin przyłożyła mi kijem. Możliwe też, że byłam zakrwawiona, bo do policzka przylepiły mi się zeschnięte liście. Czułam nieprawdopodobny ból w plecach i żebrach.

„Możesz poruszać palcami u rąk? I u nóg?”.

Mogłam.

„Jak boli brzuch? Jak posiniaczony czy jakby coś pękło w środku?”.

„Nie wiem. Nigdy mnie tak nie bolało”.

Zaczerpnęłam powietrza głębiej, wydech zmienił się w szloch.

„Ciii... Bądź cicho, bo się zorientują, że odzyskałaś przytomność. Możesz przysunąć dłonie do ust?”.

Mogłam, bo były związane z przodu. Spętane pasami oddartymi od mojej koszuli. To dlatego było mi tak zimno. Chociaż za dnia panowała tu wiosna, nocą do lasu wróciła zima.

„Przegryź więzy”.

„Nie dam rady”.

Wargi miałam rozbite i zakrwawione, zęby wydawały się poluzowane, dziąsła bolały.

„Dasz radę. Musisz. Przegryziesz pęta na rękach, rozwiążesz te na nogach i pójdziemy. Pokażę ci dokąd. Jest tu, niedaleko, ktoś nam bliski. Jeżeli uda mi się go zbudzić, będzie cię bronił. Jeśli nie, nauczę cię polować. Kiedyś mieszkaliśmy w tych górach, twój ojciec i ja. Może nora, którą wtedy zbudował, wciąż jest tam, gdzie była. Pójdziemy do niej”.

„Jesteśmy w górach? Mieszkałeś w górach z moim ojcem?”.

„Tak. Właśnie tak. Dosyć gadania. Przegryź więzy”.

Musiałam choć trochę wysunąć brodę i przekrzywić głowę, jedno i drugie bolało. Zabolało też, gdy wbiłam zęby w tkaninę. Kiedyś była to ładna bluzka. Założyłam ją, szykując się rankiem na lekcje ze skrybą Strzykiem. Pokojówka Dbałość pomogła mi się ubrać. Wybrała tę bladożółtą bluzkę i zieloną tunikę. W kolorach mojego domu, uświadomiłam sobie nagle. Wystroiła mnie w barwy Białego Gaju, chociaż tunika była na mnie za długa, sięgała mi do kolan, jak sukienka. Tamtego dnia miałam na sobie cienkie wąskie spodnie, a nie te ocieplane, które kazali mi nosić porywacze. Mokre spodnie. Znowu wyrwał mi się szloch. Nie zdążyłam go zdusić na czas.

– ...przytomna? – powiedział ktoś przy ogniu.

Chyba Alaria.

– Zostaw ją, niech leży – rozkazała szorstko Dwalia.

– Mój braciszek cierpi! Czuję jego ból!

To Vindeliar. Cicho, żałośnie.

– Twój braciszek! – Dwalia, tonem ociekającym jadem. – Nie odróżniasz nieoczekiwanego syna od białego pomiotu, tępaku jeden. Sam jesteś nie wiadomo co. Fortunę wydaliśmy, straciliśmy rzeszę lurików, poświęciliśmy czas i siły,

a w zamian mamy za ledwie to dziewczuszyisko. Tumany jesteście, oboje, i matoly. Ty ją masz za chłopaka, a ona nie ma o niczym żadnego pojęcia. Nawet nie umie pisać! I wcale nie przywiązuje wagi do snów. – Mimo wszystko w jej słowach zadźwięczała nadzieja. – Nieważne, ja i tak wiem swoje. To nie byle kto. – Błogie przeświadczenie zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. – Możecie mi nie wierzyć. Bez różnicy! – prychnęła. – Ale lepiej, żeby nie była zwykłym dzieckiem, bo tylko dzięki niej możemy na powrót wkupić się w łaski Rady. Jeśli poniosę porażkę – dodała ciszej – Kultri pęknie z radości. A ta stara wiedźma Kapra wykorzysta okazję i zrobi, co jej się będzie żywnie podobało.

– Skoro w tym dzieciaku cała nasza nadzieja – odezwała się Alaria bardzo cicho – to chyba powinniśmy ją dostarczyć w przyzwoitym stanie?

– Gdybyś ją złapała, jak należy, zamiast odstawiać cyrk z potykaniem się, upadaniem i rozpaczliwymi jękami, wypadki mogłyby potoczyć się zupełnie inaczej!

– Słyszycie? – szepnęła Reppin. – Słyszeliście? Kto to się śmieje? A teraz... Ktoś gra na kobzie!

– W głowie ci się mąci! A wszystko przez to, że smarkata cię ugryzła. Dajże spokój z głupotami.

– Widzę własną kość! Ręka cała mi spuchła i pulsuje z bólu!

Rozmowa urwała się, słychać było tylko strzelanie płomieni.

„Nie ruszaj się” – przestrzegł mnie wilk-ojciec. – „Słuchaj uważnie. Im więcej się dowiesz, tym lepiej”. – Następnie dodał z nutą dumy w głosie: – „Widzisz? Chociaż masz krowie zęby, to jednak nauczyłaś ją moresu! Musisz im wszystkim pokazać, gdzie raki zimują. Nawet ta stara baba będzie przy tobie ostrożna. Ale to jeszcze mało. Teraz ważne są dla ciebie tylko trzy myśli: »Ucieknę. Będą się mnie bali. Pozabijam ich, jeśli tylko zdołam«”.

„Za sama próbę ucieczki pobili mnie do nieprzytomności! Co mi zrobią, jeśli któreś z nich zabiję?”

„Obiją cię znów, chyba że uciekniesz. I pamiętaj, co słyszałaś: jesteś dla nich cenna. Dlatego raczej cię nie zabijają”.

„Raczej?”. – Zadygotałam z przerażenia. – „Chcę żyć! Choćby nawet w niewoli! Po prostu chcę żyć”.

„Tak uważasz, ale zapewniam cię, nie masz racji. Lepsza śmierć niż niewola, jaką dla ciebie szykują. Wiem, co to zniewolenie, byłem zabawką ludzi pozbawionych serca. Nauczyłem ich strachu. Właśnie dlatego postanowili mnie sprzedać. Wówczas twój ojciec kupił mi wolność”.

„Nic o tym nie wiem”.

„To mroczna i smutna opowieść”.

Myśl jest szybka. Wiele dowiedziałam się od wilka-ojca w czasie przerwy w rozmowie białych ludzi.

Nagle w ciemności rozległ się krzyk. Przeraziłam się nie na żarty, zaczęłam jeszcze szybciej żuć więzy. Mimo że nie dostrzegałam żadnych postępów. Znów usłyszałam zniekształcone słowa w mowie z Krainy Miedzi. To musiał być Kerf, najemnik, do tego stopnia ubezwłasnowolniony przez Vindelara, że oddał się na usługi Dwalii. Czy jego umysł nadal był w rozsypce? Czy mężczyzna wciąż odczuwał skutki podróży przez filary? Czy jemu też spuchła ręka w miejscu, gdzie go ugryzłam? Możliwie najciszej przesunęłam się tak, by móc zerknąć w mrok. Kerf wskazywał na jeden z pradawnych filarów na skraju polany.

– Widzicie? Widzicie to?

Powietrze rozdarł przenikliwy krzyk Reppin.

– Nie jestem szalona! Kerf też ją widzi! Tam, na filarze! Tam przycupnął biały duch! Przecież musicie ją widzieć. Czy ona jest z ludu Białych? Tylko ten dziwny strój... I śpiewa kpiące strofy...

– Nic nie widzę! – zaperzyła się Dwalia.

– A ja tak – przyznał trwożnie Vindelar. – Są tu cienie ludzi z dawnych czasów. To kupcy z tutejszego targowiska. A teraz, gdy zapada wieczór, ta biała pieśniarka śpiewa im ku uciechu.

– Ja... ja też coś słyszę – przyznała z ociąganiem Alaria. – A w czasie drogi przez filar słyszałam różnych ludzi. Mówili straszne rzeczy. – Zatchnęła się lekko. – A dziś po południu miałam sen. Bardzo wyraźny. Muszę o nim opowiedzieć. Skoro uciekając przed najemnikami straciliśmy dzienniki snów, nie mogę go zapisać. Muszę opowiedzieć.

– Całkiem jakby twoje sny miały jakąkolwiek wartość – prychnęła Dwalia. – No dobrze, już trudno, mów.

Dziewczyna zaczęła pośpiesznie wyrzucać z siebie słowa, jakby wyskakiwały jej one z ust gnane zniecierpliwieniem.

– Śnił mi się orzech w rwącej rzece. Widziałam, jak ktoś wyjmuje go z wody. Orzechem rzucano i uderzano go wiele razy, byle rozbić, lecz on wydawał się przez to jedynie grubszy i twardszy. Potem ktoś go zmiażdżył. Wydobyły się z niego płomienie i ciemność, i smród zepsucia i krzyki. Płomienie napisały słowa: „Nadciąga światoburca, któregoście stworzyli!”. I potężny wichur zawiał w naszym Clerres i porwał nas i rozrzucił na wszystkie strony świata.

– Nadciąga światoburca! – dobiegł z ciemności przepełniony szczęściem głos najemnika.

– Ucisz się! – warknęła Dwalia. Odpowiedział jej śmiech. – I ty też siedź cicho – warknęła pod adresem Alarii. – Nic niewart ten sen. Strachajła z was! Bez przerwy wam jakieś cienie czają się po kątach. Idźcie obie, przynieście więcej drzewa na opał. Trzeba zgromadzić zapas na całą noc. A potem sprawdzić, co z tym bachorem. Dość tych bzdur.

Usłyszałam, jak Alaria i Reppin odchodzą między drzewa. Wydawało mi się, że idą powoli, niepewnie, jakby się obawiały ciemności. Kerf nie zwrócił na nie uwagi. Z uniesionymi rękoma żwawo podrygiwał dookoła filara w niezdamnym tańcu.

Powolutku, ostrożnie, pamiętając o talencie Vindeliara, obniżyłam nieco mur chroniący mój umysł. Niegłośny szum przypominający brzęczenie pszczoł, który stale miałam w uszach, zmienił się w ludzkie głosy, jednocześnie ujrzałam Najstarszych w barwnych szatach. Mieli błyszczące oczy, włosy lśniące, niczym wypolerowany metal, dłonie ozdobione srebrnymi i złotymi pierścieniami; tańczyli, otoczywszy ze wszystkich stron smukły czarny kamień oraz najemnika, do wtóru melodii skocznej piosenki, którą śpiewała blada pieśniarka przykucnięta na filarze.

Dwalia przyjrzała się Kerfowi wyraźnie rozzłoszczona jego wesołością.

– Zrób z nim coś! – rozkazała Vindeliarowi.

Chłopak bezradnie rozłożył ręce.

– Zbyt wielu tutaj słyhać. Ogromny chór mocnych głosów. Śmieją się, śpiewają, świętują.

– Ja nic nie słyszę! – Dwalia była rozzłoszczona, w jej głosie pobrzmiwała też nuta strachu. – Jesteś kompletnie do niczego. Nie potrafisz zapanować nad tym dziewczyniskiem i z szaleńcem, jak widzę, też sobie nie radzisz. Pomyśleć, że, kiedy cię wybrałam, pokładałam w tobie ogromne nadzieje. Pozwoliłam ci korzystać z bezcennego eliksiru... Straszna pomyłka! Wielki błąd! Czyste marnotrawstwo! Mieli rację ci, co się sprzeciwiali: nie masz proroczych snów, nic nie widzisz, jesteś beżyteczny.

Poczułam zimną smużkę świadomości Vindeliara. Opłynęła mnie na podobieństwo fali. Błyskawicznie uszczelniłam ochronę, nakazałam sobie obojętność. Nie mogło mnie obchodzić, że chociaż czuł się skrzywdzony, o mnie też się martwił. Narzuciłam sobie stanowcze przekonanie: za bardzo bał się Dwalii, by mi w czymkolwiek pomóc. Na co komu przyjaciel, który nie podejmie ryzyka?

„Jest twoim wrogiem, tak samo jak pozostali. Jeśli tylko przytrafi się sposobność, zabijesz go, tak samo jak każdego innego. Jeżeli któreś tu podejdzie i będzie chciało cię dotknąć, będziesz gryzła, kopała i drapała, z całych sił”.

„Wszystko mnie boli. Opałam z sił. Jeśli się im sprzeciwię, znowu mnie pobiją”.

„Najmniejsze twoje zwycięstwo wystarczy, by nauczyli się, że za byle dotknięcie

trzeba słono zapłacić. Znajdzie się między nimi ktoś, kto nie będzie sobie tego życzył”.

„Nie dam rady ugryźć ani zabić Vindeliara. Dwalię mogę zabić, ale innych...”.

„Oni wszyscy są narzędziami w jej rękach, jej zębami i pazurami. Nie możesz pozwolić sobie na litość. Przeżuwaj więzy, a ja opowiem ci o swoich dniach w niewoli. O tym, jak mnie zamknięto w klatce i katowano. Zmuszano do walk z psami i z dzikami, równie jak ja zabiedzonymi. Głodowałem. Otwórz umysł na opowieść o tym, jak odebrano mi wolność, i o tym, jak wspólnie z twoim ojcem wyrwaliśmy się z niewoli. Wtedy zrozumiesz, dlaczego musisz zabijać, gdy tylko trafi ci się sposobność”.

Rozpoczął... To nie było opowiadanie, a raczej wspomnienie, którym się ze mną dzielił. Było to niczym przywoływanie w pamięci spraw, które znałam od zawsze, tyle tylko że teraz zostały one wzbogacone o przeraźliwe detale. Nie oszczędził mi niczego: śmierci rodziny, bicia i głodzenia, ścisku w zimnej klatce. Nie umniejszał nienawiści do oprawców, nie krył, że z początku nienawidził mojego ojca, nawet gdy ten go uwolnił. Agresja była wtedy jego drugą naturą. Karmił się wrogością, ona utrzymywała go przy życiu, gdy nie pozostawało mu już nic innego.

Nawet w połowie nie przegryzłam się przez skręconą tkaninę krępującą mi nadgarstki, gdy Dwalia posłała Alarię, by ta sprowadziła mnie do ogniska. Udawałam nieprzytomną, aż lurika się nade mną pochyliła i położyła mi dłoń na ramieniu.

– Pszczoło?

Szarpnęłam się, chwyciłam jej rękę zębami, lecz tylko na moment, bo usta miałam niemożliwie obolałe. Oswobodziła się bez większego trudu, odskoczyła ode mnie z krzykiem na ustach.

– Ugryzła mnie! – zawołała do pozostałych. – Ta żmija mnie ugryzła!

– Kopnij ją! – rozkazała Dwalia.

Alaria bez przekonania wycelowała we mnie stopą. Ojciec-wilk miał rację: bała się do mnie zbliżyć. Odtoczyłam się od niej i mimo protestów całego ciała usiadłam. Zmierzyłam ją ciężkim spojrzeniem spod tego oka, na które widziałam, i rozciągnęłam opuchnięte wargi, wyszczerzając zęby. Nie wiem, ile z tego zobaczyła w migotliwym świetle płomieni, lecz nie ośmieliła się do mnie podejść.

– Jest przytomna – stwierdziła.

Całkiem jakbym potrafiła gryźć nieprzytomna.

– Daj mi ją tutaj.

– A jak mnie znów ugryzie?

Dwalia wstała. Poruszała się sztywno.

Siedziałam nieruchomo, przygotowując się do ataku: w miarę możliwości miałam

zamiar kopnąć lingstrę albo wbić w nią zęby. Z przyjemnością zauważyłam, że po poprzednim naszym starciu miała ciemne sińce wokół oczu oraz rozcięcie na policzku.

– Słuchaj no, ty wredny bachorze – warknęła. – Ominie cię bicie, jeśli będziesz posłuszna. Rozumiesz?

„Układa się z tobą. Czyli się ciebie boi”.

Z twarzą bez wyrazu patrzyłam na nią w milczeniu. Gdy pochyliła się i wyciągnęła rękę, by mnie chwycić za koszulę, obnażyłam zęby. Odsunęła się.

– Alaria oswobodzi ci nogi – powiedziała, jakbym obiecała posłuszeństwo. – Usiądziesz bliżej ognia. Jeżeli spróbujesz uciekać, okaleczę cię, przysięgam. – Nie czekała na odpowiedź. – Alario, przetnij więzy na jej nogach.

Zauważyłam, że lurika ma wyjątkowo zgrabny nożyk przy pasku. Może bym jakoś zdołała go sobie przywłaszczyć? Przesunęłam stopy w jej stronę, a ona przez nieskończoność cięła, rznąła i piłowała tkaninę pętającą mi kostki. Nie mogłam się nadziwić, jak długo to trwało i jak bardzo bolało. Gdy wreszcie pękły ostatnie nici, gwałtownie oswobodziłam nogi. Niemal natychmiast poczułam w nich przykre gorące mrowienie. Moje kończyny wracały do życia.

Czy Dwalia, wbrew temu, co powiedziała, chciała zachęcić mnie do ucieczki, by zyskać pretekst i znów mnie pobić?

„Jeszcze nie próbuj. Zbierz siły. Udawaj słabszą, niż jesteś”.

– Wstawaj! – rozkazała mi lingstra.

Nawet się ode mnie odsunęła, jakby chciała zademonstrować, do jakiego stopnia jest pewna mojej uległości.

Wspaniale. Niech nabierze pewności, że się poddałam. Znajdę sposób, by się od niej oddalić. Wilk jednak miał rację: jeszcze nie teraz. Dźwignęłam się więc powoli, nie żałując czasu na zyskanie równowagi. A przy tym starałam się trzymać prosto, jakbym wcale nie miała powbijanych w brzuch rozżarzonych ostrzy. Coś mi jednak uszkodziła. Ile potrwa, nim wydobrzeję?

Vindeliar przysunął się do nas bliżej.

– Och, braciszku mój – mruknął ze smutkiem na widok mojej poranionej twarzy.

Przyszpiliłam go spojrzeniem, a on zaraz uciekł wzrokiem. Wtedy ruszyłam do ognia i choć kuśtykałam nieporadnie, starałam się robić wrażenie krnąbrnej i zbuntowanej, a nie ledwo żywej.

Po raz pierwszy zyskałam okazję, by się uważniej przyjrzeć otoczeniu. Filar przeniósł nas do kotliny położonej w sercu lasu. Między drzewami zauważyłam niknące pasma śniegu, lecz, co dziwne, nie było po nim śladu na brukowanym placu ani na prowadzących do niego drogach, wiodących między wysokimi drzewami,

których gałęzie, gdzieniegdzie przeplecione, tworzyły łuki. Na samych traktach próżno by szukać roślin – żywych czy uschniętych. Czy naprawdę nikt poza mną nie zauważył tego dziwnego zjawiska? Polanę, gdzie podwładni Dwalii rozpalili ogień, otaczały drzewa iglaste z nisko opuszczonymi konarami... Zaraz, to nie polana. Szurając, wyraźnie czułam pod stopami nierówności ociosanych kamieni. A pozornie otwarta przestrzeń była częściowo ograniczona murkiem z kamienia, z którego wyrastało kilka filarów. Jakiś przedmiot leżący na ziemi przyciągnął mój wzrok. Chyba rękawiczka. Tak. Wyglądała, jakby przeleżała część zimy pod śniegiem. Nieco dalej zobaczyłam kawałek skóry... Pasek? A potem wełnianą czapkę.

Chociaż byłam straszliwie obolała, wolno schyliłam się i ją podniosłam, a równocześnie wykorzystałam tę chwilę, by na moment ucisnąć brzuch. Tamci, przy ognisku, udawali, że mnie nie widzą, niczym koty przyczajone nieopodal mysiej nory. Czapka była wilgotna, lecz nawet mokra wełna jest lepsza niż nic. Usiłowałam strząsnąć z niej kolki, jednak z powodu bólu nie mogłam dość mocno machnąć ręką. Przyszło mi do głowy, że może ktoś przyniósł mój ciężki futrzany płaszcz. Teraz, gdy wstałam i szłam, przenikliwy chłód wczesnowiosennej nocy dawał mi się we znaki znacznie bardziej niż dotąd, przypominał o każdym siniaku. Zimne powietrze przylgnęło mi do gołej skóry w miejscach, skąd zostały oderwane pasy tuniki.

„Nie zwracaj na to uwagi. Nie myśl o tym, co czujesz. Skup się na innych zmysłach”.

Widziałam niewiele, na dobrą sprawę tyle, ile wyławiał z ciemności roztańczony krąg ognia. Wobec tego wdech. Wciągnęłam powietrze przez nos. W mokrym powietrzu kłębiło się całe bogactwo zapachów. Wyczułam czarną ziemię i opadłe kolki. A także wiciokrzew. O tej porze roku? Dziwne.

„Wypuść powietrze ustami i znowu wciągnij nosem, powoli” – poradził mi wilk-ojciec.

Usłuchałam. Śledząc znajomą woń, z wysiłkiem obróciłam głowę na zeszywniałym karku. Tam. Błady, smukły cylinder, na wpół ukryty pod strzępem porwanego płótna. Schyliłam się ostrożnie, jednak nogi ugięły się pod mną niebezpiecznie i mało brakowało, a byłabym runęła jak długa. Podniosłam świecę niezdarnie, obiema dłońmi. Była złamana, dwie części łączył jedynie knot, ale i tak wiedziałam swoje. Uniosłam ją do twarzy, powąchałam. Dzieło rąk mojej matki.

– Jak to możliwe? – spytałam cicho noc.

Przyjrzałam się jakiemuś skrawkowi płótna. Tuż obok leżała koronkowa damska rękawiczka, rozmiękła i nadpleśniała. Żadnego z tych dwóch przedmiotów nie

znałam, lecz świecę rozpoznałabym wszędzie. A może jednak popełniłam błąd? Czyżby ktoś inny, nie moja matka, zebrał wosk i nasączył go zapachem kwiatów wiciokrzewu? Czy to możliwe, że jakaś obca ręka raz za razem zanurzała długi knot w pachnącym wosku z niezmierną cierpliwością, by uzyskać tak elegancki stożek? Nie. To była z pewnością świeca zrobiona przez moją matkę. Kto wie, może akurat pomagałam jej w pracy? Pozostało pytanie: skąd się tutaj wziął ten przedmiot?

„Był tu twój ojciec”.

„Trudno to sobie wyobrazić”.

„Bardziej prawdopodobnej odpowiedzi nie potrafię wymyślić”.

Wsunięta za koszulę świeca złożyła się wpół. Wosk legł mi chłodem na skórze. Moja świeca. Usłyszałam szuranie nóg Vindeliara. Kątem oka widziałam Dwalię wyciągającą dłonie do ognia. Przyjrzałam się całej grupce zdrowym okiem. Moje futro miała Reppin. Poskładała je w kostkę i usiadła na nim, obok Alarii. Gdy zobaczyła, że się jej przyglądam, posłała mi drwiący uśmiech. Popatrzyłam znacząco na jej rękę, a następnie podniosłam wzrok, wbiłam spojrzenie w jej oczy i też się uśmiechnęłam. Odślonięta ręka przywodziła na myśl poduszkę zakończoną pięcioma serdelkami. Między palcami i w zmarszczkach na kłykciach widniała czarna krew. Czy ta kobieta naprawdę nie miała dość rozumu, by oczyścić ranę?

Wolno dotarłam do największej luki w kręgu i tam usiadłam. Dwalia podniosła się, stanęła za moimi plecami. Nie obejrzałam się na nią.

– Dziś nie dostaniesz kolacji. I niech ci się nie wydaje, że mogłabyś uciec. Nie uciekniesz. Alario, ty weźmiesz pierwszą wartę. Na drugą obudzisz Reppin. Nie pozwólcie zwiać tej smarkatej, bo drogo za to zapłacicie.

Majestatycznym krokiem poszła tam, gdzie zebrali bagaże i zapasy. Dużo tego nie było. Przed atakiem Ellika uciekali w pośpiechu, chwyтали, co się nawinęło pod rękę. Lingstra urządziła sobie z pakunków gruzłowate łożo i zległa na nim, jak na sofie, nie bacząc na potrzeby innych. Reppin rozejrzała się wokół chytrze, po czym rozpostarła na ziemi moje futro, położyła się na nim i zakryła połamami. Vindelias popatrzył na kobiety, po czym przycupnął jak pies. Wielką głowę złożył na przedramionach i wbił płaczące spojrzenie w ogień. Alaria siedziała ze skrzyżowanymi nogami, nie spuszczać ze mnie wzroku. Na najemnika nikt nie zwracał uwagi, a ten, z rękoma wzniesionymi nad głowę, z ustami otwartymi w bezmyślnym uwielbieniu dla niesłyszalnej muzyki, tańczył w koło coś w rodzaju dżiga. Umysł miał najwyraźniej otępiały, lecz bezsprzecznie był doskonałym tancerzem.

Powędrowałam myślami ku ojcu. Gdzie był? Czy o mnie myślał? Czy Szkada

wróciła do Białego Gaju i powiedziała mu, że zostałam zabrana w kamień? A może umarła w lesie? W takim razie ojciec nigdy nie pozna moich losów, nie będzie wiedział, gdzie mnie szukać.

Byłam zmarznięta i strasznie głodna. A do tego całkowicie zagubiona.

„Jeść nie będziesz, więc śpij. Teraz możesz sobie zapewnić jedynie odpoczynek. Skorzystaj”.

Przyjrzałam się znalezionej czapce. Zwykła szara wełna, owszem, niebarwiona, ale dobrze uprzedzona. Świetny, gruby splot. Potrząsnęłam nią, by się upewnić, że nie ma w niej żadnych owadów, po czym, z niemałym trudem, bo ręce miałam wciąż związane, naciągnęłam ją na głowę. Z początku wilgoć przejęła mnie przeszywającym chłodem, lecz w miarę upływu czasu wełniane nitki nagrzały się od mojej skóry. Ostrożnie ułożyłam się na mniej bolącym boku, tyłem do ognia. Ciepło mojego ciała obudziło woń świecy. Odetchnęłam zapachem wiciokrzewu. Skuliłam się trochę, jakbym układała się do snu, lecz w rzeczywistości podciągnęłam nadgarstki do twarzy i zaczęłam na nowo gryźć więzy.

Rozdział 2

Dotyk srebra

Istnieje pewna osobliwa siła, dochodząca do głosu w człowieku toczącym swą ostatnią walkę. Objawia się ona nie tylko na polu bitwy, nie jest wyłącznie przymiotem wojownika. Widziałem ją u kobiet chorujących na suchoty, słyszałem o niej od rodzin, które cierpiały głód. Siła ta pozwala trwać, nawet po przekroczeniu granic rozpacz i nadziei, mimo wykrwawienia i poranionych wnętrzności, wykraczając poza samą śmierć w ostatecznym wysiłku ocalenia czegoś, co najcenniejsze i najukochańsze. To odwaga bez przyszłości. Na wojnie ze szkarłatnymi okrętami widziałem mężczyznę, który prawą ręką robił mieczem, chroniąc powalonego towarzysza, choć w miejscu lewej krew tryskała z barku pulsującym strumieniem. Któregoś razu, w czasie starcia z ofiarami kuźnicy, natrafiłem na kobietę, która z nogami zaplątanymi we własne wnętrzności, czepiała się jednego z bezrozumnych, usiłując odciągnąć go od córki.

Zawyspiarze mają odrębne słowo na określenie odwagi tego rodzaju. W ich języku nazywa się ona finblead, czyli ostatnia krew. Wierzą oni, iż niesie ona ze sobą szczególną niezłomność, pozostającą w człowieku do końca, do ostatniego tchu. Wedle ich opowieści znaleźć w sobie tę odwagę i wykorzystać ją można, wyłącznie umierając.

Przerażającej dzielności, największej i najtrudniejszej, wymaga trwająca długie miesiące walka ze śmiertelną chorobą. A także, w co głęboko wierzę, dążenie do wykonania zadania, które musi zakończyć się zgonem. Owa fineblead rozpala życie człowieka przeraźliwą jasnością. Dopiero wtedy widać, zupełnie wyraźnie, czym są i czym były w przeszłości wszelkie związki. Gasną złudzenia. Fałsz widać równie wyraźnie, jak prawdę.

Bastard Rycerski Przezorny

W miarę, jak smak ziół rozchodził mi się w ustach, narastał zgiełk. Uniosłem głowę, skupiłem wzrok, choć oczy piekły mnie w sposób trudny do wyrażenia. Strzyk trzymał mnie pod ramiona, mój świat skurczył się do znajomej goryczy

kozłka, magia traciła na sile, a ja coraz lepiej pojmowałem, co się wokół mnie dzieje. Lewy nadgarstek przeszywał mi palący ból sięgający kości, jakby ktoś wbił mi zmrożone żelazo. Gdy płynęła przeze mnie Moc, lecząca i zmieniająca dzieci z Kelsingry, przestałem zauważać cokolwiek innego, lecz teraz w pełni zdałem sobie sprawę z rozmiarów zamieszania, dotarły do mnie głośne krzyki odbijające się echem od wysokich ścian komnaty, czułem zapach potu zrodzonego ze strachu. Znajdowałem się w środku grupy Najstarszych, jedni usiłowali się odsunąć, inni na mnie napierali, w nadziei na uleczenie. Taki tłum! Dziesiątki sięgających ku mnie rąk, żarliwe prośby... „Błagam, jeszcze jedno! Jeszcze tylko jedno!”. Inni wołali: „Przepuście mnie!” i przepychali się możliwie najdalej. Strumień Mocy, który jeszcze przed chwilą omywał mnie i warko przepływał przez mój umysł, wyraźnie osłabł, lecz nie wysechł. Strzyk podał mi, sądząc po smaku, łagodniejszą odmianę kozłka, zioło pochodzące z Królestwa Sześciu Księstw, a tutaj, w mieście Najstarszych, królewska magia była tak silna i wszechobecna, że chyba nawet koźle ziele nie zdołałoby mnie na nią znieczulić.

Mimo wszystko jednak wystarczyło. Byłem świadom obecności Mocy, lecz już mnie ona nie pętała i nie musiałem jej służyć. Tyle tylko że w następstwie korzystania z królewskiej magii czułem się całkowicie wyczerpany, a mięśnie nie nadawały się do użytku, akurat wtedy, gdy najbardziej ich potrzebowałem. Generał Rapskał oderwał ode mnie Błazna. Chwycił panią Amber za nadgarstek i wysoko podniósł jej rękę.

– A nie mówiłem?! – krzyknął. – Mówiłem wam, że to złodzieje! Spójrzcie na jej dłoń, cała jest powleczone smoczym srebrem! Ta kobieta odkryła studnię! Okradła smoki!

Do drugiej ręki pani Amber przywarła Skierka, starając się uwolnić niewidomą od generała. Rozrzucone w nieładzie ciemne loki spadły dziewczynie na czoło, lecz nie przesłoniły obnażonych zębów, gdy warknęła z wściekłością. Na twarzy pani Amber malowało się tak dojmujące przerażenie, że jej widok mnie sparaliżował i równocześnie przyprawił o atak paniki. W koszmarnym grymasie zawarły się wszystkie lata nieszczęść z życia Błazna. Zmieniły jej oblicze w pozbawioną życia maskę, złożoną z kości, czerwonych warg i uróżowionych policzków. Musiałem ruszyć Błaznowi na pomoc, jednak nogi mnie nie słuchały, ugiwały się pode mną, za nic mając moją wolę.

– Książę Bastardzie Rycerski! – Niestrudzony ścisnął mnie za ramię. – Co robić? Nie mogłem odpowiedzieć, brakowało mi tchu.

– Bastardzie! – ryknął mi Strzyk prosto w ucho. – Wstań! – W jednakowej mierze rozkaz i błaganie.

Odszukałem własne nogi, zmusiłem je do dźwignięcia ciężaru ciała, stanąłem roztrzęsiony, ze wszystkich sił prostując kolana.

Przybyliśmy do Kelsingry zaledwie wczoraj, a już zdążyłem być przez kilka godzin bohaterem dnia, dysponującym czarami księciem z Królestwa Sześciu Księstw, który uleczył Ephrona, syna królewskiej pary. Moc płynęła w moich żyłach, odurzająca niczym brzoskwiniówka z Piaszczystych Kresów. Na życzenie króla Reyna oraz królowej Małty użyłem magii, by poprawić kondycję dzieci zależnych od smoków. Otworzyłem się na potężny strumień magii, wszechobecny w dawnej metropolii Najstarszych. Zanurzony w potężnych czarach otwierałem gardła, uspokajałem bicie serc, prostowałem kości i zdejmowałem łuski z oczu. W zasadzie młode istoty skłaniały się ku ludzkiej powłoce, lecz jedna z dziewczynek chciała zachować zmiany wprowadzone przez smoka – i jej również pomogłem.

Tymczasem strumień Mocy stał się zbyt silny, zanadto wciągający. Straciłem panowanie nad magią i zamiast jej panem stałem się dla niej narzędziem. Gdy uleczone dzieci zostały zabrane przez rodziców, przepchnęli się do mnie dorośli. Mieszkańcy Deszczowych Ostępów, obarczeni przykrymi zmianami, brzydkimi lub zagrażającymi życiu przekształceniami, błagali mnie o pomoc, a ja rozdawałem łaski hojną ręką ogarnięty rozkoszą korzystania z magii. Wiedziałem, że tracę nad nią panowanie, i gdy oddałem się jej bez reszty, pani Amber ściągnęła z dłoni rękawiczkę. Aby mnie ocalić, odsłoniła wykradzione smokom srebro na opuszkach palców, przycisnęła trzy palce do nagiej skóry na moim nadgarstku, wypaliła nimi drogę do mego umysłu i przywołała mnie do rzeczywistości. Aby ocalić mnie, zdemaskowała siebie, bez słów przyznała się do kradzieży. Gorący pocałunek jej palców pulsował mi na skórze niczym świeże oparzenie, głębokie, aż do kości, ból przenikał do ramienia i przez bark do karku.

Do jakiego stopnia mi to zaszkodziło, nie miałem sposobu się dowiedzieć, jednak przynajmniej znalazłem się na powrót we własnym ciele, mocno zakotwiczony. Ściągało mnie ono w dół. Mój umysł stracił rachubę, ilu Najstarszych dotknąłem i przemieniłem, lecz na cielesną powłokę każde uzdrowienie wywierało wpływ. Jedno za drugim odbierały mi siły, wymagały rewanżu i teraz nadeszła chwila spłaty długu. Mimo ogromnego wysiłku głowa mi opadała, z ledwością utrzymywałem rozwarte powieki, choć wokół mnie panował rwetes i narastała groza. Widziałem jak przez mgłę.

– Rapskalu, bądź roztropny! – zagrzmiał w ogólnym zgiełku głos króla Reyna.

Strzyk wzmocnił uścisk wokół mojej klatki piersiowej i nadal ciągnął mnie w górę, prostował.

– Macie ją natychmiast puścić! – zawołał. – W przeciwnym razie księżę odwróci

wszystkie zmiany, jakich dokonał! Uwolnijcie ją, w tej chwili!

Ktoś gwałtownie wciągnął powietrze, ktoś jęknął, jakiś mężczyzna zawołał: „Nie, byle nie to!”, a kobieta krzyknęła z rozpaczą: „Puść ją, Rapskalu, puść tę szlachetną panią!”. Ponad innymi rozbrzmiał władczo głos królowej Małty:

– Uwolnij panią Amber, Rapskalu. Nie tak traktuje się u nas gości oraz ambasadorów! – Policzki jej spurpurowiały, a grzebień zapłonął szkarłatem.

– Puśćcie mnie! – nakazała pani Amber z mocą. Z jakiejś niezgłębionej studni odwagi zaczerpnęła wolę walki o przetrwanie. – Puść mnie albo cię dotknę! – W ślad za groźbą szarpnęła się w stronę Rapskała, zamiast usiłować wyswobodzić uwięzioną rękę.

Nagła zmiana sytuacji zaskoczyła go, a powleczone srebrem palce znalazły się niebezpiecznie blisko jego twarzy. Generałowi wyrwał się okrzyk przestachu. Mężczyzna odskoczył, puścił rękę pani Amber. Ona jednak jeszcze nie skończyła.

– Cofnijcie się, wszyscy! – rozkazała. – Zróbcie miejsce, żebym mogła zająć się księciem, bo w przeciwnym razie, przysięgam na Sa, poznacie dotyk srebra!

Jej ostrzeżenie niósł królewski autorytet. Z wyciągniętym, wyprostowanym palcem wskazującym obróciła się, powoli zataczając łuk, a obecni zaczęli cofać się pośpiesznie, tłocząc się i potykając, byle uciec poza jej zasięg.

– Lepiej zrobić, co każe – odezwała się matka dziewczynki ze smoczymi łapami. – Jeśli to naprawdę smocze srebro, jeden dotyk wystarczy, by spowodować powolną śmierć – przypomniała to, co wszyscy wiedzieli. – Magia przenika przez ciało, wsącza się w kości człowieka i przemieszcza się nimi, kręgosłupem do czaszki. Aż w końcu dotknięty wita śmierć z prawdziwą ulgą.

Gdy inni odstępowali od nas, ona przeciwnie, zaczęła przepychać się w naszą stronę. Nie była osobą postawną, lecz pozostali opiekunowie smoków robili jej miejsce. Zatrzymała się przed nami, w bezpiecznej odległości. Miała od smoka wzory błękitne, czarne i srebrne. Skrzydła tkwiły gładko złożone na plecach. Pazury u stóp pobrzękiwały o posadzkę. Spośród wszystkich obecnych Najstarszych była najbardziej przemieniona smoczym dotykiem. Jej ostrzeżenie, połączone z groźbą szlachetnej pani, zapewniło nam nieco przestrzeni.

Amber znalazła się u mego boku. Z trudem uspokajała oddech. Skierka stanęła po jej drugiej stronie, a Niestrudzony zajął pozycję na przedzie.

– Skierko, potrzebna mi rękawiczka – odezwała się pani Amber niegłośnie, opanowanym tonem.

– Oczywiście, pani.

Przedmiot ów leżał na podłodze. Skierka pochyliła się i ostrożnie podniosła go dwoma palcami.

– Dotknę twoją rękę, pani – uprzedziła, po czym, delikatnie pchnęła grzbiet jej dłoni, naprowadzając ją na rękawiczkę.

Pani Amber wciąż z trudem panowała nad oddechem, niełatwo też było jej włożyć dłoń w rękawiczkę, a ja, choć słaby ponad wszelkie wyobrażenie, z ogromną radością dostrzegłem, iż zdołała zaczerpnąć sił Błazna oraz jego przytomności umysłu. Naciągnąwszy rękawiczkę, drugą rękę, tę bez śladu magii, wsunęła mi pod ramię, a mnie jej dotyk dodał pewności siebie. Odniosłem wrażenie, że przyhamowała strumień Mocy wciąż wartko przeze mnie płynący. Poczujęm się równocześnie związany z nią i częściowo uwolniony od magii.

– Chyba dam radę stać – mruknąłem do Strzyka.

Poluzował uścisk.

Nie mogłem pozwolić, by ktokolwiek zorientował się, do jakiego stopnia brakowało mi sił. Potarłem oczy i zgarnąłem pył kozłka z twarzy. Udało mi się zablokować proste kolana i wysoko unieść głowę. Usztywniłem plecy. Nade wszystko pragnąłem sięgnąć po nóż ukryty w bucie, jednak gdybym spróbował go wyciągnąć, gdybym się po niego schylił, z pewnością rozciągnąłbym się na podłodze jak długi.

Kobieta, która przestrzegła innych, weszła w obręb otaczającej nas teraz pustej przestrzeni, wciąż jednak trzymała się nieco dalej niż na wyciągnięcie ręki.

– Pani – zwróciła się do Błazna – czy rzeczywiście masz na dłoni smocze srebro? – zapytała głosem tłumionym przez grozę.

– Właśnie tak! – Generał Rapskał odzyskał rezon i stanął obok pytającej. – Ukradła je ze smoczej studni! Musi ponieść karę! Opiekunowie smoków i mieszkańcy Kelsingry! Nie dajmy się zwieść, nie pozwólmy się zaślepić uzdrowieniem kilkorga dzieci. Nie wiemy nawet, czy skutek działania tej obcej magii będzie trwały. Może to zwykłe oszustwo? A dowód kradzieży dokonanej przez jedną z intruzów zobaczyliśmy wszyscy. I wszyscy wiemy, że najważniejsze są dla nas nasze zaprzyjaźnione smoki.

– Mów za siebie, Rapskału – rzekła stojąca przy nas kobieta, obrzucając go lodowatym spojrzeniem. – Dla mnie najważniejsza jest córka. A ona właśnie znów może chodzić.

– Thymaro! – rzucił Rapskał zjadliwie. – Tak łatwo cię przekabacić?

Ojciec uleczonej dziewczynki stanął u boku kobiety. Dziecko ze smoczymi łapami trzymał na ręku, a ono spoglądało na nas z góry. Zabrał głos, a mówił, jakby beształ samowolnego podopiecznego: tonem potępiającym, lecz z nutą zażyłości.

– Rapskału, kto jak kto, ale ty przecież powinieneś wiedzieć, że Thymary nie sposób, jak to ująłeś, przekabacić. A teraz, powiedz mi: kto ucierpiał przez to, że

ta szlachetna dama ma srebro na palcach? Otóż tylko i wyłącznie ona. Ona od tego umrze. Czy możemy zrobić jej coś gorszego? Sam rozumiesz, że nie. Puść ją. Pozwól odejść im wszystkim. I niech wiedzą, że jestem im wdzięczny.

– To złodziejka! – wrzasnął Rapskał, nie bacząc na godność.

Reyn utorował sobie drogę przez tłum, tuż za nim podążała królowa. Policzki miała mocno zaróżowione, a oczy rzucały gniewne błyski. Wściekłość uwypukliła smocze cechy władczyni: oczy przywodziły na myśl raczej wyraz „ślepia”, a grzebień w przedziałku między włosami wydawał się wyższy, rzeczywiście przypominał ozdobę koguta.

– Pani Amber, książę Bastardzie Rycerski, zechciejcie nam wybaczyć – powiedziała. – Zaślepieni nadzieją na wyleczenie zapomnieliśmy o dobrym wychowaniu, a generał Rapskał jest niekiedy...

– Sam za siebie odpowiadam! – przerwał jej młody mężczyzna. – Cała ta pani Amber ukradła smocze srebro. Wszyscy widzieli dowód. Nie wystarczy, że wydała siebie na działanie trucizny. Nie może opuścić Kelsingry! Żadnemu z nich nie wolno opuścić naszego miasta, bo poznali sekret studni smoków!

Wówczas odezwała się pani Amber. Jej głos tchnął spokojem, lecz równocześnie brzmiał donośnie, więc słyszeli ją wszyscy.

– Sądzę, że srebro lśniło na moich palcach, zanim przyszedłeś na świat, generale. Zanim wylęgły się wasze smoki, zanim odnaleziono i odzyskano Kelsingrę, na moich palcach tkwiło to, co w Królestwie Sześciu Księstw nazywamy Mocą. A twoja królowa może o tym zaświadczyć.

– Malta nie jest naszą władczynią ani Reyn władcą. Sami to bez przerwy podkreślają. – Wzburzony Rapskał oddychał ciężko, a ciągnące się wzdłuż szyi skupiska łusek zabłyśły szkarłatem. – Ciągłe słyszymy, że musimy rządzić się sami, oni są tylko figurantami, noszą tytuł królewski dla reszty świata. Dobrze, wobec tego! Opiekunowie smoków! Rządzmy się sami! Niech nasze smoki będą dla nas najważniejsze, tak jak być powinno! – Wycelował palcem w panią Amber, z bezpiecznej odległości. – Pamiętacie – zwrócił się ponownie do Najstarszych – jak trudno było znaleźć i odnowić studnię płynnego srebra? Uwierzycie w nedorzeczną bajeczkę, że ta... szlachetna pani nosi srebro na palcach od dwudziestu lat... i nadal żyje?!

Królowa wykorzystała chwilę ciszy, by przerwać tyradę Rapskała.

– Przykro mi, lecz nie mogę poświadczyć twoich słów, pani. Znałyśmy się krótko w czasie twojego pobytu w Mieście Wolnego Handlu, spotykałyśmy się niekiedy podczas negocjacji dotyczących twoich licznych pożyczek dla Kupców. – Pokręciła ze smutkiem głową. – Możesz dać uczciwe kupieckie słowo, lecz ja, by uczciwą

pozostać, nie mogę zaświadczyć, iż wiedziałam o srebrze na twoich palcach. Mogę jedynie przyznać, że nigdy w tamtych dniach nie widziałam cię bez rękawiczek. I nigdy nie widziałam twoich dłoni.

- Słyszeliście! – obwieścił Rapskał triumfalnie. – Nie ma dowodu! Nie może być...
- Czy mogę słowo?

Przez lata w służbie króla Roztropnego Błazen musiał osiąść umiejętności niezbędne trefnisiowi. Umiał mówić szeptem w taki sposób, że słyszano go na drugim końcu przestronnej sali, nawet gdy była zatłoczona. Uczył się i opanował sztukę, dzięki której jego głos niósł się, można by sądzić, bez wysiłku. Zapanował nie tylko nad krzykiem Rapskała, lecz również nad pomrukiem tłumu. W sali zapadła pełna napięcia cisza. Nie poruszał się jak ślepiec, gdy wyszedł na środek przestrzeni, którą zyskaliśmy dzięki jego groźbie. Był aktorem wstępującym na przygotowaną dla niego scenę. Wdzięczne ruchy, ton gawędziarza, wymowne gesty dłoni. Dla mnie znów stał się Błaznem, a pani Amber została jedynie jako przebranie, element przedstawienia.

– Czy pamiętasz, najmilsza królowo, pewien letni dzień, gdy byłaś jeszcze dzieckiem, a twój świat stanął na głowie? Finanse całej twojej rodziny zależały wówczas od szczęśliwego wodowania „Niezrównanego”, żywostatku tak szalonego, że trzykrotnie wywracał się, zabijając całą załogę. I ten oszalały statek był waszą jedyną nadzieją. W jego ratunek, w jego odbudowę rodzina Vestritów zainwestowała wszystkie swoje zasoby.

Zyskał całkowitą uwagę słuchaczy, w tym także moją. Wciągnęła mnie jego opowieść, tak samo jak innych.

– Twoja rodzina, pani, ufała, że „Niezrównany” zdoła odnaleźć i sprowadzić twojego ojca i brata, dawno zaginionych. Że zdołacie odzyskać „Werwę”, wasz rodzinny żywostatek, plotka bowiem głosiła, że został on przejęty przez piratów. I to nie byle jakich, lecz osławionego kapitana Kennita! Stałaś na pokładzie szalonego statku, w przerabianej sukni, z parasolem z poprzedniego roku w dłoni, lecz z dzielną miną. Gdy wszyscy zeszli zwiedzać statek, ty zostałaś na pokładzie, a ja przy tobie, na polecenie twojej ciotki, Althei.

– Pamiętam tamten dzień – przyznała królowa. – Wtedy po raz pierwszy rozmawiałyśmy swobodnie. Tak... Mówiłyśmy o przyszłości. O tym, co może dla mnie szykować. Powiedziałaś, że nigdy nie zadowolę się przeciętnością, a na to, czego chcę, muszę zasłużyć. Jak to ujęłaś...?

Pani Amber uśmiechnęła się zadowolona, że władczyni zapamiętała rozmowę z lat dziecińczych.

- To, co powiedziałam wtedy, jest równie prawdziwe dzisiaj. „ Jutro to wynik

twojej przeszłości. Nic więcej. Ale i nie mniej”.

Uśmiech Malty zajaśniał niczym słońce.

– Przestrzegłaś mnie także, iż czasem ludzie woleliby, by przyszłość nie odpłacała im się zbyt gorliwie.

– Rzeczywiście.

Królowa wystąpiła naprzód, bezwiednie podejmując udział w widowisku. Zajęła miejsce na scenie pani Amber.

– A potem – podjęła ze ściągniętymi brwiami, jakby przemawiała w proroczym śnie – „Niezrównany” odezwał się do mnie szeptem. I poczułam... Och, wtedy tego nie wiedziałam, nie mogłam wiedzieć... Tintaglia wdarła się w moje myśli. Dławiła mnie, zmuszając do współdzielenia odosobnienia w grobowcu. To było straszne. Straciłam przytomność. Zostałam zamknięta w pułapce razem ze smoczą, mogłam już nigdy nie odnaleźć drogi powrotnej do własnego ciała...

– Pochwyciłam cię wtedy – rzekła pani Amber. – I dotknęłam. Dotknęłam twojego karku powleczonymi Mocą palcami. Pociągniętymi srebrem, jakbyście to wy ujęli. Właśnie dzięki tej magii sprowadziłam cię z powrotem do twojej cielesnej powłoki. Ale, chcąc, nie chcąc, zostawiłam na tobie ślad. Smuzkę więzi, która łączy nas po dziś dzień.

– Jak to? – zdumiała się królowa.

– Taka jest prawda! – zaświadczył znienacka król. – Masz taki ślad na karku, najdroższa! – Z jego piersi wydobył się radosny śmiech zrodzony z ulgi. – Widziałem go jeszcze wówczas, gdy włosy miałaś czarne jak skrzydło kruka, zanim Tintaglia zmieniła je w złoto. To szarawe owale, jak poszarzałe z czasem srebrzyste odciski palców.

Królowa bezwiednie sięgnęła do karku, gdzie opadała fala pysznych, złotych, a nie blond włosów.

– Mam takie miejsce, zawsze tkliwe, jak siniec, który nie znika... – Szybkim ruchem uniosła kaskadę ciężkich loków na czubek głowy. – Chodźcie i zobaczcie, przekonajcie się, czy prawdą jest to, co mówią mój mążonek oraz pani Amber.

Podszedłem i ja. Niepewnie, ciągle wsparty na Strzyku. By zobaczyć takie same ślady, jakie swego czasu miałem na nadgarstku. Trzy poszarzałe owale, ślad posrebrzonych palców Błazna. Zobaczyłem.

Gdy nadeszła kolej Thymary, kobieta przyjrzała się im skonsternowana.

– Że też cię nie zabiły... – odezwała się przyciszonym głosem.

Sądziłem, że tak zakończą się kłopoty pani Amber, lecz generał przyglądał się śladom dłużej niż inni, po czym, odwróciwszy się od królowej, zapytał:

– Cóż to za różnica? Nie ma znaczenia, czy srebro zostało ukradzione wczoraj,

czy przed kilkoma dekadami. Magia ze studni jest własnością smoków. Ta kobieta musi zostać ukarana.

Wyprostowałem się i napiąłem mięśnie brzucha. Wziąłem głębszy wdech, by mnie było dobrze słycać. Miałem nadzieję, że nie zwymiotuję.

– Magia na palcach pani Amber nie pochodzi ze studni – oznajmiłem, pilnując, by mi nie zadrżał głos. – Jest z rąk samego króla Szczerego, który pokrył je Mocą, by ukończyć wielkie dzieło nasączone magią. A on zaczerpnął ją z rzeki Mocy, która płynie z nurtem wody. To nie jest smocze srebro. To jest magia z rzeki Mocy.

– A gdzie ta rzeka? – zapytał Rapskał głosem tak bezbrzeżnie pełnym łaknienia, że aż mnie to zastanowiło.

– Nie wiem – odparłem zgodnie z prawdą. – Widziałem ją tylko raz, we śnie zrodzonym z Mocy. Mój król nigdy mi nie zezwolił, bym mu tam towarzyszył, żebym nie uległ pokusie i cały się w niej nie zanurzył.

– Pokusie? – powtórzyła zdziwiona Thymara. – Mam zaszczyt korzystać ze smoczego srebra, by przeprowadzać konieczne prace w mieście, i nie czuję najmniejszej pokusy, by się w nim zanurzać. Szczerze mówiąc, ja się go boję.

– To dlatego że nie masz go we krwi – oznajmił Błazen – jak niektórzy w rodzie Przezornych. Jak księżę Bastard Rycerski, urodzony z talentem do władania Mocą, królewską magią płynącą w jego żyłach, dzięki której kształtował wasze dzieci, jak niektórzy kształtują kamień.

Oszłupieli.

– Jak to możliwe? – zdumiał się w końcu jeden z Najstarszych wyposażony w skrzydła.

– Magia, którą mam na palcach – odezwała się pani Amber głośniej – jest taka sama jak ta, którą przypadkiem obdarzył mnie król Szczery. Należy do mnie, nie została skradziona, podobnie jak księżę nie ukradł tej, która jest złączona z jego krwią, i którą chętnie pozwoliliście mu obdzielać swoje dzieci. Podobnie jak ta, która jest między wami, która zmienia i was i wasze potomstwo. Jak ją nazywacie? Naznaczeniem przez Deszczowe Ostępy? Zmianą od smoków? Jeśli srebro na moich palcach skradziono, to każdy, kto został tu dziś uzdrowiony, brał udział w tej kradzieży.

– To żadne usprawiedliwienie – zaprotestował Rapskał.

– Dość tego – zdecydował król.

Rapskał płonął z gniewu, lecz milczał.

– Zachowaliśmy się nikkzemnie – podjął Reyn. – Obraziliśmy gości i pozbawiliśmy ich sił. Żądaliśmy od księcia zbyt wiele, zamiast dziękować za to, czego nam użyczył z ochotą. Spójrzcie, jaki jest blady, on drży! Goście moi

najmilsi, proszę, wróćcie do swoich pokoi. Pozwólcie, że wraz z najszczerzszymi przeprosinami dostarczymy wam odżywczy posiłek i zadbamy o waszą wygodę. A przede wszystkim zechciejcie przyjąć nasze podziękowania i niewysłowioną wdzięczność.

Ruszył naprzód, gestem nakazał Niestrudzonemu odsunąć się na bok i z zadziwiającą siłą uchwycił mnie za przedramię. Trochę mnie to zawstydziło, lecz i tak byłem wdzięczny za pomoc. Królowa odważnie wzięła panią Amber pod rękę. Raz udało mi się zerknąć do tyłu, gdy ona i Skierka poprowadziły ją za nami, a Niestrudzony nieśpiesznie zamknął orszak. Oglądał się stale za siebie, jakby w obawie, że niebezpieczeństwo wciąż podąża naszym śladem, jednak w końcu drzwi zamknęły się za nami bez dalszych incydentów. Poszliśmy korytarzem wzdłuż rzędów zaciekawionych, wykluczonych z audiencji. Potem usłyszałem, jak ponownie otwarto drzwi za naszymi plecami i strumień rozmów wytoczył się zza nich gromkim rykiem. Droga ciągnęła się w nieskończoność. Gdy dotarliśmy do schodów, tańczyły mi przed oczyma. Nie miałem pojęcia, jak je pokonać, ale wiedziałem, że muszę, nie miałem wyjścia.

I rzeczywiście. Krok za krokiem, powoli, stawiałem stopę przed stopą, aż dotarliśmy na próg mojego pokoju.

– Dziękuję – udało mi się wykrztusić.

– Ty mi, książę! – Reyn zaśmiał się. – Zasłużyłem na obelgi, nie podziękowania.

– Nie ty, królu.

– Zostawię was. – Razem z królową przystanął w progu, gdy wchodziłem do pokoju.

W chwili gdy usłyszałem, jak Niestrudzony zamyka drzwi, spłynęła na mnie ulga i ugięły się pode mną nogi. Strzyk objął mnie za ramiona i podprowadził do stołu. Dla utrzymania równowagi chwyciłem go za rękę.

To był błąd. Młody człowiek krzyknął i opadł na kolana. A ja w tej samej chwili poczułem, jak Moc wystrzeliła ze mnie z szybkością atakującego węża. Strzyk przycisnął dłonie do rany po mieczu najemnika z Krainy Miedzi. Była zablizniona, wyraźnie zagojona, lecz za sprawą niespodziewanego, krótkiego kontaktu przez Moc pojąłem, że ciało mojego towarzysza wciąż jeszcze zdrowieje, i to z niemałym trudem. Jedno z żeber zrosło się nierówno, rana w szczęce ciągle powodowała bolesny stan zapalny. Nie ma sprawy. Już wszystko naprawione i uleczone, jeśli można tak szybką i gwałtowną ingerencję nazwać leczeniem. Opadłem beztrąsko na mojego bezwiednego pacjenta.

Strzyk jęknął, z trudem łapiąc oddech. Chciałem stoczyć się z niego, lecz nie miałem dość siły. Usłyszałem Niestrudzonego:

– Och, panie, zaraz ci pomogę!

– Nie rusz... – zacząłem.

Ale on już zdążył schylić się i złapać mnie za rękę. Krzyknął bardziej przenikliwie niż poprzednik, to był głos bardzo młodego mężczyzny, do którego powrócił czas chłopięctwa. Upadł na bok i dwa razy jęknął z bólu, nim nad sobą zapanował. Dopiero wtedy udało mi się odtoczyć od nich obu. Strzyk leżał bez ruchu.

– Co się stało? – zapytała pani Amber głosem pełnym napięcia, na krawędzi hysterii. – Kto nas napadł? Bastardzie? Gdzie jesteś?

– Tu jestem! Nikt nas nie napadł. Tylko Moc... Dotknąłem Strzyka. I Niestrudzonego też. – Tyle zdołałem wykrztusić.

– Że co?

– Książę zrobił... coś z moim barkiem – odezwał się Niestrudzony zduszonym głosem. – Rana znowu krwawi.

Wiedziałem, że tak będzie. Musiała krwawić. Niedługo przestanie. Nie znalazłem siły, by wdać się w tłumaczenia. Leżałem i patrzyłem na odległy sufit. Udawał niebo. Zgrabnie oddane puszyste obłoczki sunęły przez błękitne przestworza. Dźwignąłem głowę, zmusiłem głos do uformowania słów.

– Krwi tam niewiele – powiedziałem z trudem. – W ranie ciągle był kawałek tkaniny. Gnił i powodował ropienie. Ciało musiało go usunąć, wyszedł razem z ropą. Teraz już po wszystkim, rana się na powrót zamknęła, jesteś zdrowy.

Wygłosiwszy tę mowę, ległem bezwładnie na wznak. Piękna komnata wirowała mi przed oczyma. Jeśli je zamknąłem, przyspieszała. Las na ścianach uległ rozkołysaniu. Usłyszałem, że Strzyk przetacza się na brzuch, po czym wstaje. Przykucnął obok Niestrudzonego.

– Pokaż – nakazał łagodnie.

– Swoje rany też obejrzyj – poleciłem głosem bez wyrazu. Przeniósłem spojrzenie odrobinę w górę, w samą porę, by dostrzec, jak Skierka szykuje się, by mi pomóc wstać. – Nie! – krzyknąłem. – Nie dotykaj mnie. Nie panuję nad Mocą.

– Ja mu pomogę – powiedziała cicho pani Amber.

Wystarczyły jej dwa niepewne kroki, by stanąć przy moim boku. Sztywno wetknąłem dłonie pod kamizelę.

– Nie dotykaj. Byle nie ty.

Kucnęła przy mnie z kobiecym wdziękiem, lecz gdy przysiadła na piętach, nie zostało w niej nic z pani Amber, zastąpił ją Błazen.

– Bastardzie – odezwał się ze smutkiem w głosie – Czy obawiasz się że zaczerpnę od ciebie Moc uzdrawiania, której nie chcesz mi dać?

Wirujący pokój przyprawiał mnie o mdłości, nie miałem siły czegokolwiek

ukrywać przed przyjacielem.

– Obawiam się, że jeżeli mnie dotkniesz, Moc rozerwie mnie tak, jak miecz rozcina ciało. Jeśli to możliwe, zwróci ci wzrok. Niezależnie od ceny, jaką będę musiał za to zapłacić. A uwierz mi, tą ceną będzie dla mnie utrata wzroku.

W jego twarzy zaszła wstrząsająca zmiana. Choć zawsze był blady, teraz wyglądał jak wykuty z lodu. Silnie napięta skóra uwypuklała kości policzkowe i szczęki. Blizny znaczyły się na niej niczym ślady pęknięć na porcelanie. Starłem się skupić na nim wzrok, jednak odnosiłem wrażenie, że kołysze się razem z pokojem. Miałem mdłości, byłem nieprawdopodobnie osłabiony i nie chciałem w tej chwili ujawniać mu żadnych sekretów, lecz dłużej zwlekać nie mogłem.

– Błźnie, jesteście ze sobą zbyt blisko. Za każde cierpienie, od którego uwolniłem twoje ciało, zapłaciłem własnym. Nie tak nieznośnym jak twoje, ale jednak dotkliwym. Gdy zagoiłem rany, które zadałem ci w brzuch, następnego dnia sam je poczułem. Ropnie, które zamknąłem na twoich plecach, pojawiły się na moich.

– Widziałem je! – zawołał Niestrudzony. – Myślałem, że zostałeś, panie, napadnięty. Że ktoś cię dźgał nożem w plecy.

Nie skomentowałem jego słów.

– Gdy nastawiłem ci kości wokół oka, dzień później moje było spuchnięte i zasinałe. Błźnie, jeżeli mnie dotkniesz...

– Za nic w świecie! – Zerwał się na równe nogi i odstał do tyłu. – Wyjdźcie! – rozkazał. – Wszyscy troje. Teraz. Muszę porozmawiać z Bastardem na osobności. Nie, Skierko, dziękuję, poradzę sobie. Wyjdź, proszę. Ty też. Wyjdźcie teraz.

Wyszli, jednak niezbyt szybko. Właściwie zwlekali i wciąż się oglądali. Skierka wzięła za rękę Niestrudzonego i gdy oboje spojrzeli przez ramię, wyglądali jak przygnębione dzieci. Strzyk zamykał ten niewielki orszak, a minę miał jak typowy członek rodu Przezornych, patrzył dokładnie tak, jak miał w zwyczaju jego ojciec, nie sposób było żywić jakichkolwiek wątpliwości co do jego pochodzenia.

– Idziemy do mnie – oznajmił pozostałej dwójce, zamykając drzwi od zewnątrz.

Wiedziałem, że zatroszczy się o ich bezpieczeństwo. Mimo wszystko obok tego przekonania kiełkowała we mnie nadzieja, że nie zaistnieje taka konieczność, nie będzie żadnego zagrożenia... Równocześnie jednak obawiałem się, że generał Rapskał jeszcze z nami nie skończył.

– Mów – odezwał się Błazen głosem bez wyrazu. – Słucham.

Dźwignąłem się z podłogi, a było to znacznie trudniejsze, niż podejrzewałem. Musiałem przetoczyć się na brzuch, podciągnąć pod siebie kolana, złapać równowagę na czworakach i dopiero stanąć na nogach, a na koniec jeszcze wyprostować

plecy. Ścisnąłem krawędź stołu i korzystając z tej pomocy, przemieściłem się do najbliższego krzesła. Niezamierzone leczenie, najpierw Strzyka, potem Niestrudzonego, pozbawiło mnie resztek sił. Usiadłem, wciągnąłem powietrze. Z najwyższym trudem trzymałem głowę prosto.

– Nie potrafię wyjaśnić czegoś, czego nie rozumiem. Nigdy wcześniej się z czymś podobnym nie spotkałem, przy żadnym uzdrawianiu Mocą. To zjawisko dotyczy tylko ciebie i mnie. Każda rana, od jakiej cię uwalniam, przechodzi na moje ciało.

Stał z rękoma założonymi na piersi. Miał własną twarz, więc pomalowane usta i uróżowione policzki pani Amber wyglądały cudacznie. Wwiercał się we mnie spojrzeniem.

– Nie, nie, nie. Wytlumacz mi, dlaczego nie zdradziłeś się przede mną słowem?! Dlaczego nie powiedziałeś mi prawdy? Coś ty sobie wyobrażał?! Że będę oczekiwał przywrócenia wzroku w zamian za twoją zdolność widzenia?

– Ja myślę... Nie! – Oparłem łokcie na blacie, głowę złożyłem w dłoniach.

Chyba nigdy w życiu nie byłem tak wyczerpany. Tępe pulsowanie bólu w skroniach odzwierciedlało rytm serca. Wiedziałem, że muszę odzyskać siły, a tymczasem nie miałem ich nawet na to, by siedzieć bez ruchu. Marzyłem jedynie o tym, by zsunąć się na podłogę, zamknąć oczy i zasnąć.

– Tak bardzo chcesz odzyskać wzrok... – podjąłem. – Nie chciałem ci odbierać nadziei. Planowałem zaczekać, aż nabierzesz sił, a wtedy, za twoim pozwoleniem, mógłby cię leczyć krąg Mocy. Bałem się, że jeśli powiem ci prawdę, stracisz nadzieję. – Ostatnie słowa, kanciaste, o ostrych krawędziach, ledwo przepchnąłem przez usta. – I jeszcze jednego się bałem: że uznasz mnie za egoistę, skoro nie chcę cię wyleczyć.

Przedramiona osunęły mi się na blat, bezwiednie złożyłem na nich głowę.

Błazen coś powiedział.

– Nie słyszałem.

– I dobrze – stwierdził cicho. Po czym przyznał: – Nazwałem cię głupkiem.

– Aha.

Oczy mi się zamykały.

– Czy moje rany – spytał z wahaniem – zagoiły się na tobie?

– Tak... jakby... Powoli. – Na plecach wciąż miałem różowe ślady w miejscach, gdzie jemu poznikały wrzody. – Tak mi się zdaje. Sam wiesz, co się dzieje z moim ciałem od czasu, gdy leczył mnie krąg Mocy. Starość obejmuje mnie niezwykle wolno, a wszelkie rany goją się najdalej przez noc, pozbawiając mnie sił. Te od ciebie też się zasklepiają. Od chwili gdy zorientowałem się w sytuacji, byłem

ostrożniejszy. Pracując nad kośćmi twojego oczodołu, wiedziałem, co robię. – Zamilkłem. Musiałem teraz przedstawić mu cyniczną propozycję. Nie chciałem, lecz w imię przyjaźni, wobec przyjaźni takiej jak nasza, nie widziałem innego wyjścia. – Mógłbym spróbować wyleczyć ci oczy. Przywrócić ci wzrok, tracąc własny. Zapewne po jakimś czasie bym go odzyskał. Tylko że nie jesteśmy w najwłaściwszym miejscu na taką próbę. Może w Mieście Wolnego Handlu, gdy już odeślemy innych do domu, wynajmiemy gdzieś pokój i wtedy spróbujemy...

– Nie. – Ton wykluczał wszelką dyskusję. – Co za głupoty.

Długo milczał, więc sen zaczął brać górę, sącząc odrętwienie w kolejne członki. Obezwładniający nakaz ciała nieznoszący sprzeciwu.

– Bastardzie? Bastardzie. Popatrz na mnie. Co widzisz?

Siłą rozwarłem powieki. Wydawało mi się, że wiem, co chce usłyszeć.

– Widzę przyjaciela. Najserdeczniejszego, najdroższego. Niezależnie od przebrania.

– Widzisz mnie wyraźnie?

Jakaś dziwna nuta w jego głosie kazała mi unieść głowę. Zamrugałem, wyganiając z oczu mgłę, spojrzałem przytomniej, aż po jakimś czasie zobaczyłem go całkiem normalnie.

– Tak.

Wypuścił powietrze, a ja dopiero wtedy zorientowałem się, że wstrzymywał oddech.

– To dobrze. Bo gdy cię dotknąłem, tam w sali, poczułem, że coś się dzieje, coś więcej, niż oczekiwałem. Sięgnąłem ku tobie, żeby cię wezwać z powrotem... bałem się o ciebie, znikalesz w strumieniu Mocy. Tymczasem gdy cię dotknąłem, odniosłem wrażenie, jakbym nie tyle poczuł kogoś innego, ile na przykład złożył ręce. Jak gdyby twoja krew nagle popłynęła moimi żyłami. Bastardzie... Widzę zarys twojej postaci na krześle. Obawiam się, że jednak coś od ciebie zaczerpnąłem.

– To dobrze. – Zamknąłem oczy. – Cieszę się. – Nawet na zaskoczenie nie miałem już sił. Ani na strach. Przypomniał mi się tamten dawny dzień, sprzed długiego czasu, gdy zawróciłem Błazna spoza bram śmierci i pchnąłem na nowo w jego ciało. W tamtej chwili, gdy opuściłem powłokę, którą dla niego przygotowałem, gdy minęliśmy się, każdy w drodze do siebie, czułem się podobnie. Miałem świadomość zjednoczenia. Zespolenia. Spójności. Pamiętałem to doskonale, tylko byłem zbyt znużony, by cokolwiek wyrazić słowami.

Opuściłem głowę na blat i zasnąłem.



Płynąłem. Wcześniej stanowiłem część czegoś znacznie większego, lecz teraz byłem osobno. Oderwany od wielkiego zamiaru, który wykorzystał mnie jako połączenie. Bezżyteczny. Znowu. Głosy niesione wiatrem w oddali.

– Kiedyś miałem przez niego koszmary. Raz nawet zmoczyłem się w łóżko.

– Jak to? – Chłopięcy śmiech, niegłośny. – Dlaczego?

– Przez nasze pierwsze spotkanie. Wtedy byłem jeszcze dzieckiem. Otrzymałem zadanie, z pozoru całkiem niewinne. Miałem zostawić upominek dla dziecka. – Odchrząknął. – Przyłapał mnie w sypialni Pszczoły. Zapędził w róg, jak szczura. Domyślił się, że tam przyjdę, chociaż jakim sposobem, do dziś nie zgadłem. Spadł na mnie jak grom z jasnego nieba, przyłożył mi nóż do gardła.

Cisza bez najmniejszego szmeru.

– Co potem?

– Kazał mi się rozebrać do rosołu. Teraz wiem, że chciał mnie rozbroić. Zabrał mi wszystko, co miałem przy sobie: nożyki, truciznę, wosk do kopiowania kluczy. Nie zostawił nic, ani jednej z rzeczy, które stanowiły dla mnie powód do dumy, całe wyposażenie niezbędne w fachu, do którego przygotowywał mnie ojciec. Zabrał co do sztuki. Stałem goły jak noworodek, trząsałem się, a on patrzył na mnie ciężkim wzrokiem. Zastanawiał się, co ze mną zrobić.

– Myślałeś, panie, że cię zabije? Tom Borsuczowłoso?

– Wiedziałem, kim jest naprawdę. Pani Różyczka mi powiedziała. Ostrzegła mnie także, iż ten człowiek jest pod wieloma względami znacznie groźniejszy, niż mógłbym podejrzewać. Ma Rozumienie. A do tego... niepospolite gusta. Tak w każdym razie niosła plotka.

– Nie rozumiem.

Pauza.

– Podobno chłopców lubi tak samo jak kobiety.

Martwa cisza. A potem chłopięcy śmiech.

– Eee tam! Nic z tych rzeczy. Dla niego istniała tylko jedna, jedyna. Pani Sikorka. My to sobie nawet żartowaliśmy ze służbą w Białym Gaju – zaśmiał się znowu, tym razem mniej wesoło – kiedy pani jeszcze żyła. Pokojówki gadały, chichocząc: „Zawsze trzeba do sypialni państwa pukać dwa razy. Potem poczekać i znowu zapukać. Nigdy nie wchodzić bez zaproszenia, bo nie wiadomo, co się tam zastanie”. Mężczyźni z majątku byli z niego dumni. „Ogier z naszego pana nie od parady! Niemłody, a jurny!”, mówili. W pracowni. W ogrodzie. W sadzie...

W sadzie. Letni dzień, jej synowie rozjechali się szukać szczęścia w świecie. Spacerowaliśmy między drzewami, oglądaliśmy dojrzewające jabłka, rozmawialiśmy o zbiorach. Sikorka, jej dłonie słodkie od zbieranych kwiatów. Przystanąłem, by wsunąć jej gałązkę gipsówki we włosy. Obróciła ku mnie uśmiechniętą twarz. Długi pocałunek miał ciąg dalszy...

– Gdy w majątku zjawiała się panna Szkoda, jedna z nowych pokojówek powiedziała, że pan znalazł sobie utrzymankę. Wiem od naszej kucharki. I Gałka Muszkatołowa od razu powiedziała tej nowej: „Na pewno nie. Dla niego zawsze istniała tylko jedna, tylko pani Sikorka. Innych kobiet nasz pan w ogóle nie widzi”. A potem powtórzyła Birbantowi, co usłyszała od dziewczyny. Ochmistrz wezwał ją do siebie. „Nasz pan, Tom Borsuczowłoso, dzierzawca, nie jest bałamutnikiem. A w Białym Gaju nie lubimy plotek”. I kazał jej pakować manatki. Tyle nam powtórzyła kucharka.

Sikorka pachniała pełnią lata. Kwiaty rozsypały się na ziemi, gdy ją pociągnąłem do siebie. Wysoka trawa zasłoniła nas zwiewnym przepierzeniem. Precz z ubraniami. Oporna klamra od pasa. Sikorka usiadła na mnie okrakiem, chwyciła mnie za nadgarstki, oparła się mocno na dłoniach, przygwoździła mnie do ziemi. Pochyliła się, piersi uwolnione od bluzki, przycisnęła usta do moich warg. Słońce ogrzewało jej nagą skórę pod moim dotykiem. Sikorka. Sikorka.

– A teraz? Nadal się go boisz, panie? – spytał chłopak.

Mężczyzna nie odpowiedział od razu.

– Jest groźny. Nie daj się zwieść. Bastard jest człowiekiem niebezpiecznym. Ale przecież nie jestem tutaj dlatego, że słusznie mam się przed nim na baczności. Spełniam prośbę ojca. Poleciał mi sprawować nad nim pieczę. Bronić go przed nim samym. Sprowadzić do domu, gdy już będzie po wszystkim. Jeśli zdołam.

– To nie będzie łatwe – stwierdził z ociąganiem chłopak. – Słyszałem rozmowę Naparstnicy i pana Rebusa. Po tamtej bitwie w lesie. Powiedziała, że pan Bastard nie ma już ochoty żyć. Odkąd stracił żonę, a potem dziecko, szuka śmierci.

– Masz rację – przyznał młody mężczyzna z westchnieniem. – To nie będzie łatwe.



Śniłem. Nie był to sen przyjemny. Chociaż nie byłem muchą, zostałem schwytyany w sieć. W sieć szczególną i wyjątkową, nie z kleistych nici, lecz z rynien czy bruzd, którymi musiałem podążać, niczym po głębokich śladach, wyciętych

w niedostępnym, spowitym mgłą lesie. Szedłem więc, bez ochoty, lecz niezdolny do niczego innego. Nie widziałem, dokąd prowadzi szlak, jednak innego nie było. Raz się obejrzałem – za mną go nie było. Musiałem iść przed siebie.

Przemówiła do mnie.

„Wtrąciłeś się w moje sprawy. Zdumiewasz mnie, człowieku. Czy brak ci rozumu, że prowokujesz smoka?”

Smoki nie dbają o konwenanse. Nie mają zwyczaju się przedstawiać.

Siny tuman rozwiął się z wolna, a ja stanąłem w miejscu, gdzie z soczystej murawy wyzierały krągłe szare kamienie porośnięte mchem. Wiatr wiał, jakby nie istniał dla niego początek i nie zamierzał nigdy ucichnąć. Byłem sam. Starąłem się zachowywać cicho i nie zwracać na siebie uwagi. Jej myśli jednak mnie odnalazły.

„Do mnie należało kształtowanie dziecka. Ty nie miałeś prawa”.

Czyli zachowanie ciszy nie pomogło. Pilnowałem, by myśli utrzymały spokój, lecz dręczyło mnie pragnienie, by Pokrzywa znalazła się ze mną w tym sennym krajobrazie. Ona przetrwała atak Tintaglii, na dodatek wtedy była jeszcze niewprawiona w korzystaniu z Mocy. Sięgnąłem ku córce, jednak smok mnie zablokował z łatwością, z jaką chłopiec zamyka w twardych dłoniach schwytaną ząbę. Smoczyca miała nade mną władzę i byłem sam. Ukryłem strach przed nią głęboko w piersi.

Nie wiedziałem, która się do mnie odezwała, lecz wystarczyło mi rozumu, by nie pytać. Smoki strzegą swoich imion, by nikt nie wywierał na nie wpływu. Stwierdzenie „to tylko sen” w najmniejszym stopniu nie oddaje tego, co taka istota może zrobić z umysłem śpiącego człowieka. Musiałem się obudzić. Niestety przyszpiliła mnie, tak jak jastrzęb unieruchamia szamoczącego się zająca. Czułem pod plecami kamienisty grunt, lodowaty wiatr porywał ciepło mojego ciała. A mimo to wciąż jej nie widziałem. Może trafię do niej logiką?

„Nie zamierzałem się wtrącać. Zaprowadziłem niewielkie zmiany, które pozwoliły dziecku żyć”.

„Ono do mnie należy”.

– Wolisz dziecko żywe czy martwe?

„Ono jest moje. Nie twoje”.

Logika trzylatka. Nacisk na moją pierś spotęźniał, nade mną zaczął wyrastać na wpół przejrzysty kształt. Lśniła srebrem i błękitem. Zorientowałem się, o którym dziecku mowa, ponieważ rozpoznałem wzory, jakie dzieliła z jego matką. Tą kobietą, która mówiła, że pracuje przy smoczym srebrze. Thymarą. Najstarszą, wyposażoną w pazury i skrzydła. Smoczyca twierdziła, że nieustraszona dziewczynka, która

niewiele miała w sobie z człowieka, jest jej własnością. Ta istotka, co bez wahania dokonała wyboru, wolała smocze łapy niż ludzkie nogi, by skakać wyżej i lepiej trzymać się pnia w czasie wspinania. Dziełne, mądre dziecko.

„Właśnie”.

Wyczułem niezbyt skorą dumę. Nie zamierzałem dzielić się swoją opinią na temat dziecka, lecz może komplement pod jego adresem da mi odrobinę ulgi? Nacisk smoczej łapy na moją pierś przekroczył już granicę bólu, żebra wygięły mi się do granic możliwości. Jeżeli zgruchocze mi kości tak, że ich fragmenty podziurawią płuca, to umrę wtedy czy się obudzę? Świadomość, że śpię, nie zmniejszała cierpienia ani pewności nadciągającej tragedii.

„»Kto umrze we śnie, budzi się szalony«. Tak mówi dawne przysłowie Najstarszych. Twoje więzi z tym światem są mocne, człowieczku. Jest w tobie coś... A przecież nie jesteś tknięty przez smoka, którego bym znała... Jak to możliwe?”.

„Nie wiem”.

„Co to za ślad w tobie widzę? Smoczy, a jednak nie smoczy? Po co zjawiałeś się w mieście smoków? Co sprowadziło cię do Kelsingry?”.

„Zemsta” – tchnąłem resztką oddechu.

Moje żebra zaczęły się poddawać. Ból był zdumiewający. Co tu dużo mówić, gdybym spał, powinien mnie dawno obudzić. Zatem był prawdziwy. Nie wiem jakim sposobem, ale był rzeczywisty. A w takim razie miałem nóż u pasa i nie zamierzałem umrzeć jak byle zając w szponach drapieżnika. Prawą rękę unieruchamiał mi smoczy pazur, jednak lewą miałem wolną. Sięgnąłem, pomacałem i znalazłem. Wyciągnąłem, zamachnąłem się i z całej pozostałej mi jeszcze siły dźgnąłem, jedynie po to, by ostrze ze szczęką odbiło się od grubych łusek. Metal ześlizgnął się z nich jak z kamienia. A ona nawet nie drgnęła.

„Chcesz zemścić się na smokach? Za co?”.

Moja ręka osunęła się bezwładnie. Nie czułem palców, rozluźniłem chwyt na rękojeści. Ból i brak powietrza pozbawiały mnie woli. Nie użyłem słów, bo nie zostało mi na nie oddechu. Posłałem jej myśli.

„Nie na smokach. Na Sługach. Jestem w drodze do Clerres, by powybić ich wszystkich. Skrzywdzili mojego przyjaciela i odebrali mi dziecko”.

„Clerres?”.

Lęk. Smoki odczuwają lęk? Zdumiewające. A jeszcze bardziej, ponieważ najwyraźniej był to lęk przed nieznanym.

„Miasto kości i białych kamieni, daleko stąd, na południe. Na wyspie. Siedziba bladych ludzi, którzy sądzą, że znają każdą możliwą przyszłość i potrafią wybrać najlepszą”.

„Słudzy!”. – Zaczęła blaknąć w moim śnie. – „Pamiętam... Coś sobie przypominam... Coś bardzo złego...”.

Raptem stałem się dla niej nieistotny. A gdy odwróciła ode mnie uwagę, odetchnąłem znów i popłynąłem w ciemnoszarym świecie, albo martwy, albo samotny.

Nie.

Nie chciałem dalej spać i pozostać od niej zależnym. Brnąłem w stronę przebudzenia, ze wszystkich sił starałem się uświadomić sobie, gdzie rzeczywiście jest moje ciało.

Otworzyłem oczy w środku nocy, zamrugałem lepкими powiekami. Lekki wietrzyk niósł się po wzgórzach. Widziałem poruszane nim drzewa. W oddali dostrzegłem zwieńczone śniegiem góry. Księżyc był wielki, krągły, koloru starych kości. Będzie zwierzyzna. Dlaczego spałem tak głęboko? Byłem niezbyt przytomny, jakbym zamiast rozumu miał w głowie starą wełnę. Uniosłem twarz, powąchałem świat.

Ani wiatru, ani lasu, tylko ja. Pot. Woń zamieszkanego pokoju. Posłanie zbyt miękkie. Spróbowałem usiąść. Ubranie obok zaszeleściło i ktoś położył silne dłonie na moich ramionach.

– Powoli. Najpierw się napij.

Noc na niebie okazała się oszustwem, nigdy tak nie polowałem.

– Nie dotykaj mojej skóry – przypomniałem Strzykowi.

Jego dłonie gdzieś zniknęły, a mi w końcu udało się usiąść. Spuściłem nogi przez krawędź łóżka. Pokój obrócił się trzykrotnie, po czym nareszcie zamarł w bezruchu.

– Weź. – Ostrożnie wetknął mi w dłonie chłodne naczynie.

Powąchałem. Woda. Wypiłem wszystko. Zabrał naczynie, przyniósł więcej. Znowu je osuszyłem.

– Na razie chyba wystarczy.

– Co się stało?

Usiadł obok, na krawędzi łóżka. Przyjrzałem się uważnie młodemu człowiekowi, szczęśliwy, że go widzę.

– Co pamiętasz? – spytał po długiej pauzie.

– Leczyłem dzieci Najstarszych.

– Dotykałeś ich. Jednego po drugim. Nie tak znowu wiele. Było ich chyba sześcioro. Każdemu pomogłeś, a z każdym kolejnym dzieckiem rósł podziw, jakim obdarzyli cię Najstarsi z Kelsingry, a ty stawałeś się coraz... dziwniejszy. Nie mam talentu do władania Mocą, jednak nawet ja odniosłem wrażenie, że znajdujesz się w oku magicznego cyklonu, który nadciągnął ku tobie, a potem porwał nas

wszystkich. Gdy skończyłeś leczyć dzieci, zaczęli się do nas przepychać dorośli. Nie tylko Najstarsi, ale także inni mieszkańcy Deszczowych Ostępów. Jeszcze mi się nie zdarzyło widzieć tak zdeformowanych ludzi. Mieli łuski, zwisające ze szczęk wyrostki, pazury albo smocze nozdrza... Ale nie piękne, jak u Najstarszych, tylko... Kojarzą mi się z chorymi drzewami. Obudziłeś w nich nadzieję. Zaczęli się do ciebie przepychać, prosić o pomoc. A ty miałeś nieobecne spojrzenie i nie odpowiadałeś. Po prostu dotykałeś ich, a oni upadali, gdy ich ciała się zmieniały. Dosłownie po chwili strasznie pobladłeś i zacząłeś się trząść, jednak nadal ich dotykałeś, a oni wciąż napierali, błagając o uleczenie. Pani Amber coś do ciebie krzyknęła i potrząsnęła tobą, jednak to nic nie dało, nadal patrzyłeś przed siebie niewidzącym wzrokiem i zmieniałeś ludzi, którzy się do ciebie przepchnęli. W pewnej chwili pani Amber ściągnęła rękawiczkę, ścisnęła twój nadgarstek i odciągnęła cię do tyłu.

Moje wspomnienia były całkiem jak popruty gobelin. Na szczęście Strzyk zamilkł, więc nieco spokojniej składałem w całość swoje poszatowane życie.

– Co teraz? Czy wszystko w porządku? – Pamiętałem jakąś przepychankę i krzyki. – Wyszliście z tego cało? Gdzie się wszyscy podziali?

– Nikt nie ucierpiał, jeśli nie liczyć paru zadrapań i siniaków. – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – A i tak tylko Skierka ma je do tej pory. Twój dotyk wyleczył i mnie, i Niestrudzonego. Nie czułem się taki zdrowy od czasu... od tamtej nocy w Koziej Twierdzy, gdy zostałem pobity.

– Przepraszam.

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Przepraszasz mnie za to, że mnie wyleczyłeś?

– Za to, że zrobiłem to zbyt gwałtownie. Bez ostrzeżenia. Moc... Nie panuję nad nią.

Przeniósł spojrzenie gdzieś w dal.

– To było dziwne uczucie. Jakby mnie ktoś zanurzył w lodowatej rzece i od razu wyciągnął, suchego jak przed kąpielą...

– Gdzie pozostali? Amber, Skierka, Niestrudzony?

Czy znaleźli się w niebezpieczeństwie? Czy w czasie, gdy spałem, coś im groziło?

– Pewnie śpią. Teraz moja zmiana przy tobie.

– Zmiana? Ile czasu spałem?

Westchnął.

– Teraz drugą noc. W zasadzie powinienem chyba powiedzieć: trzeci dzień, bo niedługo będzie świtać.

– Zdawało mi się, że zasnąłem przy stole.

– Tak było. Przenieśliśmy cię do łóżka. Bałem się o ciebie, ale pani Amber

powiedziała, że trzeba ci pozwolić się wyspać i nie należy wzywać uzdrowiciela. Chyba miała obawy, co by się stało, gdyby cię dotknął. Stale nam przypominała, żebyśmy tylko nie dotknęli twojej nieosłoniętej skóry.

Bez oporu odpowiedziałem na niezadane pytanie.

– Teraz już chyba panuję nad Mocą.

Na jakiś czas zamilkłem i znieruchomiałem, sprawdzając strumień magii. Tutaj, w starym grodzie, był bardzo silny, jednak znów odczuwałem go jako żywioł istniejący poza moim ciałem i umysłem, a nie wartki prąd płynący w moim wnętrzu. Zbadawszy barierę chroniącą umysł, stwierdziłem, że jest solidniejsza, niż oczekiwałem.

– Dałem ci sproszkowany kozłek – powiedział Strzyk.

– Pamiętam. – Popatrzyłem mu w oczy. – Zaskoczyłeś mnie. Nie spodziewałem się u ciebie takiego specyfiku.

Uciekł wzrokiem.

– Jak pamiętasz, ojciec żywił niegdyś wobec mnie określone nadzieje, wiesz, że mnie uczył. Zabrałem ze sobą w tę podróż wiele różnych drobiazgów.

Przez jakiś czas obaj milczeliśmy.

– A jak tam generał Rapskał? – spytałem. – Co w tej chwili sądzi o naszym pobycie w Kelsingrze?

Strzyk oblizwał wargi.

– Chyba nabrał szacunku, bo się boi. Pani Amber doradziła nam ostrożność. Jadamy w pokojach i rzadko wychodzimy. Żadne z nas go nie widziało, ale napisał do nas i trzy razy przysłał jednego ze swoich przybocznych, Najstarszego imieniem Kase. Ten okazywał szacunek, ale podkreślał, że generał koniecznie musi porozmawiać z tobą w cztery oczy. Odchodził z niczym, bo wciąż spałeś, jednak, tak czy inaczej, zgadzamy się, że nie powinieneś spotykać się z Rapskałem sam na sam. On jest jakiś... dziwny.

Pokiwałem głową w milczeniu, lecz w duchu uznałem, że rozmowa na osobności może faktycznie okazać się konieczna, jeśli miałbym zażegnać niebezpieczeństwo, jakie ze strony generała groziło pani Amber. Jeżeli nie da się odwieść go od planów zemsty, może po takim spotkaniu na przykład ciężko zachorować.

– Najstarsi uszanowali nasze pragnienie spokoju – ciągnął Strzyk. – Podejrzewam, że para królewska chroni nas przed ciekawością i prośbami mieszkańców miasta. Ostatnio widzimy właściwie tylko służbę, a oni wszyscy wydają się bardzo przyjaźnie do nas nastawieni. Niektórzy – dodał z pośpiechem – są w bardzo nieprzyjemny sposób zmienieni przez Deszczowe Ostępy. Obawiam się, że liczą na twoją pomoc, chociaż król wyraźnie rozkazał nie zakłócać ci spokoju. Z początku

nie chcieliśmy zostawić cię samego, by nie rozniosło się między Najstarszymi, że nikt cię nie strzeże. Potem nie mieliśmy pewności, czy nie umierasz. – Jakby przestraszony własnymi słowami nagle usiadł prościej. – Powinienem zawiadomić resztę, że się obudziłeś. Zjesz coś?

– Nie. Tak.

Nie chciałem jeść, lecz wiedziałem, że powinienem. Nie umierałem, nie byłem jednak całkiem żywy. Moje ciało upodobniło się do brudnego ubrania: zeszywniało od brudu i cuchnęło potem. Potarłem twarz. Tak, stanowczo miałem brodę. Oczy zaropiałe, język obłożony, zęby chropowate.

– Zaraz dostaniesz.

Wyszedł.

Pokój zaczynał jaśnieć, naśladując brzask. Nocny krajobraz na ścianach blaknął. Ściągnąłem strój otrzymany od Najstarszych i wszedłem do sadzawki. Gdy tylko ukląknąłem obok rynny, zaczęła z niej lecieć parująca woda.

Namaczałem się właśnie, gdy weszła pani Amber. Razem z nią pojawił się Niestrudzony, lecz szła bez jego pomocy, nie potrzebowała wskazówek chłopaka, by stanąć na brzegu.

Na podstawowe pytania odpowiedziałem, zanim padły.

– Obudziłem się, nic mnie nie boli, zaczynam odczuwać głód. Chyba panuję nad Mocą. Tak mi się zdaje, ale nie dotykaj mnie, proszę, póki nie nabiorę pewności.

– A jak się czujesz? – spytała. – Odpowiedz szczerze.

Z radością spostrzegłem, że zwiesiła na mnie spojrzenie, chociaż ja nie zauważyłem, by mi się pogorszył wzrok. Jeżeli Błazen widział chociaż odrobinę lepiej, to czy moje oczy przy tym ucierpiały? Niczego takiego nie stwierdziłem. Jak dotąd.

– Rozbudziłem się. Nadal jestem zmęczony, ale już nie śpiący.

– Długo spałeś. Obawialiśmy się o ciebie. – Wydawała się dotknięta. Jakby mój stan ją uraził.

Gorąca woda działała cuda. Odeszło napięcie w mięśniach, zaczynałem wreszcie czuć się swojsko we własnym ciele. Po raz kolejny zanurzyłem głowę i przetarłem oczy, po czym ruszyłem do brzegu. Ból wciąż jeszcze dawał mi się we znaki. Sześćdziesiąt lat to nie trzydzieści, niezależnie od wyglądu. Niestrudzony zrobił kilka kroków w bok, po ręcznik i czystą szatę.

– Jakie nastroje w mieście? – spytałem, wycierając nogi. – Czy wyrządziłem komuś krzywdę?

– Wydaje się, że nie – odpowiedziała pani Amber. – Chyba nikt nie ucierpiał. Dzieci, które uleczyłeś, są w znacznie lepszym stanie niż wcześniej. Mieszkańcy,

którym pomogłeś, przysłali pisma z podziękowaniami. Jest też, oczywiście, sporo prośb od innych. Trzy osoby zostawiły pod drzwiami listy z błaganiem o pomoc w uporządkowaniu zmian. Wszystko wskazuje na to, że przebywanie w pobliżu smoków, a nawet na terenie, gdzie żyły przez dłuższy czas, powoduje różne odstępstwa od normy, a w zasadzie schorzenia. Ci, których smoki ukształtowały celowo, są w znacznie lepszej sytuacji niż ci, co urodzili się z przeobrażeniami lub doświadczyli ich z czasem. Właśnie one często powodują śmierć dzieci, a wszystkim utrudniają i skracają życie.

– Jest już pięć listów – sprostował cicho Niestrudzony. – Gdy wchodziliśmy, leżały pod drzwiami dwa następne.

Pokręciłem głową.

– Nie ośmielę się leczyć. Mimo kozłka od Strzyka nadal czuję tuż obok wartki nurt Mocy. Nie wejść w niego ponownie.

Wystawiłem głowę z otworu w zielonej sukni od Najstarszych. Chociaż ręce miałem wciąż mokre, wetknąłem je w rękawy. Ułożyłem szatę na barkach i pozwoliłem jej dostosować się do mojej figury. Magia najstarszych? Czy w tkaninie było smocze srebro, które przypominało jej, jak została ukształtowana? Skoro Najstarsi wykorzystali czary do budowy dróg, by zawsze pamiętały, do jakiego celu zostały przeznaczone... Aby mech ani trawa nie miały do nich dostępu? Czy istniała jakaś różnica między naszą Mocą a czarami, których Najstarsi użyli do stworzenia bajecznego miasta? W jakim stopniu były do siebie podobne? Ciemny byłem jak tabaka w rogu. Całe szczęście, że Strzyk podał mi kozłek i ustrzegł w ten sposób przed dalszymi eksperymentami.

– Chcę stąd jak najszybciej wyjechać. – Nie pomyślałem, zanim wypowiedziałem te słowa. Ot, same wypadły mi z ust.

Ruszyłem przez sypialnię, a za mną szli Trud i pani Amber. W salonie był Strzyk.

– Pełna zgoda – przytaknął natychmiast. – Chociaż nie mam w sobie grama talentu do królewskiej magii, szepty miasta docierają do mnie z każdym dniem wyraźniej. Chcę znaleźć się możliwie najdalej stąd. Powinniśmy ruszyć w dalszą drogę, zanim dobra wola Najstarszych osłabnie. Generał może podburzyć przeciwko nam ludzi. Albo zaczną się niesnaski, ponieważ odmawiasz leczenia.

– Zaiste, to bardzo rozsądna decyzja – odezwała się pani Amber. – Nie możemy jednak działać pochopnie. Nawet gdyby już czekał na nas jakiś statek, zmierzający w dół rzeki, musimy opuścić miasto w spokoju, nie siejąc zamętu. Mam przed sobą długą drogę przez ziemie Najstarszych, a Smoczy Kupcy są silnie związani z Kupcami z Deszczowych Ostępów. Ci z kolei mają rodziny w Mieście Wolnego Handlu, między tamtejszymi handlarzami. Musimy dostać się rzeką aż

do Trehaugu. Najlepiej, bo najbezpieczniej, na jednym z tutejszych żywostatków. Dotrzeć przynajmniej do Miasta Wolnego Handlu i tam znaleźć statek, który przez Wyspy Pirackie zabierze nas do Jamailli. Na tej drodze przychylność opiekunów smoków zaprowadzi nas daleko. Przynajmniej do Miasta Wolnego Handlu, a może i dalej. – Umilkł. Po chwili dodał: – A musimy dotrzeć daleko za Jamaillę, nawet za Wyspy Korzenne.

– A w zasadzie poza granice wszelkich map, jakie zdarzyło mi się widzieć. – dodałem.

– Wody obce dla ciebie dla innych są domem. Znajdziemy drogę. Przed laty udało mi się dotrzeć do Księstwa Koziego. Z powrotem też trafię.

Niewielką pociechę przyniosły mi jego słowa. Męczyło mnie nawet stanie. Co ja narobiłem najlepszego...? Usiadłem na jednym z krzeseł, a ono się do mnie dostosowało.

– Zamierzałem podróżować sam, bez obciążeń. Płacić za drogę pracą. Nie planowałem wyprawy w liczonym towarzystwie, nie mam zaopatrzenia dla wszystkich.

Zagrały melodyjne kuranty i drzwi stanęły otworem. Służący wprowadził do pokoju stół na kółkach, na którym ustawiono zakryte półmiski oraz stos talerzy. Najwyraźniej dostarczono nam posiłek. Zaraz za mężczyzną wsunęła się Skierka. Była ubrana i uczesana, jednak po oczach poznałem, że ledwo co się przebudziła.

Strzyk podziękował służącemu, a reszta z nas zachowywała milczenie, dopóki za obcym nie zamknęły się drzwi. Skierka zaczęła odkrywać półmiski na tacy, Niestrudzony rozstawił talerze.

– Jest tuba z pismem, ciężka, oznaczona zabawnym herbem: kurczakiem w koronie.

– Kogut w koronie to godło rodu Khuprusów – oznajmiła pani Amber.

Dreszcz przeszedł mi po plecach.

– To nie to samo co kogucia korona?

– Nie. Chociaż możliwe, że mają wspólne korzenie.

– A co to takiego ta kogucia korona? – zapytała Skierka.

– Otwórzcie list i przeczytajcie, proszę – zbyła ją pani Amber.

Niestrudzony podał tubę dziewczynie, a ona przekazała ją Strzykowi.

– Zaadresowany do emisariuszy Królestwa Sześciu Księstw. Czyli, jak się zdaje, do nas wszystkich.

Złamał woskową pieczęć i wyciągnął ze środka papier doskonałej jakości.

– Hmm... Wieści o twoim przebudzeniu dotarły z kuchni do sali tronowej. Zostaliśmy zaproszeni na kolację, w której uczestniczyć będą opiekunowie

smoków zamieszkujący Kelsingrę. Dziś wieczór. „Jeżeli zdrowie księcia Bastarda Rycerskiego pozwoli”. – Popatrzył na mnie. – Dowiedziałem się, że opiekunowie smoków pochodzą od pierwotnego ludu Deszczowych Ostępów, który wyruszył ze smokami na poszukiwanie Kelsingry albo przynajmniej terenu nadającego się dla smoków. Niewielu ich wtedy było, wydaje się, że nie więcej niż dwudziestu. Potem, oczywiście, ściągnęli tu inni. Ludzie spragnieni lepszych warunków do życia, wyzwoleni niewolnicy, poszukiwacze szczęścia. Niektórzy spośród opiekunów znaleźli wśród nowo przybyłych żony, założyli rodziny. Ich ambasadorzy, posłani do króla Sumiennego, przedstawili się jako mieszkańcy ludnej i bogatej metropolii, ale to, co ja tutaj zobaczyłem i co usłyszałem od służby, świadczy o czymś zupełnie innym. – Zadumał się. – Udało im się powiększyć populację zaledwie na tyle, że jakoś dbają o miasto. Mieszkańcy krainy zauważyli, że, żyjąc tutaj, szybciej się przemieniają i rzadko w sposób pożądany. A dzieci tu jak na lekarstwo i, jak sami widzieliście, zwykle są naznaczone kłopotliwymi modyfikacjami.

– Doskonały raport – odezwała się Skierka, udatnie naśladowując głos Ciernia.

Niestrudzony prychnął śmiechem w stulone dłonie.

– Rzeczywiście – zgodziła się pani Amber, a Strzyk poczerwieniał.

– Dobrze cię wyszkolił – powiedziałem. – Teraz pytanie: dlaczego zapraszają nas na uroczystą kolację?

– Żeby ci podziękować, panie! – Trud wydawał się zaskoczony, że o tym nie pomyślałem.

– To będzie wstęp do negocjacji. – Pani Amber westchnęła. – Właśnie tak postępują kupcy. Wiemy, czego nam trzeba. Zapasów na drogę i transportu, możliwie najdalej na południe. Pozostaje kwestia, czego zażądamy w zamian.

Rozdział 3

W górach

Ten sen był krótki. Mężczyzna o kredowobiałej twarzy, ubrany w zielone suknie obszyte złotem, szedł po plaży. Wyżej, na trawiastej skarpie, tkwiła przyczajona groteskowa istota. Obserwowała go i on o tym wiedział, lecz nie zwracał na nią uwagi. Niósł piękne łańcuchy, które można by uznać za biżuterię, gdyby nie to, że były mocne i ciężkie. Zawiesił je na zgiętym przedramieniu. Doszedł do miejsca, gdzie piasek burzył się i dygotał. Przyjrzał mu się z uśmiechem. Z piasku zaczęły wychodzić węże. Były duże, długie, jak moja ręka. Wilgotne, skórę miały zabarwioną jaskrawo na niebiesko i czerwono i zielono i żółto. Mężczyzna założył łańcuch na łeb niebieskiego, a gdy metal stał się pętlą, podniósł gada z ziemi. Ten rzucił się i wyrywał, jednak nie mógł uciec, nawet gdy otworzył szeroko paszczę i pokazał białe i bardzo ostre kły. Błady mężczyzna złapał w sidła jeszcze jednego węża, żółtego. Potem chciał pochwycić czerwonego, ale ten się oswobodził i zygzakiem pomknął w stronę morza. „Dopadnę cię!” – krzyknął człowiek i pobiegł za nim. Dogonił go, nadepnął mu na ogon, zatrzymał niedaleko linii fal. Trzymając na uwięzi dwa schwyte węże, drugą ręką przyszykował sidła na trzeciego.

Sądził, że w chwili, gdy zwróci się ku niemu czerwony łeb, zarzuci na niego pętlę z łańcucha, lecz zwrócił się ku niemu smok, nie wąż, gdyż stał na ogonie smoka. „Nie” – odezwała się smoczyca głosem podobnym do gromu. – „To ja dopadnę ciebie”.

Ilustracja do tego snu nie jest zbyt dobra, bo czerwona farbka od ojca nie błyszczy jak wąż.

Pszczoły Przezornej „Dziennik snów”

Przez sen zmarłam, a obudziła mnie Dwalia, trącając nogą w obolały brzuch.

– A ty co znowu wyprawiasz? – Pokręciła głową. – Alario! – warknęła przez ramię. – Miałaś jej pilnować. A tu, zobacz, co się dzieje, ona usiłuje przegryźć więzy!

Alaria podbiegła niezbyt pewnym truchtem. Futrzany płaszcz zwiślał jej z ramion,

blade włosy, matowe i potargane, otaczały splątanym kłębem jej twarz, w której przykuwały uwagę zaropiałe oczy.

– Prawie nie zmrużyłam oka! Poprosiłam Reppin, żeby ją trochę popilnowała...

Dwalia obróciła się na pięcie, teraz była zwrócona do mnie plecami.

Spróbowałam usiąść. Ręce miałam lodowate i prawie całkiem pozbawione czucia. W ogóle cała byłam zeszywniała, czułam przede wszystkim siniaki i rozcięcia. Usiąść nie dałam rady. Postanowiłam wobec tego odtoczyć się od Dwalii, jednak daleko nie uciekłam. Usłyszałam ostre klaśnięcie i skowyt.

– Ty mi się tu nie tłumacz! – Dwalia odeszła.

Usiłowałam stanąć, lecz Alaria okazała się szybsza. Jednym kolaniem uklękła mi na plecach, przygniotła mnie do ziemi. Skręciłam się, żeby ją ugryźć, lecz wtedy pchnęła mnie w tył głowy i przygniotła twarz do czarnego kamienia.

– Jeszcze jeden ruch, a powybijam ci o te płyty wszystkie zęby.

Naprawdę miała nadzieję, że dam jej pretekst.

Nie dałam.

– Nie krzywdź mojego braciszka! – zawył Vindeliar.

– Och, nie krzywdź braciszka...! – powtórzyła Dwalia kpiąco. – Zamknij się wreszcie!

Ostatnie słowo wybrzmiało z warkotem, a Vindeliar zaskomlał.

Alaria naprężyła dół mojej tuniki i podręcznym nożem odcięła pas dookoła. Przez cały czas klęła pod nosem. Czułam jej wściekłość. To nie był dobry moment na bunt. Obróciła mnie brutalnie, a wtedy zobaczyłam na jej sinobiałej twarzy szkarłatny ślad po uderzeniu.

– Psiamać – rzuciła przez zęby, a ja nie wiedziałam, czy to z myślą o mnie, czy o Dwalii.

Szarpnęła moje zeszywniałe ręce w górę, pociągnęła do siebie. Przyłożyła tępe ostrze do mokrej tkaniny i zaczęła piłować. Rozsunęłam nadgarstki, jak tylko dałam radę, byle mnie nie skaleczyła.

– Teraz ci zwiążę ręce za plecami – wycedziła.

Usłyszałam kroki, ktoś szedł po liściach i kruchych gałązkach. Po chwili stanęła przy nas Reppin.

– Nie gniewaj się – rzekła cicho. – Strasznie mnie ręka boli...

– Nie ma sprawy – fuknęła Alaria tonem, świadczącym o czymś całkiem przeciwnym.

– Ona jest niesprawiedliwa i okrutna – ciągnęła Reppin. – Powinniśmy być jej doradcami, a ona traktuje nas gorzej niż służbę! I nic nie mówi, nie zdradza planów. Nie wiemy, jakie ma zamiary teraz, gdy ściągnęła nas na to straszne odludzie... Nie

tego chciała dla nas Symphe.

Alaria trochę zmiękła.

– Tam jest droga. Chyba powinniśmy nią pójść. Nie ma sensu tu tkwić.

– Może prowadzi do jakiejś wsi – powiedziała Reppin z nadzieją. – Potrzebuję uzdrowiciela – dodała ciszej. – Cała ręka mi pulsuje.

– Ruszać się tam! – zawołała Dwalia od przygasającego ogniska. – Przynieście drewna na opał. Wszyscy, do roboty!

Vindeliar podniósł na nią przepełniony boleścią wzrok. Alaria i Reppin wymienili buntownicze spojrzenia.

– Powiedziałam: wszyscy! – wrzasnęła Dwalia.

Vindeliar dźwignął się na nogi i stanął niepewny. Dwalia także wstała. W dłoni trzymała ciasno poskładany papier. Patrzyła na ten przedmiot z nieskrywaną złością. Ścisnęła go z całej siły, na pewno to właśnie on był przyczyną jej gniewu.

– To drań załgany – wycedziła. – A ja mu wierzyłam! Prilkop...! – Obróciła się i z wizgiem smagnęła Vindeliara dokumentem w twarz. – Jazda! Po drzewo, powiedziałam! Musimy tu zostać jeszcze przynajmniej jedną noc! Alaria! Reppin! Wy dwie zabierzcie Pszczołę! I pilnujcie jej. Potrzebujemy opału, dużo opału! Ty tam, wielki wojowniku! Idź, upoluj coś do jedzenia!

Kerf nawet nie drgnął. Siedział na murku okalającym plac i patrzył przed siebie. Nie wiedziałam, co tak zaprzęta jego uwagę, póki nie obniżyłam murów chroniących umysł. Wtedy zobaczyłam akrobatów odzianych w biel i czern, popisujących się przed tłumem ludzi o włosach w dziwnych kolorach. Uszy wypełniły mi się odgłosami dnia targowego. Zacisnęłam powieki i uszczelniłam mur, a gdy znów otworzyłam oczy, zobaczyłam pusty plac. Tylko tyle. Dawno temu w tym miejscu pośrodku lasu znajdowało się rojne targowisko, handlarze zjeżdżali na skrzyżowanie szlaków, by wymieniać się towarami, Najstarsi ściągali tu po zakupy i dla rozrywki.

– Chodź – warknęła Alaria.

Podniosłam się z wysiłkiem. Jeśli szłam pochylona, brzuch odrobinę mniej dawał mi się we znaki. Powlokłam się za nimi, po starych kamiennych płytach, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Między naniesionymi wiatrem gałązkami i liśćmi zobaczyłam odchody niedźwiedzia, a potem kolejną rękawiczkę. Zwolniłam. Po chwili znalazłam jeszcze jedną. Obie damskie, każda z innej pary, ta druga była miękka, żółtawa. Dalej leżało rozmiękłe płótno. Spod niego wystawało coś czerwonego, robionego na drutach. Powoli, ostrożnie, schyliłam się i pociągnęłam za to coś z czerwonej włóczki.

Szal. Mokry i cuchnący, tak samo jak czapka, ale też na pewno się przyda.

– Co tam masz? – spytała Dwalia.

Drgnęłam. Nie słyszałam, że podeszła.

– Szalik – powiedziałam, niewyraźnie, bo miałam spuchnięte wargi.

– Mnóstwo tu różnych śmieci – stwierdziła Alaria.

– Co świadczy o tym, że droga jest używana – zauważyła Reppin. Zerknęła na Dwalię. – Pewnie prowadzi do jakiejś wsi. A tam może być uzdrowiciel.

– Widziałam odchody niedźwiedzia – dorzuciłam. – Świeższy niż śmieci. – To akurat była prawda. Niedźwiedzi kał widziałam na jednym z płócien i nie był rozmyty przez deszcz.

– Ojej! – krzyknęła Alaria.

Gwałtownie puściła tkaninę, którą akurat ciągnęła za róg. Odskokczyła do tyłu.

– Co jest? – Dwalia odepchnęła ją na bok, przykucnęła i odsunęła materiał z wilgotnych kamieni. Odsłoniła niewielki biały przedmiot o cylindrycznym kształcie. Kość? – Aha! – wykrzyknęła zadowolona.

Wszyscy patrzyliśmy zafascynowani, jak odkręciła niewielką zatyczkę z jednego końca i wyciągnęła ze środka zwinięty pergamin.

– Co to? – zainteresowała się Alaria.

– Idź po drewno! – burknęła Dwalia i ze świeżo znalezionym skarbem wróciła do ogniska.

– Rusz się! – rozkazała mi Alaria.

Pospiesznie narzuciłam szal na ramiona i posłusznie ruszyłam do lasu. Aż do południa obie luriki obłamywały gałązki z postrąconych przez burzę konarów i składały w moje ramiona, bym nosiła je do obozu. Dwalia, ze ściągniętymi brwiami, siedziała przy ogniu i studiowała znaleziony zwój.

– Umrę tutaj – oznajmiła Reppin w którymś momencie.

Siedziała pod dwoma futrzanymi płaszczami, swoim i moim, a ugryzioną rękę złożyła na kolanach.

– Nie przesadzaj – burknęła Dwalia i wróciła do swojego zajęcia.

W miarę jak odchodziło światło dnia, nachylała się bliżej ognia. Od czasu, gdy ugryzłam Reppin minęły dwa dni, a my wciąż tkwiliśmy w miejscu. Dwalia zabroniła Alarii wypuszczać się dalej którąś ze starych dróg i spoliczkowała Reppin za pytanie o dalsze plany. Od czasu, gdy znalazła kościany cylinder i odkryła schowany w nim pergamin, nie robiła nic innego, tylko siedziała przy ogniu i porównywała umieszczone na nim zapiski z tym, co widniało na jej zgniecionym papierze. Marszczyła czoło i mrużyła oczy, pracowicie przenosząc wzrok z jednego na drugie.

Ja obserwowałam Reppin siedzącą po drugiej stronie ogniska. Słońce właśnie

zachodziło, wracał dojmujący chłód. Ta odrobina ciepła, którą kamienie na placu targowym wchłonęły w ciągu dnia, miała się wkrótce ulotnić. Dla Reppin zimno było zapewne jeszcze bardziej dokuczliwe niż normalnie, miała bowiem gorączkę. Przyglądałam się jej z twarzą bez wyrazu. Wiedziała swoje: umierała. To nie miało nastąpić ani szybko, ani gwałtownie, lecz było pewne. Wilk-ojciec mi to powiedział, a ja pozwoliłam, by kierował moimi zmysłami: czułam w jej pocie zakażenie.

„Następnym razem, żeby zabić szybciej, musisz znaleźć miejsce, z którego krew mocno tryska. Ale jak na pierwszy raz, spisałaś się całkiem dobrze. Mimo że tego mięsa nie da się zjeść”.

„Nie wiedziałam, że ją zabiję”.

„Nie ma czego żałować. Skoro już coś się zdarzyło, nie można tego cofnąć. Jest tylko dzień dzisiejszy. Dzisiaj musisz przeżyć. Za każdym razem, gdy będziesz miała wybór, musisz zrobić to, co pozwoli ci żyć i zachować zdrowie. Żal w niczym nie pomoże. Gdyby się ciebie nie bała, zrobiłaby ci znacznie większą krzywdę. I to nie sama. Oni są stadem, podążają za przywódcą. Ty przeraziłaś sukę, inni o tym wiedzą. Boją się tego samego, co ona”.

Dlatego też właśnie siedziałam z nieruchomą twarzą, nie okazując ani krztyny wyrzutów sumienia. Podejrzewałam przy tym, że zakaz jedzenia ludzi nie został ustanowiony przez kogoś tak głodnego ja jak w tej chwili. Przez dwa ostatnie dni jadłam dwa razy, o ile można nazwać jedzeniem rzadką zupę na jakimś ptaku, którego Alaria zabiła, rzuciwszy kamieniem, oraz dosłownie dwie garstki ziarna ugotowane w wielkim kotle pełnym wody. Wszyscy pozostali żywili się znacznie lepiej. Bardzo chciałam okazać wyższość i z dumą odtrącić to, co mi dali, jednak wilk-ojciec ocenił, że to zła taktyka.

„Musisz jeść, żeby przetrwać” – stwierdził. – „Bądź dumna z tego, że utrzymujesz się przy życiu”.

Posłuchałam jego rad. Jadłam wszystko, co dostawałam, odzywałam się rzadko, słuchałam uważnie.

Za dnia rozwiązywali mi ręce, a pętali kostki, żebym pomagała w bezustannym noszeniu opału z lasu. Nowe więzy także zostały oddarte od mojej tuniki. Nie ośmieliłam się już próbować ich przegryźć, ze strachu, że w końcu nic mi nie zostanie na grzbiecie. Obserwowali mnie uważnie. Jeżeli oddalałam się od Alarii, choćby na krok, Dwalia uderzała mnie patykiem. Na noc przywiązywała mi ręce do splepanych kostek i łączyła z własnym nadgarstkiem. Jeśli poruszyłam się we śnie, kopała mnie. Mocno.

Przy każdym takim kopnięciu wilk-ojciec warczał:

„Zabij ją. Jak najszybciej. Przy pierwszej okazji”.

– Zostałyśmy tylko we dwie – szepnęła tej nocy Alaria do Reppin, zaraz po tym, jak Dwalia usnęła.

– Ja tu jestem – przypomniał im Vindeliar.

– Z prawdziwych lurików – uściśliła Reppin pogardliwie. – Ty nie jesteś kształcony w czytaniu zwojów ze snami. I w ogóle przestań podsłuchiwać! – Zniżyła głos, by jej nie słyszał. – Pamiętasz, jak sama Symphe powiedziała, że jesteśmy najlepsi i zostaliśmy wybrani po to, by wspomóc Dwalię we właściwym rozeznaniu ścieżki? A ona od początku ignoruje nasze rady. Ta dziewczynka jest przecież całkiem bezwartościowa, obie o tym wiemy. – Westchnęła. – Obawiam się, że zboczyłyśmy daleko z właściwej drogi.

– Ale miała gorączkę – sprzeciwiła się Alaria. – I zmieniła skórę, pamiętasz? To nie może być bez znaczenia.

– To znaczy jedynie, że w jej żyłach płynie krew Białych. Nie dowodzi, że może śnić. A z pewnością nie jest owym nieoczekiwanym synem, którego Dwalia miała zamiar odszukać. – Reppin zniżyła głos do szeptu. – Sama wiesz, że to nie ona! Nawet Dwalia już w to nie wierzy. Alario, musimy chronić się nawzajem. Nikt inny o nas nie zadba. Gdy Symphe i Dwalia zaproponowały tę misję, Kapra i Kultri byli temu przeciwni, oboje twierdzili, że już przetrwaliśmy nieoczekiwanego syna, że to ten, który oswobodził Lodognia i zakończył żywot Ilistore. Właśnie tak twierdził Ukochany po powrocie do Clerres. Powiedział nam, że nieoczekiwanym synem jest jeden z jego katalizatorów, szlachetny skrytobójca. Jego lud nazywał Ilistore bladą kobietą. A ona przecież została pokonana przez nieoczekiwanego syna! Wszyscy to wiedzą! Troje z Rady Czworoga twierdzi, że związane z nim sny już się wypełniły i wszystkie te prorocтва należy odrzucić. Tylko Symphe była innego zdania. No i Dwalia.

Wstrzymałam oddech. Rozmawiały o moim ojcu! Z jego zapisków dowiedziałam się, że Błazen widział w nim nieoczekiwanego syna. Nigdy jednak nie skojarzyłam, że w jakimś dalekim kraju stanowił dowód na wypełnienie prorocтва.

Nieznacznie przysunęłam się bliżej, a i tak ledwo słyszałam Reppin.

– Symphe jej uwierzyła, bo ta ją zasypała różnymi mętnymi przepowiedniami, z których wynikało, że nieoczekiwany syn odniesie druzgocące zwycięstwo. A to przecież nie nastąpiło, skoro Ukochany do nas wrócił i został pojmany. Trzeba też pamiętać, że Dwalia przez lata służyła Ilistore i była w niej rozmiłowana. Zawsze chełpiła się, że kiedy jej pani wróci, wyniesie ją do władzy. – Następne słowa były ledwie tchnieniem. – Myślę, że Dwalia pragnie wyłącznie zemsty. Na pewno pamiętasz, jak było z Ukochanym. Obwiniła go za śmierć Ilistore. A wiesz, z czyjego domu porwaliśmy Pszczołę? Bastarda Rycerskiego.

Alaria usiadła gwałtownie.

– Nie!

– Ależ tak. – Reppin ściągnęła ją z powrotem. – Przypomnij sobie. Pamiętasz, czyje imię wydał Ukochany, gdy miażdżono mu stopę? Imię swojego prawdziwego katalizatora. Kręcił, mącił, lawirował, opowiadał o wielu: o skrytobójcy, o dziewięciopalczystym niewolniku, o kapitanie statku, rozpuszczonej dziewczusze, szlachetnym bękarcie... Kłamał! Jedyńm jego prawdziwym katalizatorem był Bastard Rycerski Przezorny. Gdy weszłam za Dwalią do jego domu, w pokoju, gdzie było dużo zwojów, stała bez ruchu, z uśmiechem na ustach. Tam, na gzymsie kominka, zobaczyłam rzeźbę... na jednej z jej ścianek widniał Ukochany. I wyglądał tak, jak przed przesłuchaniem. – Umościła się głębiej w futrach. – Akurat miała ją wziąć, kiedy weszli ludzie Ellika. Zaczęli przewracać stojaki, zrzucać wszystko na ziemię, zabrali miecz. Wycofałyśmy się stamtąd, ale ja swoje wiem, zrozumiałam, kim jest Pszczoła. To córka katalizatora.

– Podobno dom jest własnością Borsuczowłosego. Toma Borsuczowłosego. Pszczoła powiedziała, że tak nazywa się jej ojciec.

– I co z tego? Dziwi cię, że bachor łąze?

– Ale ona jest z Białych, tak?

Teraz już obie szeptały tak cicho, że słyszałam je tylko dzięki temu, że mocno wytężałam słuch.

– Właśnie! – W głosie Reppin pobrzmiwała fascynacja skandalem, jakby samo moje istnienie było powodem do wstydu. – Jak to w ogóle możliwe?!

– Vindeliar podsłuchuje – przestrzegła ją Alaria. Przysunęła się bliżej do Reppin, ciaśniej owinęła siebie i ją futrem. – Co za różnica, jak możliwe. Już mi wszystko jedno. Chcę tylko wrócić do domu, do Clerres. Chcę spać w łóżku i dostawać rano śniadanie. Żałuję, że w ogóle zostałam wybrana na tę wyprawę.

– Ręka mnie okropnie boli. Zabiję tę małą źmiję!

– Nawet tak nie mów! – przestrzegł ją Vindeliar.

– A ty się lepiej w ogóle nie odzywaj! – syknęła Reppin. – To wszystko twoja wina!

– Podły szpieg! – wycodziła Alaria.

Umilkły.

Na tym nocne rozmowy się jednak nie skończyły, choć szepty, które docierały do moich uszu, nie były dla mnie zrozumiałe. Owszem, Reppin skarżyła się na ból ręki, to jasne, lecz gdy zaczęły roztrząsać sprawy Clerres, wymieniać imiona, które nic mi nie mówiły, i przytaczać argumenty w sprawach, o jakich nie miałam pojęcia, przestałam orientować się w temacie. Obiecały sobie solennie zdać

szczegółowy raport ze wszystkiego, co wycierpiały, i upewniły się nawzajem, że Dwalia poniesie zasłużoną karę. Dwukrotnie wspomniały o snach na temat jakiegoś światoburcy, który według Alarii miał sprowadzić płacz i krzyk, trujący dym oraz śmierć. W jednej z przepowiedni żołądź przyniesiony do domu zniecka rozrósł się w drzewo o konarach z ognia i mieczy. Przypomniał mi się własny sen o lalce z głową z żołądź. Czy te dwa proroctwa miały ze sobą coś wspólnego? Ale przecież śnił mi się też orzech niesiony prądem strumienia. Doszłam do wniosku, że moje sny są bardzo skomplikowane i niezrozumiałe. Prawie równie fatalne jak te, które śniła Reppin, gdyż ona widziała jedynie ciemność, a słyszała głos obwieszczający: „Nadciąga światoburca, któregoście stworzyli”.

Zapamiętywałam, ile zdołałam. Zrozumiałam, że niektóre spośród ważnych osób nie zgadzały się z koncepcją misji Dwalii. Ona nalegała, a oni w końcu ustąpili, lecz głównie dlatego, że uciekł Ukochany. Z zapisków ojca wiedziałam, że Ukochany to także Błazen i pan Złocisty – w jednej postaci. Jakaś Rada Czworoga przestrzegала Dwalię, że jeśli zawiedzie, spotka ją sroga kara. A ona przyrzekła dostarczyć im nieoczekiwanego syna. Cóż, miała tylko mnie.

Vindeliar nie był włączany do tych dyskusji, lecz tak pragnął w nich uczestniczyć, że gotów był na wszystko. Nie wiedział, co to duma czy wstyd. Którejś nocy, gdy Alaria i Reppin szeptały pod futrami, wtrącił się podekscytowany:

– Ja też miałem sen.

– Nieprawda – oceniła Reppin.

– A właśnie że tak. – Był uparty jak dziecko. – Śniło mi się, że ktoś przyniósł do pokoju niewielki pakunek. Nikt go nie chciał, ale ktoś otworzył. Wtedy buchnęły z niego płomienie i dym, w strasznym huku, aż pokój zadygotał, a potem zwały się ściany i sufit.

– Nie wyśniłeś tego! – prychnęła Reppin. – Kłamiesz, aż się kurzy! Słyszałeś, jak ja opowiadałam ten sen, i teraz tylko powtarzasz.

– Niczego takiego od ciebie nie słyszałem! – zaprotestował z oburzeniem Vindeliar.

– Lepiej nie opowiadaj tego niby twojego snu Dwalii – warknęła Alaria – bo ja jej go już opowiedziałam. Od razu zgadnie, że łziesz jak pies, i obje cię kijem.

– Ale mnie się to naprawdę śniło – pisnął Vindeliar. – Biali czasem śnią to samo. Obie o tym wiecie.

– Nie jesteś z Białych. I urodziłeś się wadliwy. I twoja siostra też. Należało was utopić.

Wstrzymałam oddech, czekając na wybuch złości Vindeliara, on jednak milczał.

Wiał zimny wiatr. Jedyne, co nas łączyło, to niedola. I proroctwa.

Już jako małe dziecko śniłam barwne, żywe sny. Instynktownie odgadywałam, że są istotne i powinnam się nimi dzielić. W domu zapisywałam je w dzienniku. Od czasu porwania były bardziej mroczne i złowieszcze. Nikomu o nich nie mówiłam ani ich nie zapisywałam. Niewyrażone przepowiednie dławiły mnie niczym kość w gardle. Z każdym następnym proroczym snem nieodzowna konieczność opowiadania o nich lub zapisywania stawała się coraz bardziej dojmująca. Sceny oglądane w snach mnie dezorientowały. Oto stałam pod gniazdem os, na rozstaju dróg, z pochodnią w dłoni. Jakaś przestraszona dziewczuszka trzymała na rękach dziecko, a Pokrzywa uśmiechała się do niej, choć i ona, i tamta mała miały łzy w oczach. Jakiś mężczyzna przypalił owsiankę, a wtedy wilki zawyły z bóleści. Z żołądza zasadzonego między kamykami żwiru wyrosło drzewo płomieni. Ziemia zadygotała, spadł czarny deszcz. Padał i padał, aż smoki dławiły się i z podartymi skrzydłami spadały na ziemię. Niemądre były te sny i nie miały żadnego sensu, lecz przymus, by się nimi dzielić, przypominał odruch wymiotny. Przycisnęłam palec do zimnego kamienia, udawałam, że piszę coś i rysuję. Parcie na mówienie zelżało. Odchyliłam głowę do tyłu, zapatrzyłam się w odległe gwiazdy. Ani jednej chmurki. Noc będzie bardzo zimna. Usiłowałam otulić się czerwonym szalem, jak najszczelniej, ale niewiele mi to dało.



Minął trzeci dzień, potem czwarty. Dwalia ciągle chodziła w tę i z powrotem, mruzczała coś pod nosem, badała oba dokumenty. Moje siniaki zaczęły blednąć, ale wciąż byłam obolała. Opuchlizna nad okiem zeszała, lecz jeden z tylnych zębów ciągle się chybotał. Porozcinana skóra na kościach policzkowych zaczynała się zrastać. Nikogo z pięciorga to nie obchodziło.

– Wracajmy przez kamień – zażądała Reppin czwartego wieczoru. – Może w Królestwie Sześciu Księżstw znajdzie się dla mnie ratunek. A jeśli nie, to przynajmniej umrę w łóżku, a nie na gołej ziemi.

– Przegrani umierają na gołej ziemi – stwierdziła Dwalia głosem wypranym z emocji.

Reppin stęknęła głucho, położyła się na boku, podciągnęła kolana pod brodę, chroniąc zranioną rękę. W tamtej chwili Dwalia była dla mnie równie obrzydliwa, jak znieawidzona.

– Nie możemy tu tkwić wiecznie – odezwała się Alaria cicho. – Dokąd powinniśmy iść? – Jej głos niósł się w gęstniejącej ciemności. – Dobrze byłoby pójść tą starą

drogą. Dokądś przecież prowadzi. Może do jakiejś wsi, gdzie znajdziemy żywność i ciepłe schronienie?

Dwalia siedziała przy ognisku, wyciągnięte ręce grzała w świetle płomieni. Gwałtownym ruchem zaplotła ramiona na piersi, zgromiła Alarię wzrokiem.

– Ty masz czelność mi zadawać pytania?!

Lurika spuściła wzrok.

– Tak się tylko zastanawiałam... – Nie śmiała podnieść głowy. – Lingstro, przecież jesteśmy lurikami, powinniśmy cię wspomagać radą. Zostaliśmy z tobą wysłani, by ci pomóc w odszukaniu prawdziwej ścieżki, w podejmowaniu właściwych decyzji... – W jej głos wkradły się piskliwe nuty. – Kapra i Kultri nie życzyli sobie tej wyprawy. Zezwolili na nią tylko dlatego, że Ukochany uciekł! Mieliśmy go znaleźć, złapać i zabić. A potem, ewentualnie, schwytać nieoczekiwanego syna, gdyby Ukochany nas do niego doprowadził. Tymczasem ty, lingstro, dopuściłaś do tego, że Przewrotny zabrał Ukochanego do stolicy królestwa. Zrobiłaś to, bo chciałaś splądrować jego dom. Tyle osób straciło życie...! A teraz tkwimy w lesie na końcu świata, z jakąś dziewczynką, którą porwaliśmy całkiem niepotrzebnie. Przecież ona nawet nie śni! Jaki z niej pożytek? Po co nas tu sprowadziłaś na pewną śmierć? A może jest ziarno prawdy w pogłoskach, że Ukochany wcale nie uciekł, tylko został wypuszczony, bo tak zdecydowałyście we dwie z Symphe?

Dwalia zerwała się na równe nogi. Stała nad Alarią.

– Ja jestem lingstrą! A ty młodą i głupią luriką. Jeżeli masz ochotę zastanawiać się nad czymś, to zastanów się nad tym, dlaczego ogień przygasa! I przynieś opał.

Alaria zastygła niezdecydowana, jakby rozważała sprzeciw, lecz w następnej chwili podniosła się sztywno i niechętnie ruszyła w głęboki cień pod wielkimi drzewami. W ciągu kilku dni zebraliśmy całe suche drewno, jakie leżało w pobliżu, więc musiała wejść głębiej w las. Ciekawa byłam, czy wróci. Ciekawa byłam, gdyż wilk-ojciec dwukrotnie wyczuł charakterystyczny smród.

„Niedźwiedź” – przestrzegł mnie już dawno.

Przestraszyłam się.

„Nie podjeździe do grupy ludzi przy ogniu, ale gdyby zmienił zdanie, niech inni uciekają z krzykiem. Ty nie możesz biec szybko, więc nie uciekniesz daleko. Dlatego leż bez ruchu, całkiem cicho. Możliwe, że pogoni za innymi”.

„A jeśli nie?”.

„Leż bez ruchu i całkiem cicho”.

Nie podniosło mnie to na duchu. Miałam nadzieję, że Alaria wróci z lasu obładowana chrustem.

– Wstawaj – rzuciła nagle Dwalia. – Pomożesz jej.

– Mam już nogi związane na noc – przypomniałam. – I ręce też. – Udawałam naburmuszoną.

Gdyby oswobodziła mnie z więzów, prawie na pewno udałoby mi się zniknąć w zapadającym mroku.

– Nie do ciebie mówię. Nie będę ryzykowała, że mi gdzieś smyrgniesz w ciemność i w efekcie umrzesz w lesie. Reppin. Rusz się. Przynieś drewno.

Reppin podniosła na lingstrę wzrok pełen niedowierzania.

– Nie dam rady nic przynieść. Ledwo ruszam ręką.

Dwalia przyjrzała jej się z uwagą. Sądziłam, że każe jej mimo wszystko wstać, jednak lingstra tylko wydeła usta z pogardą.

– Bezużyteczna...! – wycedziła. – Vindeliarze, przynieś drewno.

Wezwany podniósł się wolno. Wzrok miał wbity w ziemię, lecz cała jego postawa świadczyła o wzburzeniu i złości. Poszedł za Alarią.

A Dwalia wróciła do tego, co robiła każdego wieczoru: do studiowania znalezionej zwoju i porównywania go ze zniszczonym papierem. Wcześniej tego dnia przez dłuższy czas krążyła wokół filarów na skraju placu, często przenosząc wzrok ze znalezionej pergaminu na runy i z powrotem. Niektóre z tych znaków widziałam w dokumentach ojca, w jego gabinecie. Czy zamierzała ponownie wchodzić w kamień? Wypuściła się, niezbyt daleko, starą drogą, w jedną i w drugą stronę. I za pierwszym, i za drugim razem po powrocie kręciła głową z irytacją. Nie wiedziałam, czego boję się bardziej: czy następnej podróży przez kamień, czy tego, że na skraju lasu umrzemy z głodu.

Po przeciwnej stronie placu targowego Kerf zaczął tańczyć, przytupując ochoczo. Gdybym chciała, mogłabym usłyszeć muzykę i zobaczyć Najstarszych, do których się przyłączył. Po jakimś czasie wróciła Alaria. Przywlokła kilka świeżych gałęzi odłamanych od zmarzniętych drzew iglastych. Spalą się, jasne, ale dadzą niewiele ciepła. Niedługo po niej zjawił się Vindeliar, ciągnąc spróchniały pień, więcej mchu niż drewna. Gdy podeszli do ognia, Kerf zatańczył wokół nich, wywijając nogami w zadzierzystym dżigu.

– Idź stąd! – przegoniła go rozeźlona Alaria.

Odpowiedział jej szerokim uśmiechem i, wirując, powrócił między świętujących Najstarszych.

Nie podobało mi się obozowisko na środku niczym nieosłoniętego placu, lecz Dwalia uważała, że leśne poszycie jest brudne. Dla mnie ten leśny „brud” byłby sto razy lepszy niż czarny kamień, który bez ustanku coś szeptał, mamrotał i bełkotał. Jeśli nie spałam, dbałam o chronienie umysłu grubym, wysokim murem, choć wymagało to niemałego wysiłku. Tymczasem, gdy zasypiałam pokonana

wyczerpaniem, odsłaniałam się przed głosami zgromadzonymi w kamieniu. Targ ożywał, czułam zapach pieczeni, widziałam kuglarzy zonglujących błyszczącymi klejnotami oraz bladą pieśniarkę, która najwyraźniej wiedziała o mojej obecności. „Bądź silna! Bądź silna i zdążaj tam, gdzie być powinnaś!”. Tak mi śpiewała. Jej słowa niezbyt mi pomagały. Raczej budziły we mnie obawę. W jej oczach dostrzegałam przekonanie, że dokonam czynów wspaniałych i zatrważających. Czy wyłącznie mnie były one przypisane?

Żołdak siadł przy mnie znienacka, aż podskoczyłam. Ochronę umysłu miałam tak szczelną, że nie spostrzegłam, kiedy podszedł.

„Uważaj!” – przestrzegł mnie wilk-ojciec.

Kerf umościł się wygodniej, po czym odsłonił w radosnym uśmiechu wszystkie zęby.

– Piękna noc na świętowanie! – zagadnął. – Próbowełaś pieczonej koziny? Wyjątkowo smakowita! – Wskazał ciemniejszy las gdzieś po drugiej stronie placu. – Tam, pod czerwoną markizą.

Jako szaleniec był całkiem sympatyczny. Ale na wzmiankę o jedzeniu zaburczało mi w brzuchu.

– Bardzo smaczna – przyznałam i odwróciłam wzrok.

Uznałam, że zgadzając się z nim, najszybciej zakończę rozmowę.

Pokiwał głową zadowolony i przysunął się nieco bliżej ognia. Wyciągnął do niego dłoń. Przekonałam się wtedy, że nawet jako człowiek szalony miał więcej rozumu niż Reppin, gdyż opatrzył ugryziony palec, zawiązał w kawałek płótna oderwany od koszuli. Otworzył solidną skórzaną sakwę, którą nosił u pasa, i zaczął w niej szperać.

– Masz – powiedział i rzucił we mnie patykiem.

Uniosłam związane ręce, by się przed nim zasłonić, a wtedy on wepchnął mi to coś w dłoń. Zapachniało mięsem. Prawdziwym suszonym mięsem. Natychmiast odezwał się we mnie wilczy głód pociekła mi ślinka. Wstrząsająca reakcja, aż dziwna. Trzęsącymi się rękoma podniosłam jedzenie do ust. Mięso było wyschnięte na wiór i tak twarde, że nie miałam najmniejszej szansy, by odgryźć kawałek. Żułam, ssałam, śliniłam się i dyszałam przy tym zdumiewająco głośno. Na oddzieleniu fragmentu, który mogłabym połknąć, skupiłam się tak, jakby od tego zależało moje życie.

– Wiem, co zrobiłaś.

Ścisnęłam zdobycz mocniej. Byłam przestraszona, że będzie chciał mi ją odebrać. Nie odpowiedziałam. Dwalia podniosła wzrok znad papierów i obrzuciła nas ponurym spojrzeniem. Wiedziałam, że nie będzie próbowała zabrać mi jedzenia,

bała się, że ją ugryzę.

Kerf poklepał mnie po ramieniu.

– Próbowiałaś mnie ocalić. Gdybym cię puścił, kiedy mnie ugryzłaś, zostałbym tam z piękną panną. Tak, teraz to rozumiem. Chciałaś mojego dobra, pragnęłaś, żebym tam został, chronił ją i zdobył.

Żułam nieprzerwanie. Połknąć jak najwięcej mięsa, nim ktoś mi je odbierze. Przytaknęłam słowom Kerfa z jakimś opóźnieniem. Niech wierzy, w co zechce, jeśli dzięki temu daje mi jedzenie.

Westchnął, zapatrzył się w noc.

– Sądzę, że jesteśmy w krainie śmierci. Muszę przyznać, wygląda zupełnie inaczej, niż oczekiwałem. Widzę piękne sceny i słyszę muzykę, ale czuję ból i chłód. Nie wiem, czy zostałem nagrodzony, czy ukarany. Nie rozumiem, dlaczego wciąż pozostaję z tymi ludźmi, zamiast stanąć przed sądem przodków. – Ponuro spojrział na Dwalię. – Oni są bardziej ponurzy niż konanie. Może dlatego utknęliśmy tutaj, w połowie śmiertelnej gardzieli.

Znowu pokiwałam głową. Udało mi się oderwać kawałek mięsa, teraz pracowicie rozdrabniałam go na mniejsze kawałeczki. W życiu nie byłam tak szczęśliwa, że będę mogła coś przełknąć.

Żołdak odwrócił się ode mnie, namacał coś przy pasie. Gdy ponownie zobaczyłam jego twarz, w ręku trzymał wielki błyszczący nóż. Rzuciłam się do ucieczki, najszybciej, jak mogłam, usiłowałam się od niego odsunąć, lecz wprawnie chwycił mnie za stopy i przyciągnął. Nóż był ostry. Poznałam to od razu, bo tylko raz przesunął nim po zrolowanej tkaninie i już miałam wolne nogi. Kopnęłam, wyswobodziłam stopy z jego rąk. Sięgnął po moje dłonie.

– Teraz ręce – powiedział.

Zaufać mu? Równie łatwo jak przeciąć więzy mógł obciąć mi palec. Wepchnęłam mięso do ust, zacisnęłam na nim zęby i wyciągnęłam ręce przed siebie.

– Ale ciasno! Boli?

„Nie odpowiadaj”.

Bez słowa popatrzyłam mu w oczy.

– Masz spuchnięte nadgarstki.

Ostrożnie wsunął ostrze między moje ręce. Było zimne.

– Co ty wyprawiasz?! – wrzasnęła Dwalia. – Natychmiast przestań!

Mężczyzna nie zwrócił na nią uwagi, nawet nie zerknął w jej stronę. Chwycił mnie za rękę, by łatwiej naprężyć tkaninę, i przeciągnął po niej ostrzem.

Dwalia mnie zaskoczyła. Właśnie miała dorzucić gruby konar do ognia, a zamiast tego zrobiła krok, wychyliła się i z całej siły wyrzuciła nim żołdaka w głowę.

Najemnik osunął się na ziemię. Nóż ciągle ścisnął w dłoni. Wyswobodziłam rękę z resztek więzów, zerwałam się na nogi, rzuciłam biegiem pomimo odrętwienia, lecz zrobiłam dosłownie dwa kroki, nim Dwalia chwyciła mnie za kołnierz. O mało mnie nie udusiła. Pierwszy cios kijem spadł na moje prawe ramię, drugi na żebra po prawej stronie.

Wykręcałam się do niej, nie dbając o to, że kołnierz dusi mnie jeszcze bardziej, po czym kopnęłam ją z całej siły, najpierw w goleń, potem w kolano. Krzyknęła z bólu, ale mnie nie puściła. Zamierzyła się ponownie i tym razem uderzyła kijem w głowę. Trafiła w skroń. Zadzwonilo mi w zranionym uchu i w ustach rozlał się smak krwi, jednak znacznie gorsze było to, że coś mi się stało ze wzrokiem. Obróciłam się w drugą stronę, tyłem do Dwalii, a skutek był jedynie taki, że trafiła mnie w drugą skroń. Jak przez mgłę słyszałam, że woła do innych, by mnie schwytali. Nikt jednak nie wykonywał rozkazu. Vindeliar kiwał się w przód i w tył.

– Nie, nie, nie... – jęczał tonem coraz bardziej piskliwym z każdym słowem.

Rozzłościło mnie, że jęczy, ale nic nie robi. Pchnęłam w niego swoim bólem.

Dwalia znowu rąbnęła mnie w głowę, miażdżąc mi ucho. Kolana się pode mną ugięły, nagle zawisłam na kołnierzu. Nie miała tyle siły, by mnie utrzymać jedną ręką. Osunęła się na mnie, a wtedy ramię eksplodowało mi bólem.

Poczułam falę emocji. Trochę jak wówczas, gdy Pokrzywa i ojciec łączyli umysły, albo myśli ojca kipiały mu w głowie, a on zapomniał je osłonić.

„Nie krzywdź jej! Nie wolno!”

Dwalia puściła kołnierz mojej tuniki i stoczyła się ze mnie z dziwnym stęknieniem. Nawet nie drgnęłam. Skupiłam się na oddychaniu, na dostarczeniu ciała powietrza. Mięso przepadło. Usta miałam pełne krwi. Obróciłam głowę i rozchyliłam wargi, by wypłynęła.

„Nie umieraj. Proszę cię, nie umieraj, nie zostawiaj mnie samego” – dotarła do mnie myśl Vindeliara.

Aha. Właśnie. Gdy pchnęłam w niego swoim bólem, otworzyłam furtkę jego myślom. Niebezpieczeństwo. Ostatkiem siły woli zablokowałam mu dostęp do swojego umysłu. W oczach piekły mnie łzy. Łzy wściekłości. Łydkę Dwalii miałam w zasięgu zębów. Czy dałabym radę wygryźć jej kawał mięśnia?

„Nie rób tego, szczeniaku. Nadal ma ten kij. Odpełnij. Po cichutku. Tej nie zaatakujesz, póki nie będziesz pewna, że zdołasz ją zabić”.

Próbowałam odpełznąć, lecz ręka mnie nie słuchała. Zwisła bezwładnie całkiem bezużyteczna. Gdy zamrugałam, przed oczyma zatańczyły mi czarne plamki. Dwalia dźwignęła się na czworaki, potem wstała i ze stęknieniem odeszła, nie oglądając się na mnie. Po drugiej stronie ogniska usiadła na swoim miejscu

i wróciła do studiowania drobno poskładanego papieru oraz maleńkiego zwoju wyjętego z kościanej tulei. Powoli obracała i papier, i zwój. W pewnym momencie gwałtownie pochyliła się niżej. Ułożyła je na kolanach jeden przy drugim i uważnie przyglądała się raz jednemu, raz drugiemu.

Żołdak usiadł powoli. Pomacał tył głowy, obejrzał rękę i potarł wilgotne palce. Przyjrzał mi się, jak siadam, i pokręcił głową, patrząc na bezwładną rękę.

– Złamana – szepnęłam.

Tak bardzo chciałam, żeby kogoś obeszło, że zostałam skrzywdzona.

– Bardziej ponurzy niż konanie – powtórzył cicho.

Ucisnął moje ramię dwoma palcami. Krzyknęłam z bólu i cofnęłam się gwałtownie.

– Nie jest złamana – zauważył – ale nie umiem powiedzieć, co ci jest, bo nie znam waszego słowa na to uszkodzenie. – Jedną dłoń zwinął w pięść, włożył ją we wnętrze drugiej, po czym szerokim gestem wyjął. – Wskoczyło – oznajmił. Znowu wyciągnął do mnie rękę, a ja natychmiast się skuliłam, ale on tym razem objął mój bark tylko gestem. – Wskoczyło – powtórzył.

– Nie rusza się. – Spanikowałam do tego stopnia, że nie mogłam zaczerpnąć tchu.

– Połóż się. Nie ruszaj. Luźno. Czasem się udaje. – Zerknął na Dwalię. – To osa – stwierdził.

Popatrzyłam na niego zdezorientowana.

Odpowiedział mi uśmiechem.

– Nasze takie powiedzenie. Pszczoła, która ukąsi, umiera. Płaci najwyższą cenę za to, że kogoś skrzywdzi. Osa może kąsać i kąsać i kąsać... Nic jej nie kosztuje zadawanie bólu. – Wzruszył ramionami. – No to kąsa. I nic innego nie potrafi.

Dwalia nagle zerwała się na nogi.

– Wiem, gdzie jesteśmy! – Znowu przeniosła wzrok na zwój z kościanej tulei. – Runy pasują, wszystko się zgadza. To nie ma najmniejszego sensu, ale musi tak być!

– Zapatrzyła się w dal, po czym zmrużyła oczy. Znieruchomiała, gdy dotarła do niej jakaś prawda. – Okłamał nas! Mnie okłamał! – ryknęła. Wcześniej, rozgniewana, budziła strach. Teraz, wściekła, była przerażająca. – Łgał jak najęty! Plac targowy przy ruchliwej drodze! Prilkopie! Wydawało ci się, że jesteś sprytny! Przez ciebie tu trafiliśmy! – Ostatnie słowa wyrzeszczała, a twarz miała wykrzywioną furią. – O, Prilkopie! – Ślina pryskała jej z ust. – Zawsze taki protekcyjny! Spokojny, opanowany, pewny siebie! I ten Ukochany...! Gadał, bajdurzył, bełkotał... Same kłamstwa! Ale przeze mnie krzyczał z bólu. Ja wydarłam z niego prawdę.

– Coś nie bardzo... – szepnęła Alaria, wpatrzona w przestrzeń między własnymi stopami a ogniskiem.

Wątpiłam, czy poza mną ktokolwiek ją usłyszał.

Ale Reppin drgnęła, jakby jednak i do niej dotarły te słowa. Spróbowała usiąść.

– Tak ci się tylko wydaje. Sądziłaś, że wydarłaś z niego prawdę, lecz w końcu okazał się silniejszy od ciebie, prawda? Mądrzejszy. Prilkop zwiódł cię, byś sprowadziła nas tutaj... i oto jesteśmy, w środku dziczy. Głodni. – W jej głos wkradła się chrypa. – Umierający!

Dwalia patrzyła na nią wzrokiem bez wyrazu. Po jakimś czasie zgmiotła żółtawą mapę w dłoniach, wstała i wepchnęła ją do tobołka, na którym zwykła siedzieć. Zwój wyjęty z kościanej tuby starannie zwinęła i wsunęła z powrotem na miejsce.

– Nie wszyscy, kochana moja – zwróciła się do Reppin, promienna jak nigdy. – Nie wszyscy tu umrzemy. – Uśmiech rozlał jej się po twarzy. – Właśnie dokonałam odkrycia. Prilkop mnie okłamał, lecz prawdziwą ścieżkę zawsze można odnaleźć.

Poszperała w bagażu i wyciągnęła zeń tajemniczą sakiewkę. Rozwiązała troczki, po czym wyjęła ze środka cieniuteńką rękawiczkę. Wilk-ojciec w moich myślach warknął przeciągle. Serce podeszło mi do gardła i poczułam mdłości, choć nie wiedziałam dlaczego. Dwalia włożyła rękawiczkę powoli i bardzo ostrożnie, zwracając uwagę zwłaszcza na to, by każdy czubek palca znalazł się we właściwym miejscu. Już jej wcześniej użyła. Wówczas, gdy wciągnęła nas w kolumnę Mocy.

Wstała.

– Weźcie bagaże i brankę. Idziemy.

Branka. Nowy tytuł opłynął mnie jak tłusta woda. Dwalia ruszyła do jednego z filarów. Nawet się nie obejrzała, by sprawdzić, czy jej polecenie zostało wykonane. Niosła tylko własne poczucie ważności, niczego więcej nie zabrała. Stała przed kolumną i uważnie przyjrzała się runom.

– Dokąd ona prowadzi? – spytała trwożnie Alaria.

– Nie twoje zmartwienie – fuknęła lingstra.

Żołdak jako jedyny stanął przy Dwalii. Ja odsunęłam się od ognia. Ręce miałam rozwiązane, nogi także uwolnione od więzów. Mrowienie po odrętwieniu doprowadzało mnie do szału, ale to było nic w porównaniu z rwącym bólem w barku. Czy dam radę wstać i pobiec? Nieznacznie odepchnęłam się od ziemi zdrową ręką i wsunęłam nieco głębiej w ciemność. Gdybym zdołała powoli wtopić się w mrok, może udałoby mi się odpełznąć niezauważenie.

Reppin podniosła się chwiejnie i usiłowała jedną ręką zebrać z ziemi moje ciężkie futro.

– Chyba nie dam rady wziąć żadnego bagażu – jęknęła.

Nikt nic nie odpowiedział.

Najemnik, ignorując gniewne spojrzenie Dwalii, zrobił jeszcze krok i zrównał

się z nią przy filarze.

– O, tę runę to dobrze znam – stwierdził z zagadkowym uśmiechem. – Klęczałem prawie dokładnie nad nią i długo ją oglądałem. Sześć lat wtedy miałem. Było czuwanie przy ciele dziadka, w komnacie z obalonymi wierzejami. W twierdzy naszego księcia pana. Dla dziadka to był honor, że został wystawiony w takim miejscu. Następnego dnia spalili go na stosie, niedaleko przystani.

Dwalia przeskoczyła wzrokiem na runę i z powrotem na żołdaka.

– W Krainie Miedzi, tak?

Pokiwał głową.

– Pół dnia jazdy od mojego rodzinnego majątku. Twierdzę podobno zbudowano w miejscu jakiejś starożytnej bitwy. Cztery takie filary tam były, wszystkie zwalone na ziemię, tak, żeby się zwały z posadzką. Ludzie gadali, że trzeba dużo szczęścia, żeby taki wyszczerbić i zabrać sobie kawałek na pamiątkę. Próbowałem. Ale twardy ten kamień jak żelazo.

Dwalia uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Tak właśnie myślałam! Nadal jesteśmy na właściwej ścieżce. Już ja wiem, kiedy fortuna się do nas uśmiecha. – Stuknęła o dłoń tubą z pergaminem. – Los oddał w moje ręce cenną mapę. Chociaż jest dziwacznie rozrysowana i napisy ma całkiem obce, rozwikłałam tę łamigłówkę. Wiem, gdzie jesteśmy, i wiem, że ten filar przeniesie nas do Krainy Miedzi. Kerf zaprowadzi nas do rodzinnego majątku i zapozna z przyjaciółmi. A jego rodzina zaopatrzy nas w zapasy na powrót do domu. – Przeniosła spojrzenie na Vindeliara. – Prawda, chłopcze?

Kerf wydawał się niebotycznie zdumiony. A Vindeliar, który jeden tobołek niósł na ramionach, a drugi ciągnął za sobą, wyglądał na wyczerpanego i niepewnego. Blask ognia zmieniał mu rysy, przekształcając go z wiernego sługi w zbitego psa.

– Moja rodzina? – zdziwił się Kerf.

– Poprosisz o to w naszym imieniu – zapewniła go Dwalia.

Udało mi się jeszcze trochę odsunąć od ognia. Ledwo znosiłam ból w wybitym barku. Podtrzymałam bolącą rękę drugą i zastanawiałam się, jakie katusze będę musiała przecierpieć, gdy dźwignę się na nogi i puszcę biegiem.

– Nie mogę nawet podnieść płaszcza – poskarżyła się Reppin wszystkim i nikomu.

– Nic z tego. – Kerf pokręcił głową. – Nie mogę przekonywać do was rodziny. Sam nie będę mógł pokazać się krewnym na oczy. Pytaliby, dlaczego żyję i jak to się stało, że wróciłem sam, bez towarzyszy broni. Uznaliby, że uciekłem z pola bitwy, zostawiłem braci w boju na śmierć. Mieliby mnie w pogardzie.

Dwalia przywołała na twarz swój zwyczajowy uśmiech, położyła na ramieniu żołdaka gołą rękę i zerknęła z ukosa na Vindeliara.

– Twoja rodzina z pewnością chętnie nas przyjmie, wystarczy, że jej o nas powiesz. A z ciebie będzie szczerze dumna.

Nie spuszczając ich z oczu, stale wycofywałam się w stronę lasu. Bark rwał mnie tak, że chciało mi się wymiotować. Zauważyłam, jak twarz Vindeliara obwisła, gdy skierował myśli do Kerfa. Czułam jego pchanie, jakbym słyszała echo dalekiego krzyku. Widziałam, jak najemnikowi rozpogadza się twarz.

Reppin poddała się i zrezygnowała z prób dźwignięcia z ziemi mojego futra. Z pustymi rękoma ruszyła ku pozostałym, chwiejąc się i zataczając. Przystanęła i ze zrozumieniem pokiwała głową, gdy uświadomiła sobie, że Vindeliar ciężko pracuje, rozsnuwając magię. Nikt nie zwracał na nią uwagi.

Podciągnęłam pod siebie kolana i wsunęłam się głębiej w ciemność.

– Moja rodzina powita was z radością – oznajmił z uśmiechem Kerf. – Cały jej majątek zostanie oddany do waszej dyspozycji. – Był całkiem pewien swego.

– Alario, przyprowadź ją wreszcie! – zawołała Dwalia.

Nie patrzyła na mnie, ale gdzieś dalej, na coś za moimi plecami. Obróciłam głowę. Czysta rozkosz na twarzy luriki była krystalicznym obrazem zła. Serce mi zamarło. Przez cały ten czas, gdy, pilnie obserwując Dwalię, z najwyższą ostrożnością i z wielkim wysiłkiem odsuwałam się od światła ognia, Alaria znajdowała się tuż za moimi plecami.

Teraz albo nigdy. Zdrową ręką z całej siły odepchnęłam się od ziemi i zerwałam na nogi, przyciskając bezwładne ramię do brzucha. Puściłam się biegiem.

Udało mi się zrobić trzy kroki, zanim mnie pochwyciła. Złapała mnie za włosy i kopnęła w nogę z taką pasją, jakby czekała na ten moment przez całe życie. Krzyknęłam przeraźliwie. Potrząsnęła moją głową, jak lis potrząsa schwytanym zającem, po czym rzuciła w bok. Upadłam na wybity bark.

Przed oczyma wybuchły mi rozbłyśki czerni i szkarłatu. Oddech ugrzązł w piersiach. Nie mogłam zrobić nic, gdy chwyciła mnie za koszulę na karku i pociągnęła w górę. Niewiele brakowało, a postawiłaby mnie na nogi.

– Jazda! – wrzasnęła. – Albo będziesz szła, albo znów ci przykopię!

Niełatwo było ją posłuchać, niemożliwe się jej sprzeciwić. Była ode mnie większa i silniejsza, a poza tym nie została ostatnio pobita. Do tego trzymała mnie w garści, dosłownie. Byłyśmy w połowie drogi do Dwalii – ja ledwo dotykałam nogami ziemi – gdy uświadomiłam sobie, że tym barkiem, który zmienił się w palące ognisko bólu, znów mogę poruszać. Przynajmniej tyle.

Dwalia, przy filarze, niczym kwoka, ustawiała swoje pisklęta, wedle życzenia.

– Ja pójdę pierwsza – oznajmiła, całkiem jak gdyby inna możliwość w ogóle nie wchodziła w rachubę. – Będę trzymać za rękę Vindeliara, a on Kerfa. – Uśmiechnęła

się ciepło do potakującego żołdaka.

Doskonale rozumiałam, o co chodzi. Oni dwaj byli najważniejsi, niezbędni do przetrwania. Chciała mieć pewność, że jej specjalista od czarów i wojownik z rodziną w Krainie Miedzi przejdą z nią przez kamień.

– Dalej bachor – zarządziła. – Kerfie, trzymaj ją mocno. I to nie za rękę, bo gryzie, pamiętasz? Chwyć ją za kark. – Przeniosła wzrok na lurikę, która w dalszym ciągu ścisnęła w dłoni kołnierz mojej tuniki. – Tak, Alario, ty na końcu. Złapiesz bachora za ramię i będziesz trzymała, bardzo mocno.

Alarii się to spodobało, a ja mogłam jedynie cieszyć się, że chwyciła mnie za zdrowe ramię. Niemal w tej samej chwili Kerf także posłuchał instrukcji Dwalii i obłąpił mnie za kark, a z delikatności i sympatii, jakie mi wcześniej okazywał, nie został nawet ślad. Na nowo stał się marionetką Vindeliara.

– Zaraz! A ja mam być na samym końcu? – zaniepokoiła się Reppin.

Dwalia obrzuciła ją lodowatym spojrzeniem.

– Nie, nie będziesz na samym końcu. Jesteś niepotrzebna. Uznałaś, że nie możesz przynieść drewna. Postanowiłaś stać się bezużyteczna. – Przeniosła wzrok na drugą lurikę. – Alario, weź to futro. Może być coś warte w Krainie Miedzi. I bagaż Reppin.

Ranna miała oczy jak spodki, a twarz białą niczym kreda. Osłupiałym wzrokiem patrzyła na przyjaciółkę, która rzuciła się wykonać rozkazy. Ja nic na tym nie zyskałam, bo najemnik trzymał mnie mocno i pewnie. Alaria poruszała się w błyskawicznym tempie. Czy pragnęła udowodnić swoją przydatność? Wróciła, nim się ktokolwiek obejrzał, przez plecy miała przewieszony bagaż Reppin, na przedramieniu przewieszony ciężki futrzany płaszcz, który kiedyś należał do mnie i był biały. Ścisnęła mnie za ramię, wbijając palce w ciało.

– Nie możecie mnie tu zostawić! Co ja zrobię bez bagażu? Nie zostawiajcie mnie!

Podświetlona od dołu przez ogień Reppin wyglądała jak żywy trup. Ugryzioną rękę tuliła do piersi. Chwiejnym krokiem podeszła do Alarii, szponiastą dłonią usiłowała chwycić ją za rękę, ta jednak odwróciła twarz od przyjaciółki, odsunęła się od niej i odgrodziła futrem. Ścisnęła mnie mocniej. Czy z zadowolenia, czy też przygotowywała serce i sumienie na porzucenie Reppin? A może po prostu cieszyła się, że to nie ona została skazana? Teraz miałam przed oczyma pełen obraz rządów Dwalii. Okrucieństwo wyrażone wobec jednej z podległych jej osób oznaczało, że pozostałe mogły przez jakiś czas odetchnąć swobodniej. Między lurikami próżno by szukać lojalności, czuli jedynie strach przed lingstrą i gorąco pragnęli jej łask.

– Błagam!

Rozpaczliwy krzyk Reppin przeciął nocną ciszę.

Vindeliar wydał z siebie trudny do nazwania, niegłośny dźwięk. Na jedną chwilę myśli wymknęły mu się spod kontroli, Kerf rozluźnił uścisk na moim karku.

– Jest bezużyteczna – warknęła Dwalia. – Umiera, jęczy, zużywa nasze zapasy, których i tak mamy niewiele. Nie podważaj mojej decyzji, Vindeliarze. Przypomnij sobie, co stało się z nami wszystkimi, gdy nie posłuchałeś moich rozkazów. Ile osób straciło życie? Z twojej winy! Skup się na tym, co każę, i wypełniaj polecenia co do joty, bo w przeciwnym razie ty także okażesz się bezużyteczny!

Kerf uchwycił mnie za kark mocniej, Alaria zacisnęła palce na moim ramieniu tak gorliwie, że wgniotła mi ciało w kość.

Raptem pojęłam rozmiary niebezpieczeństwa.

– Nie wolno! – krzyknęłam. – Trzeba iść drogą, ona przecież dokądś prowadzi! Czarne filary są groźne. Możemy wyjść z nich szaleni, jak Kerf albo nie wyjść wcale!

Nikt się mną nie przejął. Dwalia przyłożyła do znaku wytrawionego w kamieniu dłoń obleczoną w rękawiczkę. Odniosłam wrażenie, że filar wciągnął ją tak, jakby plaster imbiru tonął w podgrzany miodzie. W świetle naszego opuszczonego ogniska doskonale widziałam, jak lingstra wsuwa się w kamień. Za nią zniknął Vindeliar, głośno dysząc ze strachu, w miarę jak najpierw dłoń, potem nadgarstek, a wreszcie łokieć zanurzały się w czarnej skale. W końcu jęknął coś płacząco i zniknął.

– Będziemy pływać ze zmarłymi! – zakrzyknął Kerf z radosnym uśmiechem szaleńca. – Ruszamy do zburzonego pałacu martwego księcia!

Wydawało się, że wszedł w kolumnę wolniej niż Vindeliar, jakby kamień stawiał mu opór. Staralam się cofnąć i zaprzeć o ziemię, ale trzymał mnie za kark wciąż mocno i pewnie, nawet gdy już cały znalazł się w kamieniu. Spojrzałam w górę i z przerażenia straciłam oddech. Na kamieniu znajdowało się dodatkowe oznaczenie. Wcale nie nowe. Wryte nie tak głęboko, jak oryginalne runy, jednak całkowicie jednoznaczne w swojej wymowie. Ktoś celowo i z pewnością ogromnym nakładem pracy oraz wysiłku przekreślił runę, by zabronić korzystania z niej lub co najmniej przestrzec przed użyciem tego przejścia w portalu.

– Tato! – zawołałam rozpaczliwie, choć nie mógł mnie usłyszeć. – Tato, ratuj mnie!

W następnej chwili dotknęłam policzkiem zimnej powierzchni i zostałam wciągnięta w smolistą czern.

Rozdział 4

Kraina Miedzi

Za sprawą badań licznych starych zwojów, uwzględniając przekłady z innych języków, zyskałem pewność, iż legendarni Najstarsi z naszych legend i podań byli jak najbardziej rzeczywisci. Żyli przez wiele pokoleń na obszernym terytorium, aż do momentu, gdy ich świat i kultura upadły, na długo przed wzniesieniem zamku w Koziej Twierdzy. Dodatkowe informacje, pozyskane ze zbiorów bibliotecznych, które nazywamy kostkami pamięci, utwierdziły mnie w słuszności tego przekonania.

Dlaczego Najstarsi, lud mądry i dysponujący potężną magią nagle przepadł? Czy należy łączyć jego zniknięcie z wyginięciem smoków – kolejnym faktem, który trudno wyjaśnić? A skoro dziś zarówno smoki, jak i – zapewne – Najstarsi, wrócili do naszej rzeczywistości, to jak wpłynie ich obecność na przyszłość rodzaju ludzkiego?

I co z przesłaniem pradawnych legend o starożytnym przymierzu zawartym pomiędzy Najstarszymi oraz rodem Przezornych? Właśnie na nie zamierzał powołać się król Szczery, ruszając w Deszczowe Ostępy. Czy napotkał żyjących Najstarszych, czy też zaledwie wspomnienia o tym, kim i czym byli? Na te oraz inne pytania możemy znaleźć odpowiedzi, jeśli będziemy w dalszym ciągu wnikliwie sprowadzali kostki pamięci.

Ciemia Spadającej Gwiazdy „Zniknięcie Najstarszych”

Matka tak robiła. Tak mnie przenosiła.

Niewyraźne wspomnienie: ciepła nora, matka niesie mnie w zębach, trzyma za skórę na karku. Nie moja myśl, ale pierwsza, jaka zaświtała mi w głowie. Chwył za skórę, włosy i koszulę. Kołnierz mnie dusi. Ktoś wyciąga mnie z bagna, ktoś inny protestuje: „Zostaw ją, nie ma miejsca! Tu wcale nie ma miejsca!”.

Ciemność absolutna. Powietrze na twarzy. Zamrugalam, by sprawdzić, czy naprawdę mam otwarte oczy. Owszem, tak. Żadnych gwiazd. Ani dalekich ognisk. Nic. Tylko ciemność. I coś gęstego, próbującego ściągnąć mnie z powrotem w dół.

Nagle ucieszył mnie dławiący kołnierz. W panice chwyciłam zdrową ręką czyjaś

koszulę, podciągnęłam się do góry, wpełzłam na Kerfa. Leżał na boku. Podniosłam głowę i w coś nią uderzyłam. Co gorsza, ktoś ścisnął mnie za ramię i ciągnął, pełzając w górę. Żołdak obrócił się na plecy. Strącił mnie przy tym z siebie, ugrzęzłam przy jakiejś kamiennej ścianie. Było mi bardzo ciasno, więc odruchowo pchnęłam Kerfa, by zyskać więcej miejsca, lecz nie dałam rady go przesunąć. Usłyszałam głośny oddech Alarii, a potem jej okrzyki, niegłośnie, ochryple, gdy wpełzała na Kerfa, tam, gdzie ja byłam jeszcze przed chwilą. Okrzyki wkrótce przeszły w słowa wypowiedziane szeptem, z niemałym trudem.

– Puść mnie! – wydyszała. – Ale już!

Miotała się na Kerfie bezładnie.

– Nie kop – zaprotestował Vindeliar.

– Puszczajcie! – zażądała Alaria na granicy hysterii.

– Ja cię nawet nie dotykam! – krzyknęła Dwalia. – Przestań się ciskać. Vindeliarze, zejź z mnie.

– Nie mogę, utknałem! Tutaj wcale nie ma miejsca. – Głośno dyszał z przerażenia. Gdzie byliśmy? Co się z nami stało?

– Cisza! – zażądała Dwalia.

Miał to być ton rozkazujący, ale się jej nie udało. Nie mogła złapać tchu.

– Niedobrze mi – oznajmił Vindeliar i zwymiotował. – To było straszne. Wszyscy się mnie czepiali. Ja chcę do domu. Już dłużej nie dam rady. Muszę do domu. – Mazał się jak dziecko.

– Zostaw mnie w spokoju! – pisnęła Alaria cienkim głosem.

– Pomóżcie mi, bo mnie wciąga – usłyszałam Reppin. – Nie mogę was ominąć.

Nie tylko ją słyszałam, ale i czułam jej smród: zakażona ręka potwornie cuchnęła. Pewnie rana otworzyła się przy wysiłku.

– Ręka... – jęczała. – Nie mogę się podciągnąć. Niech mi ktoś pomoże.... Nie zostawiajcie mnie tutaj! Nie zostawiajcie mnie z nimi!

Dokąd trafiliśmy?

„Spokojnie. Zanim coś zaplanujesz, zorientuj się w sytuacji”.

Wchłonęłam jego opanowanie. Wilk-ojciec zwykle wiedział, co mówi. Jeszcze przed chwilą płuca pracowały mi jak miechy, a dzięki jego słowom spłyciłam i spowolniłam oddech.

„Słuchaj. Węsz. Badaj dotykiem. Czego się dowiesz?”.

Bardzo trudno było skupić się na tym zadaniu, gdy tuż obok trwała kotłowanina.

– Przestań! – krzyknęła Alaria. – Zostaw mnie, tu nie ma miejsca! Nie ciągnij mnie!

Reppin nie krzyczała. Jęknęła przeciągle, jednak ten dźwięk urwał się nagle

zgaszony młaśnięciem, jakby ktoś wyrwał ciężki kamień z błota. Wtedy już tylko głośny oddech Alarii mącił ciszę.

– Wciągnęło ją z powrotem – odezwała się Dwalia.

Wiedziała. Stwierdziła, a nie zapytała.

A ja w tej chwili przypomniałam sobie, że byliśmy prowadzeni w czarny filar.

– Musiałam ją odepchnąć! – zapewniła Alaria z żarem. – Nie było dla niej miejsca! Ani trochę. A w ogóle to przecież kazałaś ją tam zostawić. Nie moja wina... – Nie wyglądało na to, żeby było jej żal przyjaciółki. Chciała raczej odciąć się od jakiegokolwiek odpowiedzialności.

– Cisza! – nakazała Dwalia wciąż zduszonym głosem. – Teraz ja mówię. Vindeliarze, zejź z mnie.

– Nie mogę. Przykro mi, ale nie mogę się ruszyć. Kerf wepchnął mnie na ciebie, lingstro, kiedy wychodził z kamienienia. Nie mogę nic zrobić. Od góry też mam kamień. Ledwo się mieszczę. – Był na skraju hysterii. – Jest mi niedobrze. Nic nie widzę. Ośleplę? Lingstro, czy ja straciłem wzrok?

– Nie. Tkwimy w ciemnościach, matole. Nie waż się zwymiotować na mnie. Jesteś ciężki, przygniatasz mnie. Zrób mi miejsce.

Usłyszałam szelest ubrań, odgłos ocierających się o siebie ciał.

– Nie mam gdzie się przesunąć! – jęknął Vindeliar. – Tu w ogóle nie ma miejsca. Nie mogę się ruszyć!

– Skoro nie umiesz pomóc, przynajmniej nie przeszkadzaj. Żołnierzu? – Z trudem łapała oddech. Vindeliar rzeczywiście nie był mały ani lekki, a ona pod nim ugrzęzła. – Kerfie?

Zachichotał. Przerazający dźwięk z wielkiej, męskiej klatki piersiowej.

– Przestań natychmiast! – Alaria była oburzona. – Dwaliu! On mnie dotyka!

Kerf zaśmiał się ponownie, równocześnie poczułam, że wyciąga spode mnie rękę. Zyskałam dzięki temu odrobinę więcej miejsca. Domyśliłam się, że objął i przygarnął do siebie lurikę.

– Miło – powiedział gardłowym głosem.

Wypchnął biodra w górę.

– Przestań... – Tym razem w głosie Alarii zabrzmiały nuty błagalne.

Odpowiedziało jej mruknięcie i gardłowy śmiech. Mięśnie na ramieniu żołdaka napięły się, czyli przycisnął lurikę mocniej. Oddech mu przyśpieszył. Kerf zaczął poruszać się rytmicznie, przy czym jeszcze mocniej przyspilił mnie do ściany. Alaria się rozszłochała.

– Nie zwracaj na niego uwagi – poleciała jej Dwalia.

– On chce mnie wykorzystać! – Chlipnęła. – On...

– Nie ma dość miejsca, nie zwracaj na niego uwagi. Własnych spodni nie zdejmie, a co dopiero twoich. Zachowuj się, jakby ci pies napastował nogę.

Czy słyszałam w głosie Dwalii okrutną satysfakcję? Czy czerpała radość z upokorzenia Alarii?

– Są teraz trudniejsze sprawy niż fakt, że dotyka cię mężczyzna – podsumowała.

– Akurat w tym nie kryje się żadne niebezpieczeństwo.

Alaria nic już nie powiedziała, tylko pojękiwała piskliwie, w rytm coraz gwałtowniejszych ruchów żołdaka.

– Co z Pszczołą? – zapytała lingstra. – Przeszła? Żyje?

Milczałam. Odkąd udało mi się jako tako ochronić wybity bark, mimo bólu macałam dookoła, by zorientować się w naszym położeniu. Pode mną lity kamień. Po lewej Kerf. Po prawej, tak daleko, jak sięgałam – kamienna ściana. Wyciągnąwszy rękę w górę, musnęłam palcami twardą płaszczyznę, obrobiony kamień, gładki jak błyszcząca posadzka. Na ile mogłam, zbadalam, co mam za stopami. Też skałę. A cała przestrzeń była tak ciasna, że nie zdołałabym usiąść, nawet gdybym znalazła się tu całkiem sama.

Najemnik poruszał się szybciej, głośniejszą sapnął przez otwarte usta.

– Alario, pomacaj dookoła. Czy Pszczoła wyszła z kamienia?

– Wyszła... na pewno. Och! Ja wyszłam... trzymając... się jej. – Głos miała z każdym słowem wyższy i cichszy, a żołdak robił swoje. – Ohyda! – zawyła wściekle. – Obślinia mi twarz! Jak on śmierdzi! Przestań! Dosyć tego! – wrzasnęła, lecz Kerf ani myślał jej słuchać.

Pochrząkiwał i dziwacznie charczał.

– Czujesz ją tam? – spytała Dwalia. – Żyje?

Znieruchomiałam. Mimo gwałtownych ruchów mężczyzny wyczułam dłoń luriki. Wstrzymałam oddech. Dotknęła mojej twarzy, potem klatki piersiowej.

– Tu leży. Nie rusza się, ale jest ciepła. Vindeliarze! Każ mu przestać!

– Nie mogę. Źle się czuję. Niedobrze mi.

– Vindeliarze, dla własnego dobra pamiętaj, że ja i tylko ja wydaję ci rozkazy. Alario, zamilknij.

– Ilu ich tam było...! – jęknął Vindeliar. – I wszyscy się mnie czepiali... Niedobrze mi.

– Cierp w milczeniu! – warknęła lingstra.

Alaria z przerażenia ledwo śmiała oddychać. Nie odezwała się ponownie, lecz popłakiwała cicho. Na jej szloch nałożył się w pewnym momencie głęboki jęk żołdaka, który najwyraźniej w końcu osiągnął jakiś rodzaj spełnienia. Wtedy lurika chciała się jakoś wywinąć, lecz on znów ją do siebie przygarnął – poczułam tężęjące

mięśnie jego ramienia – i w ten sposób zniweczył wszelkiej jej wysiłki. Przytrzymał ją w miejscu w żelaznym uścisku. Tym lepiej. Za nic w świecie nie chciałam, żeby się na mnie z niego stoczyła.

– Macajcie dookoła – rozkazała Dwalia. – Może któreś znajdzie jakąś szczelinę w tych katakumbach.

Niezbyt szczęśliwy dobór słów.

– Katakumby... – powtórzył Vindeliar i jęknął.

– Cisza! – syknęła lingstra. – Macaj nad głową. Jest jakieś wyjście?

Słyszałam ich ruchy, szuranie palców na kamieniu, skrzypienie butów. Nawet nie drgnęłam.

– I co? – spytała Dwalia po jakimś czasie.

– Nic – odrzekła naburmuszona Alaria. – Tylko i wyłącznie kamień, gdziekolwiek sięgnę. Nie mam miejsca nawet na to, żeby podnieść głowę. Jest tam dalej jakaś przestrzeń?

Najemnik oddychał wolno i spokojnie, a mięśnie ramienia miał rozluźnione, z czego wywnioskowałam, że zasnął. Szaleństwo było, zapewne, w niektórych sytuacjach, miłosierne.

– Czy dopuściłabym, żeby Vindeliar na mnie leżał, gdybym mogła się przesunąć? – spytała Dwalia kąśliwie.

Cisza.

– Lepiej zabierz nas tam, gdzie byliśmy poprzednio – podsunęła Alaria.

– Niestety Kerf, wychodząc z kamienia, zsunął mnie w bok i wepchnął na mnie Vindeliara. Teraz on leży na filarze przejścia. Ja tam w ogóle nie sięgam.

– Ściśnięci jesteśmy jak szprotki w beczce – zauważył smutno Vindeliar. – Pewnie tutaj umrzemy – dodał żałośnie.

– Jak to? – wychrypiała Alaria ze zgrozą. – Tutaj, w tych ciemnościach...? Pewnie z głodu...

– Nie ma jak się wydostać – zawtórował jej Vindeliar posępnie.

– Cisza! – zarządziła Dwalia, lecz było już za późno.

Alaria się załamała. Wybuchnęła płaczem, zanosła się szlochem bez opamiętania. Po chwili usłyszałam także zduszone łkanie Vindeliara.

Umrzemy?

W mojej piersi narastał krzyk.

Kto umrze pierwszy?

„Takie myślenie nic nie daje” – skarcił mnie wilk-ojciec. – „Oddychaj. Głęboko”. Jego rzeczowy ton pomógł mi zdusić panikę w zarodku.

„Myśl teraz o tym, jak uciec. Dasz radę wejść w kamień sama? Sięgniesz pod

tym wielkim i otworzysz przejście, żebyśmy wrócili do lasu?”.

„Nie wiem”.

„Spróbuj”.

„Boję się. Co będzie, jeśli utknę w kamieniu? Albo wyjdę z niego w jakimś obcym miejscu?”.

„A co będzie, jeżeli zostaniesz tutaj i umrzesz z głodu? A przecież wcześniej oni oszaleją i rzucają się na siebie nawzajem. Próbuj”.

Gdy zsunęłam się z Kerfa, wylądowałam na plecach. Teraz przekręciłam się na bok. Musiałam przy tym położyć się na wybitym barku. I właśnie tę rękę wepchnąć pod Kerfa, cięższego jeszcze o Alarię. Starłam się zrobić to powoli, ostrożnie, przyciskając dłoń do kamienia pod lędźwiami żołdaka, gdzie nie przywierał do podłoża tak dokładnie jak gdzie indziej. W pewnym momencie wyrwał mi się jęk bólu.

– Co to? – krzyknęła Alaria. Wyciągnęła rękę w dół i mnie dotknęła. – Pszczoła żyje, rusza się!

– I gryzę! – przypomniałam.

Natychmiast cofnęła dłoń.

Skoro już wiedzieli, że jestem przytomna, nie było powodu zachowywać się dyskretnie. Wepchnęłam rękę pod Kerfa najdalej, jak zdołałam. Poruszył się lekko, przyciskając mi ją do kamienia, po czym beknął i znów zachrapał. Całe ramię paliło mnie żywym ogniem, ale wciskałam je coraz dalej po szorstkiej skale. Zorientowałam się, że dyszę ze strachu, więc zamknęłam usta i od tej chwili oddychałam przez nos. Zachowywałam się dzięki temu ciszej, lecz przerażona byłam tak samo jak wcześniej. Co będzie, jeśli znienacka dotknę runy i kamień mnie wessie? Czy wciągnie mnie razem z Kerfem? Może też Alaria wpadnie ze mną w przejście, gdy otworzę przejście pod nami? Ze strachu pojawiło się parcie na pęcherz. Zacisnęłam nogi. Skupiłam się wyłącznie na przepychaniu dłoni pod Kerfem. W pewnej chwili czubkami palców wyczułam nieznaczne wgłębienie. Zbadałam je ostrożnie. To była runa.

„Czujesz coś? Możesz coś zrobić?”.

Spróbowałam. Nie chciałam, ale spróbowałam. Wetknęłam palce w runę, potarłam czubkami grawerowane rowki.

„Nic się nie dzieje”.

„Dobrze. Wobec tego musimy wymyślić coś innego”.

Słowa brzmiały spokojnie, lecz pod nimi zaczynał kiełkować strach.

Wyciągnięcie ręki spod żołdaka bolało bardziej niż wpychanie jej pod bezwładne ciało. Gdy ją wreszcie oswobodziłam, wróciła panika. Wszystko na mnie napierało,

z każdej strony: z jednego boku Kerf, z drugiego kamień, od dołu też. Musiałam wstać. Musiałam się wyprostować, zaczerpnąć świeżego, chłodnego powietrza.

„Nie marnuj sił” – rzekł wilk-ojciec. – „Jeśli będziesz się szamotać, zaciśniesz siła. Nie ruszaj się i myśl. Myśl”.

Próbowałam, jednak wszystko mnie gniotło i dusiło, Alaria znowu się rozpląkała, Kerf chrapał. Jego żebra naciskały mnie z każdym oddechem. Tunika mi się zwinęła wokół ciała, oplątała rękę. Było za gorąco. Dręczyło mnie pragnienie. Odchrząknęłam, choć wcale nie miałam takiego zamiaru. Narastał we mnie inny dźwięk, niepowstrzymany krzyk.

„Nie. Nic z tych rzeczy. Zamknij oczy, szczeniaku. Bądź ze mną. Jesteśmy w lesie. Pamiętasz, jak pachnie w chłodną noc? Leż bez ruchu. Bądź ze mną”.

Wciągnął mnie w swoje wspomnienia. Znalazłam się w lesie. Nadciągał świt. Leżeliśmy w ciepłej norze.

„Czas spać” – powiedział. – „Śpij”.

Najwyraźniej zasnęłam, a gdy się obudziłam, wciąż miałam w sobie spokój, który mi podarował. Niczym innym nie dysponowałam. W smolistej czerni mierzyłam upływ czasu zachowaniem pozostałych osób. Kerf obudził się, gdy Alaria dostała hysterii. Objął ją i coś jej nucił, może kołysankę ze swojej ojczyzny. Po jakimś czasie lurika się uspokoiła. Potem Dwalia wpadła w furję i wrzeszczała z bezsilności, gdy Vindeliar zrobił siku.

– Wstrzymywałem tak długo, jak mogłem – lamentował.

Od woni uryny mnie także zachciało się siusiać.

Dwalia coś do niego szepnęła, głosem śmiertelnie łagodnym, jak syk węża, a on zaczął szlochać. Później łkanie ustało, domyśliłam się, że usnął. Alaria milczała. Kerf zaczął śpiewać, tym razem nie kołysankę, ale jakiś marsz. Nagle przerwał w połowie wersu.

– Dziewczynko? – odezwał się. – Pszczoło. Żyjesz?

– Żyję – odpowiedziałam, bo ucieszyłam się, że przestał śpiewać.

– Pogubiłem się. Gdy szliśmy przez kamień, byłem pewien, że jesteśmy martwi. Skoro jednak żyjemy, niedobrze byłoby umierać w ten sposób. Myślę, że dam radę sięgnąć do twojej szyi. Czy chcesz, żebym cię udusił? To nie będzie szybka śmierć, jednak szybsza niż głodowa.

Troskliwy się znalazł.

– Nie, dziękuję. Jeszcze nie teraz.

– Nie powinnaś zwlekać zbyt długo. Za jakiś czas osłabnę. No i wkrótce zrobi się tu bardzo nieprzyjemnie. Wiesz: szczyzny. Kupy. Histeria.

– Zaczekam. – Usłyszałam coś. – Ćśśś!

– Wiem, że moje słowa są przykre, ale chcę tylko cię przygotować. Możliwe, że dałbym radę skrócić ci kark. Tak byłoby szybciej.

– Nie. Jeszcze nie teraz.

Jeszcze nie teraz? Co ja w ogóle wygadywałam?

Gdzieś z daleka znowu dobiegł jakiś dźwięk.

– Słuchajcie! – odezwałam się. – Słyszycie?

Alaria się poruszyła.

– Co takiego? – spytała.

– Co słyszysz? – sapnęła Dwalia.

– Uciszcie się! – huknęłam na nich wściekłym głosem ojca, a oni usłuchali.

Jakiś czas wszyscy nadstawialiśmy uszu. Wyłapałam dalekie odgłosy. Powolne kląskanie podków na bruku. Jakaś kobieta coś zaśpiewała.

– To modlitwa? – zapytała Alaria.

– Domokrążca jedzie – wyjaśnił Kerf. – Śpiewa: „Chleb z nocnego wypieku, ciepły, prosto z pieca” – zanucił ckliwie.

– Ratunku! – krzyknęła Alaria tak przenikliwie, że aż mi w uszach zadźwięczało.

– Pomocy! Wyciągnij nas!

Gdy wreszcie umilkła z braku tchu, w uszach dzwoniło mi tak, że nic innego nie słyszałam. Wyteżałam słuch, by wyłapać głuchy odgłos podków albo śpiew kobiety, lecz nie docierało do mnie nic.

– Odjechała – stwierdził ze smutkiem Vindeljar.

– Jesteśmy w mieście – oznajmił Kerf. – Tylko w miastach sprzedaje się chleb na ulicach. O świcie. – Zamilkł na moment, po czym dodał. – Myślałem, że nie żyjemy. Że właśnie dlatego chcecie dotrzeć do zburzonego pałacu martwego księcia. Żeby tutaj trwać po śmierci. Ale czy po śmierci słyszać domokrążców? Wątpię. Po co martwym świeży chleb? – Wnikliwe pytanie nagrodziła cisza.

Nie wiem, nad czym zastanawiali się inni, lecz ja rozważałam jego poprzednie słowa. Zburzony pałac. Ile kamienia znajdowało się nad naszym grobowcem?

– Wobec tego – podjął Kerf z nieubłaganą logiką – nie jesteśmy martwi, ale niedługo będziemy, jeżeli się stąd nie wydostaniemy. Możliwe, że niedługo usłyszymy innych ludzi, a oni usłyszą nasze wołanie o pomoc.

– Dlatego teraz bądźcie cicho! – nakazała nam Dwalia. – I słuchajcie. Powiem wam, kiedy wzywać pomocy. Wtedy będziemy krzyczeć razem.

Czekaliśmy w dławiącej ciszy. I niekiedy dobiegały do nas odgłosy miasta. Dzwon ze świątyni. Ryk wołu. Raz wydawało nam się, że usłyszeliśmy kobietę wołającą dziecko. Wtedy Dwalia kazała nam wszystkim jednym głosem wołać o ratunek. Mnie się jednak zdawało, że ani jeden z wyłowionych dźwięków nie

rozbrzmiewał blisko. Chyba znajdowaliśmy się na jakimś wzgórzu za miastem, a nie w samym mieście. Po jakimś czasie Vindeliar znowu zrobił siku i Alaria, zdaje się, też. Smród stawał się nie do zniesienia. Uryna, pot, strach. Usiłowałam sobie wyobrazić, że leżę we własnym łóżku w Białym Gaju. W pokoju jest ciemno. Niedługo zajrzy tata. Zawsze sądził, że śpię kamiennym snem, gdy zaglądał do mojego pokoju, nim sam się położył. Patrzyłam w ciemność i wyobrażałam sobie jego kroki w korytarzu. Od wpatrywania się w czernią zaczęły mi tańczyć przed oczyma jasne plamki. Zamrugałam i uświadomiłam sobie, że jedna z plamek zmieniła się w wąski pasek.

Patrzyłam nań pozbawiona odwagi, by mieć nadzieję. Wolno podniosłam nogę. Jak najwyżej. Zasłoniła część światła. Gdy ją opuściłam, światło pojawiło się znów, mocniejsze.

– Widzę światło – szepnęłam.

– Gdzie?

– W nogach.

Wślizgiwało się coraz śmieiej. Zaczęłam rozróżniać nierówne bloki, pod którymi tkwiliśmy. Obrobione, owszem, jednak raczej zwalone w nieładzie, niż celowo ułożone.

– Nic nie widzę – stwierdziła Dwalia, jakby zarzucała mi kłamstwo.

– Ani ja – przyznał Kerf. – Moja kobieta mi zasłania.

– Nie jestem twoją kobietą! – zaprotestowała z oburzeniem Alaria.

– Spałaś na mnie. Nasikałaś na mnie. Jesteś moja.

Uniesioną nogą ledwo sięgałam jasnej szczeliny. Wycelowałam w nią paluchem i pchnęłam. Usłyszałam, jak nad naszym więzieniem potoczył się żwir i szpara nieco się rozszerzyła. Przekręciłam się na bok, tyle, ile mogłam, i zaparłam się o Kerfa, by przysunąć się bliżej do światła, tak, żeby o blok pod jasną smugą oprzeć całą stopę. Udało mi się. Napałam na kamień. Z góry osypało się więcej, nieco większych, odłamków skalnych, niektóre zagrzechotały mi o but. Światło rozjarzyło się wyraźniej. Kopnęłam z całej siły. Wolna przestrzeń powiększyła się do rozmiarów mojej dłoni. Zaczęłam uderzać stopami, jakbym tańczyła na mrowisku. Żwir już nie leciał. Kopnęłam w kamień leżący na czarnej ścianie i nic nie zyskałam. Drugi raz, i kolejny, i znów, i jeszcze. Przestałam, gdy opadłam z sił. Wtedy uświadomiłam sobie, że pozostali coś krzyczą: zadają pytania i dodają mi odwagi. Nieważne. Nie pozwoliłam, by opanował mnie spokój wilka-ojca. Popatrzyłam w niewyraźnie oświetlony sufit mojego grobu i załkałam.

Żołdak odsunął mnie na bok, by przenieść ręce nad głowę i zaprzeć się nimi o skałę. Jęknął i niespodziewanie się o mnie oparł. Biodrem przygniół mi żebra,

przycisnął mnie do ściany, straciłam oddech. Alaria, wgnieciona w sufit, wydawała z siebie piskliwe krzyki. A Kerf podciągnął kolano w górę, omal mnie przy tym miażdżąc, i z głośnym wydechem kopnął z całej siły.

Posypał się żwir, do oczu i nosa naleciało mi pyłu. Zasypało mi też usta. Kerf nadal mnie przygniatał, nie mogłam oswobodzić rąk, by otrzeć twarz. Skalne drobinki przylepiły mi się do śladów łez na policzkach, powpadały za kołnierz. Chwilę później, gdy kurz prawie całkiem opadł, a mnie omal udało się nabrać powietrza, Kerf kopnął ponownie. Tym razem pojawiła się pionowa smuga światła.

– To kamienny blok – ocenił Kerf. – Spróbuj jeszcze raz, malutka. Tylko teraz pchaj, a nie kop. Ja ci pomogę. Przyłóż stopę tam, na dolnym końcu.

– A jeśli na nas spadnie?

– Szybka śmierć.

Wkręciłam się bliżej światła. Ugięłam kolana, oparłam stopy na krańcu skalnego bloku. Najemnik ustawił swoją wielką stopę pomiędzy moimi i nieco dalej od końca.

– Pchaj – polecił.

Usłuchałam.

Kamień zachrząścił niechętnie, lecz drgnął. Chwila odpoczynku, potem pchnęliśmy znowu. Szczelina szerokości dłoni. Po kolejnym wysiłku skalny blok o coś się zaparł. Pchnęliśmy jeszcze trzy razy, nim drgnął ponownie, wtedy obrócił się nieco w lewo. Następny ruch okazał się łatwiejszy. Ułożyłam się w lepszej pozycji.

Zanim powiększyliśmy otwór na tyle, bym zdołała się przez niego przecisnąć, słońce chyliło się już ku zachodowi. Wysunęłam najpierw nogi, potem z niemałym wysiłkiem przepchnęłam biodra, zdzierając sobie z nich skórę i rozrywając tunikę. Wreszcie ramiona i głowa. Usiadłam, otarłam z twarzy kurz i żwir. Słyszałam głównie krzyki pozostałych. Żądali, bym odsunęła kamień i powiedziała, gdzie jesteśmy. Zignorowałam ich. Nie obchodziło mnie, gdzie się znajdujemy. Mogłam oddychać i nikt mnie nie dotykał. Raz za razem kilkakrotnie odetchnęłam głęboko chłodnym powietrzem, ponownie oczyściłam twarz, tym razem rękawem. Zatoczyłam szeroki krąg zdrowym ramieniem.

Wyszłam.

– Co widzisz?! – wrzeszczała Dwalia wściekle. – Gdzie jesteśmy?!

Rozejrzałam się dookoła. Ruiny. Teraz dobrze widziałam, czym był nasz grobowiec. Całkiem nie tym, czego się spodziewałam. Poprzewracały się tutaj ogromne kamienne bloki. Najpierw upadł filar, potem na nim wsparła się wielka płyta, a na niej spoczęły inne fragmenty budowli. Za sprawą zrzędzenia losu filar

nie leżał całkiem płasko. Podniosłam spojrzenie na ciemniejące niebo, za szczerbatą linią zburzonych ścian, potem spuściłam je na widoczne na filarze runy. W zasięgu wzroku miałam drugą czarną kolumnę, także obaloną na posadzkę. Odsunęłam się od obu.

Dwalia i jej towarzysze stale do mnie wołali, wydając sprzeczne rozkazy: „Sprowadź pomoc”, „Czekaj”, „Mów, co widzisz...”. Nie odpowiadałam. Znowu usłyszałam w oddali świątynny dzwon. Zrobiłam trzy kroki w bok, by żadne z nich mnie nie widziało, kucnęłam i nareszcie się wypróżniłam. Wstając, usłyszałam grzechot kamieni, a po chwili zobaczyłam nogi żołdaka wyłaniające się z powiększonego otworu. W pośpiechu podciągnęłam spodnie. Zaparł się i przesunął głaz. Z otworu dobiegły krzyki: „Uważaj!”, „Zwalisz na nas!”... Nie zrobiły na nim wrażenia.

– Muszę uciekać – szepnęłam.

„Jeszcze nie” – sprzeciwił się wilk-ojciec. – „Tutaj wiesz, co ci grozi. Najemnik jest dla ciebie miły. Pewnie jesteśmy w Krainie Miedzi, a ty nie znasz tutaj języka ani zwyczajów. Może nam się poszczęści i kamień spadnie na pozostałych. Schowaj się i obserwuj”.

Cofnęłam się między zwalone bloki, ukryłam w miejscu, z którego widziałam, nie będąc widzianą. Kerf przecisnął się przez otwór podobnie jak ja. Najpierw nogi, dalej pośladki, a gdy oswobodził biodra, nie wypełzał na plecy, lecz skręcił się w pasie i wydobył z czeluści najpierw jeden, a potem drugi bark. W końcu stanął obsypany szarym kurzem i drobnymi kamykami, podobny do rzeźby, która niespodziewanie ożyła. Zamrugnął oślepiiony światłem późnego dnia. Jego blade oczy w poszarzałej twarzy były zdumiewająco jasne. Obliznął wargi, a czerwony język dziwił w ogólnym braku kolorów jeszcze bardziej. Rozejrzał się dookoła, po czym wszedł na jeden z bloków skalnych i potoczył wzrokiem po okolicy. Skuliłam się, przywarłam do kamienia.

– Bezpiecznie jest?! – zawołała Alaria.

Nie czekając na odpowiedź, wetknęła stopy w otwór. Mniejsza i lżejsza niż najemnik, ale tak samo brudna, wyłoniła się na powierzchni, usiadła i z jękiem otarła twarz.

– Gdzie jesteśmy? – spytała.

– W Krainie Miedzi – odparł Kerf z uśmiechem. – Do domu mam dwa kroki. Znam to miejsce, choć bardzo się zmieniło. Tutaj opłakiwaliśmy dziadka. Na końcu wielkiej sali stał książęcy tron. To pewnie będzie gdzieś tam. Tyle zostało z pałacu starego księcia, jak mu go smoki zwały na głowę. – Kichnął potężnie kilka razy i oczyścił twarz ramieniem. – Tak. – Pokiwał głową. – A księżna ogłosiła, że to

miejsce jest gniazdem zła, i poprzysięgła nigdy go nie odbudować. – Ściągnął lekko brwi, jakby szukał jakiegoś wspomnienia, trudnego czy bolesnego. – A księżę Ellik – odezwał się w końcu wolno, trochę jakby mówił przez sen – obiecał, że odbuduje zamek w pierwszej kolejności i w nim będzie rządził.

Alaria dźwignęła się na nogi.

– Kraina Miedzi? – szepnęła.

Kerf obrócił się do niej z szerokim uśmiechem.

– Nasz dom! Matka przyjmie cię z radością. Od dawna chciała, żebym sprowadził kobietę, która pomoże jej i moim siostram w pracach domowych i urodzi mi dzieci.

– Nie jestem twoją żoną!

– Jeszcze nie. Ale jeśli ciężką pracą udowodnisz, że jesteś tego warta, a do tego będziesz rodzić zdrowe, silne dzieci, to kto wie, może się z tobą ożenię. Niejedna zdobycz wojenna została żoną. O ile mi wiadomo.

– Nie jestem zdobyczą wojenną – oznajmiła z mocą.

Kerf pokręcił głową i przewrócił oczyma rozbawiony jej durnym uporem. Alaria wyglądała, jakby miała ochotę zacząć wrzeszczeć wniebogłosy, wydrapać mu oczy, albo puścić się biegiem w siną dal. Nic takiego jednak nie zrobiła. Zainteresowała się kolejną parą nóg wystających z naszego niedoszłego grobowca. To był Vindeliar. Szurał i kopał, ale poza nogami nic się nie pokazywało.

– Utknąłem! – zawołał spanikowany.

– Odsuń się! – krzyknęła Dwalia. Ledwo ją było słychać. – Mówiłam ci, że wychodzę pierwsza!

– Nie było miejsca! – Teraz już prawie płakał. – Musiałem iść pierwszy. Powiedziałaś: „złaż ze mnie”, a tylko w ten sposób mogłem wykonać polecenie.

Lingstra zaczęła go wyklinać i obelżywych słów starczyło jej na długo. Vindeliar robił, co mógł, lecz efekty były niewielkie. Skorzystałam z ogólnego zamieszania i hałasu, by wycofać się nieco dalej. Przycupnęłam za okrągłym fragmentem jakiejś kolumny. Z nowej kryjówki miałam doskonały widok, a sama pozostawałam niewidoczna.

Vindeliar się zaklinał. Bezradnie bębnił piętami w ziemię niczym rozzłoszczone dziecko. Utknął na dobre.

I świetnie, pomyślałam z pasją.

Niech będzie korkiem, który na wieki uwięzi Dwalię w kamiennym grobie.

Chociaż niekiedy okazywał mi sympatię, doskonale zdawałam sobie sprawę, że stanowi dla mnie ogromne zagrożenie. Sama Dwalia nigdy by mnie nie schwytała, gdy uciekłam. To właśnie Vindeliar wykorzystał przeciwko mnie najemnika i w ten

sposób przypieczętował mój los.

– Bracie mój! – krzyczał Vindeliar. – Bracie ukochany! Błagam, uwolnij mnie, odsuń ten kamień!

Nawet nie drgnęłam. Tkwiłam w ukryciu, wyglądając ostrożnie. Natomiast Kerf podszedł do kamienia.

– Uwaga na gruz!

Pochylił się, naparł barkiem na blokujący wyjście głaz. Usłyszałam chrzęst szorstkiej powierzchni na starożytniej posadzce, a do naszego niedoszłego grobu poleciały drobne odłamki skalne oraz żwir. Dwalia krzyknęła z przestachu, lecz spadające kamyki mogły ją co najwyżej posiniaczyć. Gdy otwór znacznie się powiększył, Kerf chwycił wystające z dziury tłuście nogi i szarpnął. Za pierwszym razem mu się nie powiodło, lecz nie zrezygnował. Vindeliar wył jak potępieniec, a najemnik, nie zwracając na to najmniejszej uwagi, wyciągał go jak korek z butelki. Stękał przy tym z wysiłku, aż w końcu osiągnął cel. Lurik usiadł ledwo przytomny, na szarej od pyłu twarzy wyraźnie odcinało się krwawe rozcięcie.

– Jestem wolny! – oznajmił głośno, jakby jeszcze ktoś tego nie wiedział.

– Odsuń się! – krzyknęła Dwalia.

Nie miałam ochoty na nią patrzeć. Skuliłam się, przywarłam do ziemi i odpęzłam. Oddalałam się, uważnie wybierając drogę w labiryncie kamieni, głazów i skał, w ruinach dawnego pałacu. Cichuteńko jak myszka. Ukośne promienie wiosennego słońca tworzyły z cieni różnorakie kształty. Dotarłam do miejsca, gdzie zwalona ściana oparła się na przewróconym filarze, tworząc coś w rodzaju kamiennego namiotu, i wcisnęłam się w ciasną przestrzeń między nimi.

„Zostań w ukryciu. Łatwiej wypatrywać ruchu i nadsłuchiwać twoich kroków niż szukać cię w tych gruzach”.

Byłam sama, głodna i spragniona, w dalekim mieście, w obcym kraju, gdzie mieszkańcy używali języka, z którego nie rozumiałam ani słowa.

Ale byłam wolna. Uciekłam.

Rozdział 5

Pertraktacje

W kamiennej misie tkwi wąż. Zanurzony w zupie. Ciecz śmierdzi, wiem, że to nie zupa. To bardzo brudna woda pełna gadzich odchodów. Jakaś postać zbliża się do misy, wtedy widzę, jak ogromne jest zwierzę. Kilkakrotnie większe od podchodzącej osoby. Ona sięga między pręty otaczające basen, by nabrać trochę brudnego płynu. Siorbiąc, wypija kilka łyków i na jej twarzy rozlewa się szkaradny uśmiech. Nie chcę patrzeć na tego kogoś, jest okropny. Wąż spręży się, atakuje, próbuje go ukąsić. A on śmieje się i odchodzi, szurając nogami.

Z „Dziennika snów” Pszczoły Przezornej

Chociaż strój otrzymany od Najstarszych był naprawdę wygodny, to jednak nie czułem się należycie odziany na spotkanie z opiekunami smoków, póki nie odzyskałem własnego ubrania. Zacisnąłem skórzany pas, a zapinając klamrę, zorientowałem się, że musiałem go poluzować o dwie dziurki. Przybrałem na wadze od czasu, gdy wyruszyłem z Koziej Twierdzy. Skórzana kamizela świetnie pełniła rolę lekkiej zbroi. W zasadzie nie oczekiwałem, by mnie ktokolwiek atakował nożem, jednak nigdy nic nie wiadomo. Różne szczególne drobiazgi, poukrywane w sekretnych kieszeniach, pozwalały mi w razie potrzeby dokonać zabójstwa. Uśmiechnąłem się, uświadomiwszy sobie, że cały ten zestaw niezbędnych w moim fachu narzędzi ktoś powyjmował ze schowków przed oddaniem ubrań do oczyszczenia, a następnie powkładał je z powrotem we właściwe miejsca. Nie skomentowałem tego, słowem nie odezwałem się do Skierki na ten temat, wygładziłem kamizelę i poklepałem kieszeń skrywającą wyjątkowo dyskretną garotę. Dziewczyna lekko uniosła brew. Więcej nie było trzeba.

Opuściłem pokój, by mogła swobodnie zająć się pomaganiem pani Amber w szykowaniu stroju oraz fryzury. Poszedłem do Strzyka. Ten był już gotowy, a towarzystwa dotrzymywał mu Niestrudzony. Pojawiło mi się w głowie niewyraźne wspomnienie rozmowy tych dwóch młodych ludzi. Nie przywoływałem go ani nie odświeżałem. Co było, to było. Strzyk już się mnie nie bał, a jeśli chodzi

o instrukcje na mój temat, jakie dostał od ojca, cóż... To będzie wymagało rozmowy w cztery oczy.

– Możemy ruszać? – zapytał dawny tutor, wsuwając nożyk o płaskiej rękojeści do pochwy ukrytej na biodrze.

Zaskoczył mnie. Kimże właściwie był ten człowiek? Odpowiedź szybko przyszła sama. Oto miałem przed oczyma Strzyka, którego Rebus i Pokrzywa lubili oraz doceniali. Niespodziewanie pojąłem, dlaczego Cierń nakazał mu mnie strzec. Nie schlebiało mi to szczególnie, jednak w zastanawiający sposób dodawało otuchy.

Niestrudzony miał ściągnięte brwi.

– Mam siedzieć przy jednym stole z państwem? Dziwne, bardzo dziwne.

W ciągu kilku miesięcy chłopak stajenny awansował na osobistego służącego dzierżawcy. A w zasadzie, by pozostać w zgodzie z prawdą, na mojego towarzysza.

– Nie wiem – przyznałem. – Jeżeli posadzą cię ze Skierką przy innym stole, trzymajcie się razem.

Chłopak uśmiechnął się niewesoło.

– Panie, czy mogę cię o coś spytać?

– Pytaj – przystałem bez entuzjazmu.

Miałem tremę przed spotkaniem z opiekunami smoków, nie chciałem się rozpraszać. Niestrudzony rzucił spojrzenie z ukosa na Strzyka, jakby wstydził się przy nim poruszyć swoją kwestię.

– Chodzi mi o czarnoksiężnika Szarego – zaczął w końcu. – Czasami nazywasz go, panie, Błaznem, a teraz jest panią Amber...

– Rzeczywiście – zgodziłem się i czekałem.

Strzyk milczał, nadstawivszy uszu, równie zaintrygowany przemianami Błazna, jak chłopak.

– A Popiół zmienił się w Skierkę...

Pokiwałem głową.

– To prawda.

– A Skierka jest dziewczyną.

Znów kiwnąłem głową.

Zacisnął wargi, jakby chciał za nimi uwięzić niesforną wątpliwość. W końcu jednak wybuchnął:

– Czy to nie jest dziwne, panie? Nie przeszkadza ci taka niestałość?

Roześmiałem się w głos.

– Znam go od dawna, w niejednym przebraniu widziałem. Za moich dziecięcych lat był trefnisiem u króla Roztropnego. Błaznem. Następnie został panem Złocistym, potem czarnoksiężnikiem Szarym, teraz panią Amber. Chociaż każda z tych postaci

jest inna, to wciąż mój serdeczny przyjaciel. – Zdecydowałem się na szczerość. – Gdybym był w twoim wieku, te zmiany z pewnością by mi przeszkadzały. Teraz jednak nie są dla mnie istotne, bo wiem, z kim mam do czynienia naprawdę. Wiem też, kim sam jestem oraz co nas łączy. A to się nie zmienia, niezależnie od stroju, który mój przyjaciel włoży, lub imienia, jakie sobie nada. Czy jestem dzierzawcą, Tomem Borsuczowłosym, czy też księciem Bastardem Rycerskim Przezornym, wiem, że mam w nim bratnią duszę.

Chłopak odetchnął z wyraźną ulgą.

– Wobec tego nie będę się martwił, że mi takie zmiany nie przeszkadzają u Skierki. Widziałem, że ty sobie nic z nich nie robisz, panie, więc postanowiłem też nie brać sobie tego do serca. – Pokręcił głową lekko zakłopotany i dodał: – Jako dziewczyna jest całkiem ładny.

– Szczera prawda – wsparł go cicho Strzyk.

Sporo wysiłku kosztowało mnie powstrzymanie uśmiechu.

– Czyli tak naprawdę – podjął Trud – Popiół jest panną i ma na imię Skierka?

Oto nieco trudniejsze pytanie.

– Skierka jest, kim jest. Czasami zmienia się w Popioła. To trochę tak jak w przypadku, gdy mężczyzna jest ojcem i równocześnie synem, a być może także mężem. Jeden człowiek miewa różne oblicza.

– Z Popiołem łatwiej się gadało. – Westchnął. – Robiliśmy niezłe psikusy.

Stuknięcie w drzwi zawiadomiło nas o przybyciu pani Amber z pomocnicą. Obie dołożyły wszelkich starań, by wyglądała olśniewająco, i osiągnęły pożądany stan. Długa spódnica oraz koronkowa bluzka, zdobiona wstążkami, uzupełniona wyszywanym bezrękawnikiem, nie uchybiały standardom Koziej Twierdzy. Szczególnie dużo uwagi poświęciła dama... choć może nie tyle ona sama, ile Skierka, czerwieni na ustach i pudrowi skrywającemu blizny. Niewidzące oczy zostały obwiedzione czarną linią podkreślającą mleczone spojrzenie. Skierka natomiast była śliczną dziewczuszką – i nikim innym. Postanowiła tego dnia przedstawić się w takiej postaci, by nie ściągać na siebie uwagi. Włosy, oswobodzone z żołnierskiego kucyka, jaki zwykle nosił Popiół, spływały czarną falą na ramiona. Bluzka z wysokim kołnierzykiem miała neutralny kolor karmelowy, a lekka, krótka peleryna o prostym kroju skrywała i piersi, i talię.

Pani Amber przywołała na twarz rozbawiony uśmiech. Czyżby wyczuła osłupiałe spojrzenia obu młodych ludzi?

– Wyglądasz w tym stroju znacznie lepiej niż pani Tymianek – skomplementowałem ją szczerze.

– Mam nadzieję, że i pachnę przyjemniej – odparł Błazen.

– Kto to jest pani Tymianek? – zapytał Strzyk.

Na moment zapadła cisza, po czym obaj z Błaznem gruchnęliśmy śmiechem. Już prawie udało mi się uspokoić, gdy mój serdeczny przyjaciel sapnął:

– Twój ojciec!

I znów obaj wybuchnęliśmy gromkim śmiechem.

Strzyk nie wiedział, czy pytać dalej, czy lepiej się obrazić.

– Nie wiem, co w tym śmiesznego – przyznała Skierka. – Zabraliśmy ubrania jakiejś starszej kobiety...

– To długa historia – odparła pani Amber wyniośle, jak prawdziwa dama. – Teraz zdradzę ci jeden szczegół: z komnaty pani Tymianek sekretne przejście prowadzi do pracowni wielmożnego pana Ciernia. Swego czasu, jeśli miał ochotę wyjść z ukrycia, pokazywał się między ludźmi jako... tak, zgadłaś, jako pani Tymianek.

Strzyk słuchał z otwartymi ustami.

– Pani Tymianek była jednym z najlepszych wcieleń twojego ojca – zwrócił się do niego Błazen. – Ale to już opowieść na inną okazję, bo teraz musimy iść.

– Nie będziemy czekać na zaproszenie? – spytałem.

– Nie, ponieważ w Deszczowych Ostępach obowiązują zasady dobrego wychowania podobne raczej do tych, jakie znamy z Miasta Wolnego Handlu, a nie od jamailliańskiej arystokracji. Ceni się równość, bezpośredniość i zdrowy rozsądek. Jesteś księciem, Bastardem Rycerskim, więc sam o sobie decydujesz. Natomiast, między nami mówiąc, ja znam tutejsze zwyczaje lepiej, więc to ja będę negocjować.

– Na jaki temat?

– Podróży. Przez tutejszą krainę, a zapewne także dalej.

– Nie mamy nic do zaoferowania – zauważyłem. – Spora część mojej gotówki, a także różne cenne przedmioty przepadły w czasie ataku niedźwiedzia.

– Coś wymyślę.

– Tylko nie obiecuj, że będę leczył. Nie mogę.

Uniosła delikatnie zarysowane brwi.

– Któż wie o tym lepiej niż ja?

Wysunęła przed siebie dłoń w rękawicze. Postąpiłem krok i wsunąłem sobie jej rękę pod ramię. Zobaczyłem jeszcze, jak Strzyk uśmiechnął się od ucha do ucha, gdy Niestrudzony podsunął zgięty łokieć Skierce. Dziewczyna wydawała się zdziwiona, lecz nie zaprotestowała. Odetchnąłem głębiej.

– Ruszamy – przestrzegłem.



U podnóża schodów czekała służąca gotowa zaprowadzić nas na miejsce spotkania. Komnata okazała się urządzona bogato i elegancko, choć nie było w niej ani gobelinów, ani wzorzystych dywanów, ponieważ ścian i podłogi nie należało zakrywać. Można było odnieść wrażenie, że kolacja została przyszykowana na świeżym powietrzu, na nizinie otoczonej jesiennymi wzgórzami skąpanymi w zieleni i złocie. Stąpaliśmy po soczystej murawie obsypanej kwiatami. Tylko nieruchome powietrze oraz zmysł dotyku, który nie pozwalał zapomnieć, że idziemy po kamieniu, zakłócały iluzję. Skierka opisała scenerię pani Amber, a ta uśmiechnęła się tęsknie.

Cztery długie stoły tworzyły szeroką literę U, krzesła ustawiono przodem do środka. Żadne z miejsc nie było główne ani szczególne, nie przewidziano wyjątków. Niektórzy opiekunowie już siedzieli, inni rozmawiali, stojąc w grupkach. Wyglądali dokładnie tak jak na gobelinie, który wisiał na ścianie w mojej chłopięcej sypialni. Wysocy i smukli, o oczach złotych, miedzianych lub w kolorze rozświetlonego błękitu. Wszyscy mieli łuski, jedni mniej, drudzy więcej, jednak zawsze poukładane w fantastyczne wzory i precyzyjnie odpasowane, niczym ptasie pióra czy barwy na skrzydłach motyla. Piękni i egzotyczni nieodparcie przyciągali spojrzenia. Pomyślałem o dzieciach, które wyleczyłem, i o mieszkańcach Deszczowych Ostępów, których widziałem w czasie pobytu w Kelsingrze. U nich zmiany wydawały się przypadkowe: równie często groteskowe jak ładne. Różnica była uderzająca, a los osób przypadkowo zmienionych przez kontakt ze smokami budził trwogę.

Nasza przewodniczka zniknęła. Staliśmy uśmiechnięci i trochę niepewni. Czy powinienem odprawić Skierkę i Niestrudzonego, czy też oni również zaliczali się, według tutejszych obyczajów, do „emisariuszy z Królestwa Sześciu Księstw”, do których skierowano zaproszenie? Skierka przyciszonym głosem opisywała pani Amber wygląd zgromadzonych. Nie przeszkadzałem.

Generał Rapskał stał wyprostowany między innymi Najstarszymi. Był szerszy w barach od większości swoich rodaków. Ubrany w niebieską tunikę, żółte spodnie i w miękkie buty wyglądał mniej wojowniczo niż wcześniej. Nie miał przy sobie żadnej widocznej broni, choć nie oznaczało to, rzecz jasna, że nie był uzbrojony. Tuż przy nim trzymało się dwóch Najstarszych, którzy wcześniej bez zmruczenia oka wykonywali jego rozkazy. Jeden z nich, jak założyłem, miał na imię Kase. Obu znaczyła pomarańczowa łuska, a zwrócone na nas oczy połyskiwały miedzią. Obaj

też byli mocno umięśnieni. Mogłem spokojnie założyć, że potrafili się bić.

Niebieska Najstarsza dziś miała skrzydła złożone gładko na długiej tunice. Pierzaste łuski tworzyły wzory z błękitu i srebra muśniętego czernią oraz bielą. Możliwe, że jej ciążyły. Długie czarne włosy miała splecione w warkoczyki, z koralikami i srebrnymi ozdóbkami. Jej partner łuskę miał zieloną, a włosy czarne. Oszacował nas wzrokiem, wcale się z tym nie kryjąc, powiedział kilka słów do kobiety, po czym ruszył w naszą stronę. Gdy się z nami witał, ze wszystkich sił starałem się nie zatrzymywać wzroku na dziwnym wzorze łusek biegnących przez jego policzek.

– Książę Bastardzie Rycerski, nazywam się Tats. Razem z Thymarą pragniemy wyrazić wdzięczność za pomoc udzieloną naszej córce. Stopy, a nawet całe nogi ciągle jeszcze ją bolą, ale i tak znacznie łatwiej jej chodzić.

– Cieszę się, że zdołałem pomóc.

Ponieważ nie wyciągnął do mnie dłoni, trzymałem ręce przy sobie.

– Dziękujemy ci, książę – przyłączyła się Thymara. – Po raz pierwszy od wielu tygodni córeczka śpi spokojnie. – Zawahała się, po czym dodała: – Powiedziała, że zupełnie inaczej czuje klatkę piersiową. Nie skarżyła się na nią, ale teraz podobno łatwiej oddycha, gdy skóra jest... luźniejsza?

Ton głosu na końcu zdania przemienił stwierdzenie w pytanie.

Odpowiedziałem uśmiechem.

– Miło mi, że czuje się lepiej.

Coś mi świtało w głowie, pamiętałem grzebień mostka dziewczynki, kość jak u ptaka... Czy taką sobie życzyła? Aby uniknąć nietaktu, postanowiłem nie przyznawać się, że nie wiem, co dokładnie Moc, za moim pośrednictwem, zmieniła w ich dziecku.

Thymara spojrzała mi w oczy ze szczerą wdzięcznością, potem przeniosła wzrok na panią Amber.

– Obyście zostali sprawiedliwie wynagrodzeni – powiedziała cicho.

Rozbrzmiał miły dla uszu kurant. Najstarsza uśmiechnęła się ponownie.

– Będziemy siadać do stołu. Jeszcze raz dziękuję. Jesteśmy zobowiązani.

We dwoje odeszli z gracją, a ja dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że w czasie naszej rozmowy przybyło biesiadników. Kiedyś mogłem nazwać się prawdziwym, zdolnym skrytobójcą, stale świadomym otoczenia. Kiedyś, lecz nie dziś. Zawinił nie tylko fakt, że mury chroniące umysł wzniosłem rzeczywiście wysoko. Straciłem niestety dawny nawyk stałej czujności. Kiedy to ja ostatnio wykazałem się w roli kompetentnego skrytobójcy, solidnie wyuczonego przez Ciernia? Dawno, o, bardzo dawno. Mieszkając z Sikorką w Białym Gaju, byłem z tego zadowolony. Teraz,

tutaj, nabierałem coraz większej pewności, że zaniedbując swoje umiejętności, popełniłem gruby błąd.

– Bądź czujny – szepnąłem do Strzyka. – Jeśli dojrzysz cokolwiek podejrzanego, natychmiast daj mi znać.

Popatrzył na mnie z niedowierzaniem i mało brakowało, a byłby się zaśmiał, jednak w porę zapanował nad mimiką.

Ruszyliśmy nieśpiesznie ku stołom. Nie zauważyłem żadnego protokołu związanego z zajmowaniem miejsc. Para królewska już weszła, lecz była pogrążona w rozmowie z wymizerowaną Najstarszą o niebieskich łuskach. Phron, znacznie żywszy i weselszy niż jeszcze niedawno, towarzyszył rodzicom. Zdawało się, że władcy rozmawiają o nas, gdyż chłopiec dwukrotnie wskazał w naszą stronę. Gdzie powinniśmy usiąść? Dziwaczna sytuacja – i niebezpieczeństwo katastrofy towarzyskiej. Thymara spojrzała na nas, powiedziała coś do męża i szybko do nas podeszła.

– Możecie usiąść, gdzie wam się podoba. Chcecie siedzieć razem?

Bardzo, o, jak bardzo chciałem porozumieć się spojrzeniem z panią Amber! Zamiast tego lekko poklepałem jej dłoń na swoim ramieniu.

– Zostaniemy razem, jeśli można – zdecydowała natychmiast.

– Oczywiście. Tylko... nie widzę pięciu miejsc... – Odezwała się głośniejszym głosem: – Alum, Sylve, Jerd. I Harrikin. Ruszcie się uprzejmie, potrzebne pięć miejsc ciągiem.

Wymienieni przez nią Najstarsi roześmiali się i zgodnie przesunęli.

– Chodźcie – zaprosiła nas Thymara.

Usiedliśmy. Akurat i ona usadowiła się obok męża, gdy podeszła do nas para królewska. Nikt ze zgromadzonych nie oczekiwał uroczystej procesji, nikt nie anonsował nowo przybyłych. Wyglądało to tak, jakby Najstarsi nie mieli tytułów ani szarży. Z wyjątkiem generała Rapskała.

Służba wniosła półmiski i ustawiła je na stole; każdy sam sobie nakładał. Dziczyzna, ptactwo, pieczywa niedużo, natomiast cztery półmiski ryb oraz trzy gatunki warzyw korzeniowych. Jeden rzut oka na stół zdradził mi, że w Kelsingrze nie brakowało jadła, lecz było ono mało urozmaicone.

Niestrudzony i Skierka pogrążyli się w rozmowie z Najstarszym imieniem Harrikin. Dalej siedziała Sylve, dziewczęca, cała w różach i złocistościach, z rzadkimi włosami wyrastającymi spomiędzy łusek tworzących na głowie zawiły wzór. Naszą dwójkę młodych interesowało łapanie ryb, a Sylve bez osłonek opowiadała, jak trudno było wyżywić smoka, gdy wyruszyli z Trehaugu na poszukiwanie Kelsingry. Strzyk słuchał z uśmiechem i potakiwał, lecz równocześnie przeczesywał zgromadzonych uważnym spojrzeniem. Siedząca przy mnie pani

Amber miała po swojej prawej Nortela. Ten objaśnił jej, iż za pierwszym razem w pobliżu fontanny spotkaliśmy jego smoka, Tindera. Wyraził nadzieję, że ten nie zachowywał się agresywnie, i wytłumaczył, jak to smoki nie radzą sobie z zaskakującymi sytuacjami. Pani Amber kiwała głową. Sztuce znalazła tak sprawnie, jakby je widziała.

Jedliśmy. Piliśmy. Rozmawialiśmy w ten dziwny sposób, gdy próbuje się mówić dość głośno, by być słyszonym na tle tuzina innych konwersacji, ale nie krzyczeć. Udział w takim zgromadzeniu różnił się ogromnie od podpatrywania podobnych spotkań zza ściany. Obserwując scenę z boku, łatwo domyślić się wszelkich sympatii i antypatii, zorientować, kto z kim trwa w sojuszu, a kto z kim rywalizuje. Teraz, będąc w samym centrum zdarzeń, mogłem głównie zgadywać. Miałem nadzieję, iż Strzyk, komfortowo usadzony między mną a dwójką naszych służących, zdoła uniknąć nawiązywania stosunków towarzyskich i będzie mógł się skupić na zbieraniu informacji.

Gdy zjedliśmy, uprzątnięto ze stołu i przyniesiono słodkie wina oraz mocniejsze trunki. Wybrałem smakową gorzałkę. Nie była to brzoskwiniówka z Piaszczystych Kresów, lecz nie dawała powodów do narzekań. Najstarsi podnieśli się z miejsc i rozmawiali w grupach, my także wstaliśmy. Podeszła do nas królowa, raz jeszcze przeprosiła za przykre zajście, i wyraziła nadzieję, że doszedłem do siebie. Phron zawstydził mnie gorącymi wyrazami wdzięczności i gniewu na generała. Jeśli chodziło o samego Rapskała, to dwukrotnie spostrzegłem, jak zmierzał w moją stronę, lecz i za pierwszym, i za drugim razem zatrzymał go ktoś spośród Najstarszych.

Po pewnym czasie wróciliśmy do stołu. Harrikin wstał. Trzy razy stuknął kłykciami w blat. Zapadła cisza.

– Opiekunowie smoków, powitajmy księcia Bastarda Rycerskiego, baroneta Skrzącego i panią Amber z Królestwa Sześciu Księstw. Przybyli do nas jako wysłannicy króla Sumiennego oraz królowej Ellianii. Dziś wieczór nareszcie przyjmujemy ich między nami, jak należy. I wyrażamy najserdeczniejsze podziękowania.

Proste słowa. Żadnej kwiecistej przemowy, wspomnienia dawnych zasług, paktów i przymierzy. Ja byłem zaskoczony, tymczasem pani Amber chyba właśnie tego się spodziewała. Wstała. Chociaż ślepa, przenosiła niewidzący wzrok z jednej osoby na drugą. Czy wyczuwała bijące od zebranych ciepło? Czy widziała ich cieniste kształty? Nieomylnie obróciła się do Harrikina.

– Jesteśmy wdzięczni za powitalną kolację, za gościnność, a także za możliwość przedstawienia sprawy. Będę mówić krótko. – Pozwoliła sobie na uśmiech. –

Podejrzewam, że od czasu naszego przybycia namnożyły się plotki. Zapewne większość z was już wie, z czym się zjawiliśmy. Prawdą jest, iż podróżujemy jako wysłannicy z Królestwa Sześciu Księstw, lecz należy zaznaczyć, że nie Kelsingra jest naszym celem. Z pewnością umiecie sobie wyobrazić, zwłaszcza ci, których dzieci dzięki księciu Bastardowi Rycerskiemu odzyskały zdrowie, jak bolesna jest utrata dziecka. Otóż jego córka, Pszczoła Przezorna, została porwana i już nie ma jej między nami. Opuścimy was, by ruszyć w dalszą drogę, by dokonać zemsty na Sługach z rodu Białych.

Gdy zrobiła pauzę na nabranie powietrza, odezwała się królowa.

– Pani, czy mogę wtrącić słowo?

Nie było w jej głosie przygany, rzeczywiście prosiła o pozwolenie. Pani Amber zdziwiła się, lecz wolno skinęła głową. Królowa zaczerpnęła głęboko tchu i ułożyła splecione dłonie na blacie stołu.

– Wczoraj zwołaliśmy radę. My, opiekunowie smoków. Przedstawiłam waszą historię. Rodzice uleczonych dzieci, a i kilkoro malców, opowiedzieli o tym, co dla nich zrobił książę Bastard Rycerski. Jesteśmy wam niewymownie wdzięczni, a przy tym wszyscy zgadzamy się ze słowami księcia: życie i zdrowie dzieci nie będzie przedmiotem targów. Nie ma takiej sumy, nie ma dość wielkiej przysługi, żebyśmy zdołali odpłacić za to, co książę dla nas zrobił. Możemy mu zaoferować jedynie dozgonną wdzięczność oraz zapewnić, że nigdy, ale to nigdy o jego pomocy nie zapomnimy. A jesteśmy ludem długowiecznym. – Przerwała, rozejrzała się dookoła. – To jednak nie wszystko. Dokonałeś, książę, zemsty, której pragnęliśmy od dawna. My także ucierpieliśmy przez mieszkańców Krainy Miedzi: atakowali i nas, i smoki. Polowali na nie, chcieli wykorzystać części ich ciała, na leki, dzięki którym utrzymywali przy życiu starego księcia. Selden, mój brat i ukochany piewca smoków, doznał krzywd zarówno z rąk władcy Krainy Miedzi, jak i jego podwładnego, Ellika. Mamy świadomość, że to Ellik stał za napaściami na smoki. Gdy zemściły się na jego kraju, rujnując książęcą warownię i zabijając władcę, Ellik uciekł. Obecnie rządząca Krainą Miedzi księżna będzie z pewnością równie jak my zadowolona, gdy usłyszy, co z nim zrobiłeś. Zabijając go, uczyniłeś zadość pragnieniu zemsty naszej rodziny. Spłacimy ten dług z ochotą. – Skłoniła głowę. – A zatem Reyn z rodu Khuprusów, wywodzącego się od Kupców z Deszczowych Ostępów, oraz ja, Malta z Vestritów, pochodzących od kupców z Miasta Wolnego Handlu, doskonale rozumiemy twoje dążenie do ostatecznego rozrachunku. My, Kupcy z Khuprusów i Vestritów, mamy zaszczyt zaproponować wam przysługę za przysługę, pomoc w przeprowadzeniu twojego planu, książę, z podziękowaniem za to, że poniekąd dokonałeś odwetu w naszym imieniu. Zajęliśmy się zorganizowaniem

waszej wyprawy stąd do Jamailli. Jeśli zechcecie, możecie wsiąść na „Smolistego”, gdy wpłynie do tutejszego portu. Na jego pokładzie dotrzecie do Trehaugu, gdzie będzie na was czekał żywostatek „Niezrównany”. Ten z kolei zabierze was do Miasta Wolnego Handlu, a nawet dalej, jeżeli będziecie chcieli towarzyszyć mu w następnej części kupieckiej wyprawy. Ptak z informacjami został już wysłany. Ze względu na honor naszych rodów mamy nadzieję, że przyjmiecie nasze zaproszenie na pokład jednego, a potem drugiego żywostatku.

– Żywostatki – szepnął Niestrudzony z przejęciem. – To one naprawdę istnieją? Phron uśmiechnął się do chłopaka.

– Sam zobaczysz.

A ja zapomniałem o przyrzeczeniu złożonym pani Amber.

– Brak mi słów – powiedziałem.

W uśmiezku królowej dostrzegłem dziewczuszkę, jaką była przed laty.

– Doskonale się składa – stwierdziła – bo jeszcze nie skończyłam. Opiekunowie smoków przygotowali dla was podarunki. – Zawahała się. – Są to przedmioty stworzone przez Najstarszych. Użyteczne, a przy tym cenne, gdybyście znaleźli się w potrzebie. – Odetchnęła głębiej. – Źle świadczy o ofiarodawcy, gdy podkreśla wartość daru, jednak muszę zyskać pewność, iż będziecie mieli świadomość, czym dysponujecie. Są to rzadko spotykane przedmioty, zwykle pozostające w posiadaniu Kupców, a sprzedawane poprzez Miasto Wolnego Handlu za ogromne sumy. – Na moment zacisnęła usta. – Przekazując je w wasze ręce, łamiemy odwieczną tradycję. Kupcy z Deszczowych Ostępów oraz ci z Miasta Wolnego Handlu zapewne byliby oburzeni, gdyby wiedzieli o naszej decyzji.

Na ustach pani Amber z wolna wykwitł uśmiech.

– Zachowamy dyskrecję – obiecała. – Nikomu o nich nie powiemy, a jeśli się ich pozbędziemy, to wyłącznie w razie absolutnej konieczności.

Twarz pani Malty rozjaśniła się w wyrazie ulgi tak ogromnej, że widać to było mimo jej niepowседневnej urody.

– Trudno mi wyrazić, jak się cieszę, że mnie rozumiecie.

Skinęła głową, a wtedy Harrikin podszedł do drzwi i zamienił kilka słów z kimś stojącym na zewnątrz. Po chwili wrócił ze schludną drewnianą szkatułką. Postawił ją na blacie przed nami. Otworzył wieko przymocowane na zawiasach i z miękkiego woreczka wydobył bransoletę. Delikatne srebrne nici podtrzymywały zielone i czerwone kamienie. Zaprezentował mi ją z uśmiechem, za sprawą którego zorientowałem się, że powinienem być olśniony.

– Piękna! – przyznałem z ochotą.

– Ty, panie... nie wiesz, co to jest! – stwierdził z rozbawieniem. Wsunął ją na

powrót do woreczka. – Zajrzyj do środka.

Zajrzałem i zobaczyłem, że kamienie oświetlają tkaninę od środka.

– To klejnoty ogniste – wyjaśniła królowa. – Jaśniej własnym światłem. Kamienie w bransolecie są doskonałe. Bardzo rzadko spotykane.

Drugi przedmiot wyjęty ze skrzynki wyglądał na porowatą szarą cegłę, z jednej strony pomalowaną na czerwono.

– Ta bryła daje ciepło – objaśnił Harrikin. – Wystarczy położyć czerwonym do góry. Trzeba uważać, jak się ją przechowuje, bo można wzniecić pożar. – Popatrzył mi głęboko w oczy, po czym oba przedmioty umieścił na powrót w drewnianej szkatule. – Mamy nadzieję, że zaakceptujecie te podarunki wraz z naszymi najszczęśliwymi podziękowaniami.

– To dla nas zaszczyt – odparłem. – Przyjmujemy je z wdzięcznością. Zawsze będą nam przypominały pobyt u was w gościnie.

Przedmioty o magicznych właściwościach warte fortunę nawet dla króla.

– Jesteście tu zawsze mile widziani – zapewniła królowa Malta.

Pani Amber położyła dłoń na skrzynce, gestem wyrażając podziękowanie.

– Jesteście dla nas nieprawdopodobnie szczodrzy, a przecież jednak muszę poprosić o jeszcze jedną przysługę. Zanim powiem, co jest nam niezbędne, muszę błagać was, byście naszej potrzeby nie odczytali jako zniewagę.

Zgromadzeni przy stole wymienili zaciekawione spojrzenia. Ja także nie miałem pojęcia, co pani Amber ma na myśli. Gospodarze okazali się hojni ponad wszelkie wyobrażenie. Czegóż więcej mogłaby chcieć?

– Proszę o smocze srebro – powiedziała cicho, miękko. – Niewiele. Tyle tylko, ile zmieści się w tych dwóch pojemnikach.

Z kieszeni spódnicy wyjęła dwie szklane fiolki, obie ze szczelnymi zatyczkami.

– Nie – odezwał się Reyn stanowczo, bez wahania, bez najmniejszej wątpliwości.

– Moc, ta magia, której użył książę Bastard Rycerski do uzdrowienia waszych dzieci, opiera się na substancji, którą wy nazywacie smoczym srebrem. Nie wiemy dokładnie, jak te sprawy są ze sobą powiązane, jednak są, z całą pewnością. Magia Kelsingry pochodzi ze smoczego srebra zamkniętego w kamieniu. Wspomnienia niegdysiejszych mieszkańców, światła budynków, sadzawki ciepłej wody, wszystko to ma źródło...

– Nie możemy – stwierdził król Reyn tonem wykluczającym dyskusję. – Srebro nie jest nasze, więc nie mamy prawa nim dysponować. To skarb należący do smoków. – Pokręcił głową. – Nawet gdybyśmy się zgodzili, smoki nie pozwoliłyby wam go zabrać. Byłoby to działanie zgubne i dla was, i dla nas. Nie możemy dać wam smoczego srebra.

Rapskał poruszył się, jakby chciał zabrać głos. Gniewne błyski w jego oczach zdradziły mi, że prośbę pani Amber odebrał jako zniewagę. Należało działać szybko.

– Mamy jeszcze jedną prośbę – odezwałem się pośpiesznie – którą zapewne łatwiej będzie spełnić, a przy tym, jak sędzę, możemy się przysłużyć w równej mierze Kelsingrze, jak i Królestwu Sześciu Księstw.

Umilkłem.

– Proś – zdecydowała królowa.

Trudno mi było cokolwiek wyczytać z jej oblicza, częściowo ukrytego za wzorem z łusek, jednak wydało mi się, że i ona pragnęła skierować rozmowę na inne tory.

– Chciałbym posłać wieści do Królestwa Sześciu Księstw, do samego króla Sumiennego. Dać mu znać, iż dotarliśmy tutaj bezpiecznie i uzyskaliśmy od was obietnicę pomocy w uczynieniu następnego kroku na drodze do celu naszej wyprawy. Czy jest sposób, by otrzymał taki list?

– Naturalnie – odrzekł król z wyraźną ulgą, że przedstawiłem prośbę tak łatwą do spełnienia. – Jeżeli wiadomość będzie napisana drobnym literami, ptak zaniesie ją do Miasta Wolnego Handlu. Tam wielu kupców prowadzi korespondencję z Kozią Twierdzą. Twój list, książę, dotrze do władcy. Wcześniej czy później. Wiosenne wichury czasem wstrzymują ptaki, ale to wytrzymałe istoty.

– Będę ogromnie wdzięczny – podziękowałem. Zawiesiłem głos, by zaraz podjąć inny temat. Cierń zabroniłby mi go poruszać, natomiast królowa Ketriken właśnie omówienia tej kwestii z pewnością by ode mnie oczekiwała. – W moim kraju, na dworze króla, żyją inni, posługujący się magią nazywaną przez nas Mocą. Niektórzy są w tej sztuce znacznie bieglejsi niż ja. – Potoczyłem wzrokiem po twarzach siedzących. – Są między wami potrzebujący, którzy prosili mnie o pomoc. A ja nie mogę spełnić ich pragnień. Nie śmiem. Magia smoczego srebra jest tutaj zbyt silna, nie umiem nad nią zapanować. Inaczej nie leczyłbym dzieci tak... – Zaciąłem się w poszukiwaniu właściwego słowa. Gwałtownie? Szaleńczo? – Instynktownie. Lepszy niż ja uzdrowiciel potrafiłby osiągnąć cel delikatniej. A krąg Mocy wyszkolony w korzystaniu z królewskiej magii zdołałby najpewniej pomóc nie tylko dzieciom Najstarszych, lecz każdemu, kto urodził się... – Nikt nawet nie mrugnął. – Kto urodził się zmieniony – dokończyłem ciszej.

Wygłądali na przerażonych. Albo oszołomionych. A może ich obraziłem? Zmiany, jakie dokonywały się u ludzi żyjących w pobliżu smoków, były aż nazbyt dobrze widoczne, nie dało się ich zignorować, lecz może mówienie o nich stanowiło obrazę?

– To znaczy, że... – odezwała się Thymara. Siedziała blisko, lecz mówiła głośno,

by słyszeli ją wszyscy obecni. – Tych, co urodzili się ze zmianami, też można wyleczyć?

Pani Amber ostrzegawczo ścisnęła pod stołem moje udo. Niepotrzebnie. Nie zamierzałem obiecywać gruszek na wierzbie.

– Niektórych – odpowiedziałem. – Jak sądzę.

Thymara uniosła rękę – myślałem, że zakryje twarz, lecz jej skulone dłonie zamarły na wysokości oczu. Przyjrzała się swoim palcom. Zamiast paznokci miała czarne szpony. W zamyśleniu postukała nimi jednym o drugi.

Cisza w komnacie kipiała nadzieją.

– Jak tylko napiszesz list, książę... – odezwała się wreszcie królowa.

Głos uwiązał jej w gardle.

– Książę Bastard Rycerski – odezwał się nagle Harrikin – oferuje nam coś, co dotąd było niewyobrażalne. – Powiódł wzrokiem po twarzach wokół stołu. – Moim zdaniem powinniśmy odpłacić mu podobną szczodrością. Zawsze tkwiliśmy w przekonaniu, że za sprawą obyczajów wywodzących się z Miasta Wolnego Handlu oraz z Deszczowych Ostępów należy ograniczać handel dobrami Najstarszych wyłącznie do tych dwóch rynków. Może czas zmienić to nastawienie.

Królowa była wstrząśnięta. Król odezwał się nieśpiesznie:

– Proponujesz zerwanie z tradycją sięgającą czasów, gdy na terenie Deszczowych Ostępów osiedlali się pierwsi osadnicy. Wielu spośród nas uważa, że nie jesteśmy winni tutejszym handlarzom szczególnej lojalności... tym bardziej Miastu Wolnego Handlu. W kwestii przedmiotów magicznych musimy się naradzić, lecz jeśli chodzi o inne dobra, nie widzę powodu, byśmy musieli się ograniczać.

W odpowiedzi na jego słowa wszyscy zgodnie pokiwali głowami.

– Dawne mapy wskazują – król zwrócił się ku nam – iż swego czasu istniały drogi łączące Kelsingrę z Królestwem Górskim. Może nastał czas, by te trakty odnowić, abyśmy wreszcie byli kupcami nie tylko z nazwy.

– Królestwo Sześciu Księstw ma wiele cennych towarów do zaoferowania. Są u nas owce i wełna, nie brakuje ziarna, bydła i skór, możemy zaproponować żelazo... – Niepewność skryłem za uśmiechem.

Czy król Sumienny zechce honorować moje spontaniczne pertraktacje?

– Nie brakuje ziarna – powtórzył Reyn. – Mamy więc powód do świętowania. W ciągu miesiąca wyślemy poselstwo kupieckie do Koziej Twierdzy! Wypijmy za otwarcie granic!

Tego wieczoru wzniesiono jeszcze niejeden toast. Trudowi pokraśniały policzki. W pewnym momencie dostrzegłem, jak Strzyk i Skierka wymieniają spojrzenia. Dziewczyzna położyła rękę na ramieniu dawnego chłopca stajennego i poprowadziła

go tak, że choć niezbyt pewnym krokiem, to jednak z godnością opuścił towarzystwo. Niedługo później ja wymówiłem się zmęczeniem, a pani Amber także skorzystała z tego pretekstu i w efekcie wycofaliśmy się oboje – w ten sposób na resztę wieczoru reprezentantem Królestwa Sześciu Księstw pozostał Strzyk.

– Nawet w rodzinie króla – odezwała się pani Amber, gdy wolno szliśmy do kwatery – są osoby mocno dotknięte zmianami. Jego siostra...

Wiedziałem, o co prosi.

– Nawet dla siostry króla nie ośmielę się...

– Wiem. Po prostu ci o niej mówię. Jest teraz w Trehaugu, z wizytą u rodziny. Nawet gdybyś chciał podjąć ryzyko, nie ma ku temu okazji. Ale jeżeli w Królestwie Sześciu Księstw są uzdrowiciele zdolni pomóc mieszkańcom Deszczowych Ostępów, zyskalibyśmy potężnych sojuszników.



Aż do świtu siedziałem nad listem do króla Sumiennego. Dobierałem słowa uważnie, ponieważ spodziewałem się, iż zanim przekaz trafi w ręce adresata, o ile rzeczywiście do niego dotrze, zostanie przeczytany przez kilka innych osób. Zachowałem ostrożność, wspominając jedynie, iż dotarliśmy do Kelsingry i mamy zapewniony transport do Jamailli. Poprosiłem, by zorganizował powrót do domu dla Strzyka, Niestrudzonego i Skierki, zawiadomiłem, iż może oczekiwać reprezentantów Smoczycch Kupców z propozycjami handlowymi. Dodałem, że przy wszystkich negocjacjach niezbędna jest obecność najwyższej mistrzyni Mocy, Pokrzywy.

Bardzo chciałem napisać więcej, lecz nie śmiałem. Zwinąłem list jak najściślej, zamoczyłem w wosku i wsunąłem do niewielkiego cylindra, który miał zostać przyczepiony do nogi gołębia. Ogromnie pragnąłem uprzedzić Pokrzywę. Tutejsi opiekunowie smoków twierdzili, że są Najstarszymi oraz dziedzicami miasta i wszystkich jego cudów. Jak by zareagowali, gdyby wiedzieli o Aslevjalu, o skarbach pozostałych na tej wyspie? Czy staraliby się je przejąć? Czy chcieliby połączyć swoją wiedzę na temat magii z naszą? Cierń widziałby w nich rywali, królowa Ketriken – sprzymierzeńców. A król Sumienny? A Pokrzywa? Nie wiedziałem. Nie wiedziałem też, czy moje leczenie Mocą w Kelsingrze okaże się kamykiem, który wywoła lawinę i spowoduje wojnę, czy też raczej będzie pierwszą niepozorną cegiełką w budowie wspólnego dziedzictwa. Cierpiałem niewymowne katusze, mogąc napisać tak niewiele. A na dodatek zdawałem sobie sprawę, że

minie jeszcze dużo czasu, zanim będę mógł chociaż spróbować porozumieć się z kimś za pośrednictwem Mocy.



Dokładnego dnia przybycia „Smolnego” nie znano, gdyż woda w rzece była wysoka, a prąd bystry z powodu topnienia odległych śniegów.

Każde z nas radziło sobie z czekaniem na swój sposób. Ja walczyłem z rosnącym zmęczeniem, gdyż konieczność ciągłego strzeżenia murów chroniących umysł przed wpływem niesłabnącego wartkiego nurtu Mocy oraz przed wspomnieniami kipiącymi w mieście bardzo mnie wyczerpywała. Jadałem w naszych pokojach i uprzejmie odmawiałem wszelkich wizyt, których mogłem uniknąć. Podszyte magią znużenie wycieńczało mnie do tego stopnia, iż nieczęsto wychodziłem z budynku. W zakamarkach pamięci miałem Kelsingrę jako miasto opustoszałe, bo takim widziałem je podczas wyprawy na poszukiwanie króla Szczerego. Była to moja pierwsza podróż przez filary Mocy, a doszło do niej za sprawą przypadku. Metropolia była dla mnie wówczas niebezpieczna. Teraz, o ironio, gdy wyuczono mnie korzystania z magii, przesiąknięte nią mury i ulice stanowiły dla mnie jeszcze większe zagrożenie.

I nie jedyne. Generał Rapskal co jakiś czas pojawiał się na moim progu i stukał do drzwi, dziwnym zbiegiem okoliczności zawsze wówczas, gdy zostawałem sam. Za pierwszym razem udałem znacznie większą słabość, niż czułem w rzeczywistości. Nalegał na rozmowę, jednak chwiałem się na nogach, więc go przeprosiłem i bez pośpiechu, lecz stanowczo zamknąłem drzwi. Potem nie reagowałem na stukanie. Pani Amber traktowała go ze zrozumiałą rezerwą. W zasadzie nie opuszczała budynku. Odwiedzała królową, po czym przekazywała mi ploteczki, które wymieniały między sobą jako przyjaciółki, a także najnowsze wiadomości z Miasta Wolnego Handlu i z Trehaugu. Strzyk oraz Skierka i Niestrudzony cieszyli się Kelsingrą niczym dziecko nową zabawką, a opiekunowie smoków najwyraźniej z przyjemnością odsłaniali przed nimi cuda miasta. Doradziłem towarzyszom ostrożność i pozwoliłem zdobywać nowe doświadczenia. Niestrudzony, z krucycą na ramieniu, szybko zyskał sobie popularność i sympatię wśród służby, a w efekcie każdego wieczoru dzielił się ze mną informacjami na temat życia codziennego mieszkańców. Skierka naprawiała garderobę zniszczoną przez niedźwiedzia, słuchając przy tym opowieści pani Amber o dawniejszych czasach w Koziej Twierdzy, a zwłaszcza o przygodach osławionej pani Tymianek.

Raz Niestrudzony zapytał panią Amber o jej dzieciństwo. Opowiedziała mu o rodzinie żyjącej na roli, o starszej siostrze, szczęśliwej, iż nareszcie doczekała się rodzeństwa, o łagodnych wzgórzach, złociejących latem, i o hodowaniu brązowo umaszczonych krów. Potem umilkła, więc domyśliłem się, że dalsza część historii powinna dotyczyć Clerres. Tamtego wieczoru pani Amber już więcej nie snuła wspomnień, a ja z lękiem myślałem o tym, iż będę musiał wkrótce nakłonić ją do odświeżenia pamięci, do przekazania mi wszelkich, nawet najdrobniejszych detali z przeszłości, wszystkich szczegółów dotyczących tamtej wyspy, o której wolała zapomnieć. Zepchnęła je w najdalszy kąt umysłu i uwięziła za grubymi drzwiami, ja jednak musiałem znaleźć sposób, by się do nich dostać, jeśli nasze plany miały przybrać konkretne kształty.

To Błazen, jako pierwszy, zazaądał, bym pojechał do Clerres i „zabił ich wszystkich”. To on chciał odwetu, jeszcze zanim Pszczoła została porwana. A także przed tym, nim Dwalia wciągnęła moją córeczkę w czarny filar, gdzie dziecko zatraciło się na zawsze. Nade wszystko pragnął rzezi. Z największą starannością uporządkowałem swoje sprawy w Koziej Twierdzy, by samotnie dotrzeć do nieznanego miasta i dokonać zemsty. Nie troszczyłem się o własne życie.

Potem jednak dołączyła do mnie cała grupa: nie tylko Błazen, ale także Strzyk oraz Niestrudzony i Skierka. Tę trójkę mogłem odesłać na powrót do Księstwa Koziego, lecz jeśli Błazen mnie nie opuści, na pewno. A jeśli miał przeżyć wyprawę, musiałem uzyskać od niego każdy, najdrobniejszy szczegół dotyczący samego Clerres oraz Sług ludu Białych.

Tylko jak tego dokonać? Jak wydobyć istotne informacje od kogoś tak nieprawdopodobnie biegłego w sztuce ich skrywania?



Któregoś dnia, gdy nastąpiła pogoda raczej późnozimowa niż wczesnowiosenna, większość z nas postanowiła zostać w ciepłych pokojach, jednak Niestrudzony nie mógł znaleźć sobie miejsca. Chodził z kąta w kąt, przeciągał się, wzdychał... W końcu poddałem się i pozwoliłem mu iść w miasto na własną rękę.

Wrócił późnym popołudniem, zarumieniony, z rozwichrzonymi włosami.

– Jaskrawa się z kimś zaprzyjaźniła! – obwieścił.

Zwróciliśmy się w jego stronę wszyscy jednakowo zaskoczeni.

– Jakiś kruk ją zaakceptował? – upewniłem się. – Przypomnij mi, żebyś jej uczernił pióra, w przeciwnym razie ta przyjaźń nie potrwa długo.

– Wcale nie chodzi o kruka! – krzyknął chłopak podniecony. I gdy wreszcie złapał oddech, zaczął wyjaśnienia. – Zachowywałem się bardzo ostrożnie, jak nakazałeś, panie. Nikogo nie zagadywałem, odzywałem się tylko pytany i odpowiadałem krótko. Zresztą i tak mało kto dzisiaj wyszedł, bo zimno. Jaskrawa szybko mnie znalazła i siadła mi na ramieniu. Szliśmy sobie na ten plac, gdzie stoi pomnik konia, gdy nagle uderzył mnie solidny podmuch zimnego wichru. Kruczycza poderwała się w górę i zaskrzeczała, jakby powtarzała słowa jakiegoś minstrela! „O, piękna, czerwona szkarłatną jagodą na winorośli zmrożonej pocałunkiem szronu!”. Ten wicher, co się zerwał, to dlatego, że tuż przede moim nosem wylądował czerwony smok! Piękna smoczyca! Jej szpony zadzwoniły na bruku, zamiotła ogonem... O mało mnie nie rozdeptała! Rzuciłem się w tył, przewróciłem, upadłem. Zdarłem sobie skórę! – Podniósł obie ręce, demonstrując czerwone wnętrza dłoni.

– Groziła ci? – zapytał Strzyk bez tchu.

– Wcale a wcale! Wylądowała i tyle. Ale i tak się przestraszyłem, więc chciałem sobie iść. Zawołałem Jaskrawą, tylko że ona wcale nie miała zamiaru mnie słuchać! Przysiadła na ziemi tuż przed smokiem! I znów się odezwała, bardzo dziwacznie: „O, piękna, szkarłatna królowo, żywicielko kruków!”, a tamta wyciągnęła do niej szyję, aż myślałem, że ją połknie! Ale nie. Wcale jej nie zjadła, a Jaskrawa zatańczyła.

Chłopak rozłożył ramiona, przechylił głowę i zrobił kółko niczym ptak w zalotach.

– I co? I co? – dopytywała się Skierka.

– Ślepie wirowały temu smokowi jak barwne tarcze na wiosennym Świącie Radości. Położył łeb płasko na ziemi, a Jaskrawa na niego wskoczyła i zaczęła oporządzać to wielgachne stworzenie! Rozczesywała łuski na pysku! A smoczyca wydawała takie dźwięki, jak wielki kocioł z wrzątkiem.

– I co dalej? – Skierka wyraźnie zazdrościła chłopakowi wyjątkowego spotkania.

– Stałem i czekałem. A jak już mi nogi ścierpły z zimna, to zawołałem Jaskrawą, ale ona nawet łebka nie odwróciła. Smoczyca przymknęła ślepie... wyglądała jak zadowolony kot. No to w końcu je tam zostawiłem obie razem i wróciłem. – Ściągnął brwi. – Jak myślisz, panie, nie zrobi jej krzywdy ten kolos?

– Moim zdaniem nie. Jaskrawa ma swój rozum.

Czyżby kruki i smoki łączyła jakaś pradawna więź? Ptaki tego gatunku chętnie przebywają w towarzystwie drapieżników, dzięki nim łatwiej im się wyżywić. Wobec czego sojusz między tymi dwoma gatunkami można by uznać za rzecz naturalną.

– Mądre z niej stworzenie. – Pokiwałem głową w zamyśleniu.

Doskonale zdawałem sobie sprawę, że to tajemnicza istota, a jej sekrety ujrzą

światło dzienne jedynie wówczas, gdy sama tak postanowi.

– O, co to, to prawda! – zgodził się Niestrudzony z dumą. – Bardzo mądre z niej stworzenie.



Któregoś dnia, gdy z nieba spływał łagodny blask słońca, obudziłem się z popołudniowej drzemki całkiem sam, nieco gnuśny i apatyczny. Dlatego postanowiłem wybrać się na krótki spacer. Włożyłem ozdobny płaszcz księcia i poszedłem. Odległe drzewa na wzgórzach za miastem wracały do życia zarumienione żywszym krążeniem soków w białych gałęziach. Niektóre, zapewne wierzby, już pokryły się zielonymi plamkami pęczniejących listków, jakby na wiotkie gałązki ktoś nawłókł rzędy paciorków. Pagórki wyzbywały się śniegu. Ileż to lat minęło od czasu, gdy ze Ślepunem żyliśmy na zalesionych zboczach, polując na wilczą modłę i śpiąc snem sprawiedliwego? Pewnie całe życie, a może i dwa.

Wspomnienia Najstarszych szeptały do mnie z przesiąkniętych Mocą kamieni budynków. Z początku niegłośno, niczym brzęczenie komara, jednak szybko przybrały na sile, upodabiając się do bzyczenia pszczół. Obijały się o mury chroniące mój umysł, odszcypywały okruchy umocnień, osłabiając moją ochronę. Gdy zacząłem widzieć cieniste postacie i słyszeć urywki rozmów z przeszłości, zawróciłem. Strumień Mocy wokół mnie potężniał, wzdymał się i rósł na podobieństwo fali, która miała lada moment wymyć mi grunt spod stóp i ponieść daleko od brzegu. Głupcem byłem, wychodząc samotnie z budynku. Zmierzałem ku niemu zwawym krokiem, gdy niespodziewanie zorientowałem się, że moim śladem podąża nie kto inny, a generał Rapskał. Normalnie zauważyłbym go wcześniej, teraz jednak, gdy odciąłem się od szeptów Najstarszych, równocześnie zgłuszyłem świadomość tego, co działo się w moim otoczeniu. Zwolniłem, zatoczyłem się raz i drugi. Niech uważa mnie za słabszego, niż byłem rzeczywiście. Chociaż, tak czy inaczej, trzeźwo szacując swój stan, musiałem przyznać, iż miałbym kłopot z odparciem ataku zdeteminowanego dziecka, a co dopiero żołnierza.

Dogonił mnie bez trudu.

– Książę Bastardzie Rycerski, miło mi cię widzieć w lepszym zdrowiu. Cieszę się, że wydobrzałeś po używaniu magii.

– Jesteś bardzo uprzejmy, generale. Niestety okazuje się, że nawet krótki spacer pozbawia mnie sił. Natychmiast po powrocie znów się położę.

– Ach tak, rozumiem... Szkoda, bardzo żałuję. Miałem nadzieję zamienić z tobą

kilka słów. Na ważny temat. – Ostatnie zdanie dorzucił ściszym głosem, jakby ktoś mógł nas podsłuchać.

Czy zamierzał mi grozić?

Spojrzawszy na niego, napotkałem spojrzenie chyba przepraszające, proszące, a może nawet błagalne?

– Źle cię osądziłem, książę. Hiibi mi powiedziała, że muszę zmienić zdanie na twój temat – oznajmił z naciskiem. – Miała sen. Albo może zbudziło się w niej wspomnienie. Wszystko jedno. Tak czy inaczej, przekazała mi, że twoja misja to słuszna sprawa. Ona ją wspiera. – Zniżył głos jeszcze bardziej, aż do szeptu. – Chce, żebym za wszelką cenę pomógł ci wytepić Sługi. Za wszelką cenę. – Przysunął się i konspiracyjnym gestem położył mi dłoń na ramieniu. Oczy błyszczały mu nieludzko. – Zaprzyjaźniła się z twoją kruczą.

Rezerwa i ostrożność były ledwie wstępem, teraz dźwięczały mi w głowie wszystkie dzwonki alarmowe.

– Hiibi? – spytałem z uśmiechem, choć wiele mnie kosztował.

Z moją kruczą? Z moją?

– Tak, moja smoczyca. Sądziłem, że słyszałeś o niej, panie. Moje szkarłatne cudowności. – Na moment jego usta rozciągnął szeroki uśmiech, zmieniając srogiego generała w pełnego wdzięku chłopaka. – Polubiła twoją kruczą, książę. Jak jej na imię? Jaskrawa, prawda? Jaskrawa wychwala Hiibi pod niebiosa i sławi jej urodę. Zanim się pojawiła, tylko ja jeden prawłem jej komplementy. Polubiła Jaskrawą... Ale nie o tym chciałem mówić. Chodzi mi o twoją misję, książę. Hiibi popiera wybicie Sług rodu Białych do nogi.

Spróbowałem obrócić kota ogonem.

– Twój smok miał sen... albo przypomniał sobie, że chciałby, abyśmy pozabijali Sługi Białych?

Uśmiechnął się szerzej, w zmienionej przez smoka twarzy błysnęły ludzkie zęby.

– Tak! Właśnie tak! – potwierdził wyraźnie zadowolony, że go zrozumiałem.

Stanąłem, wsparłem się dłonią o ścianę jakiegoś budynku. Chciałem odsapnąć, złapać oddech, lecz popełniłem błąd. Na ulicy raptem zaroilo się od Najstarszych, od odzianych w kunsztownie udrapowane stroje smukłych istot, niebieskich, srebrnych i zielonych, o twarzach poznaczonych fantazyjnymi wzorami z łusek. Dzisiaj na placu Królowej miał się odbyć konkurs muzyków, po którym władczyni osobiście wręczy zwycięzcy nagrodę.

– Książę? Tracisz przytomność... Zaprowadzę cię do pokoju. Tam wspomnienia nie są takie głośne.

Poszedłem z generałem. Zarzucił sobie moją rękę na barki i mocno mnie

podtrzymywał. Konkurs muzyków zblakł niczym sen. Rapskał mnie prowadził. Możliwe, że coś mówił.

– Nie czuję się dobrze – usłyszałem swój głos.

– Nic złego się nie dzieje. – Robił, co mógł, by mnie pokrzepić. – Po prostu nie byłeś, książę, właściwie nastawiony. Jeśli wybierze się jeden głos do słuchania i przygotuje na dzielenie życia z konkretnym Najstarszym, można się sporo nauczyć. Wiem, co mówię! Zanim dopuściłem do siebie wspomnienia pewnego dawnego wojownika, byłem lekkomyślny. Miałem dobre chęci, inni opiekunowie tolerowali mnie, ale nie darzyli szacunkiem. Wcale. – Zamknął usta, by ukryć drzenie w głosie.

A ja zweryfikowałem swój sąd na temat jego wieku. Był młodszy, niż mi się wydawało. Znacznie młodszy.

Odchrząknął.

– Hiibi miała podobne kłopoty. Nigdy dużo nie rozmawiała ani ze smokami, ani z ich opiekunami. Kiedy się przy mnie zjawiała, była mała i niezdarna. Inne smoki nią gardziły. Nie pamiętała nawet swojego prawdziwego imienia, musiałem jej nadać drugie. Mimo to pierwsza nauczyła się latać i jako pierwsza zaczęła polować. – Wyprostował się dumnie, jakby mówił o własnym dziecku.

Zorientował się, że na niego patrzę, krótko skinął głową.

Przystanęliśmy.

– Muszę wrócić do pokoju – powiedziałem cicho. – Odpocząć.

Każde słowo było szczerą prawdą.

– Oczywiście – zgodził się natychmiast.

Poklepał moją dłoń zwisającą bezwładnie z jego barku i w tej krótkiej chwili wyczułem go znacznie lepiej, niżbym sobie życzył. Ruszyliśmy dalej, znacznie szybciej, niż zamierzałem, lecz zacisnąłem zęby i szedłem. Sił dodawała mi nadzieja, że w pokoju będzie czekał Strzyk. A w następnej chwili zadałem sobie pytanie: odkąd to liczę na ochronę młodzika? Nagle zatęskniłem za Rebusem.

– Właśnie dlatego – ciągnął Rapskał – wszystko, co Hiibi wyśni albo sobie przypomni, jest bardzo ważne.

Chyba przeoczyłem fragment wyводу.

Dotarliśmy do właściwego budynku. Po jaskrawym świetle na zewnątrz wewnątrz wydawało się mroczne. Gdy generał prowadził mnie ku schodom, dwójka Najstarszych powiodła za nami wzrokiem.

– A teraz w górę! – zarządził pogodnie.

Był silniejszy, niż można by sądzić.

– Dziękuję za pomoc – powiedziałem na progu pokoju.

Miałem nadzieję, że zostawi mnie przy drzwiach, jednak wszedł do środka.

– Najlepiej usiąść – zdecydował. – O, tu, przy stole. Poproszę o coś do jedzenia.

Wybór miałem niewielki, więc usiadłem. Chronienie umysłu przed głosami Najstarszych wyczerpało mnie fizycznie. Udając, że poprawiam się na krześle, sprawdziłem, czy nożyk od Rebusa nadal jest tam, gdzie powinien, czyli ukryty w pasie. W razie potrzeby zapewne zdołałbym go wyciągnąć i ukroić masło. Nie za twarde. Usiłowałem wzbudzić w sobie gniew, który by mojemu zmęczonemu ciału dodał choć trochę siły, jednak znalazłem jedynie lęk, przez który miękły mi kolana. Zaskakująco przyjazne zachowanie Rapskala wcale mnie nie uspokajało. Uznałem go za człowieka o nierównym usposobieniu. Musiałem jednak przyznać równocześnie, że jest bystry. Najwyraźniej tylko on jeden zauważył, że nie jesteśmy całkowicie otwarci wobec mieszkańców Kelsingry. Nie potrafiłem natomiast ocenić, czy mam do czynienia z bezwzględnym dowódcą, który zrobi wszystko, co konieczne, by chronić miasto, czy też z melancholijnym młodzikiem poruszonym snami smoka.

Nacisnąwszy kwiatowy ornament przy drzwiach, usiadł ze mną przy stole.

– Jak to działa? – spytałem, mając nadzieję lepiej zorientować się w sytuacji. – Co daje wciśnięcie kwiatu?

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Na dole w kuchni podobny wzór błyszczy i brzęczy. Inny dla każdego pokoju. – Zbył kwestię wzruszeniem ramion. – Wielu spraw wciąż nie rozumiemy. Dopiero pół roku temu odkryliśmy kuchnię jako taką. Jest tam zbiornik, który sam napełnia się gorącą albo zimną wodą, ale nie ma pieca ani paleniska, więc dziwna to kuchnia. Swoją drogą u matki też nie było pieca ani nawet kuchni, o ile pamiętam.

Pogrążył się w ponurym milczeniu. Z dala od magicznego harmidru ulicy zapragnąłem usłyszeć więcej o śnie smoka, jednak musiałem także przestrzec swoich towarzyszy, nim wrócą. Nie ufałem Rapskalowi, o nie. Mógł przecież zmyślić opowieść o wspomnieniach smoczyicy, wyłącznie po to, by dostać się do naszego pokoju. Odczekałem trzy oddechy.

– Mówisz, generale, że twój smok śnił o Clerres?

Natychmiast zyskałem jego niepodzielną uwagę.

– Właśnie! Clerres! Taką nazwę sobie przypomniała! – Wydawał się zachwycony. – Czyli to był jednak prawdziwy sen, oparty na rodowych smoczycy wspomnieniach!

– Nie do końca rozumiem, co to są rodowe smocze wspomnienia...

Uśmiechnął się, podparł brodę pięścią.

– To już nie tajemnica. Wąż przechodzący w smoka budzi się wyposażony we

wspomnienia przodków. Wie, gdzie polować, gdzie uwić gniazdo, pamięta imiona i zdarzenia dotyczące rodu... W każdym razie powinien. Nasze smoki zbyt długo zatrzymały się na etapie węży morskich, a za mało czasu spędziły w kokonach. Wyłoniły się z niekompletnymi wspomnieniami. Hiibi nie pamięta prawie nic na temat swojego rodu, ale czasem, gdy śpi, odzyskuje wspomnienia. To może oznaczać, że im będzie starsza, tym więcej odkryje w pamięci. – Oczy mu zalśniły. Łzy? U tego bezwzględego mężczyzny? – Kocham ją taką, jaka jest – wyznał zdławionym głosem. – Zawsze ją kochałem i zawsze będę kochał. Chciałbym jednak, żeby sobie jak najwięcej przypomniała, bo to dla niej bardzo ważne. – Spojrzał na mnie wzrokiem zatroskanego rodzica. – Czy to wyraz bezduszości? Czy jestem bez serca, bo chcę, żeby była lepsza? Nie! Jest doskonała, lepsza być nie może. Dlaczego więc tak bardzo marzy mi się, by odzyskała pamięć? Czy to dowód mojego braku wiary w smoka?

Najgorsze, co może się przytrafić skrytobójcy, to znalezienie wspólnej płaszczyzny z celem. A ja, niestety, znałem dręczące go pytania aż nazbyt dobrze. Trudno zliczyć, ile razy leżałem obok Sikorki w bezsenne noce i roztrząsałem, czy jestem potworem, ponieważ wolałbym, żeby moja córka była równie zdolna jak inne dzieci. Na kilka chwil opanowało mnie wrażenie, że nasze serca pompują tę samą krew. Potem szkolenie wdrożone przez Ciernia wzięło górę. Usłyszałem szept starego mistrza. „Proszę, proszę, to jest to. Szczelina w jego zbroi”.

Musiałem myśleć o swojej misji. I o Błaźnie. Potrzebowałem informacji, a ten chłopiec w randze generała mógł się okazać cennym ich źródłem. Nachyliłem się ku niemu, jakby zafascynowany jego słowami, tchnąłem w głos fałszywą życzliwość.

– Wspaniale wobec tego, że śniła o Sługach i o Clerres! – powiedziałem niegłęboko. – Rozumiem, że ani ona, ani ty, generale, nigdy tam nie byliście?

Należało zwabić go okruchami wiadomości, by sprawdzić, co może mi zdradzić. A najważniejszy był spokój. Udawanie, że to wizyta towarzyska, nie próba sił.

Udało się. Twarz pojaśniała mu z radości.

– Otóż to! Nigdy! Właśnie od ciebie, panie, zyskałem pewność, że to miejsce rzeczywiście istnieje! Wobec tego jej wspomnienie jest autentyczne, nie wypływa ze snu sprowadzonego tęsknotą za odzyskaniem pamięci!

Pierś unosiła mu się wysoko i opadała. Oczy, zwykle czujnie zmrużone, teraz szeroko rozwarte błyszcząły podnieceniem. Wyczuwałem płynące od niego emocje i coś jeszcze... Ani Moc, ani Rozumienie... może szczególne połączenie obu? Czy właśnie taka więź jednoczyła opiekuna ze smokiem? Zorientowałem się, że do tej pory w czasie rozmowy blokował myśli, teraz jednak otworzył się na Hiibi i przekazał jej, że sny są prawdziwymi wspomnieniami. Gdzieś w trzewiach miasta

smok zaryczał z radości. Czy zawtórowało mu echem krakanie, czy też zwiódła mnie wyobraźnia?

Kułem żelazo, póki gorące.

– Clerres istnieje, mieszkają w nim Słudzy, ale poza tym wiem niewiele, niestety.

Wyprawiliśmy się w nieznane.

– Dokonać zemsty – powiedział cicho.

– Dokonać zemsty – potwierdziłem.

Zmarszczył czoło i w tym momencie wyglądał prawie jak człowiek.

– Wobec tego chyba powinienem ruszyć z wami. Ze wspomnień Hiibi wynika, że jest to miejsce mroczne i budzące lęk. Nienawidzi go i czuje strach w jednakowym stopniu.

– Co pamięta? – spytałem ostrożnie.

Skrzywił się.

– Szczegółów niewiele. Kojarzy perfidię i zdradę. Zawiedzione zaufanie. Smoki straciły życie, a raczej zostały zaszlachtowane... – Zapatrzył się na ścianę, jak gdyby widział coś w oddali, po czym znowu przeskoczył na mnie wzrokiem. – Nie ma co do tego jasności. Przez co wszystko jest jeszcze bardziej niepokojące.

– Czy inne smoki przypominają sobie to, czego ona nie pamięta?

Pokręcił głową.

– Tak jak mówiłem, wszystkie smoki Kelsingry mają bardzo skąpe wspomnienia.

Tintaglia. I Lodogień. Moja twarz nie wyrażała nic. Żaden z tych dwóch smoków nie należał do stada z Kelsingry. Tintaglia wylęgła się na wiele lat przed smoczymi rodami z tego miasta, długi czas uważała się za jedyną żywą przedstawicielkę gatunku. Osobiście miałem jak najgorsze związane z nią doświadczenia. Dręczyła Pokrzywę, groziła jej, napadała na nią w snach. Mnie także zastraszała. Wszystko po to, by nas zmusić do uwolnienia Lodognia. Tego prastarego smoka, który postanowił zanurzyć się w lodowcu, gdy doszedł do przekonania, że ostał się jako ostatni. Razem z Błaznem wyzwoliliśmy go z lodu i przywróciliśmy światu. Jego pamięć o minionych zdarzeniach, o tym, co spotkało inne smoki, powinna być nietknięta. Tyle tylko że z tego, co o nim wiedziałem, moje szanse na przejęcie od niego jakiegokolwiek wiedzy były wyjątkowo mizerne.

Generał Rapskał wciąż rozmyślał o swojej ulubienicy.

– Hiibi różni się od pozostałych smoków. Zawsze była mniejsza, niektórzy powiedzieliby, że karłowata... Rzeczywiście, chyba nie urośnie tak duża jak inne. Rzadko się odzywa, a jeśli już, to prawie wyłącznie do mnie. Nie wykazuje żadnego zainteresowania lotami godowymi. – Umilkł. – Jest najmłodsza. Była taka jako wąż i teraz, w postaci smoka, tak samo. Uznajemy, że pochodzi z ostatniego

ocalałego pokolenia przed ostatecznym kataklizmem. Swego czasu, gdy smoków było dużo, co roku z jaj wylęgały się węże. Pełzły do morza i tam rosły, podążając za migracjami ryb, aż osiągały odpowiednie rozmiary. Wtedy powracały do Dzikiej Rzeki Deszczowej i płynęły w stronę źródeł, by na plaży nieopodal Trehaugu zamknąć się w kokonach. Tak to było kiedyś. Wiele smoków ma wspomnienia rodowe o pomaganiu węzom w przyjęciu odpowiedniej postaci i zamknięciu się w kokonie. Kolejnego lata z owych kokonów wychodziły smoki, silne, w pełni ukształtowane, gotowe do lotu na pierwsze polowanie. – Pokręcił ze smutkiem głową. – Nie tak to było z naszym podopiecznymi. One... one się pogubiły. O wiele za długo pozostawały w postaci węży, przez katastrofalne zmiany rzeki i wybrzeża nie mogły znaleźć drogi na plażę, gdzie powinny zamknąć się w kokonach... Niestety dotknęło pokolenia Hiibi i zapewne kilku innych.

Przytaknąłem z namysłem. Już mi się rodziły w głowie różne spekulacje, lecz musiałem spokojnie wysłuchać generała do końca. Nie należało mówić mu, że o dwóch starszych smokach wiedziałem więcej niż on.

– Hiibi podejrzewa, że nie wszystkie smoki straciły życie w czasie, gdy upadły miasta Najstarszych. I ma rację. Przetrwał chociażby Lodogień. – Zmarkotniał. – Ja też się nad tym zastanawiałem. Mogłoby się wydawać, że nie ocalał żaden z mieszkańców Kelsingry, jednak to nieprawda. Chodziłem z pamięcią jednego z nich, on przetrwał zdarzenia, które obróciły miasto w ruinę. Jego oczyma widziałem, jak ziemia się trzęsła, a Najstarsi uciekali. Dokąd? Pewnie do innych miejsc zaznaczonych na mapie w wieży. – Umilkł, podniósł na mnie wzrok. – Nie wiem, jakiej magii używali, ale uciekali przez kamienne filary. Takie jak ten, przed którym zobaczyłem was za pierwszym razem.

Wiele mnie kosztowało przybranie zdumionego wyrazu twarzy.

– Uciekali przez filary? – powtórzyłem, jakbym nie do końca był pewny, co usłyszałem.

– Tak, przez kamienie – potwierdził.

Przyglądał mi się uważnie.

Zwolniłem oddech, patrzyłem na niego z nieskrywaną ciekawością. Cisza trwała w nieskończoność.

– Nie jestem wykształcony, książę Bastardzie Rycerski – odezwał się w końcu. – Ale głupi też nie. To miasto zna swoją historię. Gdy inni obawiają się zagubienia w śladach przeszłości zamkniętej w kamieniach, ja je badam. Wiele się nauczyłem. Czasem jednak wiedza prowadzi mnie jedynie do kolejnych pytań. Czy to nie dziwne, że wszyscy Najstarsi i cały smoczy ród wyginęli w jednej katastrofie? – Mówił teraz i do mnie, i do siebie. Słuchałem go z ochotą. – Niektóre miasta Najstarszych

uległy zniszczeniu. To pewne. Długi czas odkrywano ruiny jednego z nich pod Trehaugiem. Najprawdopodobniej inne spotkał podobny los. Ale, ale...! Ludzkość przecież nie wymarła. Przetrwały też choćby mały czy papugi. Jak więc się to stało, że ze świata zniknęli akurat Najstarsi i smoki? Oczywiście ich liczba musiała zmaleć, jednak dlaczego przepadli całkowicie, jak kamień w wodę? Zastanawiające. Widziałem tych, co uciekali, gdy miasto umierało. Gdzie się podzieli? Co się stało ze smokami, których nie było w mieście podczas katastrofy? – Podrapał łuski na brodzie. Opalizujące paznokcie wydały przy tym metaliczny dźwięk. – Hiibi pamięta perfidię i ciemność. A przecież trzęsienie ziemi to katastrofa, nie zdrada. Wątpię, by Najstarsi zdradzili smoki. Wobec tego, czyje perfidne zachowanie kojarzy?

– A co na to Lodogień? – zaryzykowałem.

– Lodogień? – Generał prychnął z pogardą. – Nic. Jest równie bezużyteczny dla smoków, jak i Najstarszych. Tyran i awanturnik. Do nas wcale się nie odzywa. Tintaglia wzięła go za partnera, bo nie miała innego wyjścia, a on dowiódł, że nie jest jej wart. Tutaj właściwie go nie widzimy. Słyszałem jednak pieśń o uwolnieniu Lodognia z lodowca. O tym, jak zła kobieta o bladej skórze próbowała go zabić. Niektórzy nazywali ją białym prorokiem. Tutaj czegoś nie rozumiem. Jeżeli ktoś zabił smoki oraz Najstarszych, to chyba chciałby również położyć kres istnieniu Lodognia?

Proszę, proszę. Opowieść o Lodogniu i bladej kobiecie dotarła aż do Kelsingry. W tamtym czasie byłem Tomem Borsuczowłosym, zaledwie kilku minstreli znało moją rolę w pokonaniu bladej kobiety. Rapskał rozumował słusznie. Lodogień miał wszelkie powody nienawidzić tej osoby, a może wszystkich Sług? Czy istniała możliwość, by wzbudzić w nim na nowo tę zadawnioną nienawiść, by zyskać jego pomoc w moich porachunkach? Wątpliwe. Nie pragnął odwetu za własne cierpienia, więc tym bardziej nie będą go obchodziły krzywdy wyrządzone jakiemuś człowiekowi.

– Nie do końca pojmuje... – Postanowiłem oderwać myśli generała od Lodognia.

– Smoki z Kelsingry są w różnym wieku? Sądziłem, że wszystkie wylęgły się w tym samym czasie.

– Świat nie rozumie wielu spraw związanych ze smokami. – Uśmiechnął się wyrozumiale. – Począwszy od godów, poprzez składanie jaj, po zamknięcie węża w kokonie mija dużo czasu, tyle, co ludzkie pokolenie, a może i więcej. A jeśli węże morskie natrafią na okres, gdy trudniej zdobyć pożywienie, albo za sprawą burz trafiają w nieznanne strony, wtedy jeszcze dłużej trwa, zanim wrócą prząść kokony. Te węże, które Tintaglia sprowadziła na plaże lęgowe, przetrwały jakiś straszny kataklizm, niektóre przebywały w morzu nawet dwadzieścia lat dłużej

niż inne. Były węzami od czasu, gdy skończyło się istnienie smoków, a nikt nie wie, kiedy one zniknęły z naszego świata. Hiibi i ja jesteśmy przekonani, że była najmłodsza wśród węży, które dotarły na brzeg Dzikiej Rzeki Deszczowej. Jej rodowe wspomnienia, chociaż szczątkowe, obejmują ostatni okres historii smoków, tuż przed wydarzeniami, które omal nie doprowadziły do ich wyginięcia.

Nadszedł czas, by zadać najważniejsze pytanie.

– Czy Hiibi pamięta coś o Clerres albo o Sługach, cokolwiek, co by mi pomogło ich zniszczyć?

Pokręcił głową.

– Nienawidzi ich, ale jednocześnie się boi. A chyba nic innego na świecie nie budzi w niej strachu. Waha się pomiędzy żądaniem, bym skrzyknął wszystkie smoki dla twojej sprawy, a ostrzeżeniem, byśmy się trzymali od tamtego miejsca z daleka. Jeżeli sny przyniosą jej klarowne obrazy z przeszłości, może sama podejmie się zemsty. – Wzruszył ramionami. – Z drugiej strony, jeśli okażą się one zbyt przerażające, może postanowi trzymać się od Clerres jak najdalej.

Nagle wstał, a ja, odruchowo, odsunąłem krzesło i spiąłem się do skoku. Skwitował ten mój odruch niewesołym uśmiechem. Niski nie jestem, lecz on górował nade mną nawet, gdy stałem.

– Gdyby moja smoczyca nie zdołała znaleźć w sobie chęci, by pomścić swój gatunek i pozabijać te „Sługi” – odezwał się spokojnie – ja chętnie to zrobię. Dla niej, w jej imieniu. – Spojrzał mi prosto w oczy. – Nie będę przepraszał za swoje zachowanie przy naszym pierwszym spotkaniu. Moja podejrzliwość była uzasadniona... wciąż wątpię w wasze tłumaczenia. Nikt nie widział was idących ze wzgórz do miasta. Wasze towarzystwo zjawilo się z niewielkim bagażem, macie tylko tyle, ile można wygodnie nieść. Nie wyglądaliście na zmęczonych długą drogą przez pustkowia. Musiałem zachować wobec was najwyższą ostrożność. Do niedawna uważałem, że tylko Najstarsi mogli używać kamiennych filarów jako magicznych przejść...

Wytrzymałem jego spojrzenie, nic nie mówiąc. W jego metalicznych oczach błysnęła iskra gniewu.

– Niech więc tajemnice pozostaną tajemnicami – odezwał się w końcu. – Doskonale. Chciałem z tobą porozmawiać, książę, nie ze względu na siebie, ale z powodu Hiibi. To ona życzy sobie, bym ci pomógł. Dlatego, mimo własnych obiekcji, na jej żądanie przyniosłem ci dar. Muszę wierzyć, że nie zdradzisz się z nim przed nikim – ani człowiekiem, ani Najstarszym, ani smokiem – aż do czasu, gdy znajdziesz się daleko od Kelsingry. Do czego ci on potrzebny, nie potrafię zgadnąć. Pani Amber, zanurzając palce w smoczym srebrze, umazała skórę własną

śmiercią, a potem, dotykiem, naznaczyła nią ciebie. Nie zazdroszczę tego żadnemu z was. Mam jednak nadzieję, że zdołacie wykonać swoją misję, zanim śmierć was dosięgnie.

Mówiąc, sięgnął pod kamizelę.

Moje palce same odszukały rękojeść nożyka od Rebusa, lecz generał nie wydobył na światło dzienne żadnej broni. Na pierwszy rzut oka uznałem, że przysadzista tuba jest zrobiona z metalu, dopiero po chwili zrozumiałem, na co patrzę. Była szklana, a w jej wnętrzu z wolna przelewało się smocze srebro.

– Mamy mało pojemników wykorzystywanych przez tych, co pracują ze smoczym srebrem. Szklane ścianki są grube, a zatyczka, również ze szkła, została starannie dopasowana. Radzę uważać i obchodzić się z tym wyjątkowo ostrożnie.

– Pokazujesz mi smocze srebro, generale? – Nie zamierzałem opierać się na domysłach.

Położył naczynie na blacie, a ono potoczyło się, póki nie zatrzymał go palcem. Szklany cylinder miał średnicę rękojeści wiosła i widać było, że dobrze pasuje do męskiej dłoni. Generał sięgnął w zanadrze ponownie, wyjął drugi taki sam i położył obok pierwszego. Szkło zadźwięczało cicho, gdy się zetknęły, a w gęstej substancji powstały srebrne wiry, podobne do tych, jakie tworzy stopiony tłuszcz na powierzchni zamieszanej zupy.

– Pokazuję? Ja ci je daję, książę. Po tym, co mi przekazała Hiibi, zrozumiałem, że pani Amber zamierza użyć tej magii przeciw Sługom. Wobec tego – oto ona. Wasza broń. Albo źródło czarów. Lub jeszcze co innego, cokolwiek wam potrzebne. To dar od Hiibi, ofiarowany dobrowolnie, ponieważ jedynie smok może dysponować czarodziejskim srebrem.

W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Generał chwycił oba cylindry i wepchnął mi je w dłonie.

– Schowaj – polecił chrapliwie.

Zaskoczony musiałem najpierw je złapać i przytrzymać. Okazały się ciepłe i znacznie cięższe, niż przypuszczałem. Ponieważ nie miałem pod ręką żadnej szczególnej skrytki, wepchnąłem je za koszulę, po czym złożyłem na blacie splecione przedramiona, by ukryć wybrzuszenie. Generał tymczasem poszedł otworzyć.

– Ach! Jedzenie! – stwierdził, wpuszczając służącego, który przyjrzał mu się szeroko rozwartymi oczyma.

Mężczyzna podszedł z tacą do stołu i bez zwłoki przystąpił do rozstawiania przede mną posiłku. Czoło miał pokryte łuskami, podobnie górną część policzków, wargi rozciągnięte i napięte jak u ryby, a gdy poruszył ustami, dostrzegłem płaski, szary język. Przeniósł na mnie spojrzenie, demonstrując dziwny ruch gałek.

Odwróciłem wzrok od jego niemej prośby. Chciałem przeproszać, że nie mogę mu pomóc, lecz nie śmiałem nawet rozpocząć takiej rozmowy. Ze wstydem ograniczyłem się do grzecznego podziękowania. On kiwnął głową i wycofał się, popatrując na Rapskała. Wieści o moim gościu prędko dotrą do kuchni, a stamtąd rozniosą się z szybkością, jaką osiągnąć może tylko plotka.

– Dotrzymasz mi towarzystwa, generale?

– Nie. Spodziewam się, że lada chwila przynajmniej jedno z twoich towarzyszy, książę, zjawi się sprawdzić, czy cię nie skrzywdziłem. Żałuję. Chętnie bym się dowiedział... gdybyś zechciał mnie nauczyć, jak podróżować przez filary. I dlaczego Hiibi uważa, że pachniesz, jakbyś miał smoka za kompana, w dodatku takiego, którego ona nie zna. Podejrzewam, że i ja mógłbym ci pomóc w tym i owym... – Westchnął. – Wiele tracimy przez brak zaufania. Żegnaj, książę Bastardzie Rycerski Przejorny. Mam nadzieję, że sojusze kupieckie i magiczne, które przedstawiłeś naszemu ludowi, przyniosą obopólną korzyść. Oby nie zaowocowały wojną.

Takie oto mrozące krew w żyłach słowa wybrał na pożegnanie.

Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, poszedłem spakować cylindry. Zważyłem je w dłoniach, uważnie przyjrzałem się ciężkim kłębom srebrnego płynu. Zbadałem obie zatyczki. Były rzeczywiście świetnie dopasowane, co więcej, trochę lepkie, jakby dodatkowo zabezpieczono je żywicą. Każdy pojemnik wsunąłem ostrożnie w grubą skarpetę, wywijając ją powtórnie na ścianki naczynia, następnie włożyłem w ciepłą wełnianą czapę i wreszcie umieściłem na dnie plecaka. Szkło wydawało się mocne i solidne, jednak nie zamierzałem ryzykować. W jednym zgadzałem się z Rapskałem: nie planowałem komukolwiek zwierzać się ze swojego stanu posiadania. Zwłaszcza Błaznowi. Nie miałem pojęcia, dlaczego pani Amber prosiła o smocze srebro. I dopóki nie zechce mi wyjaśnić swojego postępowania, w ogóle nie brałem pod uwagę, że mu cokolwiek przekażę. Niepokoiły mnie jej posrebrzone palce i wciąż nie potrafiłem określić swoich uczuć wobec faktu, że znów miałem na nadgarstku połyskliwe odciski.

Ech!

Chociaż wiedziałem, że podjąłem słuszną decyzję, nie wiadomo dlaczego czułem się winny. Gorzej. Fałszywy i zdradziecki.



Po południu każdy wracający do pokojów przynosił opowieści związane z miastem. Starodawny ogród botaniczny dawno zdziczał, lecz zachowały się pomniki, wolno

zmieniające pozy, oraz fontanna, dźwięcząca szczęśliwym dziecięcym śmiechem. Strzyk i Skierka dostrzegli niewyraźne postacie Najstarszych, między duchami zielonych drzew i gęstego bluszczu. Pani Amber, słuchając ich, kiwała głową, natomiast Trud był niepokieszony.

– Dlaczego ja nic nie widzę ani nie słyszę? – Oburzenie w jego głosie pobrzmiwało nutą gniewu.

– Bardzo mi z tego powodu przykro – powiedziała Skierka cicho.

– Dlaczego tak się dzieje? – Tym razem skierował pytanie do mnie.

– Nie mam pewności – przyznałem – jednak podejrzewam, że to jakaś twoja wrodzona cecha. Niektórzy ludzie mają skłonności do magii. Talent do korzystania z Mocy. Albo Rozumienia. Takie zdolności można rozwijać. Tak samo jak u psów pasterskich nawyk zaganiań stada. Podobnie ogary już jako szczenięta podążają za interesującą wonią, zanim się je nauczy finezji rozróżniania zapachów.

– Psy innych ras też można przyuczyć do pilnowania stada albo szukania zapachów. Nie możesz mi, panie, pokazać, jak słyszeć i widzieć to, co oni?

– Obawiam się, że nie.

Chłopak zerknął spod oka na Skierkę. Wyczułem coś między nimi. Rywalizację? Czy po prostu chęć dzielenia wrażeń?

– Ja widzę i słyszę znacznie mniej niż inni – przyznał cicho Strzyk.

– A ja nic! – wyrwało się Niestrudzonemu.

– Można to postrzegać jako dar, nie defekt. Zostałeś obdarzony czymś w rodzaju zbroi chroniącej przed magią. Właśnie dzięki niej oparłeś się impulsowi, narzuconemu mieszkańcom Białego Gaju w noc najazdu. Za sprawą tego pancerza zdołałeś pomóc Pszczole w ukrywaniu się i w próbie ucieczki. Twoja odporność na Moc i na magię Kelsingry nie jest słabością, wręcz przeciwnie: to tarcza.

Nie zdołałem go pocieszyć.

– Panience niewiele to dało – stwierdził żałośnie. – Tak czy inaczej, została porwana. A teraz już wcale jej nie ma.

Wszyscy straciliśmy humor. Zamilkliśmy. Wszelkie radosne doznania przyćmiła tragiczna przyczyna, dla której się tu znaleźliśmy.

– Odwiedził mnie generał Rapskał – powiedziałem, a słowa padły niczym kamienie w toń sadzawki.

– Czego chciał? – spytała pani Amber. – Groził ci?

– Wręcz przeciwnie. Oznajmił, że życzy nam powodzenia w dokonaniu zemsty. Hiibi, jego smoczyca, miała sen o Sługach. I o Clerres. – Krócej się nie dało.

Po moich słowach zapadła głęboka cisza.

– Co to właściwie znaczy? – odezwał się w końcu Trud.

– Rapskał wywnioskował, że na smoki spadła jakaś klęska. Według niego Hiibi nienawidzi Sług z Clerres, ponieważ niewyjaśnionym sposobem wymordowali oni pozostałe smoki. A w każdym razie tyle, ile zdołali unicestwić.

Twarz pani Amber mimowolnie przybrała rysy Błazna.

– To wiele wyjaśnia! – szepnęła głosem mojego przyjaciela. – Skoro Słudzy przewidzieli katastrofę zagrażającą smokom i Najstarszym, mogli zaplanować jej powiększenie. Jeśli ich celem było zgładzenie wszystkich smoków i prawie im się udało, to przewidzieli, że będziemy próbowali doprowadzić do ich odrodzenia. Dlatego ukształtowali bladą kobietę i ją posłali w świat, a mnie zatrzymali w niewoli. By zyskać pewność, że smoki na ten świat nie wrócą. – Zapatrzył się w nicość, wracając pamięcią do skutków naszych dokonań. – Wszystko pasuje, Bastardzie. – Na jego twarzy wykwitł szczególny uśmiech. – Nie osiągnęli celu. Smoki przetrwały.

Dreszcz przeszedł mi po plecach. Z jakim wyprzedzeniem Słudzy planowali swoje poczynania? Błazen wspomniał już kiedyś, że wykorzystali go, by mnie odciągnąć od Białego Gaju, dzięki czemu łatwiej porwali Pszczołę. Czy za sprawą snów i przepowiedni odgadli nasze najnowsze zamiary? Wiedzieli, że nadciągamy? Jakie przeszkody nam szykowali, jakie trudności przed nami piętrzyli?

Odsunąłem od siebie niewczesne lęki.

– Nadal nie wiemy, dlaczego postanowili zlikwidować smoki.

Błazen posłał mi znajomy, kpiący uśmiešek.

– Powiedziałem, że to wyjaśnia wiele, nie wszystko. Słudzy od dawna rozgrywają partię ze światem i wszelkim żywym stworzeniem. A na względzie mają jedynie własne dobro. Porozmawiałbym z tą Hiibi... Dobrze byłoby wiedzieć dokładnie, co pamięta.

– To chyba niezbyt rozsądne posunięcie. Moim zdaniem powinniśmy unikać generała Rapskała, na ile to możliwe. Wydaje się... nie do końca zrównoważony. Dzisiaj był uprzejmy, nawet życzliwy, jednak nie sposób mu ufać. Oznajmił bez ogródek, że nie wierzy w naszą wersję podróży do Kelsingry ani w twoją opowieść o posrebrzeniu palców. Podejrzewa, iż przybyliśmy tu przez filary. Zauważył cię przy studni smoków tej nocy, gdy zamoczyłeś palce w srebrze. Błaznie, dla własnego dobra trzymaj się od niego z daleka.

Długi czas milczał. Potem jego twarz znów przybrała rysy pani Amber.

– Rzeczywiście, takie postępowanie wydaje się uzasadnione. Powiedziałeś, że Hiibi rozmawia tylko z generałem. A czy któryś inny smok może pamiętać cokolwiek związanego ze Sługami? Jak sądzisz?

– Nie przypuszczam, ale któż to wie? – Kilka chwil poświęciłem na rzetelny

namysł. – Lodogień coś pamięta. Przeżył apokalipsę swojego gatunku i z własnej woli pogrzebał się w lodowym grobowcu. Zapewne pamięta dawniejsze czasy. I wie, czy Słudzy rzeczywiście mieli coś wspólnego z masakrą smoków. Mógł podzielić się swoją wiedzą z Tintaglią. To prawdopodobne.

– Tyle tylko że go tu nie ma. Wiele smoków na czas zimy przenosi się w cieplejsze strony. Niektóre wyemigrowały przed trzema, nawet czterema laty. Lodogień, jak się zdaje, odleciał i nie wrócił.

Zimny strach ścisnął mi serce. Zrobiłem wiele, by nie odbił się na mojej twarzy.

– Błaźnie... Pani Amber. Jaki klimat panuje na Wyspie Jasnej? I na pobliskich ziemiach?

Skupiła na mnie spojrzenie niewidzących oczu.

– Ciepły. Łagodny. Nie wiedziałam, co to zima, póki nie zawędrowałam do Królestwa Sześciu Księstw. – Uśmiechnęła się, tym razem ustami Błazna. – Tam jest pięknie. Nie tylko na Wyspie Jasnej, nie tylko w Clerres. Także na sąsiednich wyspach i na kontynencie. To urokliwe miejsca, takich nie widziałeś. Przyznaję, Księstwo Kozie jest piękne w swojej surowości. To nieugięty, srogi ląd, na którym żyją ludzie twardzi niczym żelazo. A mój kraj...? Są tam łagodne wzgórza i szerokie rzeki, stada bydła i owiec. Krowy, to nie narowiste, ogromne zwierzęta, jakie znasz. Nasze to dostojne, spokojne bydła, o łbach zwieńczonych zwiniętymi rogami, o czarnych nozdrzach... Nie wyższe w kłębie od człowieka. Ziemia jest żyzna i łaskawa. W głębi lądu łatwo napotkać pełne ryb niebieskie oczka wodne o złotych brzegach, a w lasach porastających niezbyt strome zbocza biją gorące źródła. – Westchnął i zamilkł. Najpewniej zdryfował myślami ku dniom wczesnego dzieciństwa. I nagle pani Amber przechyliła ku mnie głowę. – Jak sądzisz, to właśnie tam smoki odlatują na zimę? A przynajmniej odlatywały swego czasu?

Wyobraziłem sobie rozległe pastwiska, uciekające w przerażeniu tłuste bydło, krążące nad nim wielkie gady.

– To by wyjaśniało, dlaczego Słudzy mogliby chcieć się ich pozbyć. Królestwu Sześciu Księstw smoki nie przyniosły, jak dotąd, szczególnych korzyści. Może Sługom sprawiały więcej kłopotu, niż dawały pożytku?

Czy wiedzieli, jak je zabić? Czy właśnie tam zostały te, które nie wróciły do Kelsingry?

– Niech się nad tym zastanowię, niech sobie przypomnę te okruchy wiedzy o smokach, które znam z wyśnionych przepowiedni. – Pani Amber ściągnęła brwi i raptem znowu przemieniła się w Błazna. – Że też nigdy nie przyszło mi do głowy zastanowić się, czemu tak niewiele jest wróżb dotyczących smoków... Czy naprawdę nie istnieją prorocze sny na temat ich powstania i upadku? Czy może

zostały utajnione?

Oczywiście, pomyślałem.

Podobnie Błazen spychał w niepamięć swoje wspomnienia z Clerres. Musiałem rozwiązać obie te zagadki. W moich myślach powoli zaczął kształtować się plan.

Rozdział 6

Nowa wiedza

Pierwszy raz śniłem o światoburcy jeszcze na Wyspie Aslevjal. Katalizator Ukochanego powrócił wtedy po raz drugi. Sądzę, że to właśnie jego obecność pobudziła moje śnienie i zrodziła wizję niszczyciela. W tym konkretnym śnie światoburca jest pięścią dzierżącą płomień. Dłoń otworzyła się, a wówczas płomienie buchnęły wysoko, lecz zamiast dać światło, ściągnęły ciemność. I wszystko, co dotąd znałem, uległo zniszczeniu. Tak wiele czasu minęło od chwili, gdy miałem prorocze sny, iż oceniłem, że mylnie uznałem ten za przepowiednię. Bo czyż nie osiągnąłem wszystkich swoich celów? Cóż miałyby oznaczać tak mroczna wróżba w godzinie triumfu? Jednakże poruszyła mnie ona do głębi, aż przekazałem białemu prorokowi i jego katalizatorowi, że nadszedł czas, by się rozstali. Przynajmniej jeden z nich zaakceptował rację moich słów, jednak nie miałem wątpliwości: obu im brakowało woli do uczynienia tego, co musiało się stać. Podjąłem więc kroki, by ich rozdzielić.

Zapiski Prilkopa Czarnego

Powracałem do zdrowia wolniej niż po jakichkolwiek fizycznych ranach, których doświadczyłem przez dziesiątki lat. Najwyraźniej samouzdrawianie Mocą, już dobrze mi znane, nie naprawiało szkód wyrządzonych przez samą magię. Zwykle skupienie myśli było nie lada wyzwaniem, łatwo się męczyłem, a za popołudniowe spotkanie z generałem Rapskalem zapłaciłem wysoką cenę. Nawet w tym, tak zwanym, „spokojnym” budynku strumień Mocy zagarniał mnie wzburzonym nurtem. Mimo wszystko jednak nie mogłem pozwolić sobie na beczynność. Musiałem zbierać informacje. Niezależnie od przeszkód. Niezależnie od ciągłego znużenia.

Tamtej nocy posłałem Niestrudzonego do kuchni, by wyprosił dla mnie jakąś okowitę. Wrócił z okazałą flaszką brzoskwiniówki z Piaszczystych Kresów.

– Dał mi to Karoten, który pochodzi z Deszczowych Ostępów. Bardzo mu przeszkadzają grube łuski na twarzy i na rękach – poinformował mnie chłopak, stawiając na stole butelkę oraz dwa kielichy. – Powiedział, że ty, panie, musisz otrzymywać wyłącznie to, co najlepsze, i poprosił, bym cię od niego pozdrowił.

Westchnąłem ciężko. Stale odmawiałem dalszych prób uzdrawiania, lecz nie uwolniło mnie to od próśb i znaczących gestów ze strony ludzi dotkniętych przez smocze zmiany. Niestrudzony doskonale to rozumiał. Lekko wzruszył ramionami i zostawił mnie samego. Wrócił do siebie, by się położyć spać.

Usiadłem na łóżku, z butelką na podorędziu i kielichem w dłoni. Tak zastała mnie pani Amber, wróciwszy z późnej kolacji w towarzystwie królowej Małty. Osuszyłem szkło do ostatniej kropli i dopiero wtedy przywitałem przybyłą.

– Jak ci minął wieczór? – spytałem, przeciągając głoski.

– Całkiem sympatycznie. Chociaż korzyści przyniósł niewiele. Lodogień zniknął ładne parę miesięcy temu. Nawet królowa nie potrafi określić, kiedy odleciał. Wszyscy wiedzą, że Hiibi rozmawia wyłącznie z Rapskałem. Już doniesiono Malcie o twoim spotkaniu z generałem i o tym, że Rapskał się o ciebie martwi.

– A od ciebie otrzymała zapewnienie, że nic mi nie jest. Przyznaję, rzeczywiście nie powinienem był wychodzić do miasta. Strumień Mocy przypomina tam rwącą rzekę pełną głązów. Naprawdę nie wiem, czy odczuwam go z taką potworną siłą, ponieważ mam wpojona wrażliwość na magię, czy też z powodu dużej ilości smoczego srebra w okolicy. A może coś się we mnie zmieniło w czasie uzdrawiania, gdy pozwoliłem, by magia płynęła przeze mnie bez przeszkód...? – Uniosłem butelkę. – Chcesz trochę?

– Czego? – Pociągnął nosem. – Brzoskwiniówka z Piaszczystych Kresów?

– W rzeczy samej. Kielich mam tylko jeden, ale na stole zostały szklanice.

– Wypiję. Nie wypada, żebyś raczył się sam.

Zrzuciłem buty z nóg, stuknęły głucho o podłogę. Nalewając sobie trunek, celowo brzęknąłem butelką o krawędź naczynia. Wyciągnąłem się na łóżku i wbiłem wzrok w pociemniały sufit. Na tle granatowego nieba błyszcząły gwiazdy. Nie one jedne stanowiły źródło światła, bo ściany ukazały krajobraz lasu, gdzie na łagodnie powyginanych gałęziach lśniły białe kwiaty.

– Tyle Mocy płynie przez to miasto – odezwałem się do gwiazd – a ja nie mam odwagi jej używać...

Nie patrzyłem, gdy pani Amber pozbyła się spódnic i starła farbki z twarzy. Gdy poczułem, że ktoś siada na krawędzi łóżka, wiedziałem, że to Błazen, ubrany w zwykłe wąskie spodnie i koszulę bez ozdób. Przyniósł ze stołu filiżankę.

– I wciąż nie ośmielasz się nawet spróbować pomóc któremuś z tych biedaków zmienionych smoczym dotykiem. Nie skorygujesz choćby najdrobniejszej wady, na przykład łusek zarastających oczy, prawda?

Westchnąłem. Nalewając brzoskwiniówkę do filiżanki, znów brzęknąłem lekko szkłem. Tym razem odmierzyłem solidną porcję.

– Wiem, o kim mówisz. Był tu dwa razy. Za pierwszym razem prosił, za drugim przyniósł pieniądze. Błaznie, rzeczywiście nie śmiem. Moc jest dla mnie groźna. Jeśli wpuszczę do umysłu choćby stróżkę magii, tama runie i nie zdołam ocalić życia.

Poprawiłem się na łóżku.

Błazen najpierw pociągnął dwa długie łyki, by nie uronić ani kropli trunku z filiżanki, po czym usiadł obok mnie, wspierając się na wezgłowiu. Flaszkę postawiłem między nami.

– Nie możesz porozumieć się z Pokrzywą ani z królem Sumiennym? – Wsparł głowę wysoko na poduszkach, naczynie z brzoskwiniówką trzymał w obu dłoniach oparte na piersi.

– Nie śmiem – powtórzyłem. – Może przedstawię ci to tak: jeżeli woda wlewa się do łodzi, człowiek nie wierci dziury w dnie, żeby się jej pozbyć, bo przecież wtedy będzie jej przybywać.

Nic nie odpowiedział.

Ułożyłem się podobnie jak on.

– Szkoda, że nie widzisz tego pokoju, jest piękny. Sufit mamy usiany gwiazdami, a na ścianach cienisty las. – Zawahałem się niepewny, czy to już czas przejść do właściwego tematu. Tak. Najwyższy czas. – W takich chwilach szkoda mi Aslevjału. Żołnierze bladej kobiety zniszczyli tam tyle piękna. Żałuję, że nie widziałem tego wszystkiego w nienaruszonym stanie.

Błazen długo milczał. W końcu jednak się odezwał.

– Prilkop często wspominał piękno, które uległo zagładzie, gdy podporządkowała sobie Aslevjal.

– Był tam przed nią?

– O, tak. Na długo przed nią. Jest bardzo stary. – Głos mu zadrżał. – Był bardzo stary.

– Jak bardzo?

Prychnął z rozbawieniem.

– Naprawdę bardzo. Był tam, zanim Lodogień pogrzebał się w lodowcu. Nie rozumiał, jak smok może zrobić coś podobnego, lecz nie śmiał mu się sprzeciwić. Lodogień był absolutnie pewny swojej racji, chciał w lodzie zakończyć żywot. Gdy Prilkop po raz pierwszy dotarł na wyspę, większą jej część zajmował lodowiec. Niektórzy Najstarsi wciąż się tam pojawiali, lecz nigdy na długo.

– Jak to możliwe, żeby ktoś żył tyle lat?

– Prilkop przyszedł na świat jako potomek pradawnego rodu najczystszej krwi. Biali są długowieczni i niełatwo pozbawić ich życia. Trzeba się natrudzić, by

któregoś okaleczyć lub zabić. Tak jak to ze mną zrobiła blada kobieta. – Siorbną hałaśliwie, po czym przechylił filiżankę i pociągnął długi łyk. – To, co zgotowali mi w Clerres... ciebie zabiłoby na pewno. I każdego innego człowieka. Wiedzieli, co robią, pilnowali, by nie posunąć się za daleko, a ja wciąż miałem nadzieję, że posuną się o ten jeden krok za daleko... – Upił kolejny łyk.

Tak oto doszliśmy do tematu, który chciałem poruszyć, chociaż nie tą drogą, jaką planowałem. Czułem, jak w przyjacielu narasta napięcie.

– Gdzie ta flaszka? – spytałem z głupia frant.

– Tu jest.

Szybko wymacał ją na łóżku i mi podał.

Wlałem do kielicha odrobinę, a gdy Błazen podsunął mi filiżankę, nie żałowałem trunku. Chlusnąłem tak szczerze, że część prysnęła w górę.

Ze ściągniętymi brwiami strząsnął brzoskwiniówkę z palców, po czym przemieścił ciecz tam, gdzie rozlanie już jej nie groziło. Jakiś czas żaden z nas się nie odzywał. Liczyłem jego oddechy, coraz wolniejsze i głębsze.

Uniósł dłonie, a filiżanka zachybotła mu się na piersi. Ostrożnie pociągając za czubki palców zdjął rękawiczkę, obnażając posrebrzoną rękę. Uniósł ją, obrócił, najpierw w jedną, potem w drugą stronę.

– Widzisz ją? – spytałem z ciekawionym.

– W pewnym sensie. Nie tak jak ty.

– Boli? Thymara powiedziała, że to cię zabije, a według Skierki jest ona jedną z niewielu Najstarszych, którym wolno pracować ze srebrem, i wie o nim więcej niż ktokolwiek inny. Chociaż nadal daleko jej do dawnych Najstarszych.

– Naprawdę? Tego nie słyszałem.

– Stara się pozyskiwać informacje ze wspomnień zgromadzonych w mieście, ale musi być ostrożna, bo niebezpiecznie jest słuchać ich zbyt uważnie. Okazuje się, że Strzyk odbiera szept miasta, a Skierka słyszy jego śpiew. Ostrzegaliśmy ich, by unikali miejsc, gdzie zostały złożone wspomnienia. – Westchnąłem. – Na pewno mnie nie posłuchali i przynajmniej uszczknęli zgromadzonej tam wiedzy.

– O, tak. Skierka wyznała mi, że niektóre służące w wolnym czasie nie robią nic innego, tylko nurzają się w erotycznych wspomnieniach pewnej Najstarszej, zostawionych w rzeźbie przedstawiającej ją samą. Król i królowa potępiają takie zachowanie, nie bez przyczyny. Przed laty docierały do mnie różne plotki o rodzinie Khuprusów, między innymi i taka, że ojciec Reyna zbyt wiele czasu spędzał pomiędzy kamieniami w dawnym mieście Najstarszych strawionym przez pożar. No i doprowadziło go to do śmierci. A dokładniej rzecz ujmując, pogrążył się w nich do tego stopnia, że jego zaniedbane ciało w końcu przestało funkcjonować. Mówi

się wtedy, że ktoś zatonął we wspomnieniach. – Upił łyk z filiżanki.

– A u nas: zatracić się w Mocy. Jak na przykład Dostojny Przewrotny. – Imię dawno zmarłego kuzyna wypowiedziałem z celową emfazą.

– Albo król Szczery, w sposób znacznie bardziej dramatyczny. Nie zatonął w cudzych wspomnieniach, nie zatracił się w Mocy, ale wszedł w smoka, zabierając ze sobą wszystko, co przeżył.

Jakiś czas ważyłem jego słowa w milczeniu. Uniosłem naczynie do ust, lecz, zamiast pociągnąć łyk, powiedziałem:

– Kiedyś jedna wiedźma, biegła w magii skraju, wyjaśniła mi, że wszystkie czary są ze sobą powiązane. Przypominają krąg, a różni ludzie mają dostęp do poszczególnych fragmentów tej figury. Nikt nie ogarnia całości. Ja mam talent do korzystania z Mocy i Rozumienia, nie umiem jednak wróżyć ze szklanej kuli. Cierń to potrafi. Tak sędzę, bo nigdy nie przyznał tego wprost. Jinna robiła amulety i talizmany, lecz równocześnie gardziła moim Rozumieniem... – Przyjrzałem się jego dłoni w powolnym obrocie. – Dlaczego właściwie posrebrzyłeś sobie palce? I po co ci jeszcze więcej smoczego srebra?

Tym razem on westchnął. Ręką bez magii strząsnął rękawiczkę i przytrzymał ją otwartą, gdy dłoń z posrebrzonymi czubkami palców ostrożnie do niej wpełzała. W końcu ujął filiżankę w obie ręce.

– Po to, by dysponować magią, Bastardzie. Aby łatwiej korzystać z filarów. Móc znów kształtować drewno, jak kiedyś. Żeby dotknąć coś lub kogoś i wiedzieć wszystko, jak dawniej. – Zaczerpnął głęboko powietrza i wolno je wypuścił. – Wtedy, gdy mnie torturowali, gdy oskórowali mi dłoń... – Głos mu się załamał. Zamilkł, pociągnął łyk brzoskwiniówki i dopiero wtedy dokończył, pozornie beztrosko: – Od chwili gdy odebrali mi Moc, bardzo mi jej brakowało. Chciałem ją odzyskać.

– Thymara powiedziała, że smocze srebro cię zabije.

– Szczery i Pustka umierali długo. Znali swój los. Śpieszyli się ze stworzeniem smoka i wejściem w niego, zanim królewska magia odbierze im życie.

– Ale ty przez całe lata żyłeś z Mocą na czubkach palców.

– A ty przez całe lata nosiłeś ślady moich palców na nadgarstku. I nie umarłeś od tego. Ani Malta nie ucierpiała od mojego dotyku na karku.

– Dlaczego?

Bez pośpiechu upił kilka łyków, po czym przekręcił się na bok, twarzą w moją stronę.

– Nie wiem. Może dlatego, że nie do końca jestem człowiekiem. Może pochodzenie z ludu Białych ma tu jakieś znaczenie. Albo istotne jest to, że byłeś kształcony w korzystaniu z Mocy. Ewentualnie przyczyna tkwi w tym, że

i ty, i Malta zostaliście ledwie muśnięci magią. Lub może zmiany, jakie w Malcie wprowadziła Tintaglia, uodporniły królową na Moc. – Uśmiechnął się. – A przecież i ty masz w sobie coś ze smoka. W twoich żyłach płynie krew Najstarszych z dawnych czasów. Przypuszczam, że ród Przezornych zyskał domieszkę tej krwi, gdy pierwszy z nich, Zdobywca, przybył na ziemię, gdzie później powstało Księstwo Kozie. Kto wie, czy mury Koziej Twierdzy nie są przesiąknięte Mocą, chociaż nie w takim stopniu, jak ściany Kelsingry? Obaj wiemy, że magia jest obecna w zamku, choćby w czarnych filarach w jego najstarszej części. Może jesteś odporny na smocze srebro, bo wychowałeś się, wystawiony na działanie Mocy, a może to twoja indywidualna cecha. – Pokręcił głową, poduszka się do niego dostosowała. – Nie wiemy. Ale, tak czy inaczej, uważam że – uniósł dłoń w rękawiczce i potarł obciążone tkaniną palce – bardzo mi się to przyda, gdy dotrzemy do Clerres.

– A dlaczego prosiłeś o więcej smoczego srebra?

– Prawdę powiedziawszy, z myślą o przyjacielu. Chciałbym poprawić mu los. A może przy tej okazji z wdzięczności zechce wyświadczyć mi przysługę.

Cienkim strumyczkiem nalałem nieco brzoskwiniówki do swojego kielicha, po czym napełniłem filiżankę Błazna. Obaj wypiliśmy do dna.

– Znam tego przyjaciela?

Zaśmiał się głośno.

Ten dźwięk słyszałem ostatnio tak rzadko, że mimowolnie uśmiechnąłem się, chociaż nie znałem przyczyny wesołości Błazna.

– Nie, nie znasz. Ale poznasz. – Skierował na mnie spojrzenie bladozłotych oczu, a ja poczułem, że mnie widzi. – I pewnie dojdiesz do wniosku, że macie ze sobą wiele wspólnego – dokończył i znów się zaśmiał, trochę rozwlekłe.

Nie naciskałem. Dobrze go znałem. Wiedziałem, że na bezpośrednie pytanie i tak nie odpowie.

Natomiast on mnie swoim pytaniem zaskoczył.

– A ty? Nigdy nie myślałeś o tym, by sobie sprawić odrobinę Mocy na palcach?

– Nie.

Przyszedł mi na myśl król Szczery. Jego dłonie, jego przedramiona powleczone magicznym srebrem. Nie mógł wtedy przytulić, nawet dotknąć swojej ukochanej. Przypomniało mi się, jak dawniej, gdy cokolwiek musnęło odciski palców Błazna na moim nadgarstku, natychmiast rozpraszała mnie dojmująca świadomość istnienia tego przedmiotu. Gałązki paproci, zeschnięte liście, źdźbła trawy.

– Nie – powtórzyłem. – Mam serdecznie dość kłopotów z Mocą, nie zamierzam prosić się o więcej.

– A przecież długie lata nosiłeś na skórze odciski moich palców. I rozgniewałeś

się, gdy je usunąłem.

– To prawda. Brakowało mi tej więzi z tobą. – Upiłem łyżeczek płynnej delicji. – Gwoli ciekawości: jak je usunąłeś? I skąd się teraz wzięła Moc na twojej dłoni?

– Wszystko chciałbyś wiedzieć. A potrafisz mi wytłumaczyć, jak porozumiewasz się z Pokrzywą?

– Mogę ci o tym opowiedzieć, ale nie zrozumiesz. Do tego musiałbyś mieć Moc.

– Ano właśnie.

Na kilka chwil zapadło milczenie. Poprawiłem w tym czasie osłonę chroniącą umysł, dzięki czemu pomruk miasta najpierw przeszedł w niegłośny szept, a nieco później ustąpił miejsca błogosławionej ciszy. Na moment wypełnił mnie spokój. Potem wezbrało we mnie poczucie winy, rozpanoszyło się w miejscu zajęтым wcześniej przez mamrotanie Kelsingry. Spokój?! Jakie miałem prawo chociażby do cienia spokoju, skoro zawiodłem własne dziecko?

– Mam je zabrać?

– Co?

– Odciski moich palców z twojego nadgarstka. Czy chcesz, żebym je stamtąd usunął?

Czy tego chciałem? Zastanowiłem się krótko.

– Nigdy cię o to nie prosiłem. A teraz... Teraz obawiam się, że jeśli dotkniesz mojej skóry, obu nas porwie nurt magii. Błaźnie, powiedziałem ci, że Moc jest dla mnie groźna. Ostatnie spotkanie z nią nauczyło mnie ostrożności. Wciąż myślę o Cierniu, o tym, jak zmienił się w ciągu ostatnich miesięcy, jak niewiele z niego zostało. A gdyby mnie spotkał podobny los? Jeżeli nie będę niczego pamiętał, nie zdołam uporządkować myśli? Nie wolno mi do tego dopuścić. Muszę panować nad swoim umysłem. – Upiłem łyk. – Musimy... Muszę wykonać naprawdę ważne zadanie.

Nie odpowiedział. Patrzyłem w sufit, lecz kątem oka obserwowałem, jak popija z filiżanki. Podsunąłem mu butelkę, a on nalał sobie więcej. Tak, teraz nastał właściwy moment.

– Opowiedz mi o Clerres. O wyspie, o mieście, o szkole. Jak się tam dostaniemy? Prychnął.

– W kwestii tego, jak ja mam się tam dostać, nie widzę najmniejszego kłopotu. Wystarczy, że mnie rozpoznają, a zabiorą natychmiast, z największą ochotą, by skończyć, co zaczęli. – Próbował się zaśmiać, jednak zamilkł raptownie.

Chyba sam siebie przestraszył, więc postanowiłem skierować jego myśli na inne tory.

– Pachniesz jak ona.

– Słucham?

– Pachniesz jak pani Amber. Trochę mnie to irytuje.

– Jak pani Amber? – Podsunął sobie nadgarstek pod nos, powąchał. – Został ledwo ślad po olejku różanym. Ty to czujesz?

– Chyba ciągle mam w sobie coś z wilka. Czuję te róże tym wyraźniej, że zwykle nie pachniesz wcale. Oczywiście, jeśli jesteś czymś upačkany, czuję brud na twojej skórze i ubraniu, ale ty sam nie pachniesz. Ślepun nazywał cię „bezwonnym”. Uważał to za bardzo dziwne zjawisko.

– Zdążyłem o tym zapomnieć. Ślepun...

– Za Ślepuna. Za przyjaciół, którzy odeszli – powiedziałem, uniosłem szkło i wypięłem do dna.

On zrobił to samo. Pośpiesznie uzupełniłem trunek w filizance, brzęknąłem butelką o krawędź kielicha.

Wspominając wilka, znów jakiś czas milczeliśmy, lecz była to zupełnie inna cisza. W końcu Błazen odchrząknął i odezwał się tonem Krzewiciela nauczającego historii Księstwa Koziego:

– Daleko daleko na południe, za morzem na wschodzie, leży ziemia, z której pochodzę. Urodziłem się jako syn rolnika. Gospodarował on na żyznej ziemi, nasz strumień rzadko wysychał. Mieliśmy gęsi i owce. Matka przędła wełnę, rodzice do spółki ją farbowali, ojcowie gręplowali. Ależ to było dawno! Brzmi jak bajka. Matka była już niemłoda, gdy mnie urodziła, a rosłem powoli, tak samo jak Pszczoła, jednak wciąż mieszkałem z nimi, dbali o mnie przez lata. Jako staruszkowie zabrali mnie do Clerres, do Sług. Może sądzili, że nie dadzą rady dłużej się mną zajmować. Powiedzieli mi, że czas, bym stał się tym, kim powinienem, nie mieli pewności czy nie powstrzymywali mnie przed wypełnieniem powołania zbyt długo. W tamtej części świata wszyscy wiedzieli o białych prorokach, chociaż nie każdy dawał wiarę legendom. – Pokiwał głową. – Urodziłem się w głębi lądu, w krainie zwanej Mersenia, więc podróż zajęła nam sporo czasu, najpierw po lądzie, potem od wyspy do wyspy, póki nie dotarliśmy do Clerres. To piękne miasto, rozłożone nad zatoką, na wyspie, która w dawnym języku nazywa się Kells. Inaczej Clerres. Niektórzy mówią o niej: Wyspa Jasna. Wzdłuż jej wybrzeża, a także na kilku sąsiednich wyspach, na plażach morze składa niewyobrażalnie wielkie, skamieniałe kości. Widziałem je na własne oczy. Niektóre wykorzystano przy budowie warowni. Bo to jest warownia. Tak. Była nią jeszcze przed czasem Sług. Kiedyś łączył ją z lądem smukły półwysep. Ten, kto zbudował zamek, zwęził półwysep, zostawiając jedynie groblę... A ona ukazuje się i znika, zależnie od poziomu wody. Na obu końcach jest strzeżona przez solidne bramy i czujne strażę. Słudzy decydują, kto wchodzi i kto

wychodzi.

– Czyli mają wrogów?

Znowu się roześmiał.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Raczej dbają o interesy. Decydują o losie pielgrzymów, kupców i żebraków. Clerres przyciąga najróżniejszych ludzi.

– Wobec tego należy zbliżyć się od strony morza. Podpłynąć niewielką łodzią w nocy.

Pokręcił głową, łyknął szlachetnego trunku.

– Nic z tego. Od strony wody twierdzę chroni wysoka palisada, noc w noc rzeńście oświetlona. Nie da się zbliżyć niepostrzeżenie. A wieże są obsadzone wyśmienitymi łucznikami.

– Mów dalej – zachęciłem go z westchnieniem.

– Jak już wspomniałem, przybywają tam najróżniejsi ludzie. Handlarze z odległych portów, osoby pragnące zgłębić tajemnice przyszłości i takie, co chcą zostać sługami ludu Białych. Najemnicy, chętni do służby w gwardii... Dlatego ukryjemy się w tłumie. W ludzkim strumieniu napływającym do Clerres nikt nie zwróci na ciebie uwagi. Wmieszasz się między tych, co chcą kupić przepowiednie, a tacy przekraczają groblę z każdym odpływem.

– Wolałbym dostać się tam ukradkiem, najlepiej w ciemnościach.

– Mogłoby się udać – stwierdził po namyśle. – Pod groblą jest bardzo stary tunel. Niestety nie wiem, którędy się do niego wchodzi ani dokąd on prowadzi. Powiedziałem ci kiedyś, że kilkoro spośród młodych Białych wywiódło mnie stamtąd potajemnie. – Pochylił głowę, pociągnął z filiżanki zdrowy łyk. – Uważałem ich za przyjaciół – rzekł z goryczą – lecz już od dawna nie mam pewności, czy nie wykonywali poleceń Rady Czworoga. Pewnie oswobodzili mnie z tej samej przyczyny, dla jakiej wypuszcza się ptaka pocztowego z klatki. Bym wrócił do domu. Obawiam się, że teraz mnie oczekują. Mogli przewidzieć mój powrót. I są gotowi. Ponieważ nasza próba działania, Bastardzie, zniszczy każdą wersję przewidzianą przez nich przyszłości. Śniono o tym nie raz.

Obróciłem głowę, spojrzałem na przyjaciela. Uśmiechał się zagadkowo.

– Gdy po raz pierwszy zawróciłeś mnie z progu śmierci – podjął – powiedziałem ci, że otworzyłeś drzwi do przyszłości, jakiej nigdy nie przewidywałem. Senne wizje nie wykraczały poza czas mojej śmierci. A ta była pewna. W czasie podróży do Clerres z Prilkopem nie miałem proroczych snów. Dlatego nabrałem pewności, że mój czas w roli białego proroka dobiegł końca. Osiągnęliśmy przecież wszystko, co wyśniłem.

– To prawda! – Uniosłem kielich. – Nasze zdrowie!

Spełniliśmy toast.

– W miarę upływu czasu sny zaczęły powracać, choć nieregularne, kapryśne. Potem Popiół dał mi eliksir ze smoczej krwi, a wtedy zalały mnie szerokim strumieniem. I na dodatek były potężne. Jednoznaczne objawienia przestrzegające przed ogromnymi zmianami. Dwukrotnie śniłem o światoburcy przybywającym do Clerres. To ty, Bastardzie. Trzeba jednak mieć na względzie, że jeśli ja widzę go w proroczych snach, inni także go już zobaczyli. Słudzy mogą się nas spodziewać. Mogli nawet rozmyślnie doprowadzić do tego, że wracam, sprowadzając katalizatora.

– I dlatego zadbamy, żeby cię nie zobaczyli. – Tryskałem optymizmem, którego nie czułem. Nie ma dla skrytobójcy wiadomości gorszej niż ta, że jest oczekiwany. Postanowiłem wreszcie dotrzeć do sedna. – Błaznie, gdy zmienialiśmy losy świata, przedstawiając je w „lepsze koleiny”, jak to zwykłeś nazywać, skąd wiedziałeś, co powinniśmy zrobić, a czego robić nie należało?

– Właściwie nie wiedziałem. – Sapnął. – Widywałem cię w różnych pożądanym wersjach przyszłości, choć niezbyt często. Z początku twoje przeżycie wydawało się mało prawdopodobne. Dlatego też moim najważniejszym zadaniem było odnalezienie ciebie i uchronienie od śmierci, najdłużej jak zdołam. Powiększenie prawdopodobieństwa, że będziesz istniał, a co za tym idzie, występował w większej liczbie wersji przyszłości. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Nie rozumiałem, jednak na wszelki wypadek mruknąłem potwierdzająco.

– Właśnie – podjął. – Utrzymać przy życiu bękarta. Znaleźć potężnego człowieka. Pozyskać go dla sprawy. Zakorzeniłem w świadomości króla Roztropnego przekonanie, że możesz być przydatny. Że nie powinien dopuścić do tego, by książę Władczy cię zniszczył, ponieważ możesz później okazać się użytecznym narzędziem.

Natychmiast odżyły mi w pamięci słowa starego króla, jakie wypowiedział, gdy mnie zobaczył pierwszy raz.

– „Nie rób kroku, którego nie sposób cofnąć, dopóki nie rozważysz, czego nie będziesz mógł zrobić, gdy go już uczynisz” – zacytowałem.

– Prawie dosłownie – ocenił Błazen i czknął. A potem zachichotał. – Och, stary, dobry król Roztropny. Jakoś nigdy nie przewidywałem, że będzie mi na nim tak bardzo zależało. Ani że on mnie szczerze polubi. A także ciebie! – Ziewnął szeroko.

– A jednak.

– Mhm... A teraz powiedz, co zrobić, żeby zaskoczyć Sługi?

– Nie jechać.

– A pewnie, pewnie.

– Albo odwlekać przyjazd... jakieś dziesięć czy dwadzieścia lat.

– Za dwadzieścia lat będę martwy. Albo bardzo stary.

– Racja.

– Nie chcę wciągać w to innych. Ani Strzyka, ani dwójki młodych. Nie planowałem twojego udziału w tej wyprawie, a co dopiero ich towarzystwa. Mam nadzieję, że w Mieście Wolnego Hadlu uda się wsadzić ich na statek, którym wrócą do domu.

Przechylił głowę, skrzywił się lekko.

– Mnie także masz zamiar zostawić gdzieś po drodze? – zapytał po chwili.

– Bardzo bym chciał, lecz obawiam się, że muszę cię ze sobą zabrać, choćby po to, byś mi pomógł trafić do celu. Postaraj się na coś przydać, Błaźnie. Opowiedz mi o tym tunelu. Jest dobrze strzeżony?

– Chyba nie, jednak niewiele mogę ci powiedzieć z całkowitą pewnością. Byłem wtedy zupełnie ślepy i zdruzgotany. Nie znam nawet imion tych, którzy mnie wynieśli z twierdzy. Sądziłem, że strącą mnie do szamba na dnie lochów. To straszne miejsce. Cuchnące odchodami i śmiercią. Znajduje się tam ogromna kadź, do której trafiają wszystkie odpady z zamku. Na przykład pozbawione członków ciała tych, co narazili się Radzie Czworoga. Dwa razy w ciągu doby przyptyw opróżnia zbiornik. Jego zawartość spływa rynną do zatoki. Morze zabiera ze sobą brudy, nieczystości, śmieci... wszelkie plugastwo. A także zaduszone noworodki, którym odmówiono prawa do życia, ponieważ uznano, że nie przedstawiają żadnej wartości. – W jego głosie pojawiła się chrypa. – Myślałem, że mój los jest przesądzony: porąbią mnie i wrzucą do kadzi razem z odchodami. Tymczasem oni uciszali mnie i uspokajali, gdy krzyczałem i zawodziłem. Zapewniali, że chcą mnie ocalić. Zawinęli w koc i wynieśli. W chwilach gdy odzyskiwałem przytomność, słyszałem szmer wody i czułem zapach morza. Na pewno schodzili po schodach. Nieśli mnie długo. Na pewno mieli zapalone latarnie. Potem wpięli się po kolejnych stopniach i wyszli na zbocze wzgórza. Ogarnęła mnie woń owiec i wilgotnej trawy. Bolesna była dla mnie ta podróż. Szli po nieutwardzonej ziemi przez koszmarnie długi czas, aż wreszcie dotarliśmy do portu, gdzie przekazali mnie jakimś marynarzom, zostałem zabrany na statek.

Poskładałem strzępy informacji. Tunel pod groblą kończący się na pastwisku. Niewiele mi to dawało.

– Kto cię wyniósł? Czy zechcą nam pomóc?

– Nie wiem. Niezbyt dobrze sobie to wszystko przypominam.

– Wysił się – nacisnąłem. Drgnął, więc ogarnął mnie lęk, czy nie potraktowałem go zbyt obcesowo. – Błaźnie – odezwałem się łagodniej – mogę pytać tylko

ciebie. A muszę o Radzie Czworka wiedzieć jak najwięcej: poznać ich słabości, upodobania, przyjaciół. Nawyki, nałogi, przyzwyczajenia i pragnienia.

Czekałem. A on milczał. Spróbowałem inaczej.

– Gdybyśmy mogli zabić tylko jedno z nich, to które powinniśmy wybrać?

Milczał.

Po jakimś czasie spytałem cicho:

– Nie śpisz?

– Nie śpię – odparł głosem prawie całkiem trzeźwym. – Bastardzie, czy tak to wyglądało, gdy wykonywałeś polecenia Ciernia? Czy radziliście we dwóch? Razem planowaliście każdą śmierć?

O, nie, nic z tego. Tego tematu nie mogłem poruszać nawet z Błaznem. I Sikorka nie usłyszała ode mnie o tym ani słowa. Jediną osobą, która w jakimś stopniu stała się świadkiem moich poczynań, była Pszczoła.

Odchrząknąłem.

– Dosyć na dzisiaj. Jutro poproszę opiekunów smoków o papier i zaczniemy rysować warownię. To, co pamiętasz. Dziś najwyższa pora spać.

– Nic z tego, nie zasnę.

Żywy obraz nieszczęścia. Wyciągnąłem na światło dzienne wszystko, co tak pracowicie pogrzebał. Podałem mu brzoskwiniówkę. Napił się prosto z butelki. Wziąłem ją od niego i zrobiłem to samo. Mało prawdopodobne, żebym i ja zasnął. Nie zamierzałem się upijać. Miałem zupełnie inne plany. Uknułem spisek, by nakłonić przyjaciela do zwierzeń. Pociągnąłem jeszcze jeden łyk i złapałem oddech.

– Masz tam jakichś sprzymierzeńców?

– Bo ja wiem? Prilkop żył, gdy go widziałem po raz ostatni, ale jeśli żyje nadal, zapewne jest więźniem. – Pauza. – Postaram się uporządkować myśli, żeby ci przekazać jak najwięcej faktów, ale to trudne... Strasznie trudne, Bastardzie. Pewnych wspomnień nie mogę znieść, wracają do mnie tylko w koszmarach. – Ucichł.

Wydobywanie od niego informacji było równie okrutne, jak czyszczenie rany z odłamków kości.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci, że opuściliśmy Aslevjal, by wrócić do Clerres? – odezwał się nagle. – To był pomysł Prilkopa. Ja wtedy wciąż jeszcze dochodziłem do siebie, nie czułem się na siłach, by nakreślić własną przyszłość. A on zawsze chciał wrócić do Clerres. Tęsknił za szkołą, za miastem... We wspomnieniach widział zupełnie inne miejsce, niż ja pamiętałem. Znał je sprzed czasów, gdy Słudzy zeszli z właściwej drogi. Wtedy jeszcze naprawdę pracowali dla dobra białego proroka.

Gdy mu opowiedziałem o tym, co ja tam zastałem, jak byłem traktowany, przeraził się nie na żarty. A równocześnie ugruntowało się w nim postanowienie, by tam wrócić, był zdecydowany zaprowadzić porządek. – Mocno oplótł się ramionami, przygarbił.

W przyćmionym świetle gwiazd był małeńki i bardzo stary.

– Dałem się przekonać – podjął. – On miał... to znaczy: ma wielkie serce. Nie potrafił uwierzyć w moje słowa, choć przecież widział skutki czynów Ilistore. Nie mieściło mu się w głowie, że Słudzy kierują się wyłącznie chciwością i nienawiścią.

– Ilistore?

– Ty znałeś ją jako „bladą kobietę”.

– Nie wiedziałem, że miała inne imię.

Skąpy uśmiech poruszył mu usta.

– Myślałeś, że dziewczynkę nazywano: „Bładą Kobieta”?

– Właściwie... No tak. Rzeczywiście. Jakoś o tym nie pomyślałem... To ty ją tak nazwałeś!

– Tak, to ja. Ze względu na starą tradycję, czy może raczej przesąd. Nie należy używać prawdziwego imienia w stosunku do osoby, której uwagi nie chcesz na siebie ściągnąć. Pewnie jeszcze z czasów, gdy ludzie i smoki żyli obok siebie. Tintaglia zawsze niechętnie zdradzała ludziom swoje prawdziwe miano.

– Ilistore – powtórzyłem cicho.

– Już jej nie ma. A mimo to wciąż staram się nie wypowiadać tego słowa.

– Już jej nie ma.

Stała mi przed oczyma taka, jaką widziałem ją po raz ostatni: z ramionami przemienionymi w poczerńiałe patyki kości, z mizernymi pasemkami włosów, pozbawiona wszelkich śladów urody. Nie chciałem o tym myśleć, dlatego z ulgą powitałem kolejne słowa przyjaciela, ciche i miękkie.

– Gdy wróciłem do Clerres z Prilkopem, Słudzy... nie posiadali się ze zdumienia. Wspominałem już, że byłem wtedy bardzo słaby. Gdybym był w normalnej kondycji, zachowałbym znacznie większą ostrożność. Tymczasem Prilkop spodziewał się wytchnienia, a ze strony gospodarzy radości i serdecznego powitania. Przeszliśmy groblę, a każdy, kto spojrział na jego błyszczącą, czarną skórę, natychmiast odgadywał, kogo widzi: proroka, który osiągnął życiowy cel. Weszliśmy do twierdzy i nie chcieliśmy czekać. Udaliśmy się prosto do sali posłuchań, do Rady Czworga.

Przyglądałem się jego twarzy w przyćmionym świetle. Na ustach przyjaciela uformował się nieśmiały uśmiech. Szybko zgasł.

– Zaniemówili. Naprawdę. Chyba się przestraszyli. A on obwieścił głośno i wyraźnie, że ich fałszywy biały prorok poniósł porażkę, ponieważ uwolniliśmy Lodognia. Był nieustraszony. – Podłożył rękę pod policzek. – Jakaś kobieta krzyknęła i wybiegła z sali. Nie mam pewności, wydaje mi się jednak, że to była Dwalia. Właśnie wtedy dowiedziała się o śmierci swojej ukochanej pani, o jej obgryzionych rękach, o tym, że cierpiała od głodu i mrozu. Ilistore zawsze mną gardziła, a tamtego dnia zyskałem nowego wroga: Dwalia obdarzyła mnie najszerszą nienawiścią. – Pokiwał głową na boki. – Członkowie Rady szybko doszli do siebie. Urządzili na naszą cześć wielką ucztę. Posadzono nas na honorowych miejscach, podano wyśmienite dania, zapewniono nam wszelkie rozrywki, podsuwano używki i kurtyzany, czego dusza zapagnie. Obwołano nas bohaterami. Nikt nie wspominał, że zniszczyliśmy przyszłość, nad którą ciężko pracowali. – Znowu pauza. W końcu głębiej nabrał powietrza. – Zachowali się mądrze. Poprosili o pełne sprawozdanie moich dokonań. Należało się tego spodziewać. Oddali mi do dyspozycji skrybów, zapewnili najlepszy papier, piękne, barwne inkausty i pędzelki w najróżniejszych kształtach, żebym mógł wiernie oddać wszystko, czego doświadczyłem w szerokim świecie. A uhonorowany Prilkop cieszył się przywilejami najstarszego spośród Białych. – Przerwał i milczał tak długo, że doszedłem do wniosku, iż zasnął.

Wypiłem zaledwie ułamek tego, co jemu nalałem. Mój podstęp udał się aż nazbyt dobrze. Wyjąłem filizankę z bezwładnej dłoni przyjaciela i delikatnie odstawiłem na podłogę.

– Zamieszkaliśmy w bogato urządzonych pokojach – odezwał się niespodziewanie. – O mnie zadbali uzdrowiciele. Szybko odzyskiwałem siły. Słudzy nieomal się przede mną płaszczyli, okazywali pokorę, przepraszaali, że we mnie wątpili. Z najwyższą uwagą chłonęli każde moje słowo, chcieli wiedzieć wszystko. Zadawali mnóstwo pytań. Któregoś dnia uświadomiłem sobie, mimo ciągłych pochlebstw i stałego żywego zainteresowania, że... umniejszyłem twoją rolę. Opowiadałem o twoim udziale w minionych zdarzeniach, jakbyś był kilkoma osobami, nie jedną. Chłopcem stajennym, książęcym bękartem, skrytobójcą. Odruchowo skrywałem cię przed Sługami jako bezimiennego katalizatora. Wtedy przyznałem się przed samym sobą, że im nie ufam. Że nie zdołałem im wybaczyć braku wiary w moje przepowiednie i złego traktowania. Prilkop także miał swoje obawy. Obserwował bladą kobietę przez lata, gdy rządziła Aslevjalem. Widział jej umizgi w stosunku do katalizatora, Kebala Żelaznorękiego, wiedział że obsypuje go upominkami: a to srebrny ochraniacz na szyję, a to złote kolczyki wysadzone rubinami... Różne cenne przedmioty, które mu przekazywała, świadczyły o tym, iż ma do dyspozycji nieprzebrane bogactwa. Mogła korzystać z majątku Clerres,

by skierować świat na tak zwaną „właściwą drogę”. Raczej nie była z gruntu zła, jednak została posłana jako emisariuszka, która miała spełniać wolę Sług. Jej zadaniem było zniszczenie Lodognia, a wraz z nim ostatniej nadziei na odrodzenie smoków. Prilkop spytał mnie któregoś razu, dlaczego właściwie Słudzy z tak wielką serdecznością przyjęli dwóch proroków, którzy zniweczyli ich plany. – Mówił coraz ciszej. – Staliśmy się ostrożniejsi. Postanowiliśmy nie zdradzać informacji, które mogłyby doprowadzić do ciebie. Prilkop uważał, iż Słudzy szukają łączników, czyli miejsc i ludzi, dzięki którym udawało się nam popychać świat ku lepszej przyszłości. Domniemywał, że mogliby wykorzystać te same punkty, by skierować go z powrotem na „właściwą drogę”. Jego zdaniem byłeś potężnym łącznikiem i należało cię chronić. Wtedy jeszcze Rada Czworoga wciąż traktowała nas jak miłych gości. Mieliśmy wszystko, co najlepsze, mogliśmy swobodnie poruszać się po zamku i po mieście. Korzystając z tego, po kryjomu wysłaliśmy w drogę pierwszą dwójkę posłańców. Mieli cię odnaleźć i ostrzec.

Wziąłem w karby swój oporny umysł.

– Zaraz, chwileczkę. Ta kobieta, która do mnie dotarła, powiedziała, że mam znaleźć nieoczekiwanego syna.

– Ona wyruszyła później – powiedział cicho. – Znacznie później.

– Zawsze twierdziłeś, że to ja jestem nieoczekiwanym synem.

– I tak sądziłem. Prilkop się ze mną zgadzał. Na pewno sobie przypominasz, jak usilnie radził nam się rozdzielić, byśmy przypadkiem nie spowodowali nieprzewidzianych zmian w funkcjonowaniu świata, nie sprowokowali zdarzeń, których nie mogliśmy ani przepowiedzieć, ani kontrolować. – Zaśmiał się niewesoło. – No i postawił na swoim.

– Błźnie, nic mnie nie obchodzi czyjaś wizja lepszej przyszłości świata. Słudzy odebrali mi dziecko. – Wtapiałem słowa w ciemność. – Chcę jedynie, żeby nie mieli przed sobą przyszłości. Żadnej. – Ułożyłem się wygodniej. – Kiedy uznałeś, że jednak nie jestem nieoczekiwanym synem? A przy tym, skoro te prorocтва nie mnie dotyczyły, to jak traktować wszystko, co razem zdziałaliśmy? Wygląda na to, że kierowaliśmy się twoimi proroczymi snami, chociaż nie byłem tym, którego dotyczyły.

– Długo o tym myślałem. – Westchnął tak ciężko, że poczułem jego oddech na twarzy. – Prorocze sny, to istne szarady. Rebusy i łamigłówki. Sam wiesz, jak często obwiniałeś mnie o interpretowanie ich po fakcie, o naginanie do zdarzeń. Jeśli chodzi o przepowiednie dotyczące nieoczekiwanego syna... Jest ich bardzo dużo. Oczywiście nie opowiedziałem ci wszystkich. W niektórych masz rogi dumnego jelenia, w innych wyjesz jak wilk. Sny mówią, że pochodzisz z północy, zrodzony

z bladej matki i ciemnego ojca. Wszystko to się zgadzało. Przytaczałem te sny na dowód, że książęcy bękart, któremu pomogłem, to właśnie nieoczekiwany syn.

– Pomogłeś mi? A ja myślałem, że byłem twoim katalizatorem.

– Bo byłeś. Nie przerywaj. I bez tego jest mi niełatwo. – Zrobił pauzę, by przechylić butelkę. Gdy ją puścił, złapałem naczynie, zanim spadło. – Wiem, że jesteś nieoczekiwanym synem. W głębi serca wiedziałem o tym zawsze, wiem i teraz. Oni natomiast twierdzili, że się mylę. Gdy mnie torturowali, z bólu już nie wiedziałem, w co wierzyć. Dręczyli w jednakowym stopniu moje ciało i umysł. Powiedzieli mi, że niektórzy z wyhodowanych w Clerres Białych wciąż mają sny dotyczące nieoczekiwanego syna. Widują w nich postać mroczną i mściwą. Twierdzili, że skoro wypełniłem swoją rolę, sny nie powinny już się pojawiać. A jednak wracały.

– Nadal niewykluczone, że to o mnie chodziło.

Zatkałem butelkę i postawiłem na podłodze. Obok umieściłem kielich. Obróciłem się do przyjaciela. W zasadzie moje słowa miały być żartobliwe, jednak gwałtowny wdech Błazna zdradził mi, że on nie dostrzegł w nich nic zabawnego.

– Tylko widzisz... – zaoponował, po czym umilkł. Gwałtownie skłonił głowę, omal nie uderzył mnie czołem w pierś. – Oni będą wiedzieli – wyszeptał, jakby się bał odezwać głośniej. – Z pewnością będą wiedzieli. Bastardzie...! Odszukali cię. Porwali Pszczołę, ale jednak znaleźli nieoczekiwanego syna zgodnie z tym, co według nich głosiły prorocze sny. – Przy ostatnich słowach załkał.

Położyłem mu dłoń na ramieniu. Dygotał.

– No dobrze, odszukali mnie – powiedziałem spokojnie. – A my postaramy się, by tego gorzko pożałowali. Sam powiedziałaś, że w twoich snach jestem światoburcą. A oto moja przepowiednia: zniszczę ludzi, którzy odebrali mi dziecko.

– Gdzie butelka?

Wydawał się całkowicie zdruzgotany, więc postanowiłem się nad nim zlitować.

– Wypiliśmy wszystko. Dostyc rozmów na dzisiaj. Śpij.

– Nie mogę. Boję się spać.

Byłem pijany, więc słowa potoczyły mi się z ust bez udziału świadomości.

– No to śnij o tym, jak zabijam Radę Czworoga. – Roześmiałem się głupawo. – I z jaką rozkoszą zamordowałbym Dwalię. – Głęboko wciągnąłem powietrze. – Teraz rozumiem, dlaczego byłeś zły, gdy zostawiłem bladą kobietę. Zrobiłem to, bo wiedziałem, że, tak czy inaczej, umrze. Ale teraz rozumiem, dlaczego chciałeś, abym ją zabił.

– Niosłeś mnie. Byłem martwy.

– Tak.

Jakiś czas milczeliśmy, myśląc o tamtych zdarzeniach.

Dawno nie byłem taki pijany. Powoli zacząłem osuwać się w objęcia nieświadomości.

– Bastardzie... Gdy rodzice zostawili mnie w Clerres, byłem jeszcze dzieckiem. Akurat wtedy... tak bardzo potrzebowałem kogoś, kto by się mną zajął, kto by mnie chronił... Lecz zostałem sam. – Zawsze panował nad głosem, lecz teraz pobrzmiwały w nim łyzy. – Potem droga do Księstwa Koziego, po pierwszej ucieczce z Clerres... Gdy szukałem ciebie... Ta podróż była straszna. Co musiałem robić... co mnie uczyniono... Przed niczym się nie cofnąłem, byle dotrzeć do Królestwa Sześciu Księstw i znaleźć ciebie. – Wyrwał mu się szloch. – A później... Król Roztropny... Zjawiłem się na jego dworze w jednym tylko celu: zamierzałem nim manipulować, by uzyskać to, czego potrzebowałem: ciebie, żywego. Stałem się taki, jakim chcieli mnie widzieć Słudzy zgodnie z ich naukami: bezwzględny i samolubny. Nastawiony wyłącznie na naginanie zdarzeń i ludzi do własnej woli. Przybyłem na dwór obszarpany i na wpół zagłodzony, dałem królowi list, z rozmazaną prawie połową tekstu, gdzie napisano, iż dostaje mnie w podarunku. – Pociągnął nosem, otarł oczy przedramieniem.

Ja też miałem łyzy pod powiekami.

– Tańczyłem – podjął – fikałem kozły, chodziłem na rękach... zdecydowany znosić jego kpiny i kaśliwe przytyki. Byłem gotowy spełniać wszelkie jego kaprysy, byle zechciał ciebie zachować przy życiu. – Zaszlochał głośno. – A on... on kazał mi przestać. Księżę Władczy stał wtedy przy tronie oburzony, że taką jak ja istotę w ogóle wpuszczono do królewskiej komnaty. A Roztropny? Twój król? Rozkazał strażnikowi: „Zabierz to dziecko do kuchni, dopilnuj, żeby się najadło. Niech mistrzyni igły znajdzie dla niego odpowiednie ubranie... i buty. Musi mieć buty”. Jego rozkazy zostały wypełnione co do joty. A ja przez to stałem się jeszcze mniej ufny! Nie wierzyłem twojemu władcy ani trochę! Byłem oschły i arogancki. Kapra nauczyła mnie strachu i rezerwy w obliczu niespodziewanej dobroci. Czekałem na ostry rozkaz, agresję, uderzenie. Gdy król oznajmił, iż wolno mi spać na przypiecku w jego komnacie, nabrałem pewności, że... rozumiesz. Ale jemu wcale o to nie chodziło. Miałem towarzyszyć mu wieczorami pod nieobecność królowej Skwapliwej, bawić go sztuczkami, opowieściami i przyśpiewkami, a potem spać w ciepłym kącie po to, by rano wstawać, gdy on się budził. Bastardzie... nie miał żadnego powodu, by okazywać mi dobroć. Żadnego. – Rozszlochał się na dobre. – Chronił mnie i stale o mnie dbał. A jednak minęły długie miesiące, nim zyskał moje zaufanie. W końcu jednak narodziła się nowa tradycja i zawsze, gdy królowa Skwapliwa wyjeżdżała, spałem na przypiecku w królewskiej sypialni. Czułem się

bezpieczny. Zasnęłam bez strachu. – Potarł oczy pięściami. – Brakuje mi tego. Strasznie mi tego brakuje.

Zrobiłem to, co chyba każdy na moim miejscu zrobiłby dla przyjaciela, zwłaszcza że obaj byliśmy zdrowo napici. Przypomniał mi się Brus. On zawsze mnie chronił, gdy byłem mały. Objąłem Błazna i przyciągnąłem do siebie. Na moment połączyła nas więź nie do zniesienia. Przesunąłem rękę, ułożyłem sobie jego głowę na rękawie.

– Poczujęm to – wymamrotał.

– Ja też.

– Lepiej uważaj.

– Racja. – Umocniłem ochronę umysłu, choć wolałbym tego nie robić. – Śpij – powiedziałem. I jeszcze złożyłem obietnicę, chociaż wątpiłem, by udało mi się jej dotrzymać. – Będę cię chronił.

Pociągnął nosem ostatni raz, przetarł oczy nadgarstkiem i westchnął głęboko. Dłonią w długiej rękawiczce ujął mnie za nadgarstek, zamknął palce w geście przyjaznego pozdrowienia wojowników. Nie pozostałem mu dłużny. Po jakimś czasie poczułem, jak jego ciało się rozluźnia, uścisk na moim przedramieniu zelżał. Ja trzymałem mocno.

Chronić go. Czy potrafiłem jeszcze zadbać chociaż o siebie? Jakie miałem prawo składać mu taką obietnicę? Nie ustrzegłem przed złem własnej córki, prawda? Zacerpnałem głęboko tchu i zaprosiłem ją do swoich myśli, ale nie przywołałem pastelowych, idyllicznych obrazków, wizerunków konkretnych miłych zdarzeń z odległej przeszłości. Odtworzyłem w pamięci małą rączkę zaciśniętą na moich palcach. Przypomniałem sobie, jak grubo Pszczoła smarowała chleb masłem. Filizankę trzymała w obu dłoniach. Pozwoliłem, żeby ból rozpałił się we mnie na nowo. Rozdrapałem rany i posypałem je solą. Odświeżyłem we wspomnieniach kruchy ciężar córeczki na barkach, ucisk drobnych rączek, gdy przytrzymywała się mojej brody. Pszczoła. Taka mała. Tak krótko moja. Już jej nie było. Zniknęła w strumieniu Mocy, przepadła na zawsze. Pszczółka.

Błazen jęknął z bólu. Na chwilę zacisnął dłoń na moim nadgarstku, po czym znów rozluźnił palce.

Jakiś czas wpatrywałem się w fałszywe gwiazdy i strzegłem go z pijackim samozaparciem.

Rozdział 7

Żebraczy los

Sen bardzo krótki, lecz tak barwny, że nie sposób go zapomnieć. Czy ważny? Mój ojciec rozmawia z człowiekiem o dwóch głowach. Są tak pogrążeni w dyskusji, że nie słyszy mnie, choć wołam na cały głos. Do mnie się nie odzywają. Krzyczę: „Znajdź ją, znajdź. Jeszcze nie jest za późno”. W tym śnie jestem wilkiem stworzonym z mgły. Wyję i zawodzę, ale oni się do mnie nie odwracają.

Pszczoly Przewornej „Dziennik snów”

Nigdy wcześniej nie byłam tak samotna. Ani taka głodna.

„Znajdźmy jakiś las” – poradził wilk-ojciec. – „Nauczę cię być wilkiem. Tak jak twój ojciec mnie nauczył”.

Ruiny wokół zamku okazały się wielkim gruzowiskiem poczerwiałych i nadtopionych kamieni. Krawędzie niektórych bloków były zaokrąglone i zapadnięte, niczym topniejący w słońcu lód. Musiałam pokonywać zwalone ściany, bałam się, że wpadnę w jakąś rozpadlinę. W końcu znalazłam kryjówkę: miejsce, gdzie dwa ogromne bloki wsparły się jeden o drugi. Wpełzłam pod nie i tam zostałam. Starłam się zebrać siły, uporządkować myśli. Przede wszystkim musiałam trzymać się z dala od Dwalii oraz pozostałych. Nie miałam jedzenia ani wody. Zostało mi tylko to, co miałam na grzbiecie, oraz świeca. Nadpleśniały szal straciłam w czasie ostatniego pobicia, podobnie wełnianą czapkę. Jak wrócić do Księstwa Koziego? Jak dobrać choćby do granic Królestwa Sześciu Księstw? Odświeżyłam sobie w pamięci wszystko, co wiedziałam o geografii Krainy Miedzi. Czy zdołam dotrzeć do domu pieszo? Byłaby to trudna wędrówka po nieprzyjaznym terytorium. Na tych obszarach z ziemi buchało gorąco. Była chyba jakaś pustynia... I łańcuch gór, niezbyt wysokich. Potrząsnęłam głową. Nic z tego. Nie potrafiłam klarownie myśleć, gdy żołądek domagał się jedzenia, a w ustach miałam tak sucho, że nie mogłam przełknąć śliny.

Przez całe popołudnie tkwiłam w kryjówce. Wyteżałam słuch, lecz nie usłyszałam ani Dwalii, ani nikogo z pozostałej trójki. Może udało jej się wydostać spod

kamieni, a Vindeliar znów narzucił wolę lingstry najemnikowi? Co w takim razie zrobili dalej? Poszli prosto do domu Kerfa? Szukali mnie? Same pytania, żadnych odpowiedzi.

Gdy zaczęło się ściemniać, ruszyłam wśród pozostałości miasta zniszczonego przez smoki. Domy, niegdyś z pewnością wspaniałe i pyszne, a teraz pozbawione dachów, patrzyły na mnie pustymi oczyma otworów po drzwiach i oknach. Ulice zostały prawie całkiem oczyszczone z gruzu, a śmieciarze i rabusie także zrobili swoje. W niejednej ścianie brakowało kamieni, z wielu takich dziur wyrastały bujne chwasty, a nawet liche krzewy. Przez wyrwę w ogrodowym murze zobaczyłam wodę, stojącą w omszałym basenie fontanny. Nabrałam jej w dłonie, ugasiłam pragnienie, spryskałam twarz. Poobcierane do żywego mięsa nadgarstki strasznie piekły przy myciu rąk. Szukając schronienia na noc, odepchnęłam gałęzie rozrośniętych krzaków, a wtedy otoczył mnie zapach mięty. Pewnie ją zdeptałam, nawet nie zauważyłam. Zjadłam trochę tej wonnej przyprawy, byle mieć coś w żołądku. Chwilę później rozpoznałam parasolkowate kielichy liści nasturcji, więc narwałam pełną garść i napchałam do ust. Za kurtyną z powoju natrafiłam na opuszczony domek.

Weszłam przez nisko umieszczone okno, popatrzyłam w górę, zobaczyłam gwiazdy. Noc będzie jasna i zimna. Wyszukałam sobie kąt, gdzie było najmniej gruzu, przy okazji został też nad nim fragment dachu. Zwinęłam się w kłębek jak bezpański pies. Zamknęłam oczy. Zasnęłam i śniłam. Najpierw byłam w Białym Gaju, jadłam opiekany chleb i piłam herbatę. Ojciec nosił mnie na barana. Obudziłam się ze szlochem. Skuliłam się mocniej i próbowałam wymyślić, jak wrócić do domu. Posadzka była twarda. Bark wciąż mocno dawał mi się we znaki. Brzuch bolał, nie tylko z głodu, ale i od kopniaków. Dotknęłam ucha. Włosy dookoła niego okazały się zlepione krwią. Pewnie wyglądałam strasznie, co najmniej jak ten żebrak w Dębowym Zdroju. Dobrze, wobec tego jutro będę żebraczką. Zrobię wszystko, byle zdobyć coś do jedzenia. Oparłam się plecami o ścianę i skuliłam jeszcze bardziej. Zasypiałam i budziłam się tej nocy wiele razy. Nie byłaby taka strasznie zimna, gdybym miała cokolwiek prócz podartych łąchów.

O wschodzie słońca zobaczyłam obłoczki wędrujące po błękitnym niebie. Byłam odrętwiała, głodna, spragniona i całkiem sama. I wolna. W powietrzu unosił się szczególnie zapach zabarwiony aromatami miasta: wonią ognia w piecach, smrodem rynsztoków i końskich odchodów.

„Odplływ” – szepnął wilk-ojciec. – „Czuję zapach morza, gdy fale się cofają”.

Weszłam na to, co zostało z dawnej ściany, i powiodłam wzrokiem po okolicy.

Znajdowałam się na niewielkim wzniesieniu pośrodku doliny. Za zniszczonym

miastem połyskiwała rzeka. A gdy spojrzałam w przeciwną stronę, zobaczyłam domy, mniejsze i większe, oraz drogi, za sprawą których ziemia wyglądała jak popękana skorupa. Z niezliczonych kominów unosił się dym. Nieco dalej brunatne macki wody oplatały statki stojące na kotwicy. Port. Znałam to słowo, lecz dopiero teraz w pełni pojęłam jego znaczenie. To był wygrodzony fragment wody, jakby łąd palcem wskazującym i kciukiem niemal zamknął zatokę. Dalej morze ciągnęło się aż po horyzont i tam spotykało z niebem. Tak często słyszałam o głębokim błękicie ciepłych mórz, że ledwo mieściło mi się w głowie, że to, co właśnie mam przed oczyma, ta przebogata paleta odcieni niebieskiego, cały wachlarz zieleni, srebra i szarości oraz najbardziej soczysta czerń to jest to, co opiewali minstrele. Śpiewali także o magicznej sile przyciągania ciepłych mórz, ale ja nic takiego nie czułam. Rozległa woda wydawała mi się zatrważająco pusta i niebezpieczna. Odwróciłam się od niej. Daleko za miastem ujrzałam żółtawe kopczyki wzgórz.

– Oni tu nie mają lasu – szepnęłam.

„Aha... To wiele tłumaczy, jeśli chodzi o charakter mieszkańców”. – Wilk-ojciec obejrzał moimi oczyma krajobraz złożony z domów i brukowanych dróg. – „Zupełnie inna dzicz od tej, jaką znam. I groźna. Niestety nie na wiele ci się przydam. Zachowaj ostrożność, szczeniaku. Przede wszystkim zachowaj ostrożność”.

Miasto budziło się ze snu. Z miejsca, gdzie stałam, widać było zniszczenia dokonane przez smoki – ciemniejsze plamy na poznaczonej bliznami tkance – jednak najwyraźniej całą furję gady skierowały na siedzibę władcy i jej najbliższą okolicę. Na pałac księcia, według słów Kerfa. Przez inne myśli przebiło się niewyraźne wspomnienie. Słyszałam coś o tych zniszczeniach... Moi rodzice o nich rozmawiali. Smoki z Kelsingry przybyły do Krainy Miedzi i zaatakowały stolicę. Stary książę stracił życie, a jego córka obwołała się władczynią, choć najstarsi mieszkańcy nie pamiętali rządów kobiety. Ojciec powiedział: „Wątpię, żeby w Krainie Miedzi zapanował pokój, ale przynajmniej wszyscy tam będą tak pochłonięci wojną domową, że o nas zapomną”.

Nie widziałam tu jednak śladów wojny domowej. Ulicami chodzili barwnie ubrani ludzie, wcale nie w mundurach. Tu i tam zaczęły się pokazywać wózki ciągnięte przez osły albo dziwacznie wielkie kozy, a razem z nimi mieszkańcy w luźnych, wzdymających się na wietrze koszulach oraz czarnych spodniach. Widziałam ryby wylewane srebrnym potokiem z łodzi zacumowanej przy nadbrzeżu, statek ciągnięty na głęboką wodę, gdzie jego żagle rozpostarły się niczym skrzydła ptaka, by wkrótce po cichu unieść go w dal. Miałam przed oczyma dwa targi: jeden w pobliżu przystani, drugi wzdłuż szerokiej alei. Ten krył się pod barwnymi markizami ocieniającymi kramy, natomiast tamten pierwszy, ogólnie rzecz biorąc

raczej szary, wydawał się biedniejszy. Gdy do moich nozdrzy dotarły wonie świeżo pieczonego chleba i wędzonego mięsa, dostałam ślinotoku.

Postanowiłam zostać niemą żebraczką i błagać o drobne na jedzenie. Niestety, obszarpana tunika, zniszczone spodnie i futrzane buty natychmiast zdradzały, że jestem obca w tym kraju barwnych strojów z lejących tkanin.

Nie miałam wielkiego wyboru. Mogłam zostać w ruinach w ukryciu i umrzeć z głodu albo zaryzykować i spróbować szczęścia w mieście.

Zadbałam o siebie, jak umiałam. Żebraczka nie musiała być odpychająca. Miałam nadzieję, że dzięki jasnym włosom i niebieskim oczom ujdę za miejscową, a rola niemowy powinna być łatwa. Zbadałam dotykiem twarz, krzywiąc się, gdy natrafiałam na siniaki i ledwo zasklepione rozcięcia. Może litość okaże się moim sprzymierzeńcem? Nie mogłam jednak polegać wyłącznie na niej.

Zdjęłam buty. Chociaż wiosenny dzień ledwo się zaczynał, już było na nie za gorąco. Oczyszcziłam je i doprowadziłam do porządku, jak mogłam. Ściągnęłam z nóg żalosalne resztki szmatek, które niegdyś były skarpetkami, przyjrzałam się swoim bladym, suchym stopom. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio szłam na bosaka. Teraz będę musiała do tego przywyknąć. Przycisnęłam buty do piersi i ruszyłam na targ.

Tam, gdzie jedni sprzedają, a inni kupują. Zanim dotarłam na miejsce, nogi miałam granatowe od siniaków i czarne z brudu, jednak najgorszy był głód. Czułam fizyczny ból, przechodząc obok straganów, na których wystawiono owoce, pieczywo i mięso. Nie zwracałam uwagi na zdziwione spojrzenia, starałam się wyglądać na zupełnie spokojną, byle nie wydać się obcą.

Znalazłam kupców handlujących odzieżą, a tam alejkę, gdzie sprzedawano i kupowano rzeczy używane. Bez słowa pokazywałam buty w kolejnych budkach, jednak nikt nie był nimi zainteresowany. Wreszcie jakaś kobieta wzięła je z mojej ręki i w nieskończoność obracała na wszystkie strony. Na koniec dała mi sześć miedziaków. Nie miałam jak się targować. Dobra to była oferta czy zła – innej nie uzyskałam, więc przyjąłam pieniądze, ukloniłam się i odeszłam. Pragnęłam szybko zniknąć w tłumie, lecz jeszcze długi czas czułam na sobie spojrzenie handlarki.

W milczeniu podsunęłam dwie monety sprzedawcy pieczywa. Zadał mi jakieś pytanie, a ja w odpowiedzi wskazałam gestem na zamknięte usta. Młody człowiek popatrzył na pieniądze z namysłem, potem przyjrzał się mi, wydał wargi i odwrócił się do jakiegoś zakrytego koszyka. Zaproponował mi niezbyt dużą bułkę, suchą, pewnie kilkudniową. Wzięłam ją drżącymi z niecierpliwości rękoma i skłoniłam głowę w podziękowaniu. Przez jego twarz przemknął dziwny cień. Chwycił mnie za nadgarstek, a ja ledwo powstrzymałam okrzyk. Nie zrobił mi jednak nic złego.

Spośród świeżych wypieków, rozłożonych na ladzie, wybrał najmniejszą słodką bułeczkę i włożył mi ją w dłoń. Wdzięczność w moich oczach chyba go zawstydziła, bo przegonił mnie jak bezpańskiego kociaka. Włożyłam jedzenie za tunikę, gdzie wciąż miałam zniszczoną świecę, i uciekłam. Teraz musiałam znaleźć odpowiednie miejsce, żeby spokojnie zjeść.

Na krańcu targu znajdowała się publiczna studnia. Podobnej dotąd nie widziałam. Ciepła woda biła do obłożonego kamieniem basenu, nadmiar odpływał specjalną rynną. Widziałam, jak kobiety napełniały tam wiadra, jakieś dziecko zatrzymało się i napiło ze złożonych dłoni. Przyklęłam i zrobiłam to samo. Woda miała szczególny smak, lecz przecież była mokra i z pewnością nie trująca, a więcej mnie nie obchodziło. Ugasiłam pragnienie, spryskałam twarz, obmyłam ręce. Najwyraźniej zachowałam się niewłaściwie, bo jakiś mężczyzna chrząknął z obrzydzeniem i zmierzył mnie groźnym wzrokiem. Podniosłam się i śpiesznie odeszłam.

Za targowiskiem znajdowała się ulica kupców. Tam już nie było straganów, lecz stały wielkie sklepy zbudowane z drewna i kamienia. Drzwi pootwierano, bo dzień był ciepły. Gdy szłam, odprowadzał mnie zapach mięsa wędzonego w dymie. Słyszałam, jak cieśla hebluje drewno. Poszłam w tamtą stronę i wkrótce natrafiłam na sęgi nieobrobionych pni. Rozejrzałam się uważnie na wszystkie strony, po czym ukryłam w ich cieniu. Od ulicy zasłaniały mnie deski starannie ułożone w sześćcian. Usiadłam na ziemi, oparłam się o rozkosznie pachnącą korę. Wyjęłam pieczywo zza tuniki i zjadłam najpierw starą bułkę. Była czerstwa, twarda... i wyśmienita. Jedząc ją, drżałam z rozkoszy. Gdy skończyłam, jakiś czas siedziałam bez ruchu, oddychając ciężko, czując, jak resztki pieczywa przesuwają mi się od gardła do żołądka. Mogłabym zjeść takich jeszcze dziesięć.

Powąchałam bułeczkę ze słodkościami.

Rozsądnie będzie zachować ją na jutro, powiedziałam sobie. Następnie zgodziłam się ze sobą, że jeśli będę nosić bułkę, mogę ją zgubić. Może mi wypaść, połamać się, mogę ją stracić na tysiąc sposobów. Nietrudno mi było przekonać siebie, że to zbyt wielkie ryzyko. Zjadłam ją. Od wierzchu wsiąkła w ciasto cienka smużka miodu, w środku odkryłam kawałki owoców i przypraw. Jadłam tak wolno, jakbym sobie zadawała torturę, odrywałam maleńkie kawałki i smakowałam na języku każdy okruszek. Skończyła się zbyt szybko. Głód zaspokoiliam, lecz prześladowało mnie jego wspomnienie.

Wtedy pojawiła się jeszcze jedna myśl z przeszłości. Inny żebrak, poznaczony bliznami, zdeformowany, zmarznięty. Pewnie znacznie bardziej wygłodzony. Starłam się być dla niego miła. A ojciec dźgnął go nożem. Dźgał bez opamiętania. A potem zostawił mnie, żeby jego zabrać do Koziej Twierdzy i wyleczyć. Starłam

się poukładać fakty w logiczną całość, połączyć z urywkami zasłyszanych rozmów, lecz nie potrafiłam odkryć żadnego sensu. Zaczęłam więc zastanawiać się nad tym, dlaczego nikt, kto mnie widział, małą, głodną, samotną, nie dał mi jabłka.

Na myśl o jabłku, które podarowałam żebrakowi, ślinka napłynęła mi do ust. A te kasztany, które jadłam tamtego dnia... Takie gorące, że ledwo można je było obrać ze skórki, takie słodkie! Żołądek mi się ścisnął, więc podciągnęłam kolana pod brodę i objęłam nogi ramionami.

Zostały mi cztery miedziaki. Gdyby jutro piekarz okazał się równie miły jak dziś, wyżywię się jeszcze przez dwa dni. Potem będę musiała głodować lub kraść.

A jak miałam wrócić do domu?

Słońce grzało coraz mocniej, dzień pojaśniał. Przyjrzałam się sobie uważnie. Bose stopy, brudne, ze zbyt długimi paznokciami. Niechlujne, zniszczone ocieplane spodnie. Tunika, kiedyś dosyć długa, pyszniąca się zielenią charakterystyczną dla Białego Gaju, teraz poplamiona i zakończona obszarpanym brzegiem na wysokości bioder. Bluzka pod nią miała ubłocone rękawy. Stałam się wyjątkowo przekonującą żebraczką.

Powinnam iść do portu, sprawdzić, czy jest tam jakiś statek płynący do Księstwa Koziego lub w ogóle do Królestwa Sześciu Księstw. Nie wiedziałam, jak miałabym o to pytać ani czym zapłacić za podróż. Słońce grzało coraz mocniej, byłam źle ubrana na tę pogodę. Wsunęłam się głębiej w cień, skuliłam, z plecami przyciśniętymi do drewna. Nie zamierzałam spać, ale zasnęłam.

Obudziłam się późnym popołudniem. Cień dawno zniknął, ale spałam aż do czasu, gdy wędrujące po niebie słońce zaświeciło mi prosto w zamknięte oczy. Usiadłam, słaba, chora, spragniona i ledwo przytomna. Wstałam z trudem i ruszyłam przed siebie. Niewielkie zapasy odwagi gdzieś się ulotniły. Nie potrafiłam zmusić się, by zejść do portu ani nawet zbadać jakąś nową część miasta. Wróciłam do ruin, gdzie spędziłam poprzednią noc.

W obcym mieście chwyciłam się tego, co było mi choć trochę znajome. Za dnia woda ze starej fontanny w ogrodzie zniszczonego domu okazała się zielonkawa, a na mój widok parę czarnych wodnych stworzeń uciekło na dno. Mimo wszystko to była woda, a mnie chciało się pić. Napiłam się więc, a potem rozebrałam i jak najdokładniej umyłam. Wyprałam ubranie, na ile się dało, zdziwiona, jak uciążliwe okazało się to zadanie. Po raz kolejny uświadomiłam sobie, że w Białym Gaju żyło mi się bardzo łatwo. Pomyślałam o służbie, która dbała o moje wygody. Zawsze byłam grzeczna i uprzejma, ale czy zdarzyło mi się choć raz szczerze podziękować za starania? Dbłość pożyczyła mi własne koronkowe mankiety... Swoją drogą, czy była jeszcze wśród żywych? A jeśli tak, czy niekiedy o mnie myślała? Zachciało mi

się płakać, jednak powstrzymałam łzy.

Z całą determinacją, na jaką mogłam się zdobyć, w czasie prania i wykręcania ubrań ułożyłam sobie w głowie plan. Dwalia uznała mnie za chłopca. Chyba nadal bezpieczniej będzie odgrywać tę rolę. Czy jakiś statek płynący w stronę Królestwa Sześciu Księstw potrzebował chłopca na pokładzie? Słyszałam opowieści i ballady o ludziach, którzy, podróżując statkami, przeżywali niesamowite i wspaniałe przygody. Niektórzy stawali się piratami, inni znajdowali skarby albo zostawali kapitanami. Postanowiłam następnego dnia kupić sobie chleba za dwie monety i zjeść cały. Ta część planu bardzo mi się spodobała. Potem należało wybrać się do przystani i sprawdzić, czy są tam jakieś statki zdążające w odpowiednim kierunku, a także, czy na którymś udałoby mi się podróżować w zamian za pracę. Postanowiłam nie myśleć o tym, że jestem mała, niezbyt silna, wyglądam dziecinnie i nie znam tutejszego języka. Jakoś sobie poradzę.

Musiałam.

Rozwiesiłam ubrania na ścianie, a sama wyciągnęłam się na rozgrzanych słońcem kamieniach podwórza. Świeca matki była zniszczona, poznaczona pęknięciami, a w jednym miejscu złamana tak, że jedynie knot łączył obie części. Nieważne. Wciąż pachniała. Mamą. Domem, bezpieczeństwem, czułym dotykiem. Zasnęłam w nakrapianym cieniu na wpół powalonego drzewa. Gdy obudziłam się ponownie, ubranie prawie wyschło, a słońce już ginęło za horyzontem. Znowu byłam głodna, w dodatku obawiałam się chłodu nocy. Chociaż długo spałam, byłam wciąż znużona, więc zaczęłam podejrzewać, że podróż między kamiennymi filarami pozbawiła mnie sił bardziej, niż sądziłam. Wpełzłam głębiej pod drzewo, tam, gdzie opadłe liście utworzyły na kamieniu poduszkę. Nie pozwoliłam sobie myśleć o pająkach i różnych jadowitych stworzeniach. Zwinęłam się w kłębek i znów zasnęłam.

W nocy całkiem straciłam odwagę. Zbudził mnie własny płacz, nie mogłam powstrzymać łkania. Wepchnęłam dłoń do ust, żeby stłumić szloch – i płakałam. Płakałam za utraconym domem, za końmi, które umarły w ogniu pożogi, za Birbantem, który wydał ostatni dech w kałuży krwi, na posadzce, na moich oczach. Wszystko, co się wydarzyło, co widziałam, na co nie zdążyłam zareagować – wszystko to nagle wróciło do mnie w myślach. Ojciec zostawił mnie dla ślepego żebraka. Niestrudzony zapewne nie żył. Zdołałam odepchnąć pannę Szkodę i miałam nadzieję, że się uratowała. Czy przeżyła, czy dotarła do Białego Gaju? Czy opowiedziała tam, co się z nami stało? Czy ktokolwiek mnie szukał? Przypomniał mi się Bastard Czujny, jego czerwona krew na białym śniegu.

Nagle powrót do domu wydał mi się całkiem niemożliwy. I po co właściwie miałabym tam wracać? Kogo bym tam zastała? Może spotkałabym się tam

z nienawiścią, bo przecież to po mnie przybyli bladzi złoczyńcy? Co więcej: gdybym wróciła do domu, to czy Dwalia nie przysłałaby po mnie następnych porywaczy? Przecież wiedziała, gdzie mnie szukać. Czy w takim razie zjawią się kolejni, znów będą palić i zabijać? Kucnęłam, zakołysałam się w przód i w tył. Zrozumiałam, że nikt na całym świecie mnie nie obroni.

„Ja cię obronię”. – Głos wilka-ojca był cichszy od szeptu.

On istniał tylko w mojej głowie. Jak mógł mnie bronić? Kim, czym właściwie był? Wytworem wyobraźni stworzonym ze zlepków ukradkiem czytanych zapisków taty?

„Jestem prawdziwy i jestem z tobą. Zaufaj mi. Pomogę ci przetrwać”.

Niespodziewanie ogarnęła mnie złość.

„Nie obroniłeś mnie wcześniej, kiedy mnie porwali. Nie obroniłeś mnie, kiedy Dwalia pobiła mnie i wciągnęła w czarną kolumnę. Jesteś tylko snem. Wyobraziłam sobie ciebie, bo byłam przerażonym dzieckiem. Ale teraz nie możesz mi pomóc. Już nikt nie może mi pomóc”.

„Sama o siebie zadbasz”.

– Cicho bądź! – krzyknęłam i zaraz przycisnęłam dłonie do ust. Musiałam się ukrywać, a nie wrzeszczeć w środku nocy na wytwór własnej wyobraźni.

Pospiesznie wcisnęłam się głębiej pod drzewo, aż poczułam za plecami gruzy ze zburzonej ściany. Tam skuliłam się, skurczyłam, zacisnęłam powieki, otoczyłam umysł grubym murem i zasnąłam.

Następnego ranka miałam na zapłakanej twarzy zaschniętą skorupę soli z łez. W głowie mnie łupało, a z głodu było mi niedobrze. Dużo czasu minęło, zanim przekonałam siebie, iż należy wypełznąć z cienia. Nie miałam siły zejść na targ, więc jakiś czas włóczyłam się po ruinach. Kilka razy spostrzegłam jaszczurki i węże wygrzewające się w słońcu na zwałonych kamieniach i postanowiłam zjeść któreś z nich, lecz gdy podchodziłam bliżej, wślizgiwały się w niedostępne zakamarki. Dwukrotnie zobaczyłam innych ludzi, najwyraźniej mieszkańców zniszczonych domów. Wyczułam dym z ogniska, widziałam ubrania rozwieszane do wyschnięcia. Nie podchodziłam.

W końcu jednak głód zaprowadził mnie na targ. Nie mogłam znaleźć znajomego kramu z pieczywem. Potykając się o własne nogi, szłam wzdłuż straganów. Rozglądałam się na prawo i lewo, aż w końcu, przymuszona głodem, podeszłam do innego. Tam kobieta o kwaśnej minie piekła na wielkiej patelni paszteciki z jakimś wonnym nadzieniem. Patelnia stała na ruszcie, a pod nim ogień palił się w metalowym garnczku. Właścicielka kramu zręcznie obracała ciasto jakimś szczególnym narzędziem na długim trzonku, dbając, by paszteciki zarumieniły się

równy ze wszystkich stron.

Pokazałam jej monetę, a ona potrzęsła głową. Przeszłam na tył straganu i dopiero tam wysupłałam z koszuli drugą. Dwie wystarczyły na pasztecik. Handlarka ułożyła go na szerokim zielonym liściu, całość zawinęła starannie i spięła drewnianą drzazgą. Skłoniłam się w podziękowaniu, ale ona to zignorowała, już wypatrując nad moją głową następnego chętnego.

Nie wiedziałam, czy liść jest serwetką, czy też można go zjeść. Ostrożnie skubnęłam z brzegu – okazał się całkiem smaczny. Doszłam do wniosku, że nikt nie pakowałby jedzenia w trującą zieleninę. Znalazłam sobie spokojne miejsce za jakimś pustym stoiskiem i usiadłam. Pasztecik nie był duży, mieścił mi się w dłoni, więc tym bardziej chciałam go zjeść powoli. Nadzienie okazało się grudkowate, a jego smak przypominał zapach wilgotnej owcy. Wszystko jedno. Po drugim kęsie zorientowałam się, że przez lukę między dwoma straganami po drugiej stronie alejki przygląda mi się jakiś chłopak. Odwróciłam wzrok, ugryzłam pasztecik, a gdy spojrzałam na dzieciaka ponownie, był przy nim drugi, w poplamionej koszuli w paski. Obaj mieli tłuste włosy, brudne białe nogi i byli umorusani. A do tego patrzyli na mnie wzrokiem głodnego drapieżnika. Zakręciło mi się w głowie. Jak wtedy, gdy żebrak z Dębowego Zdroju trzymał mnie za rękę. Zobaczyłam rozkręconą karuzelę możliwych zdarzeń. Nie potrafiłam ich rozdzielić, odróżnić dobrych od złych. Jedno wiedziałam z całkowitą pewnością: tych dzieciaków muszę unikać.

Wykorzystałam chwilę, gdy przejeżdżał między nami wózek ciągnięty przez osła, i czmychnęłam za róg straganu. Resztę pasztecika wepchnęłam do ust. Ledwo go zmieściłam, ale uwolniłam ręce. Wstałam i ruszyłam przed siebie. Chciałam wmieszać się w tłum, jednak ubranie wyróżniało mnie na tyle, że przyciągałam zaciekawione spojrzenia, choć nie podnosiłam wzroku i starałam się nie zwracać na siebie uwagi. Kilka razy zerknęłam przez ramię i chociaż chłopców nie zobaczyłam, byłam pewna, że za mną podążają. Gdyby mnie obrabowali z ostatnich dwóch monet, nie zostałoby mi nic. Z trudem zdusiłam strach rozbudzony tą myślą.

„Nie myśl jak ofiara” – ostrzegł mnie wilk-ojciec.

A może to była moja własna myśl?

Zwolniłam, znalazłam sobie spokojniejsze miejsce obok wózka ze śmieciami i zaczęłam obserwować ludzki strumień.

Było w nim więcej podobnych do mnie, a tamci dwaj, na których zwróciłam uwagę, mieli więcej wprawy niż inni. Rzuciła mi się w oczy trójka nastolatków, dwie dziewczyny i chłopak. Kręcili się przy straganie z owocami, chociaż właściciel usiłował ich przepędzić. Raptem wszyscy troje równocześnie doskoczyli do lady, każde złapało jakiś łup i natychmiast rozbiegli się w trzy różne strony. Handlarz

zaczął głośno przeklinać, wołał za nimi i za jednym ze złodziejasków posłał w pogoń syna.

Wypatrzyłam też coś w rodzaju straży miejskiej. Ci ludzie mieli pomarańczowe tuniki sięgające kolan, płócienne spodnie, lekkie skórzane kamizelki i nisko wycięte buty. Uzbrojeni byli w krótkie pałki z guzami oraz miecze ukryte w pochwach. Chodzili w patrolach po czworo. Kupcy podsuwali im, co mieli najlepszego: szaszłyki, bułki, rybę na chlebie. Co było źródłem tej szczodrości, wdzięczność czy strach – nie wiedziałam. Skwapliwie usunęłam im się z drogi.

W końcu nogi zaniosły mnie do przystani. Panował tam hałas i było rojno jak w ulu. Ktoś pchał wózek, kto inny taczki, konie ciągnęły wyładowane towarami wozy. Jedne do statków, inne w przeciwną stronę. W powietrzu mieszały się najróżniejsze zapachy, lecz przeważały dwa: smoły i gnijących wodorostów. Trzymałam się na uboczu. Obserwowałam portowe życie i głowiłam się, jak zgadnąć, dokąd który statek będzie zmierzał. Nie chciałam trafić na taki, który by mnie zabrał jeszcze dalej od Królestwa Sześciu Księstw. Oczyma ze zdziwienia wielkimi jak spodki patrzyłam na nieznane mi urządzenie, które podjęło z nadbrzeża siatkę splecioną z bardzo grubych lin i przeniosło na pokład złożone w niej duże drewniane skrzynie. Widziałam, jak młody człowiek dostał trzy mocne razy trzcinką przez gołe plecy, akurat w chwili, gdy ściągał ten rozkołysany ładunek na deski. Nie potrafiłam ocenić, na czym polegała jego wina, lecz odruchowo skuliłam się, gdy wyobraziłam sobie, że takie razy spadają na mój grzbiet.

Nie widziałam przy pracy nikogo podobnego do mnie, małego i słabego, chociaż podejrzewałam, że kilku spośród chłopców, jakich wyszukałam wzrokiem, mogło być w moim wieku. Nadzy do pasa biegali boso po drewnie najeżonym drzazgami, najwyraźniej z bardzo pilnymi rozkazami. Jeden z nich miał na plecach ropiejący ślad po uderzeniu.

W pewnym momencie któryś z mężczyzn pchających wózek krzyknął ostrzegawczo, bym usunęła się z drogi, inny, niosący dwa naręcza ciężkich lin, nie zadał sobie tego trudu i zwyczajnie mnie odepchnął.

Uciekłam. Całkowicie zniechęcona minęłam targowisko i ruszyłam w górę, ku ruinom.

Ledwo minęłam ostatnie stragany, zaczepił mnie z uśmiechem jakiś młody człowiek ubrany w piękną tunikę zdobioną złotymi różami. Gestem poprosił, bym się zbliżyła, a gdy stanęłam, w bezpiecznej odległości, nie rozumiejąc, czego może ode mnie chcieć, przykucnął, by mieć twarz na wysokości moich oczu. Przekrzywił głowę i odezwał się miękkim tonem, przekonując mnie do czegoś łagodnymi słowami, których nie rozumiałam. Wydawał się miły. Włosy miał trochę ciemniejsze

od moich i obcięte tak, że ledwo sięgały mu szczęki. Oczy niebieskie. W uszach jadeitowe kolczyki. Domyśliłam się, że pochodzi z dobrej, bogatej rodziny.

– Nie rozumiem – odparłem z wahaniem w języku powszechnym.

Ze zdumienia uniósł brwi, ale zaraz uśmiechnął się szerzej.

– Piękna nowa tunika – powiedział z ciężkim akcentem. – Chodź. Dam jeść.

Przysunął się o krok bliżej, poczułam zapach pomady do włosów. Wyciągnął do mnie dłoń, wnętrzem do góry, i czekał aż mu podam rękę.

„W nogi! Już!”.

Wilk-ojciec nie miał wątpliwości. Spojrzałam na uśmiechniętego mężczyznę po raz ostatni, potrząsnęłam głową i rzuciłam się do ucieczki. Zawołał coś za mną, a ja, choć nie wiedziałam dlaczego, biegłam dalej. Zawołał jeszcze raz – nawet się nie obejrzałam.

„Nie wracaj prosto do nory. Schowaj się i rozejrzyj”.

Zrobiłam, jak radził. Nie dostrzegłam żadnego niebezpieczeństwa.

Dużo później, nocą, gdy leżałam skulona pod drzewem, które już poprzednio dało mi schronienie, zastanawiałam się, dlaczego właściwie uciekłam.

„Ślepiec drapieżnika” – wyjaśnił wilk-ojciec.

„Co mam robić jutro?”.

„Nie wiem” – przyznał.

Tamtej nocy śniłam o domu. O przypiekany chleb i gorącej herbacie na kuchennym stole. Nie sięgałam do blatu, a nie mogłam sama postawić na nogi przewróconej ciężkiej ławy. Zawołałam Dbałość, chciałam jej pomocy, a gdy się za nią rozejrzałam, zobaczyłam ją leżącą na podłodze całą we krwi. Wybiegłam z kuchni, krzycząc w niebogłosość i wołając dorosłych, jednak wszędzie widziałam tylko trupy. Otworzyłam jakieś drzwi, by się za nimi ukryć, lecz stało tam dwóch żebraków z targu, a za ich plecami była roześmiana Dwalia. Za następnymi – to samo i za kolejnymi też. Obudziłam się w środku nocy, szlochając rozpaczliwie. Ku swemu przerażeniu usłyszałam głosy, jeden z nich zawołał coś pytająco. Zdusiłam łkanie i starałam się oddychać jak najciszej. Po chwili zobaczyłam nikłe światło i moment później ulicą przed zniszczonym ogrodem przesunęła się latarnia. Niosła ją jedna z dwóch osób, obie rozmawiały w tutejszym języku. Do rana doczekałam w ukryciu, nie zmrużywszy oka.

Słońce weszło już wysoko na niebo, gdy zebrałam w sobie dość odwagi, by wrócić na targ. Szybko natrafiłam na stragan, gdzie kupiłam pieczywo pierwszego dnia, lecz tym razem zamiast młodego człowieka była tam jakaś kobieta. Gdy pokazałam jej ostatnie dwie monety, gestem pełnym odrazy kazała mi odejść. Wzięłam każdą z monet w osobną dłoń i zaprezentowałam je w ten sposób, aby

nie pozostawić wątpliwości, że są dwie, nie jedna, lecz na kramarce nie zrobiło to wrażenia. Syknęła coś nieprzyjaźnie, skarciła mnie lub napomniała, po czym głośno, ostrzegawczo klasnęła. Odeszłam. Postanowiłam kupić jedzenie gdzie indziej. W tej samej chwili jeden z dwóch chłopców, którzy mnie wczoraj obserwowali, wpadł na mnie z impetem i zwałił z nóg. Drugi błyskawicznie zabrał mi monety i obaj zniknęli w ludzkiej ciżbie. Siedziałam w brudzie i kurzu, nie mogąc złapać tchu. A potem, jakby jeszcze mało było wstydu, rozplakałam się w głos. Siedziałam całkiem bezradna z dłońmi przyciśniętymi do twarzy, a moim ciałem wstrząsał szloch.

Nikogo to nie obchodziło. Ludzki strumień mijał mnie, jak woda w potoku mija kamień. Po jakimś czasie przestałam łąkać, lecz nie ruszyłam się z miejsca. Czułam się beznadziejnie opuszczona. Byłam przeraźliwie głodna. Bolał mnie bark, bezlitosne słońce prażyło odsłoniętą głowę, nie miałam pojęcia, co ze sobą zrobić. Jak planować powrót do domu, skoro nie wiedziałam, co zrobić, by przetrwać dzisiejszy dzień? Jakiś mężczyzna prowadzący osła z wózkiem uderzył mnie batem, niezbyt mocno. To było tylko ostrzeżenie. Usunęłam się z drogi. Odprowadziłam go wzrokiem. Rękawem otarłam z twarzy kurz i łzy. Rozejrzałam się po targu. Dojmujący głód wydał mi się teraz skutkiem postu trwającego przez długie tygodnie, a nie jeden dzień. Dopóki miałam przed sobą perspektywę zjedzenia czegoś, czegokolwiek, choćby naprawdę niewielkiej porcji, jakoś nad nim panowałam, teraz jednak to on nade mną zapanował. Wyprostowałam się, ponownie otarłam oczy i stanowczym krokiem odeszłam od straganu z pieczywem. Wkrótce zwolniłam. Uważnie przyglądałam się każdemu stoisku, każdemu sprzedawcy. Rozterka moralna trwała tak długo, jak długo trwa przełknięcie śliny, która napływa do ust, gdy głodny człowiek poczuje zapach jedzenia. Wczoraj widziałam, jak to się robi. Niestety byłam sama i jeśli ktoś ruszy za mną w pogoń, będzie miał tylko jeden cel. Głód przyśpieszał pracę umysłu. Musiałam wybrać stragan, określić cel, przewidzieć drogę ucieczki. Potem zaczekać z nadzieją, że coś odwróci uwagę kupca. Byłam mała, byłam szybka. Mogło mi się udać. Spróbować musiałam. Takiego głodu nie dało się znieść.

Krążyłam po targu zdecydowana na kradzież. Nie zamierzałam zagrabić byle czego, podejmować ryzyka dla jakiegoś drobnego owocu. Potrzebne mi było mięso, albo bochenek chleba, może wędzona ryba. Starłam się nie zwracać na siebie uwagi i prowadzić obserwacje dyskretnie, jednak gdy na zbyt długo zatrzymałam wzrok na jakiejś czerwonej solonej rybie, syn właścicielki, mały chłopczyk, przestrzegł mnie groźnym spojrzeniem.

Wreszcie znalazłam to, czego szukałam: stragan z pieczywem, większy i okazalszy niż wszystkie, jakie widziałam do tej pory. Krągłe bochny brązowego

i ciemnego chleba piętrzyły się nawet w koszach ustawionych na ziemi przed kramem. Najdroższy towar kupiec miał ułożony na ladzie: rogale, chałki splecione w warkocze, pieczywo z przyprawami i miodem, ciasta nadziewane orzechami. Zasadziłam się na jeden ze złotych bochenków. Na sąsiednim kramie sprzedawano barwne szale, które morską bryza wydymała i unosiła. Stanęło tam kilka kobiet. Targowały się z zacięciem. Po drugiej stronie alejki druciarz sprzedawał noże. Jego pomocnik ostrzył wszystko, co dało się naostrzyć, na kamieniu obracanym przez spoconego czeladnika. Metal darty kamieniem ranił uszy przenikliwym wizgiem, od czasu do czasu znad koła wzbijał się w górę snop iskier. Znalazłam spokojniejsze miejsce, na brzegu ludzkiego strumienia i udawałam zafascynowaną wirującym kołem. Rozluźniłam i lekko opuściłam żuchwę, jak to często bywa u osób ociężałych umysłowo. Byłam pewna, że z takim wyrazem twarzy i w obszarpanym ubraniu nie wzbudzam zaciekawienia. Wystarczyło teraz poczekać, aż stanie się coś, co odwróci uwagę sprzedawcy, aż otworzy się przede mną szansa, by ukraść upatrzony chleb.

Jak na zawołanie rozległo się w oddali donośne granie rogów. Wszyscy spojrzeli w stronę, skąd dochodził dźwięk, lecz zaraz wrócili do własnych spraw. Następnym razem rogi rozbrzmiały bliżej. Ludzie znów się ku nim odwracali, lecz teraz jeszcze kiwali do siebie głowami i wymieniali po kilka słów. Wreszcie ujrzeliśmy cztery białe konie, każdy w bogatej, pomarańczowo-czarnej uprzęży. Jadący gwardziści byli pięknie odziani, na hełmach mieli takie same pióra, jakie zdobiły końskie ogłowia. Zbliżali się do nas, a tłum kupujących przywierał do straganów, by zwolnić im drogę. W chwili gdy jeźdźcy ponownie unieśli rogi do ust, dostrzegłam swoją szansę. Wszyscy patrzyli na nich, a ja skoczyłam niczym błyskawica, chwyciłam krągły, złoty bochen i wyprysnęłam na alejkę za końmi.

Byłam tak skupiona na kradzieży, że nie zwróciłam uwagi, że ludzki strumień nie zamyka się za konnymi. Aleja pozostała pusta. Mało tego, ci, co ścisnęli się wzdłuż kramów, padli na kolana. Biegłam ile sił w nogach całkiem pustą targową aleją, a sprzedawca chleba głośno krzyczał. Gdy próbowałam wdrzeć się w klęczący tłum, wmieszać między ludzi, chwyтали mnie i też krzyczeli. Zobaczyłam następnych gwardzistów, tych było sześciu w rzędzie, maszerowali pieszo, za pierwszym rzędem były jeszcze dwa. Nieco dalej, na czarnym rumaku w złotej uprzęży jechała kobieta.

Tłum był jak lity mur. Usiłowałam wepchnąć się między ludzi, a wtedy jakiś mężczyzna chwycił mnie mocno i pchnął na ziemię. Warknął coś do mnie, jakiś rozkaz, głosem nieznoszącym sprzeciwu. Gdy usiłowałam się podnieść, uderzył mnie płaską dłonią w tył głowy. Zobaczyłam gwiazdy w białym dniu i ległam bez ruchu. Chwilę później zorientowałam się, że wszyscy zastygli. Czy o to chodziło? Miałam

się nie ruszać? Wobec tego leżałam tam, gdzie upadłam i ani drgnęłam. Skradziony chleb przyciskałam do piersi i przytrzymywałam brodą. Od jego zapachu kręciło mi się w głowie. Niewiele myśląc, podciągnęłam zdobycz nieco wyżej i wbiłam zęby w chrupiącą skórkę oraz żółty miąższ. Leżałam na brzuchu, w pyle targowej alei i gryzłam, żułam i przełykałam, jakby na świecie nie istniało nic innego, tylko ja i ten chleb. W tym czasie minęły mnie najpierw rzędy gwardzistów, potem kobieta na czarnym koniu, a w końcu jeszcze cztery rzędy paradnego wojska. W czasie przejścia orszaku nikt się nie poruszał. Pochód zamykał kolejny zastęp konnych. Ci zatrzymywali się w regularnych odstępach i dzwonili mosiężnymi dzwoneczkami. Dopiero po ich przejeździe handlarze oraz ich klienci wstawali i wracali do przerwanych czynności.

Czekałam na właściwy moment, gorliwie żując chleb, aż w chwili, gdy i dla mnie dzwoneczki oznajmiły koniec bezruchu, zerwałam się na równe nogi. Chciałam biec, lecz w tej samej chwili mężczyzna, który mnie powalił, zdążył chwycić mnie za tunikę, a potem za włosy. Potrząsnął mną i powiedział coś podniesionym głosem wyraźnie rozgniewany. Chwilę później zjawił się przy nas właściciel chleba, wyrwał mi bochen z rąk, a zobaczywszy, że jego własność jest brudna i częściowo zjedzona, wrzasnął coś z wściekłością. Odruchowo skrzywiłam się i odchyliłam, usiłując zasłonić, gdyż byłam przekonana, że mnie uderzy. On tymczasem nawet się nie zamierzył. Wciąż krzyczał, wołał, ciągle na nowo, powtarzając jedno, jedyne słowo. W gniewie rzucił bochen na ziemię. Jakże pragnęłam znów mieć go w rękach! Niestety nie pozwolił mi na to ten, co mnie trzymał.

Straż miejska. To ich wołał handlarz. Dwóch umundurowanych mężczyzn zjawiło się biegiem. Jeden z nich na mój widok prychnął lekko i uśmiechnął się lekceważąco, a przy tym popatrzył na mnie prawie litościwie, jakby nie mógł uwierzyć, że został wezwany do takiego drobnego złodziejstwa, w dodatku chucherka. Drugi jednak okazał się służbistą. Zebrał w garść moją tunikę na plecach i ni mniej, ni więcej, tylko podniósł mnie całkiem jak szczeniaka. Zaczął mi zadawać pytania, a handlarz w gorączkowych słowach głośno przedstawiał swoją część historii. Ja tylko pokręciłam głową, a potem wskazałam na usta, usiłując w ten sposób dać do zrozumienia, że nie mówię. Już uznałam, że mi się udało, gdy ten miłszy nachylił się niby do kompana, lecz zniemacka mocno mnie uszczypnął.

Pisnęłam z bólu.

Nagle się załamałam. Za dużo było tego wszystkiego dla mnie jednej. Gdy strażnik, który trzymał mnie w górze, uniósł rękę do uderzenia, wybuchnęłam w języku powszechnym:

– Byłam strasznie głodna. Dlatego ukradłam. Co miałam zrobić? Jestem okropnie

głodna!

I dla dopełnienia wstydu zalałam się łzami. Wskazałam leżący w pyle bochenek i wyciągnęłam do niego ręce. Ten obcy mężczyzna, ten, który mnie zatrzymał, usuwając sprzed orszaku, podniósł chleb i włożył mi go w dłonie. Sprzedawca chciał mi wyrwać zdobycz, lecz strażnik odsunął mnie poza jego zasięg. A następnie, przepełniając czarę mojego ponizenia, posadził mnie sobie na biodrze, jak maleńkie dziecko i poniósł przez targ.

Ścisnęłam chleb w obu rękach. Nie panowałam nad płaczem. Zalewałam się łzami i szlochałam, lecz to nie powstrzymało mnie od wpychania zdobyczy do ust tak szybko, jak zdołałam przełykać. Nie miałam pojęcia, co będzie działo się dalej, postanowiłam natomiast dopilnować jednego: napełnić brzuch tym chlebem, przez który wpadłam w kłopoty.

Nadal ścisnęłam w rękach resztki bochna, gdy niosący mnie strażnik długimi krokami pokonał trzy stopnie prowadzące do niepozornego kamiennego budynku. Pchnął drzwi, wszedł, a w chwili gdy wchodził jego partner, postawił mnie na podłodze.

W pomieszczeniu, do którego weszliśmy, siedział za stołem starszy mężczyzna, odziany wyjątkowo strojnie. Na blacie przed sobą miał rozstawiony południowy posiłek i wydawał się zirytowany, że mu przeszkadzamy. Gdy nad moją głową toczyła się rozmowa, ja uważnie oglądałam nieznajome wnętrze. Pod jedną ze ścian stała ława. Na jednym jej końcu siedziała kobieta z nogami skutymi łańcuchem. Drugi jej koniec zajął mężczyzna, pochylony, z twarzą ukrytą w dłoniach. Gdy podniósł na mnie wzrok, zobaczyłam, że usta ma rozbite do krwi i podpuchnięte oko.

Strażnik, który mnie niósł, położył dłoń na moim ramieniu i mną potrząsnął. Posłusznie spojrzałam na niego, powiedział coś, a ja pokręciłam głową. Wtedy odezwał się ten, który siedział za stołem. Znów uczyniłam ten sam przeczący ruch.

– Kim jesteś? – zapytał w języku powszechnym. – Jak się nazywasz, dziecko?

Słyszając te proste słowa, na nowo zalałam się łzami. Starszy mężczyzna chyba się zaniepokoił. Ruchem ręki wyprosił obu strażników, a oni go posłuchali. Ten, który mnie niósł, jeszcze obejrzał się od progu. Wyglądał trochę, jakby się o mnie martwił.

– Jak masz na imię? – powtórzył ten zza stołu. – Rodzice mogą zapłacić za chleb i zabrać cię do domu.

Czy to naprawdę było możliwe?

– Nazywam się Pszczoła Przezorna. Pochodzę z Królestwa Sześciu Księstw. Porwano mnie i muszę wrócić do domu. – Zaczerpnęłam głęboko tchu i złożyłam obietnicę bez pokrycia: – Mój ojciec za wszystko zapłaci.

– A to, to na pewno. – Mężczyzna wsparł łokieć na blacie, tuż obok niewielkiej gomółki sera.

Nie mogłam oderwać wzroku od smakołyku.

Urzędnik odchrząknął.

– A jak to się stało, że biegasz samopas po mieście, Pszołazorna?

Nie dość, że zbił moje imię i nazwisko w jeden wyraz, to jeszcze je zniekształcił. Nie poprawiłam go. To nie miało znaczenia. Jeżeli spełni moją prośbę i wyśle wiadomość do ojca, ten zapłaci za odesłanie mnie do domu. Albo Pokrzywa to zrobi. Ona na pewno. Dlatego też przedstawiłam urzędnikowi swoją historię, starając się omijać fragmenty, w które trudno byłoby mu uwierzyć. Opowiedziałam, że najemnicy z Krainy Miedzi napadli na mój dom i zostałam porwana. Nie wyjaśniłam dokładnie, jak znalazłam się w mieście, powiedziałam jedynie, iż wymknęłam się Kerfowi oraz pozostałym, gdyż traktowali mnie okrutnie. A teraz znalazłam się tutaj i nade wszystko pragnęłam wrócić do domu, więc wystarczy posłać wiadomość do mojego ojca, a on przyśle tu po mnie kogoś z pieniędzmi za fatygę.

Mężczyzna wysłuchał mojej opowieści z niejakim zdziwieniem, lecz na koniec poważnie skinął głową.

– Rozumiem. Teraz już wszystko rozumiem. Zapewne lepiej niż ty, dziecko. – Uderzył w dzwonek stojący w rogu biurka.

Na ten znak otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł rozespany strażnik. Był bardzo młody, robił wrażenie znudzonego.

– Zbiegły niewolnik – oznajmił urzędnik. – Własność niejakiego Kerfa. Zamknij w ostatniej celi. Jeżeli przez trzy dni nikt się nie zgłosi, wystawimy na aukcji. Piekarzowi Drobiazgowemu należy się zwrot za bochenek chleba. Zanotuj, że jeśli znajdzie się Kerf, ma mu to zwrócić albo trzeba będzie potrącić tę sumę od kwoty uzyskanej na licytacji.

– Jaki niewolnik?! – zaprotestowałam. – Kerf nie jest moim właścicielem! Pomógł mnie porwać z mojego domu rodzinnego!

Mężczyzna za biurkiem objął mnie spojrzeniem pełnym zrozumienia.

– Łup wojenny czy nagroda za waleczność, jak zwał, tak zwał. Tak czy inaczej, należysz do Kerfa. Może cię zatrzymać albo wziąć za ciebie okup. To zależy tylko od niego. Jeśli się po ciebie zgłosi.

Z westchnieniem poprawił się na krześle i pociągnął długi łyk z kubka.

Znowu łzy popłynęły mi z oczu, choć zmienić niczego nie mogły. Znudzony strażnik popatrzył na mnie wzrokiem pozbawionym wyrazu.

– Chodź za mną – powiedział w nieskazitelnym języku powszechnym, a gdy obróciłam się na pięcie i wystrzeliłam do wyjścia, wyprzedził mnie ze śmiechem,

nawet nie wiedziałam jak ani kiedy. Zebrał w garść tunikę na moich plecach, podniósł mnie jak worek i wyniósł przez te same drzwi, którymi wszedł do pomieszczenia, nie przejmując się tym, że po drodze obitałam się o framugę. Zatrzasnął je za nami nogą, opuścił mnie na podłogę i powiedział: – Możesz pójść z własnej woli albo przez cały ten korytarz przeprowadzę cię na kopniakach. Mnie tam wszystko jedno.

Mnie nie było wszystko jedno, więc wstałam, sztywno kiwnęłam głową i poszłam za nim posłusznie. Za rogiem zeszliśmy po kilku stopniach. Niżej było chłodniej i ciemniej. Światło docierało tu jedynie za sprawą kilku okienek rozmieszczonych w równych odstępach. Minęliśmy kilkoro drzwi. Otworzył ostatnie.

– Włóż.

Ponieważ się zawahałam, wepchnął mnie do środka.

Usłyszałam szczepek zamka.

Pomieszczenie było małe, ale nie ciasne. Oświetlone przez jedno okienko, tak wąskie, że nie przecisnęłabym się przez nie, nawet gdybym do niego dosięgła. W jednym z kątów leżała mata pleciona ze słomy, w przeciwległym znajdował się w podłodze otwór. Plamy oraz zapach wyjaśniały, do czego służył. Tuż obok maty stał dzban. W nim znajdowała się woda. Powąchałam, by się upewnić, że to nic innego. Zmoczyłam w niej rąbek koszuli i otarłam z twarzy durne łzy. Wreszcie usiadłam na macie.

Siedziałam tak przez bardzo długi czas. W końcu się położyłam. Możliwe, że trochę spałam. Usłyszałam zgrzyt zamka i wstałam. Ktoś ostrożnie otworzył drzwi, rozejrzał się po wnętrzu, potem spojrział na mnie. Wydawał się zdziwiony, że jestem taka mała.

– Jedzenie – powiedział i wetknął mi w dłońe glinianą miskę.

Byłam tak zaskoczona, że stałam jak wmurowana, ściskając naczynie w rękach, aż wyszedł, starannie zamykając drzwi za sobą. Gdy zniknął, opuściłam wzrok na miskę. Znajdowała się w niej ziarnista papka z paroma kawałkami jakiegoś pomarańczowego warzywa. Wróciłam z tym na matę i zjadłam całość, ostrożnie, palcami. Uraczono mnie porcją wystarczającą dla dorosłego człowieka. Od bardzo dawna nie dostałam tyle jedzenia. Starłam się jeść jak najwolniej i równocześnie myśleć o tym, co powinnam robić dalej. Gdy opróżniłam naczynie, napiłam się wody, a potem wytarłam palce o brzeg koszuli. Światło wpadające do środka przygasło. Nie wiedziałam, czy będzie się działo coś jeszcze. Nic więcej się nie wydarzyło. Gdy w celi zapadła ciemność, położyłam się i zamknęłam oczy. Myślałam o ojcu. Wyobrażałam sobie, co by zrobił ze strażnikami. Albo z Dwalią. W myślach widziałam, jak dusi ją gołymi rękoma, i zaciskałam pięści oraz dyszałam głośno –

sama bym to chętnie zrobiła. On by im pokazał, gdzie raki zimują. Pozabijałby ich wszystkich. Tyle tylko że jego tu nie było. I nie miał jak się dowiedzieć, gdzie mnie szukać. Nikt nie przybędzie mi na ratunek. Jakiś czas płakałam, potem zasnęłam, ściskając palce na świecy matki.

Gdy się obudziłam, na posadzce widniał prostokąt światła. Skorzystałam z otworu w podłodze i napiłam się wody. Czekałam. Nic się nie działo. Po jakimś czasie, który dla mnie był wiecznością, zawołałam i załomotałam w drzwi. Nikt nie zareagował. Powtórzyłam jedno i drugie. I znów. Gdy już nie mogłam dłużej ani krzyczeć, ani łomotać, usiadłam na macie. Sięgnęłam w myślach do wilka-ojca, lecz go nie znalazłam. To był bardzo przykry moment. Uznałam, że jednak był wytworem mojej wyobraźni, a teraz wyrosłam z niego i świat stał się zbyt prawdziwy, bym mogła wierzyć w jego istnienie.

„Kiedy cię potrzebuję, ciebie nie ma. Z każdym jest tak samo”.

„Jeśli się przede mną zabarykadujesz, to mnie nie słyszysz”.

„Jak to?”.

„Kiedy zamykasz przede mną myśli. No nic. Znów siedzimy w klatce. Na szczęście dobrze cię traktują. Przynajmniej na razie”.

„Na razie?”.

„Przecież zostaniesz sprzedana”.

„Wiem. Co mam zrobić?”.

„Na razie jedz, śpij, zdrowiej. A kiedy cię stąd wyprowadzą, żeby sprzedać, słuchaj mnie uważnie, może uda nam się uciec”.

Jego słowa nie wlały w moje serce zbyt wielkiej nadziei, jednak jeszcze niedawno nie miałam jej wcale. Płakałam, aż zasnęłam.

Obudziłam się wczesnym rankiem. Od dawna nie czułam się tak dobrze. Z uwagą obejrzałam siniaki na rękach i nogach. Były żółtawe i bladozielone, blakły, gdyż wcześniej widziałam głównie czarne i fioletowe. Brzuch bolał mnie o wiele mniej, a ramieniem po stronie wybitego barku mogłam zatoczyć pełne koło. Przeczesałam włosy palcami. Obgryzałam paznokcie, żeby były krótsze. Po jakimś czasie inny strażnik przyniósł mi jedzenie w misce i napełnił dzban wodą. Nie odezwał się do mnie. Zabrał ze sobą pustą miskę z poprzedniego dnia. Nowa porcja również okazała się ogromna. Zamiast pomarańczowego warzywa znalazłam w papce włókniste nici czegoś zielonego, a na wierzchu kawałek jarzyny w kolorze żółtym. Zjadłam wszystko, a potem patrzyłam, jak prostokąt światła wędruje przez posadzkę, wspina się na ścianę, aż wreszcie znika. Znowu noc. Tak jak poprzedniego wieczoru najpierw płakałam, później zasnęłam. Śnił mi się ojciec. Był rozgniewany, ponieważ nie odłożyłam inkaustów na miejsce. Obudziłam się w ciemnościach, wiedząc, że

coś takiego nigdy nie nastąpiło, chociaż chciałabym, żeby było możliwe. Zasnęłam ponownie i wtedy przyszedł do mnie bardzo ważny sen o pływającym smoku, który schwytał tatę. Zbudził mnie prostokąt światła. Ze wszystkich sił pragnęłam zapisać sen, niestety nie miałam nic do pisania. Przez całe popołudnie wymyślałam sposoby na ukrycie świecy w koszuli tak, żeby nie zgubić swojego najcenniejszego skarbu. Kolejny dzień minął. Dostałam następną miskę jedzenia. Czy już niedługo wystawią mnie na sprzedaż? Jak tutaj liczą trzy dni? Czy zaczęli od tego, gdy zostałam złapana, czy od następnego? Kto mnie kupi i jaką pracę będę wykonywała? Może prace domowe? Czy zdołam namówić właścicieli, by wysłali wiadomość do taty? Nechby zażądali za mnie okupu! Słyszałam o niewolnikach, lecz nie miałam pojęcia, jak byli traktowani. Czy będę bita? Trzymana w psiarni?

W takich rozważaniach tkwiłam pogrążona, gdy usłyszałam zgrzyt zamka. Strażnik otworzył drzwi i się cofnął.

– To ten dzieciak? – zapytał kogoś.

Zza framugi wytknął głowę Kerf. Przyjrzał mi się wzrokiem bez wyrazu.

– To ten dzieciak – potwierdził. – Jej szukaliśmy.

Na jego widok prawie się ucieszyłam. Po czym usłyszałam głos Dwalii.

– Tak, to jest ten bachor! Same z nią kłopoty.

– To dziewczynka? – zdziwił się strażnik. – Myślałem, że chłopiec.

– My też tak sądziliśmy! – wykrzyknął Vindeliar. – To mój brat!

Stanął w progu i uśmiechnął się do mnie. Nie był taki pulchny, jak normalnie, cienkie włosy miał brudne i zmatowiałe, lecz w jego oczach wciąż błyszczała przyjazna iskra. Nienawidziłam go. Nie złapałoby mnie, gdyby nie opanował umysłu Kerfa na polecenie Dwalii. Zdradził mnie.

Strażnik obrzucił go kpiącym spojrzeniem.

– Twój brat. No tak. Uderzające podobieństwo – zażartował, lecz nikt się nie roześmiał.

Mnie opanowały mdłości.

– Nie znam tych ludzi – oświadczyłam. – Oni kłamią.

Strażnik wzruszył ramionami.

– Co za różnica? Ważne, żeby zapłacili. – Przeniósł wzrok na Kerfa. – Złapano ją na kradzieży bochenka chleba. Musicie pokryć straty.

Kerf pokiwał głową. Wiedziałam, że znajduje się pod wpływem Vindelii. Magia nie działała tak skutecznie jak wcześniej. Najemnik robił wrażenie roztargnionego, musiał się głęboko zastanowić, zanim coś powiedział. A przecież Ellik zawsze wydawał się bardzo pewny siebie. Czyżby Vindeliar tracił umiejętności? Czy też coś naprawdę złego działo się z Kerfem? Już pierwsza podróż przez kamienie nie

pozostała bez wpływu na stan jego umysłu.

– Zapłacę – odezwał się w końcu.

– Najpierw trzeba uiścić, potem możecie ją zabrać. Jesteście też winni za cztery dni jej utrzymania.

Zamknął celę i odeszli. W pierwszej chwili ucieszyłam się, że będą musieli zapłacić za jeden dzień więcej, a w następnej zmartwiłam się, bo uświadomiłam sobie, że może faktycznie jestem tutaj cztery dni, ale straciłam poczucie czasu. Czekałam na ich powrót rozdarta między dwoma uczuciami: z jednej strony bałam się być znowu z nimi, z drugiej natomiast czułam ulgę, że ktoś się mną zajmie. Minęła wieczność, nim znów usłyszałam zgrzyt otwieranej zasuw.

– Idziemy – warknęła Dwalia. – Więcej z ciebie szkody niż pożytku. – W jej oczach wyczytałam obietnicę lania.

Vindeliar uśmiechał się do mnie głupkowato. Chciałabym wiedzieć, dlaczego darzył mnie sympatią. Był moim najgorszym wrogiem, lecz równocześnie jedynym sprzymierzeńcem. Kerf chyba mnie lubił, ale to Vindeliar kierował jego czynami, więc na pomoc ze strony żołdaka nie miałam nadziei. Może powinnam zaprzyjaźnić się z Vindeliarem? Gdybym była mądrzejsza, chyba zrobiłabym to na samym początku.

Dwalia przyniosła ze sobą linkę. Zanim się zorientowałam, założyła mi pętlę na szyję.

– Nie! – zaprotestowałam, ale ona tylko zacisnęła węzeł.

Gdy sięgnęłam do sznura, Kerf wziął mnie za lewą rękę, lingstra ścisnęła za prawą i obie wykręcili mi za plecy. W następnej chwili poczułam, jak sznur oplata mi nadgarstki. Kobieta robiła to szybko i sprawnie, z pewnością nie po raz pierwszy. Związała mi ręce wysoko, niewygodnie, nie mogłam jednak ich opuścić, gdyż wtedy zaciskała się pętla na szyi. Dwalia ujęła drugi koniec sznurka. Pociągnęła na próbę. Aż mi głowa odskoczyła do tyłu.

– Bardzo dobrze – oceniła z zadowoleniem. – Koniec niespodzianek. Idziemy.

Po chłodnym półmroku celi jaskrawe słońce kłuło mnie w oczy, na dodatek wkrótce zrobiło mi się o wiele za gorąco. Kerf i Dwalia szli przodem, prowadząc mnie na uwięzi. Linka prawie cały czas była naprężona. Musiałam zdrowo wyciągać nogi, by dotrzymać im kroku. Vindeliar truchtał obok mnie, przy tej okazji zwróciłam uwagę na jego dziwną budowę. Miał obłe ciało i wyjątkowo krótkie nogi. Przypomniało mi się, że Dwalia nazywała go „bezpłciowym”. Nie wiedziałam, czy wykastrowała go, jak w naszych okolicach kastrowano kozy przeznaczone na mięso, czy też taki się urodził.

– Gdzie Alaria? – spytałam go cicho.

Rzucił w moją stronę żalosne spojrzenie.

– Sprzedana. Stąd pieniądze na jedzenie i podróż.

Kerf się skrzywił.

– Była moja. Chciałem zaprowadzić ją do matki. Nadawała się do służby.
Dlaczego ja to zrobiłem?

– Vindeliarze! – rzuciła Dwalia.

Rozszczelniłam ochronę umysłu, by się zorientować, co lurik robi Kerfowi. Staralam się to pojąć. Jedyne, co umiałam, to chronić własne myśli przed burzą uczuć ojca, robiłam to, bo musiałam, chyba od urodzenia, zwyczajnie po to, by zachować zdrowe zmysły. Teraz odniosłam wrażenie, że Vindeliar wpycha w umysł Kerfa coś na kształt zapory, odgradza nią myśli najemnika i narzuca własne. Napałam na tę barierę ostrożnie. Nie była zbyt mocna, ale też nie wiedziałabym, jak ją przełamać. Tak czy inaczej, słyszałam, co szeptał Kerfowi.

„Nic się nie martw. Idź z Dwalią, rób, co każe. Niczym się nie zajmuj. Wszystko będzie dobrze”.

„Nie ruszaj jego myśli”. – Ostrzeżenie od wilka-ojca. – „Nie przekraczaj tej zapory. Słuchaj, ale się nie zdradz”.

„Dlaczego?”.

„Jeśli wejdziesz w jego myśli, dasz mu dostęp do swoich. Zachowaj wyjątkową ostrożność, gdy dotykasz jego umysłu”.

– Dokąd idziemy? – zapytałam.

– Zamknij się! – szczerknęła Dwalia.

W tej samej chwili Vindeliar odpowiedział:

– Do przystani, wybraliśmy statek.

Zamilkłam, lecz nie dlatego, że Dwalia mi kazała. Przez krótki moment czułam wyraźnie, iż Vindeliarowi trudno jest równocześnie mówić, truchtać za Dwalią i panować nad umysłem Kerfa. Dodatkowo był głodny, bolały go plecy i bardzo chciał iść na stronę, ale miał dość rozumu, by nie prosić Dwalii o chwilę cierpliwości. W czasie, gdy milczałam, skupił uwagę na Kerfie, silniej i pewniej pokierował jego myślami.

A więc to tak. Jeśli coś go rozpraszało, trudniej mu było sterować cudzymi myślami. Szczegół, marny detal, jednak mógł się okazać użyteczny.

Wilko-ojciec odezwał się w mojej głowie ledwo dosłyszalnym szeptem:

„Ostrzysz zęby i pazury. Uczysz się, szczeniaku. Będziemy żyć”.

„Czy ty jesteś prawdziwy?”.

Nie odpowiedział, natomiast Vindeliar przekrzywił głowę i dziwnie mi się przyjrzał. Uszczelniłam ochronę. Nie wolno mi było wpuścić go do umysłu.

Zyskałam pewność, że muszę stale się pilnować. Ukryłam myśli za solidną barierą, choć teraz już wiedziałam, że gdy odsuwam Vindeliara, zamykam się także przed wilkiem-ojcem.

Rozdział 8

Tintaglia

Ten sen był jak ruchomy obraz. Światło przyćmione, jakby całość pokryto jasnoszarą lub bladobłękitną farbą. Lekka bryza, która pojawia się i znika, trąca śliczne proporczyki w jaskrawych kolorach, a one unoszą się i opadają. Lśnią od złota i srebra, od szkarłatu, lazuru i soczystej zieleni. Są na nich jasne wzory przypominające brylanty albo oczy. Wzdłuż krawędzi każdej chorągiewki biegną splecione spirale.

W tym śnie zbliżyłam się do nich bez wysiłku, jakbym płynęła w powietrzu. Panowała całkowita cisza, nie czułam wiatru na twarzy. Potem widok się zmienił, zobaczyłam ogromne łby węzowe, o tępych nosach, o ślepiach wielkich jak melony. Zbliżałam się coraz bardziej, chociaż wcale nie chciałam, i w końcu dostrzegłam słaby połysk sieci, która więziła te stworzenia niczym schwyte ryby. Zrobiona była z niemal przezroczystych linek. Nie wiem skąd, ale wiedziałam, że węże zostały wszystkie pojmane w tym samym czasie, zamknięte w pułapce i utopione.

Ten sen niósł ze sobą pewność zdarzeń, które już nastąpiły, i to więcej niż raz. Powtarzały się ciągle od nowa. Nie mogłam ich powstrzymać, bo już się dokonały. A równocześnie miałam świadomość, że znów się powtórzą.

Pszczoły Przezornej „Dziennik snów”

Wczesnym rankiem obudziło mnie pukanie. Przetoczyłem się po łóżku, wstałem. Błazen nawet nie drgnął. Na bosaka poczłapałem do wejścia. Zanim otworzyłem drzwi, odgarnąłem włosy z twarzy – i tyle. Król Reyn odrzucił kaptur płaszczu ociekającego wodą. Stał w kałuży. Deszcz błyszczał mu na czole, kropelki lśniły w rzadkiej brodzie. Uśmiechnął się do mnie, pokazując zęby, absurdalnie białe w twarzy pokrytej delikatnymi łuskami.

– Książę Bastardzie Rycerski! Mam dobre wieści i chciałem jak najszybciej się nimi podzielić. Właśnie przyleciał ptak z drugiego brzegu rzeki. Przybył „Smolisty”!

– Z drugiego brzegu rzeki? – Coś mi strasznie klekotało w głowie.

– Tak, z wioski. Znacznie łatwiej barce przycumować tam niż dokować tutaj. I kapitan Lewszun ma mniej kłopotu z wyładunkiem, i nie trzeba potem towarów przewozić promem. „Smolisty” jest pełen po relingi: przywiózł dziesięć kóz, worki ziarna, przyплыnęli najemni pracownicy na farmy. Trzydzieści kurcząt! Mamy nadzieję, że kozy przyjmą się lepiej niż owce. Chyba ze trzy przetrwały zimę. Kurczęta będziemy trzymali pod dachem. – Przechylił głowę, przyjrzał mi się uważniej. – Wybacz wczesną pobudkę, książę, uznałem, że będziesz zainteresowany najnowszymi wieściami. Barkę trzeba oczyścić, przygotować dla pasażerów. Potrwa to dzień, może dwa, w najgorszym razie trzy, ale niedługo będziecie mogli ruszać.

– Rzeczywiście wyczekiwane wieści – przytaknąłem. Udało mi się przewyciężyć ból głowy na tyle, by okazać grzeczność. – Chociaż ogromnie cieszy nas wasza gościnność, powinniśmy ruszać w dalszą drogę.

Energicznie pokiwał głową, rozrzucając krople wody.

– Muszę zawiadomić innych. Wybacz pośpiech, książę.

I odszedł, zostawiając na korytarzu mokrą ścieżkę. Spróbowałem wyobrazić sobie króla Sumiennego przynoszącego taką wiadomość gościowi. Patrzyłem za władcą Kelsingry z zazdrością w sercu. Jakże spontanicznie zachowywali się Smoczy Kupcy. Może od zawsze tkwiłem w błędzie? Chyba jednak pozycja bękarta dawała mi znacznie więcej swobody niż konieczność przestrzegania reguł, jakie obowiązywały księcia.

Zamknąłem drzwi akurat, gdy Błazen podpełzł na krawędź łóżka.

– Co się stało? – zapytał nieszczęśliwym głosem.

– Król Reyn przyniósł najnowsze wieści. „Smolisty” zacumował na przeciwległym brzegu rzeki. Jutro, pojutrze, będziemy mogli ruszać.

Zsunął nogi na podłogę, usiadł, pochylił się i złapał za głowę.

– Upiłeś mnie – jęknął.

Zmęczenie nie dało mi kłamać.

– Muszę wydobyć od ciebie pewne informacje. Obojętne jakim sposobem.

Bardzo wolno i ostrożnie uniósł głowę z dłoni.

– Jestem na ciebie zły – stwierdził cicho. – Chociaż powinienem był się tego po tobie spodziewać. – Wsparł czoło na rękach. Następne słowo, zduszone, ledwo usłyszałem. – Dziękuję.

Zwłókł się z łóżka szalenie ostrożnie, jakby w obawie, że mu się mózg wyleje z czaszki.

– Thymara stale nalega na spotkanie – odezwał się głosem pani Amber. – Jest ogromnie zainteresowana smoczym srebrem na mojej dłoni, efektami, jakie ono na mnie wywiera. Dzisiaj do niej pójde. Czy mógłbyś poprosić tu Skierkę? Chciałabym

się przyszykować.

– Oczywiście.

Nie umknęło mojej uwagi, że nie zaproponowała mi udziału w planowanej wizycie. Zasłużyłem na to wykluczenie.



Tego popołudnia, gdy przestało padać, odważyłem się wyjść ze Strzykiem do miasta. Chciałem odwiedzić wieżę mapy. Po raz pierwszy widziałem ją przed laty, gdy, przypadkiem znalazłszy się w magicznym przejściu, trafiłem do Kelsingry. Wyśmienite plany, w które zaopatrzyli mnie Cierń oraz pani Ketriken, nie przetrwały napaści niedźwiedzia. Miałem nadzieję odświeżyć sobie pamięć. Nie zaszliśmy daleko, gdy usłyszałem ogłuszające ryki smoków i wołania podekscytowanych ludzi.

– Co to? – zapytał Strzyk i od razu dodał: – Lepiej wracajmy do reszty.

– Nie trzeba. To okrzyki powitalne. Wrócił któryś smok. Dawno niewidziany. – Podmuch wiatru przyniósł imię: – Tintaglia – stwierdziłem. – Powinienem znów się z nią spotkać.

– Tintaglia – powtórzył z nabożną trwogą. Oczy miał wielkie jak spodki. – Słyszałem o niej od Rebusa. Królowa smoków, która stawiała się na pomoc Lodogniowi, a w końcu rozpoczęła z nim gody. To ona zmusiła go, by położył łeb na kamieniach paleniska w domu matek królowej Ellianii, aby spełnić warunki, jakie narzeczona postawiła królowi Sumiennemu.

– Sporo wiesz.

– Bastardzie, taką wiedzę dysponuje każde dziecko w Królestwie Sześciu Księstw. Traf Radosne Serce z upodobaniem śpiewa pieśń o smokach, w której brzmią następujące słowa: „błękitem szafir zawstydza, błyszczący niczym czyste złoto”... Muszę ją zobaczyć na własne oczy.

– Chodźmy więc! – krzyknąłem, bo ryk smoków nas zagłuszał.

Gady uniosły się nad miastem, nie wiadomo czy w powitaniu, czy niosąc groźbę. Niesamowity był to widok, równie piękny, jak przerażający. Kręciły pętle niczym jaskółki przed burzą, tyle że przecież były to istoty większe niż domy. Lśniły i błyszczały na tle pochmurnego nieba, bardziej podobne do klejnotów niż tworów z krwi i kości.

A nad czubkami drzew zobaczyłem Tintaglię. Zdziwiłem się, że jest już tak blisko, i dopiero po chwili uświadomiłem sobie swój błąd. Inne smoki robiły przy

niej wrażenie zabawek. Była naprawdę ogromna. Znacznie większa niż wówczas, gdy ją widziałem ostatnim razem.

Królowa smoków doskonale zdawała sobie sprawę z poruszenia, jakie wywołała w mieście. Zatoczyła wielkie koło i dopiero wtedy zaczęła się zniżać spiralą. Nie mogłem oderwać od niej wzroku. Podziwiałem ją z całego serca, kąciki moich ust bezwiednie powędrowały w górę. W pewnej chwili zerknąłem na Strzyka i zobaczyłem, że przycisnął obie dłonie do piersi, a na twarzy ma szeroki uśmiech.

– Smoczy urok – wychrypiałem z wciąż błogim wyrazem twarzy. – Pilnuj się, Strzyku, bo zaraz zaczniesz śpiewać na jej chwałę.

– „Błękitem szafir zawstydza, błyszczycy niczym czyste złoto”. – W jego głosie brzmiały tęskne nuty. – Żaden minstrel nie odda jej sprawiedliwości. Złotem błyszczycy i srebrem, przejrzysiej błękitna niż najczystsze klejnoty! Och, Bastardzie! Chciałbym patrzeć na nią do końca życia.

Nie odpowiedziałem. W Królestwie Sześciu Księstw każdy wiedział, co to smoczy urok. Istnieli ludzie nań uodpornieni, lecz na drugim końcu skali znajdowali się ci, którym wystarczyło zerknąć na smoka, by znaleźć się pod jego wpływem. Strzyk wyraźnie należał do tych drugich. Mogłem teraz mówić do niego, ile chciałem, cokolwiek mi ślina na język przyniesie, on i tak nie słyszał. Podejrzywałem jednak, że zostanie uwolniony spod wpływu smoczyca, gdy tylko straci ją z oczu. Gdyby nie pracowicie uszczelniana ochrona umysłu, która miała mnie bronić przed zgiełkiem dawnej metropolii, pewnie byłbym równie oszołomiony.

Szybko stało się jasne, że smoczyca wylądował na placu przed budynkiem, gdzie zamieszkaliśmy. Strzyk przyśpieszył kroku, ja także. Mimo wszystko, nim dotarliśmy na miejsce, była już na ziemi. Wokół zaczęli zbierać się Najstarsi oraz inne smoki. Mój towarzysz próbował wyjść naprzód, lecz złapałem go za ramię i pociągnąłem do tyłu.

– Królowa Malta i król Reyn – przypomniałem mu – oraz ich syn będą ją witać jako pierwsi.

Tak też się stało. Nawet smoki z Kelsingry zachowały pełen szacunek dystans, czego się nie spodziewałem. Tintaglia bez pośpiechu strząsnęła skrzydła dwukrotnie, jakby chciała się upewnić, że każda łuska jest na właściwym miejscu, po czym złożyła je starannie przy wtórze pełnych podziwu westchnień i okrzyków zebranych. Gdy ujrzałem parę królewską z synem, nie miałem wątpliwości, że królowa w pośpiechu zadbała o jak najlepszy wygląd, a Reyn zmienił tunikę i przygładził włosy. Phron wpatrywał się w smoczycę z bezkrytycznym zachwytem, natomiast władczyni miała wyraz twarzy dość powściągliwy, by nie powiedzieć oschły. Zeszła ze stopni i stanęła przed kolosem. Dwie królowe naprzeciw siebie, równe sobie,

uznałem, choć tak różne wzrostem. Reyn poszedł w ślady małżonki, przystanął za nią o pół kroku. Tintaglia przyjrzała się Malcie uważnie, wyginając szyję w łuk. Ślepią jej wirowały, niezbyt szybko.

– Wróciłaś do Kelsingry – odezwała się Malta bez uśmiechu. – Długo cię tym razem nie było.

– Tak mówisz? Tak sądzisz. – W smoczym głosie brzmiały melodyjne tony, na dźwięku sunęła myśl. – Na pewno pamiętasz, że smoki nie odmierzają czasu kropelkami dni, które tak istotne wydają się dla ludzi. Tak, wróciłam. Jestem, by się napić. I pozwolić o siebie zadbać. – Jakby chciała udzielić Malcie nagany za pretensję, zignorowała Reyna i zwróciła spojrzenie na Phrona, który z zadartą głową gapił się na nią zafascynowany. W jej ślepiach zalśniła czułość. Pochyliła łeb, odetchnęła zapachem chłopca, aż od gorącego podmuchu zmarszczyło mu się ubranie. Raptem podrzuciła łbem i zmierzyła zebranych oburzonym spojrzeniem. – Ten jest mój! Kto go zmieniał? Który to szalony smok śmiał wtrącać się w to, co moje?

– Pytasz, kto ośmielił się uratować mu życie? Kto wprowadził w jego ciele zmiany konieczne, by nie musiał wybierać między jedzeniem a oddychaniem? – zapytała królowa. – To chcesz wiedzieć?

Tintaglia przeskoczyła na nią spojrzeniem. Na gardzieli i po bokach pyska zafalowały zmienne barwy, a łuski na szyi uniosły się rzędami. Byłem pewien, że królowa przynajmniej odstąpi do tyłu, jednak ona zrobiła krok do przodu, a Reyn tym razem stanął u jej boku. Zdumiewający był to widok, gdy grzebień na głowie Malty zalśnił kolorami podobnie jak u smoka. Kobieta wsparła dłonie na biodrach, głowę odchyliła w tył. Wtedy wyjątkowo wyraźnie rzuciło się w oczy, że wzór na jej twarzy stanowił miniaturę tego, który zdobił smoczycę.

Gad zmrużył wielkie ślepią.

– Kto? – zapytał ponownie.

Po plecach przeszedł mi lodowaty dreszcz.

Nikt się nie odezwał. Tylko wiatr pogwizdywał z cicha, zabierając resztki ciepła, mierzwiąc włosy, czerwieniąc nosy.

– Nie cieszysz się, że żyję? – Phron wystąpił do przodu, aż znalazł się między smokiem a rodzicami. – Gdyby nie zmiany, już byłoby po mnie.

Królowa wyciągnęła rękę po syna, lecz Reyn ją powstrzymał. Położył dłoń na nadgarstku żony i nacisnął w dół, aż w końcu uchwycił jej dłoń. Coś powiedział. Nie usłyszałem słów, lecz na twarzy kobiety odmalowała się udręka. Potem już żadne z nich się nie odezwało, tylko patrzyli na dziecko, zaglądające w oczy smoka, który ukształtował ich wszystkich troje.

Tintaglia również milczała. Czy zechce przyznać, że nie jest jej obojętne życie ludzkiego dziecka? Ona, smoczyca?

– Kto? – powtórzyła, a jej gardziel mocniej rozbłysła kolorami.

Nikt nie odpowiedział.

Czubkiem nosa pchnęła chłopca w pierś. Zatoczył się do tyłu, lecz nie upadł.

Dość tego.

– Nie zbliżaj się do mnie – nakazałem Strzykowi.

Zrobiwszy trzy duże kroki, stanąłem na otwartej przestrzeni otaczającej gada. Umysł chroniłem dokładnie.

– Tintaglio! – zawołałem mocnym głosem. – To ja!

Obróciła łbem prędzej niż atakujący wąż. Wbiła we mnie spojrzenie. Czułem wagę jej badawczego spojrzenia.

– Kim jesteś ty, który śmiesz używać mojego imienia?

– Znasz mnie. – Panowałem nad głosem, celowo odezwałem się nieco wyższym tonem.

Phron obejrzał się na rodziców, jednak nie schronił za ich plecami. A smoczyca obróciła się cała w moją stronę. Owionął mnie jej gęsty, ciężki oddech przesycony wonią mięsa.

– Niewielu jest na świecie ludzi, których bym chciała pamiętać, marnoto. Ciebie wśród nich nie ma.

– Znamy się – nie ustępowałem. – Sprzed lat. Chciałaś wiedzieć, gdzie jest czarny smok. Tropiłaś mnie w snach. Pragnęłaś uwolnić Lodognia. Ja zrobiłem to, czego ty nie mogłaś. Roztrzaskałem mroźne okowy, uwolniłem go z lodu i spod okrutnej władzy bladej kobiety. Znasz mnie, smoczyco. Znasz także moją córkę, Pokrzywę. Znasz mnie i masz wobec mnie dług!

Po tych słowach wszyscy wstrzymali oddech. Kątem oka dostrzegłem panią Amber, która w towarzystwie Skierki akurat w tej chwili pokazała się na stopniach. Pomodliłem się szybko, by nie zechciała ingerować, a raczej ukryła przed smokiem dwójkę naszych młodych ludzi. Tintaglia wpatrywała się we mnie ślepiami, w których wirowały złoto i srebro. Poczułem nacisk jej myśli i na krótki moment osłabiłem ochronę umysłu. Pokazałem jej Pokrzywę w wymarzonej sukni z motyli skrzydeł, po czym natychmiast ponownie zatrasnąłem dojście do swojej świadomości, z nadzieją, że gad nie uzyska dostępu do niej wbrew mojej woli.

– Ona. – Zmieniła zwykłe słowo w przekleństwo. – Nie marnota. Giez. Brzęczący, kęsający, krwiopijca...

Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby tak wielka istota miała kłopot z przepchnięciem słów przez gardło. Równocześnie wyczułem dumę wzbierającą

w Pokrzywie. Tak, swego czasu wykorzystała Moc i użyła swoich zdolności we śnie, odwdzięczając się smokowi pięknym za nadobne, wykorzystując przeciwko niemu jego własną siłę. Chociaż nikt jej nie kształcił w tej sztuce, nie tylko nagięła wolę Tintaglii, by wykorzystać ją do własnych celów, lecz na dodatek przekonała tę potężną i nieuległą istotę, by za jej sprawą Lodogień spełnił obietnicę księcia Sumiennego, zgodnie z którą jego czarny łeb miał spocząć na ceglach paleniska narczeski Ellianii. Wejście smoka do domu matek spowodowało co prawda nieco szkód, któż by się jednak nimi przejmował, skoro w efekcie książę dotrzymał słowa i zdobył rękę narzeczonej?

Tintaglia pamiętała moją córkę! Nie istniał dla człowieka stan bliższy nieśmiertelności. Nastął dla mnie moment szczerogo uniesienia.

Mocne barwy na szyi smoczyca zatańczyły niczym ogień trawiący drewno.

– Zmieniłeś moich Najstarszych. To dla mnie obraza. I nic ci nie jestem winna. Smoki nie mają żadnych zobowiązań.

Słowa padły mi z ust, zanim pomyślałem.

– Mają. Tylko się z nich nie wywiązują.

Stała na zadnich łapach, szyję wyciągnęła w górę, a łeb skierowała ku ziemi. Jej ślepia wirowały w zawrotnym tempie, kolory na cielsku migotały wściekle. Bardziej wyczułem, niż zobaczyłem, że ludzie i smoki zgodnie się cofają.

– Bastardzie – szepnęła Strzyk ochryple. Błagalnie.

– Nie podchodź – nakazałem cicho.

Miałem umrzeć. Jeśli przeżyję, to potwornie okaleczony. Widziałem, działanie smoczego jadu na człowieka i na kamień. Byle nawet nie drgnąć. Bo gdybym puścił się biegiem, gdybym próbował szukać schronienia między innymi, oni także straciliby życie.

Musnął mnie powiew i w następnej chwili – lekko niczym kruk podskokami schodzący na ziemię – osiadł między mną a śmiercią nieduży czerwony smok. Zaraz też poczułem niespodziewany ciężar na ramieniu.

– Bastard! – powitała mnie Jaskrawa. – Głupiec! – dorzuciła.

Mniejsza smoczyca uważnie zwinęła skrzydła, jakby to było wyjątkowo istotne zadanie, które musiało zostać wykonane w szczególny sposób.

Przyszło mi wtedy do głowy, że Tintaglia zbryzga tę istotę jadem, z czystej zemsty za opóźnianie nieuniknionego skutku jej wściekłości. Tymczasem ona patrzyła na czerwonego smoka z wyraźną rozterką.

– Hiibi – oznajmiła kruczycza. – Hiibi, Hiibi. – Raptem dziobnęła mnie w ucho. – Hiibi! – powtórzyła zniecierpliwiona.

– Hiibi – przyznałem, by ją uspokoić. – Smoczyca generała Rapskała.

Udało się, była zadowolona.

– Hiibi. Łowca dobry. Mięsa dużo. – Zaśmiała się radośnie.

Ktoś mnie ścisnął za ramię. Strzyk.

– Wycofaj się, głupcze – syknął. – Zejdź jej z oczu, póki skupia się na tym czerwonym. Inaczej zginiesz!

Poruszyłem się, jednak wyłącznie po to, by strząsnąć jego rękę.

Niewielki czerwony smok stał na drodze błękitnemu gigantowi. Hiibi zakołysała łbem na węzowej szyi. Na jej łuskach zapaliły się wszystkie odcienie czerwieni. Postawą rzucała wyzwanie. Znać było panujące między smokami napięcie, chociaż warkot dobywający się z gardzieli czerwonego nie odsłaniał żadnych zrozumiałych dla człowieka wyrazów. Gadzia wymiana zdań przypominała nacisk powietrza, była strumieniem wrażeń, którego nurt odczuwałem, nie mogąc się w nim zanurzyć.

W końcu postawione na sztorc łuski na łbie i szyi Tintaglii ułożyły się gładko, na podobieństwo wygładzonej sierści na psim karku. Koniec agresji. Wielki niebieski łeb miękkim ruchem opadł nieco, świdrujące spojrzenie wirujących ślepiów wbiło się w moje oczy.

– Co wiesz o białych ludziach i o ich sługach? – odezwała się Tintaglia, a w jej słowach, dla wszystkich zrozumiałych, brzmiało oskarżenie.

Głęboko nabrałem tchu i odezwałem się głośno.

– Wiem, że porwali mi córkę. Wiem, że ją zabili. I wiem, że ich znajdę. A potem zabiję tyłu, ilu zdołam, nim sam stracę życie. – Serce waliło mi jak młotem. Zacisnąłem zęby. – Co jeszcze muszę wiedzieć?

Obie smoczyce znieruchomiały. Znów popłynął strumień ich rozmowy. Czy któryś inny smok albo ktoś spośród Najstarszych ją rozumiał?

Przez tłum przepchnął się generał Rapskał. Był ubrany całkiem zwyczajnie, w wąskie spodnie i skórzaną koszulę, a ręce miał powalane brudem, jakby właśnie oderwał się od ciężkiej pracy.

– Hiibi! – krzyknął na widok czerwonej smoczy.

I znieruchomiał. Powiódł wzrokiem po twarzach w tłumie, przeniósł spojrzenie na mnie, a następnie szybkim krokiem ruszył w moją stronę. Przy ostatnich krokach wyciągnął nóż. I ja sięgnąłem po swój, lecz więcej zrobić nie zdążyłem, bo Strzyk odepchnął mnie na bok i zasłonił przed generałem. Ten, nie zwracając uwagi na młodego człowieka, zawołał do mnie:

– Hiibi wezwała mnie na pomoc! Będę cię bronił, książę!

Strzyk gapił się na niego ogłupiały, a ja ledwo zdążyłem się zdziwić, nim na scenę zdarzeń wkroczył Niestrudzony. Nie wiadomo skąd nagle znalazł się przy nas.

– Stań za mną! – rzuciłem nieznoszącym sprzeciwu tonem.

– Tak jest, panie! Będę strzegł twoich pleców!

Co prawda nie o to mi chodziło, jednak cel osiągnąłem, usunąłem go z zasięgu ostrza Rapskala.

– Wytłumacz! – warknąłem do generała. – Nie rozumiem.

Potrząsnął głową.

– Ja też nie! Pracowałem w kopalni wspomnień, gdy Hiibi pilnie wezwała mnie, żebym stanął w twojej obronie! A potem nagle zniknęła z moich myśli, jakby ją kto zaszlachtował. Przeraziłem się! Tym prędzej przybiegłem... i jestem, gotów spełnić jej wolę. W razie potrzeby oddam za ciebie życie, książę.

– Dość tego popiskiwania! – oznajmiła Tintaglia.

Wcale nie odezwała się głośno, lecz siła myśli dołączonej do słów omal nie zbiła mnie z nóg. Hiibi w dalszym ciągu stała czujnie między mną a błękitnym kolosem, jednak trudno byłoby się za nią skryć. Królowa smoków znacznie nad nią górowała i gdyby tylko zechciała, mogła bez trudu plunąć na mnie żrącym jadem. Najwyraźniej nie chciała, gdyż zaledwie przekrzywiła łeb. Skupiła na mnie spojrzenie. W chwili gdy zwróciła ku mnie wirujące tęczęwki w ślepiach wielkich jak młyńskie kamienie, omal się nie ugiąłem pod ciężarem jej obecności. Żadna ochrona umysłu, żeby nie wiem jak szczelna, nie mogła powstrzymać smoczego uroku.

– Pozwalam, by zmiany, jakie wprowadziłeś, pozostały. Nie zabiję cię.

Gdy pławiłem się w tej kropelce dobrych wieści, a moi obrońcy pośpiesznie ukrywali ostrza w pochwach, błękitna królowa pochyliła łeb, przysunęła go do mnie odrobinę bliżej i tchnęła głęboko w moją świadomość:

– Nie znam smoka, który cię nazaczył. Później może odpowie za twoją samowolę. Teraz nie masz powodu się mnie bać.

Promieniałem ze szczęścia, oszołomiony wdzięcznością, nie kryjąc podziwu dla jej znakomitości. Musiałem odszukać w sobie ostatnie zapasy wolnej woli, zmobilizować resztki sił, by podnieść głos.

– Staralem się pomóc tym, którzy tego potrzebowali. Zaniechanym przez smoki albo zmienionym i pozostawionym na pastwę losu, bez wskazówek dotyczących przechodzenia przez modyfikacje.

Szeroko rozwarła szczęki, a we mnie serce zamarło, gdyż ujrzałem zębiska dłuższe niż miecze oraz błyszczące żółcią i czerwienią worki jadowe w gardzieli.

– Nie przeciągaj struny, człowieczku – odezwała się do mnie raz jeszcze. – Ciesz się, że jeszcze żyjesz.

Wtedy Hiibi uniosła się na tylnych łapach i wyciągnęła szyję. W tej pozycji była nieco wyższa. Znowu wyczułem niesłyszalną dyskusję.

Tintaglia wydała dźwięk przypominający prychnięcie i ze wzrokiem wbitym w czerwoną smoczycę uniosła górną wargę, obnażając kły, lecz odezwała się do mnie.

– Ty i tobie podobni możecie zmieniać dotkniętych przez smoki. Pozwalam ci na to, bo oni dla mnie nic nie znaczą. Zmieniajcie sobie ich, jak chcecie, ale to, co moje, jest moje. Taką ci wyświadczam łaskę za to, że ty i tobie podobni oddaliście mi przysługę w przeszłości. Tylko niech ci się nie wydaje, że to spleta długu.

O Jaskrawej siedzącej mi na ramieniu właściwie zapomniałem. Nie sądziłem, że kruki potrafią szeptać, a jednak.

– Bądź mądry – usłyszałem chrapliwe słowa.

– Ależ oczywiście! – zgodziłem się pośpiesznie. Najwyższy czas zacząć wycofywać się z nieroztropnych uwag. Nabrałem tchu, pozwoliłem sobie na uświadomienie w pełni, że to, co właśnie zamierzałem powiedzieć, będzie jeszcze gorsze niż wszystko, co wygłosiłem do tej pory, a następnie powiedziałem: – Mam prośbę o jeszcze jedną łaskę.

Znowu pokaz kłów i gruczołów jadowych.

– Dziś nie umieram – stwierdziła Jaskrawa i pofrunęła w górę.

Moi obrońcy skulili się zgodnie, lecz nie uciekli. Uznałem to za przejaw nie lada odwagi.

– Czyżby darowanie ci życia nie było dostateczną łaską, konusie? – zapytał smok. – Czegoż ty możesz ode mnie chcieć więcej?

– Pragnę wiedzy! Słudzy ludu Białych chcieli nie tylko uśmiercić Lodognia, ale zgładzić wszystkie smoki. Usunąć je ze świata. A ja chciałbym wiedzieć, czy występowali przeciw smokom kiedyś wcześniej i jeśli tak, to dlaczego? A jeszcze bardziej łaknę innej wiedzy: chciałbym na temat Sług wiedzieć wszystko to, co wiedzą smoki, co pomoże mi wyróżnić te kreatury do nogi.

Tintaglia lekko cofnęła łeb. Zapanowały cisza i bezruch. Aż w końcu Hiibi odezwała się bojaźliwym, dziecięcym głosem:

– Nie pamięta. Żadne z nas nie pamięta. Tylko ja... Coś sobie czasami przypominam.

– Och, Hiibi! Ty mówisz! – wyszeptał z dumą Rapskal.

Tintaglia wydała z siebie przeciągły ryk, a ja przeraziłem się nie na żarty, gdyż dostrzegłem, że Hiibi skurczyła się i wcisnęła łeb w barki. Generał ponownie wyciągnął nóż z pochwy, wyskoczył przed swojego smoka i wymachując ostrzem, ruszył na błękitnego giganta. W życiu nie widziałem zachowania głupszego... ani dobitniej świadczącego o odwadze.

– Rapskalu, nie! – zawołało któreś z Najstarszych, lecz on ani myślał się

zatrzymać.

Tyle że Tintaglia, jeśli w ogóle zauważyła jego desperacką szarżę, nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi, ponieważ to na mnie się skupiła. Wydała z siebie ryk, który wybił mi powietrze z płuc. A z wyrazami potoczyły się gniew i wściekłość.

– Powinnam tę wiedzę mieć, lecz nie mam. Udam się na jej poszukiwanie. Nie po to, by ci zrobić łaskę, człowieku, ale żeby wydobyć od Lodognia to, czym powinien być podzielić się z nami dawno temu. Zamiast z nas drwić, że nie znamy przeszłości, gdyż żaden ze smoków nie przypomina sobie, co działo się, gdy był w jaju ani potem, gdy pływał jako wąż. – Odwróciła się od nas, nie bacząc na to, że przy tym zarówno ludzie, jak i Najstarsi musieli gwałtownie odskoczyć, by uniknąć chłaśnięcia długim ogonem. – Teraz się napiję. Potrzebuję srebra. Potem należy o mnie zadbać, niech wszystko będzie gotowe.

Oddaliła się majestatycznie.

– Będzie gotowe! – wykrzyknął Phron. Odwrócił się do rodziców. Policzki miał zaróżowione, na ile było je widać spod łusek. – Jest najwspanialsza! – zawołał głośno, a jego zachwytowi odpowiedziały niczym echo śmiech i smocze porykiwanie.

Nie podzielałem entuzjazmu tłumu. Wewnętrznie cały dygotałem, ponieważ teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, w pełni uświadomiłem sobie, jak niewiele dzieliło mnie od śmierci. I na cóż było to ryzyko? Nie dowiedziałem się o Sługach niczego. Owszem, najwyraźniej zyskałem akceptację Tintaglii dla działań uzdrowicieli, których Pokrzywa i król Sumienny gotowi byliby tu przysłać. Mogłem żywić nadzieję, że mój władca zyska sprzymierzeńców w ludziach, którzy niekiedy mieli możliwość wpływać na zachowanie smoków.

Dostałem jednak pewną cenną informację: dowiedziałem się, że Lodogień żyje. A co za tym idzie, mogłem podsycać w sobie iskierkę nadziei, że Tintaglia podzieli się ze mną zdobytą wiedzą. Zapewne smoki oraz Sługi poróżniło jakieś zadawnione pragnienie zemsty. Czy możliwe, by Najstarsi o takiej wrogości nic nie wiedzieli? Wątpliwe, lecz z drugiej strony nie odkryłem żadnych dowodów.

Chociaż...? Czymże zajmowała się blada kobieta na wyspie Aslevjal? Ta... Ilistore, jak ją nazwał Błazen. Skute lodem miasto Najstarszych okazało się dla niej wymarzoną fortecą. Doskonałym punktem obserwacyjnym, skąd nadzorowała wojnę Zawyspiarzy z Królestwem Sześciu Księstw. Dręczyła uwięzionego w lodzie smoka oraz robiła, co mogła, by zniszczyć jego samego i cały gatunek. Uczyniła, co w jej mocy, by doprowadzić miasto do ruiny, niszczyła dzieła sztuki, pozbawiała figury twarzy, na ile tylko dała radę, siała spustoszenie w bibliotekach z kostkami pamięci, wprowadziła tam beznadziejny chaos. Przecież takie czyny świadczą

o zadawnionej, głęboko zakorzenionej nienawiści, prawda? Czyżby pragnęła zetrzeć z powierzchni ziemi wszelkie ślady po Najstarszych?

Nie spodziewałem się wsparcia smoków w starciu ze Sługami. Lodogień miał wiele lat na wzięcie odwetu, gdyby tego chciał, choć trochę. Podejrzywałem, iż cały gniew i wściekłość wypaliły się w nim wówczas, gdy zwałił lodowy hał i położył kres siłom bladej kobiety. Mnie zostawił upewnienie się, że tracą życie ona oraz kamienny smok, którego wykuła razem z Kebalem Żelaznorękim. Być może czarny gad miał usposobienie znacznie mniej zadzierzyste niż Tintaglia.

– Samice często są znacznie bardziej agresywne od samców.

– Naprawdę? – odezwał się Niestrudzony.

Dopiero słysząc go, uświadomiłem sobie, że ostatnie zdanie powiedziałem głośno.

– Naprawdę – potwierdził Strzyk w moim imieniu.

Ciekawe, czy myślał w tej chwili o macosze, która próbowała doprowadzić do jego śmierci.

Na dziedzińcu przed nami generał Rapskał rozplątywał się nad swoją smoczycą, jakby była ukochanym psiakiem. Tymczasem para królewska z synem pogrążyła się w ożywionej dyskusji, która zaczynała przypominać sprzeczkę.

Zakręciło mi się w głowie.

– Chciałbym wrócić do pokoju – powiedziałem cicho.

Strzyk podsunął mi ramię, a ja wsparłem się bezwiednie. Słabość, która nękała mnie od czasu, gdy uzdrawiałem Mocą, niekiedy ponawiała ataki bez widocznej przyczyny. Dołączyła do nas pani Amber w towarzystwie Skierki, razem weszliśmy na schody. Przed drzwiami do naszego pokoju zatrzymała wszystkich poza Strzykiem, który podprowadził mnie do krzesła przy stole.

– Porozmawiamy sobie później – oznajmiła tonem niedopuszczającym dyskusji.

Zdażyłem ułożyć przedramiona na blacie i wesprzeć na nich czoło, gdy usłyszałem Błazna:

– Jesteś chory?

Nawet nie uniosłem głowy, tylko nią pokręciłem.

– Słaby. Stale wyczerpany, jak po używaniu Mocy. Nie mam pojęcia dlaczego. – Zaśmiałem się niewesoło. – Może jeszcze nie wytrzeźwiałem.

Położył dłonie na moich barkach i zaczął rozmasowywać stężale mięśnie.

– Tintaglia roztoczyła dzisiaj smoczy urok jak nigdy. Nawet ja dałem się oczarować. I przestraszyłem się jej gniewu. Bardzo dziwnie jest czuć, a nie widzieć. Wiedziałem, że smoczyca cię zabije, i byłem bezradny. Słyszałem wyraźnie każde słowo. Stawiłeś jej czoło.

– Chroniłem umysł, jak mogłem. Warto było: wiemy, że Lodogień żyje.

Przyjemny był jego dotyk, jednak zbyt boleśnie przypominał mi Sikorkę. Wzruszyłem ramionami, strącając ręce przyjaciela, a on bez słowa przysunął sobie krzesło i usiadł.

– Gdybyś dzisiaj umarł... – Pokręcił głową. – Nie wiem, co bym zrobił. Prosiłeś się o śmierć. Chcesz umrzeć?

– Tak – przyznałem. – Ale jeszcze nie teraz. Najpierw chcę zabić wielu innych. Błaźnie, potrzebna mi broń. A najlepszym orężem skrytobójcy jest wiedza. Na drugim miejscu są informacje. – Westchnąłem. – Pojęcia nie mam, czy Lodogień wie cokolwiek, co może się przydać. Ani czy podzieli się tym z Tintaglią. I w końcu, czy my otrzymamy te wieści. Ech, Błaźnie... W życiu nie czułem się tak bardzo nieprzygotowany do zadania.

– Rozumiem cię doskonale. Czuję się tak samo, tyle że nigdy jeszcze nie byłem tak zdeterminowany.

Uniosłem nieco głowę, podparłem ją na dłoni, a drugą ręką pogładziłem nadgarstek przyjaciela, ten obciążony rękawiczką.

– Jeszcze się na mnie gniewasz?

– Nie. – I zaraz: – Tak. Przez ciebie wróciły do mnie sprawy, których nie chcę pamiętać.

– Musisz je sobie przypomnieć.

Przekręcił się na krześle, siadł tyłem do mnie, ale ręki nie zabrał. Czekałem.

– Pytaj – nakazał ochryple.

Cóż. Czas na męczarnie. Na czym zależało mi najbardziej?

– Czy jest w Clerres ktoś, kto by nam pomógł? Gotów spiskować i zdradzić? Czy istnieje sposób, aby posłać mu wiadomość, że nadciągamy?

Cisza. Teraz będzie robił uniki? Podstęp z trunkiem drugi raz nie miał szans powodzenia.

– Nie – szepnął w końcu. – Prilkop może nadal żyje, jednak nie da się posłać mu wiadomości. Rozdzielili nas, gdy zaczęli stosować tortury. Zakładam, że traktowali nas podobnie. Jeżeli przetrwał, najprawdopodobniej wciąż pozostaje więźniem. Moim zdaniem jest dla nich zbyt ważny, żeby mieli go zabić, ale głowy za to nie dam.

– Nie ufasz tym, którzy pomogli ci uciec, to wiem. Z drugiej strony jednak tobie i Prilkopowi udawało się wyprawiać w drogę posłańców. Czy byli wobec was lojalni? Czy ktoś z tych ludzi nadal jest w Clerres?

Pokręcił głową, wciąż był odwrócony do mnie plecami.

– Posłańców udawało nam się wysyłać w czasie pierwszych kilku lat pobytu w Clerres. Po tym, jak zaczęliśmy nieco uważniej patrzeć na poczynania Rady, jednak

zanim zorientowaliśmy się, że jej nie ufamy. Pierwszy umyślny miał cię ostrzec, że Rada może chcieć cię skrzywdzić. Wtedy wszyscy czworo usiłowali nas przekonać do swojego punktu widzenia. Być może naprawdę wierzyli, iż Kolekcjonerzy i manipulatorzy przekonają nas, że zblądziliśmy. – Sapnął zdegustowany. – Stało się jednak odwrotnie. Nasze opowieści były dla Sług fascynujące, gdyż oni, żyjący za murami, niewielkie mają pojęcie o tym, co dzieje się poza granicami ich wyobcowanego świata. Niektórzy zaczęli podważać to, czego ich do tej pory nauczono. Z początku Rada chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, jak ogromny wpływ wywieramy na tych, którzy mieli na nas wpływać.

– Oni by nam pomogli? Kolekcjonerzy? Manipulatorzy?

– Oni? – prychnął z pogardą. – Marionetki. Pamiętasz, mówiłem ci o nich, jeszcze w Koziej Twierdzy. Kolekcjonerzy oceniają sny, poszukują elementów łączących poszczególne wątki. Manipulatorzy starają się odszukać ludzi albo nadciągające zdarzenia, które według największego prawdopodobieństwa pozwolą zmieniać przyszłość tak, by przynosiła korzyści Radzie oraz Sługom. To oni ciężko pracowali, by przekonać Prilkopa i mnie, że się mylimy. W każdej sprawie, a zwłaszcza twierdząc, iż jeden z moich katalizatorów spełnił proroctwo o pojawieniu się nieoczekiwanego syna. To oni opowiadali nam o snach, w których nastaje nowy biały prorok „nieplanowany”, jak to zwykli określać. Przepowiednie dotyczące tego dziecka związane były ze snami o nieoczekiwanym synu w sposób niebudzący wątpliwości, nawet ja nie mogłem temu zaprzeczyć. Manipulatorzy opowiadali nam o powtarzającym się śnie, w którym dziecko miało serce wilka. – Umilkł na kilka chwil. – Spytałeś, jak to możliwe, że wszystko, co zrobiliśmy, co zmieniliśmy, było właściwe i odpowiednie, jeżeli jednak nie jesteś nieoczekiwanym synem. I oni stale dręczyli mnie tym pytaniem. Widziałem, że podkopywało ono pewność siebie Prilkopa. Często rozmawialiśmy o tym w cztery oczy. Ja stale utrzymywałem, że to ty jesteś tą kluczową postacią, lecz on pytał, zupełnie słusznie: „A skąd nowe sny?”. Na to nie miałem odpowiedzi. – Z trudem przełknął ślinę. – Nie miałem. Aż którejs nocy, przy winie, jeden z naszych nowych przyjaciół szepnął nam na ucho, że trzeba odszukać dziecię „dziko zrodzone” i zapanować nad nim, zanim spowoduje kłopoty i zmieni losy świata. Wiedzieli, że Rada pragnie odszukać to dziecko. Nie wszyscy jej członkowie wierzyli, że nowy prorok jest nieoczekiwanym synem, lecz Symphe była o tym całkowicie przekonana. Przy każdym wspólnym posiłku podważała moje zdanie. A robiła to tak zmyślnie, że w końcu moje przekonanie zaczęło słabnąć. Rada nakazała dzień w dzień przeczesywać biblioteki, tak długo, aż dziecko zostanie odnalezione i „objęte kontrolą”. Zacząłem się obawiać, że jeśli dotrą do tych samych wskazówek, za którymi ja podążałem przed laty,

w końcu cię znajdą. Wtedy pchnąłem następnych umyślnych, tych, co prosili cię, byś odszukał nieoczekiwanego syna. Widzisz, Słudzy przekonali mnie, że istnieje „dziko zrodzony” biały prorok. Cóż, mieli rację. Wyczuli istnienie Pszczoły na długo przed tym, nim ja się o niej dowiedziałem. A Dwalia przekonała ich, że owo przepowiadane dziecko jest nieoczekiwanym synem.

Wyczuli istnienie Pszczoły? Zmroziło mnie to stwierdzenie. Rozebrałem je na czynniki pierwsze, przyjrzałem się mu dokładnie. Musiałem zrozumieć je bez najmniejszych wątpliwości.

– Co to właściwie znaczy „dziko zrodzony”? – spytałem i cierpliwie czekałem na odpowiedź.

Przygarbił się.

– W Clerres, które pamiętał Prilkop – zaczął, lecz zakrztusił się oddechem.

– Chcesz herbaty?

– Nie. – Mocno złapał mnie za rękę. – Zostało może trochę brzoskwiniówki?

– Sprawdzę.

Zakorkowaną butelkę znalazłem na wpół wsuniętą pod poduszkę. Owszem, zostało w niej nieco trunku. Niewiele, jednak zawsze coś. Postawiłem na stole wczorajszą filiżankę. Nalałem. Naga dłoń Błazna podkrađła się do naczynia. Ujął w palce delikatne uszko, podniósł do ust, wypił. Gdy wróciłem na miejsce, zauważyłem, że jego dłoń w rękawiczce nie drgnęła. W tej sytuacji ująłem ją w rękę.

– Clerres, jakie pamiętał Prilkop? – podsunąłem.

– Było jedną wielką biblioteką. Zawierała ona całą historię ludu Białych, wszelkie sny, kiedykolwiek spisane, starannie uporządkowane i przeanalizowane w pismach prezentujących obiektywny punkt widzenia. Było to miejsce dla historyków i językoznawców. Wszyscy biali prorocy w tamtym czasie przychodzili na świat „dziko”. Rodzice wiedzieli, co robić z takim... szczególnym dzieckiem. Oddawali je do Clerres. Albo wychowywali ze świadomością, że kiedyś samo ruszy w tę drogę. A na miejscu biały prorok właściwy dla danej epoki zyskiwał dostęp do wszystkich wcześniejszych przepowiedni oraz całej historii spisanej za czasów poprzedników. Kształcono ich, zapewniano im dach nad głową, wyżywienie, ubranie, opiekę. A gdy biały prorok czuł, że jest gotowy rozpocząć swoje dzieło, zaopatrywano go na wyprawę: dostawał pieniądze, wierzchowca, strój podróżny, broń, papier i ołówki. Tak ruszał w drogę. Takie fakty znał Prilkop. A Słudzy, którzy zostawali w Clerres, spisywali wszystko, co o proroku było wiadomo, i cierpliwie czekali na następnego. – Pociągnął łyk trunku. – Nie było Rady Czworoga. Tylko słudzy. Ludzie gotowi służyć.

Na dłuższy czas zapadła cisza.

– Ty znasz inne Clerres – odezwałem się w końcu.

Najpierw pokręcił głową, a potem nią potrząsnął.

– Zupełnie inne! Pierwsze, co mnie zdumiało, po rozstaniu z rodzicami, to że w Clerres wcale nie byłem wyjątkowy. Zaprowadzono mnie do jednej z chatk stojących rzędem w pięknym ogrodzie z fontanną i obrośniętymi winoroślą pergolami. Zamieszkałem z trójką dzieci, o skórze prawie tak jasnej jak moja. – Spuścił powieki. – To było przyrodnie rodzeństwo. I wszyscy przyszedli na świat w Clerres. Tam urodzeni, tam wychowani. Ponieważ Słudzy już nie działali dla dobra białych proroków, a tylko dla własnego. Zbierali białe dzieci spokrewnione z białymi prorokami. Tu kuzyn, tam siostrzeniec, ówdzie wnuk. Wyszukiwali je w świecie. I hodowali jak króliki. Rozmnażali, stosując chów wsobny. Wcześniej czy później musiał trafić się osobnik wyjątkowy. Widziałeś, jak robił to Brus. Metody stosowane przy hodowli koni albo psów sprawdzają się także w przypadku ludzi. Dzięki czemu, zamiast czekać na „dziko zrodzonego” potomka ludu Białych, wytwarzali ich sobie sami. I zbierali prorocze sny. Zapomnieli, że biali prorocy rodzą się po to, by kierować losy świata na lepsze tory, zaczęli wykorzystywać wiedzę dla własnych korzyści, wygody i bogactwa. Ich... wyhodowani Biali wypełniali polecenia. Zmieniali świat małymi kroczkami. Inny człowiek na tronie ościennego królestwa. Gromadzenie wełny przy zachowaniu ścisłej tajemnicy na temat nadciągającej zarazy, która wytrzebi owce. Tu kroczek, tam popchnięcie, ówdzie drobna zmiana. Aż w końcu chyba postanowili usunąć ze świata smoki oraz Najstarszych. – Wychylił brzoskwiniówkę z filiżanki do dna i z brzękiem odstawił naczynie na stół. Wreszcie obrócił twarz w moją stronę. Staranny makijaż pani Amber zniszczyły łzy. Czerń okalająca jej oczy wyrzeźbiła na policzkach ciemne ścieżki. – Wystarczy, Bastardzie – oznajmił stanowczo.

– Błaźnie, muszę wiedzieć...

– Na dzisiaj wystarczy. – Namacał butelkę. Jak na ślepcę radził sobie doskonale. Wprawnie przelał do filiżanki resztkę szlachetnego trunku. – Wiem, że musisz się wszystkiego dowiedzieć – powiedział ochryple – dlatego ci wszystko powiem. Ale w moim tempie. – Pokręcił głową. – Narobiłem strasznego bałaganu... Biały prorok. Oto ja: ślepy, pokonany, znowu wlokący ze sobą katalizatora. To nasza ostatnia próba zmiany świata.

– Nie robię tego dla świata – szepnąłem na własny użytek. – Robię to dla siebie.

Wstałem cicho, zostawiając mu do wyłącznej dyspozycji i stół i brzoskwiniówkę.



W ciągu dwóch dni, których „Smolisty” potrzebował na załatwienie spraw po drugiej stronie rzeki i przyplłynięcie na nasz brzeg, ani razu nie widziałem Tintaglii. Strzyk przyniósł wieści, że błękitny smok napił się srebra, zapolował, nasycił głód, wyspał się, po czym został należycie oporzędzony przez Najstarszych w smoczej łaźni. W końcu Tintaglia ponownie napiła się srebra i odleciała. Dokąd ani po co, nie wiedział nikt. Może polować, a może na poszukiwanie Lodognia. Ja, osobiście, porzuciłem nadzieję, że dowiem się od niej czegokolwiek.

Błazen dotrzymał słowa. Zbudował na stole mapę wyspy, miasta i zamku. Gromadziłem w tym celu zastawę, sztucce i serwetki przynoszone z posiłkami, a on, obmacując wszystko uważnie, budował ściany z łyżek oraz wieże z talerzy. Na podstawie tej szczególnej makiety szkicowałem Clerres. Zewnętrzne umocnienia zdominowane były przez cztery grube baszty, każdą z nich wieńczyła ogromna kopuła w kształcie czaszki. W oczodołach poszczególnych czerepów noc w noc płonęły latarnie. Po chronionym blankami chodniku na szczycie muru nieustannie krążyli łucznicy. Wewnętrzna biała ściana otaczała wdzięczne ogrody i chatki zamieszkałe przez Białych oraz warownię z jasnego kamienia i kości. Warownia także miała cztery wieże. Każda z nich była wyższa i smuklejsza od baszt obronnych. Przyciągnęliśmy do salonu stolik nocny, na nim stworzyliśmy makietę parteru twierdzy.

– Warownia ma cztery poziomy nad ziemią i dwa poniżej – powiedział Błazen, konstruując mury z serwetek i wieże z kubków. – Oczywiście, jeśli nie brać pod uwagę wież, gdzie mieszkają członkowie Rady Czwojga. One są wyższe niż baszty w murach zewnętrznych. Dach samej warowni jest płaski, znajdują się na nim dawne pomieszczenia haremu, który istniał, gdy Clerres było w równym stopniu pałacem, jak zamkiem. Tam przetrzymuje się teraz ważniejszych więźniów. Ze smukłych wież roztacza się doskonały widok na całą wyspę, przystań i wzgórza za miastem. Są bardzo stare. Chyba nikt nie wie, jakim sposobem zostały wzniesione: niewyobrażalnie wysokie i filigranowe, ale przecież u góry rozszerzone na tyle, by pomieściły przestronne pokoje.

– Jak grzyby? – spytałem, próbując oblec jego słowa w obraz.

– Jak wyjątkowo piękne i urokliwe grzyby – zgodził się łaskawie. Niewiele brakowało, a byłby się uśmiechnął.

– Jaką średnicę mają trzony?

Zastanowił się.

– U podstawy są mniej więcej tej wielkości, co sala biesiadna w Koziej Twierdzy. Zwężają się ku górze, mniej więcej o połowę.

Pokiwałem głową zadowolony z obrazu, który ukształtował mi się przed oczyma.

– I to właśnie w tych wieżach śpią członkowie Rady?

– Zazwyczaj. Przy czym Felodi ceni sobie uciechy cielesne i zaspokaja apetyt na nie w różnych miejscach... Kapra prawie zawsze spędza noc w swojej sypialni. Symphe i Kultri zazwyczaj także... Bastardzie, lata minęły, odkąd mogłem obserwować ich życie i zwyczaje...

Zamek stał na wyspie z białego kamienia. Samotny. Pomędzy zewnętrznymi murami warowni a stromymi brzegami wyspy ciągnął się szeroki pas kamienistego płaskiego terenu, na którym wszystko widać było jak na dłoni. Wąska grobla stale była strzeżona, pilnowano wyspy także od strony morza. Przejście otwierano dwa razy dziennie, w czasie odpływu. Wtedy w jedną i drugą stronę przechodzili: służba, handlarze, pielgrzymi chcący poznać przyszłość i wszyscy inni, którzy mieli w zamku jakieś sprawy do załatwienia.

– Po przejściu grobli widzi się mur zdobiony płaskorzeźbami winorośli czasu. Za nim wrota prowadzą na dziedziniec zamkowy. Najwspanialsze pomieszczenia znajdują się na parterze: sale audiencyjne, sala balowa, jadalna... To wnętrza o ścianach obłożonych panelami z białego drewna. Jest też kilka salek lekcyjnych, jednak większość umieszczono na pierwszym piętrze. Tam uczy się młodych Białych, tam zbiera się od nich sny. Tam, w luksusowo urządzonych pokojach zamożni bywalcy mogą znaleźć spokój, skosztować wina i posłuchać Kolekcjonerów, którzy czytają im wybrane zwoje, interpretowane na bieżąco przez lingstry i lingstrów. Za sowitą opłatą.

– Kolekcjonerzy i lingstry są Biali?

– Większość z nich ma w żyłach śladowe ilości krwi ludu Białych. Urodzeni w Clerres są wychowywani na służbę Rady Czworoga. W teorii służą również Białym, którzy mają prorocze sny, lecz tak samo służy kleszcz żyjący na psie. Wyciągają z nich przepowiednie i domysły, po czym prezentują je bogatym głupcom jako możliwe odmiany przeszłości.

– Szarlatani.

– Nie – zaprzeczył cicho. – Właśnie to jest najgorsze. Bogaci kupują wiedzę o przyszłości, przez co stają się jeszcze bogatsi. Jeżeli lingstry poznali sny o powodziach, radzą gromadzenie ziarna, które da się sprzedać głodującym sąsiadom. Można zbić majątek na plagach i zarazach, jeśli się o nich wie odpowiednio wcześniej. Rada Czworoga nie myśli o kierowaniu świata na lepszą drogę. Liczą się dla niej wyłącznie korzyści, jakie zdoła osiągnąć za sprawą klęsk i katastrof. – Głęboko nabrał powietrza. – Na drugim piętrze znajduje się największy skarb Sług. Sześć sal ze zbiorami zwojów. Niektóre dokumenty są niewyobraźalnie stare, a codziennie powstają nowe zapiski. Dostęp do tych zbiorów mają wyłącznie

najbogatsi. Czasami wpuszcza się tam jakiegoś zamożnego mnicha Sa i pozwala mu samodzielnie studiować zbiory, lecz zdarza się to jedynie wówczas, gdy w zamian można uzyskać bogactwo i wpływy. – Pokiwał głową. – No i wreszcie, na trzecim piętrze, przewidziano kwatery dla Sług cenionych przez Radę. Mieszkają tam również niektórzy zbrojni, ci najbardziej zaufani, którzy strzegą wejść do prywatnych wież członków Rady. A także najpłodniejsi śniący, by Rada Czworoga mogła łatwo z nimi... konferować. W przypadku Felodiego niekoniecznie na tematy intelektualne. – Zamilkł na moment. – I nie zawsze jest to rozmowa.

Nie spytałem, czy kiedykolwiek padł ofiarą tego rodzaju zainteresowania.

Wstał nagle i przeszedł pod ścianę.

– Ostatni ciąg schodów prowadzi na dach – powiedział przez ramię. – Do dawnych pomieszczeń haremu przekształconych w cele dla opornych Białych. – Zawrócił w stronę prowizorycznej makiety. – Możliwe, że właśnie tam przetrzymują Prilkopa. A w każdym razie tego, kogo z niego zrobili. – Gwałtownie wciągnął powietrze i odezwał się głosem pani Amber: – Duszno tutaj. Wezwij Skierkę, proszę. Chcę wyjść, muszę odetchnąć.

Spełniłem jego prośbę.



Moje spotkania z Błaznem były krótkie i nieregularne. Zawsze słuchałem uważnie i mało mówiłem, a gdy zmieniał się w panią Amber i wychodził, nie robiłem mu przeszkód. Pod jego nieobecność tworzyłem szkice i notowałem kluczowe informacje. Byłem mu za nie wdzięczny, lecz potrzebowałem więcej. Niezbyt dużo wiedział o nałogach i słabostkach Rady Czworoga, nie znał imion kochanków ani wrogów, nie miał pojęcia o codziennych obyczajach. Tego wszystkiego zamierzałem dowiedzieć się, szpiegując ich, po przybyciu do Clerres. Nie było powodu do pośpiechu. Nawet najzwagsze tempo nie mogło mi wrócić Pszczoły. Zamierzałem przeprowadzić wyrachowaną, doskonale rozplanowaną zemstę na zimno. Gdy uderzę, skutki będą porażające. I byłoby cudownie, gdyby, umierając, winowajcy wiedzieli, za jaką zbrodnię płacą. Jeżeli jednak umrą w nieświadomości, trudno. Tak czy inaczej będą martwi.

Z konieczności plany były nieszczególnie zawile, a strategia nieskomplikowana. Poukładałem w rzędzie wszystko, czym dysponowałem, i rozważyłem możliwości. Pięć wybuchowych garnczków Ciernia przetrwało napaść niedźwiedzia. Jeden był pęknięty, wysypywał się z niego gruby czarny proszek. Naprawiłem go

rozmięczonym woskiem. Miałem noże, starą procę, topór za duży, by go wnieść do miasta... bezużyteczna broń. Dysponowałem różnymi truciznami: sproszkowane mogłem dodać do jedzenia lub rozsypać na jakiejś powierzchni, te w olejach nadawały się do posmarowania klamki albo brzegu kubka. Pozbawione smaku płyny i pigułki... tak, na różnorodność nie mogłem narzekać, natomiast ilość, niestety, pozostawiała wiele do życzenia. Nie miałem szans na zatrucie wody, z której korzystano w zamku, ani nawet sensownej wielkości kotła z jedzeniem. Mógłbym otruć Radę Czworka, gdybym zdołał ich namówić na parę kolejek gry w kości. Mocno wątpiłem, by się taka okazja trafiła. Natomiast gdybym zyskał dostęp do ich prywatnych pokojów, wtedy owszem, mógłbym zrobić, co trzeba.

Na mniejszym stoliku, tym przyciągniętym z sypialni, w każdym z kubeczków przedstawiających wieże mieszkalne położyłem czarny kamień. Właśnie rozmyślałem z piątym w dłoni, gdy do pokoju weszli: Niestrudzony oraz pani Amber w towarzystwie Skierki.

– To jakaś gra? – spytał chłopak, objawszy spojrzeniem spiętrzoną zastawę oraz rozłożone schludnie na podłodze narzędzia mordu.

– Jeśli zabijanie jest grą – odparła Skierka cicho. Zrobiła kilka kroków, zatrzymała się tuż przy mnie. – Te czarne kamienie to?

– Gliniaki Ciernia.

– Co za gliniaki? – zaciekawiał się Niestrudzony.

– Wybuchają – objaśniłem. – Jak żywica w bierwionach ułożonych w ogniu.

– Tylko znacznie mocniej – odezwał się Błazen.

– Znacznie mocniej – potwierdziła Skierka. – Sprawdzaliśmy ich działanie z wielmożnym panem Cierniem... kiedy jeszcze był zdrowy. Któregoś razu wyrwaliśmy w skalnym klifie całkiem solidną dziurę. Odłamki kamienia fruwały jak bełty... tylko na wszystkie strony. – Bezwiednie dotknęła policzka, gdzie zapewne trafił ją jeden z odprysków.

– Doskonale – rzekł Błazen, siadając przy stole. Pani Amber zniknęła jak dym, zanim jego zręczne palce zatańczyły ostrożnie nad starannie ułożonymi przedmiotami. – Jeden do każdej wieży?

– Wydaje się to sensowne. Istotna jest grubość ścian, zgodnie z nią trzeba je odpowiednio rozmieścić. Mury powinny runąć, gdy wszyscy czworo będą w łózkach. Zatem ładunki muszą wybuchnąć równocześnie. Wobec tego potrzebne mi lonty różnej długości, żebym zdołał zapalić jeden, potem podłożyć i zapalić drugi i tak dalej, aż rozmieszczę wszystkie cztery.

– I jeszcze zdążyć uciec – podsunął Strzyk.

– Owszem, chętnie. – Jednakże przede wszystkim nie potrafiłem dać wiary, że

ładunki wybuchną równocześnie. – Potrzebne jest coś, co sprawdzi się jako lont.

– Przecież są na gliniakach – zdziwiła się Skierka.

Popatrzyłem na nią baranym wzrokiem.

– Że co?

– Podaj mi któryś, panie.

Z ociąganiem podałem jej ten naprawiony. Ze ściągniętymi brwiami przyjrzała się efektom moich starań.

– Tego chyba lepiej nie używać. – Pociągnęła wieko, a wtedy zobaczyłem, że przymocowane było na grubej warstwie żywicy. Pod nim zwinięto dwa skręcone sznury. Niebieski i biały. Dziewczyna rozciągnęła oba. Niebieski okazał się dwa razy dłuższy od białego. – Biały pali się szybko, niebieski wolniej.

– Jak szybko?

Skrzywiła się lekko.

– Należy podpalić i uciekać. Przydaje się w czasie pościgu. Niebieski można ukryć, skończyć wino, pożegnać się z gospodarzem i spokojnie wyjść.

Strzyk pochylił się nad moim ramieniem.

– Łatwiej nam pójdzie we dwóch – stwierdził pogodnym tonem. – Jeden człowiek nie poradzi sobie z rozstawieniem wszystkich czterech tak, żeby jeszcze mieć czas na ucieczkę.

– Jest nas troje – przypomniała Skierka z miną pełną oburzenia. – Tylko ja miałam z nimi do czynienia wcześniej.

– Czwooro – skorygował Niestrudzony.

Czy rozumiał, że mówimy o zabijaniu? Z mojej winy, wyłącznie z mojej winy czuli się włączeni w sprawę, wszyscy troje. Gdybym był młodszy, bardziej energiczny, lepiej zorganizowany, nie zdradziłbym się ze swoimi planami. Ale byłem stary i znużony, a oni i tak już wiedzieli za dużo. Co stanowiło zagrożenie – i dla nich, i dla mnie w jednakowym stopniu. Ciekawe, czy po mojej śmierci zostaną jeszcze jakiegokolwiek tajemnice?

– Zobaczymy, we właściwym czasie – rzuciłem niezobowiązująco, gdyż wiedziałem, że gdybym się sprzeciwił, doszłoby do sprzeczki.

– Ja niczego nie zobaczę – przerwał ciszę Błazen.

Na moment zapadło milczenie, po czym Niestrudzony zaśmiał się niezgrabnie. Przyłączyliśmy się do niego wszyscy, choć z goryczą, nie z radością. Cóż... jednak żywi i na drodze do celu.

Rozdział 9

„Smolisty”

Jeszcze zanim król Roztropny nie do końca roztropnie nakazał rygorystycznie ograniczyć uczenie korzystania z Mocy jedynie do członków rodziny królewskiej, magia używana była coraz rzadziej. Gdy miałem lat dwadzieścia dwa, przez księstwa nadbrzeżne przetoczyła się zaraza krwi. Zabrała wielu ludzi, w tym dużą liczbę osób praktykujących królewską magię. Wraz z nimi odeszła wiedza.

Gdy książę Władczy zorientował się, że zwoje traktujące o Mocy osiągają u zagranicznych kupców niebotyczne ceny, zaczął po kryjomu rabować zbiory biblioteczne Koziej Twierdzy. Czy zdawał sobie sprawę, że owe cenne dokumenty trafiają w efekcie do rąk bladej kobiety oraz najeźdźców ze szkarłatnych okrętów? Długo dyskutowano ten wątek wśród arystokracji, jeszcze lata po śmierci księcia. Zapewne nigdy nie dowiemy się prawdy.

Ciemia Spadającej Gwiazdy „O zanikaniu wiedzy na temat Mocy za czasów panowania króla Roztropnego”

Razem pomaszerowaliśmy do doków, by popatrzeć, jak „Smolisty” wpływa do Kelsingry. Wyrastałem w Koziej Twierdzy, gdzie nadbrzeże wykonano z ciężkich, czarnych pni pachnących smołą. Tutejszy port pochodził z czasów, gdy El rozlał morze u naszych brzegów. Zbudowany został z jasnego drewna podpartego gdzieś stossami kamieni. Nowsze fragmenty konstrukcji połączono z pozostałościami tej, która wyraźnie pochodziła z czasów Najstarszych. Przyglądałem się przystani z niejakim zdziwieniem, gdyż moim zdaniem nie znajdowała się w miejscu najwłaściwszym dla takiej inwestycji. Na wpół zatopione budynki tuż nad brzegiem zdradzały, że woda często zmieniała bieg. Kelsingra stanowczo powinna odciąć się od przeszłości i spojrzeć na rzekę świeżym okiem.

Nad stromymi klifami za miastem, na szczytach gór wciąż jeszcze zalegał śnieg, choć już spelzał z nich wąskimi smugami. Widziałem brzozy zarumienione różowością i wierzby, czerwone na czubkach gałązek. Wiatr od rzeki był chłodny i wilgotny, lecz już pozbawiony kąśliwego zimna. Zmieniała się pora roku, a wraz

z nią moje życie miało zdążać w inną stronę.

Akurat w chwili gdy „Smolisty” przybił do brzegu, rozpadał się kapuśniaczek. Jaskrawa przyłgnęła do ramienia Niestrudzonego, łebek wetknęła pod skrzydło. Za nimi stał Strzyk, a Skierka zajęła miejsce obok pani Amber. Uplasowaliśmy się dość blisko, by dobrze widzieć, a przy tym odpowiednio daleko, żeby nikomu nie przeszkadzać. Dłoń pani Amber, ta obciążona rękawiczką, spoczywała na moim nadgarstku.

– Rzeka jest głęboka i płynie szybko – odezwałem się ściszonego głosem. – Woda w niej z pewnością jest zimna. Od szlamu i mułu kolor ma szary, wydziela kwaśnawy zapach. Kiedyś brzeg był szerszy, lecz z czasem rzeka wżarła się w miasto. W porcie stoją jeszcze dwa statki, oba wydają się nieużywane. „Smolisty” to rzeczna barka. Długa i niska, zaopatrzona w wiosła. Przy wiosle sterowym stoi potężna kobieta. Jednostka popłynęła w górę rzeki przy jej przeciwnym brzegu, teraz przecięła nurt i zbliża się z prądem. Nie ma galionu. – Byłem rozczarowany, przyznaję. Słyszałem, że figury na dziobach żywostatków poruszają się i mówią. – Kadłub ozdobiono malunkami oczu. Barka zbliża się szybko, do kobiety przy sterze podeszło dwóch marynarzy. Załoga walczy z nurtem, niełatwo skierować barkę ku brzegowi.

Gdy „Smolisty” zbliżył się do pomostu i rzucono liny czekającym na nadbrzeżu, gdzie zostały szybko zaknagowane, barka cofnęła się niczym znarowiony koń, za rufą spieniła się woda. Było coś dziwnego w jej walce z prądem, choć nie potrafiłem ocenić, co to takiego. Toń burzyła się dookoła, drewno pirsu skrzypiało pod naporem statku.

Jedne liny zaciągano, inne luzowano, aż kapitan ocenił, że wszystko jest, jak należy, i jego łódź została odpowiednio zabezpieczona. Pracownicy z nadbrzeża już czekali z wózkami i taczkami, a jeden z Najstarszych uśmiechał się szeroko, w taki sposób, w jaki uśmiecha się wyłącznie mężczyzna, który ma nadzieję lada chwila zobaczyć radość w oczach swojej ukochanej. Alum. Tak miał na imię. Przyjrzałem się załodze i szybko dostrzegłem tę właściwą. Była stale w ruchu, zwinna i zręczna, rzucała rozkazy, pomagała zabezpieczyć barkę... ciągle czymś zajęta, lecz dwukrotnie pochwyliłem jej spojrzenie, przeczesujące tłum czekający na brzegu. Gdy ujrzała swojego Najstarszego, twarz jej się rozpromieniła, a ruchy stały się jeszcze żywsze i bardziej sprężyste.

Rzucono trap. Najpierw wysiadł jakiś tuzin pasażerów, niosąc swój dobytek spakowany w paczki i worki. Nowo przybyli szli niezbyt pewnie, ze zdziwieniem, a może z przestachem czy osłupieniem oglądali na wpół zrujnowane miasto. Czy właśnie tego oczekiwali? Czy zdecydują się tu zostać?

Po drugim trapie ruszyli, niczym rząderek mrówek, pracownicy portu, którzy mieli zabrać ładunek.

– Tym będziemy płynąć? – zapytała Skierka z powątpiewaniem.

– Właśnie tak.

– Jeszcze nigdy nie płynęłam statkiem.

– Ja też tylko łodzią – odezwał się Niestrudzony. – Zwykłą wiosłową. W Wierzbowie. Taką wielką to nie.

Wciąż lustrował barkę od dziobu po rufę. Bezwiednie otworzył usta. Nie wiedziałem, czy był niespokojny, czy też nie mógł doczekać się podróży.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił go Strzyk. – Stabilna łajba. Poza tym nie wyprawiamy się nią na morze, płyniemy tylko rzeką.

Zanotowałem w pamięci, że syn mojego mistrza zwraca się do dwójki młodych ludzi bardziej jak do rodzeństwa niż do służby.

– Czy widzisz kapitana? – spytała pani Amber.

– Mężczyzna w średnim wieku zbliża się do króla Reyna. Chyba był kiedyś potężniejszy, teraz wydaje się chudy. Witają się serdecznie. To pewnie Lewszun, a towarzysząca mu kobieta to Alise. Trudno jej nie zauważyć, ma szopę kręconych rudawych włosów. – Znałem tę osobę z opowiadań pani Amber o tym, jak to rudowłosa dzielna kobieta z Miasta Wolnego Handlu opuściła niewiernego męża i związała się z kapitanem żywostatku. – Oboje zachwycają się Phronem. Są wyraźnie uradowani. – Po czym dodałem ciszej: – Nadchodzą.

Ścisnęła mnie lekko za przedramię i przywołała uśmiech na twarz. Strzyk postąpił krok do przodu, stanął u mego boku, Niestrudzony i Skierka trzymali się tuż za nami. Czekaliśmy w milczeniu.

– A oto nasi goście z Królestwa Sześciu Księstw! – przedstawił nas król Reyn z uśmiechem. – Książę Bastard Rycerski Przezorny, pani Amber oraz baronet Skrzący.

Strzyk i ja zgięliśmy się w pasie, pani Amber dygnęła wdzięcznie. Kapitan Lewszun zamarkował ukłon, lecz widać było, że jest zaskoczony. Jego towarzyszka wykazała się większym opanowaniem, lecz i po niej znać było zdziwienie, gdy podniosła na mnie skonsternowane spojrzenie. Chwilę później na jej ustach zaigrał uśmiech pełen zrozumienia. Szybko zniknął, gdy Alise przypomniała sobie o manierach.

– Mamy przyjemność zaoferować wam transport do Trehaugu. Od pary królewskiej wiemy, że Phron zawdzięcza zdrowie twojej magii, książę. Przyjmij i nasze podziękowania. Nie mamy własnych dzieci, więc Ephron jest nam drogi jak rodzony syn.

– Taka prawda. – Kapitan Lewszun uroczyście pokiwał głową. – Potrzebny nam dzień na wyładowanie towarów, załoga niech nacieszy się stałym lądem pod nogami i możemy płynąć. Kajuty nie są przestronne i chociaż zrobimy, co w naszej mocy, żeby wam było wygodnie, na pewno nie będzie to podróż w warunkach, do jakich przywykli szlachetni panowie i dama.

– Będziemy zadowoleni z każdych warunków – zapewniłem. – Potrzebny nam środek transportu, nie luksusy.

– Tyle wam „Smolisty” zapewni. Zaniesie was szybciej i lepiej niż jakakolwiek inna jednostka na tej rzece – oznajmił kapitan z nieskrywaną dumą. – Będzie nam miło, jeśli zechcecie teraz wejść na pokład i obejrzeć kajuty, które dla was przygotowaliśmy.

– Bardzo chętnie – przystała pani Amber natychmiast.

– Poprowadzę.

Poszliśmy za nimi na pirs, potem trapem wspięliśmy się na pokład. Miałem obawy, jak pani Amber pokona wąską kładkę zawieszoną nad wodą, a gdy jej się to udało, na pokładzie opanowało mnie nowe zmartwienie. Żywostatek odpowiadał na moją Moc i Rozumienie. Co tu dużo mówić, dla obu tych zmysłów był równie żywy jak każda inna oddychająca, poruszająca się istota. I z pewnością równie mocno był świadom mojej obecności, jak ja jego. Strzyk rozglądał się dookoła z szerokim uśmiechem na twarzy – typowy obraz chłopca przeżywającego przygodę – Niestrudzony zachowywał się jak jego lustrzane odbicie. Jaskrawa, nieco podejrzliwa, krążyła nad barką, mocno bijąc skrzydłami, gdyż musiała walczyć z wiatrem. Skierka miała więcej rezerwy niż Strzyk i Niestrudzony, właściwie mogłoby się wydawać, że jest przede wszystkim ostrożna. Pani Amber w pierwszej dogodnej chwili znów położyła mi rękę na przedramieniu i przytrzymała się mocno. Kapitan oraz jego towarzyszka weszli na pokład jako ostatni. Oboje stanęli gwałtownie, jakby zderzyli się ze ścianą.

– Oho, ho... – mruknęła Alise.

– Ano właśnie – przytaknął Lewszun. Stał bez ruchu, a jego rozmowa ze statkiem przypominała pobrękiwanie lekko trącanej struny. Skupił na mnie wzrok. – Moja barka jest... Muszę spytać: co to za smok, co ją niepokoi?

Oboje z panią Amber zeszywnieliśmy. Czyżby statek wyczuł krążącą w jej żyłach smoczą krew, którą zażyła jako lekarstwo? Puściła moją rękę i odsunęła się o krok gotowa wziąć na siebie całą winę.

– Wydaje mi się, że to, co wyczuwa twój statek...

– Wybacz, pani, nie ty wzbudziłaś jego nerwowość.

– Ja? – Nawet w moich uszach zdumienie zabrzmiało idiotycznie.

– Tak – potwierdził kapitan. Usta miał zaciśnięte. Rzucił spojrzenie swojej towarzysze. – Może ja się tym zajmę, a ty pozostałych oprowadzisz po kajutach?

Alise miała oczy jak spodki.

– Naturalnie.

Od razu się zorientowałem, że ma mnie oddzielić od towarzyszy, nie wiedziałem tylko dlaczego.

– Skierko, bądź, proszę, przewodniczką w czasie, gdy zamienię słowo z kapitanem. Skrzący, Niestrudzony, zechciejcie nam wybaczyć.

Skierka, dziewczyna mądra, bezbłędnie odczytała niewypowiedziane ostrzeżenie i szybko przejęła rękę pani Amber. Strzyk i Niestrudzony już ruszyli przez pokład, uważnie rozglądając się po statku.

– Opowiedz mi, co widzisz – zażądała od Skierki pani Amber zupełnie pogodnym tonem.

Gdy poszły za Alise, wolno, spokojnie, słyszałem jasny głos dziewczyny, opisującej szczegółowo wszystko, na co zwracała uwagę Alise.

Odwrociłem się na powrót do Lewszuna.

– Twój statek mnie nie lubi, kapitanie? – spytałem.

Niewiele potrafiłem wyczytać z reakcji „Smolistego”, ale cóż, nigdy wcześniej nie byłem na pokładzie żywostatku.

– Nie. Chce z tobą porozmawiać. – Zaplótł ręce na potężnej klatce piersiowej, po czym chyba zdał sobie sprawę, że ten gest mógł wydać się nieprzyjazny, więc otarł dłonie o nogawki. – Chodźmy na dziób. Tam się go lepiej rozumie. – Poprowadził mnie ciężkim krokiem. – „Smolisty” rozmawia ze mną – rzucił przez ramię – a czasem zamienia parę zdań z Alise. Niekiedy z Hanneseyem. Zdarza mu się odezwać do innych, raczej we śnie. Ja o to nie pytam, on nie mówi, jeśli nie chce. Różni się od innych żywostatków. Jest bardziej skupiony na sobie... cóż, trudno to wytłumaczyć komuś, kto nie pochodzi z kupieckiego rodu. Niech wobec tego wystarczy tyle: „Smolisty” nigdy wcześniej nie domagał się rozmowy z nieznanym. Nie wiem, o co mu chodzi, ale jest dla mnie jasne, że jeśli czegoś żąda, nie ma dyskusji. Opiekunowie smoków zawarli z tobą układ, książę, jeżeli jednak „Smolisty” uzna, że nie chce cię na swoim pokładzie... to po sprawie. – Uniósł brwi, kiwnął głową. – Przykro mi – dodał.

– Rozumiem – powiedziałem, chociaż to nie była prawda.

Idąc na dziób, czułem statek coraz wyraźniej. I nie było mi z tym dobrze. Trochę jakby obwąchiwał mnie pies. Pies duży i nieprzewidywalny. Z obnażonymi kłami. Zdusiłem odruch, by też wyszczerzyć zęby, czy w jakiś inny sposób okazać agresję. Nacisnął mocniej na barierę chroniącą mój umysł.

„Pozwalam na to” – podkreśliłem, gdy wepchnął się do mojej świadomości.

„Jakbyś miał prawo odmówić. Stawiasz nogi na moim pokładzie, więc będę cię znał. Jaki smok cię naznaczył?”

W tych okolicznościach kłamstwo byłoby szaleństwem.

„Pewien smok nawiedzał moje sny. Sądzę, że była to Sintara, która wybrała sobie Najstarszą imieniem Thymara. Byłem też blisko Tintaglii oraz Hiibi. Może o którąś z nich ci chodzi”.

„Nie. Wyczuwam całkiem nieznanego smoka. Połóż ręce na relingu”.

Popatrzyłem na reling. Kapitan Lewszun wbił spojrzenie w przeciwny brzeg rzeki. Nie potrafiłem ocenić, czy orientuje się w naszej rozmowie.

– Statek chce, żebym położył ręce na relingu – powiedziałem.

– Lepiej go posłuchać – stwierdził bez ogródek.

Reling był drewniany. Z jakiegoś szarego, drobnoziarnistego drzewa, którego nie znałem. Ściągnąłem rękawice i położyłem na nim dłonie.

„Aha! Wiedziałem. Od razu go wywąchałem. Dotykałeś go. Gładziłeś”.

„W życiu nie gładziłem smoka”.

„Ależ owszem. A on uznał cię za swego”.

„Szczery”.

Tą myślą podzieliłem się bezwiednie. Osłona mojego umysłu marniała w oczach, ustępując pod naciskiem barki. Poprawiłem ją, umocniłem, lecz starałem się zrobić to dyskretnie, by statek nie zauważył, że go odsuwam. Równocześnie czułem narastającą ciekawość. Czyżby żywe smoki faktycznie uważały króla Szczerego, wcielonego w kamiennego smoka, za istotę, która może mnie naznaczyć? Zgarnąłem liście z jego grzbietu. Czy to mogło być owo „gładzenie”, które wyczuł statek? I jeszcze jedno pytanie: skoro nie kto inny, a smoki uważały, że Szczery należy do ich gatunku, czyżby statek również siebie do nich zaliczał?

Dłuższy czas milczał.

„Tak” – odezwał się w końcu. – „To właśnie ten smok. Do niego należysz”.

Jaskrawa, gdzieś wysoko, zakrakała głośno.

Najtrudniejszym zadaniem, jakie znam, jest myślenie o niczym. Zastanowiłem się najpierw nad wzorcem wiatru i nad nurtem prowadzącym wodę w rzece. Ogromnie pragnąłem sięgnąć ku królowi Szczereemu, bardziej niż oddychać. Dotknąć zimnego kamienia sercem i umysłem, poczuć, że w jakimś sensie on, jedyny i najważniejszy, zawsze mnie strzegł. Statek wdarł się w moje myśli.

„Do niego należysz. Chcesz zaprzeczyć?”

„Do niego należę”. – Z zaskoczeniem stwierdziłem, że to nadal prawda. – „Od długiego czasu”.

„Jakby człowiek wiedział, co to »długi czas«. Przyjmuję cię jako zależnego od smoka. Nie będę zajmował się sprawami człowieka należącego do smoka”.

Ciekaw byłem, cóż miało oznaczać to, że żywostatek mnie „przyjął”, ponieważ uwierzył, iż kamienny smok uznał mnie za swego. Jakim sposobem król Szczery mnie naznaczył? Czy wiedział, co robi? Te i tuzin innych pytań pojawiły mi się w głowie, jednak „Smolisty” już ze mną skończył. Podobne wrażenie odnosi człowiek po zamknięciu drzwi do zatłoczonej tawerny: zostałem sam w ciszy i ciemności. Poczułem ulgę, a równocześnie zrobiło mi się żal, że mnie zostawił, bo mógł mi niejedno powiedzieć. Sięgnąłem ku niemu, lecz go nie wyczuwałem. Kapitan Lewszun od razu zorientował się w sytuacji. Przez chwilę przyglądał mi się uważnie, po czym na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Pomyślny koniec, jak widzę. Chcesz, książę, zobaczyć, gdzie będziesz mieszkał w czasie rejsu?

– Em... tak... chętnie. – Zaskoczyła mnie jego zmiana nastawienia, prędką jak blask słońca wychodzącego zza chmury.

Poprowadził mnie ku rufie obok dwóch nadbudówek na pokładzie.

– Znacznie tu milej niż wtedy, gdy płynęliśmy po raz pierwszy. W tamtych czasach do głowy by człowiekowi nie przyszło, że „Smolisty” będzie woził tyle ludzi, co towaru. No, ale świat się zmienia. Nawet mieszkańcy Deszczowych Ostępów się zmieniają, chociaż powoli i nie bez trudu. Tu jest kajuta dla ciebie, książę, baroneta Skrzącego i waszego służki. – Na moment jakby stracił pewność siebie. – Lepiej byłoby, gdybyś, panie, zamieszkał ze swoją damą, ale gdzie wtedy dać służącą? Dziewczęta z lądu nie lubią mieszkać z załogą, chociaż na mojej barce nic im nie grozi. Po prostu nie mają kąta dla siebie. Dlatego przewidzieliśmy tę drugą kajutę dla pań. Na pewno książę spodziewa się większych luksusów, ale tu ich nie ma.

– Potrzebny mi transport, nie luksusy. Będę z chęcią spał na pokładzie. Nie pierwszy raz w życiu.

– Ach! – Wyraźnie ciężar spadł mu z serca. – To świetnie. Alise się ucieszy. Zamartwiała się, odkąd dostaliśmy wiadomość, że będziemy mieć szlachetnych gości. „Książę z Królestwa Sześciu Księstw! Gdzie będzie spał, czym go nakarmimy?”. I tak bez przerwy. Cała ona, cała moja Alise. Zawsze wszystko musi być dopięte na ostatni guzik. – Otworzył drzwi. – Pamiętam jeszcze, jak w tych kabinach woziliśmy towary... Ale będzie już ze dwadzieścia lat, jak je przebudowaliśmy. Reszta towarzystwa jeszcze tu nie dotarła, więc możesz, książę, wybrać sobie koję.

Ludzie żyjący na statku potrafią wykorzystać najmniejszy fragment przestrzeni. Wiedziałem o tym doskonale, więc przygotowałem się na zapach prania, płócienne

hamaki i podłogę z drzazgami. Tymczasem światło wpadające przez dwa niewielkie okienka zatańczyło na lśniącym żółtawym drewnie. Pod każdą z dłuższych ścian stało piętrowe łóżko. Kajuta pachniała miło olejem użytym do czyszczenia drewna. Jedna z krótszych ścian składała się wyłącznie z szafek, szuflad i schowków. Widniejące na niej okienko, z niebieskimi zasłonkami, otwarte na oścież wpuszczało świeże powietrze.

– W najśmielszych marzeniach nie wyobrażałem sobie tak miło urządzonego wnętrza – wyrwało mi się szczerze, a gdy odwróciłem się do kapitana, zobaczyłem także rozpromienioną Alise oraz Strzyka i Niestrudzonego. Chłopak miał policzki zaczerwienione od wiatru, oczy błyszczące, a na ustach szeroki uśmiech.

– Panie także są zadowolone – powiedziała Alise. – Innymi słowy: witajcie na pokładzie. Możecie przynieść swoje rzeczy kiedy wam pasuje, wchodzić na statek i schodzić z niego, kiedy tylko zechcecie. Załozie potrzebny co najmniej dzień odpoczynku w mieście. Wiem, że zależy wam na czasie, ale...

– Jeden czy nawet dwa dni nie zrujną nam planów – odpowiedziałem. – Cel podróży nam nie ucieknie.

– To dobrze, jednak „Niezrównany” nie będzie czekał, więc tym razem załoga dostanie najwyżej półtora dnia wolnego – stwierdził Lewszun. – Czas na nikogo nie czeka – dodał, spoglądając na swoją towarzyszkę. – Oba statki muszą kursować zgodnie z planem.

– Wiem, wiem – burknęła Alise, ale się uśmiechnęła.

Kapitan odpowiedział jej uśmiechem.

– Inne łajby krążą po rzece bardziej regularnie niż „Smolisty”, jednak żadna nie radzi sobie równie dobrze z bystrym nurtem na wiosnę. Jak tylko śniegi stopnieją i rzeka się uspokoi, będziemy mogli wszyscy odpocząć, bo wtedy przyjdzie czas na jednostki odporne. Tylko dzięki temu, że my bierzemy na siebie całą robotę przy wysokim stanie wody i wtedy, gdy kwas białą strugą płynie głównym korytem, wymuskane łódeczki mogą spokojnie czekać na swoją kolej w bezpiecznych portach. – W jego głosie pobrzmiwała duma.

– Dużo będziemy mieli teraz pasażerów? – spytała z lekkim niepokojem Alise.

– Nie. Rozmawiałem już z Harrikinem. Jeśli ktoś z nowo przybyłych będzie miał kłopot z pomrukami miasta, zostanie przeniesiony do wsi na przeciwległym brzegu i zaczeka na nasz powrót. Ma nadzieję, że przybyszom jednak uda się osiąść i pracować, że nie będą uciekali tam, skąd przy płynęli. – Odwrócił się do mnie. – Dwadzieścia lat zwozimy tu ludzi i zawsze połowę zabieramy z powrotem. Mamy tłok na pokładzie i jeść trzeba na zmiany... Tym razem jedziemy w szczupłym gronie: wy i załoga. Bierzemy trochę ładunku. Czeka nas miła podróż, jeśli tylko

woda będzie spokojna.



Następny ranek wstał jasny i czysty. Wiatr od rzeki, choć jak zawsze ostry i porywisty, tym razem bez wątpienia zwiastował nadejście wiosny. Przyniósł zapach lepkich świeżych listków i budzącej się do życia czarnej ziemi. Na pożegnalne śniadanie, zjedzone w towarzystwie opiekunów smoków, dostaliśmy pieczone ziemniaki z omletem posypanym szczypiorkiem. Od uradowanej Sylve dowiedzieliśmy się, że kurczęta, które uparła się przechować przez zimę w cieplarni, przetrwały, dorosły i właśnie zaczęły się nieść.

Na pożegnalne spotkanie przyszły także dzieci oraz towarzysze opiekunów smoków. Wielu chciało mi podziękować, przynieśli upominki. Niejaki Karson, mężczyzna praktyczny, zaopatrzył nas w pasy suszonego mięsa spakowane w skórzaną sakwę. „Jak nie zamocycie, to będzie dłuuuugo dobre”. Podziękowałem z głębi serca. Niekiedy człowiek po prostu wyczuwa bratnią duszę.

Pani Amber i Skierka otrzymały od kobiety imieniem Jerd po parze kolczyków.

– Nie mają żadnych czarodziejskich właściwości, ale są śliczne i w razie potrzeby można za nie dostać przyzwoitą sumkę.

Ta kobieta była matką dziewczuszki, którą uleczyłem, lecz – co dziwne – dziecko wychowywał Najstarszy imieniem Sedrik, do spółki z innym mężczyzną, Karsonem.

– Lubię tę małą, ale żadna ze mnie matka – poinformowała nas Jerd pogodnie.

Usadowiona u Sedrika na barkach dziewczynka o nienaturalnie małych uszkach, skrytych pod strzechą rudych włosów, ścisła w zaciśniętych garstkach obfite kępy jego czupryny i wydawała się całkiem zadowolona ze swojego losu. A Najstarszy wyraźnie świata poza nią nie widział.

– Zaczęła się odzywać – oznajmił uszczęśliwiony. – I obraca głowę do tego, kto mówi. A Relpda pojęła w czym rzecz i pomoże nam przy małej. Nasze smoki nie są okrutne, tylko nie zawsze rozumieją, jak powinien rozwijać się mały człowiek.

Od królowej Najstarszych otrzymaliśmy skrzyneczkę z zestawem herbat.

– Drobną przyjemność może okazać się w czasie podróży wielką pociechą – rzekła, wręczając prezent pani Amber, a ta przyjęła go z wdzięcznością.

Południe nastało, nim zeszliśmy do statku. Bagaże już czekały na pokładzie, natomiast pożegnalne upominki wypełniły po brzegi taczkę, którą Niestrudzony pchał z wielką ostrożnością. Tats podarował mu piękny szal tkany metodą znaną

Najstarszym, a chłopak złożył go starannie i spytał mnie, czy wolno mu będzie z Miasta Wolnego Handlu posłać go matce. Zapewniłem go, że uda się to bez kłopotu. Thymara odciągnęła panią Amber na bok i wetknęła jej w dłonie gęsto tkany woreczek. Z jej ust padło jeszcze kilka ostrzeżeń na temat smoczego srebra na palcach.

Pożegnania w porcie trwały w nieskończoność, aż w końcu uciął je kapitan Lewszun, obwieszczając głośno, że najwyższy czas ruszać, jeśli mamy zamiar skorzystać ze światła dnia. Alum pocałował swoją dziewczynę, a ona wskoczyła na pokład i od razu zaczęła wydawać rozkazy. Kapitan przyglądał się, jak na nią patrzę.

– Skelly jest moją siostrzenicą. Któregoś dnia, gdy ja położę się na pokładzie „Smolistego” i wsunę swoje wspomnienia w jego drewno, ona zostanie kapitanem.

Uniosłem brwi.

Lewszun milczał przez chwilę, po czym zaśmiał się pod nosem.

– W dzisiejszych czasach żywostatki nie są już takie znowu tajemnicze, jak dawniej. Utrzymują bliską więź z rodzinami. Dzieci rodzą się na pokładzie, wyrastają na załogę, potem na kapitanów. A kiedy umierają, statek wchłania ich wspomnienia. Nasi przodkowie żyją w statkach. – Uśmiechnął się do mnie kącikiem ust. – Taka to dziwaczna nieśmiertelność.

Całkiem inna niż przelanie wspomnień w kamiennego smoka, pomyślałem.

Rzeczywiście dziwaczna nieśmiertelność.

Potrząsnął siwą głową i zaproponował, byśmy dołączyli do niego i Alise w kambuzie, gdzie zamierzali napić się kawy, póki załoga była zajęta obowiązkami.

– Nie jesteście potrzebni na pokładzie? – spytał Niestrudzony.

Kapitan uśmiechnął się szeroko.

– Gdybym nie ufał Sadze, mógłbym równie dobrze poderżnąć sobie gardło. Załoga kocha statek, a „Smolisty” ich darzy sympatią. Musiałoby się zdarzyć coś makabrycznego, żeby nie dali sobie rady, więc mam czas, by spędzić kilka miłych chwil z moją panią.

Stłoczyliśmy się przy poznanym bliznami stole. Niewielkie pomieszczenie było przyjaźnie ciasne, pachniało w nim jedzeniem i wilgotną wełną. Do tego doszedł jeszcze aromat kawy. Zdarzyło mi się już kiedyś pić ten napar, dlatego wiedziałem, czego się spodziewać, lecz Niestrudzony zacisnął usta i się skrzywił.

– Chłopcze! – odezwała się na ten widok Alise. – Nie musisz tego pić! Zaparzę ci herbaty. – Nie czekając na zgodę, zabrała mu kubek, przelała zawartość z powrotem do dzbanka i po już chwili na niewielkim żelaznym piecyku zaczął syczeć czajnik z wodą na herbatę.

Powiodłem wzrokiem po towarzystwie swobodnie siedzącym wokół stołu. W Koziej Twierdzy Skierka i Niestrudzony musieliby zająć miejsca dla służby, a Strzyk i ja najpewniej nie jedlibyśmy w towarzystwie skromnego kapitana statku oraz jego wybranki.

Nagle pomieszczenie przechyliło się w bok i nieco osiadło, a potem wystrzeliło z powrotem w górę. Niestrudzony miał oczy jak spodki, a Skierka głośno wciągnęła powietrze. Tak oto ruszyliśmy w drogę. Żwawy nurt wypchnął nas na rzekę. Wykręcając szyję, wyjrzałem przez okienko, lecz zobaczyłem tylko szarą wodę.

– I już na szlaku. – Lewszun westchnął z satysfakcją. – Zerknę tylko, czy aby Wielki Edredon nie potrzebuje pomocy przy rumplu. Dobry z niego człowiek, nawet jeśli niezbyt bystry. Zna rzekę jak nikt. Niestety ciągle tęskni za Swargem. Tamten trzydzieści lat prowadził nas przez nurt. Co zrobić, teraz już jest w „Smolistym”.

– Wszystkich nas to czeka – przypomniała Alise z uśmiechem. – Ja też pójdę na pokład, spytam Skelly, gdzie upchnęła ostatnią faskę cukru. – Zerknęła na Skierkę. – Zaparzysz herbatę, gdy woda się zagotuje? Znajdziesz ją w pudełku na półce przy oknie. Mogę na ciebie liczyć?

– Tak, szanowna pani Alise. Jak najbardziej.

– Oho! „Szanowna pani Alise”! – Policzki jej poróżwiały ze śmiechu. – Już zapomniałam, jak to jest być „szanowną panią”! Mówcie mi po imieniu. A jeśli czasem zapomnę was, szlachetnie urodzonych, odpowiednio tytułować, będziecie musieli mi wybaczyć. Obawiam się, że moje maniery rodem z Miasta Wolnego Handlu zatarły się po dwudziestu latach na rzece.

Zaśmialiśmy się wszyscy i jednomyślnie zapewniliśmy ją, że wcale nam to nie przeszkadza. Tak było w rzeczywistości. Czułem się na pokładzie barki znacznie swobodniej niż w mieście smoków.

Otwierane drzwi wpuściły do kabiny powiew rzeczno-wiatru, po czym się zatrzasnęły. Zostaliśmy we własnym gronie. Pani Amber odetchnęła z ulgą.

– Tak sobie myślę... – odezwał się Niestrudzony bez wielkiej pewności – może ja bym się trochę rozejrzył po pokładzie? Chętnie bym zobaczył, jak działa taki rumpel na przykład...

– Idź – pozwoliłem. – Jeśli zaczniesz przeszkadzać, na pewno się dowiesz. Jeżeli każą ci usunąć się z drogi, zrób to szybko. Przypuszczam raczej, że znajdą ci coś do roboty.

Strzyk także wstał.

– Będę miał na niego oko. I też się rozejrzę. Wypływałem z przyjaciółmi na ryby, ale zawsze na morze, nigdy nie łowiliśmy na rzece, w dodatku takiej dużej i rwącej...

– Herbaty będzie ktoś chciał? – zapytała Skierka, bo z czajnika właśnie zaczęła unosić się para.

– Pewnie tak. Na zewnątrz zimno, wiatr wieje.

I znów trzasnęły zamykane drzwi.

– Ależ się z nas zrobiła rodzinka – zauważyła pani Amber. A gdy Skierka sięgnęła po śliczny dzbanek w kolorze morskiej zieleni, dodała z uśmiechem: – Ja dziękuję za herbatę. Wystarczy mi kawa. Lata całe nie piłam dobrej kawy.

– Jeżeli to ma być „dobra kawa”, boję się poznać smak złej – stwierdziłem.

Zrobiłem to samo, co Alise: wlałem swoją kawę z powrotem do dużego czarnego garnka na piecu. Musiałem jeszcze odczekać, aż herbata naciągnie.

Łatwo przywykliśmy do życia na barce, szybko przystosowaliśmy się do nowego rytmu dnia. Załoga chętnie przyjęła Niestrudzonego w swoje szeregi, chłopak stale miał jakieś zajęcie. Jeśli nie uczył się węzłów od Bellin – dużej kobiety, która rzadko się odzywała, a siłą dorównywała każdemu mężczyźnie – to sprzątał, szorował, piaskował i oliwił. Czuł się przy tych pracach jak ryba w wodzie i któregoś dnia wyznał, że gdyby nie przysiągł mi służyć, mógłby się zaciągnąć na statek. Poczulem ukłucie zazdrości, nie przeczę, lecz równocześnie z przyjemnością patrzyłem na jego szczęście.

Jaskrawa dołączyła do nas, gdy tylko „Smolisty” opuścił Kelsingrę. Szybko porzuciła ostrożność, a prawdziwie zdumiała nas, wybierając sobie na ulubioną żerdź reling na dziobie. Gdy po raz pierwszy zawołała: „Smolisty!”, podbiła serca załogi, a Niestrudzony o mało nie spuchł z dumy.

Przy kiepskiej pogodzie nieodmiennie poprawiała załodze nastrój, z lubością przysiadła Niestrudzonemu na barku i dotrzymywała mu towarzystwa, gdy wypełniał obowiązki, natomiast jeśli tylko pani Amber zjawiała się na pokładzie, kruczycyca bez zwłoki przysiadła się na jej ramię. Ptaszysko umiało naśladować chichot, a przy tym, co niesłychane, umiało wykorzystywać tę umiejętność w najważniejszych momentach. Jej wyjątkowy dar imitowania budził we mnie podejrzliwość, lecz jeśli sięgałem ku niej Rozumieniem, znajdowałem jedynie lekką mgiełkę istoty w swojej dumie i wyniosłości całkowicie niezainteresowanej formowaniem jakiegokolwiek więzi.

– Ciekawe, ile ty rozumiesz? – zastanowiłem się któregoś popołudnia.

Ptaszysko przekrzywiło łebek, zajrzało mi w oczy i spytało:

– Ciekawe, ile ty rozumiesz?

Po czym zaśmiało się, rozłożyło skrzydła i poleciało w dół rzeki, wyprzedzając „Smolistego”.

Podróż statkiem jest albo straszna, albo nudna. Płynąc „Smolistym”, nudziłem

się z wielką przyjemnością. Im bardziej rosła odległość od miasta, tym słabiej nurt Mocy napierał na mury chroniące mój umysł. Każdej nocy stawaliśmy na kotwicy. Jeśli trafiała się plaża, mogliśmy zejść na ląd, chociaż zazwyczaj brzeg zasłaniały drzewa o skręconych w serpentyny korzeniach. Trzeciego dnia, pamiętam, rzeka się zwięzła, koryto stało się głębsze, a nurt silniejszy. Las zamknął nas w objęciach, zabierając horyzont. Brzegi obrosły ścianami drzew o wysokich, szczudłowatych korzeniach, do których cumowaliśmy na noc. Zaczęło padać i nie przestało. Jaskrawa wprowadziła się do kambuza. Ja też robiłem, co mogłem, by nie wychodzić na pokład, często tkwiłem w ciasnej kajucie. Ubranie i pościel były stale wilgotne. Starłem się spędzać czas pożytecznie. Pani Amber podsunęła mi pomysł, by uczyć się merseńskiego, dawnego języka Clerres.

– Większość napotkanych będzie zwracała się do ciebie w powszechnym, ale dobrze wiedzieć, co ludzie mówią, gdy sądzą, że nikt postronny ich nie rozumie.

Ku memu zdumieniu reszta naszego towarzystwa również chętnie wzięła się do nauki. W ciągu długich deszczowych dni tłoczyliśmy się na kojach, a pani Amber wbijała nam do głów słownictwo i gramatykę. Zawsze łatwo przychodziła mi nauka języków, tymczasem Niestrudzony pobił mnie na głowę. Strzyk i Skierka mieli wyraźne trudności, lecz starali się, jak mogli. Za moją namową Strzyk pomagał chłopakowi w nauce liter i cyfr. Żaden nie był zachwycony tym układem, jednak robili postępy.

Wieczorami, gdy stawaliśmy na kotwicy, nasza młodzież grywała z załogą w kości, w karty i z użyciem rzeźbionych kołeczków. Fikcyjne majątki często przechodziły z rąk do rąk.

Pani Amber i ja spędzaliśmy ten czas w jej kajucie. Mężnie ignorowałem znaczące uśmiešky, które wymieniali między sobą Lewszun i Alise, gdy dołączałem do towarzystwa. Chciałbym, bardzo chciałbym móc się pośmiać z nimi, jednak prawda wyglądała nieprzyjemnie: te spotkania w cztery oczy były dla Błazna torturą. Ze wszystkich sił pragnął mi pomóc, lecz okrucieństwa, jakich zaznał w Clerres, utrudniały mu przekazywanie informacji w jako takim porządku. Bolesne historie, które z niego wydobywałem, głównie tłumili we mnie chęć, by żądać czegokolwiek więcej. A przecież musiałem. Powoli, z trudem, zdobywałem bardzo niekompletną wiedzę o Radzie Czworga. Tyle Błazen mógł dla mnie zrobić.

Jedyną z Rady Czworga, na której temat zyskałem szczegółowe informacje, była Kapra. Wydawało się, że z dumą pełni rolę najstarszego członka Rady. Miała długie, siwe włosy, nosiła niebieskie suknie zdobione perłami. Robiła wrażenie miłej, uprzejmej, mądrej. Została nauczycielką Błazna, gdy zjawił się w Clerres po raz pierwszy. Codziennie po lekcjach był zapraszany do jej wieży, gdzie siadali na

podłodze przed kominkiem, by mógł spisać swoje sny na grubym, miękkim papierze, żółtym jak serca stokrotek. Wspólnie raczyli się ciasteczkami, egzotycznymi owocami i serami. To od niej uzyskał wiedzę na temat gatunków wina, sącząc trunek drobnymi łykami z pucharów o złożonych brzegach. Ona wprowadziła go w świat herbaty. Czasami zapraszała zonglerów czy akrobatów, ot, dla rozrywki. A gdy zapragnął posiąść ich umiejętności, nakazała im go uczyć. Chwaliła go często, a on pod jej opieką rozkwitał. Gdy wymawiała jego imię, Ukochany, wierzył, że to słowo ma dla niej właśnie takie znaczenie. Opowiadał mi o dorastaniu, którego mu zazdrościłem. Był rozpieszczany, chwalony, uczony – każde dziecko marzy o takim wychowaniu. Niestety wszystko, co dobre, ma swój kres.

Zazwyczaj siadałem na podłodze, a on tkwił przycupnięty na dolnej koi i, mówiąc, wbijał niewidzący wzrok w przestrzeń. Deszcz rozpryskiwał się na okienkach, jedyna świeca nie rozpraszała półmroku, lecz budziła złowieszcze cienie pasujące do mrocznych słów. Zmieniał się wtedy na powrót w Błazna, w wąskich czarnych spodniach, w luźnej koszuli z koronką spływającą na pierś. Suknia pani Amber zostawała na podłodze niczym zwiędły kwiat. Jego gesty, postawa, przypominały mi czasy, gdy byliśmy młodzi: podciągał kolana pod brodę i obejmował nogi rękoma – jedną gołą, jedną w rękawiczce. Niewidzącymi oczyma wpatrywał się w odległy czas.

– Bardzo chciałem się jej przypodobać, starałem się ze wszystkich sił. Dawała mi sny do czytania i słuchała objaśnień. Właśnie tam, przed jej kominkiem, po raz pierwszy przeczytałem o nieoczekiwanym synu, w pewnym bardzo starym, skruszałym zwoju. Przemówił do mnie jak żaden inny. Wywarł na mnie ogromne wrażenie. Zacząłem dygotać. Drżącym głosem opowiedziałem jej o śnie z czasów dzieciństwa. Mój sen i owa stara przepowiednia łączyły się niczym splecione palce. Nie minąłem się z prawdą ani o włos, gdy powiedziałem jej, że opuszczę ją z największą przykrością, lecz jako biały prorok nie mogę postąpić inaczej. Wiedziałem, że muszę ruszyć w świat, przygotowywać konieczne zmiany. Szalony byłem, o, tak, i błazna z siebie zrobiłem, prawdziwego błazna, obawiając się, że sprawię jej przykrość, odchodząc. – Z trudem przełknął ślinę. – Wysłuchała mnie w spokoju, po czym wolno pokręciła głową. „Mylisz się” – stwierdziła z melancholią w głosie. – „Znamy już białego proroka na dzisiejsze czasy. To kobieta. Wyuczyliliśmy ją, wkrótce rozpocznie pracę w świecie. Ukochany, każda młoda istota z ludu Białych pragnie pełnić rolę wybrańca. Każdy uczeń w Clerres zgłasza się do tej misji. Nie smuć się. Są dla ciebie inne ważne zadania, które będziesz wykonywał pokornie i z najwyższą starannością, by wspomóc białą prorokinię”. Nie wierzyłem własnym uszom. Krew szumiała mi w uszach, wzrok

mi się mącił. Skąd to zaprzeczenie? Ale przecież Kapra była taka dobra, taka mądra, taka stara... na pewno miała rację! Usiłowałem pogodzić się ze swoją pomyłką, jednak sny mi na to nie pozwalały. Od czasu, gdy zaprzeczyła moim przekonaniom, spadły na mnie, jak burza, przychodziły po dwa, po trzy każdej nocy. Zapisując je, wiedziałem, że będzie niezadowolona, lecz nie mogłem ich zatrzymać dla siebie. A ona przejmowała każdy po kolei i pokazywała mi, w jaki sposób i dlaczego odnosi się on do innej osoby. – Wolno pokręcił głową. – Wiesz, Bastardzie, nie potrafię w żaden sposób przedstawić ogromu mojej rozpacz. Czuję się... Jakbym widział siebie w krzywym zwierciadle. Jakbym jadł zgniłe mięso. Z jej słów była manipulacja, która sprawiała mi fizyczny ból. Wwiercały mi się one fałszem w czaszkę. Z drugiej strony Kapra była przecież moją mentorką. Traktowała mnie bardzo dobrze, z pewnością kochała. Czy mogła się mylić?

Zadał pytanie z rozbijającą prostotą. Nerwowo zaciskał dłonie o splecionych palcach, jedną obnażoną, drugą w rękawiczce. Odwrócił ode mnie twarz, całkiem jakbym mógł cokolwiek wyczytać w jego przesłoniętych ślepotą oczach.

– Któregoś dnia zabrała mnie na samą górę, do pokoju na szczycie wieży. Ależ on jest wielki, Bastardzie! Większy niż Ogród Królowej w Koziej Twierdzy. I pełen zadziwiających skarbów. Przedmioty niewymownie wspaniałe, piękne ponad wszelkie wyobrażenie, leżały tam porozrzucane niczym zapomniane zabawki. Zobaczyłem laskę połyskującą własnym, łagodnym światłem. Był przepyszny tron, skonstruowany z mozaiki kwiatowej z jadeitu. Co do niektórych z tych przedmiotów nie miałem wątpliwości, że zostały stworzone przez Najstarszych. Dzwonki wietrzne, które same się poruszały, wydając delikatne dźwięki, rzeźba doniczki z kwiatem, który wyrastał z ziemi, zakwitał, zrzucał płatki, po czym wyrastał na nowo. Przyglądałem się tym cudom szeroko otwartymi oczyma, ale Kapra nie miała ochoty niczego mi objaśniać, stwierdziła jedynie, oschłym tonem, że wszystko to pochodzi z pewnej odległej plaży, gdzie morze wyrzuca takie przedmioty na brzeg. A znalazły się u niej, ponieważ z właścicielami tamtego miejsca zawarła umowę, wedle której wszystko, co morze tam przyniesie, stanie się jej własnością – w zamian za pewną przysługę. Chciałem poznać szczegóły tej historii, lecz Kapra wzięła mnie za rękę, pociągnęła do okna i kazała patrzeć w dół. Poniżej, w otoczonym murem ogrodzie kipiącym od kwiatów, drzew owocowych i winorośli, zobaczyłem młodą kobietę. Pochodziła z pewnością z ludu Białych. Zdarzało mi się w Clerres spotykać mieszkańców prawie tak pozbawionych barwy jak ja. Prawie. Wszyscy urodzili się na wyspie, wszyscy byli ze sobą skoligaceni: rodzeństwo, kuzyni, wujostwo. Żadne z nich jednak nie było tak jasne, tak białe, jak ja. I ona. – Spuścił głowę. – W ogrodzie znajdowała się jeszcze jedna osoba. Miała ognistorude włosy i wielki

miecz. Uczyła bladą kobietę trzymać oręż, pokazywała, jak się nim posługiwać. W pewnej chwili dostrzegłem trzecią postać, służącą, która dodawała swojej pani animuszu. Biała kobieta, szlifując walkę na miecze, wyglądała jak w czarodziejskim tańcu. Jej włosy płynęły w powietrzu, podkreślając wdzięczne ruchy. Wtedy Kapra powiedziała: „Oto ona. Prawdziwy biały prorok naszych czasów. Już prawie gotowa. Widzisz ją na własne oczy, przestań wreszcie wygadywać bzdury”. – Wzruszył ramionami. – To wtedy po raz pierwszy zobaczyłem bladą kobietę.

– Wystarczy tych zwierzeń na dzisiaj.

Zacisnął usta, potarł twarz. Wyblakłe blizny poczerwieniały.

– Przestałem mówić o swoim przeznaczeniu – stwierdził cierpko. – Zapisywałem sny, ale już ich nie interpretowałem. Brała ode mnie zapiski, lecz ich nie czytała, jak sądzę. Nie potrafię ocenić, ile wiedzy przekazałem w jej ręce. Za dnia chłonałem nauki i starałem się być szczęśliwy. Trzeba przyznać, dobrze mi się żyło. Miałem wszystko, czego można zapragnąć. Wyśmienite jedzenie, gorliwą służbę, wieczorami muzykę i rozrywki. Byłem też użyteczny... tak w każdym razie sądziłem, ponieważ Kapra powierzyła mi sortowanie starych zwojów. Praca ta powinna być wykonywana raczej przez szeregowego skrybę, jednak i ja okazałem się w niej biegły. Trzeba pamiętać, że mimo upływu lat wciąż jeszcze byłem dzieckiem. Pragnąłem się przypodobać. Tęskniłem za miłością. Starałem się, jak mogłem. – Zacisnął dłonie. – Oczywiście nic z tego nie wyszło. Podczas wykonywania mozolnych, urzędniczych zadań napotykałem zapiski o nieoczekiwanym synu. Nawiedził mnie sen o pajacu, śpiewającym jakąś durną rymowanąkę o tym, że „tłuszcz wystarczy”. Słuchał jej wilczy szczeniak, Bastardzie. Wilczy szczeniak, któremu kiełkowały jelenie rogi. – Zaśmiał się i zaraz spoważniał, lecz ja i tak dostałem gęsiej skóry.

Czy rzeczywiście widział mnie we śnie na wiele lat przed tym, nim się spotkaliśmy? Zaraz, chwileczkę, to nie byłem ja. To była zagadka, której ja, być może, stanowiłem rozwiązanie.

– Nie lubię tej historii, nie chcę ci jej opowiadać. Wolałbym nawet nie zaczynać. Wiele jest spraw, które pomijaliśmy milczeniem. I wiele takich, które zasmucają mnie nieco mniej, gdy wiem o nich jako jedyny. Mimo wszystko dokończę. – Obrócił twarz w moją stronę. W niewidzących oczach wezbrały łzy.

Przesunąłem się po podłodze na jego stronę kabiny i wziąłem w ręce jego dłoń osłoniętą rękawiczką. W nagrodę otrzymałem niezdecydowany uśmiech.

– Nie mogłem długo przeczyć samemu sobie. Narastały we mnie sprzeciw, oburzenie, złość. Zapisywałem sny, zacząłem się w tych notatkach odnosić do innych, cudzych, zarówno bardzo starych, jak i całkiem nowych. Budowałem fortecę z dowodów, którym Kapra nie mogła zaprzeczyć. Nie twierdziłem już, że

jestem białym prorokiem, lecz zacząłem zadawać pytania, a nie były one ani łatwe ani bezcelowe. – Uśmiechnął się lekko. – Na pewno się tego nie domyślasz, Bastardzie, ale zapewniam cię, potrafię być uparty. A byłem zdecydowany zmusić moją mentorkę do przyznania, kim jestem i jaka jest moja rola.

Ucichł ponownie. I ja się nie odzywałem. Nasza rozmowa przypominała wydłubywanie drzazg z zakażonej rany. Błazen wyjął dłoń z moich rąk i otoczył się ramionami, jakby mu było zimno.

– Rodzice nigdy nie dali mi nawet klapsa. Nie oznacza to, że byłem grzecznym i posłusznym dzieckiem, o nie. Jak dwa razy dwa daje cztery. Mimo wszystko traktowali mnie łagodnie, a w razie potrzeby korygowali z nieskończoną cierpliwością. Nic więc dziwnego, że właśnie takiego postępowania spodziewałem się po osobach dorosłych. Nigdy nie wzbraniali mi wiedzy. Zawsze mnie słuchali, a gdy zdarzało mi się uczyć ich czegoś, co dla nich było rzeczywiście nowe, byli ze mnie dumni. Miałem się za mądrego, bystrego, nawet sprytnego, zadając mentorce pytania na temat snów, o których się uczyłem i które spisywałem. Wzbudzone przeze mnie wątpliwości miały zaprowadzić ją do nieuniknionego wniosku, że jednak jestem białym prorokiem. Zacząłem realizować plan. Kilka pytań jednego dnia, parę następnego... Lecz pewnego razu, gdy zadałem jej sześć pytań z rzędu, a każde prowadziło do tego, by musiała przyznać, jak wygląda prawda na mój temat, uniosła dłoń i powiedziała: „Dosyć tego. To ja decyduję, jak będzie wyglądało twoje życie”. Młody byłem, więc spytałem, zanim się zastanowiłem: „Dlaczego?”. To była kropla przepełniająca czarę. Kapra nie odpowiedziała. Wstała i pociągnęła za taśmę od dzwonka. Zjawił się służący, a ona posłała go po kogoś, kogo nie znałem, niejakiego Kestora. Okazał się mężczyzną potężnym i muskularnym. Przyszedł, postawił mi stopę na karku i wychłostał skórzanym pasem. Krzyczałem, płakałem, błagałem o litość, lecz żadne z nich nawet się nie odezwało. Równie nagle, jak się zaczęła, moja kara dobiegła końca. Kapra odprawiła Kestora, usiadła przy stole i naląła sobie herbaty. Gdy wreszcie mogłem się ruszyć, wpełzłem z jej komnaty. Pamiętam długą drogę po kamiennych schodach smukłej wieży. Baty dosięgły mnie wszędzie: pas owijał mi się wokół ud i kostek u nóg. Koniec nie raz sięgnął pod brzuch. Bolało mnie wszystko. Nie mogłem wstać. Na czworakach dotarłem do swojej chaty i tkwiłem tam dwa dni. Nikt do mnie nie przyszedł. Nikt o mnie nie spytał. Nikt nie przyniósł mi jedzenia ani nawet wody. Czekałem. Sądziłem, wierzyłem, że ktoś się zjawi. Nie przyszedł nikt. – Pokręcił głową, wciąż z niedowierzaniem. – Kapra nie wezwała mnie już nigdy. Nigdy nie odezwała się do mnie bezpośrednio. – Westchnął cicho.

– Czego miałeś się z tego nauczyć? – spytałem.

– Nie mam pojęcia. – Pokręcił głową, a wtedy z oczu popłynęły mu łzy. – Nikt ze mną nie rozmawiał o tym, co rozkazała mi zrobić. Po dwóch dniach, gdy udało mi się wstać, pokuśtykałem do uzdrowiciela i czekałem... przez caluteńki dzień. Inni wchodzili, ale mnie nie wzywał. Nikt nie zapytał, co mi się stało, nawet inni uczniowie. Jakby w ich świecie nic się nie zmieniło, jak gdyby pobicie istniało tylko w moim. Wreszcie zacząłem uczęszczać na lekcje, docierałem na posiłki. Tyle tylko że nauczyciele traktowali mnie ze wzgardą, gromili za opuszczone zajęcia, karali postem. Kazano mi siedzieć przy stole wraz z innymi, tyle że oni jedli, a ja miałem się uczyć. Któregoś dnia zobaczyłem bladą kobietę ponownie. Szła przez salę, gdzie gromadziliśmy się w czasie posiłków. Wszyscy patrzyli na nią z uwielbieniem. Odziana była w zieleń i brązy, jak myśliwy, a białe włosy miała splecione w warkocz przetykany złotą taśmą. Była piękna. Za nią, krok w krok, podążała służąca. Teraz, gdy sobie to przypominam, wydaje mi się, że to była Dwalia. Ta, co porwała Pszczołę. Jeden z tych, którzy przygotowywali dla nas posiłki, śpiesznie podał Dwalii koszyk z wiktuałami. Potem blada kobieta obróciła się, by wyjść z sali, za nią wciąż podążała służąca, teraz niosąc zapasy. Mijając mnie, kobieta obdarzyła mnie uśmiechem. Bastardzie, uśmiechnęła się do mnie, jakbyśmy byli przyjaciółmi. A potem powiedziała: „Ja. Nie ty”. I poszła dalej. Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem. Wstyd, ponizenie, szum w głowie były gorsze niż rany i strupy na ciele. – Musiał na jakiś czas umilknąć. Starłem się nie przeszkadzać. – Dowiedli niepowszedniego sprytu – odezwał się w końcu. – Fizyczny ból był zaledwie furtką umożliwiającą im wtargnięcie do mojego umysłu. Bastardzie, Kapra musi umrzeć. Wszyscy czworo z Rady muszą stracić życie, jeśli ma się skończyć deprawacja Białych.

– Mówisz, że ta służąca to była Dwalia... – Zbierało mi się na mdłości. – Ta sama Dwalia, która porwała Pszczołę?

– Tak mi się wydaje. Mogę się mylić.

Urosło mi w ustach pytanie, którego nie chciałem zadać, niemądre i nieuprawnione.

– A mimo wszystko... Mimo tych doświadczeń, o których mi opowiadasz... jednak wróciłeś tam z Prilkopem?

– Bastardzie! – Zaśmiał się z goryczą. – Niewiele ze mnie wtedy zostało. Ściągnąłeś mnie z za bram śmierci. A Prilkop, silny i spokojny, miał całkowitą pewność, że przywróci w Clerres właściwy porządek. Nie wyobrażał sobie sytuacji innej niż w czasach, gdy słowo białego proroka było dla Sług rozkazem. Nie wątpił, że wie, co trzeba zrobić. A ja wtedy nie miałem pojęcia, co czynić z niespodziewanie odzyskanym istnieniem.

– Pamiętam podobny okres we własnym życiu. Wtedy wszystkie decyzje podejmował za mnie Brus.

– Wobec tego mnie rozumiesz. Nie potrafiłem myśleć. Zwyczajnie robiłem to, co on uważał za właściwe. – Zaciśnął zęby. – A teraz będę tam po raz trzeci. I najbardziej boję się, że znowu wpadnę w ich łapy. – Gwałtownie zaczerpnął tchu. Dyszał jak wyczerpany biegacz: szybko, płytko, ledwie wypychał słowa z ust. – Nie potrafię sobie wyobrazić nic gorszego. Nic. – Objęty ciasno ramionami zakołysał się w przód i w tył. – Ale muszę, muszę tam wrócić... Muszę. – Gwałtownie potrząsnął głową. – Muszę widzieć! – krzyknął nagle. – Bastardzie! Gdzie jesteś?! – Jego oddech jeszcze przyśpieszył. – Nie czuję... Nie czuję rąk!

Kłęknałem obok pryczy, zamknąłem przyjaciela w objęciach. Jęknął, zaskamlał, z jego gardła wydobył się zduszony skowyt. Siłował się ze mną nieporadnie, uderzał otwartymi dłońmi.

– To ja, jesteś bezpieczny. Jestem przy tobie. Oddychaj, Błaźnie, oddychaj. – Trzymałem go wciąż, ostrożnie, lecz stanowczo. Nie zamierzałem puścić. – Oddychaj.

– Nie mo... Nie mogę!

– Oddychaj, bo stracisz przytomność. Dasz radę. Jestem przy tobie. Jesteś bezpieczny.

Nagle zwiotczał mi w ramionach, przestał się wyrywać. Oddychał wolniej. Gdy mnie odepchnął, pozwoliłem mu się odsunąć. Znow podciągnął kolana pod brodę i objął nogi ramionami.

– Wolałbym, żebyś nie wiedział, jak bardzo się boję – powiedział zawstydzonym głosem. – Jestem tchórzem. Wolę umrzeć niż wpaść im w ręce.

– Nie musisz tam wracać. Dam radę bez ciebie.

– Muszę! – wykrzyknął nagle rozwścieczony. – Muszę!

– Wobec tego wrócisz – powiedziałem cicho. – Mogę ci coś dać – obiecałem z ociąganiem. – Środek, który przyniesie ci szybką śmierć, jeśli tak zdecydujesz.

Wbił wzrok w moją twarz, jakby mnie widział.

– Jesteś gotów to zrobić – odezwał się cicho – chociaż tego nie pochwalasz i nie możesz sobie zapewnić podobnego wyjścia.

Najpierw pokiwałem głową, a potem, oprzytomniawszy, powiedziałem:

– To prawda.

– Dlaczego?

– Kiedyś, dawno temu, usłyszałem coś, co wówczas nie miało dla mnie wiele sensu, ponieważ byłem młody, jednak, im jestem starszy, tym wyraźniej widzę mądrość zawartą w tych słowach. To książkę Władczy mówił do króla Szczerego.

– Słowa księcia Władczego uznałeś za warte uwagi? Przecież on chciał twojej śmierci. Od chwili gdy dowiedział się o twoim istnieniu.

– Tak było – poświadczyłem. – Tyle że on cytował króla Roztropnego, radę, którą usłyszał od ojca zapewne wówczas, gdy zaproponował, iż moja śmierć będzie najłatwiejszym rozwiązaniem. Mój dziad powiedział mu wtedy: „Nie rób kroku, którego nie możesz cofnąć, dopóki nie rozważysz, czego nie będziesz mógł zrobić, gdy już go uczynisz”.

– Ach...! – Czuły uśmiech rozjaśnił twarz Błazna. – Takie słowa mogły paść z ust mojego króla. – Uśmiechnął się szerzej, a ja odczułem wyraźnie, że jest tu jakiś sekret, którego nie zamierza mi wyjawić.

– Gdybym się zabił – podjąłem – położyłbym kres wielu różnym możliwościom. – Poza tym wiele razy, gdy sądziłem, iż śmierć jest jedynym wyjściem albo że przed nią nie ucieknę i powinienem poddać się losowi, byłem w błędzie. I za każdym razem po tym, jak musiałem wejść w ogień, w końcu jednak odnajdywałem sens życia na nowo.

– A teraz? Gdy nie ma Sikorki ani Pszczoły?

– Nawet teraz. – Czułem się zdrajcą, jednak właśnie tak wyglądała prawda. – Chociaż mam wrażenie, jakbym był na wpół martwy i śmierć wydaje mi się przyjacielem, życie niekiedy wabi mnie swoimi urokami. Jedzenie mi smakuje. Niestrudzony mnie rozśmiesza. Kubek gorącego naparu sprawia mi przyjemność, gdy zmoknę i zmarznę. Rozwahałem, czyby nie rozstać się z życiem, przyznaję, ale moje ciało, niezależnie od ran, szkód i krzywd zawsze stara się trwać. Jeśli mu się to udaje, tuż za nim podąża umysł. I cóż, w końcu nie sposób zaprzeczyć, choćbym tego nie wiem jak pragnął, że wciąż są w moim życiu jasne chwile. Jak rozmowa z przyjacielem. I przedmioty, które mnie cieszą.

Namacał moją rękę dłonią w rękawiczce. Chwycił mnie za nadgarstek w uścisku wojowników, a ja odpowiedziałem tym samym.

– I ze mną jest tak samo. Masz rację, najmilszy druhu. Choć nie przyszłoby mi do głowy przyznać się do tego, nawet przed sobą. – Uwolnił mój nadgarstek, odchylił się do tyłu. – Mimo wszystko wezmę od ciebie ten specyfik, jeśli zechcesz mi go przygotować. Ponieważ jeżeli rzeczywiście trafię w ich łapy, nie będę mógł... – Głos mu się załamał.

– Przygotuję ci coś. Coś, co będziesz mógł ukryć w mankiecie koszuli.

– Tak będzie dobrze. Dziękuję.

Na takich właśnie pogodnych rozmowach upływały mi wieczory.



Nie zdawałem sobie sprawy, że byliśmy w dopływie, póki się z niego nie wydostaliśmy na szerokie, wartkie wody Dzikiej Rzeki Deszczowej. Od tego momentu niosła nas wzburzona toń, szara od mułu i kwasu. Już nie czerpaliśmy wody z rzeki, polegaliśmy wyłącznie na zapasach zgromadzonych w beczkach. Bellin przestrzegła Niestrudzonego, że jeśli wypadnie za burzę, „będzie miał szczęście, gdy chociaż kości po nim wyciągniemy!”. A chłopak i tak nie stracił entuzjazmu, śmigał po pokładzie jak fryga mimo deszczu i wiatru, najpierw tolerowany, potem doceniany, aż w końcu coraz bardziej lubiany przez załogę. Skierka okazała się mniej odporna na złą pogodę, lecz i ona wychodziła niekiedy ze Strzykiem na dach nadbudówki, by pod kwadratową plandeką popatrzeć na brzegi, które mijaliśmy niesieni szybkim nurtem.

Nie do końca rozumiałem, co ich oboje fascynuje, gdyż krajobraz stał się dość jednostajny. Drzewa, kolejne drzewa i następne drzewa. Jedne kolosalne ponad wszelkie wyobrażenie, z pniami grubymi jak wieże. Inne skręcone z setek cienkich pni, jeszcze inne – pochylone, zanurzone w bagnisku, wypuszczające z gałęzi nowe pnie. Drzewa obrośnięte powojem, drzewa z kotarami winorośli zwieszającymi się z konarów. Nigdy dotąd nie widziałem lasu tak gęstego i niedostępnego ani listowia zdolnego przetrwać w nieustannej wilgoci. Po jakimś czasie przeciwległy brzeg odsunął się od nas i zniknął we mgle. Każdego dnia słyszeliśmy coraz więcej ptaków, a raz ujrzeliśmy stado skrzeczących głośno małp. W moich oczach było to wyjątkowo dziwne zjawisko.

Wszystko w zasięgu wzroku było mi zupełnie obce, w niczym nie przypominało widoków znanych z Księstwa Koziego. I choć z jednej strony nowe zawsze mnie fascynowało i budziło chęć poznania, silniejsza była tęsknota za domem. Często dryfowałem myślami ku oczekującej pierwszego dziecka Pokrzywie. Opuściłem ją, gdy wciąż jeszcze rosła pod sercem Sikorki, musiałem usłuchać pilnego wezwania króla. A teraz zostawiłem ją przy nadziei. Ruszyłem w drogę na żądanie Błazna... A co u Ciernia? Jak dawał sobie radę? Czy zgiął się pod brzemieniem lat i słabnącego umysłu? W takich chwilach zaczynało mi się wydawać, że za zemstę w imieniu zmarłych płacę zbyt wysoką cenę, opuszczając żywych.

Podobne rozmyślenia zachowywałem dla siebie. Wciąż obawiałem się próbować użycia Mocy. Napór magii, jaki męczył mnie w Kelsingrze, znacznie osłabł, jednak żywostatek, który stale miałem pod stopami, wciąż naciskał na mury chroniące mój umysł.

Już niedługo. Niedługo spróbuję, obiecałem sobie.

Nawet w czasie bardzo krótkiego połączenia Mocą można było przekazać znacznie więcej niż drobnymi literkami na zwitku powierzonym gołębiowi pocztowemu.

Już wkrótce.



Któregoś wieczoru, gdy zakotwiczyliśmy na noc, Skelly wzięła łuk, kołczan i bez słowa wyszła na pokład. Nikt nie ruszył się z miejsca, póki nie dobiegł nas jej okrzyk:

– Trafiłam świnie rzezną! Świeża wieprzowina!

Wtedy rozległy się rozradowane głosy i od razu zawrzała praca przy wyciąganiu z wody upolowanego zwierzęcia. Oporządkowaliśmy je na wąskiej, błotnistej plaży.

Tamtego wieczoru mieliśmy prawdziwą ucztę. Rozpaliliśmy ognisko, dorzuciliśmy zielonych gałęzi i upiekliśmy pasy mięsa nad ogniem, w dymie. Pieczyste wprawiło załogę w dobry nastrój, a Niestrudzony z wdziękiem przyjął na siebie rolę ofiary rubasznych kpin i żartów. Traktowano go już jak swego. Po jedzeniu ognisko, na którym piekliśmy zdobycz, odsuwało od nas ciemność i trzymało na dystans owady. Strzyk poszedł do lasu po więcej opału, a wrócił z naręczem powoju z wczesnym pachnącym kwieciem. Skierka złożyła część sprężystych gałązek w dłonie pani Amber, po czym uwiła sobie koronę z girlandy. Henesej zaintonował frywolną przyśpiewkę, załoga mu zawtórowała. Uśmiechałem się i robiłem, co mogłem, by nie wyglądać ani na skrytobójcę ani na ojca pogrążonego w żałobie po stracie dziecka, lecz przyłączyć się do nich nie potrafiłem, bo czułbym się zdrajcą, który zapomniał o Pszczółce i o tym, że jej krótkie życie dobiegło końca.

Gdy pani Amber oznajmiła, że jest zmęczona, zapewniłem Skierkę, iż powinna zostać na łodzi ze Strzykiem oraz Niestrudzonym. Poprowadziłem strudzoną kobietę błotnistym brzegiem do szorstkiej sznurkowej drabinki zwisającej z burty „Smolistego”. Niełatwo było pani Amber wspiąć się na szczeble wiotkiej podpory, długa spódnica krępowiała jej ruchy.

– Nie byłoby ci wygodniej przestać udawać panią Amber?

Stanąwszy na pokładzie, uporządkowała strój.

– A kogo miałabym udawać?

Jak zawsze w podobnych sytuacjach, poczułem ukłucie bólu. Czy Błazen, jako postać, był kolejnym wcieleniem, stworzonym specjalnie na mój użytek?

Odezwał się, jakby słyszał moje myśli:

– Nikt nie wie o mnie tyle, co ty, Bastardzie. Obnażyłem przed tobą tyle prawdy, ile śmiałem.

– Chodź – powiedziałem.

Podaliśmy mu rękę i obaj zabraliśmy się do ściągania ubłoconego obuwia, ponieważ kapitan Lewszun nie bez powodu uważał, że pokład powinien być czysty. Zrzuciłem brud z naszych butów za burtę i, trzymając je w rękę, poszliśmy do kajuty. Z brzegu dobiegł nagły wybuch śmiechu. Snop iskier poszybował w górę, gdy ktoś wrzucił do ognia ciężki kawał drewna.

– Dobrze, że się w końcu trochę rozweselą.

– Dobrze – przytaknąłem.

Skierka i Niestrudzony nie zaznali szczęśliwego dzieciństwa. A Strzykowi także należała się odrobina radości, jako wyłom w ciągłej melancholii.

Poszedłem do kambuza po latarnię. Nim wróciłem do kajuty, Błazen zdążył się pozbyć pretensjonalnego kobiecego stroju i przebrać w swoje zwykłe rzeczy. Starł z twarzy farbki. Utworzyły na ręczniku podobiznę szlachetnej pani. Gdy się do mnie odwrócił, miał na ustach znajomy uśmiech Błazna. Niestety, w nikłym blasku latarenki na jego twarzy i rękach wciąż widoczne były liczne ślady tortur, podobne do srebrnych nitek. Opuszki palców odrosły mu grube i sztywne. Za sprawą moich wysiłków oraz smoczej krwi ciało przyjaciela zdrowiało szybciej, niżbym śmiało marzyć, lecz dało się już zauważyć, iż nigdy nie będzie taki jak wcześniej.

Właściwie to spostrzeżenie dotyczy każdego.

– Czemu tak wzdychasz?

– Pomyślałem o tym, jak bardzo zmieniło się nasze życie. Mogłem być... Mogłem być dobrym ojcem, tak mi się wydaje.

Tak, oczywiście. Palenie nocą ciała zamordowanego posłańca to wspaniałe doświadczenie dla dziecka, doskonały przykład ze strony ojca.

– Cóż... – Usiadł na niższej pryczy.

Wyższa była starannie zasłana. Pozostałe dwie służyły głównie jako skład garderoby, a trochę tego było.

– Znowu śnię – przyznał z westchnieniem.

– Tak?

– I w dodatku te sny mają znaczenie. Wymagają opowiedzenia lub zapisania.

Jakiś czas czekałem bez słowa.

– No i? – spytałem w końcu.

– Bardzo trudno wyrazić, jakie to uczucie ta nieprzeparta chęć dzielenia się ważnymi snami.

Starłem się być domyślny.

– Chcesz się nimi ze mną podzielić? A może Lewszun czy Alise mają coś do pisania? Mógłbym spisywać sny pod twoje dyktando.

– Nie! – Zasłonił usta, jakby ten gwałtowny sprzeciw go zdradził. – Opowiedziałem je Skierce. Była przy mnie, gdy obudziłem się w okropnym stanie. Wszystko jej opowiedziałem.

– O światoburcy.

Nie odpowiedział od razu.

– Tak – przyznał w końcu. – O światoburcy.

– Czujesz się winny?

Pokiwał głową.

– Złożyłem na jej barki ogromne brzemię. A już i tak wiele dla mnie zrobiła.

– Moim zdaniem nie masz powodu do zmartwienia. Dziewczyna zdaje sobie sprawę, że jestem światoburcą. Że mamy zamiar zetrzeć Clerres z powierzchni ziemi. W twoich snach powtarza się to, co i tak wszyscy wiemy.

Potańuda, po czym splótł palce.

– Wszyscy wiemy... – powtórzył głosem bez wyrazu. – Tak... – I nagle oznajmił:
– Dobrej nocy, Bastardzie. Muszę już spać.

– Dobrej nocy wobec tego. Mam nadzieję, że przyśni ci się coś przyjemnego.

– A ja mam nadzieję, że nic mi się nie przyśni.

Jakoś dziwnie się czułem, gdy wyszedłem, zabierając latarnię. Zostawiłem go w ciemnościach. Od jakiegoś czasu stale w nich tkwił.

Rozdział 10

Zapiski Pszczoły

Przygotowanie grotu wymaga pewnej ręki. Nie można czynić tego w rękawiczkach, więc należy zachować najwyższą ostrożność, gdyż przy najmniejszym skaleczeniu natychmiast dochodzi do zakażenia, a wówczas pasożyty szybko się namnażają. Lekarstwo nie istnieje.

Odkryłem, iż najskuteczniejsze jest połączenie jajeczek włosienia krętego oraz robaka, który rośnie właściwie bez ograniczeń, wczepiony w kiszki człowieka. Powoduje ono długotrwałą i bolesną śmierć. Wprowadzenie tylko jednego rodzaju szkodnika sprawi ofierze wiele przykrości, lecz jej nie uśmierci. Dopiero wspólny atak obu doprowadzi do zejścia najwłaściwszego dla tchórzy i odszczepieńców, którzy wąż się zdradzić Clerres.

Wynalazki moje różne – Kultri z Rady Czworoga

Po kilku dniach na pokładzie „Smolistego” przywykłem do stałego lekkiego nacisku statku na świadomość. W dalszym ciągu nie podobała mi się myśl, iż będzie on znał każdą wiadomość, jaką bym zechciał przesłać Mocą, lecz mimo to, po dłuższym namyśle, postanowiłem zaryzykować i spróbować nawiązać kontakt z domem.

Pani Amber siedziała na koi naprzeciwko. Tuż obok niej, na półce, stał kubek z parującym naparem. W ciasnej kabinie prawie dotykaliśmy się kolanami. Westchnęła, rozwinęła ozdobny szal chroniący włosy i strząsnęła z niego wilgoć. W następnej chwili Błazen energicznie rozwichrzył sobie włosy, by szybciej wyschły. Nie miał już na głowie puchu jak z dmuchawca, który zdobił go za dziecinnych lat, ani miodowych pukli, jak za czasów, gdy był panem Złocistym. Ku memu zdumieniu jasnoblonde pasma mieszały się z siwymi, niczym u starca. Te siwe wyrastały z blizn. Otarł palce o spódnicę i posłał mi znużony uśmiech.

– Jesteś gotowy? – spytałem.

– Gotowy i doskonale zaopatrzony – zapewnił.

– Jak się zorientujesz, czy potrzebuję twojej pomocy? Co zrobisz, jeśli się zatracę?

– Jeżeli się do ciebie odezwę, a ty nie odpowiesz, potrząsnę tobą energicznie. Jeśli nadal nie będziesz reagował, zmuszę cię do wypicia naparu.

– Nawet się nie zorientowałem, że po to poprosiłeś o wrzątek Skierkę.

– Bo nie po to. – Upił łyk z kubka. – A w każdym razie nie tylko.

– A gdyby i to nie pomogło?

Pomacał pryczę obok siebie i pokazał mi niewielki woreczek.

– Kozłek. Dzięki uprzejmości Strzyka. Drobnio zmielony, więc można go łatwo zmieszać z naparem albo po prostu wetknąć ci w usta. – Przekrzywił głowę. – Jeżeli kozłek nie pomoże, złapię cię posrebrzonymi palcami za nadgarstek. Ale zapewniam, że będę to traktował jako ostatnią deskę ratunku.

– A co wówczas, gdybyś, zamiast mnie odciąć od nurtu Mocy, sam został wciągnięty?

– A co wówczas, gdyby „Smolisty” uderzył w skałę i utonęlibyśmy w żrącej toni Dzikiej Rzeki Deszczowej?

Patrzyłem na niego bez słowa.

– Bastardzie, albo bierzmy się do roboty, albo zrezygnujmy, ale przestań zwlekać. Jesteśmy z dala od Kelsingry. Spróbuj. Spróbuj sięgnąć Mocą.

Skupiłem się, a oczom pozwoliłem spojrzeć w dal, wyrównałem oddech i powolnie opuściłem barierę chroniącą umysł. Poczułem strumień Mocy, zimny i potężny niczym rzeka pod kadłubem barki. I tak samo niebezpieczny. Nie był to nurt, jaki zagarnął mnie w Kelsingrze, jednak wiedziałem, że kryją się w nim nieoczekiwane wiry i prądy. Zawahałem się nad brzegiem, po czym wszedłem weń, szukając Pokrzywy. Nie znalazłem jej. Sięgnąłem ku Młotkowi. Odległe tony muzyki mogły oznaczać jego obecność, lecz szybko ucichły, jakby porwał je wiatr. Król Sumienny? Nieobecny. Raz jeszcze Pokrzywa. Wydało mi się, że musnąłem palcami twarz córki, lecz od razu mi się spod nich wyślizgnęła. Cierń? Nie. Nie chciałem rozproszyć się w nurcie Mocy razem z moim starym nauczycielem. Gdy widzieliśmy się ostatnio, krótkie chwile rozsądku stanowiły nieliczne wysepki na oceanie braku przytomności umysłu. Jego talent do korzystania z królewskiej magii, zawsze kapryśny, wykorzystywany bez cienia ostrożności, chwilami grzmiał niczym burza. Przy poprzednim złączeniu Mocą Cierń omal nie pociągnął mnie za sobą. Nie powinienem szukać Ciernia.

Sam się znalazł. Jakby mnie stary duch pochwycił gwałtownie za rękę. Niezależnie od własnej woli wpadłem prosto w bystry nurt magii.

„Chłopcze! Jak ja się za tobą stęskniłem!”

Jego myśli zamknęły mnie w ciasnej sieci czułości. Stawałem się osobą, którą chciał we mnie widzieć. Jak glina wepchnięta w formę. Te fragmenty mnie, których

nie znał, traciłem odcinane.

„Przestań! Puść mnie! Muszę zamienić słowo z Pokrzywą i królem Sumiennym! Mam wieści z Kelsingry, od Smoczycch Kupców!”

Zaśmiał się lekko, ciepło, a przecież zmroził mnie miękkim naciskiem jego myśli.

„Daj spokój. Rzuć to wszystko i przyłącz się do nas. Tu nie ma samotności, nie ma rozłąki... bólu kości, znużenia ciała... Jest zupełnie inaczej, niż nam mówiono, Bastardzie! Wszystkie te ostrzeżenia i złowieszcze przewidywania... nieprawda! Świat i bez nas da sobie radę. Rzuć to wszystko, chodź!”

Czy rzeczywiście? Jego słowa przesiąknięte były szczerym przekonaniem. Odprężyłem się w jego objęciach, a nurt Mocy grzmiał ogłuszająco.

„Nie rozpadamy się”.

„Trzymam cię mocno. Jesteś częścią mnie. To jak lekcja pływania. Nie nauczysz się, póki nie wejdiesz do wody. Odsuń się od brzegu. Jeśli do niego przyłgniesz, nie możesz płynąć i w efekcie jesteś rozdarty”.

Zawsze był ode mnie mądrzejszy. Odkąd pamiętam, uczył mnie, wspomagał dobrymi radami, polecał i nakazywał. Teraz również był spokojny i zadowolony. A nawet szczęśliwy. Czy kiedykolwiek widziałem Ciernia zadowolonego albo wręcz szczęśliwego? Przesunąłem się ku niemu, a on objął mnie mocniej, serdeczniej. Czy to Moc mnie zagarniała? Gdzie kończył się Cień, a zaczynała magia? Czy już utonął w czarnej rzece? Czy ciągnął mnie za sobą na dno?

„Cierniu! Cierniu Spadająca Gwiazdo! Wróć do nas! Królu, pomóż, sprzeciwia mi się”.

Pokrzywa chwyciła starca i próbowała ode mnie oddzielić. Przywarłem do niego ze wszystkich sił. Byle tylko mnie dostrzegła! Nic z tego. Nie pojmowała, że to ja. Nie zwracała na mnie uwagi. Koniecznie chciała nas rozgranicyć.

„Pokrzywo!” – ryknąłem.

Cisnąłem jej imieniem, by wyrwało się spośród natłoku, gonitwy otaczających myśli. Myśli? Nie. To nie były myśli. To były byty. Istnienia.

Zepchnąłem na bok wszelkie rozważania. Zamiast przywierać do Ciernia, pchnąłem go do Pokrzywy.

„Mam go!” – krzyknęła do władcy, którego ledwo wyczuwałem. A potem, z nagłym przestraszeniem: – „Tato? Jesteś tam? Żyjesz?”

„Tak. Wszyscy żyjemy. Poślę ci wiadomość z Miasta Wolnego Handlu”.

Pozbawiony Ciernia strumień Mocy zaczął mnie rozdzierać. Usiłowałem się wycofać, lecz magia wciągała mnie jak bagno. Im energiczniej się szarpałem, tym szybciej i głębiej mnie wsysała. Byty. Istnienia. Nurt składał się z istot, a wszystkie one czepiały się mnie, targały, szarpały. Zebrałem siły, rzuciłem się pod prąd

i jednocześnie zatrzasnąłem dostęp do umysłu. Otworzywszy oczy, zobaczyłem, uszczęśliwiony, ciasną kajutę. Złożyłem się wpół, siedząc na piętach. Rozdygotany oddychałem z trudem.

– I co? – zapytał Błazen.

– O mało nie zatrałem się w Mocy. Natrafiłem na Ciernia. Próbował mnie wciągnąć w nurt magii.

– Co takiego?

– Powiedział, że wszystko, czego się na jej temat nauczyłem, jest nieprawdą. Namawiał, bym włączył się w strumień Mocy. „Rzuć to wszystko” – powiedział. I niewiele brakowało, a byłbym go posłuchał.

Ścisnął mnie za ramię osłoniętą dłonią i lekko potrząsnął.

– Bastardzie, mnie się zdawało, że nawet nie zacząłeś próbować. Poprosiłem cię, żebyś się wreszcie zdecydował, a ty zamilkłeś. Uznałem, że się boczysz. – Przekrzywił głowę. – Minęła zaledwie chwila.

– Chwila?

Wsparłem czoło na kolanach. Było mi niedobrze ze strachu, kręciło mi się w głowie, trawiło mnie pragnienie. Jakież to byłoby łatwe! Wystarczyło zaniechać ochrony umysłu. Po prostu... zniknąć. Połączyłbym się z innymi bytami, odpłynął. Zakończyłaby się moja beznadziejna wyprawa, razem z dojmującym poczuciem straty, które ogarniało mnie za każdym razem, gdy wspominałem Pszczołę. Przestałby mnie palić wstyd. Zniknęłoby upokorzenie na myśl, że każdy, kto mnie zna, wie również, jak bardzo zawiodłem jako ojciec. Mogłem przestać myśleć i czuć.

– Nie odchodź – odezwał się Błazen miękko.

– Co? – Powoli usiadłem prosto.

– Nie idź tam, gdzie nie będę mógł za tobą podążyć. – Ścisnął moje ramię mocniej. – Nie zostawiaj mnie. Będę musiał sam dokończyć sprawę. Dotrzeć do Clerres, postarać się zabić tamich wszystkich. Chociaż mi się nie uda. Chociaż znowu trafię w ich ręce... – Puścił mnie, ciasno objął się ramionami. Nie zdawałem sobie sprawy z łączącej nas więzi, póki jej nie przerwał. – Któregoś dnia się rozstaniemy, to nieuniknione. Jeden będzie musiał trwać bez drugiego. Obaj o tym wiemy doskonale, jednak... Bastardzie... proszę cię, jeszcze nie teraz. Najpierw zrobmy to, co konieczne, choć to takie trudne...

– Nie zostawię cię. – Nie wiedziałem, czy mówię prawdę.

Chciałbym go zostawić, bo ta szaleńcza misja byłaby łatwiejsza, gdybym działał sam. Najpewniej w dalszym ciągu niemożliwa do wykonania, lecz przynajmniej porażka byłaby mniej dotkliwa. Mniej haniebna.

Błazen jakiś czas milczał zapatrzony niewidzącymi oczyma w przestrzeń.

– Obiecaj mi – zażądał w końcu.

– Co ci obiecać?

– Obiecaj mi, że nie dasz się skusić Cierniowi. Że nie zastanę cię któregoś razu w postaci pustej cielesnej powłoki pozbawionej rozumu. Obiecaj mi, że nie będziesz próbował porzucić mnie jak balast. Że nie zostawisz mnie „dla mojego bezpieczeństwa”. Żebyś mi nie zawadzał.

Nie odpowiedziałem od razu, bo chciałem znaleźć właściwe słowa, jednak szukałem ich zbyt długo.

– Nie możesz – odezwał się z goryczą. – Cóż. Przynajmniej wiem, na czym stoję. A ja, przyjacielu, chcę ci coś obiecać. Niezależnie od tego, co zrobisz, Bastardzie, obojętne, czy będziesz trzymał się na nogach, czy zostaniesz powalony, czy uciekniesz, czy umrzesz... ja wrócę do Clerres i zrobię, co w mojej mocy, by świat Sług legł w gruzach. Tak jak ci mówiłem: z tobą czy bez ciebie, muszę to zrobić, nie mam wyboru.

– Błaznie – spróbowałem po raz ostatni. – Wiesz, że jestem najwłaściwszym człowiekiem do tego zadania. A najlepiej pracuję sam. Powinieneś zostawić sprawę w moich rękach.

Jakiś czas nawet nie drgnął.

– Gdybym ja tobie powiedział to samo – spytał w końcu – i wiedziałbyś, że mówię prawdę, pozwoliłbyś mi iść samemu? Siedziałbyś beczynnym i czekał, aż uratuję Pszczolę?

– Oczywiście – skłamałem bez trudu.

Zamilkł. Czy wiedział, że łgałem? Zapewne. Musieliśmy jednak obaj pogodzić się z faktami. On nie dałby sobie rady sam. We dwóch? Jego przemożny strach budził we mnie ogromne zastrzeżenia. Jeżeli ulegnie mu w Clerres... Po prostu nie mogłem go ze sobą zabrać. A z drugiej strony wiedziałem, że ostrzega mnie zupełnie poważnie. Dostanie się do Clerres, ze mną czy beze mnie. Gdybym zdołał dotrzeć tam jako pierwszy i wykonać zadanie... gdyby rzecz została zakończona, nie miałby powodu tam zdążyć.

A czy wybaczyłyby mi?

Gdy milczałem, pogrążony w myślach, on schował woreczek z kozłkiem na powrót w swoim bagażu, po czym upił odrobinę naparu.

– Herbata mi wystygła – oznajmił.

Wstał z kubkiem i spodeczkiem w dłoni, przygładził włosy, strząsnął spódnice i oto Błazen zniknął. Pani Amber, muskając ścianę czubkami palców, odszukała drzwi i zostawiła mnie samego na wąskiej koi.



Raz w czasie tej podróży posprzecaliśmy się na poważnie. Któregoś wieczoru przyszedłem do kajuty pani Amber o umówionej porze. Skierka już wychodziła, dosłownie minęliśmy się w progu. Twarz miała bladą i ściągniętą, rzuciła mi nieszczęśliwe spojrzenie. W pierwszej chwili zastanowiłem się, czy aby nie dostała jakiejś reprimendy od wielkiej damy. Obawiałem się, że zastanę przyjaciela w podłym nastroju.

Zamknąłem za sobą drzwi. W kajucie mrok rozpraszały żółte świece osadzone w szkle, a Błazen siedział przycupnięty na dolnej koi. Jego szara, wełniana koszula nocna wyraźnie przeszła swoje, prawdopodobnie została skradziona z garderoby Ciernia. Sińce pod oczyma mojego przyjaciela i zrezygnowany grymas ust dodawały mu lat. Usiadłem na koi po przeciwnej stronie i czekałem. W pewnej chwili zauważyłem obok Błazna mój naprędce sklecony plecak.

– Co to tu robi?

W pierwszej chwili pomyślałem, że moja własność znalazła się w tej kajucie przypadkiem.

Błazen zaborczym gestem położył rękę na plecaku.

– Obiecałem wziąć na siebie całą winę – stwierdził ochryple. – Niestety obawiam się, że straciłem przyjaźń Skierki. Ona mi go przyniosła.

Zimny dreszcz przeszedł mi po plecach, krew zlodowaciała. Świadomie dokonałem bardzo trudnego wyboru: żadnego gniewu, choć wściekła furia z pasją szturmowała barykady zdrowego rozsądku. Znałem odpowiedź, lecz jednak zapytałem:

– A dlaczego poprosiłeś ją, żeby ci go przyniosła?

– Bo Niestrudzony wspomniał jej, że masz bruliony należące do Pszczoły. Widywał, jak je czytałeś. Dwa. Jeden w barwnej, zdobnej okładce, drugi całkiem zwyczajny. Rozpoznał jej pismo, gdy zerknął ci nad ramieniem, wspinając się na swoją koję.

Zadygotałem ze strachu, gdy sobie uświadomiłem rozmiary swojego gniewu. Skupiłem się na opanowaniu oddechu, tak jak nauczył mnie Cierń: cicho, wręcz bezdźwięcznie, skrytobójca tuż przed wykonaniem zadania. Stłumiłem emocje. Nie wolno mi było oswobodzić tak wielkiej gwałtowności.

– Myślę, że prowadziła dziennik snów – powiedział Błazen miękko. – Jeżeli była moja, jeśli w jej żyłach płynęła krew Białych, to z pewnością śniła. I musiała te sny przekazywać: zapisywać lub komuś opowiadać, inaczej nie mogła. To bezwzględna

konieczność. Bastardzie? Jesteś rozgniewany? Bije we mnie twoja wściekłość. – Westchnął. – Tak czy inaczej, musisz mi przeczytać, co napisała. Chcę poznać treść jej zapisków. Od początku do końca.

– Nie. – Jedno słowo.

Jedno słowo potrafiłem wypowiedzieć głosem spokojnym, opanowanym i bez wyrazu.

Barki mu się uniosły, po czym opadły poruszone głębszym oddechem. Czy on także walczył o zachowanie opanowania?

– Mogłem je przed tobą ukryć – powiedział głosem napiętym jak lina wisielca. – Mogłem nakłonić Skierkę, by mi czytała zapiski Pszczoły po kryjomu.

Rozluźniłem zaciśnięte pięści i szczęki.

– Rzeczywiście, mogłeś znieważyć mnie bardziej.

Zsunął rękę z plecaka. Obie dłonie ułożył wnętrzem do góry na kolanach. Musiałem pochylić się bliżej, by usłyszeć, co szepcze.

– Jeżeli ci się zdaje, że to są przypadkowe notatki bez żadnego znaczenia, twój gniew jest zrozumiały, jednak nie wolno ci tak sądzić. To są słowa białego proroka. – Ściszył głos jeszcze bardziej. – Proroctwa twojej córki, Bastardzie. Twojej Pszczoły. Twojej i mojej.

Jego słowa nie zabolowałyby mnie bardziej, gdyby wyrzucił mnie kijem prosto w brzuch.

– Pszczoła była moją córką – wydobyło mi się z gardła wilczym warkotem. – Nie będę się nią dzielił!

Szczerłość potrafi być jak wrzątek pryskający w najbardziej niefortunnej chwili. Czy uświadamiałem sobie źródło własnego gniewu, zanim ubrałem je w słowa?

– Wiem, że nie chcesz, ale musisz. – Nieznacznie dotknął plecaka. – Tyle nam po sobie zostawiła. Raz, przez krótki czas, trzymałem ją w ramionach, gdy jej talent eksplodował jak gejzer światła w najmroczniejszą noc, i już nigdy nic więcej nie będzie mi dane. Bastardzie, bardzo cię proszę, błagam. Podaruj mi chociaż tyle.

Milczałem. Nie mogłem. Za dużo było w tych notatkach. W pamiętniku, pisząc o czasie, kiedy trzymała się ode mnie z dala, nie wspominała o mnie prawie wcale. Za trudne to było dla dziewczuszki toczącej bezlitosną walkę z innymi dziećmi z Białego Gaju. Czytając kolejne wpisy, czułem się jak ostatni tchórz, płonąłem ze wstydu, że byłem w roli ojca ślepy i głuchy. Opis starcia ze Strzykiem i naszej rozmowy, gdy przyrzekłem córce, że zawsze będę trzymał jej stronę, pokazywał wyraźnie, jak bardzo zawiodłem ją również pod tym względem. Jak miałem przeczytać te stronicie na głos? Błaznowi? Obnażyć swoje upokorzenie?

Doskonale wiedział, że nie mogą się z nim tym podzielić. Miał tę świadomość,

zanim o to poprosił. Znał mnie dostatecznie dobrze. Zdawał sobie sprawę, że pewnych granic nie przekroczyć. Po co więc w ogóle prosił?

Ujął plecak w obie ręce, przytulił do piersi. W jego oczach wezbrały złote łzy. Wolno spłynęły po bliznach. Przycisnął plecak raz jeszcze i mi go oddał. Poczujęm się jak rozwydrzony bachor, który podporządkował sobie rodziców. Szybko przejąłem worek i natychmiast go otworzyłem. Niewiele tam było poza brulionami Pszczoły i świecami Sikorki. Prawie wszystkie ubrania, ognistą cegłę Najstarszych oraz inne drobiazgi porozkładałem w szafkach. W plecaku na dnie, owinięte w koszulę, zostały cylindry ze smoczym srebrem, ponieważ ocenilem, iż nikt nie będzie ruszał moich rzeczy osobistych. Sprawdziłem, były nadal zabezpieczone tak, jak je zostawiłem. Innymi słowy, Błazen powiedział prawdę: nie szperał w moim plecaku. Z wnętrza worka uniosła się ku mnie smuga zapachu. Wciągnąłem w nozdrza woń świec Sikorki. Razem z nią pojawił się spokój. Jasność umysłu. Wyjąłem bruliony, żeby bezpieczniej ułożyć woskowe stożki.

– Przykro mi, że cię zraniłem – powiedział Błazen z wahaniem. – Bardzo mi zależy, żebyś nie winił Skierki. Ani Niestrudzonego. On wspomniał o sprawie przypadkiem, a ją zmusiłem do pomocy.

Spokój Sikorki. Upór Sikorki. Jej pojęcie słuszności. Dlaczego to takie trudne? Czy w zapiskach mojego dziecka znajduje się coś, czego Błazen by jeszcze o mnie nie wiedział? Co miałem do stracenia? Przecież już wszystko straciłem.

I on także.

Skórzana okładka dziennika snów była w jednym rogu pomarszczona, w miejscu gdzie zmoczył ją śnieg. Przeciągnąłem po niej kciukiem, próbując wygładzić. Bezskutecznie.

Powoli ją otworzyłem. Odchrząknąłem.

– Na pierwszej stronie – zacząłem. Głos uwiązł mi w gardle.

Błazen przeskoczył na mnie spojrzeniem niewidzących oczu, łzy spłynęły mu na policzki. Odchrząknąłem ponownie.

– Na pierwszej stronie znajduje się rysunek pszczoły. Owad jest odpowiedniej wielkości i ma rzeczywiste kolory. Nad nią widnieje napis ułożony w łuk: „To jest mój dziennik snów, tych ważnych”.

Mój przyjaciel siedział zmieniony w kamień. Oddech ugrzązł mu w krtani. Ja wstałem. Kajuta miała od ściany do ściany niecałe trzy kroki. Za sprawą jakiegoś uczucia, którego nie potrafiłem nazwać... ani to duma, ani egoizm... te trzy kroki były najtrudniejszym wyzwaniem w moim życiu. Usiadłem obok Błazna, przyglądałem stronie. Nie oddychał. Sięgnąłem nad jego nogami, uchwyciłem prawy wełniany rękaw, przesunąłem dłoń Błazna nad karty i musnąłem jego bezwładnymi palcami

leciuteńkie wypukłości znaków.

– To są te słowa. – Uniosłem znów jego rękę, ustawiłem palec wskazujący nad wizerunkiem owada. – A tutaj obrazek.

Uśmiechnął się i otarł nadgarstkiem policzki.

– Wyczuwam tusz.

I tak razem czytaliśmy zapiski porobione przez naszą córkę. Wciąż bardzo trudno było mi ją tak nazywać, lecz się do tego zmuszałem. Lektura szła powoli. To była jego decyzja, nie moja. Ku memu zdziwieniu nie interesowała go treść pamiętnika. Chciał poznać sny Pszczoły. Począwszy od tamtego wieczoru, wspólne czytanie stało się naszym rytuałem. Codziennie odczytywałem na głos kilka snów. Trzy lub cztery, nie więcej. Zazwyczaj powtarzałem jeden kilkakrotnie, a nawet i dziesięć razy. Błazen bezgłośnie poruszał ustami, jakby uczył się ich na pamięć. Uśmiechał się, gdy czytałem jego ulubioną opowieść o biegnących wilkach. Gdy pierwszy raz usłyszał sen o świecach, wyprostował się gwałtownie, a po ostatnich słowach na długi czas popadł w zamyślenie. Historia o tym, jak Pszczoła stała się orzeszkiem, zdumiała go i, tak samo jak mnie, zaintrygowała. Tego wieczoru, gdy przeczytałem sen o panu motyłu, płakał.

– Och, Bastardzie, ona miała talent! Miała prawdziwy dar! A oni ją zniszczyli...

– A my zniszczymy ich – obiecałem.

– Bastardzie... – Miętko wypowiedziane słowo zatrzymało mnie przy drzwiach. – Czy jesteśmy pewni, że jej nie ma? Ty, na przykład, wracając z Aslevjału, ugrzązłeś w filarach Mocy, a jednak w końcu dotarłeś do Koziej Twierdzy.

– Porzuć nadzieję. Mnie szkolono w posługiwaniu się królewską magią. Pszczoła nie miała o Mocy żadnego pojęcia. Weszła w kamień bez praktyki, wciągnięta tam jako jedno z ogniw ludzkiego łańcucha. Żadne z nich nie wiedziało, na co się porywają. Tyle wiemy od Światłej. Pokrzywa z całym kręgiem nie znalazła po nich nawet śladu. Także i my, gdy kilka miesięcy później ruszyliśmy tą samą drogą, nie odkryliśmy żadnych znaków świadczących o ich obecności. Już po niej, Błaznie. Została rozdarta, rozszarpana, rozrzucana w nicości. – Wolałbym, żeby nie nakłonił mnie do powiedzenia tych słów głośno. – Została nam tylko zemsta.



Nie spałem dobrze na pokładzie „Smolistego”. W jakimś sensie czułem się tak, jakbym próbował usnąć na grzbiecie kolosalnego zwierzęcia, stale miałem go na granicy Rozumienia. Dawniej często zdarzało mi się spać z wilczym grzbietem

przy brzuchu, jednak Ślepun dawał mi wsparcie, gdyż dzielił ze mną wrażliwość na otoczenie, wyostrzał moje niewydolne, ludzkie zmysły. Przy nim zawsze spało mi się lepiej. A przy „Smolistym” – gorzej. Stanowił istotę całkowicie odrębną. Chyba najtrafniejsze byłoby porównanie do prób zaśnięcia pod jakimś baczynym spojrzeniem. Próżno by szukać w jego stosunku do mnie wrogości, jednak ciągła obecność działała mi na nerwy.

Nic więc dziwnego, że miałem kłopoty z zaśnięciem nawet w środku nocy albo budziłem się w szarej godzinie tuż przed świtem. Swoją drogą jutrzienka na Dzikiej Rzece Deszczowej wyglądała oszałamiająco. W ciągu dnia podróżowaliśmy pasem światła na środku rzeki, natomiast wschód i zachód słońca ginęły między drzewami spowitymi tumanem sinawej mgły. Moje ciało, mimo to, doskonale wiedziało, kiedy wstaje nowy dzień, więc budziłem się w porannej szarówce, wychodziłem na nieruchomy, wilgotny pokład i stałem w rozgłosie budzącego się lasu. O tej szczególnej porze, gdy osiągałem stan tak bliski samotności, jak to było możliwe na statku, znajdowałem odrobinę spokoju. Zawsze był ktoś na wachcie, jednak większość marynarzy szanowała moją potrzebę odosobnienia.

Któregoś razu o takiej wczesnej porze stanąłem przy lewej burcie i patrzyłem w stronę, z której przybyliśmy. W obu dłoniach trzymałem kubek gorącego wywaru. Cudownie ciepły. Dmuchałem lekko i zawiesiłem wzrok na wzbierającym obłoczku pary. Właśnie miałem upić łyk, gdy usłyszałem za sobą miękkie kroki.

– Dzień dobry – przywitałem Skierkę.

Nie odwróciłem się, nie spojrzałem na nią, ale jeśli była zdziwiona, że ją rozpoznałem po samym ruchu, niczego po sobie nie pokazała. Podeszła, wsparła dłoń na relingu.

– Skłamałabym – odezwała się – gdybym ci powiedziała, że mi przykro.

Siorbnąłem herbatę.

– Miło mi, że nie kłamiesz – powiedziałem szczerze.

Cierń zawsze podkreślał, że szpieg musi świetnie oszukiwać, i kazał mi doskonalić fałszywą szczerotę, by robiła wrażenie prawdziwej. W ślad za tą myślą pojawiła się ciekawość: może dziewczyna jednak kłamała i w rzeczywistości było jej przykro? Odsunąłem od siebie tę zawiłą koncepcję.

– Jesteś na mnie zły, panie?

– Ani trochę – skłamałem z wprawą. – Oczekiwałem od ciebie lojalności wobec twojej pani. W innym razie nie mógłbym ci ufać.

– Nie powinnam ciebie, panie, stawiać na pierwszym miejscu? Znam cię dłużej niż panią Amber. Wielmożny pan Cierń polecił mi cię słuchać.

– On już nie może być twoim mistrzem, wybrałaś sobie mentorkę. Bądź wierna

pani Amber. – Postanowiłem dorzucić okruch prawdy. – Ciesz się, że opiekuję się nią osoba kompetentna.

Ze wzrokiem wbitym we własne dłonie pokiwała głową. Sprawne, zręczne dłonie szpiega i skrytobójcy.

Postanowiłem zadać pytanie.

– Skąd wiedziałaś o brulionach?

– Od Niestrudzonego. Nie podejrzewał żadnej tajemnicy. Powiedział, że nie ma nic przeciwko nauce czytania, tylko nie lubi siedzieć bez ruchu i gapić się w papier. I przy tej okazji wspomniał o zapiskach panienki Pszczoły. Kiedyś pokazała mu kilka liter, rozpoznał jej pismo w brulionach, które widział w twoich rękach, panie. Chce nauczyć się czytać, by kiedyś samemu poznać ich treść.

Pokiwałem głową. Sam przyniósł mi jeden z brulionów po ataku niedźwiedzia. Nie uprzedziłem chłopaka, że to zapiski osobiste, a on nigdy o nic nie pytał. Nie mogłem mieć do niego pretensji. Natomiast do niej wciąż czułem niechęć, bo wyszukała oba notesy Pszczoły w moim plecaku i zaniosiła je pani Amber. Czy dotykała świec Sikorki? Czy znalazła cylindry ze smoczym srebrem ukryte w skarpetach? Oszczędziłem dziewczynie wymówek. I tak wiedziała, co czuję.

– Pani Amber wyjaśniła mi, gdzie ich szukać, i poprosiła, żebym przyniosła. Co miałam zrobić?

– To, co zrobiłaś – uciąłem.

Nie bardzo wiedziałem, po co w ogóle do mnie przyszła i zaczęła tę rozmowę. Nie robiłem jej żadnych uwag, nie traktowałem inaczej, odkąd dała Błaznowi zapiski Pszczoły. Cisza się przedłużała. Ochłonałem, wreszcie mój gniew przestał się palić zmieniony w mokrawe, przygasające węgielki, zamokłe od zniechęcenia naszą wyprawą. W końcu, co za różnica? Wcześniej czy później, Błazen znalazłby jakiś sposób na przeczytanie tych zapisków. A skoro już się to stało, pewnie rzeczywiście powinien wiedzieć, co zawiera treść brulionów. Dlaczego miałbym się irytować czy czuć zraniony, że Skierka ułatwiła mu sprawę? A jednak.

Dziewczyna odchrząknęła.

– Wielmożny pan Cierń uczył mnie o tajemnicach. Mówił o ich potędze. I że od chwili, gdy jakiś sekret zna więcej niż jedna osoba, może on stać się zagrożeniem, a nie źródłem władzy. – Umilkła na chwilę. – Umiem dotrzymać tajemnicy. Zwłaszcza cudzej. Chcę, żebyś to wiedział, panie. Potrafię trzymać język za zębami.

Spojrzałem na nią przenikliwie. Błazen miał wiele sekretów. Znałem tylko niektóre. Czyżby oferowała mi, w ramach przeprosin, odsłonięcie nowych? Obrażała mnie, jeśli sądziła, że może mnie przekupić, zdradzając tajemnice mojego

przyjaciela. Mogłem je już znać, ale nawet jeśli nie miałem o nich pojęcia, nie chciałem ich poznawać za sprawą zdrady. Ściągnąłem brwi i odwróciłem wzrok.

Jakiś czas milczała, a gdy w końcu się odezwała, to zrezygnowanym tonem.

– Chcę, panie, byś wiedział, że wobec ciebie także czuję się lojalna. Nie tak bardzo przywiązana, jak do pani Amber, jednak jestem ci winna wdzięczność. Chroniłeś mnie, jak mogłeś, gdy wielmożny pan Cierń zaczął słabnąć. To za twoją sprawą znalazłam się u pani Amber i obie na tym skorzystałyśmy. Mam wobec ciebie dług.

Wolno skinąłem głową.

– Najlepiej odwdzięczysz się, dobrze służąc pani Amber.

Jakiś czas chyba czekała, że powiem coś jeszcze. Ponieważ się nie odzywałem, westchnęła lekko.

– Rozumiem – rzekła. – Milczenie strzeże tajemnic.

Nadal patrzyłem na rzekę. Odeszła tak cicho, że tym razem tylko dzięki Rozumieniu pojąłem, iż ponownie jestem sam.



Pewnego spokojnego, bezchmurnego popołudnia zakotwiczyliśmy jak co dzień. Brzegi rzeki były tak samo, jak dotąd niedostępne. Drzewa schodziły aż do wody, a może należałoby raczej powiedzieć, że obrzęknięta rzeka wtargnęła do lasu. Gałęzie wiszące nad wodą tchnęły świeżością błyszczących listków. Barwnie umaszczone ptaki głośno sprzeczały się o miejsca lęgowe i właśnie z ich powodu popatrzyłem w górę. Najpierw zobaczyłem gniazdo, przekraczające rozmiarami granice mojej wyobraźni, a potem – dziecko, które z niego wyszło i różnym krokiem podążyło w stronę pnia. Wstrzymałem oddech, głos uwiązł mi w gardle, bałem się krzyknąć czy podnieść alarm, by go nie wystraszyć, by nie spadło. Wielki Edredon jako pierwszy zwrócił na mnie uwagę, zorientował się, na co patrzę, i podniósł rękę na powitanie. Wtedy zauważyłem, że z konstrukcji, którą wziąłem za gniazdo, wyszedł jakiś mężczyzna. Odpowiedział przyjaznym gestem i podążył za dzieckiem. To nie było gniazdo. To była chatka.

– Kryjówka myśliwego? – spytałem marynarza.

Popatrzył na mnie zdziwiony. Akurat przechodziła obok nas Bellin.

– Nie, to jego dom. Tutejsi muszą mieszkać na drzewach. Nie ma suchego lądu. Budują takie chaty. Czasem na jednym drzewie wisi ich pięć albo i sześć, każda to jeden pokój. Bezpieczniej niż jedna duża. – Poszła dalej, do jakiegoś pilnego

zadania, a ja stałem zmieniony w słup soli, ze wzrokiem wbitym w miasteczko zwieszające się z drzew.

Nie schodziłem z pokładu aż do wczesnego wieczora, ucząc się odszukiwać na drzewach grona domków. Gdy niebo zaczęło ciemnieć, w niektórych zapalono światła. Przeświecały one przez lekkie ścianki, zmieniając chatki w latarnie. Tamtej nocy zacumowaliśmy obok paru mniejszych łodzi, a mieszkańcy drzew schodzili do nas poplotkować, poartować, pohandlować. Najbardziej pożądane okazały się kawa i cukier. W zamian za niewielkie ilości jednego i drugiego oferowali świeżo zebrane liście, z których parzyło się orzeźwiający napar, i sznurki jaskrawych łusek węzowych. Bellin sprezentowała taki naszyjnik Skierce, a ta zachwycała się podarunkiem tak radośnie i szczerze, że twarz kobiety rozjaśniła się w uśmiechu.

– Jesteśmy już blisko Trehaugu – powiedział Lewszun przy kolacji. – Rano minimy Cassarick, przed wieczorem powinniśmy być w Trehaugu.

– Nie zatrzymamy się w Cassaricku? – spytał Niestrudzony. – To chyba tam lęgły się smoki?

– Tak. A teraz mieszkają zdrajcy. Ludzie, którzy sprzeniewierzyli się kupieckiemu honorowi i nie ponieśli z tego powodu żadnych konsekwencji. Udzielili schronienia chętnym do szlachtowania smoków, do pozyskiwania ich krwi, kości i łusek. Daliśmy im szansę, mogli odzyskać dobre imię, wymierzyć sprawiedliwość odszczepieńcom. Nie skorzystali. Żaden statek Smoczycich Kupców nie zatrzymuje się w tym mieście. I nikt nie będzie z nimi handlował, póki Kandral i jego zbiry nie zostaną postawieni przed obliczem sprawiedliwości.

Z twarzy Skierki odpłynął cały kolor. Czy aby dobrze ukryła fiołkę smoczej krwi podkradzioną Cierniowi? A może Błazen zużył całą zawartość? Jeszcze nie słyszałem, by Lewszun mówił z taką pasją, a mimo to pani Amber odezwała się spokojnie, nawet pogodnie.

– Nie mogę się doczekać, kiedy znowu zobaczę Altheę i Zuchwalca... – Westchnęła. – Powinnam raczej powiedzieć: „Kiedy spotkam”... Chciałabym ich zobaczyć. I Basałyka.

Kapitan Lewszun był zaskoczony.

– Zapomniałem, że się znacie... Tak czy inaczej, Basałyka nie będzie. Przed kilku laty wybrał się służyć na „Werwie”. Miał zostać sezon czy dwa i już nie wrócił. „Werwa” ma do niego prawo, nikt nie przeczy, ale rodzice niechętnie się z nim rozstali, wiadoma sprawa. Co zrobić, dorosły jest, ma prawo żyć po swojemu. Chociaż nosi nazwisko Trelle, to po matce jest Vestrit i „Werwa” może go chcieć. I on do niej też ma tytuł, chociaż Wyspy Pirackie pewnie by mogły dyskutować... – Zniżył głos. – „Niezrównany” nie był uszczęśliwiony jego odejściem. Zażądał

kompensaty. W postaci tego, który nosi jego imię. Niezrówanego Szczęsnego. Ponoć na Wyspach Prackich nazywają go Kennitasynem. – Podrapał się po zarośniętym policzku. – To syn tamtejszej królowej, a ona nie miała zamiaru puścić chłopaka. I tak „Niezrównany” uznał, że go oszukano. Statek widział to jako wymianę zakładników, chociaż podkreślił, że ma pełne prawo do obu. Ale królowa Etta zwyczajnie odmówiła. Nawet słyszeliśmy plotki, że Kennitasyn zalecał się do bogatej panny z Wysp Korzennych... Ba! Jeśli matka chce go ożenić, to najwyższy czas. Ma już chłopak swoje lata. Jak dostanie ciepłą żonkę, to mu się nie będzie chciało pływać. W końcu teraz wystarczy napomknąć cokolwiek na ten temat, a żywostatek robi się ponury i humorzasty. Dlatego raczej, im mniej pytań o Basałyka, tym lepiej.

– Chyba nie do końca rozumiem... – przyznałem cicho, chociaż pani Amber najwyraźniej pojęła wszystko w lot.

Lewszun nie odpowiedział od razu.

– Jak by to... – zaczął powoli. Zamierzał powiedzieć nam coś w zaufaniu. – Teraz na „Niezrównanym” dowodzą Althea i Zuchwalec, ale statek od pokoleń należał do rodziny Szczęsnych. Został ukradziony, jakiś czas pirat Igrot wykorzystywał go do ohydnych celów. Pocięty i podziurawiony jakoś dotarł na plażę przy Mieście Wolnego Handlu. Został wyciągnięty na brzeg i długie lata tkwił na lądzie. Dopiero Zuchwalec Trel i rodzina Vestrit się nim zajęli, kiedy zostało z niego już niewiele poza kadłubem. Naprawili go, przebudowali, spuścili na wodę. On jednak w głębi serca wciąż należał do Szczęsnych. Na jakiś czas stał się własnością Kennita Szczęsnego. Pirat umarł na jego pokładzie. Statek chce żeglować z synem Kennita. I z Basałykiem.

– A czy Althea ma cokolwiek do powiedzenia – spytała pani Amber – o tym, czy syn Kennita ma żyć na pokładzie „Niezrówanego”?

Lewszun podniósł na nią wzrok. Zrozumiałem, że za pozornie błahym pytaniem kryje się jakaś dłuższa historia.

– To kolejny temat, którego nie należy poruszać na pokładzie „Niezrówanego” – odparł tylko. – Nikt już nie nazywa go „szalonym statkiem”, jednak lepiej nie przeciągać struny. Althea też jest w tych sprawach drażliwa. Są pewne granice...

– Dziękuję za radę. – Pani Amber była szczerze wdzięczna. – Niebaczne słowa mogą wyrządzić wiele złego.

Trudno mi było zasnąć tej nocy. Zbliżał się następny etap podróży, zmiana środka transportu. Miałem posuwać się w głąb całkiem nieznanego terytorium, wiodąc ze sobą osoby ledwo wyrosłe z lat dziecińczych.

– Tak sobie myślę – powiedziałem w ciemność kajuty – czy kapitan może

zatrzymać cię na barce? Dobry z ciebie marynarz. Co sądzisz?

Odpowiedzią na moje słowa przez długi czas była cisza.

– Jak już będzie po wszystkim? – zabrzmiał w końcu głos Niestrudzonego zabarwiony niepokojem. – Kiedy będziemy się zbierać do domu?

– Nie. Jutro.

– Panie, przysięgałem ci służyć.

– Mogę cię zwolnić z przysięgi. Pomóc ci ruszyć przez życie lepszą drogą niż ta, którą ja muszę podążać.

Usłyszałem, jak nabiera powietrza.

– Tak, panie, to prawda, możesz mnie zwolnić z przysięgi i ze służby, jeśli zechcesz się mnie pozbyć. Ale tylko panienka Pszczoła mogłaby zdecydować, że mam rezygnować z zemsty. Odpraw mnie, skoro tak uważasz, jednak będę podążał z wami aż do końca.

Strzyk poprawił się na koi. Sądziłem, że dawno zasnął – i może się nie myliłem, bo głos miał niewyraźny.

– Nawet nie próbuj ze mną takich podchodów – uprzedził lojalnie. – U mnie to samo, co u niego. Złożyłem obietnicę ojcu i nie nakłonisz mnie, bym złamał słowo. Będziemy z tobą, Bastardzie, aż do końca. Obojętne jak marnego.

Nie odpowiedziałem, lecz myślałem gorączkowo. Co oznaczało dla Strzyka „do końca”? Czy miałem szansę przekonać go, że wypełnił swój obowiązek i może beze mnie wracać do Koziej Twierdzy z podniesionym czołem? Nie chciałem puszczać Skierki i Niestrudzonego w długą podróż bez opieki. Mogłem udać, że odebrałem przesłane Mocą królewskie wezwanie, by Strzyk pilnie wracał do Ciernia. Zorientowałyby się w podstępnie dopiero w domu.

Taaak.

Podciągnąłem kolana pod brodę, by lepiej ułożyć się na krótkiej koi i zamknąłem oczy.

Jedno postanowione. Drobne, lecz przekonujące kłamstwo w Mieście Wolnego Handlu pozwoli mi przynajmniej Strzyka załadować na statek płynący do domu. Teraz musiałem jeszcze wymyślić, jak pozbyć się Niestrudzonego. I Skierki.



Następny dzień upłynął zgodnie z przewidywaniami Lewszuna. Załoga zaczęła się z nami żegnać już przy śniadaniu.

– Będzie mi cię brakowało, pani! – stwierdziła Alise, ściskając panią Amber.

Bellin zostawiła przy nakryciu Skierki parę kolczyków z muszli. Nie dało się ukryć, że sroga kobieta polubiła dziewczuskę. Niestrudzony zęgnął się kolejno z marynarzami.

Ostatnie godziny spędziliśmy na dachu nadbudówki, gdyż dzień był cieplejszy, wystarczyło zapiąć płaszcz. Pogoda wreszcie się przełamała, deszcz ustał, nad rzeką zaśnił pas modrego nieba. Ledwo minęliśmy smoczą plażę łęgową, gdy Skelly wskazała nam rozłożone na czubkach drzew miasto. Cassarick. Nawet nie zwolniliśmy, kapitan nie odpowiadał na głośnie pozdrowienia. Pomiędzy tym dziwnym miastem a Trehaugiem chaty wisiały na drzewach gęsto niczym owoce na dobrze utrzymanych jabłoniach, nie potrafiłem ocenić, skąd wiadomo, gdzie kończy się jedna, a zaczyna druga osada, a przecież w którymś momencie Lewszun przestał ignorować powitania i przyjazne gesty. Mijaliśmy pływające pirsy, przytroczone do drzew i zacumowane przy nich stateczki. Tu i ówdzie ktoś łowił ryby, siedząc okrakiem na pniu nad rzeką. Wystarczyło spuścić do wody sznurek. „Smolisty” omijał ich z daleka, by nie ściągać linek. Zafascynowany przyglądałem się wiszącym chodnikom i gałęziom pełniącym rolę ścieżek. Skierka usiadła obok pani Amber i raz po raz z okrzykiem celowała palcem wskazującym w jakieś dziecko swobodnie biegnące po gałęzi, po której ona musiałaby posuwać się z najwyższą ostrożnością.

– Trehaug za najbliższym zakrętem! – krzyknęła Skelly, mijając przybudówkę.

Wielki Edredon podprowadził „Smolistego” bliżej do gęsto zarośniętego brzegu, gdzie płytsza woda płynęła nieco wolniej i spokojniej. Wkrótce załoga, zaopatrzona w drągi, bosaki i wiosła zaczęła kierować barkę w odpowiednią stronę. Szybko zdałem sobie sprawę, że dzieje się coś dziwnego, jakby więcej, niż miało prawo w odpowiedzi na działania marynarzy. Statek reagował zbyt ochoczo. Podzieliłem się tym wrażeniem ze Skierką, a ona rzuciła swobodnie:

– „Smolisty” pomaga załodze.

– Jak to? – drążyłem zaintrygowany.

– Przyjrzyj się, panie, jego rufie, gdy będziemy cumować następnym razem

– powiedziała z szerokim śmiechem, a widząc moją zdumioną minę, dodała: – I pomyśl, jak żaba rusza nogami.

Gdy minęliśmy zakręt i zobaczyłem Trehaug, wszelkie „żabie nogi” natychmiast wywietrzały mi z głowy. Było to najstarsze z miast Deszczowych Ostępów. Gigantyczne drzewa, skłaniające się nad szeroką, popielatą rzeką, były gęsto obwieszane mostami, przejściami oraz domami najróżniejszej wielkości. Z powodu bagnistego gruntu pod odwiecznym lasem nie dało się stawiać zwykłych budynków. Trehaug został niemal w całości w gałęziach drzew rosnących wzdłuż rzeki.

Większe domostwa, przywodzące na myśl dwory z Królestwa Sześciu Księstw, rozłożyły się na niższych, grubszych konarach. Kojarzyły mi się z domami charakterystycznymi dla Królestwa Górskiego, w których żywe drzewa stanowiły nieodłączny element struktury każdej budowli. Tutaj rzecz wyglądała nieco inaczej, drzewa nie były z domami zrosnięte, mogło się wydawać, że jakiś potężny sztorm przywiał ten i ów dom z Księstwa Trzody, osadzając je między gałęziami. Zbudowane zostały z litego drewna, w oknach miały szyby, wydawały się nadzwyczaj solidne. Akurat podziwiałem jedną z konstrukcji, zmontowaną wokół gigantycznego pnia, gdy Skelly powiedziała:

– To jest dom Khuprusów.

Popatrzyłem na budowlę innym okiem. Obraz wpływów i bogactwa. Posiadłość rodu panującego na długo przed tym, nim Reyn został „królem” Kelsingry. Prastara fortuna, widoczna w pobielających, sędziwych podporach. Zapisalem to sobie w pamięci. Użyteczne informacje, które należało przekazać do Koziej Twierdzy. Po dotarciu do Miasta Wolnego Handlu trzeba będzie posłać do króla Sumiennego kilka ptaków, gdyż wiedza, jaką miałem zamiar mu przekazać, z pewnością nie zmieści się w jednej kapsule.

– Aaale! Ja nie mogę! Ludzie! Widzieliście kiedy coś takiego?

Słyszając okrzyki Niestrudzonego, oderwałem wzrok od niewyobrażalnie wielkiego drzewa i spojrzałem na długi pirs przed nami. Przy nim stał zacumowany żywostatek ze zwiniętymi żaglami. Srebrzysty kadłub zaświadczał, iż nie jest to pierwsza lepsza łajba. W przeciwieństwie do „Smolistego” miał na dziobie starannie wyrzeźbioną figurę. Ciemna głowa zwisała, bezwładnie spuszczone, jakby galion spał z rękoma założonymi na muskularnej klatce piersiowej. Dziwacznie ktoś to obmyślił.

Nagle dostałem gęsiej skórki. Galion wolno uniósł głowę.

– Patrzy na nas! – wykrzyknęła Skierka. – O, pani moja, szkoda, że tego nie widzisz! On naprawdę jest żywy! Galion odwrócił się do nas i na nas patrzy!

Ja też patrzyłem. Z szeroko otwartymi ustami. Niestrudzony i Skierka z niedowierzaniem przenosili wzrok to na mnie, to na niego. Wszystkim nam zbrakło słów, tylko Strzyk odezwał się głośno:

– Słodka Edo... Bastardzie! On ma twoją twarz! Nawet złamany nos.

Pani Amber odchrząknęła i w nagłej ciszy odezwała się bez tchu.

– Bastardzie, bardzo cię proszę... Wszystko ci wyjaśnię.

Rozdział 11

Przeprawa

To najbardziej przerażający z moich snów. Winorośl dzieli się na dwa pędy. Na jednym rosną cztery świece. Zapalają się jedna po drugiej, lecz ich płomienie nie dają światła. A kruk mówi: „Cztery świece płoną na końcach czterech ścieżek. Cztery świece wskazują, gdzie jest twoje leże. Cztery świece – śmierć dziecka majaczy w oddali. Obydwaj: Wilk i fircyk swój czas zmarnowali”.

A potem na drugim pędzie winorośli nagle zapalają się trzy świece. Ich blask niemal oślepia. Ten sam kruk objaśnia: „Słońce przyćmiewają te trzy złote płomienie. W ich blasku zło wszelkie odchodzi w zapomnienie. Skrzydeł dodaje pragnienie zemsty fałszywe. Gdyż nie wiedzą, że ich dziecię wciąż jest żywe”.

Ni stąd ni z owąd kruczycyca trzyma złamaną świecę. Upuszcza ją, a ja łapię. Mówi wolno, zatrważającym głosem: „Rozpal ogień, dziecko. Do tego zostałaś zrodzona”.

Obudziłam się rozdygotana, wyskoczyłam z pościeli i pobiegłam do sypialni rodziców. Chciałam z nimi zostać, ale matka zaprowadziła mnie z powrotem do mojego pokoju i położyła się ze mną. Śpiewała mi, aż znowu odpłynęłam w sen. Byłam wtedy bardzo mała, ledwo nauczyłam się schodzić z łóżka, jednak rymowane słowa kruka zapamiętałam na zawsze. Narysowałam złamaną świecę, gdy trzyma ją ptak, a dwie jej części łączy tylko knot.

Pszczoly Przewornej „Dziennik snów”

Najwspanialszym elementem naszej podróży morskiej była choroba Dwalii. Dostaliśmy we czworo ciasne pomieszczenie, w którym znajdowały się dwie wąskie prycze, jedna nad drugą. Dwalia zajęła dolną i nie wstawała przez długie dni. Wiadro z wymiocinami oraz przepełniona pościel cuchnęły. W kabinie pozbawionej okien smród zmieniał stojące powietrze w zupę, z dnia na dzień gęściejszą.

Przez pierwsze dwa dni drogi ja też cierpiałam na chorobę morską. W którymś momencie Dwalia nakrzyczała na nas, że hałasujemy i wiercimy się bez ustanku,

a przez to ona czuje się jeszcze gorzej, i kazała nam się wynosić. Posłusznie wyszłam za Vindeliarem i Kerfem. Trafiliśmy do ciemnego pomieszczenia między pokładem a miejscem, gdzie złożono towary. Wzdłuż zakrzywionych ścian ciągnęły się tam ławy, dyndały zawieszono pod belkami lampy. Pośrodku rozwieszono hamaki, niektóre były zajęte, inne puste. Czułam smołę, oliwę do lamp, pot i zjełczałe jedzenie. Depcząc Kerfowi po piętach dotarłam do drabinki. Wspięłam się po niej, przeszłam przez kwadratowy właz, a gdy twarz owionął mi chłodny wiatr, natychmiast ozdrowiałam.

Od momentu, gdy mój żołądek pogodził się z faktem, że świat wokół mnie będzie kołysał się i podskakiwał, stanęłam na nogi. Dwalia wiedziała, że ze statku nie ucieknę, i niewiele więcej ją obchodziło. Za bardzo cierpiała. Mieliśmy własne jedzenie, ale niekiedy przyłączaliśmy się w czasie wieczornego posiłku do innych podróżnych. Była na statku kuchnia, zwana kambuzem, oraz pomieszczenie nazywane mesą, gdzie długi stół miał wypukły rant, rodzaj niewysokiego ogrodzenia wzdłuż każdego boku, dzięki któremu nie zsuwały się z niego kubki ani talerze. Jedzenie było ani dobre, ani złe, a mnie wystarczało, że w ogóle mogłam jeść, i to regularnie.

Odzywałam się rzadko, nieliczne polecenia, jakie wydawała mi Dwalia, wykonywałam posłusznie, a skupiałam się na poznawaniu statku oraz uważnym obserwowaniu Vindeliara i Kerfa. Dążyłam do tego, by uznali, że porzuciłam wszelki bunt. Chciałam uspić ich czujność. Miałam nadzieję odkryć jakiś sposób na ucieczkę w najbliższym porcie, gdyż wiatr dmący w żagle stale oddalał mnie od domu. Chwila za chwilą, dzień za dniem, moje dawne życie zostawało coraz dalej za rufą. Nikt nie mógł mnie uratować, gdyż nikt nie wiedział, gdzie mnie szukać. Jeśli miałam uniknąć losu, jaki dla mnie zgotowała Dwalia, musiałam sama o siebie zadbać. Wątpiłam, żeby udało mi się wrócić do Królestwa Sześciu Księstw, jednak wciąż miałam nadzieję na odzyskanie wolności, nawet gdybym miała żyć w jakimś nieznanym porcie, daleko od domu.

Lingstra kazała Vindeliarowi pilnować, żebyśmy wydawali się „nieciekawi” innym podróżnym i załodze, a on robił, co mógł. Nikt nas nie zagadywał, nie wodził za nami wzrokiem. Większość pasażerów stanowili kupcy z Krainy Miedzi płynący z towarami do różnych portów. Było kilka osób z Miasta Wolnego Handlu, z Deszczowych Ostępów i z Jamailli. Bogaci właściwie nie ruszali się z kabin, młodszy zajmowali płócienne hamaki. Płynęli z nami także niewolnicy, niektórzy cenni. Była między nimi piękna kobieta, która przechadzała się dumnym krokiem, niczym szlachetna klacz, choć na szyi miała niewolniczą obrozę, a obok nosa jasny tatuaż. Ciekawiło mnie, czy w ogóle była kiedyś wolna. Obserwowałam też

starszego, przygiętego do ziemi mężczyznę, który został sprzedany za stos złotych monet. Był uczonym, znał sześć języków, w każdym umiał mówić, pisać i czytać. Siedział z niewzruszonym spokojem, gdy chętna się o niego targowała. Na koniec pochylił się nad papierem i spisał dowód sprzedaży samego siebie. Prawie wodził nosem za piórem. Przez lata musiał napracować się jako skryba, świadczyły o tym sękaty palce. Co z nim będzie, gdy lata zrobią swoje?

Na statku czas płynie inaczej niż na łodzi. I w dzień, i w nocy żeglarze wciąż mają ręce pełne roboty. Dzwon rozwarstwia dzień na wachty i zawsze mnie budził. Gdy wybijał mnie ze snu, gdy leżałam na szorstkiej podłodze kajuty, oddychając kwaśnym odorem choroby Dwalii, marzyłam o ucieczce na pokład. Niestety, Kerf chrapał ułożony w poprzek wąskich drzwi. A nad Dwalią Vindeliar mamrotał coś przez sen.

Jeżeli już zasypiałam, śniłam. Czasami były to sny, które we mnie kipiwały. Gdy się z takiego budziłam, zapisywałam go palcem na deskach podłogi i usiłowałam wyrzucić z myśli, gdyż były to proroctwa mroczne, a zwiastowały dym, krew i śmierć.

Kilkakrotnie zdarzyło się nocą, gdy leżałam na podłodze w kajucie, wśród naszego skromnego dobytku, że słyszałam, jak Vindeliar z jękiem powtarza jedno słowo. „Bracie”. Po czym wzdychał głębiej i zapadał w spokojniejszy sen. Za którymś razem zebrałam się na odwagę i zaryzykowałam: obniżyłam nieco mur chroniący myśli, o który tak bardzo dbałam całymi dniami, i ze znieruchomiłym umysłem starałam się zbadać granice lurika.

Nie spodziewałam się tego, co zastałam.

Nawet przez sen pilnował Kerfa. Najemnik stał się bierny i posłuszny niczym krowa mleczna, choć takie zachowanie zadawało kłam jego ubiorowi i bliznom. Grzecznie prosił o jedzenie, dla kobiet podróżujących statkiem nie stanowił żadnego zagrożenia, nawet dla niewolnic, które pewnego dnia zostały rzędem wyprowadzone na pokład, by zaczerpnęły powietrza. Nie rzucił w ich stronę jednego spojrzenia. Tamtej szczególnej nocy czułam, że Vindeliar omotał go nudą odległą zaledwie o krok od zwątpienia. Skrzętnie ukrył przed nim świadomość triumfu i miłe wspomnienia. Teraz Kerf pamiętał wyłącznie nużące obowiązki. Miał dzień za dniem wypełniać rozkazy. A rozkazywała Dwalia.

Próbowałam wybadać, czy Vindeliar rządzi także moim umysłem, ale jeśli tak było, robił to zbyt finezyjnie, żebym zdołała się zorientować. Zaskoczył mnie natomiast mglisty woal spowijający Dwalię.

Może sama tego chciała? Żeby móc spać? Chyba jednak raczej nie czuła się tak źle, żeby w ogóle nie wstawać z łóżka? Zdradziła mu, że go nienawidzi. Tamtego

dnia, gdy obrzuciła go wyzwiskami, kulił się pod pręgierzem jej wzgardy. Czy zdarzyło się to po raz pierwszy? Zbadałam uważniej sugestię, którą jej podsuwał: może ufać, iż Vindeliar nami pokieruje, już nie zamierzał się buntować. Żałował niewłaściwego zachowania, był skruszony, miała w nim lojalnego, całkowicie oddanego sługę. Panował nad Kerfem, a mnie ukryje przed innymi na tak długo, jak będzie potrzebowała odpoczynku. Na paluszkach obeszałam tę mglistą podpowiedź. Jak głęboko sięgało jego czujne nieposłuszeństwo? Czy Dwalia zda sobie z niego sprawę, gdy wydobrzeje?

O ile w ogóle wydobrzeje!

Rozważyłam tę myśl starannie. Czy Vindeliar dbał o to, żeby lingstra źle się czuła? Dopóki chora leżała w kabinie, nie biła nas, nie szczypała i nie kopała. Czyżby zwrócił się przeciwko swojej pani? A jeżeli nie był ślepo jej posłuszny, jeśli zapragnął wolności, czy mogłam na tym skorzystać? Przeciągnąć go na swoją stronę? Uciec, wrócić do domu?

W chwili gdy ta myśl zaświtała mi w głowie, natychmiast sprawdziłam i umocniłam ochronę umysłu. Vindeliar nie mógł nabrać nawet najlżejszego podejrzenia, iż zorientowałam się w sytuacji, a tym bardziej, na co miałam nadzieję. Jak zyskać jego lojalność? Czego pragnął najbardziej na świecie?

– Bracie... – tchnął cicho, prawie szeptem.

Rytm jego donośnego oddechu zwolnił, ustał, a po chwili wrócił do normy. Zebrałam się na odwagę. W zasadzie, czy mogłam pogorszyć swoją sytuację?

– Bracie, nie mogę spać.

Chrapanie ustało. Po długiej chwili usłyszałam jedno słowo pełne radosnego zdumienia:

– Bracie?

– Ty mnie tak nazywasz.

Ile to dla niego znaczyło? Musiałam zachować ostrożność, uważać, co prowokuję.

– Wołałem cię we śnie... A ty mnie tak samo... – Przekręcił głowę wspartą na stertce ubrań, która służyła mu za poduszkę. – Ale reszta nie pasuje do mojego snu – rzekł ze smutkiem. – Mojego jedyne snu.

– Twojego snu?

– Tak – potwierdził i dodał nieco wstydliwie, choć z dumą: – Nikt inny nigdy go nie wyśnił. Tylko ja.

– To chyba normalne? Skoro tobie się śnił?

– Jak ty nic nie wiesz o snach... Wielu Białym śnią się te same proroctwa. Im więcej osób je widzi, tym ważniejsze są dla właściwej drogi. Sen, który pojawia się tylko raz, najpewniej nie jest prawdziwy. Chyba że ktoś dzielny ciężko pracuje, by

doprowadzić do jego urzeczywistnienia. By znaleźć inne, prowadzące do niego sny. Tak jak Dwalia dla mnie zrobiła.

Lingstra poruszyła się na swojej pryczy. Złękłam się. Ja głupia! Oczywiście, że nie śpi! Stary wąż nigdy nie zasypia. Słyszała nasze szepty i teraz zburzy mój plan, zanim go na dobre ukształtowałam!

Wtedy poczułam coś nowego. Głębokie, wspaniałe odprężenie spłynęło na mnie jak najmniejszy koc: ciepłe, lecz nie duszne. Rozluźniły mi się mięśnie, zelżał ból głowy, przestał mi dokuczać panujący w kajucie smród. O mało nie zasnęłam, mimo bariery chroniącej umysł. Jak silnie zadziałała ta sugestia na Dwalię? A na Kerfa? Czy powinnam powiedzieć Vindeliarowi, że wiem, co wyczynia? Zagrozić, iż zdradzę to Dwalii, jeśli nie uzyskam od niego pomocy?

– Czujesz, co robię, i odgradzasz się od mojego wpływu.

– To prawda – przyznałam, bo zaprzeczanie wydało mi się bezcelowe.

Czekałam, aż powie coś jeszcze, lecz milczał. Dotąd uważałam go za ociężałego umysłowo, lecz teraz, w tej ciszy, nie miałam pewności, czy przypadkiem nie obmyśla strategii. Jak nakłonić go do mówienia?

– Opowiesz mi ten sen? – poprosiłam.

Przekręcił się na bok, a po pierwszych słowach uznałam, że leży twarzą w moją stronę.

– Mam dwukrotnego brata – zaczął szeptem – Samisala. Nasi rodzice byli rodzeństwem i ich rodzice też. Samisal co rano prosił o papier i pędzelek. Ja czasem udawałam, że też miałem sen. Taki sam, jak on. Ale wszyscy zawsze nazywali mnie kłamcą... wiedzieli. On naprawdę miał sny, bardzo dużo, a ja tylko jeden. Nawet Odessa, moja bliźniaczka, chociaż też urodziła się wadliwa, jak ja, to jednak śniła. A ja nie. Tylko jeden sen. Bezużyteczny Vindeliar...

Rodzice rodzeństwem? Okropność. Ale to nie jego wina. Zdusiłam osłupienie.

– Miałeś jeden sen – powtórzyłam zachęcająco.

– Tak, tak, właśnie. Śniłem, że cię znalazłem. W dzień bielejący śniegiem nazwałem cię bratem i poszliśmy razem.

– Spełnił się.

– Sny się nie „spełniają”. Jeżeli sen jest na prawdziwej i właściwej ścieżce, podążamy ku niemu. Rada Czworoga zna właściwą drogę. Znajduje odpowiednie sny i posyła Sługi z misją stworzenia traktu, którym będzie podążał świat. Znalezienie wyśnionego momentu przypomina szukanie drogowskazu. Sen potwierdza, że droga jest prawdziwa i właściwa.

– Rozumiem – powiedziałam, chociaż nie rozumiałam nic. – Twój sen nas połączył?

– Nie – przyznał ze smutkiem. – Mój sen był zaledwie okruchem. Według Dwalii niezbyt znaczącym. Nie powinienem sądzić, że jestem ważny. Wielu śni lepsze sny, a ci, co je porządkują i układają, Kolekcjonerzy, wiedzą, dokąd mamy iść i co powinniśmy zrobić, by stworzyć właściwą drogę.

– Czy we wszystkich snach jestem chłopcem? – spytałam z ciekawości.

– Tego nie wiem. Zwykle nazywają cię synem. Albo nie mówią, kim jesteś. W moim śnie jesteś moim bratem.

Usłyszałam, że się podrapał.

– Teraz wiem – podjął – że Dwalia miała rację. Mój sen był nieistotny i niezbyt słuszny. – Powiedział to jak zawiedzione dziecko, które ma nadzieję, że ktoś się z nim nie zgodzi.

– Ale przecież naprawdę mnie zobaczyłeś i nazwałeś bratem. Czy ktoś jeszcze o tym śnił?

Nie wiedziałam dotąd, że cisza może ciągnąć się w nieskończoność.

– Nie – odezwał się w końcu, a w jego głosie potrzeba usprawiedliwienia się walczyła o lepsze z satysfakcją. – Tylko ja.

– Wobec tego... chyba tylko ty mogłeś mnie znaleźć, bracie. Przecież nikt inny nie mógł spełnić tego snu?

– Taaak... – Rozsmakował się w tym słowie.

Tym razem cisza stała się konieczną pauzą w istnieniu świata. Wycinkiem czasu, gdy Vindeliar napawał się posiadaniem czegoś, o czym nie wiedział, że do niego należy. Przeciągnęłam ją tak długo, jak mogłam.

– Czyli – odezwałam się w końcu – żeby sen był prawdziwy i potwierdził ścieżkę, to musiałeś być ty. A dlaczego ja?

– Bo to jesteś ty. Nieoczekiwany syn. Potwierdzony w niezliczonych snach.

– Jesteś pewien? Alaria i Reppin miały wątpliwości.

– To na pewno ty! Na pewno! – Więcej było w jego głosie desperacji niż pewności.

Gdy mnie zobaczył po raz pierwszy, nazwał nieoczekiwanym synem. Postanowiłam nacisnąć go nieco mocniej.

– Śniłeś, że to ty znajdziesz nieoczekiwanego syna. I to jestem ja.

– Śniłem... – Nie dokończył zdania i zaczął od nowa. – Wyśniłem, że cię znajduję. Dwalia chciała znaleźć nieoczekiwanego syna. – Był równocześnie zły i przestraszony. – Nie znalazłbym ciebie, gdyby ona go nie szukała. Kazała mi, więc wykonałem polecenie, znałem ciebie ze snu! Jesteś nieoczekiwanym synem. – Sapnął ze złości, że wątpiłam.

Doskonale zdawał sobie sprawę ze słabych punktów takiego rozumowania.

I ja o tym wiedziałam, choć w smolistych ciemnościach nie mogłam nic wyczytać z jego twarzy. Nie chciałam go złościć.

– A skąd to wiesz, chociaż ja tego nie wiem?

– Ja o tobie śniłem. Ja cię znalazłem. Niewiele we mnie krwi Białych, są tacy, co mnie wyśmiewają i twierdzą, że wcale. Ale może miałem jako Biały dokonać jednego czynu, znaleźć ciebie. I dokonałem. Znalazłem. – W jego słowach brzmiało zadowolenie. Ziewnął, głos mu złagodniał. – Czuję, kiedy jestem na właściwej ścieżce. To bardzo miłe. Jestem wtedy bezpieczny. Ty nie śnisz prawdziwych snów, więc nie wiesz, jak to jest. – Westchnął. – Nic z tego nie rozumiem... we wszystkich cytowanych snach nieoczekiwany syn jest punktem newralgicznym. Po nim następuje przyszłość wygładzona i poukładana albo zupełny chaos. W pewnym momencie kierujesz nas wszystkich w niewłaściwą stronę, ale odejście stworzone przez nieoczekiwanego syna może być powodem straszliwych zniszczeń... lub nadzwyczajnego dobra. Odejście przez ciebie stworzone prowadzi ku niezliczonym wariantom przyszłości. I nikt inny tego zrobić nie może. – Umilkł. – Muszę teraz spać, bracie. W dzień nie dam rady. Mogę odpocząć tylko wtedy, gdy Kerf zasypia.

– Odpoczywaj, bracie.

Leżałam nieruchomo, lecz nie spałam, tylko myślałam. Zbierałam cenne okruchy wiedzy. Vindeliar zaczął używać swego talentu przeciwko Dwalii. Pilnowanie Kerfa go trudziło. Wierzył, że jestem bardzo ważna, możliwe, że Dwalia się z nim zgadzała. Tylko czy nadal miała mnie za nieoczekiwanego syna? Wystarczyło kilka ciepłych słów, by zyskać przychylność Vindeliara. Może częstszy miły kontakt pozwoli mi zyskać w nim sojusznika? Wskrzesiłam w sobie iskierkę nadziei. Gdyby Vindeliar zechciał mi pomóc, moglibyśmy w następnym porcie uciec od Dwalii. A już na pewno mógłby za pomocą swoich czarów ułatwić mi powrót do domu. Uśmiechnęłam się na wspomnienie podjazdu prowadzącego do dworu. Niestrudzony wyjdzie mi na spotkanie, a może i ojciec? Birbant oczywiście otworzy drzwi i zejdzie po...

Zaraz, zaraz. Birbant nie żyje. Stajnie spłonęły. Tutor Strzyk również jest martwy, a jeśli chodzi o Niestrudzonego, nie miałam pewności. Czy Szkada przeżyła i wróciła do majątku? Okazała się znacznie bardziej wytrzymała, niż sądziłam. Jeżeli udało jej się przetrwać, czy przekazała innym, że zostałam zabrana przez kamień? Jeśli tak, to czy ktoś podąży moim śladem, będzie mnie szukał? Nadzieja zapłonęła mi w sercu jaśniej. Przecież ojciec umiał korzystać z czarnych filarów. Na pewno ruszy na poszukiwanie!

Skuliłam się, podciągnęłam kolana pod brodę. Martwiła mnie jedna sprawa. Czy

odgadł, że ponownie weszliśmy w kamień? Zapach matczynej świecy wetkniętej pod koszulę wypełnił mi nozdrza. Na jakiś czas przyniósł ukojenie. A potem uświadomiłam sobie rzecz bardzo niepokojącą: to mój ojciec przyniósł wonny stożek tam, gdzie go znalazłam. Czyli Szkoa wróciła do domu, powiedziała mojemu tacie, dokąd mnie zabrali, a on rzeczywiście ruszył moim śladem. Potem, jakimś sposobem, wyprzedził mnie w kamieniu. Upuścił świecę... Upuścił i nie podniósł? Widziałam różne przedmioty, wyraźnie rozrzucone. Namiot był podarty. Odchody niedźwiedzia! Czy tata starł się z drapieżnikiem? Stracił życie w tej walce? Czy to jego kości leżały gdzieś tam, rozrzucone przez bestię, zapadnięte w głębokim mchu pod drzewami?

„Gdyby tata umarł, ty byś o tym wiedział?”

Nie wyczułam odpowiedzi. Schowałam się na nowo za barierą chroniącą umysł. Jeżeli mój ojciec nie żyje, nikt nie przyjdzie mi na ratunek. Nigdy. I spełni się mój koszmarny sen.

Chyba że uratuję się sama.

Rozdział 12

Żywostatek „Niezrównany”

Przez długie pokolenia tajemnica tworzenia żywostatków znana była tylko nielicznym rodzinom Kupców. Pod koniec wojny z Krainą Miedzi, wraz z wyłonieniem smoczycy imieniem Tintaglia, pewnych fragmentów tej wiedzy nie dało się dłużej utrzymać w tajemnicy. W ciągu ostatniej dekady paradoks żywego statku, lojalnego wobec rodziny, która stworzyła go, niszcząc istotę, w jaką byłby się przeobraził, stał się jeszcze bardziej klarowny.

Tworzenie żywostatku ma początek w smoczym kokonie. Mieszkańcy Dzikich Ostępów, którzy odkryli gigantyczne kłody niezwyklego drzewa, nie mieli pojęcia, że są to smocze strąki. Owe „kłody” leżały zgromadzone w pomieszczeniu ze szklanym dachem, ocalałym w ruinach pod Trehaugiem. Znalazcy uznali je za egzotyczne drewno o wyjątkowej wartości. W tamtym czasie lud zamieszkujący te ziemie rozpaczliwie potrzebował tworzywa odpornego na kwaśne wody Dzikiej Rzeki Deszczowej, gdyż zwykłe statki, niezależnie od tego, jak dobrze zabezpieczone olejami, stopniowo ulegały zniszczeniu, a w okresach białej wody, gdy rzeka niemal zmieniała się w strugę kwasu, niektóre łodzie po prostu się rozpadały, gubiąc ładunek i pasażerów na toksycznej toni. „Drzewo” znajdowane w ruinach miast Najstarszych okazało się dokładnie tym, czego było trzeba. Czarodrzew, jak został nazwany ten szczególny materiał, był drobnoziarnisty i gęsty, okazał się idealny do budowy statków, a na dodatek odporny na rzeczny kwas.

Statki budowane z tego wyjątkowego tworzywa jako jedyne mogły pływać po żrących wodach Dzikiej Rzeki Deszczowej. Stały się, w związku z tym, wysoce pożądane, a przy tym zaczęły odgrywać istotną rolę w handlu artefaktami Najstarszych, wywożonych ze zrujnowanych miast do osad na terenie Deszczowych Ostępów, gdzie osiągały zawrotne ceny.

Minęło kilka pokoleń, nim „przebudził się” pierwszy galion na żywostatku, na „Złotym Świcie”. Szkutnicy i właściciele nie posiadali się ze zdumienia. Rozmowa z figurą szybko ujawniła, że statek wchłonął wspomnienia tych, którzy wiedli żywot na jego pokładzie, a zwłaszcza kapitanów – i przywiązał się do rodziny właścicielskiej. Posiadł wiedzę na temat nawigacji, reagowania na warunki pogodowe oraz miał świadomość niezbędnych prac konserwacyjnych.

Wartość takiej jednostki pływającej stała się trudna do oszacowania.

Ci, którzy wyciosywali z „kłód” materiał na statki, musieli zorientować się, że to nie jest drewno, gdyż w sercu każdego takiego kokonu odkryli częściowo uformowanego smoka. Nawet jeżeli nie zorientowali się, z czym mają do czynienia, bez wątpienia wiedzieli, że w każdym kokonie tkwiła niegdyś żywa istota. To właśnie była największa tajemnica, którą rodziny przekazywały tylko swoim krewnym. Uważa się, że zanim Tintaglia wyszła na świat z „czarodrzewu”, nawet żywostatki nie wiedziały o swoim pokrewieństwie ze smokami.

„O żywostatkach z Miasta Wolnego Handlu” kupca Baryłki
Czerwonowinnego

Stałem na pokładzie „Smolistego” i gapiłem się na galion drugiego żywostatku. Moja twarz. I topór w uprzęży na piersi. Strzyk z Niestrudzonym znieruchomieli.

– Patrzy na nas – szepnęła Skierka.

Rzeczywiście. Figura na dziobie przycumowanego statku mierzyła nas wzrokiem – z pretensją, jak mi się zdawało. Była w zasadzie moim lustrzanym odbiciem.

– Nie masz sposobu, żeby mi to wytłumaczyć.

– Wręcz przeciwnie – zapewniła pani Amber. – Tylko nie teraz. Później. Na osobności. Przyrzekam.

Nie odpowiedziałem. Odległość między statkami malała. Załoga „Smolistego” manewrowała wprawnie. Trehaug był ruchliwym ośrodkiem handlowym, więc w porcie panował tłok. Hołdowano tutaj zwyczajowi, który pozwalał zacumować przy jednym z zadokowanych statków i po jego pokładzie przejść na brzeg. Przyjąłem, że i my postąpimy podobnie, chociaż akurat miejsce obok „Niezrównanego” wydawało mi się dla „Smolistego” za małe. Gdy znaleźliśmy się bliżej, galion spojrzał na mnie z marsem na czole.

– Dlaczego ma niebieskie oczy? – zastanowiłem się na głos.

W przeciwieństwie do moich, ciemnych.

Pani Amber miała na twarzy dziwnie sentymentalny uśmiech. Przycisnęła złożone dłonie do piersi niczym babcia na widok ukochanego wnuczęcia.

– On takie wybrał – odezwała się z czułością w głosie. – Wielu spośród członków jego rodziny, Szczęsnych, ma niebieskie oczy. W tym Kennit. To ja mu wyrzeźbiłam twarz. Właściwie naprawiłam. Został oślepiony, wyrąbano mu oczy siekierą... Został oznaczony przez swojego kata... To długa i straszna historia. Gdy

wyrzeźbiłam mu twarz na nowo, miał zamknięte oczy, wedle życzenia. Jakiś czas nie chciał ich otwierać. A gdy w końcu uniósł powieki, okazały się niebieskie.

– W mojej twarzy?

Byliśmy już prawie w przystani.

– Później – powtórzyła spokojnie.

Jej obietnica omal nie zginęła w zgiełku poleceń, gdy „Smolisty” zbliżył się do „Niezrówanego”. Załoga barki zwijała się jak w ukropie. Tylko my: czwórka moich towarzyszy i ja, staliśmy na dachu nadbudówki, by nikomu nie wchodzić w drogę. Staliśmy i patrzyliśmy. Marynarz sterujący rumplem dwoił się i troił, walcząc z prądem, inni asekurowali barkę, żeby nie uderzyła w nadbrzeże. Załoga dwóch z przycumowanych nieopodal statków trwała w pogotowiu, by w razie potrzeby szybko wkroczyć do akcji. Tymczasem barka wsunęła się na miejsce gładko jak po sznurku, niczym miecz wracający do pochwy. Skelly pierwsza zeskoczyła na pomost, natychmiast chwyciła rzuconą linę. Wprawnie umocowała ją na knadze i pobiegła do następnej.

Przysadzista barka rzeczna stanowiła ogromny kontrast w porównaniu ze smukłym żaglowcem. Płaskie dno umożliwiło jej rejsy w górę rzeki, gdzie jednostki o sklepionym kadłubie nie miały szansy dotrzeć. „Niezrówany” tymczasem został przystosowany do podróży po głębokiej wodzie, przez wysokie fale. „Smolisty” wyglądał przy nim jak karzeł. Galion był ode mnie kilkakrotnie większy. Gdy przeniósł wzrok ze mnie na stojącą obok mnie kobietę, w miejsce ponurego grymasu wykwitł na jego twarzy pełen niedowierzania uśmiech.

– Amber? To ty? Gdzieś się podziewała przez ostatnie dwadzieścia parę lat? – Wyciągnął do niej wielkie ręce i gdybyśmy znajdowali się nieco bliżej, zdjąłby ją z pokładu „Smolistego”.

A ona uniosła szeroko rozłożone ramiona, jakby miała zamiar go uściskać.

– Daleko, przyjacielu. Bardzo daleko! Miło mi znów cię słyszeć!

– Słyszysz, ale nie widzisz. Jesteś ślepa. Kto ci to zrobił? – Troska przemieszana z gniewem.

– Tak, jestem ślepa, jak i ty, swego czasu. Opowiem ci o tym, obiecuję.

– Koniecznie! Kto jest z tobą?

Czy usłyszałem w jego głosie nutę pretensji?

– Przyjaciele z Księstwa Koziego w Królestwie Sześciu Księstw. Ale pozwól, że utniemy sobie pogawędkę, gdy wejdę na twój pokład. Takie krzyki to żadna rozmowa.

– Właśnie, właśnie! – zawołała drobna ciemnowłosa kobieta, przechylając się nad burtą „Niezrówanego”. Jej zęby lśniły bielą w ogorzalej twarzy. – Chodźcie

na pokład, zapraszamy. Lewszun i Alise przyślą wasze bagaże i też się do nas przyłączą, mam nadzieję, na szklaneczkę czegoś mocniejszego. Amber! Miło cię widzieć! Nie chciało mi się wierzyć, kiedy ptak przyniósł wieści! Chodź do nas! – Przeniosła spojrzenie na mnie i uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – A oto człowiek, którego twarz ma nasz statek! – I zniknęła nam z oczu.

Przy jej ostatnich słowach uśmiech „Niezrówanego” zbladł, galion założył ręce na piersi. Odwrócił głowę i zerkał na panią Amber tylko kącikiem oka.

– To była Althea Vestrit, ciotka królowej Malty – wyjaśniła pani Amber z półuśmiechem. – Jest na „Niezrówanym” kapitanem albo panią kapitana, zależnie od tego, kogo spytasz – Obróciła do mnie twarz. – Polubisz ją. I Zuchwalca Trella też.

Cumowanie oraz wyładunek to procesy nieśpieszne i wymagające precyzji. Kapitan Lewszun musiał nie mieć żadnych zastrzeżeń do ustawienia barki, zanim pozwolił na opuszczenie trapu. Zgodnie z jego poleceniem przeniesiono nasze rzeczy na „Niezrówanego”. Potem we dwoje z Alise odeskortowali nas po trapie na pirs, a następnie po sznurowej drabince, rzuconej przez burtę żaglowca. Prowadził kapitan, za nim bez trudu wspiął się Niestrudzony, Skierka musiała walczyć ze spódnicą. Ja przytrzymałem drabinkę. Gdy miała na nią wejść pani Amber, rozległ się głos galionu:

– Nie ma potrzeby.

Wykręcił się w pasie, pochylił i podsunął dłonie.

– Ostrożnie – przestrzegłem ją cicho. – Galion wyciąga do ciebie rękę.

– Nie muszę silić się na ostrożność – odparła. – Podprowadź mnie do nich, Bastardzie.

Choć niechętnie, spełniłem jej życzenie. Odruchowo wstrzymałem oddech, gdy wielka figura zamknęła palce wokół jej żeber, jakby brała na ręce niemowlę. Nie mogłem od nich oderwać wzroku, gdy uniósł ją w ogromnych dłoniach. Miały cielisty kolor, śniady, jak u człowieka, który dużo czasu spędza na powietrzu, lecz widać było także strukturę czarodrzewu, z którego zostały wyrzeźbione. Jeszcze żaden magiczny cud Najstarszych nie zadziwił mnie tak, jak żywy galion. I żaden tak nie zaniepokoił. Istnienie smoka pojmowałem bez trudu. Była to istota z krwi i kości, o takich samych potrzebach i pragnieniach, jakie ma każde zwierzę. Ale statek z żywego drzewa? Rzecz, która porusza się, mówi i najwyraźniej myśli, chociaż nie potrzebuje jeść ani pić, nie szuka partnerstwa, nie ma nadziei na potomstwo? Jak przewidzieć dążenia i działania czegoś takiego?

Stojąc pod drabinką obok burty „Niezrówanego”, słyszałem głos pani Amber, lecz nie rozumiałem słów. Galion trzymał ją jak lalkę i uważnie patrzył jej

w twarz. Współczuł jej? Przecież doskonale wiedział, co znaczy ślepotą. Czy statek wyciosany ze smoczego kokonu może współczuć? Nie po raz pierwszy przekonałem się, jak niewiele wiem o życiu Błazna. W tej części świata znany był jako pani Amber, mądra, silna kobieta, która pożyczyła fundusze na odbudowę Miasta Wolnego Handlu i pomogła byłym niewolnikom rozpocząć nowe życie w Deszczowych Ostępach. Cóż, w tej części naszej podróży musiała być właśnie tą osobą. Panią Amber. Kobieta wciąż dla mnie obcą.

– Bastardzie? – Strzyk wychylił się przez reling. – Idziesz?

– Tak.

Wspiąłem się po drabinie, co jest znacznie trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. Stałem na pokładzie „Niezrównanego”. Odbierałem go zupełnie inaczej niż „Smolistego”. Znacznie bliżej wrażenia człowieczego. Rozumieniem, i Mocą także, znajdowałem w nim istotę żywą. Na razie skupiony był na pani Amber. Miałem kilka chwil, by się rozejrzeć.

Sporo czasu minęło, odkąd poprzednim razem byłem na statku tych rozmiarów. Wróciłem pamięcią do podróży na Wyspy Zewnętrzne, Młotek stale miał chorobę morską. Wolałbym nie powtarzać tamtych doświadczeń! „Niezrównany” był mniejszy, smuklejszy i zapewne lepiej przystosowany do podróży dalekomorskich. Doskonale utrzymany. Pokład czyściuteńki, liny starannie zwinięte i ułożone, jak należy, a załoga, nawet na zacumowanym statku, nie narzekała na brak zajęć.

– Gdzie Skierka i Niestrudzony? – zapytałem Strzyka.

– Za pozwoleniem kapitana oglądają statek. Nas zaproszono do kabiny kapitańskiej, na poczęstunek.

Spojrzałem w stronę dziobu, gdzie „Niezrównany” wciąż trzymał panią Amber. Nie bardzo miałem ochotę zostawiać ją w jego rękach, dosłownie. Z drugiej strony nie chciałem też obrazić ludzi, którzy zgodzili się za darmo przewieźć nas do Miasta Wolnego Handlu. Czekala nas długa podróż, najpierw do ujścia Dzikiej Rzeki Deszczowej, potem wzdłuż bagnistych Przeklętych Brzegów, aż do Zatoki Kupieckiej. Chciałem być ze wszystkimi w doskonałej komitywie. Wątpiłem, żeby Błazen zachowywał przy galionie szczególną ostrożność, gdyż pani Amber najwyraźniej dawno temu postanowiła mu ufać.

– Bastardzie? – Ponownie odezwał się Strzyk.

– Idę.

Zerknąłem raz jeszcze na panią Amber. Wiatr szarpał kosmyki włosów, które wymknęły się spod chusty, i spódnice. Uśmiechała się, słuchając galionu. Ręce wsparła swobodnie na jego dłoniach, jak na podłokietnikach wygodnego fotela. Oblicza figury nie widziałem. Postanowiłem uznać, że pani Amber wie, co robi,

i poszedłem za Strzykiem.

Drzwi do kajuty kapitańskiej stały otworem, do czego zachęcał piękny wiosenny dzień, z wnętrza dobiegała ożywiona rozmowa. Usłyszałem śmiech Skierki. Gdy weszliśmy, kapitan Lewszun trzymał Niestrudzonego za kołnierz, prawie unosząc go nad podłogę.

– Szelma z niego, urwis i hultaj, musi zawsze mieć coś do roboty – oznajmił.

Mięśnie napięły mi się same, lecz akurat w tej chwili Lewszun zaśmiał się głośno i na wpół pchnął, a na wpół rzucił chłopaka w stronę dobrze zbudowanego mężczyzny w średnim wieku. Ten złapał mojego zaprzysiężonego pomocnika za barki. W starannie przystrzyżonym zarostcie błysnęły zdrowe, białe zęby. Klepnął chłopaka w plecy.

– Mamy takie jedno zajęcie, nazywa się ono „śmiganie po takielunku”. Przydasz się, chłopcze. Ale śmigasz tylko za pozwoleniem moim, mojej pani lub Świstaka, jasne? I robisz tam w górze dokładnie to, co polecimy. – Przeniósł wzrok na Lewszuna. – Węzły zna?

– Paru się nauczył – wtrąciłem.

Bezwiednie uśmiechnąłem się do kapitana Zuchwalca Trela.

– No, trochę więcej niż paru – poprawił mnie Lewszun. – Bellin brała go w obroty wieczorami, kiedy ty, książę, zamykałeś się ze swoją damą. Chłopak ma całkiem niezłe zadatki na marynarza i co nieco już umie. Ale kapitan Trel ma rację, chłopcze. Słuchaj rozkazów. I na początku śmigaj po takielunku w dobrym towarzystwie. Korzystaj z mądrych rad. Dokładnie wypełniaj polecenia. Słyszysz?

– Tak jest, panie kapitanie.

Niestrudzony promieniał jak słońce w zenicie. Gdyby był szczeniakiem, zad by mu chodził od machania ogonem. Byłem z niego dumny... i trochę zazdrosny.

Kapitan Trel zbliżył się do mnie z wyciągniętą dłonią. Wymieniliśmy kupiecki uścisk. Jego ciemne oczy zajrzały w moje, otwarcie, szczerze.

– Nigdy nie mieliśmy księcia na pokładzie. Lewszun twierdzi, że nie ma z tobą kłopotów, panie, jednak „Niezrównany” to statek i choć robimy, co w naszej mocy, żeby było jak najlepiej, bywa różnie.

– Nie jestem wielkim arystokratą, zapewniam. W czasie wojny ze szkarłatnymi okrętami sporo czasu spędziłem przy wiosłach „Ruriska”. Cały mój majątek mieścił się pod ławą, która połowę czasu była też moim łóżem.

– Aha. Wobec tego dasz sobie radę, książę. Pozwól, że ci przedstawię Altheę Vestrit. Próbowaliśmy zrobić z niej panią Trel, jednak ona woli być Vestrit, a upór to godło kobiet z jej rodziny... Ach, ale poznaliście Malte, więc już o tym wiecie.

Althea siedziała przy stole, gdzie obok drewnianej tacy z ciasteczkami stał

opasy, parujący dzban oraz kubki. Dzban był dziełem Najstarszych: połyskiwał metalicznie, a zdobiony był figurami węży. Nie zwykłych, lądowych, ale morskich gadów, gdyż między nimi widniały także rybki. Ciasteczka były nadziewane jakimiś ziarnami i kawałkami jasnorożowego owocu. Pani kapitan wstała i nachyliła się nad blatem, by mi uścisnąć rękę.

– Proszę nie zwracać na niego uwagi. Chociaż moja siostrzenica rzeczywiście... otrzymała od natury w darze nieco więcej „charakterku” Vestritów, jak to nazywamy.

Miała zgrubienia na dłoni. Ona moje też z pewnością poczuła. Uśmiech rysował jej zmarszczki w kącikach ust. W ciemnych włosach, odgarniętych z twarzy i splecionych w ciasny warkocz spływający na plecy, połyskiwała siwizna. Uścisk miała silny, jak u mężczyzny. Bez wątpienia nie pozostała mi dłużna i także mnie uważnie oszacowała.

– Powiem szczerze – odezwała się, siadając – dziwne to uczucie widzieć mężczyznę, którego twarz ma mój statek. Ale rozumiem, że ty, księżę, widzisz to całkiem odwrotnie. Zapraszam do stołu, napijmy się kawy, chętnie posłuchamy, jakie wrażenie zrobił na was nasz galion, wyrzeźbiony przez Amber na podobieństwo mężczyzny, który króluje w jej sercu.

Milczenie, jakie nastąpiło po tym niezręcznym stwierdzeniu, nabrzmiało własnymi, szczególnymi dźwiękami. Mógłbym przysiąc, że usłyszałem, jak Strzyk wstrzymuje oddech. Nieomylnie czułem ciężar spojrzeń Skierki i Niestrudzonego.

– Z przyjemnością napijemy się kawy – skłamałem pośpiesznie. – Wiosna wiosną, ale przy tym wietrze od rzeki łamie w kościach.

– Nie wiedziałeś, księżę, że dała „Niezrównanemu” twoją twarz? – upewniła się pani kapitan z szerokim uśmiechem.

Czy szczerść była groźnym nawykiem? Co by o tym powiedział Cierń? Pozwoliłem sobie na śmiech wyrażający zakłopotanie.

– Dowiedziałem się niedawno.

– Och, Sa, słodkości moje... – mruknęła Althea, a Zuchwalec zaśmiał się głośno, bo już nie zdołał dłużej tłumić wesołości.

Usłyszałem za sobą niegłośny okrzyk, a odwróciwszy się, zobaczyłem Alise.

– Ach, te kobiety! – wykrzyknął Zuchwalec i klepnął mnie w ramię. – Człowiek nigdy nie wie, czego się po nich spodziewać! Siadaj, księżę, siadaj. Althea naleje, co tam komu trzeba. Znajdzie się coś mocniejszego, to lepsze na rozgrzanie niż kawa. Alise! Baronet Skrzący będzie z nami? Zaraz, bo nie wiem: czy jeśli zaproszę tu waszą służbę, naruszę jakieś zasady? Musicie mi wprost mówić o takich sprawach.

– Wspólny rejs szybko obala reguły protokołu. Skierko, Niestrudzony, napijcie się z nami kawy?

Chłopakowi wydłużyła się mina, nim zdążył zapanować nad rysami.

– Nie, bardzo dziękuję, panie kapitanie. Czy mógłbym rozejrzeć się po statku?

– Idź – odparli równocześnie Althea i Zuchwalec.

– Jeśli twój pan się na to zgadza, dorzucił Zuchwalec pośpiesznie.

– Ależ oczywiście. Tylko jeżeli ktoś każe ci usunąć się z drogi, zrób to szybko.

– Jasna sprawa. – Już był w połowie drogi do wyjścia.

– Chciałabym – zaczęła Skierka, zacięła się i umilkła. Spiekła raka.

Wszyscy na nią patrzyliśmy.

– Śmiało, kochanie, mów – zachęciła ją Alise z uśmiechem.

Dziewczyna otworzyła usta, zamknęła je, po czym w końcu wydusiła:

– Powinnam wypakować rzeczy pani Amber.

– Możesz też – podsunęła Alise – rozejrzeć się po pokładzie z Niestrudzonym.

Masz prawo tak samo jak on zaspokoić ciekawość. Od Deszczowych Ostępów po Miasto Wolnego Handlu kobiety już od jakiegoś czasu są pod względem praw równe mężczyznom. Chociaż niektórym zdarza się o tym zapominać. – Uśmiechnęła się do mnie. – W czasie podróży, gdy ty, panie, byłeś... zajęty, Skierka miała do mnie i do Bellin mnóstwo pytań na temat „Smolistego”. Dziewczyna szybko się uczy. A ja ze swojej strony zapewniam, że nie ma nic złego w tym, by młoda kobieta interesowała się czymś poza szyciem i haftowaniem.

– Zapewniam, że w Królestwie Sześciu Księstw nikt nie ogranicza roli kobiet. – Czuję się zobowiązany bronić swojej ojczyzny. – Są minstrelami, służą w gwardii, często znajduje się je między najlepszymi skrybami i myśliwymi, robią to, co im w duszy gra.

Skierka wreszcie odzyskała głos.

– Ja wcale nie prosiłam o pozwolenie! To znaczy prosiłam, ale nie w tym sensie. I chciałam się jeszcze upewnić, czy to nikogo nie obrazi, jeśli bym podczas rejsu chodziła w spodniach? Bo też chciałabym śmigać po takielunku, a w spódnicy trudno wejść nawet na drabinę linową.

Twarz Niestrudzonego, który stanął w progu, przybrała dziwny wyraz. Chłopak patrzył na Skierkę jak na raroga. Kapitan Althea wstała, otrzepała dłonie o nogawki solidnie zużytych spodni.

– Coś ci znajdziemy.

Skierka uśmiechnęła się szeroko nagle przeobrażona w Popioła.

– Mam swoje ubrania, ważne, żeby mój strój nikomu nie przeszkadzał.

– Nikt nie zwróci na to uwagi. Szczerze mówiąc, nie rozumiem, jak Alise

daje sobie radę w spódnicy. Prawdziwa dama! – Pani kapitan uśmiechnęła się do przyjaciółki, po czym skinęła głową Skierce. – Leć się przebrać. Wasze rzeczy pewnie już są w kabinach. Żaglowiec jest większy niż „Smolisty”, ale przeznaczony do transportu towarów, a nie pasażerów. Umieściłam księcia Bastarda Rycerskiego i „szanowną panią Amber” w tej samej kajucie, w której swego czasu mieszkaliśmy z Jek. Baronecie Skrzący, Świstak zaprosił cię do siebie, oddaje ci swoją koję, sam będzie spał w hamaku. Niestrudzony zamieszka pod pokładem razem z resztą załogi. – Rzuciła mi przepaszające spojrzenie. – Służąca będzie musiała na razie zamieszkać z tobą i Amber, księżę.

– Pasuje mi hamak, tak samo jak Niestrudzonemu. Lepsze to niż spanie pod gołym niebem.

– Nie ma potrzeby rozdzielać cię, księżę, z twoją panią. – Tym razem Zuchwalec. – Jakoś damy radę.

Ponownie zapadła niezręczna cisza. Szukałem odpowiednich słów, gdy potężny głos zawibrował w deskach pokładu.

– Altheeee!

– „Niezrównany” – wyjaśniła niepotrzebnie. – Lepiej sprawdzę, o co chodzi. Nie czekajcie na mnie, częstujcie się. Zuchwalcze, pokażesz gościom kajuty?

– Oczywiście.

– Na nas już czas. – Alise położyła dłoń na przedramieniu Lewszuna. – Musimy załadować towar. Trzeba zrobić dokładne zestawienie, bo idzie za granicę kraju. No i rozłożyć tak, jak Lewszun lubi. Nie możemy się spóźnić. Młode drzewka owocowe z Miasta Wolnego Handlu przewozimy w donicach, w komplecie kaczkę i gąsiątka. Podejrzewam, że dadzą nam popalić, ale chyba nie będą gorsze niż owce... Pomyślnych wiatrów! Miło było was spotkać.

Jeszcze śpieszne uściski i już ich nie było.

– Nasz statek jest ostatnio nie w humorze – odezwał się Trelle po wyjściu Althei. – Mój syn służy na innym żywostatku, na „Werwie”, która należy do rodziny Vestritów. A „Niezrównany” za nim tęskni. Czasami zachowuje się jak rozpuszczone dziecko. Dajcie znać, proszę, gdyby wam powiedział coś osobliwego. – Wydawał się zmartwiony. – Przejdźmy się – dodał, nie patrząc mi w oczy. – Kawa w tym dzbanku nie wystygnie.

Ciekawe, jak wyglądają objawy złego nastroju żywostatku. Chociaż nie, jednak wolałem tego nie wiedzieć. Starannie usunąłem z twarzy wszelkie oznaki niepokoju. Gdy wychodziliśmy z kabiny, Strzyk uniósł brwi i lekko wzruszył ramionami.

Kapitan Zuchwalec przekazał Niestrudzonego pod opiekę marynarzowi imieniem Świstak. Człowiek ten miał stary tatuaż niewolnika obok nosa, na plecach służył mu

długi, usmołowany warkocz.

– Dawaj graty na dół – powiedział do Niestrudzonego z echem obcego akcentu, trudnego do rozpoznania.

Poszli razem, jakby reszta świata dla nich nie istniała. Uśmiechnąłem się mimowolnie, widząc, jak chłopak bezwiednie naśladuje chód wilka morskiego. Strzyk ruszył za nimi. Skierkę i mnie kapitan poprowadził do kajuty, która okazała się w znacznej części zajęta przez bagaże pani Amber i dziewczyny. Moje wyglądały bardzo skromnie przy ich napuchłych tobołach. Najwyraźniej obie uzupełniły garderobę w Kelsingrze. Co będzie, gdy przyjdzie nam taszczyć to na własnym grzbiecie? Z ulgą stwierdziłem, że mój mały plecak z brulionami Pszczoły i świecami Sikorki bezpiecznie dotarł na pokład żaglowca. Ognista cegła Najstarszych znajdowała się na swoim miejscu. Pod nią leżały starannie zapakowane wybuchowe gliniaki Ciernia i, na samym dnie, owinięte w skarpety oraz koszulę, ciężkie szklane cylindry z Mocą. Bransoletą zajęła się pani Amber.

Skierka natychmiast zanurkowała w swoją torbę, niczym pies w poszukiwaniu zakopanej kości. Zostawiliśmy ją samej sobie.

W drodze na dziób Trell przedstawiał mnie załodze. Każde odpowiadało skinieniem głowy czy uśmiechem, ale nikt nie przerwał pracy. Kitka, Linka, Pierwszak, Haf, Mrówka, Klejnot, Cypros... Powierzałem imiona pamięci i starałem się połączyć je z twarzami. Mrówka była w połowie masztu, nic więc dziwnego, że serce podeszło mi do gardła, gdy pomachała mi obiema rękoma. Trell się nasrożył.

– Jedna ręka dla siebie, druga zawsze dla statku! – zagrzmiął. – Żadnego zbędnego ryzyka! Bo szybko wrócisz na rodzinne drzewo!

– Taaa jest! – odrzyknęła dziewczyna i śmignęła po maszcie niczym wiewiórka smyrgająca przed warczącym psem.

Kapitan przymknął oczy i westchnął.

– Jeśli parę lat pożyje, będzie z niej świetny marynarz. Ale nie zna dziewczysko strachu, a to może ją zabić. – Wskazał miasto rozłożone w koronach drzew. – Dla tutejszych dzieciaków najwyższe maszty wydają się za krótkie.

Powiodłem spojrzeniem za jego gestem. Rzeczywiście, przy niebosiężnych drzewach „Niezrównany” był karłem. Na gęsto rozrośniętych gałęziach trwał w najlepsze ruch pieszy, jak na ulicach każdego innego miasta. Gdziekolwiek spojrzeć, na drzewach widniały dowody ludzkiej obecności i działania. Tu szyld zapraszał do gospody, gdzie indziej tablica w kształcie kosza zachęcała do kupna wyrobów wiklinowych. Widziałem ludzi o twarzach przesłoniętych welonami, o czym wiadomo było wszem wobec, lecz inni nie nosili zasłon, a wręcz pokazywali

ramiona pokryte łuskami oraz naroślami. Dźwigny z łożyny pozwalał transportować ciężary na wyższe gałęzie, dostrzegłem też schody zawinięte spiralą wokół pnia. Zatrzymałem się bezwiednie i dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że Zuchwalec na mnie czeka.

– Dorastałeś tu, kapitanie? – spytałem.

– Ja? Nie. Ja jestem z Miasta Wolnego Handlu. Tam się urodziłem i wychowałem, w znakomitej rodzinie kupieckiej. Tyle, że jako czarna owca, nie dziedzic. I tak wylądowałem na pokładzie żywostatku, zamiast pomnażać fortunę rodową.

Wyglądał na całkowicie zadowolonego z takiego obrotu spraw.

– Moja historia wygląda podobnie – stwierdziłem. – Pani Amber tytułuje mnie księciem, jednak moje imię mówi prawdę. „Bastard” oznacza, że pochodzę z nieprawego łoża. W ten sposób owszem, jestem z Przezornych, ale bękartem.

– Aha! To wyjaśnia, skąd się wzięłeś, panie, przy wiosle na okręcie wojennym.

– Właśnie tak – potwierdzenie przypieczętowałem uśmiechem. – Łatwiej ryzykować życie bękarta niż księcia krwi.

W ten prosty sposób wszelkie skrępowanie zniknęło. Ruszyliśmy nieśpiesznie w stronę dziobu. Słyszałem rozmowę pani Amber, kapitan Althei oraz statku, jednak wiatr od rzeki i odgłosy miasta częściowo ją zagłuszały.

– ...czyli zemsta? – powiedziała kapitan.

– Nie tylko. Unicestwimy siedlisko bestialstwa. Zniszczymy legowisko zła, którego mieszkańcy z roku na rok są coraz bardziej zepsuci i chciwi. – Zniżyła głos i wypowiedziała słowa, które często słyszałem od Błazna. – Staniemy się kamieniem, który pchnie koło czasu na właściwe tory.

Trudno byłoby sobie wymyślić dziwniejszą scenę. Althea stała oparta o reling, statek zwrócił moją twarz o młodszym profilu w stronę rzeki, a pani Amber siedziała w jego splecionych dłoniach. Ręce oparła na wielkich kciukach i bez troski machała skrzyżowanymi w kostkach nogami nad przepaścią prowadzącą wprost do lodowatego kwasu. Wystające spod dzierganej czapki włosy otulały jej twarz niczym ptasi puch. Puder i farbki wygładziły blizny oraz łuski, które zaczęły się pojawiać za sprawą smoczej krwi. W przebraniu pani Amber Błazen był całkiem ponętą niewiastą.

– Nigdy nie słyszałam, żebyś mówiła z taką pasją – dobiegł mnie stłumiony głos Althei. – Nawet wówczas, gdy razem stawiałyśmy czoło śmierci.

– Porwali nam córeczkę! – oznajmiła pani Amber z twarzą wykrzywioną wściekłością. – Przez nich straciła życie!

Zabolało mnie, gdy pani Amber przypisała sobie prawa do Pszczoły. A na dodatek wiedziałem, jak Althea i Zuchwalec rozumieją jej wyjaśnienia. Błazen mógł

wierzyć, w co chciał, jednak takie słowa skierowane do obcych mnie zraniły.

Sikorka, pomyślałem.

To ona była matką Pszczoły, nikt inny. Nie życzyłem sobie, by para kapitanów sądziła, że spłodziłem córkę z panią Amber. O, nie. Gdyż nie kto inny, a właśnie Sikorka przecierpiała ten stan odmienny, na różne sposoby osamotniona, to Sikorka czule dbała dziecko, któremu inni pozwoliliby zmarnieć. Szanowna pani Amber nie miała prawa odsuwać jej w zapomnienie. Palilo mnie poczucie krzywdy. W końcu zorientowałem się, że miało inne źródło.

– Mój chłopiec też zniknął! – wybuchnął „Niezrównany”, a ja poczułem falę emocji wstrząsającą statkiem.

Co więcej, jego gniew i tęsknota wzmagają moje poczucie krzywdy.

– Basałkowi nie dzieje się nic złego – zapewnił go Trel. – „Werwa” nigdy by na to nie pozwoliła. Opuścił cię tylko na jakiś czas. Wróci. Przecież wiesz.

– Wróci? – powtórzył statek zgryźliwie. – Już dwa lata go nie ma. Kiedy wróci? A może „Werwa” wzięła go za swego? Tu się urodził! Na moim pokładzie! Jest mój! Czy może zostałem jedynym żywostatkiem bez rodziny? Jedynym bez następcy kapitana, bo przecież gdy brat Althei życzy sobie mieć mojego chłopaka na pokładzie, to zabiera mi tego, co mnie się należy! Syna Kennita!

– To nie Prawy, a królowa Etta trzyma Niezrównanego z dala od ciebie – oznajmiła Althea stanowczo.

Słysząc było wyraźnie, że tłumaczy to statkowi nie po raz pierwszy. Zuchwalec wyprostował się i postąpił krok naprzód, gotów wziąć na siebie obowiązki rozjemcy.

– Przyjacielu – odezwała się pani Amber cicho do galionu. – Czuję twój gniew. Trudno mi go znieść... proszę cię... – Zaczęło jej brakować tchu. – Trzymasz mnie za mocno. Proszę, postaw mnie na pokładzie.

Obserwowałem tę scenę jako bezradny świadek. Miałem ukryte przy sobie dwa nożyki, całkowicie nieprzydatne wobec tak ogromnego wroga. Mimo wszystko rozważałem: jeśli go zaatakuję, czy upuści panią Amber do rzeki? Spojrzałem na Zuchwalca. Twarz miał białą jak kreda. Althea wychyliła się dalej za reling.

– Zmiażdżenie przyjaciółki nie pomoże ci odzyskać syna Kennita – powiedziała cicho, rzeczowym tonem. – Uspokój się, statku.

Dlaczego zbudowany z drewna statek miałby czuć potrzebę oddychania, nawet jeśli owo drewno to smoczy kokon? A przecież jednak pierś Niezrównanego wzniosła się i opadła, jak u młodzieńca poruszonego emocjami. Zacisnął oczy, dłonie mu drżały. Pani Amber wpatrywała się w dal. Twarz miała zaczerwienioną od braku powietrza. „Niezrównany” przycisnął dłonie do piersi i schylił głowę.

W tamtej chwili byłem pewien, że odgryzie kobiecie głowę, lecz on obrócił się i odstawił przyjaciółkę na pokład – tak gwałtownie, że zachwiała się i upadła. Althea przyklękła obok niej, wzięła ją pod ramiona i odciągnęła do tyłu.

– Nie musisz jej zabierać poza mój zasięg – rzekł „Niezrównany” z żalem w głosie. – Nie zrobię jej krzywdy.

– Wiem, że nie chcesz mnie skrzywdzić – odezwała się pani Amber z niejakim trudem.

Althea, choć była kobietą drobnej budowy, zarzuciła sobie na barki ramię przyjaciółki i pomogła jej wstać.

– Idziemy do kabiny – oznajmiła ze spokojem.

Zuchwalec ubiegł mnie, ujmując pasażerkę pod drugie ramię. Ruszyłem za nimi, lecz wtedy statek niespodziewanie znów się odezwał.

– Ty, z moją twarzą. Nie idź.

Stałem. Zuchwalec także przystanął i popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczyma. Ledwo dostrzegalnym ruchem głowy posłał mi subtelne ostrzeżenie. Strzyk wskazał mi wzrokiem panią Amber. Kiwnąłem lekko głową, dając do zrozumienia, by z nią poszedł. Szybko zajął miejsce kapitana. Ten został; obserwował galion, założywszy ręce na piersi.

– Ty od jelenia. Chcę z tobą porozmawiać. Chodź tutaj.

Nie patrzył na mnie, zawiesił wzrok gdzieś w dali, za odległym brzegiem rzeki, za zielonkawą mgiełką na horyzoncie.

– Jestem – powiedziałem, uważając, by w moim głosie nie było cienia prowokacji.

Nie dał po sobie poznać, że mnie usłyszał. Stałem i czekałem. Słyszałem rzekę i statki w porcie. Odległe wołania i okrzyki miasta przywodziły na myśl śpiew ptaków.

– Człowieku?

– Jestem – powtórzyłem.

Postąpiłem krok naprzód.

– Nie! – krzyknął Zuchwalec.

Za późno.

Galion skręcił się w pasie gwałtownie, aż zakołysał kadłubem, i błyskawicznie wyciągnął po mnie dłoń. Odskokczyłem, ale i tak złapał mnie za rękę. Prawą miałem wolną, więc chwyciłem jeden z jego palców, chciałem podnieść, przekręcić... nic z tego. Straciłem oparcie, pociągnął mnie ku burcie.

– Zostaw go! – huknął kapitan.

Niespodziewany ruch zaalarmował załogę. Świstak zjawił się biegiem, Niestrudzony deptał mu po piętach. Marynarz na mój widok stanął jak wryty,

chłopak pobladł niczym kreda. Dwoje innych – Linka i Haf – zareagowało podobnie, stanęli jak wykuci z kamienia. Althea zatrzymała się, wciąż obejmując przyjaciółkę. Nie słyszałem, co powiedziała, lecz pani Amber obróciła się, by niewidzący wzrok skierować w naszą stronę.

Statek odezwał się z całkowitym spokojem. Jego słowa obudziły we mnie wibracje.

– Ta sprawa nie dotyczy żadnego z was poza tym od jelenia. Wracajcie do swoich spraw.

– „Niezrównany”... – odezwała się Althea błagalnym tonem.

Żywostatek wzmocnił uścisk, pociągnął mnie w górę, aż ledwo dotykałem pokładu stopami. Wciąż trzymał mnie za lewą rękę, kciukiem i palcami przyszczypywał lewy bok. Nie walczyłem. Gdy nie sposób zwyciężyć, lepiej przynajmniej nie drażnić oponenta. Nie dawać mu powodu do użycia większej siły.

– Wszystko w porządku – zapewniłem.

Przytrzymałem się jego palców, próbując zmniejszyć nacisk.

– Chodzi o twoje obowiązki – objaśnił statek łagodnym tonem, a ja przytaknąłem żarliwie.

Althea poprowadziła panią Amber, a ta poddała się niechętnie, stale odwracając głowę. Nie potrafiłem odczytać wyrazu jej twarzy. Świstak wziął za ramię Niestrudzonego i pociągnął za sobą. Strzyk mu pomógł. Zuchwalec też się odsunął, usta miał zaciśnięte w wąską linię. „Niezrównany” opuścił mnie na pokład, ale przycisnął do relingu.

– Musimy zamienić kilka słów – oznajmił niegłęboko, miękko. – Zyskać pewność, że dobrze się rozumiemy. Słyszysz mnie, człowieku od jelenia? Słuchaj, bo taka jest twoja rola w tej rozmowie. Masz słuchać.

– Słucham – sapnąłem ze świstem.

– Wyśmienicie. Amber cię lubi, najwyraźniej... Od lat, jak się wydaje... – Zrobił pauzę.

– Przyjaźnimy się od dzieciństwa.

Nacisnął mocniej.

– Przyjaźnicie.

– Od chłopięcych lat. To znaczy... Od czasu, gdy byłem mały.

Wydał z siebie niski dźwięk, który poczułem w całym ciele.

– Rozumiem – rzekł. – Mamy takie same twarze, choć moja jest młodsza i przystojniejsza. Poprosiłem Amber, by dała mi oblicze, które mogłaby kochać. Wyrzeźbiła twoje. Pamiętaj: „mogłaby kochać”, a nie: „pokochała”. Mnie kocha mocniej niż ciebie. O wiele mocniej. Tak będzie zawsze.

Przy ostatnich słowach wzmocnił uścisk, więc tylko bez tchu pokiwałem głową. Gdzieś w górze usłyszałem niespokojne krakanie. Nie mogłem spojrzeć w niebo, lecz i tak wiedziałem, że to Jaskrawa krąży nad statkiem. Oby tylko nie próbowała go atakować.

„Proszę, nie” – cisnąłem ku niej.

„Niezrównany” rozwarł palce. Zdążyłem uchwycić się relingu i nie upadłem. Przez mgnienie oka zdawało mi się, że zareagował na myśl rzuconą zwierzęcą magią.

– Czyli... – w jego uśmiechu czaiła się groźba – rozumiemy się, tak?

– Tak.

Z niemałym trudem opanowałem impuls, by rzucić się do ucieczki. Nie chciałem odwracać się do galionu tyłem, choć on już pokazał mi plecy. Zawiesił wzrok na wodnej toni, ręce skrzyżował na piersi, naprężył barki. Muskulatura godna pozazdroszczenia. Czy ja kiedyś tak wyglądałem?

Milczał.

Wycofywałem się krok za krokiem, nie spuszczać go z oczu, aż kapitan chwycił mnie za kołnierz i pociągnął do tyłu. Odpychałem się piętami od pokładu, by pomóc Zuchwalcowi, aż w końcu obaj wyrznęliśmy na deski. Ja znalazłem się na wierzchu. Kapitanowi powietrze uszło z płuc.

– Proszę bardzo – rzucił resztką tchu.

Przetoczyłem się na bok, dźwignąłem na nogi.

– Dziękuję – powiedziałem szczerze, choć za późno.

– Wszystko w porządku? – Amber znalazła się przy mnie zdumiewająco szybko.

Althea podała rękę Zuchwalcowi, gdy tymczasem Niestrudzony wziął mnie pod ramię.

– Nic mi nie jest – zapewniłem go pośpiesznie. – Będę miał parę siniaków, ale głównie ucierpiała moja duma. – Obróciłem się do pary kapitanów. – Nie sądziłem, że jest taki szybki. Ani taki... – Zabrakło mi słowa.

– Podstępny – dokończył Zuchwalec. – Ostatnimi czasy nie stanowi wzoru cnót.

– Trudno z nim wytrzymać – uściśliła Althea. – Podsunęła przyjaciółce ramię. – Wasze powitanie wypadło raczej nieszczególnie, ale na pewno pamiętasz, jak to jest z „Niezrównanym”. Długie miesiące albo i rok potrafi być wzorem opanowania, ale wystarczy drobiazg, by go wytrącić z równowagi.

– To zazdrość – dotarło do mnie. – Jest zazdrosny o Amber.

– Postaram się go uspokoić – obiecała pani kapitan. – Ale to nie koniec. Jego kadłub i galion zostały stworzone z dwóch kłoców czarodrzewu. Dlatego statek ma naturę i częściowe wspomnienia dwóch smoków. A na jego pokładzie rozgrywały

się sceny gwałtowne i okrutne. Został przejęty przez Igrotę, bezlitosnego pirata. Na tych deskach dręczony był Kennit Szczęsny, syn z rodziny „Niezrównanego”. Dręczony, torturowany... wykorzystywany – dokończyła szeptem. – Bestialstwo rodzi bestialstwo.

– Drakońskie okrucieństwo jest niewybaczalne – stwierdziła Althea.

Pani Amber lekko skłoniła głowę.

– Teraz rozumiem to zapewne lepiej niż dawniej.

Odsunęliśmy się od dziobu. Zuchwalec lekko uniósł brodę na widok paru gapiących się na nas marynarzy, a oni natychmiast wrócili do zajęć. Delikatnie uwolniłem ramię z uścisku Niestrudzonego.

– Nic mi nie jest – zapewniłem. – Idź, poznaj statek. Jeśli będę cię potrzebował, zawołam.

Nie wyglądał na przekonanego, lecz gdy Świstak gwizdnął przenikliwie, chłopak podskoczył niczym pies na wezwanie pana.

– Idźże – powiedziałem.

Tak było dla niego najlepiej. Tego chciał. Ruszył. A wtedy w szumie czarnych, opalizujących piór Jaskrawa zatoczyła koło i wylądowała mu na barku. Świstak znieruchomiał, a Niestrudzony roześmiał się głośno. I tak napięcie minęło, zniknęło niczym bańka mydlana. Postanowiłem się nie wtrącać. Niech młodzik sam opowie o ptaku Świstakowi i Mrówce.

Nie przeszliśmy dziesięciu kroków, gdy jak spod ziemi wyrósł przy nas Popiół.

– Co się dzieje? – zapytał niespokojnie.

Nie tylko strój, ale i głos miał chłopięcy. Źle się stało, że pozbawiliśmy Ciernia tak zdolnego szpiega, akurat w czasie, gdy przydałoby mu się każde wsparcie. Tymczasem na statku podwójna tożsamość nie miała racji bytu.

– Nie ma o czym mówić, Skierko. – Dzielnie zniosłem zdziwione spojrzenie Popioła. – Może przyłączysz się do Niestrudzonego? – Wskazałem palcem Świstaka. – Na pewno chętnie oprowadzi was oboje.

Odpowiedziała mi promiennym dziewczęcym uśmiechem i zniknęła z oczu w tempie, które nie pozostawiało wątpliwości, że właśnie takie polecenie miała nadzieję usłyszeć.

W drzwiach kabiny pani kapitan mnie zatrzymała. W oczach miała ogień.

– Na pokładzie tego statku nie można pozwalać sobie na nieuwagę. Ostrzegaliśmy.

– To prawda – przyznałem. – Zwabił mnie w pułapkę. Wina leży wyłącznie po mojej stronie.

Taka postawa wytrąciła jej broń z ręki.

Pani Amber namacała moje przedramię i uchwyciła się go mocno.

– Ech, Bastardzie... Nie znasz historii „Niezrówanego”, więc pojęcia nie masz, jak się bałam.

– Ruszajmy – odezwał się Zuchwalec. – Ludzie patrzą. Im szybciej opuścimy Trehaug, tym mniej będzie plotek.

Spojrzałem na miasto. Rzeczywiście wzbudzaliśmy zainteresowanie. Jedni się na nas gapili, inni wręcz wskazywali palcami. Ilu było świadkami niedawnych zdarzeń? Jak objaw zazdrości „Niezrówanego” zostanie zinterpretowany przez tych, którzy widzieli scenę, a nie słyszeli słów?

– Zaprowadź mnie do kabiny, proszę – odezwała się pani Amber. – Potrzebuję czasu, by przypomnieć sobie, gdzie co jest na statku – skłamała, dając mi pretekst, bym mógł wycofać się z wdziękiem.

– Nawet nie spytali, co powiedział – zauważyłem.

– To i owo było słyhać. Nie przypuszczałam, że okaże się taki zaborczy.

– A musisz przy tym być taka zadowolona?

Skwitowała moje słowa śmiechem.

– Bałam się, że mnie zapomniął.

– Po tym, jak wyrzeźbiłaś mu nową twarz i przywróciłaś wzrok?

– „Niezrównany” jest zmienny. W jednej chwili to urocze dziecko, w następnej mściwy, gniewny niedorostek. Czasami po męsku dzielny i rycerski, ale nic nie trwa wiecznie, więc nigdy nie ufam jego nastrojom, bardzo szybko się zmieniają.

– Naprawdę zapomniłaś rozkład pomieszczeń na statku?

Smutny uśmiech wykrzywił jej usta.

– Bastardzie... Zdumiewająca jest twoja niezachwiana wiara w moje możliwości. Nie byłam na tym statku od kilkadziesiąt lat. Pamiętam z grubsza, co gdzie się znajduje, ale skąd mam wiedzieć, ile kroków jest z dziobu na rufę? Ile stopni z poziomu na poziom? Gdzie pochylić głowę w progu? A przecież muszę chodzić, jakbym doskonale wiedziała, co robię. Zdaję sobie sprawę, że błądząc po omacku lub wodząc przy chodzeniu dłonią po ścianie, jestem zawalidrogą. Dlatego udaję, że widzę lepiej niż w rzeczywistości.

– Wybacz.

Było mi naprawdę przykro. A serce mi się ścisnęło, gdy myślałem o tym, jak długą i trudną drogę pokonał – choć był poraniony, oślepiiony, samotny – – przez śnieg.

– Czy tu są drzwi? – spytała.

– Najwyraźniej.

Byłem bardziej rozbity, niż chciałbym przyznać. Wciąż myślałem o tym, że głupio się zachowałem. Co powinienem był zrobić, gdy „Niezrównany” mnie pochwycił?

– Sądziłam, że mnie prowadzisz.

– Podałem ci ramię w czasie spaceru. – Zastukałem, a z braku odpowiedzi otworzyłem. – Widzę twoje rzeczy. Wszędzie. Trzy koje i składany stół. Torba Skierki, otwarta. Od razu wiadomo, że dziewczyna coś z niej wyjmowała.

Amber weszła, a ja zamknąłem za nami drzwi. Starannie badała wnętrze kajuty dotykiem. Przesuwała się w ciasnym pomieszczeniu ostrożnie, odmierzając dystans krokami, rozkładając ręce.

– Pamiętam tę kabinę – oznajmiła. Przysiadła na koi. – Kiedyś mieszkałam tutaj z Altheą i Jek. Trzy osoby to tłum na takiej szczupłej przestrzeni. Zdarzały się napięcia, oj, zdarzały.

Wepchnąłem swój plecak pod koję, worek z ubraniami położyłem przy drzwiach.

– Tak to bywa w tłoku. – Usiadłem obok pani Amber.

Ruch statku zmienił się, a mnie było z tym niezbyt dobrze. Wypłynęliśmy z przystani, zaczynał nami rządzić nurt. Wyjrzałem przez bulaj. Nabieraliśmy szybkości, oddalaliśmy się od brzegu, wypłynęliśmy na głębszą wodę. Nigdy nie przepadałem za pływaniem, wolałem czuć grunt pod nogami. Nawet na końskim grzbiecie człowiek porusza się w określonym rytmie. Tymczasem statek potrafi skoczyć całkiem niespodziewanie, w dowolną stronę. Najtrudniej było przygotować żołądek na te niemożliwe do przewidzenia harce.

– Co się stało? – zapytała cicho.

– Powiedzieć, że mam chorobę morską, to za dużo, ale czuję się niezbyt pewnie. Jako tako przywykłem do kołysania „Smolistego”, jednak „Niezrównany”...

– Nie o to pytam – odezwała się głosem Błazna. – Pytam, co się z tobą dzieje.

Czy istniał na świecie ktokolwiek inny, komu mogłem szczerze się zwierzyć? Raczej nie.

– Widzisz... – Nie patrzyłem na niego. – Jestem... Zmieniam się. Popełniam więcej błędów niż dawniej, poważniejsze omyłki. Sądzę, że zachowuję czujność i przygotowałem się na każdą ewentualność, po czym zdarzenia dowodzą, że jest wręcz przeciwnie. Reakcje ludzi wprawiają mnie w osłupienie, zdarzenia zaskakują... Zuchwalec podszedł do mnie niezauważony, bo byłem tak skupiony na „Niezrównanym”, że nawet Rozumieniem nie wyczułem obecności kapitana. Chociaż zostałem wcześniej lojalnie uprzedzony, dałem się jak ostatni naiwny zwabić w zasięg galionu. Mógł mnie zabić. Nawet bym nie zdążył mrugnąć.

– Bastardzie, ile masz lat?

– Przecież wiesz, że nie mam pewności.

– Spróbuj zgadnąć – zadrwiła.

Postanowiłem nie przejmować się własną niechęcią do tematu.

– Sześćdziesiąt dwa albo trzy. Może sześćdziesiąt cztery. Nie wyglądam na swój wiek i czuję się znacznie młodszy.

– Mimo wszystko masz swoje lata. A to nie bez znaczenia. Jakiś czas dobrze ci się żyło, w Białym Gaju, z Sikorką. To były przyjemne lata. Spokój i dostatek łagodzą usposobienie człowieka, przytępiają mu zmysły, a ciągła gotowość do walki, ciągłe zmagania z trudami codzienności pozbawiają cech delikatniejszych.

– Dobrze mi było. Chciałem, żeby to trwało wiecznie. Pragnąłem zestarzeć się i umrzeć przy Sikorce. Miała żegnać mnie, siedząc przy łóżku...

– Nie było ci to dane.

– Nie było. Zamiast tego uganiam się po świecie, tropiąc obcych, którzy zniszczyli moją oazę spokoju, miejsce spełnienia marzeń. – Gdy oblokłem uczucia w słowa, ogarnęła mnie wściekłość, która pozwoliłaby mi bez trudu skrócić kark wrogowi. Dwalii. Mógłbym ją w tamtej chwili uśmiercić gołymi rękoma. Przełamać na pół. Furia szybko minęła, poczułem się durny i wyprany z emocji, a co najgorsze, nieudolny. – Wywabili mnie możliwie najdalej od Białego Gaju, prawda? – Zmieniłem się w jedno wielkie poczucie winy. – Wywabili mnie, żeby napaść na mój dom pod moją nieobecność.

– Obawiam się, że masz rację.

– Że też udało im się to zaplanować. Jak to było możliwe?

Tak, tak, tłumaczył mi to wcześniej, lecz chciałem te wyjaśnienia usłyszeć ponownie.

– Mają dostęp do tysięcy proroczych snów młodych Białych. Dzięki temu mogli wykorzystać sprzyjające okoliczności i nakłonić cię do pożądanego działania.

– A co z tobą?

– Najprawdopodobniej także zostałem wykorzystany. Czy uciekłem, czy też zostałem wypuszczony? Czy obcy, którzy pomagali mi w drodze, byli rzeczywiście dobrzy, czy wręcz przeciwnie, działali ze Sługami ręką w rękę? Nie wiem, Bastardzie. Mimo wszystko nie powinieneś siebie winić.

– Popełniam za dużo błędów! Trzymałem miecz na gardle Ellika, lecz nie znalazłem w sobie siły. Gdy powinienem był podążyć za Pszczołą przez filar Mocy, zabrakło mi magii. Błąd za błędem, Błaźnie. A jak beztrudnie „leczyłem” dzieci! – Zajrzałem w jego puste oczy. – Teraz jeszcze ta scena z Niezrównanym...! Głupiec ze mnie! Głupiec nad głupcami. – Ścisnąłem jego dłoń w rękawiczce. – Błaźnie, nie zdołam ci pomóc. Nie dam rady. Nie chcę, żebyś przeze mnie cierpiał katusze, nie chcę, żebyś przeze mnie umarł. A Strzyk? Niestrudzony, Skierka? Co z nimi? Czy będziemy słuchać krzyków torturowanego chłopaka, patrzeć, jak zadają gwałt dziewczynie? Nie zniosę tego. Nie mogę o tym nawet myśleć. Dziwisz się, że chcę

odesłać ich do domu? Że boję się kogokolwiek angażować w tę sprawę? Jestem przerażony! Nigdy w życiu niczego nie bałem się tak, jak teraz tego, że was narażę na niebezpieczeństwo i zawiodę. Dam się zwieść jakiejś sztuczce... Jak mam walczyć z przeciwnikiem, który zapewne lepiej ode mnie zna mój następny ruch? Nawet teraz. Czy wiedzą, że nadciągamy, by ich zabić?

– Och, zapewne. Moim zdaniem to bardzo prawdopodobne – stwierdził Błazen obojętnym tonem, po czym dodał cicho: – Sprawiasz mi ból.

Rozmasowałem mu dłoń. Szczere słowa przyjaciela zagasili we mnie ostatnią iskrę odwagi. W tle naszego milczenia płynący statek mówił po swojemu: słyszałem wodę i skrzypienie desek czarodrzewu. Poczułem nacisk emocji „Niezrównanego”, więc umocniłem ochronę umysłu.

– To szaleństwo. Nie dam rady. Obaj umrzemy. Bolesną śmiercią.

– Zapewne. Ale co mielibyśmy zrobić z resztą życia?

Zamyśliłem się nad tym, a w tym zamyśleniu byłem podobny do wilka ogryzającego kość. Albo raczej do wilka odgryzającego sobie łapę zatrzaśniętą we wnykach.

– Ślepun – powiedział.

– Nie ma go – odparłem głosem bez wyrazu. – Gdyby ze mną był, nie czułbym się taki słaby. Miał wyostrzone zmysły i pozwalał mi z nich korzystać. A teraz nie zostało mi z niego nic. Jeszcze jakiś czas temu czułem jego ślad, czasami prawie słyszałem, jak sobie ze mnie po swojemu pokpiwa, ale teraz nie zostało już nic. Zniknął.

– Przykro mi to słyszeć, ale nie to miałem na myśli. Przypomniał mi się Ślepun u kresu dni. Chciałeś go leczyć, a on się sprzeciwił. Pragnąłeś zapewnić mu bezpieczeństwo, gdy udaliśmy się za Srokatymi, a on podążył za tobą.

Uśmiechnąłem się na wspomnienie wilka zdecydowanego żyć pełnią życia aż do śmierci.

– I co chcesz przez to powiedzieć?

– To nasze ostatnie polowanie, stary wilku – stwierdził bez ogródek. – Wyruszymy razem, jak zwykle.

Rozdział 13

Pod pełnymi żaglami

Martwią mnie ogromnie sny pozbawione sensu, a jednak bezsprzecznie ważne. Trudno zapisać historię bez myśli przewodniej i treści, a jeszcze trudniej narysować, co taki sen mi pokazał. Ale robię, co mogę.

Płonący mężczyzna podaje mojemu ojcu napój. On go wypija. Otrząsa się jak mokry pies, a wtedy na wszystkie strony lecą drzazgi. Zmienia się w dwa smoki i odlatuje.

Jestem prawie pewna, że ten sen się spełni. Sen kompletnie pozbawiony sensu!

Pszczoly Przezornej „Dziennik snów”

Dzień był chłodny i deszczowy. Miałam na sobie starą tunikę narzuconą na luźną koszulę oraz spodnie, które Dwalia niechętnie kupiła mi jeszcze w Krainie Miedzi. Niezbyt wygodne było wszystko to razem, lecz o płaszczu mogłam tylko pomarzyć. We trójkę – z Kerfem i Vindeliarem – uciekliśmy z cuchnącej kajuty. Stłoczeni pod daszkiem nadbudówki patrzyliśmy na wzdymającą się szarą wodę, o którą stukały krople deszczu. Niewielu kupców miało ochotę tego dnia zaczerpnąć świeżego powietrza, lecz dwójka, która, brnąc pod wiatr, minęła nas pogrążona w rozmowie, obudziła w moim sercu nadzieję.

– Jeszcze sześć dni do Wełnikowa. Zostawiam tam ładunek brzoskwiniówki, wezmę za nią dobrą cenę. Chcę zerknąć na likier porzeczkowy. Jest lekko cierpki, pobudza apetyt, smakuje i panom, i paniom.

To mówił niewysoki, drobny mężczyzna, zwinny niczym szczur i odziany w szcurze szarości.

Towarzysząca mu wysoka kobieta roześmiała się i potrząsnęła głową. Przy tym ruchu okrągłe kolczyki musnęły jej ramiona. Włosy miała splecione w warkocze i upięte na głowie, mimo deszczu była bez kapelusza.

– Ja tam nic nie sprzedaję, ale mam nadzieję znaleźć coś interesującego. Miasto nie bez powodu nazywa się Wełnikowo. Podobno tamtejsze dywany nie mają sobie równych. Zamierzam wyszukać jakiś wybitny egzemplarz, na prezent dla odbiorcy

z Wysp Korzennych. Może będzie dzięki temu chętniej wydawał pieniądze swoich klientów. I z prawdziwą przyjemnością zejść ze statku. Cieszy mnie przerwa przed następnym tygodniem na morzu. A przynajmniej tyle będzie trwał rejs do Furmankowej Zatoki, o ile wiatr się utrzyma.

– Wiatr niech wieje, ale bez deszczu mógłbym się obejść.

– Mnie nie przeszkadza. – Kobieta podniosła głowę, pozwalając, by krople spadały jej na twarz.

Mężczyzna obserwował jej odsłoniętą szyję.

– Mniejsze ryzyko, że nas wypatrzą piraci z floty podatkowej, ale tak czy inaczej, nie mogę się doczekać tych dwóch dni na stałym lądzie.

Dwa dni w porcie. Dwa dni na znalezienie sposobu, żeby ulotnić się ze statku i uwolnić spod kurateli Dwalii. Sześć dni na zyskanie przychylności Vindeliara. Gdyby ze mną uciekł i oboje nas ukrył przed pościgiem... czy Dwalia miałyby szansę nas odszukać? Zdawałam sobie sprawę, że sprowadzenie go z drogi życia, którą uważał za swoją jedyną i prawdziwą ścieżkę, będzie przypominało wywabienie dzikiego ptaka z krzewu pełnego jagód. Jedno niewłaściwe słowo groziło całkowitym fiaskiem. Musiałam zachować wielką ostrożność. Ustaliłam ścisły harmonogram: przez trzy dni zamierzałam zabiegać o przyjaźń Vindeliara. Dopiero czwartego dnia zacznę go przekonywać, by mi pomógł.

Kerf tkwił tuż obok mnie, objął się ramionami, skulił przed deszczem. Jego twarz nie wyrażała nic, był całkowicie podporządkowany woli lurika. Trochę mi go było szkoda. Wyglądał jak rasowy ogier, jeszcze niedawno dumny i wyniosły, teraz zaprzężony do wózka z łajnem. Wieczorami, gdy rozbierał się do spania, widziałam zwiotczałe mięśnie na jego klatce piersiowej, barkach i ramionach. Zniewolony przez Vindeliara mniej się ruszał, a jeśli już, to jako służący, nie wojownik. Jeszcze trochę, a przestanie być przydatny w roli obrońcy. Czy Dwalia zdawała sobie z tego sprawę?

Po mojej drugiej stronie Vindelias osunął się na pokład. Miał dziwną twarz. Czasami chłopcę, a kiedy indziej przywodził na myśl rozczarowanego życiem staruszka. Dzisiaj był ponury, niewidzącym wzrokiem wodził po pagórkach fal.

– Tak daleko od domu – odezwał się żałośnie.

– Opowiedz mi o miejscu, do którego zmierzamy, bracie. Co tam zastaniemy?

Zawsze chętnie mówił. A ja nauczyłam się uważnie słuchać, nie przerywając, nie korygując go i nie uciszając.

Westchnął głęboko, jakby nie wiedział, od czego zacząć.

– Wszystko zależy od tego, z której strony podpłyniemy. Możemy od strony głębokiej wody. Albo zacumujemy w Sizalu, ewentualnie w Rozkładowie. Tam

znają Dwalię. Wtedy można liczyć na nocleg w gospodzie i suty posiłek. Na przykład jagnięcinę z miętą. Lubię jagnięcinę. I marzę o suchym łóżku w ciepłym pokoju. – Zamilkł, jakby już rozkoszował się tymi zwyczajnymi przyjemnościami. – Mogłaby tam wynająć powóz do Clerres. Mam nadzieję, że nie będzie chciała wracać konno... Moja tylna część jakoś nie pasuje do siodła.

Pokiwałam głową ze współczuciem.

– W końcu trafimy do Clerres – podjął. – Właściwie... może nawet tam przybijemy do brzegu? Zależy, jaki statek uda nam się znaleźć. W Clerres jest teraz środek lata. Dla ciebie pewnie gorąco, w końcu jesteś z północy. Dla mnie w sam raz. Uwielbiam słońce, bo rozgrzewa mi stawy, dzięki czemu mniej bołą. Clerres w słoneczny dzień jaśnieje bielą. Część pałacu zbudowana jest ze starożytnych kości, część z białego kamienia.

– Z kości? – zdziwiłam się szczerze. – To brzmi trochę strasznie.

– Tak? Nie dla mnie. Rzeźbiona kość jest piękna. – Pokiwał głową na boki. – Jeśli nie trafimy w sam raz, trzeba będzie poczekać na odpływ, który odsłoni groblę. Po niej przejdziemy do sanktuarium. Na pewno o nim słyszałaś! Szczyty wież wartowniczych mają kształt czaszek pradawnych monstrów. Nocą ślepia im błyszczą pomarańczowym blaskiem, za sprawą odpowiednio rozmieszczonych pochodni. Wydaje się, że patrzą na wszystkie cztery strony świata. Są imponującym świadectwem władzy. – Podrapał się w mokry policzek. Z brody skapywały mu krople deszczu. Przysunął się do mnie i zniżył głos, powierzając mi ważny sekret: – Meble w każdej z czterech wież Rady są zrobione ze smoczyczych kości! Symphe ma komplet szklanic rzeźbionych ze smoczyczych zębów, powleczonych w środku srebrem! Są niewiarygodnie stare, przechodzą z Symphe na Symphe już od pokoleń.

– Z Symphe na Symphe?

Uniósł jasne brwi.

– Mieszkanka wieży północnej zawsze nazywa się Symphe. Jak możesz nie wiedzieć takich rzeczy? Ja nauczyłem się tego jeszcze jako dziecko. Clerres jest sercem świata, musi bić mocno. – Ostatnie zdanie wypowiedział jak niepodważalną sentencję znaną całemu światu.

– Póki byłam w domu, nie wiedziałam nic ani o Clerres, ani o Sługach.

Nie była to całkiem prawda, lecz też nie do końca kłamstwo. Wyczytałam o nich to i owo z papierów ojca, jednak za mało, by zyskać jakieś pojęcie o sprawach, które mnie teraz dotyczyły.

– Może dlatego, że jesteś jeszcze bardzo młoda – odparł po namyśle.

Przeniósł na mnie spojrzenie przepełnione współczuciem.

Potrząsnęłam głową. Włosy miałam już dość długie, od wilgoci zwijały się

w pierścionki. Teraz poleciały z nich krople deszczu.

– Chyba Słudzy nie są aż tak sławni, jak sądzisz. Kerfie, słyszałeś o Clerres, zanim cię wynajęli?

Mężczyzna powoli obrócił ku mnie głowę. Niebieskie oczy miał wielkie i lekko zamglone, jak u zdziwionej krowy.

– Ćśśś...! – obruszył się Vindeljar. – Nie zadawaj mi pytań.

Ściągnął brwi w skupieniu, a wówczas twarz Kerfa nabrała zwyczajowego ostatnio wyrazu: znów patrzył ponuro spode łba. Zniknęły wszelkie ślady czujności.

Wstałam i przeciągnęłam się, specjalnie wybierając chwilę, gdy mijają nas dwóch majtków. Jeden odwrócił się i spojrzał na mnie wyraźnie zaskoczony. Uśmiechnęłam się do niego, patrząc mu prosto w oczy. Potknął się, złapał równowagę i zawrócił. Z pewnością zamienilibyśmy kilka słów, gdyby go ktoś nie przywołał do porządku gromkim głosem. Rozkazowi zawtórowało klaśnięcie liny o reling. Obaj chłopcy poderwali się do biegu i rzucili do pracy. A ja powoli usiadłam z powrotem. Vindeljar ciężko dyszał, jakby właśnie ukończył wyścig. Rzeczywistość wokół mnie osadziła się w znieruchomieniu, jakbym przed chwilą wiosłowała po falach, a teraz zastygła tuż pod ich powierzchnią.

– Clerres jest sercem świata – powtórzyłam, nie patrząc Vindeljarowi w oczy – musi bić potężnie. – Dopiero wtedy zerknęłam na niego, przez zasłonę nowej, gwałtownej fali deszczu.

Nie potrafiłam ocenić, czy po twarzy spływa mu tylko woda, czy także łzy. Na pewno zdrzała mu broda.

– My, którzy służymy Sługom, wspomagamy ich w wysiłkach, by serce biło mocno. Tak się dzieje, gdy jesteśmy posłuszni. Gdy podążamy jedyną prawdziwą ścieżką.

– Rozumiem. Ale z drugiej strony... – Udałam, że się namyślam. – Komu by się stała krzywda, gdybyś poszedł na targ, zjadł trochę prażonych orzechów i wypił parę łyków cydru z przyprawami? Przecież w tym nie ma nic złego.

W jego małych, krągłych oczkach błysnął żal.

– Ale i nic dobrego. Muszę robić wyłącznie to, co służy skierowaniu świata na właściwą ścieżkę. Zaszkozić temu mogą najbardziej niewinne szczegóły. Może gdybym zjadł ciasto, zabrakłoby go dla kogoś innego? Nasze uczynki są niczym kamyki tworzące górę. Wystarczy przesunąć jeden, a zasypią drogę i skażą szlak na zapomnienie.

Chyba już to gdzieś słyszałam, bardzo, bardzo dawno. Dźwięczały mi te słowa w uszach dziwnie znajomo, co nie zmieniało faktu, że ich sens wcale mi się nie podobał. Gdybym uwierzyła, że Dwalia zna przeznaczenie Vindeljara, a on podąża

we wskazanym przez nią kierunku, nie miałam szans na jego pomoc w ucieczce.

– Dlatego nie pomogę ci się jej sprzeciwić – rzekł, jakby czytał mi w myślach.
– Jeżeli spróbujesz ucieczki, zatrzymam cię i sprowadzę z powrotem. – Pokręcił głową. – Była okropnie zła, gdy uciekłaś. Przyznałem się jej, że nie umiem sprawić, byś była posłuszna. Raz tylko mi się to udało, wtedy, przy naszym pierwszym spotkaniu. Tamtego dnia moje czary były świeże i silne, lingstra przygotowała mnie do trudnego zadania. A od tamtej pory już nie mogę nad tobą zapanować. A ona zarzuca mi kłamstwo. Bez przerwy bije mnie po twarzy. – Poruszył językiem w ustach, jakby odnajdował nim bolące miejsca.

Zrobiło mi się przykro, ogarnęła mnie litość.

– Och, bracie – powiedziałam i wzięłam go za rękę.

Całkiem jakbym wetknęła dłoń do lodowatego potoku o wyjątkowo silnym nurcie. Podobnie czułam się, dotykając ojca, gdy nie strzegł swoich myśli, zanim nauczyłam się przed nimi chronić. Żwawy prąd wymiół mi myśli z głowy. Czułam uchwyt, którym Vindeliar trzymał Kerfa: był jak dusząca najemnika pętla, stale napięta lina. Żadnej słabości. Przypominało to trzymanie na smyczy wyrywającego się psa. Cofnęłam dłoń. Usiłowałam zamaskować swoje prawdziwe doznania, ze współczuciem poklepałam Vindeliara po ramieniu. Po ramieniu osłoniętym rękawem.

– Przykro mi, że cię ukarała.

Przyjrzał mi się uważnie.

– Myślałaś o ojcu.

Serce waliło mi jak młotem.

„Mur, bariera, zaporą!”.

– Tęsknię za nim.

Wyciągnął do mnie rękę, lecz wstałam.

– Zmarzłam. Idę pod pokład. – Odwróciłam się do Kerfa. – Tobie nie zimno?

Najemnik zamrugał niepewnie, a Vindeliar skupił się na przywołaniu psa do porządku. Zanim ponownie zapanował nad Kerfem, zanim nakazał mu wstać i iść za mną, znalazłam się poza jego zasięgiem, już dobrze w drodze do kajuty. Jeden z marynarzy, który akurat klarował linę, przerwał swoje zajęcie i przyjrzał mi się ciekawie. Innymi słowy Vindeliar, oprócz tego, że sterował zachowaniem Kerfa, to także ukrywał mnie przed załogą. Tyle że dbanie o obie te sprawy równocześnie było dla niego trudne i wymagało wysiłku. Przydatna wiedza.

Z drugiej strony mimowolnie włożyłam mu do ręki broń. Czy odgadł, że dotykając mojej skóry, zyskuje dostęp do umysłu? Nie pozwoliłam sobie na rozważanie tej kwestii, nie zerknęłam na niego przez ramię. Niestety ogarnęło mnie zwątpienie.

Straciłam wiarę, że zdołam uzyskać jakąkolwiek pomoc: czy to od Kerfa, czy od Vindeliara.

Minął mnie jakiś stary marynarz. Mokrą koszulę miał przyklejoną do pleców, jego bose stopy plaskały o pokład. W ogóle mnie nie zauważył.

Dotarłam do włazu i zeszłam po drabince prowadzącej w trzewia statku, gdzie znajdowała się nasza marna kabina. Minęłam obszerne pomieszczenie z hamakami oraz kufkami, specjalnie przystosowanymi do podróży morskich: miały one szerszą podstawę niż wieko, dzięki czemu były stabilniejsze od zwykłych, prostych skrzyń. Przyglądałam się mijanym ludziom. Paru kupców z Krainy Miedzi zbiło się w grupkę, narzekając na pogodę i piratów. Przystanęłam nieopodal. Nikt na mnie nawet nie spojrział. Z rozmowy wywnioskowałam, że nasz statek uważano za najszybszy ze wszystkich pływających pod banderą Krainy Miedzi. Nigdy nie został zajęty przez piratów, choć wiele razy próbowali go dogonić. Udawało mu się także unikać spotkań z tak zwaną flotą podatkową, ponieważ prześlizgiwał się obok Wysp Pirackich niezauważony, nie płacąc myta, które królowa Etta pobierała za pośrednictwem morskich rzezimieszków.

– Czy we flocie podatkowej znajdują się statki pirackie tak szybkie, by mogły nas ścigać? – zapytałam głośno, lecz nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

Ale po chwili jeden z młodszych kupców, stojący bliżej krawędzi kręgu zebranych, zauważył:

– Na ironię zakrawa fakt, że królowa rządząca na Wyspach Pirackich ma kłopoty z piratami.

Inny, z siwymi wąsami, zaśmiał się głośno.

– Prawda, to czysta ironia, ale i satysfakcja dla tych spośród nas, którzy swego czasu musieli pędzić między Wyspami Pirackimi z płochą nadzieją, że nie zauważy ich król Kennit. Bo ten miał zwyczaj brać i statek, i załogę, i ładunek... i wszystko traktować jak swoją własność. A kogo nie stać było na okup, zostawał na Wyspach Pirackich.

– To był Kennit? Czy Igrot? – zwał się młodziak.

– Kennit – potwierdził wąsacz. – Igor był przed nim. Rządził twardą ręką, prawdziwy potwór. Ładunek kradł, załogę hańbił i wyrzynał, statek posyłał na dno. Miał żywostatek, a takiemu żaden inny nie dorówna. Zdusił handel na długie lata. A potem, któregoś dnia, po prostu zniknął. – Popatrzył na młodszego spod nastroszonych brwi. – Ludziska prawią – dodał kpiąco – że w burzową noc można czasem dostrzec na horyzoncie statek widmo z płonącymi żaglami i galionem rzeżącym w agonii.

Zapadła cisza. Młody człowiek patrzył na wąsacza z napięciem, aż nagle wszyscy

wybuchnęli śmiechem.

– To jak, panowie, uda nam się uniknąć floty podatkowej? – spytał młodzieniec, próbując odzyskać choć odrobinę godności.

Jeden ze starszych wetknął dłoń do zdobionej sakwy. Wydął usta.

– Uda się albo się nie uda – stwierdził filozoficznie. – Ja zawarłem z kapitanem porozumienie: jeśli nie zapłacimy królowej Etcie, on dostanie połowę tego, co ona by wzięła. – Wydął usta. – To dobry układ, umawialiśmy się tak już wcześniej. W trzech na pięć wypraw kapitanowi udało się przemknąć niezauważenie. Przyzwoita statystyka. Moja oferta na pewno przekonała go do nieco większego wysiłku.

– Rzeczywiście przyzwoita statystyka – zgodził się młody człowiek.

Usłyszałam pośpieszne ruchy na drabince, podniosłam wzrok i zobaczyłam Kerfa. Za nim podążał Vindeliar.

– O, jesteś! – odezwałam się pogodnie. – Miałam już dosyć deszczu.

Kerf milczał, Vindeliar zmierzył mnie ponurym spojrzeniem.

– Lepiej wracajmy do kabiny – powiedział sztywno.

Poprowadził Kerfa obok mnie. A ja stałam w miejscu.

– Co ze mną będzie? – spytałam. – Co Dwalia dla mnie przewidziała? Przebyła długą drogę, doprowadziła do wielkich zniszczeń, przelała wiele krwi. Dlaczego? Sprzedała Alarię, żebyśmy mogli wyjechać z Krainy Miedzi. Choć długo i daleko podróżowały razem, poświęciła ją, oddała w niewolę. Dlaczego nie sprzedała mnie? Albo ciebie?

– Ćśśś! – syknął Vindeliar. – Tutaj nie możemy rozmawiać.

– Bo inni podróżni nie powinni mnie słyszeć? Ani widzieć? A ciebie wezmą za szaleńca, który gada do siebie? – Podniosłam głos, każde słowo wypowiadałam wyraźnie i dobitnie.

Vindeliar tracił panowanie nad Kerfem, a jeden z mężczyzn obrócił głowę i rzucił w naszą stronę nachmurzone spojrzenie. Zdawało mu się, że coś słyszał. W następnej chwili najemnik znowu miał nieobecne spojrzenie, a Vindeliar drżał z wysiłku.

– Bracie – odezwał się drżącym głosem – proszę...

Powinam darzyć go czystą nienawiścią i nie czuć nic więcej. Ułatwił, a pewnie nawet umożliwił moje porwanie, zamącił mi w głowie. Ukrywał Szkodę i mnie przed tymi, którzy mogli nam pomóc, a teraz pilnował, żeby inni mnie nie widzieli. Byłam więźniem Dwalii, jednak to on mnie pilnował.

Litość zdawała się w tej sytuacji nie na miejscu, jednak właśnie to uczucie we mnie wzbudził. Starłam się przyszpilić go lodowatym spojrzeniem, patrząc mu

prosto w rozwodnione oczy, w których wzbierały łzy.

– Błagam... – szepnął.

Złamałam się.

– Dobrze. Porozmawiamy w kajucie – przystałam. Ciszej, spokojniej.

– Nie, nie! – Gardło miał tak ściśnięte, że piszcział. – Tam ona będzie słyszeć... Nie.

Jeden z kupców obrócił się do lurika i przyszpilił go spojrzeniem.

– Drogi panie, czy mnie się wydaje, czy pan podsłuchujesz naszą rozmowę?

– Nie, nie! Skądże! Uciekliśmy z deszczu, zeszliliśmy pod pokład, żeby trochę przeschnąć...

– I nie macie gdzie stać, tylko akurat tuż obok?

– Już idziemy, już.

Rzucił mi rozpaczliwe spojrzenie, po czym pociągnął za sobą Kerfa. Kupcy na pewno się zdziwili, ponieważ Vindeliar i najemnik wyszli z powrotem na pokład chłostany burzą. Ruszyłam za nimi z pewnym ociąganiem. Vindeliar dygotał, prowadząc nas z powrotem do nadbudówki. Niestety, nasze miejsce było już zajęte. Usadowił się tam jeden z majtków, przygrywał coś na fujarce. Zerknął na lurika, lecz zaraz odwrócił wzrok. Odchrząknęłam głośno, jednak on tego nie usłyszał i najwyraźniej mnie nie widział.

– Bracie – napomniał mnie Vindeliar.

Ciężkim krokiem ruszył przed siebie, tuż za nim podążał całkowicie zobojętniały Kerf. Deszcz zacinał ze zdwojoną mocą, siekł pospołu z wiatrem. Nie było gdzie się schronić. Vindeliar stanął w końcu i żałośnie wsparł się na relingu.

– Zabije mnie, jeśli się dowie, że odpowiedziałem na twoje pytania. – Zerknął na mnie z ukosa. – Ale jeżeli ci nie odpowiem, będziesz mnie stale zmuszała do zbytniego wysiłku. Coraz trudniej mi cię maskować. Nie rozumiem dlaczego. Przecież ukrywałem oddział wojska przed całym miastem. Czemu ty sprawiasz mi tyle trudności?

Nie wiedziałam i wcale mnie to nie obchodziło.

– Dlaczego wybrałaś akurat mnie? – zapytałam. – W imię czego zniszczyłeś mi dom i zrujnowałeś życie?

Wolno pokręcił głową zraniony moim brakiem zrozumienia.

– Nie zrujnowałem ci życia. Wskazałem ci właściwą i prawdziwą ścieżkę. Trzeba cię nadzorować, żebyś nie stworzyła fałszywego szlaku i nie zaprowadziła nas wszystkich ku jakiejś strasznej przyszłości.

Patrzyłam na niego bez słowa, a oczy miałam jak spodki.

Westchnął ciężko.

– Pszczoło... Jesteś szalenie ważna! Stanowisz element właściwej i prawdziwej

ścieżki. Sny o nieoczekiwanym synu powtarzają się od bardzo dawna. Wzmianki o nim znajdują się w setkach zwojów, także bardzo starych. On skupia punkty newralgiczne. Samo jego istnienie tworzy niezliczone możliwości. Symphe nazywa go splotem. Tworzysz coraz większą liczbę ewentualności. Jesteś niebezpieczna. – Pochylił się, by spojrzeć mi w oczy. – Rozumiesz?

– Nie.

Przycisnął dłonie do skroni, jakby chciał powstrzymać ból. Twarz miał całkiem mokrą. Od deszczu? Potu? Łez? Kerf gapił się na horyzont, bierny niczym krowa, nawet nie osłaniał się przed chłostą wichru. Burza przybierała na sile. Żagle klaskały. Statek wspinał się na fale, po czym opadał na dno kolejnej morskiej doliny. Żołądek podchodził mi do gardła.

– Czasami duża liczba snów na jeden temat świadczy o jego większym prawdopodobieństwie – podjął Vindeliar. – Nieoczekiwany syn zmienia świat. Jeśli nie będziesz nadzorowana, pchniesz świat na niewłaściwą drogę. Stanowisz zagrożenie dla Sług, dla Clerres! We wszystkich snach nieoczekiwany syn zmienia tak wiele, że nikt nie potrafi przepowiedzieć przyszłości. Trzeba cię koniecznie powstrzymać! – Stanowczo zacisnął usta.

– A ty uważasz, że ja to on? – spytałam osłupiała. Uniosłam ręce nad głowę, pokazując, jaka jestem mała. – Jeśli mnie nie powstrzymasz, zniszczę świat? Ja??? – Podmuchał wiatru o mało nie porwał mnie z pokładu. – A jak mnie powstrzymasz? Zabijesz? – Statek podskoczył, ledwo zdążyłam złapać się relingu.

Wicher grzmiał i ryczał, deszcz walił w nas kroplami wielkimi i ciężkimi jak groch.

– Na pewno jesteś nim! – W jego głosie brzmiała rozpacz. O mało się nie rozpląkał. – Dwalia powiedziała, że jeśli znalazłem nie tego, co trzeba, to mnie zabije. Była strasznie zła, kiedy się dowiedziała, że jesteś dziewczynką. Wtedy we mnie zwątpiła. I w ciebie. Ale ja swoje wiem. Jeżeli nie jesteś nim, to niby kim? Śniłem o znalezieniu ciebie w moim jedynym prawdziwym śnie. Jesteś nim i jeśli nie zabierzemy cię do Clerres, zmienisz losy świata. – Nagle się opanował. – W Clerres wszyscy muszą uwierzyć, że jesteś nieoczekiwanym synem – nakazał mi surowo. – I wiedzieć, że zrobiliśmy, co należy. Ty się o to postarasz. Bo w przeciwnym razie...

Zamknął usta tak gwałtownie, że usłyszałam kłapnięcie. Oczy mu się zaokrągliły, zapatrzył się w nicość nad moją głową. Gdy znów przeniósł na mnie spojrzenie, ujrzałam w nim gniew i zdradę.

– Ty to robisz, tak? Teraz, w tej chwili. Każesz mi mówić wszystko, a potem zmienisz, co zechcesz. Bo jesteś nim. Sprzeciwiasz się, gdy chcę cię ukryć.

Przez ciebie Dwalia się na mnie rozgniewała. Uciekłaś, a wtedy wielu straciło życie. Schwytaliśmy cię znów, lecz Reppin umarła, a Alaria została sprzedana. Teraz zostaliśmy już tylko we dwoje, Dwalia i ja... no i ten cały Kerf. Wszyscy inni... Odebrałaś im życie! Właśnie tak robi nieoczekiwany syn! – Wydawał się wściekły.

Strach ścisnął mnie za gardło. Tak niewiele brakowało, by Vindeliar został moim sprzymierzeńcem. Zdusiłam rozczarowanie.

– Bracie – odezwałam się drżącym głosem. – To wszystko stało się dlatego, że mnie porwaliście! – Nie chciałam płakać, lecz łkanie wyrwało mi się z piersi wbrew mojej woli. – To nie moja wina! – krzyknęłam ze ściśniętym gardłem. – To przez Dwalię! Ona kazała zabijać ludzi! Ona ściągnęła śmierć na lurików, nie ja! Nie ja! – Osunęłam się na kolana.

Niemożliwe, żeby miał rację. Tyle nieszczęścia, tyle trupów... to na pewno nie moja wina. Bastard Czujny. Ojciec Niestrudzonego. Birbant. Przecież nie ja ich zabiłam!

Burza wzmagala się razem z moim strachem. Miałam wrażenie, że wydobywała się z mojej piersi i przybierając na sile, sięgała granic furii. Kolejna fala przewaliła się nad burtą, odruchowo przytrzymałam się nogi Kerfa. Ktoś wykrzykiwał rozkazy, trzech mężczyzn minęło nas biegiem. Dziób statku wzniósł się w górę, jakbyśmy mieli wpełzać na stromą górę. Któryś z marynarzy krzyknął do Vindeliera:

– Pod pokład, idioto!

Niepewnie wstałam. Musiałam wdrapywać się po pokładzie w górę i na dodatek pod wiatr. Statek powoli stawał dęba.

A potem znowu dał nurka w odmęty, a my nagle zaczęliśmy zjeżdżać po mokrych deskach. Minęłam w pędzie Vindeliera, nie miałam jak się zatrzymać.

– Łap ją! – krzyknął do Kerfa. – Do kajuty z nią! – rozkazał.

Kerf schylił się, złapał mnie za koszulę na plecach i jak worek pociągnął do włazu. Lurik ledwo za nim nadązał, chociaż się go trzymał. Kilku marynarzy skłęło nas do ostatniego pokolenia. Wyglądało na to, że wiedzą, co robią, chociaż ja nie rozumiałam nic z głośnych rozkazów. Wspinali się na maszty, skakali po olinowaniu, a wicher dął w żagle i szarpał takielunek. Pokład znowu stanął niemal pionowo. Dotarliśmy już do luku, lecz niestety okazał się zamknięty. Vindeliar kucnął, załomotał w niego pięściami, żądając, by nas wpuszczono. Kerf puścił mnie i przyklęknął. Z głośnym stęknieniem uniósł pokrywę i odsunął ją na bok. Po chwili znaleźliśmy się na dole, choć trudno powiedzieć, że zesliśmy po drabince. Raczej się po niej stoczyliśmy. Ktoś zamknął właz i otoczył nas mrok.

Przez chwilę czułam się bezpieczna. A moment później szorstkie deski uciekły

mi spod nóg. Usłyszałam okrzyk strachu, potem chropawy śmiech.

– Ejże, chłopcze, w życiu kupcem nie zostaniesz, skoro na byle fali wrzeszczysz ze strachu.

– Zgasić latarnie! – krzyknął ktoś.

W mgnieniu oka zapadły smoliste ciemności, a świat ograniczył się do rozhuśtanego morza. Nie wiedziałam nawet, w którą stronę iść, by trafić do naszej żalostnej kabiny. Kerf wiedział.

– Trzymaj się nas – szepnął mi Vindeliar do ucha.

Usłuchałam. Złapałam się jego koszuli i poszłam za nim, drobnymi krokami, wpadając na hamaki, objając się o kufry i belki, aż w końcu dotarłam do otworu, który okazał się wejściem do naszej kajuty. Ledwo przekroczyłam próg, podłoga przechyliła się pod ostrym kątem. Kucnęłam, po czym usiadłam z szeroko rozłożonymi nogami, a dłońmi zapałam się o pokład. Dopiero gdy Kerf chciał zamknąć drzwi, uświadomiłam sobie, że siedzę niemal w samym wejściu. Wsunęłam się, a właściwie wpadłam do kabiny głębiej, stale na poślądkach, bo o wstaniu nie było mowy. Macając na oślep, dotarłam do kąta i tam wtuliłam się między ściany; chroniłam posiniaczoną rękę. Byłam zupełnie mokra, woda z włosów spływała mi na kark. Dygotałam z zimna. I w beznadziei.

Niech sobie Dwalia robi, co chce, ja musiałam dostać odpowiedź.

– Dlaczego mnie porwaliście? – spytałam głośno i wyraźnie. – Co chcecie ze mną zrobić?

Statek znów podskoczył, lingstra przesunęła się na koi.

– Ucisz ją – rozkazała. – Niech śpi.

– On nie może! Nie ma nade mną władzy, bo nie dopuszczam go do swojego umysłu.

– Cóż. A ja mogę zmusić cię do posłuszeństwa kijem, więc lepiej siedź cicho. – Mimo groźby w słowach głos Dwalii brzmiał żałościwie, ledwo podszyty gniewem. I z nutką strachu.

Ruch statku gwałtownie wcisnął mnie w kąt. Chyba podobnie czuje się kociak w klatce, którą ktoś potrząsa. Wcale mi się to nie podobało, jednak starałam się pamiętać, że marynarze, ci na pokładzie, wyglądali na mocno zajętych, ale żaden nie wydawał się przestraszony. Wobec tego i ja nie miałam powodu do strachu.

– Nie masz kija – odparłam hardo. – A nawet gdybyś miała, nie trafiłabyś mnie po ciemku. Boisz się odpowiedzieć na pytania? Dlaczego mnie porwaliście? Co chcecie ze mną zrobić?

Usiadła gwałtownie. Domyśliłam się tego ze szmeru prześcieradeł i solidnego łupnięcia, gdy wyrznęła głową w koję na górze. Odruchowo zdusiłam śmiech,

lecz po chwili zmieniałam zdanie i zaśmiałam się głośno. W nieprzeniknionych ciemnościach, w środku sztormu, demonstrując sprzeciw, poczułam się nagle dziwnie potężna.

– Może statek zatonie? – cisnęłam nienawistne słowa. – I nici z waszych planów! Ciekawe, jak to wygląda... Statek idzie na dno, a ludzie tkwią uwięzieni w kabinach. Hmm... a nawet gdybyśmy wydostali się z tej dziury, w ciemnościach nie znajdziemy drabiny do wjazdu. Umrzemy tu, utopimy się w lodowatej wodzie, która wedrze się pod pokład. Czy statek przekręci się do góry dnem, nim pójdzie na dno? Trudno przewidzieć...

Vindeliar dyszał chrapliwie. Trochę mi go było szkoda, lecz istotniejsza okazała się satysfakcja. Czyżbym mogła ich przerazić? Sprawić, by poczuli to, co ja czułam, gdy mnie porwali?

Statek znowu stanął na rufie. Potem odnieśliśmy wrażenie, jakbyśmy w coś uderzyli i w końcu przez to coś przeszli. Chwilę później usłyszałam, że Dwalia wymiotuje. Jeszcze niedawno przy jej koi stało wiadro, ale cienka strużka żółci rozbryznięła się na deskach podłogi. Lingstra dławiła się i dusiła. Cuchnęło koszmarnie.

– Najpierw miałaś mnie za nieoczekiwanego syna, potem uznałaś, że jednak nim nie jestem. A ja, widzisz, nabieram coraz większego przekonania, że to rzeczywiście ja! Zmieniam świat, zmieniam go nawet w tej chwili. Ale ty nie dowiesz się, co zmieniałam, bo raczej nie dożyjesz najbliższego cumowania. Straciłaś na wadze, opuściła cię odwaga. Co będzie, gdy umrzesz i Vindeliar zostanie z nami sam? Jakoś wątpię, byśmy popłynęli do Clerres. – Znowu się roześmiałam.

Nastąpiła chwila ciszy absolutnej, jakby i sztorm i statek zrobili pauzę na oddech. W tej przerwie odezwała się Dwalia.

– Chcesz wiedzieć, co z tobą zrobię? Zrobię z tobą to, co z twoim ojcem. Porozdzieram cię na kawałki. Wydrę z ciebie wszystkie sekrety i tajemnice. Jeśli będzie trzeba, obedrę cię ze skóry, po kawałeczku. A kiedy z tobą skończę, oddam cię do rozplodników. Od dawna tęsknię za kimś tak białym. Nieważne, jak będziesz wyglądała, gdy wypuszczę cię z rąk. Na pewno znajdzie się niejeden chętny, będą cię brali siłą, aż poczniesz. Młoda jesteś. Dużo dzieci urodzisz, zanim twoje ciało straci siły. – Zacharczała dziwacznie.

Jeszcze nie słyszałam jej śmiechu, lecz od razu domyśliłam się, co to za dźwięk. Ścisnął mnie za serce lodowaty strach, zimniejszy niż woda za ścianką kajuty. Namieszała mi w głowie. Chyba źle ją zrozumiałam. Z niemałym trudem opanowałam się i wzięłam w garść.

– Mojemu ojcu nie zrobiłaś nic. Nawet go nie widziałaś na oczy!

Znowu pauza, tyle że teraz podłoga przechyliła się w przeciwną stronę. W tej ciszy usłyszałam, jak grube belki statku pomrukują coś do siebie.

Potem Dwalia znów się odezwała, wcielenie ciemności.

– Ty nawet nie poznałaś ojca.

– Znam go!

– Naprawdę? Wiesz, że ma jasne włosy i oczy? Pamiętasz jego drwiący uśmiech i smukłe dłonie o długich palcach? Oj, coś chyba nie bardzo. A ja owszem. Oślepiłam go. Już nikt nigdy nie zobaczy kpiny w jego oczach. I zdarłam mu opuszki z tych jego długich palców. Oczywiście najpierw wyrwałam mu paznokcie, kolejno, bez pośpiechu. Żonglować już nie będzie, nie wyczaruje znikąd jabłuszka. Tańczyć i fikać też już nie da rady. Ściągnęłam mu skórę ze stóp... powoluteńku. Potem lewą włożyłam w imadło i zaciskałam szczęki śrubą... nie więcej niż ćwierć obrotu przy każdym pytaniu. Nie miało znaczenia, czy mi odpowiadał, czy nie. Ja zadawałam pytanie, on krzyczał albo wyrzucał z siebie słowa, a wtedy przykręcałam śrubę. Coraz bardziej. Grzbiet stopy wyginał mu się coraz mocniej, aż w końcu chrupnął! – Roześmiała się ochryple.

Vindeliar sapał głośno. Czy powstrzymywał śmiech? Czy płacz?

– Ach, a kiedy kości się połamały, jedna sterczała w górę jak wieża z kości słoniowej... tyle że mała. Ależ on krzyczał! Stałam tuż obok i wodziłam wzrokiem po świadkach i czekałam. W końcu nie mógł już dłużej krzyczeć. I wtedy przekręciłam śrubę o kolejne ćwierć obrotu!

Na długi czas mój świat znieruchomiał. Nawet statek chyba zamarł w bezruchu, niemal poziomo. Ojciec, którego nie poznałam? Ojciec, którego torturowała? Kogoś brała na męki, to pewne. Mówiła o tym z niekłamaną rozkoszą, jak o smakowitym posiłku, najlepszym w życiu. Albo o najpiękniejszej pieśni. Ale... mój ojciec? Przecież znałam swojego ojca. Był także ojcem Pokrzywy, mężem mojej matki, przez wiele lat. Oczywiście, że to on był moim ojcem.

Po chwili statek stracił równowagę i mój świat odzyskał zdolność ruchu. Wtedy zaczęły pojawiać się pytania. Może człowiek, którego uważałam za ojca, wcale nim nie był? Weźmy za przykład Brusa: nie był ojcem Pokrzywy. Wiele dzieci na tym świecie wychowują przybrani rodzice. Zaraz. Sikorka na pewno była moją matką. Bez wątplenia. I teraz...

Usiłowałam sobie przedstawić rzecz niewyobrażalną. Dotyczącą matki. A przecież taka wersja tłumaczyłaby, dlaczego wcale nie jestem do niego podobna. I dlaczego tak łatwo przyszło mu zostawić mnie tamtego dnia... Powiedział, że musi odejść, ratować ledwo żywego starego żebraka. Ślepcę ze złamaną ręką i okaleczoną stopą...

Statek zanurkował dziobem w dół, miałam wrażenie, że rufa stanie pionowo w górze. Czy tak już miało zostać? Nie wiedziałam, póki nie poczułam uderzenia, równocześnie mocnego i miękkiego, wciskającego żołądek do serca. Coś huknęło w ścianę tuż obok mojej głowy, po czym spadło na pokład, gdy statek próbował wrócić do właściwej pozycji. Wiedziałam, że wpadliśmy w otchłań, po czym wyskoczyliśmy z niej, całkiem jak korek. Nawet pod pokładem wyraźnie dało się słyszeć głośny trzask i krzyki. Co to było? Nie wiedziałam.

– Chyba straciliśmy któryś żagiel – odezwał się Kerf w ciemności. – Albo i cały maszt – dodał wolno. – Dokąd płyniemy? – spytał żywszym głosem. – Skąd ja się w ogóle wziąłem na statku? Przecież już byłem prawie w domu, u matki, razem ze zdobyczą, z kobietą... Gdzie ona się podziała? Co ja tutaj robię?

– Panuj nad nim – rzuciła Dwalia wściekle, jednak nie doczekała się odpowiedzi.

Ostrożnie przesunęłam nogę po podłodze i namacałam stopą w ciemnościach bezwładne ciało.

– Oj, Vindeliar, chyba uderzył się w głowę – powiedziałam i natychmiast skłęłam się za głupotę.

Skoro był nieprzytomny, nie mógł mnie powstrzymać, a Kerfa raczej niewiele obchodziłam. Właśnie zyskałam szansę, by zabić Dwalię i uwolnić wszystkich nas troje spod jej wpływu. Statek dygotał jak w agonii. Bez ostrzeżenia znów zaczął się wspinać na wodną górę. Usłyszałam, jak bezwładny Vindeliar zsuwa się pod ścianę.

Broń. Potrzebowałam broni. W kajucie nie było nic, co by się do tego nadawało. Nie miałam czym jej zabić!

Zaraz, był Kerf.

– Jesteś więźniem. Tak samo jak ja. – Staralam się mówić głosem niskim i spokojnym. Musiałam brzmieć sensownie, racjonalnie, a nie jak wystraszone dziecko. – Odebrali ci Alarię i sprzedali ją w niewolę. Przedtem pozbawili cię zdobyczy w postaci panny Szkody, pamiętasz pannę Szkodę? To ją miałeś zawieźć do matki, ale oni omamili cię czarami, za sprawą których uwierzyłeś, że musisz ją oddać porywaczom. Pamiętasz, jak wciągnęli cię w magiczny kamień? Omal nie rozstałeś się z rozumem w czarnej magii. Potem zrobili to jeszcze raz. A teraz oszukali cię znów, bo odpłynęliśmy z Krainy Miedzi i jesteśmy coraz dalej od twojego domu. – Mimo starań w moim głosie pobrzmiwały histeryczne nuty.

A Kerf milczał.

Postawiłam wszystko na jedną kartę.

– Musimy ją zabić. Trzeba zabić Dwalię. Inaczej jej nie powstrzymamy!

– Ty łajzo! – wrzasnęła lingstra.

Słyszałam, że dźwiga się z pryczy, lecz ponieważ statek mi sprzyjał, gramoliła się pod górę. Nie mogłam czekać na Kerfa. Widać wciąż był zbyt otumaniony, żeby działać. Jak najciszej ruszyłam ku Dwalii, na wpół pełznąć, na wpół się ześlizgując. Wiedziałam, że mam niewiele czasu, nim statek znieruchomieje poziomo na szczycie fali.

Trafiłam na krawędź koi, stanęłam na niej z pewnym trudem i starałam się zorientować, gdzie znajduje się lingstra, a równocześnie jej nie dotknąć, by nie zdradzić, gdzie sama jestem ani co zamierzam. Musiałam znaleźć szyję. Wyrzuciłam ręce przed siebie. Natrafiłam na nos i brodę. Niżej. Opuściłam rękę, obiema dłońmi chwyciłam ją za gardło. Ścisnęłam z całej siły.

Uderzyła mnie w głowę, trafiła w skroń, mocno. Zadzwonilo mi w uchu. Zaciskałam dłonie, jak mogłam, ale niewiele to dawało, bo były małe. W najlepszym razie uciskałam jej boki szyi, nie mogłam zablokować dostępu powietrza, na co początkowo miałam nadzieję. Obrzucała mnie jakimiś niezrozumiałymi słowami, lecz nienawiść z nich tryskająca nie pozostawiała wątpliwości. Postanowiłam przegryźć jej gardło, lecz przyciągnęła brodę do piersi i w efekcie trafiłam zębami w policzek. Wiedziałam, że w ten sposób jej nie zabiję, ale i tak ugryzłam. Z całej siły zacisnęłam zęby i zuchwą szarpałam na boki, skupiona wyłącznie na tym, by złączyć zęby. Dwalia zawyła z bólu i zaczęła okładać mnie pięściami. Szybko zdałam sobie sprawę, że bije mnie po to, bym ją puściła, że boi się oderwać mnie od siebie, że wie, iż wtedy odgryzę jej pół twarzy. Żywe mięso jest znacznie twardsze niż gotowane. Nie puszczając, miażdżyłam i szarpałam, w jednakowym stopniu zdziczała i triumfująca. Biła mnie cały czas, a bicie bolało, lecz wiedziałam, że mi za to zapłaci. Już ja tego przypilnuję. Ze szczękami zaciśniętymi z całych sił potrzasałam głową, jak potrzasa łbem wilk trzymający w zębiskach królika.

Wtedy wmieszał się Kerf. Zakiełkowała we mnie nadzieja, że mi pomoże, razem z pewnością mogliśmy ją zabić. Statek właśnie się prostował. Najemnik mógł użyć miecza, mógł zwyczajnie przebić Dwalię na wylot. Chętnie bym mu to odpowiedziała, lecz nie mogłam puścić zdobyczy.

A Kerf chwycił mnie za ramiona.

– Zostaw – odezwał się bezbarwnym głosem lunatyka.

– Odciągnij ją – polecił mu Vindeliar.

Najwyraźniej odzyskał przytomność.

– Nie! – wrzasnęła Dwalia.

Złapała mnie za głowę i przycisnęła do twarzy, lecz Kerf był silniejszy. Akurat poczułam, że wreszcie udało mi się zewrzeć zęby, górne przednie stuknęły o dolne, przegryzłam się przez żywe mięso, gdy Kerf szarpnął mnie do tyłu. Wyrwałam

Dwalii kawał policzka. Rzucił mnie w bok nieuważnie, jakbym była grudą ziemi. Łupnęłam o podłogę, wyplułam krwawy strzep i poleciałam do tyłu, bo statek znów zaczął wspinać się na falę. Wcisnęłam się w najbliższy kąt, zapałam o ściany. Dwalia wrzeszczała histerycznie, Vindeliar pytał, co jej się stało, czy jest ranna i co on ma robić. Ja miałam w gardle wielką gulę obrzydzenia. Krew lingstry spływała mi po brodzie zmieszana ze śliną. Gorączkowo czyściłam zęby językiem i wypluwałam kawałki Dwalii na podłogę.

Vindeliar był zajęty lingstrą. Co robił Kerf ani nawet gdzie był, nie miałam pojęcia.

Uciekać.

Dwalia stłucze mnie, jak tylko odzyska zdolność myślenia. I zrobi to z największą przyjemnością. Z radością zada mi tyle bólu, ile zdoła. Nic jej nie powstrzyma, po prostu mnie zabije.

Po chwili już wiedziałam, że w ciemnościach straciłam rozeznanie i nie wiem, gdzie jestem. Gdy przechył statku przycisnął mnie do desek, wyciągnęłam się, szukając framugi, lecz jej nie znalazłam. Kadłub uderzył w ścianę wody i gwałtownie przechylił w bok. Z pokładu dobiegły okrzyki zaskoczenia. W marynarzach zrodził się strach. Innymi słowy, należało bać się czegoś gorszego niż Dwalia. Postanowiłam, że pozwolę sobie na przerażenie, jak już wydostanę się z kajuty.

Razem z następnym przechyłem zsunęłam się pod przeciwległą ścianę. Gdzieś w drodze na moment przyhamował mnie czyjś but, zapewne Kerfa. Uderzyłam w deski, namacałam framugę, dźwignęłam się w górę, otworzyłam drzwi i podciągałam się, wspinałam, pełzłam, aż wydostałam się na zewnątrz. Usłyszałam, jak się zatraskują. Dwalia nadal wyła, wrzeszczała i obrzucała mnie wyzwiskami. Nie wiedziałam, ile mam czasu, zanim się zorientują, że nie ma mnie w kajucie.

Popęzłam przez ciemność po rozkołysanym pokładzie, pod podrygującymi hamakami. Silni mężczyźni klęli, modlili się i płakali. Gdy wpadłam na jakiś słup, przywarłam do niego na moment. Narzuciłam sobie spokój, odszukałam w pamięci, co wiem na temat pomieszczenia, w którym się znajdowałam. Potem, gdy statek zaatakował kolejną górę wody, ruszyłam do następnego słupa. Uchwyciłam się go, poczekałam na odpowiedni moment, przemieściłam się znowu. Niezdarnie kogoś ominęłam. Byle dalej. Jeśli miałam utonąć na tym statku, to jak najdalej od Dwalii.

Umowa z „Niezrównanym”

W kwestii dziko zrodzonego Białego nazywanego Ukochanym:

Miejsca jego urodzenia nie zdołaliśmy potwierdzić. Wszelkie notatki dotyczące jego przybycia do Clerres zostały albo odłożone w niewłaściwe miejsca, albo zniszczone. W mojej opinii Ukochany znalazł sposób na przeniknięcie do sal bibliotecznych, odszukał zapiski traktujące o jego przybyciu i ukrył je lub zniszczył.

Chociaż w początkowym okresie po tym, jak go otrzymaliśmy, wydawał się uległy, zmienił się w osobnika wścibskiego, krnąbrnego, kłamliwego i nieufnego. Tkwi w przekonaniu, że jest prawdziwym białym prorokiem i nie szanuje naszych nauk, wedle których spośród kilku kandydatów to Słudzy wybierają właściwego, najodpowiedniejszego do tej roli. Ani życzliwość, ani dyscyplina nie uwolniły go od fałszywego mniemania.

Chociaż jego udział w rozmnażaniu Białych byłby cenny, to nieodpowiednie zachowanie oraz wybuchowy temperament już teraz, przed osiągnięciem dojrzałości płciowej, powodują na tyle niebezpieczne perturbacje, że nie można pozwalać mu na swobodny dostęp do innych.

Pozostajej trójce z Rady Czworka przedstawiam niniejszym następującą opinię: błędem okazało się rozpieszczanie chłopca, gdyż doprowadziło ono do jego zepsucia. Plan zakładający zapewnienie mu poczucia bezpieczeństwa i zbierania jego snów w efekcie zachęcił go do przyjęcia postawy skrytej i buntowniczej. Kontynuacja takiego traktowania, dalsze akceptowanie jego swobody, wypadów do miasta i nieskrępowanych kontaktów z innymi dziećmi grozi katastrofą.

Oto moje zalecenia:

W ślad za radą Ilistore wyraźnie naznaczyć go tatuażami.

Odizolować go. Stale dodawać mu do posiłków zioła na sny i pilnować, aby zawsze był dobrze zaopatrzony w pędzle, inkausty i zwoje.

Przetrzymać go tak dwadzieścia lat. Schlebiać jego próżności. Upewniać go, że odosobnienie jest konieczne, by jego sny nie zostały skażone przez kontakt z innymi. Powtarzać mu, że choć nie jest wybranym białym prorokiem, to jednak służy światu i właściwej drodze za sprawą swojego śnienia. Pozwolić

mu na rozrywki, lecz nie dopuszczać do kontaktów z innymi Białymi.

Jeśli u końca tego czasu wciąż będzie nieposłuszny, należy go otruć.

Tak wyglądają moje wskazówki. W razie ich zignorowania nie biorę na siebie odpowiedzialności za skutki jego poczynań.

Symphe

Prawda wygląda tak: jeśli dać człowiekowi do wykonania zadanie wymagające wielkiej odwagi, a następnie postawić go w sytuacji, gdy musi na dokonanie tego czynu czekać, owo czekanie również będzie nie lada osiągnięciem. Jeżeli dodatkowo będzie on miał, czekając, niewiele do roboty oraz rzadko zdarzy mu się okazja, by być samemu, czas się dla niego zatrzyma. Wiem to z niezbitą pewnością.

Starałem się wypełnić dni na pokładzie „Niezrównanego” użytecznymi zajęciami. Razem z panią Amber regularnie spędzałem czas w jej kabinie, na czytaniu snów Pszczoły i dyskusjach o ich znaczeniu. Spotkania te nieodmiennie były dla mnie bolesne, a Błazen, przez gorączkowe pragnienie poznania każdego znaku z dziennika snów, działał na mnie, jak sól sypana na świeżą ranę. „Przeczytaj jeszcze raz!” – żądał niejednokrotnie. Albo co gorsza: „Czy ten sen nie wiąże się z tamtym, który czytałeś przed czterema dniami? Czy to było pięć dni temu? Bastardzie, cofnij się o te kilka stron, proszę. Muszę posłuchać ich jeden za drugim”.

Napawał się snami Pszczoły, upajał nimi, jako dowodem, że była ona jego dzieckiem. Ja natomiast cierpiałem dręczony niepoznanymi momentami z życia córeczki. Własną ręką spisała te pieczołowicie dobrane słowa, zilustrowała je za pomocą inkaustów i pędzelków skradzionych z mojego biurka. Była to praca misterna i skrupulatna, każda ilustracja precyzyjnie oddawała treść, każda litera została wymalowana perfekcyjnie. A ja w niczym się nie zorientowałem, nie miałem pojęcia o zajęciu tak ważnym dla mojego dziecka. Kiedy znajdowała na to czas? Czy późną nocą, kiedy już spałem? A może wówczas, gdy lekceważyłem i ją, i Sikorkę, posępnie spisując własne myśli w odosobnieniu prywatnego gabinetu? Nie wiedziałem i zdawałem sobie sprawę, że nigdy już się tego nie dowiem. Każdy zapisany sen, każdy osobliwy wierszyk, każda zadziwiająco szczegółowa ilustracja stanowiły przyganę, reprimendę dla ojca. Mogłem pomścić śmierć córki, zabijając dla jej pamięci, nawet umrzeć, niosąc odwet, jednak czasu cofnąć nie potrafiłem, już na zawsze miałem pozostać ojcem, który zaniedbywał własne dziecko. Za każdym razem, gdy Błazen zachwycał się wyjątkowo mądrze dobranym rymem, w ogień mojego palącego wstydu na dnie serca wpadał następny rozżarzony

kawałek węgla.

Pogodę mieliśmy wyśmienitą. Statek spisywał się doskonale. Chodząc po pokładzie, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że załoga wokół mnie wykonuje figury zawilego tańca do muzyki, której tylko ja nie słyszę. Przez pierwszą część podróży niósł nas prąd rzeczny, właściwie nie potrzebowaliśmy żagli. Gęsta zieleń ścian lasu sięgającego nieba przewyższała każdy maszt. Czasami rzeka pędziła wartkim nurtem, a drzewa były tak blisko, że czuliśmy zapach kwiatów i słyszeliśmy ochryple nawoływanie ptaków oraz zwinnych stworzeń zamieszkujących na różnych wysokościach w koronach drzew. Któregoś ranka obudziłem się późno i spostrzegłem, iż do głównego koryta rzeki dołączył spory dopływ, przez co rozlała się szeroko spokojną taflą. Na lewo od statku las odsunął się w dal, zmieniając w zieloną mgiełkę na horyzoncie.

– Co tam jest? – spytałem Świstaka, gdy któregoś razu w trakcie wypełniania obowiązków znalazł się nieopodal.

Zmrużywszy oczy, popatrzył we wskazanym kierunku.

– Bo ja wiem? Woda za płytka dla dużych jednostek. Jest tylko jeden głębszy kanał, tu, na środku, i mamy kupę szczęścia, że „Niezrównany” doskonale go zna. Tam dalej rzeka coraz płytsza, aż w końcu zmienia się w śmierdzące bagnisko, co to wciągnie człowieka aż po pas. I tak najmarniej dzień marszu, a może i dwa, zanim wrócą drzewa. – Skrzywił się z obrzydzeniem. – Deszczowe Ostępy to nie dla ludzi. Od razu się człowiekowi przypomina, że nie cały świat dla niego stworzony. Ej! Ej! Eeej! Co ty robisz z tą liną? Klarować nie umiesz?

Puścił się biegiem, a ja zostałem, ze wzrokiem wbitym w odległy brzeg.

Rzeka niosła nas coraz bliżej wybrzeża, a ja zaczynałem wyraźniej, w równej mierze Mocą i Rozumieniem, odczuwać, iż statek nie jest pasywnym elementem podróży. Wyraziście odbierałem jego świadome decyzje.

– Czy on sam steruje? – zapytałem Amber któregoś razu.

– Do pewnego stopnia. Każda jego część dotykająca wody wykonana jest z czarodrzewu. A dokładniej: ze smoczego kokonu. Mieszkańcy Deszczowych Ostępów zbudowali statki w ten, a nie inny sposób, bo żrące wody ich głównej rzeki szybko rozprawiają się z każdym innym tworzywem. Tak przynajmniej było w tamtym czasie, gdyż, o ile mi wiadomo, w Jammailli wynaleziono sposób szczególnej obróbki drewna, za sprawą której również inne jednostki mogą pływać po tej rzece. Nazwano je odpornymi. Tak słyszałam. Żywostatek może do pewnego stopnia panować nad swoim kursem. Do pewnego stopnia. „Niezrównany” ma ponadto władzę nad każdą deską swojego kadłuba. Potrafi je ułożyć luźniej albo ciaśniej. Zawiadomić załogę o przecieku. Czarodrzew zdaje się zdolny do swego

rodzaju „samouzdrawiania”, jeśli żywostatek na przykład poobciera dno lub zderzy się z inną jednostką.

Zdumiony pokręciłem głową.

– Niesłychane, aż trudno uwierzyć.

Lekki uśmiech na wargach mojej rozmówczynie zbladł.

– Nie ma w tym żadnej zasługi szkutników ani w ogóle człowieka. Każdy żywostatek powinien być smokiem. One są naprawdę żywe, Bastardzie. Niektóre zdają sobie z tego sprawę. Jedne czują się zagubione, inne są wzburzone, ale wszystkie są żywe.

Jakby te słowa nasunęły jej jakąś myśl, odwróciła się ode mnie, wsparła o reling i wbiła spojrzenie w odległą szarą wodę.

Dni na pokładzie szybko zaczęły przebiegać według określonego wzoru. Śniadania jadaliśmy z którymś z pary kapitanów, rzadko z obojgiem. Jedno z nich zawsze miało oko na to, co się działo na pokładzie. Skierka i Niestrudzony stale mieli pełne ręce roboty. Oboje wydawali się zafascynowani takielunkiem, dzień w dzień ze sobą współzawodniczyli. Niełatwo było Strzykowi złapać oboje i posadzić do nauki. Skierka umiała pisać i czytać, lecz miała niewielkie pojęcie o geografii i historii Królestwa Sześciu Księstw. Na szczęście z chęcią pobierała lekcje od Strzyka, bo Niestrudzony nie potrafił wysiedzieć z piórem w ręku, gdy ona śmigła po statku. Ich wspólne zajęcia często odbywały się na pokładzie, gdyż w kabinie pani Amber i ja planowaliśmy mord.

Posiłek w południe miał mniej oficjalny charakter, a ja o tej porze zwykle nie czułem głodu, od śniadania prawie się nie ruszałem. Martwiło mnie trochę, że znowu stracę formę, zmarnuję to, co udało mi się ciężką pracą uzyskać w Koziej Twierdzy, jednak nie widziałem sposobu, żeby poćwiczyć z toporem albo z mieczem, nie wzbudzając niepokoju i nie prowokując niepożądanych pytań. Popołudnia często spędzaliśmy z Amber nad zapiskami Pszczoły. Kolacje jadaliśmy z obojgiem kapitanów. Statek był wtedy zazwyczaj już wyszykowany na noc: czasem na kotwicy, kiedy indziej przycumowany do drzew.

Po kolacji często zostawałem sam, bo moja towarzyszka prawie każdy wieczór spędzała z „Niezrównanym”. Owijała się chustą i szła na dziób, tam siadała ze skrzyżowanymi nogami i zaczynała rozmowę ze statkiem. Czasami galion brał ją w dłonie, a mnie wtedy serce zamierało w piersi, chociaż ona sadowiła się wygodnie, wspierając ręce na jego kciukach. Potrafili tak rozprawiać długo w noc. Któregoś razu na jego prośbę pożyczyła od Świstaka skromną fletnię i grała niegłośno. Chyba o stracie i samotności. Raz czy drugi zawędrowałem w pobliże, by sprawdzić, czy mógłbym do nich dołączyć, gdyż, przyznaję szczerze, zżerała mnie ciekawość,

o czymże tak rozprawiają. Zostałem jednak uświadomiony, że moja obecność nie jest przewidziana.

W kuchni i pod pokładem niepodzielnie rządziła załoga. I w ten sposób na „Niezrównanym” byłem nie tylko obcym, cudzoziemcem i księciem, lecz także idiotą, który rozzłościł galion do tego stopnia, że usłyszał od niego publicznie wyrażoną groźbę. Ani burzliwe zmagania w grach hazardowych ani dosadny marynarski humor nie były dla takich, jak ja. W efekcie niejedną wieczór spędziłem sam, w ciasnej kabinie, którą Skierka dzieliła z Błaznem. Starłem się wynajdować sobie jakieś pożyteczne zajęcie dla umysłu, zwykle kartkując bruliony Pszczoły. Niekiedy zapraszano mnie do kajuty kapitańskiej, na wino i pogaduszki, jednak nie miałem najmniejszej wątpliwości, że ja, książę, oraz moi towarzysze jesteśmy dla kapitańskiej pary raczej ładunkiem niż gośćmi. Tym bardziej przeraziłem się, gdy pewnego wieczoru, grzecznie odrzuciwszy zaproszenie, usłyszałem od Zuchwalca zdecydowany sprzeciw:

– Musimy porozmawiać. Sprawa jest ważna.

W milczeniu podążyłem za nim do reprezentacyjnej kajuty na rufie. Althea już tam na nas czekała, na stole przyszykowano omszałą butelkę wina oraz trzy szklance. Jakiś czas wszyscy troje udawaliśmy, że zebraliśmy się wyłącznie po to, by skosztować wyśmienitego trunku i odetchnąć na koniec dnia. Statek na kotwicy kołysał się łagodnie, z otwartych okien rozciągał się widok na rzekę, dobiegały nas odgłosy leśnej nocy.

– Jutro po południu zostawimy za sobą rzekę i skierujemy się w stronę Miasta Wolnego Handlu – oznajmił Zuchwalec znienacka.

– Szybko pokonaliśmy dotychczasową drogę, jak sądzę – powiedziałem.

Nie miałem pojęcia, ile czasu normalnie zajmowała taka podróż.

– Rzeczywiście. Zdziwiająco szybko. „Niezrównany” lubi rzekę i czasami zwleka na tym fragmencie wyprawy. A tym razem nie.

– To źle? – spytałem zdziwiony.

– To zmiana w jego zachowaniu – powiedział kapitan z naciskiem. – A niemal każda jest powodem do niepokoju.

Kapitan Althea dopiła wino i stanowczym gestem odstawiła szklanicę na stół.

– Amber opowiedziała ci, książę, co nieco o „Niezrównanym”, tyle wiem. O tym, że jest on w zasadzie dwoma smokami w korpusie statku. Powinieneś jednak wiedzieć więcej. Ma za sobą tragiczne przeżycia. Żywostatki wchłaniają wspomnienia i emocje rodziny i załogi. Nasz we wczesnym okresie istnienia wywrócił się do góry dnem, a chłopiec z jego rodziny zmarł na pokładzie zaplątany w liny. Potem jeszcze kilka razy odwracał się dnem do góry, topiąc wszystkich,

którzy się na nim znajdowali. Żywostatki są tak cenne, że za każdym razem odszukiwano go, naprawiano i znowu wypływał na wodę. Tyle tylko że zyskał miano statku pechowego, nadano mu drwiący przydomek Parias. Po ostatnim wypłynięciu zniknął na długie lata. Po czym z własnej woli wrócił do Miasta Wolnego Handlu. Znalaziono go tuż przed wejściem do portu, znowu dnem do góry. Gdy udało się go postawić we właściwej pozycji, wyszło na jaw, iż twarz galionu została celowo uszkodzona i pozbawiona oczu, a na jego piersi wyryto znak przez wielu rozpoznawany nieomylnie. Gwiazdę Igrota.

– Pirata Igrota. – Tyle wiedziałem.

Pochyliłem się nad blatem, bo kapitan Althea ściszyła głos, jakby w obawie, że ktoś ją podsłucha.

– Tego samego – potwierdził Zuchwalec ołowianym tonem.

Nie mogłem już wątpić w powagę sytuacji.

– „Niezrównany” był katowany w sposób trudny do pojęcia dla kogoś spoza rodów z Miasta Wolnego Handlu – podjęła kapitan głosem wypranym z emocji.

– Tyle wystarczy – wpadł jej w słowo Zuchwalec. – Dodam tylko, że twoja pani Amber, księżę, na nowo wyrzeźbiła mu twarz i przywróciła wzrok. Zbliżyli się do siebie. Nie sposób wątpić, że za nią tęsknił i jest... do niej przywiązany.

Pokiwałem głową wciąż zbity z tropu ich ponurym tonem.

– Za dużo czasu spędzają razem – oznajmiła znienacka kapitan. – Nie wiem, o czym rozmawiają, ale „Niezrównany” jest z każdym dniem coraz bardziej niespokojny. Oboje z Zuchwalcem nie mamy co do tego wątpliwości. Po tylu wspólnych latach na pokładzie oboje...

– ...dostroiliśmy się do niego – podsunął kapitan.

Już miałem zamiar powiedzieć im, że doskonale rozumiem, o czym mówią, lecz zmieniłem zdanie. I tak mieli mnie za dziwaka, nie należało dodatkowo opowiadać im o dziedzicznej magii, która pozwalała mi łączyć się z umysłami innych ludzi. A może... z żywostatkami również? W przypadku „Smolistego” wszystko na to wskazywało. Od czasu incydentu z „Niezrównanym” pilnie strzegłem swojej Mocy, obawiając się, że jeśli zechcę odczytać intencje żywostatku, on nie tylko się w tym zorientuje, ale też będzie z tego niezadowolony. I tak już spowodowałem u niego zbyt wielkie poruszenie. Dlatego powiedziałem:

– Potrafię sobie wyobrazić ten rodzaj więzi.

Althea zaakceptowała moje słowa kiwnięciem głowy i znów dołała nam wina.

– Ta więź działa w obie strony. My jesteśmy świadomi, co dzieje się ze statkiem, on ma pojęcie o naszym stanie. Odkąd Amber weszła na pokład, przeżywa silne emocje.

– A w takich razach staje się bardziej samowolny – uzupełnił Zuchwalec.
– Widzimy to wyraźnie podczas tej podróży. Załoga także. Choćby dzisiaj: pokonywaliśmy niebezpieczny odcinek rzeki, z przemieszczającymi się płyciznami. Zwykle zwalniamy na tym fragmencie drogi, a dziś „Niezrównany” zignorował nasze polecenia i zwyczaje, pokonaliśmy groźny fragment szybciej niż kiedykolwiek. Dlaczego on się śpieszy?

– Nie wiem.

– Dokąd zdążacie?

Nie miałem siły na tłumaczenia. I nie chciałem po raz kolejny wyjaśniać sprawy.

– O ile wiem, królowa Malta posłała do was ptaka z wiadomością.

– Ptak przyniósł nam prośbę, a właściwie żądanie, byśmy wam pomogli, ponieważ uleczyłeś dzieci w Kelsingrze – poprawiła mnie kapitan. – Uwolniłeś je od skutków działania Deszczowych Ostępów.

– Uwolniłem je od skutków zaniedbań smoków – skorygowałem.

Coraz mniej mi się ta rozmowa podobała. Para kapitanów była najwyraźniej zaniepokojona, o krok od złości, a winą za irytujące zachowanie statku chcieli obciążyć Amber. W dodatku oczekiwali, że ja coś z tym wszystkim zrobię.

– Może przejdźmy na dziób i zapytajmy galion, co denerwuje wasz statek.

– Mów ciszej, księżę – przestrzegła mnie Althea.

Zuchwalec zdecydowanie pokręcił głową.

– Znamy go nie od dziś. Chociaż ma już swoje lata, nie myśli jak istota dojrzała. Przypomina raczej rozchwianego nastolatka. Czasem zachowuje się racjonalnie, a czasami działa pod wpływem impulsu. Gdybyśmy spróbowali interweniować w jego stosunki z Amber, skutek byłby... – Nie dokończył zdania, oczy mu się rozszerzyły.

Althea skoczyła na równe nogi.

– Co to było? – spytała nas obu i nikogo jednocześnie.

Ja też to poczułem. Jakby gorące klucie przeszło mi po ciele. Przez chwilę trudno mi było złapać oddech. Uchwyciłem się krawędzi blatu i uświadomiłem sobie, że wcale nie kręci mi się w głowie. O, nie. Wino w mojej szklanicy drżało, na powierzchni rysowały się koła.

– Trzęsienie ziemi – oceniłem z wymuszonym spokojem.

Zdarzały się takie w Królestwie Sześciu Księstw. Słyszałem o kataklizmach zdolnych powalić wieże Koziej Twierdzy. Pierwsza komnata Błazna znajdowała się w takiej właśnie uszkodzonej wieży. Za mojego życia nic podobnego nie miało miejsca, lecz znałem pieśni, za sprawą których minstrele podtrzymywali pamięć o walących się murach i przerażająco wielkich falach zatapiających porty. Staliśmy

na kotwicy nieopodal puszczy, gdzie niebotyczne drzewa zakorzenione w błocie...

– To nie trzęsienie ziemi – ocenił Zuchwalec. – To statek. Biegiem!

Wątpiłem, by ostatnie słowo było skierowane do mnie, jednak podążyłem za Altheą. Nie my jedni wypadliśmy na pokład. Niektórzy marynarze spoglądali ze zdumieniem to na drzewa, to na wodę. Świstak pędził co tchu. Podążyłem za nim, wolniej. Nie chciałem ryzykować, nie zamierzałem ponownie znaleźć się w zasięgu rąk „Niezrównego”. Raptem coś mi zachrząściło pod stopami. W niepewnym świetle latarni deski wydały mi się podobne do bruku, zniknęła gdzieś gładkość gęstego czarodrzewu. Zaraz, to nie bruk, nie kocie łby. To były łuski!

Pośpieszyłem za Altheą. Zuchwalec i Świstak zatrzymali się w bezpiecznej odległości od galionu. Na dziobie samotnie tkwiła Amber, wyprostowana, z uniesioną głową. Uosobienie stanowczości. Galion obrócił się i coś cisnął w jej stronę. Ona tego, rzecz jasna, nie widziała, więc tajemniczy przedmiot spadł na pokład. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

– Jeszcze! – zażądał statek.

– Nie mam. Ale jeśli mi pomożesz, postaram się zdobyć więcej.

– Za mało mam! Za mało!

W pierwszej chwili uznałem, iż w niepewnym świetle wzrok mnie zwodzi, ale rzeczywiście twarz „Niezrównanego” już nie przypominała mojej. Ponieważ była pokryta łuskami. I te oczy... Nadal błękitne, lecz ze srebrnymi wirami. Smocze oczy. Sięgnął ku pani Amber, a na końcach palców miał czarne szpony.

– Błaźnie, do tyłu! – krzyknąłem.

Galion podniósł na mnie wzrok.

– Nie odzywaj się do niej w ten sposób! – warknął, odsłaniając szpiczaste zęby. – Żaden z niej błazen! Mądrzejsza jest od was wszystkich!

– Amber! – zawołała Althea schrypniętym głosem. – Coś ty zrobiła?!

Oniemiały Zuchwalec z przerażeniem wpatrywał się w zmieniony galion.

– Przywróciła mi moją prawdziwą naturę! – odpowiedział „Niezrównany”. – Przynajmniej w części. – Zamknął szponiastą dłoń wokół Amber, uniósł ją z pokładu i zaborczo przycisnął do piersi. – Ona wie, kim jestem, i bez wahania dała mi to, czego zawsze potrzebowałem!

Jego oblicze zmieniało się gwałtownie. Nasze wspólne rysy nabierały koloru. W ciemności połyskiwały miedzianym brązem.

– Zachowaj równowagę, statku. – Zuchwalec odezwał się, jakby mówił do krnąbrnego dziesięciolatka. – Odstaw ją na pokład. – Spokojnie, z opanowaniem. – Wytłumacz nam, co się dzieje.

Zazdrościłem mu opanowania.

– Nie jestem żadnym statkiem! – wrzasnął galion, a z pociemniałego lasu pofrunęły w niebo wystraszone ptaki. – Nigdy nie byłem statkiem! Jesteśmy smokami! Uwięzionymi! Zniewolonymi! A moja serdeczna przyjaciółka pokazała mi, że mogę być wolny.

– Serdeczna przyjaciółka... – powtórzyła kapitan, cedząc słowa, jakby wątpiła w ich prawdziwość.

Zuchwalec przysunął się do partnerki. Sprężony i spięty niczym pies myśliwski tuż przed spuszczeniem ze smyczy. Raz rzucił okiem przez ramię na gromadzącą się załogę.

– Ja załatwiam tę sprawę. Wracajcie do obowiązków.

Ludzie rozeszli się z wolna. Tylko Świstak nie drgnął. Minę miał grobową. Odszukałem wzrokiem Strzyka. Natychmiast zrozumiał moje spojrzenie. Położył dłoń na ramieniu Skierki, pociągnął dziewczynę w swoją stronę, szturchnął Niestrudzonego i wszyscy troje się odsunęli. Ja zostałem na miejscu. „Niezrównany” trzymał Amber pod brodą, przyciśniętą do piersi.

– Musiałam – powiedziała zapatrzona w wodę niewidzącym wzrokiem.

Nie wiedziałem, czy mówi do mnie, czy do dawnych przyjaciół.

– Dzięki niej wszedłem na drogę, która pozwoli mi odzyskać właściwe kształty!

– oznajmił galion wczesnym gwiazdom na bezkresnym niebie. – Dała mi smocze srebro.

Przeczesałem pokład wzrokiem i zobaczyłem błyszczące okruchy szklanego cylindra. Serce mi się ścisnęło. Najwyraźniej znalazła płynną Moc w moim plecaku i wzięła ją bez pytania. Co więcej, nie uprzedziła mnie o swoich planach. A właściwie jakie miała plany?

– Odzyskać właściwe kształty? – powtórzyła Althea głosem wyższym niż zazwyczaj.

– Widzisz przecież, co mi dała niewielka ilość smoczego srebra. Gdy dostanę tyle, ile trzeba, będę mógł strząsnąć z siebie wszystkie te deski, którymi mnie obłożyliście, a płótna zamienię na skrzydła! Staniemy się smokami, którymi powinniśmy być.

Kapitan wyglądała na całkowicie oszołomioną.

– Staniecie się smokami? – wychrypiła bez zrozumienia, jakby szukała sensu w brzmieniu słów z obcego języka. – Nie będziesz „Niezrównany”? Jak to możliwe? – I dodała z jeszcze większym niedowierzaniem: – Opuścisz nas?

Zdawał się nie słyszeć bólu w jej głosie, zamiast tego skupił się na treści, jakiej słowa kapitan wcale nie zawierały.

– Niepojęte, czego ode mnie żądacie! Mam zostać w tej postaci? Wiecznie

zależny od cudzej woli? Podążać tam, dokąd mi każecie, dźwigać ładunki z jednego ludzkiego portu do drugiego...?! Pozbawiony płci? Zamknięty w niewłaściwej, nie mojej formie?! – Mówił coraz głośniejszym i bardziej agresywnym głosem.

Sądziłem, że kapitan poczuje się zraniona, lecz wydawała się na jego humory całkowicie uodporniona. Nieustraszenie postąpiła do przodu, zadzierając głowę, by spojrzeć galionowi w oczy.

– Doskonale znasz moje odczucia. Wiesz, kim dla mnie jesteś.

Zmrużył smocze ślepie. Ich blask przypominał niebieski ogień wyzierający przez szczeliny popękanej ściany z kamienia. Jego dłonie, mimo łusek wciąż zdumiewająco ludzkie, rozwarły się powoli. Opuścił przyjaciółkę na pokład i bez słowa obrócił się do nas plecami. Amber zachwiała się, lecz zaraz stanęła prosto. Próbowałem cokolwiek wyczytać z jej postawy, odszukać choćby ślad Błazna, serdecznego przyjaciela, jednak widziałem tylko panią Amber. Nie umiałem pojąć, kim jest ta kobieta. Ani do czego jest zdolna.

Galion wbił wzrok w pociemniałą rzekę. Jego napięcie dawało się odczuć w całym kadłubie czarodrzewu, we wszystkich gnatach statku. Zaczynałem rozumieć, że miał rację. W rzeczywistości nie był statkiem. Był smokiem, zmienionym przez ludzi i zamkniętym w formie obcej dla jego prawdziwej natury. I choćby nie wiem jak szczerą sympatią obdarzał tych, którzy go wyrzeźbili, w pewnym stopniu musiał żywić do nich urazę. Może nawet czuć nienawiść.

A znajdując się na jego łasce, uświadomiłem sobie z lodowatym dreszczem.

Do Amber podeszła Althea. Poruszała się jak kot, który wyzywa przeciwnika do walki. Drobne kroczki, idealne wyważenie ciała przy każdym ruchu, spojrzenie bez mrugnięcia.

– Coś zrobiła mojemu statkowi? – spytała cicho.

Pani Amber obróciła spojrzenie niewidzących oczu w stronę, skąd dobiegł głos.

– To, co powinno się zrobić dla każdego żywostatku. Choćby dla „Werwy”, gdy tylko nadarzy się okazja.

Na dźwięk drugiego imienia kapitan Althea stężała i zacisnęła pięści.

Zdarzyło mi się widzieć walczące kobiety. Damy w pięknych sukniach, uderzające otwartymi dłońmi, zawodzące przy tym i krzyczące przenikliwie. Żony rybaków z nożem w ręku, próbujące rozplatać przeciwniczkę i wypatroszyć jak rybę. Kapitan Althea nie była wyfiokowaną paniusią w koronkach, a wiedząc, jak radzi sobie z załogą, i znając rozmiary takielunku oraz konstrukcję statku, czułem respekt przed siłą jej ramion. Tymczasem Błazen nigdy nie był wojownikiem, nie zdobył żadnej wprawy w bójkach. Teraz, dodatkowo pozbawiony wzroku, osłabiony dramatycznymi przejściami, ledwo powracający do zdrowia, nie miał

szansy przetrwać jakiegokolwiek starcia.

Lekkim krokiem szybko wsunąłem się między antagonistki.

Fatalne miejsce. Gniew Althei na dawną przyjaciółkę był niczym wobec wściekłości na obcego, który śmiał się wtrącić. Pani kapitan mocno pchnęła mnie w pierś otwartą dłonią.

– Z drogi – rozkazała.

Gdybym nie był przygotowany na każdą okoliczność, straciłbym oddech.

– Nie trzeba – usiłowałem oponować.

– To nasza sprawa. Jak na razie.

Zanim wymyśliłem adekwatną odpowiedź, wpadł między nas Zuchwalec, odepchnął na bok partnerkę. Stanęliśmy pierś w pierś, w mroku zmierzaliśmy się spojrzeniem.

– Jesteście na pokładzie naszego statku. – Głuchy warkot. – Słuchacie naszych rozkazów.

Wolno pokręciłem głową.

– Nie tym razem – odparłem spokojnie.

Pani Amber za moimi plecami milczała.

– To co, na pięści? – zapytał kapitan.

Przysunął się nieco, poczułem jego oddech na twarzy. Byłem od niego wyższy, ale bary on miał szersze. I zapewne był w lepszej formie. Czy chciałem rozstrzygać sprawę za pomocą pięści?

Chciałem. Raptem poczułem, że mam wszystkiego dość. Nawet pani Amber. Górna warga mi się uniosła, obnażyłem zęby. Czas walczyć, czas zabijać.

– Dobrze – przystałem.

– Uspokójcie się wszyscy! – krzyknął Błazen. – „Niezrównany” to czuje! Bastardzie, to smok! On jest smokiem! – Płasnął mnie w tył głowy, aż odskoczyła do przodu.

Wyrznąłem czołem w twarz Zuchwalca. Althea coś krzyknęła, złapała go za rękaw i pociągnęła do tyłu.

O, nie, nic z tego, tak się to nie skończy.

Ruszyłem za nimi, nie zamierzałem odpuścić zdobywcy.

Błazen uderzył mnie ramieniem w plecy. Althea potknęła się i upadła do tyłu, pociągając za sobą Zuchwalca. O mało nie przygniotłem ich obojga, w ostatniej chwili przetoczyłem się na bok, natomiast Błazen nigdzie się nie odtoczył, legł na mnie i powiedział mi prosto do ucha:

– To statek, Bastardzie, to jego sprawka, jego gniew. Nie twój, tylko jego.

Starąłem się wyswobodzić, uwolnić od jego uścisku. Udało mi się podnieść

na czworaki, potem stanąć, gotów byłem walczyć, kopać, okładać pięściami, porachować Zuchwalcowi kości. Dyszałem ciężko i słyszałem echo tego dźwięku w ciężkim ziajaniu wielkiej istoty. Ogromnej istoty.

Odchodzący dzień zabrał ze sobą prawie całe światło, a blade kręgi latarni nie miały za cel oświetlać galionu. Mimo to widziałem, że galion szybko traci wszelkie podobieństwo do człowieka. W twarzy wyrzeźbionej na podobieństwo mojej szczęki i nos wydłużały się, przyjmując kształt gadziego pyska. Niebieskie, błyszczące oczy wirowały. Przez moment, gdy nasze spojrzenia się spotkały, dostrzegłem w nich tę samą furję, która rozpałała mi krew w żyłach. Poczułem na ramieniu dłoń Błazna.

– Chronić umysł – poprosił.

Amok przeminął niczym letni sztorm, zostałem wyzuty z wszelkich emocji. Złapałem Błazna za nadgarstek i postawiłem panią Amber na nogi. Strząsnęła spódnice, opadły w należytym porządku.

– Na rufę – polecił Zuchwalec.

Po moim ciosie głową leciała mu z nosa krew. Przykra sprawa, lecz mnie sprawiła radość. Mimo wszystko usłuchałem. W niepewnym świetle wyglądał staro, wydawał się jakby sflaczały. W drodze do kasztelu napotkaliśmy Świstaka.

– Wszyscy mają trzymać się z dala od dziobu – rozkazał kapitan. – Przekaż załodze, potem wróć tutaj i miej oko na galion. W razie najmniejszych wątpliwości natychmiast po mnie poślij.

Świstak kiwnął głową i zniknął.

Przy drzwiach kajuty reprezentacyjnej czekał Strzyk z młodzikami. Spojrzał na mnie pytająco.

– Wszystko w porządku – stwierdziłem. – Zaprowadź ich na razie do kajuty pani Amber. Wyjaśnienia później. – Odprawiłem go gestem.

Jego wzrok powiedział mi wyraźnie, że nie ma ochoty siedzieć w tylnych ławach z nieopierzoną młodzieżą, lecz, tak czy inaczej, wykonał polecenie. Zuchwalec czekał na mnie w progu. Wszedłem do wnętrza tuż za panią Amber i zamknąłem drzwi.

Nie zrobiliśmy nawet dwóch kroków, gdy Althea ponownie naskoczyła na przyjaciółkę.

– Coś ty wymyśliła?! – Nie kryła gniewu.

– Chwileczkę – powstrzymał ją Zuchwalec.

Wyjął z kredensu kubki, z półki zdjął ciężką butlę. Nalał nam wszystkim, każdemu solidną porcję. Nie była to aksamitna w swej łagodności okowita ani eleganckie wino, lecz solidny, mocny trunek. Tani rum. Kapitan bez ceremonii pociągnął długi

łyk, dolał, po czym z łoskotem odstawił flaszkę i ciężko osunął się na krzesło.

– Siadamy. – To był rozkaz. – Wszyscy.

Pani Amber usiadła, ja po chwili także usłuchałem.

– Najważniejsze pytanie brzmi – odezwał się niegłośno – dlaczego to zrobiła.

Przyszpilił Amber spojrzeniem pełnym gniewu, ale i udręki, jaką może wywołać jedynie zdrada przyjaciela.

Nie miałem nic do powiedzenia. Jej zachowanie całkowicie zbiło mnie z tropu. Z mojego punktu widzenia wyglądało na to, że podczas wyprawy, która, mógłbym przysiąc, stała się jedynym i wyłącznym celem życiowym Błazna, pani Amber postanowiła rozgłosić wszem wobec, iż jesteśmy w posiadaniu zabronionej substancji, używając jej do... do czegoś bliżej niewyjaśnionego, związanego ze statkiem. Zawiodła zaufanie gospodarzy, zdradziła przyjaciół, wszystkich naraziła na niebezpieczeństwo. To nie miało sensu. Byłem równie zbulwersowany, jak kapitan Althea. I tak samo bezradny.

– Musiałam – odezwała się w końcu pani Amber. – Tak należało. Ze względu na „Niezrównanego”. – Odetchnęła głębiej. – Dałam mu smocze srebro. Tak je nazywają mieszkańcy Kelsingry. Jest tam studnia, z której piją smoki. Ta płynna magia burzy mury oddzielające ludzi od potężnych gadów, pomaga rannym smokom wracać do zdrowia, przedłuża życie Najstarszym, nadaje przedmiotom czarodziejskie właściwości. Ci, co urodzili się z talentem do magii, jak Bastard, mogą zwielokrotnić swoje zdolności. Zgadzam się z „Niezrównanym”, że jeśli żywostatek dostanie odpowiednią ilość smoczego srebra, zdoła dokończyć właściwą przemianę. Stanie się smokiem, którego kokon ukradziono, by z „czarodrzewu” zrobić żywostatek.

Natłok informacji popłynął zadziwiająco wartkim strumieniem jak na zwykłe wypowiedzi Błazna. Zuchwalec ze ściągniętym brwiami oraz Althea z szeroko otwartymi oczyma w skupieniu przyswajali sobie wiadomości przekazywane przez Amber. Gdy zabrakło jej słów, zapadło milczenie. Po jakimś czasie kapitan Althea ujęła przyjaciółkę za rękę. Minęło jeszcze kilka chwil, nim Amber odezwała się ponownie, wyraźnie bez szczególnej chęci.

– Był jeszcze jeden powód – przyznała – i można by powiedzieć, że to dowód egoizmu. Musiałam zawrzeć z „Niezrównanym” umowę. I wiedziałam, że wy nie będziecie z niej zadowoleni. Muszę dotrzeć do Clerres, jak najszybciej. „Niezrównany” może mnie tam zabrać. I zabierze, w zamian za szansę na większą ilość smoczego srebra. – Spuściła wzrok na blat, dźwignęła ciężki ceramiczny kubek. – Nie miałam innego wyjścia – stwierdziła i pociągnęła długi łyk rumu.

– Płyniemy do Miasta Wolnego Handlu – odezwała się kapitan Althea. – Potem

do Jamailli. Do Clerres się nie wybieramy. Musimy dostarczyć zamówiony towar, przestrzegać postanowień kontraktów. – Mimo spokojnego głosu w oczach kobiety połyskiwał lęk. Zaczynała pojmować ogrom zmian zachodzących w jej życiu.

– Płyniemy prosto do Clerres – sprostowała cicho Amber. – Wiem, że nic już nie będzie w waszym życiu takie jak dawniej. – Westchnęła głęboko, oddech miała urywany. – Gdyby istniała inna możliwość... pewnie bym ją wybrała. Ale niezależnie od moich decyzji, niezależnie od losów nas wszystkich, „Niezrównanemu” należy się smocze srebro. I nie jemu jednemu. Wszystkim żywostatkom! Gdybym nie była tak zdesperowana... Dzięki niemu dotrę do Clerres najszybciej, więc nie miałam wyboru.

– Nawet nie znam tego portu – stwierdził Zuchwalec.

Spojrzał pytająco na Altheę, ona pokręciła głową.

– „Niezrównany” zna. Był tam. Gdy należał do Igrota, zapuszczali się w pogoni za zdobyczą na dalekie wody. Nawet za Wyspy Korzenne. Tam, gdzie archipelagi Sterlin, Isabom, Kinect. I jeszcze dalej. „Niezrównany” zna Clerres. Zabierze nas na tę wyspę.

– Nasze kontrakty... – odezwała się Althea słabym głosem.

– Właśnie – podjął Zuchwalec, nie kryjąc gniewu. – Zobowiązania. Czy jest sens tłumaczyć obcemu, że nieskalana reputacja jest dla kupca najcenniejszym dobrem? Skoro nie dotrzymamy słowa, nie wywiążemy się z zawartych umów, oboje z Altheą stracimy twarz i dobre imię. Nikt już nigdy nam nie zaufa. Nikt nigdy więcej nie zechce z nami handlować. – Nabrał tchu, zmarszczka na czole mu się pogłębiła. – Jak widzisz przyszłość? Gdy już „Niezrównany” zabierze cię do Clerres, załatwisz tam swoje pilne sprawy, a potem dasz mu owo „smocze srebro”... co wtedy? Naprawdę wierzysz, że nasz żywostatek... przestanie być statkiem? Zmieni się w smoka?

Pani Amber westchnęła ponownie.

– Zmieni się w dwa smoki we właściwych sobie kształtach, uwolnione od nienaturalnej więzi. Tak, właśnie tak. Mam nadzieję, że mu się to uda dzięki odpowiedniej ilości smoczego srebra. Że im się uda – poprawiła ostatnie zdanie. Powiodła wzrokiem od jednej do drugiej kapitańskiej twarzy pełnej zdumienia. – Kochacie go. Nie od dzisiaj, ale długie lata, bo przecież pokochaliście go już wówczas, gdy był zaledwie zniszczonym kadłubem wyrzuconym na brzeg. Altheo... dorastałaś na jego pokładzie. Zuchwalcze, znalazłeś tu schronienie, gdy nie miałeś dachu nad głową. Znać go, nieobce są wam jego losy, wiecie, ile wycierpiał. Dlatego teraz, gdy powiedział wam, jak wygląda prawda, z pewnością będziecie mu życzyli wszystkiego, co dla niego najlepsze.

– Kocham go, to prawda – przyznała Althea cicho. – Moja rodzina zaryzykowała wszystko, by za niego zapłacić. Dzięki temu on nie został rozmontowany, a my zdołaliśmy ocalić „Werwę” i mojego siostrzeńca. Od tamtej pory chroniliśmy go we dwoje z Zuchwalcem. Chyba nie znasz innego kapitana tak dbającego o statek? – Powoli wciągnęła powietrze. – A jednak postanowiłaś nas zrujnować. Czy ty to w ogóle rozumiesz? Pewnie masz mnie za samolubną, skoro myślę o własnej przyszłości, jednak bez żywostatku Zuchwalec i ja zostaniemy z niczym. Bez domu, majątku, środków utrzymania. Nie mamy nic. Jesteśmy całkowicie uzależnieni od „Niezrówanego”, zwiąaliśmy się z nim, dbaliśmy o niego, gdy nikt inny mu nie ufał, ocaliliśmy go przed podzieleniem i sprzedaż w częściach na magiczne ciekawostki. Jego los wydaje ci się marny, lecz my daliśmy mu wszystko, co mogliśmy. Tworzymy z nim całość, jesteśmy jego częścią, a on częścią nas. Co z nami będzie, gdy zmieni się w smoka... albo w dwa smoki? Co zostawimy w spadku synowi? – Umilkła, z niemałym trudem wzięła się w garść. – A jeśli smocze srebro zawiedzie i „Niezrównany” jednak pozostanie żywostatkiem? Może to się okazać jeszcze gorsze. Chyba pamiętasz, w jakim fatalnym stanie był, gdy go wskrzesiliśmy: ślepy, zmalretowany, pełen nienawiści... Na pewno nie zapomniałaś, brałaś w tym udział. Wydaje ci się, że lata, które upłynęły od tamtego czasu, minęły nam jak w bajce? Oczywiście, że nie! Mimo wszystko jednak to my go odbudowaliśmy, daliśmy mu serce, spokój, radość. A on niósł nas przez sztormy i wzburzone wody, śmiejąc się z naszego strachu. Na spokojnych wodach trzymał w dłoniach nasze dziecko, zabawiał je, zanurzając w falach. Wszystko to już przeszłość. Nie będzie więcej czerpał radości ze swoich kształtów, ze swojej roli. Na nic mu reputacja, którą razem odbudowaliśmy, na którą ciężko pracowaliśmy wspólnie przez długie lata. Wszystko przepadło. Stracone. – Oparła na stole zgięte ramiona, ukryła w nich twarz. Skurczyła się, zmalęła, w jej ciemnych włosach dostrzegłem siwe pasma, a na grzbiecie silnych dłoni wystające żyły i ścięgna.

Zuchwalec przykrył ręką jej dłoń. Czas jakiś trwała przy stole cisza. Było mi wstyd, że zrujnowaliśmy tym ludziom życie, natomiast z twarzy pani Amber nie potrafiłem nic wyczytać. Znów sobie uświadomiłem, że mimo długiej i zażyłej znajomości z Błaznem, w ogóle nie umiałem przewidzieć zachowania tej kobiety.

Kapitan pogładził szorstkie włosy Althei.

– Damy sobie radę – odezwał się z przekonaniem. – Czy będziemy mieli pod stopami pokład „Niezrówanego”, czy nie, razem jakoś damy sobie radę. – Pochylił głowę. – Może Basałyk zostanie na „Werwie”? Ona jest członkiem rodziny tak samo jak „Niezrównany”, a przecież syn Kennita, Sa mi świadkiem, nie jest zainteresowany życiem na morzu...

Ucichł, a ja widziałem na jego twarzy, że właśnie zaczął pojmować ogrom problemu. Skoro „Niezrównany” mógł zmienić się w smoka, czemu „Werwa” nie miałyby pójść w jego ślady? Sprawa dotyczyła wszystkich żywostatków. Nie chodziło wyłącznie o ich rodzinę. Pani Amber zniszczyła porządek świata. Dając „Niezrównanemu” smocze srebro, ugodziła w całe dynastie kupieckie z Miasta Wolnego Handlu, we wszystkich właścicieli żywostatków. A samo miasto? Wielki ośrodek handlowy od zarania dziejów uzależniony był od żywostatków, które dostarczały do niego skarby z Deszczowych Ostępów. Teraz owe szczególne statki miały przejść do historii, a wraz z nimi fortuny starych rodów ich opiekunów.

Kapitan Althea uniosła głowę, wbiła wzrok w panią Amber.

– Dlaczego? – wychrypiła. – Czemu nas nie spytałaś, nie uprzedziłaś o swoich zamiarach? Nie dałaś nawet krótkiego czasu do namysłu, co zrobić w obliczu tej niesłychanej zmiany. Czy sądziłaś, że sprzeciwimy się i odmówimy „Niezrównanemu” tego, czego tak gorąco pragnie? Nie przyszło ci do głowy, że można było przedstawić mu sprawę spokojniej i z uwzględnieniem bezpieczeństwa nas wszystkich? – Mówiła o statku jak o dziecku. Niezbyt lotnym, jednak ukochanym. Jak o dziecku, które teraz miało paść ofiarą własnego szaleństwa.

Rola świadka była dla mnie bolesna, tymczasem pani Amber wydawała się nieporuszona.

– Nie miałam innego wyjścia – odezwała się po dłuższym czasie. – I to nie ze względu na „Niezrównanego”, chociaż rzeczywiście od niego się zaczęło. – Przeniosła wzrok na mnie. – Wybacz, Bastardzie. Miałam cię uprzedzić, co planuję, wyjaśnić, do czego mi potrzebne smocze srebro. Nie zamierzałam mu go dawać, ale gdy z nim rozmawiałam dziś wieczór, zapytał, czy cieszę się z powrotu na pokład, chociaż już nie mogę spełnić swojego przeznaczenia i zostać marynarzem. Nie kryłam zdziwienia, bo nic nie wiem o takim przeznaczeniu, a on wtedy oznajmił, że nie powinien być statkiem, ponieważ pisana mu była smocza postać... Raptem jego słowa połączyły się w sensowną całość z treścią z dziennika snów Pszczoły, a wtedy zrozumiałam znaczenie jej przepowiedni. Przewidziała własne ocalenie. Jestem pewna, że Pszczoła żyje. Najprawdopodobniej wciąż jest w rękach porywaczy. Zabiorą ją do Clerres. Nie mamy pojęcia, jaką drogą podążają, lecz znamy cel ich podróży. I wiemy, że musimy ją oswobodzić jak najprędzej. Nie wolno nam podróżować długo, z przerwami, nie możemy sobie pozwolić na przestoje i szukanie innego statku, negocjowanie warunków, skoki od portu do portu z płochą nadzieją, że zdążymy dotrzeć do celu na czas. Musimy znaleźć się w Clerres jak najszybciej. Musimy zrobić wszystko, by ją ocalić. A nie ma lepszego środka transportu niż znający drogę żywostatek.

Nadzieja, ozywająca zbyt często, staje się wrogiem. Owszem, usłyszałem słowa pani Amber, lecz serce nie podskoczyło mi z radości. Wręcz przeciwnie: rozpałił się we mnie gniew. Jak śmiała?! Skąd u niej czelność, by wypowiadać takie słowa, i to w obecności obcych? Jakim prawem ważyła się zrzucać mi na barki niczym nieuzasadniony luksus? W następnej chwili, jak ściana wody nie do powstrzymania spadła na mnie odpychana wszystkimi siłami ufność. Chwyła mnie silnym prądem i kalecząc na ostrych muszlach, wciągnęła w głębinę. Zapomniałem o wszystkim, co się tego dnia wydarzyło, nic nie miało znaczenia.

– Pszczoła żyje? – szepnąłem. – Jak to? Naprawdę w to wierzysz?

Pani Amber obróciła się w moją stronę, jej dłoń po chwili odnalazła moją i zamknęła w uścisku chłodnych palców. Z białych, pustych oczu nie potrafiłem wyczytać niczego, a głos zdradzał niewiele.

– Ta informacja widnieje w jej dzienniku snów, Bastardzie. Nie jest wyrażona wprost, lecz istnieje w snach oznaczonych jako najbardziej prawdopodobne. Pszczoła opowiada w nich o przyszłych zdarzeniach raczej ilustracjami niż słowami. Mam za sobą długi czas poświęcony interpretowaniu snów. Jej prorocтва idealnie składają się w całość, pasują do siebie niczym kawałki rozbitej misy.

– Co to za dziennik snów? – spytała Althea. – Na jaja i cycki Sa, co za dziennik snów i dlaczego przez jakieś zapiski postanowiłaś nas zniszczyć?

Amber obróciła twarz do pary kapitanów.

– Na wyjaśnienia trzeba czasu...

– Powinnaś była to zrobić dawno, więc zaczynaj. – Althea nawet nie próbowała ukryć gniewu.

– Dobrze – powiedziała Amber. – Bastardzie... – znowu ścisnęła mi dłoń – wiem, że nie masz na to najmniejszej ochoty, ale ogromnie cię proszę: przynieś dziennik snów Pszczoły. Zanim wrócisz, postaram się wyjaśnić, co to takiego i dlaczego jej sny są tak ważne.

Miałem już za sobą gorącą falę gniewu i oślepiający szkarłat wściekłości. Teraz gdzieś we wnętrzu uformowała mi się bryła lodu i szybko mroziła serce. Patrzyłem na tę dziwną kobietę niezdolny do żadnej reakcji, sparaliżowany jej gruboskórnością. A ona nie spuszczała ze mnie wzroku. Co widziała? Cień? Niewyraźny kształt?

– Książę... Bastardzie – odezwał się Zuchwalec. Nie patrzył na mnie, wbił wzrok w swoje dłonie. – Jeśli możesz nam pomóc zrozumieć... Proszę...

Bez słowa wstałem, odpychając krzesło nogami, i wyszedłem z kajuty. Nie poszedłem do kajuty pani Amber, gdzie znajdował się mój plecak. Powędrowałem w ciemność nasączoną śpiewem owadów, aż dotarłem na dziób.

„Niezrównany” był sposepniały i przybity. Zwiesił ramiona, wciąż jeszcze ludzkie, a wydłużona szyja pozwoliła mu złożyć gadzi łeb na piersi. Mało co budziło we mnie taki niepokój, jak ten widok. Odchrząknąłem. Uniósł głowę i skupił na mnie wzrok. Oczy miał wciąż niebieskie. Reszta twarzy zmieniła się nie do poznania.

– Czego chcesz? – burknął.

– Sam nie wiem – przyznałem.

Nie powiedziałbym, że nie czułem strachu, jednak podszedłem bliżej i oparłem się o reling. Pani Amber obudziła we mnie nadzieję, a razem z nią zwątpienie. Dopóki miałem pewność, że utraciłem Pszczołę na zawsze, pragnąłem jedynie zemsty. A poza zemstą jeszcze tylko własnej śmierci. Byłe dotrzeć do Clerres i zabić, ilu zdołam. I stracić przy tym życie. Nic mnie nie gonilo, miałem czas na obmyślenie dalszych posunięć, wybranie najlepszego planu. Teraz natomiast chciałem ocalić Pszczołę, nade wszystko pragnąłem ją uratować. Gdyby nie żyła, a mnie nie zależało na życiu, niechby się wreszcie skończyły moje błędy i potknięcia. Czyżbym już nie tęsknił za pomstą?

Dziś nie, uznałem.

Dziś byłem stanowczo zbyt zmęczony. Ech, gdybym tak mógł spaść na Clerres znienacka, pochwycić Pszczołę i uciec, a następnie żyć gdzieś z moją dzieciną w ciszy i spokoju...

– Jak sądzisz – zapytałem statek – czy moja córka żyje?

Błękitne ślepie zawirowały, mogłoby się wydawać, że ktoś obraca latarnią za niebieskim szkłem.

– Nie wiem. Ale wiem, że w naszej umowie z Amber nic to nie zmienia. Zabiorę was do Clerres jak najszybciej. Znam drogę. Byłem tam jako niewolnik Igrota. Jeżeli twoja córka żyje, to ją ocalisz, a jeśli jest martwa, zniszczysz gniazdo niegodziwości. Potem wrócimy tutaj, popłyniemy w górę rzeki i Amber zdobędzie dla mnie smocze srebro. Tyle, żebym przybrał swoją właściwą smoczą postać.

Miałem chęć spytać go, co zrobi, jeśli stracimy życie w Clerres. Ciekaw byłem odpowiedzi, gdyż miałem pewność, że tak czy inaczej, popłynie do Kelsingry i zażąda srebra. Dlaczego więc przystał na zwłokę i nie zawrócił do miasta Najstarszych od razu?

„Dlatego że wasza zemsta jest też pragnieniem smoków”.

Umilkł. Czekałem dłuższy czas.

„Jako smoki nie zdołałbym zanieść was tak daleko” – odezwał się wreszcie. – „Mogę to zrobić wyłącznie pod postacią statku. Popłyniemy więc razem, zemścicie się na nich za nasze krzywdy, a potem będziemy wolni i przybierzemy swój właściwy kształt”.

Nie od razu zdałem sobie sprawę, że jaszczurze wargi „Niezrówanego” nie wypowiedziały tych słów. Słyszałem go i pojmowałem sens jego planów za pomocą myśli, za pośrednictwem własnych zmysłów. Całkiem jakbyśmy porozumiewali się Rozumieniem i Mocą jednocześnie, choć żadnej z tych magii nie używaliśmy. Wolno podniosłem dłonie z poręczy.

„Wiem, że wiesz. Nie unikniesz mnie, gdy chcę do ciebie mówić. Teraz jednak powiem ci tylko tyle: nie próbuj się sprzeciwiać ani jej, ani mnie. Płyniemy do Clerres, by położyć kres istnieniu tych, co porwali i dręczyli jej dziecko. A potem wrócimy do Kelsingry, żebym się przemienił w smoki. Idź już. Przynieś jej to, po co cię wysłała. Przekonaj kapitanów. Włóż w to całe serce”.

Ostatnie polecenie wydał mi takim tonem, jakby polecał nakarmienie kotów pod jego nieobecność. Tylko tyle dla niego znaczyli?

„Wolałbyś, żebym nienawidził tych, którym służyłem jak niewolnik?”.

Błyskawicznie skryłem umysł za grubą barierą. Czy rzeczywiście potrafił sięgać do moich myśli zawsze, gdy zechciał? Na jaką zemstę liczył? Czy sprzeciwi się, jeśli, odszukawszy Pszczołę, postanowimy od razu uciekać?

Odsunąłem na bok wszelkie pytania. Może na razie rzeczywiście powinna mi wystarczyć świadomość, że zabierze nas do Clerres.

Powędrowałem do kabiny pani Amber. W ciasnym wnętrzu panowała ciemność, ale nie chciałem wracać po latarnię. Plecak tkwił wciśnięty w kąt pod pryczą. Namacałem go i wyciągnąłem, w miarę możliwości omijając i odpychając rzeczy Amber i Skierki, które były wszędzie. Zanurzyłem dłoń w poszukiwaniu dziennika snów i musnąłem palcami tkaninę, spowijającą jeszcze niedawno szklane cylindry od generała Rapskala. Cóż, kolejna drobna zdrada ze strony szanownej pani Amber. Brała, co chciała, bez pytania. Zaczynałem się przyzwyczajać, jednak nadal czułem złość. Gwałtownie zmiąłem tkaninę, by sięgnąć obok niej po zapiski córki, gdy wyczułem ciężki szklany cylinder. Powoli wyjąłem tłumoczek, rozwinąłem ostrożnie i jak głupi wlepiłem wzrok w ledwo widoczne, jednak nienaruszone cylindry ze smoczym srebrem. Wczesne gwiazdy zaglądały przez bulaj, wskrzeszając w nim czarodziejskie blaski, a ono odprawiało swój powolny taniec. Oba pojemniki były pełne po brzegi, zatkane i zapieczętowane tak samo jak wówczas, gdy generał włożył mi je w ręce. Płynna magia. Moc w najczystszej formie, niezależna od ludzkiej czy smoczej krwi. Przechyliłem cylindry ponownie, a ich zawartość znów ciężko się przemieściła. Ciekawe, ileż to pani Amber dała „Niezrówanemu”? Czy te dwa pojemniki pozwoliłyby mu dokończyć przemianę? Czy w razie, gdyby stał się krnąbrny albo niebezpieczny, mogłem go przekupić tą substancją? Niewyobrażalnie cenną. Bardzo niebezpieczną.

Zawinąłem wszystko, jak było, i wetknąłem głęboko do plecaka. Źle oceniłem Amber. Byłem wobec niej niesprawiedliwy. Co zrobiła złego? Schowała przede mną smocze srebro, które od kogoś dostała. Postąpiliśmy identycznie. Nie spodobała mi się myśl, że jestem do niej tak ogromnie podobny w zachowaniu, które ochoczo potępiłem. Wolałbym już nie mieć z nią do czynienia, wolałbym...

...żeby zamiast niej był Błazen?

Dziwna myśl. Aż mi się od niej zakręciło w głowie. Bez wątpienia moje układy z tą kobietą różniły się od więzi ze starym przyjacielem. Zupełnie inaczej się przy niej czułem, nawet w odmienny sposób myślałem. Miałem ochotę potrząsnąć głową jak pies pozbywający się wody z sierści, jednak zdawałem sobie sprawę, że na nic się to nie zda, więc starannie umieściłem dziennik Pszczoły pod pachą i na nowo wsunąłem plecak w najdalszy kąt.

– Nie śpieszyłeś się, książę – rzucił Zuchwalec, gdy wróciłem do kasztelu.

Teraz był z nami również Świstak. Nie siedział przy stole, przycupnął na zydlu w kącie, w dłoniach ścisnął kubek z rumem. Spojrzenia, jakim mnie obdarzył nie dało się nazwać przyjaznym. Swoją drogą ja także nie żywiłem wobec niego szczególnie serdecznych uczuć. Niewątpliwie zobaczył mnie rozmawiającego z „Niezrównanym” i przyszedł donieść o tym kapitanowi.

– Rozmawiałem ze statkiem – przyznałem od razu.

Kapitan zacisnął zęby, Althea wyprostowała się gwałtownie, jakby miała na mnie skoczyć. Uniosłem dłoń w uspokajającym geście.

– Potwierdził umowę z panią Amber. I zasugerował, że on sam oraz inne smoki mają własne powody, by wspierać naszą misję. – Przeniosłem spojrzenie na Amber. – Chętnie bym je poznał. I chciałbym wiedzieć, skąd miałaś smocze srebro, skoro król Reyn i królowa Malta wyraźnie odmówili twojej prośbie.

Althea wydała z siebie dziwny, zduszony dźwięk. Zuchwalec zeszywniał.

– Nie ukradłam – zapewniła cicho pani Amber.

Czekałem.

Powoli nabrała tchu.

– Dostałam je, do rąk własnych, od kogoś, kto zdawał sobie sprawę, że mielibyśmy ogromne kłopoty, gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział. Dlatego nie chcę zdradzić, kto to taki. – Stanowczo zacisnęła usta.

– Jakby to nas obchodziło...! – prychnęła pani kapitan. – Udowodnij, że wasze dziecko żyje. Że nie zrujnowałaś nam życia bez powodu.

Bez wątpienia nie zostało w niej ani krzty współczucia i trudno było się temu dziwić. A mimo wszystko, słysząc ton jej głosu, gdy mówiła o Pszczole, poczułem wzbierającą złość.

Ostrożnie położyłem zapiski córki na blacie i usiadłem, chroniąc je z obu stron przedramionami. Nikt prócz mnie ich nie dotknie. Chwilę zabrało mi opanowanie głosu.

– Co mam przeczytać? – spytałem w końcu.

Pani Amber chyba wiedziała, że jestem o krok od wybuchu wściekłej furii. Byłem od niej zależny, w dodatku zdany na łaskę obcych ludzi oraz ich nieobliczalnego statku, a oni żądali dowodu, że moje dziecko jest rzeczywiście tak szczególne i wyjątkowe, że zasługuje na ratunek, na wybawienie z rąk bestii rozmiłowanych w torturowaniu. Gdyby istniał w okolicy jakiś dostępny brzeg, gdybym tylko mógł, natychmiast zażądałbym wysadzenia na ląd i odszedł, zostawiając ich wszystkich jak najdalej.

– Przeczytaj, proszę, ten sen, w którym dwugłowa osoba daje ci do wypicia fiolkę inkaustu. A potem strząsasz z siebie kawałki drewna i zmieniasz się w dwa smoki. Ten chyba najłatwiej pojmujemy.

Jakiś czas siedziałem bez ruchu. Trudno zliczyć, ile razy obwinałem Błazna o „interpretowanie” snów po fakcie, o przykrwanie ich do zdarzeń, które już zaistniały, jednak to prorocstwo rzeczywiście wydało mi się całkiem jasne. Przekartkowałem zapiski córki, aż znalazłem odpowiednią stronę. Kilka chwil przyglądałem się ilustracji. Uniesiona dłoń, obleczona rękawiczką, trzymała niewielką szklaną fiolkę. W tle widniałem ja, sięgałem po nią niecierpliwie. Na tym rysunku miałem niebieskie oczy. A inkaust w szklanym naczyniu był szary, podbarwiony na żółto. Nie błyszczał srebrem, jednak łatwo było uznać, że miał właśnie tak wyglądać. Wolno przeczytałem na głos zapisane słowa, po czym obróciłem księgę i pokazałem ilustrację obojgu kapitanom. Althea ściągnęła brwi, Zuchwalec zadarł brodę.

– Skąd mamy wiedzieć, że nie zostało to napisane zeszłej nocy? – zapytał.

To pytanie nie należało do najmądrzejszych i kapitan świetnie o tym wiedział. Mimo wszystko postanowiłem na nie odpowiedzieć.

– Jedno z nas jest niewidome, a co za tym idzie, nie zdoła ani pisać, ani rysować. A drugie... Nie mam pędzli ani odpowiednich barwników, ani talentu, by stworzyć taką ilustrację. – Delikatnie przekartkowałem księgę. – A poza tym jest po tym śnie zapisanych wiele następnych.

Wiedział o tym. Po prostu nie chciał przyznać, że Pszczoła przewidziała, iż pani Amber da statkowi z moją twarzą cylinder ze smoczym srebrem, by mógł się przekształcić w smoka, a nawet w dwa smoki.

– Ale... – Nie mógł się pogodzić.

– Daj spokój – przerwała mu Althea. – Oboje wiemy, że Amber zawsze otaczała

tajemnicza aura magii. Obawiam się, że jeszcze nie pokazała do końca, co potrafi. Że to jeszcze nie koniec.

– To prawda – przytaknęła Amber. Na twarzy miała powagę, jej głos był doniosły.

Nie chciałem zadawać najważniejszego dla mnie pytania przy obcych, jednak doskwierało mi ono jak zakażona rana.

– Dlaczego uważasz, że Pszczoła żyje?

Jej ramiona uniosły się i opadły zgodnie z głębokim oddechem.

– To jest, obawiam się, nieco mniej ewidentne.

– Mów.

– Po pierwsze, ze względu na sen o przemianie w orzeszek. A po drugie przez ten, w którym nazywa siebie orzechem. Przypominasz sobie? Jest w nim maleńka, zwarta, rzucona w wartki nurt. Moim zdaniem przepowiedziała swoją podróż przez filary Mocy.

– Przez co? – zdziwił się Zuchwalec.

– Teraz rozmawiam z Bastardem. Jeśli potrzebujesz wyjaśnień, dostaniesz je później.

Ustał, lecz nawet nie próbował zachowywać pozorów grzeczności. Odchylił się na oparcie, ramiona splótł na piersi, twarz mu znieruchomiła.

– To jedno z możliwych wyjaśnień – stwierdziłem równie nastroszony, jak kapitan Trell.

– Jest jeszcze sen o świecach. Bastardzie, wiem, że masz ze sobą świece zrobione przez Sikorkę. Zapach nie pozostawia ślepemu żadnych wątpliwości. Wiem nawet, kiedy je wyjmujesz. Ile ich masz?

– Tylko trzy. Miałem cztery, ale jedna przepadła w czasie ataku niedźwiedzia. Po waszej ucieczce przez filar zebraliśmy, co się dało, jednak wiele przedmiotów uległo zniszczeniu albo się zagubiło. Znalazłem tylko trzy.

– Pamiętasz sen o świecach? Odszukaj go w zapiskach, dobrze?

Odszukałem. Przeczytałem na głos, powoli. Na twarzy Błazna rozlał się uśmiech. „Wilk i fircyk”. Wiadomość podana tak jasno, że nawet ja pojąłem ją bez trudu: chodziło o mnie i o Błazna.

– Trzy świece, Bastardzie. „Gdyż nie wiedzą, że ich dziecię wciąż jest żywe”. Jej sen ukazuje rozwidlenie drogi. Utrata czwartej świcy spowodowała zmianę losu Pszczoły. Za sprawą tej zmiany nasza córka pozostała przy życiu.

Siedziałem zmieniony w kamień. Kto by uwierzył w takie bajanie? Owładnęło mną dziwne uczucie. Nie nadzieja, nie wiara... nie potrafiłem go nazwać... Czuję się tak, jakby serce zaczęło mi bić na nowo, jakby powietrze znowu wypełniło mi płuca. Ponad wszystko pragnąłem zyskać przeświadczenie, że Pszczoła nadal jest

wśród żywych.

I wiara pokonała wszelkie bariery zdrowego rozsądku, trzeźwej myśli, ostrożności.

– Trzy świece – wyszeptałem.

Miałem ochotę śmiać się i płakać równocześnie.

Trzy świece oznaczały, że moja córka żyje.

Rozdział 15

Kobieta interesu

Marionetka tańczy. Podskakuje, wywija koziołki. Namalowane czerwoną farbą usta są uśmiechnięte, lecz pajac krzyczy, gdyż występuje na rozgrzanych węglach. Drewniane stopy zajmują się ogniem. Podchodzi mężczyzna z lśniącem toporem. Bierze zamach. Sądzę, że odetnie kukielce płonące stopy, tymczasem on przecina sznurki. A następnie pada – równie szybko, jak oswobodzona marionetka ucieka.

Pszczoly Przewornej „Dziennik snów”

– Dlaczego miałabym ci pomóc? – Kobieta upiła łyk herbaty. – Od razu widać, że z ciebie urwis i łapserdak. Na pewno przyciągasz kłopoty, a ja przez całe życie staram się ich unikać.

Na jej ustach próżno by szukać śladu uśmiechu. Nie mogłam wyznać, iż wybrałam ją, ponieważ jest kobietą, a co za tym idzie, zapewne ma w sercu więcej empatii niż przeciętny mężczyzna. Raczej bym ją obraziła takim stwierdzeniem niż zyskała przychylność. Z trudem zebrałam myśli, bo byłam tak głodna, że o mało nie wymiotowałam żółcią. Ledwo powstrzymałam dygot, byłam u kresu sił. Zostało mi tylko gorące pragnienie. Ani krztyny odwagi.

– Wielmożna pani – odezwałam się jak najspokojniej – widziałam, jak sprzedawał starca, który umie pisać i czytać. Sporządził własny akt sprzedaży. Dostałaś za niego dobrą cenę, chociaż jest już leciwy i zapewne niewiele czasu mu zostało.

Pokiwała głową, lecz brwi miała ściągnięte.

Zebrałam się w sobie.

– Wyglądam niepozornie i wydaję się dzieckiem, ale jestem silna i zdrowa. Umiem czytać i pisać. Potrafię też kopiować ilustracje i rysować. Umiem również liczyć. – W tej dziedzinie orłem nie byłam, lecz mimo wszystko jakoś sobie radziłam. Skoro już sprzedawałam siebie w niewolę, należało utargować możliwie najwięcej.

Wsparła łokieć na blacie. Znajdowałyśmy się w jadalni. Szalenie trudno było zastać ją samą. Obserwowałam ją caluteńki dzień, przemykając od kryjówki do

kryjówki, nim wreszcie doczekałam chwili, gdy została w jadalni po wyjściu innych kupców. W przeciwieństwie do nich jadła wolno i bez łapczywości. Na palcach wsunęłam się do pomieszczenia. Przed moją przyszłą właścicielką stało niedokończone śniadanie. Starłam się nie zatrzymywać na nim wzroku, ale i tak miałam je stale przed oczyma. Chrupka skórka z kromki chleba, jeszcze ze śladami masła, smuga tłuszczu na talerzu. Wiele bym dała, żeby ją zetrzeć chlebem... albo i palcem. Lekko zaschnięte płatki owsiane w misce. Przełknęłam ślinę.

– Od kogo miałabym cię kupić?

– Od nikogo. Sama siebie sprzedaję.

Jakiś czas przyglądała mi się w milczeniu.

– Chcesz sama mi się sprzedać. Doprawdy. A gdzie twoi rodzice? Albo twój pan?

Przygotowałam odpowiedzi najstaranniej, jak umiałam. Miałam na to trzy dni wypełnione głodem, pragnieniem i zimnem. Trzy dni ukrywania się na statku, unikania ludzkiego wzroku. A przecież równocześnie musiałam czasem coś zjeść, wypić i skorzystać z wygodki. Statek do małych nie należał, jednak zawsze, gdy już udało mi się znaleźć jakąś kryjówkę, było w niej mokro i zimno. Większość czasu spędzałam, dygocząc, zwinięta w kłębek, a więc nie brakowało mi czasu na obmyślenie strategii. Z efektów nie byłam szczególnie dumna. Postanowiłam sprzedać siebie w niewolę komuś, kto doceni moje skromne umiejętności. Zejść ze statku, oddalić się od Dwalii. Następnie znaleźć sposób na wysłanie wiadomości do ojca lub siostry. Przekonałam siebie, że to dobry plan. A potem zastanowiłam się, dlaczego właściwie nie zaplanowałam zbudowania pałacu lub podboju Krainy Miedzi. Wszystkie trzy cele wydawały się równie osiągalne. Odświeżyłam w myślach starannie przygotowane kłamstwo.

– Matka przywiozła mnie do Krainy Miedzi, bo przeprowadziła się do nowego męża. Ale on i jego dzieci, starsze ode mnie, traktowały mnie okropnie. Na targu jeden z jego synów zaczął mnie przezywać, a potem bić. Uciekłam od nich i schowałam się na statku. I teraz jestem nie wiadomo gdzie, daleko od mamy. Starłam się sama zadbać o siebie, ale nie bardzo mi to szło.

Znów upiła łyk herbaty, wolno, w zamyśleniu. Wyraźnie czułam zapach naparu. Posłodzony miodem wielokwiatowym. Gorący, parujący, zachwycający. Nigdy nie cieszyłam się porannym kubkiem herbaty, jak należało. Dlaczego? Wróciły wspomnienia. O naszej kucharce, Gałce Muszkatołowej, która zawsze była mną przejęta, gdy siadałam na krańcu stołu lub na ławie, by zjeść niewyszukane śniadanie. Bekon. Och, bekon! Podpieczony na ogniu chleb, z topiącym się na nim masłem. No i do tego zawsze kubek wonnego naparu. Łzy zakłuły mnie pod powiekami. Niepotrzebne, niechciane. Przełknęłam ślinę, stanęłam prosto.

– Zjedz to – odezwała się kobieta nagle, podsuwając mi talerz.

Patrzyłam na nią, nie śmiąc zaczerpnąć tchu. Czy to jakiś okrutny żart? Wszystko jedno. W Krainie Miedzi nauczyłam się jeść zawsze, gdy tylko trafi się okazja, nawet leżąc twarzą w pyle ulicy. Teraz jednak pamiętałam o manierach. Moja przyszła pani musiała uważać mnie za cenny nabytek, a nie dzieciucha bez ogłady. Usiadłam, delikatnie ujęłam w palce skórkę chleba. Odgryzłam kawałeczek, starannie go przeżułam. Stale pod pilną obserwacją.

– Umiesz nad sobą zapanować – zauważyła. – I twoja historyjka nie jest zła, chociaż trudno mi w nią uwierzyć. Nie widziałam cię wcześniej na statku, dopiero dziś. Cuchniesz faktycznie tak, jakbyś żyła w ukryciu. Ale chciałabym wiedzieć jeszcze jedno: czy ktoś nazwie mnie złodziejką albo porywaczką, jeśli wezmę cię na własność?

– Z pewnością nie, wielmożna pani.

To kłamstwo było najtrudniejsze. Nie miałam pojęcia, co Dwalia zrobi albo powie. Ugryzłam ją, zostawiłam w fatalnym stanie i miałam nadzieję, że będzie długo stroniła od ludzi, dochodząc do siebie. Kerf mógłby o mnie pytać jedynie na polecenie Vindeliara. Nie wydawało mi się to prawdopodobne, mimo wszystko jednak mądrze było trzymać się od nich jak najdalej.

Po kolejnych dwóch spokojnie przeżutych kęsach skórka od chleba się skończyła. Chętnie bym wylizała talerz i wyskrobała palcami resztkę owsianki, lecz zamiast tego starannie ułożyłam dłonie na podołku i siedziałam w milczeniu.

Kobieta przechyliła stojącą na środku stołu misę z owsianką i dużą drewnianą łyżką zeskrobała z jej ścianek stwardniałe płatki do swojej miski. Trochę były pocerniałe, przypalone. Pchnęła ku mnie naczynie i podała mi swoją łyżkę.

– Och, dziękuję ci, wielmożna pani!

Zaparło mi dech w piersiach, lecz niezmiennie siedziałam prosto, a jadłam powoli, wkładając do ust niewielkie porcje.

– Nie jestem „wielmożną panią”. I nie pochodzę z Krainy Miedzi. Po prostu dobrze się tutaj prowadzi interesy. Urodziłam się pod Miastem Wolnego Handlu, ale nie w rodzinie kupieckiej, a co za tym idzie, trudno mi było w tamtym rejonie zdobyć znaczącą pozycję. A kiedy zlikwidowano handel niewolnikami, zrobiło się jeszcze gorzej. Chociaż wiedz, że ja w zasadzie nie handluję ludźmi. Zajmuję się wynajdywaniem rzadkich dóbr. Kupuję je i sprzedaję z zyskiem. Nie zawsze jest to szybki zysk, niekiedy trzeba sporo cierpliwości, by osiągnąć cel. Czasem, owszem, takim skarbem bywa niewolnik o ukrytych talentach. Jak ten skryba, którego widziałas. Na jednym targu był chorym starcem, na innym doświadczonym uczonec. Wstań.

Uśluchałam natychmiast. Zlustrowała mnie od stóp do głów niczym krowę wystawioną na sprzedaż.

– Brudna. Trochę poobijana. Ale stoisz prosto, masz maniery, panujesz nad sobą i potrafisz się zachować. W Krainie Miedzi szybko by ci to wybili z głowy, pięścią albo kijem. Zabiorę cię tam, gdzie takie cechy u służby mają wartość. Ponieważ zapewne nie zapłaciłaś za podróż, resztę drogi spędzisz w mojej kajucie. Jeśli coś nabroisz, wydam cię kapitanowi. Natomiast jeżeli będziesz zachowywała się, jak należy, dopilnuję, byś miała co jeść. Gdy dotrzemy do Imaku, sprzedam cię znajomej rodzinie. Zostaniesz opiekunką do dziecka. Od niedawna mają synka. Trzeba go kąpać przebierać, pomagać mu jeść. Przy ludziach będziesz szanowała jego decyzje, a prywatnie nauczysz go właściwego zachowania, które, jak widzę, nie jest ci obce. To zamożna rodzina, myślę, że będziesz dobrze traktowana.

– Rozumiem, szanowna pani. Dziękuję. Mam nadzieję, że dostaniesz za mnie godziwą cenę.

– Z pewnością, jeśli się umyjesz. I udowodnij mi, że faktycznie umiesz pisać i rysować.

– Tak, szanowna pani. Z przyjemnością.

Funkcja opiekunki wydała mi się równie cudowna, jak rola zaginionej księżniczki. W zamożnej rodzinie będę dobrze traktowana. Nakarmią mnie i pozwolą spać pod dachem. Zyskają najwspanialszą niewolnicę pod słońcem. Choć pozbawiona wolności, to jednak będę bezpieczna.

– I przestań mnie obdarzać tytułami. Z urodzenia żadnego nie otrzymałam. Wszystko zdobyłam własnymi rękoma. Mam na imię Akriel, tyle powinnaś wiedzieć. A ty jak się nazywasz?

– Pszczoł...

Ach! Czy powinnam zdradzać swoje prawdziwe miano?

– Szoł. Dobrze. Skończ owsiankę, póki piję napar.

Zrobiłam, co powiedziała, bez pośpiechu, z zachowaniem wszelkich prawideł. Chętnie zjadłabym jeszcze ze trzy takie miski, lecz postanowiłam niczego nie dać po sobie poznać. Starannie odłożyłam łyżkę, jak należało, tuż obok naczynia. Rozejrzałam się po brudnym, lepkiem od resztek jedzenia stole zastawionym używanymi naczyniami i usilnie próbowałam wyobrazić sobie, co też by w takiej sytuacji zrobiła służba z Białego Gaju.

– Czy życzysz sobie, bym posprzątała ze stołu, pani?

Pokręciła głową i obdarzyła mnie lekko zdziwionym uśmiechem.

– Nie trzeba. Od tego są posługacze. Chodź.

Wstała i poszła, ja za nią. Miała na sobie wąskie spodnie z niebieskiej wełny oraz

jaśniejszą o jeden ton krótką kurtę. Roztaczała aurę osoby zadbanej, począwszy od nieskazitelnych długich butów, lśniących smolistą czernią, na ciemnych włosach, starannie zaplecionych i upiętych, skończywszy. O tym, że odniosła w życiu sukces, świadczyła biżuteria: duże wiszące kolczyki, pierścienie oraz wpięty we włosy grzebień zdobiony drogimi kamieniami. Szła spokojnie i pewnie stawiała kroki, a gdy zeszyliśmy pod pokład i patrzyłam, jak zgrabnie omija rozbujane hamaki oraz chmury dymu, uświadomiłam sobie, iż kojarzy mi się z impertynenckim kotem podwórzowym, który defiluje przed stadem psów. Śmiało odpowiadała na spojrzenia drobniejszych kupców, zamieszkałych na czas rejsu w tej wspólnej przestrzeni, i zdawało się, że nie słyszy wygłaszanych półgłosem komentarzy. Jej kajuta znajdowała się bliżej dziobu, dostałyśmy się do niej po kilku stopniach. Pani Akriel wyjęła z kieszeni klucz zawieszony na solidnym łańcuchu i otworzyła nim drzwi.

– Wchodź – poleciła.

Usłuchałam z radością.

Tuż za progiem stanęłam zdumiona. Wnętrze było tej samej wielkości, co kajuta, jaką dzieliłam z porywaczami, lecz w jednej ze ścian znajdowało się niewielkie okrągłe okno. Na niższej koi stał otwarty kufer, odsłaniając zawartość ułożoną schludnie jak narzędzia przyszykowane przed wykonaniem pracy. Po tym, co normalnie widywałam u panny Szkody, przeżyłam niemały wstrząs. Widać też było, na pierwszy rzut oka, że pani Akriel starannie przygotowała się do podróży. Wyższą koję zakrywała biało-niebieska narzuta o brzegach obszytych frędzlami, a na podłodze leżał dopasowany do niej dywanik. Zwisająca z krokwi lampa miała pokrywę z lekkim odcieniem różanym. Dostrzegłam kilka saszetek zapachowych, jedne roztaczały aromat cedru, inne sosnowy – i choć nie dawały całkowicie rady smolnej woni statku, w ogromnym stopniu zmieniały atmosferę. Pod bulajem znajdował się niewielki stojak z zabezpieczoną górną półką. Na niej stał cynowy dzban w towarzystwie misy. Obok leżała starannie złożona wilgotna ściereczka.

– Niczego nie dotykaj – przestrzegła mnie pani Akriel, zamykając drzwi. Potem chwilę przyglądała mi się w milczeniu. – Rozbierz się – poleciła. – Umyj. Umiesz szyc?

– Trochę.

Nie była to nigdy moja ulubiona czynność, jednak matka nalegała, bym nauczyła się przynajmniej obrzucać brzegi i poznała podstawowe ściegi haftu.

– Jak już będziesz czysta, połóż brudne ubrania na podłodze przy drzwiach.

Podeszła do kufra, wprawnie przesunęła opuszkami palców po złożonej garderobie i wyjęła zwykłą niebieską koszulę. Z osobnej przegródki wydobyła nożyczki, nitkę

oraz igłę.

– Skróć rękawy – poleciła. – Z dołu obetnij tyle, żeby została przyzwoita długość, a z obciętej tkaniny uszyj pas. Potem usiądź w tamtym kącie i czekaj, aż wrócę.

Wyszła. Usłyszałam, że zamknęła drzwi na klucz. Odczekałam kilka chwil, po czym spróbowałam je otworzyć. Nic z tego. Rzeczywiście zostałam zamknięta. Poczułam taką ulgę, że aż mnie to zdziwiło. Zostałam niewolnicą, zamkniętą w kajucie swojej pani i byłam szczęśliwa? Ależ tak, po raz pierwszy od czasu porwania. Mimo wszystko, gdy rozebrałam się i odłożyłam na bok złamaną świecę, z oczu popłynęły mi łzy. Zanim woda do mycia, użyta przez moją panią, zmieniła się w gęstą szarawą zupę, rozsłochałam się na dobre. Na „do widzenia” przycisnęłam do piersi swoją brudną, cuchnącą, podartą tunikę. Ostatni przedmiot łączący mnie z Białym Gajem. Ach, nie, niezupełnie. Przecież została mi świeca po matce.

Nagle owładnęło mną przemożne pragnienie, by zwinąć się w kłębek i zasnąć, nawet bez ubrania. Nie pozwoliłam sobie na to. Zrobiłam, co mi kazano. Koszula była uszyta z dobrej gatunkowo, gęsto tkanej wełny, zdekatyzowanej i pofarbowanej na kolor ciemnoniebieski. Moja pani najwyraźniej lubiła tę barwę. Podwinęłam brzegi dwukrotnie, by zyskać pewność, że nie będą się strzępiły, równie solidnie potraktowałam szarfę, na dodatek zabezpieczone brzegi wywinęłam do środka, żeby wyglądała jak najładniej. Po obrzuceniu rękawów ubrałam się w nową tunikę i w ten sposób po raz pierwszy od miesiący włożyłam ubranie ciepłe, miękkie i czyste. Resztki tkaniny z rękawa wykorzystałam na wszycie od wewnątrz dyskretnej kieszeni na piersi i z żalem ukryłam tam złamaną świecę. Złożyłam ściereczkę do mycia, po czym, zgodnie z poleceniem pani, usiadłam w kącie i zasnąłam.

Obudził mnie jej powrót. Iluminator był czarny. Zerwałam się na równe nogi. Obejrzała mnie, potem kajutę.

– Dobrze sobie poradziłaś. Powinnaś była odłożyć przybory do szycia na miejsce. Mieć dość rozumu, by zrobić to bez nakazu.

– Rozumiem, proszę pani. – Wcześniej założyłam, że mam wykonywać polecenia co do joty, a poza tym miałam wątpliwości, czy wolno mi otworzyć kufer. Teraz już wiedziałam. – Czy wynieść wodę po myciu?

– Wystaw miednicę za drzwi. Dzban także. Są na statku ludzie, którzy dbają o te sprawy. A ja powiem ci, co należy do twoich obowiązków. – Usiadła na krawędzi dolnej pryczy, wyciągnęła przed siebie nogę. – Najpierw ściągnij mi buty i rozmasuj stopy.

Byłam zbyt dobrze urodzona do takiego zajęcia. Prawda? A czy chciałam żyć i umknąć Dwalii? Chciałam. Pomyślałam o ojcu. Zrządzeniem losu został dziedzicem tronu Królestwa Sześciu Księstw. Ale wcześniej był chłopcem stajennym

i skrytobójcą. Ja byłam księżniczką. Z urodzenia. Ale teraz zostałam niewolnicą. Niech więc i tak będzie.

Kucnęłam, ściągnęłam pani Akriel buty, ustawiłam je starannie, po czym wymasowałam jej stopy. Nigdy wcześniej tego nie robiłam, lecz byłam pojętna, a kierowałam się miękkimi pomrukami.

– Wystarczy – usłyszałam po jakimś czasie. – Teraz wystaw brudną wodę za drzwi, potem znajdź mi w kufrze miękkie pantofle.

I tak potoczyły się dalsze dni. Pilnowałam się, by nigdy nie musiała powtarzać mi polecenia dwa razy. Była dobrą panią i mądrą kobietą. Lubiła ciszę i spokój. Nie wchodziły w grę czcze pogaduszki, lecz nie miałam kłopotu z zadaniem pytania dotyczącego moich obowiązków.

Nie wychodziłam z kajuty. Gdy dotarliśmy do przystani, zostawiła mnie zamkniętą na klucz, lecz wcześniej upewniła się, że mam jedzenie i wodę. Wolno mi było używać jej nocnika. Z bulaja roztaczał się widok na pełne morze, więc miasta nie widziałam wcale i nikt nie widział, jak wylewałam brudy za burtę. Staliśmy w porcie dziesięć dni, sztorm wyrządził więcej szkód, niż sądziłam. Jeśli ogarniało mnie zniecierpliwienie i chęć opuszczenia ciasnego wnętrza, wyobrażałam sobie, co czuje Dwalia, jak zachodzi w głowę, gdzie zniknęłam. Sprawiałam sobie przyjemność różnymi wyobrażeniami. A to, że w miejscu ugryzienia wdało się zakażenie i lingstra umarła. Albo że zesza ze statku i już nie wróciła na pokład. Mogła dojść do przekonania, że wypadłam za burtę i utonęłam. Nie miałam jak sprawdzić, czy któreś z tych wyobrażeń choćby ocierało się o prawdę, więc tkwiłam w kabinie i robiłam plany na przyszłość.

Postanowiłam być ogromnie miła dla mojego nowego pana, choćby był najbardziej rozwydrzonym bachorem na świecie. Pod żadnym pozorem nie dam właścicielom powodu do złego traktowania ani nie nadużyję ich zaufania. W końcu nadejdzie czas, że będę mogła opowiedzieć im swoją prawdziwą historię, przekazać wieść, iż mój ojciec i siostra z radością mnie wykupią, a nawet zapłacą nagrodę. I tak, pewnego dnia, wrócę do siebie, do domu. Do Białego Gaju? Nie miałam pewności, czy w ogóle chcę tam wracać, patrzeć w oczy ludziom, którzy przeze mnie cierpieli. Wielu straciło życie.

Gdy borykałam się z takimi myślami, wyjmowałam świecę matki, podsuwałam ją pod nos i wdychałam ukochany zapach, zapewniając siebie, że to mój ojciec zostawił ten przedmiot na targowisku w lesie. Nie miałam pojęcia, jak to mogło się stać, jakim sposobem znalazłby się tam przed nami ani dokąd miałyby się udać dalej, lecz niczym tonący brzytwy uchwyciłam się myśli, że ta złamana świeca stanowiła dowód, iż mnie szukał. Tęsknił za mną i zrobi wszystko, by mnie bezpiecznie

sprowadzić do domu.

Dni mijały, niepostrzeżenie przechodząc jeden w drugi. Czasami pani Akriel coś mi opowiadała. Niektóre tkaniny w kufrach z towarem na sprzedaż uległy zniszczeniu w czasie sztormu, gdy woda wdarła się na statek i częściowo zalała wnętrze. Uważała, że właściciel jednostki powinien pokryć część strat, a on się z nią nie zgadzał. Uznała jego decyzję za nieprzemyślaną, skoro można było ją uważać za stałą klientkę. Podróżowała z nim już szósty raz, lecz postanowiła, że jeśli faktycznie nie weźmie na siebie części nieprzewidzianych kosztów, będzie to ich ostatnie spotkanie.

Swego czasu była mężatką, lecz jej ślubny okazał się człowiekiem wiarołomnym, dlatego zabrała swoją część majątku, który wspólnie zyskali na handlu, i odeszła. Kupiła wybrane dobra i zarezerwowała podróż w dniu, gdy odkryła jego zdradę i nigdy nawet się za siebie nie obejrzała. Odnosiła sukcesy, podczas gdy jemu fortuna nie sprzyjała, a w każdym razie takie słuchy do niej docierały. Nie przejmowała się jego losem wcale. Gdy byli razem, to ona podejmowała decyzje i wybierała mądrze. W Krainie Miedzi rola kobiety interesu nie należała do łatwych. Raz pani Akriel musiała dźgnąć pewnego mężczyznę nożem, by nauczyć go dobrych manier. Nie zabiła go. Krwawił, owszem, i to obficie, ale gdy przeprosił, posłała umyślnego po uzdrowiciela. Nie wiedziała, co się potem stało z tym człowiekiem. Ot, kolejny mężczyzna, którego losy były jej obojętne.

Zanim ruszyliśmy w następny etap podróży, kupiła mi dwie pary luźnych spodni, pantofle na płaskim obcasie i miękką niebieską bluzę, w sam raz mojego rozmiaru. Tamtego ostatniego wieczoru w porcie podarowała mi także mydło i poleciła umyć głowę, a następnie pozwoliła skorzystać z własnego grzebienia. Nawet nie wiedziałam, że aż tak bardzo mi urosły włosy.

– Po tych jasnych kędziorach widać, że pochodzisz z Krainy Miedzi – powiedziała i miał to być komplement.

Udało mi się uśmiechnąć w odpowiedzi.

– Nuży cię przebywanie w zamknięciu i brak zajęcia? – spytała.

– Znużenie jest niczym – odpowiedziałam rozważnie – wobec wdzięczności, że mam co jeść i spokojny kąt.

Uśmiechnęła się.

– Czas przekonać się, co rzeczywiście potrafisz. Dostałam księgę, z której będziesz czytała na głos. Przyniosłam też papier, pióro i atramenty. Pokażesz mi, jak rysujesz i na ile radzisz sobie z rachunkami.

Życzeniu mojej pani stało się zadość, spełniłam jej oczekiwania, a w kwestii rysunku nawet ją mile zaskoczyłam. Poleciła mi najpierw narysować but, potem jak

najdokładniej przenieść na papier skomplikowany kwiat, wyszyty na szalu, który dopiero co kupiła. Wziąwszy moje prace do ręki, pokiwała głową z uznaniem.

– Chyba dostanę za ciebie lepszą cenę, jeśli sprzedam cię jako skrybę niż opiekunkę do dziecka.

W odpowiedzi skłoniłam głowę.

I tak przebiegała ta podróż, a mój świat na jakiś czas stał się rzeczywiście mały. Zatrzymaliśmy się w kolejnych dwóch portach. Nabrałam pewności, że Dwalia zrezygnowała z poszukiwań i razem ze swoim towarzystwem opuściła statek. Żywiłam nadzieję, że po drugim zawinięciu do przystani pani Akriel pozwoli mi wyjść z kajuty. Nie zrobiła tego jednak, a ja nie prosiłam. Pokazała mi natomiast księgę zawierającą sprawozdanie z jej działań na niwie handlu. Bela tkaniny kupiona za daną kwotę, sprzedana za inną. Osobne wyliczenia pokazywały koszty każdej podróży. Było też odrębne zestawienie wydatków związanych ze mną: na polecenie pani zsumowałam cenę ubrania, które dla mnie kupiła, papieru, książki, atramentów, a także pióra, za sprawą którego miałam udowodnić swoją wartość. Wyjaśniła mi, że takie wydatki nazywa się inwestycją. Aby transakcja była opłacalna, należało uzyskać za mnie co najmniej podwojoną kwotę stanowiącą inwestycję. Podliczyłam, pomnożyłam, przyjrzałam się wynikowi. Oto ile byłam warta w tym nowym fragmencie życia. Wzięłam głęboki wdech. Postanowiłam, że będę warta znacznie więcej.

Przyszedł dzień, gdy pani Akriel nakazała mi spakować kufer z jej osobistymi rzeczami, gdyż przed wieczorem planowane było cumowanie w przystani, gdzie miała zejść na ląd. Port nosił nazwę Nadsewel, gdyż znajdował się u ujścia rzeki Sewel. W rejonie Iłółupiek. Nie zadawałam pytań. Znajdowaliśmy się na obszarze, którego próżno by szukać na jakiegokolwiek spośród znanych mi map. Pani Akriel była zadowolona, podśpiewywała, gdy pakowałam jej kufer, układając każdy przedmiot w przeznaczonym dla niego miejscu. Dała mi torbę na ramię, bym do niej spakowała swoje rzeczy. Układając włosy i wybierając kolczyki, powiedziała mi, że oszczędziła całkiem przyzwoitą sumkę, gdyż uniknęliśmy spotkania z flotą podatkową z Wysp Pirackich. Wywnioskowałam z tego, że znajdowaliśmy się poza obszarem tych wysp, jednak nie wiedziałam nic więcej.

W porcie spuszczone żagle, a wokół statku zaroilo się od łódek, z których podjęto nasze cumy. Niewolnicy zgarbieni nad wiosłami wciągnęli nas do przystani. Trwało to całe wieki, a pani Akriel zostawiła mnie na ten czas zamkniętą w kajucie, więc nie miałam żadnego zajęcia. Wobec tego stałam na palcach i wyglądałam przez bulaj. Wróciła, gdy w końcu zostaliśmy bezpiecznie przycumowani do nadbrzeża. Kazała mi iść za sobą. Byłam podekscytowana. Cóż, opuściłam kajutę po raz

pierwszy od naprawdę długiego czasu.

Dziwnie mi się szło, a jeszcze dziwniej wspinało po drabinie. Na pokładzie owionął mnie lekki wietrzyk, a jasne, letnie słońce uderzyło żarem w odsłoniętą głowę. Złoty blask lśnił na rozkołysanych falach. Och, a te zapachy! Woń ruchomej wody, statku, miasta! Dymu z kominów, koni spoconych w słońcu, zatechłej uryny... jakby ludzie żyli na tym skrawku ziemi zbyt długo.

– Idź za mną – rozkazała mi pani Akriel szorstko. – Zatrzymuję się zawsze w tej samej gospodzie. Zaniosą mi tam kufer, a towar do magazynu. Mam umówione spotkania, muszę zająć się dostawami, więc na razie będziesz ze mną, póki nie zdecyduję gdzie cię umieścić.

Ucieszyło mnie, że zamierza mnie, przynajmniej na razie, „umieścić”, a nie „sprzedać”. Różnica była, w zasadzie, niewielka, lecz przekonałam się, iż oznaczało to, że pani Akriel zamierzała nadal dobrze mnie traktować, no i dobrze na mnie zarobić. Nic za mnie nie zapłaciła, a zainwestowała niewiele, więc moja nadzieja, iż okazanie mi serca naprawdę jej się opłaci, była uzasadniona.

Kupcowa szła w tłumie brukowanymi ulicami, stawiając długie kroki.

– Trzymaj się blisko – przestrzegła mnie i zaurkowała między wozami oraz jeźdźcami na koniach, zdążającymi ulicą w przeciwnych kierunkach.

Straciłam oddech, zanim dotarłyśmy na drugą stronę, ona tymczasem wydawała się nieustraszona. Nawet nie zwolniła, a szła krokiem na tyle żwawym, że musiałam truchtać. Wkrótce włosy przylepiły mi się do czaszki, a pot ściekał strumykiem po plecach. Raptem pani Akriel skręciła, wbiegła na trzy kamienne stopnie i weszła przez drewniane drzwi wykończone u góry łukiem. Ledwo zdążyłam je przytrzymać, a okazały się tak ciężkie, że z najwyższym trudem przypilnowałam, by nie trzasnęły.

Gospoda okazała się całkiem inna od tej jedynej, jaką dotąd widziałam, tej z Dębowego Zdroju. Posadzkę zrobiono z białego kamienia, z roziskrzonymi złotem żyłkami. Wnętrze nie było ani ciepłe, ani przesycone zapachem jedzenia, jak powinno według moich wyobrażeń być w każdej gospodzie. Za drzwiami otwierało się przestronne wnętrze z wygodnymi krzesłami przy niewielkich stolikach. Panował tam przyjemny chłód, a grube ściany chroniły gości przed hałasem i zapachami z ulicy. Poczulałam lekki ruch powietrza niosącego woń kwiatów. Uniosłam głowę i ze zdumieniem ujrzałam ogromny, dostojnie kołyszący się wachlarz. To za jego sprawą wonne powietrze spływało spod sufitu. Do trzonka wachlarza przywiązana była lina. Podążyłam za nią wzrokiem i w kącie dostrzegłam kobietę rytmicznie pociągającą za sznur. Pierwszy raz w życiu widziałam na oczy coś takiego, przekraczało to wszelkie moje wyobrażenia. Stałam i gapiłam się osłupiała, póki

pani Akriel mnie nie zawołała.

Powitał nas mężczyzna odziany na biało. Skóra gospodarza miała odcień starego miodu, a włosy były o jeden odcień ciemniejsze, splecione w sześć warkoczy, każdy związany tasiemką w innym kolorze.

– Wszystko gotowe – powiedział. – Od chwili gdy statek zawinął do portu. – Obdarzył panią Akriel uśmiechem, na który mógłby pozwolić sobie przyjaciel.

Odliczyła w jego dłoń monety i zapewniła, że miło jej go znowu spotkać. On podał jej klucz. Przypomniałam sobie, gdzie jest moje miejsce, i karnie podążyłam za panią Akriel na piętro – szerokimi schodami z tego samego kamienia co posadzka na parterze – a potem korytarzem. Zatrzymała się przed jakimiś drzwiami, otworzyła je dużym miedzianym kluczem. Weszłyśmy do wspaniale urządzonego pokoju. Poczesne miejsce zajmowało wielkie łóże, przykryte białą narzutą i zarzucone poduszkami. Na ustawionym pośrodku pomieszczenia stole pysznił się wazon pełen kwiatów, obok niego stała misa z owocami oraz szklana karafka z jakimś bladożółtym płynem. Dwa otwarte okna, sięgające od podłogi wysoko pod sufit, prowadziły na balkon od strony ulicy z widokiem na przystań.

– Zamknij okna – powiedziała pani Akriel.

Uśluchałam natychmiast. Uliczny hałas i zapachy miasta zostały na zewnątrz. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam, że pani Akriel zdążyła sobie nalać do kieliszka złotego wina. Usiadła na wyściełanym krześle i westchnęła. Po czym wolno pociągnęła długi łyk.

– Niedługo przyniosą mój kufer – stwierdziła. – Wyjmiesz z niego białe sandały, długą czerwoną suknię i białą bluzę z czerwonym obrąbkiem oraz mankietami w tym samym kolorze. Szczotki do włosów i biżuterię rozłóż na tamtej półce obok lustra. Perfumy też. Potem możesz zjeść. Wybierz sobie owoce, jakie zechcesz. Przypuszczam, że za tamtymi drzwiami jest pokój dla służby. Nigdy dotąd nie byłam tu ze służbą, ale chyba się nie mylę. Możesz się tam urządzić. – Westchnęła ponownie. – Niestety muszę teraz iść i przypilnować wyładunku towaru i dostawy do magazynu. Trzeba też zawiadomić trzech kupców, że wróciłam z ich zamówieniami... – Przechyliła kieliszek, osuszyła do dna. – Nie wychodź z pokoju – zarządziła i energicznym krokiem podeszła do drzwi.

Gdy je za sobą zamknęła, zapanowała cisza. Odetchnęłam głęboko. Byłam bezpieczna.

Obeszłam pokój dookoła, przyglądając się pięknym meblom. Zajrzałam do pokoiku dla służby. Niewyszukany, lecz schludny, z niskim łóżkiem i kocem, stojakiem, na którym ustawiono dzban i miskę. Do tego nocnik i dwa wieszaki. Po tylu nocach spędzonych na podłodze lub na gołej ziemi takie łóżko wydało mi się

luksusem.

Głośne pukanie oznajmiło przybycie tragarzy z kufrem. Wpuściłam dwóch roślących mężczyzn. Ustawili bagaż pod ścianą, skłonili się i wyszli. Starannie zamknęłam za nimi drzwi, a następnie przystąpiłam do skrupulatnego wykonywania poleceń pani Akriel. Kilka sztuk garderoby zgmiotło się w czasie transportu kufra, te wyprostowałam i starannie poskładałam, jak należy. Szczotki, kosmetyki oraz biżuterię poustawiałam zgodnie z instrukcją.

Dopiero gdy skończyłam z obowiązkami, wróciłam do stołu, gdzie czekały owoce. Nie wszystkie znałam. Powąchałam jeden z nich, bladezielony, zastanawiając się, czy należało go obrać, pokroić, czy też zwyczajnie wbić w niego zęby. Obok patery stał talerzyk, a na nim zostawiono nożyk do owoców, toteż mogłam robić, co uznałam za stosowne. Postanowiłam zjeść to, co wydało mi się znajome: najpierw garść owoców przywodzących na myśl jagody. Po długich dniach żywienia się chlebem i owsianką, a od okazji do okazji mięsem, lekko pikantne, soczyste kulki tak mnie zaskoczyły, że aż mi się łzy zakręciły w oczach. W następnej kolejności zdecydowałam się na nieco większy okaz, podobny do śliwki, lecz pomarańczowy. Wyszłam z nim na balkon. Usiadłam ze skrzyżowanymi nogami i jadłam powoli, wyglądając między tralkami na ulicę. Słońce grzało mocno. W porcie praca wrzała, lekki wietrzyk przynosił mi dziwne zapachy nieznanego miasta. Oczy zaczęły mi się kleić, więc po jakimś czasie wróciłam do pokoju i położyłam się na łóżku w służbówce. Zasnęłam snem sprawiedliwego.

Obudziłam się w półmroku. Uświadomiłam sobie, że usłyszałam otwieranie drzwi, więc wstałam jak najszybciej i choć byłam strasznie rozespana, bez trudu przywołałam na twarz uśmiech. Ochoczo wyszłam z służbówki.

– Mam nadzieję, że masz za sobą dobry dzień, pani – powiedziałam.

Pani Akriel spojrzała na mnie lekko zaskoczona. Wzrok miała nieobecny.

– A tuś mi! – wykrzyknęła Dwalia.

– Nie! – krzyknęłam rozpaczliwie.

W ślad za panią Akriel do pokoju wepchnęły się postacie z najgorszego koszmaru. Kerf brudny i zaniedbany, z zapuszczoną ponad miarę brodą i tłustymi włosami przylepionymi do czaszki. Stał przygarbiony, ze zwieszonymi ramionami, z otwartymi ustami i tępym spojrzeniem. Vindeliar nie wyglądał lepiej. Stało się dla mnie jasne, że podróż była dla nich znacznie trudniejsza niż dla mnie. Lurik miał obwisłe policzki, zapadnięte oczy. Nigdy o sobie nie dbał, nie lubił się czesać, teraz włosy zwisały mu w brudnych, posklejanych kępach. Najgorzej wyglądała Dwalia. Potwór żywcem wyjęty z horroru. Policzek miała ognście czerwony, fioletowy i czarny. Rana się zamknęła, lecz nie zarosła skórą. Widać było węglowate mięśnie

twary, rozciągające się i napinające w czasie śmiechu. W rękach trzymała długi czarny łańcuch. Dla mnie. Na pewno.

Krzyczałam. Krzyczałam i krzyczałam, bez słów. Rozpaczliwy krzyk zwierzęcia schwytanego w pułapkę.

– Zamknij drzwi, głupcze! – warknęła lingstra do Vindeliara.

Gdy odwrócił się, by wykonać polecenie, na twarzy pani Akriel pojawiła się iskra zrozumienia.

– Uciekaj! – zawołałam do niej. – Zabójcy! Złodzieje! W nogi!

Posłuchała. Uderzyła barkiem w drzwi dokładnie w chwili, gdy Vindeliar je domykał. Ciągnął je ile sił, lecz ona miała już ramię i głowę za framugą, odzyskała głos. Zaczęła wzywać pomocy, a ja krzyczałam ile sił w płucach, gdy Dwalia rzucała Kerfowi rozkazy:

– Zabij kobietę! Przytrzymaj bachora! – A potem do Vindeliara: – Ty bezużyteczny durniu! Zapanuj nad nimi!

Z korytarza dobiegł obcy głos:

– Na Sa!

Potem zadudniły szybkie kroki, ale oddalały się od nas, nie zbliżały. Usłyszałam krzyki gdzieś dalej, najwyraźniej mężczyzna kogoś zaalarmował, jednak nie słyszałam dokładnie, bo głos Dwalii zagłuszał ich słowa.

– Tępaku jeden, niech Kerf ją zabije! – wrzasnęła.

– Nie! – wydarło mi się z piersi.

Dwalia najwyraźniej bała się mnie dotknąć. Skoczyłam do drzwi, minęłam Kerfa, który bezcelowo krążył po pokoju, i usiłowałam pomóc pani Akriel otworzyć drzwi. Nie mogłam się równać z Vindeliarem, nawet wyczerpany był ode mnie znacznie silniejszy, więc kopałam go po piszczelach, piętami, bo przecież miałam na nogach miękkie pantofle, i z całej siły okładałam go pięściami. Drzwi rozwarły się nieco szerzej, pani Akriel wypadła na korytarz. Wtedy Vindeliar zatrzęsął je na jej kostce. Trzasnęła łamana kość, krzyk rannej rozdarł mi uszy.

– Zapomnij o niej! Kerfem się zajmij! Niech złapie bachora i wychodzimy!

Vindeliar potrząsnął tępą łepetyną, jak pies w gnieździe szerszeni, puścił drzwi, za którymi pani Akriel pełzła korytarzem, wzywając pomocy, a Kerf nagle ruszył do działania. Lewą ręką pochwycił mnie mocno, prawą wyciągnął miecz.

– Wyprowadź nas stąd! – rozkazała Dwalia.

Posłuchał natychmiast. Powłókł mnie, ściskając za ramię. Krzyczałam nieustannie, wyrывałam się i wrzeszczałam, zwierzęcym protestem bez słów.

– Zabij ją – warknęła Dwalia.

Pisnęłam, z przerażenia zabrakło mi tchu, lecz to pani Akriel otrzymała cios.

Najemnik stanął nad nią na rozstawionych nogach i dźgał mieczem od góry raz, drugi, dziesiąty...

– Dosyc! – ryknęła Dwalia. – Wystarczy! Idziemy!

Twarz Vindeliara przypominała chropowatą taflę lodu. Stał niezdecydowany, bezładnie machając rękoma. Stracił panowanie nad Kerfem – może zdruzgotany obrazem brutalnego morderstwa. A może u najemnika wyzwoliła się tłumiona dotąd furia, że jest ofiarą manipulacji. U wylotu korytarza pojawili się jacyś ludzie, lecz natychmiast zniknęli, krzycząc z przerażenia. Ktoś wzywał straż miejską, ktoś zmiłowania bogów, jednak nikt nie pośpieszył na ratunek ani mnie, ani pani Akriel. Wyrывałam się, darłam rękę Kerfa paznokciami, gryzłam i kopałam, lecz wątpię, by żołdak w ogóle zdawał sobie z tego sprawę. Beznamiętnie więził moje ramię w stalowym uścisku, a drugą ręką dźgał mieczem, dźgał i dźgał, bez opanowania, bez końca. Chyba dopiero w tamtej chwili uświadomiłam sobie, jak bardzo polubiłam panią Akriel, ile dla mnie znaczyła, jak mi się stała droga. Dopiero wówczas, gdy została zmieniona w rąbankę, w czerwonego trupa obleczonego w przesiąkniętą krwią szaty pocięte na strzępy.

– Uciekamy! – wrzasnęła Dwalia i wymierzyła Vindeliarowi policzek.

Kerf ruszył korytarzem, stawiając długie, pewne kroki. W prawej dłoni trzymał miecz ociekający krwią, lewą ścisnął mnie za ramię. Za nami chyłkiem podążyli Dwalia i Vindeliar. Zeszliśmy na parter. Gdyby zamiast nas na stopniach pojawiła się prychnająca, nastroszona puma, gotowa do ataku, nie wywołałaby innej reakcji. Ci, co skupili się u podnóża schodów i przyłgnęli jedno do drugiego, na nasz widok gwałtownie się rozdzielili, robiąc nam przejście. Minęliśmy piękny salon, zostawiając krwawe ślady na białej podłodze. Wyszliśmy na ulicę, którą właśnie spowijał mrok wczesnego wieczoru.

W tej samej chwili usłyszeliśmy nawoływanie, głośne rozkazy i tupot nóg.

– Straż! – krzyknęła wyraźnie zaskoczona Dwalia. – Ukryj nas! – rozkazała swemu słudze.

– Nie dam rady! – zaprotestował Vindeliar.

Dyszał ciężko i szlochał, ledwo dotrzymywał kroku Kerfowi.

– Musisz! – huknęła na niego lingstra.

Uderzyła go czarnym łańcuchem. Raz, ale natychmiast drugi i trzeci, i znów, i kolejny. Chłostała go jak rzemieniem, a on zaniósł się rozpaczliwym płaczem, jego ciałem wstrząsało spazmatyczne łkanie, na ustach pojawiły się bąble krwawej śliny.

– Zrób to! – wycedziła lingstra.

Vindeliar zawył. Głośno i przeciągle. Zawarł w tym dźwięku cały swój ból,

strach i udrękę. Wtedy wszyscy dookoła upadli na ziemię. Niektórzy podrygiwali, jak w napadzie choroby, inni leżeli bez ruchu. Pod Kerfem ugięły się kolana, potem osunął się na bok, przygniatając mnie do bruku. Nawet Dwalia zatoczyła się w bok. Wywinęłam się spod ciężkiego cielska, dźwignęłam na nogi, lecz w chwili, gdy rzuciłam się do ucieczki, Dwalia chwyciła mnie za kostkę. Upadłam, wyrznięłam o kamienie, ostry ból rozbitych kolan wyrwał mi z opuchniętego gardła chrapliwy krzyk.

– Zakuj ją! – rozkazała Dwalia.

To było do Vindeliara. Przygniótł mnie kolanem, zawinął łańcuch wokół szyi i zapiął ciasno. Pociągnęłam ogniwa z całej siły, lecz Dwalia trzymała drugi koniec łańcucha. Szarpnęła mocno.

– Wstawaj! Biegiem!

Nie czekając, ruszyła niezdamnym truchtem. Ja za nią, potykając się, ściskając w dłoniach metal, próbując wyrwać go z jej rąk. Jednych leżących mijała, nad innymi przechodziła ciężko, a ja byłam zmuszona przeskakiwać nad nimi albo na nich wchodzić. Wydawali się ogłuszeni. Jedni poruszali się miotani drgawkami, inni leżeli bezwładnie. Lingstra skręciła gwałtownie w alejkę między dwoma wysokimi budynkami. W połowie drogi do następnej przecznicy zatrzymała się w ciemnościach. Wtedy dołączył do nas rozszlochany Vindeliar.

– Cisza! – syknęła na niego wściekle.

Otworzyłam usta do krzyku, lecz nie zdążyłam wydobyć z siebie głosu, bo szarpnęła łańcuch tak gwałtownie, że walnęłam głową w ścianę. Zobaczyłam rozbłysk światła i kolana się pode mną ugięły.

Minął jakiś czas. Na pewno. Dwalia pociągała za łańcuch, a Vindeliar szczypał mnie, żebym wstała. Szorując dłońmi po ścianie, zdołałam stanąć na nogach. Rozejrzałam się wokół nieprzytomnie. Na końcu alejki bujały się latarnie w czyichś rękach, dobiegały stamtąd podniesione głosy, rozkazy, pytania, okrzyki przerażenia.

– Tędy – zarządziła Dwalia cicho, po czym znów szarpnęła łańcuchem, a ja znowu upadłam na kolana.

Vindeliar wciąż szlochał, jednak teraz było to właściwie stłumione łkanie. Lingstra obróciła się na pięcie, uderzyła go w twarz, niezbyt mocno, jakby trzepnęła komara – i ruszyła. Musiałam błyskawicznie zerwać się na równe nogi. Pokuśtykałam za nią, bez sił, ledwo żywa.

– A Kerf? – spytał Vindeliar, odsuwając dłonie od ust.

– Bezżyteczny – stwierdziła Dwalia. – Niech go złapią – dodała po chwili mściwie. – Zyskamy trochę czasu na znalezienie lepszej kryjówki. – Obejrzała się przez ramię na swojego sługę. – Ty też byłeś do niczego. Jeszcze raz, a zostawię cię

na łaskę tłumu.

Przyśpieszyła rozzłoszczona, że nadążam za nią do tego stopnia, iż nie naprężam łańcucha. A ja po omacku szukałam zapięcia. Znalazłam je, lecz nie wiedziałam, jak rozpiąć. Dwalia znów pociągnęła za uwięź, ja kolejny raz potknęłam się i przyśpieszyłam.

Wyprowadziła nas na ulicę, a potem w górę, jak najdalej od wysokich budynków obok przystani. Stale wybierała tę drogę, gdzie było najmniej świateł i ludzi, a ci, których mijaliśmy, najwyraźniej nie widzieli nic szczególnego w tym, że kobieta ciągnie za sobą dziecko na łańcuchu. Vindeliar jakiś czas ledwo dotrzymywał nam kroku, potem zaczął zostawać z tyłu, na zmianę pojękując, łkając i dysząc. Nie patrzyłam na niego. Nie miałam w nim przyjaciela. Nigdy nie miałam w nim przyjaciela, za to gotów był wykonać każde polecenie Dwalii.

Skręciliśmy w boczną uliczkę, rozjaśnioną jedynie światłem dobywającym się z domów. Nie była to bogata okolica. Blask lamp wyzierał przez szczeliny w ścianach, a sama ulica okazała się raczej błotnistą drogą zrytą koleinami.

Dwalia na chybił trafił wybrała jeden z budynków. Zatrzymała się przed nim i wskazała go palcem.

– Zapukaj – rozkazała Vindeliarowi. – Niech nas tam ugoszczą.

– Nie dam rady – jęknął, łkając łzy. – Głowa mnie boli. Chyba jestem chory. Cały się trzęsę. Potrzebuję...

Z całej siły przyrznęła mu końcem łańcucha. Przy tym ja runęłam na kolana.

– Niczego nie potrzebujesz! Rób, co każę! Ale już!

– Uciekaj – odezwałam się do Vindeliara cicho lecz wyraźnie. – Nie dogoni cię, nie złapie. Nic ci nie robi.

Popatrzył na mnie, jego małe oczka na moment zrobiły się wielkie i okrągłe. A potem Dwalia uderzyła mnie dwukrotnie luźnym końcem łańcucha. Mocno. Wtedy Vindeliar pobiegł na próg wybranego domu i załomotał w deski, jak na alarm, do pożaru albo powodzi.

Ktoś szarpnął drzwi od środka i w progu stanął mężczyzna.

– Co jest?! – rzucił gniewnie. W następnej chwili złagodniał. – Wejdz, przyjacielu – powiedział. – Chodź, przenocujesz.

Na te słowa Dwalia ruszyła śpiesznie do wnętrza. Nie miałam wyboru, podążyłam za nią. Gospodarz odstąpił, wpuszczając nas do środka, a wtedy pojęłam jej błąd: ten, który nas zaprosił, nie był sam. Przy stole siedziało dwóch innych, nieco starszych, a oni patrzyli na nas zupełnie inaczej. Co więcej: przy palenisku jakaś staruszka mieszała coś w kotle zawieszonym nad niedużym ogniem.

– Co ty tak wpuszczasz obcych w środku nocy?

W izbie była jeszcze jedna osoba: chłopak, pewnie mniej więcej w moim wieku. Chwycił solidną kłodę spośród naszykowanych do spalenia i ułożył ją w rękach jak pałkę.

Staruszka zatrzymała wzrok na twarzy Dwalii.

– A to co? Demon jakiś?

Vindeliar spuścił głowę.

– Nie dam rady – wyszeptał. – Za dużo ich tu... – Chlipnął. – Po prostu za dużo.

– Natychmiast! – zażądała lingstra piskliwie. – Już!

Właśnie miałam przekroczyć próg. Chwyciłam łańcuch i cofnęłam się, na ile mogłam.

– Ja nie jestem z nimi! – krzyknęłam rozpaczliwie.

Jakby prysnął czar. Wszyscy spojrzeli na nas przytomniej, z rezerwą, ze strachem.

– Złodzieje! – zaskrzeczała kobieta. – Mordercy! Demony!

Chłopak z pałką rzucił się na Vindeliara. Ten zasłonił głowę rękoma, lecz nie uchroniło go to przed ciosem, a na jednym się nie skończyło. Dwalia zaczęła cofać się pośpiesznie, lecz nie na tyle szybko, by uciec przed ciężkim kubkiem, którym rzucił w nią jeden z mężczyzn. Dostała w głowę, z naczynia chlusnęło piwo. Lingstra wrzasnęła wściekle i już w następnej chwili znalazła się przed domem, ciągnąc mnie za sobą. Vindeliar pośpieszył za nami; deptał mu po piętach ten niedorostek z kijem. Zachęcany przez ojca i pozostałych, rzetelnie okładał go po grzbiecie.

Ruszyliśmy biegiem i pędziliśmy nawet wówczas, gdy rodzina zaprzestała pościgu, bo krzyki i hałasy poderwały innych mieszkańców ulicy. Uciekliśmy w końcu, choć Dwalia szybko straciła siły i zamiast biec, truchtała, powłócząc nogami, a wkrótce już tylko szła pośpiesznym krokiem, często oglądając się przez ramię. Vindeliar ledwo nadązał, długo trwało, nim wreszcie się z nami zrównał. Wciąż ścisnął dłońmi głowę i szlochał rozpaczliwie.

– Nie mogę, nie mogę – powtarzał jak katarynka, aż w końcu nawet ja nabrałam chęci, by mu przyłożyć.

Dwalia zaprowadziła nas z powrotem do miasta. Wyczekałam, aż znajdziemy się znowu między bogatszymi domami, z szybami w oknach i drewnianymi gankami. Wtedy złapałam za łańcuch obiema rękoma, zapałam się piętami w ziemię i pociągnęłam z całej siły. Lingstra nie puściła, lecz zatrzymała się i na mnie popatrzyła. Vindeliar stanął obok, rozdygotany, drżący, z obwisłą szczęką, z rękoma przy głowie.

– Puść mnie – zażądałam. – Albo zacznę wrzeszczeć tak głośno, że wszyscy powychodzą z domów. Powiem ludziom, że jesteście porywaczami i mordercami.

Oczy jej się zaokrągliły. Pomyślałam, że wygrałam.

– Śmiało! – Pochyliła się ku mnie. – Zaczynaj. Na pewno ktoś nas rozpozna. Ciebie też, naszą współpracowniczkę, dziewczuchę, która nas, rabusiów i morderców, zaprosiła do pokoju swojej pani. Taką bajeczkę im opowiemy, a Vindeliar dopilnuje, żeby w nią uwierzyli. Jeśli będziemy wisieć, to razem. No i co, nie wrzeszczysz?

Gapiłam się na nią osłupiała. Nie miałam nic na poparcie swojej wersji. Pani Akriel była martwa, porąbana na kawałki. Poczułam się nagle tak, jakby mnie ktoś z całej siły wyrzwał w brzuch. Pani Akriel nie żyła. Przeze mnie, z mojej winy. Tak jak mówił Vindeliar. On mnie przed tym ostrzegwał. Zeszłam z właściwej ścieżki, z tej, o której mi opowiadał... i proszę, znowu ktoś przypłacił to życiem. Mój wspaniały plan ucieczki legł w gruzach. Nie chciałam wierzyć w opowieści Vindeliara o ścieżce. Jedynej prawdziwej i właściwej. Niedorzeczne wydawało mi się założenie, że istnieje tylko jedna odpowiednia droga życia. A jednak. Proszę bardzo, znów to samo: ja żyłam, lecz osoba, która mi pomogła, straciła życie. Chętnie bym opłakała panią Akriel, jednak mój smutek był zbyt głęboki, żeby go wyrazić łzami.

– O, widzę, że zmieniłaś zdanie – zadrwiła Dwalia.

Odwróciła się ode mnie, gwałtownie pociągnęła łańcuch. Wyszarpnęła mi go z posiniaczonych rąk. Sama nie wiem, jak ani kiedy poszłam za nią, gdy poprowadziła nas w ciemność.

Rozdział 16

Wyspy Pirackie

Śniłam o porwaniu dziecka. Nie, snem tego nazwać nie sposób. Przez sześć nocy dręczył mnie koszmar, zatrważająca przestroga. Dziecię jest zabierane, a to z kołyski, a to rankiem w czasie zabawy na dziewiczym śniegu. Niezależnie od początku, w dalszej kolejności zostaje ono wysoko uniesione, po czym upada. Na ziemi przemienia się w łuskowatego potwora o błyszczących ślepiach i sercu przepelnionym nienawiścią. „Jam jest na miejscu tym, by przyszłość obrócić w perzynę”.

Wypowiadane przez nie słowa są jedynym niezmiennym elementem snu. Zdaję sobie sprawę, że jestem jedynie Kolekcjonerką, a w moich żyłach płynie zaledwie kropla białej krwi. Wciąż na nowo podejmowałam próby ogłoszenia tego snu, lecz zawsze byłam odpychana, za każdym razem oznajmiano mi, że jest to najzwyklejszy koszmar. O, Symphe, najpiękniejsza pani, jesteś moją ostatnią nadzieją. Ten sen wart jest zapisania w archiwach. Przekazuję Ci go nie po to, by okryć się chwałą, czy zdobyć pozycję Białej o znaczących snach, lecz wyłącznie... (dalej pergamin spalony)

Tekst odkryty pomiędzy dokumentami Symphe

Dni podróży na pokładzie żywostatku wlokły się niemiłosiernie. Były tak podobne jeden do drugiego, że zlewały się w jedno, a każdy stał mi kością w gardle. Wrogość załogi skupiła się głównie na mnie i pani Amber. Za sprawą ledwie skrywanego gniewu otoczenia każdy z krótkich i skromnych posiłków stanowił dla mnie nie lada próbę. Pani Amber pozbawiła środków do życia nie tylko parę kapitańską, lecz całą załogę. Praca na żywostatku była postrzegana jako zajęcie na całe życie, bezpieczniejsze niż na zwykłym statku, a przy tym dobrze płatne i, co więcej, ludzie żywali się ze sobą do tego stopnia, że stawali się sobie bliscy prawie jak rodzina. Teraz to wszystko miało się skończyć. Zmiany dotkną każdego: od najmłodszego majtka, który dołączył do ekipy zaledwie pół roku wcześniej, po najstarszego marynarza służącego na „Niezrównanym” od dziesięcioleci. Wszyscy zostali pozbawieni środków do życia. Czy też raczej zostaną ich pozbawieni, gdy

pani Amber zorganizuje dostateczną ilość smoczego srebra, by żywostatek zmienił postać. W tej chwili byli całkowicie zależni od decyzji „Niezrównanego”, od jego świeżo rozbudzonych pragnień. Podobnie jak my.

Skierka i Niestrudzony spotykali się raczej ze współczuciem niż przejawami braku życzliwości. Świstak nadal chętnie szykował chłopaka na marynarza z prawdziwego zdarzenia. Znajdowałem pociechę w świadomości, że młodzik może oderwać myśli od spraw, które poróżniły nas z załogą. Zamieszkał ostatnio na trzeciego u Świstaka i Strzyka. Ogromnie pragnąłem podziękować staremu wydze za opiekę nad młodym człowiekiem i dbałość, by nie dosięgły go pretensje ani złość innych marynarzy, jednak obawiałem się, że jakakolwiek rozmowa ze Świstakiem ściągnie na niego tę samą niechęć, którą ja napotykałem teraz na każdym kroku. Aby nie zaognić sytuacji, zwykle tkwiłem w kajucie, którą teraz dzieliłem z panią Amber i Skierką. Dziewczyna była przygaszona i wydawała się stale pogrążona w zamyśleniu. Więcej czasu spędzała na chodzeniu po pokładzie w towarzystwie Strzyka niż na olinowaniu albo na nauce wiązania węzłów. Wiosna przeszła w lato, zrobiło się cieplej, w mikroskopijnej kabinie zwykle panowała duchota. Gdy wieczorami Strzyk i Niestrudzony dołączali do nas w ciasnym wnętrzu, by uczyć się języków obcych, pot sklejał mi włosy i ściekał po plecach strumieniami. Mimo to zawsze chętnie witałem odmianę od wymuszonej beczynności.

Gdy zostawaliśmy w te długie dni tylko we dwóch z Błaznem, bez końca zgłębialiśmy zapiski Pszczoły. On szukał w jej snach dalszych odpowiedzi. Ja desperacko pragnąłem znaleźć dowody, że moja córeczka żyje, chociaż myśl, że jest w niewoli, spędzała mi sen z powiek. Któregoś razu Błazen poprosił mnie, bym przeczytał mu także pamiętnik, a ja się zgodziłem. I czytałem, choć nie wszystko. Nie potrafiłem ocenić, czy zorientował się, że omijam fragmenty zbyt dla mnie bolesne, by się nimi dzielić. Nawet jeśli zdawał sobie z tego sprawę, nic nie dał po sobie poznać. Chyba rozumiał, że już i tak przeciągnął strunę.

Co intrygujące, cieszył się znacznie większą niż ja swobodą. Przebrany za panią Amber chodził, gdzie i kiedy chciał, gdyż, jako ulubieniec statku, nie musiał obawiać się skutków gniewu załogi i pary kapitańskiej. A „Niezrównany” często życzył sobie obecności przyjaciółki, chciał z nią rozmawiać albo słuchać muzyki. Zazdrościłem Błaznowi wolności i choć starałem się odsuwać od siebie urazę, to jednak samotne wieczory dłużyły mi się niemiłosiernie.

Któregoś razu, gdy Amber poszła na dziób na wezwanie galionu, nie zdołałem wysiedzieć w ciasnej kabinie. Sumienie odezwało się we mnie tylko raz, i to niezbyt głośno, gdy przeszukiwałem niewyobrażalnie obfite zapasy garderoby Skierki oraz pani Amber. Udało się, znalazłem pelerynę Najstarszych. Tkwiła zwinięta w skromny

tłumoczek, barwną stroną na zewnątrz. Wystarczyło ją strzepnąć i już miałem w dłoniach magiczny przedmiot gotów do wykorzystania. Większość Najstarszych była słusznego wzrostu, a na dodatek pelerynę uszyto, nie oszczędzając materiału. Na moment opadły mnie wątpliwości, jednak szybko się z nich otrząsnąłem. Czarodziejski skarb należał do Pszczoły, ona przekazała go Niestrudzonemu, by uratować chłopakowi życie. Ten z kolei oddał ją bez słowa sprzeciwu Błaznowi. Teraz nadeszła moja kolej. Odziałem się starannie, barwną stroną do wewnątrz. Od razu dopasowała się do mnie, w ten przedziwny sposób, charakterystyczny dla ubrań Najstarszych. Pozapinałem guziki od stóp do głów. Odszukałem rozcięcia na ręce, wsunąłem ramiona w otwory i naciągnąłem kaptur na głowę. Zsunął mi się na twarz. W pierwszej chwili odruchowo uznałem, że zasłoni mi widok, okazało się jednak, iż można przez niego patrzeć na wskroś. Zobaczyłem swoją rękę jakby wyrastającą z powietrza, sięgającą do klamki. Otworzyłem drzwi, ukryłem ręce pod tkaniną i przestąpiłem próg. Na kilka chwil zamarłem w bezruchu, by wzór dostosował się do ścian. Szybko odkryłem, jakie kłopoty sprawia odzienie sięgające podłogi. Chociaż poruszałem się wolno i ostrożnie, wciąż przydeptywałem brzeg peleryny. Jeśli chciałem wejść na którąś drabinę, musiałem zaczekać, aż w pobliżu nie będzie nikogo, ponieważ wspinaczka wymagała podkasania długiej poły. Nie wiedziałem, czy statek zdaje sobie sprawę z mojej eskapady, lecz nie miałem zamiaru tego sprawdzać, a zwłaszcza nie planowałem wypuszczać się w pobliże galionu.

Krażyłem po deskach pokładu niczym duch, zmieniając miejsce jedynie wówczas, gdy zostawałem całkiem sam, i starannie wybierając punkty, gdzie mogłem się zatrzymać. W miarę jak noc gęstniała, zacząłem przemieszczać się śmieiej. W pewnej chwili dostrzegłem Niestrudzonego: siedział ze Świstakiem w żółtym kręgu światła latarni. Przystanąłem w mroku.

– To jest marszpikel – powiedział marynarz chłopakowi. – Pomaga rozplątywać liny. W każdym razie są tacy, co się bez niego obejść nie mogą. Mnie tam wystarczy zastrugany kołek. Bierzesz starą linę, co to się już do niczego nie nadaje, i jak znasz węzły, to możesz z niej zrobić i matę, i hamak, i co tam sobie tylko zechcesz. Rozumiesz? To tutaj, to właśnie ja zrobiłem, dawno już, oj, dawno. I przydatne, i ładne, jak się komu podoba.

Stałem otulony ciszą i patrzyłem, jak Świstak uczy chłopaka, krok za krokiem, splatania liny, poczynając od środkowego węzła. Przypomniała mi się Lamówka. Wiecznie z jakąś robótką w dłoniach. Potrafiła wyczarować prawdziwe cudenka: mankiety, kołnierzyki, serwetki. A o czym mało kto wiedział, potrafiła używać zaostrzonych drutów także w inny sposób: była strażniczką księżnej Cierpliwej. Napatrzyłem się, nasłuchiwałem i po jakimś czasie odszedłem. Dobrze byłoby, gdyby

Niestrudzony zdołał porzucić swoją żarliwą wierność Pszczole i został marynarzem. Z pewnością byłoby to dla niego lepsze zajęcie niż pomoc w zadaniach odpowiednich dla skrytobójcy.

Udałem się na poszukiwanie Strzyka. Odkąd straciliśmy sympatię załogi, martwiłem się o niego bardziej, niż gotów byłem przyznać. Gdyby któryś z marynarzy zechciał poszukać obiektu do wyładowania gniewu, najprawdopodobniej byłby to właśnie on: młody, sprawny mężczyzna. Bitka z nim nie została by poczytana za tchórzostwo. Ostrzegałem go przed tym. Obiecał zachować ostrożność, lecz złożył to przyrzeczenie z ciężkim westchnieniem, które zdradziło mi, że uważał, iż potrafi o siebie zadbać. Znalazłem go w miejscu, gdzie nie docierały światła lamp. Oparty o reling wpatrywał się w wodę. Wiatr nam sprzyjał, więc „Niezrównany” gładko ciał fale. Obok Strzyka zobaczyłem Skierkę. A poza nimi nie było żywego ducha. Mówili mało i odzywali się cicho. Podszedłem bliżej.

– Nie rób tego – usłyszałem Strzyka.

Skierka jakby go nie słyszała. Podniosła jego dłoń z poręczy i wsunęła mu się w objęcia. Wsparła głowę na jego ramieniu.

– Przeszkadza ci, że jestem z gminu? – spytała.

– Nie. – Nie bez trudu, jednak zabrał rękę i odsunął się o krok. – Doskonale wiesz, że nie.

– Mój wiek?

Strzyk wsparł się ciężko na poręczy, przygarbił.

– Jesteś niewiele ode mnie młodsza. Skierko, tak cię proszę... Mówiłem ci już: mam zobowiązania wobec ojca. Nie wolno mi teraz...

Dziewczyna przysunęła się do niego i pocałowała go w policzek, a gdy Strzyk zwrócił ku niej twarz, ich usta się spotkały. Jęknął cicho, błagalnie, potem nagle przygarnął ją do siebie, przycisnął mocno i pocałował namiętnie. Błede dłonie dziewczyny zsunęły się na jego biodra i wzmocniły uścisk. Po dłuższym czasie Skierka przerwała pocałunek i rzekła bez tchu:

– Wszystko mi jedno. Nie zamierzam czekać.

Sparaliżowało mnie.

Strzyk pocałował ją znów, po czym, z opanowaniem, którego mu szczerze zazdrościłem, ujął dziewczynę za ramiona i łagodnie, lecz zdecydowanie od siebie odsunął.

– Dość już bastardów w moim rodzie, Skierko – powiedział ochryple. – Nie powołam do życia następnego. Ani nie zawiodę zaufania, jakie we mnie pokłada ojciec. Złożyłem mu przysięgę i obawiam się, że będą to ostatnie słowa, jakie ode mnie usłyszał. Muszę dotrzymać obietnicy, choćbym miał za to zapłacić życiem.

I nie zaryzykuję, że zostawię po sobie pólsierotę.

– Znam sposoby na zapobieganie...

– Twoja matka też pewnie je znała, prawda? I moja. – Pokręcił głową. – Nie. Powtórzyłaś mi słowa pani Amber, pamiętasz? Ona i Bastard najpewniej stracą życie w czasie tej wyprawy. A skoro ja mam go chronić, to znaczy, że umrę, zanim on wyzionie ducha. Zawstydzła mnie świadomość, że zostawię cię bez opieki. Pozostaje mi tylko nadzieja, że Niestrudzony będzie się poczuwał do roli twojego obrońcy. Tak czy inaczej, nie zaryzykuję, że zostaniesz z dzieckiem.

– W razie potrzeby to raczej ja jego będę chroniła! – Skierka usiłowała wzięć Strzyka za rękę, lecz on mocno trzymał poręcz, więc tylko przykryła jego rękę obiema dłońmi. – Kto wie, może umrę, chroniąc ciebie, zanim ty umrzesz, chroniąc Bastarda? – Zaśmiała się, lecz nie był to śmiech wyrażający radość.

Oddaliłem się bezszelestnie, wstrzymując oddech, bo do oczu napłynęły mi łzy i bałem się rozszlochać. Nawet nie wiedziałem, że płaczę, póki nie zdusiłem pierwszego łkania. Tyle ścieżek ludzkich losów splątało się nieodwołalnie, ponieważ wielmożny pan mój ojciec uległ pożądaniu. A może miłości? Co by było, gdyby nie przyszedł na ten świat Cierń? A co, gdybym ja się nie urodził? Czy inni odegraliby nasze role? Jakże często Błazen powtarzał mi, że życie jest ogromnym kołem toczącym się utartym szlakiem, a jego, białego proroka, rolą jest wybicie go z tej koleiny i skierowanie na lepszą drogę? Czy właśnie to zdarzyło się dziś w nocy, gdy Strzyk oparł się nieszczęsnej tradycji Przezornych płodzenia bękartów?

Uważnie stawiając kroki, wróciłem do kajuty, starannie zamknąłem za sobą drzwi, zdjąłem pelerynę, złożyłem ją starannie i odłożyłem na miejsce. Żałowałem, że ją włożyłem i skryty pod nią wybrałem się na spacer. Wolałbym nie wiedzieć tego, czego się dowiedziałem. Obiecałem sobie solennie już nigdy więcej nie powtórzyć tego błędu, chociaż wiedziałem, że się okłamuję.



Teraz „Niezrównany” wytyczał kurs, niewiele uwagi poświęcając temu, czego mogliby sobie życzyć Zuchwalec lub Althea. Miasto Wolnego Handlu zostało daleko za nami, nie zatrzymaliśmy się tam, więc nie wyładowaliśmy towarów ani nie uzupełniliśmy zapasów słodkiej wody. Jakiś czas ciągnęliśmy wzdłuż bagnistego wybrzeża, po czym odbiliśmy na wody otaczające Wyspy Pirackie. Część z tych nieprzyjaznych skał była niezamieszкана, inne stanowiły miejsce dzikie i wrogie. Dla „Niezrównanego” wszystko to było obojętne. Niezależnie od tego, jak tęsknie

spoglądaliśmy na rozjarzone światłami miasteczka, gdzie moglibyśmy nocą dobić po świeżą wodę i jedzenie, on nie zamierzał zawijać do żadnego portu. Parł przed siebie nieustępliwy jak samo morze. A nasze racje żywnościowe kurczyły się w oczach.



– Jesteśmy więźniami.

Błazen leżał na dolnej koi w naszej dusznej kajucie. Usiadł i wychylił się za krawędź, by na mnie spojrzeć.

– Masz na myśli rozkaz kapitanów? Doskonale wiesz, dlaczego polecili nam w miarę możliwości nie opuszczać kajuty.

– Nie, nie o nich mówię. Oni potraktowali nas wyrozumiale. Mówię o „Niezrównanym”. Zrobił z nas niewolników. – Zniżyłem głos, z przykrą świadomością, że i tak nie wiem, na ile statek zdaje sobie sprawę z tego, co dzieje się w jego wnętrzu. – Za nic ma kontrakty i umówione dostawy. Nie obchodzą go nasze podstawowe potrzeby ani bezpieczeństwo. Nie przejmuje się tym, jak jesteśmy zaopatrzeni na tę wyprawę, a przecież nie uzupełniliśmy zapasów w Mieście Wolnego Handlu. Nic dla niego nie znaczy fakt, że musimy oszczędzać żywność. Prze do celu, nie bacząc na nic: dniem i nocą, po spokojnej wodzie, ale też przez sztormy i burze. Gdy kapitan Althea rozkazała zrefować żagle, rozbują się tak gwałtownie, że musiała odwołać załogę z masztów.

– Złapał prąd – stwierdził Błazen. – Nawet bez żagli popłynęlibyśmy szybko obok Wysp Pirackich, Jamailli, do Wysp Korzennych i jeszcze dalej. „Niezrównany” o tym wie i załoga także.

– Marynarze nas obarczają winą. – Ja też usiadłem, ostrożnie, skurczony, by nie wyrznąć głową w sufit. – Schodzę – uprzedziłem Błazna i zsunąłem się ostrożnie. Z braku ruchu bolało mnie chyba wszystko. – Nie podoba mi się, kiedy Strzyk i nasza młodzież znikają na tak długo. Pójdę sprawdzić, co się z nimi dzieje.

– Bądź ostrożny – powiedział, całkiem jakbym potrzebował przestrogi.

– Zawsze jestem ostrożny – rzuciłem prowokacyjnie, lecz on tylko uniósł brwi.

Jeszcze się dobrze nie wyprostowałem, gdy usłyszałem go ponownie.

– Czekał. Idę z tobą – oznajmił, sięgając po spódnice pani Amber, leżące na podłodze niczym uwiędły kwiat. Zaszleściła podciągnana na biodrach tkanina.

– Koniecznie musisz?

Zmarszczył czoło.

– Znam oboje kapitanów znacznie lepiej niż ty. W razie kłopotów łatwiej ocenię, jakie zachowanie będzie najwłaściwsze.

– Miałem na myśli spódnice. Musisz ciągle przebierać się za panią Amber?

Twarz mu znieruchomiała.

– Odnoszę wrażenie – odezwał się ciszej – że w zaistniałej sytuacji kolejna zmiana, trudna do pojęcia, zarówno dla kapitanów, jak i dla załogi, poskutkowałaby wyłącznie jeszcze większymi utrudnieniami w naszym życiu. – Strząsnął spódnice.

– Znają mnie jako Amber, więc muszę być nią.

– Nie lubię jej – wyznałem raptownie.

– Doprawdy! – prychnął.

– Całkiem szczerze. – Tak wyglądała prawda. – Nie lubię cię pod postacią pani Amber. Ona jest... Ona nie jest osobą, z którą bym się zaprzyjaźnił. Jest... nieszczerą. Zdradziecką.

Jego wargi wykrzywił półuśmiech.

– Ach, natomiast jako Błazen zawsze jestem prostolinijny i na wskroś szczerzy.

– Niezupełnie, jednak do niej ci daleko – stwierdziłem, ale czy przypadkiem nie skłamałem?

Przecież drwił ze mnie publicznie, jeśli uznał, że przyniesie to konkretne skutki. Manipulował mną, bym robił to, co uznawał za stosowne... Mimo wszystko nadal patrzyłem na niego bez zmrużenia powiek. Przekrzywił głowę.

– Myślałem, że mamy to już za sobą – powiedział miękko.

Nie zareagowałem, więc po chwili zajął się wiązaniem tasiemki w pasie, schyliwszy przy tym głowę, jakby widział swoje dłonie.

– Uważam – podjął – że tak będzie najlepiej. Powinienem dla nich pozostać Amber. A skoro ty opuszczasz kajutę, by rozejrzeć się za pozostałymi, w zgodzie z moim najlepszym osądem pójdę z tobą.

– Jak sobie życzysz – stwierdziłem sztywno, po czym dodałem jak dziecko: – Ale nie będę na ciebie czekał.

I z tymi słowy wyszedłem, zatraskując za sobą drzwi. Nie bardzo głośno, lecz stanowczo. Gniew buzował mi wrzątkiem w piersiach, a nawet w gardle. Jakiś czas stałem w przejściu, powtarzając sobie, że wszystko przez to, że za długo tłoczyliśmy się na niewielkiej przestrzeni, że nie jest to gniew prawdziwy, bo przecież Błazen jest moim przyjacielem. Odetchnąłem głęboko raz i drugi, po czym wyszedłem na pokład.

Wiała ożywcza bryza, słońce rzucało na wodę srebrne błyski. Jakiś czas po prostu stałem, przyzwyczajając oczy do światła, ciesząc się dotykiem wiatru na twarzy. Po duchocie ciasnej kajuty czułem się tak, jakbym miał u stóp cały świat. Roztańczoną

wodę znaczyły w oddali zielone plamki wysp. Wyrastały znieczeka z błękitnej toni – na podobieństwo grzybów kielkujących w leśnym poszyciu. Odetchnąłem pełną piersią, zignorowałem Linę, która przerwała pracę, by obrzucić mnie ponurym wzrokiem, i ruszyłem na poszukiwanie zbłąkanych podopiecznych. Znalazłem ich wszystkich troje razem. Skierka i Niestrudzony opierali się o reling tuż obok Strzyka. Dłoń dziewczyny omal dotykała ręki młodego człowieka. Westchnąłem w głębi duszy. Cała trójka smętnie wpatrywała się w niebieski bezmiar morza. Gdy za nimi stanąłem, Strzyk popatrzył na mnie przez ramię.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Głodny jestem. – Uniósł brew. – Nikt się do nas nie odzywa. Nie mogę spać. A co tam u ciebie?

– Z grubsza to samo.

Racje żywnościowe zmniejszono wszystkim równo.

W dniu, gdy minęliśmy cieśninę, która zaprowadziłaby nas do Zatoki Kupieckiej i Miasta Wolnego Handlu, doszło do konfrontacji ze statkiem.

– Nie dam się przycumować do nadbrzeża – oznajmił „Niezrównany” stanowczo.

– Nie dam się podejść, skrępować i wyciągnąć na brzeg.

– Nikt nie chce cię podchodzić, nie ma mowy o żadnych podstępach – przekonywał go Zuchwalec. – Chodzi tylko o to, żebyśmy wzięli wodę pitną i żywność. Trzeba zostawić ładunek, który mamy tam dostarczyć. Powinniśmy też wysłać wiadomości do Trehaugu i Kelsingry, a także rozesłać wieści po samym Mieście Wolnego Handlu. Przecież my zniknęliśmy, dla innych ludzi przestaliśmy istnieć! Będą przekonani, że spotkało nas najgorsze.

– Ach! Najgorsze! – zakpił „Niezrównany”. – Czyli będą uważali, że szalony statek odwrócił się do góry dnem i znów utopił załogę? – W jego głosie pojawiły się ostre nuty, smocze ślepią zawirowały szybciej. – Czy właśnie to masz na myśli?

Po twarzy Zuchwalca przebiegł grymas wściekłości.

– Niewykluczone. Istnieje też inna możliwość: nasi klienci z Miasta Wolnego Handlu i z Deszczowych Ostępów uznają nas za złodziei, którzy odpłynęli z ich majątkiem w siną dal, a w ten sposób stracimy jedyne, co nam pozostało, czyli dobre imię.

– Nic więcej nie macie? – zapytał żywostatek szydlerczo. – Czyżby nie zostało wam nic ze skarbu Igrota? Przecież mało tego nie było!

– Być może wystarczy na zamówienie na twoje miejsce statku odpornego. Drewnianego, który pozwoli nam jako tako przeżyć. Pod warunkiem, że jeszcze ktokolwiek będzie chciał z nami handlować, po tym, jak zrobisz z nas kłamców, oszustów i złodziei!

– Chcesz mnie zastąpić innym? Dobre sobie! Przecież to niemożliwe! Tylko i wyłącznie za moją sprawą zbiłeś majątek, ty kutwo, ty...

– Dosyć – ucięła Althea, podchodząc do galionu pozornie śmiało. – „Niezrównany”, bądź rozsądny. Doskonale wiesz, że potrzebujemy wody pitnej. I żywności. Nie braliśmy zapasów na długą podróż. Mamy prowiant tylko na drogę do Miasta Wolnego Handlu, niewiele więcej. I tyle. A płyniemy już znacznie dłużej. Jeśli będziesz zachowywał się jak dotąd, umrzemy z głodu. Albo z pragnienia. Dotrzesz do celu z trupami na pokładzie. Między nimi z martwą Amber. Jak wtedy zdobędziesz srebro i zmienisz się w smoki?

Próżno by szukać rozsądku w wirujących ślepiach. Galion zwrócił spojrzenie na morze.

– Jedzcie ryby.

Popłynęliśmy więc dalej, a para kapitanów obcięła racje żywnościowe. I, tak, owszem, były ryby w tych wodach, była wilgoć w ich mięsie. Załoga wyławiała dzień w dzień dość, by uzupełniać dietę złożoną z solonego mięsa i sucharów, jakie nam zostały. Przetrwaliśmy dwa wiosenne sztormy. W czasie jednego i drugiego kapitan rozkazała za pomocą czystych płócien zbierać deszczówkę do beczek i w ten sposób uzupełniliśmy nieco nasze skromne zapasy. I wciąż płynęliśmy, coraz dalej i dalej, przez okolicę zwaną Przekłętą Brzegi, znaną z ruchomych ławic piasku i trujących wód, a potem jeszcze dalej, aż zaczęliśmy dostrzegać wystające z morza grupki skał, a w końcu także wyspy należące do archipelagu Wysp Pirackich. Któregoś razu zniecka wylądowała mi na ramieniu Jaskrawa. Wystraszyłem się, przyznaję.

– A gdzieś ty się podziewała? – przywitałem kruczycę.

– Statek – zakrakała nagłaco. – Statek, statek, statek.

– Tak, jesteśmy na statku – przyznałem.

– Statek! Statek, statek, statek!

– Inny statek? – zapytał Niestrudzony.

Ptaszysko gwałtownie spuściło łeb i zaraz podniosło, jakby potaknęło.

– Statek, statek!

– Gdzie? – pchnąłem w nią pytanie, równocześnie głosem i Rozumieniem.

Jak zwykle odniosłem wrażenie, że mój głos wpadł w bezdenną studnię.

– Statek! – krzyknęła z naciskiem i wzbija się z mojego ramienia w powietrze.

Wiatr porwał ją i rzucił w górę. Uniosłem wzrok, podążyłem za nią spojrzeniem. Wznosiła się coraz wyżej, szybko minęła czubek masztu. Wreszcie zawisła kołysana zmiennymi podmuchami.

– Statek! – zawołała, a znajdowała się tak wysoko, że ledwo ją słyszeliśmy.

Mrówka już była w połowie drogi do bocianiego gniazda. Przesłoniła oczy dłonią, zbadała wzrokiem horyzont, po czym ruszyła dalej. Drugi raz zatrzymała się dopiero na samym czubku masztu i mocno przytrzymując się poręczy bocianiego gniazda, powiodła spojrzeniem dookoła, po czym wskazała punkt na styku wody i nieba.

– Żagiel! – krzyknęła.

Nie minęła chwila, a Zuchwalec znalazł się na pokładzie u boku Althei. Oboje przeszukiwali wzrokiem horyzont tam, gdzie wskazywała Mrówka. Kapitan miał ponury wyraz twarzy.

– Czy dzieje się coś złego? – spytałem cicho panią Amber.

– Najprawdopodobniej nie – odparła – jednak swego czasu bywało, że za wpłynięcie na teren archipelagu płaciło się życiem. Albo wolnością. Albo ładunkiem. Kennit zbudował tutaj imperium, z pirata stał się królem. Nie miał zwyczaju żądać okupu za porwane statki. Wolał któregoś z lojalnych wobec niego ludzi mianować kapitanem i posłać na wodę, przejmując w zamian część zdobywanych łupów. Załoga takiego statku często rekrutowała się spośród zbiegłych niewolników, a czasami byli to marynarze z pokonanych jednostek. Kennit zaczął od jednego statku, wkrótce miał dwa, po jakimś czasie pół tuzina, aż w końcu całą flotę. W ten sposób został przywódcą, a potem królem... Wcale niezgorszym, jak się okazało.

– A równocześnie nikkzemnym bydlakiem. – Niepostrzeżenie zbliżyła się do nas kapitan Althea.

Amber obróciła się do niej, wcale nie okazując zaskoczenia.

– To także prawda. Zdaniem niektórych.

– Moim zdaniem – potwierdziła Althea stanowczo. – Wyspy Pirackie znów borykają się z pirackimi napadami. Dlatego nie wiadomo, czy trafi się na morskich rozbójników, czy na któryś ze statków zbierających daninę, „podatek za przejście”. Zdziercy, tacy sami jak piraci, tyle że więcej przy tym papierkowej roboty. – Odwróciła się do Niestrudzonego. – A ta twoja kruczycza... gada jak człowiek. Powie nam, jaki statek zobaczyła?

Niestrudzony pokręcił głową zaskoczony, że pytanie zostało skierowane właśnie do niego.

– Umie powtarzać słowa, ale chyba nie zawsze wie, co oznaczają. No i wątpię, żeby odróżniła jeden statek od drugiego.

– Rozumiem. – Althea się zamyśliła.

– Boisz się, że to „Werwa” albo inny żywostatek? – Pytanie Amber padło jak kamyk mącający wodę w stawie. – Obawiasz się, do czego dojdzie przy takim spotkaniu?

Kapitan odpowiedziała tak spokojnie, że odniosłem wrażenie, iż wybaczyła

przyjaciółce.

– Rzeczywiście, coś takiego przyszło mi do głowy. I tak, owszem, jest to dla mnie zmartwienie. Nie wiemy jeszcze, jak smocze srebro wpłynie na „Niezrównanego”, czy rzeczywiście pozwoli mu się przeobrazić. Wolałabym nie budzić nadziei w innych żywostatkach, nie dawać powodu do frasunku innym rodzinom kupieckim, póki nie zyskamy pewności, jak zakończy się eksperyment z naszym żywostatkiem.

Wyczułem Zuchwalca, zanim pojawił się na krawędzi mojego pola widzenia. Roztaczał wokół siebie aurę drapieżnika. Odbierając go Rozumieniem, widziałem wokół niego szkarłatną furię. Zdołałem utrzymać postawę pozbawioną oznak agresji, lecz nie było to łatwe.

Kapitan Althea poruszyła wargami, jednak zamiast słów, które cisnęły się jej na usta, wypowiedziała inne:

– W tej chwili ciebie, Amber, łączy ściślejsza więź z „Niezrównanym” niż mnie czy Zuchwalca, dlatego muszę cię prosić, byś wykorzystała wpływ, jaki masz na żywostatek.

– Czego oczekujesz?

– Jeśli ten żagiel na horyzoncie należy do żywostatku, naszym zdaniem lepiej będzie go ominąć. Jeżeli jednak jest to statek ze zwykłego drewna, chcielibyśmy podpłynąć bliżej, może udałoby się kupić od niego zaopatrzenie. Przyda nam się wszystko, choć najbardziej potrzebujemy wody. – Przeniosła na mnie spojrzenie. – Na terenie Deszczowych Ostępów pobieramy wodę pitną z drewnianych zbiorników umocowanych wysoko na drzewach. To kosztowne, więc staramy się wziąć tylko tyle, ile koniecznie potrzebujemy. Woda z rzeki i jej dopływów zwykle nie nadaje się do picia. – Westchnęła. – Racjonowanie żywności jest przykre, ale gorsze skutki powoduje niedostatek wody pitnej, a jeśli „Niezrównany” nie pozwoli nam zawinąć do portu na którejś z Wysp Pirackich, w końcu nam jej zabraknie. Chyba że kupimy zapas od kogoś na morzu.

Jeszcze raz westchnęła głęboko, po czym dzielnie się wyprostowała, a ja patrzyłem na nią z rosnącym podziwem. Ta kobieta przejawiała rzadko spotykaną odwagę. Jej świat właśnie stanął na głowie, skończyło się dotychczasowe życie, straciła wszelkie perspektywy na przyszłość, a mimo to potrafiła trzeźwo myśleć nie tylko o własnej załodze, lecz także o ludziach żyjących na innych magicznych statkach z Miasta Wolnego Handlu, a co więcej, wciąż otaczała troską rodzinny statek, chociaż ten nie mógł doczekać się, kiedy wreszcie ją opuści.

Była jak król Szczery, gdy rzeźbił swojego smoka. Tak, przypominała mi ukochanego monarchę.

– Czy mam rozumieć – Amber wypowiedziała na głos pytanie nurtujące mnie od jakiegoś czasu – że mi wybaczyliście?

Althea pokręciła głową.

– Tak samo mogłabym wybaczyć Kennitowi, że mnie pohańbił. Albo Kajowi przejście „Werwy”. Istnieją uczynki, których nie da się wybaczyć, lecz nie sposób też wciąż mieć je za złe. To po prostu rozstaje, na drodze życia, gdzie człowiek akurat nie ma nic do powiedzenia. To ścieżki losu, na których ktoś inny podejmuje decyzje. Ja mogę tylko uważać na swoje dalsze kroki.

– Przykro mi – powiedziała Amber.

– Przykro ci? – powtórzył Zuchwalec z niedowierzaniem. – Teraz ci przykro?

Amber wzruszyła jednym ramieniem.

– Wiem, że nie zasługuję na wybaczenie, i nie chcę sprawiać wrażenia, że go oczekuję ze względu na dawną przyjaźń. Mimo wszystko mówię to, bo taka jest prawda. Naprawdę mi przykro, że musiałam to zrobić. Althea ma rację. O mojej drodze także decydują pewne niezależne ode mnie zdarzenia. Potem mogę już tylko uważać, jak stawiam następne kroki.

– Płynie pod banderą Wysp Pirackich! – dobiegł nas okrzyk Mrówki. – Chce nam przeciąć drogę. Szybko go niesie!

– Aha! Wobec tego to poborcy podatkowi – ocenił Zuchwalec. – Będą chcieli wejść na pokład. – Ściągnął brwi. – Sprawdzić ładunek i odpowiednio obciążyć za przejście po tych wodach.

– A my mamy ładownie pełne magicznych przedmiotów pochodzących od Najstarszych, ładunek zabrany z Trehaugu i Kelsingry, który mieliśmy zostawić w Mieście Wolnego Handlu. Gdy poborcy oszacują ich wartość, nie zdołamy opłacić podatku. Zostaniemy zatrzymani na Wyspach Pirackich i będziemy mieli dwa wyjścia: albo posłać po fundusze, albo oddać część ładunku w ramach opłaty za przejście. Towarem, który nie do nas należy, spłacić własne długi. Tym, który powinniśmy byli zostawić w Mieście Wolnego Handlu. – Althea mówiła takim tonem, jakby słowa miały kolce.

Zuchwalec zaśmiał się ponuro.

– A jeżeli odmówimy poborcóm wstępu na pokład i nie zechcemy popłynąć do portu, gdzie należy czekać, aż zostaną spłacone żądane kwoty, spróbują zdobyć „Niezrówanego” siłą i przejąć nad nim kontrolę. Co on zrobi w takiej sytuacji? Nie sposób przewidzieć.

– Tu muszę się nie zgodzić – powiedziała kapitan. – Niestety jestem w stanie całkiem klarownie przewidzieć zachowanie naszego statku. Zrobi, co w jego mocy, by zatopić ten drugi, nie bacząc na załogę. – Uśmiechnęła się z goryczą

i ponownie zwróciła ku Amber. – Dlatego proszę cię, byś użyła całego swojego wpływu na „Niezrówanego”, by go przekonać do rozsądnego zachowania. Niech pozwoli tamtym podpłynąć, da nam szansę na rozmowę. Kłopotów z płatnościami nie unikniemy, za to przynajmniej w czasie postoju w porcie zyskamy szansę na uzupełnienie zapasów jedzenia i wody. Możemy też zwolnić załogę.

– Zwolnić załogę? – W głosie pani Amber zabrzmiał wyraźny niepokój.

– Tyłu, ilu zdecyduje się odejść – stwierdziła kapitan stanowczo. – Nie widzę powodu, by zmuszać ich do ponoszenia skutków tego, co będzie się działo z „Niezrówanym” i z nami. Im wcześniej zejdą z pokładu tym łatwiej znajdą sobie inne zajęcie. Ułożą życie.

– A jak statek dotrze do Clerres bez załogi?

– Parę osób zostanie. – Oszacowała dawną przyjaciółkę spojrzeniem. – Będziesz musiała zrzucić spódnicę i przypomnieć sobie, jak wygląda praca na statku. – Wskazała mnie ruchem głowy. – Jaśnie pan książę również. Baronet i młodzi ludzie także, oczywiście.

Już otworzyłem usta, by odpowiedzieć, lecz Amber mnie uprzedziła.

– Jestem ślepa, ale w czym zdołam pomóc, pomogę. Wszyscy pomożemy. I zrobię, co w mojej mocy, by przekonać „Niezrówanego” do rozsądnego zachowania. Postaram się, żeby sprawy przybrały możliwie jak najlepszy obrót, żeby nie było już gorzej.

– Gorzej... – powtórzył Zuchwalec podejrzenie miękko. – Gorzej być już nie może.

Jakby dla zakpienia z jego słów coś przewaliło się przeze mnie ciężką falą i obróciło mnie, tak jak podmuch wiatru obraca wiatrowskaz. Wydawało się odczuwalne tak jak powietrze, lecz powietrzem nie było, bo to złączone razem Moc i Rozumienie ruszyły czarodrzewem. Poznałem je od razu, choć takiego sposobu oddziaływania nie rozumiałem. Poznałem je w parze, gdyż sam tak ich używałem. Bez namysłu i bez zrozumienia. Dawno temu, w czasach, gdy stawiałem pierwsze kroki na drodze nauki korzystania z królewskiego talentu. Robiłem to w ten, a nie inny sposób, ponieważ nie umiałem rozdzielić dwóch rodzajów magii. Powiedziano mi, że moja Moc jest skażona Rozumieniem, a sam z siebie wiedziałem doskonale, iż Rozumienie niesie ze sobą wątki Mocy. Długi czas uczyłem się oddzielać jedno od drugiego, by we właściwy sposób korzystać ze szlachetnej magii królewskiej. I odniosłem sukces. Prawie całkowicie.

Teraz natomiast, gdy czułem ich wspólny przepływ przez statek, wcale nie wydawały się niewłaściwe. Wręcz przeciwnie: czyste. Jakby dwie połowy złączyły się ponownie w jedność. W całość tak potężną i wspaniałą, że jakiś czas umiałem

jedynie się nią zachwycać, nie byłem zdolny do niczego innego.

– O, nie – jęknęła Althea cicho.

Po tym zorientowałem się, że nie ja jeden odczuwam owo niesłychane zjawisko. Wszyscy stali bez ruchu, zmienili się w rzeźby o zastygłych twarzach, jakby nasłuchiwali odległego wycia watahy głodnych wilków. Wszyscy oprócz Niestrudzonego, który kilka chwil w zdumieniu przypatrywał się kolejnym osobom, aż wreszcie spytał:

– O co chodzi?

– Coś się zmienia – szepnęła Skierka.

Chociaż magia mnie sparaliżowała, to jednak kątem oka dostrzegłem, jak dziewczyna odruchowo ścisnęła za ramię Strzyka, a on przykrył ręką jej dłoń, dodając otuchy.

Rzeczywiście, bezwzględnie coś się zmieniało i nie chodziło wyłącznie o statek. Amber przytrzymała się mojego rękawa.

Althea i Zuchwalec ruszyli w stronę dziobu równocześnie, jak jedna istota. Wysoko na niebie Jaskrawa wciąż krążyła, wołając: „Statek, statek, statek!”. Poszliśmy za kapitańską parą, zaraz pojawił się też Świstak. A fala magii, tak raptownie, jak się pojawiła, zniknęła. Kapitanowie stanęli za galionem.

Ten obrócił się ku nim bez pośpiechu.

– Co tam? – spytał niegłośno, unosząc brew.

Zdarzyła mi się krótka pauza w połączeniu, a zaraz potem oszołomiła mnie prawda niepodlegająca dyskusji: galion znów miał moją twarz – pomijając błękitne oczy.

– Właśnie tak wygląda księżę Bastard Rycerski, gdy jest zdziwiony – zauważył Niestrudzony, odpowiadając na pytanie, którego nie zdążyłem sformułować nawet w myślach.

Żywostatek z wolna odwrócił się od nas. Uniósł przed sobą ramię, zachęcająco podsuwając nadgarstek kruczycy. Jaskrawa zatoczyła pętlę i z całkowitą ufnością skorzystała z zaproszenia, dopełniając chaosu w mojej głowie.

– Statek! – powiedziała mu.

– Widzę. Poborcy podatkowi. Staniemy w dryfie i damy im znać, że podążymy za nimi do Łupigrodu, by zapłacić daninę. – Ponownie zerknął przez ramię, obdarzając parę kapitanów szelmowskim uśmiechem. – Czy „Werwa” stamtąd wypłynęła? Mam przecucie, że na nią tam natrafimy. Miło będzie znowu spotkać Basałyka, prawda? I królową Ettę otoczoną dworzanami... I może Niezrównany Kennitasyn zechce wstąpić na mój pokład, kto wie? Postawmy więcej żagli, płynmy szybciej!

– Co to za gierki? – spytał Zuchwalec cicho.

– Jakie gierki? – zdziwił się galion ostentacyjnie. – O co chodzi?

Nawet się nie odwrócił.

– Dlaczego wróciłeś do poprzedniej twarzy?

– Bo chciałem. Przecież tę wolicie. Tę, za sprawą której wydaję się bardziej ludzki.

– Jesteś ludzki – powiedziała Amber łagodnie, lecz z naciskiem. – Masz naturę i człowieczą, i smoczą. A także wspomnienia z obu. Przesiąknięty krwią i wspomnieniami tych, co służyli na twoim pokładzie, co na nim walczyli i umierali. Zaistniałeś na początku jako okrywy dwóch smoków, to prawda, jednak potem nasiąkłeś także człowieczeństwem.

„Niezrównany” milczał.

– Wróciłeś do ludzkiej twarzy – podjęła Amber – żeby Basałyk zobaczył cię takiego, jakiego dobrze zna, nie chcesz wzbudzać w nim niepokoju.

Ciekaw byłem, czy wiedziała, czy raczej zgadywała.

– Zmieniłem twarz, bo tak mi się chciało – rzucił statek wyzywająco.

– A pasowało ci to, ponieważ Basałyk nie jest ci obojętny – uzupełniła pani Amber łagodnym tonem. – Być sobą to żaden wstyd. Należy do dwóch, nie do jednego świata.

Obrócił się do niej, błysnął gadzimi ślepiami.

– Będę smokami – oznajmił. – Przekonasz się.

– Wierzę. – Wolno skłoniła głowę. – Podobnie „Werwa” i inne żywostatki. Przemienicie się w smoki, jakich dotąd nie znał świat: naznaczone człowieczeństwem. Rozumiejące ludzi. Może nawet zechcecie o nas dbać.

– Sama nie wiesz, co wygadujesz! Smoki odmienione przez człowieka? To by dopiero było! Coś obrzydliwego! Tamte są takie! Te z Wyspy Innego Ludu! Są w tej samej mierze ludźmi, co węzami, więc ani jednym ani drugim! Nigdy nie zmieniają się w smoki! A ja zostanę smokami!

Niewiele zrozumiałem z tego wybuchu, lecz Amber najwyraźniej pojęła wszystko.

– Ależ oczywiście! Z pewnością zostaniesz smokami. A człowieczeństwo w tobie nie będzie dotyczyło skrzydeł, kłów ani ślepiów. Pozostanie w twojej pamięci. Tak jak morskie węże przechowują niezbędne wspomnienia o wcześniejszych pokoleniach i tak samo, jak smok wzbogaca swoją pamięć dziedziczną. Zyskasz dodatkową wiedzę. Tę człowieczą. A dzięki niej zyskasz mądrość, jakiej dotąd nie posiadały smoki. Ty i inne smoki, powstałe z żywostatków, będziecie wyjątkowe. Stworzycie nowy gatunek.

Odwrócił się od nas wszystkich.

– Pojęcia nie masz, co mówisz. Patrzcie, lada chwila będą nas zatrzymywać. Nie powinniście się zająć, czym trzeba?



Kapitan zbierający podatki okazał się młodym człowiekiem. Ruda broda okalająca dolną szczękę była jeszcze mocno niepewna, lecz dla równowagi kapelusz, zdobiony kilkoma wielkimi piórami, robił odpowiednie wrażenie. Odniosłem wrażenie, że młody człowiek odetchnął z ulgą, gdy Zuchwalec krzyknął do niego, że zmierzamy do portu w Łupigrodzie, by tam ustalić kwestie płatności.

– Popłyniemy tuż za wami! – zadeklarował kapitan, jakby właśnie miał zarządzić takie wyjście.

– Próbuje, próbuje – zachęcił ich „Niezrównany”.

I po chwili zademonstrował różnicę między żywostatkiem a jednostką zbudowaną ze zwykłego drewna. Przy tym samym wietrze, niesieni tym samym prądem stale zwiększaliśmy odległość między jednostkami. W zasadzie, gdyby „Niezrównany” zechciał uciec, statek poborców myta nie miałby żadnych szans.

Nikt nie polecił nam zejść z pokładu, więc razem ze swoją skromną świtą zostałem na pokładzie, ciesząc się z wiatru na twarzy.

– Jak on to robi? – spytałem Amber.

Niestrudzony przysunął się bliżej, też chciał poznać odpowiedź.

– Nie mam pewności. Chyba wyglądzka kadłub. Poza tym, w przeciwieństwie do zwykłych statków, te żywe nigdy nie obrastają kożuchem małż i wodorostów. Na pewno nie trzeba czyścić korpusów ani ich malować, wieloszczety też się ich nie imają, więc nie ma żadnych dziur w deskach.

Do końca popołudnia przyglądaliśmy się rosnącym w oczach wyspom. Wkrótce „Niezrównany” musiał zwolnić, lawirując między kamienistymi występami na drodze do portu w mieście niegdyś ukrytym i niedostępnym, do miejsca, gdzie piraci ściągali, by pić, grać i na wszelkie sposoby korzystać z życia. Swego czasu zbiegli niewolnicy mogli tu rozpocząć życie wolnych ludzi. Podobno był to wówczas port wyjątkowo odrażający: liche pomosty, chałupy stawiane gdzie i jak popadło, cuchnąca woda.

Teraz natomiast „Niezrównany” wszedł doskonale oznaczonym kanałem do niedużej przystani, w której wielkie handlowe żaglowce kotwiczyły w zatoce, a mniejsze statki i kutry rybackie cumowały przy solidnych, dobrze rozplanowanych kejach. Za nimi rozciągało się niezbyt duże, ale wyraźnie zamożne miasteczko, z domami tworzącymi uporządkowany wzór siatki. Wzdłuż ulic rosły nieznane mi drzewa, o gałęziach ciężkich od żółtych kwiatów. Główna aleja prowadziła do obszernej budowli, wielkości mniej więcej dworu w Białym Gaju, lecz na tym

podobieństwo się kończyło. Pałac królowej Etty zbudowano z pomalowanego na biało drewna. Wzdłuż frontu ciągnęła się otwarta weranda, a całość tonęła w zieleni, za sprawą której posiadłość wybijała się spośród rzędów sklepów i magazynów. Szybko pojąłem, że wysokość innych budynków jest ograniczona, dla osiągnięcia zamierzonego efektu: rezydencja królewska górowała nad miastem, z jej balkonów i wież roztaczał się niczym nieograniczony widok na port.

– Czy to jest „Werwa”? – usłyszałem Strzyka.

Przeniosłem spojrzenie.

– Nie wiem, jednak z pewnością żywostatek.

Młoda kobieta o królewskiej postawie głowę trzymała wysoko, a kształtne ramiona skrzyżowała na piersi. Nieokrzesa czarna grzywa spadła na nagie barki i spływała na tors. W dumnej twarzy znać było echo rysów Althei, jakby były spokrewnione.

Gdy Skierka ściszym głosem opisała galion pani Amber, ta kiwnęła głową.

– „Werwa” – potwierdziła. – Żywostatek rodzinny Vestritów. Althea straciła dowodzenie wskutek okrutnych zdarzeń i niejednego zaskakującego zrządzenia losu. Teraz kapitanem jest jej siostrzeniec, Prawy. Zuchwalec długie lata służył na tamtym pokładzie, jeszcze pod ojcem Althei, jako pierwszy oficer. To będzie intrygujące spotkanie, trudne dla obu stron.

„Werwa” kołysała się łagodnie na kotwicy. Na „Niezrównanym” wolno zebrano żagle, a gdy podpłynęła do nas flotylla płaskodennych łódek wiosłowych, nasz żywostatek posłusznie zastosował się do wszelkich poleceń. Szczerze powiedziawszy, niewielką poświęcałem temu wszystkiemu uwagę, gdyż im bardziej zbliżaliśmy się do „Werwy”, tym uważniej się jej przyglądałem. Gdy odwróciła do nas twarz, w pierwszej chwili wyglądała na wyrwaną z zamyślenia kobietę. Potem jednak, gdy rozpoznała nowy statek w porcie, na jej ustach wykwitł uśmiech. Rozłożyła ręce w powitalnym geście, a nasza kapitan, mimo wszystkiego, co już przeszła, i tego, co jeszcze ją czekało, pozdrowiła ją radosnym okrzykiem.

Łódki podciągnęły „Niezrównanego” naprzeciwko „Werwy”, rzuciliśmy kotwicę. Z doku wypłynął barkas, a gdy dotarł do naszej burty, kobieta w ekstrawaganckim kapeluszu, czarnych bryczesach i świetnie dopasowanym żakiecie, zawołała do nas, że z przyjemnością przewiezie kapitana i wykaz naszego ładunku do Biura Taryfowania. Althea odkrzyknęła, że lada moment z przyjemnością skorzysta z propozycji, i spytała, czy upoważniona osoba zechce wejść na nasz pokład obejrzeć towary, gdyż konieczne będzie wyjaśnienie niecodziennych okoliczności.

Wystrojona kobieta zechciała, ale ja straciłem dla niej zainteresowanie, bo istotniejsze wydało mi się to, co działo się u nas na pokładzie. Oto bowiem załoga,

okazując niechęć i gniew, zaczęła wychodzić z czeluści statku. Większość trzymała w rękach bagaże. Płócienne worki do dużych nie należały, a przecież mieściły zapewne cały majątek każdego z marynarzy. Mrówka pochlipywała z cicha, przy słowach pożegnania uroniła łzę. Linka rzuciła swój worek obok jej bagażu i kucnęła przy kolezance. Nas obrzuciła spojrzeniem nieskrywanie wrogim.

W tamtej chwili podjąłem decyzję, która mnie samego zaskoczyła, gdyż nie zdawałem sobie sprawy, że w ogóle rozważam taką kwestię.

– Strzyku, pozwól na słowo.

Poprowadziłem go z dala od innych. Oparłem się na relingu, zawiesiłem wzrok na Łupigrodzie. Młody człowiek stanął przy mnie, brwi miał lekko ściągnięte. Podejrzywałem, że domyśla się, o czym chcę z nim rozmawiać. Wskazałem miasto.

– To nie jest złe miejsce. Czyste, zadbane, można tu handlować, prowadzić interesy, dużo się dzieje.

Pokiwał głową, zmarszczka między brwiami mu się pogłębiła.

– Dobrze by ci tu było – ciągnąłem – razem ze Skierką. A najlepiej, gdybyście Niestrudzonego też ze sobą wzięli. Zabierzecie upominki, które dostaliśmy w Kelsingrze. Trzeba uważać przy sprzedaży, nie dać się okpić, wziąć tyle, ile są naprawdę warte. Powinno wam starczyć pieniędzy na początek, a Niestrudzonemu na powrót do Koziej Twierdzy.

Jakiś czas milczał, a gdy się odezwał i spojrzał na mnie, twarz miał nieporuszoną.

– Zbudowałeś teorię na podstawach, których ja nie biorę pod uwagę.

– Doprawdy? – zdziwiłem się chłodno. – Nie jestem ślepy, widzę, jak dziewczyna jest zawsze tam, gdzie ty, zagląda ci w oczy, kładzie dłoń na rękę. – Nagle moje zrozumiałe wzburzenie ustąpiło miejsca zmęczeniu. – Strzyku, mam nadzieję, że Skierka jest dla ciebie naprawdę ważna. To nie pierwsza lepsza służka, z którą można pobaraszkować i zapomnieć. Cierń ją wybrał, nie kto inny. Wyruszyła z nami. A mnie w głowie nie powstało, że wypadki mogą potoczyć się tak, jak się potoczyły. Żałuję, że nie została z mistrzem w Koziej Twierdzy, ale cóż, jest tutaj i spodziewam się po tobie...

– Obrażasz ją! I mnie także!

Zamilkłem. Czas słuchać. Cisza dojrzywała w nim, aż w końcu zebrał się w sobie.

– Rzeczywiście, coś nas ku sobie... pociąga. Ale jak miałoby wyniknąć cokolwiek więcej tutaj, na statku, gdzie tyle ludzi... Nie do pojęcia. A poza tym, niezależnie od tego, co czuje do mnie, zawsze wyżej ceni panią Amber i z pewnością jej dla mnie nie porzuci.

Na to mogłem jedynie skłonić głowę.

– W dalsze moje słowa – ciągnął – na pewno będzie ci trudniej uwierzyć.

Jak wiesz, ojciec zlecił mi konkretne zadanie, a ja zobowiązałem się je wypełnić. Jeżeli nie możesz zaakceptować faktu, że chcę być wobec ciebie lojalny, postaraj się przynajmniej uznać, że nie złamię słowa danego ojcu. Raczej nie sprostam twoim wymaganiom, jednak, tak czy inaczej, będę trwał przy twoim boku aż do końca. Niezależnie od tego, jak to wszystko się skończy. – Nagle spochmurniał. – Nie wykazałem się, jeśli chodzi o Pszczołą. Ani jako tutor, ani w roli opiekuna. Dziwne z niej było dziecko i nie ułatwiała mi sprawy, to prawda... Nie zabijaj mnie wzrokiem! Taka jest prawda, wiesz o tym doskonale. Mimo wszystko stać mnie było na więcej, nawet jeśli nie planowałem bronić jej z ostrzem w rękę. Była moją kuzynką, była dzieckiem oddanym w moją pieczę, a ja nie stanąłem na wysokości zadania. Ja także chcę ją pomścić, to przecież zrozumiałe. Mam ku temu własne powody, niezależne od solidarności z tobą i wypełnieniu obowiązków nałożonych przez ojca.

– Zdaniem Błazna Pszczoła żyje.

Przeskoczył na mnie wzrokiem. W jego spojrzeniu dostrzegłem współczucie.

– Wiem o tym. A dlaczego tak uważa?

– Prowadziła dziennik snów. – Nabrałem tchu. – Gdy czytałem Błaznowi fragmenty, doszukał się w nich znaczenia, którego ja nawet nie podejrzewałem. Jego zdaniem Pszczoła widzi przyszłość, a niektóre jej prorocze sny są dowodem, że przetrwała porwanie i żyje.

Jakiś czas jego twarz nie zmieniała wyrazu, lecz w końcu zacisnął wargi.

– Budzenie w tobie nadziei uważam za okrucieństwo. Chociaż gdybyśmy mieli znaleźć ją żywą i sprowadzić do domu, spadłby mi z serca ogromny ciężar.

Nie potrafiłem znaleźć żadnej odpowiedzi.

– Mówię ci to jako przyjaciel – podjął – o ile byłbyś skłonny mnie za takiego uważać. Skup się raczej na myśli o zemście niż na misji ratunkowej. Bo na sens tej drugiej nie ma żadnych gwarancji. Czy uda nam się pierwsza, też nie wiadomo, jednak zrobię, co w mojej mocy, by wrogowie ją jak najmocniej odczuli.

Przyjaciel. Myśli uczepliły mi się tego słowa. Czy uważałem Strzyka za przyjaciela? Nauczyłem się, że mogę na nim polegać. A teraz musiałem przyznać się przed sobą, że gniew, który do niego poczułem, gdy zorientowałem się w jego relacji ze Skierką, w jakiejś części spowodowała świadomość, że muszę pozbyć się ich obojga. Bezmyślnie zadałem najgłupsze z możliwych pytań:

– Mam rozumieć, że ty i Skierka nie...

Wlepił we mnie wzrok.

– Nie masz prawa o to pytać. Wydajesz się, że nie pamiętasz, że jestem dorosłym mężczyzną, i to szlachetnie urodzonym. Owszem, tobie nie dorównuję,

ale na służbę się do ciebie nie najmowałem. Ani Skierka. Może robić, co zechce. Podobnie jak ja.

– Jest bardzo młoda, troszczę się o nią.

Pokręcił głową.

– Jest starsza, niż można by sądzić, a o życiu wie dwa razy tyle, co niejedna dojrzała kobieta. I przeszła znacznie więcej niż chociażby Światła. Potrafi o siebie zadbać, uwierz mi, Bastardzie. A gdyby chciała twojej opieki, z pewnością by o nią poprosiła. Swoją drogą wątpię, by chciała, żebyś jej bronił przede mną.

Nie przypuszczałem, że nasza rozmowa na tym się skończy, lecz on odwrócił się i odszedł. A gdy niechętnie za nim podążyłem, zastałem z nim tylko Niestrudzonego.

– Gdzie Skierka i Amber?

– Pani Amber poszła zmienić strój. Kapitan Althea poprosiła ją, żeby z nimi popłynęła na ląd. A Skierka poszła jej pomóc. Najwyraźniej kapitanowie uważają, że pani Amber powinna być z nimi, gdy będą z admirałem Prawym dyskutować o naszej przyszłości. Załodze zaproponowano urlop. To chyba znaczy, że mogą tutaj zejść ze statku. Dwie trzecie marynarzy skorzystały.

Z miasta wypuściły się niewielkie łódki. Wkrótce proponowano nam wszystko: od świeżych warzyw po bezpłatny dojazd do „Przybytku uciech u cioteczki Róży”. Nasza załoga schodziła z pokładu, brudne worki bujały im się na ramionach, gdy pokonywali reling i znikali za burtą, by wsiąść do płaskodennych łódek o podniesionej rufie i wysoko zakrzywionym dziobie. Ten i ów podchodził do galionu, żegnając się z „Niezrównanym”. Statek traktował ich przyjaźnie, lecz pozostał nieugięty. „Werwa” wyczekująco spoglądała na każdą łupinkę odbijającą od naszych burt. Mrówka ze Świstakiem obserwowali znikających kompanów. Kitka została. Linka odeszła. Pierwszak ze swoim lichym workiem podszedł do relingu, po czym odwrócił się na pięcie, zaklął soczyście i celnym kopniakiem umieścił swój bagaż prosto we włazie do kajuty załogi. Cypros podszedł, wziął go pod ramię i podprowadził do Mrówki. Stanęli razem.

– Pójdiesz z Amber i Skierką – poleciłem Strzykowi.

– Nie byłem zaproszony.

– Amber nic nie widzi, a Skierka jest, co zapewne zauważyłeś, śliczną dziewczyną. Natomiast Łupigród to miasto założone przez piratów i wciąż niejednen z jego mieszkańców ma piracką duszę. Wiem, że nasi kapitanowie nie narażą rozmyślnie kobiet na niebezpieczeństwo, lecz w razie zagrożenia powinny móc liczyć na pomoc mężczyzny, który będzie miał na względzie przede wszystkim je obie.

– Dlaczego nie ty?

– Wysłałam cię – odparłem szorstko. W jego oczach błysnęła iskra gniewu, więc złagodziłem ton. – Chcę obserwować zdarzenia na statku. I mam do ciebie jeszcze jedną sprawę. Znajdź kogoś z ptakami pocztowymi. Najlepiej, gdyby to był jakiś bogaty kupiec, ktoś z siatką powiązań, żeby kapsułka z listem mogła być przekładana z ptaka na ptaka, aż dotrze do Koziej Twierdzy. Chcę przesłać wiadomość, że cali i zdrowi podążamy dalej.

– A czy zamierzasz – odezwał się po chwili milczenia – zdradzić, że zdaniem Błazna Pszczoła żyje? Zawiadomić o tym Ciernia, króla, Pokrzywę?

Pokręciłem głową.

– Gdy zyskam pewność, że mogę im przekazać dobre wieści, nie będę ich szczenił. A tymczasem stanowczo nie chcę, by żyli w niepewności.

Zamyślił się, skłonił głowę.

– Dobrze – odezwał się w końcu. – Zrobię, jak zechcesz. Ale chciałbym, żebyś dołączył pewną informację. A... czy w ogóle jest na statku odpowiedni pergamin?

– Zostało trochę tego, który dostałem od króla Reyna. Wyjątkowo cenny produkt... Nie wolałbyś sam napisać?

– Nie, nie. Chciałbym, żebyś zawiadomił mojego ojca, że... że robię to, co mi polecił. I... wywiązuję się z powierzonego zadania. Jeżeli się z tym zgadzasz. Zresztą możesz napisać, co chcesz. Nie będę tego czytał. Tylko przekaz mu, że nadal jestem z tobą i na twoje rozkazy. – Odwrócił wzrok. – Proszę.

– Nie przysporzy mi to trudności – powiedziałem wolno.

Wróciłem do kabiny pani Amber i starannie, drobniuteńkimi literkami, wykaligrafowałem list do Ciernia. Doskonałej jakości pergamin był niemal przezroczysty. Mimo wszystko wciąż brakowało mi miejsca, więc tylko dałem znać, że jestem zadowolony z Bastarda Czujnego, z jego pomocy. Chyba wspomniałem, iż raz i drugi odegrał niebagatelną rolę w utrzymaniu mnie przy życiu. Skończywszy pisać, dmuchałem na inkaust i powiewałem pergaminem, aż wysechł, po czym zwinąłem go ciasno i włożyłem do kościanej tubki mającej chronić go przez drogę. Na samej kości stało wkrótce: „Cierń, Kozia Twierdza, Królestwo Sześciu Księżstw”. Przesyłkę czekała długa droga. Powierzając ją speszonemu Strzykowi, nie miałem pewności, czy któraś z wcześniejszych zdołała dotrzeć do celu. Nie zapieczętowałem jej woskiem, a młody człowiek zrozumiał, że to zaproszenie do przeczytania, lecz nie zostało nam czasu na rozmowę, gdyż wszyscy już niecierpliwili się, by płynąć do Łupigrodu. Zdecydowałem, iż jemu zostawię wyjaśnienie, gdzie jesteśmy, i przybliżenie ojcu szczególnej natury żywostatku, którym podróżujemy.

Mimo że się śpieszyłem, towarzystwo musiało na mnie zaczekać. Kapitan Althea,

zanim ruszyła po drabince na pokład płaskodennej łodzi, pomachała przyjaźnie „Werwie”. Tamta z szerokim uśmiechem przyglądała się marynarzom zajmującym miejsca, jednak gdy nasza załoga odbiła od burty „Niezrównanego” i skierowała się do miasta, uśmiech na ustach galionu zgasł.

Wieczór ciągnął się w nieskończoność. Siedzieliśmy z Niestrudzonym przy stole w kambuzie, bez entuzjazmu rzucaliśmy kośćmi i leniwie przesuwaliśmy pionki na planszy. Wcale nie dbałem o wygraną, więc byłem słabym przeciwnikiem, a chłopak przyjmował to z wyraźnym niesmakiem.

Statek bez większości załogi wydawał mi się dziwnie przepastny, Rozumieniem odbierałem go jako jedną wielką pustkę. Kilku starszych stażem, między nimi Świstak, siadło przy drugim końcu stołu. Kitka coś pichciła. Wkrótce apetycznie zapachniało mięsem. Serce rosło. Gdy zawołała nas na posiłek, rozległy się zgodne pomruki zadowolenia. Od woni skwierczącego mięsa ślinka napływała do ust, ale jeszcze wspanialsza okazała się wielka misa świeżej zieleniny – strączki słodkiego zielonego groszku, szalotka i chrupiące łydgi jakiegoś nieznanego mi warzywa, zmieszane z młodą marchewką, nie większą niż mój kciuk oraz pikantną czerwoną rzodkiewką. Nałożyliśmy sobie jada na cynowe talerze. Kawałki mięsa były twarde i trochę gumowate, jednak nikt się nie skarżył. Załoga przyprawiała je białą pastą. Spróbowałem i ja. Okazała się tak pikantna, że pociekło mi z oczu i nosa. Nikt się nie zaśmiał, nikt nie zażartował.

Zjedliśmy z Niestrudzonym przy naszym końcu stołu, odsunięci od pozostałych. Kose spojrzenia nie pozostawiały wątpliwości: pamiętano, kto spowodował problemy. Tylko Świstak, widząc nas odsuniętych od reszty, najpierw ściągnął brwi, a potem usiadł pośrodku, na miejscu oddzielającym nas od załogi.

Gdy skończyliśmy jeść i Mrówka zebrała naczynia, przyłączył się do nas w grze. Chociaż nadal rzucałem kośćmi i przestawiałem pionki, tamci dwaj doskonale wiedzieli, że nie liczę się jako przeciwnik. Grali z zapałem, a ja, jednym uchem, stale łączyłem przyciszoną rozmowę pozostałych marynarzy. Najstarszy z nich wspomniał „dawne czasy”. Kilku pamiętało tamte dni, gdy „Niezrównany” został ściągnięty na głęboką wodę z plaży, gdzie przez lata sechł i tracił siły. Inni wspominali, jak to statek został włączony do floty najzwyklejszych jednostek i pomagał satrapie z Jamailli sięgnąć po władzę. Przywoływali imiona towarzyszy, którzy zmarli na pokładzie żywostatku i powierzyli swoje uczucia deskom z czarodrzewu. Krzywula, co to może nie był najbystrzejszy, ale na każdy temat miał coś do powiedzenia. Semoja, który służył do ostatniej godziny, do czasu, gdy stracił siły i zostały z niego sama skóra i kości, a potem umarł, akurat jak liny klarował. Wspominali też pewnego pirata, Kenita. „Niezrównany” był jego statkiem rodzinnym, lecz póki

Kenit żył, nikt o tym nie wiedział. Jeszcze mniej ludzi wiedziało, że Igrot, także pirat, człowiek okrutny, porwał statek oraz Kenita i obu im uczynił wielką krzywdę. Tak wielką, że Kenit usiłował podpalić żywostatek i posłać na dno już po tym, jak odzyskał z nim więź. W końcu jednak, „Niezrównany” przygarnął umierającego Kenita, przyjął go z niepowszednią łagodnością. Wielka to była zagadka i tajemnica, do tej pory rozprawiano o niej przyciszonym głosem. Skąd w tym rozwydrzonym, samolubnym statku tyle miłości?

Czy teraz, gdy stanęliśmy pod Łupigrodem, Kenit odżył w jego wspomnieniach? Rozmyślałem w milczeniu. Czyje wspomnienia zaprowadzą „Niezrównanego” do Clerres? Igrot, uznałem.

Czy myśli oraz uczynki nikczemnego pirata czają się ukryte gdzieś w głębi kości z czarodrzewu? Jak głęboko wsączyla się pamięć o ludzkiej rodzinie i załodze w smocze drewno?

Zastanawiałem się też nad tym, co czuła Althea jako kapitan jednostki, która miała już na zawsze zachować pamięć o sprawcy jej pohańbienia. Ile z okrutnego pirata było w charakterze statku, który chciał zmienić się w dwa smoki?

Bezczelowe pytania.

Niestrudzony wygrał, Świstak wstał od stołu. Wydawał się znużony, smutny i znacznie starszy niż wówczas, gdy wchodziliśmy na pokład. Powiódł wzrokiem po twarzach kompanów, uniósł kubek ze świeżą wodą.

– Razem aż po kres – powiedział, a inni przytaknęli zgodnie i wypili ten dziwny toast, który rozpałił moje poczucie winy do czerwoności. – Wezmę psią wachtę – oznajmił.

Po tonie poznałem, że nie była to jego zwykła powinność. Podejrzywałem, iż planuje spędzić czas w pobliżu galionu. A ukryty we mnie szpieg zaczął główkować, co zrobić, by usłyszeć ich rozmowę.

Gdy Niestrudzony zaproponował kolejną grę, potrząsnąłem głową.

– Muszę się ruszyć po jedzeniu – stwierdziłem.

Zostawiłem mu sprzętanie.

Oparłem się na relingu i wbiłem wzrok w pirackie miasto zagarniane przez letni zmierzch. Niebo ciemniało, przechodziło od lazuru po granat zwiastujący czerń, a pani Amber ani pozostałych wciąż nie było widać. Po jakimś czasie dołączył do mnie Niestrudzony, razem obserwowaliśmy rosnącą liczbę świateł. W mieście życie kwitło, przez wodę dobiegały do nas dźwięki muzyki, a od czasu do czasu gniewne okrzyki świadczące o ulicznych bójkach.

– Pewnie zostaną tam na noc – oceniłem w końcu, a chłopak przytaknął z beztroską miną, jakby nie miał żadnych obaw ani wątpliwości.

Wróciliśmy do kabiny pani Amber.

– Nie tęsknisz, panie, za Białym Gajem? – spytał znienacka.

– Nieczęsto o nim myślę – odparłem po chwili.

Nieprawda. Myślałem. Nie tyle o samym dworze, ile o mieszkających w majątku ludziach. O tym, jak się tam żyło, zbyt krótko.

– A ja tęsknię – wyznał chłopak cicho. – Czasami to nawet bardzo. Dobrze było wiedzieć, co będzie jutro i za dziesięć lat. Że przerosnę ojca i będą mnie zwać Najdłuższy, a jak przyjdzie czas, to go zastąpię w stajniach.

– Możesz pracować w stajniach, jeśli zechcesz.

Jakiś czas milczał, po czym wdał się w długą opowieść o tym, jak to pierwszy raz szcztokował konia, którego grzbietu nie sięgał z ziemi. Dla mnie istotne było spostrzeżenie, że już nie płakał, wspominając ojca. Gdy skończył, bez słowa obserwowałem przez okno gwiazdy nad miastem. Zdrzemnąłem się. Gdy ponownie otworzyłem oczy, jedyne światło w kabinie dawała smuga blasku księżyca, któremu niewiele brakowało do pełni. Niestrudzony spał jak kamień, ja tymczasem byłem całkowicie przytomny. Nie wiedziałem, co mnie obudziło, jednak odszukałem buty, które wcześniej beztrudno zrzuciłem z nóg, włożyłem je i wyszedłem na pokład.

Tam noc, za sprawą księżycowego blasku oraz świateł z Łupigrodu, tchnęła paletą głębokich szarości. Usłyszałem jakieś głosy, więc cicho podążyłem na dziób.

– Ciągniesz kotwicę – oznajmił Świstak.

– Odpływ mamy, a dno morza jest miękkie. – „Niezrównany” wydawał się rozdrażniony jak dziecko. – Nie moja wina, że kotwica nie trzyma.

– Będę musiał całą załogę zerwać na równe nogi, kazać podnosić kotwicę i rzucać jeszcze raz.

– Eee tam. Nie trzeba. Już teraz trzyma. Może się tylko trochę ześlizgnęła.

Stałem nieruchomo. Popatrzyłem na miasto, usiłowałem ocenić, czy statek zmienił miejsce postoju. Nie potrafiłem. Natomiast gdy spojrzałem na „Werwę”, zyskałem pewność. Odległość między dwoma żywostatkami zmalała.

– Ojej, znowu puściła. – Słowa „Niezrównanego” miały dać do zrozumienia, że mu przykro, jednak ton zdradzał wesołość.

Zbliżaliśmy się do „Werwy”. Ona, ze spuszczoną głową, chyba nie zwracała na nas uwagi. Czy spała? Czy statek z czarodrzewu potrzebował snu?

– „Niezrównany”! – rzucił Świstak ostrzegawczo.

– O, znowu – oznajmił statek.

Teraz już nie było wątpliwości. Podpływaliśmy do drugiego żywostatku.

– Wstawać, psubraty! – ryknął Świstak. Ostry gwizd przeciął spokojną noc. – Wszystkie ręce na pokład!

Rozległy się krzyki, usłyszałem tupot nóg na deskach pod pokładem.

– „Werwo”! – zawołał „Niezrównany”. – Ciągnę kotwicę, łap mnie!

Kobięcy galion obudził się, uniósł głowę, szeroko otworzył oczy. „Niezrównany” wyciągnął ramiona w błagalnym geście, a ona po chwili sięgnęła ku niemu.

– Uważaj na bukszpryt! – przestrzegła.

Udało im się uniknąć katastrofy.

Nasz statek złapał za jedną z wyciągniętych dłoni i z imponującą siłą przyciągnął się do „Werwy”. Oba kadłuby zakołysały się przy tym gwałtownie, rozległy się alarmujące okrzyki drugiej załogi. W następnej chwili „Niezrównany” objął „Werwę” ramieniem, wyraźnie wbrew jej woli.

– Nie wierć się – polecił – bo nas beznadziejnie splączesz. Mam ci coś do powiedzenia. A mówiąc, chcę cię dotykać.

– Odsuńcie go! – krzyknęła „Werwa” do załogi, daremnie zapierając się o rzeźbioną pierś „Niezrównanego”.

Świstak wykrzykiwał rozkazy, ktoś z pokładu „Werwy” wyklinał go soczyście, domagając się wyjaśnień, co z niego za idiota. Nad kakofonią ludzkich głosów rozbrzmiał gromki śmiech „Niezrównanego”, uciszając marynarzy. We względnej ciszy tym wyraźniej dał się słyszeć głos „Werwy”:

– Odsuńcie go ode mnie! – warknęła rozeźlona nie na żarty.

Nic to jednak nie dało. „Niezrównany” chwycił ją za włosy tuż przy skórze i pociągnął głowę do tyłu, aż wyprężyły się przed nim jej nagie piersi. Ku memu niebotycznemu zdumieniu pochylił się i jedną z nich pocałował. „Werwa” krzyknęła rozwścieczona i przeorała mu twarz paznokciami, lecz na nim nie zrobiło to żadnego wrażenia. Nie zwracając uwagi na galion, wolną ręką chwycił pełną garść lin z bukszprytu.

– Nie próbujcie mnie odsuwać – przestrzegł załogę. – Znikajcie z dziobu, wszyscy, ale już! Świstaku! Każ ludziom się wycofać! A wy, na „Werwie”, wracajcie do łóžeczek. Chyba że jest między wami Basałyk. Jeśli jest, przyślijcie go tutaj. A jeśli nie, zostawcie nas w spokoju!

Ponownie schylił głowę, chciał pocałować „Werwę” w usta, lecz ona chwyciła go za włosy pełnymi garściami i pociągnęła z całej siły, jakby mu je chciała wyrwać. Pozwolił jej na tę próbę, lecz gdy tylko zanurzyła palce w jego zmierzwione kędziory, zmienił je w drewno.

– Myślisz, że poczuję ból? – spytał drwiąco. – Tylko wtedy, gdy tego zechcę. Ale ale... co czujesz, gdy cię całuję? Czy przypomina ci się wściekłość Althei obezwładnionej ciężarem Kenita? Zatrzymałaś to wspomnienie czy zostało wyłącznie dla mnie? Czy tylko ja, ja sam wchłonałem jej ból, żeby zdołała dojść do

siebie? Tak jak przyjąłem w siebie cierpienie Kenita maltretowanego przez Ingrota. Czy masz wyłącznie ludzkie wspomnienia? Co czujesz, drewniana łajbo? A może jednak zostało w tobie coś ze smoka? Kiedyś pasowało ci inne imię, pamiętasz? Byłaś „Błyskawicą”! Kim jesteś? Kobieta siłującą się z mężczyzną czy smoczą królową, która rzuca wyzwanie partnerowi?

„Werwa” raptem przestała się wyrywać, rysy jej twarzy zastygły w wyrazie aroganckiej wzgardy. Nie bacząc na to, że „Niezrównany” wciąż trzyma ją za włosy, pochyliła głowę i przeszła go spojrzeniem rozjarzonym od nienawiści.

– Szalony! – wycedziła. – Parias! Czy w swoim obłędzie nie cofniesz się przed niczym? Zatopisz siebie tu i teraz, w porcie Łupigrodu? Nie jesteś odpowiednim dla mnie partnerem. Ani dla kobiety, ani dla smoczycy.

Kątem oka dostrzegłem, że załoga spuściła z jej pokładu łódź, czterech ludzi powiosłowało co sił do miasta, niewątpliwie po to, by zawiadomić kogoś i wezwać pomoc. Jeśli „Niezrównany” ją zauważył, nie zwrócił na nią uwagi.

– Pewna jesteś?

Wyczułem, że się zmienia.

– Jestem pewna – odparła „Werwa” z wyniosłą pogardą, po czym odwróciła twarz od galionu. – Czego chcesz? – spytała niskim głosem.

– Chcę ci przypomnieć, że jesteś smokiem. Nie statkiem, nie sługą ludzi, którzy na tobie pływają, nie istotą bezpłciową, zamkniętą w postaci kobiety. Jesteś smokiem. Tak jak ja.

Mówiąc, przez cały czas się zmieniał, na nowo przyjmując kształty na wpół smocze. Odruchowo zaplotłem ręce na piersi i umocniłem ochronę umysłu. Skryłem za murami Moc i Rozumienie, skurczyłem się jak zwierzyzna zagrożona przez drapieżnika. Ciemne loki na czasce „Niezrównanego” przekształciły się w pokryty łuskami smoczy grzebień, szyja się wydłużyła, wygięła. Zdumiewające. Najdziwniejsza jednak była twarz „Werwy”: kompletnie bez wyrazu. Chociaż oczy jej błyszczały jasno, obserwowała transformację bez najmniejszego grymasu. Odezwała się dopiero, gdy zmiany dobiegły końca, a magia zamarła. I ja to odczułem.

– Skąd pomysł, że zapomniałam o swoich korzeniach? I czego się spodziewasz? Że porzucę życie, o którym marzyłam, by gonić za tym, co straciłam? Co miałabym zyskać? Czy mam skazać się na los szalonego statku? Tkwić na piachu przykuta łańcuchem do brzegu, samotna, odtrącona? Czy bawić się w smoka? – Przesunęła spojrzeniem po zmienionym galionie. – Żenujące.

Na „Niezrównanym” nie zrobiło to wrażenia.

– Możesz być smokiem. Zgodnie z przeznaczeniem.

Cisza. W końcu jednak odezwała się zniżonym głosem, który mógł być wyrazem nienawiści albo politowania:

– Ty naprawdę jesteś szalony.

– Nic podobnego. Odłóż na bok ludzkie wspomnienia, zapomnij o życiu w postaci statku. Sięgnij w przeszłość głębiej, poza uwięzienie w kłodzie, przed etap węża. Pamiętasz, jak byłeś smokiem? Pamiętasz?

Wydało mi się, że znów czuję ruch magii. Może przepływała od statku do statku, od „Niezrówanego” do „Werwy”. Pochwyciłem skraj widma, trochę jakbym wyczuł zapach nieznannej potrawy. Frunąłem na skrzydłach nad lasem. Wiatr wypełnił mi żagle, mknąłem po wodzie. Leciąłem nad soczyście zieloną doliną, wzrok miałem przenikliwy, a przy tym wyczuwałem najdelikatniejszą smużkę ciepła żywej istoty. Mogłem ucztować, jeśli tylko zechciałem. Sunąłem przez wodę głęboką i chłodną, a głęboko w dole odnajdywałem znaczony cieniem ruch innych stworzeń, pokrytych łuskami, jak niegdyś ja, wolnych jak ja kiedyś. Nagle spostrzegłem, że posuwam się do przodu przyciągany przez świat skrzydeł i cudów.

Trzymaj się poza jego zasięgiem, pomyślałem niemrawo.

Czyżby wciąż jeszcze krył się we mnie Ślepun? Czy to od niego dostałem rozsądną przestrożę?

Przeszedłem w miejsce, z którego widziałem twarz „Werwy”, profil „Niezrówanego”. Tak ludzkie były ich twarze i tak obce.

– Za mało – ocenił nasz żywostatek. – Cofnij się dalej. Najdalej, jak zdołasz. Masz to. Przypomnij sobie. Pamiętaj.

Kolejne poruszenie magii. Rozumienie i Moc społy się w narzędzie ostrzejsze niż najlepszy miecz.

Kiedyś, w czasie bitwy o Wyspę Rogową jakiś przeciwnik uderzył mnie w skroń rękojęścią miecza. Nie powstrzymał mnie tym, w chwili gdy wymierzył cios, mój topór już opadał mu na bark. Chociaż nie dostałem naprawdę mocno, to jednak zadzwoniło mi w uszach i na jakiś czas świat przybrał dziwaczne barwy. Wiedziałem, że takie zdarzenie miało miejsce, jednak nigdy nie wracałem do niego pamięcią, teraz natomiast, gdy zatonałem w smoczej przeszłości, poczułem się tak, jakby Pokrzywa wciągnęła mnie w sen powstały za sprawą Mocy. Wrażenie było tak silne, że obudziło wspomnienie tamtego dawnego zdarzenia. Całkiem jakbym dostał w głowę, zatoczyłem się, zobaczyłem jeziorko lśniącego srebra, okolone brzegami z czarnego i srebrzystego piasku, dalej łąkę porośniętą czarną trawą z metalicznym połyskiem, a za nią drzewa o białych pniach i czarnych liściach. Zamrugąłem ludzkimi oczyma, próbując odzyskać widzenie w znajomych kolorach. Nie do końca mi się to udało. Zobaczyłem smoka błyszczącego soczystą zielenią,

niczym klejnot i tak samo błyszczącego.

Pojawił się na horyzoncie, najpierw mały, z chwili na chwilę rosnący, aż w końcu stał się największą istotą, jaką dotąd widziałem: większy od Tintaglii, a nawet od Lodognia. Wylądował na srebrnej tafli, wzbijając fontanny metalicznej cieczy, aż chlusnęła na czarny piasek i skały, powlekając je na krótko skrzącą warstwą. Smok wetknął w toń cały łeb i węzowatą szyję, nurzał się w niej jak łabędź. Taniec ten trwał czas jakiś, łuski nasiąkały cieczą, coraz bardziej, dzięki niej olśniewające. W końcu gad opuścił pysk i pił, długo.

Gdy po wyjściu ze stawu ułożył się dla odpoczynku na trawiastym brzegu, przez dłuższy czas patrzyłem w głębokie wiry jego ślepiów. Zobaczyłem sędziwość. I mądrość. I wspaniałość, jaka nigdy nie pokaże się w oczach człowieka. Na moment zaznałem upokorzenia, gdyż pojąłem, że patrzę na istotę, do której świetności nigdy się nawet nie zbliżę.

– Panie? Książę?

Sen przysł, pojawiło się oburzenie.

Niestrudzony ciągnął mnie za rękaw. Oczy miał wielkie i pociemniałe.

– O co chodzi, chłopcze?

Chciałem, żeby dał mi spokój. Pragnąłem na powrót zanurzyć się w świecie smoka, poznać bliżej tę istotę i dzięki niej stać się lepszym.

– Pewnie chciałbyś wiedzieć, że nasza szalupa płynie jak najszybciej, a w niej kapitanowie, pani Amber, Skierka i pan Strzyk. Ci z drugiego żywostatku też wracają.

– Dziękuję, chłopcze.

Chciałem wrócić do czarownego snu, lecz albo się skończył, albo nie umiałem trafić do jego bram. Wciąż wyczuwałem magię przepływającą między dwoma statkami, jednak nie potrafiłem się w nią włączyć. Widziałem tylko dwa galiony. Mimo bukszprytów trwały splecione w uścisku, jak para kochanków, zbyt długo pozbawionych możliwości zbliżenia. „Werwa” oparła głowę na pokrytej łuskami piersi „Niezrówanego” Oczy miała otwarte szeroko, lecz nie widziała nic. Smukłe ramiona złożyła na jego barkach. Próżno by szukać w jej twarzy wrogości czy rozterki. Ze smoczego pyska naszego żywostatku nie mogłem niczego wyczytać, widziałem jedynie, że cały czas się zmienia. Przypominało to obserwowanie topniejącego lodu na bystrej rzece. Powoli wracał do ludzkiego oblicza. Wtedy pojąłem, że widzę na jego twarzy tkliwość. Czule obejmował Altheę. Zaraz, nie Altheę, ale „Werwę” przytulał serdecznie. Raptem przypomniało mi się, jak tuliłem Sikorkę. Na chwilę odzyskałem spokój, przepełniła mnie miłość, na równi z poczuciem straty. Stałem schwytny w tę niepowszednią scenę, aż nagle usłyszałem głos Zuchwalca:

– Co się stało? Jak on się tu dostał?

– Kotwica puściła – odpowiedział Świstak z szacunkiem należnym kapitanowi.

– Prądu tu nie ma, odpływu nie było, kotwica została rzucona, jak należy – oceniła kapitan Althea. – Wobec tego zrobił to celowo. – Ton jej głosu nie pozostawiał złudzeń, że cel nie był godny pochwały.

Para kapitanów stała w bezpiecznej odległości od galionu, przyglądając się bezruchowi. Tymczasem Amber, wyswobodziwszy się spod kurateli Strzyka i Skierki, ruszyła na dziób posuwicie, jakby sama była statkiem ciągnącym kotwicę.

– Nie podchodź – odezwała się Althea, lecz jej prośba nie odniosła skutku.

Pani Amber zatrzymała się dopiero blisko galionu i zastygła w oczekiwaniu.

W końcu „Werwa” uniosła głowę z ramienia „Niezrównanego” i głęboko odetchnęła.

– Tacy byliśmy – powiedziała. – Takimi mogliśmy się stać. Jest inaczej. Może te młode smoki, te węże, które wylęgły się w Trehaugu i żyją teraz w Kelsingrze, kiedyś będą takie. Może za sto lat. Ale nie my. Na pewno nie my.

– Mylisz się. – Głos „Niezrównanego” potoczył się nieludzkim grzmotem. – Amber może zdobyć dla nas płynne srebro. A za jego sprawą zdołamy uzyskać tyle, ile należy tego, czego trzeba, byśmy zyskali właściwą formę.

Statki rozluźniły uścisk, odsunęły się od siebie odrobinę, by spojrzeć na panią Amber.

– Nie ma gwarancji – stwierdził Błazen przebrany za kobietę. – I nie złożę obietnicy, jeśli nie mam pewności, że zdołam jej dotrzymać. Jeśli chodzi o srebro, to tak, przyrzekam zrobić wszystko, co w mojej mocy, by je dla was zdobyć, jednak czy wystarczy go, by was przemienić w smoki? Tego nie wiem.

– Czego chcesz? – spytała „Werwa” gwałtownie.

– Jak to? – zdziwiła się pani Amber.

– Czego chcesz w zamian? Jestem istotą stworzoną przez Kupców. Jestem nasycona ich krwią i myślami. Ludzie nic nie dają za darmo. Pytam więc: czego chcesz?

– Niczego...

– Basałyk! – Radosny okrzyk „Niezrównanego” zagłuszył odpowiedź pani Amber.

– Basałyk na moim pokładzie, w czasie mojej ostatniej morskiej wyprawy!

Znowu miał moją twarz. Ze ściśniętym sercem patrzyłem na niego i mimowolnie zastanawiałem się, czy wyglądałem podobnie, gdy myślałem o odzyskaniu córeczki.

– Chcę odzyskać, co moje – podjął, a w jego głosie dominowały ludzkie tony. – I Niezrównanego Kenitsyna! Jego też chcę. Obiecywano mi go często, gdy Kenit

jako młodzik biegał po moich deskach. Mówił, że będzie miał syna, i da mu moje imię! Ile ja wycierpiałem przez tę rodzinę, ile bólu zaznałem...! A beze mnie w ogóle by go nie było! Chcę go tu mieć! Chcę, żeby mnie zobaczył i uznał za statek jego rodziny. Zanim przemienię się w smoki i opuszczę go na zawsze.

– Na zawsze – usłyszałem szept kapitan Althei.

Najwyraźniej w tej chwili uświadomiła sobie, że musi porzucić nadzieję, że „Niezrównany” odstąpi od swojego zamiaru albo przynajmniej utrzyma po przemianie kontakt z nią i z Zuchwalcem.

– „Niezrównany”! – rozbrzmiało z pokładu „Werwy”. Głos męski, głęboki i rozradowany.

Zobaczyłem człowieka w wieku około dwudziestu pięciu lat, z szopą kręconych ciemnych włosów i skorym uśmiechem na twarzy. Skórę miał zbrązowiałą od słońca, koszula ledwo opinała potężne barki. Każdy, kto zobaczył Altheę i Zuchwalca, od razu domyślił się w nim syna kapitańskiej pary. W wysoko uniesionej ręce trzymał latarnię i najwyraźniej niczego nie podejrzewał. Witał swój rodzimy statek z nieskrywaną radością.

– Travelvestrit! – przestrzegł go ktoś z ciemności, lecz Basałyk już zdążył odstawić latarnię i wdrapać się na bukszpryt „Werwy”.

Przebiegł po nim lekko i w następnej chwili bez wahania skoczył ku „Niezrównanemu”. Ten natychmiast puścił „Werwę”, chwycił młodego człowieka i podniósł w obu rękach w górę, jak ja swego czasu podnosiłem synów Sumiennego. I tak samo jak ja wtedy tamtych, tak i on teraz tego podrzucił wysoko w powietrze, a potem zręcznie złapał. Młody mężczyzna poddał się jak trzylatek, z głośnym śmiechem. Na koniec stanął w dłoniach „Niezrównanego”, zrobił salto w tył i z powrotem miękko na nich wylądował. Najwyraźniej w latach chłopięcych obaj lubili tę sztuczkę. Rzadko zdarzało mi się widzieć tak wielkie zaufanie między dwiema istotami. „Niezrównany” mógłby rozerwać Basałyka na pół, gdyby mu na to przyszła ochota. Najwyraźniej nie miał jednak takiego zamiaru. Trzymał mężczyznę w wielkiej drewnianej garści na wyciągnięcie ramienia i obaj przyglądali się sobie uważnie. Człowiek miał na twarzy szeroki uśmiech.

Nawet nie zauważyłem kiedy – „Niezrównany” chyba także się nie zorientował – rzucono liny ludziom w łodziach wiosłowych. Po chwili ciągnęli każdy z żywostatków, tańczące na kotwicy, w inną stronę, na bezpieczną odległość. Ciekawe, czy Basałyk miał pojęcie o tym planie. Czy „Niezrównanego” obchodziły te wysiłki? Powiedział „Werwie”, co zamierzał, dostał w połowie to, czego się domagał, a na twarzy Basałyka malowała się czysta miłość do żywostatku, bez cienia obawy. Nie dziwota, że „Niezrównany” tęsknił za młodym człowiekiem.

– Książę Bastardzie...

– Cii... – poprosiłem Niestrudzonego.

Obserwowałem Altheę i Zuchwalca. Na obu twarzach wyraźnie malowała się rozterka. Z jednej strony miłość do syna, z drugiej obawa o jego los w rękach kolosa, ale także czułość na widok niecodziennego zdarzenia. Basałyk coś powiedział, a galion odrzucił głowę w tył i roześmiał się pełnym głosem. Obserwując scenę, ledwo pojmowałem, że „Niezrównany” jest tą samą istotą, która była doskonale obojętna wobec losu własnej załogi. Podświadomie oczekiwałem, że któreś z kapitanów krzyknie do syna ostrzegawczo, lecz oni czekali w milczeniu. Pokładali ufność w młodym człowieku lub żywostatku. W którym z nich? Tego nie wiedziałem.

Gdy galion obrócił się, by odstawić Basałyka na pokład, usłyszałem słowa młodzieńca:

– Ogromnie się za tobą stęskniłem! „Werwa” jest bardzo dobrym statkiem, ale taka zawsze poważna! A z kuzyna Prawego kapitan doskonały, tylko wikt u niego niewyszukany... Ojczy! Matko! Co was sprowadza do Łupigrodu? Dlaczego nie daliście znać, że przybywacie? Nie posłaliście nawet jednego ptaka! Byłem w żaglowni, gdy przekazano mi, że powinienem jak najszybciej wracać! Gdybym wiedział, że mogę się was spodziewać, oczekiwałoby was należyte przyjęcie!

Zeskoczył z dłoni żywostatku. Galion patrzył na całą trójkę przez ramię i uśmiechał się tak szeroko, że ledwo wierzyłem własnym oczom.

– Wystarczy, że możemy się z tobą spotkać – zapewnił serdecznie Zuchwalec. – Innego przyjęcia nam nie trzeba.

Tymczasem pani Amber, przez wszystkich zapomniana, wycofała się dyskretnie. Gdy była blisko, dotknąłem jej rękawa.

– To ja, Bastard – powiedziałem cicho.

Odetchnęła z nieskrywaną ulgą i przyłgnęła do mojego ramienia, jakbym był tratwą na wzburzonym morzu.

– Czy wszyscy bezpieczni? – spytała drżącym głosem. – Nikomu nic się nie stało?

– Wszyscy są cali i zdrowi. Basałyk wita się z rodzicami, Świstakiem i paroma innymi marynarzami.

– Bałam się.

Uspokajała się z widocznym trudem.

– „Niezrównany” wydaje się spokojny – powiedziałem. – Grzeczny i miły.

– To są dwie istoty, dwa smoki. Chyba właśnie ta dwoistość doprowadza go do szaleństwa. Czasem i ja wyczuwam, że ma dwie natury. Jedna to młody wesolek, który chce za wszelką cenę przyciągać uwagę, zyskać towarzystwo. Druga... jest

zdolna prawie do wszystkiego.

– Chyba dziś widziałem je obie.

– Mamy szczęście, że Basałyk na nowo rozbudził w statku przyjazną naturę. Trudno powiedzieć, co może w złości zrobić jeden żywostatek drugiemu.

– Czy one walczą? Mogą się pozabijać?

– Żywostatek można zniszczyć ogniem. Albo zdeformować, jak to zrobiono z „Niezrównanym”. – Przechyliła głowę w zamyśleniu. – Nigdy nie słyszałam o bójce między statkami. Sprzeczkę, nawet kłótnię, zazdrość, rywalizacja... ale rękoczyn? Nie.

Zorientowałem się, że niedaleko stanął Niestrudzony i słucha. W mroku za jego plecami Skierka czekała obok Strzyka.

– Wróćmy do kajuty – podsunąłem. – Chętnie usłyszę, co zaszło na brzegu.

– Dobrze – przystała pani Amber.

Wsparała się ciężko na moim ramieniu i ruszyliśmy.

Nie dotarliśmy jednak do celu, bo zatrzymał nas Świstak.

– Mam przekazać, że kapitanowie czekają w kajucie reprezentacyjnej – powiedział. – Zapraszam – dodał uprzejmie, ale to nie była prośba.

– Oczywiście. Już idziemy.

Kiwnął głową i bezszelestnie zniknął w ciemnościach.

Przystań zniknęła przesłonięta nocą. Tylko na czubkach masztów połyskiwały latarnie, a światła Łupigrodu można było pomylić z rozsianymi na niebie gwiazdami. Popatrzyłem w górę i zatęskniłem gwałtownie za lasem, za ziemią pod stopami, za zwierzyną, którą mógłbym upolować i zjeść. Za najprostszymi przyjemnościami, dla których warto żyć.

Rozdział 17

Wężowy szlam

Królu mój, Królowo oraz Szanowna Pani Ketricken.

Dotarłam do celu i odbyłam kilka spotkań z królem Reynem oraz królową Maltą ze Smoczych Kupców. Uczestniczyła w nich również matka władcy, reprezentująca Kupców z Deszczowych Ostępów. Jej obecność była dla mnie zaskoczeniem.

Dwójka towarzyszących mi uzdrowicieli leczących Mocą wykonała kilka niewymagających zadań, pomagając miejscowym mieszkańcom. Odradziłam im podejmowanie większych wyzwań, gdyż oboje stwierdzili wyjątkowo silne oddziaływanie magii w okolicy i obawiali się o bezpieczeństwo swoich umysłów. Wzięłam pod uwagę także fakt, iż pomoc udzielona w szerokim zakresie powinna spotkać się z odpowiednią rekompensatą, a nie dostrzegam takiej możliwości.

Zarówno król, jak i królowa przyznają, że nie mają wielkiego wpływu na smoki i nie mogą rozkazać im zaprzestania napaści na nasze stada. Szczerze powiedziawszy, władcy cieszą się niezbyt wielkim autorytetem u swojego ludu, a większość decyzji podejmuje się za sprawą powszechnej zgody. Nie mam pewności, jak postępować w takiej sytuacji. Matka króla również może wypowiadać się wyłącznie w imieniu własnej rodziny i twierdzi, że interesujące nas kontrakty, to znaczy uzdrawianie w zamian za konkretne towary, muszą zostać przegłosowane przez Radę Kupców.

Mam w pamięci Waszą radę, by przy tej pierwszej wizycie okazać hojność i szczodrość, jednak w mojej opinii, jeśli zbyt wielkodusznie ofiarujemy tutejszemu ludowi to, czego tak gorąco pragnie, w ogromnym stopniu osłabimy siłę naszych argumentów niezbędnych w negocjacjach.

Utalentowani posługujący się Mocą, którzy tu ze mną przybyli, sugerują założenie na terenie Królestwa Sześciu Księstw specjalnego siedliska, gdzie moglibyśmy udzielać pomocy potrzebującym, gdyż w naszych warunkach łatwiej im zapanować nad strumieniem magii. Tutaj jego wpływ jest tak silny, że wiadomość do Was muszę wysłać ptakiem.

Za trzy dni wsiadamy na statek powrotny.

W Nadsewelu nie zostaliśmy długo, gdyż Dwalia nie miała pewności, czy ktoś nie rozpozna w nas uczestników krwawej jatki. Wciąż na nowo pytała Vindeliara, ile zapamiętał Kerf i co powie tym, którzy będą mu zadawali pytania.

– Będzie pamiętał wszystko – zapewniał ją niezmiennie z płaczem. – Nie zdążyłem kazać mu zapomnieć, bo przecież mieliśmy uciekać. Biegiem, natychmiast. Będzie skołowany, ale niczego nie zapomni i co zrobił, wszystkim opowie... jeśli go do tego zmuszą. – Potrząsnął ze smutkiem niekształną głową. – Przesłuchiwany zawsze w końcu mówi, sama mi to pokazałaś.

– A ty skamlałeś i moczyłeś się jak kundel – podsumowała mściwie.

W efekcie nie skorzystaliśmy z czarów Vindeliara, by przenocować w gospodzie. Tę noc spędziliśmy pod mostem. Oby jak najdalej od jakichkolwiek bystrych oczu. Gdy tylko słońce zaczęło rozjaśniać niebo, Dwalia kazała nam wejść do zimnej rzeki i, na ile się dało, sprać z ubrań krew. Nie byliśmy sami długo. Wkrótce pojawili się mieszkańcy, mężczyźni i kobiety, z koszami pełnymi prania. Najwyraźniej każde z nich miało swój wyznaczony kawałek kamienistego brzegu. Przyglądali się nam podejrzliwie, rozstawiając stojaki do suszenia.

Lingstra zaprowadziła nas do miasta. Ona chyba po prostu nie знаła niczego poza gwarnymi ulicami. Ja szukałabym schronienia w lesie, przynajmniej na jakiś czas, aż ludzie o nas zapomną. Ona tymczasem syczała do Vindeliara:

– Spraw, żeby nikt nie zwracał na nas uwagi.

Miała też inne życzenia.

– Wylecz mi twarz. Zlikwiduj ranę, niech nie przyciąga spojrzeń. Zrób to!

Próbował, wiem. Wyczuwałam macki jego czarów. Nie szło mu zbyt dobrze, ale w mieście portowym nie brak ludzi biednych, więc nie wzbudzaliśmy sensacji. Trzymaliśmy się z dala od pięknej gospody, gdzie straciła życie pani Akriel. Dwalia zabrała nas w najbardziej zapuszczonej części przystani, gdzie szyldy tawern były wyblakłe, poszarzałe i najeżone drzazgami, a w rynsztokach stała cuchnąca zielonkawa breja.

Przemykaliśmy ulicami chyłkiem, od czasu do czasu my we dwie siadałyśmy pod jakąś ścianą, na próżno wyciągając ręce w niemej prośbie o jałmużnę, gdy Vindeliar krążył w tę i z powrotem, szukając łatwej zdobyczy. Niektórzy ludzie są bardziej podatni na wpływy niż inni. Zbierał od takich po parę monet. Wspomagali go chętnie, a w każdym razie tak mieli to pamiętać, nawet jeśli nie przypomną sobie

powodów lekkomyślnej szczodrośliwości. Pod wieczór zebrał dość, by wystarczyło na ciepły posiłek i nocleg w taniej oberży.

W niczym nie przypominała ona gospody, do której zabrała mnie pani Akriel. Rolę wspólnej sypialni stanowił strych nad jadalnią. Znaleźliśmy sobie wolne miejsce i położyliśmy się w ubraniach. Odruchowo porównywałam te warunki z tymi, jakich spodziewałam się w przyszłości, która niemal stała się moim udziałem. Gdy nabrałam pewności, że Dwalia i Vindeliar zasnęli, pozwoliłam sobie na płacz. Chciałam przywołać w pamięci Biały Gaj – dom rodzinny i ojca, lecz jedno i drugie wspomnienie było bardziej odległe i mniej realne niż sny.

Natomiast sny, owszem, zjawiły się tej nocy, zasypały mnie niczym grad kamieni. Po każdym budziłam się gwałtownie, trawiona potrzebą, żeby wyśnione obrazy komuś opowiedzieć, zapisać, wyśpiewać... Przymus był nieodparty. Można by go porównać z odruchem wymiotnym, który musiałam stłumić – i przełknąć to, co podchodziło mi do gardła. Dwalia słuchałaby mnie z radością, ale nie miałam zamiaru sprawiać jej przyjemności. I tak sen o dwójce powolnych wołów, które wdeptały dziecko w błotnistą drogę, drugi, o mądrej królowej, która sadziła srebro i zbierała złote zboże, trzeci, o mężczyźnie gnającym na wielkim czerwonym rumaku przez lód, ku nowemu lądowi... wszystkie te sny wdusiłam z powrotem do gardła i przełknęłam. Jeżeli mówiły o przyszłości, Dwalia jej nie poznała. Czułam się chora, nieszczęśliwa, żałosna, bo nie powinnam dusić w sobie snów, jednak satysfakcja, że pozbawiam lingstrę istotnej wiedzy, warta była dowolnej katongi.

Następnego dnia byłam tak rozdygotana, że ledwo wstałam. Vindeliar spojrzał na mnie wyraźnie zatroskany, lecz Dwalia oszacowała mnie spojrzeniem bez krztyny empatii.

– Musimy wynosić się z tego miasta. I jeszcze kawał drogi przed nami – oznajmiła. – Zajrzyj w ich umysły. Sprawdź, czy ktoś wybiera się do Clerres. Albo tam był.

Vindeliar przekonał mężczyznę jedzącego chleb, żeby się nim podzielił. Dwalia wzięła pół dla siebie, drugą połówkę podała lurikowi. Ten przyjrzał się swojej porcji, po czym z żalem oddał mi z niej połowę. Nie było tego dużo, nie więcej niż moja pięść. Lepsze to niż nic, więc zaczęłam gorliwie skubać mięsz.

– Ona chyba jest chora – zauważył Vindeliar cicho.

Lingstra przyjrzała mi się z uśmiechem.

– Tak, owszem. I dobrze. Bo to znaczy, że przynajmniej częściowo mam rację.

Nie potrafiłam doszukać się sensu w jej słowach.

W miarę upływu czasu czułam się tego dnia coraz gorzej. Starłam się trzymać od Dwalii jak najdalej, na ile tylko pozwalał mi łańcuch, próbowałam spać.

Vindeliar zbierał drobne datki od przechodniów. Lingstra siedziała niczym ropucha i obserwowała mijających ją ludzi. W pewnej chwili zawołałam o pomoc. Kilka osób obejrzało się na mnie, lecz Dwalia szarpnęła za łańcuch i rzuciła:

– Jeszcze nie przywykła.

Moich pośpiesznych wyjaśnień, że zostałam porwana, nikt nie słuchał. Cóż, byłam tylko jedną z wielu niewolnic.

Jakiś mężczyzna zatrzymał się przy nas i spytał Dwalię w języku powszechnym, czy jestem na sprzedaż. Nie miał miłego spojrzenia. Lingstra odparła, że może mu mnie udostępnić za godziwą sumkę na kilka godzin, ale sprzedać nie zamierza. Przeraziłam się. Udałam, że wymiotuję, nawet zdołałam wykrztusić trochę żółci. Dopilnowałam, by mi spłynęła na pierś. Mężczyzna potrząsnął głową. Nie chciał mieć do czynienia z moją chorobą. Odszedł pośpiesznie.

Następnego dnia rozchorowałam się na dobre. W przyjemnym ciepłe pogodnego dnia leżałam skulona i dygotałam z zimna. Słońce nie pomagało. Trzęsąc się w gorączce, tonęłam w jego różowym blasku łomoczącym bezlitośnie w zaciśnięte powieki.

Wieczorem, gdy wciąż mną rzucało na najeżonych drzazgami deskach w gospodzie, Vindeliar objął mnie jedną ręką. Jego zapach był dla mnie odpychający. Nie pot i nie brud, ale jego własny zapach. Wilcze zmysły kazały mi mieć się na baczności. Próbowałam zrzucić z siebie jego ramię, lecz nie starczyło mi sił.

– Bracie, chcę cię ogrzać, pozwól – szepnął. – To nie była twoja wina.

– Moja wina? – usłyszałam własne mamrotanie.

Jasne, że nie moja wina. W ogóle w niczym nie zawiniłam.

– Ja to zrobiłem. Ja stworzyłem rozstaje, które pozwoliły ci uciec. Dwalia mi to wytłumaczyła. Stało się tak wtedy, gdy okazałem samowolę, chociaż wiedziałem, czego by sobie życzyła. W ten sposób stworzyłem dla ciebie inną ścieżkę. A ty poszłaś nią, ściągając nas wszystkich coraz dalej od jedynej właściwej drogi. Dlatego teraz musimy cierpieć, gdyż ciernisty jest szlak prowadzący z powrotem na właściwą drogę. Jak już znowu ruszymy do Clerres, wszystko będzie dobrze.

Nadal usiłowałam strząsnąć jego rękę, lecz on przyciągnął mnie bliżej. Smród mną zawładnął, przytłaczał i dusił, coraz mocniej z każdym oddechem.

– Powinieneś wyciągnąć wnioski z tej nauki, bracie – podjął. – Lepiej pogodzić się z losem, wtedy życie jest łatwiejsze. Dwalia nas prowadzi. Wiem, czasem wydaje się okrutna, jednak w rzeczywistości jest szorstka, po prostu zagniewana, bo daleko sprowadziłaś nas z właściwej drogi. Pomóż nam na nią wrócić, a wszystkim nam będzie się żyło łatwiej.

Te słowa nie pasowały ani do niego, ani do Dwalii. Może powtarzał coś, czego

nauczył się już dawno i teraz wydobył z pamięci.

Zebrałam w sobie resztki woli. Z największym trudem wypchnęłam przez usta kilka słów.

– Moja droga prowadzi do domu.

– Ano właśnie. – Poklepał mnie po ramieniu. – Masz rację, jak najbardziej. Twoja właściwa droga prowadzi cię do prawdziwego domu. Skoro już to zrozumiałeś, będzie nam znacznie łatwiej.

Nienawidziłam go. Skuliłam się ciasniej.

Chora, wściekła, bezsilna.



Zgodnie z wolą Dwalii przenieśliśmy się w inną część nadbrzeża i tam lingstra wypytywała, na prawo i na lewo, czy ktokolwiek wie cokolwiek na temat jakiegokolwiek statku zmierzającego do Clerres. Większość zaczepianych zbywała ją wzruszeniem ramion, inni traktowali ją jak powietrze. Ja, chcąc nie chcąc, podążałam za nią żałośnie skurczona, gdy tymczasem Vindeliar chodził pobliskimi ulicami, „żebrząc”. Z rozmysłem wybierał kolejne ofiary, a ja popatrywałam na niego z przykrą świadomością, że nagabywani nie mają żadnego wyboru, ponieważ kierował ich myślami. Widziałam, jak z ociąganiem sięgali do kieszeni czy sakiewki, byłam świadkiem ich zmieszania i niepewności, gdy odchodzili. Okolica nie była bogata, więc Vindeliar okazywał okradanym coś w rodzaju litości, biorąc od nich niewielkie sumy, choć Dwalia wciąż miała do niego pretensję, że nie zbiera więcej. Któregoś dnia nie wystarczyło na nocleg w gospodzie. Jeżeli do tej pory sądziłam, że nie mogę czuć się gorzej, chłodny wieczór, a potem zimna noc przekonały mnie, że grubo się myliłam: telepało mną, aż mi zęby szczękały.

Normalnie Dwalia nie zwracała uwagi na moje cierpienie, lecz tamtej nocy chyba przestraszyła się, że umrę. Co nie oznacza, że mi w jakikolwiek sposób pomogła. Jedynie skierowała swój gniew na lurika.

– Co się z tobą dzieje?! – syknęła wściekle, gdy ulice zaczęły się już wyludniać i w pobliżu akurat nie było nikogo. – Kiedyś miałeś siłę. A teraz na nic twoje mizerne starania! Swego czasu panowałeś nad oddziałem najemników, ukryłeś ich przed całym miastem, a teraz? Ledwo wyciągasz drobne od wieśniaków!

– Jestem głodny, zmęczony, nieszczęśliwy... – Pierwszy raz od bardzo długiego czasu usłyszałam w jego głosie ożywienie. – Zbyt wiele zła widziałem. Do domu daleko... Staram się ze wszystkich sił, ale potrzebuję...

– Nie! – przerwała mu Dwalia wściekle. – Nie potrzebujesz, tylko chcesz! Doskonale wiem, czego ci się zachciewa. Czy tobie się wydaje, że ja nie pojmuję, jaką rozkosz z tego czerpiesz? Widziałam, jak wywracasz oczyma, jak się ślinisz! Nie. Jest już tylko jedna i musimy ją zachować na czarną godzinę. Bo jest ostatnia. Nie zostanie nic. I nie dostaniesz więcej, nigdy. Bo nie ma skąd brać, odkąd dziewięciopalczy niewolnik oswobodził węża!

Jej słowa odbiły mi się w myślach przedziwnym echem. Jak wspomnienie doświadczenia, które nigdy nie było moim udziałem. Dziewięciopalczy niewolnik. Niemal widziałam go, gdzieś na granicy postrzegania: włosy ciemne, figura drobna, mocny siłą woli. Woli uczynienia tego, co słuszne.

– Wąż był w kamiennym basenie – powiedziałam.

To nie był sen. Nie śniłam o wężu w kamiennej misie.

– Co tam mamrociesz pod nosem? – odezwała się Dwalia ostrym tonem.

– Jestem chora – odparłam.

Często powtarzałam te słowa w ciągu ostatnich dni. Zamknęłam oczy, odwróciłam głowę. Tyle że z zamkniętymi oczyma nie panowałam nad obrazami, które tłoczyły mi się w myślach. Niewolnik, ten kruchy chłopiec, podszedł do okrągłego basenu, siłował się z ogrodzeniem z żelaznych prętów. W końcu zdołał uwolnić zdeformowanego węża. Ten wypełził z basenu, wszedł do wody. Tak, do wody, właśnie zaczął się przypływ. Jakim sposobem pamiętałam scenę, której nigdy nie widziałam? A przecież jednak miałam przed oczyma fale pochodzące pod basen. Napełniały go, chociaż nie czyściły. Wąż i niewolnik rozplynęli się w białości. Już nic nie widziałam.

Otworzyłam oczy. Wstawał świt. Chociaż znów nocowaliśmy na ulicy, wreszcie przestałam odczuwać dojmujący chłód. Wszystko mnie bolało, jak to po spaniu na twardej ziemi albo po długiej chorobie. Usiadłam powoli... właściwie chciałam usiąść, lecz mi się nie udało, bo Dwalia leżała na łańcuchu. Chwyciłam go w obie ręce i z całej siły szarpnęłam. Otworzyła oczy, wbiła we mnie nienawistne spojrzenie. Ja w odpowiedzi wyszczerzyłam zęby i warknęłam.

Wydała z siebie dziwny dźwięk przez nos, jakby prychnięcie, które miało mnie upewnić, że się mnie nie boi. Postanowiłam wobec tego, że postaram się dać jej powody do strachu i następnym razem nie zaśnie spokojnie. Z przyjemnością obejrzałam swoją ledwo zabliźnioną ranę po ugryzieniu. I zaraz spuściłam wzrok, by lingstra nie odgadła moich zamiarów.

Wstała, kopnęła Vindeliara.

– Rusz się! Idziemy. Zanim ludzie zaczną się zastanawiać, dlaczego wczoraj oddali żebrakom połowę swoich pieniędzy.

Kucnęłam i wysiusiałam się do rynsztoka. Kiedy to właściwie wyzbyłam się skromności i wstydu, a w zasadzie cywilizowanych obyczajów? Gdyby mnie teraz matka zobaczyła, to umorusane czupiradło z żałobą za poobgryzаныmi paznokciami, w ogóle by mnie nie poznała. Ubranie też było w nie lepszym stanie, bo rzeczy, które dostałam od pani Akriel szybko zniszczyłam. Na wspomnienie kobiety interesów o wielkim sercu łzy zakręciły mi się w oczach. Otarłam je, a przy tym na pewno rozmazałam brud po twarzy. Opuściwszy wzrok na dłonie, dostrzegłam na nich strzępki skóry. Strząsnęłam je z rąk. Gdy podniosłam wzrok na Dwalię, przyglądała mi się z szerokim uśmiechem.

– Prawdziwa ścieżka wie, kogo prowadzi, nawet jeśli ta smarkata nie uznaje właściwej drogi – oznajmiła z satysfakcją.

Vindeliar wydawał się kompletnie oszołomiony.

Lingstra szarpnęła za łańcuch i ruszyła zdecydowanym krokiem. Potykając się, podążyłam za nią. Zaswędziało mnie przedramię, a gdy się podrapałam, skóra zwinęła mi się pod palcami niczym pajęczyna. Nie miało to nic wspólnego ze ściąganiem naskórka spalonego przez słońce. To, co zdjęłam z przedramienia, było delikatne niczym babie lato, a warstwa pod spodem okazała się nie różowa, lecz jaśniejsza od wierzchniej. Kredowobiała.

Idąc nadbrzeżem, co chwila usuwaliśmy się z drogi ludziom z taczkami, wózkom ciągniętym przez osły, tragarzom niosącym na barkach wielkie bele. Dwalia wiodła nas do rzędu straganów. Gdy owionął mnie zapach jedzenia, żołądek podszedł mi do gardła, mało się nie udusiłam. Długie dni nie czułam głodu, lecz teraz owładnął mną bezlitośnie, aż zawirowało mi w głowie, aż zaczęłam się trząść. Lingstra zwolniła, nabrałam więc nadziei, że i ona jest głodna, może zechce kupić coś do jedzenia. Niestety nie taki miała zamiar. Po chwili stanęliśmy w szybko rosnącej grupie ludzi gromadzących się wokół wysokiego mężczyzny o szerokich barach stojącego na wozie. Na głowie miał wysoki kapelusz w barwne pasy. Sterczący kołnierz płaszcza sięgał mu aż do uszu i także był w paski. Nigdy nie widziałam podobnego stroju. Za nim, również na wozie, stała drewniana szafka, właściwie komoda, z mnóstwem maleńkich drzwiczek, w równych rzędach, a każde w innym kolorze. Były na nich wyrzeźbione tajemnicze symbole. Nad głową mężczyzny zwisały z drewnianej ramy dzwonki oraz barwne apaszki. Ponieważ od wody stale powiewała bryza, dzwonki nieustannie dźwięczały, a szarfy tańczyły na wietrze. Nawet potężny siwek, czekający cierpliwie w uprzęży, miał dzwonki i wstążki wplecione w grzywę. Takich dziwów jeszcze nie widziałam!

Zapomniałam o głodzie. Jakież to cuda sprzedaje taki handlarz? Odnosiłam wrażenie, że wszyscy zadają sobie to pytanie.

Odezwał się w jakimś obcym języku, po czym niespodziewanie przeszedł na powszechny.

– Zapraszam, zapraszam bliżej, gdyż dla każdego mam przepowiednię. Radę, wskazówkę, pouczenie, które pomoże wybrać najlepszą ścieżkę w życiu. Przywiozłem te mądrości z daleka! Żal ci płacić srebrem? Za taką wiedzę? Głupcze! Gdzież indziej dostaniesz za cenę srebra mądrość, szczęście i powodzenie? Nie wiesz, czy się żenić? Czy żona obdarzy cię potomkiem? Czy sadzić w tym roku, czy też raczej siać? Podejdź bliżej, łap okazję! Dowiedz się, zdobądź pewność! Wystarczy przycisnąć srebrną monetę do czoła, a potem przekazać ją do mnie, razem z pytaniem. Moneta mi podpowie, które drzwiczki otworzyć. Śmiało, kto pierwszy? Kto chce znać odpowiedź? Komu potrzebna rada?

Dwalia wydała dziwny dźwięk z głębi gardzieli, trochę jak warczący kot. Zerknęłam na Vindeliara. Oczy miał jak spodki. Zauważył moje spojrzenie.

– Naśladuje poślednich wróżbiarzy z Clerres, tych, co to Rada Czworga ich posyła. To zabronione. Hochsztapler!

Dwie osoby, stojące w pobliżu, przyjrzały mu się uważniej. Vindeliar spuścił wzrok i umilkł. Wysoki mężczyzna nadal zachwalał swoje usługi, przeplatając dwa języki. W pewnej chwili jakaś kobieta zamachała do niego, pokazując monetę. Gdy przyzwalająco skinął głową, przycisnęła ją do czoła, a następnie mu podała. Przyjął datek z uśmiechem, zapytał o coś kobietę, a ona mu odpowiedziała.

– Oto padło pytanie – odezwał się handlarz głośno, w języku powszechnym – czy matka i siostra przyjmą tę panią z otwartymi ramionami. A droga do nich daleka.

Przycisnął monetę do swojego czoła, po czym, trzymając ją w palcach, uczynił ręką kilka zawiłych gestów przy komodzie. Wyglądało to tak, jakby moneta rzeczywiście kierowała jego dłoń do wybranej przegródki. W końcu jedną otworzył i ze środka wyjął orzech. Zaskoczyło mnie to. Orzech był złoty lub na złoto pomalowany. Wróżbiarz uderzył się nim między brwiami, jakby chciał stłuc jajko. I podał kobiecie. Przyjęła dar z wahaniem. Otworzyła powoli. Rozdzielił się na dwoje, równiuteńko, jak przepołowiony nożem. Kobieta, zauroczona, wyciągnęła ze środka wąski pasek papieru. Był biały, lecz na krawędziach naznaczony kolorami: żółtym, niebieskim, czerwonym i zielonym. Przyjrzała mu się, po czym oddała handlarzowi, wyraźnie o coś prosząc.

– Przeczytaj! – Tłum jak echo powtórzył jej życzenie. – Przeczytaj!

Jasnowidz wziął papier z rąk klientki. Miał piękne dłonie, a z odczytywania przepowiedni zrobił całe przedstawienie. Z pietyzmem rozwinął papierową tasiemkę, uważnie przyjrzał się wypisanym na niej literom. Tłum napierał.

– Ach, mamy dobre wieści! Doskonałe wieści! Pytałaś, moja pani, czy ruszać

w daleką drogę, a oto i odpowiedź: „Idź ze słońcem i ciesz się podróżą. U celu czeka na ciebie suto zastawiony stół i miękkie posłanie. Twoje przybycie wniesie do domu radość”. Proszę bardzo! Pakuj się i ruszaj! Teraz już masz pewność! Proszę państwa! Kto następny?! Kto chce wiedzieć, co go czeka? Warto za pewność zapłacić srebrem!

Tym razem jakiś młody człowiek zamachał do wróżbity, a ten ponownie uraczył nas przedstawieniem godnym najprzedniejszego lalkarza, nim w końcu wyjął przepowiednię ze złotego orzecha. Odpowiedź dobrze wróżyła planowanym oświadczeniom, więc młody mężczyzna odstał od wozu z uśmiechem na twarzy. Pojawiły się nowe monety, niektórzy chętni gwałtownie machali rękoma. Handlarz przyjmował srebro, a Dwalia obserwowała scenę zmrużonymi oczyma, podobna do kota wpatzonego w mysia dziurę. Nie wszystkie wróżby okazały się pomyślne. Jakiś człowiek na pytanie o zbiory dostał odpowiedź, że powinien oszczędzać i odłożyć w czasie planowany zakup. Był wstrząśnięty.

– Przyjechałem tu dzisiaj kupić konia do pług – obwieścił wszem wobec. – Ale jednak zaczekam z tym wydatkiem.

Para starająca się o dziecko, mężczyzna rozważający, czyby nie sprzedać ziemi, kobieta, która chciała się upewnić, czy jej ranny ojciec wyzdrowieje... Niesłychane, ilu ludzi chciało wiedzieć, co im przyniesie przyszłość. Raz, a potem drugi, handlarz, przycisnąwszy monetę do czoła, uczynił ręką znajome gesty, lecz w końcu ściągnął brwi i oddał pieniądz.

– Nie prowadzi mnie – stwierdził. – Potrzebna jest większa moneta.

Ku memu zdumieniu osiągnął swój cel. Zdawało się, że człowiek, który już podjął decyzję, nie zejdzie z raz obranej ścieżki. Jedni czytali odpowiedzi głośno, inni pochylali się nad papierową wstążką i poznawali jej treść sami. Tym, co nie umieli czytać, wróżbita obwieszczał przepowiednie na głos. Otwierał drzwiczki za drzwiczkami, a chętnych nie ubywało. Nawet ci, co już poznali swoje przeznaczenie, zwlekali z odejściem, chcieli wiedzieć, co inni usłyszą.

Dwalia przesunęła nas na skraj grupy.

– Zapanuj nad nim – szepnęła do Vindeliara.

– Nad którym nim? – zdziwił się.

Miała ochotę mu przyłożyć, ledwo się powstrzymała. Nie chciała odwracać uwagi gapiów od handlarza.

– Nad tym – odparła przez zaciśnięte zęby – co sprzedaje fałszywe przepowiednie.

– Aha.

Vindeliar przyjrzał mu się z uwagą. Wysunął macki czarów. I nic nie działo. Handlarz był zbyt silny na wątłe nitki magii lurika. Wyraźnie czułam kształt, jaki

wróżbiarz utworzył w świecie, i ku swemu zaskoczeniu dostrzegłam lśniąca w nim jakąś magię. Nie posyłał jej nigdzie dalej, po prostu spowijała go podobnie jak żywe barwy jego ubioru i tak jak one przyciągała do niego ciekawskich. Sięgnęłam ku niemu, nacisnęłam leciutko. Zdziwił się i zaciekawiał. Opuściłam. On tylko przyciągał ludzi. Pewnie nawet nie wiedział, że to robi.

Spojrzawszy na lurika, zorientowałam się, że patrzy na mnie jakoś dziwnie. Odwróciłam wzrok, podrapałam się pod kołnierzem. Nie zamierałam dotykać cudzej magii, zrobiłam to nieumyślnie. A Vindeliar zorientował się w sytuacji, niebacznie wzbudziłam jego podejrzliwość.

Handlarz akurat gestykulował, żywo, dłoń nakazała mu otworzyć drzwiczki z wyrzeźbionym na nich ptakiem. Udawałam pochłoniętą przedstawieniem.

– Nie da się – powiedział Dwalii lurik. Skurczył się, nim jeszcze podniosła na niego wzrok. – Nie ma do niego dojścia.

– To zrób.

– Nieee mooogę – odparł, przeciągając słowa.

Przez chwilę lingstra trwała w milczącej wściekłości, potem nagle chwyciła go za rękaw i przyciągnęła do siebie, tak blisko, jakby miała zamiar go ugryźć.

– Wiem, czego chcesz – syknęła jadowicie. – Doskonale wiem. A teraz posłuchaj mnie uważnie, ty degeneracie. Ty żałosny potworze... ani z ciebie człowiek, ani Biały! Została jedna porcja! Jedna! Jeżeli zużyjemy ją teraz, nie zostanie na później nic, a może się zdarzyć, że bez niej nie przetrwamy! Dobrze ci radzę, znajdź dostęp do tego cwaniaka. I to już! Bo cię zabiję! Przysięgam! Skoro jesteś bezużyteczny, zostawię cię, żebyś zgnił! – Odepchnęła go.

Na moich oczach twarz Vindeliara kurczyła się, jakby każde słowo było strzałą i zrobiło w nim dziurę. Wierzył Dwalii bezkrytycznie. Ja także. Wiedziałam, że jeśli ją zawiedzie, zginie z jej ręki. Nawet nie zastanawiałam się, jak ani kiedy, wystarczyła mi pewność, że tak się stanie.

I nagle myśl potężna jak cios: wtedy zostanę z nią sama.

Pierś lurika uniosła się i opadła, szybko, gwałtownie, raz, drugi, trzeci. Oddychał z trudem. Był przerażony. Bez zastanowienia wzięłam go za rękę.

– Postaraj się – rzekłam cicho. – Postaraj się, bracie.

Popatrzył na mnie oczyma zokrąglonymi ze zdumienia.

Na Dwalię nie mogłam spojrzeć. Nie potrafiłam. Czy nasz żałosny sojusz budził w niej szyderstwo? Czy radował ją nasz strach? Nie chciałam wiedzieć.

Tłusta dłoń Vindeliara zamknęła się na moich palcach. Była ciepła i wilgotna, równie dobrze mogłabym wsadzić rękę komuś w usta. Ledwo pokonałam odruch, by wyrwać się z jego uścisku, ale nie mogłam wzbudzić w nim jakichkolwiek

wątpliwości. Z drzeniem wciągnął powietrze, czułam, że stara się uspokoić. Czułam też, jak zbiera magię. I nagle uświadomiłam sobie, że niezależnie od tego, co sądzi Dwalia, to jest magia Przezornych. Ledwo powstrzymałam gniew: jak on śmiał ukraść tę zdolność?! I jak tego dokonał?

Pchnął bulgoczące czary w handlarza.

Nie sposób zliczyć, ile razy byłam świadkiem korzystania z tej magii. Robił to mój ojciec, robiła siostra. Oboje czynili podobnie: jakby najostrzejszym nożem, jaki można sobie wyobrazić, celowali w stronę osoby, którą chcieli zranić. Tymczasem Vindeliar wydymał wargi, po czym je wciągał, całkiem jakby zamierzał handlarza opluć nabraną w usta wodą. Jakim sposobem panował nad księciem Ellikiem i jego ludźmi? Dysponując taką tandetną Mocą? Może wtedy był silniejszy? Na tyle silny, że nie potrzebował odnawiać swojego talentu? Może różnica wyglądała podobnie jak przy uśmiercaniu mrówki: albo się ją rozgniała palcem, albo miądzę, waląc cegłą.

W końcu czary lurika flegmatycznie ruszyły do wróżbiarza. Gdy do niego dotarły, opłynęły go od stóp do głów... ale nic więcej, gdyż on był tak pełen samego siebie, tak promieniał entuzjazmem, że nic nie poczuł! Magia zsunęła się z niego i cofnęła. Poczulałam to tym łatwiej, że moja dłoń ginęła w ręku Vindeliera. I za sprawą tej dłoni wyczułam też, jak traci on pewność siebie. W miarę jak otulała go rozpacz magia traciła na sile.

– Dasz radę – szepnęłam.

Pragnęłam, by zebrał się w sobie, odzyskał wiarę we własne siły, spróbował raz jeszcze.

Zdarzyło się kiedyś, że spadłam z drzewa. Z rozkrwawionym łokciem pobiegłam do matki. Nie miałam pojęcia, że znacznie więcej krwi leci mi z nosa. Magia, która się ze mnie wydobyła i przeszła przez Vindeliera, przypomniła mi tamtą scenę. Nie zdawałam sobie sprawy, że tracę coś ważnego, póki nagle nie odczułam skutku. Oto Vindeliar zebrał tyle magii, ile zdołał, i pchał ją ku wróżbiarzowi, jakby toczył ciężki, niekształtny głaz. A wówczas moja magia, tak podobna do talentu ojca i siostry, że bez najmniejszych wątpliwości rozpoznałam ją jako swoją, wspomogła jego czary i je poprowadziła. Raptem z wysiłkiem toczony kamień zmienił się w świetnie wymierzony, błyskawicznie lecący pocisk.

Zobaczyłam, jak dosięgnął kupca, bo gdy z jego ust płynął strumień pogodnych słów, niespodziewanie zamilkł, a oczy wypełniła mu pustka. Vindeliar nakazał mu: „Spełnisz wszelkie życzenia Dwalii”. Imię zostało wsparte wizerunkiem i przeświadczeniem o wartości tej osoby. Kobieta ważna i mądra, należało spełniać jej polecenia. Trzeba było czuć przed nią respekt, a nawet się jej obawiać. Handlarz

przesunął wzrokiem po gapiach i klientach, odnalazł lingstrę. Przyjrzał się jej z nieskrywanym podziwem. A ona łaskawie skinęła głową.

– Wiedziałam, że dasz radę – mruknęła do lurika – jeśli tylko się postarasz.

Mglisty chłopiec puścił moją rękę, obie dłonie przycisnął do ust niebotycznie zdumiony własnym osiągnięciem. Handlarz tymczasem wrócił do swojego przedstawienia, z werwą podjął sprzedawanie złotych orzechów i wspaniałych przepowiedni, a ludzie kupowali je, jeden za drugim, aż w końcu wszystkie drzwiczki komódki stały otworem, nie zostało za nimi nic. Wówczas mężczyzna oświadczył zebrany, że skończyły się przepowiednie na sprzedaż i tego dnia więcej ich nie będzie, więc ludzie rozeszli się z wolna, wciąż podekscytowani, zadziwieni, rozgadani... Ten i ów ciągle jeszcze tkwił z nosem w długim pasku opowieści o przyszłości.

Staliśmy w miejscu, póki nie odeszli ostatni gapie. Handlarz w tym czasie zerkał na Dwalię. Nie jeden raz. Spoglądał co chwilę, przez cały ten czas, gdy zamykał drzwiczki precudnej komódki. Potem zszedł z wozu. Koń obrócił ku niemu łeb i parsknął, lecz on, nie zwracając na zwierzę uwagi, ruszył ku nam. Na twarzy miał wymalowany wyraz zdumienia. Dwalia patrzyła na niego bez uśmiechu, Vindeliar wycofał się za nią, a ja postąpiłam tak samo, lecz jeszcze oddaliłam się na ile mi pozwolił łańcuch.

– Jesteś niegodziwcem – odezwała się Dwalia.

Mocne pierwsze słowa. Mężczyzna stanął jak wryty, wbił w nią wzrok, odebrało mu mowę. Usta miał wykrzywione, wyglądał jak chory.

– Wykradłeś z Clerres orzechy z prorocत्वami – podjęła lingstra. – Doskonale wiesz, że to niedozwolone. Ci, co tam kupują przepowiednię, zdają sobie sprawę, że musi być ona w domu przechowywana na honorowym miejscu i otaczana czcią. Nie wolno jej oddać komuś innemu ani odsprzedać. Ty, nie wiadomo skąd, miałeś ich dziesiątki. Nie zdołałeś mnie oszukać. Twoje przedstawienie z uderzaniem orzechów, by je otworzyć, nie zamydliło mi oczu. Orzechy były już pootwierane, a znajdujące się w środku odpowiedzi trafiały do tych, co za nie dobrze zapłacili. Skąd je wzięłeś? Ukradłeś?

– O nie! Nie! Jestem uczciwym kupcem! – Wydawał się przerażony oskarżeniem o złodziejstwo. – Ja kupuję, ja sprzedaję! Mam przyjaciela żeglarza, on mi przywozi towary niespotykane. Nieczęsto zawija do tego portu, ale skoro już się zjawia, dostarcza mi łupiny złotych orzechów i prorocтва, które się do nich wkłada. Jestem tu znany z wyjątkowej oferty, takiej, jak przepowiednie stworzone przez blady lud. Sprzedaję je od lat. Jeśli jest w tym jakieś przestępstwo, ja go nie popełniam. Ja tylko kupuję i sprzedaję. Chętnym, którzy wiedzą, że srebro, to niewygórowana

cena za takie osobliwości!

Dwalia popatrzyła na lurika. Ten miał rozszerzone oczy i z całej siły pchał magię ku handlarzowi. Czułam to całkiem wyraźnie. Paraliżowało go to zajęcie, niczym mokre ubranie, lecz udało mu się lekko skinąć głową. Lingstra uśmiechnęła się, a przy tym ślad po ugryzieniu upodobił się do jakiegoś ohydneho stworzenia pełzającego po twarzy.

– Doskonale wiesz, że źle postąpiłeś – podjęła Dwalia. – Musisz oddać mi srebro zdobyte oszustwem, bo ja przychodzę od bladego ludu, od Białych i od Rady Czworoga. Całe srebro zdobyte szalbierstwem. A ja będę ich błagała, by ci wybaczyli. I jeszcze podasz mi imię swojego przyjaciela oraz nazwę statku, którym tu przyплыł. O łaskę dla niego również będę błagać.

Handlarz patrzył na nią. Zważył w ręku sakwę pełną srebra. Policzyłam szybko drzwiczki w komodzie. Było ich czterdzieści osiem. Innymi słowy, czterdzieści osiem srebrnych monet, niektóre większe niż inne, bo przecież nie zawsze przyjmował pierwszy dar. Duża suma, jeśli tutaj srebro warte było tyle, co w Księstwie Kozim. Wróżbita, nie spuszczać wzroku z Dwalii, przechylił głowę, po czym niespodziewanie nią potrząsnął.

– Dziwna z ciebie żebraczka. Oskarżasz mnie o kradzież, po czym usiłujesz obrabować. Właściwie nie wiem, dlaczego w ogóle się do ciebie odzywam. Może dlatego, że jutro biorę ślub, a stare przysłowie mówi, że jeśli dzień przed tym uroczystym wydarzeniem człowiek zapłaci, choć nie jest winien, w życiu nie będzie miał długów. Tak. Masz, to dla ciebie. Płacę, choć nie jestem winien.

Wsunął dłoń do sakwy, wyjął ze środka jedną srebrną monetę. Ścisnął między palcami i nagle pstryknął ją w powietrze. Dwalia rzuciła się za jasnym krążkiem, nie złapała, pieniądz spadł na ziemię. Vindeliar schylił się po niego, chciał jej podać, lecz ona stanowczo postawiła nogę na monecie. Wróżbiarz odwrócił się od nas i ruszył do konia.

– Wstydz się, kobieto – rzucił, nawet się nie oglądając. – Daj temu dzieciakowi coś do jedzenia. A jeśli masz serce, zdejmij małej łańcuch i znajdź jej jakiś dom.

Dwalia kopnęła lurika. Mocno. Przewrócił się na bok, ledwo łapał oddech.

– Nazwa statku! – krzyknęła do obojga.

Vindeliar desperacko pchnął we wróżbitę magią. Zabolał go ten wysiłek, czułam wyraźnie. Handlarz właśnie wsiadał na kozioł.

– „Róża Morska” – rzucił przez ramię.

Ujął lejce, potrząsnął nimi, a koń posłusznie ruszył.

Czy handlarz w ogóle wiedział, że się do nas odezwał?

Dwalia schyliła się, podniosła monetę. Już stała z powrotem wyprostowana, gdy

Vindeliar dopiero zaczął gramolić się na nogi. Kopnęła go ponownie.

– Nie myśl sobie, że już po wszystkim – warknęła.

Szarpnęła łańcuch, aż krzyknęłam. Jakby tego było mało, dla dopełnienia wstydu, z oczu popłynęły mi łzy. I tak wlokłam się za nią, szlochając w głos, a za mną ciągnął Vindeliar, podobny do zbitego psa.

W końcu rzeczywiście kupiła nam jedzenie. Najtańszy, suchy chleb. A dla siebie wyśmienity, pachnący, smakowity i puszysty pasztecik z mięsem oraz warzywami. Sokolim wzrokiem śledziła każdy gest kupca wydającego resztę, starannie ukryła monety w fałdach stroju. Jadła w drodze, więc i my byliśmy zmuszeni zrobić to samo. Brakowało mi wody do tego suchego chleba, lecz nie zatrzymała się przy ogólnie dostępnej studni, którą mijaliśmy. Poprowadziła nas prosto na nadbrzeże.

Przystań była wielkim kręgiem spokojnej wody, z pomostami wyciągniętymi na niej niczym palce. Największe statki kotwiczyły nieco dalej, w zatoce, obsługujące je łodzie wiosłowe, transportujące ludzi oraz towary, przywodziły na myśl wielonogie owady. Blżej nas mniejsze statki, przycumowane w dokach i przy kejach, tworzyły ścianę kadłubów zwieńczoną lasem masztów, oddzielając nas od otwartej wody. My, trójka żebraków, wepchnęliśmy się do świata wyładowanych towarami wózków, robotników portowych i bogatych kupców, zapraszających się wzajemnie na szklaneczkę herbaty, kieliszeczek wina lub na dyskusję o najnowszych osiągnięciach w handlu.

Brnęliśmy między nimi, ledwo powłócząc nogami, niewidzialni, niedostrzegalni albo wyklinani i obrzucani obelgami za tamowanie ruchu czy stawanie komuś na drodze. Dwalia wciąż na nowo powtarzała jedno:

– „Róża Morska”. Gdzie jest „Róża Morska”? – rozpytywała na prawo i lewo. – Szukam „Róży Morskiej”.

Nikt jej nie odpowiadał. Ten, czy ów ledwie pokręcił głową, dając znać, że nie zna statku. W końcu jednak nadeszła ta chwila: Vindeliar pociągnął lingstrę za rękaw i wskazał wąską przestrzeń między dwoma statkami. Za nimi, w zatoce, stała na kotwicy piękna jednostka. Na dziobie, w miejscu galionu, miała bukiet kwiatów z wielką czerwoną różą pośrodku. Kadłub długi i mocny. Największy statek w przystani.

– Może to tamten? – podsunął lurik niepewnie.

Dwalia znieruchomiała w ludzkim strumieniu i szczegółowo zbadała odkrycie wzrokiem. Gołe maszty celowały w niebo, załoga biegała po deskach zajęta obowiązkami, których nie rozumiałam. Akurat podpłynęła do burty łódź z sześcioma mężczyznami przy wiosłach. Ostrożnie spuszczone na nią słusznych rozmiarów skrzynię, po czym zszedł do niej jakiś mężczyzna.

Ktoś na mnie wpadł, sklął mnie w obcym języku. Przysunęłam się bliżej do Vindeliara, on przyłgął do Dwalii. Ona trwała nieporuszona, jakby nieświadoma, że zatrzymujemy ruch.

– Musimy sprawdzić, dokąd płyną – stwierdziła niegłośnie.

Gdy łódź wypuściła się w drogę powrotną, lingstra zniecka ruszyła truchtem. Oczywiście musiałam dotrzymać jej kroku. Niełatwo było stwierdzić, dokąd zmierza, widok zasłaniały przycumowane do nadbrzeża statki, porozstawiane wzdłuż niego skrzynie, poukładane na nim bele. Śpieszyliśmy przed siebie, trochę na ślepo, ja boso, więc każdy krok odczuwałam boleśnie – i na nierównych kamieniach, i na deskach najeżonych drzazgami. W pewnej chwili zaczęłam o coś paluchem, zdałam sobie paznokieć. Poleciała krew. A gdy Dwalia skoczyła tuż przed jakimś wozem, o włos uniknęłam stratowania, poczułam na głowie gorący oddech koni. Zwierzęta szarpnęły uprząż, zarzuciły łbami, furman zaklął wściekle i puścił za mną wiązanek grubych słów.

W końcu stanęliśmy na kei, na jednym z palców sięgających w morze. Bezkresne niebo znaczyły ruchome punkty – rozkrzyczane mewy. Wiatr dmuchał mi w twarz, targając ubranie i włosy. Podniosłam dłoń i przeciągnęłam po nich zdziwiona, że tak bardzo urosły. Czy naprawdę minęło już tyle czasu od dnia, gdy oboje z ojcem obcięliśmy włosy na znak żałoby po śmierci matki? Wydawało się, że to było zaledwie wczoraj. A jednocześnie przed laty.

Vindeliar i ja staliśmy jak dwie kukły, gdy tymczasem Dwalia krążyła w tę i z powrotem, przy każdym kroku pociągając za łańcuch. Wreszcie łódź znalazła się blisko.

– Czy płwacie na „Róży Morskiej”? Jesteś, panie, jej kapitanem?

Elegancko ubrany mężczyzna, który siedział wygodnie rozparty obok skrzyni, obrzucił Dwalię spojrzeniem pełnym niechęci. Wykrzywił wargi, jakby z odległości czuł, że cuchniemy. Gdy żeglarze zaczęli cumować łódź, wstał – nie bacząc na rozchybotany pokład. Szybko poszedł w ruch żurawik, kapitan dopilnował przeniesienia skrzyni na keję, a następnie wspiął się po drabinie. Gorączkowe pytania lingstry zignorował, jakby była ona jeszcze jedną wrzeszczącą mewą. W ogóle nie zwracał na nas uwagi. Wytarł dłonie o czarne spodnie, poprawił krótki ciemnozielony płaszcz zdobiony dwoma rzędami srebrnych guzików na froncie i przy mankietach. Pod spodem miał koszulę w nieco jaśniejszym odcieniu, z kołnierzem nabijanym klejnotami. Był przystojny i piękny urodą modrosójki. Wyjął z kieszeni niewielkie naczynko, otworzył je, potarł zawartość palcem i rozsmarował ją na ustach. Przez cały ten czas leniwie wodził wzrokiem po ruchliwym nadbrzeżu, patrząc nad naszymi głowami, jakbyśmy w ogóle nie istnieli.

Jego marynarze nie byli tak wstrzemięźliwi. Gromkie okrzyki, w których pobrzmiwały trwoga, zdumienie i niewybredne żarty, były zrozumiałe w każdym języku. Jedna z kobiet stanęła za Dwalią i przedrzeźniała ją, naśladując jej postawę, wykrzywiając twarz, gestykulując, jak osoba niespełna rozumu. Jakiś starszy marynarz szturchnął ją w żebra, pokręcił głową z dezaprobatą, po czym sięgnął do kieszeni i podsunął Vindeliarowi garść drobnych monet. Ten spojrzął pytająco na Dwalię, lecz skoro lingstra, nie zwracając na niego uwagi, wciąż wykrzykiwała te same pytania, przyjął datek w skulone dłonie. Na tym załoga z nami skończyła. Odeszli, pewni siebie, roześmiani, zadowoleni. Tylko jeden został, na wodzie, najwyraźniej wyznaczony do pilnowania łodzi. Lingstra obrzuciła odchodzących wiązką przekleństw, po czym odwróciła się do Vindeliara i z półobrotu chlasnęła go w twarz z taką siłą, że monety podskoczyły mu w dłoniach, niektóre spadły na deski i przez szpary potoczyły się do wody. Mimo łańcucha udało mi się dwie złapać. Jakoś znajdę sposób, żeby wymienić je na coś do jedzenia. Dam radę.

Dwalia nie poprzestała na wymierzeniu jednego policzka. Zaczęła okładać Vindeliara pięściami i kopać. Skulił się, osłonił głowę. Wydobywały się z niego zduszone okrzyki bólu. Chwyciłam łańcuch obydwoma rękoma, pociągnęłam z całej siły i wyrwałam z jej dłoni. Smagnęłam ją żelazem, dwa razy. Zachwiała się, zatoczyła, lecz wbrew mojej nadziei nie wpadła do wody. Obróciłam się na pięcie i biegiem wystrzeliłam przed siebie. Łańcuch grzechotał za mną na deskach.

Chociaż spodziewałam się tego, co musiało nastąpić, to nie byłam przygotowana na tak dojmujący ból, jaki mną targnął, gdy ktoś mocno przydepnął ogniwa. Straciłam dech. W oczach stanęły mi łzy. Chwyciłam się za gardło i odwróciłam gotowa stawić czoło Dwalii. A to był Vindeliar. To on mnie zatrzymał. Twarz miał czerwoną od ciosów, a jednak spełnił polecenie lingstry. Dwalia, zasapana i wściekła, była o krok za nim. Podniósł na nią wzrok, żałośnie wiernopoddańczy, i podał jej łańcuch.

– Nie! – krzyknęłam.

Nic z tego. Już miała w rękach żelazne ogniwa. Szarpnęła w prawo, potem w lewo. Przed oczyma rozbłysły mi snopy światła. Upadłam. Kopnęła mnie raz, potem drugi, w szaleństwie pasji dyszała głośno.

– Wstawaj! – rozkazała.

Wiedziałam, że mnie zabije. Nie od razu, nie teraz, ale po trochu, przez brutalne traktowanie. Miałam co do tego pewność, jaką daje proroczy sen. Zginę z jej ręki, a razem z moim życiem przepadnie przyszłość, która powinna się wydarzyć. Bo to ja byłam przyszłością, którą chcieli zniszczyć przez schwytnie i uwięzienie nieoczekiwane syna. Oszło mi ta myśl. Czy kryła się we mnie od zawsze,

wyzwolona teraz przez zachowanie Dwalii? Zrobiło mi się niedobrze. To nie sen przemknął mi przed oczyma w postaci błysku, oślepiającego niczym blask słońca. To była przyszłość. Musiałam znaleźć drogę do właściwej formy zdarzeń. I byłam zdecydowana wykryć ją za wszelką cenę. Odszukać ją lub zginać, szukając.

– Wstawaj! – powtórzyła Dwalia.

Podparłam się na rękach, uklękłam, dźwignęłam na nogi i chwiejnie stanęłam.

Lingstra z nienawistnym warknięciem wsunęła dłoń za koszulę na piersiach, a gdy ją wyjęła, trzymała coś w zaciśniętej pięści. Vindeliar zadygotał. Cały zmienił się w spojrzenie skupione na tym jednym punkcie. Dwalia zmierzyła go władczy, okrutnym wzrokiem. Powoli rozwarła palce. Ujrzałam szklaną rurkę z jakimś matowym płynem.

– Jesteś słaby. – Lingstra pokręciła głową z bezbrzeżną pogardą. – Niewyobrażalnie słaby. Skoro jednak mam do dyspozycji tylko łopatę ze złamanym trzonkiem, a muszę wykopać dół, muszę ją naprawić. Dlatego podaruję ci siłę, po raz ostatni. Ostatni raz daję ci szansę na odkupienie win. Jeżeli zawiedziesz mnie ponownie, choćby w najdrobniejszej sprawie, to będzie twój koniec. – Zamknęła naczynie w dłoni. – Nie, nie dam ci jej do ręki. Siadaj. Odchyl głowę i otwórz usta.

Jeszcze nie widziałam, by ktoś tak szybko wykonał rozkaz. Vindeliar usiadł tam, gdzie stał, odchylił się do tyłu, zacisnął powieki, a usta otworzył tak szeroko, że ledwo wierzyłam własnym oczom. Zamarł w oczekiwaniu, nieruchomy doskonale. Lingstra z mozołem wyciągnęła szklaną zatyczkę i bardzo wolno przechyliła rurkę nad ustami Vindeliara. Skapnął z niej grudkowaty płyn, żółtawy, poznaczony srebrem. Nie wiem czemu, ale zrobiło mi się na jego widok niedobrze, a gdy poczułam zapach, omal nie zwymiotowałam. Żółć podeszła mi do gardła, gdy strużka cieczy ciurknęła lurikowi między wargi. Chwilę później musnęła mnie jego odnowiona siła, jak zmarszczka na lustrze wody zmaconym po wrzuceniu kamienia. Czy naprawdę sądziłam, że mój ojciec był niczym sagan z wrzątkiem, gdy magia buchała z niego na wszystkie strony? Potęga Vindeliara nie buchała, lecz trysnęła wszechobecnym wrzątkiem. Skuliłam się odruchowo, skurczyłam się też w umyśle, stałam się zwarta i twarda jak orzech.

Vindeliar zatrzepotał powiekami, zadygotał z rozkoszy. Strumyk skluszczonej cieczy płynął, gęsty, lepki, obrzydliwy. Lurik przełknął, przełknął raz, potem drugi, a jego magia stała się jeszcze silniejsza. Skuliłam się tak, że prawie zniknęłam, ciałem i umysłem. Gdy w rurce została mniej więcej czwarta część zawartości, Dwalia uznała, że jej podopieczny dostał dość. Starannie zatkała pojemnik szklanym korkiem.

Zamknęłam oczy i skupiałam się na odcięciu wszystkich zmysłów. Nic nie słyszeć, nie czuć smaku ani zapachu, bo jeśli zostawię uchyloną choćby najmniejszą furtkę, cudza magia wtargnie do mojego umysłu. Na jakiś czas stałam się niczym, pozbawionym istnienia i rozumienia. Zaledwie istniałam.

Nie wiem, ile czasu minęło, lecz w końcu odniosłam wrażenie, że nacisk na mój umysł zelżał. Być może Vindeliar skupił uwagę na czymś innym. Wtedy ośmieliłam się uwolnić zmysły. Poczulałam wodorosty i smołowaty zapach drewnianego pomostu, usłyszałam dalekie krzyki ptaków, a potem głos Dwalii, podobnie ostry jak nawoływanie mew.

– Po powrocie kapitan zobaczy w nas wielmożnych państwa, ludzi bezdyskusyjnie godnych szacunku. Zechce wywrzeć na nas jak najlepsze wrażenie. Będzie pragnął mi się przypodobać, zabiegać o moje względy. Załoga podobnie: będzie nas darzyła podziwem i szacunkiem. Zamiast miedzianych monet kapitan zobaczy złoto. Nie będzie mógł doczekać się, by postawić żagle i ruszyć do Clerres. Zapewni nam wszelkie wygody, otoczy luksusem. Dasz radę?

Wzrok odmawiał mi posłuszeństwa, lecz błogi uśmiech Vindeliara dostrzegłam.

– Daaam raaadę – zapewnił z rozmarzeniem. – Teraz mogę zrobić wszystko.

Obawiałam się, że ma rację.

Nieopatrznie dotknęłam go strachem. Obrócił się do mnie. Miał nieznośnie promienny uśmiech, jakbym patrzyła prosto w słońce.

– Braaacieeee... – zagaił bezgranicznie z siebie zadowolony. Jakby mówił do berbecia, który ukrył się za krzesłem. – Widzę cię!

Wycofałam się, zmałałam jeszcze bardziej, zamknęłam w sobie, w skorupce mocniejszej i twardszej, lecz on bez wysiłku za mną podążył.

– Teraz się przede mną nie schowasz! – zakpił dobrodusznie.

I rzeczywiście. Warstwa za warstwą odsłaniał moje sekrety, obierał je z osłony, jakby ściągał skórę z pęcherza po oparzeniu, coraz bliższy sedna mojego serca. Teraz już wiedział, jak uciekłyśmy ze Szkodą, zobaczył mój dzień spędzony z ojcem w miasteczku, miał przed oczyma obraz zakrwawionego psa, a także usłyszał moją sprzeczkę z tutorem.

Wiele czasu minęło, odkąd usłyszałam ostatnie słowa wilka-ojca, lecz znienacka zyskałam całkowitą pewność, co robić: Zapędzona w kozi róg? Walcz!

Odrzuciłam wszelką ostrożność.

– O, nie! – warknęłam. – To ty przede mną się nie ukryjesz!

I, owszem, w tej samej chwili stanęłam prosto, na równe nogi. Lecz nie w ten sposób stawiałam mu czoło. Jak to opisać słowami...?

Odważył się na zbyt wiele, znalazł się za blisko, wsunął się w mój umysł. Ja

z kolei, znieca, szybko i sprawnie go otoczyłam. Owinęłam i omotałam. Nie uświadamiałam sobie, co zrobiłam ani jak. Czy kiedyś już tego dokonałam? Czy poznałam to u ojca albo u siostry? Zamknęłam lurika we własnej świadomości, uwięziłam w pułapce. Był tak zaskoczony, że wcale się nie bronił. Pewnie nawet nie przypuszczał, że ktokolwiek może z nim coś takiego zrobić. Zgniatąam go, napierałam ze wszystkich stron, podobnie jakbym ścisnęła w dłoniach ugotowane na twardo jajko. W pewnej chwili skorupka się poddała, wcale nie była gruba ani mocna. Pewnie nigdy nie musiał chronić umysłu przed intruzem.

Poznałam go. Ta wiedza nie przyszła jako ciąg informacji, lecz po prostu stała się moją. Wiedziałam, że urodził się z dziwacznie zdeformowaną głową i to wystarczyło, by został oddzielony od innych. W oczach Białych miał bardzo słabe powiązania ze szlachećnym rodem i jako felerne, bezużyteczne niemowlę został oddany Dwalii. Jedno z kilku rozkrzyczanych, niedoskonałych dzieci, urodzonych w tamtym sezonie.

Poznawszy jego los, dowiedziałam się także wszystkiego o Dwalii, ponieważ wychowywała go od pierwszych dni.

Dawno, dawno temu była szanowaną służebnicą. Pracowała dla wysoko cenionej przedstawicielki rodu Białych. Pomagała swojej pani w przygotowaniach do wyruszenia w świat, do spełnienia misji, do czynienia rzeczy wielkich. Potem jednak, gdy biała pani zawiodła, los Dwalii się odwrócił. Okryta hańbą została przydzielona do zadań poniżających: usługiwała akuszerkom i uzdrowicielom. W Clerres istotną była hodowla Białych, dzięki którym zbierano prorocze sny, i Dwalia miała nadzieję roztoczyć opiekę nad jakimś obiecującym dzieckiem najczystszej krwi. Niestety, takie obowiązki powierzano osobom zaufanym. Ona dostała obarczone licznymi wadami bliźnięta... wraz z poleceniem, by się ich pozbyć. Zamiast tego przystawiła je do sutek świni i utrzymała przy życiu, w nadziei, że niedoskonałe ciała skrywają potężne umysły.

Codziennie przypominała obojgu, że zawdzięczają jej życie. Pozbawiona dostępu do dzieci idealnych, oddawanych komu innemu pod opiekę i na wychowanie, miała tylko tę odrażoną dwójkę. Jedynie tych dwoje mogła kształtować i robiła to, nie szcędząc sił. Vindeliar pamiętał dziwaczne diety, długie okresy czasu, gdy nie wolno mu było spać, ale także pojenie mieszankami usypiającymi, które miały wywołać u niego prorocze sny. Niestety, ani on, ani jego siostra, Odessa, mimo upływu czasu, nie wykazywali żadnych szczególnych zdolności.

Wszystko to i wiele smutniejszych faktów poznałam w mgnieniu oka. Vindeliara nie nawiedzały prorocze sny, poza jedną, żałośnie kruchą przepowiednią, którą podzielił się ze mną już wcześniej. Odessa śniła, lecz jej przepowiednie

były tak bezkształtne, że do niczego się nie nadawały. Mimo to Dwalia nie ustawała w wysiłkach, by zmusić swoich podopiecznych do śnienia, i była w tym bezlitosna. Vindeliar wiedział, że zaczęła usługiwać Fellwdy'emu przy sekcjach i przesłuchaniach, gdyż musiał po nich sprzątać. Nie wiedział natomiast, dlaczego Symphe zjawiała się u niej któregoś razu z rzadkim eliksirem uzyskanym z węzowych wydaliny. Ten tajemniczy napój zapewniał ponoć intensywne prorocze sny, lecz ten, kto go wypił, umierał w najstraszliwszych mękach. Tyle Vindeliar podsłuchiwał.

Przy pierwszym podaniu sekretnej cieczy Dwalia przykuła go do stołu łańcuchami. Specyfik poparzył mu język i usta tak bardzo, że chłopak stracił zmysł smaku, lecz po bólu nastąpiła ekstaza i potęga myśli, pozwalająca łączyć umysł z innymi. Gdy przebywający nieopodal więźniowie zaczęli upadać, wić się z bólu, krzyczeć i chwytać za usta, Dwalia uświadomiła sobie, że odbierają oni doznania Vindeliara. Tak rozpoczęły się ostrożniejsze próby, dzięki którym odkryła, że jej wychowanek potrafi nakłonić innych, by jego myśli odbierali jako własne. Potomkowie rodu Białych rzadko są podatni na tego rodzaju manipulację. W ciągu lat sekretnej nauki Vindeliar utwierdził się w przekonaniu, że Dwalia jest na jego wpływ odporna, i nigdy nie ośmielił się nawet spróbować go przeciw niej wykorzystać. Nie wolno mu było nikomu choćby słowem wspomnieć o eliksirze. Lingstra natomiast głosiła, że jej podopieczny jest wyjątkowy, gdyż posiada zdolność wyszukiwania niedostrzegalnych dla nikogo innego sposobów wpływania na cudzy umysł i egzekwowania posłuszeństwa.

Wszystkiego tego dowiedziałam się w ciągu jednej ulotnej chwili. Moja napaść oszołomiła Vindeliara. Gdy zaczął się szamotać, chcąc odkryć, co mu się właściwie przydarzyło, rzuciłam przeciw niemu wszystkie siły, a potem przystąpiłam do działania, wykorzystując dziedziczną magię Przezornych właściwie instynktownie.

„Nie możesz nade mną zapanować” – oznajmiłam, wpychając mu tę myśl z całą mocą, jaką zdołałam zebrać. – „Nie przenikniesz mojej osłony”.

Po czym zatrzasnęłam bramy w murze otaczającym mój umysł.

Gdy ponownie zdałam sobie sprawę, że jestem sobą, Dwalia trącała mnie nogą, wcale nie delikatnie.

– No, wstawaj – usłyszałam jej słowa ociekające fałszywą życzliwością. – Wstań. Czas wsiadać na statek.

Świat kręcił się i kołysał. Lingstra miała na sobie bogatą suknię z głębokim dekoltem kipiącym koronkami. Na kapeluszu pyszniły się egzotyczne kwiaty. Wyglądała młodo, nie starzej niż Szkoda, a długie czarne włosy, zwinięte w pierścienie, lśniły od wonnej pomady. Oczy w niesłychanym odcieniu głębokiego błękitu okolone były długimi rzęsami. Skóra nie miała żadnej skazy, a obok stał

elegancki sługa.

Potem zamrugałam i nagle znów miałam przed oczyma Dwalię w łachmanach, z wielką, ledwo zabliznioną raną na policzku. Vindeliar nic się nie zmienił. A jak marynarze widzieli mnie? Podniosłam się z ociąganiem. Kręciło mi się w głowie. Z głodu miałam mdłości. Odetchnęłam głęboko, żeby je powstrzymać. Żeglarze nie zwracali na mnie uwagi, więc domyśliłam się, że jestem służącą albo niewolnicą, a moja uroda nie przyciąga spojrzeń. Tymczasem na Dwalię patrzyli wszyscy, niektórzy z domyślnym uśmiechem. Kapitan „Róży Morskiej” już wrócił, mówił coś do lingstry tonem pełnym niekłamanego zachwytu. Kazał przygotować huśtawkę, by Dwalii nie potargały się spódnice, i sam pilnował siedziska, gdy żurawikiem opuszczano je na łódź. Usadziwszy się wygodnie na ławce, Dwalia podniosła na nas wzrok.

– Szybcienteńko! Już tylko na nas czekają, żeby ruszyć do Clerres.

Sięgnęłam dłonią do gardła. Vindeliar pociągnął za łańcuch.

– Pośpiesz się – rozkazał mi lodowatym tonem.

Próżno by szukać na jego twarzy śladu uśmiechu. Ruszył po drabince, a łańcuch pociągnął mnie na krawędź pomostu i potem w dół, ku nieuniknionej przyszłości.

Rozdział 18

Srebrne statki i smoki

Nie sposób zaprzeczyć, iż wygląd ma dziwaczny, jednak mądry z niego chłopiec, a już na pewno nie stanowi zagrożenia. Zdumiewa mnie twoje podejrzenie, że może być naślany przez jakiegoś wroga zabójcą. W liście, który mi przedstawił, napisano, iż w dzisiejszych czasach coraz popularniejszy jest wśród monarchów zwyczaj korzystania z usług osoby zabawiającej dwór, zwanej błaznem, i wyrażono przypuszczenie, że może mi przypaść do gustu ten rezolutny akrobata. Jego harce rzeczywiście budzą podziw, trzeba to przyznać, a wczoraj wieczór dał dowody na to, iż ma także ostry język, bo przyciął komesowi Zmiennemu raz i drugi, aż tamtemu w pięty poszło. Przyznam, sprawił mi niekłamaną radość, ponieważ z naszego szlachcica potwornie nadęty ordynus.

Gdy zjawił się na dworze, w obszarpanym stroju, ze zwojem, którego autor okazał się bezimienny, gdyż jego zmoczony podpis był nie do rozszyfrowania, brat przestrzegał mnie przed nim, a nawet sugerował, że należy go zlikwidować. Cierń mówił to bez obłonek przy chłopcu, bo ten do tamtej pory jeszcze nie wymówił słowa, a co za tym idzie, obaj założyliśmy, że jest albo głuchoniemy albo nierozgarnięty. A tu dzieciak nagle odezwał się w te słowa: „Królu mój najdroższy, nie rób kroku, którego nie możesz cofnąć, dopóki nie rozważysz, czego nie będziesz mógł zrobić, gdy go już uczynisz”. Mądrze się wystąpił i całkiem mnie tym zawojował. Najdroższa, skończ, proszę, co tam masz w Księstwie Trzody do załatwienia, i wracaj do domu, będzie nas ten chłopaczyna zabawiał oboje. Przekonasz się także, iż markiza Przechodnia stanowczo przesadziła, opisując ci jego osobliwe cechy. Chucherko z niego i mizerota, ale pewien jestem, że gdy się go trochę odkarmi, nie będzie wyglądał tak dziwacznie i może dostanie trochę kolorów. Markiza nie lubi go zapewne dlatego, że chłopiec doskonale naśladuje kaczkowaty chód naszej dobrze odżywionej damy.

Tęsknię za tobą ogromnie i wyglądam twojego powrotu. Nie rozumiem, dlaczego tak często musisz opuszczać Kozią Twierdzę, smuci mnie twoja nieobecność. Zostaliśmy sobie poślubieni, jesteście mężem i żoną. Dlaczego co noc kładę się w łóżu samotnie, a ty wciąż zwlekasz z powrotem? Jesteś

teraz moją królową, nie masz potrzeby kłopotać się zarządzaniem Księstwem Trzody.

List króla Roztropnego do drugiej żony, Skwapliwej z Księstwa Trzody

Wyglądało to raczej na spotkanie rodzinne niż naradę osób czyniących starania, by zapobiec katastrofie. Przywołałem w pamięci podobne zebrania w mojej rodzinie i uświadomiłem sobie, że często są równocześnie jednym i drugim. Kiedy my byliśmy zajęci galionami, przybył admirał królowej Etty. Gdy weszliśmy do kajuty, Prawy już siedział przy stole, kapitan Althea właśnie parzyła herbatę.

Prawy, sekretarz generalny królowej Etty, władczyni Wysp Pirackich oraz wielki admirał jej floty, był tak podobny do Althei, że można by ich było wziąć za rodzeństwo, a nie ciotkę i siostrzeńca. Natura obdarzyła oboje podobnym wzrostem i dzieliło ich zapewne niecałe dwadzieścia lat. Młody człowiek był starszym bratem królowej Malty. Pani Amber zdradziła mi to i owo z makabrycznej historii chłopaka, który został pochwycony wraz z „Werwą” i zmuszony do służby na jej pokładzie pod rozkazami pirata Kennita. Zdziwiła mnie wtedy, zdradzając że tatuaż przy nosie, oznaczający niewolnika oraz brak palca, to dzieło nie kogo innego, lecz ojca. Wiedząc, co wiedziałem, nie spodziewałem się po nim ani aury spokoju, ani nierzucającego się w oczy ubioru.

Basałyk czuł się w luksusowej kajucie rodziców jak u siebie. Szybko przypomniał sobie stare kąty, zakamarki statku z dzieciństwa. Zauważyłem w pewnej chwili, jak sięgnął z półki jeden z kubków i przyjrzał mu się z uśmiechem, zanim odstawił na miejsce. Wzrost odziedziczył po ojcu, natomiast oczy i ich oprawę wziął z rodziny Vestritów, lustrzane odbicie Prawego i Althei. A wdzięk miał koci.

Prawy zachowywał uroczystą powagę. Gdy Althea podała mu parujący kubek rumu zmieszanego z cytryną i gorącą wodą, podziękował cicho.

Podprowadziłem Amber do stołu, pomogłem jej usiąść i sam zająłem miejsce obok. Strzyk uplasował się za nami. Dwójka młodych w milczeniu stanęła pod ścianą. Po jakimś czasie, gdy wszystko co potrzebne znalazło się na stole, Althea ciężko siadła obok Zuchwalca i głęboko westchnęła.

– Teraz już wiesz – odezwała się, patrząc na Prawego. – Kiedy powiedziałam, że nasze spotkanie zmieni nie tylko twoje życie, ale losy setek ludzi, pewnie mnie nie zrozumiałeś. Teraz rozumiesz, jak sądzę. Widziałeś przemianę „Niezrównanego”. Przygotuj się na podobne zachowanie „Werwy”.

Admirał bez pośpiechu uniósł kubek, upił łyk, zbierając myśli, po czym odstawił

naczynie.

– W tej sprawie nie mamy nic do powiedzenia – uznał. – Lepiej pogodzić się z wolą Sa i próbować przewidzieć skutki zmian niż walczyć z nieuniknionym. Innymi słowy: jeśli „Niezrównany” ma rację, po tej podróży wróci do Deszczowych Ostępów i tam otrzyma dość smoczego srebra, by zmienić się w dwa smoki. – Pokręcił głową, a na jego ustach zawitał na moment uśmiech. – Chciałbym to zobaczyć.

– Przypuszczam, że niezależnie od woli będziesz świadkiem przemiany „Werwy”. O ile Amber i „Niezrównany” się nie mylą i taka kolej rzeczy faktycznie jest możliwa.

– Jestem tego w zasadzie pewna – wtrąciła miękko Amber. – Widzieliście, że potrafi dowolnie zmieniać wygląd za sprawą niewielkiej ilości smoczego srebra. Gdy dostanie odpowiednio dużo, będzie mógł narzucać czarodrzewowi pożądany kształt. A pragnie stać się smokiem. Dwoma.

Świstak odezwał się bez pytania o pozwolenie i nikt nie miał mu tego za złe.

– Czy będzie prawdziwym smokiem z krwi i kości, czy drewnianym?

Wokół stołu zapadła cisza, wszyscy rozważali jego wątpliwość.

– Czas pokaże – odezwała się w końcu Amber. – Zmieni czarodrzewowy kadłub w smoka. Normalną kolejną rzeczy smocze ciało wchłonęłoby podczas wylęgania czarodrzew z kokonu... To prawie to samo.

Basałk przysunął się do rodziców.

– Wierzyć mi się nie chce. – Przeniósł wzrok z jednego na drugie. – Naprawdę będzie się zmieniał czy tylko tak sobie wymyślił?

– Będzie się zmieniał – potwierdził Zuchwalec.

Kapitański syn zapatrzył się w przyszłość, której nigdy dotąd sobie nie wyobrażał, której nikt poza nim nie dostrzegał.

– Zawsze miał smocze serce – odezwał się w końcu. – Czułem to, gdy trzymał mnie na rękach, podrzucał nad falami... – Ucichł. – Czy wystarczy mu czarodrzewu na dwa smoki? – zapytał. – Chyba będą małe?

– Tego nie wiemy – odezwała się Amber z uśmiechem. – Warto jednak mieć na uwadze, że małe smoki rosną. O ile mi wiadomo, te istoty rosną przez całe życie. A żyją długo, ponieważ niełatwo jest uśmiercić smoka.

Prawy przeniósł spojrzenie z pani Amber na parę kapitańską.

– Czy jesteście zabezpieczeni finansowo?

Kapitan poruszył głową w sposób, który nie oznaczał ani „tak”, ani „nie”.

– Nie zostajemy bez niczego. Nie roztrwoniliśmy swojej części skarbu Igrota. Tyle że same pieniądze to ani bogactwo ani przyszłość dla naszego syna. Nie

mamy domu, bo przecież zawsze mieszkaliśmy na „Niezrównanym”, nie znamy innego życia poza żeglowaniem po Dzikiej Rzece Deszczowej i handlem z Miastem Wolnego Handlu. Innymi słowy... tak, mamy dość, by do końca życia jeść i spać na stałym lądzie. Na stałym lądzie! Nie takiej przyszłości chcieliśmy! Och, już mniejsza o to. Ale coś dla Basałyka...? Znacznie trudniej cokolwiek zaplanować.

Prawy powoli kiwał głową. Najwyraźniej był człowiekiem, który nie odzywał się bez zastanowienia. Akurat gdy zaczerpnął tchu i otworzył usta, by coś powiedzieć, usłyszeliśmy wołanie zza burty:

– Proszę o pozwolenie na wejście na pokład!

– Odmówić! – rozkazał Prawy.

Zuchwalec w dwóch krokach znalazł się przy drzwiach.

– Odmowa! – krzyknął w noc, po czym obrócił się do Prawego. – Kto to?

Nieznajomy głos uprzedził odpowiedź admirała.

– Jak chcecie zabronić mi wejść na pokład statku, z którym łączy mnie imię?!

– Niezrównany Kennitasyn – oznajmił Prawy w chwili ciszy, jaka nastąpiła, nim statek ryknął co sił:

– Pozwolenie udzielone! Niezrównany! Synu mój!

Althea zbladła tak, że właściwie zrobiła się nie tyle biała, ile zielona na twarzy. Nawet ja usłyszałem dziwną nutę w głosie statku, zmieniony tembr.

– O, Sa... – westchnął Prawy. – Brzmiał prawie jak Kennit.

Zuchwalec miał twarz niczym wykutą z kamienia. Przeniósł spojrzenie na żonę, potem znów na Prawego.

– Nie chcę, żeby rozmawiał ze statkiem – stwierdził przyciszonym głosem.

– Ja nie chcę go na pokładzie – poparł go admirał. W dwóch długich krokach znalazł się przy drzwiach, Zuchwalec odsunął się, by go przepuścić. – Niezrównany!

– zawołał admirał głosem nieznoszącym sprzeciwu. – Tutaj proszę!

Na jego wezwanie zjawił się nie chłopiec ani młodzik, lecz dorosły mężczyzna o ciemnych włosach, orlim nosie i pięknie zarysowanych ustach. Oczy miał ten człowiek zaskakująco niebieskie. Był elegancko ubrany, jak na przystojnego galanta przystało, a w uszach połyskiwały mu szmaragdowe kolczyki, w których wokół zielonych klejnotów lśniły brylanty. Ocenilem, że jest nieco starszy od Basałyka. Na moje oko był też wydelikacony. Wysilek fizyczny przekuwa chłopca w zupełnie inny rodzaj mężczyzny. Basałyk na pewno odpracował swoje, gdy tymczasem ksiązę, w porównaniu z nim, przywodził na myśl domowego kota. Odsłonił w uśmiechu równe białe zęby.

– Oto ja. – Złożył przed Prawym kpiący ukłon, po czym zajrzał mu nad ramieniem do kajuty. – Trelvestrit? I ty tutaj? Cóż to, nie zostałem zaproszony na

przyjęcie? Co za maniery, przyjacielu drogi!

– To nie tak, Kennitasynie – odparł Basałyk miękko. – Całkiem nie tak.

– Wy się znacie? – spytała kapitan Althea, lecz nie uzyskała odpowiedzi, bo odezwał się Prawy:

– Zejdź ze statku. Obaj wiemy doskonale, że twoja matka nie zgadza się na twoją obecność na pokładzie.

Kennitasyn przekrzywił głowę i pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.

– Nie ma jej tutaj.

– Królowa nie musi swoją obecnością zaświadczać rozkazów – odparł Prawy bez śladu wesołości – a i tak mają być wykonywane. Zwłaszcza przez jej syna.

– Och, tyle tylko że to nie rozkaz królowej, a wola matki, która się o mnie obawia. A dla mnie najwyższy czas wyjść spod jej opiekuńczych skrzydeł.

– Akurat w tym przypadku jej obawy są uzasadnione – odparował Prawy.

– Nie jesteś tu mile widziany – wtrącił Zuchwalec. Nie było w jego głosie gniewu, lecz słowa brzmiały groźnie.

Kennitasyn ze zdumienia zaniemówił. I wtedy usłyszeliśmy potężny ryk statku.

– Przysłać mi go tutaj!

Przybyły wziął się w garść, otrząsnął z zaskoczenia i przybrał królewską pozę naznaczoną arogancją. Dawno nie widziałem nikogo, kto by tak bardzo jak on przypominał księcia Władczego. Tym razem odezwał się tonem wyniosłym, nie kryjąc wściekłości.

– O ile mi wiadomo, ten statek należał do mojego ojca, zanim go przejęliście. I choć może nie mam niezbywalnego prawa do przebywania na jego pokładzie, moja godność księcia Wysp Pirackich bezwzględnie przewyższa rangę kapitana. Będę chodził tam, dokąd zechcę.

– Na tym pokładzie nic nie przewyższa woli kapitana – poinformował go Zuchwalec.

– Oprócz woli statku! – zagrział „Niezrównany”.

Kennitasyn uniósł brwi, spojrzął na Zuchwalca z ukosa i posłał mu uśmiech.

– O, ktoś mnie wzywa – zauważył.

Skłonił się dwornie, zamiatając kapeluszem z piórem, po czym odwrócił się i spokojnym krokiem ruszył na dziób.

Zuchwalec wydał z siebie groźny dźwięk, lecz Prawy w mgnieniu oka znalazł się między nim a drzwiami i nie pozwolił kapitanowi wyjść.

– Pozwól, proszę, mnie z nim porozmawiać. Książę od dzieciństwa jest ciekaw „Niezrównanego”. Odkąd skończył osiem lat. – Przeniósł spojrzenie na Altheę. – Wyrastał w otoczeniu mężczyzn opowiadających o bohaterskich wyczynach ojca,

którego nie widział na oczy. Nic dziwnego, że zakochał się w tym statku. Inaczej być nie mogło.

– Wchodzę na pokład! – zawołał ktoś. – Kennitasynie! Chociaż jesteś księciem, to nie będziesz się matce ani mnie przeciwstawiał bezkarnie.

– Sorkor... – westchnął Prawy. – Wspaniale. Tylko tego brakowało.

– Kennitasyn czasami go słucha – podsunął Basałyk z nadzieją.

Tuż przy uchu usłyszałem tchnienie Amber:

– Pierwszy oficer Kennita w dawnych czasach...

– Czasami – zgodził się Prawy, po czym wyszedł na spotkanie przybysza.

Słyszałem stłumione głosy ich rozmowy: Sorkora – oskarżający, i admirała – wyjaśniający, ale wytężyłem słuch, by wyłapać inną wymianę zdań. Usłyszałem radosne wołanie statku witającego „młodego Niezrównanego” i bardziej wyważoną odpowiedź młodego człowieka.

– Jak on tak może? – odezwał się Basałyk. – Po wszystkim, co wam zrobił Kennit, po wszystkim, co wy dla niego zrobiliście, jak może z takim rozradowaniem witać jego syna?

Czy zabrzmiała w jego głosie nuta zazdrości? Młodzieniec zacisnął szczęki, nagle zdumiewająco podobny do ojca.

– „Niezrównany” to żywostatek jedyny w swoim rodzaju – zauważyła kapitan Althea. – Zawsze był zdolny do reakcji przechodzących ludzkie wyobrażenie.

Usiadła, poruszając się sztywno, jakby nagle przybyło jej lat, jakby ją rozboleły wszystkie stawy.

– Ani ja nie jestem taki sam, jak ojciec, ani on – powiedział Zuchwalec – ani on.

– Podobny do niego, jak dwie krople wody – zauważyła Althea słabym głosem.

– A Basałyk do ciebie. I do mnie. Mimo to nie jest żadnym z nas. I nie ponosi odpowiedzialności za nasze decyzje. – Zuchwalec oznajmił to głosem cichym i spokojnym. Bez krztyny wątpliwości.

– Basałyk... – powtórzył miękko młody człowiek. – Dawno nie słyszałem tego imienia. Już prawie całkiem przywykłem do miana Trelvestrit.

– Chyba... chyba mogę powiedzieć, że nie czuję do niego nienawiści... – Kapitan Althea kontynuowała, jakby jej syn wcale się nie odezwał. – I nie oceniam go przez pryzmat czynów jego ojca. Nie jestem taka płytka, a on nie ponosi winy za postęпки swojego przodka. Druga sprawa, że ani trochę mi się nie podoba. – Zerknęła na Zuchwalca i uniosła wyżej brodę. W jej głosie na nowo pojawiła się determinacja. – Martwi mnie natomiast jego relacja z „Niezrównanym”. „Werwa” ma wiele z mojego ojca. I ogromnie dużo z babki jest w rodzinnym statku Vestritów... – Pokręciła głową w zamyśleniu. – Zawsze uważałam, że Kennit musi być częścią

„Niezrównanego”. Pochodził ze Szczęsnych, żywostatek stanowił własność tego rodu od pokoleń. Oboje doskonale zdajemy sobie sprawę, że statek zgromadził w sobie całe zło, jakiego Kennit zaznał od Igrota, przemoc i upokorzenia, bicie i zmuszanie do czynów... ohydnych. Trudno pojąć, ile krwi przelano w tamtym czasie na jego pokładzie, do jakiego stopnia przesiąkł okrucieństwem, bólem i strachem. Później, po śmierci Kennita, nasz statek wchłonął z niego wszystko, czym zmarły był od czasu, gdy opuścił pokład. Wydawało mi się, że „Niezrównany” to... wymazał. Wyrósł z tego, jak dziecko wyrasta z egoizmu i nabiera empatii. Sądziłam... – Nie dokończyła zdania.

– Każdy z nas coś skrywa – odezwała się pani Amber zniecacka, aż mimowolnie drgnąłem. Spojrzenie miała skierowana na wprost, nie na kapitan Altheę, lecz mimo to dawało się odczuć, iż narzuciła rozmowie ton prywatny. – Wydaje nam się, że nad sobą panujemy. Aż do chwili, gdy zdarzy się wybuch.

Drobna dłoń wsparta na moim przedramieniu wyraźnie drżała.

– No cóż. Co się stało, to się nie odstanie – stwierdziła nagle kapitan Althea. – Trzeba stawić czoło rzeczywistości.

Ujęła męża pod ramię, a spojrzenie, jakie wymienili, przywiodło na myśl chroniących się nawzajem wojowników. Gdy ruszyli do wyjścia, Basałyk i Świstak poszli za nimi, tworząc coś w rodzaju procesji.

– Poprowadź mnie – odezwała się pani Amber.

Podążyliśmy za tamtą czwórką, a Strzyk, Skierka i Niestrudzony ruszyli w nasze ślady.

W końcu ściągnęli też marynarze, ci, którzy postanowili zostać na „Niezrównanym” bez względu na to, dokąd miałyby ich zabrać.

Na masztach i dziobach kotwiczących w przystani statków świeciły latarnie, wzeszedł księżyc. Niejednolite światło zarzucało na twarze welony cienia, a gdy srebrzysty blask padł na oblicze galionu, odsłonił niespodziewaną tkliwość. Mieliśmy wrażenie, że w trakcie przedstawienia zbliżamy się do grającej w nim kukły. Figura na dziobie, skręcona w pasie, z uśmiechem przyglądała się stojącemu na dziobie Kennitasynowi. Imiennik statku był ustawiony plecami w naszą stronę, nogi miał szeroko rozstawione, ręce założył za plecami. Cała postawa świadczyła o cierpliwości. I wyrażała podziw.

Nieco dalej Prawy czekał w towarzystwie mocno zbudowanego mężczyzny, który miał na głowie niewiele włosów, za to pysznił się gęstą, siwą brodą. Był ubrany w luźne spodnie z nogawkami wetkniętymi w wysokie cholewy, przytrzymane na wydatnym brzuchu szerokim pasem, do którego przytroczony był zakrzywiony miecz. Śnieżnobiała koszula niemal lśniła w świetle księżyca. Człowiek ten był

wyraźnie nachmurzony, ręce skrzyżował na piersi. Przypominał mi Brzeszczota. Starzy wojacy bywają jak dobry oręż. Ich blizny są patyną doświadczenia i mądrości.

– Czyli popłyniesz ze mną? – upewnił się „Niezrównany”. – W ostatnią podróż morską, zanim przyjmę postać smoków, którymi jestem, odkąd istnieję?

Kennitasyn wydawał się rozbawiony pytaniem.

– Ależ oczywiście! Nie mogę się doczekać! Mam dosyć geometrii, nawigacji i lekcji języków. Po co uczą mnie o gwiazdach, skoro nigdy nie wolno mi pod nimi płynąć? Tak, tak, tak, ruszam z tobą. A ty będziesz mi opowiadał o ojcu, o tym, jaki był w moim wieku.

W oczach żywostatku załśnił blask ślepiów smoka.

Już myślałem, że „Niezrównany” zaoponuje, lecz najwyraźniej rozsądek zwyciężył.

– Możliwe. Jeśli uznam, że jesteś na to gotowy.

– Statku! – Kennitasyn zaśmiał się. – Jestem księciem Niezrównanym z Wysp Pirackich. Czy pojmujesz, kim jest teraz syn Kennita? Jestem następnym w linii dziedziców tronu. – Nocne światło wydobyło z ciemności twarde rysy. – Ja nie proszę. Ja rozkazuję.

Galion odwrócił się od niego.

– Nie na moim pokładzie, Kennitasynie – rzekł, patrząc na wodę. – Nie na moim pokładzie.

– Nigdzie na tym statku nie popłyniesz, Kennitasynie – dodał Prawy stanowczo. – Sorkor jest tutaj, żeby cię odprowadzić do twoich komnat. Czas najwyższy szykować się na wieczór karciany z dygnitarzami z Wysp Korzennych. Twoja matka... królowa Etta spodziewa się na tym wydarzeniu nas obu i jeśli nie wyruszymy natychmiast, obaj się spóźnimy.

Kennitasyn powoli obrócił twarz ku admirałowi.

– Jest mi naprawdę przykro, sekretarzu generalny, że stawisz czoło jej furii samotnie. Trudno. Wrócę dziś do pałacu, jednak wyłącznie po to, by spakować się na morską podróż, a nie stroić do gry w karty z jakąś panną, której śmiech przywozi na myśl końskie rzenie.

Zapadła cisza.

– Usiłuję sobie przypomnieć – odezwał się w końcu Sorkor do Prawego – kiedy to ostatnio sprąłem go na kwaśne jabłko. I nie pamiętam.

Książę wyprostował się, zaplótł ręce na piersi.

– Spróbuj mnie tknąć, a przed świtem wylądujesz w okowach. – Prychnął wzgardliwie. – Sądziłem, że masz dość roli niańki... Nie musisz łązić za mną jak

cień. Już nie jestem dzieckiem, nie dam się zastraszyć.

– A pewnie, pewnie. – Starszy mężczyzna pokręcił głową. – Teraz jesteś gorszy. Rozbisurmaniony bachor przebrany w książęce fatałaszkę. Gdybym miał choć najmniejszą nadzieję na zgodę, doradziłbym twojej matce, żeby cię wysłała z Trellem na koniec świata. Jako majtka. Żebyś liznął trochę fachu, który twój ojciec miał w małym palcu, gdy był od ciebie o połowę młodszy.

– Teraz już za późno na naukę – odezwał się pośpiesznie Zuchwalec Trel. – Obaj straciliście okazję. – Dziwny wyraz przemknął mu po twarzy. – Książę przypomina mi pewne rozpieszczone dziecko handlarza, które miało się za Kupca.

Niekiedy postawa człowieka świadczy o tym, że nie chce się on przyznać, iż czyjeś słowa go zraniły. Właśnie tak stał Kennitasyn: odrobinę zbyt sztywno.

– Wrócę teraz do pałacu – oznajmił. – Ale nie po to, by szykować się do hazardu w towarzystwie pajaców z Wysp Korzennych. Statku! Widzimy się rano! – Przeniósł spojrzenie na parę kapitanów. – Przygotujecie dla mnie kajutę. Ta, którą widziałem na rufie, będzie odpowiednia. Należy zadbać o zaopatrzenie we właściwe dla księcia napitki i żywność.

Przeszedł między nimi, lecz wybrał ścieżkę, która nie wymagała, by mu ktokolwiek ustępował z drogi. Z pewnością miał co do tego uzasadnione obawy. Czekaliśmy, aż ucichną jego zdecydowane kroki. Przeszedł nad relingiem, spuścił się po sznurowej drabince i zawołał jakiegoś biedaka czekającego w łódce podobnej do łupinki orzecha. Ruch wiosł obudził w nocnej ciszy niegłośne pluski.

– Czy to były szczerze słowa? – W niskim głosie Sorkora dosłyszałem konsternację.

Nie wiedziałem, o co właściwie pyta Prawego, lecz szybko zorientowałem się, że patrzy na Zuchwalca.

Kapitan „Niezrówanego” spuścił wzrok.

– Nie – przyznał. – Przesadziłem. Chociaż byłem od niego młodszy, gdy ojciec wyrzucił mnie z domu, a dziedzicem zrobił mojego brata. Nie było mi wtedy łatwo. Ale dałem sobie radę. I dla syna Kennita też nie jest jeszcze za późno. – Westchnął ciężko. – Nie chcę brać na siebie tego zadania.

Sorkor podniósł wzrok na niebo i księżycowy blask położył mu się na twarzy. Brwi miał ściągnięte, usta wydęte w zamyśleniu.

– Statek ma rację – ocenił po jakimś czasie. – Książę powinien z wami popłynąć – przyznał niechętnie. – To dla niego ostatni moment, jedyna szansa, żeby poczuć jego pokład pod stopami. Popłynąć na statku, który ukształtował jego ojca. – Przeniósł baczne spojrzenie na Zuchwalca. – Weźcie go.

– Coś podobnego! – zachnął się Prawy.

Sorkor zbył jego obiekcje machnięciem sękatą dłoń.

– Zanedbałem chłopaka. Kiedy był mały, za bardzo cieszyłem się, widząc w nim ojca. Chroniłem go od wszelkiego zła i rozpieszczałem ile wlezie. Pilnowałem, żeby nie poczuł na własnej skórze skutków swoich błędów. – Odchrząknął. – Matka szaleje za nim i robi, co może, żeby mu nieba przychylić. Spełnia każde życzenie synusia. Ech, żeby tylko ona... Ja też chciałem widzieć w nim księcia. Młodzięca o miękkich czystych dłoniach, odzianego w paradny strój. Chciałem, żeby korzystał z tego, co zapewnił mu ojciec. I żeby wyrastał zgodnie z jego oczekiwaniami. – Zacisnął usta, pokręcił głową. – To akurat jakoś nam nie wyszło.

– Jeszcze będą z niego ludzie – zauważył Zuchwalec obojętnym głosem.

Słowa niosły przykrą treść, lecz ton był łagodny.

– A pomogłaby mu w tym podróż z dala od matki? – podsunął Sorkor.

Nagle przed marynarzem stanęła Althea.

– Nie chcę go tutaj – oznajmiła, przenosząc wzrok z Sorkora na Prawego. – Ta podróż i bez niego będzie wyjątkowo trudna. Nie bardzo wiemy, dokąd w ogóle płyniemy, nie mamy pojęcia, co nas czeka u celu. Jak długo potrwa wypad Amber, kiedy wrócimy... Pewnie jeszcze ci nie powiedziano – wbiła spojrzenie w oczy Sorkora – że niesiemy zemstę i śmierć. Zapewne będziemy uciekać co siłą, by ocalić życie. Nie wiemy, czy wyjdziemy z tej awantury cali. Nie wezmę na siebie odpowiedzialności za bezpieczeństwo księcia. Tym bardziej za jego życie.

– Ja to zrobię – odezwał się „Niezrównany”.

Wszyscy usłyszeliśmy tę odpowiedź i poczuliśmy ją w sobie. Zagrzmiała w kościach statku, sięgnęła naszych ciał i uszu nie jako krzyk, lecz w postaci stanowczego zapewnienia. Osobiście nie życzyłem sobie dodatkowych osób na pokładzie, a zwłaszcza rozpuszczonego księcia, więc nabrałem powietrza, chcąc zaoponować, gdy Amber chwyciła mnie za przegub.

– Ćśśś... – syknęła ledwo dosłyszalnie. – Jak to się mówi w Krainie Miedzi: nie twój cyrk, nie twoje małpy.

Od wejścia na pokład „Niezrównanego” czułem coraz wyraźniej, jak stopniowo tracę kontrolę nad realizacją planów. Kolejny raz plułem sobie w brodę, że nie udało mi się, zgodnie z zamierzeniami, pokonać tej drogi samotnie. Samodzielnie.

– Przejdziemy do naszej kajuty – zarządził Zuchwalec. Objął spojrzeniem pozostałych na pokładzie członków załogi. Nie było ich wielu. – Wracajcie do obowiązków – rozkazał. – Proszę – dodał bez wahania.

Zdałem sobie sprawę, że jeśli w ogóle ruszymy w dalszą drogę, a wątpiłem w to coraz mocniej, będzie potrzebna każda para rąk.

– I tak postawię na swoim! – Dudniący głos „Niezrównanego” rozniósł się w cichej przystani.

– Wcale w to nie wątpię – przyznał Zuchwalec z goryczą.

Althea już ruszyła na rufę, więc jej mąż podążył za nią, a my poszliśmy w jego ślady.

Ta wyjątkowa kajuta, reprezentacyjna, kapitańska, była obszerna, jeśli odnieść jej wielkość do rozmiarów statku, lecz dla nas wszystkich – ciasna. Amber usiadła tam, gdzie ją podprowadziłem, ja stanąłem za nią, wsparłszy dłonie na oparciu krzesła. Usytuowałem ją tak, by móc się przyjrzeć każdemu z obecnych.

Sorkor był zbiorem kontrastów. Ocenilem, że wiek średni ma za sobą, w dawniejszych latach życie go nie oszczędzało, lecz teraz zawinął do bezpiecznej przystani. Był odziany właściwie dla drobniejszej szlachty, jednak blizny na twarzy i zniszczone dłonie zdradzały żeglarza oraz wojownika. Przypasany u boku miecz był śmiertelnie skuteczną bronią wyśmienitej jakości. Coś w kroju ubrania i doborze biżuterii pokazywało, że to człowiek, który dobrze poznał biedę, po czym nagle zyskał szansę, by nosić szlachetne tkaniny i złoto. Jedno i drugie na kimś innym mogłoby śmieszyć, natomiast on wyglądał, jakby sobie na to zasłużył.

Zuchwalec z łoskotem ustawił na stole dwie flaszki. Rum i gorzałkę. Zabrzącały postawione przez jego panią kubki.

– Nalewajcie sobie – powiedziała ze znużeniem i osunęła się na krzesło.

Ukryła twarz w dłoniach, lecz gdy mąż stanął za nią i położył jej ręce na ramionach, wyprostowała plecy. W oczach jednak nadal miała gorycz i apatię.

– Królowa Etta nie będzie zachwycona, delikatnie mówiąc – odezwał się Prawy. – Już i tak była zaniepokojona, otrzymawszy wieści o żywostatku, który pogwałcił ustalenia podatkowe. To się po prostu nie zdarza. Kupcy rozumieją konieczność wszelkich opłat, nikt nie życzy sobie opóźnienia, jakie muszą za sobą pociągnąć nieporozumienia w kwestii płatności. Udałem się do królowej, gdy tylko doniesiono mi, że chodzi tu o „Niezrównanego”. Obawiała się, że... – przerwał, szukając innego słowa. – Uznała, że najlepiej będzie, jeśli księżę zapozna się ze statkiem ojca... by tak rzec... pod czujnym okiem. – Zerknął na Sorkora.

– To już młody mężczyzna – zaoponował Sorkor. – Nie wiem jak ani skąd, ale dowiedział się o moim zadaniu i zniknął. Pewnie dał w rękę strażnikom, żeby na parę chwil odwrócili wzrok. Nimi zajmę się jutro. W tej chwili mamy ważniejsze sprawy. Co teraz?

– Wchodzę na pokład! – Kobięcy głos, władczy, rozeźlony.

Prawy i Sorkor wymienili spojrzenia.

– Królowa Etta najwyraźniej... nie zamierza niczego odkładać do jutra...

Sorkor prychnął i spojrzał na kapitana.

– Tłumacząc z ichniego na nasze: może mieć nagi miecz w rękę. Uważajcie na

siebie i nie róbcie niczego pochopnie. – Gładkim ruchem ściągnął z głowy kapelusz i odruchowo ustawił się w bojowej pozycji.

Zuchwalec odsunął się od swojej pani, stanął bliżej drzwi, jakby zamierzał ją bronić, lecz ona z błyskiem w oczach zerwała się na równe nogi i ustawiła przy mężu.

– Z drogi! – dobiegł nas ponownie władczy głos. – Mówiłam, że mi cię do tego nie trzeba. Wstyd mi przynosisz. Mój sekretarz generalny o wszystkim się dowie, zobaczysz! Polecenia stałe mają być wykonywane, zanim cokolwiek rozkażę! Czekać w łodzi, skoro musisz, ale nie płacz mi się pod nogami!

– Właśnie odprawiła straż osobistą – zauważył cicho Prawy.

W następnej chwili w proggu stanęła wyjątkowa kobieta. Wysoka, o regularnych rysach twarzy, nie tyle piękna, ile efektowna. Błyszczące czarne włosy spadały na jej szerokie barki obciągnięte szkarłatną kurtą. Na dekolcie i przy nadgarstkach kipiała czarna koronka. Z uszu zwieszały się złote koła. A na szyi, tuż nad gniazdem z koronki, tkwiła kamea ukazująca podobiznę jakiegoś mężczyzny. Zapewne Kennita, bo Kennitasyn był do tego wizerunku bardzo podobny. U szerokiego czarnego pasa nabijanego srebrem wisiał miecz, nadal w pochwie. Kobieta lekko wsparła palce na zdobionej rękojeści.

– Co to za konszachty?

Prawy skłonił głowę.

– W miarę potrzeby, Wasza Wysokość. A twoje towarzystwo sprawi nam niekłamaną radość. Rozmawiamy o twoim bardzo stanowczym i dość kapryśnym dziedzicu, który ostatnio poznał żywostatek swojego ojca, bardzo stanowczy i dość kapryśny. Zamierzają poznać się lepiej w drodze do Clerres. Dano mi do zrozumienia, że celem tej wyprawy jest wywarcie na mieszkańcach tamtejszego klasztoru zemsty za porwanie i zamordowanie dziecka. Następnie statek za pomocą czarów przemieni się w dwa smoki. – Zerknął na Altheę. – Czy przedstawiłem sprawę zgodnie ze stanem faktycznym?

Królowa Etta milczała, choć otworzyła usta.

– Z grubsza tak to wygląda – potwierdziła kapitan ze wzruszeniem ramion.

Dwie kobiety zmierzyły się zimnym spojrzeniem.

Ponieważ królowa nadal milczała, Prawy podjął ostrożnie:

– Co z delegacją z Wysp Korzennych?

– Nie brak tam ludzi chętnych tracić pieniądze. Może dołączę do nich później, przy kartach, a może wcale. Teraz to mało ważne. – Obrzuciła parę kapitanów spojrzeniem pełnym furii. Po coście przyprowadzili tutaj ten swój statek? Czego od nas chcecie? Od Kennitasyna? Mój syn nigdzie nie płynie! Jest dziedzicem

królestwa i jest potrzebny tutaj! Ma spędzić miły wieczór w towarzystwie kupców i przyszłej żony, a nie planować morską wyprawę. – Przebiła nas po kolei wzrokiem jak sopele lodu. – Wasza zemsta nie ma nic wspólnego z nami. Po co nam tu ten pechowy statek o fatalnej reputacji? Życzyłam sobie nigdy więcej nie widzieć go na oczy, nigdy nie postawić na nim stopy!

– O, tu się zgadzamy – mruknęła Althea.

Widziałem, że królowa piratów zmusza się, by spojrzeć na kapitan.

– Tylko że nie z tego samego powodu – wycodziła. – Mój syn jest tym statkiem zafascynowany od momentu, gdy wyrósł na tyle, by pojąć, jak zginął jego ojciec. Ostatnie krople krwi Kennita wsiąkły w te deski. Jego wspomnienia... i jego życie. A mój dziedzic, od czasu, gdy dowiedział się o tych sprawach, nie mógł przewyciężyć ciekawości, koniecznie chciał zobaczyć statek, wejść na jego pokład... w nadziei, że uda mu się porozmawiać z ojcem. Powtarzaliśmy mu do znudzenia, że „Niezrównany” nie stał się jego ojcem. Że jego ojciec stanowi tylko część życia ucieleśnianego przez żywostatek. Ale trudno to wytłumaczyć.

– Nie przypuszczam, żeby ktokolwiek spoza rodów kupieckich z Miasta Wolnego Handlu mógł to pojąć – stwierdziła Althea głosem bez wyrazu.

Królowa przyszpiliła ją lodowatym spojrzeniem.

– Kennit pochodził z rodu kupieckiego. Ze Szczęśnych. I w żyłach jego syna płynie kupiecka krew, nawet jeśli woli nazywać się Kennitasynem. – Bezwiednie uniosła dłoń i dotknęła wisiora. – Niewykluczone, że rozumiem ten statek lepiej, niż wam się wydaje. „Niezrównany” sam tłumaczył mi najważniejsze sprawy. A co więcej – przekrzywiła głowę w stronę Prawego – moim doradcą w tych kwestiach był nie kto inny, tylko twój siostrzeniec, szanowna pani kapitan.

– Wobec tego może tym łatwiej zrozumiesz, królowo, ile wycierpiał żywostatek. Gdy był we władaniu Igrota, wchłonał niejedną śmierć, zapewne więcej niż którykolwiek inny. A i wcześniej, kiedy jeszcze należał do rodziny Szczęśnych, wydawał się przeklęty przez los. Nigdy nie był... stabilny. Jakiś czas znano go w Mieście Wolnego Handlu jako Pariasa. Jako szalony statek, żywostatek, który może zabić każdą załogę, która by miała na nim pływać.

– Wiem o tym – stwierdziła królowa z pogardą w głosie. Po czym dodała rozbijając ludzkim tonem. – Altheo, przecież poznałam Maltę i Reyna. Doskonale znam historię tego statku, z wszelkimi szczegółami. – Opuściła wzrok na kameę. – Nie można wykluczyć, że rozumiem ten statek lepiej niż ty.

Obie kobiety jakiś czas milczały. Ważyły się nasze losy. Czy właśnie to miał na myśli Błazen, mówiąc o niezliczonych wersjach przyszłości, zawieszonych w oczekiwaniu, która stanie się rzeczywistością? Czy byliśmy świadkami takiej

chwili?

Odezwał się kapitan Zuchwalec.

– Każdy z nas tutaj dźwiga na barkach ciężar przeszłości. Zostawmy go, proszę. Nie ma sensu kłócić się o to, kto lepiej rozumie żywostatki, czy samego Niezrównanego. Nie na tym polega teraz nasz problem. I nim zaczniemy rozmowy o przyszłości, chcę uzgodnić sprawy terażniejsze, bo dotyczą one Althei, mnie i naszej załogi. – Powiódł po nas wzrokiem. Milczeliśmy. – W czasie pierwszej rozmowy z Prawym, wczoraj, na brzegu, Althea uzyskała obietnicę zaspokojenia naszych najpilniejszych potrzeb: chodziło o wysłanie ptaków z wiadomościami do naszych partnerów handlowych w Mieście Wolnego Handlu i Deszczowych Ostępów, by zapewnić ich, że nie dokonaliśmy kradzieży, choć nie cumowaliśmy w zwyczajowo odwiedzanych portach i nie przekazaliśmy towarów. Królowo, prosimy cię o pomoc w wyborze statków, którym będzie można powierzyć nasz ładunek, by dostarczyły go we właściwe miejsca i w ten sposób uratowały nasze dobre imię obu rodów Kupców. Jeśli zgodzisz się pomóc nam w tej sprawie, będziemy czuli się zobowiązani.

Królowa spojrzała na swego admirała i skinęła głową.

– Ustalone – powiedział cicho. – Znam kapitanów godnych zaufania.

Zuchwalec nie krył ulgi.

– Zgodzimy się chyba również co do drugiej sprawy: Kennitasyn nie powinien wypuścić się z nami na tę szaloną wyprawę „Niezrównanego”. Musimy zadbać, żeby nie zdążył pojawić się na pokładzie. Trzeba go trzymać z dala od statku, a nawet od przystani. Na lądzie żywostatek nie może go szukać. – Uniósł dłoń. – Teoretycznie, jeżeli uda nam się nie dopuścić do ich spotkania, „Niezrównany” może nie chcieć opuścić portu i postanowić ze względu na Kennitasyna zrezygnować z wyprawy. Uważam to jednak za mało prawdopodobne. Sądzę, że jego wola przekształcenia się w smoki będzie silniejsza niż pragnienie, by Kennitasyn towarzyszył mu w ostatniej wyprawie.

– Zgadzam się... – zaczął Prawy.

Urwał i zwrócił pytające spojrzenie na Zuchwalca.

Althea zerwała się na równe nogi.

– Co to takiego? – szepnęła Sorkor ochryple.

Ludzie morza najprędzej zorientowali się w sytuacji, ale i ja poczułem przechył.

– Wychodzi z portu! – krzyknęła kapitan.

Zuchwalec w dwóch krokach znalazł się przy drzwiach, lecz nie zdołał ich otworzyć, bo skrzydło utknęło w przekrzywionej framudze. Belki zajęczały, szyby w bulajach wydały dźwięk nie do opisania, a nad wszystkim górował głos

„Niezrównanego” niesiony po wodach przystani.

– Mógłbym was zabić! Utopić wszystkich tu i teraz! Jak śmiecie przeciwko mnie spiskować na moim pokładzie?!

Pani Amber wbiła mi palce w przedramię.

– W razie potrzeby stłukę szybkę – zapewniłem.

Skierka pochwyciła Niestrudzonego, jak siostra przygotowująca się do odsunięcia najmłodszego z rodzeństwa w bezpieczne miejsce. Strzyk złapał oboje pod ramiona i przepchnął w moją stronę. Skupiliśmy się wszyscy przy pani Amber. Podłoga kajuty stawała się coraz bardziej stroma. Sorkor już był przy boku królowej. Przypominał starego psa obrończego. Władczyni najwyraźniej go nie dostrzegła. Z zaciśniętymi wargami układała własny plan. Ja obserwowałem Zuchwalca. Jeśli on się ruszy, ja także zadziałam. Na razie jednak...

– Nie utopię was. – Głos statku odbił mi się w piersiach basowym echem. – Jeszcze nie teraz. I nie tylko dlatego, że jest z wami Basałyk.

Wspomniany chłopak stał z pobladałą twarzą, uczepony krawędzi stołu. Oczy miał tak szeroko otwarte, że wokół całej tęczówki świeciło białko. Dopiero w tej chwili uświadomiłem sobie, że wziął groźby statku całkiem na serio. Zimny pot zrosił mi czoło.

– „Niezrównany”, wypuść mnie. Pozwól nam iść na dziób, porozmawiamy bez osób postronnych. – Zuchwalec mówił jak ojciec do dziecka. Rzeczowo i spokojnie. – Nasze sprawy nie dotyczą mieszkańców Wysp Pirackich. – Wciąż miał dłoń opartą na kłance.

– Wręcz przeciwnie! – ogłuszył nas grzmiący łoskot słów. – Dotyczą, jak najbardziej. – Z pewnością było go doskonale słychać w mieście. – Jeżeli ktoś spróbuje stanąć na drodze księciu, będzie miał ze mną do czynienia! Bo księżę jest przede wszystkim moim krewnym, a dopiero potem ich władcą. Gdyby nie ja, nie byłoby go na świecie!

– Oszalał, bez dwóch zdań – szepnęła królowa Etta. – Jeśli muszę utonąć, trudno, ale syna nie oddam.

– Nie utoniesz, pani. – Sorkor wziął ze stołu flaszkę rumu i przyglądając się oknu z namysłem, zważył ją w dłoni.

– Nie umiem pływać – wyznała królowa.

– Nie zatopi nas – oznajmiła kapitan Althea stanowczo, a we mnie narodziła się wątpliwość, czy jej determinacja zdoła nas ocalić.

Raptem dobiegł nas inny głos.

– Mam toporek! – zawołała Mrówka. – Rąbać drzwi?

– Wstrzymaj się! – zdecydował Zuchwalec.

Nie kryję, że ku memu zaskoczeniu.

A wzrosło ono niepomierne, gdy usłyszałem inny kobiecy głos, donośny i potężny, a dźwięczał w nim niezaprzeczalny autorytet.

– Jeśli skrzywdzisz kogoś z mojej rodziny, dopilnuję, żebyś marnie skończył w płomieniach, Pariasie!

– „Werwa”! – z ulgą westchnęła kapitan.

– Spalisz mnie?! – zawył „Niezrównany”. – Żeby ratować swoją rodzinę? Tobie się wydaje, że twoja rodzina jest dla ciebie ważniejsza niż moja dla mnie? Jeżeli mnie podpalisz, to ludzie upieką się w moich bebechach jak w piecu!

– „Niezrównany”! – krzyknął Basałyk najgłośniejszym głosem, jak potrafił. – Naprawdę byś mi to zrobił? Urodziłem się na twoim pokładzie, tutaj uczyłem się chodzić! – Oddech mu drżał. – Ty nadałeś mi imię! Tak, ty mnie nazwałeś! Zostałem Basałykiem, bo w ten sposób się do mnie pieszczotliwie zwracałeś! Jestem, kim jestem, bo nie chciałeś mówić do mnie: Trelvestrit! Uznałeś mnie za swego, oceniłeś, że dwa połączone nazwiska nie są dobrym dla mnie mianem!

Po tych słowach zapadła martwa cisza. Ogłuszyła nas, rozrastała się i puchła. A potem deski zadygotały od udręczonego jęku. Nie wiedziałem, czy inni odczuli go, jak ja. Mnie z tym dźwiękiem zalało poczucie winy nie do zniesienia. Odświeżył mi się w pamięci każdy szalony uczynek, każda egoistyczna decyzja. Najchętniej umarłbym ze wstydu, byle szybko i byle nikt mnie nie widział.

Podłoga zaczęła wolno powracać do poziomu. Otoczyły nas trzaski i zgrzyty desek oraz belek powracających do właściwej pozycji. W następnej chwili drzwi zostały otwarte gwałtownie, odsłaniając przestraszoną Mrówkę z toporkiem w dłoniach. Przy niej stało kilku innych marynarzy.

– Niebezpieczeństwo minęło – oznajmił Zuchwalec, ale ja nie miałem pewności, czy można przyznać mu rację. – Zajmijcie się ładunkiem – rozkazał załodze. – Cokolwiek zamokło, wynieście na pokład. Wiem, wiem... – dodał, widząc ich miny. – Praca po nocy, w ciemnościach... Nic nie poradzę. Chcę jutro pozbyć się towaru jak najszybciej. – I po krótkiej pauzie dodał: – Wszystkie włazy otworzyć i tak zostawić.

– Tak jest – potwierdziła Mrówka drżącym głosem i zniknęła.

Kapitan przekroczył próg kajuty i ruszył na dziób. Althea podążyła tuż za nim, u jej boku kroczył Basałyk. Za nimi szła cała nasza reszta.

– Wcale mi się to nie podoba – powiedziałem cicho do pani Amber.

– A komu się podoba? – mruknęła.

– Nie mogę pozbyć się wrażenia, że w ogóle nie panuję nad własnymi planami. Mam tego dość. Chcę zejść z pokładu tego szalonego statku, opuścić to

towarzystwo! I to już! – Podprowadziłem ją do relingu, popatrzyłem na ląd usiany światłami pirackiego miasta. – Na brzeg dostaniemy się bez problemu, wystarczy wyrazić takie życzenie. Potem za pomocą darów z Dzikich Ostępów kupimy sobie miejsce na jakimś innym statku. Odzyskamy kontrolę nad własnymi poczynaniami. Odeślę Strzyka i młodzież do domu, będą bezpieczni.

– Znowu do tego wracamy? – Strzyk pokręcił głową. – Nic z tego. Nie wracam do domu. Chyba że z tobą. A ich dwojga też nie powinniśmy wysyłać w długą drogę w towarzystwie obcych. Obojętne co nas czeka, z nami będą bezpieczniejsi.

– Jeśli o mnie chodzi, bezpieczeństwo jest najmniej ważne – mruknął Niestrudzony.

Udałem, że nie słyszę ani jednego, ani drugiego, popatrzyłem w gwiazdy. Nade wszystko pragnąłem otrząsnąć się, tak jak wilk strząsa z futra krople deszczu, a potem ruszyć truchtem w ciemność, samotnie, zrobić, co miałem do zrobienia. Czułem się spętany przez odpowiedzialność. Co powinienem zdecydować? Jakie wyjście było dla nas najwłaściwsze?

– Wobec tego opuścimy pokład wszyscy. Jeszcze tej nocy. I znajdziemy inny statek do Clerres.

– Nie możemy – stwierdził Błazen.

Błazen, nie pani Amber. Przyjrzałem mu się uważnie.

Jak on to robi? Z tak niesłychaną łatwością zrzuca jedną maskę, a przywdziewa drugą... Mimo różu i pudru obrócił ku mnie twarz mojego starego przyjaciela.

– Musimy tam płynąć na „Niezrównanym” – dokończył.

– Dlaczego?

– Już ci mówiłem. – Wydawał się nieskończenie cierpliwy, a równocześnie rozdrażniony, jak to tylko on, Błazen, potrafił. – Wróciły mi sny. Nie jest ich wiele, jednak te, co do których nie mam wątpliwości, są całkowicie jasne i... nieuchronne. Jeżeli płyniemy do Clerres, to wyłącznie na „Niezrównanym”. Muszę poruszać się bardzo ostrożnie, jeśli mam osiągnąć cel. I tylko ten statek prowadzi nas ku przyszłości, jaką muszę stworzyć.

– I aż do tej chwili nie przyszło ci do głowy, żeby się tą informacją ze mną podzielić? – Nawet nie próbowałem ukrywać rozdrażnienia. Tak, miałem do niego pretensję.

A przy tym nie wiedziałem, w co wierzyć. Mówił prawdę czy też przed chwilą wymyślił odpowiednie argumenty, by osiągnąć cel? Mój brak zaufania w stosunku do pani Amber zaczął rzutować na przyjaźń z Błaznem.

– Musiałem poczynić odpowiednie kroki, byśmy dostali się do Kelsingry, potem do Trehaugu, wsiedli na ten statek i przyплыnęli do Łupigrodu.... Gdybym ci

o nich opowiadał, o tym, co zamierzałem, co zrobiłem i czego z wielką starannością nie zrobiłem, wywarłbym wpływ na twoje zachowanie. A potrzebowałem, żebyś zachowywał się, jakbyś o niczym nie wiedział. Dlatego musiałeś o niczym nie wiedzieć. Inaczej byśmy się tu nie znaleźli.

– Że co? – wyrwało się Strzykowi.

Trudno było go winić.

– Czyli... – Poukładałem sobie w głowie wszystko, co od Błazna usłyszałem. – Oczywiście nie możesz mi przybliżyć żadnych innych snów, bo wtedy zdradziłybyś mi, co musimy zrobić. A wszystko ma pozostać w twoich rękach.

Ułożył dłonie obciążone rękawiczkami na relingu.

– Właśnie tak – potwierdził cicho.

– Psiamać! – rzucił Niestrudzony.

Niby pod nosem, jednak wyraźnie.

Skierka podniosła na niego zdumione spojrzenie, po czym z dezaprobatą szturchnęła go łokciem w żebra. Spiorunował ją wzrokiem.

– To nie jest w porządku. Tak się nie załatwia spraw między przyjaciółmi.

– Dosyc – nakazałem chłopakowi.

– Może byśmy przeszli na dziób – zaproponował Strzyk z westchnieniem – i sprawdzili, co się tam dzieje?

Poszliśmy za nim. Nie miałem ochoty się tam znaleźć. Rozpaczliwy szloch galionu i jego udręka przenikały statek do szpiku. Przystanąłem na moment, w skupieniu wzmocniłem ochronę umysłu, po czym razem z panią Amber podążyłem śladem innych.

– Nie będę przepraszał – odezwał się Błazen cicho, by poza mną nikt go nie usłyszał. – Nie mogę przepraszać za coś, co muszę zrobić.

– Nie jestem przekonany, czy to cała prawda – odparłem.

Miałem w pamięci wiele uczynków, które były konieczne, ale i tak ich żałowałem.

– Byłoby znacznie gorzej, i to dla nas obu, gdybym zaczął bardziej przejmować się twoimi odczuciami, a mniej dotarciem do Clerres. Trzeba ratować Pszczołę.

– Ratować Pszczołę. – Te słowa były dla mnie tym, czym mogłoby być dla głodnego psa soczyste mięso na końcu patyka. Ledwo dawałem sobie radę ze zmęczeniem. I z poczuciem winy „Niezrówanego”. Oraz jego smutkiem. – Myślałem, że masz ambicje zniszczyć Clerres i zabić tyłu, ilu zdołasz. Albo tyłu, ilu ja zdołam zabić.

– Jesteś rozeźlony.

Zawstydził mnie, ujmując prawdę w słowa. I jeszcze bardziej rozzłościł. Zatrzymałem się i jakiś czas stałem bez ruchu.

– To prawda – przyznałem. – Bo nie tak... Ja nie tak załatwiam sprawy. Jeśli zabijam, to przede wszystkim sprawnie. Wiem, kim jest mój cel, jak go wyszukać, jak sobie z nim poradzić. A to, teraz, to jest... czyste szaleństwo. Znajdę się na obcym terenie, prawie nic nie wiem o swoich celach i na dodatek jestem obciążony odpowiedzialnością za ludzi, którymi mam się opiekować. A do kompletu tańczę, jak mi zagrasz... do muzyki, której nawet nie słyszę. Odpowiedz, wobec tego, na kilka pytań: czy przeżyję tę wyprawę? A Niestrudzony? Czy Strzyk wróci do domu i zastanie ojca przy życiu? Czy Skierka przetrwa tę wyprawę? A ty?

– Pewne zdarzenia są bardziej prawdopodobne, inne mniej – rzekł spokojnie.
– A wszystkie ciągle zmieniają się, wirują jak moneta. Byle pyłek na wietrze, deszczowy dzień, przypływ mniejszy od spodziewanego... każdy drobiazg może wszystko zmienić. Przecież wiesz, że tak wygląda prawda! Cóż ja mogę? Jestem jak dziecko we mgle. Patrzę w przyszłość i oceniam: „tam chyba coś widać”. Dlatego mówię ci, że największą szansę uratowania Pszczoły mamy, pozostając na „Niezrównanym” aż do Clerres.

Duma popychała mnie do buntu, lecz zwyciężyła troska o dziecko. Czy w ogóle istniała jakaś granica, której bym nie przekroczył, aby zwiększyć szanse na uratowanie Pszczółki, na to, że wezmę ją na ręce i powiem jej, jak jestem zdruzgotany przez świadomość, że ją zawiodłem? Aby przysiąc jej, że już zawsze będę ją chronił?

Troje naszych zatrzymało się i na nas czekało. Pani Amber ścisnęła mnie za ramię, a ja poprowadziłem ją na dziób. Pozostali puścili nas przodem i podążyli tuż za nami. Moja straż. Straż, którą musiałem chronić, prowadząc w niewiadome.

– Czy po lewej pali się światło? – spytała pani Amber.

– Latarnia na „Werwie”. Świeci bardzo jasno.

Na pokładzie sąsiedniego statku trwała jakaś głośna wymiana zdań, lecz nie słyszałem, czego dotyczy. Dotarło do mnie tylko słowo „kotwica”, a potem szorstki rozkaz, by kogoś natychmiast postawić na nogi, chociaż śpi.

Pani Amber obróciła twarz ku światłu i szerzej otworzyła złote oczy. Leciutki uśmiech uniósł kąciki jej warg. Jasna twarz przywodziła na myśl księżyc.

– Widzę blask – usłyszałem. – Wzrok mi się poprawia. Powoli. Bardzo wolno, ale jednak. Bastardzie, odzyskuję wzrok.

– To dobrze – powiedziałem, choć w głębi serca żywiłem obawy, czy Błazen aby nie oszukuje samego siebie.

Głosy dobiegające z okolic galionu to przybierały na sile, to cichły. Szczególnie wyraźnie docierał do nas pełen wątpliwości ton kapitan Althei, choć nie rozumieliśmy słów. Znalazłszy się na miejscu, stanęliśmy na obrzeżu grupy marynarzy, by nie

przeciskać się w stronę figury. Akurat w tej chwili odezwał się „Niezrównany”.

– Ależ nie! Kto jak kto, ale wy powinniście wiedzieć, że nie jestem Kennitem i nie Kennit z wami rozmawia. Czy „Werwa” jest waszą matką albo babką? Oczywiście nie! I tak samo nie Kennit z wami rozmawia, tylko ja, „Niezrównany”. Żywostatek zbudowany z dwóch zmasakrowanych smoków, zawłaszczonych przez rodzinę kupiecką z Miasta Wolnego Handlu. Nie miałem... nie mieliśmy w tej sprawie nic do powiedzenia! Żadnego wyboru. Żadnej swobody w uznaniu, kogo kochamy, skoro Szczęśni przelali na naszym pokładzie krew, wsączyli w nasze kości swoje życie i wspomnienia. Ja nie proszę, ja żądam! Mam do niego nie mniejsze prawa niż jego przodkowie do rozporządzania mną! Mam rację?

– Masz rację! – rozbrzmiał dźwięczny kobiecy głos.

„Werwa”. Dokładnie w tej chwili mój umysł poskładał w całość strzępy zasłyszanych dotąd urywków zdań. „Werwa” pociągnęła kotwicę, by zbliżyć się do „Niezrównanego”, nie tylko po to, by lepiej słyszeć jego słowa, ale z zamiarem wyrażenia własnego zdania.

– Kapitan Altheo, ty wiesz, że „Niezrównany” ma rację. Czy zabroniłabyś mi towarzystwa Basałyka w mojej ostatniej drodze? Usłuchaj ich. Mają prawo domagać się Kennitasyna, zwłaszcza po tym wszystkim, co przeszli jako statek rodzinny Szczęśnych.

– Co tam się dzieje? – spytał Prawy w chwili ciszy, jaka zapadła po słowach „Werwy”.

– Dzieje się nieuniknione! – rzekła ona, zanim którykolwiek z marynarzy zdążył odpowiedzieć kapitanowi. – Przecież chyba nie oczekiwaliście, że nie zrozumieć prawdy zawartej w słowach „Niezrównanego”? Owszem, jestem żywostatkiem, cudowną, zdumiewającą jednostką i jako taka służyłam waszej rodzinie długie pokolenia. „Niezrównany” jednak ma rację: wszyscy zdajemy sobie sprawę, że gdzieś głęboko drzemie w nas całkiem inna natura. Wiedzieliśmy o tym od dawna, jeszcze zanim odkryto prawdę o tak zwanym czarodrzewie. Ja także stanę się na powrót smokiem, Prawy. Nie znam żywostatku, który by nie marzył o tym, by ponownie wznieść się w powietrze. Tak, pójdę w ślady „Niezrównanego”. Nie tylko popłynę razem z nim do Clerres, ale także potem w górę Dzikiej Rzeki Deszczowej, po srebro, które należy się każdemu smokowi.

– Popłyniesz z „Niezrównanym” do Clerres? – powtórzył Prawy.

– Chcesz być smokiem? – spytała równocześnie Althea.

– Zastanawiam się nad tą możliwością – przyznała „Werwa”.

– A dlaczego chcesz płynąć do Clerres? – Zuchwalec wyraźnie czuł się zagubiony.

– Dlaczego nie bezpośrednio do Kelsingry?

– Mieszają mi się wspomnienia. Przeplatają, zlewają i pokrywają. Ludzkie myśli, emocje i doświadczenia narosły na moje własne jak zabliznione ciało. Niczego w tej chwili nie jestem pewna prócz gniewu i chęci zemsty, które kipią we mnie na dźwięk słowa „Clerres”. Smoki niewiele pamiętają z lat węzowych, jednak... coś mi świta. Coś, czego nie sposób zaakceptować!

– Wreszcie! – krzyknął „Niezrównany” w rozgwieżdżone niebo, odrzucając głowę do tyłu.

Uniesienie oraz radość wstrząsnęły kadłubem i natychmiast mi się udzieliły. Z trudem powstrzymałem uśmiech wykwitający mi na ustach.

Ma potężną Moc, pomyślałem.

A gdy dotarły do mnie możliwe skutki jego potęgi, oblał mnie zimny pot. Zdjąłem dłoń pani Amber ze swojego przedramienia i zwróciłem się do Skierki:

– Zajmij się, proszę, panią. Ja muszę chwilę pomyśleć w spokoju.

Amber chwyciła mnie za koszulę.

– Odchodzisz? Nie chcesz słyszeć, co się dzieje?

Wziąłem ją za nadgarstek i oswobodziłem się bardziej bezwzględnie, niż zamierzałem. Nie zdołałem też usunąć z głosu niepokoju oraz irytacji, że tak późno zorientowałem się w kwestiach ewidentnych.

– Słuchanie niczego nie zmieni. Zdecydują, co z nami będzie dalej, kiedy ruszamy i w jakim składzie. Muszę się zastanowić nad czymś innym. Zostaje z tobą Skierka, podobnie Strzyk i Niestrudzony. Ja teraz muszę pomyśleć w samotności.

– Rozumiem – powiedziała głosem świadczącym o czymś wręcz przeciwnym.

Nie mogłem jednak w tej chwili dzielić się z nią swoimi spostrzeżeniami na temat możliwości sterowania ludzkimi emocjami, jakie miał żywostatek. Szybkim krokiem poszedłem do kwater załogi. Puste hamaki. Zostało tylko kilka kufrów i worków marynarskich. W dusznych ciemnościach usiadłem na czyjejs skrzyni i pogrążyłem się w myślach. Trochę to przypominało zbieranie okruchów rozbitej filiżanki. Owo srebro, którego tak mocno pragnęły żywostatki, a smoki zazdrośnie strzegły, było tym samym, co Moc, którą widziałem na rękach króla Szczerego, gdy tworzył rzeźbę w kamieniołomie. To płynna magia, jej esencja. Widziałem ją w postaci mazi pokrywającej ręce mojego króla, patrzyłem, jak za sprawą jej potęgi zmienia kamień w szlachetnego gada. We śnie dzielonym za sprawą czarów z moim władcą widziałem rzekę z szerokim pasmem smoczego srebra płynącym w nurcie wody. Widziałem też nitki srebra w smoczej krwi, wiedziałem, że przyspieszyło ono u Błazna proces powrotu do zdrowia. Podobnie leczenie Mocą zadziało na dzieci mieszkańców Kelsingry.

Innymi słowy, smocze srebro było Mocą. A Moc to magia, z której korzystałem

za pomocą umysłu, na przykład po to, by się porozumieć z Cierniem. Błazen wspomniał kiedyś, że jego zdaniem w moich żyłach płynie smocza krew. „Smolisty” powiedział, że należę do smoka. Czy dostrzegł we mnie ślad kamiennego smoka, którego dotknąłem, czy echo króla Szczerego? Uporządkowałem myśli i spojrzałem na całość z innej strony. Czy odziedziczyłem jakąś właściwość, za sprawą której miałem coś szczególnego we krwi? Nieznaczną ilość smoczego srebra, które pozwalało mi przesyłać myśli? Czarne filary Mocy poznaczone były srebrnymi żyłkami. A ja mogłem korzystać z tych portali. Srebrne linie znaczyły kamień, z którego król Szczery stworzył swoją rzeźbę, a także ten, z którego stworzone smoki, śpiące, póki nie obudziłem ich krwią i dotykiem Mocy. Kamienie pamięci, zawierające informacje zostawione nam przez Najstarszych, również połyskiwały srebrem.

Czymże był, wobec tego, ów strumień Mocy, do którego zwykłem sięgać, szukając Pokrzywy lub króla Sumiennego? Bez wątpienia miałem do czynienia z siłą zewnętrzną. I napotykałem w jej obrębie różne potężne istnienia, które mnie przyciągały i mogły wchłonać. Kim były? Czy naprawdę wyczuwałem tam króla Szczerego? A także Roztropnego? Jak się to wszystko miało do smoczego srebra?

Za dużo tego. Przeskakiwałem w myślach z jednego tematu na drugi, od zgłębiania nurtu Mocy po rozważanie, jak wielką magią mógłbym władać, gdybym wypił zawartość cylindrów ofiarowanych przez generała Rapskała. Była to pokusa naznaczona bojaźnią. Czy zyskałbym nieograniczoną władzę, czy raczej stracił życie w męczarniach? Jaka ilość czarodziejskiego srebra była za duża dla ludzkiego ciała? „Niezrównany” zyskał wielką moc dzięki płynnej magii, którą dała mu pani Amber. Każdy z cylindrów w moim bagażu zawierał ponad dwa razy więcej specyfiku, niż wchłonał żywostatek. Emocje kipiały w nim z taką siłą, że opierałem się jej z najwyższym trudem. Czy „Niezrównany” zdaje sobie sprawę ze swojego wpływu na ludzi? Czy na mnie oddziałuje mocniej, ponieważ zostałem wyszkolony w używaniu Mocy? Jeżeli żywostatek rozumie swoje możliwości i potrafi je świadomie wykorzystywać, to czy zdołam, w razie potrzeby, sprzeciwić się jego woli?

Czy ktokolwiek zdoła?

Gdy kamienne smoki wzniosły się do lotu i król Szczery poprowadził je do walki ze szkarłatnymi okrętami, wywierały wpływ na umysły wojowników, nad którymi przelatywały. Raziły wroga jadowitym oddechem, budziły śmiertonością zawieruchę, machając potężnymi skrzydłami. Chłostając ogonami, niszczyły naszego wroga. Najgorsze jednak były szkody wyrządzone ludzkim umysłem. Ten, nad kim przeleciał kamienny smok, tracił wspomnienia. Podobny efekt osiągnęli

Zawyspiarze, zarazając pojmanych kuźnicą. Nawet mieszkańcy naszego królestwa odczuwali skutki przelotu smoków. Obecność króla Szczerego pod postacią smoka nie pozostała bez wpływu na wartowników Koziej Twierdzy. Świadkowie powrotu do zamku królowej i Wilgi Słowiczej niewiele z tego zdarzenia pamiętali. Najczęściej twierdzili, że do bezpiecznej twierdzy król Szczery przywiózł je na smoku. A nie, że król był zmieniony w smoka.

Na tym właśnie polegała siła Mocy i smoczego srebra. Jedno i drugie potrafiło zbić z tropu i pomieszać w głowie. Odebrać pamięć, a może też człowieczeństwo.

Wystarczy pomyśleć o tym, co stało się ze służbą w Białym Gaju w noc porwania Pszczoły. Czy napastnicy użyli smoczego srebra albo smoczej krwi? Przecież służba w ogóle nie pamiętała najazdu, porwania, mordów, rabunku... Ci ludzie wręcz zapomnieli o istnieniu córki dzierżawcy!

Czy można by, wobec tego, pokonać napastników ich własną bronią? Wykorzystać przeciwko nim czary, którymi tak skutecznie się posługiwali?

Zebrałem się na odwagę i wyobraziłem sobie, że wypijam smocze srebro. Nie wszystko, rzecz jasna, nie od razu. Odrobinę. Byle sprawdzić, czym to poskutkuje. Tyle tylko, żeby dać odpór emocjom statku. Dość, by uleczyć Błazna, nie tracąc przy tym wzroku. Czy to możliwe? Ilość taką, by połączyć się z Cierniem, zasięgnąć jego rady, uwolnić mistrza od skutków starzenia się ciała i wyostrzyć mu umysł? Czy to możliwe? Czy Pokrzywa umiałaby mi odpowiedzieć na najpilniejsze pytania?

A może, gdybym wypił cały zapas, mógłbym w Clerres zażądać, żeby się sami pozabijali?

Dzięki temu z największą łatwością wywarłbym zemstę i odzyskał córkę.

– Co robisz? – zapytał Strzyk.

Obróciłem się w stronę głosu i zobaczyłem ich troje: Strzyka ze Skierką i Niestrudzonym.

– Gdzie pani Amber?

– Z galionem. Jak tylko Skierka na jej polecenie przyniosła flet, kazała nam odejść i do tej pory gra statkowi. Co robisz?

– Myślę. Gdzie inni?

– Admirał wrócił na „Werwę”. Chyba trzeba ją uspokoić. Królowa i Sorkor popłynęli z powrotem do Łupigrodu. Zamierzają odszukać Kennitasyna i przemówić mu do rozumu. Para naszych kapitanów jest w kasztelu, za zamkniętymi drzwiami.

– Zacerpnął tchu, rozejrzał się dookoła. – Tu przyszedłeś myśleć?

– Owszem.

– A czy możesz, panie, myśleć przy pracy? – usłyszałem Świstaka.

Pod pokładem panowała duchota, nic więc dziwnego, że twarz miał zroszoną

potem.

– Szukałem was – dodał – bo roboty huk, a rąk do pracy mało. Trzeba przenieść ładunek. Niektóre skrzynie się poprzesuwały, inne chyba zamokły. Te kapitanowie kazali wynieść na górę. Obiecałeś, panie, pomoc. Teraz na to czas.

– Idę.

– Ja też – rzucił Strzyk.

Niestrudzony tylko kiwnął głową.

– I ja – zgłosiła się Skierka. – Też jestem z załogą. I dziś i aż po kres.

Aż po kres, powtórzyłem w myślach ponuro. Wstałem i poszedłem za resztą.

Nagle zakręciło mi się w głowie, zatoczyłem się i gwałtownie usiadłem na jakimś kufrze.

„Jesteś!” – zahuczał mi w uszach głos pełen satysfakcji. – „Lecę po ciebie! Bądź gotów”.

– Bastardzie? – odezwał się Strzyk.

Wstałem powoli. Skryłem pod uśmiechem niepewność i strach.

– Tintaglia po mnie leci – oznajmiłem.

Rozdział 19

Inny statek, inna podróż

Sprawozdanie dla Rady Czworka

Lurik znany jako Ukochany w dalszym ciągu sieje zamęt. Przyłapano go na próbie pozostania w mieście, gdy zbliżał się przypływ i wszyscy już ustawili się w szyku gotowi wracać do chat. Szerzy niepokój wśród tych, którzy ściągnęli nabyć przepowiednie, snując opowieści o straszliwych nieszczęściach. Jednemu spośród przybyłych oznajmił, iż syn nieszczęśnika ożeni się z oślicą, ale potomstwo z tego związku przyniesie rodzinie wielką radość. Zaś do pewnej kobiety odezwał się w te słowa: „Ile mi dasz pieniędzy, żeby słuchać moich kłamstw? Najlepsze są kosztowne, lecz jedno dostaniesz za darmo. Wielką mądrością się kierowałaś, przybywając tu, by zapłacić mi szczerze za oszustwo”.

Dwukrotnie ukarałem go biciem, raz ręką, raz pasem. Błagał o cięgi na tyle solidne, by mu zeszła z pleców skóra naznaczona tatuażem. Oceniam to pragnienie jako zupełnie szczerze.

Gdy tylko wyzdrowiał i wrócił do wypełniania obowiązków na targu, wspiął się na stertę pudeł i oznajmił wszem wobec, że jest prawdziwym białym prorokiem bieżącego pokolenia, a równocześnie stwierdził, że jest przetrzymywany w Clerres wbrew swojej woli. Do tłumu, który szybko się wokół niego zgromadził, zaapelował o pomoc w ucieczce. Gdy schwytałem go i potrząsnąłem nim, by go uciszyć, ze zdumieniem stwierdziłem, iż niektórzy spośród zebranych zaczęli we mnie rzucać kamieniami. Dopiero dzięki interwencji dwóch innych strażników udało mi się zaciągnąć go z powrotem za mury.

Uważam, że wypełniałem swoje obowiązki równie dobrze, jak zrobiłby to każdy inny na moim miejscu i uprzejmie proszę o zwolnienie z odpowiedzialności za lurika znanego jako Ukochany. Z zachowaniem najszczerzego szacunku muszę podkreślić, że uważam go za osobnika nieznośnego, dokuczliwego i niebezpiecznego.

Lutius

Żyło mi się łatwiej, a w każdym razie tak sobie tłumaczyłam. Zostaliśmy zakwaterowani w całkiem ładnej kajucie, regularnie dostawaliśmy posiłki, a Dwalia rzadko miała okazję mnie bić. W rzeczy samej, poniekąd złagodniała, gdy znalazła się w komfortowych warunkach. Na morzu królowało lato, bryza niosła świeżość, a sztormy nękały nas rzadko. Na skutek magii lurika załoga akceptowała moją obecność bez najmniejszego zainteresowania. Jeśli żyłam chwilą, nie było źle. Niewiele ode mnie wymagano. Przynosiłam Dwalii posiłki do kajuty, zabierałam puste naczynia. Gdy popołudniami lingstra spacerowała po pokładzie w towarzystwie kapitana, podążałam za nimi w stosownej odległości, stwarzając odpowiednie pozory. Niby to byłam przyzwoitką.

Akurat w tej chwili niespecjalnie miałam możliwość spełniać tę rolę. Siedziałam na deskach pokładu, przed drzwiami kajuty kapitańskiej. Moim zdaniem szlachetna panna Obrecja, bo właśnie takie imię przybrała Dwalia, nie spodziewała się, że dowódca statku, oddając jej do dyspozycji własną kajutę, sam nie zamierza się z niej wyprowadzać. Z wnętrza dochodziło rytmiczne stukanie. Miałam żywą nadzieję, że to Dwalia uderza czubkiem głowy w gródź. Tempo szybko wzrastało, co mnie bezsprzecznie smuciło, ponieważ te chwile, gdy kapitan Dorfel zajmował się lingstrą, należały do najspokojniejszych w mojej trudnej egzystencji. Teraz dobiegły mnie krótkie okrzyki, ledwo słyszalne przez grubą drewnianą ścianę.

Na zejściówce zaszurały kroki. Skupiłam myśli na morzu, na ruchu fal i na słonecznym blasku ślizgającym się po wodzie. Myślałam także o ptakach fruujących wysoko nad naszymi głowami. Chociaż znajdowały się daleko, nadal wyglądały na duże. Jak wielki okazałby się taki ptak, gdyby wylądował na pokładzie? Czy byłby mojego wzrostu? A czym się takie stworzenia żywiły? Gdzie budowały gniazda? Gdzie odpoczywają, gdy znajdują się całe dni lotu od lądu? Wypełniłam umysł rozmyślaniami na temat wielkich białych ptaków tak dokładnie, że nie zostało mi miejsca na żadne inne myśli. Gdy Vindeliar kucnął obok mnie, zastanowiłam się, jak wyglądałby, gdyby był ptakiem. Wyobraziłam go sobie z dziobem i lśniącymi piórami, z pomarańczowymi, szponiastymi stopami, z ostrogami jak u koguta.

– Oni ciągle w środku? – spytał ochrypłym szeptem.

Nie odpowiedziałam, nawet na niego nie spojrzałam. Długie, połyskliwe, szare pióra.

– Nie będę się wpychał w twoje myśli.

„Nie wierzę ci, nie ufam, nie wierzę i nie ufam. Nie wierzę. Nie ufam”.

Owszem, tak właśnie pomyślałam, ale nawet odrobinę nie obniżyłam muru chroniącego umysł. Vindeliar nie był już tak potężny, jak tuż po zażyciu węzowych wydaliny, lecz do słabości wciąż miał daleko. Już jakiś czas temu pojęłam, iż

w odróżnieniu od magii mojego ojca, która była z nim zawsze, ta, co pozostawała do dyspozycji lurika, zależała od eliksiru. Nie wiedziałam natomiast, po jakim czasie zaniknie całkowicie. Kiedy będę mogła zyskać pewność, że moje myśli oraz plany pozostaną moją wyłączną własnością. Nie. O tym nie myśleć.

„Nie wierzę ci, nie ufam, nie wierzę i nie ufam. Nie wierzę. Nie ufam”.

– Nie ufasz mi – powiedział ze smutkiem tak głębokim, że niemal zrobiło mi się przykro.

Tyle tylko że to były moje słowa, wyimek z moich myśli. Nie należało ufać Vindeliarowi. Za nic w świecie. Wiedziałam to, z całkowitą pewnością. Ogromnie potrzebowałam sprzymierzeńca, lecz on się do tej roli nie nadawał.

„Nie wierzę ci, nie ufam, nie wierzę i nie ufam. Nie wierzę. Nie ufam”.

– Biedna Dwalia. – Ze strachem wpatrywał się w zamknięte drzwi. – On nigdy nie ma dość. Pewnie będzie mnie winiła. Kapitan Dorfel widzi w niej najpiękniejszą kobietę na świecie. – Podrapał się po głowie. – Niełatwo utrzymać go w przekonaniu, że jest spełnieniem jego marzeń. Muszę stale pamiętać o wszystkich, którzy ją widzą. To bardzo męczące.

– Jaką widzi ją kapitan?

Przekłeta ciekawość! Pytanie wymknęło mi się nieopatrznie, zanim sobie samej przypomniałam, że mam nie rozmawiać z lurikiem. Ponownie skupiłam myśli na ptakach.

Vindeliar uśmiechnął się. Moja uwaga sprawiała mu przyjemność.

– Nie powiedziałem mu dokładnie, co ma widzieć. Podsunąłem mu tylko przekonanie, że ma przed oczyma to, co mu się podoba. Widzi w Dwalii piękną kobietę, której chce pomóc. Właściwie nie wiem, jak ona wygląda w jego oczach.

Popatrzył na mnie gotów odpowiadać na dalsze pytania. A ja stłumiłam je w sobie i myślałam tylko o tym, że wzdęte fale błyszczą tak jasno, że nie da się na nich dłużej zatrzymać wzroku.

– Siebie przedstawiłem jako „zwykłego służącego”. Niegroźnego. Człowieka niewartego uwagi.

Znów umilkł. A ja nadal się nie odzywałam.

– Wszyscy sądzą, że ty jesteś nudną, prostą dziewczynką. I brzydko pachniesz.

– Jak to?

Naprawdę nie miałam zamiaru się odzywać.

– Żeby zostawili cię w spokoju. Na tamtym poprzednim statku był taki ktoś... Zobaczył cię i chciał robić z tobą to, co kapitan z naszą biedną Dwalią. – Splótł grube ramiona na piersi. – Pszczoło, ja cię chronię. Chociaż mnie nienawidzisz i nie masz do mnie zaufania. Bardzo bym chciał, żebyś przejrzała na oczy i wreszcie

dostrzegła prawdę. Zabieramy cię w bezpieczne miejsce, tam gdzie powinnaś być zawsze. Lingstra wiele dla ciebie wycierpiała, a ty odpłacasz jej niewdzięcznością... Mało tego, zrobiłaś jej krzywdę...

Całkiem jakby go usłyszała i postanowiła upomnieć się o większe współczucie: z wnętrza kajuty dobiegły narastające jęki. Vindeliar przeniósł wzrok na zamknięte drzwi, po czym z powrotem na mnie.

– Powinniśmy tam wejść? Potrzebuje naszej pomocy?

– Prawie skończyli.

Wiedziałam, że kopulują, chociaż nie miałam konkretnego wyobrażenia, jak to się odbywa. Pełniąc rolę wartownika, nauczyłam się, że słychać mnóstwo uderzeń i jęków, a po wszystkim w kajucie czuć potem. Po takiej scenie Dwalia spała kilka godzin. W tym czasie nie robiła mi nic złego. Było mi obojętne, co kapitan robi z nią w czasie tych popołudniowych wizyt.

– Musi mu na to pozwalać – oznajmił Vindeliar. Wydawał się lekko ogłupiały, a równocześnie mówił takim tonem, jakby pozjadał wszystkie rozumy. – Gdyby mu odmówiła, byłoby mi trudniej przekonać go, że ją kocha. Dwalia znosi takie traktowanie, żebyśmy dostali się bezpiecznie do Clerres.

Już miałam zamiar powiedzieć mu, że mocno w to wątpię, ale zdążyłam ugryźć się w język. Im mniej rozmawialiśmy, tym dla mnie lepiej. Blask słońca na falach. Szare ptaki w przestworzach.

Jęki sięgnęły wyższych tonów i przyśpieszyły tempo, po czym nagle urwały się, przechodząc w długie, głośne westchnienie. W ślad za nimi nastąpiła seria szybkich uderzeń, aż nagle zapadła cisza.

– Zawsze będę się zastanawiał, jakie to uczucie – powiedział Vindeliar z dziecięcą tęsknotą. – I nigdy się tego nie dowiem.

Siwe ptaszyska na niebie. Wiatr w żaglach. Blask słońca na falach.

– Właściwie już nie pamiętam, co mi zrobili – podjął. – Tylko ból. Trzeba było, trudno. Szybko wyszło na jaw, że nie powinienem płodzić dzieci dla Clerres. Dziewczynki takie jak ja tracą życie. No i większość chłopców. Ale Dwalia wstawiła się za mną i za moją siostrą Odessą. Byliśmy bliźniętami zrodzonymi z najczystszej krwi Białych, tyle że... wadliwymi. Dwalia zadbała, bym żył, choć inni uważali, że powinienem umrzeć.

Mówił to tak, jakby pokazywał mi, czarno na białym, że powinnam być oszołomiona dobrocią Dwalii.

– Jesteś taki głupi, że aż ślepy! – Gniew okazał się silniejszy od opanowania. – Wykastrowała cię jak cielaka, a ty rozpływasz się z wdzięczności. Kim ona jest, żeby decydować, czy masz mieć dzieci? Bije cię i wyzywa, a ty płaszczysz się

przed nią jak byle kundel, jeszcze trochę, a przewrócisz się na grzbiet i obsikasz. Daje ci do picia zwierzęce odchody, żebyś zyskał magię, o której nie ma pojęcia, a ty pozwalasz jej decydować, jak będzie używana. Ma cię za nic, jesteś dla niej nikim, zerem! I w dodatku jesteś za głupi, żeby to zrozumieć. Nie widzisz, jak cię wykorzystuje, nie rozumiesz, że kiedy przestaniesz być potrzebny, pozbędzie się ciebie bez chwili wahania! Bije cię i miesza z błotem, ale wystarczy, że się do ciebie uśmiechnie, a wybaczasz jej wszystko i zapominasz wszelkie krzywdy. Nazywasz mnie bratem, jednak nie obchodzi cię, że chce mnie skrzywdzić, a potem zabić. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Mogłeś mi pomóc. Gdyby ci na mnie choć trochę zależało, tobyś mi pomógł. Powinniśmy byli uciec w tamtym porcie, gdzie zsiadliśmy z poprzedniego statku! Ja wróciłabym do rodziny, ty mógłbyś żyć zgodnie z własną wolą. Ale nie! Zamiast tego, pomogłeś jej zabić kobietę, która tobie nie zrobiła nic złego, a mnie okazała serce. Zostawiłeś na śmierć najemnika, który przez ciebie zabijał dla Dwalii! Jesteś głupcem! Głupcem i tchórzem!

To ja byłam głupia. Gdzieś z odległych mroków dobiegło mnie gasnące wilcze zawodzenie. A chwilę później Vindeliar znalazł się w moim umyśle.

„Spokojnie, ja cię nie skrzywdzę. Pokaż mi swoje tajemnice, zdradź, czego się boisz. Spokojnie, bracie, nie zrobię ci krzywdy, chcę tylko zobaczyć”.

Paplał tak bez ładu i składu, buszując w moim umyśle, przerzucając wspomnienia jak liście ciskane jesiennym wichrem. Robiłam, co mogłam, wznosiłam osłony jedną za drugą, a on każdą rozdzierał niczym arkusz papieru. Mąciło mi się w głowie, od natłoku wspomnień straciłam orientację, każdemu towarzyszyły emocje. Matka upadła i umarła, pod wpływem uderzenia, coś mi się rozdarło w ustach, głaskany kot mruczy, jest ciepły, bekon i świeży chleb pachną w zimowej kuchni, oświetlonej ogniem z paleniska i świecami, Bastard Czujny mnie zawstydził, a Niestrudzony upadł trafiony strzałą. Vindeliar, niczym łakome dziecko, które dostało się do talerza z łakociami, czynił wśród nich spustoszenie: tu nadgryzł, tam polizał, ówdzie odłamał kawałek. Kalał moje wspomnienia pośpiesznym próbowaniem, jakby, poznając mnie, mógł posiąść na własność.

„Ty naprawdę śnisz!” – stwierdził z radością.

Czułam się wypychana z własnego umysłu. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu, żeby krzyczeć, nie potrafiłam zacisnąć dłoni w pięści, żeby go pobić. Pisałam w swoim dzienniku snów... Nie! Tego zobaczyć nie mogłam, nie wolno mu było tego przeczytać! Raptem jedyne, co w ogóle istniało, to były długie, ostre zęby i pysk z gorącym oddechem.

„Uwaga!” – krzyknął ojciec. – „Jest groźniejszy, niż sądzisz!”.

I nagle znalazłam się w klatce, nie miałam dokąd uciec, a jakiś cuchnący człowiek

boleśnie walił mnie kijem po żebrach. W życiu nie czułam takiego bólu! Trudno! On ciskał przekleństwami i z całej siły dźgał mnie lagą, jakby chciał przebić mnie nią na wylot, a ja wrzeszczałam, warczałam, rzucałam się na boki i walczyłam z prętami klatki, wciąż bez skutku, bo on ciągle mnie raził, celując w najbardziej wrażliwe części ciała: w brzuch, w gardziel, między pośladki, w genitalia. Upadłam w końcu, skamląc i skowycząc, ale i wtedy udręka się nie skończyła.

Nagle Vindeliar zniknął. Pozostałam sama we własnym umyśle. Moim ciałem wstrząsał szloch, lecz umysł gorączkowo obudowywałam grubym murem. Wspomnienie bólu było druzgocące, nic więc dziwnego, że łzy płynęły mi ciurkiem po twarzy. Mimo wszystko dostrzegłam lurika: leżał na boku, usta miał otwarte, oczy szkliste. Całkiem jakby stracił przytomność. Och, zupełnie jak wilk w klatce, uświadomiłam sobie niespodziewanie. Jak wilk-ojciec.

„Daję ci ten ból do obrony. Ale nie myśl o mnie więcej. On nie może mnie znaleźć. Nie może też dowiedzieć się, że umiesz pisać. Za nic w świecie nie zdradź mu snów. I przestań czekać, aż ktoś cię uratuje. Sama się uratuj. Ucieknij. Wróć do domu. Ale teraz nie myśl o domu. Myśl tylko o ucieczce”.

Zniknął, jakby go w ogóle nie było. Jak wymyślony przyjaciel, stworzony po to, by dodać mi odwagi. Jak mój prawdziwy ojciec. Gdy przyszło mi do głowy to ostatnie porównanie, zrozumiałam że o nim też nie wolno mi myśleć.

Vindeliar usiadł, lecz w dalszym ciągu ledwo się trzymał. Przycisnął dłonie do pokładu po obu stronach ciała i patrzył na mnie żałośnie.

– Co to było? – zapytał. – Nie jesteś wilkiem. Czegoś takiego pamiętać nie możesz. – Dolna warga mu drżała, jakby miał się rozpłakać, przygnębiony, że oszukiwałam w grze.

A mnie zalała nienawiść.

– Swoje wiem! – krzyknęłam i cisnęłam w niego każdą chwilą cierpienia tamtego dnia, gdy Dwalia wyrwała mi rękę ze stawu.

Odchylił się.

– I dużo pamiętam! – dodałam z wściekłością.

Poparłam słowa żywym wspomnieniem uczucia, gdy odgryzłam Dwalii policzek: smak jej krwi, strugi ściekające mi po brodzie, bolesne ciosy pięściami i kopniaki, gdy usiłowała się ode mnie uwolnić.

Przycisnął dłonie do policzków, gwałtownie kręcił głową.

– Nie, nie, nie! – Głos utknął mu w gardle. – Nie pokazuj mi tego! – Wbił we mnie spojrzenie szeroko otwartych oczu. – Nie chcę przeżuwać jej twarzy!

Popatrzyłam na niego wzrokiem bez wyrazu.

– To trzymaj się z dala od moich myśli. Dobrze ci radzę. W przeciwnym razie

pokażę ci znacznie gorsze rzeczy.

Nie bardzo wiedziałam, co mogłoby dla niego być jeszcze gorsze, jednak na razie znajdował się poza moim umysłem i gotowa byłam zrobić wszystko, by się do niego ponownie nie dostał. Pomyślałam o tym, jak mnie zdradził, jak pomógł Dwalii znaleźć i zamordować panią Akriel. Przypomniałam sobie, jak nadepnął na łańcuch, gdy uciekałam na kei. Przywołałam w pamięci odrazę, wrogość i agresję, jakie się we mnie nagromadziły, stworzyłam z nich jedną celną myśl i nią cisnęłam we wroga.

„Nienawidzę cię!”

Oczy miał jak spodki. Nie wstając, odsunął się ode mnie odruchowo. Uświadomiłam sobie, że w tej chwili jestem od niego silniejsza. Przedtem wtargnął w moje myśli, wykorzystując chwilę nieuwagi, moment opuszczenia gardy, lecz przecież nie kto inny, tylko ja go stamtąd wyrzuciłam. Użył przeciwko mnie całą swoją siłę, a mimo to wygrałam.

Akurat w tej chwili otworzyły się drzwi kajuty i ze środka wyszedł nasz przystojny kapitan. Strój miał, jak zawsze, w nieskazitelnym porządku, zaledwie nieco zaczerwienione policzki. Zerknął na mnie, przeniósł wzrok na lurika, a ja dojrzałam w jego spojrzeniu zdziwienie. I już w następnej chwili poczułam, jak myśli Vindeliara zaćmiewają jego umysł. Kapitan lekko ściągnął brwi, wydał usta.

– Panno Obrecjo, ta twoja służka... Przysięgam, gdy tylko dotrzemy do Clerres, trzeba będzie wymienić ją na kogoś innego. Osóbkę czystą, miłą dla oka... – Trącił mnie stopą. – Precz mi z oczu, nieszczęsna!

Posłusznie odsunęłam się na bok, po czym wstałam.

– Wedle życzenia, panie – znalazłam się dwornie.

Byłam już dobre kilka kroków dalej, gdy dogonił mnie głos Dwalii.

– Och, nie, najdroższy... Ale jestem ci wdzięczna. Pszczoło! Chodź do mnie! Posprzątaj w kajucie. Natychmiast.

A tak niewiele brakowało.

– Słyszałaś rozkaz pani! – odezwał się kapitan. – Nie zwlekaj!

– Tak jest.

Spuściłam wzrok, ale i tak, gdy go mijałam, uderzył mnie otwartą dłonią w tył głowy. Na tyle mocno, że o mało nie rozciągnęłam się jak długa. Wpadłam za to na framugę. Pośpieszyłam do wnętrza. Vindelihar wpadł tam, depcząc mi po piętach.

– Twój strażnik nie wygląda na osiłka – zauważył kapitan. – Przyda ci się zamiast niego ktoś, kto dobrze zna tę robotę. – Pokręcił głową i dodał z westchnieniem: – Zobaczymy się wieczorem, najdroższa.

– Będę czekała z niecierpliwością, skarbie – powiedziała Dwalia, niskim głosem

i zamknęła drzwi. – Posprzątaj! – rzuciła do mnie zupełnie innym tonem.

Kajuta kapitańska zajmowała całą szerokość rufy i była wystawnie urządzone. Przez okna roztaczał się widok na trzy strony świata. Ściany wyłożono boazerią z jakiegoś szlachetnego drewna o czerwonym odcieniu, wyposażenie miało kolor kremowy albo złoty. Wielkie łożo zarzucone było kremowymi puchowymi poduszkami, a wokół drewnianego stołu, barwą przywodzącego na myśl rdzę i mech, stało ni mniej, ni więcej, tylko sześć krzeseł o wysokich oparciach. Pod jednym z okien ustawiono miękki fotel. Osobny stolik do map opuszczało się ze ściany. Było tam też specjalne, osłonięte miejsce, gdzie odchody rynną spadały za burzę, prosto do morza. Na noc Dwalia zamykała mnie właśnie tam, w tym ciasnym, śmierdzącym kącie. Żebym na nią nie napadła, gdy spała.

Na błyszczących deskach podłogi wały się ubrania – piękne, bogate, falbaniaste i obszyte koronkami – które kapitan pokupował dla panny Obrecji w ciągu dwóch dni przed opuszczeniem ostatniego portu. Nieśpiesznie zebrałam je na ramię, między innymi halkę ze sztywnej koronki, która szeleściła przy każdym dotyku. Ślicznie pachniała perfumami. Pachnidło również kupił kapitan. Odłożyłam wszystko, co zebrałam, obok skrzyni z wiekiem rzeźbionym w róże i zaczęłam starannie układać w niej odzież. Kufer wydzielał miły zapach, jak las, w którym rosną zioła.

– Prędeż! – nakazała mi Dwalia. Odwróciła się do Vindeliara. – Ty pozbieraj naczynia, zanieś do kuchni. Kapitan nie lubi bałaganu.

Usiadła w fotelu, zapatrzyła się na wodę. Spod krótkiej sukni z cienkiego purpurowego jedwabiu wystawały nie tylko wielkie, kościste stopy, ale także muskularne łydki. Włosy miała potargane, przy głowie wilgotne, a ślad po moim ugryzieniu z wolna przekształcał się w błyszczący różowy krater.

– Tak wolno! – rzuciła gniewnie, mówiąc do siebie. – Tak wolno płyniemy! Kapitan twierdzi, że to nie jest właściwa pora roku. Nie teraz powinno się wybierać do Clerres, bo prądy sprzyjają podróży na północ i na zachód, a nie na wschód i południe. A mnie się wydaje, że zwleka celowo, chce dłużej mieć dla siebie pannę Obrecję...

Nie miałam pewności, czy się skarży, czy przechwala, lecz wybrałam milczenie. Piękne ubrania, słodki zapach perfum, rzeźbione róże. Skupiłam uwagę na pierwszym, drugim i trzecim, jak najpilniej strzegąc murów otaczających umysł.

– Ona ukradła ci magię!

Vindeliar wskazał na mnie drżącym palcem. Nie w głowie mu było zbieranie kubków i talerzy.

Lingstra zmierzyła go gniewnym wzrokiem.

– Co takiego?

– Użyła przeciwko mnie naszej magii! Przed chwilą, kiedy czekaliśmy pod drzwiami! Kazała mi myśleć o tym, jak cię ugryzła i że mnie nienawidzi!

Dwalia przeniosła na mnie rozeźlone spojrzenie.

– To niemożliwe.

– Naprawdę! Ukradła magię i dlatego nie mogę jej zmusić, żeby ci była posłuszna. – Głęboko wciągnął powietrze, jak dziecko na krawędzi wybuchu płaczu. Poparzyłam na niego z czystą nienawiścią, a on cofnął się o krok. – Teraz też to robi! – zawył i wyciągnął przed siebie ręce, jakby mógł w ten sposób zasłonić się przed moimi uczuciami.

– Tylko nie to! – krzyknęła Dwalia, podrywając się z fotela.

Skuliłam się, a równocześnie uniosłam pięści gotowa do obrony, bo rzuciła się w moją stronę, lecz ona całkowicie mnie zignorowała. Zanurzyła ręce w kufrze i, nie zwracając uwagi na to, że właśnie kończyłam układać garderobę, zaczęła wyrzucać jego zawartość za siebie, na podłogę, aż zostały tylko dobrze mi znane zniszczone, lecz wyprane rzeczy, które miała na sobie, nim kapitan obsypał ją prezentami. Z samego dna wyszarpnęła skórzaną sakwę i pośpiesznie do niej zajrzała. Wyjęła szklaną rurkę. Na dnie naczynia wciąż tkwiła resztką płynu.

– Patrz! – wrzasnęła do Vindeliara. – Tu jest! Nikt jej nie ukradł! Przestań się usprawiedliwiać!

Długą chwilę oboje patrzyliśmy na lingstrę bez słowa. Potem Vindeliar odezwał się, powoli wymawiając słowa nabrzmiałe beznadziejnym pragnieniem, jakiego nie sposób ugasić.

– Potrzebuję wszystkiego, do końca. Teraz. Przecież chcesz, żebym wypełniał twoje polecenia...

– Teraz nie dostaniesz. Dałam ci, ile mogłam. – Przyjrzała mu się, a potem przełożyła sznurek sakiewki przez głowę. Woreczek zawisł jej między piersiami. – Niewiele zostało. Musimy to zachować na czarną godzinę.

– Vindeliarze, ona ci nie ufa. Uzależniła cię od wydzielin węża i teraz nie ma pewności, czy nie spróbujesz jej wykraść.

– Wę... Kto ci powiedział?! Vindeliarze! Zdradzasz jej nasze sekrety?

– Nie! Skąd! Nic jej nie powiedziałem!

Rzeczywiście. Dowiedziałam się tego, buszując w jego myślach. Trochę żałowałam, że się wygadałam. Ale z drugiej strony najwyraźniej zasiałam między nimi niezgodę.

– Kłamca! – rzuciła przez zęby.

Ruszyła na niego z ręką podniesioną do ciosu, a on, drżący z przerażenia, kucnął i osłonił rękoma głowę. Dwalia uderzyła, lecz cios otwartej dłoni spadł na kłykcie.

Zachłysnęła się z wściekłości i bólu, złapała lurika za włosy i potrząsnęła z całej siły. Krzyknął, zaprotestował, zaczął ją zapewniać o swojej niewinności. Ja w tym czasie przesunęłam się bliżej drzwi, wzrokiem szukając czegoś, co mogłabym wykorzystać jako broń. Bałam się, że w każdej chwili mogą się oboje zwrócić przeciwko mnie. W końcu Dwalia odrzuciła lurika w bok. Upadł i tak został, skulony, nieszczęśliwy, rozszlochany. Lingstra zmierzyła go wzrokiem, a potem przeniosła spojrzenie na mnie.

– Co ci powiedział o węzowym eliksirze?

– Nic – odparłam zgodnie z prawdą. Z żalem pokręciłam głową i dorzuciłam kłamstwo: – Tam, skąd pochodzę, to żadna tajemnica. Tylko mało kto jest na tyle głupi, żeby to zażywać.

Dłuższy czas przyswajała sobie moje słowa w milczeniu.

– Nie – odezwała się wreszcie. – To jest moje odkrycie. Ja tę magię wynalazłam, ja poznałam jej właściwości, dostępne dla niektórych z rodu Białych. Tylko dla niektórych. – Nie spuszczała ze mnie wzroku pełnego nienawiści. – Wydaje ci się, że taka z ciebie spryciara? Chcesz go nastawić przeciwko mnie? Głupia jesteś jak but! On mi o wszystkim powiedział! Jak go namawiałaś, żeby ci pomagał. Jak doprowadziłaś do tego, że mnie zdradził. To się już nie powtórzy, możesz być pewna. Co więcej, przyrzekam ci, że w Clerres będziesz żyła długo i marzyła o śmierci. Wydaje ci się, że cierpiałaś w czasie tej podróży? O, nie, kochana. To jeszcze nic. Wycierpisz tyle, co twój ojciec, a to będzie dopiero początek.

Patrzyłam jej śmiało w oczy. Podchodziła do mnie. Była coraz bliżej. A tu żadnej broni... Na statku wszystko było solidnie przymocowane, by nie przydarzyło się jakieś nieszczęście w razie złej pogody. Dwalia zamierzała złapać mnie i biciem zmusić do mówienia. A ja już właściwie nie wiedziałam, co wiem. Ani co miałabym zrobić ze swoją świeżo odkrytą umiejętnością. Czy to była Moc, taka jak u ojca? Na pewno! Bo przecież nie jakaś brudna magia, którą lingstra zadawała Vindeliarowi, podsuwając mu do picia wydaliny węża. Moja magia to magia mojej rodziny. Niestety, nikt mnie nie uczył, jak się nią posługiwać. A z zapisków ojca wiedziałam, że korzystanie z niej wymaga solidnych podstaw w teorii oraz praktyki.

Zaraz, ale przecież jednak z niej korzystałam, prawda?

Obarczyłam Vindeliara dawnym bólem. I rzuciłam na niego brzemię swojej nienawiści. Może jedno i drugie zadziałało, ponieważ akurat sięgał po moje myśli? A może nie korzystałam z własnej magii, lecz podkradłam tę należącą do niego? Co mogłam teraz zrobić Dwalii? Patrzyłam na nią uparcie i zbierałam w sobie nienawiść do tej kobiety. Jednocześnie tłumiłam strach. Przyjrzałam się jej twarzy, a szczególnie bliźnie na policzku. Wyglądała okropnie. I cuchnęła. Obrzydliwość.

Za mało. Czym w nią cisnąć, czym ją przygnieść? Czy w ogóle zdołam przerzucić na nią jakieś uczucia? Bo może magia działała na Vindelara tylko dlatego, że sięgnął do mojego umysłu?

Dyszałam ze strachu.

Opanowanie. W zwojach ojca stało napisane, że trzeba nad sobą panować. Głęboko wciągnęłam powietrze, powoli je wypuściłam. I jeszcze raz. Dwalia obserwowała mnie uważnie. Jak się skupić, gdy ona w każdej chwili może na mnie skoczyć?

„Bądź myśliwym, nie zwierzyną”.

Wilk-ojciec! Głos odległy niczym ptasie wołanie.

W moim gardle zrodził się głuchy warkot. Lingstra zdrętwiała, oczy jej się zaokrągliły. Vindelar próbował usiąść.

Obserwować oboje. Jak najłatwiej ją zranić? Schudła i zmężniała w czasie podróży. Gdyby tak ją uderzyć? Mogłam, pewnie, ale niewiele by to dało. Złapie mnie na pewno. A jak mnie złapie, to mi pokaże, gdzie raki zimują. Nie będzie znała litości. Musiałam ją zaatakować, tylko jak?

Umysł.

„Ostrożnie. Wyjście jest zawsze wejściem”.

Nie miałam czasu głowić się, co przez to rozumie. Pchnęłam w lingstrę całą swoją nienawiścią i obrzydzeniem, mając nadzieję, że dzięki temu ją zranię. A tu – przeciwnie: zadziało, jak dolanie oliwy do ognia. Wyraźnie poczułam, jak jej nienawiść do mnie zyskuje na sile i strzela w górę niczym łakome płomienie. Skoczyła na mnie niczym kot na mysz. A ja, tak jak mysz, umknęłam, o włos unikając schwywania w szpony. Ona poruszała się nieco wolniej. Niestety nie wpadła na ścianę, jedynie zatoczyła się w bok. Gdy nurknęłam pod stół i wynurzyłam się po drugiej stronie, huknęła pięścią w blat, aż naczynia podskoczyły i zabrzczały.

– Łap ją! – wrzasnęła do lurika.

Dźwignął się na nogi, lecz był skołowany i zdezorientowany. Cisnęłam w niego gwałtownym wspomnieniem chwil, gdy przeżuwałam twarz Dwalii, i osiągnęłam oczekiwany skutek: kurczowo przycisnął dłonie do policzka.

Tymczasem lingstra nie rezygnowała. Udawało mi się utrzymywać wciąż po przeciwnej stronie stołu, ale jak długo można? W dodatku ona nie wykazywała najmniejszych oznak zmęczenia. Wskoczyłam pod blat, by złapać oddech, wtedy usiłowała wymierzyć mi kopniaka. Nie dała rady, krzesła jej przeszkodziły, wobec czego odrzuciła je w bok, jedno po drugim. Stały się przeszkodą dla nas obu. Musiałam wyjść spod stołu. Coraz trudniej było mi pilnować, by nas rozdzielał. Dwalia zaczęła dyszeć ze zmęczenia, lecz nie zamierzała rezygnować.

– Zabiję cię, parszywy gnoju! – wrzeszczała. – Przebrałaś miarę! Dosyć tego!
Zatrzymała się nagle, plasnęła dłońmi o blat i znieruchomiła.

– Vindeliarze! – krzyknęła wściekle. Oddech miała świszczący. – Jesteś do niczego! Rusz się wreszcie! Złap ją i przytrzymaj!

– Ugryzie mnie w twarz! – jęknął Vindeliar. – Czary jej pomogą! Nie chcę, żeby mnie gryzła!

Dźwignął się na nogi, ale stał niepewnie, bo ręce miał wciąż przyciśnięte do policzków.

– Ty głupku! – zawyła Dwalia. – Ty durniu, kretynie ty jeden!

Chwyliła jedno z ciężkich krzesel i z nieprawdopodobną siłą cisnęła nim w lurika. Ten krzyknął piskliwie i odskoczył do tyłu. Pocisk chybił o włos.

– Masz ją złapać w tej chwili! – rozkazała Dwalia. – Już, natychmiast! Inaczej kapitan wyrzuci cię za burtę!

Zerknęłam na drzwi, jednak wiedziałam, że zanim do nich doskoczę i odsunę ciężki rygiel, Dwalia mnie dopadnie. A nawet gdyby mi się udało uciec z kajuty, to co dalej? W końcu ktoś mnie schwyta i odda w ręce pani. Nie wolno mi było podsycać jej gniewu. Powinnam była dać się obić, nim zapłonęły w niej mordercze instynkty.

Co robić, co robić?!

Oddech jej się uspokajał. Jeszcze chwila i znów będzie mnie gonić. I nie przestanie, póki nie dopnie swego.

„Daj jej, czego chce”.

„Mam dać się zabić?”.

„Pozwól jej wygrać. Niech sądzi, że zwyciężyła”.

„Jak to zrobić?”.

Nie miałam pojęcia. Na dodatek właśnie w tej chwili przeszło mnie dziwne drżenie. To Vindeliar szturchnął moje myśli, moją świadomość, trochę zdziwiony, jakby dostrzegł na mojej twarzy jakąś dziwną narośl. Zrobił to niepewnie, właściwie bojaźliwie, więc rzuciłam w niego odświeżonym wspomnieniem wgryzania się w policzek Dwalii. Upadł, lecz i ja zapłacałam za tę scenę. A Dwalia, nie bacząc na zastawę, rzuciła się na stół i chwyciła mnie za koszulę. Przed oczyma stanęło mi poprzednie bicie, jak żywe. Niezależnie od mojej woli trafiło do jej umysłu. Radość w oczach lingstry była nie do zniesienia.

Wtedy zrozumiałam.

Podsunęłam jej smak mojej krwi w ustach, pieczenie rozciętego od środka policzka, ból obluzowanego zęba. Raptem zobaczyłam siebie jej oczyma: blade chuchro z wystrzępionymi włosami zmatowiałymi od brudu i potu, ze smugą krwi

na brodzie. Zebrałam w sobie całe opanowanie, jakie mi pozostało, i zwisłam bezwładnie. Nie puściła. Musiała przesunąć się po blacie, ale nie rozluźniła uścisku, nawet gdy już znalazła się nade mną. Kilka sztuk zastawy spadło przy tym na podłogę. Zwiesiłam głowę jak oszołomiona, rozchyliłam usta. Dwalia uderzyła mnie w twarz otwartą dłonią, lecz w tej dziwacznej pozycji nie mogła się dobrze zamachnąć. Mimo to krzyknęłam, jakbym umierała z bólu. Zamiast nienawiści pchnęłam w jej umysł swój strach, ból i bezradność. A ona syciła się jednym, drugim i trzecim... niczym spragniony wierzchowiec wodą z poidła.

Zsunęła się ze stołu i kopnęła mnie z całej siły. Krzyknęłam rozpaczliwie i zdołałam ułożyć się w taki sposób, że gdy kopnęła mnie po raz drugi, znalazłam się pod stołem. Dosięła mnie trzeci raz, tym razem wcelowała w brzuch, ale przeszkadzała jej krawędź blatu, więc nie zabolęło aż tak bardzo, jak mogło. Mimo wszystko zawyłam z bólu i skierowałam do jej świadomości wyostrzony obraz cierpienia. Dysząc, oblizwała wargi. A ja leżałam pod stołem i jęczałam. Och, jakie przerażające katusze, jak straszliwie zostałam pobita, o mało nie straciłam przytomności! Po takich cięgach będę dochodziła do siebie długie tygodnie!

Takie wrażenia wepchnęłam jej do umysłu. Jak najwięcej tego, czego, moim zdaniem, pragnęła.

Odwróciła się ode mnie, oddychając ciężko przez nos. Dostała, czego chciała, zaspokoiliła żądze. Ze mną skończyła, lecz Vindeliar, bezmyślny głupiec, akurat w tej chwili nawinął jej się pod rękę. Zaciśnęła dłoń w pięść i z całej siły wyrznęła go w twarz. Runął jak długi, złapał się za nos i rozsłochał gwałtownie.

– Ty durniu! Żadnego pożytku z ciebie! Nie potrafisz nawet złapać dziecka! Wszystko muszę robić sama! Zobacz, do czego mnie zmusiłeś! Jeśli smarkata zdechnie, to będzie twoja wina! Szczeniara łże jak najęta, ale ty nie ustępujesz jej na krok! Ukradła eliksir, co? Co to ma być? Zamierzasz mi dalej wmawiać, że dlatego nie umiesz nad nią zapanować?

– Ona śni! – Vindeliar odsłonił twarz. Drgające policzki były szkarłatne, z małych oczek ciurkiem płynęły łzy, a z nosa sączyła się krew. – Ona cię okłamuje! Śni, ale nie zapisuje snów, nawet ci o nich nie mówi!

– Ty zakuta pało! Każdy śni! Nie tylko Biali. Tyle że jej sny nie mają żadnego znaczenia!

– Miała sen o świecy! Zapisła go, cały wiersz napisała. Widziałem to w jej myślach! Potrafi czytać i pisać i miała sen o świecy...

Przestraszyłam się nagle. Sen o świecy! Niewiele brakowało, a byłabym o nim, właśnie w tamtej chwili, świadomie pomyślała! Nie! Za nic w świecie! Nie bacząc na ryzyko, desperacko pchnęłam w Dwalię silne przekonanie:

„Nic podobnego! Ależ z niego kłamca! Ja jestem tylko głupim, niepiśmiennym dzieciakiem. A on szuka pretekstu, by wykręcić się od zasłużonej kary. Wiesz, że on kłamie. Masz rację, to łgarz, jesteś mądra, nie dasz się zwieść na manowce”.

Bardzo niezborna była ta sugestia, nieukształtowana, niesiona głównie paniką. Lingstra poddała się jej chyba głównie dlatego, że już była na lurika wściekła i właśnie zyskała potwierdzenie dla racji swojego gniewu.

Pobiła go. Chwyciła ciężki, metalowy dzban na wodę do mycia i nim zaatakowała. Vindeliar się nie bronił, a ja nie miałam powodu się wtrącać. Tkwiłam skulona pod stołem. Po brodzie płynęła mi krew z rozciętej wargi. Rozsmarowałam ją po twarzy. Czułam każdy cios, jaki Dwalia zadawała lurikowi, i składałam w pamięci, choć przy każdym się krzywiłam. Wepchnęłam w umysł Vindeliera przekonanie, że mnie skatowała znacznie gorzej, i poczułam, jak przyjął tę informację jako rzetelną. Wiedział, na co stać jego panią. Lepiej niż ktokolwiek i ja nagle też się o tym dowiedziałam, jego doznanie zbryzgało mnie niczym fontanna krwi. Jego wspomnienie przepełniło mnie zohydzeniem, zważyło mury chroniące myśli.

„Wyjście jest wejściem”.

Mądra podpowiedź wilka-ojca przywróciła mi przytomność umysłu. Odbudowałam osłonę, poprawiłam ją i wzmocniłam. Potem jeszcze raz. I znowu. I tak dotąd, aż widziałam, że Vindeliar otrzymuje ciosy, lecz ich nie czułam i nie wzdrygałam się przy każdym kolejnym. Po wypiciu eliksiru był silny we władaniu magią, znacznie silniejszy ode mnie, jednak teraz wreszcie rozumiałam: wejście jest także wyjściem. Gdy sięgałam ku któremuś z tych dwojga, by dotknąć myśli Vindeliera lub Dwalii, równocześnie otwierałam przed nimi bramy do własnego umysłu. Czy on o tym wiedział? Czy zdawał sobie sprawę, że gdy starał się nade mną zapanować, dawał mi dostęp do siebie? Wątpliwe. Zresztą po tym, na co zerknęłam, nie miałam najmniejszej ochoty poznawać go lepiej.

Leżałam skulona pod stołem, łzy płynęły mi z oczu, moją pierś wstrząsał urywany szloch. Ledwo nad sobą panowałam. Kurczowo trzymałam się myśli, że muszę rozważyć, czego się nauczyłam. Dysponowałam bronią, lecz nie do końca poznaną, nie miałam pewności, jak się nią posługiwać. Vindeliar miał słabe punkty, o których nie wiedział. Informacje o nim samym, o jego ponurym dzieciństwie, wpłynęły we mnie, gdy objawiła się potęga magii powstałej za sprawą węzowego eliksiru. Odcięłam się od wszelkiego współczucia i skupiłam na krawędziach tamtego wspomnienia.

Zobaczyłam wysoką, ufortyfikowaną cytadelę wzniesioną na wyspie. Baszty, zwieńczone konstrukcjami przypominającymi czaszki, spoglądały na przystań, na otwarte morze i na stały ląd. Zobaczyłam piękny ogród, gdzie bawiły się blade

dzieci, lecz Vindeliara między nimi nie było. Opiekowali się tymi dziećmi cierpliwi Słudzy. Uczyli je czytać i pisać – gdy tylko zaczynały chodzić. Ich sny zbierano i gromadzono z ogromną dbałością niczym wrażliwe na dotyk owoce.

Ujrzałam plac targowy, a na nim liczne kramy ocienione barwnymi daszkami. W powietrzu unosił się zapach wędzonej ryby, ciasteczek miodowych i jakiejś pikantnej przyprawy. Między straganami chodzili uśmiechnięci ludzie, robili zakupy, wkładali je do toreb z siatki. Jakieś dziwaczne psiaki, prawie całkiem pozbawione sierści, ganiały się i powarkiwały na siebie. Dziewczyna z kwiatami wplecionymi we włosy sprzedawała jasnożółte łakocie z tacy. Wszyscy wydawali się czyści, dobrze ubrani i szczęśliwi.

Tak wyglądało Clerres. Tam mnie zabierali. Wątpiałam jednak, by czekały na mnie pachnące ogrody i oddana służba. Albo wizyty na barwnym targu w promieniach słońca.

Bez trudu przywołałam w pamięci koszmarny obraz oświetlonego pochodniami wnętrza, gdzie wzdłuż ścian stały ławy, a na środku jakaś zakrwawiona istota przykuta łańcuchami do stołu krzyczała żałością, gdy Dwalia wręczała mężczyźnie filigranowy nożyk. Nieopodal, na wysokim pulpicie, czekały pióro, papier i atrament. Jeśli tylko z ust torturowanego wydobywało się jakieś zrozumiałe słowo, lingstra natychmiast je zapisywała, dodając uwagi, być może o tym, jaki rodzaj bólu wydarł z ofiary zeznanie. Wydawała się pogodna, działała skutecznie, włosy miała zaplecione w warkocz starannie upięty wokół głowy. Samodziałowy kitel chronił przed zabrudzeniem jej błękitny strój.

Vindeliar stał na krawędzi sceny. Był wzgardzonym wyrzutkiem. Odwracał oczy i drżał przy każdym bolesnym krzyku ofiary. Niewiele rozumiał, nie pojmował powodów, dla których dręczono to liche stworzenie.

Wśród siedzących na ławach widzów byli tacy, którzy obserwowali zajście z szeroko otwartymi oczyma i ustami, inni podśmiewali się, a ich policzki barwił rumieniec wstydu. Jedni byli bardzo bladzi, o jasnych włosach i oczach, inni mieli włosy ciemne, a skórę o ciepłym zabarwieniu, jak u moich rodziców. Znajdowali się tam ludzie starzy, w sile wieku oraz czworo dzieci, chyba młodszych ode mnie. I wszyscy przyglądali się torturom, jakby to było przedstawienie.

W pewnej chwili, ku memu przerażeniu, człowiek na stole zadygotał. Zakrwawione palce rozciągnął szeroko, głową rzucił raz i drugi, po czym znieruchomiał. Ucichł. Już nie dyszał. Sądziłam, że zmarł. Ale nie. Straszliwym wydechem wyrzucił z siebie imię.

– Bastardzie! – To nie był koniec. – Bastardzie Rycerski pomóż mi, błagam, pomóż! Bastardzie!

W Dwalię jakby wstąpił nowy duch. Czujnie uniosła głowę, tak samo mogłaby zareagować, gdyby usłyszała głos wzywającego ją do siebie boga. Na jej twarz wypełził straszny uśmiech. Nie wiem, co zapisała, lecz zrobiła to z wyraźną przyjemnością, stawiając zamaszyste znaki. A gdy skończyła, nadal z piórem w uniesionej dłoni, odezwała się do kata:

– Jeszcze raz. Jeszcze raz to samo, proszę. Chcę zyskać pewność.

– Oczywiście – odpowiedział tamten.

Za sprawą bezbarwnych włosów wyglądał blado, lecz kolorowy strój nadawał mu radosny wygląd. Jadeitową tunikę przepięknej urody, wyszywaną w jakieś słowa w nieznanym mi języku, osłaniał oliwkowy fartuch. W uszach mężczyzna miał szmaragdy. W jego ręku pojawiło się paskudne narzędzie. Uniósł je, prezentując czwórce małoletnich Białych.

– Jesteście za młodzi, by pamiętać czasy, gdy Ukochany był lurikiem takim jak wy – powiedział, a oni mieli oczy jak spodki. – Ja to pamiętam. Już wtedy sprawiał ogromne kłopoty, był młodzikiem zbuntowanym, nieposłusznym i upartym. Łamał prawo. Podobnie jak wy. I też mu się wydawało, że wszystkich przechytrzy, że nikt się w niczym nie zorientuje. A teraz? Popatrzcie tylko, do czego to go doprowadziło. I zapamiętajcie sobie, do czego doprowadzi was, jeżeli nie nauczycie się panować nad własnymi zachciankami, by pracować dla dobra Sług.

Najmłodszemu z dzieci, dziewczynce, zadrżały usta. Przycisnęła do nich rękę. Jeden z chłopców ciasno objął się ramionami, natomiast pozostała dwójka, najstarsi i najwyżsi, wyprostowała się, zacisnęła zęby.

– Felodi – odezwała się z trybun piękna, młoda kobieta o jasnozłoty włosach i mlecznej cerze. – Później znajdziesz czas na pouczanie swoich podopiecznych – oznajmiła ze zniecierpliwieniem w głosie. – Teraz zmusz Ukochanego, by jeszcze raz wypowiedział imię. – Odwróciła się do innych widzów, zatrzymała wzrok na starej kobiecie siedzącej obok mężczyzny odzianego w żółte szaty, podkreślające biel smarowidła na twarzy. – Usłysz i ty! Usłysz wyraźnie owo imię, które tak długo skrywał. To miano, które dowodzi prawdziwości słów moich i Felodiego. Jego katalizator żyje! Nadal we dwóch przeciwko nam spiskują. Ukryto przed nami nieoczekiwanego syna. Czy jeszcze za mało szkód wyrządził nam Ukochany? Musisz zezwolić na wysłanie Dwalii! Niech pomści swoją panią, niech sprowadzi do nas ów nowy owoc, bo jeśli nie trafi on w nasze ręce, przyczyni się do naszego upadku! Sny ostrzegają przed tym bez ustanku!

Stara także wstała, przyszpiliła młodą kobietę wzrokiem.

– Symphe, roztrząsas w obecności niewtajemniczonych sprawy, które leżą wyłącznie w gestii Rady Czworka. Uważaj, co mówisz.

Zebrała fałdy błękitnej spódnicy, by nie zabrudzić jej krwią, i majestatycznym krokiem opuściła miejsce kaźni.

Mężczyzna ubrany na żółto również się podniósł. Odprowadzał ją wzrokiem, wyraźnie niezdecydowany, co robić, po czym usiadł. Skinął głową Symphe, dając znać, by razem z oprawcą podjęli swoje działania.

I tak się stało.

Imię mojego ojca. To, nie co innego, wyrwała z siebie torturowana istota. Raz, drugi, trzeci, a potem jeszcze wiele razy. A gdy umilkła, gdy zrzucili bezwładne ciało ze stołu i strażnicy odciągnęli gdzieś nieszczęśnika, zaczęło się sprzątanie: Vindeliar pamiętał wylewanie wiader wody na ociekający krwią stół oraz na podłogę, mycie do czysta.

Torturowanym się nie przejmował. Skupiony był na własnym strachu i na swojej pracy. Do posadzki przyklepił się kawałeczek ciała. Należało go zeszkrobać, paznokciem kciuka, wrzucić do wiadra. Lurik zdawał sobie sprawę, że jeśli sprzeciwi się Dwalii, może jako następny odebrać okrutną lekcję przykuty łańcuchami do stołu. Nawet teraz wciąż miał świadomość, iż może go czekać taki los. Lingstra z pewnością się nie zawaha. Mimo wszystko nawet mu w głowie nie powstało, by od niej uciec! Wiedziałałam też, z niezbitą pewnością, że mój „brat” nie podejmie najmniejszego ryzyka, by mnie uratować od fatalnego losu.

Owo wspomnienie Vindeliara wprowadziło mnie w drzenie. Nieszczęśnik rozciągnięty na stole krzyczał imię mojego ojca, wzywał go na ratunek. Nie widziałam żadnego związku między nimi, nie rozumiałam, dlaczego miałby wołać akurat jego, lecz kierując się intuicją, próbowałam cokolwiek odgadnąć. To właśnie tamtego dnia Dwalia otrzymała pozwolenie na wyprawę do Białego Gaju. W tamtej chwili mój los został przypieczętowany.

Przyjrzałam się jej teraz jakby z daleka.

A co z tym udręczonym na ławie tortur? Wydawało się niemożliwe, by przeżył. A już na pewno nie mógł zostać żebrakiem w Dębowym Zdroju. I nie był Błaznem, znajomym ojca. Strzępki informacji kłębiły mi się w myślach. Lingstra wspomniała o ojcu, którego nie znam. To nie miało sensu. Lecz wcześniejsze groźby nadawały sens fragmentom układanki. Przysięgła mi tortury na tym stole.

Dwalia nadal kopała Vindeliara, lecz już dyszała z wysiłku. Z każdym kopniakiem wydobywało się z niej jęklive chrząknięcie, pośladki jej się trzęsły jak galareta. Gdy w końcu lurik zmienił się w rozedrganą od szlochu stertkę nieszczęścia w kącie, wróciła do mnie. Zamierzyła się, lecz nie zdołała kopnąć tak mocno, jak chciała, bo starannie wybrałam schronienie. Rzuciła we mnie zakrwawionym dzbanem. Ledwo mnie musnął, ale zawyłam, jakbym dostała cios niemal śmiertelny, i odsunęłam się

jeszcze dalej, patrząc na nią płaczliwie, z twarzą umazaną krwią. Postarałam się, żeby mi drżała broda.

– Błagam – wybełkotałam – dosyć. Już więcej nie zniosę. Będę posłuszna, przysięgam. Spełnię każde twoje życzenie, pani. Nie bij, proszę, nie bij!

Wynurzyłam się spod stołu, ciągnąc za sobą jedną nogę. Niezdarnie się nią podpierając. Utykając i kolebiąc się na boki, ruszyłam wokół kajuty i po drodze zbierałam rozrzucone ubrania. Przy każdym ruchu wciąż na nowo błagałam o wybaczenie, obiecywałam poprawę, skruchę i posłuszeństwo. Obserwowała mnie podejrzliwie, lecz równocześnie z satysfakcją. Gdy stanęłam przy kufrze, składając rzeczy, zaczęłam sączyć w jej umysł oraz w myśli Vindeliara strach i ból. W chwili natchnienia dorzuciłam szczyptę rozpacz i zniechęcenie. Każdą sztukę odzieży prezentowałam jej, czy chciała, czy nie.

– Zobacz, pani, jak ładnie poskładałam. – Zdławiłam szloch. – Staram się, jak mogę. Umiem się wykazać. Zrozumiałam, w czym rzecz. Będę posłuszna i przydatna. Proszę, nie bij. Nie rób mi więcej krzywdy, błagam.

Nie było to łatwe, nie miałam pewności, czy mi się powiodło, lecz Dwalia prychnęła z wyższością, po czym wróciła na łóżko. Opadła na rozkopaną pościel z westchnieniem zadowolenia. Jej wzrok padł na Vindeliara, który wciąż leżał w kącie niczym tłusta larwa zwinięta pod próchniejącą kłodą i łkał z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Zajmij się wreszcie tymi naczyniami! – warknęła do niego.

Z podciągniętymi kolanami przetoczył się na brzuch i wstał. Gdy odsłonił pobitą twarz, aż się skrzywiłam. Oczy zaczynały puchnąć, już ledwo widział, na brodzie zastygła krew, czerwona ślina ściekała z obwisłej wargi. Popatrzył na mnie żałośnie. Może wyczuł współczucie? Uszczelniłam osłonę umysłu. Zorientował się w moich staraniach, ściągnął brwi.

– Znowu to robi – oznajmił ponuro.

Ledwo dało się go zrozumieć, bo wargi też miał opuchnięte.

Dwalia przekrzywiła głowę.

– Wyciągnij z tego wnioski, ty bezmyślny kretynie. Smarkula już wie, co dla niej dobre. Zobacz, jaka grzeczna się stała, jaka posłuszna. Widzisz? Na razie niczego więcej od niej nie wymagam. A jeśli potrafi używać magii, jeżeli będzie jej używała zgodnie z moim życzeniem, to na co mi ty? Cóż, rozumiesz chyba, że powinienes być przynajmniej tak samo użyteczny, jak ona!

Posłała mi łaskawy uśmiech, od którego przeszedł mnie lodowaty dreszcz.

Usłyszałam, jak Vindeliiar wciąga powietrze przez zatkany nos. Spojrzałam na niego i zobaczyłam coś znacznie groźniejszego niż uśmiech Dwalii. Czystą

zazdrość.

Rozdział 20

Ufność

Przykro mi, że mam do przekazania tak niewiele. Odnoszę wrażenie, że można by zebrać więcej informacji, jednak prawdą też jest, że zawsze skąpił wieści na temat swoich młodych lat. To, co mi wiadomo na pewno, łatwo szybko spisać. Okoliczności narodzin pozbawiły wielmożnego pana Ciernia prawa do władzy i szacunku, jakim cieszyli się jego starszy brat i młodsza siostra. Roztropny został królem. Radosna stała się, jak twierdzą niektórzy, przyczyną śmierci własnej matki, gdyż poród był trudny, a królowa Wytrwała już nigdy potem nie wróciła w pełni do zdrowia. Siostra Ciernia, wychowywana jak na księżniczkę przystało, mimo wszystko zmarła przedwcześnie, przy narodzinach syna, Dostojnego. Przyczyny jego smutnego końca są Ci wiadome: książę Szczery, sięgając Mocą do swojej przyszłej małżonki, nieumyślnie zużył rezerwy umysłu swojego kuzyna. Dostojny nigdy już nie doszedł do siebie, ani fizycznie, ani umysłowo. Zmarł w stosunkowo młodym wieku, w łaskawym zapomnieniu, na „zasłużonym odpoczynku” w Białym Gaju. Cierpliwa, żona mojego ojca, gdy był on następcą tronu, pielęgnowała Dostojnego aż pewnego zimowego dnia umarł we śnie. Sądzę, że śmierć mojego ojca „w wypadku”, a potem odejście Dostojnego zdecydowały o powrocie księżnej do Koziej Twierdzy, gdzie podjęła próbę mojego wychowania.

Wróćmy jednak do Ciernia, bo to o niego pytałaś. Nigdy nie dzielił się chętnie wiadomościami na temat wczesnych lat swojego życia. Jego matka służyła w wojsku. Jak doszło do tego, że urodziła królewskiego bastarda, nigdy się nie dowiemy. Niewiele mi wiadomo o tej kobiecie ani o tym, jak i dlaczego znalazła się w Koziej Twierdzy. Raz Cierń wspomniał, że jego matka zostawiła jakiś list. Wkrótce po jej śmierci mąż tej kobiety wsadził małego Ciernia na muła, zaopatrzył go w żywność, dołączył ów zwój i posłał do stolicy. List był adresowany do króla i za sprawą niesłychanego splotu okoliczności rzeczywiście do niego trafił. W ten oto sposób rodzina królewska dowiedziała się o jej członku, o którym dotąd nikt nie miał pojęcia, jak można domniemywać. Pewności mieć nie sposób. Tak czy inaczej, został przygarnięty.

Mimo wielu lat, jakie poświęcił mojej nauce, ja o jego edukacji nie wiem

prawie nic, tyle tylko, że jego nauczyciel był srogi. Chociaż Cierń nie został nigdy oficjalnie uznany za członka rodziny królewskiej, nawet jako bękart, starszy brat traktował go dobrze, o tym jestem przekonany. Z tego, co sam zaobserwowałem, wyciągnąłem wniosek, że bracia się lubili, a król Roztropny cenił sobie Ciernia w roli doradcy, skrytobójcy i szpiega.

Z różnych przesłanek wywnioskowałem, iż jako młody człowiek zyskał kilka przyjemnych lat w dostatku, nim uległ wypadkowi, po którym zostały mu blizny. Wtedy rozpoczął życie w ukryciu, między murami twierdzy. Istnieje zapewne drugie i trzecie dno, gdy chodzi o powody jego zniknięcia, lecz nie przypuszczam, by dało się cokolwiek odkryć.

Wiem natomiast z pewnością, iż ogromnie mu zależało na sprawdzeniu swoich umiejętności władania Mocą i na szkoleniu w posługiwaniu się rodzinną magią. Jednego i drugiego mu odmówiono. Zapewne miał inne talenty, jak choćby czytanie z wody, gdyż nie raz jeden uznałem za całkowicie nieprawdopodobne, by to szpiedzy błyskawicznie dostarczyli mu informacje o pewnych wydarzeniach mających miejsce daleko od Koziej Twierdzy. Tak czy inaczej, uznanie, że nie posiada talentu do władania Mocą dręczyło go i smuciło. Moim zdaniem było to jedno z najgorszych posunięć naszych królewskich przodków.

Właśnie dlatego teraz, gdy dowiódł przynajmniej śladów możliwości korzystania z Mocy i ma dostęp do tego, co pozostało z biblioteki Mocy, lekkomyślnie stara się rozszerzać swoje umiejętności. Nigdy nie cofał się przed eksperymentowaniem, a niebezpieczeństwo nie powstrzymywało go od ryzykowania zdrowia lub życia swojego albo, cóż, także uczniów.

Nie wiem, na ile te wiadomości pomogą Ci przekonać go do większej powściągliwości ani czy dzięki nim zdołasz zyskać u niego szacunek należny królewskiej najwyższej mistrzyni Mocy. Gdyby udało Ci się uniknąć zdradzenia, że to ja jestem źródłem twoich informacji, byłbym niewymownie wdzięczny. Szkolił mnie na jak najlepszego wywiadowcę, lecz pierwszy byłby skłonny oponować, gdyby uczeń miał szpiegować mistrza.

Niepodpisany przekaz dla najwyższej mistrzyni Mocy, Pokrzywy

– Czego Tintaglia chce od ciebie, panie? – zapytał mnie kapitan Zuchwalec.
Otarłem pot z twarzy.

– W Kelsingrze postawiłem jej kilka pytań. Miałem nadzieję dowiedzieć się, czy smoki żywią jakąś urazę do Sług.

- Żeby je skaptować dla swojej sprawy?
 - Owszem. Albo przynajmniej zyskać jakąś użyteczną wiedzę.
- Wytarł ręce w spodnie i chwycił beczkę.
- Wysłać smoka na ratunek dziecka to niekoniecznie mądre posunięcie.
 - W tamtym czasie miałem inne cele. Chciałem jedynie zniszczenia Clerres.
 - Ale dziecko...

Ano właśnie. Starannie unikałem tej myśli. Pszczoła w miejscu zaatakowanym przez smoki... Nie. Nadal nie chciałem o tym myśleć.

Kapitan przekrzywił głowę i przyjrzał mi się uważnie.

- Nie spodziewasz się odnaleźć jej żywej – rzekł niegłęboko.

Wzruszyłem ramionami. Była to ostatnia kwestia, jaką chciałbym rozważyć.

- Robota czeka – rzuciłem.

Kiwnął głową.

Koniec krótkiej przerwy. Braliśmy na pokład świeżą wodę. Powinno to być całkiem łatwe zdanie, jednak za sprawą „Niezrówanego” wykonanie go zakrawało na cud. Żywostatek najpierw odsuwał się od łodzi z dostawą, potem złośliwie kiwał się na boki i w ogóle utrudniał nam życie, jak mógł.

Borykaliśmy się z problemami drugi dzień. Najpierw przeszkadzał przy wyładowywaniu towarów, dzisiaj zaopatrywanie w słodką wodę i żywność okazało się dwukrotnie bardziej pracochłonne niż normalnie. W obliczu tych kłopotów Althea i Zuchwalec przyjęli moje wieści o Tintaglii z niezbyt żywym zainteresowaniem. I nic dziwnego, bo przecież, jak to wówczas ujął kapitan: „Smoczyca? I cóż z tego? Gorzej już przecież nie będzie”. Kapitan Althea zdecydowała wtedy: „Przekażę wieści admirałowi, niech zawiadomi królową. Na pewno zechcą się przygotować”. A po chwili dodała kwaśno: „Wizyta smoka to pewnie same problemy. Ja mogę tylko cieszyć się, że nie moje”. Zuchwalec pokiwał głową. „Swoich i tak mamy dosyć”. I w ten sposób zamknął temat.

„Niezrównany” opóźniał wypłynięcie na różne sposoby, jakich bym w życiu nie wymyślił. Bujał się i chybotał, przesuwiał na kotwicy, zamykał włazy i luki. A para kapitanów zacisnęła zęby i harowała ramię w ramię z uszczuploną załogą. Od razu pierwszego dnia Świstak zatrudnił Niestrudzonego i Skierkę, a potem, wsparłszy ręce na biodrach, przyjrzał się krytycznie mnie i Strzykowi.

– Marynarska robota nie jest dla wysoko urodzonych panów, ale ja was potrzebuję. Póki stoimy w porcie, też się przydadacie.

I tak się stało.

Wysiłki kapitańskiej pary zmierzające do najęcia większej liczby ludzi albo przekonania dawnych członków naszej załogi do powrotu zawiodły na całej linii.

Jeśli o mnie chodziło, podjąłem fizyczne zajęcia bez wstrętu, bo przynajmniej na jakiś czas oderwały mnie od rozmyślania nad tym, czy możliwe jest, by moja córka tkwiła zamknięta w niewoli przez jakichś fanatyków. Obrazy, jakie mi się nasuwały przed oczy, budziły we mnie wściekłość, przy której mało brakowało, bym się zadławił własnym sercem. Dawałem jej upust przeciwstawiając się żywostatkowi: wciągałem skrzynie na przechylony pokład, składowałem w ładowni, ustawiałem. Każda chwila w porcie zwielokrotniała udrękę oczekiwania. Już nie dbałem o to, jakie wieści przyniesie Tintaglia. Pragnąłem za wszelką cenę znów być w drodze.

Błazen i pani Amber stale i w jednakowym stopniu cierpieli męki, wyobrażając sobie, przez co przechodzi Pszczoła. A mnie każde słowo wypowiedane przez jedno lub drugie raniło jak cios nożem w brzuch. Strach o córkę mnie paraliżował, a w przyjacielu nie znajdowałem oparcia. Wręcz przeciwnie.

Któregoś razu, po wejściu do kajuty, ujrzałem Błazna zwisającego z górnej pryczy, zaczepionego o jej krawędź kolanami. Stałem jak wryty.

– Wiedziałem, że to ty – stwierdził. – Wszyscy inni pukają.

– Co robisz? Potrzebujesz pomocy?

– W żadnym razie. Gimnastykuję się. Zniszczyli mi ciało i umysł, staram się wrócić do formy.

Podciągnął tułów do góry, chwycił dłońmi za brzeg koi, po czym przerzucił nogi za głowę i zeskoczył na podłogę. Nie zrobił tego ani zgrabnie, ani lekko, jednak zadziwiająco sprawnie, jeśli wziąć pod uwagę, że zaledwie parę miesięcy wcześniej najprostszy ruch przychodził mu z ogromnym trudem.

– Nie byłoby ci wygodniej ćwiczyć na pokładzie?

– Gdyby pani Amber cokolwiek widziała, z przyjemnością śmigałaby po takielunku, wspinała się nawet na bocianie gniazdo i na świeżym powietrzu szlifowała moje dawne sztuczki. Jednakże ponieważ nie widzi, nic z tego. Robię, co mogę, w zamkniętej, ciasnej przestrzeni. – Pochylił się, chwycił za kostki u nóg i powoli wypuścił powietrze. – Czy wiemy, kiedy wypływamy? Są jakieś wieści?

– Nic mi nie wiadomo.

Wiedziałem, co usłyszę, i rzeczywiście:

– Każdy dzień w przystani to kolejny dzień Pszczoły w niewoli.

Jakbym mógł myśleć o czymkolwiek innym!

– „Niezrównany” nie jest jedynym statkiem w porcie. Możemy tutaj uzyskać przyzwoitą cenę za skarby Najstarszych i zapłacić za przewóz prosto do Clerres.

Zaczął kręcić głową, nim skończyłem zdanie.

– We wszystkich moich wizjach przyszłości trafiamy do Clerres na „Niezrównanym”.

– Ty i te twoje wizje – burknąłem. – Skoro tak, to musimy czekać.

– Wątpisz we mnie – stwierdził z goryczą. – Nie potrafisz uwierzyć, że Pszczoła ocalała.

– Czasem ci wierzę. – Spuściłem wzrok. – Ale tylko czasem.

Za nadzieję płaciłem zbyt wielkim bólem.

– Rozumiem – rzekł ostro. – Masz zamiar czekać. Wychodzisz z założenia, że jeśli Pszczoła jest martwa, to z powodu naszego opóźnienia bardziej nieżywa już nie będzie. Nie poddadzą jej torturom takim, jakie na mnie zastosowali.

– To nie jest moja decyzja – odparłem równie szorstko. – Nie ja zwlekam z wypłynięciem. Ty opóźniasz wyprawę, czekając, aż „Niezrównany” uzna za stosowne popłynąć.

Twarz mu się wykrzywiła, chwycił się obiema rękoma za włosy.

– Naprawdę nie rozumiesz? Musimy płynąć na tym statku. Musimy! Chociaż wiem, że Pszczoła żyje, wciąż w rękach porywaczy.

– Jakim cudem?! – ryknąłem. – Jak to możliwe?! Krąg Mocy wysłany za nią przez filar nie odkrył żadnego śladu. Choćby jednego odcisku stopy w śniegu, nic, zupełnie nic! Rozumiesz, co to znaczy? Otóż, to znaczy, że Pszczoła ani jej porywacze nie wyszli z kamienia. Przepadli.

Oczy miał rozszerzone, twarz jeszcze bledszą niż zwykle.

– Nie! To niemożliwe! Bastardzie, przecież i ty ugrzęzłeś w kamieniu, zagubiłeś się na długie dni, a jednak...

– To prawda. W końcu wydostałem się z niego, oszołomiony, na wpół przytomny, ledwo żywy. Rzecz w tym, Błaźnie, że gdyby wyszli z kamienia, zostałyby po nich jakieś ślady. Odciski stóp, wystygły popiół ogniska, choćby szkielety! A nie było nic. Zupełnie nic. Pszczoła zniknęła. A gdyby ugrzęźli w kamieniach na dłuższy czas, dostrzeglibyśmy jakieś znaki ich obecności tutaj. Widziałeś coś? Cokolwiek?

– Nic nie widziałem! – Zaśmiał się jak szaleniec. – Ja w ogóle nic nie widzę!

Udało mi się nad sobą zapanować.

– Tak czy inaczej, nie było nic prócz tropów niedźwiedzia. Zatem może przeszli przez kamień i tam stracili życie. Z pewnością nie dotarli do Kelsingry, ani pieszo, ani przez magiczne portale. Błaźnie... błagam cię, pozwól mi pogodzić się z myślą o śmierci dziecka.

Naprawdę tego chciałem. Marzyłem o tym, by wrócić do stanu otępienia, spowodowanego świadomością druzgocącej straty, i skupić się na zemście.

– Pszczoła żyje!

Jego upór doprowadził mnie do szału.

– Co za różnica?! Żyje czy nie, ja z pewnością zostanę zabity, nim ją odzyskam,

bo nie wiem prawie nic o Clerres ani o jego mieszkańcach!

Na chwilę odebrało mu mowę.

– Staralem się, jak mogłem – stwierdził wreszcie głosem drżącym ze wzburzenia.

– Nie mam pojęcia o planowaniu zabijania... – Teraz przemawiało przez niego poczucie winy. – A kiedy mnie wypytujesz... wspomnienia są bardzo mgliste, niewiele mogę powiedzieć z pewnością. I na dodatek zadajesz idiotyczne pytania! Co za różnica, czy Kultri lubi hazard, czy nie, albo czy Symphe wcześniej wstaje?

– Bez znajomości szczegółów moje próby odebrania życia tym osobom zmieniają się w błazeństwo!

– Doprawdy! A czego spodziewasz się po błaznie? – Wściekłymi ruchami namacał strój pani Amber. – Nie powinienem był w ogóle prosić cię o pomoc! – syknął wściekle. – Jak to mówią: umiesz liczyć, licz na siebie!

Podciągnął spódnicę, roztrzęsionymi dłońmi zawiązał tasiemki i zaczął krzywo zapinać guziki.

– Wszystko byłoby inaczej, gdybyś nie wrócił! – Moje lekkomyślne słowa raniły go jak nożem. – Nie musisz się fatygować i przebierać, już wychodzę. – Wstałem, gdy on walczył z mankietem. – I przyjmij do wiadomości, że jak większość tego, co załatwiasz na ślepo i w pośpiechu, to także ci nie wychodzi! Na twoim miejscu nie pokazywałbym się ludziom w tym stanie. Ale, oczywiście, zrobisz, co zechcesz, jak zwykle, po swojemu. Ty ważysz się na wiele działań, których ja bym się nie podjął. Jak choćby zabijanie bez przygotowania w postaci informacji.

Wypadłem z kajuty, trzaskając drzwiami. Serce waliło mi jak młotem, gniew i żal walczyły o lepsze. Co ja nawygadywałem?! Ale czy mijałem się z prawdą?

Wsparty o reling, wbiłem wzrok w Łupigród, czekając, aż wyparuje ze mnie wściekłość. Wiatr od wody nie mógł jej schłodzić. Tak zastał mnie Zuchwalec.

– Prawy pyta, czy wiadomo, kiedy spodziewać się Tintaglii.

– Ja nie wiem. Czy wiadomo, kiedy odpływamy?

– Ja nie wiem – powtórzył niczym echo. – Admirał poczynił przygotowania na przybycie smoczycy. Prosi o przekazanie jej, o ile to możliwe, że zagroda z bydlętem jest obok doków.

Nie pokonałem gniewu, lecz udało mi się go okiełznać. Stałem prosto, wypchnąłem z umysłu słowa Błazna oraz resztki złości.

– Spróbuję, jednak niczego nie mogę obiecać. Nie wiem, czy mnie usłyszysz.

– Nie mogę prosić o więcej.

Zamknąłem usta. Odprowadziłem kapitana wzrokiem. Przeniosłem spojrzenie na wodę i spróbowałem sięgnąć ku smoczycy.

„Tintaglio. Jestem w Łupigrodzie na Wyspach Pirackich. Mieszkańcy pragną cię

odpowiednio powitać. Przygotowali dla ciebie bydło w zagrodzie obok doków”.

Nie wyczułem żadnej odpowiedzi. W głębi serca miałem nadzieję, że smoczyca mnie nie znajdzie. Bo spotkanie z nią na pewno nie wyszłoby mi na dobre.



O świcie trzeciego dnia Sorkor i królowa Etta zawołali do nas z niewielkiej płaskodennej łódki, prosząc o pozwolenie na wejście na pokład. Był z nimi Prawy, miał zaczerwienione oczy. Zresztą wszyscy troje najwyraźniej mieli za sobą długą, bezseną noc. Zostali zaproszeni i poczęstowani gorącą kawą. Sorkor, człowiek myślący, miał ze sobą koszyk ze świeżymi pasztecikami. Ku memu zdumieniu admirał poprosił, byśmy we dwoje, pani Amber i ja, dołączyli do towarzystwa.

Królowa Etta wyglądała bardziej nieustępliwie niż władczo. Światło dzienne nie obchodziło się z nią łaskawie, wypuklając zmarszczki wokół ust i prześwietlając potargane włosy unoszone bryzą. Pięknej kurty najwyraźniej nie zdjęła przez noc, zdradzały to zagniecenia. Sorkor sprawiał wrażenie smętnego psa myśliwskiego, trzymanego na łańcuchu, gdy inne szykują się na polowanie. Usiedliśmy przy stole, kapitan Althea nalala kawę. Cisza trwała, królowa Etta bawiła się kameą zawieszoną na szyi. W pewnej chwili wyprostowała się i spojrzała na Altheę.

– Niezrównany Szczęsny, księżę Wysp Pirackich, popłynię z wami do Clerres – oznajmiła. To nie była prośba ani nawet polecenie, lecz rozkaz. – Wiem, że go nie chcesz na pokładzie, i mnie także nie podoba się ta koncepcja. Mimo wszystko musi popłynąć. Zapłacę za jego podróż i dam ośmiu dobrych marynarzy, każdy sprawnie posługuje się mieczem. Będę się modlić, żebyście nie musieli w pełni wykorzystać ich umiejętności.

– Mowy nie ma! – wybuchnęła kapitan. – Chciałaś, żeby go nie wpuszczać na pokład, więc mu zabroniłam wchodzić. W rezultacie nasz statek, zawsze krnąbrny i oporny, stał się niebezpieczny, próbując udaremnić wykonanie nawet najprostszych zadań. A teraz, po tym wszystkim, rozkazujesz nam zabrać księcia?

Gdy zrobiła pauzę dla nabrania oddechu, Zuchwalec położył rękę na jej dłoni.

– Skąd ta zmiana? – zapytał spokojnie.

Piracka monarchini zmierzyła go przeciągłym spojrzeniem i zacisnęła wargi.

– Tego życzyłyby sobie jego ojciec – odezwał się admirał. – Taką wiadomość otrzymaliśmy.

Królowa puściła kameę, wsparła dłoń na stole i wbiła wzrok w Prawego.

– Nasza władczyni – ciągnął admirał – ma wyrzeźbioną z czarodrzewu kameę

z wizerunkiem Kennita. On nosił ten drobiazg na nadgarstku, przy skórze. W ten sposób wisior wchłonął dość jego ducha, by ożywać. To jego rada.

Gapiłem się bezwstydnie na rzeźbiony wizerunek zawieszony na szyi królowej. Podświadomie oczekiwałem, że poruszy się albo przemówi, jednak pozostał martwy.

Kapitan Althea pochyliła się ku pirackiej królowej.

– Kennit sobie tego życzy? – wycedziła. – Jeszcze jeden powód, żeby odmówić.

– I tak go zabierzecie – stwierdziła królowa. – Nie macie innego sposobu, żeby nakłonić do współpracy ten samowolny statek. Musicie mu dać, czego chce. Jeżeli mi się sprzeciwiacie, zostaniecie na chimerycznym statku z niekompletną załogą. Cały Łupigród widział jego charakterek i siłę. Daję wam to, czego potrzebujecie. Jeśli nie skorzystacie, zostaniecie tu na kotwicy, na żywostatku, który z dnia na dzień będzie coraz groźniejszy.

Kapitan Althea ścisnęła kubek tak mocno, że tylko czekałem, kiedy go zgniecie.

– Muszę zamienić z moją panią kilka słów na osobności – powiedział Zuchwalec głosem bez wyrazu. – Za kilka chwil spotkamy się z wami na pokładzie.

Gestem wskazał drzwi i poczekał, aż wszyscy zgodnie wyjdziemy. Zamknął je za nami starannie.

Sorkor i królowa stanęli ramię w ramię, patrząc na miasto. Prawy czekał nieco dalej, z rękoma założonymi na piersi. Nie padło żadne słowo, póki nie rozbrzmiał głos „Niezrówanego”.

– Ustalono? Dostanę syna Kennita?

Nikt mu nie odpowiedział.

W końcu z kajuty wyszła dwójka kapitanów.

– Umowa stoi – stwierdził Zuchwalec. – Opłata za podróż i ośmiu marynarzy.

Althea słuchała z kamienną twarzą.

– Warunek jest jeden – podjął Zuchwalec. – Księżę płynie jako zwykły majtek i poddaje się rozkazom.

Wyciągnął rękę do królowej. Althea nie drgnęła. Władczyni jęknęła rozdrażniona, lecz Sorkor kiwnął głową. W końcu to Prawy postąpił krok do przodu i podał Zuchwalcowi dłoń, na modłę przyjętą u Kupców.

– Spiszę umowę – obiecał.

Kapitan tylko w milczeniu kiwnął głową.

– Tak to robią Kupcy – szepnęła pani Amber. – Umowa powinna wszystkim przynosić korzyści. – Po czym dodała bardzo cicho: – Althea nie jest zadowolona, jednak pojmuję, że musimy zawrzeć porozumienie, jeśli mamy opuścić Łupigród.

Admirał cofnął się o krok.

– Natychmiast rozpoczniemy dostawę zapasów – powiedział. Podniósł głos. – „Niezrównany”! Czy masz to, czego chciałeś? Postawiłeś na swoim. Wygrałeś. Kennitasyn płynie z wami. Czy możemy teraz dokończyć wylądunek towarów i dowieźć zaopatrzenie na drogę?

– Możecie! – Głos żywostatku zagrział nad przystanią.

Pokład zadrżał z zadowolenia, omyła nas fala satysfakcji. Nawet kapitan Althea sprawiała wrażenie osoby, której kamień spadł z serca. A Zuchwalec, przechodząc obok, klepnął mnie w ramię.

– Trzeba będzie zakasać rękawy – uprzedził.

I tak się też stało. Nosiliśmy beczułki słodkiej wody oraz piwa, soloną rybę i wielkie kręgi sera, worki suszonych jabłek, śliwek, oraz warzyw korzeniowych, a także pudła sucharów. Zjawili się nowi członkowie załogi: siedmioro marynarzy i nawigatorka. Świstak sprawdzał, co potrafią, posyłał ich na maszt, kazał klarować liny, sprawdzał węzły. Nawet nawigatorce nie oszczędził pospolitych zadań, a ona wypełniła wszystkie polecenia ze wzgardliwą łatwością, za sprawą której jawnie kpiła z potrzeby udowadniania swojej wartości.

Zrobiło się cieplej. Któregoś razu Strzyk zostawił koszulę przerzuconą przez reling. Ledwo zdążyłem złapać ją za rękaw, a równocześnie przytrzymać Jaskrawą, która uznała za stosowne na niej przysiąc. Zaplątała się nogą w tkaninie i omal nie wylądowała w wodzie.

– Uważaj, bo to się źle skończy – przestrzegłem kruczycę, a ona zatańczyła z otwartymi skrzydłami, aż się wyswobodziła.

– Tintaglia! – krzyknęła. – Tintaglia! W górze, w górze, w górze!

Topaz i szafir, lśniący blask. Przybyła. Drobiną w oddali, ledwo wielkości kruka, lecz tylko po jednym uderzeniu serca – wielkości orła. Zbliżała się szybko, nigdy nie widziałem istoty lecącej tak prędko. Wkrótce połowa załogi wskazywała w niebo, wydając okrzyki. Na brzegu ludzie na ulicach przystawali i zwracali wzrok do góry.

– Czy wie o bydle czekającym w zagrodzie przy dokach? – spytałem kruczycę. – Gdzie wyląduje?

– Tam, gdzie zechce – stwierdził „Niezrównany”.

– W górze! W górze! – zawołała kruczyca ponownie.

Przyjrzałem się uważniej Tintaglii, natomiast Skierka zwróciła uwagę na coś innego.

– Tam, daleko! – wykrzyknęła. – To chyba czerwony smok!

Ten leciał wolniej, wydawał się zmęczony. Czy wyląduje bezpiecznie, czy runie w morze?

– Hiibi! Błyskotliwa Hiibi! – zawołała Jaskrawa i z trzepotem czarnych piór wzbiła się w powietrze.

Z niepokojem obserwowałem, jak Tintaglia okrąży siedzibę królewską.

„Bydło czeka! W zagrodzie przy dokach! Uczta na powitanie!”.

Pchnąłem myśli do Tintaglii, lecz nie dostrzegłem zmiany w schodzącej spirali lotu.

Ludzie na rozległym placu przed rezydencją monarchini w panice rozpierzchli się na boki. A smoczyca, ukończywszy najniższe okrążenie ostrzegawcze, wyciągnęła przed siebie łapy z rozcapierzonymi szponami i zesłała na ziemię. Jak na tak ogromną istotę wylądowała z zaskakującym wdziękiem. Trzask wstrząsanych skrzydeł poniósł się nad wodą aż do moich uszu. Podobny dźwięk wydawało płótno uderzone gwałtownym podmuchem burzy.

Zamiotła ogonem, ryjąc bruzdy w trawie. Jedni gapie przemknęli w jej stronę, inni gwałtownie odskoczyli. Zdezorientowane okrzyki tłumu przywodziły na myśl ptasie nawoływania. A smoczyca uniosła tułów do pionu i usiadła na tylnych łapach niczym wytresowany pies. Powoli obróciła łeb, czegoś szukając. Mimo dzielącej nas odległości, zatrzymała na mnie wzrok.

„Bastard Rycerski. Zbliź się. Porozmawiam z tobą”.

Narzuciła mi polecenie zarówno smoczym rykiem, jak i słowami zrodzonymi bezpośrednio w myślach. To był rozkaz. Potężny i zniewalający, jak niegdyś nakazy króla Szczerego przekazywane Mocą.

– Pójdiesz? – upewnił się przerażony Strzyk.

– Nie mam wyboru.

– Dokąd? – zapytał Niestrudzony.

– Smok wzywa Bastarda Rycerskiego. Ja też idę.

– I ja – zdecydował Trud natychmiast.

Nie chciałem ich asysty.

– Nie zapominaj, że jesteś teraz członkiem załogi – napomniałem chłopaka surowo. – Od kapitana zależy...

– Kapitanowie dają zezwolenie – rzekła Althea. Na twarzy miała smugę smoły, włosy zlepione potem. – Zabierzcie ze sobą Amber. Zuchwalec już rozkazał przygotować szalupę. Pośpieszcie się. Nie chcę, żeby smok był niezadowolony z kogoś na pokładzie mojego statku. Szczególnie ten smok.

Skierka pobiegła po swoją panią do kajuty. W mgnieniu oka znaleźliśmy się w łódce i zostaliśmy błyskawicznie przetransportowani na brzeg. Przystań świeciła pustkami, natomiast w miarę, jak zbliżaliśmy się do siedziby królewskiej, gęstniał tłum ludzi gapiących się na wspaniałą błękitną smoczycę. Królowa Etta, z synem

u boku, stała w portyku chroniona przez zbrojnych. Czy owi ludzie pod bronią wiedzieli, że ich oręż i pancerze będą całkowicie bezużyteczne, jeśli kolos plunie jadem? Oddział straży miejskiej przecisnął się przez gawiedź, otoczył smoka i spychał tłum z otwartej przestrzeni. Pozostawało mi mieć nadzieję, że dotrę do Tintaglii na czas, zanim ludzie zbyt mocno ją ziryтую.

Odszukała mnie wzrokiem, gdy torowałem sobie drogę przez ciżbę.

– Rozstąpić się! – poleciła. – Przepuścić tamtego! – A gdy skonsternowani ludzie zaczęli robić mi miejsce, dodała: – Leciałam bez ustanku przez dzień i noc i dzień. Przewrotny! Mam do ciebie słowo. Nie zwlekaj! Mój głód nie zna cierpliwości!

– Z drogi! – ryknąłem i napałem na maruderów. – Trzymajcie się na dystans – rzuciłem przez ramię do moich towarzyszy. Gdy stanąłem na otwartej przestrzeni przed smoczyką, czułem się jak nagi. – Jestem – powiedziałem i zmusiłem się do uczynienia jeszcze jednego kroku w jej stronę.

Wężowym ruchem obróciła do mnie łeb, paszczę miała otwartą, nozdrza rozszerzone. Ujrzałem błyskawiczny ruch długiego szkarłatnego jęzora. Buchał od niej żar zrodzony z ogromnego wysiłku, miałem wrażenie, że stoję zbyt blisko rozgrzanego pieca. Smocze cielsko cuchnęło gadem, a oddech padliną.

– Nie jestem ślepa. A gdybym była, to cię czuć.

– Ona mówi? – zdumiał się Niestrudzony za moimi plecami.

– Ćśśś! – zgasił go Strzyk.

– Jestem zmęczona i głodna, mam mało czasu. – Z tonu wynikało, że to moja wina.

Skłoniłem się nisko.

– Bydło czeka w zagrodzie przy dokach.

Machnięcie ogona.

– Wiem. Mówiłeś. Dwa razy. – Zabrzmiało to, jakbym dopuścił się śmiertelnej obrazy. – Przy dokach nie ma miejsca na lądowanie dla smoka mojej wielkości – rzuciła ostro.

Przyszła mi do głowy myśl, by porozumieć się z gigantem bezpośrednio umysłem, lecz natychmiast ją odrzuciłem. Nie zamierzałem ryzykować, że gad przypadkiem pozbawi mnie Mocy.

– Co najważniejsze: Lodogień to tchórz – oznajmiła. – Smok, który woli dać się pochować żywcem niż dążyć do zemsty, a to ze strachu o własne bezpieczeństwo, nie zasługuje na miano smoka!

Uznałem, że najmądrzej będzie się do tego nie odnosić. Stałem w milczeniu, czekałem.

Ze smoczych nozdrzy buchnął potężny strumień powietrza, towarzyszył mu

niski hurgot w gardzieli. Łuskowatą skórę przebiegł dreszcz, Tintaglia poprawiła skrzydła.

– Do doków – rozkazała. – Będę mówić w drodze. Potem zjem. Trudno mówić do człowieka, trudniej, gdy jestem głodna.

Cudownie.

– Długi czas minął, jak sędzę – odezwałem się głośno – odkąd ostatnio zjawiał się tutaj smok tak imponujący i okazały. Królowa Etta, władczyni Wysp Pirackich, zadbała o zaspokojenie twoich potrzeb.

– Wielki to dla nas zaszczyt, przeświecna królowo! – Prawy wyłonił się spośród straży królewskiej i zszedł po schodach na rozoraną bruzdami trawę. – Błękitna i nieźrównana. – Złożył przed Tintaglią skomplikowany ukłon. – Czy pamiętasz mnie może? Jestem bratem królowej Małty, ze Smoczyczych Kupców, z Kelsingry. Młodszy brat, Selden, sławi cię bez wytchnienia.

– Selden – powtórzyła smoczyca, a jej ślepie zawirowały. – O, tak, to imię pamiętam. Miły piewca smoków! Czy jest tutaj?

– Z przykrością muszę stwierdzić, że teraz go tu nie ma. Ale jeszcze bardziej mi przykro, że miejsce do lądowania okazało się niewłaściwe.

Królowa Etta pojęła wysiłki admirała i zrozumiała to, czego nie powiedział. Wystąpiła naprzód.

– Straże! Zapewnić przejście naszemu czcigodnemu gościowi, odeskortować z honorami do zagrody z bydłem. Dopilnować, by w poidłach nie zabrakło świeżej wody! – Pstryknęła palcami i na ten znak jej gwardia osobista natychmiast ruszyła przez trawnik. Posługując się mieczami w pochwach, torowali drogę przez tłum i tworzyli szeroki korytarz.

Mieniące się kolory na szyi smoczycy oraz pulsowanie falbany obrastającej szczękę wskazywały, że gość jest zadowolony. Taką przynajmniej miałem nadzieję.

I słusznie.

– Właściwa postawa – oceniła Tintaglia. – Tak dobrze.

Prawy raz jeszcze złożył ukłon i rzuciwszy mi spojrzenie spod oka, wycofał się tyłem.

Smoczyca ponownie skupiła na mnie uwagę. Spadło to na mnie niczym ciężki pled. Skrzętnie zamknąłem umysł przed zachwytem nad jej majestatem i tak ruszyliśmy otwartą przez strażników aleją między ciekawskimi.

Niełatwo było utrzymać jej tempo. Nie wystarczał ani wydłużony krok, ani dziarski marsz. Dawno nie byłem zmuszony truchtać tak wytrwale. Zerknąłem przez ramię – Strzyk i Niestrudzony podążali za mną w bezpiecznej odległości. Skierka prowadziła panią Amber ku portykowi.

– Człowiecze – odezwała się do mnie smoczyca prawie łagodnie. – W Kelsingrze zuchwale zażądałeś ode mnie wieści. – Zamiatła ogonem jak kot. – Zdybałam Lodognia i grożąc mu oraz budząc strach przed hańbą, wydobyłam z niego niemal wszystko, czym powinien był podzielić się z nami już dawno. Nawet Hiibi ma więcej odwagi! – Zamilkła na moment. – Twoje domysły okazały się słuszne. Biali pospołu ze swoimi Sługami wyrządzili smokom ogromną krzywdę. Płonę z wściekłości na myśl, że całe ich pokolenia żyły w przekonaniu, że mogą nas bezkarnie maltretować! Cała wina spada na tchórzliwego Lodognia, lecz nie wierzę, by zebrał się w sobie i cokolwiek zrobił. Dlatego będę działać ja.

Znaleźliśmy się w dzielnicy składów i magazynów, w starszej części Łupigrodu, gdzie ulice były węższe. Podążałem teraz nieprzyjemnie blisko skrzydlatego giganta. Kilkakrotnie słyszałem trzaski, gdy potężny ogon trafiał w któryś z budynków. Jeśli na drodze znaleźli się jeszcze jacyś ludzie, strażę usuwały ich zawczasu.

– Zrozum, Przezorny, to moja zemsta. Żaden człowiek nie ukarze Clerres należycie. Gdy my wzlecimy w powietrze, nie zostanie tam kamień na kamieniu, a tych, co mieli czelność zabijać smoki, pozremy. Tak samo jak w Krainie Miedzi. Mnie się należy prawo do zabijania!

– Chyba że ja dotrę tam pierwszy – mruknąłem.

Zatrzymała się gwałtownie. A ja w tej samej chwili pożałowałem nieprzemyślanych słów. Uniosła łeb i wciągnęła w nozdrza powietrze. Wtedy ja też poczułem ten zapach. Woń zagrody, gdzie normalnie trzymano bydło przeznaczone do załadowania na statek lub z niego sprowadzone. Byliśmy blisko.

Biłem się z myślami. Pragnąłem zemsty. Lecz przy tym, jeśli Błazen miał rację i Pszczoła wciąż jeszcze żyła, nie mogłem dopuścić, by znajdowała się w Clerres podczas ataku rozjuszonych smoków. Czy miałem szansę odwieść Tintaglię od tej decyzji? Czy „Niezrównany” mógł okazać się szybszy od pałającego zemstą smoka? Dotąd wątpiłem, czy Pszczoła żyje, teraz czułem strach, że nigdy nie poznam prawdy.

– Zemścisz się na Sługach?

– Przecież właśnie to powiedziałam. Ludzie... – rzuciła z niezmierzoną pogardą. – Wszystko trzeba im powtarzać! Słuchaj teraz, nim zacznę jeść. Podam ci rzecz prosto, żebyś zdołał pojąć. Tak, pozwalam ci płynąć do Clerres. Brak ci ogłady, lecz zgoda, możesz zabijać, jeśli zjawisz się tam pierwszy. Nie uznaję tego za kradzież zdobyczy. Czy rozumiesz tę łaskę?

– Tak. Rozumiem, ale sądzimy, że moja córka żyje. Może być więziona w Clerres.

Równie dobrze mógłbym być muchą brzęczącą na stercie nawozu. Tyle uwagi mi poświęciła. Przed nami pojawiła się zagroda. Niespokojne zwierzęta pochwyciły

zapach drapieżnika. Mucząc trwożnie, zgromadziły się ciasno w najdalszej części. Smoczyca ryknęła, bez słów obwieszczając światu głód, i ruszyła. Nie dzięki zręczności, lecz za sprawą przypadku uniknąłem ciosu ogonem.

Spadła na zamknięte w ogrodzeniu krowy, trając je, przyszpilając szponami, siekąc zębiskami. Chwyciła jedną w szczęki i wyrzuciła ryczące zwierzę w górę. Strzyk złapał mnie za rękaw, pociągnął do tyłu. Całe szczęście, bo duża część rozgryzionego bydłęcia spadła tam, gdzie stałem jeszcze przed chwilą. Niestrudzony patrzył przerażony i zafascynowany. Strażnicy, którzy biegli przodem, torując drogę, gwizdali i wznosili okrzyki, jak czasem robią ludzie, będący świadkami masakry. Opętani pierwotnym barbarzyństwem stali bliżej, niż ja bym się ośmielił.

– Zostawmy ją w spokoju – powiedziałem do Strzyka i Niestrudzonego. – Niech zaspokoi głód.

Ruszyliśmy na powrót drogą, którą tu przyszliśmy. Widzieliśmy domy uszkodzone smoczym ogonem. Zobaczyliśmy rozbity w drzazgi pomost załadunkowy. Wlokłem się wolniej, niżbym chciał, bo wciąż z trudem łapałem oddech.

– Panie, zdradzisz mi, co powiedział smok? – spytał Niestrudzony.

Po biegu miałem wyschnięte gardło, więc przedstawiłem fakty jak najkrócej.

– Pozwoliła nam płynąć do Clerres i zabijać. Planuje własną zemstę. Jak tylko tam dotrze.

Chłopak kiwał głową w sposób zdradzający, że nic nie zrozumiał.

– Własną zemstę. Za co?

– Mieszkańcy Clerres wyrządzili smokom krzywdę. Jaką, nie powiedziała. Jest oburzona, że Lodogień ich nie ukarał. Uprzedziła mnie wyraźnie: to ona ma prawo ich pozabijać, jednak pozwoliła nam wyrzucić na nich zemstę. Jeśli dotrzemy tam pierwsi.

– Może czarny smok uznał, że zniszczenie Aslevjalu jest wystarczającym odwetem? – podsunął Strzyk.

Pokręciłem głową.

– Ona tak na to nie patrzy.

– Panie! – Chłopak nagle złapał mnie za ramię. – A co będzie, jeśli smoki nas wyprzedzą? Pani Amber mówi, że tam jest Pszczoła! Smoki chyba nie bardzo nas rozróżniają... Mogą panienkę zranić albo i zabić! Czy powiedziałaś, panie, smoczyca, że tam jest twoja córka? Że trzeba uważać?

– Wspomniałem.

Znikąd pojawiła się Jaskrawa. Przysiadła na ramieniu Niestrudzonego, Strzyk odsunął się, robiąc jej miejsce.

– Hiibi! – oznajmiło ptaszysko. – Błyskotliwa Hiibi! Chodź, chodź, szybko!

Tak błyskawicznie, jak spadła z nieba, teraz wystrzeliła w powietrze i pomknęła w stronę rezydencji królewskiej.

– Zapomniałem o Hiibi – przyznałem.

– Tylko ty, panie, mogłeś zapomnieć o smoku – mruknął Niestrudzony, po czym głośniejsze dodał. – Możemy przyspieszyć?

Duma kazała mi tego dokonać. Przed siedzibą królowej na nowo zgęstniał tłum. Niestrudzony szedł przodem i torował drogę, krzycząc głośno:

– Przejście dla księcia Bastarda Rycerskiego Przewornego! Zrobić przejście!

Nie miałem powietrza w płucach, by zaprotestować. Zielony trawnik, jeszcze niedawno wypieszczony, teraz przypominał zaorane pole. Na środku zrytego placu stała Hiibi. Miała na sobie piękną uprząż z połyskliwej czerwonej skóry i błyszczącego mosiądzu, zwieńczoną czymś w rodzaju pudełka, grędy dla jeźdźca. Głód i zmęczenie były od niej jak żar z pieca. Oddech wyzwał w jej gardzieli dźwięk przywodzący na myśl wrzenie w ogromnym kotle.

Pod filarami pałacu pani Amber i Skierka stały, zachowując podyktowany szacunkiem dystans od królowej, Kennitasyna i Prawego. Całą tę piątkę oddzielał od nieproszonych gości rząd gwardzistów z długimi kijami w dłoniach. Z niższego stopnia, wcale nie zadzierając głowy, patrzył na nich odziany w szkarłatną zbroję Najstarszy.

– Generał Rapskal! – wykrzyknął Niestrudzony, w równym stopniu zaskoczony, jak i zdjęty obawą.

Generał mówił i podkreślał swoją wypowiedź szerokimi gestami. Gdy okrążyliśmy Hiibi w bezpiecznej odległości, pochwyciłem jego słowa.

– ...i noc i jeszcze dzień, zanim tu dotarliśmy. Długa to była podróż, daleko od Kelsingry w Deszczowych Ostępach. Moja smoczyca i ja przynosimy ważne wieści dla Bastarda Rycerskiego Przewornego. Gdyby udało się znaleźć dla niej jakieś jedzenie, byłbym niewymownie wdzięczny. Bardzo proszę.

Jeszcze nie słyszałem, by generał Rapskal przemawiał tak dwornie i z pokorą. Wyglądało jednak na to, że dla Hiibi gotów był posunąć się nawet do błagania. Admirał przysunął się nieco do królowej i szepnął jej kilka słów do ucha. Władczyni nie wyglądała na zadowoloną, lecz wydała rozkaz.

– Przeprowadzić trzy kozy. Niech je pożre tutaj, zieleń i tak zniszczona.

– Mądrość przemawia przez ciebie, pani, że pozwalasz jej najeść się z dala od Tintaglii – rzekł Rapskal. – Jestem ci wdzięczny. – Zerknął przez ramię na zniecierpliwionego smoka i na jego twarzy rozlała się czułość. – Jest bardzo głodna. Wiele dla mnie zrobiła, niosąc tak daleko. A jeszcze przed nami długa droga, aż na Wyspę Inneg Ludu. A potem do Clerres. – W tej chwili spostrzegł mnie i odwrócił

się od królowej. – Bastardzie Rycerski! – zawołał. – Przynoszę ci ważne wieści!
Przyśpieszyłem kroku.

– Tintaglia już mi je wyjawiała. Dziwi mnie, że ciebie tu widzę.

– Wszyscy jesteśmy tym zdziwieni – stwierdziła władczyni lodowatym tonem. –
Zwłaszcza że nadal nie poznałam powodu tej... wizyty.

Nie kryła niezadowolenia, lecz znacznie bardziej zaalarmowało mnie zachowanie Kennitasyna. A ten chwilę stał ze wzrokiem wlepionym w Hiibi, po czym nagle ruszył ze schodów, minął zaskoczonego strażnika, następnie generała Rapskała i skierował się prosto do smoczycy.

Oddech ugrzązł mi w gardle. Smok był głodny i nie znał młodego człowieka.

Tymczasem czerwona smoczyca zaledwie przekrzywiła łeb i przyjrzała mu się wirującymi ślepiami.

– Przynieście tej cudownej istocie beczkę wody! – wołał Kennitasyn, idąc. –
Pragnienie ją pali! Tak przewybornemu stworzeniu nie może zabraknąć niczego!
I gdzie te kozy?! Powinny tu być w mgnieniu oka! Dajcie też tego rudawego cielca!
Przecież to cudo umiera z głodu!

I cały czas to pustogłowe książątko szło wprost na smoka. Z wyciągniętą ręką.

Przez tłum skonsternowanych gapiów przebiegł szmer przerażenia. Królowa lekko otwarła usta, wstrzymała oddech. Tylko admirał nie zmienił się w kamień.

– Nie! – krzyknął i skoczył naprzód.

Byłem pewien, że Rapskał rzuci się na ratunek wyspiarskiemu księciu, lecz on, choć owszem, ruszył z miejsca, to jednak w zupełnie inną stronę. Do mnie. Sorkor poczuł się w obowiązku chronić syna monarchini, jednak był spóźniony. Nie miałem wątpliwości: Hiibi pożre młodego głupca.

Tymczasem ona gładkim ruchem podsunęła pod rękę Kennitasyna pokryte łuskami nozdrza.

Bezwiednie odetchnąłem.

Czy zachowanie księcia było przejawem rzeczywistej odwagi, czy też skutkiem wpływu smoczego uroku?

Młody człowiek położył drugą rękę na smoczym łbie.

– O, najcudowniejsza! – rzekł z niekłamanym zachwytem.

Gad opuścił głowę, pozwalając drapać się między ślepiami.

Tłum westchnął gremialnie, z pełną aprobatą, a ja wreszcie zrozumiałem to, czego nie odgadłem wcześniej: lud Wysp Pirackich kochał swego księcia. W moich oczach był on rozpieszczonym młodzikiem, lecz dla miejscowych ten wzorzec elegancji, ten idealny przykład zuchwałości był olśniewający.

Gdy zza rogu posiadłości wyłoniły się popędzane kozy, Hiibi uniosła łeb

i przeniosła na nie spojrzenie.

– Idź, idź! – rzekł książę. – Zaspokój głód, najpiękniejsza!

Stał w miejscu, z niezmaconym spokojem patrząc, jak smoczyca obraca się i skacze na zwierzynę. Drugi raz tego dnia widziałem smoka zabijającego zdobycz i słyszałem pełen aprobaty pomruk tłumu.

– Uwaga! – mruknął Strzyk, stając u mego boku.

Niestrudzony natychmiast znalazł się po drugiej stronie.

Generał Rapskał był już blisko. Podchodził z wyciągniętą dłonią, gotów uścisnąć mi przegub. W szerokim uśmiechu odsłonił śnieżnobiałe zęby, co robiło szczególne wrażenie w twarzy pokrytej czerwonymi łuskami. Podałem mu rękę, a on uścisnął ją, jak wojownik, lecz potem nie puścił, ale pociągnął mnie, przez co wyglądało to tak, jakbym całkiem zapomniał o dobrych manierach. – Nie stójmy tak, przedstaw mnie, panie, królowej, jak należy – rzucił ściszym głosem. A głośno dodał: – Smacznego, Hiibi, moja najśłodsza. Dziękujemy, książę, za serdeczne powitanie. Teraz, skoro już tak wspaniale zaopiekowaliście się moim smokiem, przekażę Bastardowi Rycerskiemu wszystko, co musi wiedzieć.

Ujął mnie pod ramię, a ja nie zaprotestowałem. Razem poszliśmy zniszczonym trawnikiem, tuż za nami podążali Strzyk i Niestrudzony. W pewnej chwili rudawy byczek zamuczał alarmująco, więc odwróciłem się i zobaczyłem, jak kilku ludzi ciągnie biedne zwierzę do smoka.

– Puścić go! – rozkazał Kennitasyn grzmiącym głosem.

Chłopcy od cielaka ledwo czmychnęli przed szarżującym smokiem. Rozpoczęła się gonitwa i walka, które zrujnowały zieleniec do reszty. Byczek miał wojowniczy charakter, a na dodatek nie pozbawiono go rogów. Zebrał się w sobie, zaatakował Hiibi. Raz, drugi i trzeci. W końcu smoczyca wzbijała się w powietrze i spadła na niego, przyszpilając do ziemi wszystkimi czterema łapami, niczym kot rzucający się na mysz. Po chwili cielece ryczenie zakończyło się strasznym wilgotnym chrupnięciem. Niestrudzony mruknął coś z niesmakiem, lecz tłum gapiów wznosił okrzyki podziwu. Generał Rapskał musiałby długo myśleć, by zaplanować lepsze wejście niż walkę byka ze smokiem na wypieszczonym królewskim trawniku. Książę triumfalnie uniósł rękę.

– Ludu mój! – krzyknął. – Nie ma powodu do obaw! Ta szkarłatna piękność przybyła w przyjaznych zamiarach!

Krótkie oświadczenie nagroził ogłuszający ryk aprobaty.

Królowa Etta, z tymi, co jej towarzyszyli, wcześniej zeszła nieco niżej na schody, tylko Prawy pozostał między filarami i gestem zaprosił nas bliżej. We dwóch z Rapskałem wspięliśmy się wobec tego po szerokich białych stopniach.

Gdy znaleźliśmy się obok władczyni, która podziwiała występ syna, usłyszałem miękki szept:

– Ma talent do podbijania serc. Zupełnie jak ojciec. To dobrze.

Ukloniliśmy się królowej z szacunkiem i poszliśmy wyżej, gdzie czekał na nas uśmiechnięty admirał. Stała tam także pani Amber w towarzystwie Skierki, obie z wyrazem niepewności na twarzy.

– O co chodzi? – spytał Prawy przyciszonym głosem, witając mnie równocześnie z wystudiowaną uprzejmością. – Cóż ma znaczyć ten chaos, książę? Nie dość, że szalony statek porywa nam księcia tam, gdzie ciebie wiedzie zemsta, to teraz jeszcze smoki na trawniku?

– Zachowajmy spokój – rzekła królowa, nie odrywając spojrzenia od syna. – Wiele wskazuje na to, że właśnie ustanawiamy stosunki dyplomatyczne z Deszczowymi Ostępami. – Rzuciła admirałowi spojrzenie z ukosa. – Książę, który obłaskawia smoki, z pewnością zasługuje na żonę z okazałym posagiem. – Zsunęła dłoń z rękojeści miecza i przywoławszy na twarz uśmiech, zwróciła się do Rapskała z nutą rozbawienia w głosie. – Witamy. Jestem królowa Etta, władczyni Wysp Pirackich. To mój sekretarz generalny, admirał Prawy.

– Nazwiska dobrze mi znane. – Skłonił się przybyły. – Ja jestem generał Rapskał ze Smoczych Kupców Kelsingry. Obawiam się, że nieszczególny ze mnie dyplomata, królowo najpiękniejsza, ale wierny posłannik smoków. – Wciąż mocno trzymał mnie za ramię, teraz poklepał po plecach. – Gdy książę Bastard Rycerski odwiedził nasze miasto, wyraził życzenie poznania losów smoków z czasu, gdy splotły się z historią sług ludzi o bladej skórze. Otrzymaliśmy te informacje od Lodognia. Książę musi dowiedzieć się, że jego zemsta może współgrać z naszą, jednak nie zdoła jej zastąpić. – Obrócił się do mnie. – Zapewniam: umiem przekazać wiadomości znacznie bardziej treściwie niż zniecierpliwiona Tintaglia.

– Co za ulga! – przyznałem.

Ku memu zaskoczeniu królowa zaśmiała się miękko.

– Bez wątpienia możesz więc, panie generale, wyłożyć mi zgrabnie i klarownie, co ma wspólnego inwazja smoków z misją tego mężczyzny, który chce ratować córkę.

– A! To jest czysty splot okoliczności – zapewnił ją Rapskał. – Mam ogromną prośbę, pani: czy mógłbym przegryźć coś i wypić parę łyków, zanim rozpocznę opowieść?

Prawy postanowił się uśmiechnąć.

– Prosimy do środka – zdecydował. – Ja dołączę za chwilę, tylko wydam rozkazy gwardii. Mało kto jest u nas obeznany ze smokami, ja natomiast mam świadomość,

iż niebaczne słowo lub czyn mogą skończyć się śmiercią.

– Przekaż mojemu synowi, żeby do nas dołączył – poleciła władczyni.

– Nie będzie chciał odejść od Hiibi – stwierdził Rapskał bez ogródek. – Widziałem, jak na nią patrzył. On jej też się spodobał, więc zostaną razem, gdy będzie jadła i potem, w czasie snu pewnie także.

Prawy pokiwał głową.

– Zapewne właśnie tak się stanie. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Mój brat, Selden, także znalazł się pod jej urokiem. Smoczyca na pewno nie skrzywdzi księcia, a poddani z przyjemnością obserwują przyjaźń syna Waszej Wysokości z potężnym gadem. – Zerknął na królową badawczo, lecz wyraz jej twarzy się nie zmienił. – Mimo wszystko przekażę mu zaproszenie – zapewnił i odszedł.

Generał Rapskał mocno ujął mnie pod łokieć, co mi się stanowczo nie spodobało, i tak podążyliśmy za królową. Nie spodobał mi się również szyk strażników, którzy zamknęli nas w kręgu, jednak trzymałem język za zębami. Jedno niebaczone słowo lub czyn może wywołać przykre konsekwencje.

We wnętrzu siedziby królewskiej było ciemniej i nieco chłodniej niż na zewnątrz. Gdziekolwiek spojrzałem, tam gobeliny i rzeźby, egzotyczne draperie oraz skarby zwiezione ze wszystkich stron świata mówiły o łupieżczej historii piratów. Królowa poprowadziła nas do salonu. Bez żadnej pompy, co samo w sobie było wymowne.

– Przynieś coś do jedzenia i picia – rozkazała jednej ze służących.

– Będę niewymownie wdzięczny! – rzucił Rapskał, po czym odwrócił się w moją stronę. – Hiibi nie nadążała za Tintaglią, chociaż bardzo się starała, a wiedzieliśmy, że tamta nie będzie na nas czekać. Śpieszymy się, nie mamy czasu do stracenia, nawet wiadomości musimy przekazać szybko.

Monarchini zajęła miejsce u szczytu bardzo długiego stołu. Krzesel wystarczyło dla nas wszystkich i jeszcze wiele zostało pustych. Pokierowałem generałem tak, by usiadł tuż przy władczyni, mając ją po prawej, sam zająłem miejsce po jego lewej, rezerwując następne krzesło dla pani Amber. Dalej siadł Strzyk, a za nim, w tym samym rzędzie, z pewnym wahaniem, przycupnęli Skierka i Niestrudzony. Wymienili znaczące spojrzenia: zasiedli przy stole pirackiej królowej!

Królowa powiodła po nas wzrokiem.

– Witajcie w moim domu – rzekła.

Przedstawicielowi Najstarszych umknęła ewidentna ironia.

– Jesteś, pani, niewymownie łaskawa – rzekł dwornie. – I o wiele piękniejsza, niż oczekiwałem! O, jest poczęstunek! Mam wióry w gardle i konam z głodu...

Gdy tylko służąca napełniła mu kielich, podniósł naczynie do ust i wypił

zawartość duszkiem. Władczyni jakiś czas przyglądała mu się uważnie. Czekałem, aż zwróci mu uwagę, napiętnuje złe maniere, lecz ona milczała. Raptem wsparła się plecami o prawy podłokietnik.

– A ty, panie, jesteś znacznie bardziej szczerzy i bezpośredni, niż można by oczekiwać po wysłanniku dyplomatycznym.

– To prawda – przyznał Najstarszy z uśmiechem i podniósł kielich do ponownego napełnienia. – Tyle że właściwie nie jestem dyplomata. Generałem, owszem, i dowódcą sił Kelsingry, gdy przebywam w mieście, jednak podczas tej wyprawy służyć swojemu smokowi... a w zasadzie całemu smoczemu rodowi. Dopilnuję, by wszystkie smoki Kelsingry usłyszały o twojej gościnności, pani!

– To miło z pańskiej strony, generale. Nie wiem tylko, czy powinnam się cieszyć, czy może raczej obawiać?

Powiodła wzrokiem po zgromadzonych przy stole, a w końcu zaśmiała się głośno. Najwyraźniej generał Rapskał budził w niej wesołość, nie strach. Prawy, który akurat wszedł, usiadł po prawej stronie władczyni.

– A mój syn? – spytała.

– Przebywa w towarzystwie czerwonego smoka – poinformował ją admirał. – Kazał przyprowadzić jeszcze trzy krowy. – Przeniósł wzrok na mnie. – Dołączył do nich wasz kruk.

– Lubi czerwoną smoczycę – wyjaśniłem.

Narastały we mnie obawy, pojawiały się różne pytania, ale przecież siedzieliśmy przy królewskim stole.

– Zatem, książę Rycerski... Mój syn płynie z wami, ratować twoją córkę. I będzie się to odbywało w towarzystwie smoków.

Chociaż królowa zwróciła się do mnie, odpowiedział generał Rapskał. Zdążył już uprzątnąć talerz do czysta i czujnie obserwował służącego z tacą pełną krojonego mięsiwa.

– Pozwól, pani, że ja wyjaśnię. Przybyliśmy tu zawiadomić księcia Bastarda Rycerskiego i panią Amber, że smoki zgadzają się i pozwalają na ich misję niesienia zemsty. Co więcej, gdy tylko wykonamy swoje zadanie, także podążymy do Clerres i zakończymy to, co oni rozpoczną. Nie zostanie kamień na kamieniu. Zrównamy z ziemią twierdzę, miasto i najbliższą okolicę. – Pociągnął długi łyk wina, najwyraźniej nieświadomy wrażeń, jakie wywarł na monarchini, a ta patrzyła na niego oczyma wielkimi, jak młyńskie koła. – Książę Bastard Rycerski nie jest jedynym, który ma rachunki do wyrównania z tymi... Sługami. Nasze krzywdy są znacznie poważniejsze! Ci ludzie w zмовie ze Szkaradami plądrowali plaże łęgowe, kradli smocze jaja, zabijali albo chwyтали w niewolę świeżo wyklute węże!

Jutro lecimy na Wyspę Innego Ludu, ochronić zakopane tam jaja, aż nadejdzie letni okres lęgowy. Tintaglia stanie na straży gniazd, a potem bezpiecznie odprowadzi węże do morza. Hiibi i ja pozabijamy Szkarady, które się tam pojawią.

– Szkarady? – spytała pani Amber cicho. Odezwała się po raz pierwszy.

– Tak je nazwaliśmy. Wylęgają się z jaj smoczy, która zbyt długo przebywała między ludźmi. I nie są to węże w pełnym znaczeniu tego słowa. Ani węże, ani ludzie, ani Najstarsi. Stworzenia groteskowe i złe. Wybijemy je wszystkie. Jeszcze niedawno tylko Lodogień znał ogrom krzywd, jakie nam wyrządziły! Wykopywały jaja z kopców lęgowych, łapały młodziutki węże zdążające do morza! Mordowały je i pożerały lub sprzedawały ich truchła Sługom Białych! Albo, co gorsza, więziły przez długie dziesięciolecia, zbierając wydzieliny ich ciał na magiczne napoje! – Łuskowate usta wykrzywił grymas obrzydzenia. – Szkarady przyjmują odchody węży! Piją je i jedzą! Twierdzą, że dzięki temu lepiej przepowiadają przyszłość i pamiętają odległą przeszłość!

Prawy odstawił kielich. Nachylił się do królowej.

– Byliśmy tam – powiedział cicho. – Na Plaży Skarbów. Te stwory...
Oswobodziłem węża...

– Pamiętam – odparła słabo.

– Kennit zabrał mnie tam kiedyś – odezwał się Prawy do Rapskale – by uzyskać dla mnie przepowiednię Innych. Sądzę, że był tam wcześniej. Z Igrotem. Obowiązywała wówczas reguła, że każdy przedmiot znaleziony na Plaży Skarbów należało zanieść Innym, a oni w zamian przepowiadali przyszłość. Ja jednak nie znalazłem żadnego skarbu. Natknąłem się natomiast na ogromnego węża, trzymanego w niewoli w zamkniętej kratą sadzawce. Przypływ napełniał ją wodą, więc przynajmniej tego mu nie brakowało, lecz nieszczęsne stworzenie, żyjące w ograniczonej przestrzeni, było skarłałe i zdeformowane. Przemówiło do mnie... Udało mi się je uwolnić, choć to nie było łatwe. Omal przy tym nie utonąłem, a przelotny dotyk gada pozbawił mnie w jednym miejscu skóry.

– Przypominam sobie – odezwała się królowa. – Sorkor mówił o poprzedniej wizycie Kennita w tamtym miejscu. – Leciutki uśmiech dotknął jej warg. – Zniszczył to, co znalazł, zamiast oddać mieszkańcom wyspy.

– Właśnie taki był Kennit – przytaknął Prawy.

Nie wiedziałem, czy powiedział to z sympatią, czy z lękiem w głosie. Na jakiś czas zapadła cisza.

– Bohater! – Generał Rapskał walnął pięścią w stół. Wszyscy podskoczyliśmy. – Podzielę się tą opowieścią z Hiibi i wszystkimi smokami! – W oczach zabłysły mu łzy. Umilkł, zapatrzył się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem.

Admirał i królowa wymienili spojrzenia. Inni patrzyli na generała zdziwieni jego bezruchem. Czy tylko ja wyczuwałem przepływ nowin między nim a smoczą?

Po chwili od strony doków dobiegł nas ryk Tintaglii.

Generał zerwał się na równe nogi, gwałtownie pościągał z palców pierścienie i pchnął kosztowności w stronę Prawego.

– To drobny upominek, ozdoby Najstarszych – stwierdził ze łzami w oczach. – Zaledwie ślad uznania za oswobodzenie węża z niewoli Szkarad. Wdzięczność smoków jest zjawiskiem niebywałym, a ty, panie admirale, możesz się nią cieszyć. Najstarsi także są ci niewymownie zobowiązani. – Popatrzył na królową. – Hiibi mówi mi, że posłałaś, pani, swojego syna na wyprawę z księciem Bastardem Rycerskim, by razem dokonali zemsty. Hiibi jest z tego zadowolona. Obdarzyła go swoimi najszczerzszymi względami. Przyrzeka odnaleźć go, gdy dotrze do Clerres! – Podniósł kielich. – Będzie ich raził usadowiony na jej grzbiecie!

Zapadła cisza. Przerwała ją pani Amber.

– Smoki polecą do Clerres. Dokonać zemsty.

Co usłyszałem w jej głosie: nadzieję czy strach?

Generał odstawił kielich i pokręcił głową.

– Jak mówiłem, pani, najpierw musimy zapewnić ochronę świeżemu łęgowi. To najważniejsze. Po zakończeniu sezonu jeszcze upewnimy się, że żadna Szkarada nie została przy życiu, i wtedy wybierzemy się do Clerres.

– Gdy rozmawialiśmy ostatnio, sądziliśmy, iż moja córka nie żyje – powiedziałem. – Teraz mamy podstawy wierzyć, że jednak przetrwała. I jest więziona w Clerres.

– Jeśli będzie w mieście podczas ataku smoków – włączyła się pani Amber – może ucierpieć. Albo stracić życie.

– To drugie jest bardziej prawdopodobne – potwierdził Rapskał. – Jeżeli wziąć pod uwagę wydarzenia z Krainy Miedzi, tego należy się spodziewać. Tam nie został kamień na kamieniu, a jadowity oddech smoków dosięgnął ludzi i zwierzęta deszczem żrącego kwasu. – Kiwnął głową z zadowoleniem. – Nie przypuszczam, by w tamtejszym książęcym pałacu ktokolwiek przeżył. – Powiódł wzrokiem po naszych twarzach zastygłych w przerażeniu. – Rozumiem wasze obawy – dodał. – Możecie mi wierzyć.

– Czy porozmawiasz z Tintaglią i Hiibi? Poprosisz je, by nam pomogły? – W głosie pani Amber pobrzmiwała nieśmiała nadzieja. – Albo przynajmniej zaczekały, aż zrobimy swoje, nim zmienią miasto w ruinę?

Generał spuścił wzrok na swoje czerwone paznokcie. Czekaliśmy w milczeniu.

– Przekażę im wasze słowa – odezwał się w końcu cicho. – Ale... – Spojrzał mi w oczy. – Obiecać niczego nie mogę, z tego na pewno zdajecie sobie sprawę. Smoki

są... Nie liczą się z ludźmi...

– Sprawy ludzkie nie są dla nich istotne – powiedziałem.

– Właśnie. Przykro mi. – Jakiś czas w milczeniu bawił się widelcem. – Powinniście się śpieszyć. Uratować dziecko, nim zaatakują miasto. Naprawdę mi przykro.

Nie wiedziałem, czy mówił szczerze. Przecież do pewnego stopnia sam był smokiem. Nie pojmowałam, jak istotne może być jedno dziecko.

Przekrzywił głowę, jakby czegoś słuchał z uwagą.

– Hiibi jest nasycona. Zadbaliście o jej potrzeby. Dziękuję. – Jego twarz znów przybrała zamyślony wyraz, po chwili się uśmiechnął. – Tintaglia również jest zadowolona. Teraz będą spały. Długi lot obu im dał się we znaki, Hiibi jest prawie całkiem wyczerpana. – Przeniósł spojrzenie na mnie, uniósł jedną łuskowatą brew, jakby chciał przypomnieć mi o wspólnym sekrecie. – Na szczęście mam w siodle zapas... środka wzmacniającego. Jutro go dostanie. Dziś jednak już do końca dnia i przez całą noc musi spać. Mnie także przyda się sen. – Z uśmiechem odwrócił się do admirała i królowej. – Czy można przygotować dla mnie kąpiel i sypialnię? Szczerze mówiąc, jestem potwornie zmęczony i obolały. Na dodatek w czasie podróży wysoko nad ziemią strasznie się marznie. Drzemałem trochę w siodle, jednak trudno to nazwać prawdziwym odpoczynkiem.

Królowa Etta zmrużyła oczy. Rzecz jasna, nie przywykła, by się do niej zwracano niemal jak do pokojówki. Sądziłem, że chwyci za miecz, lecz Prawy pierwszy zerwał się z miejsca. Wiedział, kiedy u jego władczyni wyczerpuje się tolerancja.

– Jeśli zechcesz pójść ze mną, generale, z przyjemnością oddam ci do dyspozycji własną komnatę. To z pewnością najszybsza metoda na zapewnienie ci odpowiednich warunków. Panowie, panie, zechciejcie nam wybaczyć.

Gdy tylko wyszli, królowa wstała gwałtownie.

– Jeżeli macie dotrzeć do Clerres przed smokami i zyskać szansę uratowania dziecka, musicie ruszać jak najszybciej.

– To prawda.

Starąłem się, by mój głos brzmiał spokojnie, lecz wciąż miałem ogromny kłopot z zaakceptowaniem fatalizmu wyraźnie przebijającego ze słów generała. Oto sojusz, którego tak gorąco pragnąłem, okazał się kolejnym zagrożeniem.

– I zabierasz mojego syna w podróż znacznie bardziej niebezpieczną, niż sądziłam.

– Zapewne.

– Niedaleko pada jabłko od jabłoni... – Wolno pokiwała głową. – Cała ta awantura ze smokami, z ich zemstą... On nie zmieni zdania, tylko utwierdzi się w swojej decyzji. – Przyjrzała mi się z namysłem. – Cóż, księżę – rzekła po chwili – dawno

nikt nie sprowadził na Łupigród większego zamieszania i bardziej podniecającej katastrofy.

Usłyszałem stukanie butów i do komnaty wszedł Kennitasyn. W oczach miał blask, jakiego wcześniej nie widziałem.

– Matko. Przyszedłem oznajmić, że jestem zdecydowany wyruszyć jutro, z pierwszym odpływem. Im wcześniej dotrzemy do Clerres, tym prędzej wyrzemy zemstę, która i tak czekała zbyt długo.

Omiótł nas wzrokiem, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Królowa długi czas patrzyła za synem.

– Całkiem jak ojciec – zwróciła się do mnie. – Miałam nadzieję odwlec waszą podróż. W tej sytuacji wydam rozkazy, by statek został zaopatrzony jak należy najpóźniej do zmroku. – Odchodząc od stołu, dodała lodowatym tonem: – Zgubiłeś, książę, własne dziecko. Nie zgub mojego.

Rozdział 21

Pod żaglami

Po raz pierwszy góra zapłonęła latem. Jedni twierdzili, że to na skutek odległego trzęsienia ziemi. Zdaniem innych to ona, przebudzona, wywołała trzęsienie.

Nie był to pierwszy raz, gdy ziemia zadrżała nam pod stopami. Takie drgania występowały zawsze. Właśnie dlatego mamy zwyczaj wznosić budynki z kamienia bogatego w srebrne żyłki, który można czarami nakłonić do tego, by stał niezmiennie i pamiętał swoją rolę w świecie. Tymczasem w trakcie tego szczególnego trzęsienia, choć większość budynków spełniła swoją rolę, to jednak w ziemi otworzyła się szczelina, od rzeki po Dzielnicę Majstrów. Wkrótce wypełniła się wodą i musieliśmy ją uznać za część miasta.

Z nieba spadł deszcz, który przyniósł ze sobą nie tylko wodę, ale i brudny czarny piasek. Osiadł na ulicach. Ludzie oraz trzy smoki dostali od niego kaszlu. Czarne chmury zebrały się nad Kelsingrą i przez dwa tygodnie dni były ciemne jak noce. Ptaki spadały na ziemię, a na brzegach rzeki leżały martwe ryby.

A szczyt Sisefalk przez cały ten czas błyszczał w oddali niczym kocioł pełen stopionego żelaza.

Kość pamięci nr 941 znaleziona w korytarzu w Aslevjalu, spisana przez
Ciernia Spadającą Gwiazdę

Następnego dnia o świcie smoki odleciały.

Królowa Etta dotrzymała słowa. Przez całą noc nie zmrużyliśmy oka, ładując zapasy i przygotowując się na pierwszy odpływ. Nie przypuszczam, by smoki kogokolwiek ostrzegły albo się pożegnały. Ot, uniosły się z ziemi, a nasza kruczycyca jakiś czas krążyła pod nimi, wyraźnie nieszczęśliwa, podczas gdy one wzbijały się leniwymi kręgami nad Łupigrodem wyżej i wyżej, nim w końcu odleciały na południowy wschód. Opuściwszy wzrok, zobaczyłem „Werwę” pod pełnymi żaglami. Pokazałem ją Zuchwalcowi, który akurat mnie mijał.

– Wczoraj wieści dotarły późną nocą. „Werwa” postanowiła płynąć ze smokami

na Wyspę Innego Ludu, chce wiedzieć, co tam zaszło. Potem zamierza wyprawić się do Clerres.

Odprowadziłem wzrokiem żywostatek. Co oznaczały te zmiany dla mojej misji? Zuchwalec klepnął mnie w plecy.

– Beczułki z piwem nie zejdą pod pokład same.

Prawda. Ruszyłem do podnośnika, gdzie Świstak już pracował w pocie czoła.

Wkrótce zjawił się syn monarchini. Wiosłował Sorkor, jak na swój wiek spisywał się wyśmienicie. Pośrodku łódki tkwiły dwa zdobione kufry oraz płócienny worek. Na jednym z kufrow siedziała wystrojona dziewczuszka, Kennitasyn stał na dziobie. Pióra w jego kapeluszu kłaniały się poruszone wiatrem.

Świstak natychmiast ruszył do kajuty kapitańskiej. Chwilę później na pokładzie zjawili się Althea i Zuchwalec. Pani kapitan miała zaciśnięte usta, a oczy zmrużone jak rozeźlona kocica. Zuchwalec tymczasem wydawał się zupełnie spokojny i opanowany.

Książę wspiał się po drabince jako pierwszy, tuż za nim dziewczuszka, Sorkor – ostatni. Dwóch marynarzy z „Niezrówanego” przeszło przez burtę, by wciągnąć na pokład bagaże.

Kennitasyn bez słowa wodził wzrokiem dookoła.

– No i tak – odezwał się Sorkor. – Jesteśmy.

– Niezrównany Szczęsny! – zagrzmał statek. – Do mnie, młody człowieku!

Kennitasyn ruszył natychmiast, nie zaszczyciwszy kapitańskiej pary nawet jednym spojrzeniem. Zerknął przez ramię tylko na służkę.

– Barła! Zajmij się moimi rzeczami! Poukładaj wszystko, jak lubię. Aby żywo!

Sorkor powiódł wzrokiem za swoim podopiecznym. Na policzkach dawnego pirata wykwitł rumieniec.

– Chciałbym popłynąć z wami – odezwał się cicho, nie patrząc ani na Altheę, ani na Zuchwalca.

– Wystarczy kapitanów na tym statku – odparł dowódca, próbując osłodzić odmowę żartem. – Gdybyś z nami popłynął, nie tylko Kennitasyn, ale każdy marynarz z wyspy czekałby na twoje potwierdzenie, zanim wykonałby rozkaz mój czy Althei.

– Racja – przyznał Sorkor.

Pierwszy ciężki kufer został podniesiony z łódki i przesunięty nad pokład. Sorkor sapnął.

– Chcecie mieć wolną rękę – stwierdził. – Żebym się nie wtrącał, jeśli uznam, że przesadzacie.

– Racja – przyznał tym razem Zuchwalec. – Nie widzę w nim mężczyzny, a co

dopiero księcia. Statek chce go mieć na pokładzie. Wy chcecie, żeby liznął naszego fachu. – Zaśmiał się niewesoło. – Ja tęsknię za odrobiną spokoju. A to będzie możliwe tylko wówczas, gdy będę go traktował jak każdego innego marynarza.

– Tak właśnie mówiłem wczoraj wieczorem, jak mu matka wiązała kameę na szyi. Ale chyba nie usłyszał ani słowa. – Pomyślał jeszcze chwilę, po czym skapitulował. – No nic, to oddaję go w wasze ręce. – Stary pirat zamilkł na moment, po czym obrócił się do Barli. – Te dwa kufry niech zabiorą z powrotem – polecił cicho. – Tyle co w worku wystarczy na statku. – W końcu wyprostował się i odetchnął. – Kennitasyn i Trellvestrit nie wadzili sobie, gdy „Werwa” stała w porcie. Prawy dbał, żeby często byli razem. Chciał, żeby wasz chłopak złapał bakcyła polityki i nabrał trochę ogłady. Proszę o wybaczenie, to słowa Prawego, nie moje.

– Żeby nabrał ogłady... – Zuchwalec się skrzywił. – Moim zdaniem Basałyk nabrał już kupieckiej ogłady. Ale nic nie szkodzi. Ogłady nigdy za wiele.

– Dobrze by było, jakbyście pozwolili, żeby wasz chłopak trzymał się blisko księcia. Nauczy go żyć po waszemu tak samo, jak sam u nas się uczył. A tu przecież huk roboty. Na pokładzie i pod pokładem... Wiem, że księżę nie od razu się dostosuje... Nigdy nie mieszkał na statku. Nigdy nie był... – Pokręcił wielką głową. – Moja wina – dorzucił ochryple.

– Pomogę mu – obiecał kapitan cicho. – Będzie musiał trochę się ugiąć, ale nikt go nie złamie. Przede wszystkim musi słuchać rozkazów. – Odchrząknął i spojrzał na Sorkora przepraszająco. – Weź się w garść i udawaj, że cię tu nie ma. – Nabrał powietrza w płuca. – Kennitasynie! – ryknął. – Twoje graty są na pokładzie! Chodź i je zabierz! Basałyku! Pokaż mu, gdzie jego hamak, i pomóż mu się urządzić!

Basałyk zjawił się truchtem, z szerokim uśmiechem na twarzy, który jednak przyblakł nieco na widok kufra spuszczanego właśnie za burtę. Barla w odpowiedzi na jego nieme pytanie tylko wzruszyła ramionami. Chwilę później zjawiła się przy relingu jedna z zaokrętowanych kobiet, z workiem księcia na ramieniu. Położyła bagaż na deskach. Księżę zbliżył się spokojnym krokiem. Nie zwlekał, ale też się nie śpieszył. Ściągnąwszy brwi, popatrzył na Zuchwalca.

– Jaki znowu hamak? – spytał z uśmiechem sugerującym, że kapitan nie wie, co mówi.

– Obok mojego! – wtrącił się Basałyk. – Bierz worek i śmigamy pod pokład.

Nie miałem pewności, czy Kennitasyn usłyszał ostrzegawczą nutę w głosie przyjaciela.

– Dokąd śmigamy? – spytał, unosząc brwi aż po linię włosów.

Przeskoczył spojrzeniem na Sorkora. Czekał na jego kwestię.

Zuchwalec wolno założył ręce na piersi.

– Pomyślnych wiatrów, kapitanie – rzekł stary pirat. Z ociąganiem, lecz ulegle. – Niech morze wam sprzyja.

– Jedno i drugie wątpliwe o tej porze roku w drodze na południowy wschód, ale dziękuję. Przekaż królowej nasze wyrazy szacunku. Jesteśmy jej wdzięczni za zaopatrzenie i pomoc w rekompensacie dla naszych partnerów handlowych.

– Będzie o tym wiedziała. – Sorkor zwlekał, jak mógł.

Na twarzy Kennitasyna niedowierzanie walczyło o lepsze z oburzeniem. Basałyk sam chwycił worek marynarski.

– Gdzie moje kufry? – zapytał księżę. – Gdzie moja służka?

– Trellvestrit ma w rękach twój bagaż, księżę. Sam ten worek spakowałem. Jest w nim wszystko, czego trzeba na statku. – Sorkor odwrócił się powoli i ruszył ku burcie, za którą czekała łódka.

Nad krawędzią burty pojawiła się główka Barli, ale pirat gestem nakazał jej powrót do łodzi. Dziewczynka, choć zdziwiona, usłuchała od razu. Sorkor stanął okrakiem nad relingiem.

– Przez wzgląd na pamięć swojego ojca wydorósłej, księżę, i bądź mężczyzną – powiedział.

Kennitasyn poczerwieniał jak burak.

– Jestem mężczyzną! – huknął za Sorkorem.

– Basałyku – odezwał się Zuchwalec głosem bez wyrazu – zostaw ten worek. – Gdy syn wypełnił polecenie, zwrócił się do pirackiego księcia. – Dasz sobie radę z własnym bagażem, żeglarzu? W razie kłopotów pomoże ci księżę Bastard Rycerski – dodał bez emocji. Ot, kapitan sprawdzający możliwości nowego członka załogi.

Obserwowałem tę scenę, jakbym oglądał przedstawienie kukielkowe: z niewielkiej odległości, swobodnie wsparty o reling. Słyszac sugestię kapitana, wyprostowałem się i postąpiłem naprzód, gotów natychmiast pomóc księciu z bagażem. Trochę mnie zdziwiło polecenie Zuchwalca, worek nie był duży, nie wydawał się ciężki i chyba każdy dałby sobie z nim radę. Mimo wszystko przecież obiecałem, że pomogę na statku – i zamierzałem słowa dotrzymać.

– Z drogi! – krzyknął Kennitasyn. – Sam podołam!

Kapitan Trell lekko poruszył głową, a ja natychmiast się odsunąłem. Kennitasyn miał stanowczo dość siły, by zanieść swój skromny bagaż pod pokład, i zrobił to, choć nabzdyczony jak rozpieszczone książątko. Napomniałem siebie w myślach, że to nie mój problem, i poszedłem do kajuty pani Amber.

Zastałem tam Błazna siedzącego ze skrzyżowanymi nogami na niższej koi. Na nich miał otwarty brulion z zapiskami Pszczoły.

– A już zacząłem się zastanawiać, czy nie zmieniłeś zdania i nie popłynąłeś z innymi do Łupigrodu.

– Podziwiać widoki? – Wskazał swoje ślepe oczy.

Usiadłem przy nim, schylając głowę, by nie uderzyć się o wyższą koję.

– Miałem nadzieję, że odzyskujesz wzrok. Czytasz zapiski Pszczoły?

– Dotykam brulionu z jej zapiskami – skorygował.

Westchnął i mi go podał. Z konsternacją stwierdziłem, że to pamiętnik, a nie dziennik snów. Otwarty na stronie, której mu nie czytałem. Czy on o tym wiedział? Powoli zamknąłem kajet, starannie owinąłem w koszulę, tę co zwykle. Wsunąłem do plecaka. Obawiałem się, żeby Błazen nie natrafił na smocze srebro.

– Trzeba się ostrożnie obchodzić z moim bagażem. Jest w nim ognista cegła od króla Reyna. Musi być zawsze ułożona w odpowiednią stronę. – Wsunąłem całość pod koję. – Kennitasyn jest na pokładzie – powiedziałem. – Będziemy ruszać z najbliższym odpływem.

– Nasi już wrócili? Wszyscy troje?

– Na pewno się nie spóźnią. Strzyk wysyła ptaki z listami. Niestrudzony jest z nim, bo chce pchnąć wiadomość do matki, Skierka też, ma informacje dla Ciernia.

– Czyli dziś wreszcie ruszamy. – Z drzeniem wypuścił powietrze. – Ale jeszcze długa droga przed nami, a każda mijająca chwila to kolejna, gdy Pszczoła jest w rękach wroga. I w każdej chwili może stracić życie.

Zacęła mnie ogarniać panika. Zdusiłem ją, postanowiłem jej nie czuć. Opancerzyłem przed nią serce, zaprosiłem do siebie nadzieję. I spróbowałem obdzielić przyjaciela wrażeniem bezpieczeństwa.

– Błaznie, mimo tego, w co wierzysz, mimo twoich snów... Jeżeli uznam, że zdążamy na ratunek Pszczole, a nie zabijać wroga... Stracę grunt pod nogami. A już tylko to mi pozostało.

– Bastardzie! – zawołał Błazen z trwogą. – Ona żyje! Jestem tego pewien! Och, jak żałuję, że nie mogę ci pokazać swoich snów...!

– Śniłeś o niej więcej niż raz? – spytałem z ociąganiem.

Czy zniosę kolejne dowody oparte na gorących pragnieniach?

– Tak – przyznał. – Chociaż pewnie tylko ja mogę je tłumaczyć w odpowiedni sposób. Nie tyle obrazy, ile poczucie, jakie mnie ogarnia, daje mi pewność, że dotyczą Pszczoły. – Urwał, zamyślił się. – A może udałoby mi się dzielić z tobą sny? Gdybyś dotknął mnie... nie z myślą o uzdrawianiu, lecz o dzieleniu myśli?

– Nie zaryzykuję. – Postarałem się ubrać odmowę w łagodny ton. – Zawsze, gdy dochodzi między nami do połączenia Mocą, efekty nie mają nic wspólnego z moimi zamiarami. Zaczyna się dziać coś nieuniknionego. Jakby zagarniał nas

wartki nurt.

– Nurt rzeki Mocy? Strumień magii?

– Nie, to zupełnie inne wrażenie.

– Co to jest w takim razie?

Westchnąłem.

– Jak mam ci wytłumaczyć coś, czego sam nie rozumiem?

– Hm... A gdy ja to mówię, wówczas się na mnie złościsz.

Czas wrócić do właściwego tematu.

– Powiedziałeś, że śniłeś o niej częściej.

– To prawda.

Odpowiedź krótka, niezdradzająca sekretu.

– Jakie to sny? – naciskałem. – Co Pszczoła w nich robi?

– Doskonale wiesz, że moje sny nie są jak okna, przez które można zajrzeć do czyjegoś życia. To raczej sugestie, podpowiedzi. Widzisz, ten sen jest stary, śniony często i przez wielu. Ma wiele znaczeń, jednak moim zdaniem dotyczy nas i przez nas się spełnia. Pszczoła śni go bardzo wyraźnie i wyjątkowo klarownie, mówi o nas, o Wilku i Błaźnie. Jeszcze nigdy nie spotkałem się z tak jednoznacznym objaśnieniem.

– Jak to możliwe, żeby wiele osób śniło ten sam sen? – Odsunąłem na bok te słowa, które mieszały mi w głowie, a mój głos zabrzmiał niczym ostrzegawczy warkot z głębi wilczej gardzieli.

Błazen otworzył szerzej oczy.

– Możliwe i już. Liczba śniących ten sam sen jest dla Sług wyznacznikiem jego wartości. A ten zdarza się dość często wśród śniących z ludu Białych. Oczywiście za każdym razem niesie odrobinę zmienioną treść. Ja widziałem rozwidlenie ścieżki. Wzdłuż jednej odnogi stoją cztery świece. Na końcu znajduje się kamienna chatka z niewysokimi drzwiami, bez okien. Tam zostawia się zmarłych. Przy drugiej są trzy świece. Prowadzi do miejsca, gdzie płonie ogień i ludzie krzyczą. – Niepewnie zaczerpnął tchu. – Ja stoję i patrzę. Wtedy z ciemności wylatuje pszczoła i, bzyząc, krąży mi nad głową.

– I dlatego sądzisz, że to sen o mojej córce?

– Nie tylko dlatego, że we śnie pojawia się pszczoła. Najważniejsze jest wrażenie, jakie ten sen ze sobą niesie. No i nie jest jedyny.

– Co one oznaczają? – spytałem, choć podejrzewałem, że nie są bardziej istotne od moich.

Wtedy, gdy przywróciłem go do życia, wyznał, że nie widzi nowej, stworzonej przez nas przyszłości. Czy teraz umysł płatał mu figle, zsyłając obrazy, których

urzeczywistnienia pragnął całym sercem?

– Mógłbym powiedzieć: na pewno nie chcesz tego wiedzieć – rzekł – ale to byłoby kłamstwo. Prawda wygląda inaczej. To ja nie chcę ci tego wyjaśniać. – I zaraz dodał szybko, zanim się odezwał: – Wiem, muszę!

Odchrząknął, po czym, przysięgam, spuścił wzrok na ręce. Potarł je, jakby przypomniał sobie o bólu. Na obnażonej dłoni dostrzegłem świeżo odrośnięte paznokcie. Jeszcze nie wszystkie zajęły całe należne im miejsce. Odwróciłem spojrzenie. Nie potrafiłem znieść widoku dowodu na to, ile przecierpiał. Ciało może wyzdrowieć, lecz rany, zostawione przez tortury w umyśle, będą się jątrzyły już zawsze. Ująłem jego dłoń.

– Mów.

– Nie jest dobrze traktowana.

Żadna niespodzianka. Jeżeli Pszczoła nadal żyła, należało zakładać, iż porywacze nie obchodzili się z nią jak z jajkiem. Mimo wszystko wypowiedziane głośno słowa, potwierdzające najgorsze domysły, były podobne do potężnego ciosu pięścią w brzuch. Straciłem dech.

– Co się z nią dzieje?

– Nie wiem – szepnął ochryple. – Śnił mi się wilczy szczeniak liżący rany. Innym razem skulony dygotał na mrozie. Widziałem we śnie smukłe białe drzewo o delikatnych gałązkach żałośnie powykręcanych, odarte z kwiatów.

Nie mogłem oddychać. Błazen cicho jęknął z bólu, a wówczas uświadomiłem sobie, że miażdżę mu palce. Rozluźniłem uścisk, nabrał powietrza.

– Kiedy indziej śniła mi się dłoń trzymająca zagasłą pochodnię. Dziwny był ten sen. Pochodnia upadła na ziemię, ktoś zmiażdżył ją stopą. Usłyszałem głos: „Lepiej błądzić w ciemnościach niż podążać za fałszywą światłością”... Najdziwniejsze, że ona wcale się nie paliła, nie było powodu jej zdeptywać. Scena rozgrywała się w ciemnościach. Dopiero zgnieciona zapłonęła jasnym ogniem.

– Skąd wiesz, że to sen o Pszczole?

Wydał mi się speszony.

– Pewności nie mam, ale to jednak możliwe. Ten sen... krzepi. Jakby zwiastował coś dobrego. Zależało mi, żebyś o nim wiedział.

Rozległo się szybkie pukanie i niemal natychmiast Skierka otworzyła drzwi.

– Oj! – zawołała na widok naszych połączonych rąk.

Wypuściłem dłoń Błazna.

Dziewczyna opanowała się w mgnieniu oka.

– Kapitan Trell woła wszystkie ręce na pokład. Czas podnosić kotwicę. Ruszamy. Świstak mnie przysłał. Pana Strzyka i Niestrudzonego pogonił do roboty od razu,

jak tylko weszli na statek.

Z ulgą porzuciłem dyskusję o mrocznych snach, lecz i tak słowa Błazna prześladowały mnie przez calutki dzień. Wdzięczny byłem losowi za chwilę, gdy musiałem skupiać się na żeglarskich zadaniach, uczyć o linach i węzłach albo regułach żeglowania, bo wtedy na krótki czas przestawały mnie dręczyć obawy o los córki. A przy tym, tak czy inaczej, byłem rozdarty na dwoje. Albo Pszczoła straciła życie, porozrywana w strumieniu Mocy, albo przetrwała i cierpiała męki.

Pracowałem bez wytchnienia, aż do krańcowego wyczerpania, a potem zszedłem pod pokład, na hamak wśród załogi, gdzie rozmowy, śmiechy i przekleństwa nie pozwalały mi śnić.



Następnego dnia po wypłynięciu z Łupigrodu Niestrudzony zagadnął mnie wyraźnie przybity.

– Nie widziałeś, panie, Jaskrawej?

Dopiero gdy spytał, zdałem sobie sprawę, że jej nie ma.

– Już od jakiegoś czasu – przyznałem. Po czym dodałem: – Kruki są ptakami lądowymi. W Łupigrodzie łatwo jej zdobyć pożywienie. W przeciwieństwie do tego, co na morzu. Wiem, że dzieliłeś się z nią swoimi racjami, ale może teraz woli radzić sobie sama.

– Na razie jest bezpieczna, bo niedawno uczerniłem jej skrzydła, ale co będzie, kiedy farbka zejdzie?

– Trudno powiedzieć – mruknąłem niechętnie.

Dzika z niej była istota i z pewnością taką miała pozostać. Swego czasu dała mi jasno do zrozumienia, że nie życzy sobie więzi Rozumieniem. Przecież nawet usiłowałem puścić ją wolno.

Niemniej jednak poczułem niekłamaną ulgę, gdy następnego dnia dobiegło nas odległe krakanie. Tkwiliśmy z Niestrudzonym wysoko nad pokładem, wsparci na rei, ze stopami na dolnym liku. Z początku dojrzelismy tylko czarną kropkę na niebie. Rosła w oczach, bo ptaszysko szybko machało skrzydłami. W końcu Jaskrawa zakrakała tuż nad naszymi głowami i ciężko siadła Niestrudzonemu na ramieniu.

– Zmęczona – wychrypiała. – Bardzo zmęczona.

Kilkoma drobnymi kroczkami przesunęła się wyżej i umościła chłopakowi pod brodą.

– Przysięgam, wydaje mi się, że ona doskonale wie, co mówi – zauważył Niestrudzony.

– Doskonale wie – powtórzyła kruczycyca i łypnęła na mnie błyszczącym ślepiem.

Przyglądałem się jej, nie wierząc własnym oczom: czubek dzioba miała powleczone srebrem.

– Chłopcze – odezwałem się – odwróć od niej twarz. Ma na dziobie smocze srebro.

Chłopak zeszywniał.

– Ja wcale nie czuję magii – odezwał się drżącym głosem. – Może smocze srebro też na mnie nie działa.

– Nie wiadomo. Odsuń ją od gardła.

Wystarczyło, że uniósł nadgarstek, a ptak podreptał mu na przedramię.

– Co się z tobą działo? – spytał chłopak. – Skąd masz smocze srebro na dziobie, śliczności ty moje? Dobrze się czujesz? Nic ci nie dolega?

W odpowiedzi ptak obrócił łebek i przeczesał dziobem pióra. Wcale nie nabrały srebrnej barwy. Zalśniły głęboką czernią.

– Hiibi – zakrakała Jaskrawa. – Hiibi dała. Hiibi nauczyła.

– Ach! Ów... środek wzmacniający, o którym generał Rapskał wspomniał w Łupigrodzie. Powinienem był się domyślić. I jeszcze jedno: wyglądało na to, że w towarzystwie smoków kruczycyca podszkoliła się w ludzkiej mowie.

– Uważaj, co robisz z dziobem – przestrzegłem ją.

Łypnęła na mnie spod oka.

– Uważam. Bastard niemądry. Bardzo zmęczona. Zanieś mnie do „Niezrówanego”. – Znow drobny kroczkami wspięła się po rękawie na ramię chłopaka, obrzuciła mnie złowrogim spojrzeniem i zamknęła ślepią.

W tej chwili kapitan Trell krzyknął na nas z dołu, żebyśmy skończyli bawić się w mewy-nieroby. Trud zignorował polecenie.

– Mam ją zanieść do galionu?

– Wątpię, żebyś mógł zapobiec temu spotkaniu. Ale, co najważniejsze, niezależnie od tego, jak bardzo ona będzie uważała na swój posrebrzony dziób, ty masz uważać jeszcze bardziej. I ostrzeż innych.

Kapitan zawołał po raz drugi, wtedy chłopak zaczął pośpiesznie zsuwać się po takielunku, krzycząc głośno, że wróciła Jaskrawa. W tym czasie biegiem wypadła na pokład Skierka. A ja ruszyłem w dół spokojnie i uważnie.

Na dole znalazłem się obok Kennitasyna.

– Naprawdę jesteś księciem? – zapytał.

Zawahałem się. Czy jestem bękartem, czy księciem? Król Sumienny nie miał

wątpliwości.

– Jestem księciem – rzekłem bez pośpiechu – ale z nieprawego łoża, więc nie pretenduję do tronu.

Zbył moje uściślenie wzruszeniem ramion.

– A ten chłopak, ten Niestrudzony, to twój stajenny?

– Tak.

– Pracujecie razem, jednakowo, on w niczym ci nie pomaga.

– Przypuszczam, że pomaga, tylko robi to dyskretnie. Darzy mnie szacunkiem, chociaż pewnie to nie rzuca się w oczy.

– Mhm...

Było to mruknięcie wyrażające głęboki namysł, nie wzgardę. Wystarczyły dwa dni w roli marynarza, by młody książę zaczął się zmieniać. Miał dość rozumu, by pojąć, iż mieszkając ze zwykłymi żeglarzami, takimi jak Mrówka, czy Niestrudzony, lepiej spuścić z tonu. Zrezygnował z książęcych fatałaszków, przebrał się w strój, jaki nosiliśmy wszyscy: luźne płócienne spodnie i koszulę. Po krótkiej wymianie zdań z Mrówką, która wyjaśniła mu, że jeśli pukiel włosów dostanie się w rozpędzoną linę, będzie wyrwany, może nawet ze skórą, zaplótł warkocz. Zabezpieczył wnętrza dłoni skórzanymi ochroniaczami. Podejrzewałem, że dorobił się krwistych pęcherzy. Konopne liny są szorstkie.

Nie miał do mnie więcej pytań, więc poszedłem czekać na rozkazy.

Dziesiątki lat minęły od czasu, gdy ostatni raz byłem członkiem załogi na statku, a na takim jak „Niezrównany” nie płynąłem nigdy wcześniej. Ponadto statek żywy był aktywnym uczestnikiem wyprawy, a nie biernym narzędziem. Owszem, nie potrafił sam stawiać ani zwijać żagli, lecz mógł podawać sternikowi najwłaściwszy kurs, umiał wyszukać najszybsze prądy i przestrzec nas zawczasu, jeśli na przykład któraś z lin wymagała poprawienia. Miał doskonałe wyczucie głębokości i kanałów, co zaprezentował swojej załodze z dumą, wypływając z przystani w Łupigrodzie, a potem, raz jeszcze, gdy ostrożnie manewrowaliśmy na niebezpiecznych wodach między Wyspami Pirackimi, by w końcu wyjść na otwarte morze. Tam dopiero pokazał, co potrafi, i puścił się naprzód w zawrotnym tempie, tnąc wysokie fale, aż nasza okrojona załoga ledwo nadążała z niezbędnymi czynnościami.

Nie byłem osamotniony w swoim zafascynowaniu funkcjonowaniem żywostatku. Marynarze, którzy dołączyli do nas w Łupigrodzie, także nie kryli zachwyty. Nie minęło wiele czasu, a nawigatorka zwróciła się z uprzejmą prośbą o pozwolenie na przedyskutowanie swoich map z galionem, by nanieść poprawki uwzględniające jego wiedzę. „Niezrównany” zachowywał się uprzejmie, a nawet miło, zwłaszcza że miał na pokładzie i Basałyka, i Kennitasyna.

Muszę jednak przyznać, iż moja przemiana z pasażera w żeglarza nie przebiegła gładko. Zawsze byłem, w skrytości ducha, dumny z tego, że mimo szóstego krzyżyka na karku w dalszym ciągu jestem sprawnym i silnym mężczyzną. Dobrą kondycję zawdzięczałem w dużym stopniu dawnemu leczeniu Mocą, która nadal krążyła w moim ciele i nieustannie dokonywała w nim niezbędnych poprawek. Tymczasem zdrowie i wytrzymałość to nie to samo. Dlatego pierwsze dni podróży okazały się dla mnie długie i męczące. Zgrubienia na dłoniach powstałe od miecza lub topora to zupełnie co innego niż szorstkość dłoni, jaką ręce żeglarza zyskują w nagrodę od lin konopnych. W ciągu dalszej podróży dotkliwie odczuwałem skutki innego rodzaju wyteżonej pracy: bolały mnie nogi, plecy, ramiona. Za to powoli zyskiwałem siłę we wszystkich zapomnianych mięśniach... i płaski brzuch. Niestety, w zasadzie stale chodziłem obolały, ponieważ moje ciało bez przerwy się leczyło, a proces uzdrawiania bywa równie bolesny jak obrażenia.

Mimo uzupełnienia załogi w Łupigrodzie wciąż było nas mało, a na dodatek tylko mniejsza część miała praktykę w podróżowaniu na żywostatku. Koniec wachty nie oznaczał, że da się rzeczywiście odpocząć. Wołanie: „Wszystkie ręce na pokład!” mogło zabrzmieć dosłownie w każdej chwili. Zgodnie z przewidywaniami kapitana w drodze na południowy wschód nie mogliśmy liczyć na przyjazne prądy. Mimo to bardzo szybko ląd stał się zaledwie smugą chmur zawieszonych nisko nad horyzontem za rufą. Następnego dnia zniknął.

Skierka i Niestrudzony byli w swoim żywiole. Razem z Mrówką śmigali po olinowaniu, jakby się na nim urodzili. Świstak okazał się dobrym nauczycielem, więc szybko zyskał w Basałyku kompetentnego pomocnika. Strzyk zwykle dotrzymywał mi towarzystwa, usiłując wpoić swojemu ciału młodego mężczyzny umiejętności, które lepiej byłoby mu wdrażać za chłopięcych lat. Było mi go szkoda, ale on się nie skarżył. Wszyscy wymiataliśmy jedzenie z talerzy do ostatniego okruszka i spaliśmy, gdy tylko się dało.

Owe dni miały swój krzepiący rytm. Gdybym był młodszy i nie miał innego celu w życiu niż zarobić na chleb, nie oczekiwałbym niczego więcej. Załoga po trochu przestawała patrzeć na nas krzywym okiem, bo chociaż zniweczyliśmy im plany na przyszłość, od dawna znane i ustalone, codzienny młyn zrobił swoje. Ja ze swojej strony, dodatkowo, starannie unikałem każdego tematu, który mógłby przypominać o tym, że u celu tej podróży „Niezrównany” zamierzał przeistoczyć się w smoki.

Zdumiewała mnie cierpliwość kapitana w stosunku do pirackiego księcia. Dość często zlecał nam tę samą pracę i zawsze tytułował mnie księciem Bastardem Rycerskim. W końcu pojąłem, co chciał pokazać młodemu człowiekowi: nawet osoba z rodu królewskiego nie waha się wykonywać najbardziej przyziemnych

poleceń. Sądzę jednak, iż Kennitasyn dążył do opanowania żeglarskiego fachu nie ze względu na rozkazy Trella, lecz dlatego, że pragnął być przynajmniej tak samo dobry w spełnianiu tych obowiązków jak inni marynarze, lub nawet od nich lepszy. Niekiedy serce bolało od patrzenia na jego wyczyny. Zdarzało się, że uprzedzał bardziej doświadczonego żeglarza w wykonaniu jakiejś czynności, krzycząc głośno: „Ja to zrobię!”. Zdarzało mu się wzgardzić propozycją pomocy lub radą. Nie był głupi, lecz rozpieęła go duma i chciał mieć rację – zawsze, za wszelką cenę. Jeszcze większe współczucie budził Basałyk, który z jednej strony podlegał rodzicom, a z drugiej starał się przypodobać mężczyźnie, z którym chciał się zaprzyjaźnić. Kennitasyn traktował go jak milutkiego szczeniaczka. Czasami okazywał lekceważenie dla umiejętności żeglarskich chłopaka. A widywałem Basałyka ukradkiem naprawiającego błędy Kennitasyna: klarował po nim liny, luzował i na nowo wiązał węzły. Nikomu nic na ten temat nie wspominałem, jednak miałem pewność, że jeśli ja to zauważyłem, ojciec chłopaka też z pewnością o tym wiedział. I skoro na to pozwalał, ja nie miałem tu nic do powiedzenia. Tak czy inaczej, pewnej mrocznej satysfakcji dostarczało mi obserwowanie Kennitasyna przechodzącego z jednej skrajności w drugą: od człowieka pragnącego osiąść nowe umiejętności po wyniosłego księcia, który nie mógł przyznać, że czegoś nie wie. Pozostawało mieć nadzieję, że nie doprowadzi to do katastrofy.

Świstak wychowywał Basałyka od najmłodszych lat, więc naturalnie powinni być sobie bliscy. Tymczasem z niejakim zaskoczeniem zaobserwowałem, że pierwszy oficer zaprzyjaźnił się z Kennitasynem. Stary wyga był na pokładzie „Niezrówanego” od młodzięcych lat, w czasach gdy Kennit pohańbił Altheę i próbował zatopić statek, a mimo to wydawało się, że mierzy wartość pirackiego księcia miarą czynów syna, nie ojca. Widziałem też, że Kennitasyn przyjmuje uwagi Świstaka znacznie lepiej niż interwencje kapitana. Obawiałem się przy tym, czy Trud nie będzie przypadkiem zazdrosny o Świstaka, lecz chłopak świetnie wpasował się w układ. Szybko zaczęli wspólnie jadać posiłki, a gdy pewnego razu Niestrudzony dołączył do nich przy grze w kości, zyskałem pewność, iż został przyjęty do ich grona, i przestałem sobie nim zawracać głowę. Każdy miał, czego mu było trzeba.

Przez kilka wieczorów obserwowałem, jak u Kennitasyna ignorowanie Truda zmienia się w kpiny i żarty, które stanowią preludium do prawdziwej przyjaźni. We dwóch – książę i chłopak stajenny kombinowali, jak na wesoło okpić w karty Basałyka, aż kapitański syn stracił ostatnią suszoną fasolkę, których używali zamiast monet. W końcu oszukiwany odkrył nieczne praktyki i z udawaną wściekłością zgromił obu winowajców. Po tym wydarzeniu Niestrudzony został uznany za

swojego. Świstak zaczął zlecać mu wspólne prace z Kennitasynem. Widywałem, jak chłopak objaśniał księciu właściwy sposób wykonania zadania. Zaprzyjaźnili się, moim zdaniem z korzyścią dla obu.

Nie obyło się jednak bez kłopotów. Nie wtrącałem się, gdy Basałyk z Kennitasynem postanowili spoić Niestrudzonego. Każdy młody człowiek musi przejść tę próbę. Ocenilem, że chociaż następnego dnia chłopak będzie czuł się koszmarnie, to raczej nie stanie mu się prawdziwa krzywda. Zwłaszcza że Basałyk miał skłonność do psot, lecz nie do okrucieństwa. Nie przewidziałem natomiast, że zamroczony trunkiem chłopak zaprosi przyjaciół do kajuty pani Amber, by pokazać im prezenty od Najstarszych. Natknąłem się na nich przypadkiem, zajrzawszy na moment do kajuty. Wszyscy trzej mieli nieźle w czubie, Niestrudzony trzymał w dłoniach jeden z wybuchających garnczków Cienria i usiłował wytłumaczyć pozostałym, co to jest jego zdaniem. Wiadoma cegła leżała na wyższej koi odwrócona w niewłaściwą stronę, koc właśnie zaczynał się tlić. Ani jedno, ani drugie nie rozzłościło mnie jednak do tego stopnia, co widok brulionów Pszczoły, odłożonych tuż obok poczerńiałego koca.

Wyrzuciłem trzech młodzieńców z kajuty, wsparłem decyzję kilkoma niewybrednymi słowami i solidnym kopniakiem w zadek Niestrudzonego. Następnego dnia chłopak kajał się i przeproszał wylewnie, ale i tak najsroższą karę wymierzył mu żołądek, bo przez niego musiał co chwilę wychylać się za burzę. Basałyk i Kennitasyn także wyrazili skruchę, dużo spokojniej, lecz równie szczerze. Przyjaźń trójki młodych ludzi została przypieczętowana. Zyskałem pewność, że Niestrudzony jest na pokładzie „Niezrówanego” równie bezpieczny, jak każdy inny żeglarz.



Którejś nocy Skierka wybudziła mnie z zasłużonego snu, żebym przyszedł do kajuty pani Amber. Poszedłem ledwo przytomny. Ciężka fizyczna praca dawała mi się we znaki.

– To ważna sprawa! – syknęła dziewczyna, po czym, jak kot, przemknęła między hamakami i zniknęła.

W kajucie już czekał Niestrudzony, równie jak ja zaspany. Na szczęście, co ocenilem na pierwszy rzut oka, spotkanie było z Błaznem, a nie z panią Amber.

– Musimy omówić plany ratowania Pszczoły – oznajmił mój przyjaciel.

– A czy mamy pewność, że ona żyje? – chciał wiedzieć Niestrudzony.

Jego potrzeba uzyskania potwierdzenia wywołała u mnie mimowolny grymas.

– Mamy – zapewnił go Błazen miękko. – Wiem, trudno wam uwierzyć, zwłaszcza że wyruszyliśmy w tę podróż jedynie z pragnieniem zemsty w sercach. Ja jednak jestem pewien: Pszczoła żyje. Dlatego nasze plany wymagają zmian.

Niestrudzony posłał mi z ukosa spojrzenie pełne zwątpienia. Szczęście, że Błazen nie mógł tego dostrzec. Ja utrzymywałem kamienny wyraz twarzy.

– Zapoznaliście się ze szkicami stworzonymi przez Bastarda? – zapytał Błazen. – Musimy znać rozkład zamku w Clerres na pamięć.

Wszyscy pokiwali głowami, Skierka rzuciła półgłosem:

– Tak.

– Powiedziałem wam, że jedyna droga do twierdzy prowadzi przez groblę odsłoniętą w czasie odpływu i że przyłączymy się do tłumu, który drogo płaci za przywilej przedostania się na jej drugą stronę. Ja będę zmyślnie przebrany, by nikt mnie nie rozpoznał, a teraz powinniśmy ustalić wasze role.

Udało mi się powstrzymać westchnienie. W dalszym ciągu tkwiłem w przekonaniu, że powinienem wejść do zamku sam, gdzie się da podłożyć truciznę i poderznąć tyle gardeł, ile zdołam.

– Po przejściu za mury musimy odłączyć się od rzeki petentów i znaleźć jakąś kryjówkę. Zapewne trzeba będzie w tym celu się rozdzielić. Pamiętajcie, że Pszczoła nie zna ani mnie, ani Skierki. Dlatego po zmroku, gdy zbierzemy się na opuszczonym dziedzińcu pralni, podzielimy się na dwie grupy. Jedną utworzą Bastard i Niestrudzony, w drugiej będziemy we troje: Strzyk, Skierka i ja. W ten sposób w każdej grupie znajdzie się ktoś, kto potrafi walczyć, i ktoś, kto umie otwierać zamki bez użycia klucza. – Uśmiechnął się mniej więcej w stronę dziewczyny.

Coraz gorzej. Milczałem. Strzyk opuścił wzrok na dłonie i też się nie odzywał. Niestrudzony słuchał z uwagą. Skierka wydawała się już zaznajomiona z planem, nie sprawiała wrażenia zaskoczonej.

– Trzeba brać pod uwagę cztery miejsca, w których może znajdować się Pszczoła. Pierwsze jest na dachu warowni. To dawny harem, przekształcony w cele dla cennych więźniów, których należy ukarać, ale nie wolno wyrządzić im krzywdy. Drugie miejsce to chaty, gdzie są skupieni Biali.

Wiedziałem, co dalej powie mój przyjaciel, i bałem się usłyszeć jego słowa.

– Pod zamkiem są jeszcze dwa poziomy – podjął Błazen. – Na pierwszym zbudowano cele z kamienia z drzwiami z żelaznych prętów. Mało tam światła i są złe warunki. Obawiam się, że Pszczoła może właśnie tam się znajdować. – Zaczerpnął tchu. – Na najniższym poziomie jest najgorzej. Tam usytuowano najgorsze cele,

tam więźniowie cierpią męki, tam też są torturowani. Tam trafiają odpady z całego zamku, zlewane do wielkiej kamiennej misy. W czasie odpływu zabiera je morze. Nie ma tam światła, a w powietrzu ciąży smród odchodów i śmierci. To najgorsze miejsce dla Pszczoły. A co za tym idzie, pierwsze, gdzie będziemy jej szukać. Moja grupa zacznie od tego właśnie, najniższego poziomu. Bastard i Niestrudzony wyruszą na dach. Jeśli ją tam znajdziecie, pójdziecie od razu na dziedziniec pralni. Jeśli nie, sprawdźcie w chatach Białych.

Niestrudzony otworzył usta. Chciał coś powiedzieć, lecz powstrzymałem go gestem.

– Potem, niezależnie od tego, czy znajdziecie ją w chatach, czy nie, pójdziecie na dziedziniec pralni. – Z drzeniem wciągnął powietrze. – My, po sprawdzeniu cel, postaramy się znaleźć wejście do tunelu, którym, jak się wydaje, wynieśli mnie ci, co mnie uratowali. Jeżeli nam się powiedzie, i to my znajdziemy Pszczołę, dwoje z nas natychmiast ją wyprowadzi. A jedno przyjdzie po was na dziedziniec pralni, dać wam znać, co osiągnęliśmy, i zaprowadzić was do tunelu.

– A jeśli nie znajdziemy tego ukrytego wejścia? – zapytał Strzyk.

– Będziemy mieli dla Pszczoły ubranie na zmianę... albo może lepiej motylą pelerynę. Ukryjemy się ponownie i następnego dnia wmieszamy w tłum przy kolejnej fali petentów. – Błazen splótł dłonie i zacisnął palce.

Doskonale wiedział, że jego plan jest do niczego. Nie musiałem mu tego mówić. Był to zaledwie nieporadny szkic, pobożne życzenia człowieka, który ogromnie pragnie zrealizować zamiary.

– A jeśli jej nie znajdziemy? – spytał Niestrudzony głosem pełnym zwątpienia.

– Wtedy także się schowamy i opuścimy twierdzę następnego dnia. Może się tak zdarzyć, ponieważ sny nie zdradzają mi, czy Pszczoła już przybyła do Clerres, czy też dopiero tam zdąży. Możliwe, że będziemy musieli poczekać.

– A co ze smokami? – zapytał Strzyk. – Tintaglia i Hiibi nie zrezygnują z zemsty. Co będzie, jeśli dotrą do Clerres przed nami?

Dłonie Błazna podfrunęły do szyi, spoczęły na kołnierzu. Oblizał wargi.

– Muszę wierzyć, że gdyby tak miała wyglądać przyszłość, zobaczyłbym tę katastrofę w snach. Jak dotąd, nie widziałem. Dlatego pozwałam sobie mieć nadzieję. – Potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć z myśli pytania Strzyka. – Czy każdy wie i rozumie, co ma robić? Czy wszyscy akceptujemy ten plan?

Tylko ja nie pokiwałem głową, lecz najwyraźniej nikt tego nie zauważył.

– Tak – odezwała się Skierka. – A teraz dobrze byłoby się przespać.

Błazen potarł oczy, a ja dostrzegłem w tym gościu coś, co wcześniej mi umknęło: mój przyjaciel dygotał ze strachu.

– Idź spać – powiedziałem głosem ciepłym i całkiem spokojnym. Udało mi się to osiągnąć dzięki solidnym ćwiczeniom pod okiem Ciernia. – Niestrudzony i ja też wrócimy na hamaki, bo niedługo nasza wachta. Wszyscy powinniśmy wypocząć, dopóki możemy.

– Dopóki możemy – przytaknął Błazen.

Skierka została ze swoją panią, natomiast my skierowaliśmy się pod pokład.

Gdy odeszliśmy odpowiednio daleko od kajuty, Strzyk chwycił mnie za rękaw i zatrzymał.

– Wierzysz, że Pszczoła żyje? – zapytał.

Niestrudzony przysunął się do nas, też chciał poznać odpowiedź.

– Błazen w to wierzy. – Dobierałem słowa bardzo uważnie. – Jego plan uwzględnia przede wszystkim odszukanie Pszczoły. Chętnie go przeprowadzę. – To akurat było kłamstwo. – Nie koliduje z moimi zamierzeniami, a chcę odebrać życie tym, którzy odebrali mi córkę.

Na tym skończyliśmy rozmowę. Wróciłem na hamak, jednak nie mogłem zasnąć.



Przez kolejne długie dni horyzont się nie zmieniał. Jak okiem sięgnąć wszędzie wokół lśniła woda. Tylko ją widziałem, gdy kładłem się spać po wachcie czy wstawiałem do obowiązków. Pogoda utrzymywała się niezawodnie, było coraz cieplej. Wszyscy oprócz pani Amber opaliliśmy się na brąz. Ona pozostała w kolorze bladego srebra: ciemniejsza niż Błazen, lecz znacznie jaśniejsza niż pan Żłocisty. Kiedyś Błazen powiedział mi, że podobno białym prorokom ciemnieje skóra, w miarę jak wypełniają swoje zadania. Teraz pojaśniał, a ja zastanawiałem się, czy to oznaczało, że Słudzy pokrzyżowali mu plany. Pani Amber robiła na statku, co mogła, od skrobania rzepy począwszy, przez obieranie ziemniaków, na splataniu lin skończywszy. Do tego ostatniego zadania ściągała z dłoni rękawiczkę i gładziła sznury posrebrzanymi palcami, a te, posłuszne jej woli przyjmowały żądany kształt. Przypominał mi się wtedy król Szczery kształtujący kamiennego smoka, więc starałem się na nią nie patrzeć.

Spędzała z „Niezrównanym” zbyt wiele czasu jak na gust naszych kapitanów. Galion lubił jej towarzystwo. Kennitasyn i Basałyk często się do nich przyłączali, gdy dla niego grała.

Jaskrawa także chętnie kręciła się przy galionie.

Ja ciężko pracowałem i w efekcie nieczęsto widywałem Błazna, więc rzadko

miałem okazję martwić się, że pani Amber jest mi coraz bardziej obca.

Płynęliśmy wolniej, niżbym sobie życzył. Prądy nam nie sprzyjały. Pogoda była ładna, lecz wiatry zmienne. Zdarzały się dni, gdy żagle zwisały z masztów niemal całkiem zwiotczałe. Czasami patrzyłem na bezkresną pustkę i nie wiedziałem, czy w ogóle dokądś zdążamy. Im dalej na południe, tym robiło się goręcej. Przyszło lato, słońce zachodziło późno.

Jednego takiego dnia położyłem się wcześniej. Zamknąłem oczy. Byłem zmęczony i znużony, lecz zasnąć nie mogłem. Próbowiałem zastosować radę wilka: skupić się na tym, co tu i teraz, nie martwić się o przyszłość, nie kłopotać przeszłością. Nigdy nie było to dla mnie łatwe i tamten wieczór nie należał do wyjątków. Leżałem bez ruchu, czekając na sen, gdy dotarł do mnie szept Mocą:

„Tato?”.

Usiadłem gwałtownie i natychmiast zgubiłem połączenie.

Spokojnie, tylko spokojnie. Połóż się, oddychaj głęboko, czekaj cierpliwie.

Czekaj.

Przypominało to wypatrywanie tropu zwierzyny z drzewa.

Czekaj.

„Tato, słyszysz mnie? Tu Pokrzywa. Dotarł do mnie ptak z wiadomościami. Mam wieści dla ciebie. Tato?”.

Oddychałem wolno i bardzo starałem się pozostać w równowadze na cienkiej niczym ostrze brzytwy granicy pomiędzy snem a czuwaniem. Ośmieliłem się tknąć strumień Mocy. Wydawał się rozrzedzony, prawie nieuchwytny.

„Pokrzywo. Jestem. Jak się czujesz? Urodziłaś?”.

Przeszedł mnie dreszcz. Dziecko Pokrzywy. Moje wnuczę. Wygnane z moich myśli na wiele tygodni.

„Jeszcze nie. Ale już niedługo”.

Odpowiedź była szeptem na wietrze, jednak spowita w ciepłą smugę błogości, że moją pierwszą myślą okazała się troska o córkę i jej dziecko. Popłynęły następne słowa, ulotne niczym puch dmuchawca.

„Nie całkiem pojęłam twoje wiadomości. Dlaczego chciałeś posłania do Kelsingry ludzi uzdrawiających Mocą? Jest tam emisariuszka, pani Różyczka”.

„Dla obopólnych korzyści”.

Otworzyłem przed córką umysł, pokazując jej swoje współczucie dla ludzi zmienionych przez smoki. Dodałem nutę użyteczności: można z nimi zawrzeć trwałą sojusz, zapewne uzyskalibyśmy także większe zrozumienie Mocy, gdybyśmy zyskali dostęp do Kelsingry, gdzie magia istniała na każdym kroku. Dodałem ostrzeżenie przed smoczym srebrem i własne przekonanie, że jest to ta sama

materia, którą król Szczery nabrał na ręce, by skończyć rzeźbę w kamieniu.

„Niesamowicie potężna i niebezpieczna. Nie pozwól, by Cierń się o niej dowiedział, bo zrobi wszystko, by móc z nią eksperymentować. Jak on się czuje? Brakuje mi go i Strzyk za nim tęskni...”

„Ćśśś! Nie używaj jego imienia!”

Za późno. Poczułem muśnięcie czegoś nieokreślonego, przypominające lekką bryzę, która trąca żagle, zanim wypełni je mocny podmuch wiatru. I w następnej chwili Cierń wdarł się do mojego umysłu, zacierając mnie samego. Szalony, triumfalny, upojony Mocą.

„Bastardzie!” – Cisnął moją tożsamością w strumień magii. Jakby zamieszał gwałtownie w kotle, a wir zaczął mnie wciągać. – „Jesteś, chłopcze! Ja też się za tobą stęskniłem! Chodź, muszę ci wszystko pokazać! Tyle tego!”

„Sumienny! Wszystkie kręgi do mnie, do mnie! Powstrzymać wielmożnego pana Ciernia! Powstrzymać go!”

Nigdy nie zetknąłem się z umysłem Pszczoły w strumieniu Mocy. Nie usłyszałem teraz jej głosu ani nie ujrzałem twarzy, lecz myśli były tak jedyne w swoim rodzaju, że nie miałem najmniejszych wątpliwości. Przypominały dziecięcy głosik wołający w porywistym wietrze nad wodą. Sięgnąłem ku niej.

„Pszczółko! Żyjesz!”

„Tatusiu? Gdzie jesteś? Dlaczego po mnie nie przyjechałeś? Tatusiu?”

„Córko, gdzie jesteś?” – Najważniejsze pytanie.

„Na statku. Płyniemy do Clerres. Są okrutni. Pomóż mi. Dlaczego nie przyjechałeś?”

I znowu Cierń, jak potężny wichur, uderzył w moje myśli, rozproszył mnie na wszystkie strony świata.

„Pszczola? No proszę! Ta mała ma moc! Moja córka też, wiesz? Moja Światła ma talent do magii! Ma potężny talent, ale jej do mnie nie dopuszczają...”

„Tatusiu? Tatusiu!”

Cierń był ryczącą wichurą, porywającą i rozrzucającą słabsze istnienia. Jeśli dosięgnie Pszczołę, przełamie ją, rozerwie na strzępy. Odepchnąłem córeczkę.

„Uciekaj, kochanie! Obudź się! Odetnij, oderwij! Uciekaj! Nie szukaj mnie więcej!”

„Tatusiu?”

Przylgnęła do mnie przestraszona.

Nie było czasu na tłumaczenia i uspokajanie. Odepchnąłem ją z całej siły. Tak samo zepchnąłbym ją z drogi galopującego konia. Poczułem jej strach, wiedziałem, że ją zraniłem, lecz oderwałem się od niej, oddarłem jej myśli i natychmiast

skoczyłem ku staremu mistrzowi, byle jej nie spalił.

„Cierniu, stop! Jesteś za silny! Zniszczysz nas wszystkich, jak Szczery Dostojnego! Zapanuj nad sobą! Błagam!”.

„I ty, Bastardzie, przeciwko mnie? Ty też chcesz mnie zdławić? Zdrajco bez serca! To moja magia, moje dziedzictwo i chwała!”.

„Wleście mu do gardła siłą, jeśli trzeba! Szybko! Trzech uczniów ma drgawki!”.

Pokrzywa, gdzieś z daleka. Krzyczała głosem i Mocą. Czułem gniew Ciernia, złość, że przeciwko niemu spiskujemy. Że się wszyscy przeciw niemu zwróciliśmy. A był pewien, że byliśmy zazdrośni o jego magię i zamierzaliśmy mu wydrzeć pilnie strzeżone sekrety. Żadne z nas nigdy nie kochało go szczerze, żadne, tylko Światła.

Skończyło się równie nagle jak przedstawienie lalkowe wraz z opadnięciem kurtyny. Zamilkł ryk Mocy Ciernia, ucichł szept Pokrzywy, a co najgorsze, gdy szukałem po omacku niepewnego głosiku Pszczółki, nie znajdowałem nic. Zupełnie nic.

Leżałem na podłodze, obok hamaka. Łzy płynęły mi strumieniem.

Była gdzieś tam, Pszczółka moja, rzucona w środek sztormu Mocy, schwytana w niewolę, traktowana okrutnie. Błazen miał rację. Nie wolno mi było się poddać. Zanurkowałem ponownie, przeszukiwałem nurt raz zarazem, wciąż na nowo, i jeszcze, i znowu, aż całkiem opadłem z sił. Gdy wróciłem do siebie, leżałem, na boku ciasno zwinięty w kłębek. Bolało mnie wszystko, w głowie łupało. Czułem się stary, jakbym miał sto lat. Zawiodłem nie tylko córkę, ale i starego mistrza.

Sięgnąłem ku niemu myślą. Cierń, biedny, stary Cierń, zagubiony w magii, której pragnął przez całe życie. Teraz ona nim zawładnęła, pędził na niej niczym jeździec na znarowionym rumaku. Zraniliśmy go, nie pierwszy raz poczuł się zdradzony, opuszczony, prześladowany. Wiele bym dał, żeby w tamtej chwili usiąść przy nim, wziąć go za rękę i zapewnić, że jest kochany, że zawsze był kochany. Jego tęsknota za miłością paliła mnie niemal tak mocno jak furiackie szastanie magią.

Jeszcze silniejszy od pragnienia pocieszenia Ciernia był we mnie strach o Pszczołę. Powiedziała, że jest na statku, płynie do Clerres. Żyje. Żyje na pewno! W strasznych warunkach. Ale żyje. I pyta, czemu nie przybyłem jej na ratunek. Porywacze są dla niej okrutni. Zdumienie kołatało się we mnie, jak echo dzwonów. W sercu wzbierała mi radość wypływająca z pewności, że Pszczółka żyje, ale szczęście dławił potworny strach. Jak przetrwała te długie miesiące? A teraz jeszcze, na dodatek, odepchnąłem ją, gdy mnie odnalazła...

Ale żyje! Bez wątpienia żyje! Oto świadomość najcenniejsza, jak powietrze dla płuc, jak woda dla pustyni. Dźwignąłem się na nogi. Pszczoła żyje! Musiałem

przekazać wieści Błaznowi. Od tej chwili naszym najważniejszym celem było uratowanie Pszczółki!

A potem krwawa zemsta na tych, którzy mi ją odebrali.



– Mówiłem ci, że żyje.

Nadal dygotałem i wciąż z trudem łapałem oddech po szaleńczym biegu przez statek. Do Błazna. Lekceważący ton pani Amber doprowadził mnie do szaleństwa.

– To nie to samo! U ciebie chodziło o sny, które mogły wskazywać na to, że przetrwała. A ja czułem ją w strumieniu Mocy! Rozmawiałem z nią! Wiem, wiem z całkowitą pewnością, że żyje. Jest w drodze do Clerres. I bardzo źle traktowana przez porywaczy.

Pani Amber wygładziła spódnice. Gdy ją znalazłem, stała przy burcie, patrząc niewidzącym wzrokiem w dal. Niewielkie fale uderzały w statek, lecz nie dostrzegałem żadnego dowodu, że posuwamy się naprzód. Tak bardzo pragnąłem, byśmy pomknęli jak na skrzydłach, by dziób rozcinał wodę, by dystans kurczył się z każdą chwilą... aż mnie coś dusiło. A ona tylko spojrzała na mnie pustymi oczyma, po czym znów odwróciła twarz w stronę morza.

– Powiedziałem ci to już dawno. Całe tygodnie temu. Całe miesiące! Jeszcze w Koziej Twierdzy ponaglałem cię, robiłem co mogłem, żebyśmy ruszyli do Clerres! Gdybyś mnie usłuchał, już byśmy tam byli i czekali na jej przybycie. Wszystko byłoby inaczej. Wszystko!

Nie mogłem nie usłyszeć stanowczej nagany w jej głosie. Niby mówiła do mnie jak Błazen, jednak nim nie była.

Jakiś czas stałem, tylko na nią patrząc. Właśnie miałem po prostu odejść, bez słowa, gdy odezwała się ponownie. Bardzo spokojnie.

– Męczą mnie to. I złości. Całe życie walczę z powątpiewaniem. Ludzie nie chcą wierzyć, że jestem białym prorokiem. Ale ty? Mój katalizator? Widziałeś, czego dokonaliśmy. Zaprowadziłeś mnie na próg śmierci i przywróciłeś do życia. Mam teraz mniejsze możliwości, nie przeczę. Nawet świat rzeczywisty widzę zaledwie jako światła i cienie. Lecz gdy mówię ci, że odzyskałem sny, gdy dowiadujesz się, o czym śniłem, i oznajmiam, że coś się dzieje, a coś innego się stanie, to przecież, Bastardzie, przynajmniej ty nie powinieneś we mnie wątpić. Gdybym uznał, że twoje używanie Mocy wydaje mi się dalekie od prawdy, gdybym stwierdził, że to tylko sen, nie byłbyś na mnie zły?

– Raczej byłbym – przyznałem.

Nie cieszyła się razem ze mną z uzyskania pewności, zamiast tego udzieliła mi reprimendy za brak wiary. To mnie zabolalo. Niepotrzebnie do niej przybiegłem z radosną wieścią, trzeba było zatrzymać ją dla siebie. Nie pojmowała, jak niebezpieczna była dla mnie nadzieja. Jak wielki strach czułem na myśl, że może okazać się płonna. A teraz nie rozumiała też ogromu mojego cierpienia, gdy już zyskałem pewność, że Pszczoła żyje, i znowu się o nią bałem! Błazen by to zrozumiał! Aż mnie zatchnęło, tak dziwaczna była ta myśl. Czy naprawdę pani Amber i Błazen stanowili w moich skojarzeniach dwie całkiem oddzielne istoty?

Tak. Właśnie tak.

Nie pani Amber ocaliła naszą Ketriken, nie ona dźwigała mnie na grzbiecie w śnieżną noc. Nie znała Ślepuna. Nie była torturowana nie została okaleczona, nie służyła królowi Roztropnemu mimo niebezpieczeństw i zdrady.

Zacisnąłem zęby. Co właściwie łączyło mnie z panią Amber?

Prawie nic.

W dodatku okazała się bezlitosna.

– Gdybyś mnie posłuchał, już byśmy byli na miejscu, czekali, obserwowali. Moglibyśmy znaleźć Pszczołę, zanim ją zabiorą do warowni. A tak? Nie wiemy nawet, czy są przed dziobem, czy za rufą.

Szukałem jakiegoś argumentu, by udowodnić jej błędy w rozumowaniu, lecz nie znalazłem. A krytyka była ogromnie bolesna. Nie zdążyłem powiedzieć o Cierniu, o tym, że Pokrzywa razem ze wszystkimi podległymi jej kręgami ledwo zapanowała nad starcem. I postanowiłem tego nie robić.

– Prześpię się – oznajmiłem.

Może później, gdy znów będzie Błaznem, podzielę się z nią obawami o wydarzenia w Mocy i strachem o Pszczołę. Później może mu powiem, że ją odepchnąłem, ocaliłem przed Cierniem, ale równocześnie przegnałem od siebie. Przybiegłem do Amber podekscytowany kontaktem z córeczką i zdruzgotany, że nie mogłem go podtrzymać, a potem odnowić, a teraz nie miałem z kim podzielić się tą burzą emocji. Nie mogłem rozmawiać o tym ze Strzykiem, bo zamartwiałyby się stanem ojca. Nie chciałem też, by Skierka martwiła się o Ciernia. No a szanownej pani Amber nie chciałem więcej wkładać broni do ręki, nie miałem siły się z nią kłócić.

– Odejdź – powiedziała cicho, lodowatym tonem. – Odejdź, Bastardzie. Odsuń się od tego, czego nie chcesz usłyszeć. Od tego, czego nie chcesz czuć. I od tego, czego nie chcesz wiedzieć.

Przy jej pierwszych słowach zatrzymałem się, lecz przy następnych posłuchałem.

Odszedłem.

A ona podniosła głos.

– Królestwo za możliwość odcięcia się od tego, co wiem! – Ścigały mnie jej gniewne słowa. – Za to, by mieć wybór i nie wierzyć we własne sny!

Nawet nie przystanąłem.



Statek nigdy nie zasypia. Zawsze ktoś jest na wachcie, wszyscy muszą stale być gotowi zerwać się na równe nogi i w mgnieniu oka stawić się na pokładzie. Ja jednak spałem jak kamień, gdy ktoś potrząsnął mnie za ramię. Usiadłem gwałtownie gotowy walczyć. W przesłoniętym świetle przyciemnionej lampy zobaczyłem Skierkę. Patrzyła na mnie trochę zaalarmowana, a trochę rozbawiona.

– Co? – spytałem nieprzytomnie.

Dziewczyna pokręciła głową i tylko gestem kazała mi iść za sobą. Po cichu zsunąłem się z hamaka i ruszyłem za nią między śpiącymi żeglarzami.

Wyszliśmy na pokład. Wiał niezbyt silny wiatr, fale kołysały się leniwie. Gwiazdy wisały nisko, a księżyc wyglądał, jakby go ktoś okroił. Nie włożyłem koszuli ani butów, lecz okazały się zbędne – otulało mnie balsamiczne powietrze.

– Coś niedobrze? – zapytałem Skierkę.

– Tak.

Czekałem.

– Masz mi za złe, panie, że przyniosłam pani Amber bruliony twojej córki. Wiem o tym. Szpiegowałam cię, by wywiedzieć się, gdzie je trzymasz. Zawiodłam twoje zaufanie. Gdy ostatnim razem próbowałam z tobą o tym rozmawiać, nie pozostawiłeś wątpliwości, że nie chcesz znać żadnych więcej sekretów. – Spuściła wzrok. – Teraz będę musiała znowu zawieść twoje zaufanie. Będiesz mnie, panie, oceniał jeszcze gorzej. Tej tajemnicy nie mogę jednak zachować dla siebie. Dłużej nie potrafię.

Serce mi się ścisnęło. Bałem się tego, co miałem usłyszeć, bo moje myśli od razu podsunęły mi obraz dziewczyny w towarzystwie Strzyka.

– Chodzi o panią Amber – szepnęła.

Nabrałem tchu, by powiedzieć, że pod żadnym pozorem nie życzę sobie poznawać jakichkolwiek sekretów tej kobiety. Nie zamierzałem kruszyć muru, jaki wyrósł między nami za sprawą jej gniewu. Byłem w równym stopniu urażony i obrażony. Skoro szanowna pani Amber życzyła sobie mieć przede mną jakieś tajemnice, które

jednak powierzyła Skierce, niech je sobie we dwie zatrzymają dla siebie.

Tymczasem Skierka nie zważała na moje życzenia.

– Wyśniła twoją śmierć, panie – wyrzuciła z siebie. – W czasie rejsu po rzece miała ten sen raz albo dwa. Ale teraz on wraca prawie każdej nocy. Pani Amber krzyczy przez sen, ostrzega cię przed czymś, panie, budzi się rozdygotana, zalana łzami. Milczy o tym jak zaklęta, ale ja i tak wiem swoje, bo przecież mówi przez sen. „Syn umrze? Jak może umrzeć? To niemożliwe, musi być inna ścieżka, musi istnieć jakieś inne wyjście!”. Tylko że jeśli jest, to ona chyba nie umie go znaleźć. Ledwo się trzyma. Nie rozumiem, dlaczego tobie, panie, nie mówi o tych koszmarach.

– Wyszłaś od niej przed chwilą? Czy wie, że poszłaś ze mną porozmawiać?

Na oba pytania dziewczyna odpowiedziała, kręcąc głową.

– Dzisiaj śpi spokojniej. Poza tym, nawet kiedy budzi się rozsłochana, ja udaję, że śpię. Któregoś razu próbowałam jej pomóc, ale powiedziała, żebym ją zostawiła w spokoju. – Wbiła wzrok w pokład. – Lepiej, żeby nie wiedziała o naszej rozmowie.

– Nic jej nie powiem – obiecałem.

Jeszcze nie wiedziałem, jak dam znać Błaznowi, że wiem. Powiedział mi, że im częściej coś się śni, tym bardziej jest prawdopodobne. W czasie naszych wspólnie spędzonych lat nie raz pomógł mi uniknąć śmierci. Doskonale pamiętałem, jak wezwał Brusa na szczyt wieży tego wieczoru, gdy pobił mnie Konsyliarz. We dwóch: mój opiekun i przyjaciel, ściągnęli mnie z muru, gdzie wpełzłem zmanipulowany przez nauczyciela Mocy, gotów rzucić się w przepaść. Ostrzegł mnie przed otruciem w Królestwie Górskim. Zaniósł mnie na własnych plecach w bezpieczne miejsce, gdy padłem trafiony strzałą. Często powtarzał mi, że według snów moje przetrwanie było tak mało prawdopodobne, że prawie niemożliwe, a jednak musiał utrzymać mnie przy życiu, za wszelką cenę, bym pomógł mu zmienić świat. Osiągnęliśmy cel.

Wyśnił też własną nieuniknioną śmierć, jednak we dwóch zmieniliśmy i to fatum.

Wierzyłem w jego sny. Musiałem. Chyba że były zbyt przerażające. A mimo to zawsze udawałem, iż mogę je kwestionować.

Teraz śnił o mojej śmierci. Znowu. Ale... czy na pewno? Czy to ja byłem w jego snach nieoczekiwanym synem? Czy może Pszczoła? Czy pędziliśmy z misją ratunkową, która według jego snów nie mogła zakończyć się powodzeniem? Myśl o własnej śmierci nie wywoływała we mnie poruszenia. Skoro miałem zapłacić życiem za uratowanie córeczki, gotów byłem to zrobić, z wielką chęcią. Z niespodziewaną ulgą uświadomiłem sobie, że wówczas Błazen i Strzyk odprowadzą ją bezpiecznie do Koziej Twierdzy. Tam zaś Rebus i Pokrzywa wezmą

ją pod swoje skrzydła i wychowają, zapewne lepiej niż ojciec.

Tyle że, jeśli śnił, że dotrzemy do Clerres jedynie po to, wepchnąć Pszczołą w objęcia śmierci... Nie, nie. Nie potrafiłem w to uwierzyć. Nie mogłem. I nie zamierzałem pozwolić, by do tego doszło.

Czy to właśnie z tego powodu pani Amber zachowała się tak gruboskórnie, gdy przybiegłem do niej z wiadomością, że zyskałem pewność? Czy jest przekonana, że Pszczoła żyje, ale nie przetrwa naszej misji ratunkowej?

Nie! Na pewno chodzi o mnie. To ja jestem nieoczekiwanym synem, nie Pszczoła. Błagam, Edo, Elu, byle nie Pszczoła.

Skierka przyglądała mi się z uwagą. Jej twarz wydawała się w świetle księżyca bardzo blada.

– Nie pierwszy raz śni o mojej śmierci. – Uśmiechnąłem się krzywo. – Jest białym prorokiem, a ja jego katalizatorem. Tym, który powoduje zmiany. Nie mam zamiaru umierać ani pozwolić umrzeć komukolwiek innemu. Idź spać, Skierko. Odpocznij, póki można. Co ma być, może będzie. A może nie.

Jakiś czas stała bez słowa, tocząc wewnętrzną walkę. Wreszcie popatrzyła na mnie.

– Pani Amber widzi więcej, niż sądzisz, panie – rzuciła wyzywająco.

Pokiwałem głową.

– Nic nowego – stwierdziłem i odwróciłem się od dziewczyny.

Zbłądziłem spojrzeniem na wodę. Po jakimś czasie usłyszałem lekkie kroki. Odeszła. Odetchnąłem. Chciałbym, żeby to wszystko już się skończyło. Wątpliwości, niepewność... Męczyły mnie bardziej niż zagorzała walka na topory. Gorąco pragnąłem końca czekania i przygotowań. Niestety, przede mną rozpościerał się nieskończony bezmiar wody, jak zgnieciony papier pod niepewnym blaskiem księżyca.

Gdzieś po tych wodach inny statek płynął do Clerres, z moją córką na pokładzie. Przed nami? Za nami? Nie miałem jak się dowiedzieć.

Rozdział 22

Motyła peleryna

Osy żądlą w obronie gniazda. Poszłam po doniczkę dla mamy. Stały włożone jedna w drugą, wzięłam tę z wierzchu. Nie wiedziałam, że między nią a następną powstało gniazdo os. Wyleciał cały rój, zaatakowały mnie, rzuciłam się do ucieczki. Kąsały mnie raz za razem, a każde ukąszenie paliło żywym ogniem. Nie są jak pszczoły, które za atak płacą życiem. Są jak ludzie gotowi zabijać bez opamiętania. Miałam potem spuchnięty policzek i szyję, a dłoń pozbawioną kształtu, z palcami jak kiełbaski. Matka obłożyła mi miejsca ukąszeń sokiem z paproci i chłodną mąką. Potem wzięła olej i ogień, i spaliła gniazdo. Zabiła wszystkie osy, razem z niewyklutym potomstwem – za to, co zrobiły jej córce. Zdarzyło się to, gdy jeszcze nie mówiłam wyraźnie. Byłam zdumiona nienawiścią matki: nie miałam pojęcia, że jest zdolna do takiego lodowatego gniewu. Gdy przyglądałam się jej, jak paliła gniazdo, pokiwała głową. „Póki żyję, nikt nie skrzywdzi cię bezkarnie”. Zrozumiałam wtedy, że muszę zachować ostrożność w tym, co mówię jej o innych dzieciach. Bo chociaż to ojciec ponoć był niegdyś skrytobójcą, matka potrafiła zabić.

Pamiętnik Pszczoły Przejrzystej

Wiele jest pieśni o żeglowaniu na kraniec świata. Wedle niektórych ci, co pokonają ogromny wodospad, docierają na ląd, gdzie żyją w spokoju dziwne zwierzęta oraz mądry lud. W innych opowieściach marynarze trafiają na ziemię, gdzie napotkać można mówiące zwierzęta, które mają ludzi za szpetnych i głupich. Mnie najbardziej podoba się ta, co prawi, że po wypłynięciu na wody, nieobjęte żadną mapą, można znaleźć miejsce, gdzie człowiek spotyka siebie, jako dziecko. Ma szansę porozmawiać ze sobą, udzielić sobie rad i ostrzeżeń. Tymczasem płynąłem z poczuciem, że po przekroczeniu krańca świata znalazłem się w strefie obowiązków nie do przepracowania, nudy i wciąż tego samego wodnego horyzontu.

Rzeczywistość wyprawy poza tereny objęte wszelkimi znanymi mapami mówiła wyraźnie, że to, co dla jednego stanowi ląd całkiem obcy, dla drugiego jest domem. „Niezrównany” zapewniał, że gdy należał do Igrota, pływał do Clerres

i na sąsiednie wyspy. Podobno Kennit też tam był, jako chłopiec. Igrot miał obsesję na punkcie wróżb i przepowiedni, ponoć Kennit w pewnym stopniu przejął tę skłonność. Wśród członków załogi z Łupigrodu znajdowała się doświadczona w swoim fachu nawigatorka. Nawet ona nigdy nie żeglowała do Clerres, lecz po dziadku miała odpowiednią mapę. Była zaprawioną żeglarką, więc gdy zostawiliśmy za sobą szlaki kupieckie, znane parze naszych kapitanów, większość czasu spędzała z Altheą i Zuchwalcem. Nocami poprawiali kurs, kierując się położeniem gwiazd, a „Niezrównany” zwykle potwierdzał ich decyzje.

Dni wlokły się niemrawo i stapiały w jedno. Nie działo się nic. Któregoś razu, gdy wiatr prawie całkiem ucichł, Świstak wyniósł na pokład fujarkę i graniem wyczarował wiatr. Jeśli to rzeczywiście była magia, dla mnie okazała się niewyczuwalna. I nigdy wcześniej o niej nie słyszałem. Udawałem, że to splot okoliczności. Niestrudzonemu wbiła się drzazga w stopę, doszło do zakażenia. Kapitan Althea pomogła mi wyciągnąć zadziore, po czym leczyła chłopaka, stosując dwa nieznanne mi zioła. Dostał dzień na odpoczynek. Jaskrawa została zaakceptowana jako członek załogi. Każdą chwilę, gdy nie tkwiła przy pani Amber, spędzała z „Niezrównanym”. Siadała na barku galionu albo nawet na jego głowie. Przy pomyślnych wiatrach, gdy żwawo pruliśmy fale, leciała przed nim, jakby go prowadziła.

Nuda ma to do siebie, że człowiek docenia jej wartość dopiero wówczas, gdy niszczy ją jakieś zagrożenie albo nawet katastrofa. Przyglądałem się z dystansu zmianom układów między członkami załogi, obserwowałem spięcia, jakie nieuchronnie niesie ze sobą każda długa podróż. Miałem nadzieję być świadkiem stałego przemijania tych sztormów, lecz któregoś popołudnia, gdy pracowałem ze Strzykiem przy naprawie żagla, młody człowiek wypowiedział słowa budzące niepokój.

– Kennitasyn lubi Skierkę. Za bardzo.

– Widzę, że ją lubi.

Gwoli ścisłości lubiła ją cała załoga. Mrówka z początku widziała w niej rywalkę, a kapitan Zuchwalec pohukiwał na nią czasem, że za dużo u niej brawury w próbach udowodnienia, że jest świetną żeglarką, ale współzawodnictwo przerodziło się w szczerą przyjaźń. Skierka była wesoła, sympatyczna i chętna do pracy. Zmieniła się z wyglądu, przystosowała do życia na statku: splatała włosy w gruby, niedbały warkocz, stopy jej stwardniały od biegania po pokładzie i wspinania się po takielunku, pociemniała od słońca skóra miała kolor polerowanego drewna, a za sprawą częstego wysiłku na ramionach dziewczyny zarysowały się mięśnie. Promieniała pogodą ducha. Kennitasyn wodził za nią wzrokiem w czasie pracy,

a przy posiłkach zwykle siadał naprzeciwko.

– Wszyscy widzą – stwierdził Strzyk ponuro.

– I w czym kłopot?

– Nie ma kłopotu. Jak na razie.

– Uważasz, że będzie?

Rzucił mi spojrzenie pełne niedowierzania.

– A ty nie? Przecież to księżę. Nawykły, by dostawać wszystko, czego tylko zapragnie. I syn gwałciciela.

– Nie jest swoim ojcem – zaprotestowałem spokojnie, lecz w głębi serca nie mogłem zaprzeczyć: słowa Strzyka wzbudziły we mnie niepokój. – Czy Skierka widzi powód do obaw? Prosiła cię o pomoc?

Namyślał się chwilę.

– Nie – odrzekł. – Jeszcze nie. Chyba nie dostrzega niebezpieczeństwa. Ale nie wolno dopuścić, żeby stało się coś złego.

– Oczekujesz, że zaangażuję się w tę sprawę?

Dźgnął igłą grubą fałdę płótna.

– Nie. Tylko cię uprzedzam. Żebyś mnie wsparł, jeśli będzie trzeba, gdyby do czegoś doszło.

– Do niczego nie dojdzie – oznajmiłem.

Obrócił ku mnie twarz, oczy miał szeroko otwarte.

– Jesteś mądry – podjąłem – więc nie zrobisz nic, o ile Skierka nie poprosi cię o pomoc. A ona nie jest z tych dziewcząt, co to chowają się za mężczyzną. W razie potrzeby zapewne poradzi sobie sama. Natomiast gdybyś miał chęć ją rozgniewać, wystarczy wtrącić się bez proszenia. Jeśli chcesz, zwrócę uwagę kapitanów. Oni są odpowiedzialni za utrzymanie porządku na statku. Wiem, że Skierka nie jest ci obojętna, jednak...

– Wystarczy. Posłucham twojej rady.

Ze zdwojoną energią wrócił do szycia.

Przez resztę tamtego dnia bacznie obserwowałem Skierkę i Kennitasyna. Rzeczywiście, księżę zwracał szczególną uwagę na dziewczynę, a jej się to chyba podobało. Nie zauważyłem, by z nim flirtowała, ale też go nie unikała. Śmiała się z jego żartów, zachowywała przy nim swobodnie, dobrze czuła się w jego towarzystwie. Rozumiałem też, jak irytujące mogło się to wydawać Strzykowi, ograniczanemu przez honor i obowiązki. Patrząc na niego, tęskniłem za młodością, lecz równocześnie opanowywało mnie znużenie. Ileż to lat minęło, od czasu, gdy ostatni raz czułem ukłucie zazdrości? Kiedyż to cierpiałem od zwątpienia, gdy kochałem zakazaną miłością? Z jednej strony cieszyła mnie ulga, że już mnie nie

dotyczą takie zawirowania, z drugiej cieniem na niej kładła się świadomość, że wiąże się to z brzemieniem lat, jakie dźwigam na barkach.

Wahałem się, czy jednak nie wziąć sprawy w swoje ręce. Nie miałem absolutnej pewności, czy nie należałoby porozmawiać ze Skierką w cztery oczy, lecz bałem się, że zostanie to odebrane jako reprimenda. A ewentualnej reakcji księcia Kennitasyna w ogóle nie umiałem przewidzieć. Gdyby jego zainteresowanie dziewczyną okazało się tylko przyjaznym flirtem, czułbym się jak ostatni głupiec. A gdyby darzył Skierkę szczerym uczuciem, nie zdziwiłaby mnie u niego reakcja podobna do mojej, gdy księżna Cierpliwa próbowała mnie ostrzec przed konsekwencjami zbliżenia z Sikorką. Dodatkowo sytuację komplikowała coraz serdeczniejsza przyjaźń łącząca mnie z młodym człowiekiem. Ze względu na dumę wciąż bywał nieprzystępny, jednak nie ulegało wątpliwości, że robił, co mógł, by zasłużyć na miano dobrego żeglarza. Przy tym coraz sprawniej szło mu dbanie o własną odzież oraz, ogólnie rzecz biorąc, wykonywanie czynności, w których normalnie od dnia narodzin wyręczała go służba, chociaż wciąż nie był do końca pewien, czy załoga dobrodusznie sobie z niego kpi, czy się okrutnie naśmiewa, gdy stawał się obiektem żartów. Duma odgradzała go od ludzi grubym murem trudnym do obalenia, lecz księżę naprawdę się starał.

Nie raz i nie dwa zdarzyło mi się narzucić motylą pelerynę i błędzić po pokładzie. Na statku, gdzie prywatność jest wyjątkowo cenna, zyskiwałem w ten sposób swoisty azyl, możliwość, by gdzieś spokojnie posiedzieć w samotności. Długie lata w roli szpiega całkowicie uwolniły mnie od poczucia winy, gdy przypadkiem stawałem się świadkiem cudzej prywatnej rozmowy, lecz celowo nie podsłuchiwałem. Uczucie łączące Mrówkę z nawigatorką z Łupigrodu nie było moją sprawą, podobnie jak markotne dyskusje kapitańskiej pary prowadzone na tylnym pokładzie.

Tego wieczoru, gdy w miejscu, które zwykle zajmowałem, zastałem dwóch marynarzy z Łupigrodu pochłoniętych wdychaniem sutu, ruszyłem bezgłośnie w stronę dziobu. Zatrzymałem się w odległości, którą uznałem za bezpieczną, ale z niepokojem dojrzałem Kennitasyna wyciągniętego na wznak bardzo blisko galionu. Zrobiłem ostrożnie jeszcze dwa kroki, zobaczyłem, że ma zamknięte oczy. Ale jego pierś unosiła się i opadała w powolnym, miarowym rytmie człowieka pogrążonego w głębokim śnie.

– Wiem, że tu jesteś – odezwał się „Niezrównany” cicho, jak rodzic przy śpiącym dziecku.

– Tak przypuszczałem – odparłem szeptem. – Chciałbym z tobą pomówić.

– Podejdź bliżej.

– Nie trzeba. Lepiej zostanę, gdzie jestem.

– Jak chcesz.

Przykucnąłem, opierając się plecami o burzę, głowę odchyliłem do tyłu i spojrzałem w gwiazdy.

– No? – ponaglił mnie.

Ręce założył na piersi, patrzył na mnie przez ramię. Był tak do mnie podobny, że miałem wrażenie, iż usiłuję rozmawiać sam ze sobą.

– Kiedyś, dawno temu, pragnąłem uwolnić się od wszystkiego, z czym byłem związany. Od rodziny, przyjaciół, obowiązków. Wydawało mi się, że dzięki temu będę szczęśliwy. Myliłem się.

– Mówisz o moim zamiarze przemiany. O chęci powrotu do istnienia w postaci dwóch smoków, które zostały na sześć waszych pokoleń uwięzione w drewnie.

– Tak.

– Twoim zdaniem będę nieszczęśliwy?

– Nie wiem. Sądzę jednak, że powinieneś jeszcze raz przemyśleć tę decyzję. Masz rodzinę. Jesteś kochany. Jesteś...

– Jestem więźniem.

– Ze mną było podobnie. Ale...

– Nie pozostanę statkiem. Nie trać słów, człowieku. – Zamilkł i dopiero po chwili dodał: – Z wyglądu jesteśmy do siebie podobni, jednak nie jestem tobą. Moja sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Nie prosiłem się o niewolę.

Zamierzałem powiedzieć, że nigdy nie chciałem roli, jakiej oczekiwano ode mnie rodzina, lecz raptem naszała mnie refleksja, że nie mam pewności, czy to prawda. Mimowolnie przyjrzałem się Kennitasynowi. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała powoli. Zdumiewająco wolno. Zacząłem podnosić się, by do niego podejść, lecz statek mnie powstrzymał.

– Nic mu nie jest. Nie budź go.

Książę miał na szyi srebrny łańcuch, zawieszka z profilem ojca spoczęła między obojczykami. Ja bym takiego łańcucha nie chciał mieć przy gardle.

– Jemu nie przeszkadza – poinformował mnie „Niezrównany”.

– Może rozmawiać z kameą?

– A co ci do tego?

– Nigdy nie wiadomo.

Ostrożnie, Bastardzie, pomyślałem.

Nie miałem pewności, czy omawianie sprawy ze statkiem jest mniej ryzykowne niż przedstawienie jej kapitan Althei. Nabrałem tchu.

– Płynie z nami pewna młoda kobieta imieniem Skierka. Jest pod moją opieką.

Galion prychnął lekceważąco.

– Znam ją. Podoba mi się. Wątpię, czy potrzebuje twojej opieki.

– Jest bardzo zaradna, owszem, ale nie chciałbym, żeby znalazła się w sytuacji, gdy będzie zmuszona się bronić. Gdyby do tego doszło, dla Kennitasyna sprawy źle by się potoczyły.

– Co to za sugestie?

Nagle poczułem nacisk na mury chroniące mój umysł. Umocniłem je natychmiast, lecz zbyt opieszale. Galion uniósł górną wargę w niemal wilczym grymasie.

– Takie masz o nim niskie mniemanie?

– Wiadomo, co jego ojciec uczynił Althei. Nigdy nie słyszałem, by ktoś temu zaprzeczył. Mam powody do zmartwienia.

– On nie jest swoim ojcem! Nie przejął jego wspomnień. – Statek postawił złowieszczą pauzę. – Ja nimi nasiąkłem. Ja je wchłonałem, żeby nikt inny nie musiał ich dźwigać.

Raptem zostałem rzucony twarzą na szorstkie deski pokładu. Szorując po nich dłońmi i kolanami, zdarłem sobie skórę jak na tarce. Nie mogłem się podnieść, bo na plecy zwałił mi się wielki mężczyzna. Uwięził moją szyję w żelaznym uścisku ramienia. Usiłowałem wstać, ale był ode mnie znacznie cięższy. Jego szorstka broda drapała mnie w policzek.

– Świeżutki, mięciutki, rozkoszny – mruknął mi w ucho. – Żrebaczek rozbrykany. Już ja cię ujeżdżę. Z wielką chęcią.

Wielka dłoń chwyciła mnie za włosy i wcisnęła twarz w drewno. Gorączkowo próbowałem uwolnić szyję z uścisku, lecz dłonie mi się ześlizgiwały z wyszywanego rękawa grubej koszuli.

Krzyczeć też nie mogłem, zabrakło mi powietrza. Zaparłem się rękoma o pokład, chciałem zrzucić z siebie przerażające brzemie. Usłyszałem ochryply śmiech. Jakiegoś innego mężczyznę rozbawił widok sceny. Pozbawiony oddechu zacząłem widzieć gwiazdy. Gdy srebrne iskry wypełniły mi ciemność przed oczyma, z przerażeniem zrozumiałem, co mnie czeka.

Nagle znów byłem Bastardem. Jeszcze machałem ramionami, uwalniając szyję od nieistniejącego przedramienia, jeszcze dyszałem z chłopięcego wzburzenia i strachu, zerwałem się na nogi, zatoczyłem. Ponizony, wściekły, przepełniony dojmującą grozą.

Nigdy więcej! – poprzysiągłem sobie.

Stałem się w pełni na powrót sobą. To nie był mój ból. Nie moje rozjuszenie ani wstyd.

– Kennitasyn nie zna tych wrażeń – podjął galion miękko, jakby dramatyczne zdarzenia w ogóle nie zaszły. – Nie odchodź, człowiekę spod znaku jelenia. Zostań,

a pokażę ci więcej z młodości Kennita. Mam tego pod dostatkiem. Wiele godzin udręki i krwawienia, ukrywania się w kątach, gdzie Igrót nie mógł go dosięgnąć. Noce w gorączce, dni z zapuchniętymi od pobicia oczyma. Śmiało, poznaj moje rodzinne wspomnienia.

Poczułem młodości, ale przez to tylko narosła we mnie wściekłość.

– Skoro on... skoro tyle wycierpiał, dlaczego zachowywał się tak samo? Dlaczego stał się takim samym potworem?

– Interesujące, że człowiek rozumie z tego nie więcej niż ja. Może tylko w ten sposób mógł to z siebie wyrzucić? Żeby nie być ofiarą, stał się... pogromcą? Nie wystarczy ci wyobraźni, by uzmysłwić sobie, na ile sposobów odpierał demony nawiedzające jego sny. Jak zaciekle walczył, by zostać człowiekiem zupełnie różnym od Igrota. Ten potrafił niekiedy zdobyć się na maniery dżentelmena. Ale to była tylko fasada, nie wiem, skąd mu się brała. Kennit nigdy nie zrozumiał postępowania Igrota. Nie pojmował, dlaczego oprawca kazał mu stroić się w koronkową koszulę i elegancko usługiwać przy stole, a potem zdzierał z niego paradny strój i okładał pięściami. Nie kto inny, a właśnie Kennit pozbawił mnie twarzy siekierą. Wiedziałeś o tym? A ja trzymałem go przy tym na własnych dłoniach. Igrót śmiał się, patrząc, jak chłopak wyrąbuje mi oczy. Taką zawarliśmy umowę: Kennit mnie oślepi, a Igrót więcej go nie posiadzie. Tyle że pirat nie dotrzymał danego słowa. My za to dochowaliśmy przysięgi. Wszystkich przysięg złożonych w ciemne noce splamione krwią.

Usłyszałem, jak zazgrzytał zębami. Od fali jego emocji serce zabiło mi z łoskotem, miałem kłopot z zaczerpnięciem tchu. Nie rozumiałem, dlaczego kapitanowie nie zjawili się biegiem.

„Ach, oczywiście domyślają się i zgadują” – odpowiedział mi statek myślach – „ale nie wiedzą o wszystkim, co zaszło na moim pokładzie. Nie zostali też teraz dopuszczeni do naszej rozmowy”.

– Wiele lat przeżyłem uwięziony pod postacią statku i z umysłem katowanego chłopca! – podjął ustami galionu. – Aż do dnia, gdy go zabiliśmy. Otruł ich wszystkich, okruchy mojej twarzy zmielił i dodał im do zupy. A gdy wili się w mękach, przyciskając ręce do brzuchów, bez siły, by wstać, pozabijał ich, wszystkich. Tą samą siekierą, którą wyrąbał mi oczy. Tym samym narzędziem pozbawił ich życia, jednego po drugim, a ich krew i wspomnienia wsiąkły w mój pokład. Każdy, kto patrzył na jego poniżenie i upokorzenie, zginął od tej siekiery. Igrót również, ostatni. Jakże kunsztownie Kennit go rozczłonkował. – Na jakiś czas umilkł. – Wszystkie te wspomnienia mam ja, człowieku spod znaku jelenia. – Odwrócił ode mnie twarz, zapatrzył się w morze. – Potrafisz to sobie wyobrazić,

człowieku? Że można być bezsilnym świadkiem tortur zadawanych ukochanej istocie? Nie móc zabić potwora, nie odbierać życia ukochanemu? Doświadczałem jego pamięci wciąż na nowo. Dwukrotnie przejąłem jego śmierć i chroniłem go, aż zdołał powrócić do swojego ciała. Potem wspomnienia miał zamazane, lecz zetrzeć ich nie mogłem. – Jego głos stał się dziwnie odległy, jakby mówił o zdarzeniach sprzed stu lat. – Kennit nie radził sobie z przeszłością. Chciał się zabić. Zamiast tego zabił mnie. Tak uzgodniliśmy. Ja również nie chciałem żyć z jego historią. Wybiliśmy załogę, jednego po drugim, Igrotę ostatniego. Potem Kennit załadował na łódź dużą część łupów, jakie wówczas były na pokładzie, podziurawił mnie i patrzył z szalupy, jak nabieram wody, jak się w końcu odwracam do góry dnem i tonę. – Pochylił głowę. – Chciałem umrzeć. Ale nie potrzebuję żywności ani powietrza. Tkwiłem tak, do góry dnem, pod wodą, fale popychały mnie, dokąd chciały, aż w końcu pochwycił mnie prąd. Gdy pojałem, że niesie mnie w stronę domu, do Miasta Wolnego Handlu, pogodziłem się z losem. W końcu ludzie natrafili na mnie, u wejścia do portu, tam zmieniłem się w groźną przeszkodę. Wyciągnęli mnie na brzeg, złożyli w miejscu, gdzie nie sięgał przypływ, przykuli łańcuchami. Szalony statek. Pariasa. Tam znaleźli mnie Althea, Amber i Zuchwalec.

Na czystym niebie świeciły gwiazdy, statek gładko ciął fale popychany lekkim, niezmiennym wiatrem. Równie dobrze moglibyśmy być jedynymi żywymi istotami na świecie. Młody człowiek wyciągnięty na pokładzie przez cały czas nawet nie drgnął, aż zacząłem się zastanawiać, czy „Niezrównany” przypadkiem nie zadbał, by trwał pogrążony we śnie. Nie potrafiłem też odgadnąć, jaką część prawdy znał Kennitasyn ani dlaczego statek ze mną się nią podzielił.

– Nie będzie wiedział nic – oznajmił galion. – Gdy odleczę, przemieniony w smoki, wszystko zabiorę ze sobą.

– Czy ludzkie wspomnienia w smokach znikną?

– Nie – odrzekł. – Wspomnienia smocze i węzowe spajają nas między jajem a ostateczną formą, tworzą z nas spójną całość. Nie zapominamy niczego, pod warunkiem, że odpowiednio się lęgniemy i przebywamy w kokonie. Strąsnę z siebie kształt statku i twojego ciała, lecz na zawsze pozostanie we mnie zgroza czynów ludzkich. Dokonywanych dla uciechy.

Nie miałem nic dopowiedzenia. Spuściłem wzrok na śpiącego młodego człowieka.

– Czyli nie dowie się, ile jego ojciec wycierpiał?

– Swoje wie i tyle wystarczy. Poznał tyle prawdy, ile mogli mu przekazać Etta, Prawy i Sorkor. Nie musi dźwigać brzemienia przeszłości. Po co mu więcej?

– By mógł zrozumieć uczynek ojca?

– Och. Naprawdę uważasz, że świadomość, przez co przeszedł młody Kennit,

pozwała ci lepiej pojąć uczynki dorosłego?

Wysłuchałem się w bicie swojego serca.

– Nie.

– Ani ja. I jemu także nic by to nie dało. Po co więc go tym obarczać?

– Może po to, by nigdy nie zachował się podobnie?

– Tę częśćką smoczego łona, którą chłopak ma na szyi, podobiznę jego ojca, przez wiele lat nosiła Etta. Czy wiesz, że jako dziecko sprzedawała swoje ciało? Potrafisz sobie uzmysłwić, że Kennit był pierwszym człowiekiem, który okazał jej dobroć? Że pokochała go, bo ocalił ją od wszetecznego życia?

– Rozumiem.

– Kennitasyn wie o zniewoleniu i pohańbieniu więcej, niżby chciał przyznać, możesz mi wierzyć. I szczerze wątpię, aby zachował się wobec kogokolwiek w sposób, jaki jego matka uznałaby za odrażający. – Nabrał głęboko powietrza i wypuścił je z westchnieniem, a zabrzmiało to tak, jakby fala omywała piaszczysty brzeg. – Może właśnie dlatego matka założyła synowi tę kameę na szyję, nim pozwoliła mu wejść na mój pokład. Na krótkim łańcuchu.

Kennitasyn poruszył się. Otworzył oczy i zapatrzył się w gwiazdy.

Wstrzymałem oddech, zmieniłem się w kamień. Motyla peleryna nie była okryciem idealnym. Odwzorowywała barwę i strukturę wody za moimi plecami, lecz przy lekkim wietrze, który i nią poruszał, obraz musiał być chwilami dziwaczny. Na szczęście młody człowiek nie spojrzał w moją stronę.

– Powinienem był przyjść na świat na tym pokładzie – zwierzył się niebu, a może statkowi. – Tu powinienem dorastać. Bardzo mi tego brakowało.

– Mnie także – powiedział „Niezrównany”. Głos miał łagodny. – Czasu nie cofniemy, synu. Cieszymy się tym, co mamy. I zachowajmy to w pamięci.

– Zmienisz się w smoki i mnie zostawisz.

– Tak.

Kennitasyn westchnął.

– Nawet tego nie przemyślałeś.

– Nie ma innej drogi.

– Odwiedzisz mnie czasem? Czy znikniesz na zawsze?

– Tego nie wiem. Skąd miałbym wiedzieć?

– Co chcesz robić? – spytał Kennitasyn.

– Chyba najpierw będę musiał przypomnieć sobie, jak być smokiem. Zaistnieję w dwóch istotach, więc będę to ja i nie ja. Nie potrafię przewidzieć, co nastąpi później. Wiem jednak na pewno, że w te dni, które nam pozostały, będę z tobą.

Usunąłem się, odszedłem po cichu. Ta rozmowa nie była dla mnie przeznaczona.

Dość miałem w sercu własnego bólu, nie chciałem słuchać kolejnego dziecka opuszczonego przez ojca. Zbyt dużo czasu spędziłem z galionem. Może Skierka i Amber spały? Ruszyłem w drogę powrotną, często się zatrzymując i unikając załogi. W ciemnym korytarzu stanąłem przy drzwiach i bezszelestnie zdjąłem pelerynę. Strząsnąłem ją, po czym starannie złożyłem. Lekko stuknąłem w drzwi, trzy razy. Nikt się nie odezwał, więc powoli je otworzyłem.

Błazen leżał na podłodze. Rozciągnięty jak długi. Ledwo go zauważyłem w niemrawym świetle z bulaja.

– Witaj, Bastardzie – odezwał się przyjaźnie.

Zerknąłem na górną koję.

– Skierki nie ma?

– Na wachcie. Co tam, znowu motyla peleryna w użyciu?

– Skąd wiesz?

– Słyszałem, jak ją strząsnąłeś za drzwiami. To znaczy domyślałem się, że to ją strząsałeś, a ty mi ten domysł właśnie potwierdziłeś. Dokąd się wybrałeś na przespiegi?

– Donikąd. Nie szpiegowałem. Jedynie pod peleryną mogę zyskać odrobinę prywatności. Nikt mnie nie widzi, nawet jeśli jest niedaleko. Chociaż tym razem nie byłem sam. Rozmawiałem z „Niezrównanym”.

– Niebezpieczny ten czas przeszły. Odsuń się, proszę.

Zrobiłem do tyłu krok, potem drugi, aż oparłem się plecami o drzwi. Błazen podciągnął kolana pod brodę i usiłował skoczyć na nogi. Nie udało mu się, poleciał w bok i wyrznął o koję, na pewno zagwarantował sobie kilka siniaków. Nawet nie jęknął, tylko wolno wstał, po czym usiadł na dolnym łóżku.

– Jeszcze mi nie wychodzi. Ale będzie dobrze.

– Na pewno – potwierdziłem.

Gdyby silna wola wystarczała jako siła sprawcza, Błazen bez wątpienia wróciłby do swoich dawnych popisów.

Wyciągnąłem plecak z najdalszego kąta. Sięgnąwszy do środka, namacałem cegłę od Najstarszych, upewniłem się, że jest ułożona w odpowiedni sposób, i dopiero wtedy wetknąłem obok niej pelerynę. Wsunąłem rękę głębiej, przy dziennikach Pszczoły i moich poskładanych ubraniach. Cylindry ze smoczym srebrem były na swoim miejscu, owinięte w koszulę. I na samym dnie, wybuchowe garnczki Ciernia. Upychając wszystko na powrót, jak należy, spytałem lekkim tonem:

– Jak tam, Błaznie, pojawiły ci się jeszcze jakieś sny?

Mruknął coś lekceważąco.

– No tak – dodał po chwili. – Powinienem był się domyślić, że „Niezrównany”

wychwyci moje śnienie. Co ci powiedział?

– O twoich snach ani słowa. Natomiast podzielił się ze mną, wyjątkowo szczerze niewielką częścią odczuć, które ukształtowały charakter Kennita. – Wsunąłem plecak na miejsce, wstałem i usiadłem obok Błazna. Musiałem się zgarbić. – Ludzie są potworami. Wolałbym być wilkiem.

Niespodziewanie przytulił się do mnie.

– Ja też – powiedział. – Wybacz – dodał po chwili. – Byłem na ciebie zły i źle cię potraktowałem. Ale ty też miałeś swoje za uszami, wątpieś w moje prorocze sny... Udało ci się jeszcze połączyć z Pszczołą?

– Nie. Próbowałem, kilka razy, bez skutku. Nie mogę jej znaleźć. A muszę szukać ostrożnie, ze względu na Ciernia. Sroży się jak burza. Dwa razy przyszedł do mnie, chciał, żebym do niego dołączył. Z początku czułem także Pokrzywę i krąg Mocy próbujący nad nim zapanować, zawrócić go do ciała. Ostatnio ich już nie zastałem. A muszę mieć na uwadze, że Cierń stale na mnie czeka i jeśli Pszczoła zostanie uwikłana w nasze spotkanie w nurcie Mocy, może nawet stracić talent. Brak jej pewności siebie, a ja ją odepchnąłem... Wiem, że to dodatkowo zmąciło jej w głowie... – Umilkłem.

Dość tych informacji. Ból i wstyd należały wyłącznie do mnie.

– Tego mi nie powiedziałeś.

– Byłeś zły. – Odczekałem chwilę. – Twoja kolej. Co ci się śni?

Nie odpowiedział.

– Pewnie znowu obaj umrzemy. – Postarałem się o lekki ton. – Kolejny raz.

Zaczerpnął tchu, dłonią w rękawiczce poszukał swojego nadgarstka.

– Nie chcę spać, Bastardzie. Siedzę na koi, w ciemności, czy to noc, czy dzień, i staram się nie usnąć. Ponieważ nie chcę śnić. Mimo to śnię. A potrzeba mówienia o snach, konieczność ich zapisywania, jest tak przemożna, że aż boli. Nie mógłbym ich uwiecznić, nawet gdybym miał inkaust, bo wzrok mi nie pozwala. A opowiadać nie chcę.

– Chorujesz, jeśli nie upamiętniasz snów?

– To rodzaj obsesji. Prawdziwymi snami trzeba się dzielić. A przynajmniej należy je zapisać. – Zaśmiał się cicho. – Słudzy właśnie na to liczą. Zbierają sny tych żałosnych białych istot półkrwi, jak rolnicy winne grona. Wszystko wędruje do biblioteki snów i przepowiedni. Potem jest przesiewane, można by to porównać do wydmuchiwania plewów z ziarna. Ale zachowują wszystko. Oznaczają na różne sposoby, żeby w razie potrzeby łatwo znaleźć i wykorzystać konkretny sen, sprawdzić, co można dzięki niemu przepowiedzieć i jakie wyciągnąć korzyści. – Przywarł do mnie mocno niczym dręczone koszmarami dziecko, a ja objąłem go

i przycisnąłem. – Bastardzie... – Pokręcił głową. – Oni dowiedzą się, że nadciągamy. Mają Pszczołą i domyślą się, że po nią przypląniemy. To się nie może skończyć dobrze.

– Tym bardziej powinienes powiedzieć mi wszystko, co wiesz. Nie każ mi brnąć na ślepo.

Zdusił śmiech.

– Daj spokój! To ja jestem ślepy. A ty umrzesz. Utopisz się. W ciemności, w zimnej słonej wodzie i we krwi. Proszę bardzo. Teraz już wiesz. Nie wiem, co ci z tego przyjdzie, ale wiesz. – Poczuję, że się zgarbił. – Ja zyskałem przynajmniej tyle, że podzieliłem się snem.

Opanował mnie lodowaty chłód. Mogłem twierdzić, że nie wierzę słowom przyjaciela, jednak w głębi serca znałem prawdę.

– A nie mógłbym zamarznąć na śmierć? – spytałem tonem pozornie bez troskim.
– Podobno człowiek zwyczajnie zasypia i tyle.

Odpowiedział równie fałszywie.

– Przykro mi. Nie mogę decydować, jak to się stanie. Po prostu wiem, jak będzie.

– A co z tobą?

– No właśnie, to najgorsze. Chyba przeżyję.

Poczuję ulgę. Tylko przez chwilę. Nie był pewien.

– A Pszczoła? – spytałem drżącym głosem. – Śniła ci się żywa. Zdołamy ją uratować? Wróci do domu?

– Wydaje mi się, że jest podobna do ciebie – odparł z wahaniem. – Tworzy punkty newralgiczne, z których prowadzą liczne drogi przyszłości. Widziałem ją w koronie z ułożonymi na przemian iglicami ciemności i płomieni. A także jako zerwane kajdany. Ta, która wyzwala. I pod postacią stłuczonego naczynia.

– Co oznacza stłuczone naczynie?

– Przedmiot zniszczony, nie do naprawy – wyjaśnił cicho.

Moje dziecko. Córeczka Sikorki. Naczynie zniszczone, nie do naprawy. W jakimś stopniu rozumiałem, że tragiczne doświadczenia musiały zostawić w jej umyśle niezatarty ślad. Będzie już na zawsze rozbita, jak Błazen, jak ja. Coś mnie ścisnęło w piersiach.

– Pewnie, że będzie rozbita i załamana – zgodziłem się ochryple. – Każdy by się złamał. Ty się złamałeś. I ja.

– I obaj wyszliśmy z tego silniejsi.

– I obaj z tego wyszliśmy – skorygowałem.

Nigdy nie pojąłem do końca skutków tortur, jakim poddał mnie książę Władczy. Częściowo umarłem w jego celi, w przenośni i dosłownie. A dzisiaj żyłem. Nigdy

się nie dowiem, czy więcej straciłem, czy zyskałem. Nie było sensu nad tym deliberować.

– Co jeszcze? – zapytałem.

Głowa Błazna zsunęła się odrobinę po moim ramieniu. Drgnął, oparł ją znowu wyżej. Zmieniłem pytanie.

– Od dawna nie sypiasz?

– Nie wiem. Niekiedy zapadam w drzemkę, nie mam pojęcia, na jak długo. Ślepotą jest dziwna. Łączy dzień z nocą. Ale nie pogrąża w całkowitej ciemności.

– Chcesz podzielić się ze mną jeszcze jakimiś snami albo przemyśleniami?

– Czasem śni mi się orzech, któremu grozi pęknięcie. I słyszę bzdurną przyspiewkę: „Pułapka to łowca, a łowca w zasadzce”. A poza tym... To nie zawsze są sny. Bywa, że widzę... coś w rodzaju rozstajów, tyle że trudno zliczyć rozchodzące się drogi. W młodości widywałem takie rozdroża często i wyraźnie. Potem, gdy przywróciłeś mnie do życia, nie doświadczałem takiego widzenia przez długi czas. Dopiero gdy Pszczoła dotknęła mnie w tamten dzień targowy... To było niesamowite. Wystarczyło mi ją musnąć i od razu poznałem, że jest punktem na styku wielu ścieżek. Ona także je widziała. Musiałem ją odciągać, powstrzymywać, by nie dokonała zbyt pośpiesznego wyboru.

– Co stało się dalej? – zapytałem z przestachem.

Zaśmiał się.

– Potem chyba wbiłeś mi nóż w brzuch. Ładne parę razy, jak się zdaje, ale po dwóch straciłem rachubę.

– No tak. – Znowu ogarnął mnie chłód. – Nie sądziłem, że cokolwiek pamiętasz.

– Wsparł się o mnie. – Przepraszam.

– Na przeproszenie jest za późno. – Poklepał mnie po rękę dłonią w rękawicze, usiadł prosto i westchnął. – Już dawno ci wybaczyłem.

Co powiedzieć na takie stwierdzenie?

– W Trehaugu zobaczyłem „Niezrówanego” rozpromienionego najróżniejszymi możliwościami – podjął. – Były w tym widzeniu różne drogi. Jedne prowadziły z powrotem do Kelsingry, inne do samego Trehaugu, lecz te najjaśniejsze, najwyraźniejsze, najprostsze i najkrótsze wiodły do Clerres. A zaczynały się właśnie od żywostatku.

– Dlatego nalegałeś, żebyśmy na nim popłynęli...

– Teraz mi wierzysz?

– Wolałbym nie. Ale wierzę.

– Czuję dokładnie to samo.

Obaj zamilkliśmy. Ja czekałem. Po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że Błazen

głęboko śpi. Ułożyłem go na koi. Przypomniało mi się, jak przed laty podobnie kładłem do łóżka nękanego koszmarem Tafa. Błazen podciągnął kolana pod brodę, zwinął się w ciasny kłębek, jakby w obronie przed spodziewanym atakiem. Usiadłem na podłodze. Będzie spał i śnił, czy tego chce, czy nie.

Ja tymczasem postanowiłem użyć Mocy.

Powoli wypuściłem powietrze, obniżając równocześnie mury chroniące umysł, i natychmiast wyraźniej uświadomiłem sobie obecność statku.

– Wybacz – mruknąłem, jakbym potrafił obcego w tłumie.

Ominąłem go i sięgnąłem dalej, szukając nurtu magii. Znalazłem. Od miesięcy nie był tak spokojny. Przypominał niezmienny wiatr, napełniający nasze żagle, pchający nas przez fale. Zanurzyłem się w nim i dałem ponieść, moje myśli i wola popłynęły w stronę Koziej Twierdzy, do córki, do Pokrzywy.

Spała. Wsunąłem się w jej świadomość, obudziłem ją delikatnie.

„Jak się czujesz? Czy z dzieckiem wszystko dobrze?”

„Cierń umarł”.

Wiadomość pchnięta koniecznością przesłania. Tuż za nią żałoba, która wzbudziła mój jeszcze nieuformowany smutek. Jakiś czas nie istniało nic innego. Nie spytałem, jak. Był stary, zanosilo się na to od dawna. Pozbawiony dostępu do szczególnych ziół i odcinany od Mocy, dzięki której od lat się odmładzał, dogonił swój prawdziwy wiek.

„Czuję się winna. Podaliśmy mu koźle ziele, bo od czasu do czasu potężniał w Mocy. W jednej chwili był spokojny, w następnej przywodził na myśl gwałtowne porywy lodowatego wichru. Dwójka czeladników zrezygnowała z nauki, tak przerażające okazały się jego czary. Nawet Światła zaczęła obawiać się ojca w momentach przypływu czarodziejskich sił, bo chociaż broniła się, jak mogła, wciągał ją do strumienia magii. Była przerażona. Wszyscy się baliśmy! Dlatego zaordynowałam mu koźle ziele. Zmieniliśmy całą jego służbę, bo domyślałam się, że zaufani posłańcy przynosili mu nie tylko jedzenie i wino! Po trzech dniach udało się ujarzmić jego talent do korzystania z Mocy, a on sam... on się zestarzał. Zmienił się w uprzejmego, choć drażliwego i marudnego starca. Pozwoliliśmy mu znów widywać się z córką... wcześniej musiałam tego zabronić, a on najwyraźniej nie rozumiał, czemu nie pozwalamy mu na spotkania ze Światłą. W głowie mu się mieszało. Rozmawiał z Roztropnym z portretu... Och, Bastardzie...! Chyba umarł, przeklinając moje imię, miał mnie za kobietę bez serca. Odebrałam mu córkę i magię, pewnie uznał, że przez złośliwość. Tylko po to, by zyskać nad nim władzę”.

Zorientowałem się w obecności Rebusa. Pewnie obudził go płacz żony. W moim poczuciu był wokół niej zbroją, wykutą z metalu, mocno podtrzymującą moją

córkę. Gdyby ktoś chciał skrzywdzić Pokrzywę, musiałyby najpierw jego pokonać. Sądziłem, że smutek sparaliżował mnie całkowicie, lecz nagle wlała mi się do serca ulga.

„Cieszę się, że masz Rebusa”.

„Ja też. Powtórzę mu twoje słowa”.

„Ptaki przyleciały? Dostałaś najnowsze wieści?”

„Tak. List od Strzyka Cierń ścisnął w dłoni... Nie wiem, ile razy Światła mu go czytała. Bastardzie... Gdy go znaleźliśmy, miał na ustach uśmiech. Miły uśmiech, pełen spokoju”.

Coś sobie nagle uświadomiłem.

„Muszę zawiadomić Strzyka”. – I natychmiast: – „Nie dam rady”.

„Pierwsza myśl była właściwa. Musisz go zawiadomić. Tak jak ja ciebie”.

„Zrobię to”. Jeszcze nie wiedziałem jak ani kiedy, lecz zrozumiałem, że przekażę mu wieści. I Skierce także. Chyba w jakimś sensie zacząłem rozumieć wewnętrzny przymus Błazna, który mu kazał dzielić się snami. Nie chciałem zanosić smutnych wieści ani Strzykowi, ani Skierce. A z drugiej strony gorąco pragnąłem podzielić się z nimi żalobą, jakbym mógł dzięki temu rozłożyć ją na mniejsze ciężary.

„Właśnie” – zgodziła się ze mną córka. – „Cieszę się, że ty jesteś cały i zdrowy. Przez ostatnie dni wciąż na nowo usiłowałam cię osiągnąć, ciągle bez skutku. Ponieważ nikt inny też nie zdołał tego dokonać, obawialiśmy się najgorszego”.

„Jestem na żywostatku. On ma... przenikliwą świadomość”. – Również w tej chwili czułem wyraźnie jego obecność przy naszej rozmowie. – „Przykro mi, że się martwiłaś”.

„Rozumiem w czym rzecz. Zaraz obudzę króla, niech i jemu już będzie lżej na sercu”.

Całkiem niespodziewanie wylały się ze mnie następne myśli.

„Błazen śnił, że Pszczoła żyje. A ja, poprzednim razem w strumieniu Mocy, wtedy gdy Cierń tak raptownie nas rozdzielił, wyczułem córkę. Rozpoznałem ją”.

Zawiały między nami wiatry całego świata i fale ze wszystkich mórz zaszepotały na brzegach. Czy istniały bardziej wstrząsające wieści? Niż te, że Cierń zmarł, a Pszczoła żyła? Wysączyło się przeze mnie zaszokowanie córki.

„Gdzie jest? Czy zdrowa? Nie znęcali się nad nią? Czy sądzi, że ją opuściliśmy? Jak przetrwała podróż przez czarny kamień? Jak to możliwe, że się poddaliśmy?!”.

„Nie wiem”.

Właśnie to było najgorsze: tak mało wiedziałem. Nie zamierzałem zdradzać córce przy nadziei, że jej młodsza siostra była... a w zasadzie jest źle, okrutnie traktowana. Na ten temat gotów byłem kłamać z pełną świadomością. Nacierpiałem

się za nas oboje. Nie zamierzałem składać tego brzemienia na jej barki.

„Niewiele wiem, zaledwie musnąłem jej myśli. Płynie do Clerres, jak my. Nie wiem, czy znajduje się przed czy za nami. Tylko tyle, że jest na statku. Nic więcej. Śniła się Błaznowi, żywa. Niewiele tego, lecz jest na czym się oprzeć, można mieć nadzieję”.

Jej myśli nagle mnie zmiotły, niczym drobny paproch. Obudziła się w niej mistrzyni batalii.

„Zbiorę armię wojowników, wesprę ich talentem kręgów Mocy. Królowa Elliania podsuwała mi tę myśl nieraz. Ściągniemy do Clerres. Odbierzemy, co nasze, a po nas zostaną tylko trupy i zgłiszcza”.

„Nie! Na razie nie przysyłaj tu armii. Uznaliśmy, że najlepiej będzie załatwić sprawę po cichu”.

„Będziesz negocjował jej uwolnienie?”.

Nie przyszło mi to wcześniej do głowy. Wyruszyłem, by dokonać zemsty, planowałem wyłącznie zabijanie. A gdy dowiedziałem się, że Pszczoła nadal jest w rękach porywaczy, tym bardziej łaknąłem ich krwi.

„Na razie wciąż jestem na statku. Na miejscu podejmę decyzję, gdy ocenię stan rzeczy. Może istotnie będę negocjował”.

Różne są metody negocjowania. Mnie jako pierwszy przyszedł do głowy pomysł, by wziąć zakładników. Zdryfowałem myślami i Pokrzywa się w tym zorientowała.

„Jak się czujesz?” – spytałem.

„Jestem ociężała. Zmęczona. Szczęśliwa... czasami”.

Czasami. Pewnie wtedy, gdy uda się jej myśleć o dziecku, a nie o śmierci Ciernia lub niedoli młodszej siostry.

„Przykro mi, że cię obudziłem. I smutno z powodu odejścia Ciernia. Przekażę wieści Strzykowi. Powinnaś odpocząć”.

Zaśmiała się.

„Odpocząć... Myśląc o Pszczole w rękach porywaczy... Och, tato, czy życie będzie kiedyś proste i łatwe?”.

„Tak, kochanie, na kilka chwil. Tylko na kilka chwil”.

Usunąłem się z myśli córki, jakbym wyjmował rękę z jej dłoni. Jakiś czas jeszcze unosiłem się w Mocy. Ciekaw byłem, czy nie pozostały w nurcie ślady mojego mistrza Ciernia albo części króla Szczerego, a może nawet mojego ojca? Napotkałem różne istnienia. Nie miałem pewności, co to, wiedziałem jedynie, że były ode mnie większe. Większe? Bogatsze, głębsze, pełniej uformowane. Eda i El? Starożytni Najstarsi albo ludzie obdarzeni talentem do korzystania z Mocy, którzy osiągnęli bardziej esencjonalną obecność w nurcie?

Zebrałem się na odwagę.

„Pszczoło? Słyszysz mnie?”.

Uformowałem w myślach obraz kruchej dziewczuszki. Pszczółki. Widziałem ją oczyma wyobraźni, ubraną w niemodne ciuszki. Doskonale pamiętałem pełne wątpliwości spojrzenie. Poczulem niknący zapach wiciokrzewu w ciepły letni wieczór. A potem ujrzałem, jak bardzo ją zawiodłem, na wiele sposobów. Nie, stop. To w niczym nie pomagało. W ten sposób nigdy jej nie znajdę.

Odepchnąłem na bok niechęć i spróbowałem odbudować moment naszego zetknięcia. Zanim Cierń spadł na nas niczym szkwał na kruchą szalupę, gwałtowny, silny, groźny.

„Bastardzie! Chłopcze!”.

Jakieś echo z wartkiego nurtu Mocy. Krótkie wspomnienie, jak smuga perfum w letnim wietrzyku. Nie żyje. Martwy.

Wysunąłem się ze strumienia magii, otworzyłem oczy w ciemnościach kajuty Błazna. Nadal głęboko spał. Byliśmy sami. Siedząc na podłodze, podciągnąłem nogi pod brodę i wsparłem głowę na kolanach.

Chłopiec od Ciernia zapłakał.

Rozdział 23

Clerres

Nieoczekiwany syn przybywa spowity w moc, której nie widzi nikt, lecz każdy odczuwa. Połyskuje ona i zasnuwa jednako umysł i wzrok. W moim śnie jest on jedną, potem dwoma, a potem trzema wcieleniami. Rozsuwa płaszcz, a w jego wnętrzu płonie furia, płomienie tak silne, że odskakuję przed gorącym. Otula się płaszczem i znika.

Postać nieoczekiwanego syna ukazywała się w najróżniejszych formach, a śniono o nim sto dwadzieścia cztery razy. W ciągu ostatnich trzydziestu lat siedemdziesiąt razy. W każdym przypadku śniący mówił o złym przeczuciu. U części z nich jest to strach służącego oczekującego kary, u innych poczucie wstydu przed obliczem sprawiedliwości.

Ja śniłam o nieoczekiwanym synu jeszcze inaczej. Jestem przekonana, że to sen o nadciągającej sprawiedliwości i karze, które spadną na tych, co się najmniej tego spodziewają. Proroctwo objawiło mi się więcej niż tuzin razy. Moim zdaniem jest to nieunikniona przyszłość. Studiowałam inne sny o nieoczekiwanym synu, próbując dociec, skąd przybędzie i komu przyniesie sprawiedliwość. W żadnym nie znalazłam tej informacji.

Della z rodu Coratinów, sen nr 729

Nigdy nie widziałam miejsca dziwniejszego niż Clerres. Stałam na pokładzie, całkiem zapomniawszy o poleceniu Dwalii, które powinnam wykonać, i patrzyłam. Przede mną otwierała się przystań zbudowana na wodzie o nieprawdopodobnie intensywnym odcieniu błękitu. Otaczały ją kwadratowe budynki o płaskich dachach, z wieloma oknami, pomalowane na biało, różowo i bladozielono. Tu i ówdzie na dachu stały szpiczaste namioty. Gdzieniegdzie ze ścian spływały kaskady zieleni, ujmujące okna w liściaste ramy.

Dalej, za domami, wznosiły się łagodne wzgórza, powleczone barwami w najróżniejszych odcieniach brązu i złota. Z rzadka wyrastały drzewa o grubych pniach i rozłożystych konarach. Na jednym ze zboczy dostrzegłam rząd drzew, być może sad. Na łąkach widniały plamy stad zwierząt hodowlanych. Te biało-szare,

to zapewne owce. Inne – najwyraźniej bydło, lecz takie widziałam pierwszy raz w życiu: miało rozgałęzione poroże, a do tego garby na grzbiecie.

Na naszym statku już zwinięto żagle, spuszczone szalupy. Starannie przytroczono je cumami. Marynarze o nagich torsach z wysiłkiem ciągnęli wiosła, holując nas do przystani. Powoli, och, jak strasznie wolno, zbliżaliśmy się do brzegu.

Rozłożone tarasami miasto schodziło do zatoki ujętej w dwa łagodnie zaokrąglone ramiona brzegu. Jedno z nich było długim wąskim przylądkiem, na końcu nieoczekiwanie przedzielonym. Tuż za przerwą wypełnioną przez morze wznosiła się jakby odłamana od stałego lądu duża wyspa, na której wyrosła olśniewająco biała forteca. Sama wyspa także była biała i niemal tak samo błyszcząca. Zasypane kamieniami brzegi naprawdę iskrzyły się w słońcu. Kwarc. Kiedyś znalazłam taki błyszczący kamyk, wtedy Birbant wyjaśnił mi, co to takiego. Poza ścianami fortecy na brzegach nie było nic. Ani jednego drzewa, ani śladu zieleni. Można by odnieść wrażenie, że pewnego razu wyspa z czarodziejskim zamkiem wyskoczyła prosto z morza.

Mury zewnętrzne były wysokie i wykończone blankami. W każdym z czterech rogów stała solidna baszta, zwieńczona kopułą przywodzącą na myśl czaszkę jakiejś gigantycznej, przerażającej istoty. Puste oczodoły patrzyły na cztery strony świata. Otoczona murami zewnętrznymi wyrosła krzepka twierdza. Na każdym z czterech rogów miała smukłą wieżę, znacznie wyższą niż baszty, a każda z nich celowała w niebo iglicą, zakończoną krągłą przestrzenią, w której musiała znajdować się komnata. Kojarzyło mi się to z długą łodygą szczypiorku, gdzie na czubku powstało gniazdo nasienne. Nigdy w życiu nie widziałam wieży tak wysokiej, tak smukłej i tak lśniącej.

Nie mogłam oderwać wzroku od miejsca swojego przeznaczenia. Przyszłości.

Narastała we mnie rozpacz. Zdusiłam ją, choć nie było to łatwe. Bo i co za różnica? Byłam sama. Musiałam dawać sobie radę bez niczyjej pomocy. Od czasu, gdy ojciec mnie odtrącił, miałam dwa sny. Dwa sny, o których nie śmiałam nawet myśleć, ze strachu, że Vindeliar je spostrzeże. Przerazały mnie. Śmiertelnie. Obudziłam się w ciemnościach i zacisnęłam zęby na koszuli, by nikt nie słyszał mojego szlochu. Jednakże gdy się uspokoiłam, zrozumiałam. Nie widziałam swojej ścieżki dokładnie, wiedziałam natomiast, że muszę podążać nią sama. I zrozumiałam, dokąd prowadzi. Do Clerres.

Dwalia posłała mnie z brudnymi naczyniami do kambuza. Zwykle nie zlecała mi takich obowiązków, jednak tym razem najwyraźniej chciała zademonstrować Vindeliarowi, że nie tylko cieszę się jej zaufaniem, lecz także szybko urastam do roli faworytki. Płaszczenie się przed nią i czołobitność doprowadziłam do perfekcji,

wzniosłam się na wyżyny lizusostwa, na których on do pięt mi nie dorastał. Stale promieniowała ode mnie skrucha podbudowana niezłomną lojalnością. Sączyłam tę strugę w myśli Dwalii bez ustanku. Było to ryzykowne, gdyż oznaczało, że muszę bez przerwy mieć się na baczności przed Vindeliarem, pilnować, by nie wykorzystał okazji i nie dostał się do mojego umysłu. Odkąd napił się wężowego eliksiru, był groźny, dysponował naprawdę potężną magią, lecz z drugiej strony jego siła przypominała poczynania byka szarżującego na litą skałę. Ja nie byłam skałą. Ja byłam drobnym kamykiem, twardym jak orzech, pozbawionym kantów, za które mógłby chwycić. Nie raz czułam jego próby. Musiałam kurczyć się w umyśle, pilnować, by jedyne myśli, jakie mógł odkryć, nie miały nic wspólnego z moją rzeczywistością. Z ochotą podtykałam mu niewolnicze uwielbienie dla Dwalii.

Udawałam całkiem dobrze, także wówczas, gdy stojąc obok wanny, podawałam lingstrze ręcznik, a potem osuszałam jej pokryte odciskami stopy, łącznie z powykrzywianymi palcami. Masowałam jej nogi, aż mruzczała z rozkoszy, szykowałam ubrania, jakbym usługiwała osobie z rodu królewskiego, a nie znieawidzonej starej babie. Własna zdolność do oszukiwania budziła we mnie strach, bo wywoływała skojarzenia z całkowicie podporządkowanym niewolnikiem. Czasami obawiałam się, że te celowo narzucane myśli staną się w końcu moimi prawdziwymi doznaniem. Nie chciałam być niewolnicą, z drugiej strony jednak egzystencja bez gróźb i bicia pozwalała na tak cudownie swobodny oddech, że akceptacja takiego stanu była na wyciągnięcie ręki, jako najlepsze, czego mogłam oczekiwać od życia.

Poczułam znajomy ucisk w miejscu, gdzie znajdowało się serce. Słyszałam oczywiście o tym, że serce się ściska, że ciąży w piersi, że się kraje, lecz dotąd nie wiedziałam, iż właśnie tak czuje się człowiek, gdy zostaje sam, opuszczony przez cały świat. Patrzyłam na miasto, na zamek, na to miejsce, które z pewnością nazywało się Clerres, i usiłowałam sobie wyobrazić, starałam się uwierzyć, że jakoś dam radę sama ułożyć tam sobie życie. Straciłam nadzieję na powrót do domu. Doskonale pamiętałam dotyk myśli ojca, nie mogłam wyrzucić z pamięci, jak mnie odtrącił, jak mną wzgardził, jak mnie odepchnął gwałtownie, aż obudziłam się rozdygotana i chora. Sięgnęłam wtedy do wilka-ojca, jednak on też niewiele rozumiał. Cóż. Stało się. Zostałam sama. Nikt nie przybędzie mi na pomoc. Nikogo nie obchodził mój los.

Wiedziałam o tym wszystkim już od jakiegoś czasu, fakty docierały do mnie znacznie bardziej wyraziście nocą niż za dnia. W dzień musiałam słuchać Dwalii, uważać na Vindeliara, nie miałam czasu na rozmyślanie. Byłam zbyt zajęta ochroną myśli przed lurikiem oraz płaszczaniem się przed Dwalią, udowadnianiem,

że jestem jej całkowicie oddana i bezwzględnie posłuszna. Od rana do wieczora świadomość, iż ojciec mnie opuścił, trawiła mnie stałym, niesłabnącym bólem, równie wszechobecnym jak otaczająca nas woda. Za dnia moje przetrwanie płynęło morzem poczucia krzywdy. Nocą opadałam pod wodę, tonęłam. Samotność zagarniała mnie na wyłączność, a działo się tak każdego wieczoru, od chwili gdy ojciec mnie odtrącił. Usiłowałam przekształcić jego wzgardę w jakieś inne uczucie, jednak przypominało to próby złożenia filizanki ze skorup rozbitego kubka. No i były przecież jeszcze inne głosy. Jeden należał być może do mojej siostry, choć nie miałam pewności. Słyszałam cały chór, w tym jeden głos krzyczał i grzmiał. Nie wiedziałam, w jaki sposób rozbudziłam te dźwięki, zdawałam sobie jednak sprawę, że ojciec wyczuwał moją obecność. „Uciekaj!” – nakazał mi, jakby nam coś groziło, lecz sam nie uciekł. Nie ochronił mnie, nie zabrał w bezpieczne miejsce. Został w tej nawałnicy głosów. Ich wszystkich słuchał, im poświęcał uwagę, tylko mnie jedną odsunął. A gdy ośmieliłam się zawołać go ponownie, odepchnął mnie mocno i zdecydowanie, szorstko. Odepchnął mnie z taką siłą, że za nic w świecie nie mogłam przy nim zostać, nawet gdybym bardzo chciała. Odpadłam od niego, straciłam nadzieję na ratunek, na powrót do życia, w którym jest obecna choć odrobina dobroci. Stoczyłam się w głąb siebie, wpadłam we własną maleńką samotność, a tam już na mnie czekał Vindeliar, napierający na krańce mojego umysłu. Nie śmiałam nawet zapłakać.

Pilnie uszczelniłam, pogrubiałam i podwyższyłam mury chroniące umysł, tak jak kazał wilk-ojciec. Gdy osłaniałam umysł starannie, nikt nie mógł się do mnie dostać, wtedy miałam prawo żywić nadzieję, że już nigdy więcej nikt nie dotknie moich myśli. Nie tęskniłam za sympatią, a co dopiero miłością. Wiedziałam też, że nigdy nikogo nie polubię.

Ból serca zmienił się nagle w ból brzucha. Połączył się z cierpieniem powodowanym przez zatrzymywanie snów. Przecież nikomu o nich nie mówiłam ani ich nie zapisywałam. A o snach, które przychodziły do mnie teraz, nie śmiałam nawet myśleć. Były przerażające i czarujące zarazem. Uwodziły mnie i budziły trwogę. Wołały, bym je urzeczywistniła. I z każdym dniem podróży wydawały się prawdziwsze, jakbym docierała do nieuniknionej przyszłości, którą sama spowoduję.

Zamknęłam oczy, tylko na chwilę, zaraz ponownie je otworzyłam. Objęłam spojrzeniem pastelowe miasto, skupiłam się na jego urodzie, wyobraziłam sobie, że mogłabym tam wieść szczęśliwe życie. Spacerować po ulicach, witać się ze znajomymi, pobiec załatwić coś dla Dwalii. A któregoś dnia bym uciekła.

Nie. To niepotrzebna myśl, zbędny plan. Jeszcze nie teraz.

Śliczne było to miejsce, w sam raz, by w nim zamieszkać. Na pewno będę tu szczęśliwa. Wypuściłam strużkę tej myśli. Odkryłam niedawno, że mogłam podsuwać Dwalii różne przekonania na większą odległość, nawet gdy jej nie widziałam. Teraz już znałam kształt jej umysłu. Vindeliara też. Na próbę pchnęłam ku niemu odrobinę swojego wyobrazonego szczęścia. Przez chwilę czułam jego ciepło, lecz zaraz plasnął moją koncepcję i odpłynęła. On nie umiał sprawić, by jego myśli do mnie trafiały. Czasami mu się udawało, przypuszczam jednak, że była to kwestia przypadku, a nie skutek celowego działania. Nie słyszałam bezpośrednio jego osądu, lecz wiedziałam, iż mi nie ufa. A za brakiem zaufania tkwiło poczucie krzywdy. Gdyż Vindeliar naprawdę wierzył, że stanę się jego bratem i pokocham go jak nikt. Widział naszą wspólną ścieżkę, której mi nigdy nie było dane zobaczyć.

Przez moment zakłuła mnie wstydliva myśl, że lurik może czuć się równie osamotniony jak ja. Szybko wyrzuciłam ją z głowy. Nie. Pomógł mi porwać, ułatwił zniszczenie mojego domu, oszukał mnie, ponosił odpowiedzialność za zamordowanie jedynej osoby, która okazała mi serce w czasie tej koszarnej podróży. Nie miał prawa oczekiwać, że w zamian za takie czyny ktokolwiek obdarzy go ciepłym uczuciem. Takie wnioski budziły we mnie gniew. Gniew to silna emocja, a ja już wiedziałam, że silne emocje robiły wyłom w murze chroniącym mój umysł. Wobec tego zabroniłam sobie gniewu. Ponieważ jednak wszystko w sobie dusiłam, żołądek miałam wciąż boleśnie ściśnięty. Trudno. Jak trzeba, to trzeba. Raz jeszcze zwróciłam wzrok na piękne miasto, stworzone z domów o regularnych kształtach, przywodzących na myśl ciasteczka ułożone na wystawie. Będzie mi się tutaj wspaniale żyło. Przywołałam na twarz pogodny uśmiech i ruszyłam z tacą do kuchni. Wracając do kajuty kapitańskiej, musiałam uskakiwać z drogi żeglarzom. W miarę, jak zbliżaliśmy się do celu podróży, mieli coraz więcej pracy. Jeden zaklął siarczyście, widać byłam zbyt ślamazarna. Należało zabezpieczyć zebrane żagle. W tym samym czasie podpływały do nas najróżniejsze łódki. Na pokładzie czekały zwinięte liny. Już wchodziliśmy do przystani. Wkrótce mieliśmy znaleźć się na miejscu.

Na wypadek gdyby kapitan w ostatniej chwili wpadł z wizytą, zastukałam do drzwi. W odpowiedzi usłyszałam miłe słowa zaproszenia.

– Pakuj bagaże! – rozkazała mi Dwalia ostro, gdy tylko weszłam.

Wskazała rozrzucone ubrania, które najwyraźniej właśnie przymierała. Kapitan w każdym porcie obsypywał ją podarunkami. Naprawdę nie miałam pojęcia, co zamierała z nimi zrobić, gdy przestanie być panną Obrecją. Tak czy inaczej, zabrałam się do wykonywania polecenia, a ona starannie układała w precudnej urody gęsto tkanym szalu biżuterię, także otrzymaną w prezencie od kapitaana. Na

koniec zwinęła całość w rulon, sukcesywnie podkładając brzegi do środka, i w ten sposób uzyskała niewielki tłumoczek. Do tego czasu prawie skończyłam składanie do kufra warstw koronek i tkanin lekkich jak mgiełka.

– Przykro ci będzie rozstać się z nim, pani? – wyrwało mi się znenacka, a gdy Dwalia ściągnęła brwi, dodałam pośpiesznie: – Dobrze być z kimś, kto człowieka docenia, widzi jego zalety.

Przyjrzała mi się zmrużonymi oczyma. Troszkę przesadziłam z komplementami. Trudno, co się stało, to się nie odstanie. Powoli zmieniłam wyraz twarzy z pytającego na bezmyślny i odwróciłam się do kufra, by pozapinać sprzączki. Dyskretnie zerknęłam na lurika. Powoli wkładał swoje rzeczy do worka. Odkąd zostałam ulubienicą Dwalii, lingstra coraz mniej od niego wymagała. Z początku spodziewałam się, że będzie mi wdzięczny za to, że ma mniej obowiązków, lecz fakt, iż był coraz bardziej ignorowany, tylko podsycił jego wrogość. Miałam niemiłe poczucie, że coś knuje, lecz jeśli tak było rzeczywiście, dobrze się ukrywał. Ja także miałam plan, który powoli nabierał kształtów. Nie śmiałam się nad nim zastanawiać, by Vindeliar nie znalazł w moich myślach nawet najlżejszego śladu. Powinnam była właśnie taki projekt naszkicować dawno, jeszcze zimą, od razu, gdy mnie porwali.

Nie. Nie wolno o tym myśleć, gdy nie śpią. Przywołałam w pamięci pastelowe domki i oczekiwanie na szczęśliwe życie w pięknym mieście.

– Tak, smutno mi będzie się z nim rozstać – przyznała Dwalia wreszcie. Wyprostowała się, zaczerpnęła głęboko tchu. – Ale nie dla mnie takie życie. Żaden mężczyzna, niezależnie od swojego statusu i uczuć, nie będzie decydował, co powinno do mnie należeć. – Wydawała się niemal rozgniewana, że kapitan dobrze ją traktował. Odwróciła się do lurika. – Pamiętasz, co masz zrobić po zejściu z pokładu?

– Tak – odparł naburmuszony.

Lingstra przechyliła głowę i przyjrzała mu się uważnie.

– Na pewno dasz radę?

– Tak.

Na mgnienie oka przeskoczył wzrokiem na mnie, a ja poczułam się nieswojo.

– Doskonale.

Przyglądziła suknię, poprawiła włosy. Tego ranka zaplotłam je w warkocz i starannie upięłam w kok z tyłu głowy. Teraz, upewniając się, że każdy splot jest na swoim miejscu, zrobiła to takim gestem, jakby była piękną kobietą, za jaką uważał ją kapitan. W uszach miała długie, błyszczące kolczyki, a na szyi kolię – siateczkę ze srebrnych kółek usianą drobnymi, lśniąco-klejnotami. Twarz jednak pozostała

bez zmian: pospolita, okrągła, zeszpecona przez bliznę. Sądząc po tym, czego dowiedziałam się ze zwojów ojca, podejrzewałam, że magia rodu Przezornych mogłaby w tym przypadku być ogromnie pomocna, jednak tego lingstrze nie zdradziłam. Taka informacja mogła się okazać cenną kartą przetargową, może argumentem za tym, by mnie utrzymać przy życiu. A przynajmniej mogła zaciekawić lingstrę na tyle, by pozwoliła mi żyć nieco dłużej. Pracowicie odbudowywałam w myślach jej obraz z naszego pierwszego spotkania. Wydała mi się wtedy dobra, opiekuńcza, troskliwa. Za sprawą magii Vindeliara.

– Czy wiedzą, że wracamy? – Lurik odważył się zadać pytanie. – Symphe i Felodi?

Dwalia milczała tak długo, że uznałam, iż nie odpowie.

– Krótka wiadomość, jaką można wysłać przez ptaka – odezwała się jednak – tylko by ich zdeorientowała. Wyjaśnię wszystko sama, gdy przed nimi stanę.

Vindeliar zatchnął się lekko, jakby ten pomysł go wystraszył.

– Będą zaskoczeni, widząc nas tylko we dwoje.

– We dwoje? – warknęła. – Dostaną to, co im obiecałam: nieoczekiwanego syna.

Vindeliar przeskokczył na mnie spojrzeniem. Oboje wiedzieliśmy, że lingstra już nie wierzy, iż jestem nieoczekiwanym synem. Moim zdaniem powinien był siedzieć cicho, lecz on nie miał dość rozumu.

– Pszczoła jest dziewczynką.

Dwalia zacisnęła pięści.

– To bez znaczenia! Nie wymądrzaj się, jak czegoś nie rozumiesz! Ja wiem swoje i ja się wszystkim zajmę. A ty milcz. I nikomu nie opowiadaj, czy to syn, czy córka. W ogóle się nie odzywaj, zrozumiałeś?! Nawet ty powinienes to pojąć! Po prostu milcz!

Otworzył usta, jednak zaraz je zamknął i tylko gwałtownie pokiwał głową. Dwalia podeszła do okna, wyjrzała na bezkresne, błękitne morze. Chyba wołałaby nie wracać do domu.

W wolnej chwili, gdy akurat nie miała dla mnie nowych poleceń, zrobiłam, co mogłam, by przygładzić włosy. Udało mi się też opłukać ręce – w wodzie, w której wcześniej ona się umyła – i przetrzeć twarz szmatką. Ubranie miałam zniszczone, ale przynajmniej dość czyste. Najgorszą koszulę przeznaczyłam na tłumok i w nią spakowałam pozostałą odzież. Związałam rękawy i przewiesiłam ją sobie przez ramię. Już postanowiłam, kim będę: grzecznym dzieckiem, uprzejmym, niegroźnym i nieszkodliwym, pragnącym przypodobać się Dwalii. Byle tylko nikt się mnie nie obawiał i nie podejrzewał, z kim naprawdę ma do czynienia.

Usłyszeliśmy okrzyki marynarzy, odgłosy miasta przybierały na sile.

Podchodziliśmy do jednego z pomostów, wyciągniętych na wodzie niczym rozczapierzone palce stanowiące przedłużenie ruchliwych ulic. We dwójkę z Vindeliarem z niemałym trudem wystawiliśmy z kajuty kufer pełen bogatych strojów. Tłumoczek z biżuterią Dwalia włożyła do ślicznej wyszywanej torebki, którą sama niosła. I tak staliśmy, na szczęście nie zawadzając marynarzom, i czekaliśmy, aż statek zostanie przycumowany, a załoga rzuci trap.

Dopiero wtedy podszedł do nas kapitan. Ujął w ręce obie dłonie lingstry, ucałował ją wstrzemięźliwie w policzek i powiedział, że już wyprawił umyślnego, który znajdzie kwatery w czystej, przyzwoitej gospodzie. Z żalem dodał, iż nie będzie mógł dotrzymać swej pani towarzystwa, lecz przynajmniej pośle z nami dwóch silnych ludzi, by ponieśli kufer i dopilnowali, żeby bezpiecznie dotarła na miejsce. Obiecał wybrać się z nią do zamku, by poznać jej przyszłość, gdyż miał nadzieję odegrać w niej niepoślednią rolę.

Panna Obrecja wdzięczyła się, krygowała i dziękowała serdecznie. Eleganckie łuki piór na kapeluszu tańczyły na wietrze. Przypomniała kapitanowi, że ma on własne sprawy do załatwienia w Clerres, ale miło jej będzie zobaczyć się z nim wieczorem, a kufrem zaopiekuje się jej własna służba, nie ma potrzeby przydzielania eskorty. Kapitan ściągnął brwi zatroskany o swoją ukochaną. Szybko jednak, za sprawą Vindeliara, odzyskał pogodę ducha. Oczywiście nic złego się nie stanie, panna Obrecja jest bezpieczna, nie ma powodu do obaw. Jest równie zaradna, jak śliczna, a przy tym uwielbia być niezależna, co jemu się w niej ogromnie podoba.

Odprowadził nas zatem do końca pomostu. Tam ponownie ujął dłonie Dwalii, zajrzał jej w oczy.

– Uważaj na siebie, najdroższa – przestrzegł i pochylił głowę, by raz jeszcze złożyć pocałunek na wargach miłości swego życia.

Bezbłędnie wyczułam podstęp Vindeliara: w chwili gdy usta kapitana zbliżały się do twarzy lingstry, lurik usunął iluzję. Mężczyzna zobaczył swoją wybrankę bez otoczki magii. Cofnął się odruchowo. Już w następnej chwili Vindeliar przywrócił Dwalii czarodziejski wdzięk i urok, lecz kapitan zdążył odsunąć się o krok. Zamrugał, przetarł oczy i uśmiechnął się głupkowato.

– Za mało sypiam. Proszę bardzo, wychodzę na stały ląd i w głowie mi się mąci, gdy pokład nie ucieka spod stóp. Panno Obrecjo, do zobaczenia wieczorem. Zjemy razem kolację.

– Z przyjemnością – obiecała słodkim głosem.

Kapitan pokręcił głową, potarł czoło i zawrócił na statek. Wszedłszy na pokład, obejrzał się na nas, a wówczas Dwalia uniosła rękę obleczoną w koronkową rękawiczkę i mu pomachała. Uśmiechnął się szeroko, jak młody chłopak,

odpowiedział szerokim gestem i wrócił do obowiązków. Staliśmy jeszcze chwilę zapatrzeni na statek. Rozzłoszczona lingstra wyglądała już nie tyle pospolicie, ile wręcz prostacko. Vindeliar udawał niewiniątko.

– Zobaczył mnie – powiedziała Dwalia cicho, kipiąc z wściekłości. – Pokazałeś mi, jak wyglądam naprawdę.

Lurik zawiesił spojrzenie gdzieś w oddali.

– Możliwe, że na moment straciłem nad nim panowanie. – Przeniósł wzrok na lingstrę, po czym znów zapatrzył się w dal. Ja ujrzałam w jego oczach mściwą satysfakcję, ale nie wiem, czy Dwalia również zdążyła ją spostrzec. – Trzeba dużo siły na podtrzymanie tak potężnej iluzji – podkreślił. – Kapitan nie jest łatwowierny. Przedstawianie cię, lingstro, całej załodze w postaci panny Obrecji też nie było łatwe. A pokazywanie cię kapitanowi w zupełnie innej postaci niż prawdziwa, i to przez caluteńki czas, gdy był z tobą, wyczerpało mnie prawie całkowicie. Teraz jest dobry moment, żebyś dała mi...

– Nie tutaj! – ucięła. Oboje nas zgromiła wzrokiem. – Bierzcie ten kufer i chodźcie.

Vindeliar chwycił za jedną rączkę, ja po drugiej stronie i ruszyliśmy. Właściwie bagaż nie był bardzo ciężki, natomiast lurik okazał się okropnym słabeuszem. Co chwila zmieniał rękę, włókł się, jakby w ogóle nie miał sił. Kufer obijał się o bruk, podskakiwał na kocich łbach, od czasu do czasu uderzał mnie w biodro albo w nogę. Co jakies sto kroków Dwalia musiała się zatrzymać i czekać, aż ją dogonimy. Vindeliar cały czas robił, co mógł, by ukryć jej prawdziwy wygląd, dlatego też niektórzy mężczyźni przystawali, by rzucić na nią spojrzenie pełne podziwu. Jakies dwie kobiety głośno wyraziły zachwyt na widok kapelusza i sukni. Dwalia kroczyła dumnie wyprostowana, a gdy przystawała i odwracała się do nas, dostrzegalam w jej oczach błysk zadowolenia, jakiego nie widziałam u niej nigdy wcześniej.

Podążaliśmy między ludźmi dla mnie całkiem egzotycznymi. Mijaliśmy żeglarzy, kupców, robotników... Tak się, w każdym razie, domyślałam, a wszyscy oni byli odziani w barwne i ogromnie różne stroje. Widziałam chłopca o włosach koloru rdzy, ręce miał całe w plamkach, jak ptasie jajo. Napotkaliśmy pewną kobietę niewyobrażalnie wysoką. W życiu nie widziałam człowieka podobnego wzrostu. Nagie, brązowe ramiona miała caluteńkie pokryte białymi tatuażami: od czubków palców, po barki. Widziałam łysą dziewczuszkę w różowej sukieneczce, podskakującą u boku tak samo łysej matki, o wargach ujętych w ramkę drobnych klejnotów. Obejrzałam się za nią zaciekawiona, jakim sposobem drogie kamienie nie odpadają od skóry, i niestety w tej samej chwili wyrznęłam piszczelą o kufer, tym samym miejscem, gdzie już miałam siniak.

Czułam wyraźnie, że Vindeliar ma kłopot z równoczesnym taszczeniem bagażu i podtrzymywaniem wizerunku panny Obrecji.

– Znowu stajesz się bezużyteczny – stwierdziła Dwalia, gdy po raz trzeci przystanęła, by na nas zaczekać. – No cóż, nie musisz się tak bardzo przykładać. Od tej chwili wystarczy, jeśli ludzie nie będą zwracali na nas uwagi. Tylko tyle.

– Spróbuję.

Uroda zniknęła. Dwalia stała się osobą zwyczajną, a nawet więcej: banalną, niewartą uwagi.

Lingstra brnęła przez tłum, który niechętnie ją przepuszczał, my wlekliśmy się noga za nogą. Czułam, bez najmniejszych wątpliwości, jak magia Vindeliara słabnie. Zerknęłam na niego z ukosa. Pocił się z wysiłku. Ledwo dawał radę taszczyć kufer i równocześnie podtrzymywać czar. Magiczna siła zamierała niczym nikły ogieniek na wilgotnej kłodzie.

– Nie mogę – sapnął i się poddał.

Dwalia zgromiła go wzrokiem. Czy wiedziała, że już nie potrafił jej ukrywać? Chyba tak, bo od jakiegoś czasu ludzie zaczęli się za nią oglądać. Jakaś kobieta skrzywiła się na widok blizny, pulchny maluch wyjął palce z buzi, wskazał na lingstrę i o coś zapytał. Matka uciszyła go i szybko odciągnęła. Dwukrotnie zauważyłam, jak osoby o bardzo białej skórze przystanęły, jakby miały zamiar przywitać się z lingstrą, lecz ona nie zwolniła kroku. Skoro przechodnie się na nią gapili, pewnie zdawała sobie sprawę, że widzą jej prawdziwą twarz.

Jakiś marynarz z siwą brodą cmoknął z niesmakiem.

– Ale raszpla! – rzucił do swojego kompana.

– Ale w kapeluszu!

I obaj wybuchnęli śmiechem.

W pewnym momencie Dwalia nagle się zatrzymała. Nie obejrzała się na nas, nie sprawdziła, czy ją dogoniliśmy.

– Zostawcie go – rzuciła przez ramię. – Żadnej z tych rzeczy więcej na siebie nie włożę. Tu go zostawcie.

Wyjęła szpilki przytrzymujące kapelusz, zerwała go z głowy i rzuciła na ziemię.

Ze zdumieniem patrzyłam, jak odchodzi. Przysięgłabym, że tłumiała łkanie.

Vindeliar puścił uchwyt i kufer z jego strony huknął o bruk. Mnie zajęło jeszcze chwilę zrozumienie, że lingstra mówiła poważnie. Nie obejrzała się na nas, po prostu szła przed siebie, więc zanim ją dogoniliśmy, oboje ledwo łapaliśmy oddech. Uświadomiłam sobie, że w ciągu całej podróży niewiele chodziłam, a wcale nie biegałam, dlatego niełatwo było mi dotrzymać Dwalii kroku. W efekcie nie miałam czasu rozglądać się dookoła i tylko ledwo zerkałam na świetnie utrzymane miasto

o szerokich ulicach. Mieszkańcy wydawali się czyści, ubrani w odzież prostą, lecz zadbaną. Większość kobiet nosiła szerokie spódnice sięgające zaledwie do kolan, ściągnięte w talii szerokim pasem. Do tego bluzki bez rękawów, a jeśli już rękawy były, to miały kształt dzwonów i sięgały nadgarstków, na nogach – sandały. Mieszkanki Clerres, nawet ciemnowłose nie miały loków. U mężczyzn przeważały spodnie równie krótkie jak kobiece spódnice. Niektórzy nosili kamizelki włożone na gołe ciało. Pewnie miało to sens w tutejszym klimacie, jednak mnie wydawali się półnaczy. Przeciętnie tubylcy byli wyżsi niż mieszkańcy Królestwa Sześciu Księstw i mieli jaśniejszą skórę: tutaj nikt się za mną nie oglądał. Aha, i nie widziałam ani jednego żebraka.

Po jakimś czasie zostawiliśmy za sobą nadbrzeże, magazyny i tawerny. Minęliśmy też kilka tych domów, pomalowanych na różowo i bladeżółto, które widziałam z pokładu statku. Pod oknami wisiały skrzynki z kwiatami, przy drzwiach stały ławki. Okiennice pootwierano szeroko, gdyż dzień był piękny. Zajrzawszy do wnętrza jednego z różowych budynków, zobaczyłam w zacienionym pomieszczeniu rząd furkoczących kół i prządki, usłyszałam klekotanie krosien. Z innego z mijanych domów dobywał się zapach świeżego chleba. Gdziekolwiek spojrzałam, widziałam czystość i porządek. Całkiem nie tak wyobrażałam sobie Clerres. Sądząc po okrucieństwie Dwalii, spodziewałam się ponurego miasta z mieszkańcami przepełnionymi nienawiścią, a nie przybranego w pastelowe barwy spokojnego dostatku.

Na drodze za miastem też panował gęsty ruch. Podobnie jak w części portowej, tak i tutaj śpieszący obok nas ludzie byli ogromnie różni. Większość miała jasną skórę oraz włosy i była ubrana jak mieszkańcy Clerres, jednak łatwo dawało się dostrzec obcokrajowców i przybyszów z dalekich stron. Inną wyróżniającą się grupą byli mężczyźni i kobiety w mundurach straży, naznaczonych emblematem ze skręconą gałązką winorośli. Wielu z nich otwarcie badało wzrokiem zabliznioną ranę na twarzy lingstry, niektórzy chyba rozpoznawali Dwalię, lecz nikt się z nią nie witał. Ci ostatni wydawali się wręcz wstrząśnięci albo odwracali wzrok. Ona, ze swojej strony, z nikim nie miała zamiaru wymieniać grzeczności, zdążyła naprzód szybkim krokiem, co oznaczało, że wymijaliśmy większość idących w tym samym kierunku.

Droga na białą wyspę prowadziła wzdłuż wybrzeża. Woda omywała plażę. Szarobiałe piasek błyszczał na granitowych głazach. Sama droga była gładka i równa, mijała domy rozdzielone ogrodami warzywnymi. Tu i ówdzie widniała altanka. Widziałam dzieci, wszystkie w podobnych luźnych strojach. Bawiły się na podwórzu albo na stopniach prowadzących do wejścia. Nie potrafiłam określić płci.

Dwalia nadal szła żwawym krokiem. W którymś momencie wyciągnęła z włosów ostatnią spinkę, a wtedy warkocze zwisły jej przy twarzy. Zdjęła naszyjnik, wyjęła kolczyki z uszu. Już myślałam, że biżuterię też odrzuci na bok, ale nie, włożyła ją do torebki. Razem z klejnotami zniknęły ostatecznie ślady panny Obrecji. Nawet elegancka suknia wydawała się raczej dziwaczna niż śliczna.

Ku własnemu zdziwieniu odkryłam, że dotarły do mnie odczucia lingstry. Nie buchała nimi na wszystkie strony, jak mój ojciec... tak, pamiętałam doskonale: jego emocje i myśli kłębiły się i kipiały, atakując moje zmysły... to dlatego przede wszystkim nauczyłam się chronić własny umysł. To, co docierało do mnie od Dwalii, nie było nawet w części tak silne. Chyba wyczuwałam jej nastrój, ponieważ od długiego czasu ostrożnie wsuwałam w umysł tej kobiety macki sugestii. Wilk-ojciec miał rację: wejście było równocześnie wyjściem. I teraz emocje Dwalii zaczęły przesączać się do mojej świadomości. Poznałam złość, że nigdy nie byłam piękna, nie czułam się kochana, jedynie tolerowana ze względu na swoją użyteczność. Serce rwało się do czasów, gdy zasłużyłam na miłość i odpłacałam gorącym uczuciem. Zobaczyłam wysoką postać, ze schyloną głową i uśmiechem na ustach. Błada kobieta. Ten obraz szybko zniknął, jak przysypany gradem lodowych sopli. Im bliżej wyspy, tym silniej odczuwałam potrzebę szukania usprawiedliwienia, a źródło miała ona w gniewie. Musieli uwierzyć, że nie zawiodła. Nie dopuści do tego, by z niej kpili albo ją karcili.

A zemsta będzie słodka.

Zatrzymała się raptownie, całkiem jakby poczuła muśnięcie mojej świadomości. Obrzuciła nas oboje srogim spojrzeniem.

– Prędeż! – warknęła. – Odpływ się zaczyna. Chcę być pierwsza, a nie potem czekać nie wiadomo ile w tłumie petentów. Vindeliarze, podnieś głowę. Wyglądasz jak wół ciągnący do rzeźni. A ty, bachorze, trzymaj język za zębami. Kiedy Rada Czworga będzie mnie słuchała, nie masz prawa słowem się odezwać! Zrozumiano?! Ani słowa, bo przysięgam, że rozedrę cię na strzępy!

Była to pierwsza pogroźka pod moim adresem od ładnych kilku dni, lingstra mnie zaskoczyła, przyznaję. Vindeliar usłuchał, uniósł głowę, ale chyba bardziej ośmieliła go wymierzona we mnie agresja niż rozkaz. Zobaczył, czarno na białym, że właśnie wypadłam z łask jego pani, a przynajmniej zostałam z nim zrównana. Nadal powłóczył nogami, jednak teraz robił to szybciej.

Obawiałam się spotkania z Radą Czworga i bardzo chciałam o nią wypytać, lecz postanowiłam się nie odzywać. Vindeliar kilkakrotnie na mnie spojrzał, wyraźnie z nadzieją, że go zagadnę. Nie doczekał się.

Kilka razy mało brakowało, a zaczęłabym myśleć o swoich sekretnych planach,

lecz zdławiłam niebezpieczeństwo w zarodku. Będę szczęśliwie żyła w Clerres. Tylko tego pragnęłam. Być potrzebną, użyteczną. A gdy czułam na sobie spojrzenie lurika, odpowiadałam pogodnym uśmiechem. I przy tym ledwo powstrzymywałam głośny śmiech na widok jego miny.

Zostawiliśmy domy mieszkalne za sobą i zbliżyliśmy się do wyjątkowo okazałego budynku z białego kamienia. Ani śladu wdzięku, sama racjonalność. Obok ciągnęły się obszerne stajnie, dalej kuźnia i kilka wydzielonych przestrzeni, gdzie odbywały się ćwiczenia dla wartowników. Pot ściekał z tych ludzi strumieniami. Dowodzący głośno wydawał rozkazy, a echo niosło jego słowa odbite od ścian. Wartownicy posłusznie rzucali się na siebie, zderzali i wycofywali, wzbijając tumany kurzu.

Następnie znaleźliśmy się w miejscu, które najbardziej kojarzyło mi się z targiem z okazji zimowego święta. Przeważały tu przysadziste kamienne chatki z markizami, chętni ustawiali się w kolejkach do wejścia. W cieniu pod płóciennymi daszkami ludzie o skórze bielszej niż moja, o puszystych białych włosach siedzieli w krzesłach zdobionych bogato niczym trony. Niektórzy sprzedawali małe zwoje papieru. Obok innych stały komódki podobne do tej, jaką widziałam w porcie u wróżbity, który powiedział nam, że do Clerres pływa „Róża Morska”. Niektórzy spowici byli w egzotyczne szale, odziani w koronkowe bluzki, w uszach mieli błyszczące kolczyki. Inni byli ubrani w stroje proste, jednobarwne, jasnożółte, bladoniebieskie albo różowe. W jednym miejscu spostrzegłam wielką kryształową kulę na zdobionym postumencie, a białoskóra osoba – on czy ona, trudno powiedzieć – zaglądała w nią oczyma o tej samej barwie, co oczy pstrąga. Obok stała jakaś kobieta, ściskając dłoń młodego człowieka.

Byli tam też inni handlarze: z wyglądu podobni do tych, co siedzieli na tronach, lecz młodszy. Nieśli przez tłum tace, zachwalając głośno, głosami przenikliwymi jak wołanie mew nad przystanią, amulety zapewniające szczęście, poczęcie u kobiety albo płodność u owiec, a także dobre zbiory lub spokojny sen dziecka przez całą noc.

W niektórych budkach można było kupić jedzenie: przysmaki słodkie i wytrawne. Kuszące zapachy przypomniały mi, że nie jadłam od świtu, a od tamtej pory zwijam się jak w ukropie, lecz Dwalia nie miała zamiaru choćby zwolnić. Mogłabym całe popołudnie spędzić na zwiedzaniu tego bazaru, lecz ona parła naprzód, nawet nie zerknąwszy na prawo czy lewo.

Raz usłyszałam szeptać:

– To na pewno ona! Dwalia!

Ktoś inny odpowiedział:

– Gdzie, w takim razie, wszyscy inni? Tylu ich wyruszyło, na pięknych białych

rumakach...

Lingstra też to słyszała, jednak nie dała nic po sobie poznać. Szybkim krokiem minęliśmy ludzi ustawionych w napuchniętej kolejce. Niektórzy nas przeklinali, inni z oburzeniem wytykali nam niestosowne zachowanie, lecz Dwalia nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Zatrzymała się dopiero na samym początku kolejki. Tam krótka grobla z kamienia i piasku prowadziła do wysokiej bramy z żelaznych prętów. Tuż za nią kończyła się gwałtownie zanurzona w wodzie. A za wodą, na kamienistej wyspie, wznosiła się biała twierdza.

Przed żelazną bramą tkwiło czworo wartowników: dwoje z pikami w dłoniach niewzruszonym wzrokiem obserwowało gęstniejący tłum. Druga para była uzbrojona w miecze. Wszyscy niebieskoocy i ciemnowłosi, muskularni, atletycznie zbudowani, nawet kobiety były wyższe niż mój ojciec. Dwalia podeszła do nich.

– Przejdę jako pierwsza – oznajmiła. – Teraz.

– Nic podobnego. – Mężczyzna, który się do niej odezwał, nawet na nią nie spojrzał. – Staniesz na końcu kolejki i poczekaś jak wszyscy. Gdy woda odsłoni całą groblę, zaczniemy wpuszczać pielgrzymów, w należyтым porządku, parami. Tak się to odbywa.

Dwalia podeszła bliżej.

– Wiem, jak to się odbywa – wycodziła przez zaciśnięte zęby. – Należę do ścisłego kręgu wybranych. Jestem lingstra Dwalia. Wróciłam. Rada Czworka zechce wysłuchać mojego sprawozdania możliwie najszybciej. Nie radzę mnie zatrzymywać.

Rzuciła lurikowi spojrzenie z ukosa.

Próbował. Czułam to wyraźnie. Resztkami magii słabo czepiał się myśli wartowników.

Jeden z mężczyzn oderwał wzrok od kolejki, przyjrzał się lingstrze z uwagą.

– Dwalia – powtórzył, jakby imię nie było mu obce. Szturchnął łokciem stojącą obok kobietę. – Czy to ona?

Wartowniczką niechętnie oderwała wzrok od niespokojnych pielgrzymów, by przyrzeć się lingstrze uważniej. Zmarszczki na jej czole się pogłębiły. Po chwili przeniosła spojrzenie na Vindeliara.

– Dawno stąd wyjechała. Na czele oddziału, na białych koniach. Może to ona, chociaż w tej sukni wygląda inaczej. A ten tutaj... Tego znam. To jej stwór. Vindeliar. Zawsze na jej rozkazy. Skoro on jest z nią, pewnie to faktycznie Dwalia. Trzeba ją puścić.

– Ale teraz? Jeszcze woda na grobli.

– Już niegłęboka – wtrąciła się lingstra. – Wiem, co mówię. Otwórz bramę.

Odsunęli się wszyscy czworo i krótko naradzili. Jeden z mężczyzn mocno ściągnął brwi i chyba miał wątpliwości dotyczące strojnej sukni, lecz drugi wzruszył ramionami, odsunął skobel i otworzył bramę. Musieliśmy się przy tym cofnąć i w efekcie znaleźliśmy się w jednym rzędzie z pierwszymi czekającymi w kolejce. Gdy tylko brama stanęła otworem, Dwalia ruszyła naprzód, Vindeliar i ja tuż za nią, a za nami napał tłum czekających. Wartownicy z pikami wystąpili naprzód i szybko zaprowadzili porządek. Na groble weszliśmy jako jedyni.

Była ona zbudowana z gładkiego kamienia, płaska niczym stół. W miejscu, gdzie jeszcze schodziła pod wodę, Dwalia nawet nie zwolniła. Nie zagarnęła sukni w górę, nie zdjęła butów. Szła, jakby morze wcale nie miało w posiadaniu kamiennego przejścia. A my za nią. Z początku woda była rzeczywiście niezbyt głęboka. Nie ciepła, lecz też nie tak zimna, by od niej drętwiały członki. Szybko jednak zrobiło się głębiej, zniknęły mi pod powierzchnią buty, zaraz potem kostki, a wkrótce miałam wodę do połowy łydek. Zaczęłam czuć prąd odpływu.

– Mnie się to wcale nie podoba – oznajmił Vindeliar z goryczą. – Wcale a wcale.

Ani Dwalia, ani ja nie zwróciłyśmy na niego uwagi, lecz wkrótce mnie również zaczął ogarniać niepokój. Robiło się coraz głębiej, cofająca się woda wciągała mocniej. Zdarzało mi się brodzić w potokach i strumieniach, ale teraz to było morze. Pachniało obco i było zaskakująco gęste. Gdy wkraczaliśmy na groble, brama przy jej drugim krańcu nie wydawała się odległa, lecz teraz, gdy miałam topiel już po kolana, a chwilę później brnęłam w niej zanurzona po uda, bezpieczny punkt jakby się oddalał. Nawet Dwalia zwolniła, rozchlapując słoną taflę. Wbiłam wzrok w jej plecy i walczyłam z ciężarem długich fal. Pewnie ludzie mieli rację, mówiąc o odpływie, jednak powierzchnia morza wzdymała się, mocząc mnie chwilami aż po pierś. Vindeliar wydawał z siebie dziwaczne odgłosy na granicy hysterii, coś pomiędzy buczeniem a kwileniem. Coraz bardziej zostawał z tyłu. Od chwili gdy sobie to uświadomiłam, robiłam, co w mojej mocy, by przyśpieszyć. Głębsza woda była zimniejsza, zaczynałam sapać z wysiłku.

Niech zostanie sam, pomyślałam.

Chyba wyczuł, czego mu życzę, bo zapiszczał głośniejsze i, sądząc po plusku, najwyraźniej się potknął. Krzyknął ochryple, stanął znów na nogi.

„Utop się!” – cisnęłam w niego myśl jak strzała i błyskawicznie osłoniłam umysł.

Słońce paliło w głowę, a woda zabierała ciepło z nóg. Przycisnęłam tobolek z ubraniami pod brodą. Starłam się nie myśleć o tym, że męczy mnie pragnienie. Ani o bolących mięśniach. Życie na statku nie przygotowało mnie na dzisiejszy marsz. Blask słoneczny, odbity od wody, raził w oczy. Uniosłam głowę, chciałam sprawdzić, gdzie jest Dwalia, lecz wtedy mnie oślepił. Zaczęłam dygotać, opanowały

mnie mdłości.

Czyżby zrobiło się płyciej? Możliwe. Czerpiąc z tej ułudy otuchę, brnęłam z pochyloną głową i skulonymi ramionami. Gdy następnym razem uniosłam głowę, szukając wzrokiem Dwalii, dostrzegłam ją przy bramie. Wyzywała i przeklinała strażników, którzy nie chcieli jej otworzyć. Po drugiej stronie białych wrót stała grupka ludzi chcących opuścić zamek. Sądząc po postawie i strojach – fartuchach ze skóry albo z samodziału – byli to najpewniej służący Sług, którzy wracali do domu.

Rozchlapując wodę, stanęłam wreszcie za lingstrą. Ta nagle obróciła się, chwyciła mnie za kołnierz i poderwała w górę. Potrząsnęła mną jak szczeniakiem.

– To jest nieoczekiwany syn! Chcecie odpowiadać przed Radą Czworoga za opóźnienie w przedstawieniu go?

Strażnicy wymienili spojrzenia.

– To ten ze starych podań? – zapytał najwyższy z mężczyzn.

Wtedy dołączył do nas lurik. Dygotał na całym ciełe.

Jeden z wartowników trącił drugiego.

– To Vindeliar. Wszędzie poznam tego załganego bucefała. Wobec tego ta kobieta jest Dwalią. Wpuść ich.

Lingstra wciąż trzymała mnie za kark, gdy brama została otwarta i ruszyliśmy dalej. Co oznaczało, że musiałam dreptać na palcach. Nie mogłam obejrzeć się na lurika, sprawdzić, czy też idzie, lecz, tak czy inaczej, po chwili usłyszałam łoskot zamykanej bramy.

Przed nami ciągnęła się droga z ciemnobrązowego piasku. Prosta jak strzeż i całkiem zwyczajna. Słońce zapalało na niej iskry światła, po bokach rozpościerała się goła, skalista ziemia, przestrzeń pusta i tak płaska, że z pewnością została ukształtowana ludzką ręką. Nic nie mogło na niej pozostać niezauważone. Nigdy nie widziałam przestrzeni tak całkowicie pozbawionej wszelkiego życia. Jedyńm urozmaiceniem, wytchnieniem dla zmęczonego oka były z rzadka rozrzucone kamienienie, nie większe niż wiadro na węgiel.

Dwalia nagle mnie puściła.

– Nie guzdraj się – rozkazała. – I ani słowa.

Po czym znów ruszyła energicznie, szybko pokonując dystans. Długa suknia, jeszcze niedawno wzbudzająca zachwyt, teraz żałośnie zwisała w mokrych fałdach, uderzając ją po nogach. Ledwo dotrzymywałam lingstrze kroku. Gdy w pewnym momencie podniosłam wzrok, chcąc zobaczyć nasz cel, oślepił mnie on bardziej niż słońce odbite od wody. Białe ściany zamku błyszcząły. A my szliśmy i szliśmy, zdawało się bez końca, i jakbyśmy wcale się do tych murów nie zbliżali. Powoli

zaczęłam rozumieć, że popełniłam ogromny błąd w ocenie wielkości fortecy. Zamku. Pałacu. Ze statku widziałam osiem wież. Teraz dostrzegałam tylko dwie. Wieńczące je kopuły rzeczywiście wyglądały jak czaszki.

Opuszczały mnie resztki sił. Słońce prażyło. Pochyliłam głowę, przysłoniłam oczy powiekami, chroniąc je przed oślepiającym blaskiem. Za każdym razem, gdy unosiłam głowę, obraz gigantycznej konstrukcji na końcu długiej drogi wydawał się inny.

W końcu dotarliśmy na tyle blisko, że musiałam zadrzeć głowę, by zobaczyć szczyty murów. Wtedy też ujrzałam płaskorzeźby znaczące ich powierzchnię. Był to jedyny element mączący gładką powierzchnię. Nie widziałam okien, drzwi, nawet szczelin dla łuczników. Od tej strony nie można było dostać się do zamku. W żaden sposób. Chociaż droga wiodła prosto w mur. Płaskorzeźby, białe na białym tle, były wielokrotnie wyższe od człowieka i lśniły jeszcze bardziej niż sama ściana. Zmusiłam się, by je obejrzeć dokładniej, lecz nie wytrzymałam długo, musiałam odwrócić wzrok od nieznośnego blasku, a nawet zamknąć oczy. Wtedy ozdoby zarysowały mi się na wewnętrznej stronie powiek, dla odmiany czarne na jasnym tle, podobne do pnącej się winorośli.

Rozpoznałam je.

Choć nie istniała taka możliwość, wiedziałam, co to takiego. Pamiętałam – albo z życia, które mi się nie przydarzyło, albo z przyszłości. Ta winorośl przewijała mi się przez sny. Narysowałam ją na pierwszej stronie pamiętnika, obramowałam nią własne imię. Dałam jej takie same liście i kwiaty podobne do trąbek. Popełniłam błąd. To była abstrakcja. A teraz po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że artysta przedstawił obraz pewnej idei, a ja ją rozpoznałam. Widziałam w niej rzekę wszelkich możliwych czasów, schodzącą kaskadami ku teraźniejszości i rozdzielającą się na tysiące... na miliony... na nieograniczoną liczbę możliwych form przyszłości, a każda z nich dzieliła się na kolejne niepoliczalne możliwości. Pomiędzy nimi lśniła jedna jedyna błyszcząca nitka, niewyobrażalnie wąska, obrazująca tę przyszłość, która może i powinna się urzeczywistnić. A warunkiem jej zaistnienia jest właściwe pokierowanie zdarzeniami. Jeżeli biały prorok śnił, wierzył i dokładał starań, by losy świata toczyły właściwą drogą, czas będzie za tym podążał.

Otworzyłam oczy, przecież zamknęłam je tylko na moment. Oto znów ten widok. Ten sam. Mimo wszelkich cierpień, wbrew nienawiści do ludzi, którzy mnie tu sprowadzili, a także na przekór własnej woli, nagle pojęłam swoje przeznaczenie. Wreszcie dotarłam do celu.

Ugruntowała się we mnie pewność, zakorzeniona mocniej niż potężne drzewo:

tu było moje miejsce. Teraz, w tym czasie. Tuzin dawniejszych snów splótł się z nowszymi. Mój plan, dotąd mglisty, nabrał kształtów. Podobną stanowczość czułam wówczas, gdy postanowiłam uwolnić język. Z taką ostrością widziałam ścieżki przyszłości tylko jeden, jedyny raz: tamtego fatalnego zimowego dnia – dotknięta przez żebraka. Wtedy zobaczyłam wszystkie możliwości zaczynające się u moich stóp. Och, ileż dobrego mogłam działać, skoro tu wreszcie dotarłam...! Znalazłam swoje przeznaczenie, tylko ja sama mogłam je kształtować. Zaparło mi dech w piersi, a serce rosło tak, jak to opiewają minstrele. Właśnie tutaj i teraz rozpoczynało się moje życiowe dzieło.

Nie wiedziałam, że się zatrzymałam, póki Vindeliar mnie nie minął. Rzucił mi jadowite spojrzenie, a mnie to wcale nie obeszło. Przywołałam na twarz uśmiech.

Uszczelnić mur.

– Prędeż – rzuciła Dwalia przez ramię.

– Idę! – odkrzyknęłam ochoczo.

Coś w moim tonie kazało jej zatrzymać się i przyjrzeć mi z uwagą. Zakryłam oczy powiekami, spuściłam głowę. Najnowszym odkryciem nie zamierzałam dzielić się z nikim. Musiałam zatrzymać je dla siebie. Świadomość przeznaczenia lśniła niczym cenny klejnot wydobyty z błotnistej kałuży. Widziałam jego blask, lecz wiedziałam, że im dłużej będę go trzymała w ukryciu, tym będzie czystszy i bardziej klarowny.

Na dodatek stanie się obiektem pożądania złodziei. Będą chcieli odebrać mi go na wszelkie możliwe sposoby.

Zza pleców dobiegły mnie jakieś nowe dźwięki, więc się obejrzałam. Odpływ odsłonił groblę całkowicie, kamienistym pasem spinającym wyspę z przylądkiem przemieszczał się tłum ludzi. Niektórzy już go pokonali, jednak nadal karnie ciągnęli w szyku, chociaż nie mieli już wody po bokach.

– Prędeż! – powtórzyła Dwalia.

I nic dziwnego, że nas poganiała. Gdybyśmy nie wyprzedzili tłumy, zagarnęłyby nas, a może nawet stratował.

Przed nami, na gładkiej ścianie, ukazały się szczeliny, wstrząsająco czarne w bieli. Wkrótce zmieniły się w obrys bramy, która została szeroko otwarta. Wymaszerował zza niej oddział straży, ubranej w lśniące srebrne zbroje oraz bladożółte płaszcze. Uformował on dwa rzędy wzdłuż drogi. Sądziłam, że zostaniemy zatrzymani, jednak Dwalia spiorunowała żołnierzy wzrokiem, zrobiła jakiś gest dłonią i minęliśmy ich bez słowa.

Dopiero gdy przez łukowate odrzwia wyszliśmy na dziedziniec, zastąpił nam drogę jakiś mężczyzna. Był wysoki, smukły i uzbrojony w miecz, jednak nawet

w pełnym rynsztunku wyglądał na chudzielca i słabeusza. Twarz miał szarawą, poznaczoną różowawymi plamami, miejscami schodziła z niej skóra. Spod hełmu wystawały kępki siwiejących włosów.

Zmrużył oczy.

– Lingstra Dwalia – wypowiedział imię, jakby rzucał oskarżenie. – Wyjechałaś stąd z konnym oddziałem lurików. Gdzie ludzie? Gdzie wierzchowce? Dlaczego wracasz sama?

– Bosfodi – syknęła lingstra. – Usuń się. Nie ma czasu do stracenia. Muszę natychmiast zyskać audiencję u Symphe i Felodiego.

Stał niewzruszony jeszcze kilka chwil: przyjrzał się jej zniszczonej twarzy, następnie przeniósł wzrok na Vindeliara, oszacował jego łachmany i w końcu spojrzał na mnie. Lekko ściągnięte brwi opuściły się, nadając twarzy wyraz dezaprobaty. W końcu gwardzista odstaąpił na bok i pozwolił nam przejść.

– Rób, co uważasz za stosowne – zwrócił się do Dwalii. – Ale gdybym to ja wrócił z wątpliwej ekspedycjiznaczony blizną i pozbawiony wszystkiego, co mi powierzono, nie śpieszyłbym się z raportowaniem Radzie Czworoga szczegółów porażki.

– Nie poniosłam porażki – odparła Dwalia szorstko.

Gdy mijaliśmy wartownika, mruknął pod nosem:

– Kwiat lurików ruszył na tę wyprawę, a żywy wrócił akurat Vindeliar...

Usłyszałam, jak splunął.

Rozległy dziedziniec wyłożono białymi i czarnymi kamieniami tworzącymi wzory. Czysto tu było, jakby przed chwilą ktoś skończył zamiatać. Pod murami ustawiono kramy z jedzeniem i napojami, a między nimi jaskrawo pomalowane wózki z licznymi drzwiczkami, za którymi – teraz to wiedziałam – znajdowały się orzechy z przepowiedniami. Proporczyki oraz girlandy wisiały w skwarze prawie całkiem nieruchomo. Altany ocieniały stoliki oraz ławy, czekające na głodnych i spragnionych klientów. Wszystko było przygotowane na jarmark, znacznie okazalszy niż ten zimowy w Dębowym Zdroju. Zapomniałam na chwilę, kim teraz jestem, zwyciężyła we mnie dziecięca ciekawość. Ogromnie pragnęłam przespacerować się wzdłuż straganów, kupić jakieś słodczyce i parę błyskotek.

– Prędej tam! – warknęła Dwalia.

Nie dla mnie takie przyjemności ani nie dla Vindeliara. Już nie byłam dzieckiem, jak wtedy.

Śpiesznym krokiem poprowadziła nas ku najpiękniejszej budowli na świecie. Została ona skonstruowana, jak się zdawało, z białej kości. Okna i drzwi otoczone były filigranowymi motywami, rzeźbionymi także w kości albo może w kamieniu. To

właśnie ta warownia stanowiła podstawę dla czterech smukłych wież, zakończonych jak gdyby gniazdami nasiennymi szczypiorku. Nie wierzyłam własnym oczom: takie wysokie! I na dodatek zwieńczone kulistymi naroślami! A jednak.

– Rusz się! – warknęła na mnie Dwalia i po raz pierwszy od paru dni uderzyła mnie w twarz.

Ze starego rozcięcia w kąciку wargi poleciała krew. Przycisnęłam skaleczenie dłonią i przyśpieszyłam kroku.

Za filarami kamiennego portyku stały otworem podwójne drzwi. Prowadziły do nich szerokie schody. Znalazłszy się w cieniu, przeżyłam szok – oto nagle ustało słoneczne biczowanie żarem, spadające mi od świtu na głowę i barki. Buty miałam wciąż mokre, więc idąc po nieskazitelnie czystej podłodze, zostawiałam za sobą ślad żwiru zebranego z drogi. Gdy oczy przywykły mi do zmienionego światła, zaczęłam powoli ogarniać świetność otoczenia.

Krawędzie framug pomalowane były na złoto... A może wręcz pociągnięte złotem? Na każdej ścianie, w jej niższej części powieszono barwne obrazy ujęte w bogate ramy. Przedstawione na nich przedmioty były znacznie większe niż w rzeczywistości. Bliżej sufitu natomiast umieszczono gobeliny zdobione frędzlami. Nigdy dotąd nie widziałam białego drewna, lecz najwyraźniej właśnie ujrzałam bieluteńkie drewniane panele. A gdy podniosłam wzrok, ujrzałam sufit ozdobiony niezrozumiałymi dla mnie krajobrazami. Czułam się w tym majestatycznym wnętrzu mała i nieważna, a nawet nie na miejscu. Na Dwalii tymczasem nie robiło ono wrażenia.

Tym razem drogę zastąpiła nam kobieta w stroju zdecydowanie żółtym, ciemniejszym od żonkili. Rękawy sięgały nieco poniżej nadgarstków, suta spódnica zamiatała podłogę. Kołnierz sterczał wysoko, a ukwiecone nakrycie głowy odsłaniało tylko krąg bladej twarzy. Biły w oczy umalowane na czerwono usta.

– Dwalia – odezwała się, ściągając brwi.

Gdzieś w oddali otwarto, a potem zamknięto jakieś drzwi. Dwie osoby minęły nas i wyszły do zewnętrznego pawilonu, a wtedy dotarł do mnie gwar głosów. Najwyraźniej tłum dotarł na dziedziniec. Po zamknięciu drzwi hałasy ucichły.

– Muszę widzieć się z Symphe – powiedziała Dwalia. – I z Felodim. Natychmiast.

– Na dziś nie są przewidziane żadne prywatne audiencje – odparła kobieta ze złośliwym uśmiechem. – Rada Czworoga jest w sali rozpraw, gotowa usłyszeć zarzuty, ocenić winę i wyznaczyć karę. Doskonale wiesz, że takie posiedzenia ustalane są z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Ale... – Wyraz twarzy upodobił ją do prychnącego kota. – Może zdołam tam umówić ci spotkanie?

Na te słowa Vindeliar przycisnęła dłonie do policzków, a zaraz potem do ust.

– Nie, nie, Deneis. Chcę się widzieć z Symphe. Z nią samą albo w towarzystwie Felodiego. Tylko z nimi. Natychmiast.

Zgromiła Vindeliara wzrokiem, wtedy lurik opuścił ręce. Przygarbił się, jakby oczekiwał ciosu.

Kobieta w zółci ściągnęła usta. Jej twarz pozostała bez wyrazu, ponieważ, w czym zorientowałam się dopiero teraz, nie miała brwi, a co za tym idzie, szare oczy nie wyrażały żadnych uczuć.

– Dziś to niemożliwe. Może dałabym radę pojutrze...

– Jeżeli kazesz mi czekać z wieściami dwa dni, Rada Czworoga zasądzi ci powolne obdzieranie ze skóry. Możliwe, że powierzy to zadanie mnie.

Oceeniłam, że Deneis nie może być bledsza, lecz się myliłam, bo po słowach Dwalii jej twarz nabrała koloru, jaki miał dobry papier mojego ojca.

– Przekażę twoją prośbę jej służbie...

– Natychmiast – przerwała jej lingstra. – Przygotuj spotkanie w komnacie uciech. Dopilnuj, żeby nam teraz przyniesiono przekąski i napoje. Mamy za sobą długą drogę.

– Nie masz prawa mi rozkazywać – zachnęła się kobieta, lecz Dwalia tylko prychnęła.

– Idziemy – rozkazała i poprowadziła nas jednym z korytarzy, wychodzących z okrągłego holu jak szprychy z koła. Pod nogami wciąż mieliśmy nieskazitelnie białą podłogę, ze ścian spoglądały na nas potępiającym wzrokiem jakieś portrety. W pewnej chwili usłyszałam, jak za nami ponownie otwarto drzwi prowadzące na zewnątrz. Obejrawszy się, zobaczyłam Deneis witającą grupę wytwornie ubranych osób.

Dwalia poprowadziła nas bez najmniejszego wahania. Gdy dotarliśmy do drzwi ozdobionych licznymi słońcami z brązu, pchnęła je i wprowadziła nas do środka. Mijając próg, wiedziona ciekawością przeciągnęłam palcami po białej płaszczyźnie. Chyba zrobiono je z kościanych paneli, ale jakie stworzenie mogłoby mieć tak wielkie kości?

– Drzwi! – rzuciła Dwalia.

Cofnęłam dłoń, Vindeliar domknął skrzydło.

Ileż to czasu minęło, odkąd ostatnio znajdowałam się w pomieszczeniu, które nie bujało się na falach? Odetchnęłam głęboko i powiodłam wzrokiem dookoła. Wnętrze było przeznaczone dla czekających i urządzono je z pominięciem wszelkich wygód. Dwa mleczone okna wpuszczały światło, lecz nie pozwalały wyjrzeć na zewnątrz. Pod ścianami ustawiono proste drewniane krzesła o wysokich oparciach. Na środku stał goły stół z białego drewna. Bez żadnej serwety czy wazonu z kwiatami, co

u mojej matki byłoby nie do pomyślenia. Podłoga biała, kamienna, ściany obłożone nudnymi białymi panelami. Na suficie krzyżowały się masywne białe belki. Cisza panowała tu całkowita.

Dwalia zauważyła, że się rozglądam.

– Siadaj tam! – wskazała mi jedno z krzeseł.

Strasznie chciało mi się pić, a chyba jeszcze bardziej siku, ale wiedziałam, że nie dane mi będzie zaspokoić żadnej z tych potrzeb. Usiadłam na wskazanym krześle. Nogi mi dyndały nad podłogą. Niewygodnie. Wetknęłam tobołek za plecy. Nie pomogło.

Dwalia nie usiadła. Szła wolno przez pokój, podobna do szczura sprawdzającego ściany. Vindeliar włókł się za nią, aż w pewnej chwili obróciła się gwałtownie i uderzyła go w twarz.

– Przestań!

Ledwo powstrzymał szloch, obrzucił mnie ponurym spojrzeniem, po czym usiadł możliwie najdalej od lingstry. Przycupnął na samym brzeżku, ledwo muskał palcami podłogę, a pięty podskakiwały mu nerwowo.

Dwalia wycelowała w niego palcem.

– Nic ci nie zostało? Nie masz ani odrobiny magii?

– Wiesz, lingstro, że magia tylko wyjątkowo sprawdza się wobec dziedziców białej krwi. – Dolna warga mu zadrżała. – Nie mogłem wywrzeć wpływu na Deneis. A poza tym utrzymywanie kapitana we właściwym przekonaniu było naprawdę wyczerpujące. I jeszcze do kompletu całej załogi! To była ciężka praca...

– Milcz. – Rozpięła guziki bluzki, wyciągnęła z za dekoltu skórzaną sakiewkę, a z niej szklaną fiolkę. – Szczęściem zachowałam odrobinę. Musisz przekonać Radę Czworoga, by mnie wysłuchali. I muszą mi uwierzyć.

Na widok eliksiru w oczach Vindeliara ukazał się błysk, teraz jednak chłopak stracił rezon.

– Całą Radę Czworoga? To będzie bardzo trudne. To byłoby trudne, nawet gdybym wypił całą dawkę. Kultri... Może nad nim uda mi się zapanować, ale...

– Milcz!

Odkorkowała fiolkę, lecz gdy ją przechyliła, skrzepnięty płyn ani drgnął. Wepchnęła korek na powrót w otwór i mocno potrząsnęła całością. Nic nie wskórała.

– Przekleństwo! – wyrwało się jej z głębi piersi.

Otworzyła naczynie ponownie, wetknęła do środka palec. Nie dosięgła klejowatych grudek na dnie. Nawet ich nie musnęła. Wręczyła fiolkę lurikowi.

– Napluj – rozkazała. – Wymieszaj i wypij.

Zrobił, co kazała. Gdy strużka gęstej śliny spłynęła do naczynia, starał się zmieszać ją z pozostałą na dnie resztką eliksiru. Niedobrze mi się zrobiło od patrzenia, więc odwróciłam wzrok.

– Nie da się! – jęknął.

– Stłucz fiolkę! – rozkazała Dwalia.

Starał się, jak mógł. Najpierw uderzył szkłem o podłogę. Nic się nie stało. Spróbował jeszcze raz, mocniej. Kolejny raz, jeszcze mocniej. Wtedy szkło nagle się rozprysło. Wężowy szlam okazał się zaschniętym czopem. Vindeliar porwał go w dłonie i, nie bacząc na przyklejone do niego okruchy szkła, wetknął do ust.

Dwalia czekała, nie spuszczać z niego wzroku.

Jakiś czas milczał, oddychając ciężko przez nos. Gdy się odezwał, krew splamiła mu usta.

– Nic – załkał. – Zupełnie nic.

Tym razem oberwał tak mocno, że aż mu głowa odskoczyła. Padł na ziemię i leżał rozciągnięty jak długi, dysząc ciężko. Lingstra odeszła, usiadła na jednym z krzeseł. Nie odezwała się słowem.

Po jakimś czasie dźwignął się na czworaki i podpełzł do krzesła niezbyt daleko od mojego, podciągnął się na nie i znieruchomiał. Wyglądał jak sterta prania. Nikt nic nie mówił.

Czekaliśmy. Nie przyniesiono przekąsek. Ani picia.

Czekaliśmy.

Wciąż czekaliśmy. Popołudniowe słońce zajrzało w nasze nieprzejrzyste okna, rzucając prostokąty gęstego światła na posadzkę bez wyrazu.

Otworzyły się drzwi. Stała w nich Deneis.

– Zostaniesz przyjęta w sali rozpraw. Teraz.

– W sali rozpraw?! Nie tam miałaś przygotować spotkanie!

Deneis odwróciła się i ruszyła, nie czekając na nas. Dwalia ostrym gestem przywołała mnie do siebie i ścisnęła za ramię.

– Nie odzywaj się – przypomniała.

Pchnęła mnie przodem. Szłyśmy na tyle szybko, że nie zdążyłam się obejrzeć. Śladami Deneis wróciłyśmy do holu, a stamtąd poszłyśmy innym korytarzem. Ten był szerszy i bardziej wykwintnie urządzone. Pokonałyśmy znacznie dłuższą drogę niż poprzednio, a mój pęcherz protestował z każdym krokiem.

Na samym końcu znajdowały się podwójne drzwi, z czterema symbolami błyszczącymi nawet w przyćmionym świetle korytarza. Pewnie coś oznaczały, jednak dla mnie były po prostu czterema figurami, każda w innym kolorze: niebieska, zielona, żółta i czerwona. Deneis pchnęła mosiężną klamkę i drzwi

stały otworem.

Sala za nimi była dobrze oświetlona. Jasne promienie słońca wlewały się z czterech otworów w suficie. Aż zamrugałam oślepiona blaskiem. Dwalia przepchnęła mnie przez nieruchomą grupę milczących ludzi. Potknęłam się o własne nogi, ale szłam, nawet nie zwolniłam. Gdy mnie zatrzymała, podniosłam wzrok i zobaczyłam podwyższenie z czterema tronami z rzeźbionej kości. Jeden iskrzył się od rubinów, drugi od szmaragdów. Żółtych i niebieskich klejnotów na pozostałych dwóch nie rozpoznałam. Naprawdę było aż tyle drogocennych kamieni na świecie? To ważne pytanie na moment zaprzętnęło moją uwagę do tego stopnia, że prawie nie zauważyłam czterech osób siedzących na tronach.

Dwóch mężczyzn. Dwie kobiety. Jedna młoda i piękna o jasnej cerze i włosach koloru białego złota. Wargi miała pomalowane na czerwono, brwi i rzęsy podkreślone czernią. Była pięknocią o wstrząsającej urodzie. Odślonięte białe ramiona kontrastowały z tułowiem obleczonym w czerwony jedwab, dopasowany tak dokładnie, że równie dobrze mogłaby być naga, jedynie pomalowana szkarłatem. Czarna spódnica wykrojona z pełnego koła sięgała jej do kolan. Kształt stóp podkreślały czerwone sandały, wiązane koronką krzyżowaną wysoko na łydkach. Miałam nieodparte wrażenie, że jest jej niewygodnie.

Kobieta siedząca obok emanowała majestatem. Białe proste włosy spływały jej na ramiona, oczy miała w kolorze spłowiałego błękitu, a usta różowe niczym płatki starej róży. Jasnoniebieska suknia prostotą kontrastowała z wyszukany strojem tej w purpurze. Naszyjnik i wiszące kolczyki z pereł rzucały ciepłe blaski.

Na dwóch skrajnych fotelach siedzieli mężczyźni. Jeden był pomalowany jak lalka, skórę miał białą, a przyklejone do czaszki włosy obsypane białym pudrem. Oczy jednak pozostały ciemne, tego ukryć nie zdołał. Ubrany był w bezrękawnik i wąskie spodnie, jedno i drugie ciemnozielone, natomiast obfity płaszcz miał w kolorze wiosennych paproci. Z zamyśleniem wpatrywał się w nieokreślony punkt przed sobą. Czwarty fotel zajmował człowiek otyły, o bladej cerze i siwych włosach, ubrany w dość kusy strój w najróżniejszych odcieniach koloru żółtego. I jaskry, i mniszek lekarski, i żonkile przegrałyby z nim rywalizację o bogactwo półtonów. Dłonie ułożył na brzuchu, a wszystkie palce miał ozdobione złotymi i srebrnymi pierścieniami, nawet kciuki. Z uszu zwisały mu szerokie złote koła, a płaski naszyjnik zaczynał się tuż pod brodą i rozchodził lśnącymi płytkami aż na obojczyki.

Przyglądałam się im zaintrygowana. Krzykliwe barwy oraz wymyślne rozdzielanie kolorów pośród siedzących robiło wrażenie prawie komiczne. Przy obu bokach podwyższenia stało po dwóch atletycznych strażników z włóczniami w dłoniach.

Patrzyli beznamiętnie na zgromadzonych. W pewnym momencie uświadomiłam sobie, że mężczyzna w zieleni przygląda mi się groźnym wzrokiem. W tej samej chwili Dwalia pchnęła mnie w dół. Osunęłam się na jedno kolano, z własnej woli uklęknęłam na obu. Zerknęłam w bok, tak, Vindeliar już klęczał. Za nim ujrzałam pod ścianą rząd ludzi o bladych twarzach. Ubrani byli w jasne luźne tuniki i spodnie. Włosy mieli o odcień bielsze niż najjaśniejszy blond, oczy niemal bezbarwne. Całkiem jak ta wysłanniczka z motylą peleryną, ta, którą z ojcem spaliliśmy.

Dwalia zastygła w głębokim ukłonie i nie drgnęła, dopóki nie odezwała się jedna z kobiet siedzących na podeście. Sądząc po głosie, miała swoje lata. Wydawała się zde gustowana.

– Wstań, lingstro. Twój ukłon jest zniewagą, a nie wyrazem szacunku. Przez długie miesiące nie wysłałaś do nas żadnej wiadomości. Doskonale wypadło, że widzimy cię w sali rozpraw. Gdzież są wszyscy ci, których z tobą wyprawiliśmy? Luricy i czystej krwi rumaki? Zniknęli? Stań prosto, stań przed nami i wytłumacz się ze swoich postępów.

Ponieważ włosy spadły mi na oczy, mogłam niepostrzeżenie zerkać na Dwalię.

– O, najczcigodniejsi! Za waszym przyzwoleniem opowiem wam tę historię od początku, gdyż pokonałam długą i trudną drogę. Ponieśliśmy straty, ogromne, lecz żadne z tych istnień nie zostało zaprzepaszczone, wszystkie one posłużyły osiągnięciu celu. Wracam, spełniwszy wasze polecenie. Oto nieoczekiwany syn.

Chwyciła mnie za kołnierz i poderwała, tak jak podnosi się szczeniaka za skórę na karku. Spojrzałam wprost na Radę Czworka i zdziwiłam się, ponieważ wszyscy oni byli wyraźnie wstrząśnięci. Kobieta obleczona w czerwień wydawała się zaintrygowana, ta starsza była niewątpliwie zła. Mężczyzna umalowany na biało chyba zaskoczony, a ten we wszystkich odcieniach żółtego pochylił się i patrzył na mnie tak, jakby chciał mnie zjeść, wchłonąć niczym wyjątkowy przysmak. Ten mnie przeraził.

– Doprawdy... Czy to rzeczywiście konieczne? – Starsza z kobiet wymówiła te słowa w taki sposób, jak gdyby Dwalia właśnie podłubała w nosie i zaprezentowała jej skutek tej czynności. Nie kryła ani rezerwy, ani wzdargy. Wolno pokręciła głową, następnie zwróciła się do umalowanego mężczyzny: – Ja ostrzegałam, że nie należy powierzać jej lurików. Wszystkich wywiodła na zatracenie, a w zamian przyprowadziła jakiegoś obdartusa. I jeszcze przedstawia go jak najcenniejszy skarb. Wyjątkowo żalosna próba zatuszowania porażki!

– Kapro, pozwólmy jej mówić – odezwała się ta młoda.

Głos miała stężyły od gniewu, jednak nie potrafiłam ocenić, czy wściekłość budziła w niej Dwalia, czy też ta, do której się właśnie zwróciła.

Starsza zbłądziła wzrokiem na ludzi stojących pod ścianą. Chcieli być świadkami upadku lingstry, łatwo to poznałam po ich oczach. Uniosła kościstą rękę. Gdy wyprostowała palec wskazujący i półkolistym władczy gestem wskazała stojących pod ścianami, zabrzcęczały jej bransolety z pereł.

– Wyjść. Wszyscy.

Publika z wolna opuszczała salę, a ja wciąż dusiłam się, wisząc na kołnierzu. W końcu usłyszałam ciężki łoskot zamykanych drzwi. Kapra spojrzała na kogoś, marszcząc brwi.

– Odźwierny, ty także opuść salę. Nie jesteś tu potrzebny.

Tym razem, gdy drzwi zamykały się po raz drugi, odgłos był znacznie cichszy. Wykręcając głowę na boki, rozejrzałam się dookoła. Rzeczywiście, wszyscy gapie wyszli. Zostaliśmy sami, we troje przed Radą Czworka oraz krzepkimi wartownikami.

Stara kobieta znów przeniosła spojrzenie na lingstrę.

– Mów.

Dwalia puściła mnie, a ja ucieszyłam się, że wróciłam na podłogę.

– Panie i panowie. – Głęboko nabrała tchu. – Przed trzema laty zapewniliście mi towarzyszy podróży, konie oraz fundusze na wyprawę, na poszukiwania nieoczekiwanego syna. Niektórzy twierdzili, że czas tej przepowiedni już minął, że wyszliśmy obronną ręką z zamętu, jaki wprowadzała w strumieniach czasu, a teraz należy pochylić się nad bieżącymi wątkami. Tymczasem jednak w zalewie snów o przybyciu na świat nowego dziko zrodzonego Białego oraz trudnych do wytłumaczenia snów, związanych z nieoczekiwanym synem, niektórzy z was uwierzyli, że mogę odnaleźć go i...

– Po co nam opowiadasz to, o czym doskonale wiemy? – przerwał jej upudrowany mężczyzna. – Przecież znamy tę historię! Masz nas za głupców czy sklerotyków?

– Chyba rzeczywiście ma nas za ograniczonych, jeżeli jej się wydaje, że mogłam zapomnieć, jak gorąco pragnęłam, by wyruszyła w tę podróż i przywiodła do nas tego zdrajcę, Ukochanego. – Kobieta zwana Kaprą znowu ściągnęła brwi. – Właśnie dlatego zgodziłam się na tę wyprawę. Po to, byś sprowadziła na powrót więźnia, któremu pomogłaś uciec!

– Nie chciałam wam uwłaczyć! – zaprotestowała lingstra. – Wysoko cenię waszą mądrość, pragnęłam jedynie... Zechciejcie wobec tego przyjąć pełne sprawozdanie z wyprawy, bo gdy je usłyszycie, zgodzicie się z moim osądem. – Z wyraźnym trudem zebrała myśli. – Z pewnością pamiętacie, że wnikliwe badania doprowadziły mnie do wniosku, iż człowiek, który niegdyś służył księciu w Krainie Miedzi, jest punktem newralgicznym dla wypadków, jakie chciałam zapoczątkować.

I tak, podczas gdy niektórzy spośród moich lurików dbali o to, by Ukochany zaprowadził nas do celu, należało zadbać także, by nie dotarł tam zbyt szybko, gdyż musieliśmy najpierw udać się do Krainy Miedzi. Po długich i wnikliwych studiach proroczych snów zyskałam pewność co do nieomyślności tej interpretacji. Musiałam zyskać przychylność owego człowieka, Ellika. Tylko z jego pomocą, przy wsparciu oddanych mu ludzi, mogłam żywić nadzieję, że trafimy za Ukochanym do upragnionego celu. Odszukałam Ellika, zademonstrowałam, jaką siłą dysponuje mój zaufany Vindeliar, i...

– Tracisz czas. – warknęła Kapra. – Przejdź do rzeczy! Co stało się z lurikami, których ci powierzyliśmy? Najwspanialszymi, najbardziej obiecującymi okazami! Gdzie oni są? I gdzie podziały się niepowszedniej urody białe rumaki ze stajen Kultriego?

Czy cisza rzeczywiście trwała długo, czy też strach wyolbrzymił ją w mojej głowie?

– Nie żyją – wyznała Dwalia głosem bez wyrazu. – Wszyscy umarli.

Już otworzyłam usta, by wytknąć jej kłamstwo, przecież Alaria żyła, została sprzedana. Poza tym, skąd pewność, iż wszyscy inni byli martwi? Co z tymi, których lingstra zostawiła z panną Szkodą?

– Nie żyją? – Kobieta w czerwieni była przerażona.

– Jesteś tego pewna? – Mężczyzna ubrany na żółto znowu się pochylił, przesuwając dłonie z brzucha na krągłe różowe kolana.

– Czy spaliłaś ich ciała? – Ten w zielonym stroju także był zatrwożony. – Chcę mieć pewność, że zadbałaś, by trupy nie wpadły w niepowołane ręce!

Kapra klasnęła w dłonie. Tylko raz, lecz dźwięk był zdumiewająco przenikliwy.

– Jak to się stało? Mów po kolei o każdym. Kto jak umarł? Co stało się z ciałami? Słuchamy.

Znowu spadła na nas cisza. W końcu Dwalia odezwała się bez pośpiechu, z osobliwym, niesamowitym spokojem w głosie.

– Dotarliśmy w głąb Królestwa Sześciu Księżstw przez nikogo niezauważeni. Dzięki przemyślności Vindeliara, z jego pomocą, sprawnie pokonaliśmy daleką drogę, aż znaleźliśmy dziecko. Równocześnie pamiętając o drugim celu wyprawy, szukałam Ukochanego. To on doprowadził nas do celu, do nieoczekiwanego syna. Udało nam się go... przejąć. Zdołaliśmy... Vindeliar zapanował nad umysłami ludzi otaczających naszego poszukiwanego. Odchodząc stamtąd, wiedzieliśmy, że nie będą świadomi, iż takie dziecko w ogóle między nimi żyło. Wszystko szło zgodnie z planem, już mieliśmy wsiadać na statek, by ruszyć w drogę powrotną, gdy... doszło do ataku. Zostaliśmy rozproszeni. Jedni luricy padli bez życia. Inni uciekli.

Kilkoro udało mi się zebrać przy sobie. Poważylam się na użycie magii, której nie ufam, której nie rozumiem, lecz...

– Padli bez życia? Skąd wiesz? – Kapra kipiała wzburzeniem. – Skąd pewność, że nie przetrwali, nie zostali schwytani, nie wyjawili naszych sekretów?! To nie do pomyślenia! – Zwróciła swój gniew przeciwko pozostałym członkom Rady. – Widzicie, do czegoście doprowadzili? Czy teraz wreszcie rozumiecie?! Posłaliście w świat najlepszych lurików, najwspanialsze owoce białej krwi, najlepsze egzemplarze do reprodukcji, najsprawniejsze okazy zdolne do proroczego śnienia! Zwykli żołnierze wam nie wystarczali, o nie, wy koniecznie chcieliście wysłać kwiat naszej młodzieży! A teraz? Teraz ich nie ma. Martwi, rozproszeni na obczyźnie. Zmarnowani! Może są jeńcami? Może służą jako niewolnicy? Może proroctwami płacą za strawę? Strach pomyśleć, kto i jak może ich przeciwko nam wykorzystać! – Z wściekłością odwróciła się do Dwalii. – Szukałaś Ukochanego? Szukałaś, powiadasz??? Ślepego, kulawego, ledwo żywego? I co się z nim stało? Gdzie jest?

– Skończę opowieść – powiedziała Dwalia.

Głos miała lekko schrypnięty. Przez łzy? Ze strachu? Z wściekłości?

Umalowany mężczyzna w zielonym stroju w czasie tej wymiany zdań stale kręcił głową, aż w końcu się odezwał:

– Najważniejsze pytanie Kapra zadała na końcu. Gdzie jest Ukochany? Przysięgłaś go tu sprowadzić. Pod tym warunkiem pozwoliliśmy ci uwolnić go i wykorzystać do swoich celów. A teraz twierdzisz, że był częścią... częścią twojej misji! Ja twierdę, iż był jej główną racją! Miałaś go tu sprowadzić i zwrócić nam żywego lub przedstawić świadectwo, że jest martwy! Czy przynajmniej masz taki dowód?

Usłyszałam cichy lepki dźwięk, gdy Dwalia zwilżyła wargi językiem.

– Nie, nie mam dowodu – odezwała się, wciąż bardzo ostrożnie dobierając słowa. – Lecz mam pewność, że jest martwy. – Wyprostowała się, śmiało spojrzała rozmówcy w oczy. – Wypadki potoczyły się dokładnie tak, jak przewidziałam, ja nimi pokierowałam. – Podniosła głos, a jej następne zdania ścięły mi krew w żyłach. – Wątpiliście we mnie. Kpiliście ze mnie i śmialiście się, że nie potrafię mierzyć sił na zamiary! A przecież nie kto inny, tylko właśnie ja studiowałam jego sny, i nie kto inny, lecz ja złożyłam w całość fragmenty układanki. To ja odgadłam, że Ukochany doprowadzi mnie do nieoczekiwanego syna. I właśnie tak się stało! Sama, ja sama pokierowałam zdarzeniami w ten sposób, by do tego doszło!

Aż mi się zakręciło w głowie. Usiłowałam połączyć jej słowa ze strzępami informacji, jakie pochwycałam w czasie podróży. Słowa Dwalii zderzały się z wiadomościami, jakie poznałam z podkradanych zapisków ojca.

Ukochany.

Zacisnęłam powieki, bo ten w żółtym oblizywał wargi, jakby z trudem powstrzymywał żądzę. Oczy pięknej kobiety płonęły okrutnym zachwytem. Ten umalowany ze zdumienia otworzył usta. Nie chciałam widzieć, jaką rozkosz czerpali z cierpień mojego ojca.

Wtedy i we mnie zapłonął gniew.

Ten żebrak na targu. Ten człowiek, który, dotknąwszy mnie, pokazał mi wszystkie drogi prowadzące w przyszłość. Ten, na którego mój ojciec rzucił się z nożem. Ten, któremu postanowił pomóc, chociaż, by to uczynić, mnie musiał porzucić. To był Ukochany. To był Błazen. Biały prorok. Najdawniejszy i najprawdziwszy przyjaciel mojego ojca. Wszystkie podejrzania właśnie zyskały potwierdzenie. Bardzo chciałam się mylić, niedobrze mi się zrobiło na myśl, że stanowią element zdrady, że to przeze mnie ojciec dźgał nożem serdecznego przyjaciela.

Kręciło mi się w głowie, resztką sił opuściła mnie, gdy sobie uświadomiłam, iż wszystko, co mówiła Dwalia, było prawdą: rzeczywiście, Biali mogli celowo pokierować przyszłością. Umieli przesiewać sny i kształtować nadchodzące zdarzenia. Doprowadzili do tego, że ojciec zaatakował swojego przyjaciela, chciał go zabić, a potem opuścił mnie, zostawił bez opieki. Osiągnęli to, ponieważ podsunęli mu to, czego pragnął znacznie mocniej niż mojego dobra. Czy jego przyjaciel Błazen, jego Ukochany był martwy? Czy może raczej żyli gdzieś razem w spokoju? Czy to dlatego tata odepchnął mnie, gdy nasze myśli się połączyły? By zrobić w życiu miejsce dla niego, dla tego najważniejszego? Żołądek mi się skurczył, żółć podeszła do gardła. Gdybym miała czym, na pewno bym zwymiotowała na tę doskonałą, idealnie białą posadzkę.

– Dowód – odezwała się Kapra cicho. – Dowód! – krzyknęła. – Obiecałaś przedstawić dowód! Miałaś sprowadzić Ukochanego albo przedstawić dowód jego śmierci. Ostrzegałam cię, wszystkich was przestrzegałam, że jest niebezpieczny! Bo właśnie taki jest! Doskonale o tym wiemy! – Obrzuciła wściekłym spojrzeniem pozostałych troje. – A wyście przeciwko mnie spiskowali, w tajemnicy przede mną uknuliście szalony plan.

– Zapanuj nad sobą – rzekła cicho kobieta w czerwieni.

– To ty powinnaś być nad sobą zapanować – odparowała stara.

Przez moment mierzyły się wzrokiem, całkiem jak proste posługaczki.

– Widzisz, Symphe, sama widzisz, do czego doprowadziłaś! To katastrofa! Przygotowaliście odpowiednio spreparowaną historyjkę i podsunęliście ją Kultriemu, a on, łatwowierny, pierwszy naiwny, uwierzył wam bezkrytycznie i wziął waszą stronę. Dobrze poznałam Ukochanego, gdy nam go przyprowadzono przed laty,

wiedziałam, do czego jest zdolny. Ostrzegałam was, od początku was ostrzegałam! Dbałam, żeby zawsze był przy mnie blisko, obserwowałam go uważnie, próbowałam zmienić. A gdy nabrałam pewności, że zmienić się go nie uda, wszystkich was o tym zawiadomiłam i lojalnie przestrzegłam. Powinniśmy byli skończyć z nim wtedy, gdy nie potrafił stłumić własnych zapędów. – Odetchnęła głębiej. – Ale nie, moje przestrogi wpadały w próżnię. Wy pragnęliście jego potomstwa! A Felodi chciał od niego jeszcze więcej: stracił dla niego głowę, robił maślane oczy, jak byle sztubak, jak prostak oderwany od pług! No i postawiliście na swoim! Uznaliście, że znacie go lepiej niż ja! Ja, która spędziłam z nim tyle czasu! To ja wiedziałam, jak głęboko tkwi w nim przekonanie, że jest białym prorokiem i musi zmieniać świat. Nie wystarczyło wam, że stąd uciekł? Że zniszczył nasze starannie budowane plany obejmujące pół wieku? Nasza blada kobieta, nasza piękna Ilistore, Kebal Żelaznoręki... A smoki? Przekłęte smoki znów są na świecie. O tym wszystkim zapomnieliście? Nie do wiary! Zignorowaliście fakty! Woleliście nie pamiętać, co Ukochany uknuł, do czego doprowadził, jak wielkie szkody spowodował, gdy za pierwszym razem wymknął się spod naszej kontroli!

Zerknęłam w bok. Vindeliar wciąż klęczał, głowę miał spuszczoną, brodę przyciśniętą do piersi, jakby dzięki temu mógł zmaleć i przez to mniej rzucać się w oczy. Dwalia przypominała kota, w którego ktoś ciska kamieniami. Oczy miała zmrużone, a usta rozciągnięte na boki, jakby ktoś jej wbił w wargę haczyk i miał ją wyciągnąć na wędce. Trójka ganionych na podeście znosiła gniew starej kobiety ze zniecierpliwieniem. Widać było, że znają te wyrzuty na pamięć, jednak żadne nie odważyło się przerwać.

– A mieliśmy go tutaj! Był w naszych rękach! – Już nie mówiła, teraz krzyczała. – Ukochany! Co za imię dla zdrajcy! Mogliśmy go tu zwyczajnie osadzić. Wrócił z własnej woli. Mogliśmy trzymać w odosobnieniu, zapewnić mu wygody. Mogliśmy sprawić, by uwierzył, że mu wybaczyliśmy i pojęliśmy jego przeznaczenie. Ale nie! Nawet gdy odkryliśmy, jak przeciąga lurików na swoją stronę, jak wysyła ich do Clerres, wy wciąż nie chcieliście ujrzeć jego prawdziwej twarzy! Kazałam go zabić. I cóż? Dwalia, jak zwykle zazdrosna o swoje racje, uznała, że on skrywa jakąś tajemnicę! I chociaż najgorsze tortury nie wydarły mu żadnego sekretu, a jedyne, coście uzyskali, to imię jego kochanka, nadal nie chcieliście mnie słuchać! Wydaje wam się, że pozjadaliście wszystkie rozумы. Uznaliście, że trzeba pozwolić mu uciec. „Przecież w tym stanie daleko nie zajdzie, można go sprowadzić w dowolnym momencie”. Ja się sprzeciwiłam. Ja tego zabroniłam! Lecz wy postanowiliście mnie oszukać! Uznaliście mnie za szaloną staruchę. Wypuściliście go i na dodatek ukrywaliście ten czyn przede mną przez długie miesiące! A co się

stało, gdy odkryłam prawdę? Posypały się następne kłamstwa! – Zdawała się upajać własną furią i prawością. Wcale jej to nie uspokajało, przeciwnie, była niczym sztorm rosnący w siłę. – Ty, Dwalia, postanowiłaś ruszyć śladem Ukochanego, by w ten sposób odkryć jego tajemnicę. Cóż, jednak straciłaś go z oczu! Czy może raczej pozwoliłaś mu umknąć? – Wycelowała w lingstrę drżącym, chudym palcem. – Odłóżmy na chwilę na bok kwestię lurików, których wyprowadziłaś na rzeź. Zapomnijmy na moment o bezcennych rumakach. Nie mówmy teraz nawet o eliksirach, które zmarnowałaś na swoje eksperymenty! Gdzie jest Ukochany?!

Lingstra uniosła głowę. Odezwała się z powstrzymywanym, lecz nieskrywanym gniewem.

– Martwy. Z pewnością. Tego chciałaś. Nie żyje. A zmarł tak, jak ja chciałam: z ręki swojego kochanka! Bastard Rycerski Przezorny raz za razem dźgał go nożem w brzuch, gdyż po tym wszystkim, co zrobiłam, żeby zmienić Ukochanego nie do poznania, nie wiedział, kogo morduje! Nawet silny i zdrowy mężczyzna nie przeżyłby z takimi ranami. A Ukochany był oślepiiony, chromy, zatruty! Ja o to zadbałam. – Stanęła prościej. – Tak. Jestem pewna, że nie żyje. Pozwoliłam, by katalizator zabrał ciało, z którego uchodził ostatni dech, bo dzięki temu obaj zostawili na mojej łasce właściwy cel, którego dotąd pilnie strzegli, przekonani, że go doskonale ukryli. – Ponownie szarpnęła mnie za kołnierz, postawiła na nogi. – To jest ten, o którym prawią wszystkie przepowiednie. Ja to wiem! – krzyknęła, by nie dopuścić do głosu Kapry, która otworzyła wyblakłe usta, chcąc jej przerwać. – To dziecko nie tylko jest nieoczekiwanym synem! W jego żyłach płynie krew Ukochanego! To potomek rodu, którego rozrostu tak bardzo pragnę Symphe, Kultri oraz Felodi. Ja wam go sprowadziłam! Ja! Dwalia! – Bez pośpiechu zmierzyła ich spojrzeniem, każde po kolei. – Nie pozwoliliście mi ruszyć z Ilistore, pamiętacie? – podjęła ciszej. – Wysłaliście ją w świat beze mnie, samą, zdaną tylko na własne siły. Dlatego teraz, gdy odniosłam zwycięstwo, powiem wam prosto w oczy: gdybym z nią ruszyła, nie poniosłaby porażki!

Potrząsnęła mną jak zającym wyciągniętym z sideł. Mężczyzna w żółtym stroju przyjrzał mi się dokładniej.

– Rzeczywiście – odezwał się niegłośno – z kształtu brody przypomina Ukochanego. I uszy podobnie osadzone... Kto wie, może to faktycznie jego córka.

– Córka! – huknęła Kapra. – Felodi, czy ty słyszysz, co mówisz? Czy rozumiesz, co to znaczy? Zastanawiam się czasem, czy ty w ogóle odróżniasz płęć męską od żeńskiej i czy cię ta różnica obchodzi! To nie jest nieoczekiwany syn! W najlepszym wypadku to bękart zdrajcy! Nawet jeśli nasienie pochodziło od Ukochanego, z jaką krwią się zmieszało? To kundel! Pomiot nikczemnego przodka, który tylko ściągał

na nas nieszczęście za nieszczęściem. – Pokręciła głową, a długie srebrne włosy zafalowały miękko. – Dwalia, zniknęłaś na trzy lata. W tym czasie snów przybywało. Opowiadasz o swoich wyczynach, które doprowadziły cię do tego dziecka, lecz widzę gołym okiem, że nie masz pojęcia, ile zmieniłaś. Jesteśmy zasypywani koszmarami o wściekłości nieoczekiwanego syna. Za sprawą potwornych wizji zemsty dwukrotnie żyjącego proroka młode osobniki ze strachu toną we łzach! To są sny o światoburcy! Owszem, pokierowałaś wypadkami, o tak, jak najbardziej, tyle że twoja opłakana zemsta pchnęła nas w wyjątkowo niebezpieczną koleinę czasu. „Ślepiec widzi drogę, a z nim wilk podąża”! Przepowiednia o nieoczekiwanym synu wypełniła się, na nasze nieszczęście! Stało się. Szukaliśmy w nowych snach rady i podpowiedzi, co robić, jaką podążać ścieżką. Ty natomiast doprowadziłaś do tego, że „zbudził się śpiący wilk, zapłonęły gniewem drzemiące w nim smoki”. Pchnęłaś nas na mroczną ścieżkę. A wszystko przez twoją próżność, nieokiełznaną złość i egoistyczną żądzę zemsty!

Dwalia była silniejsza, niż można by sądzić. Wiedziałam o tym, doświadczyłam tego na własnej skórze. Teraz jednak znowu mnie zadziwiła, gdy z zadziwiającą energią powlokła mnie za sobą, chociaż wrywałam się i kopałam.

Rzuciła mną w Kaprę.

Spadłam na krawędź podwyższenia, u stóp kobiety odzianej na niebiesko, uderzyłam w twardą podłogę. Objęłam ramionami posiniaczone żebra. Zabrakło mi tchu. Nie mogłam nawet jęknąć, nie wspominając o krzyku.

– Głupia starucho – wycedziła lingstra zimnym, złowieszczym tonem.

Dwóch wartowników chwyciło ją pod pachy i odciągnęło do tyłu, lecz to nie przeszkodziło jej mówić dalej:

– Nie chciałaś nawet przeczytać, czego dowiedziałam się z badania snów. Nie chciałaś mnie słuchać, gdy ostrzegałam cię przed stworem, którego wzięłaś pod skrzydła. To ja ci powiedziałam, że on uwolni smoki. A wtedy odparłaś, że to niemożliwe. Błagałam cię, byś mi pozwoliła wyruszyć z Ilistore, chciałam ją chronić. Odmówiłaś. Uznałaś, iż Keбал Żelaznoręki wystarczy. Nie wystarczył, więc straciła życie. Umarła w mękach, w samotności, w zimnie, a smoki, których tak się obawiasz, znów są na świecie.

Nie walczyła ze strażnikami, więc ci, choć wciąż trzymali ją pod rękę, czuli się z tym nedorzecznie. Vindeliar kiwał się w przód i w tył, głośno oddychając przez nos. Ja podciągnęłam nogi pod siebie i kucnęłam, chociaż ciągle walczyłam o oddech.

– Ukochany nie żyje – podjęła Dwalia. – Czuję to, wiem na pewno. Zabiłam go najokrutniej. I ukradłam broń, którą razem z katalizatorem przeciwko nam szykował.

Przyprowadziłam wam nieoczekiwanego syna zapowiadanego w prorocत्वach, a was stać tylko na to, by nie przyjmować do wiadomości światłej prawdy! Kapra mnie nie dziwi, niczego innego po niej się nie spodziewałam, zawsze mnie nienawidziła. Felodi ma w głowie wyłącznie lubieżność i rozpustę, a Kultri boi się, że jeśli przyzna, iż dostrzega sens rzeczy, zwróćcie się przeciwko niemu i nazwiecie go oszustem, zupełnie słusznie. Lecz ty, Symphe? O tobie miałam lepsze mniemanie. Sądziłam, że jesteś mądrzejsza. Byłam przekonana, że któregoś dnia uwolnisz się od pozostałych i będziesz sprawowała rządy w Clerres tak, jak powinno się to robić. Ale nie. Chociaż trzymasz w dłoniach wątki nieskończonego czasu, to jednak chcesz je przyporządkować tylko naszemu życiu. Dostarczyłam wam dowód, że myliliście się w kwestii Ukochanego, a wy nadal siedzicie bezczynnie jak żaby na kamieniu.

– Masz czelność używać wobec mnie takiego tonu? – wycedziła Kapra. – Strażnik. Dziesięć razy – zawyrokowała tonem zimnym jak lód.

Mężczyzna zsunął ręce na nadgarstki Dwalii i ścisnął. Lingstra ani drgnęła. Drugi skłonił się przed Radą Czworą i śpiesznie opuścił salę.

– Dwadzieścia – zdecydował Clerres. – Straciłem przez nią wyśmienite konie.

Próżno by szukać w jego głosie żalu czy współczucia. Równie dobrze mógłby właśnie zażyczyć sobie wody lub innego napoju.

– Dwadzieścia? – Kapra była oburzona. – Twierdzisz, że twoje straty są większe od moich? Jak śmiesz?!

– Dobrze, wobec tego dziesięć. Ale to naprawdę były wyjątkowe rumaki. – Kultri nadąsał się, wyjął z rękawa zieloną jedwabną chustkę. – Niezastąpione – mruknął, ściągając na siebie kolejne gniewne spojrzenie Kapry.

– To takie brutalne... i straszny przy tym bałagan... Cóż, dobrze zatem, uporajmy się z tym jak najszybciej. – Felodi zamknął oczy ze znużeniem, jakby nawet myślenie o sprawie nadmiernie go męczyło.

Symphe, ta piękna kobieta, odezwała się jako ostatnia.

– Dwalio, za daleko się posunęłaś. Często pozwalałam ci przemawiać bezceremonialnie, jednak za sprawą zniewag przekroczyłaś granice przyzwoitości. Nie mogę cię dłużej chronić. Pięć razy – zaproponowała z niezbyt wielkim żalem w głosie.

Kapra obrzuciła ją wściekłym spojrzeniem.

– Pięć? Pięć?! Ty też mnie obrazasz. A także Kultri, który stracił efekt ciężkiej długoletniej pracy nad hodowlą koni. Co więcej, przecież ona nawet nie zabiła Ukochanego, jedynie twierdzi, że zmarł, dając w dowód jedynie własne przekonanie! Działała wbrew naszej woli, oszukiwała nas i...

– Niech więc będzie dziesięć – przystała Symphe. – I skończmy z tym nareszcie. Czas nie czeka.

Kapra potrząsnęła głową.

– Teraz uporamy się ze sprawą jak najszybciej. Ale wieczorem chcę was wszystkich widzieć w mojej wieży.

Usłyszałam wracającego strażnika. Miarowe stukanie obcasów, brzęk łańcucha w rytm kroków. Powoli usiadłam, plecami do podestu. Kręciło mi się w głowie. Tępym wzrokiem patrzyłam, jak wartownik uniósł niewielki panel gładkiej białej podłogi i przytroczył łańcuch do znajdującego się pod nim pierścienia.

– Nie – odezwała się Dwalia. – To nie w porządku. – Głos miała opanowany. – Tak nie wolno. – Zdawało się, że argumentuje racjonalnie. – Tak się nie robi.

Strażnik, który pociągnął ją do przodu, nie zwrócił najmniejszej uwagi na jej słowa ani nie przejął się, gdy wbiła mu paznokcie w przedramię, usiłując się wyswobodzić. Zaparła się nogami, lecz gładka posadzka nie dawała oparcia, więc dalej ciągnął ją bez wysiłku. Po chwili drugi złapał ją za włosy i zatrzasnął wokół szyi metalową obręcz. Lingstra szarpała się, gdy zamykał okowy klamrą, jednak nic nie wskórała i gdy obaj od niej odstepili, Dwalia, ta, co przez długi czas dręczyła mnie i katowała, została na tle lśniącej bieli sama, z ciężką metalową obrozą na szyi, przykuta do pierścienia w podłodze jak pies na łańcuchu.

Łańcuch był krótki. Nie mogła się wyprostować. Kilka chwil trwała nienaturalnie zgarbiona, mierząc wzrokiem Radę Czworoga. Potem usiadła, podciągnęła kolana pod brodę, oparła na nich czoło i, jak mogła, osłoniła się ramionami.

Vindeliar oddychał głośno. Wypuszczając powietrze, cicho popiskiwał, lecz nie drgnął. Uświadomiłam sobie, że wiedział, co nastąpi. Jeden ze strażników podał drugiemu kij, identyczny z tym, jaki sam trzymał w ręku, i obaj ustawili się po bokach skazanej. Zaraz. To nie były kije. To były grube warkocze ze skóry, mocne uchwyty z krótkimi biczami na końcu. Pejczy. Strażnicy fachowo przygotowali je do wykonania zadania.

– Poszaleliście! – krzyknęła lingstra w ostatnim, desperackim wybuchu gniewu, lecz głos drżał jej ze strachu.

Jeden z wartowników na próbę machnął narzędziem kaźni.

A potem się zaczęło.

Nie było to dziesięć batów. To było czterdzieści. Dziesięć od każdego z Rady. Wartownicy uderzali na zmianę, bicz wznosiły się i opadały rytmicznie, jak młot kowala. Dla Dwalii nie było ucieczki, lecz co najstraszliwsze, pomiędzy razami mogła do pewnego stopnia decydować, gdzie spadną następne. Karę wykonywano nieśpiesznie. Tyle że strażnicy, doświadczeni lub może okrutni, za każdym razem

smagali ją tam, gdzie jeszcze nie sięgnęły skórzane pasy, lub sprawnie krzyżowali następne uderzenie z poprzednim.

Materiał na plecach Dwalii przy każdym razie odskakiwał od skóry. Z początku lingstra tkwiła w niezmienionej pozycji, więc piękna suknia, prezent od zakochanego kapitana, stopniowo zmieniała się w strzępy, które w końcu odpadły od reszty. Lingstra zaczęła wydawać z siebie urywane okrzyki, próbowała usuwać się spod rąk, krążąc wokół pierścienia w podłodze niczym oszołomiony żuk. Strażnikom to nie przeszkadzało. Nie mogła im uciec. Skóra zaczęła jej podsiąkać krwią, potem otwierała się i wkrótce szkarłatne krople splamiły nieskazitelną biel posadzki oraz nagie ramiona katów. Na długo przed tym, nim skończyli, rzemienie chłostały żywe ciało, wyrzucając w powietrze łukowate strugi krwi. Nigdy wcześniej czterdzieści nie wydawało mi się aż tak wielką liczbą.

Zakryłam uszy. Zacisnęłam powieki. Mimo wszystko nadal słyszałam dźwięki, które z siebie wydawała. To nie były krzyki ani przekleństwa, ani nawet błagania. To były dźwięki straszne. Oczy wciąż mi się otwierały wbrew mojej woli. Oto ona, ta, co zrujnowała mi życie, ta, której nienawidziłam całym sercem. Bitą, chłostaną, rozrywaną, siekaną skórzanymi pasami. Wyręczali mnie w tym, o czym długo marzyłam, lecz było to obrzydliwe, koszmarnie, nie do zniesienia. Czułam się jak zwierzę schwyte w pułapkę. Dyszałam i pojękiwałam, w końcu się rozpłakałam, ale i tak nikt nie zwracał na mnie uwagi. Nie wytrzymałam, zmoczyłam spodnie, wokół moich stóp powstała kałuża. Dotarło do mnie, że ocalałabym ją, gdybym mogła. Byłam zdolna ją zabić, ale chyba nigdy nikogo nie umiałabym znienawidzić do tego stopnia, by go torturować.

Udało jej się ochronić oczy, jednak zapłaciła za to ranami na dłoniach. Skórzane pasy zawijały jej się na ramieniu, po czym zmyślnie smagały szkarłatnym krańcem w policzek. Gdy osłaniała oczy, traciła skórę na grzbietach dłoni. W końcu przewróciła się na bok i leżała z nogami podciągniętymi pod brzuch, z twarzą schowaną w zagięciu łokcia. Z rąk także płynęła krew.

Kara została wymierzona fachowo i bez zwlekania, jednak mnie sparaliżował równomierny strumień czasu. Każde uderzenie spadało na z góry określoną część ciała. Każdy skurcz i każde drgnienie przyczyniały się do zmiany miejsca, w które trafiał następny raz, lecz zawsze w określony sposób, podyktowany logiką. Żołądek podchodził mi do gardła, natomiast umysł odnalazł szczególny spokój, oparty na wrażeniu mimowolnego porządku: każda akcja skutkowałą reakcją. Odgadywałam następstwo zdarzeń: jeżeli Dwalia przesunie się w tę stronę, kat podniesie rękę tak, a nie inaczej, i cios spadnie tam, nie gdzie indziej, po czym krew tryśnie w określony sposób. Wszystko było z góry wiadome. Nie zostało miejsca na przypadek.

Za sprawą przerażającego zrozumienia pojęłam nagle, że każdy nasz czyn przybliżał nas do tego miejsca, czasu i zdarzenia. Jeszcze tego ranka istniały liczne możliwości wyboru innej ścieżki, która nie zawiodłaby nas do tej krwawej sceny. Dwalia mogła pozostać panną Obrecją i w gospodzie czekać na kapitana. Mogła wysłać ptaka z wiadomością dla Symphe i w tajemnicy umówić się z nią na spotkanie w cztery oczy. Mogła utopić się, wyskakując za burtę. Albo zostać na statku. Miała wiele możliwości uniknięcia katastrofy. Dlaczego nie przewidziała, nie odgadła, co się stanie?

Dlaczego ja nie przeczułam, że mnie w to wciągnie?

Za mało wiedziałam, by się domyślić, co nastąpi.

– Trzydzieści osiem.

– Trzydzieści dziewięć.

Każdy ze strażników obwieszczał kolejną liczbę, zadając raz. Na koniec obaj razem oznajmili:

– Czterdzieści! – A na Dwalię spadły równocześnie dwa bicze.

Wolno zsunęli z niej skórzane pasy i zawinęli je na powrót wokół plecionych uchwytów. Ręce mieli zakrwawione, silne ramiona i stoickie twarze poznaczone ciemnymi plamami rozbryzgów. Dwalia leżała bez ruchu, tylko dyszała. Dawno przestała krzyczeć. Wołanie traci sens, jeżeli nic nie daje. Niezliczone noce błagałam ojca szeptem, by mnie odnalazł – bez skutku. Daremność napełniła mnie lodowatym chłodem. I pozwoliła działać.

Kapra odchrząknęła. Jeśli była wstrząśnięta dramatem, który sama spowodowała, nie dało się tego usłyszeć w tonie jej głosu.

– Zabierzcie ją na najniższy poziom. Zamknijcie. Vindeliarze, pójdiesz do siebie. Od jutra wrócisz do dawnych obowiązków.

Jeszcze nie skończyła mówić, a lurik już zaczął wypełniać jej polecenia, już zdążył pośpiesznie ku drzwiom. Obejrzał się raz, zerknął na Dwalię. Twarz wykrzywiła mu się w grymasie, kąciki ust opadły. Wyślizgnął się przez uchylone drzwi, zamknął je za sobą, zniknął.

Trzeba było dwóch strażników, by dźwignąć lingstrę na nogi. Najpierw jednak jeden rozpiął metalową obrozę, a drugi odczepił łańcuch od pierścienia w podłodze i ułożył na miejscu zdjętą płytę. Dopiero potem wzięli Dwalię pod ramiona. Nie dała rady iść o własnych siłach, lecz robiła, co mogła. Żałośnie jęczała z bólu. W pewnej chwili na jeden straszliwy moment uniosła głowę, obejrzała się przez ramię i przyszpiliła mnie wzrokiem. W jej oczach płonęła nienawiść. Uniosła zakrwawioną rękę, wycelowała we mnie trzęsącym się palcem i wymówiła dwa słowa.

– Co powiedziała? – spytał Kultri.

Nikt się nie odezwał. Może nikt nie usłyszał, nie zrozumiał.
Ja zrozumiałam.
„Twoja kolej”.

Rozdział 24

Ręka i noga

Szczurzy łebek na patyku. Chociaż nikt kijka nie trzyma, kiwa się on, jakby ktoś groził palcem. Szczurek popiskuje: „Przynęta pułapką, a łowca w potrzasku”. Wargi ma czerwone, zęby żółte, ślepia czarne i błyszczące. Wydaje się, że to jeden z tych dużych brązowych szczurów, najczęściej spotykanych w przystani w mieście Clerres. Na jego szyi puszy się białą czarna kreza, przyczepione do niej ozdoby są żółte i zielone.

Sen Kapry złożony pod numerem 903872, zapisany przez lingstrę Okuw

– Zachowałam się niestosownie – mruknęła Symphe.

– Miej pretensje do siebie – odparowała Kapra. – Nie kto inny, jak ty sama doprowadziłaś do tej sytuacji. Wypuściłaś Ukochanego, a mnie okłamałaś. Dopuściłaś do tego, że ta wiecznie skwaszona lingstra uznała, że dysponuje przenikliwością równą uzdolnieniom białego proroka. Zachęciłaś ją do sprowokowania całego tego rozgardiaszu. A teraz najwyraźniej ja będę musiała zadbać, by wszystko znów było, jak należy.

– Ja zajmę się dzieckiem – oznajmiła Symphe.

Słyszałam ich głosy jak bzyczenie much na szybie. Dwalia zniknęła. Została tylko jej rozmazana, rozsmarowana na posadzce krew. Vindeliar zniknął. Byłam sama w tym obcym miejscu, do którego mnie we dwoje przywiedli. Podniosłam wzrok na piękną kobietę. Uroda nie oznaczała, że była dobra. Ona na mnie nie patrzyła.

– Nic podobnego – stwierdziła Kapra.

– Każde z nas powinno mieć do niej dostęp – wtrącił się Felodi – by jak najtrafniej ocenić jej wartość.

Kapra zaśmiała się niegłośno.

– Pozbędziemy się tego nieszczęsnego stworzenia. Raz a dobrze. Bo póki jest, będzie nas dzielić, a tego i tak już nadto. Pamiętasz, jak nas poróżnił powrót Ukochanego?

Mężczyzna skrzywił się, aż z jego twarzy odpadły płatki skawalonego pudru.

– Nie rób kroku, którego nie możesz cofnąć, dopóki nie rozważysz, czego nie da

się zrobić, gdy go już uczynisz – zacytowała gładko Symphe.

– To potrwa długie dni! – zaprotestował Kultri.

– A jakie to ma dla ciebie znaczenie, skoro nie ty będziesz nad tym pracował? – fuknął Felodi. – Nie rozumiesz snów – dodał pod nosem – bo przecież sam nie śnisz.

– Czy tobie się wydaje, że ja jestem głuchy? – obruszył się Kultri.

– Ależ skąd! – odparł Felodi z uśmiechem. – Wiem natomiast, że jesteś ślepy na wizje przyszłości.

– Dosyć! – ucieła Kapra.

Przyjrzała mi się, a ja uciekłam wzrokiem. Nie chciałam, by mi zajrzała w oczy. Bałam się. W jej źrenicach lśnił jakiś tajemniczy blask, jakby coś zatrzymywała wyłącznie dla siebie.

– Symphe – odezwała się wreszcie – proponuję zamknąć ją w celi na dachu. Zadbać o jej zdrowie. Zapewnić bezpieczeństwo. Może to tylko jasnowłose dziecko z domu Bastarda Rycerskiego. Dwalia nie przedstawiła dowodów świadczących o tym, by było inaczej. Gdyby to stworzenie rzeczywiście wywodziło się z tego samego rodu, co Ukochany, w tym wieku miałyby już prorocze sny, a lingstra nie przedstawiła zapisków potwierdzających jego wartość. Podejrzewam tu podstęp, dziecko jest zapewne pretekstem do usprawiedliwienia niecznych postępów.

– Niech więc raczej idzie do mnie. Przyda mi się jako służka.

Kapra ścięła ją spojrzeniem.

– Jeszcze nie wiadomo, przy jakiej sposobności uda się ją wykorzystać, moja droga. Dwalia twierdzi, że Ukochany nie żyje. Lecz na temat jego katalizatora, Bastarda Rycerskiego, nie zająknęła się słowem. Jeżeli to jego dziecko albo jest dla niego cenne, może się okazać, że mamy do czynienia z nieoczekiwanym synem. Tym prawdziwym. Tym, który pomógł Ukochanemu nas przechytryć. Dlatego ukryjemy ją do czasu, aż zdecydujemy, czy w opowieści Dwalii znalazło się chociaż słowo prawdy. Tak długo, aż zyskamy pewność, iż wydobyliśmy prawdę zarówno z lingstry, jak i z tego potwora, którego wyhodowała.

– Moim zdaniem to niepotrzebne – sprzeciwiła się Symphe. – Co z tego...

– Albo każę zabić wszystkich troje – przerwała jej Kapra. – Jak powinnam była polecić w przypadku Ukochanego.

Serce biło mi tak mocno, że aż cała dygotałam.

Zapadła cisza.

– Nie masz prawa nam rozkazywać. – To Kultri odezwał się jako pierwszy. – Jest nas czworo i jesteśmy sobie równi.

– Wiek daje mi takie prawo. Doświadczenie. Mądrość. A wy nie macie w tej

kwestii żadnych praw, bo za moimi plecami postanowiliście zezwolić Ukochanemu na „ucieczkę”. Teraz moja kolej, teraz ja podejmę decyzję, a żadne z was nie będzie miało w jej sprawie nic do powiedzenia! – W jej oczach błyszczała satysfakcja. – Och, możecie, rzecz jasna, odwrócić wzrok i udawać, że zdołacie mnie wyprowadzić w pole... Co za farsa! Czy naprawdę sądzicie, że nie wiem, jak sprzeniewierzyliście fundusze, by je powierzyć Dwalii? Że nie mam pojęcia o wiadomościach, które przynosiły wam od niej ptaki? – Pokręciła głową zdumiona ich naiwnością, i uśmiechnęła się okrutnie. – Zapomnieliście, kto tu śni częściej, wyraźniej i bardziej prawdziwiej niż którekolwiek z was, Białych wyhodowanych w Clerres! Sądziliście, że zdołacie cokolwiek przede mną ukryć? Dla równowagi przestałam was obdzielać moimi snami! Zajęci organizowaniem bezsensownej wyprawy w poszukiwaniu zemsty zapomnieliście o rzeczywistym problemie. Nie o dziecku, które może i jest z krwi Białych, choć trudno mieć jakąkolwiek pewność, lecz o przeklętych smokach! Doszło właśnie do tego, czemu usiłowaliśmy zapobiec! Smoki znów są na świecie, pozostali przy życiu luricy snią mroczne przepowiednie o wilkach i synach! A tak niewiele brakowało, byśmy skończyli z gadami raz na zawsze! Co gorsza, smoki nie wybaczą. I nie zapominają. Wy troje natomiast najwyraźniej zapomnieliście, że smoki nie puszczają w niepamięć uczynionego im zła! Najwyższy czas skończyć z małostkową polityką i spojrzeć w przyszłość! Ukochany podważył fundamenty naszej wiedzy, lecz odbudowujemy je za sprawą nowych snów i przepowiedni. Możemy zmienić losy świata, pchnąć go na drogę dziejów dla nas najkorzystniejszych. Na nic jednak wszystkie nasze wysiłki, jeśli na niebie nad Clerres zobaczymy skrzydlate gady!

Zapadła cisza.

Powoli wstałam. Wstyd mi było, że zmoczyłam spodnie. Przylepiły mi się do nóg, były zimne. Do piersi przyciskałam swój skromny tłumoczek, w oczach zapiekły mnie łzy. Nie powstrzymywałam ich. Zyskałam czas, by sklecić prowizoryczną tarczę kłamstw, i zamierzałam się nią osłonić.

– Ja chcę do domu... – jęknęłam żałośnie. – Nic z tego nie rozumiem... Puśćcie mnie do domu.

Ściągnęłam na siebie ich spojrzenia, w różnym stopniu zdziwione i nieprzychyłne. Postarałam się, by dolna warga mi zadrzała.

– Do żadnego z nas nie odzywasz się niepytana – oznajmiła Symphe, ta ładna, młoda kobieta. – Zrozumiano?

Spuściłam wzrok. Czy mogłam to wykorzystać?

– Tak, proszę pani. Pani Dwalia mówiła mi, że mam z żadnym z was nie rozmawiać. Powinnam była pamiętać.

Głowę wciąż miałam zwieszoną, lecz starałam się obserwować ich przez rzęsy. Symphe wydawała się nieswoja.

– Pani Dwalia mi powiedziała, że będziemy rozmawiały z panią Symphe na osobności – odezwałam się jak najbardziej dziecinnym głosem. – Albo z panem Felodim. Nauczyła mnie snów do opowiadania. Czy mam je opowiedzieć teraz?

Symphe musiała dać jakiś sygnał, którego nie dostrzegłam, bo raptem jeden ze strażników podciął mi nogi. Wyrznęłam łokciem w podłogę, ból wystrzelił z niego aż po bark. Przycisnęłam do siebie ramię, przetoczyłam się na brzuch.

– Do celi z nią – rozkazała Symphe lodowatym tonem. – Na niższym poziomie. Już.

Znowu chwycono mnie za kołnierz i podniesiono jak worek. Stale przyciskałam do siebie zawiniątko z ubraniami, w nadziei, że złagodzi ciosy, które musiały teraz na mnie spaść. Ledwo dotykałam posadzki czubkami palców, gdy strażnik ciągnął mnie do wysokich drzwi.

– Zbierzmy się wieczorem – usłyszałam Symphe, omówimy sprawę i posłuchamy, co toto ma do powiedzenia. Do tego czasu niech się z nią nikt nie spotyka. Nikt.

– Och, Symphe, moja droga! – Kapra zaśmiała się. – Czyżby dziecko zaczęło zdradzać twoje sekrety? Naprawdę sądzisz, że jeszcze nie wiem...

Więcej nie usłyszałam, bo drzwi się zamknęły. Kołnierz wrzynał mi się w gardło. Z niemałym trudem wcisnęłam palce pod materiał.

– Dusisz ją – zauważył ten strażnik, który szedł obok.

Gwałtownie wylądowałam na ziemi. Ległam jak długa, dysząc ciężko. Od obu wartowników czułam krew Dwalii i czosnek. Jeden z nich powinien się umyć. Stanowczo.

– Wstawaj – rozkazał któryś, trącając mnie stopą obutą w sandał.

Posłuchałam, lecz wykonałam polecenie nieśpiesznie. W korytarzu znajdowali się jacyś ludzie. Wszyscy się na nas gapili. Spuściłam wzrok. Krwawe smugi na podłodze. Tędy wywiedli Dwalię. Pewnie wsadzą mnie do celi blisko lingstry. Albo nawet do tej samej. Ze strachu serce podeszło mi do gardła.

– Albo idziesz sama, albo będę cię ciągnął – odezwał się ten sam strażnik.

– Pójdę – zdecydowałam natychmiast.

Czy nadarzy się inna okazja do ucieczki? Tylko dokąd uciekać?

– Straż! Czekać! – rozległo się nagle za nami.

Felodi.

– Zdecydowano, że będzie na najwyższym poziomie, zamknięta na cztery spusty. Tam ją zabierzcie, my dołączymy wkrótce.

– Wedle rozkazu.

Ten, który wcześniej włókł mnie za kołnierz, teraz pchnął mnie w odpowiednią stronę. Mineliśmy grupę dobrze ubranych ludzi, którzy obrócili się za nami, nie kryjąc ciekawości. W pewnej chwili otwarto któreś z bocznych drzwi. Za nimi ujrzałam piękną salę balową. Dwie dziewczynki, mniej więcej w moim wieku, w eskorcie paziów, strojne w koronki, odprowadziły nas zaciekawionymi spojrzeniami.

Pierwszy ciąg schodów prowadził w górę zamaszystą spiralą. Strażnicy nie zwolnili nawet na podeście, a ja, chociaż ledwo dyszałam, dotrzymywałam im kroku, także na następnych schodach, które zaprowadziły nas do korytarza o ścianach z brązowych paneli. Nie było tam ani jednego okna, więc panował mrok, rozpraszany przez lampy oliwne podobne do dzbanków na herbatę. Ustawiono je na półkach wystających ze ścian w regularnych odstępach. Między nimi, po obu stronach, znajdowały się drzwi. Posadzkę wyłożono dywanem. Pachniało sosnami.

Jedne z drzwi były otwarte. Za nimi znajdowało się pomieszczenie zastawione sięgającymi po sufit regałami, o półkach podzielonych na regularne kwadraty. Przypominały plastry miodu. Z każdego wystawały starannie poukładane zwoje, a przy długich stołach ludzie siedzieli nad zwojami rozpostartymi i odpowiednio obciążonymi, by się nie zrolowały. Między nimi leżały stosy papieru, stały kałamarze i stojaki na pióra. Chciałam przyjrzeć się uważniej, lecz gdy zwolniłam, któryś ze strażników trzepnął mnie w tył głowy.

– Prędzej – napomniął mnie.

Przyśpieszyłam.

Po chwili mineliśmy identyczne pomieszczenie, także zastawione długimi stołami i wysokimi regałami, tyle że tam dostrzegłam więcej ksiąg niż zwojów. Siedzący podnosili na nas wzrok. Nie dostrzegłam okien, lecz nie było ciemno, gdyż przez kamień przeszły prostokąty światła. W życiu czegoś takiego nie widziałam. Niektórzy spośród skrybów byli w moim wieku, inni pewnie starsi nawet od mojego ojca. Wszyscy mieli na sobie ciemnozielone stroje. U żadnego nie zauważyłam mlecznobiałej cery, z czego domyśliłam się, że to Słudzy Białych. Nikt nie odezwał się słowem.

Na końcu korytarza, za drzwiami, znajdowały się kolejne schody. Węższe i bardziej strome niż poprzednie. Niełatwo było mi się na nie wspiąć, ale przynajmniej dyktowałam tempo, bo szłam pierwsza. Kończyły się przed następnymi drzwiami, z niewielkim zakratowanym okienkiem. Na samym szczycie obróciłam się i popatrzyłam za siebie. Jeden ze strażników uciekł spojrzeniem, drugi w ogóle unikał mojego wzroku. Pierwszy załomotał pięścią w deski. Walił dotąd, aż przez pręty wyjrzała kobieta o ciemnych włosach i piwnych oczach.

– O co chodzi? – spytała.

– Do zamknięcia na cztery spusty.

– Kto?

Strażnik wskazał mnie oszczędnym gestem, a kobieta musiała stanąć na palcach, żeby zobaczyć.

– Och! – zdziwiła się. – Rozumiem.

Odsunęła rygiel i otworzyła drzwi. Weszliśmy do ciasnego pomieszczenia. Kobieta odwróciła się do nas plecami i otworzyła drugie wyjście. Przewodniczka wyprowadziła nas na otwartą przestrzeń pozbawioną dachu. Zalało nas jasne światło. Zamrugałam, osłoniłam oczy dłonią. Blask bił mi w twarz także od białej posadzki, więc zmrużyłam powieki i tylko zerkałam przez palce. Całość otaczał wysoki mur, kątem oka zauważyłam strażnika idącego wolno między blankami. Znajdowaliśmy się na dachu twierdzy. Wdzięczne, smukłe wieże, które dostrzegłam wcześniej, wyrastały z każdego z czterech rogów budowli.

– Tędy.

Poszłam za kobietą, a za mną ruszyli obaj strażnicy. Jedną ręką stale chroniałam oczy przed słońcem. Dziwnie się czułam: mała i słaba, a tak pilnie strzeżona. Minąwszy otwartą przestrzeń, znaleźliśmy się w korytarzu z rzędami niedużych pomieszczeń po obu stronach. Każde zamykała bramka z metalowych prętów. Tylko niektóre były zajęte. Gdy kobieta stanęła, i ja się zatrzymałam.

– Zaczekamy na Radę Czworoga – powiedziała, opuszczając na mnie wzrok. – Tylko oni mają klucze do ostatnich czterech cel. Daj mi te rzeczy.

Z ociąganiem oddałam tobolek. Rozwiązała go, sprawdziła zawartość.

– Tylko ubrania – powiedziałam.

Nie odezwała się. Uważnie obejrzała każdą sztukę po kolei, po czym oddała mi moją zniszczoną odzież.

Usłyszałam odgłos zamykania drzwi, a potem zniżone głosy osób wyraźnie pogrążonych w sprzeczce. Przez szparki w powiekach spojrzałam w stronę, z której przyszliśmy. Rada Czworoga. W momencie, gdy nas zobaczyli, rozmowa zamarła. Każdemu z idących towarzyszył strażnik. Wszyscy zdążali szybkim krokiem. Gdy znaleźli się przy nas, przed wejściem do jednej z czterech ostatnich cel, Symphe wydobyła z kieszeni ukrytej w fałdach spódnicy skomplikowany klucz, zawieszony na łańcuchu zdobionym drogimi kamieniami. Podała go strażnikowi, a ten włożył w jeden z otworów na długiej sztabie i przekręcił z głośnym szczękiem. Wtedy Symphe cofnęła się, ustępując miejsca Kultriemu, a on podał drugiemu strażnikowi klucz z białej kości. Następne szczęknięcie. Gdy wszystkie cztery klucze zostały włożone w odpowiednie otwory i obrócone, kobieta, która nas przyprowadziła, przesunęła metalową sztabę w bok i gestem nakazała mi wejść do środka.

Kiedy przekroczyłam próg, z sąsiedniej celi dobiegł miękki, niski głos.

– I cóż, Symphe, nawet się nie przywitasz? Kultri, powinienes umyć twarz. Wyglądasz groteskowo. Felodi! Nie masz dziś przy sobie żadnego młodzika? Ach, jest i Kapra. Widzę, że zdążyłaś zmyć krew z rąk. Formalności stało się zadość.

Żadne nie zareagowało. Ponieważ byłam już w celi, nie mogłam zajrzeć do sąsiedniej, zobaczyć, kto tak śmiało odzywa się do Rady Czworga. Pierwszy strażnik z brzękiem zatrzasnął drzwi. Każdy z czterech po kolei obracał klucz, wyjmował i oddawał we właściwe ręce.

– Dziecko – odezwała się Kapra znienacka. – Powiedz mi, jak się nazywasz i jak nazywa się twój ojciec.

Na to byłam przygotowana.

– Nazywam się Pszczoła Borsuczowłosa, pochodzę z Białego Gaju. Moim ojcem jest Tom Borsuczowłosa, dzierżawca tego majątku. Zarządza hodowlą owiec i sadami na ziemiach pana Bastarda Rycerskiego. Puśćcie mnie do domu...

Jej spojrzenie nie zdradzało nic. Nie minęłam się z prawdą, ani na jotę, więc patrzyłam w oczy kobiety całkiem otwarcie.

Odeszli. Bez słowa, bez jakiegokolwiek pożegnania. Z sąsiedniej celi znów dobiegł męski głos.

– Jedenaścioro dorosłych, by zamknąć w celi dziecko. Czy naprawdę mają powód aż tak się bać?

Nie odważyłam się odpowiedzieć. Jego ignorowali, lecz do mnie mogli w każdej chwili wrócić, żeby mnie zbić. Tkwiłam bez ruchu tuż za progiem, ściskając w rękach tobolek, i przyglądałam się celi. W rogu stał nocnik. Większość miejsca zajmowała niska prycza z siennikiem, w nogach leżał koc z niebarwionej wełny. Przeciwległa ściana, z białego kamienia, przywodziła na myśl koronkę: otwory, przez które przedostawało się powietrze, a wraz z nim światło, miały kształt liści, kwiatów i muszli. Podeszłam, wsunęłam w jeden z nich rękę. Zmieściła się łatwo, sięgnęłam aż do muru zewnętrznego. Ażurowa ściana miała grubość mojej dłoni wraz z przedramieniem.

Zimą będzie w takiej celi nieprzyjemnie, pomyślałam.

Potem zadałam sobie pytanie: czy w tej okolicy w ogóle znana jest zima? A jeśli tak, to czy jej dożyję?

Przy łóżku było ledwie tyle miejsca, by obok niego przejść. Przez metalowe pręty drzwi wyraźnie widziałam pustą celę naprzeciwko. Gdyby tam się ktoś pojawił, nie mogłabym na osobności skorzystać z nocnika ani zmienić ubrania.

Głowa nie mieściła mi się między prętami, więc przycisnęłam do nich twarz i wyrzałam, na ile mogłam, na korytarz. Nikogo nie zobaczyłam. Innymi słowy,

miałam chwilę dla siebie. Wyjęłam z tłumoczek niebieskie spodnie, prezent od pani Akriel. Miałam je na sobie tamtej nocy, gdy ją zamordowali. Jej ulubiony odcień błękitu. A na nim kilka brązowych plamek od krwi. Na kolanach widniały ogromne dziury, nogawki się postrzępiły. Tak czy inaczej, były suche. Przebrałam się pośpiesznie, a zasiusiane spodnie rozłożyłam na podłodze, żeby wyschły.

Usiadłam na krawędzi pryczy. Siennik był cienki, całkiem się spłaszczył pod moim ciężarem. Wyraźnie czułam linki stelaża. Uznałam, że wygodniej będzie spać na nim na podłodze. Znów podeszłam do drzwi, wyjrzałam przez pręty. Na korytarzu wciąż nie było żywego ducha. Dopiero wtedy odważyłam się rozpiąć bluzkę. Wetknęłam nos w dekolt i wciągnęłam ulotny, gasnący zapach wiciokrzewu z połamanej, łuszczącej się świecy.

– Mamusiu... – wyrwało mi się.

Mówiłam tak, gdy byłam jeszcze całkiem mała. Łzy zapiekły mnie pod powiekami, jakby tkliwe słowo wskrzesiło z grobu smutek, zamiast przywołać wspomnienie najdroższej osoby.

– Strasznie dużo kłopotów spadło na taką młodą osobkę – odezwał się ktoś.

Zamarłam, tylko serce waliło mi jak młotem.

Głos był niski, a słowa w języku powszechnym znaczyły jakiś szczególny akcent.

– Coś ty takiego zrobiła, mała? A raczej: o co cię oskarża Rada Czworoga, że cię tu zamknęli?

Nie odpowiedziałam. Siedziałam zmieniona w kamień, bez najlżejszego ruchu, by nawet szelest źdźbła słomy nie zdradził mojej obecności.

– Pięknie tu było za moich młodych lat – kontynuował ów ktoś. – Tutaj, na dachu, znajdowały się komnaty żon imperatora, nie cele. I precudnej urody ogród. Filigranowe pergole łagodziły blask słońca, w donicach rosły najprzeróżniejsze kwiaty i zioła. Zaglądałem do ogrodu wieczorami, gdy w powietrzu rozchodziła się słodka woń jaśminu. A w najgorętsze noce, kiedy wiatr od morza przynosił upragniony chłód, przychodziłem tu spać.

Mówił i mówił. Nie zadawał pytań. Słuchałam w milczeniu, a światło długiego popołudnia leniwie blakło. W pewnej chwili usłyszałam kobiecy głos. Tylko jeden, jakby ta osoba mówiła do siebie. Siedziałam bez ruchu. Usłyszałam kroki i znów ten sam głos, nieco bliżej.

– Proszę bardzo.

Tym razem doszło mnie ciche podziękowanie. Zebrałam się na odwagę, bezszelestnie wstałam z łóżka i podeszłam do drzwi. Teraz już całkiem wyraźnie słyszałam kroki oraz pobrząkiwanie naczyń na tacy. Kroki ucichły, kobieta znów coś powiedziała, ktoś jej odpowiedział. Słuchałam uważnie. Przystanąła jeszcze

dwa razy, nim dotarła do sąsiedniej celi. Tak, to była ta sama strażniczka, która mnie tu przyprowadziła. Postawiła na ziemi miskę i bez słowa przepchnęła ją pod drzwiami. Gdy podeszła do moich, ściągnęła brwi i pokręciła głową.

– Ależ z ciebie drobinka. Masz, jedz. Zaraz przyniosę wodę.

Nabrała tchu, jakby miała zamiar powiedzieć coś jeszcze, lecz zacisnęła wargi i odeszła. Na tacy zostały jej tylko dwie miski. Usłyszałam, jak zatrzymuje się jeszcze dwa razy przed końcem korytarza. Czyli było nas siedmioro, a cel chyba ze dwadzieścia.

Przysunęłam sobie miskę bliżej. Przede wszystkim rzucały się w oczy jakieś włókniste warzywa, dziwnie pomarańczowe. Sześć sztuk, ułożone na kopczyku ziarna, którego nie znałam, wystającym z gęstej zupy. Wiórki kapusty pachniały mocno, całość posypano jakąś siekaną zieleniną. Zjadłam wszystko, posługując się drewnianą łyżką. Zioło trochę szczypało w język. Po jakimś czasie kobieta wróciła, zabrała miskę, a zostawiła mi dzbanuszek z wodą, szeroki u podstawy, zakończony smukłą szyją. Wypiłam prawie wszystko. Odrobinę zostawiłam: postanowiłam następnego dnia umyć twarz, jeśli dostanę więcej wody do picia.

Wieczór nieśpiesznie pociemniał i zmienił się w noc. Kobieta przyszła znowu, tym razem zapaliła lampę – krągły dzban z cienkim knotem wystającym z dziobka. Płomień był jasny, zapachniało sosnami. Wiatr zaczął szeptać w ścianach, przynosząc woń morza. Po zachodzie słońca słyszałam krzyki mew. Siedziałam na brzegu pryczy, myślałam o Radzie Czworoga, roztrząsającej, kim to ja właściwie jestem, i zastanawiałam się, co im podsunąć. Mieli za dużo informacji. Kapra wiedziała, że mój ojciec był nieoczekiwanym synem, więc tego nie mogłam podważyć. Powiedziałam im, że jestem dzieckiem dzierżawcy porwanym ze spustoszonego domu. Zwykłą dziewczynką. Czy uwierzyli? Czy mnie wypuszczą? Sprzedadzą? Czy zabiją, bo tak będzie najprościej pozbyć się bezwartościowego podrostka?

Gdyby odgadli, czego dowiedziałam się ze snów, zabiliby mnie nie pewno.

Tęskniłam za wilkiem-ojcem, lecz nie odważyłam się rozluźnić ochrony umysłu. Przecież w Clerres mogli być inni dysponujący magią, którą władał Vindeliar.

Noc poczerniała. Słyszałam szepty dobiegające z innych cel, ale nie rozróżniałam słów. Kto jeszcze był tutaj przetrzymywany? Za co? Wstałam i strzepnęłam koc, chociaż było ciepło. Zdjęłam buty, ustawiłam je równo. Ściągnęłam żalony siennik na podłogę, rozłożyłam przy wejściu, po czym złożyłam na pół, żeby był grubszy. Nakryłam go kocem, zwinęłam się kłębek i zamknęłam oczy.

Obudziłam się ze ściśniętym gardłem, po twarzy ciekły mi łzy. Na głowie czułam dłoń ojca, przykryłam ją ręką.

– Tatusiu! Czemu tak długo zwlekałeś? Wracajmy do domu!

Nie odpowiedział, tylko delikatnie przeczesał mi włosy palcami. A potem usłyszałam znowu ten miękki, niski głos:

– To jak, maleńka, coś narozrabiała?

Zaczerpnęłam tchu, usiadłam. Znajdowałam się na granicy światła z lampy oliwnej. Cofnęłam się głębiej w ciemność. W plamie nikłego blasku zobaczyłam dłoń. Nigdy dotąd nie widziałam u człowieka tak czarnej skóry. To mężczyzna z sąsiedniej celi przełożył rękę między prętami. To on gładził mnie po włosach. Starłam się uspokoić oddech, jednak strach mi to uniemożliwił.

– Czemu się mnie boisz? – usłyszałam. – Rozdziela nas ściana, nie mogę cię skrzywdzić. Porozmawiaj ze mną, kruszyno. Jestem tu bardzo długo, a nikt ze mną nie rozmawia. Chciałbym wiedzieć, co się dzieje w świecie. Co ciebie tu sprowadziło... – Dłoń obróciła się, ukazując jaśniejsze wnętrze.

Mój sąsiad zapewne leżał na podłodze, przyciskając bark do prętów. Umilkł, tylko dłoń błagała w jego imieniu.

– Kim jesteś, panie? – spytałam. – Co zrobiłeś złego?

Może uwięziono mnie obok mordercy? Dwalia też była sympatyczna, gdy ją poznałam. Drugi raz nie dam się nabrać.

– Mam na imię Prilkop. W swoim czasie byłem białym prorokiem... o, bardzo dawno temu. Wiele razy zmieniałem skórę.

Odżyło mi w pamięci niewyraźne wspomnienie. Chyba znałam to imię. Dwalia je wymieniła...? Albo przeczytałam w ojcowskich dokumentach?

– A dlaczego jestem tutaj? – podjął.

Mówił cicho, przysunęłam się bliżej.

– Dlatego że głosiłem prawdę – ciągnął. – Za to, że wykonywałem swoje obowiązki wobec świata. Chodź bliżej, maleńka, nie masz czego się bać, a mnie się zdaje, że potrzebujesz odrobiny serdeczności. Jak ci na imię?

Nie chciałam odpowiadać, więc zadałam pytanie:

– Dlaczego nikt z tobą nie rozmawia?

– Boją się mnie. A raczej tego, co mogliby usłyszeć. Słów, które by zburzyły ich spokój, sprawiły im kłopoty.

– Gorzej być nie może.

Zrozumiał moją odpowiedź inaczej, niż sądziłam.

– Pewnie masz rację. I ja już raczej nie mogę spowodować dodatkowych problemów. Tak... To co, opowiedz mi o sobie, maleńka.

Jakiś czas siedziałam w zamyśleniu. Ufać mu nie należało, to jasne. Mógłby wszystko, co ode mnie usłyszy, przekazać dalej. Czy dałabym radę wyciągnąć z tego jakąś korzyść?

– Zjawili się w moim domu w piękny dzień roziskrzony od śniegu. Tuż przed świętem Środka Zimy. Porwali mnie. Bo uważali, że jestem nieoczekiwanym synem. Ale to nie ja.

Staralam się ważyć słowa, lecz kiedy zaczęłam mówić, popłynęły mi z ust wartkim potokiem, często bez ładu i składu, tylko niekiedy utykając w ściśniętym gardle. Nie włożyłam ręki w jego dłoń, lecz skończywszy opowieść, zorientowałam się, że wielką czarną dłonią miękko obejmuje obie moje bose i brudne stopy.

Mówiłam nieskładnie: zaczynałam jedną opowieść, nie skończywszy jej, przechodziłam do drugiej, potem wracałam do wyjaśniania spraw związanych z Vindeliarem, a następnie znów przeskakiwałam do opowieści o tym, że ukryłam Niestrudzonego pod peleryną, ale pewnie i tak umarł. I o tym, że porwali ze mną pannę Szkodę, ale jej udało się uciec. Zaczęłam dygotać, a on lekko ścisnął mi stopy, jednak nic nie powiedział. Ciągłe powtarzałam, że porwanie mnie było grubym błędem. Aż w końcu opowieść utonęła w rzece łez. Wtedy się odezwał.

– Biedne maleństwo. Nie jesteś nieoczekiwanym synem. Wiem, bo go spotkałem. Razem z jego prorokiem.

Zmieniłam się w kamień. Czy to jakaś pułapka? Nie przypuszczałam, że usłyszę coś jeszcze gorszego.

– Śniłem o tobie. Stałaś się możliwa w dniu, gdy Ukochany wrócił z martwych, przekreślając niezliczone przepowiednie. Tamtego dnia zrozumiałem, że jakieś zdarzenie obróciło wniwecz wszelkie dotychczasowe ścieżki przyszłości, tworząc zupełnie nowe możliwości. Przeraziło mnie to. Sądziłem, iż mój czas proroczych snów minął, że wypełniłem swoje powołanie i mogę wrócić do domu. A wtedy zjawił się sen o tobie. Wówczas, rzecz jasna, nie wiedziałem, że to będziesz ty. Ale tak czy inaczej, byłem wstrząśnięty. I bałem się twojego przyjscia. – Na jakiś czas zapadła cisza. – Staralem się zmniejszyć jego prawdopodobieństwo. Gdy tylko Ukochany i jego katalizator do mnie wrócili, przekonałem ich, by się jak najszybciej rozstali. Sądziłem, że uczyniłem dość, by świat znalazł się na lepszej drodze. – Wielka dłoń na krótko zamknęła mi się na stopie. – Lecz gdy znowu zacząłem śnić o tobie, zrozumiałem, że już za późno, że istniejesz. A przez samo swoje istnienie tworzysz niezliczone rozgałęzienia, odejścia od właściwej ścieżki.

– Śniłeś o mnie, panie?

Otarłam twarz koszulą.

– Tak.

– A co śniłeś?

Ciemna dłoń zwiotczała mi pod stopami. Nie poruszyłam się.

– Dużo było tych snów – odezwał się, a jego powolne słowa przypominały krople

skapującego miodu. – Nie zawsze dokładnie o tobie, czasem o różnych formach przyszłości, jakie stawały się możliwe za sprawą twojego istnienia. Śniłem o wilku, który zdemaskował lalkarza. I o zwoju, z którego zniknęły zapiski. I o mężczyźnie, co strząsnął z siebie deski i przeobraził w dwa smoki. A także...

– Ja też miałam ten sen! – odezwałam się, zanim pomyślałam.

Cisza. Tylko dwóch innych więźniów szepczących gdzieś dalej w korytarzu.

– Nie jestem zdziwiony. Ale przestraszony, owszem.

– Dlaczego te sny mnie dotyczą?

Zaśmiał się niegłęboko.

– Śniła mi się ognista trąba powietrzna, która zmieniła wszystko. Wyciągnąłem dłoń, by ją ująć za rękę. I wiesz, co się stało?

– Oparzyła cię.

– Nie. Podsunęła mi nogę. Bosą stopę.

Szarpnęłam się do tyłu, jakby to jego dłoń parzyła. Znowu się zaśmiał, bardzo cicho.

– Co się stało, to się nie odstanie, maleńka. Teraz już wiem, kim jesteś. Wiedziałem, że się zjawisz. Nie sądziłem, że będziesz dzieckiem. To co, powiesz mi, jak się nazywasz?

– Mam na imię Pszczoła – odparłam po namyśle.

Nie odpowiedział. Jego dłoń wciąż trwała w tym samym miejscu, obrócona wnętrzem do góry. Pomyślałam sobie, że musi mu być niewygodnie tak sięgać do mojej celi.

– Skoro znasz mnie ze snów, panie, to powiedz, co będzie się ze mną dalej działo?

Jego bezruch kojarzył mi się z grubą kotarą. W lampie kończyła się oliwa. Nie musiałam widzieć płomienia, by wiedzieć, że tańczył na końcu knota, wysysając z niego ostatki tłuszczu.

W końcu znów usłyszałam ten mocny, niski głos:

– Pszczoła, nie mogę ci powiedzieć, co będzie się z tobą działo, bo to ty będziesz działać.

Powoli zabrał dłoń. Tej nocy więcej się nie odezwał.

Rozdział 25

Przekupstwo

Informatorzy donoszą, że w pobliżu zatoki Kerl na półwyspie Reden przygotowuje się do transportu dużą ilość doskonałego jadeitu oraz turkusów, zarówno w postaci surowej, jak i obrobionych. Inny statek bierze ładunek wyśmienitego drewna.

W ciągu minionego półrocza trzech lurików śniło o wielkim sztormie. Dwóch o statkach rozbitych na skale pod chmurami, które, rozdzieliwszy się, ukazały księżyc w kwadrze.

Choć nie mamy pewności, w którym miesiącu należy oczekiwać tego sztormu, trzech lurików żywi przekonanie, że zdarzenie to jest nieodległe na ścieżkach przyszłości.

W mojej opinii należałoby utrzymać w gotowości statek w zatoczce Skalen, w pobliżu skały Harke, gdzie po sztormie będzie można zebrać znaleźiska. Warto byłoby także zadbać o to, by na pokładzie znajdowała się załoga zdolna spierać się o prawo do przejęcia cennego ładunku. Nawet gdyby nasz statek musiał czekać pół roku, korzyść nadal byłaby warta poniesionych nakładów.

Raport dla Rady Czworoga.

Autor: Jens, Kolekcjoner siódmego stopnia.

Nie wiem, jak to możliwe, lecz spałam jak zabita. Obudziła mnie jakaś kobieta. Trącała mnie stopą wetkniętą pod pręty.

– Odsuń się, dobrze? – odewała się cicho. – Przyniosłam owsiankę.

Słońce rysowało na posadzce koronkowe wzory. Muszle. Kwiaty.

Usiadłam. Nic nie rozumiałam. Aż nagle pamięć mi wróciła. Dwalia wychłostana, ja w celi. A nocą... Przyjaciół? Wstałam, wyjrzałam przez pręty. Chciałam zajrzeć do sąsiedniej celi. Widziałam tylko fragment korytarza.

Dzisiejsza strażniczka była szatynką o piwnych oczach. Była ubrana w tunikę bez rękawów, jasnoniebieską, sięgającą kolan, przewiązaną w talii szarfą. Na nogach miała skórzane sandały. Ustawiła tacę na podłodze, zdjęła z niej naczynie i wsunęła do mojej celi. W białej misce beżowa owsianka. Bez śmietanki, bez miodu, bez

owoców. To nie Biały Gaj. Nie słychać szczęku garnków, nie przyjdzie tata. Ot, zwykła owsianka, do niej drewniana łyżka. Jedząc, starałam się wskrzesić w sobie wdzięczność. Posiłek był pozbawiony smaku. Po jakimś czasie kobieta wróciła po naczynia.

– Czy mogę dostać wodę do mycia? – poprosiłam.

Wyglądała na zdziwioną.

– Nie wydano mi takiego polecenia.

– Czy może pani poprosić o zgodę?

Ze zdumienia podniosła brwi tak wysoko, że niemal sięgnęły linii włosów.

– Oczywiście, że nie!

– Ona umie tylko wypełniać polecenia – usłyszałam niski, dźwięczny głos, którego słuchałam nocą.

– Nieprawda! – oburzyła się kobieta, po czym gwałtownie zasłoniła usta obiema dłońmi.

Kucnęła, śpiesznie ustawiła moją miskę na tacy, gdzie już piętrzyły się inne, i zniknęła tak szybko, że naczynia głośno dzwoniły.

– Przestraszyłeś ją, panie.

– Sama się przestraszyła. Wszyscy oni tacy sami.

Moją uwagę przyciągnął dźwięk otwieranych drzwi. Tych na końcu korytarza. Znów przycisnęłam twarz do prętów. W zasięgu mojego wzroku zaczęli, jedno po drugim, wyłaniać się członkowie Rady Czworoga. Nie byli wystrojeni, jak poprzedniego dnia, jednak wciąż każde z nich miało strój w tych samych barwach, co poprzednio. Za nimi szło czterech żołnierzy. Symphe ubrała się w czerwoną suknię bez rękawów, spływającą w luźnych fałdach do samej ziemi, bez żadnych ozdób, jedynie z paskiem przytrzymującym ją w talii. Felodi włożył długą żółtą tunikę oraz spodnie, ledwo sięgające kolan. Zielony kaftan Kultriego był przyprószony pudrem, jakby mężczyzna właśnie napotkał śnieżycę. Ubiór Kapry mnie zaskoczył. Włożyła coś, co nazwałabym koszulą z luźnymi, lejącymi się rękawami. Jeżeli miała spodnie, to krótsze niż owa koszula, bo widziałam prawie całe nogi: silne, lecz blade, jak brzuch ryby. Sandały z brązowej skóry klapały przy każdym kroku. Nigdy dotąd nie widziałam podobnego stroju, więc, co tu kryć, gapiałam na nią jak sroka w gnat.

– Otwórz – rozkazała Symphe, podając strażnikowi klucz na zdobionym łańcuchu. Mężczyzna posłusznie wykonał polecenie. Każdy z pozostałych strażników po kolei wkładał klucz w odpowiedni otwór i przekręcał. Na koniec Kapra uczyniła krok do przodu i przesunęła sztabę.

– Pójdiesz ze mną – oznajmiła.

Wyszłam z celi, a wtedy strażnicy, każdy w swoim czasie, wyjęli i oddali klucze.

– Odprowadzę ją z powrotem – zwróciła się do pozostałej trójki – na początku trzeciej zmiany. Spotkamy się tutaj, razem ze strażnikami kluczy. – Opuściła na mnie wzrok. Będziesz posłuszna czy mam cię prowadzić na uwięzi?

Towarzyszący jej wartownik pokazał mi obrożę z łańcuchem. Przeniosłam wzrok na Kaprę.

– Będę posłuszna – skłamałam.

– Świetnie. Chodźmy więc.

Pozostali zeszli nam z drogi, ruszyłam za Kaprą, a tuż za mną podążał jej osobisty gwardzista. Usiłowałam zajrzeć do sąsiedniej celi, lecz mężczyzna pilnował, bym się nie ociągała, więc udało mi się ledwie zerknąć. Zobaczyłam czarnoskórego człowieka. Z pochyloną głową siedział na pryczy.

– Nie aprobuję takiego postępowania – odezwała się Symphe do dwóch pozostałych członków Rady. – Rzeczywiście nie wiadomo, czy ta mała ma jakąkolwiek wartość. Może nawet w ogóle nie jest z Białych. Podobno gdzieś daleko w północnych górach żyje lud biały, jakby w jego żyłach płynęła najszlachetniejsza krew. Ale jeśli Dwalia mówiła prawdę i ta dziewczynka faktycznie jest nieoczekiwanym synem z proroczych snów? Dlaczego akurat Kapra ma z nią rozmawiać jako pierwsza?

– Wszyscy się na to zgodziliście! – rzuciła Kapra przez ramię szorstko. A mnie rozkazała: – Nie ociągaj się.

Powiedzieć, że uciekłyśmy, byłoby może przesadą, jednak z pewnością opuściliśmy towarzystwo możliwie najprędzej. Mało która cela po drodze była zajęta. Więźniowie jak jeden siedzieli na pryczach, nie robiąc nic.

– Nie są źli – odezwała się Kapra, jakby usłyszała moje niewypowiedziane pytanie – tylko niezdyscyplinowani. Są tu zamknięci, żeby się nad sobą zastanowić. Gdy przyjdą do rozumu, staną się użyteczni, dołączą do innych. A jeśli nie... to nie.

Nie uściśliła, co się z nimi stanie w tym drugim przypadku.

Jak na siwowłosą staruszkę poruszała się całkiem żwawo. Szybkim krokiem zeszłyśmy po schodach, po których wspinałam się poprzedniego dnia, lecz gdy dotarłyśmy na parter, poprowadziła mnie w rejony, których jeszcze nie znałam. Mijałyśmy pomieszczenia z otwartymi drzwiami, w pewnej chwili zobaczyłam przez okna śliczny ogród. Wkrótce znalazłyśmy się we wnętrzu ozdobionym rzeźbami, gdzie ustawiono ławy z wyściełanymi siedziskami. Stamtąd wyjście prowadziło na zieleniec z dużą sadzawką pośrodku. Przeszłyśmy, nawet nie zwalniając, lecz i tak zakręciło mi się w głowie od woni kwitnących drzew. Dalej znajdowała się ocieniona portykami ściana z wieloma drzwiami. Gdy Kapra jedno z nich otworzyła, ze środka buchnął obłok pary i ostry zapach.

– Umyjesz się teraz. Porządnie wyszoruj stopy, pamiętaj o włosach, cała się wymyj dokładnie. Na ławie znajdziesz ubranie na zmianę. Wytrzymaj się, przebierz i wyjdź. Nie ociągaj się, ale bądź dokładna. Cuchniesz. – Wszystkie te rozkazy i uwagi wygłosiła tonem bez wyrazu.

Usłuchałam jej z największą przyjemnością. Ochoczo weszłam do pomieszczenia i z rozkoszą zamknęłam za sobą drzwi. Światło wpadało przez wysoko umieszczone okna. Nadzieja, że znajdę drugie wyjście, szybko okazała się płonna. Na ławie czekało obiecane czyste ubranie, para sandałów oraz ręcznik. W naczyniu była jakaś nieznama mi substancja, trochę przypominająca budyń. Zanurzyłam w niej palce, potarłam jeden o drugi. Mydło. Perfumowane jakimś ziołem o dość ostrej woni. W niskiej kadzi z gładkiego, wypolerowanego kamienia parowała gorąca woda. I tyle.

Pośpiesznie zdjęłam ubranie, oglądając się często na drzwi. Starannie zwinęłam brudne rzeczy w tłumok, schowałam w środku cenną świecę i całość położyłam na ławie. Potem weszłam do kadzi. Okazała się znacznie głębsza, niż sądziłam, a gorąca woda, gdy usiadłam, sięgała mi pod brodę. Jakiś czas po prostu siedziałam, nie umiałam zrobić nic innego. Potem odchyliłam się do tyłu i zanurzyłam cała. Gdy usiadłam ponownie, z włosów ściekały mi sine strumyki. Nic dziwnego, ale i tak czułam się zażenowana. Nagarnęłam garść mydła, wstałam, umyłam dokładnie całe ciało, a po chwili wahania wtarłam specyfik także we włosy. Opłukałam się w wodzie, która zdążyła mocno poszarzeć.

Byłam naga po raz pierwszy od czasu, gdy zaopiekowała się mną pani Akriel. Obejrzałam swoje ciało najdokładniej, jak mogłam. Blednące siniaki znaczyły mi biodra oraz piszczele plamami w różnych odcieniach brązu, fioletu i zieleni. Paznokcie u stóp miałam zapuszczone i połamane, trochę czasu poświęciłam na usunięcie wbitego pod nie brudu. Dłonie miałam czerwone jak służąca, a nie szlachcianka z Księstwa Koziego. Wstyd mi się zrobiło, że wcześniej nie rozumiałam, iż posiekane dłonie pomocy kuchennych to skutek wykonywania prac, których ode mnie nikt nie oczekiwał. Ileż razy przeklinałam wypadki, które położyły kres mojemu wygodnemu życiu... Teraz nagle uświadomiłam sobie coś z pełną wyrazistością: co by było, gdybym urodziła się jako służka lub niewolnica? Gdyby wszystko to, co wycierpiałam, było niezmienną codziennością?

Włożyłam czystą odzież. Czułam się obnażona. Ubranie było luźne, spodnie sięgały mi zaledwie do kolan, gdy tymczasem rękawy bluzy zasłaniały nawet nadgarstki. Lekka tkanina miała kolor blad różowy. Nie miałam gdzie schować świecy. Nie wiedziałam, jak włożyć sandały, w końcu jednak jakoś przytroczyłam je do stóp. Pod ubraniem leżał grzebień. Mokre włosy skręciły mi się w ciasne

pierścienie, więc musiałam się zdrowo natrudzić, nim je rozczesałam. Staranie złożyłam ręcznik. Chciałam opróżnić kadź, lecz nie znalazłam sposobu. Wolałabym, żeby nikt nie widział po wodzie, jaka byłam brudna. Trudno. Wetknęłam pod ramię tłumoczek ze świecą w środku i wyszłam.

Słońce raziło mnie w oczy, ranek był cieplejszy niż niejedno południe w Księstwie Kozim. Kapra zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów, zatrzymała spojrzenie na posiniaczonych nogach.

– Zostaw te szmaty – poleciła, wskazując tobołek. – Rzuć na ziemię. Służba sprzątnie.

Zmartwiałam.

Bez słowa sięgnęłam do tłumoczka i wyjęłam stamtąd połówki złamanej świecy. Ubrania upuściłam.

Kapra ściągnęła brwi.

– Co to takiego?

– Świeca zrobiona przez moją mamę – powiedziałam, lecz jej nie pokazałam.

– Też zostaw.

– Nie.

Podniosłam wzrok i spojrzałam jej prosto w oczy. Dziwne były. Nie tyle jasnoniebieskie czy szare, ile brudnobiałe. Trudno było w nie patrzeć, ale się nie podałam.

Przekrzywiła głowę.

– Ile masz tych świec?

Nie chciałam odpowiedzieć, choć nie wiedziałam dlaczego. Trudno, musiałam.

– Jedną. Złamała się na dwoje.

– Jedna świeca – powtórzyła cicho. – Interesujące. Tylko jedna. Nie tak jak we śnie. – Chyba miała nadzieję sprowokować jakąś reakcję.

Udało mi się nie zmienić wyrazu twarzy, lecz dzień nagle się rozpromienił. Miałam wrażenie, że z Kapry niezliczonymi promieniami bije blask na wszystkie strony świata. Ileż dróg brało w niej początek! Od tego momentu owszem, lecz nie tylko! Była jak tamten żebrak, który okazał się także Błaznem. I Ukochanym taty. Nie umiałam zamknąć w słowach tego, co wyczuwałam. Przypominało mi to skrzyżowania dróg, na których można wybrać inny kierunek. Odwróciłam wzrok niepewna, ile czasu trwałam zatracona w tej nieprawdopodobnej chwili.

– Dobrze więc – odezwała się staruszka. Czyżby nie było żadnej zwłoki? – Możesz ją wziąć. To twój kłopot. – A jednak z tonu głosu wywnioskowałam, że nie tyle udziela mi pozwolenia, ile dodaje kwestię świecy do listy moich win. Mina strażnika zdradzała, że mężczyzna uznał mnie za szaloną. To był jeden z tych

dwóch, którzy wymierzili Dwalii chłostę. Zacisnęłam zęby, żeby nie szczękały.

– Idziemy – powiedziała Kapra. – Zamieszkas z nami, więc pokażę ci, jak się tu żyje. Później zdecydujemy, kim zostaniesz. Może będziesz pobierać nauki? Może uczyć? A może zostaniesz służącą. – Uśmiechnęła się do mnie, ledwie rozciągając wargi. – Może wykorzystamy cię do rozplodu. Albo sprzedamy w niewolę. Możesz okazać się przydatna na wiele sposobów.

Nie przypuszczałam, by któryś mi się spodobał, lecz powstrzymałam się od komentarza. Szłam za nią posłusznie, strażnik dotrzymywał mi kroku. Rzemyki sandałów wbijały mi się w stopy, jednak zacisnęłam zęby i szłam. Wprowadziła mnie znów do pałacu, a ja ucieszyłam się, że słońce już nie pali mnie w głowę. Nie zdawałam sobie sprawy, do jakiego stopnia mrużyłam oczy przed jasnym blaskiem odbitym od białego kamienia, póki nie weszliśmy w cień.

Nie śpieszyła się, ale też nie przystawała. Najpierw pokazała mi pokój, gdzie pięcioro bladych dzieci uczyło się pisać pod czujnym okiem skrybów w zielonych stojakach. Przy każdym dziecku siedział jeden nauczyciel, pomagając w odpowiednim prowadzeniu pióra. Dzieci wydawały mi się bardzo małe, może trzyletnie. Jeżeli jednak rozwijały się podobnie jak ja, to były starsze, niż można by sądzić.

Długi, lekko zakrzywiony korytarz zaprowadził nas do marmurowych schodów wiodących na pierwsze piętro.

– Tutaj zapraszamy tych, którzy przybyli po naszą mądrość. – Otworzyła drzwi do pokoju o ścianach wyłożonych panelami ciemnego drewna i podłodze zaścienionej grubymi dywanami. Na środku stał wielki stół otoczony rzeźbionymi krzesłami, a na nim karafka z jakimś płynem oraz kilka maleńkich szklaneczek.

W następnym pomieszczeniu przy stole siedziała szóstka Białych. Służba czekała na ich polecenia.

– Oni śnili minionej nocy – wyjaśniła Kapra niegłówno. – Zapiszą swoje sny, następnie odpowiednia służba skopiuje te historie, a każda kopia zostanie przyporządkowana odpowiedniej kategorii i umieszczona obok podobnych. Może śnili o świecach? Albo o żółędziu podskakującym na powierzchni strumienia? Albo o tym, jak ktoś chwyta pszczołę, a wtedy żądli go cały rój? – Zniżyła głos. – Albo o nieoczekiwanym synu. – Odwróciła się do mnie, rozciągnęła wargi w uśmiechu. – Albo o światoburcy. W ostatnim roku liczba snów o światoburcy ogromnie wzrosła. Co oznacza, że zajdą jakieś nieoczekiwane wypadki. Za sprawą pewnych zdarzeń istnienie światoburcy i jego przybycie nabrały bardziej realnych kształtów. – Znów uśmiechnęła się w ten szczególny sposób. – Śniłaś kiedy o światoburcy?

Nie śmiałam milczeć.

– Często mam koszmary o tym, jak lingstra Dwalia z lurikami niszczy mój dom.

O to chodzi?

– Nie. – Krótkie słowo jako następny punkt na moją niekorzyść.

Wyprowadziła mnie z salki. Następny korytarz, znowu schody. Na wyższym piętrze drewno na ścianach holu miało głębszy kolor. Masywne drewniane belki podtrzymywały sufit zdobiony malowidłami przedstawiającymi egzotyczne kwiaty.

– To serce pałacu – oznajmiła, podprowadzając mnie do jakichś drzwi.

Za nimi znajdowało się obszerne pomieszczenie, pełne zwojów i ksiąg poukładanych na wysokich półkach. Stojaki ciągnęły się w równych rzędach pod każdą ze ścian i równymi rzędami rozdzielały przynajmniej dziesięć długich stołów, przy których siedzieli skrybowie, mający niewiele wspólnego ze szlacheckimi rodami białej krwi. Każdy był wyposażony w pióra i kałamarze. Porównywali zwoje oraz inne dokumenty i pisali całkowicie pochłonięci pracą.

– Tutaj badamy sny. Wiemy, w ilu były widoczne świece. I jak długo pojawiały się węże dzierzące miecze. Sny o nieoczekiwanym synu, o światoburcy i białych koniach, o muszlach i filizankach o marionetkach i wilkach, a także o niebieskim rogaczu. – Obrzuciła mnie znaczącym uśmiechem. – Niektóre z tych zwojów zapisano bardzo dawno temu. Zgromadzono tutaj niewyobrażalną ilość informacji, zbieranych przez dziesiątki lat, gdyż nadciągający kataklizm może objawiać się w snach na długo przed nadejściem. Wiedzieliśmy o zarazie krwi, nim zgarnęła pierwszą ofiarę. A co wcześniej? Góra plująca ogniem i dymem, trzęsienie ziemi, przez które miasta Najstarszych legły w gruzach, wielkie fale na morzu pozbawiły ich władzy... Tak, tak. Wiedzieliśmy, co będzie się działo. A Najstarsi... gdyby zechcieli być nieco bardziej przydatni, może także by się niejednego dowiedzieli. Niestety woleli smoki od ludzi. Ich strata. – Ileż mściwej satysfakcji w głosie i w słowach! Mówiła tak, jakby chciała mnie osobiście dotknąć do żywego. Niespodziewanie pochyliła się i wyszeptowała mi prosto w ucho: – Nie wszystkie sny zgromadzono tutaj. Moje są w mojej wieży. I tylko ja je znam. Zeszłej nocy śniło mi się, że wyrwałam z korzeniami biały kwiatek. Ale zamiast korzeni miał płomień i miecze. – Przekrzywiła głowę. – Powinnam była raczej uciąć go przy samej ziemi. Prawda? – Wyprostowała się gwałtownie. – Idziemy.

I opuściła salę sprężystym krokiem.

Pokuśtykałam za nią, przeklinając w duchu sandały i rzemienie wpijające mi się w stopy.

Następne pomieszczenie było bliźniaczo podobne do poprzedniego. Zwoje, badacze przy pracy, służba nosząca dokumenty i rejestry. W trzeciej sali to samo. Miałam dość. Kucnęłam, rozwiązałam rzemienie, ściągnęłam sandały. Stałam gotowa do dalszej drogi, bosa.

– Jak sobie chcesz – rzuciła Kapra pogardliwie. – Może z czasem nauczysz się nosić obuwie i zachowywać jak osoba dobrze wychowana. – Wzruszyła ramionami. – Albo trafisz jako niewolnica do gospodarstwa, gdzie nie trwoni się środków na sandały dla niewolników.

Czułam, fizycznie czułam, jak tracę w jej oczach. Toczyłam wewnętrzną walkę. Czy przyznać, że śnię i liczyć na miejsce wśród jej uczniów? Udawać głupią z odrobiną ogłady i zyskać posadę służącej, a przy tym szansę na ucieczkę? Na jaką ucieczkę?! Dokąd? Do czego? Od domu dzielił mnie ocean. Czy nie najrozsądniej będzie znaleźć sobie miejsce tutaj?

Miałam jeszcze inny plan. Ten, który skrywałam, gdy płynęliśmy statkiem. Znowu go zepchnęłam na dno myśli. Miałam świadomość, że choć Vindeliara nie ma przy mnie blisko, to nie wiem, co robi ani czy są tu inni, jemu podobni.

Myśl o czymś pożytecznym. O znalezieniu sobie miejsca tutaj. Uśmiechnij się. Udawaj, że pragniesz zostać tu do końca życia, być jedną z nich, razem z nimi tkąć się przyszłych zdarzeń.

Kapra, całkiem jakby wyczuła, że powzięłam decyzję, poprowadziła mnie długim korytarzem, a potem w dół, spiralą niekończących się szerokich stopni. Wreszcie skręciłyśmy i, minąwszy drzwi, wyszłyśmy na zamknięty dziedziniec. Był ogromny. W przeciwieństwie do gołego i pustego terenu za murami twierdzy, tutaj kipiało życie. Potężne drzewa rzucały miły cień, pluskały fontanny, a kanałem obłożonym kamieniami płynął strumyk. Wzdłuż ogrodzenia tego przepięknego ogrodu stały niewielkie chatki. Przy wejściu do każdej pyszniły się cudne kwiaty, a na jednym z drzew, spośród lśniących liści na starannie przyciętych gałęziach wyglądały pomarańczowe kule. Mur porastała winorośl. Z gliniastej ziemi pięła się po ścianie, tworząc żywe rzeźby obwieszane ciężkimi, fioletowymi gronami owoców, lecz każda z nich kończyła się spory kawałek od szczytu wysokiego ogrodzenia. Nawet Rebus, stanąwszy na ramionach mojego taty, nie wyjrzałyby na drugą stronę. Po szczycie muru wolno szedł wartownik. Opalony na brąz, z długimi złotymi włosami. Miał łuk. Czasem spoglądał na ogród, lecz ani razu się nie uśmiechnął.

Wokół rozbrzmiewały ptasie trele – śpiewy maleńkich różowych ptaszków w klatkach, rozwieszonych na dekoracyjnych słupkach i w gałęziach drzew. Śladem Kapry zeszałam z brukowanej ścieżki na chłodną trawę, gdzie pod cienistymi pergolami obrośniętymi winoroślą rozstawiono stoły oraz ławy. Akurat pojawiły się dwie kobiety w lśniących białych fartuchach. Każda wyszła z innych drzwi. Przyniosły na tacach owoce pokrojone w plastry i świeże pieczywo. Gdy poczułam woń ciepłego chleba, ślinka napłynęła mi do ust. Tace ustawiono na stołach, potem jedna z kobiet zadzwoniła srebrnym dzwoneczkiem zawieszonym na gałęzi. Na ten

sygnał zaczęły otwierać się drzwi chatek i do ogrodu wyszli Biali.

– Ale jestem głodna! – wykrzyknęła jedna z dziewczynek.

Jej przyjaciółka zaśmiała się i ujęła ją pod ramię. Razem podeszły do stołu. Przyglądałam się mieszkańcom ogrodu. Wszyscy mieli gładkie twarze i białe albo jasnozłote włosy. Ubrani podobnie, w krótkie luźne szatki, u niektórych, jak u mnie, uzupełnione niezbyt długimi spodniami. Nagle zorientowałam się, że wcale nie potrafię odróżnić dziewczynek od chłopców!

– Jeżeli okażesz się użyteczna, jeśli zaczniesz śnić i znajdziesz w sobie chęci do nauki zapisywania snów, zamieszkasz tutaj. Dostaniesz własną chatkę i służącą, która będzie w niej sprzątać. Posiłki jada się tutaj, a w deszczowe dni w Sali Tęczowej. Pięknie tam. Zawieszono pod sufitem kryształę błyszczą, iskrzą i lśnią, a podłogę zaścielają feerią barw. Twoje obowiązki polegałyby na myśleniu i śnieniu. Może też któregoś dnia urodziłabyś dziecko, gdybyś tego chciała. I znalazła sobie partnera między podobnymi do ciebie. Widzisz, jak szczęśliwie się tutaj żyje?

Dzieci jadły z apetytem, śmiały się, rozmawiały. Nie dostrzegłam ani jednego zamyślonego, posępnego, siedzącego samotnie. Było ich piętnaścioro. Nie dość, że nie rozróżniałam płci, to wieku też nie potrafiłam określić. Staralam się nie patrzeć na jedzenie. Służące w białych fartuchach przyniosły szklane dzbany z jakimś płynem w kolorze ciemnego miodu. Rozlały go do szklanek, a dzieci pokrzykiwały z radości. Obserwowałam tę scenę z najczystsza zazdrością.

– Mogłabyś trafić tutaj. Och, nie jutro, rzecz jasna. Najpierw musiałybyś nauczyć się pisać. Gdybyś miała prorocze sny, oczywiście. Cóż, twierdzisz, że nie śnisz. Tak... Ale głodna pewnie jesteś. Chodź.

Gdy tylko zeszliśmy z soczystej murawy, zaczęłam niezdarnie podskakiwać na wyłożonej kamieniami drodze. Kapra poprowadziła mnie do furki w murze, dalej przez dziedziniec pralni z pastelowymi ubraniami rozwieszonymi na sznurkach w palących promieniach słońca. Minęłyśmy kolejną furkę w murze i znalazłyśmy się w zadbanym ogrodzie obsianym ziołami, pomiędzy którymi ustawiono ławki oraz altany. Wracałyśmy krętą ścieżką do głównego budynku. Słońce paliło niemiłosiernie. Z jakiegoś portyku weszłyśmy w kolejne drzwi. Staralam się zapamiętać drogę, wyryć w pamięci każdy zakręt, każde przejście. Korytarz, w którym się znalazłyśmy, był ciemny, a stojące powietrze, w porównaniu z ogrodami, kojarzyło się z gęstą zupą. Kapra szła teraz szybciej, obcasy jej pantofli stukały na gładkich kamieniach. Podążałam jej śladem. Zaczęła mnie boleć głowa. Długie tygodnie na statku, skąpe posiłki oraz wrażenia ostatnich dni zaczynały zbierać żniwo. Za dużo tego wszystkiego na mnie jedną. Więcej nie zniosę. Nade wszystko pragnęłam się i płakać. Wtedy pewnie strażnik zachłostałby mnie na śmierć.

W pewnej chwili Kapra otworzyła jakieś drzwi. Odstąpiła, gestem zapraszając mnie do środka.

Weszłam, czujna, spięta, ostrożna. Po trzech krokach zatrzymałam się i rozejrzałam dookoła. W gęstym listowiu fruwały śpiewające ptaki. Złotoskóry drapieznik skradał się między drzewami. Nad głową miałam plecionkę z gałęzi, a niedaleko pełznął wąż tak wielki, że konary ugiwały się pod jego ciężarem. Stałam na kobiercu z soczystej zieleni obsypanej klejnotami barwnych kwiatów. Na jednym z nich przysiadł motyl. Gdy zerwał się do lotu i nieśpiesznie przeleciał na inny, odprowadziłam go wzrokiem.

Nic tu nie było prawdziwe. Mamił mnie wzrok, oszukiwał słuch, lecz próżno by szukać rajskich woni, a pod stopami wciąż miałam gładki kamień zamiast leśnego runa.

– To czary? – szepnęłam.

– W pewnym sensie – stwierdziła Kapra lekceważącym tonem. – Handlowaliśmy kiedyś z Najstarszymi. Jeden z ich najwspanialszych artystów przybył tutaj, by wyłożyć ściany, posadzkę, a nawet sufit specjalnym kamieniem. Pracował nad tym wewnątrz dzień w dzień niemal przez rok.

Powiodłam dookoła zdumionym wzrokiem.

– Och! – Nie zdołałam powstrzymać okrzyku zdumienia. – To jest magia Najstarszych...!

– Nie widziałaś dotąd niczego takiego?

Motyła peleryna!

– Nie, nigdy... Och!

Przyglądała mi się z uwagą, gdy chłonełam wystrój wnętrza szeroko otwartymi oczyma. Kucnęłam, by dotknąć kwiatka, lecz trąciłam czubkiem palca tylko zimny kamień, za to przeszło mnie mrowienie magii. Cofnęłam dłoń.

– Cóż... – Kapra lekko wzruszyła ramionami. – Za pierwszym razem widok robi pewnie ogromne wrażenie. Najstarsi byli interesujący, lecz dla takich magicznych sztuczek nie warto było borykać się z ich wygórowanym poczuciem własnej wartości. Ani z ich smokami. Nasza cierpliwość w końcu się wyczerpała. Chodź. Zjemy.

Stół z dwoma krzesłami był nakryty białym obrusem. Na nim ustawiono dwa talerze i szkło, ułożono sztucce. Pod ścianą stało dwóch mężczyzn z tacami. Obaj mieli ciemne włosy i oczy. Przez chwilę czułam się tak, jakbym wróciła do domu.

– Usiądź, proszę – odezwała się Kapra. – Dziś jesteś moim gościem.

Ostrożnie podeszłam do stołu. Strażnik zamknął za nami drzwi i stanął przy nich w pogotowiu. Kapra usiadła z gracją. Ja najpierw ustawiłam sandały pod krzesłem,

po czym także siadłam i ostrożnie ułożyłam obok siebie świecę. Dłonie wsparłam lekko na krawędzi stołu – i czekałam.

– Zasady dobrego wychowania nie są ci całkiem obce, jak widzę. – Nieznacznie skinęła dłonią, a wówczas obaj służący z tacami zbliżyli się do stołu. Nałożono mi jedzenie, napełniono szklankę. Czekałam, obserwując Kaprę. Miałam nieodparte wrażenie, że reprezentuję nie tylko Biały Gaj, ale całe Królestwo Sześciu Księstw. Nie zamierzałam zachowywać się jak pierwszy lepszy prostak.

Kobieta wzięła wilgotną szmatkę, umieszczoną na zakrytym półmisku po jej prawej, i starannie wytarła dłonie, szczególną uwagę poświęcając palcom. Poszłam za jej przykładem, na koniec odłożyłam szmatkę na miejsce, tak samo jak ona. Następnie przyjrzałam się, jak używa nieznanego mi narzędzia, by oddzielić od większej całości kawałek bladego mięsa. Powtórzyłam jej ruchy, a potem przeżuwałam równie wolno, jak Kapra, choć mięso było zimne i smakowało rybą.

– Opowiedz mi o sobie – zaproponowała po trzecim kęsie. – Nie jesteś dzieckiem służącego, więc kim?

Właśnie przełknęłam kostkę czegoś żółtego i lepkiego. Było to słodkie i nie miało żadnego innego posmaku. Upiłam łyk wody, pozwoliłam sobie zbłądzić wzrokiem na ściany wyjątkowego wnętrza. Postanowiłam mówić prawdę. Na ile się da.

– Jestem Pszczoła Borsuczowłosa z Białego Gaju. Urodziła mnie Sikorka, mistrzyni świec, poślubiona Tomowi Borsuczowłosemu. Jesteśmy szlachtą ziemiańską. Moja matka niedawno zmarła. Mieszkałam z ojcem i służbą. Żyliśmy spokojnie, nie wadząc nikomu.

Słuchała uważnie. Włożyła do ust jakiś niewielki kęs i skinęła głową, bym mówiła dalej.

– W dniu przygotowań do święta ojca nie było w domu. Lingstra Dwalia zjawiała się wtedy z lurikami i najemnikami z Krainy Miedzi. Wyrznęła moją służbę, spaliła stajnie, a mnie porwała. Sprowadziła tutaj. – Odgryzłam jeszcze kawałek niesmacznej ryby, przeżułam wolno i połknęłam, nim dodałam: – Jeśli pošlecie mojemu ojcu wiadomość, zapłacę okup.

Odłożyła sztucce.

– Tak? – Przekrzywiła głowę. – A jak sądzisz, przyjedzie po ciebie?

Nie czas na wątpliwości.

– Oczywiście. Jest moim ojcem.

– Ale to nie Bastard Rycerski?

Odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– Odkąd pamiętam, nazywano go Tomem Borsuczowłosym.

– A Ukochany?

– Kocham ojca z całego serca – odparłam bez chwili wahania.

– Ukochany to jego imię.

Pokręciłam głową.

– Nie znam nikogo o takim imieniu. Ukochany? W moich stronach czasem nadaje się podobne miano osobom wysoko urodzonym. Lojalny albo Życzliwy... Ale to nie dla takich jak ja.

Ani dla mnie, ani dla mojej siostry... Jedna Pokrzywa, druga Pszczoła. Żadna nie była szykowana na księżniczkę. Zasmuciłam się.

„Nie roztkliwiał się! Jesteś w niebezpieczeństwie, czuj duch!”.

Wilk-ojciec! Od razu wróciła mi odwaga. Usiadłam prościej.

Kapra pokiwała głową.

– Niestety jest mało prawdopodobne, byśmy wystąpili z żądaniem okupu do twojego ojca. Nie zdołaliby nawet pokryć kosztów tak dalekiej i trudnej podróży umyślnego. Zeszłej nocy Dwalia... wypytana dokładniej, przyznała, że zna twoją płęć od miesiący. Zamiast jednak uznać swój błąd, postanowiła cię tu sprowadzić, nie zważając na stratę lurików i wierzchowców! Przyznała też, że wbrew temu, co sądziła wcześniej, jednak nie znalazła w Białym Gaju nieoczekiwanego syna. Skłania się ku opinii, do której ja jestem przekonana od dawna: nieoczekiwany syn to katalizator Ukochanego. Bastard Rycerski... Tymczasem Vindeliar przedstawił nam zgoła inną opowieść. On wciąż widzi w tobie nieoczekiwanego syna. I twierdzi, że potrafisz czarować. Dysponujesz jakąś podstępna magią.

Znów ujrzałam na ścianie drapieźnika. To był kot. Skoczył i chybił, a duży ptak odleciał.

– Vindeliar ma bujną wyobraźnię – odparłam. – Gdy pomagał mnie porwać, mówił do mnie „bracie”. I nie zmienił zwyczaju nawet wtedy, gdy już wiedzieli na pewno, że nie jestem chłopcem. – Zamrugałam, okazując najlepiej, jak umiałam, zakłopotanie. – Jest dziwny.

– A czy myli się w kwestii twojej magii?

Spuściłam wzrok na talerz, po czy znów uniosłam wzrok. Wciąż czułam głód, lecz potrawa była mi tak obca, że z trudem ją przełykałam.

„Jedz” – szepnął wilk-ojciec. – „Napełnij brzuch. Nie wiesz, kiedy cię znowu nakarmię. Wcinaj, póki możesz”.

Uśledzałam go i zjadłam kolejne dwa kęsy, starając się nie krzywić. Dopiero wtedy podjęłam temat.

– Gdybym umiała czarować, toby mnie tu nie było.

– Niekoniecznie. Jeżeli jesteś białym prorokiem i czujesz, że masz tu zadanie do wykonania, mogłaś pozwolić, by los zaprowadził cię aż tutaj. Jeśli miałas sny, które

zdradziły ci, że musisz tu dotrzeć...

Pokręciłam głową.

– Chcę do domu. Nie jestem nieoczekiwanym synem, nawet nie jestem chłopcem!

– Nagle łzy napłynęły mi do oczu, gardło się ścisnęło. – Przygotowywaliśmy się do świąt. Do zabawy z okazji przesilenia zimy, kiedy mija najdłuższa noc i dzień zaczyna ją przerastać. Miała być muzyka i tańce... A tu zjawiała się lingstra Dwalia. Krzyki, przemoc, krew... Zabili Birbanta. Kochałam go. Chociaż nie wiedziałam, jak bardzo go kocham, póki nie przyszedł nas ostrzec, trzymając się za rozpruty brzuch... Ostatnią myślą był przy mnie, zrobił wszystko, by mnie ostrzec, żebym uciekła. Zabili ojca i dziadka mojego najlepszego przyjaciela, Niestrudzonego. Spalili nam stajnię, razem z pięknymi końmi! Zamordowali Bastarda Czujnego, mojego tutora, który miał nauczyć mnie czytać. Nie lubiłam go, ale nie życzyłam mu śmierci! Gdybym miała prorocze sny, gdybym wiedziała, co przyniesie przyszłość, nie dopuściłabym do tego wszystkiego! Ostrzegłabym bliskich i służbę albo przynajmniej sama bym uciekła. Jestem, kim jestem. A lingstra zniszczyła nasze spokojne życie i wymordowała ludzi, bez żadnego powodu! Ukaraliście ją chłostą, ale przecież nie za te wszystkie potworności, jakich się dopuściła, bo to robiła w zgodzie z waszymi rozkazami. Na jej polecenie Vindeliar omamił księcia Ellika i nakłonił do wybicia mieszkańców dworku. A o swoich lingstra też nie dbała! Dała księciu i jego ludziom Odessę! Mogli z nią robić, co tylko zechcieli! A Reppin zostawiła w kamieniu! A Alarię sprzedała w niewolę, a Kerfa pozwoliła oskarżyć o morderstwo... Powiedziała wam o tym wszystkim? Czy wy w ogóle wiecie, jaka ona jest okropna? – Z drzeniem wciągnęłam powietrze.

Powiedziałam za dużo. Zalałam Kaprę prawdą bez przemyślenia, bez planu.

Przyglądała mi się bez słowa, a jej biała twarz stała się jeszcze bardziej bezkrwista.

– Zimowe święto – wyszeptała. – Najdłuższa noc. – Po czym dodała głośniejszym głosem, jakby dopiero teraz pojęła moje słowa: – Alaria została sprzedana w niewolę? – I dodała słabo: – Żywa? – Jakby to był najgorszy z wyczynów Dwalii.

Czy można sprzedać w niewolę trupa?

„Jedź! Najedź się, zanim zmieni zdanie i odbierze ci strawę!”

Staralam się. Nadziałam na szpikulec coś fioletowego i włożyłam to do ust. Okazało się tak cierpkie, że aż mi łzy stanęły w oczach. Przełknęłam, popiłam. Kolejny obcy smak. Dźgnęłam coś innego. Spadło z powrotem na talerz. Gdy podniosłam wzrok, Kapra właśnie przyzywała strażnika gestem.

– Chcę tu skrybę, papier, atrament i stolik. Natychmiast.

Mężczyzna wybiegł spełnić polecenie, a ona znów skupiła na mnie całą uwagę.

– Gdzie to było? W którym mieście Alaria została sprzedana? Co to znaczy, że

Reppin została w kamieniu?

Nagle uświadomiłam sobie, że oddałam darmo informacje, które mogły być moją kartą przetargową. Akurat miałam pełne usta, więc bardzo starannie przeżułam jedzenie, co trwało. Gdy w końcu przełknęłam, odezwałam się niegłośno:

– Nazwy miasta nie pamiętam. Właściwie to chyba w ogóle nie znam.

Szybko włożyłam do ust następną porcję. Znowu tę zimną rybę. Trochę mi się od niej robiło niedobrze, jednak tylko w ten sposób mogłam zyskać czas do namysłu.

– Zaraz przyjdzie skryba – odezwała się Kapra łagodnie. – Usiądziesz z nią i podyktujesz jej wszystko, co pamiętasz, od chwili gdy po raz pierwszy zobaczyłaś Dwalię, po dzień, kiedy zjawiliście się tutaj.

Spłukałam wodą papkę z ust.

– Wtedy odeślcie mnie do domu? – zapytałam niewinnie.

Zesztywniała.

– Kto wie? Wszystko zależy od tego, co nam opowiesz. Może jesteś dla nas ważna, choć sama o tym nie wiesz.

– Ja tak bardzo chcę wrócić do domu...

– Rozumiem. Zobacz, to moje ulubione ciasto. Spróbuj. Jest słodkie i pikantne zarazem.

Znajdowało się na paterze ustawionej na środku stołu. Kapra nie ukroiła kawałka, tylko pchnęła w moją stronę całość. Było wielkości mojej głowy, na pewno przeznaczone dla kilku osób.

– Śmiało! – Nie ustępowała.

Wybrałam jakiś sztuciec na chybił trafił, oddzieliłam kawałek i włożyłam do ust. Było wyborne, ale właśnie zaczęłam rozumieć, iż wszystko, co stało na stole, miało swoją cenę. Mimo to odkroiłam następny fragment. Gryzłam, obserwując, jak Kapra czeka z zadawaniem pytań. Jakie jeszcze miałam argumenty przetargowe? Co mi zostało? Raczej nie znała losu innych lurików, nie miała pojęcia, że rozproszyli się po Księstwie Kozim. Czy wiedziała o eliksirze z węzowych wydzielin? Jak by się odniosła do swawoli Dwalii z kapitanem? Czy ktoś jej powiedział o magii Vindeliara, czy też to również był sekret? Czy dotrzyma słowa, jeśli mi coś obieca?

– Odeślcie mnie do domu, jak już wszystko powiem? – Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by zabrzmiało to dziecinnie. I żeby nie pokazać strachu.

– Jak już opowiesz wszystko, co pamiętasz, zastanowimy się, co dalej. Zapewne potrwa to dłużej niż jeden dzień, a potem jeszcze możemy mieć do ciebie pytania... Na czas pracy ze skrybą zamieszkaż w którejś chatce. I dostaniesz służącą. Jaki kolor lubisz? Chcę, żebyś dobrze się czuła w swoim nowym domu.

- Wszystko jedno – odparłam, nie kryjąc zniechęcenia. – Chcę wrócić do siebie.
- Wobec tego niech będzie modry. Cieszę się, że jedzenie ci smakowało.

Wcale mi nie smakowało i nie skończyłam jeść. Musiałam się opanować, by odłożyć sztuciec i nie wetknąć do ust kolejnej porcji ciasta. Weszła służba, błyskawicznie ustawiono drugi stół, przy nim dwa krzesła, na blacie rozmieszczono kałamarz, stojak z piórami i papier. Równie szybko zniknęły ze stołu przede mną talerze i półmiski. Kapra wstała, więc ja także. W mgnieniu oka wyniesiono stół, przy którym jadłyśmy, i oba krzesła.

- A oto skryba. Pelia, jak widzę.

Kobieta padła na kolana. Kobieta?

- Nopet, o najczcigodniejsza – rozległo się ochryple sprostowanie.

Jakbym słyszała ropuchę.

– Naturalnie. To dziecko podzieli się z tobą długą opowieścią. Masz ją spisać dokładnie tak, jak usłyszysz. Nie zadawaj pytań i bacz, abyś nie uronił ani słowa. To ogromnie ważne zadanie. Powtórz rozkazy.

Mężczyzna wykonał polecenie, przy tym oczy nieomal wyszły mu z oczodołów. Bał się? Nie. Im dłużej mu się przyglądałam, tym bardziej przypominał mi Odessę. Odnosiło się wrażenie, że jest niedokończony, jakby ktoś zaczął formować istotę ludzką, a w trakcie dobrał niewłaściwe elementy. Po prostu miał wyłupiaste oczy, do tego stopnia, że trudno było stwierdzić, czy w ogóle może zamknąć powieki. Zęby – jak mleczaki w ustach dorosłego. Ułożył przedmioty na stole tak, jak uznał za stosowne, i gestem wskazał mi krzesło. Gdy ujął w dłoń pióro, starałam się nie gapić na jego krótkie, chude palce. Ze stosiku leżącego przy łokciu wziął arkusz doskonałego papieru, starannie ulokował go dokładnie przed sobą, przyjrzał się uważnie stoinie, zaostrzył nieco dutkę, zanurzył w kałamarzu i zamarł z dłonią nad kartą.

- Zacznij, proszę – odezwał się skrzeczącym głosem.

Nie miałam na to najmniejszej ochoty. Kapra na mnie patrzyła. Podeszłam do stołu, usiadłam naprzeciwko skryby.

- Co mam robić? – spytałam.

Popatrzył na mnie, wytrzeszczając oczy.

- Ty mówisz. Ja piszę. Zacznij, proszę.

Nie zamierałam opowiadać o wyprawie na jarmark, gdzie po raz pierwszy zauważyłam Vindeliara. I ani słowa o martwym psie ani o żebraku, czy o moim ojcu wchodzącym w kamień. Lub o tym, że opuścił mnie, by zająć się obcym.

Tyle że Ukochany nie był mu obcy. Powściągnęłam myśli.

- W Białym Gaju czekaliśmy na lekcje...

Skryba spojrział na mnie ze ściągniętymi brwiami. Zerknął na Kaprę, po czym pióro w jego dłoni zatańczyło lekko na kartce, drobne palce poruszały nim szybko. Kobieta jednak spostrzegła moment zawahania. Podeszła bliżej.

– Pszczoło, musisz zacząć od wyjaśnienia wszystkiego drobiazgowo. Gdzie leży Biały Gaj? Jakie lekcje miały się odbyć? Kim był nauczyciel? Kto był tam z tobą? Jaki był tamten dzień? Rozumiesz? Ważny jest każdy szczegół. Każda chwila.

Wolno pokiwałam głową.

– Spróbuję.

– Postaraj się – podkreśliła z naciskiem. – Zostawię was teraz – dodała. – Chcę porozmawiać z Dwalią i Vindeliarem. Jeżeli mnie okłamujesz, poniesiesz konsekwencje. Do mojego powrotu będziesz pracowała ze skrybą.

I tak się stało. Opowiadałam. Uważając na słowa. Czasami mówiłam prawdę. Sprawy, które moim zdaniem powinny ich zawstydząć, opisywałam szczegółowo, z wszelkimi detalami. O tym, jak Birbant ścisnął ranę, a spomiędzy palców ciekła mu krew. O podartych sukniach kobiet. Teraz już wiedziałam, co to znaczyło. W kilku sprawach skłamałam. Powiedziałam, że Niestrudzony zmarł. W chwili gdy wypowiadałam te słowa, miałam ochotę ugryźć się w język, żeby nie zapeszyć. Skryba nie zadawał pytań, więc kluczyłam, niekiedy wracałam do wcześniejszych zdarzeń. Czasami płakałam – gdy przypominałam sobie, jak Niestrudzony szedł po ciałach w stajni. Powiedziałam, że ukryłam dzieci w spizarce, nie wspominałam o sekretnych przejściach. Gdy tak snułam opowieść, słoneczny blask wpadający przez wysokie okna zmienił barwę z białej na żółtą. A ja nadal mówiłam o napaści na dom. Bo wiedziałam, że tutaj chcą ode mnie tylko informacji. Musiałam znaleźć sposób, by na tym skorzystać.

W końcu zachryłam. Od długiego mówienia i od płaczu. Skryba dał znać strażnikowi i poprosił go o przyniesienie dla mnie wody do picia oraz mokrej szmatki, do otarcia twarzy i wydmuchania nosa. Okazał się miły.

„Ale jeśli zyskasz szansę, żeby go zabić i uciec, nie wahaj się ani chwili”.

Trochę mnie to zdziwiło. Jak to? Czy nie powinnam najpierw postarać się o odesłanie do domu? I dopiero wówczas, gdy nic nie wskóram, zabijać i uciekać?

„Może się zdarzyć, że na zwrócenie wolności będziesz czekać bardzo długo. A odzyskanie własnymi siłami okaże się znacznie szybsze”.

Dostałam wodę i szmatkę. Zrobiłam użytek z jednego i drugiego. I mówiłam dalej. Musiałam opowiedzieć o czarach Vindeliara, bo w przeciwnym razie moja opowieść traciła sens. Na dźwięk jego imienia Nopetowi uniosła się górna warga, odsłaniając na moment drobne zęby. Zapisywał każde moje słowo. Słoneczny blask nadal wlewał się przez okna, ale chyba słabszy. Ile godzin minęło?

Kapra wróciła w towarzystwie Symphe. A chwilę później zjawili się Kultri oraz Felodi. Cera pierwszego wydawała się niemal naturalnie biała, co oznaczało, że niedawno odświeżył wygląd.

Symphe ściągnęła brwi.

– Kazałaś bez naszej zgody spisywać jej zeznania. A powinniśmy o tym wiedzieć i móc słuchać.

Kapra odwróciła się do niej powoli. Na ustach miała uśmiech.

– I zapewne powinnam kierować się waszym świątłym przykładem, gdy zawiadomiliście mnie, że Dwalia otrzymała od was pozwolenie na zaaranżowanie ucieczki Ukochanego... Ale ale... Przecież ja o niczym nie wiedziałam.

– A ja przeprosiłam za to niedopatrzenie. – Symphe cedziła słowa, jakby miała ochotę napluć starej kobiecie w twarz. – I to nie raz.

– Rzeczywiście. Jak by to... O, już wiem: droga Symphe, wybacz, że nie powiedziałam ci wcześniej, iż to dziecko jest prawdziwą kopalnią wiedzy na temat błędów Dwalii. Chcesz dowodu? Proszę bardzo. Który by tu wybrać...? O, niech będzie ten: czy pamiętasz Alarię? Tę, którą uczyłam interpretacji snów? Felodi, zdaje mi się, że była twoją faworytą...? Czy wiesz, że lingstra Dwalia sprzedała ją w niewolę? W Krainie Miedzi, a dokładniej w stolicy. Sprzedała tę lurikę. Po to, by zyskać środki na opłacenie powrotu statkiem. Tak mi powiedziała Pszczółka. A ja od razu poszłam do Vindeliara i od niego uzyskałam potwierdzenie. Nie mogę się doczekać kolejnych sensacji.

Oszczędnym gestem odprawiła skrybę. Odwróciła stosik pieczołowicie ułożonych zapisanych kartek, by spojrzeć na pierwszą stronę. Przebiegła ją wzrokiem i podniosła na mnie spojrzenie.

– A gdzie był twój ojciec w dniu napaści?

Zabrakło mi czasu do namysłu, do rozważenia, co wie Dwalia, co mogła zeznać.

– W dużym mieście.

– Wybrał się tam już po tym, jak zabił właściciela psa? I dźgnął Ukochanego nożem w brzuch?

No tak. Był tamtego dnia w Dębowym Zdroju zamglony człowiek, którego potem poznałam jako Vindeliara. Zabrakło mi słów, tylko patrzyłam. A oni wszyscy patrzyli na mnie. Po chwili przenieśli wzrok na skrybę i leżące między nami starannie zapisane stronice. Potem mężczyźni spojrzeli na Kaprę, natomiast Symphe nie spuszczała ze mnie wzroku. Jej wargi wydawały się czerwieńsze. A może reszta twarzy pobladła? Po jakimś czasie uświadomiła sobie, że i ja się jej przyglądam. Uśmiechnęła się do mnie uśmiechem, od którego ciarki przeszły mi po grzbiecie. Spuściłam powieki. Źle się stało, że mnie przyłapała na śmiałym patrzeniu.

– Co jeszcze powiedziałaś skrybie, Pszczółko? – zapytała.

Zerknęłam na Kaprę, nie miałam pewności, czy powinnam odpowiadać.

– Mówię do ciebie! – Symphe ostro przywołała mnie do porządku.

Spoglądałam na każde po kolei, lecz znikąd nie doczekałam się ratunku. Twarz Kapry zastygła w lodowatym wyrazie triumfu.

Zaczerpnęłam tchu.

– Opowiadałam o tamtym dniu, kiedy lingstra Dwalia z księciem Ellikiem napadli na mój dom i zniszczyli mi życie. Mordowali mieszkańców i służbę, spalili stajnie, a mnie porwali.

– Doprawdy – rzucił Felodi lekceważąco, jakby wątpił w moje słowa.

– Skrybo – rzuciła Symphe – chcę dostać te stronice.

– Nic z tego – sprzeciwiła się Kapra stanowczo. – Najpierw ja je przeczytam. Ja tu przyprowadziłam to dziecko, ja przywołałam skrybę. Mam prawo czytać jako pierwsza.

– Zrób mi kopię – rozkazała Symphe, zwracając się do skryby. – A w zasadzie... zrób trzy kopie, niech każde z nas dzisiaj to przeczyta.

Teraz z kolei skryba przenosił wzrok z twarzy na twarz, a jego wyłupiaste oczy wydawały się jeszcze bardziej wytrzeszczone.

– Tylko że...

– Nie bądź śmieszna – odezwała się Kapra. – Doskonale wiesz, że nie da się sporządzić kopii tak szybko. Dostaniecie je jutro. A dziś ja zabiorę oryginały. – Obdarzyła wszystkich troje promiennym uśmiechem. – A także roztoczę osobistą opiekę nad tym droгим... bezcennym dzieckiem.

– Nie – sprzeciwili się jednym głosem.

Felodi kręcił głową, Kultri wyglądał na zaniepokojonego, Symphe przemówiła głosem nieznoszącym sprzeciwu:

– Wróci do celi i zostanie zamknięta na cztery spusty. Tak uzgodniliśmy. Nikt nie będzie miał do niej dostępu bez zgody pozostałych. Jej przesłuchanie już pogwałca te ustalenia.

– Dziecko – zwróciła się do mnie Kapra. – Czy skryba zadawał ci jakiegokolwiek pytania?

Tak. Ale tego lepiej nie mówić.

– Przykazałaś mu, pani, tego nie robić.

– Proszę bardzo. Słyszeliście. Nie było żadnego przesłuchania. Ot, po prostu dałam dziewczynce możliwość podzielenia się opowieścią. – Ponownie zwróciła się do mnie. Wyraz twarzy miała łagodny, lecz w oczach był lód. – Obawiam się, dziecino, że będziesz musiała noc spędzić w celi zamiast w ślicznej chatce, którą

ci obiecałam. Bardzo mi przykro z tego powodu, ale, jak widzisz, tych troje mnie przegłosowało i muszę ustąpić.

Gdy odwróciła się do pozostałych, Symphe omal nie prychnęła po kociemu. Czy uznała, że opowiedziałam się po stronie Kapry? Mogłoby się tak stać, gdybym nie wycierpiała przez długie miesiące u boku Dwalii tylu nieszczęść, że nauczyłam się, iż ufać nie mogę nikomu.

Wstałam z krzesła, wzięłam świecę i schyliłam się po sandały.

– Co tam masz? – spytał ostro Kultri.

Kapra milczała.

– Sandały – odpowiedziałam cicho. – Są niewygodne, dlatego zdjęłam.

– Nie, nie, to drugie, co to jest?

– Świeca zrobiona przez moją matkę.

Bezwiednie przytuliłam do piersi obie części ledwo połączone knotem.

– Świeca – powtórzyła Kapra z zadowoleniem. – Dziecko przybyło ze świecą.

Zapadła cisza. Nie miałam pewności, czym nabrzmiewa, lecz coś w niej narastało, bezwzględnie. Szacunek? Strach?

W końcu Felodi ją przerwał.

– Jedna świeca. Dwie części. Nie trzy? Nie cztery?

– Masz na myśli światoburcę? – Kultri był wyraźnie poruszony.

– Cisza! – Symphe natychmiast przywołała go do porządku.

– Na ciszę już odrobinę za późno – stwierdziła Kapra. – Zdaje się, że było za późno od wiosny, gdy sny o światoburcy zaczęły nas zasypywać niczym płatki śniegu. Tuż po tym, jak lingstra Dwalia wsadziła kij w mrowisko, prowokując spełnionego katalizatora. Gdy stworzyła zawirowanie przyszłości, doprowadzając do jego ponownego spotkania z białym prorokiem. I porywając mu dziecko. – Omiotła pozostałych spojrzeniem. – Skąd u niego zdolność do takich zmian? Ponieważ oddaliście mu Ukochanego. Zaprowadziliście go prosto do drzwi Bastarda Rycerskiego. Połączyliście na nowo proroka z potężnym katalizatorem. Odbudowaliście potęgę nieoczekiwanego syna. I być może przy tym stworzyliście zesłanego na nas światoburcę.

– O czym ty mówisz? – spytał Felodi piskliwym głosem.

– Nie mów o tych sprawach przy dziecku! – wybuchnęła Symphe.

– Uważasz, że dziewczynka o nich nie wie?

Niby wiedziałam, ale nie wszystko rozumiałam. Stałam ze wzrokiem wbitym w podłogę. Byle nic nie wyczytali mi z oczu.

– Nikt inny, tylko wy troje sprowokowaliście te wypadki – podjęła Kapra, cedząc słowa. – Przez swoją głupotę, chciwość, żądzę zemsty! Jak gdyby zemsta mogła

zrodzić cokolwiek poza goryczą... A teraz, cóż, wsadźcie ją na powrót do celi, skoro uważacie, że dzięki temu będziemy bezpieczni. Jeśli o mnie chodzi, pewnie będę przez noc z całym zastępem skrybów czytała, co zostało tu dziś zapisane, i studiowała dawniejsze sny, starając się znaleźć ścieżkę, która pozwoli nam uniknąć katastrofy! – Uśmiechnęła się jak zadowolony z siebie kot. – I przejrzę własne sny. W moich osobistych archiwach.

– To wysoce niestosowne! – sprzeciwiła się Symphe.

– Nie przesadzaj. Wystawiliście nas na niebezpieczeństwo i to ja, jak zwykle, muszę walczyć w naszej obronie. – Sięgnęła pod koszulę i wyjęła klucz. Szarpnęła, zrywając srebrny łańcuch, i podała, a właściwie rzuciła całość strażnikowi. – Oddasz mi to, gdy zamkniecie dziecko. Nie mogę tracić czasu na zwiastuna burzy. Muszę podjąć przygotowania na jej nadejście. Tej strasznej zawieruchy, którą przewidywałam już od długiego czasu!

Strażnik był wyraźnie oszołomiony. Po tym, jak złapał klucz, stał niezdecydowany, nie bardzo wiedząc, co z nim zrobić. Przypominał mi człowieka, któremu rzucono skorpiona.

– To wbrew wszelkiej tradycji – zaskrzeczała Symphe. – Żadne z czworga nie może nikomu oddać klucza!

– To ty złamałaś tradycję, gdy mnie okłamałaś, gdy pomogłaś Dwalii uwolnić Ukochanego. Ostrzegałam was, wszystkich troje ostrzegałam od lat, że on jest niebezpieczny. A teraz? Żywy czy martwy, znów nam zagraża!

Obróciła się energicznie, chwyciła zapisane stronice i wypadła z pokoju, jak burza, przed którą ostrzegała. Ja nadal ani drgnęłam, obserwując troje członków Rady spod spuszczonej powiek. Kultri sięgnął ręką w dół i z kieszeni ukrytej gdzieś w luźnych spodniach wyjął klucz na grubym mosiężnym łańcuchu. Odpiął go i podał osłupiałemu strażnikowi.

– Pójdę z Kaprą – oznajmił. – Obawiam się, że ma rację. Nie powinienem był was słuchać. Może właśnie nadciąga nasz koniec.

On nie wypadł z salki jak burza. Wymknął się niczym zbity pies, z obwisłymi ramionami, ze spuszczoną głową.

Felodi i Symphe popatrzyli na siebie nawzajem. Po chwili kobieta przeniosła wzrok na strażnika.

– Zajmij się dzieckiem, na co czekasz?! – warknęła. – Sądysz, że i ja powierzę ci swój klucz? Zamkniemy ją, a potem pewnie będę musiała dołączyć do tamtych dwojga, by mieć pewność, że poznam całą prawdę. Rusz się! – rzuciła pod moim adresem.

Ruszyłam się. Strażnik położył mi na ramieniu wielką, ciężką dłoń i popychał

mnie całą drogę. Był wysoki, miał długie nogi, ledwo nadążałam, wiele razy potknęłam się, gdy podążaliśmy korytarzami i całkiem innymi schodami niż te, którymi tu przyszłam. Tym razem weszliśmy do przejścia z celami od przeciwnego końca. Udało mi się zerknąć na człowieka o czarnych dłoniach i dźwięcznym głosie. Siedział na pryczy, splecione dłonie zwiesił luźno między kolanami. Miał celę ładniejszą od mojej, wyposażoną w niski stolik i niewielki dywanik, a łóżko miał prawdziwe, z kilkoma kocami. Gdy przechodziłam, uniósł głowę i się do mnie uśmiechnął. Oczy miał błyszczące i też czarne, tak samo czarne jak skórę. Pochwycił moje spojrzenie, jakby na to czekał, lecz nie odezwał się słowem.

Zamknęli mnie, choć trwało to nieco dłużej, bo strażnik trochę się pogubił z dwoma kluczami. Odeszli. Usiadłam na pryczy i zaczęłam się zastanawiać, co dalej ze mną będzie.

Rozdział 26

Tajemnica srebra

Brakuje mi wilka, jak tonącemu haustu powietrza. Długie lata po jego śmierci skłonny byłem przysiąc, iż czuję go gdzieś w trzewiach. Ślepun. Z tym jego dziwnym sposobem mówienia mi, że jestem głupi, z niezaspokojonym apetytem na wszelkie zwykłe przyjemności, z niezbitym przekonaniem, że jeśli tylko będziemy pełni życia żyli w terażniejszości, każde jutro okaże się dobre.

Tutaj, w Białym Gaju, w dużym majątku, nie mogę zaznać spokoju ani przez chwilę. Wszystko wymaga stałej uwagi i nadzoru.

Tom Borsuczowłosa, dzierżawca Białego Gaju;
kartka wyrwana z dziennika

Skierka podeszła do burty. Otworzyła dłoń, a wówczas loki Strzyka zabrał wiatr. Młody człowiek wstał z beczki, obiema dłońmi potarł wystrzyżoną głowę. Oczy miał zaczerwienione. Odsunął się, a ja zająłem jego miejsce.

– Na jaką długość? – spytała dziewczyna.

– Do skóry – powiedziałem ochryple.

Strzyk drgnął.

– Nie był twoim ojcem! – zaprotestował.

Pewnie mógłbym się z nim sprzeczać, jednak to nie miało najmniejszego sensu, a przy tym byłem znudzony cierpieniem. Skoro moja decyzja sprawiała mu ból, mogłem ustąpić. Nie musiałem golić głowy na łyso, jak po stracie ojca. Cierń i tak się nie dowie, a długość włosów nie zmieni głębi mojego żalu.

– Na grubość palca – zdecydowałem.

Poczułem rękę dziewczyny na głowie. Wzięła moje włosy w dłoń, wyprostowała je przy skórze i zaczęła ciąć. Miałem znacznie krótsze niż Strzyk. Składała pasma w ręce Niestrudzonego. Było na nich znacznie więcej siwizny, niż przypuszczałem.

Nie był moim ojcem. Nigdy ojca nie widziałem, lecz po śmierci księcia Rycerskiego Brus ogolił mi głowę prawie na łyso. A gdy Brus umarł, nie obciąłem włosów wcale. Teraz, słuchając szczykania nożyczek, zastanawiałem się nad tamtym

okresem. Byłem na wyspie Aslevjal, wiadomość o odejściu mojego opiekuna przyszła do mnie, przekazana Mocą, podobnie jak teraz wieści o Cierniu. Dlaczego wówczas nie obciąłem włosów? Nie miałem nożyc. Brakowało czasu. Żałobny akt wydawał się wtedy zbyt skromny. Wciąż jeszcze trochę boczyłem się na zmarłego, że ożenił się z Sikorką. Tyle miałem ważnych powodów, a równocześnie żadnego. Może nie chciałem, żeby to była prawda. Sam już nie wiedziałem. Kimże był ten nieopierzony młodzik, który wtedy uważał siebie za człowieka dojrzałego wiekiem i doświadczeniem? Teraz – obcym.

– Skończone – powiedziała Skierka chrapliwie.

Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że już od jakiegoś czasu nie słyszę szczękania ostrzy.

– Skończone – powtórzyłem i powoli wstałem.

Dziewczyna i Niestrudzony również ścięli włosy, na szerokość dłoni, zamiast zgodnie z tradycją obciąć jeden kosmyk. Błazen dał mi jasne pasmo. Chyba się domyślił, że nie życzyłem sobie nic od pani Amber. Teraz puściłem jego włosy na wiatr, ta sama bryza wyjęła z rąk Niestrudzonego moje. Rozproszyły się w powietrzu, jak z czasem rozproszą się wspomnienia o Cierniu. A gdy odejdę ja, razem ze mną umrze część dziedzictwa starego mistrza.

Usłyszawszy kroki, odwróciłem się i zobaczyłem kapitan Altheę. Przyglądała mi się zdumionym wzrokiem. Próbowałem jej wyjaśnić, jak dowiedziałem się o zdarzeniu z Koziej Twierdzy, ona jednak chyba miała wrażenie, że przyśnił mi się bardzo realistyczny sen. Byłem jej wdzięczny, że zapewniła nam kilka chwil spokoju na czas tej skromnej ceremonii. Teraz należało wracać do pracy, zapewne miała dla nas jakieś rozkazy.

Wskazała na wodę.

– Tam, na horyzoncie, pod chmurami, widzicie? Tam leży archipelag, z Clerres na największej wyspie. Za nimi ciągnie się stały ląd. Tak twierdzi „Niezrównany”.

Powiodłem wzrokiem za jej palcem i dostrzegłem jedynie chmury. Uwierzyłem na słowo.

– Kiedy tam dotrzemy?

– Wszystko zależy od wiatru i prądów. „Niezrównany” mówi, że trzeba nam niecałych dwóch dni. Z tego, co pamięta, przy jednym z krańców wyspy znajduje się głęboki port, ale on woli zawinąć od razu do Clerres. Podobno już tam był. Igot prowadził interesy ze Sługami. Jakie, galion nie zdradza, jednak wkrótce po wizycie w Clerres popłynęli na Wyspę Innego Ludu, po przepowiednię.

Może oboje zastanawialiśmy się nad tym, co przepowiedziały piratowi szkaradne stwory.

– Wiatr się wzmacza – podjęła kapitan – płyniemy szybko. Jeśli tak dalej pójdzie, dotrzemy na miejsce dziś w nocy albo jutro wczesnym rankiem.

– Dziś w nocy... – powtórzyłem jak echo jej słowa.

Walczyłem z mdłościami. W głowie kłębiły mi się pytania, na które nie mogłem znać odpowiedzi, Niczego nie potrafiłem przewidzieć. Wyuczyłem się na pamięć prowizorycznych map, narysowanych według wskazówek Błazna, lecz niejakie pojęcie o położeniu twierdzy nie pozwalało mi zgadnąć, czy Pszczoła dotarła już do miasta, czy też wciąż jeszcze była na statku. A nawet gdyby założyć, że trafiła już do pałacu, to czy znalazła się w celi jako więzień, czy też w jednej z chat, w towarzystwie innych młodych Białych?

Nie miałem też pojęcia, kiedy przyleci Tintaglia, dysząca żądzą zemsty. Wbiłem wzrok w niewyraźny cień na horyzoncie. Może smoczyca już zrobiła swoje? Czy wpłyniemy do portu w mieście zrujnowanym przez smoki? A jeśli przy tym Pszczoła dotarła tam wcześniej? Nie. Nie mogłem nawet rozważyć takiej możliwości. Musiałem wierzyć, że nadal mam szansę ją uratować.

Pewność, że moja córka żyje, pokrzyżowała mi plany. Z obawy o jej dobro nie mogłem zatruć ani wody, ani pożywienia. Nie mogłem też wtargnąć do pałacu, wymachując toporem, ani smarować trucizną stołów czy klamek. Nie wchodziła w rachubę żadna przemoc wobec Sług, póki nie odzyskam córki. Dyskretne wejście do twierdzy i odszukanie w niej dziewczynki było zupełnie innym zadaniem niż wdarcie się do zamku i zabicie możliwie największej liczby wrogów, zanim się samemu napotka śmierć. Po raz pierwszy miałem za zadanie chronić życie, a nie je odbierać.

– „Niezrównany” chce kotwiczyć na obrzeżach portu, gdzie woda jest najgłębsza. Mimo to trzeba będzie uważać w czasie odpływu, żeby nie osiadł na dnie.

Zuchwalec stanął obok swojej pani. Oparł się o reling i słuchał z uwagą.

– Będziemy się zachowywali jak w każdym nowym porcie – ciągnęła kapitan Althea. – Zejdziemy na brzeg, odwiedzimy kupców, zorientujemy się, co oferują. Dużo gotówki nie mamy, jednak dla stworzenia pozorów wystarczy. Może nawet coś kupimy na tę ostatnią podróż z „Niezrównanym”. – Zapatrzyła się w dal. – Kto wie, czy jeszcze kiedykolwiek zawiniemy do jakiegoś nieznanego portu.

Oto ponownie zerknąłem w przyszłość, którą im odebraliśmy, i znów poczułem wstyd. Mój los przypominał znarowionego konia ciągnącego przez cudze istnienia destrukcję niczym zgruchotany wóz. Nie wiedziałem, co miałbym powiedzieć.

Strzyk z innymi podsunął się bliżej, gotów słuchać, lecz kapitan Althea milczała zapatrzona w chmury na horyzoncie. Zuchwalec ją wyręczył:

– Przed zachodem słońca wrócimy na statek. W razie kłopotów musimy być

gotowi w każdej chwili ruszać w drogę natychmiast.

– Niczego nie jesteście nam winni – powiedziałem głośno to, co wszyscy myśleli. – Umowa została zawarta między statkiem a panią Amber. Żadne z nas nie oczekuje, że będziecie ryzykowali dla nas życie. – Serce zamarło mi w piersi, jednak musiałem przedstawić uczciwą propozycję. – Od chwili gdy zejdziemy ze statku w Clerres, będziemy sobie radzili sami. Gdyby ktokolwiek spytał, powiemy, że zapłaciliśmy za podróż i prawie was nie znamy. – Wziąłem się w garść. – Jeżeli uznacie, że powinniście wypłynąć, zanim wrócimy, zrobicie to, co dla was najrozsądniejsze.

A ja znajdę się w najgorszej możliwej sytuacji. Obarczony obecnością podopiecznych oraz Pszczoły – na co miałem nadzieję – pozbawiony możliwości ucieczki.

Kapitan ściągnął brwi.

– Nie zamierzamy was porzucić na wyspie. Jedna z szalup, obsadzona ludźmi królowej, zostanie przy nadbrzeżu. Gdybyście musieli uciekać, oni was zabiorą. Pozostaje mieć nadzieję, że dotrzecie do „Niezrówanego” szybko, a wtedy błyskawicznie ruszymy w drogę.

– Miejmy nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze – na ustach Althei pojawił się krzywy uśmiech – lecz bądźmy przygotowani na najgorszy obrót spraw. Niewiele wiemy o waszych zamiarach, więc trudno o szczegółowy plan.

– I tak robicie więcej, niż się spodziewałem. Dziękuję.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Zachowujesz się jak każdy przyzwoity rodzic. Wolałabym, żeby uratowanie dziecka nie łączyło się dla nas z utratą żywostatku, ale i tak życzę ci powodzenia. Wszystkim nam przyda się łut szczęścia, jeśli mamy przeżyć.

– Niestrudzony i Skierka – odezwał się Zuchwalec – są bardzo młodzi. Czy koniecznie musisz zabierać ich ze sobą?

– Chętnie bym ich zostawił.

Niestrudzony postąpił krok do przodu, Skierka wydała z siebie zduszony dźwięk. Uniosłem rękę i podniosłem głos.

– Ale mogą być potrzebni.

– Innymi słowy, macie jakiś plan – stwierdziła kapitan Althea.

– W pewnym sensie. – Żałosny. – Wejdziemy na teren pałacu jako pielgrzymi szukający w czarach odpowiedzi na życiowe pytania. Po przekroczeniu grobli postaramy się znaleźć Pszczołę. Pani Amber sądzi, że wie, gdzie należy jej szukać. W razie potrzeby ukryjemy się w twierdzy i wznowimy poszukiwania nocą.

– A gdy już ją znajdziecie? – chciał wiedzieć Zuchwalec.

– Przeprowadzimy na statek.

– I co dalej?

– Najważniejsze jest dla mnie bezpieczeństwo Pszczoły. Mam nadzieję opuścić Clerres jak najszybciej.

To była moja część planu. Zemsta mogła poczekać, aż moje dziecko będzie bezpieczne. Długo ważyłem tę decyzję i nie zdradziłem się z nią przed panią Amber. Może by się ze mną zgodziła, lecz nie zamierzałem ryzykować innego obrotu spraw. Zerknąłem na nią spod oka. Usta miała zaciśnięte, ręce założone na piersi.

– Tintaglia chce zniszczyć Clerres – przypomniałem wszystkim. – Może pozostawimy zemstę smokom.

O ile już jej nie dokonały.

– Jak zamierzacie odebrać dziewczynkę porywaczom? – zapytał Zuchwalec.

Nie zdołałem się powstrzymać i wzruszyłem ramionami.

– Dostosujemy się do sytuacji.

Kapitan Althea była wyraźnie wstrząśnięta.

– Przebyliście taki kawał świata i nie macie ustalonej taktyki? To jednak dość... niezwykle.

– Rzeczywiście.

– Wasze zamierzenia trudno w ogóle nazwać planem – dokończyła z wymuszonym uśmiechem.

Zuchwalec położył rękę na jej dłoni wspartej o reling.

– Mamy dla was propozycję – powiedział. – Choć jest równie niepewna jak wasza droga. Marynarze z Łupigrodu potrafią walczyć. – Gdy kapitan Althea chciała zaprotestować, uniósł palec. – Jak powiedziała moja pani, zostawimy dla was przy nadbrzeżu szalupę z załogą. Ludzie będą uzbrojeni. Jeśli szczęście się od was odwróci, postarajcie się do nich dotrzeć, a już oni dostarczą was na statek. Nawet jeżeli nas, kapitanów, zabraknie akurat na pokładzie, Świstak rozkaże podnieść kotwicę i postawić żagle.

Strzyk słuchał z otwartymi ustami, ja pokręciłem głową.

– Nie zostawimy was na łasce losu. W życiu by mi do głowy nie przyszło prosić was o takie wyjście.

– Oczywiście. I dlatego sami je wam podsuwamy. – W oczach kapitana pojawił się dziwny zawadiacki błysk. – Potrafimy o siebie zadbać. Zdarzało nam się i ukrywać, i walczyć. Jeśli zajdzie taka potrzeba, przede wszystkim chrońcie dziewczuszkę, a my damy sobie radę. – Objął Altheę, zajrzał jej w oczy. – Jesteśmy w tym całkiem nieźli – dokończył z nieskrywaną dumą.

– Nie podoba mi się taki plan – oznajmiła kapitan. – Ale i tak jest lepszy niż

pomysł, żebyście wy uciekali z dzieckiem, a my nie mieli żadnego celu. – Uścisnęła lekko rękę kapitana. – Skoro statek i załoga mają szanse wyjść z tej przygody bez szwanku, zgadzam się: o nas się nie martwicie.

Zostało mi tylko słowo wciąż niewystarczające.

– Dziękuję.

– Wszyscy mamy za sobą ciężki dzień – odezwała się pani Amber. – Czas odpocząć. Morze jest spokojne, wiatr przyjazny. Czy zdołacie na jakiś czas zwolnić nas wszystkich z obowiązków? Powinniśmy się naradzić, oszacować siły i możliwości, przejrzeć ubrania, wypróbować role, które musimy odegrać.

Zuchwalec ogarnął wzrokiem pokład i krótko skinął głową.

– Możecie iść.

Wsunął sobie rękę Althei pod ramię i tak we dwoje odeszli, krokiem idealnie zgranym z kołysaniem statku. Próbowałem wyobrazić sobie ich na łądzie, idących przez targ. Kapitan Althea powinna trzymać koszyk na przedramieniu... Nie mogłem.

– Jakie role? – zapytał Niestrudzony.

Skierce błysnęły oczy.

– Nasze role!

– Ja raczej nie będę musiał się wprawiać – stwierdziłem, patrząc na przebranego Błazna.

– Jakie nasze role? – dociekał Niestrudzony.

– Chodźcie – zarządziła pani Amber. – Zaraz wszystko będzie jasne.

Gdy stłoczyliśmy się w kajucie, Błazen zrzucił maskę pani Amber równie łatwo, jak spódnice przykrywające jego nogi w obcisłych spodniach. Kobięcy strój odtrącił na bok stopą.

– Po zejściu z pokładu nie będę panią Amber. – Wydawał się niemal wesoły.

Wyciągnął spod koi jakieś ubrania. Jego zręczne palce zatańczyły na tkaninie i koronce, szybko je rozdzielił. Zacisnąłem zęby, wiedziałem że nie mam szans, mimo wszystko jednak spróbować musiałem.

– Moim zdaniem w ogóle nie powinieneś schodzić na ląd – powiedziałem. – Znają cię w Clerres, jeżeli cię pochwyca... Wystarczy nawet, że ktoś cię rozpozna, a zaalarmuje strażę i skomplikuje moje zadanie. Nie schodź.

Wykrzywił się złośliwie mniej więcej w moim kierunku.

– Jakby to była twoja decyzja! Ucisz się, chociaż na jakiś czas, i posłuchaj, jaki mam plan, bo warto! – Naprawdę szczerze drżał z niecierpliwości. – Ty, Tomie Borsuczowłósy, przybywasz do Clerres, by dowiedzieć się, czy twoja śliczna córka, Błyskotka, powinna wyjść za właściciela ziemskiego, Galopanta. Galopantem

będziesz ty, Strzyku. Towarzystwa dotrzymuje ci służący, Niestrudzony. A obu was przypilnuje staruteńka babunia Galopanta, która zadba, żeby wnuczкови nikt przyrzeczonej panny nie sprzątnął sprzed nosa. – Umilkł i czekał.

Niestrudzony miał oczy jak spodki. Skierka przytakiwała z uśmiechem, Strzyk zmienił się w uosobienie niedowierzania. Rozmawialiśmy już wcześniej i ustaliliśmy, że Błazen musi mieć przekonujący kostium, jeśli ma zejść na brzeg, jednak to, co usłyszeliśmy w tej chwili, to był zupełnie inny poziom występu teatralnego. Zwykły plan, wedle którego mieliśmy zwyczajnie zapłacić za przeprawę przez groblę i wejść na teren pałacu, przekształcił się nagle w wielką sztukę. Pokręciłem głową.

– Czy to aby na pewno konieczne? Naprawdę każdy musi mieć jakąś rolę do odegrania? Zmienione imię, przypisaną historię?

– Nie ma sprzeciwów? – Błazen uśmiechnął się szeroko, jakby mnie nie słyszał. – Doskonale. Idąc z wami, będę się starannie chronił przed słońcem, nawet twarz skryję za woalką. Wezmę motylą pelerynę i kilka innych przydatnych przedmiotów. Wmieszamy się w grupę pielgrzymów, dotrzemy na rynek przed bramą. Tam Bastard zapłaci za przepowiednię. Niezależnie od tego, co usłyszysz, wyrazi swoje niezadowolenie, że prorocstwo jest zbyt ogólne, mgliste i niezrozumiałe. Zaoferuje okrągłą sumkę, by któreś z lingstrów zdecydowało ostatecznie, czy małżeństwo powinno zostać zawarte. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że wezmą pieniądze i dadzą nam żetony uprawniające do przejścia. Pójdziemy pod twierdzę i razem z innymi chętnymi do uzyskania prorocstwa zaczekamy na odpływ. – Nabrał powietrza. – Potem nastąpi część najtrudniejsza. Trzeba nalegać na wejście do biblioteki zwojów. To rzadki i kosztowny przywilej. Wątpię, by nam na to wystarczyło pieniędzy, lecz możemy takie zezwolenie uzyskać w zamian za to. – Uniósł bransoletę. Świeące klejnoty rozjarzyły się w mrocznej kajucie. Wyglądały, jakby płonęły. – Ognistą cegłę także ze sobą zabierzemy, ale zachowamy ją na wypadek gdybyśmy potrzebowali dać łapówkę. To jest przedmiot praktyczny. Każdy się na niego połakomi.

– Ale przecież obiecaliśmy... – odezwał się Niestrudzony.

– ...że rozstaniemy się z dziełami Najstarszych jedynie w razie absolutnej konieczności – podpowiedział mu Błazen. – Uratowanie Pszczoły jest absolutną koniecznością.

Pokiwałem głową z przekonaniem. Nie powiem, żeby plan mi się spodobał, po prostu nie miałem innego.

– W bibliotece musimy znaleźć sposób, żeby zniknąć. Może na przykład zacznę narzekać, że muszę koniecznie iść na stronę, a Strzyk i Skierka mnie odprowadzą. Ponieważ długo nie będziemy wracać, ty i Niestrudzony pójdziecie nas szukać.

Oczywiście w tym czasie znajdziecie sobie jakąś kryjówkę. Niewykluczone, że będziecie musieli się rozdzielić.

– Nie zostawię chłopaka samego – zaprotestowałem.

– Dam sobie radę – zadeklarował Niestrudzony, lecz w jego oczach dojrzałem skrywaną ulgę.

– Zróbcie, co uznacie za stosowne – westchnął Błazen. – Wiele będzie zależało od przypadku, jednak do czasu kolejnego odpływu tego dnia, gdy pierwsza fala pątników zacznie opuszczać twierdzę, by zrobić miejsce kolejnym, wszyscy musimy być już ukryci, bo w przeciwnym razie strażnicy każą nam wyjść za bramę. Ci, co nie zdołają się schować, muszą opuścić pałac bez protestów, zostawiając tych, którym uda się zostać.

Plan był beznadziejny od samego początku, a uściślenia w niczym nie pomogły.

– Jak się odnajdziemy po zmroku, gdy mieszkańcy pałacu pójdą spać? I czy w ogóle istnieje tam coś w rodzaju spokoju w nocy?

– Nie pamiętasz, co planowaliśmy wcześniej? Spotykamy się na dziedzińcu pralni. Nocą nikogo tam nie ma. To nasz punkt zborny. Zakładam, że mapę wszyscy znacie na pamięć?

– Tak, oczywiście – potwierdziła Skierka.

Nikt nie przypomniał Błaznowi, że już nas o to pytał.

– A co potem? – chciał wiedzieć Niestrudzony.

– Tak jak uzgodniliśmy. Ja przeszukam przede wszystkim lochy na najniższym poziomie. Jeżeli tam znajdę Pszczołę, uwolnimy ją jak najszybciej.

Niestrudzony wyglądał na chorego. Siedział przygarbiony, jakby spodziewał się ciosu. Błazen posłał w jego stronę uśmiech, a ja wypchnąłem z głowy obraz córki torturowanej w ciemnościach. Musiałem myśleć wyłącznie o jej ocaleniu.

– Gdy tylko odzyskamy Pszczołę, musimy z nią uciekać. Może się to okazać najtrudniejszym z naszych wyzwań. Po przeszukaniu cel na najniższym poziomie, znajdziemy drogę, którą wynieśli mnie moi wyzwolicieli. Wejście do tunelu prowadzącego pod groblą musi być gdzieś właśnie tam. Jeśli je znajdziemy, dwoje z nas natychmiast wyprowadzi uratowaną, jedno zostanie, by spotkać się z pozostałymi na dziedzińcu pralni i jak najszybciej zaprowadzić ich do podziemnego przejścia. – Splótł dłonie na podołku. – I to tyle. Tak wygląda nasz plan po dopracowaniu. – Nabrał tchu. – Zabierzemy ze sobą gliniaki Ciernia i trochę trucizny. Kiedy już będziemy mieli Pszczołę i zyskamy pewność, że zdołamy uciec, Bastard rozmieści jedno i drugie tam, gdzie uzna za stosowne.

– Ja chętnie pomogę – odezwał się Niestrudzony cicho, po czym dodał miękko: – Też mam powody do zemsty. Ojciec, dziadek, matka. Doskonale pamiętam, co

zrobili wysłannicy Sług w Białym Gaju. Nie zapomnę śmierci Birbanta.

Po jego słowach zapadła cisza. We mnie walczyły o lepsze duma i wstyd. Kimże stał się, przeze mnie, ten dobroduszny, życzliwy, prostolinijny chłopak stajenny?

– Ci, którzy wyprowadzą Pszczołę z pałacu – podjął Błazen – nie będą na nikogo czekać. Dziecko musi natychmiast trafić na nadbrzeże i do szalupy. Tam spotkamy się z pozostałymi, chyba że... – Po chwili milczenia podjął niechętnie: – Chyba że Pszczoła będzie w bardzo złym stanie. Wtedy trzeba jak najszybciej zabrać ją na statek i opatrzyć. – Odetchnął głębiej i dodał pośpiesznie: – W takim wypadku pozostali będą musieli radzić sobie o własnych siłach. Dziś zajmiemy się przygotowaniem. Dopasujemy stroje, ukryjemy broń.

– Zgoda – powiedziałem cicho.

– Zaczynamy wobec tego – zarządziła Skierka.

Najwyraźniej była poinformowana lepiej niż pozostali, gdyż bez wahania zaczęła wyciągać spod koi komplety ubrań. Jedną stertkę przyszykowała obok Błazna.

– Na samym wierzchu jest babciny czepiec. Już przyszyłam koronkę, która ochroni twarz staruszki przed słońcem. Trzeba jeszcze przymierzyć.

Obok przebrania Błazna ułożyła motylą pelerynę, równo poskładaną i ciasno zwiniętą. Bez słowa dodała fartuch i chustkę na głowę przeznaczone dla służki. Dla Pszczoły. Bez wątpienia.

– Panie. – Drgnąłem, gdy się do mnie zwróciła. – Spośród twoich strojów trzeba wybrać najlepsze. Niestrudzony, tu masz spodnie, luźną kamizelę i twoje stare buty. Właściwie nienoszone, odkąd wszedłeś na pokład. Pani Amber twierdzi, że jako strój dla służącego będą w sam raz. Panie Strzyku, jesteś moim adoratorem, mam dla ciebie odpowiedni strój. I dla siebie także... Niełatwo było ze starych rzeczy pani Tymianek zrobić coś, co by wyglądało po ludzku... – W jej głosie pobrzmiwała duma, całkiem zrozumiała.

Falbaniasta bluzka starej kobiety zmieniła się w rękach dziewczyny w modną koszulę dla młodego człowieka, z koroną kipiącą pod brodą i przy mankietach.

– Na szczęście krawiec nie żałował materiału na stroje pani Tymianek, więc było z czego ciąć. – Urwała ze ściśniętym gardłem. Na oślep podała Strzykowi koszulę. – Proszę przymierzyć – wydusiła.

Błazen zdążył już włożyć czepiec, wiązał tasiemki pod brodą. Nagle odezwał się zrzędlwym głosem starej kobiety:

– Bastardzie, będziemy musieli improwizować... – Urwała raptownie i powiodła dokoła niewidzącymi oczyma. – A cóż to za swąd?

Domyśliłem się od razu. Skierka, wyciągając ubrania spod koi, musiała przewrócić mój plecak, a w nim przecież była ognista cegła od Najstarszych. Tuż

obok brulionów Pszczoły. Tuż przy wybuchowych gliniakach Ciernia!

Padłem na deski i zacząłem kopać pod koją niczym pies, klnąc przy tym soczyście, a za czasów Brusa, w stajniach, odebrałem solidną szkołę. Spod splątanych halek wyciągnąłem plecak. Nadpalone płótno poddało się łatwo, rozdarłem je gorączkowo, wysypałem zawartość na podłogę. Ognista cegła lśniła czerwienią. Strzyk wylał wodę z dzbana na jakąś bogato wyszywaną spódnicę, a ja wsunąłem na nią cegłę, właściwą stroną do dołu. Zasycała. Wetknąłem sparzone palce do ust. Pęcherzy nie będzie, ale piekło. Skierka już zdążyła wyciągnąć spośród moich rzeczy bruliony Pszczoły. Okazało się, że oddziaływały je od cegły garnczki Ciernia. Niestety, na tylnej okładce pamiętnika ujrzałem nadpalone miejsce. Dziewczyna wetknęła bruliony w ręce Błazna, a on przycisnął je do piersi, niczym wymagające pocieszenia dzieci.

– Dlaczego przechowujesz, panie, garnczki wielmożnego pana Ciernia przy ognistej cegle? – zapytał Niestrudzony z niedowierzaniem.

Nie potrafiłem udzielić sensownej odpowiedzi. Miałem w głowie tylko jedno: gdybym był tu sam, mój plecak nigdy nie zostałby wywrócony.

Skierka, korzystając z tego, że wszystkie moje rzeczy znalazły się na podłodze, zaczęła je oglądać i segregować.

– Czy masz, panie, jakieś porządne spodnie? – spytała, sięgając po jedną z koszul.

– Ja to zrobię!

Za późno.

– Czy w tych cylindrach jest srebro? – zdumiał się Strzyk.

Okazało się, że cegła nadpaliła także postrzępioną tkaninę mojej starej koszuli i w tej chwili cylindry przez nią prześwitywały. Wyjąłem jeden, zbadałem go uważnie. Wydawał się nienaruszony. Srebro w jego wnętrzu poruszyło się, zawirowało dostojnie.

– Smocze srebro?! – zawołał Błazen własnym głosem. – Bastardzie, masz smocze srebro?

Pochylił się nad rzeczami rozrzuconymi po podłodze, jakby uważniejsze spojrzenie miało mu pozwolić je zobaczyć. Nie istniało kłamstwo dość wielkie, bym zdołał za nim ukryć to, co inni zobaczyli. Wobec czego z moich ust padła prawda.

– Od Rapskala.

Cisza spadła na nas jak śnieg ze stromego dachu.

Czułem się zobowiązany coś dodać.

– Nie prosiłem go o to. Hiibi mu przekazała, że smoki się na to zgadzają. Słyszał prośbę pani Amber i postanowił ją spełnić. Podarował mi je tego dnia, gdy odprowadził mnie do pokoju.

Błazen zniknął w mgnieniu oka.

– Innymi słowy, to moja własność – powiedziała pani Amber miękko.

– Nie – zaprzeczyłem zdecydowanie. – Ja je od niego dostałem. Do mojej dyspozycji.

– I nic nie powiedziałaś. Ani mnie, ani nikomu innemu, jak przypuszczam?

– Zdawało się, że wyczuwa milczące potwierdzenie wszystkich obecnych. – Dlaczego?

– Sądziłem, że mogę go potrzebować.

– I bałeś się, że mógłbym je wykorzystać.

Czy istniał jakiś powód, by ukrywać prawdę? Nie, nie istniał.

– Tak. To prawda. Nie bez powodu. – Podniosłem głos, bo zamierzała mi przerwać. – Posrebrzyłeś sobie palce. Jaką miałem gwarancję, że nie zechcesz zrobić czegoś więcej? Albo oddać srebro „Niezrówanemu”, przez co stałby się bardziej smokiem niż statkiem, zanim moglibyśmy zrezygnować z jego pomocy?

– Sądziłeś, że może ci być potrzebne... – Głos pani Amber zmienił się w błazeński. – I że zrobię coś więcej niż posrebrzenie palców. Może na przykład usrebrzyłbym sobie ręce? Tak jak król Szczery?

– Kto cię tam wie. Już pokazałeś, co potrafisz. Smocze srebro może być naszą ostatnią deską ratunku, podobnie jak wybuchające garnuszki Ciernia czy ognista cegła od Najstarszych. Nie wiem, jak wykorzystamy te przedmioty. Jeszcze nie wiem. Ale przechowuję je na wypadek potrzeby.

– Nie ufasz mi.

– Ufam Błaznowi. Nie ufam pani Amber.

– Co takiego? – wyrwało się Niestrudzonemu.

Pozostała trójka trwała w nieprzyjemnej roli milczących świadków sprzeczki, a jego mimowolny wybuch przypomniał mi o ich obecności. Cisnąłem w chłopaka ciężkim spojrzeniem, a on cofnął się i skulił. Bardziej byłem zły na siebie niż na niego, bo nie potrafiłem wyjaśnić swojego komentarza nawet sobie. Błazen obrzucił mnie urażonym wzrokiem i już w następnej chwili przywdział na nowo kobiecą maskę. Proszę bardzo. Właśnie w tym rzecz. Używał jej, by się przede mną skrywać. A mnie się to nie podobało. Oczywiście mógł sobie być, kim wolał, gdzie chciał i jak mu się żywnie podobało, jednak gdy przy mnie zmieniał się w panią Amber, stawałem twarzą w twarz z pozorami i kłamstwem. W efekcie nie odpowiedziałem Niestrudzonemu.

– Jaskrawa potrafi... – chłopak odchrząknął nerwowo – tym srebrnym dziobem robić różne niesamowite rzeczy. Specjalnie mi pokazała.

Zaciekawił wszystkich.

– Jakie na przykład? – spytałem.

– No, na przykład, dawniej musiałem jej czernić pióra. I jak znowu przyszedł czas, żeby je pomalować, to akurat inkaust się skończył. Chciałem zobaczyć, co się tam dzieje na jej lotkach, więc poprosiłem, żeby rozprostowała skrzydła. Patrzyłem i patrzyłem, ale nie było ani jednego białego pióra. Właściwie nie było nawet szarych, tylko w jednym miejscu została jaśniejsza plamka. Jaskrawa zobaczyła ją, przeczesła pióra dziobem i ostatnia plamka też poczerniała.

– To potężna magia – powiedziałem miękko. – Bądź ostrożny, uważaj, żeby kruczycyca ciebie nie dotknęła dziobem.

– Ona jest bardzo ostrożna. – Wygiął usta z wyraźnym żalem. – Przy mnie jest ostrożna. Ale przy statku, o, to zupełnie co innego. Myślę, że ona lubi „Niezrówanego”, bardzo go lubi. Widziałem, jak czesała galionowi włosy, traktowała go całkiem, jakby był smokiem.

– On jest smokiem – odezwała się cicho Skierka.

Przyklęknałem, wsunąłem cylindry ze srebrem oraz nadpaloną koszulę z powrotem do zniszczonego plecaka, całość zwinąłem w tłumoczek. Ognistą cegłę odłożyłem na bok. Stertka moich ubrań wyglądała żałośnie. Wyciągnąłem z niej spodnie.

– Będą musiały się nadać. Mój paradny płaszcz z Księstwa Koziego jest stanowczo za ciepły na tutejsze warunki, ale mogę go zarzucić na plecy, zakryje topór.

Pani Amber postanowiła zapomnieć o pretensjach.

– Weź coś mniejszego – odezwała się głosem bez wyrazu. – Nie możemy ryzykować, że cię zatrzymają.

Nie miałem ochoty się sprzeczać.

– Pożyczę od kapitana Trella siekierkę.

Znalazłem drugą koszulę, położyłem ją na stertce. Potem zacząłem ustawiać rządkiem gliniaki Ciernia. Skierka wzięła koszulę, podniosła do oczu, obejrzała krytycznie.

– To na nic. Nie pasuje do szlachetnie urodzonego mężczyzny olśniewającego bogactwem i żądającego posłuchania. Będę musiała przerobić jeszcze którąś z bluzek pani Tymianek.

– Bardzo proszę – udało mi się powiedzieć.

Sięgnąłem głębiej pod koję i wyciągnąłem osobny pakunek, który wniosłem na pokład jeszcze w Trehaugu. Od tamtej pory właściwie go nie dotykałem. Większość swoich szczególnych zapasów straciłem w wyniku ataku niedźwiedzia, tutaj miałem resztę trucizn i narzędzi skrytobójcy. Teraz nadszedł czas, by dokonać mądrego wyboru. Wytrychy. Garota. Niewielki pojemnik z trucizną w tłuszczu,

do smarowania klamek, zasuwek albo sztućców. Kiedyś zostawiłem odrobinę na tylnej okładce książki. Właściciel zmarł po dwóch dniach. Pozbawione smaku śmiercionośne pudry, jedne działające szybko, inne powoli. Kilka paczuszek odłożyłem na bok.

– Tego nie będziesz, panie, potrzebował? – zapytała Skierka.

Przyglądała mi się uważnie, być może planowała dodanie ukrytych kieszeni. Nie mogłem też wykluczyć, iż ubrania pani Tymianek już były w nie obficie zaopatrzone.

– To środki nasenne. Specyfiki usypiające. Wątpię, żeby okazały się potrzebne, ale dwa wezmę. – Wybrałem odpowiednie pakiety.

Zdecydowałem się zabrać jeszcze dwa noże, ostre, krótkie i wąskie jak mój mały palec. „Do i z”, nazywał je Cierń. Cierń. Dla uspokojenia odetchnąłem głęboko. A tu, zawinięta w skrawek papieru czekała trująca pigułka naszykowana dla Błazna. Nie chciałem mu jej dawać. Ale obiecałem.

– Pani Amber, podam ci coś – uprzedziłem ją i wziąłem za rękę. Nawet nie drgnęła. Obróciłem jej dłoń wnętrzem do góry i włożyłem w nią pakuneczek. – Błazen mnie o to prosił. Na wypadek gdyby został schwytany.

Pani Amber wolno skinęła głową i zamknęła dłoń.

– Co to takiego? – spytał Niestrudzony głosem pełnym grozy.

– Szybki koniec – powiedziałem.

Dołożyłem jeszcze kilka rzeczy do stosiku tych, które zamierzałem ze sobą zabrać. Niespodziewanie poczułem, że mam dość. Wszystko było źle. Dokładnie wszystko. Dążyliśmy do celu w najgorszy możliwy sposób, moim zdaniem skazani na porażkę. Obrzuciłem spojrzeniem rządęk wybuchowych gliniaków, kopczyk trucizn i przemyślnych narzędzi. Skierka już zaczęła rozpruwać szew zielonej bluzki. Jacyż oni byli przejęci i zdeterminowani. Jak naiwne króliczki planujące upolowanie lwa.

Wstałem.

– Muszę się przewietrzyć – powiedziałem i wyszedłem, a wszyscy powiedli za mną wzrokiem.



Stanąwszy na pokładzie, zerknąłem na dziób. „Niezrównany” był sam, jeśli nie liczyć Jaskrawej siedzącej mu na ramieniu. Powitałem go oficjalnym zwrotem, po czym zatonałem w milczącym cierpieniu. Żadne z pozostałych nie wyszło za mną

z kajuty i byłem im za to wdzięczny. Z pewnością snuli dalsze plany, z którymi bym się nie zgadzał. Wyjrzałem za burtę, popatrzyłem w stronę lądu, który teraz rzeczywiście było już widać. Clerres. Mój cel. Córeczko... Opuściłem ją, a potem straciłem. Niczego nie pragnąłem bardziej niż być tym, który ją odnajdzie i zapewni jej bezpieczeństwo. Chciałem wziąć ją na ręce, pragnąłem, by zajrzała mi w twarz. W moją twarz. To ja chciałem być tym, który ją uratuje.

„Zdaje się, nie pamiętasz, że Amber czuje to samo”. – Myśl „Niezrównanego” zadudniła mi w całym ciele. Zdjąłem dłonie z relingu. – „To nic nie zmienia. Powiedziałem ci już, człowieczku, że mogę dzielić z tobą myśli, kiedy tylko zechcę. Albo poznać jej sny. Wini siebie za to, że ją uratowałeś, a zostawiłeś dziecko. Traci siły na odgadywanie, co robić, by inni się tego nie domyślili. Jednym się z tobą podzielę. Śni o twojej śmierci, a ona bardzo nie chce, żebyś umarł na próżno. Powinieneś wiedzieć: jeżeli będzie musiała wybrać, kto ma umrzeć, wybierze ciebie, ponieważ wierzy, że takie jest twoje życzenie”.

Opanował mnie bezruch. W brzuchu miałem bryłę lodu. „Jeżeli będzie musiała wybrać”. Zrozumiałem. Pojąłem, że Błazen ma rację. Skoro musiałem umrzeć, by on przeżył i zajął się Pszczołą, to była właściwsza wersja. Ukształtowałem myśl dla statku.

„Jak umrę?”.

„W wodzie i ogniu, w wietrze i ciemności. Powoli”.

„Aha. Dobrze wiedzieć”.

„Doprawdy? Nigdy nie zrozumie ludzi”.

Jakby mi ktoś zrywał opatrunek z rany, oddzielił się od mojego umysłu i zostawił mnie samego z wiatrem.



Przez cały dzień zbliżaliśmy się do lądu, chociaż mnie wcale na to nie wyglądało, ponieważ zawsze, gdy patrzyłem w kierunku naszego celu, Clerres wydawało się wciąż równie odległe. Wiatr nam sprzyjał, statek płynął niesiony własną chęcią, nie wymagając wiele od załogi. Było za mało pracy, a za dużo czasu na zmartwienia i niepokój.

Nie ja jeden krążyłem po pokładzie i spoglądałem w stronę Clerres. Któregoś razu zobaczyłem parę kapitanów, stojącą na dachu kasztelu na rufie, patrzącą w tę samą stronę. Zuchwalec obejmował Altheę za ramiona, po chwili dołączył do nich syn. Wyglądali jak rodzina wyruszająca w niebezpieczną podróż. I może właśnie

tak było.

Ci z marynarzy, którzy nie mieli akurat żadnych zajęć, przesiadywali najczęściej na dziobie, w pobliżu galionu. Zwykle była tam z nimi pani Amber. Żywostatek opowiadał im różne historie na temat wizyty Igrota na wyspie, ku której zdążaliśmy. Zdarzenie to miało miejsce, zanim „Niezrównany” został oślepiiony, więc doskonale pamiętał miasto tętniące życiem, podsuwające podróżnikom najróżniejsze atrakcje. Owe sympatyczne opowieści trochę mnie niepokoiły, gdyż wciąż miałem żywo w pamięci, jak wyglądało życie Kennita, gdy kapitanem statku był Igrot. Żeglarze z Łupigrodu mieli tysiące pytań, chcieli wiedzieć wszystko na temat domów uciech i jaskiń hazardu, wypytywali, jaki rodzaj sutu będzie do kupienia i czy da się pohandlować cindinem. Pani Amber rozsiadała się między nimi, razem z innymi żartowała i zadawała pytania, opowiadała o przygodach przeżywanych na lądzie, a pozostali, ośmieleni jej zachowaniem, także przywoływali blaski i cienie takich dni. Jaskrawa siedziała jej na ramieniu i krakała zadowolona, gdy ludzie wybuchali śmiechem.

Odszedłem stamtąd, lecz nie miałem dokąd pójść. Niestrudzony trzymał się na skraju grupy, przy Świstaku, który słuchał z rękoma założonymi na piersi i lekkim uśmiechem na ustach. Gdy niechętnie wróciłem do kajuty, sprawdzić, czy mogę już przymierzyć koszulę, zastałem tam ze Skierką Strzyka. Na mój widok dziewczyna prześlicznie się zaczerwieniła, więc dołożyłem starań, by przymiarki trwały jak najkrócej.

– Wygląda, jak należy – oceniła Skierka. – Czy chcesz, panie, żebym napełniła kieszonki, czy wolisz sam to zrobić?

Nigdy nawet nie przeszło mi przez myśl, że ktoś mógłby tak otwarcie mówić o przygotowaniach do morderstwa. A oni oboje patrzyli na mnie w milczeniu, również wówczas, gdy napełniałem sekretne kieszenie w koszuli i w końcu znowu wciągnąłem ją na grzbiet. Skierka zmarszczyła czoło.

– Normalnie wyglądałaby lepiej, ale w tych warunkach więcej nie zrobię. Musisz, panie, włożyć płaszcz i trochę się przygarbić, żeby było widać, że nie jesteś już młodzieniaszkiem.

Następnie wręczyła mi coś w rodzaju pasa, z woreczkami na gliniaki Ciernia. Wszystkie były przyszyte z tyłu, więc kiedy włożyłem płaszcz i przygarbiłem się, jak poleciła, były dość dobrze ukryte.

Na tym zakończyły się przygotowania, więc zostawiłem ich samych. Nie wykazali się mądrością w wyborze ukochanej osoby, lecz swego czasu znałem tę gorączkę namiętności, zatem ich rozumiałem. Przypuszczalnie uczucie tego samego rodzaju połączyło mojego ojca z księżną Cierpliwą, a i król Roztropny nie wykazał się

szczególną przenikliwością w kwestii konsekwencji ożenku z księżną Skwapliwą. Wycofałem się, wyszedłem, zostawiłem ich, żeby mogli wykorzystał choć te parę chwil odosobnienia.

Dzień upływał powoli, niczym sok skapujący z nadciętej gałęzi. Linia brzegu zbliżała się jednak rzeczywiście i wczesnym wieczorem dostrzegliśmy światło latarni zapalanych w odległym mieście.

W pewnym momencie podszedł do mnie kapitan Zuchwalec.

– Dotrzemy na miejsce w środku nocy, a „Niezrównany” twierdzi, że po ciemku lepiej do tego portu nie wchodzić. Zakotwiczymy na głębszej wodzie, a bliżej lądu podpłyniemy przy świetle dziennym. Księżyc jest w pierwszej kwadrze, o tej porze roku można spodziewać się dużego odpływu. Nie będziemy ryzykować, zwłaszcza w obcym porcie i na dużej jednostce.

– Lepiej zachować ostrożność – przytaknąłem.

Zgadzałem się z nim, choć gorąco pragnąłem zejść na ląd jak najszybciej.

Jestem równie szalony, jak moi towarzysze, skarciłem siebie.

Podziękowałem kapitanowi za informacje.

Skinął głową z powagą.

– Przekaż przyjaciołom, że dziś w nocy żadne z nich nie będzie miało wachty. Powinniście się wyspać, na ile zdołacie. – Umilkł na moment. – Poznaliśmy się w niezbyt sprzyjających okolicznościach, księżę Bastardzie Rycerski, ale tak czy inaczej, życzę ci szczęścia. – I z tym mnie zostawił.

Miał rację. Należało odszukać moje towarzystwo, poradzić im, by dokończyli przygotowania i spróbowali się przespać. Wróciłem więc do kajuty. I okazało się, że dotarłem tam jako ostatni.

– Widziałeś, panie, światła miasta? – Niestrudzonemu błyszcząły oczy. – Ale pięknie!

– Rzeczywiście – przyznałem. – W innych okolicznościach rozejrzałbym się w nowym miejscu z prawdziwą przyjemnością. Kapitan mówi, że na noc opuścimy kotwicę, nie wchodząc do portu. Popytam wśród załogi, czy mnie ktoś zabierze na brzeg, przydałoby się zbadać teren. Zajrzałbym do paru tawern i posłuchał plotek.

Pani Amber rozwiązała tasiemki, spódnice spłynęły jej do stóp. Zdziwiłem się, gdy użyła ich do wytarcia farbek z twarzy.

– Rozumiem twoje zniecierpliwienie – powiedziała. – Musisz jednak wiedzieć, że nie zejdziesz z kei. Straże pilnie strzegą przystani. Clerres jest miastem pięknym, czystym i zadbanym, a przy tym świetnie chronionym. Źle by się stało, gdybyś został zatrzymany. – Starła ostatni ślad różu z policzka. – Dzisiaj trzeba już iść spać, a jutro wstaniemy bladym świtem – oznajmił Błazen. – Musimy koniecznie

uwiarygodnić swoje role. – Przeczesał włosy palcami, od razu się napuszyły. – Zresztą nie przypuszczam, żeby kapitanowie wyrazili zgodę na taką wycieczkę. Żeby załoga popłynęła do miasta w środku nocy? Zanim statek solidnie zakotwiczy, gdzie należy? To kiepski pomysł.

Choć niechętnie, musiałem przyznać mu rację. Nie padło ani jedno słowo na temat mojego poprzedniego wyjścia. Tak, właśnie w taki sposób zawieraliśmy pokój. Nasze towarzystwo tylko wymieniło spojrzenia, a ja byłem zaskoczony, jak wielką ulgę dojrzałem na ich twarzach. Wyraźnie cieszyli się, że nie jesteśmy już, ja i Błazen, poróżnieni.

Chyba w końcu pojął, że naprawdę nie lubiłem pani Amber. W ciasnej przestrzeni szybko powracał do swojej oryginalnej postaci: zrzucił szal i damskie pantofle. Następnie kolejny raz rozłożyliśmy mapy i pochyliliśmy się nad nimi w skupieniu. Jedna przedstawiała miasto wraz z przejściem do pałacu, a także sam pałac, z zaznaczonymi wieżami oraz podwórcami. Na pozostałych czterech widniały odrębne poziomy twierdzy. Na każdej znajdowały się białe plamy – w miejscach, których Błazen nie znał, lub nie mógł sobie przypomnieć. Omówiliśmy przejścia i ewentualne kryjówki. Błazen robił, co mógł, by przypomnieć sobie, ilu wartowników należy się spodziewać i gdzie mogą być rozmieszczeni. Postanowiłem udawać, że nasz plan ma chociaż cię szansy na powodzenie. Gdy byłem już doszczętnie znużony słuchaniem kolejnego powtarzania wszystkiego, co zostało powiedziane wcześniej, przypominałem, że powinniśmy złapać chociaż trochę snu. Odesłałem Strzyka i Niestrudzonego na hamaki. Błazen poprosił Skierkę, by poszła do kambuza, wzięła kubki i wyprosiła trochę gorącej wody. „Przyda się napar na oczyszczenie umysłu przed snem”. Uśmiechnąłem się, gdy dziewczyna wyszła pośpiesznie. Domyślałem się, że Strzyk czeka gdzieś w pobliżu, by bez świadków życzyć jej dobrej nocy.

Zostaliśmy we dwóch, rozdzieleni dziwaczną ciszą. Pani Amber nas od siebie oddaliła. Chciałem to zmienić, zanim rano podejmiemy razem niebezpieczną misję.

– Nie mamy dużych szans na powodzenie – rzekłem. – Pozostaje mi tylko nadzieja, że inni nie ucierpią.

Pokiwał głową. Dłonią obciążoną rękawiczką namacał dziennik Pszczoły. Ułożył go sobie na kolanach i otworzył na chybił trafił. Kobieta o złotych włosach jechała konno przez las. „Troje niczym jedno poluje na obrzeżach szlaku. Królowa, wróżbita i chłopiec stajenny uśmiechają się na ten widok”.

– To chyba nasz pobyt w Królestwie Górskim. Ty, ja i królowa Ketriken.

Uśmiechnął się smutno.

– Dziwne, lecz wspominam ten trudny i niebezpieczny czas z nostalgią.

– Ja także – przyznałem.

Znów byliśmy sobie bliscy.

Kartkowaliśmy bruliony Pszczoły, czytałem na głos fragmenty, wspominaliśmy dawne czasy. Było nam razem dobrze. W czasie tych spokojnych godzin zrozumiałem w końcu, co skrywała pani Amber. Mój przyjaciel był przerażony powrotem do Clerres, nie chciał myśleć o zejściu na ląd, podobnie jak ja nie pragnąłbym powrotu do lochów księcia Władczego. Tortury, jakie mu tu zadawano, były, tak jak miasto, świetnie zorganizowane. Starannie zaplanowane. W przeciwieństwie do moich.

– Byłem łatwowierny – stwierdził z żalem. – Powinienem był uciec od razu, gdy zacząłem podejrzewać, że nas oszukują. Zamiast tego rozmawiałem z Prilkopem. Dyskutowaliśmy, uzasadnialiśmy swoje racje, argumentowaliśmy. Ja chciałem cię ostrzec, że będą cię szukać. Przekonałem go, że powinniśmy na własną rękę szukać „dziko zrodzonego” proroka i roztoczyć nad nim ochronę, jakiej mnie zabrakło. Czy to byłby „nieoczekiwany syn”? Żaden z nas nie miał pewności, jednak obaj wiedzieliśmy, że żadna istota z rodu Białych nie będzie już mogła swobodnie podążać za swoim przeznaczeniem, jeśli trafi w ręce Sług. Zostanie wykorzystana do ich celów. – Dziennik snów leżał na kolanach Błazna zapomniany, przykryty dłońmi o rozsuniętych palcach. – Gdy tylko doszliśmy do wspólnego wniosku, od razu następnego dnia zaczęliśmy planować wyjazd. Dyskretnie sprzedaliśmy niektóre spośród upominków, jakimi nas obsypano, i próbowaliśmy odpłynąć, jednak na żadnym statku nie było dla nas miejsca. I żaden tamtego dnia nie zawinął do portu. Usiłowaliśmy przekupić jakiegoś rybaka, by zabrał nas na sąsiednią wyspę. Powiedział, że się nie odważy. Później napadnięto nas i okradziono. A potem Rada zaniechała utrzymywania pozorów. Straże przy bramie oznajmiły nam wprost, iż nie możemy opuszczać twierdzy. Zostaliśmy wezwani przed oblicze czworga najczcigodniejszych. Zapytano nas, czy nie jesteśmy zadowoleni z pobytu. Oznajmiono nam, że dostąpiliśmy zaszczytu, mogąc korzystać z luksusów, i naszym obowiązkiem jest pozostać w pałacu. Opowiadać sny i dzielić się mądrością z młodszymi. To był początek naszej niewoli. – Usiadł wygodniej. – To wtedy Prilkop doszedł do wniosku, że musimy posłać kogoś, by cię ostrzegł. Miałem pewne wątpliwości, jednak zgadzaliśmy się co do tego, że nowego proroka, obojętne, czy jest nieoczekiwanym synem, czy nie, trzeba koniecznie znaleźć i zapewnić mu ochronę. A kogóż mieliśmy w świecie takiego, kto by mógł się podjąć podobnego zadania? Ciebie. Tylko ciebie. – Przełknął, lecz poczucie winy wciąż go dławilo. – W ten sposób zaczęliśmy wysyłać do ciebie umyślnych, dwójkami. Nie śmiałem ich zaopatrzyć w jasne instrukcje, więc słałem z łamigłówkami przesłaniającymi prawdziwe wieści. Byli naiwni jak dzieci i nie

mogli się doczekać, by zostać bohaterami. A teraz tak mi wstyd... Och, Bastardzie, jak bardzo mi wstyd! Przygotowywaliśmy posłańców najlepiej, jak potrafiliśmy, a oni byli równie zdeterminowani ruszać, jak my ich posyłać. Tyle że o świecie poza Clerres nie wiedzieli nic. To byli nasi przyjaciele, pragnący nam pomóc, rozpaleni żądzą ratowania świata. Ruszali w drogę. I nie wracali. I nie dawali znaku życia. Przypuszczam, że wszystkich ich spotkał straszliwy koniec.

Nie ma odpowiedzi na takie słowa. Można tylko słuchać.

– Pewnej nocy, wkrótce po kolacji źle się poczułem – podjął Błazen po chwili milczenia. – Położyłem się do łóżka... i obudziłem w celi. Obok, na podłodze, leżał Prilkop. Po jakimś czasie przy drzwiach ukazał się Kultri. Oznajmił, iż jesteśmy oskarżeni o deprawowanie młodych Białych i nakłanianie ich do ucieczki, w związku z czym odebrano nam swobodę poruszania się po Clerres, ale możemy odzyskać utracony status, jeśli pomożemy odszukać nieoczekiwanego syna, owego dziko zrodzonego Białego. Odparliśmy obaj, zgonie z prawdą, że nic o nam o tym dziecku nie wiadomo. – Skrzywił się. – Trzymali nas na najwyższym poziomie twierdzy. W tamtejszych celach tylne ściany przywodzą na myśl filigran lub koronkę, są białe jak kość, lecz grube na długość mojego przedramienia. Dostaliśmy wygodne łóżka, byliśmy dobrze karmieni, mieliśmy do dyspozycji pergamin i pióra, więc mogliśmy zapisywać sny. Wciąż były dla nich ważne. Zostaliśmy zamknięci, na cztery spusty, lecz nikt nie robił nam krzywdy. Z początku. – Umilkł, pokiwał głową nad wspomnieniami. – Choć wypadliśmy z łask, to jednak niektórzy manipulatorzy i Kolekcjonerzy pozostali wobec nas lojalni. W jednym z niewielkich bochenków chleba dostaliśmy ukryty przekaz, bohaterską obietnicę, że posłańcy nadal będą wyruszali w świat, tak długo, aż któremuś się powiedzie. Ścisnęło mi się serce na myśl o ryzyku, jakie podejmują, ale ponieważ nie miałem sposobu, by ich powstrzymać, ośmieliłem się żywić nadzieję. – Zamknął brulion Pszczoły. Namacał moją rękę i zacisnął w dłoniach. – Potem, któregoś dnia nas przenieśli. Z tych wygodnych, przewiewnych pokoików do cel w trzewiach twierdzy. W ciemność i wilgoć. Z widokiem na... coś w rodzaju sceny otoczonej siedzeniami. Pośrodku tej przestrzeni ustawiono duży stół, przy nim tkwiły narzędzia tortur. Czuć było krew. Dzień w dzień umierałem ze strachu. Każdy mógł być tym, którego potraktują kleszczami i obcęgami. Nic takiego nie nastąpiło, jednak... samo czekanie, przewidywanie... Nie wiem, ile czasu to trwało. – Spuścił głowę. – Codziennie dostawaliśmy niewielki bochenek chleba i dzbanek z wodą. Któregoś wieczoru, gdy przynieśli nam racje, okazało się, że... w dzbanku zamiast wody jest krew. – Musiał przerwać, by się opanować. – A gdy przełamaliśmy chleb, odkryliśmy w nim drobne kostki... kostki palców. – Głos mu drżał.

Położyłem rękę na jego dłoni. Cóż więcej mogłem zrobić?

– Następnego ranka nas rozdzielili, lecz wciąż, dzień za dniem, dostawaliśmy to samo: krew i kości. Nie wiedzieliśmy, ilu zamordowali. Nie dawali nam nic innego, ale się nie poddałem. Wytrwałem, Bastardzie.

Zamilkł, by złapać oddech, i przez kilka chwil nie był zdolny do niczego więcej. Jak gdyby gnał co siłą, uciekając przed wspomnieniami. W końcu go jednak dopadły.

– Nagle znów nastąpiła zmiana. Dali mi bochenek czarnego chleba... tym razem nie znalazłem w nim kości. Następnego dnia zamiast chleba dostałem warzywa w ciemnym wywarze. Też zjadłem. Trzy dni mogłem jeść. Potem, w chlebie – pojedynczy ząb. A w zupie jedno blade oko. Mąka była z kości, a zupa z krwi. Och, Bastardzie...

– Skąd miałeś wiedzieć.

Przyznam, że opanowały mnie mdłości.

– Powinienem był się domyślić. Mogłem zgadnąć. – Spuścił głowę. – Byłem bardzo głodny. Ogromnie spragniony. Czy odgadłem prawdę, lecz nie chciałem jej znać? Powinienem był się domyślić, Bastardzie.

– Za dużo w tobie dobroci, żebyś przewidział taką perwersję. – Nie chciałem, by się zadręczał. – Prześpij się. Dosyć mi powiedziałeś. Jutro odbierzemy im Pszczołę, a zanim opuścimy pałac, zabiję tylu, ilu zdołam.

– Jeżeli zasnę, będę o tym śnił – odparł drżącym głosem. – Byli dzielni, Bastardzie. Nie mogłem się z nimi równać. Moi sprzymierzeńcy się nie poddali. Pomagali mi, jak tylko mogli. Nie robili tego często i szczerze, ale czynili, co zdołali. Czasem docierało do mnie słowo pokrzepienia, rzucone ostrożnym szeptem, gdy ktoś mijał moją celę. Raz dostałem szmatkę zmoczoną w ciepłej wodzie. – Przekrzywił głowę. – Obawiam się, że byli srogo karani za te drobne akty łaski.

– Jutro, gdy odzyskamy Pszczołę, Rada Czworoga zazna całkiem innego rodzaju „łaski” – obiecałem.

Nie zdobył się na uśmiech.

– Obawiam się, że ich nie zaskoczemy. Mają do dyspozycji wiele snów, mogą pytać proroków. Jedno i drugie nas zdradzi. Boję się, że znowu mnie wezmą do niewoli i skończą, co zaczęli. – Ukrył twarz w dłoniach. – Widzą we mnie zdrajcę – odezwał się zduszonym głosem. – I za tę zdradę nienawidzą mnie najbardziej. Nie boję się śmierci, Bastardzie. Boję się, że mnie złapią i nie zabiją.

Widziałem w nim nie strach, lecz odwagę. Był przerażony, a mimo to, dla Pszczoły, zamierzał raz jeszcze rzucić wyzwanie siłom Clerres. Pociągnąłem go za mankiety, odsunąłem mu rękę od twarzy. Czas na szczerość.

– Błaźnie, wiem, o czym śnisz. Nie tylko to, co mi powiedziałeś. Wiem wszystko. I rozumiem twój wybór.

W jego ślepych oczach pojawiło się nieme pytanie.

– „Niezrównany” mi powiedział – wyjaśniłem.

Delikatnie wyswobodził ręce.

– Powinienem był wiedzieć, że zna moje sny. Ale dziwi mnie, że cię w nie wtajemniczył.

– Chyba dlatego, że się o ciebie martwi. Nie kryje przecież, że bardzo cię lubi. Zademonstrował mi to pierwszego dnia, pamiętasz?

– Zdradził ci naprawdę wszystko?

– Wystarczająco dużo. Błaźnie, masz rację. Jeżeli trzeba będzie zdecydować, który z nas umrze, ty powinieneś żyć. Nie byłem dobrym rodzicem. Sądzę, że tobie pójdzie lepiej. Pokrzywa i Rebus ci pomogą. Król Sumienny zadba, żebyś mógł zamieszkać w Białym...

Zaśmiał się ochryple.

– Ech, Bastardzie! Nie ma mowy o żadnym wyborze. Nie będę mógł decydować o twoim losie. – Pauza. – Naprawdę sądziłeś – odezwał się zdławionym głosem – że pozwoliłbym ci umrzeć, żebym sam mógł żyć?

– To byłoby rozsądne wyjście. Dla dobra Pszczoły.

– Bastardzie... to nie tak. Według snów wcale nie mam wyboru. Widzę po prostu rozwidlenie przyszłości. Na jednej z dróg – mówił napiętym głosem – światoburca umiera, a nieoczekiwany syn przeżywa. Na drugiej nieoczekiwany syn traci życie. I tak, jeśli chodzi o moje działanie, działanie, którego nie widzę i, mam nadzieję, nie zobaczę, zrobię, co będę musiał, żeby ocalić Pszczołę. Jej życie muszę ratować za wszelką cenę. – Głos uwiązł mu w gardle, w ślepych oczach zaślniły łzy.

– Ależ oczywiście. Ja zrobiłbym to samo.

– Nadal nie palę się do podejmowania decyzji.

Przerwało mu stukanie w drzwi. Pośpiesznie otarł twarz rękawem, a ja w tym czasie otworzyłem.

– Przykro mi, że to tak długo trwało – powiedziała Skierka. – Musiałam poczekać, aż woda się zagotuje. – Wsunęła się bokiem, ostrożnie niosąc tacę, przesunęła na bok ubrania i postawiła ją na koi. – Herbat z Kelsingry zostało niewiele, ale coś jeszcze jest. Którą zaparzyć?

Błazen odpowiedział uśmiechem, a dziewczyna spojrzała na mnie oskarżycielskim wzrokiem. Od razu zorientowała się, że płakał.

– Mam herbatę jeszcze z Koziej Twierdzy. Trzymałem ją na specjalną okazję. Myślę, że dziś mogę sobie na nią pozwolić. Są w niej dwa rodzaje mięty z Ogrodu

Kobiecego i drobno starty korzeń imbiru wysuszony na proszek. A także odrobina czarnego bzu.

– Księżna Cierpliwa parzyła mi taki napar – przypomniałem sobie z uśmiechem. Błazen poszperał w swoich rzeczach i wyjął skórzaną sakiewkę.

– Ja dostałem przepis od Brusa – przyznał. – Zostało tyle, co na jedno parzenie. – Podał sakiewkę dziewczynie, a ona opróżniła ją do dzbanka. Po chwili zapachniało domem, dawnymi czasami, drobnymi przyjemnościami. Skierka naląła wywaru do kubków i wypiliśmy, jakbyśmy nie wybierali się następnego dnia na spotkanie ze śmiercią. Dobrze znana woń przywołała wspomnienia, więc Błazen opowiedział dziewczynie kilka historyjek, jak to drzewiej w zamku Koziej Twierdzy bywało. O swojej sympatii dla króla Roztropnego, o psikusach, jakie ja i Pomocnik płataliśmy w stajniach, o Malwie, ogrodnicy, która się w nim skrycie podkochiwała, i o najwspanialszym na świecie chlebie pieczonym przez tamtejszą kucharkę. A potem jeszcze o Kowalu, moim psie, który przepadał za ciasteczkami imbirowymi, i o tym, jak pachniały Ogrody Kobiece, gdy latem słońce rozgrzewało lawendę.

Skierka ułożyła się na swojej koi, Błazen przymknął oczy. Gdy jego głos ścichł do szeptu, wyszedłem, ostrożnie zamykając za sobą drzwi. Wróciłem do swojego hamaka między Strzykiem a Niestrudzonym. Umościłem się w nim i, ku swemu zdumieniu, zasnąłem.

Rozdział 27

Od pióra do ostrza

Do szanownych kupców: Kliftona, Anrosena i Bellidiego!

Z największym żalem zmuszony jestem zawiadomić, iż nie zdołamy dotrzymać terminów zawartych w kontrakcie. Nasz żywostatek „Pojętny” stał się krnąbrny i wysuwa groźby nie tylko pod adresem własnego kapitana oraz jego załogi, lecz także wobec innych napotkanych statków. Dwukrotnie celowo nabrał wody, niszcząc ładunek. Walczy ze sterem i kieruje się jedynie własnymi preferencjami.

Dla bezpieczeństwa załogi oraz ładunku jesteśmy wobec tego zmuszeni wypowiedzieć zawarte między nami porozumienie. Po Waszej stronie leży prawo wniesienia przeciwko nam oskarżenia o zerwanie umowy. Pragniemy jednak podsunąć inne rozwiązanie. Otóż, porozumieliśmy się z obsadą innego żywostatku, „Ofelii”, pozostającego pod opieką wyśmienitego rodu, Terniry, wywodzącego się z Miasta Wolnego Handlu i od pokoleń słynącego z niezawodnego spełniania wszelkich powinności. Uzyskaliśmy zapewnienie, że bez dodatkowych kosztów ze strony klientów przejmą zawarte przez nas kontrakty.

Niniejszym wyrażamy nadzieję na uzyskanie zgody na takie rozwiązanie, korzystne dla wszystkich zainteresowanych stron.

Z wyrazami szacunku

Dowódca żywostatku „Pojętny”, kapitan Osfor

Słońce wędrowało przez niebo własną drogą. Zajrzało do mojej celi przez pręty i namalowało pasy na podłodze. Byłam głodna, pewnie ominęła mnie kolacja. Usiłowałam poukładać sobie w głowie wypadki minionego dnia, gdyż jutro Kapra zapewne przyjdzie znów i będzie chciała wiedzieć więcej. Czy powinnam rozmawiać z nią swobodnie, bez zahamowań? Czy wtedy zyskam własną chatkę, czyste ubranie i smaczne jedzenie? A co dalej? Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że zostanę tu na resztę życia. Ale też nie umiałam sobie wyobrazić powrotu do domu. Jedyna możliwość, jaka wydawała mi się realna, to kłopoty z jednym lub kilkoma

członkami Rady, które skończą się biciem. Albo zabiciem. A najprawdopodobniej najpierw jednym, a potem drugim.

Albo też... urzeczywistnią się sny o tym, co mogłabym zrobić. Zimno mi się zrobiło na tę myśl, choć wieczór był wciąż ciepły.

Przyszła strażniczka, zapaliła lampy. Nadal pachniały sosną, lasem iglastym. Tęskniłam za lasem. Właściwie chciałam być gdziekolwiek, gdzie nie było ludzi. Ściągnęłam siennik na podłogę, położyłam się, lecz nie spałam. W świetle lampy pręty rzucały cień, lecz całkiem inny niż w słońcu. Mniej wyraźny. I jakoś coraz bardziej blednący. Uniosłam głowę, przyjrzałam się lampie. Płomień na końcu knota ledwo migotał. A po chwili zgasł. Teraz do celi docierało tylko światło z następnej lampy. Świat zmienił się w szare i czarne cienie.

Usłyszałam, że czarny mężczyzna w sąsiedniej celi zmienił pozycję na łóżku.

– Czyli to dzisiaj... Tak prędko...

Nie byłam pewna, czy mówił do mnie, czy do siebie, więc czekałam.

– Powiedz mi, Pszczółko – zagał. – Czy ty śnisz?

Komu ufać? Nikomu. Czy można było zdradzić sąsiadowi, jak wygląda rzeczywistość? Nie. Prawda była niebezpieczna, nie wolno mi było powierzyć jej nikomu.

– Pewnie. Każdy śni.

– To prawda. Ale nie każdy ma takie sny, jak my.

– Jakie?

– Obrazy. Symbole. Wskazówki, rymy, zagadki. O, taka na przykład: „Jest ptak srokaty i srebrzysty statek, co dziają, któż to wie? Jedno we dwa, a dwa w jedno się zmieni – obudzą przeznaczenie”.

Ciarki mnie przeszły. Słyszałam ten wiersz we śnie, gdy byłam chora, wkrótce po tym, jak Dwalia mnie porwała. Nikomu o nim nie mówiłam. Jakiś czas minął, nim zdołałam odezwać się spokojnie.

– I co to znaczy?

– Sądziłem, że ty mi powiesz.

– Nic nie wiem ani o srebrnych statkach, ani o srokatych ptakach.

– Na razie. Bywa, że nie rozumiemy, co oznacza sen, póki się nie spełni. A nie wszystkie się spełniają. Ja zazwyczaj czuję, na ile prawdopodobne jest przekształcenie snu w przyszłość. W dodatku, jeśli się powtarza, zapewne to niemal nieuniknione. Raz śniłem o białym wilku. Ze srebrnymi zębami. Tylko raz.

– A o ptaku śnisz często, panie?

– Dostyc często, by wiedzieć, że sen się spełni. Przerodzi w rzeczywistość.

– Ale nie wiadomo, co się stanie?

– Nie. To nasze przekleństwo. Wiemy, że coś się przydarzy, lecz dopiero po fakcie, spoglądając wstecz, możemy powiedzieć: „Och, czyli w tym rzecz. Szkoda, że nie wiedziałem”. To strasznie deprymujące.

Zamilkł.

Kolejna lampa zamigotała niepewnie i zaraz w przejściu zrobiło się ciemniej.

– Och, maleńka – wyszeptał mężczyzna. – To już drugi płomień. Czas nadszedł. Ogromnie mi przykro. – Po chwili ciszy dodał prawie niedosłyszalnie. – Taka jesteś młodziutka, taka maleńka. Czy to naprawdę ty? Czy to o ciebie chodzi?

Zdławiłam pytanie, które cisnęło mi się na usta. W korytarzu rozległy się ciche kroki, chociaż nie słyszałam otwarcia ani zamknięcia drzwi.

– Czy ja umrę? – spytałam.

– Chyba spowodujesz zmiany. Nie każda jest zła. Właściwie zmiany same w sobie rzadko są dobre albo złe, to tylko modyfikacja. Kijanka zmienia się w żabę. Pogrzebacz można przekuć w miecz. Kurczę staje się strawą. Widziałem we śnie pióro z wolna przekuwane w ostrze. Widziałem, jak twardy orzech pęka i staje się roslącym drzewem. Widziałem łanię zarżniętą i pociętą na mięso. Dziś w nocy się przeobrazisz.

Słowa padały wolno niczym płatki śniegu. Cisza, która po nich nastąpiła, wydawała się zimna i pusta.

Noc mijała. Blade światło ze strażniczych baszt rysowało na koronkowych ścianach miękkie kształty.

„Tatusiu... Dlaczego mnie odepchnąłeś?” – wysłałam cieniutką nitkę ostrożnej myśli. – „Czy nie wiesz, że bardzo cię potrzebuję?”

„Przestań” – zażądał stanowczo wilk-ojciec. – „Nie wiesz, czy Vindeliar cię słyszy. Zając szamoczący się w pułapce szybko wpadnie w łapy wilka i prędzej straci życie. Schowaj się, ukryj i siedź cicho, póki nie będziesz mogła się oswobodzić”.

Przed celą stała Symphe. Włosy miała splecione i upięte na głowie. Ubrana była w zwykłą koszulę z białego płótna, przewiazaną w pasie, spodnie chyba z miękkiego lnu, na stopach miała brązowe buty sięgające za kostkę. Rękawy koszuli – podwinęła prawie do łokci, jakby szykowała się do szorowania podłogi. Położyła palec na ustach, po czym z sakiewki przy pasie wyjęła pęk kluczy. Cztery klucze na srebrnych łańcuchach. Wybrała jeden i przekręciła w zamku. Potem drugi. Trzeci.

– Skąd masz, pani, wszystkie cztery?

– Ćśśś...!

Włożyła w otwór czwarty.

Wcisnęłam się w najdalszy kąt celi.

– Nigdzie nie pójdę – oznajmiłam.

„Lepiej idź. Jest sama, uważa cię za zwykłe dziecko. Może to szansa na odzyskanie wolności”.

Szczęk ostatniego zamka. Symphe otworzyła moją celę. Uśmiechnęła się do mnie.

– Nie bój się. Zobacz, co ci przyniosłam. – Ponownie otworzyła sakiewkę i coś z niej wytrząsnęła na dłoń. – No zobacz. Cukierki! – Coś jakby guziki. Błyszczące, czerwone, różowe i żółte. Włożyła jeden do ust. – Mmm...! Pyszności! W zębach jak czereśnia, a słodkie jak miód. – Ujęła między kciuk a palec wskazujący różową bryłkę. – Spróbuj.

Z wyciągniętą ręką zrobiła krok naprzód.

Ja odsunęłam się na bok, żeby nie osaczyła mnie w kącie.

– Weź – tchnęła.

Wysunęłam dłoń, a ona położyła na niej cukierek.

– Zjedz – szepnęła. – Posmakuje ci.

– To trucizna?

Oczy zrobiły się jej wielkie jak spodki.

– Przecież widziałas, że przed chwilą sama zjadłam.

„Udawaj głupią!”.

O mało nie roześmiałam się w głos. Wzięłam cukierek i udałam, że wkładam go do ust.

– I jak? – Była wyraźnie rozdrażniona. Zniecierpliwiona.

Pokiwałam głową, wypychając policzek językiem.

– Dobrze – powiedziałam niewyraźnie.

Uśmiechnęła się z wyraźną ulgą.

– Widzisz? Ja ci źle nie życzę. Jeśli pójdziesz ze mną po cichu, dostaniesz więcej cukierków.

Pokiwała na mnie zagiętym palcem wskazującym.

Przybrałam niebotycznie zdumioną minę.

– Dokąd?

– Naprawić wszystko – odparła bez wahania. – Biedne maleństwo... Przyszłam powiedzieć ci, że doszło do okropnej pomyłki. Nikt nie planował zrobić ci krzywdy, to jedno wielkie nieporozumienie. Nie powinnaś była w ogóle opuszczać domu, to porwanie... okropność. Trzeba to wszystko naprawić. Chodź.

– Ale dokąd?

Cofnęła się ku otwartym drzwiom, a ja za nią. Gdy wyszłyśmy z celi, cicho ją zamknęła, na wszystkie cztery klucze.

– To niespodzianka! – oznajmiła.

– Niespodzianka – powtórzył czarny mężczyzna i zaśmiał się cicho.

Symphe obróciła się ku niemu z furją, twarz miała wykrzywioną nienawiścią.

– Czego ty jeszcze żyjesz?!

– Bo nie umarłem! – oświadczył, nie zniżając głosu. Roześmiał się swobodnie, trochę jakby korytarzem przetoczył się grzmot. – Ale dlaczego ty jeszcze żyjesz...?

– Bo jestem mądrzejsza od ciebie. Wiem, kiedy powiedzieć „dość”. Kiedy przestać stwarzać problemy.

Ciężko położyła mi rękę na ramieniu i ruszyliśmy. Dogonił nas śmiech Prilkopa.

– Masz się za wszystkowiedzącą. Niejedną przyszłość widziałas i wybierałas, która stanie się rzeczywistością. Przez długi czas. Od wielu pokoleń decydowałas, która jest najlepsza. Ale nie dla świata i nie dla ludzi, tylko dla ciebie i tych, co ci służą. Zdobywałas luksusy, bogactwo, władzę!

Inni więźniowie, rozbudzeni, wyglądali przez pręty.

– Nie słuchajcie go, to szaleniec! – zawołała Symphe niegłośno, przez zaciśnięte zęby. – Śpijcie, nic się nie dzieje.

– Ale świat się kręci! Istnieje wyznaczona dla niego droga! Możesz go przekrzywić, lecz i tak wróci we właściwe koleiny! Teraz to nieuniknione. Ja to widzę, ty nie chcesz zobaczyć.

Chyba rzeczywiście zwariował. Chociaż... może nie? Jak długo człowiek musi siedzieć w klatce, żeby postradać zmysły?

Dotarliśmy do drzwi na końcu przejścia.

Uciekać teraz? Nie, jeszcze nie. Lepiej poczekać, aż da się wybrać, w którą stronę. Ale przyśpieszyłam kroku, trzymała mnie tylko za koszulę. Mogłam wyrwać się w każdej chwili.

„Jeszcze nie teraz”.

Schodziłyśmy, najpierw jeden poziom, potem drugi.

– Dokąd idziemy? – sytałam znowu.

– Do przyjaciół. Oni mają cukierki.

Pierwsze dwa piętra rozpoznałam. Na wyższym znajdowały się pokoje ze zwojami i księgami. Na niższym ledwo zerknęłam w głąb korytarza, bo od razu poszłyśmy na parter. Weszłyśmy za jakieś drzwi, a po drugiej stronie wnętrza zatrzymałyśmy się, przed innymi, z zakratowanym okienkiem.

– Czekaj.

Wyjęła miedziane koło z pękiem kluczy. Chwilę potrwało, nim znalazła właściwy. Otworzyła drzwi, gestem nakazała mi wejść.

Ani drgnęłam. Pomieszczenie za drzwiami cuchnęło. Mieszanią odpływu w Krainie Miedzi i brudnym straganem rzeźnika. Nie chciałam tam wchodzić.

Powinłam była uciekać, kiedy mogłam.

„To pułapka!”

– Wchodzimy, wchodzimy – odezwała się pogodnie, popychając mnie.

Gdy weszłyśmy, pociągnęła drzwi, zamknęła je starannie na klucz. Oddaliłam się od niej śpiesznie. Pomieszczenie miało kamienne ściany i posadzkę. Już kilka kroków od drzwi nasilił się smród fekaliów oraz padliny. Objęłam się ramionami, bo panował tu chłód. I wilgoć. Podobnie jak na dachu, tak i tutaj rozmieszczono lampy, lecz te miały przykręcone knoty i oświetlały głównie każda siebie. Usłyszałam jakiś ruch i niegłośnie brzęknięcie łańcucha. Rozejrzałam się uważniej. Drzwi z prętów, za nimi jakiś skulony kształt. Chciała mnie tutaj zamknąć? No to najpierw będzie musiała mnie złapać! Odsunęłam się od niej jeszcze dalej.

– Chodź, Pszczółko! Chodź bliżej. Zapomniałaś o cukierkach?

Tak. Miała mnie za kompletnie głupią.

„I dobrze. Znajdź broń. Zabij. Uciekaj”.

„Mam zabić?” – ledwo mi się ta koncepcja mieściła w głowie. – „Nie mogę”.

„Musisz. Tu czuć krew. Dużo jej. Przyprowadziła cię do rzeźni. Tu się zabija”.

Obejrzałam się przez ramię, uśmiechnęłam głupkowato.

– Gdzie cukierki?

Była szybsza, niż przypuszczałam. Ledwo odwróciłam od niej wzrok, znalazła się przy mnie i mocno chwyciła za ramię.

„Nie szarp się. Za wcześnie. Dopiero, kiedy będziesz mogła zabić”.

Wzrok przyzwyczajął mi się do mroku. Cel było więcej. W jednej ktoś leżał nieruchomo na podłodze. Symphe poprowadziła mnie obok stołu z przyczepionymi do brzegów metalowymi pierścieniami. Czuć było od niego krew i zwiędłym moczem. Zobaczyłam też ławy ustawione na kamiennych stopniach. Och... Znałam to pomieszczenie. Widziałam je w umyśle Vindeliara. Miejsce kaźni Ukochanego. Dopiero teraz dostrzegłam ciemne plamy na blacie i na podłodze.

Zrobiło mi się niedobrze. Udałam, że się potknęłam, a Symphe mocniej ścisnęła moje ramię. Opadłam na kolana, chciałam sprawdzić, czy jest silna. Nie puściła mnie, lecz ja już wiedziałam swoje. Była szybka, jednak silna nie. Słabsza od Dwalii. W razie potrzeby mogłam się jej wyrwać.

Jeszcze nie teraz.

– Pszczoło! Nie szalej mi tu! Zaraz dostaniesz cukierki. Pamiętasz, jakie pyszne?

Podprowadziła mnie do jednej z lamp przypominającej duży czajnik, z knotem wystającym z dzióbka i dwoma uchwyty po bokach. Powinna była wziąć ją w dwie ręce, ale że nie chciała mnie puścić, złapała tylko za jeden uchwyt. Ledwo dała radę: ręka jej drżała, w przechylnym naczyniu, oliwa się zakolebała,

rozochocony płomień skoczył wyżej. Symphe odstawiła lampę na podłogę, rozległ się przy tym chrobot porcelany na kamieniu. Poprawiła knot. Krąg światła rozszerzył się, obejmując nas obie.

– Przyprowadziłaś ją, pani?

Głos Vindeliara.

– Zdobyłaś klucze!

To Dwalia.

Skuliłam się na krawędzi złotego blasku.

– Tak, tak. – Symphe zaśmiała się cicho. – Klucze miałam od lat!

Serce waliło mi w piersi jak młotem. Czy zmarnowałam okazję? Jakie miałam szanse przeciwko tym trojgu? Światło sięgało teraz do wnętrza celi. Zajrzałam tam bojaźliwie. Dwalia leżała na pryczy skulona, z rękoma uwięzionymi między kolanami. Oczy błyszczały jej od gorączki. Vindeliar siedział na podłodze. Został pobity. Oczy miał zasiniawe, dolną wargę rozciętą. Widziałam łańcuch, którym przypięto go do pierścienia w kamieniu. Był krótki. Miał duże, lecz zaledwie dwa ogniwa. Więzień musiał być obolały, nie mógł wstać, jeśli musiał się wyprostować, to tylko kładąc się na zimnym, wilgotnym kamieniu.

Symphe wbiła mi w ramię smukłe palce.

– Podnieś lampę – rozkazała.

Kucnęłam, ale mnie nie puściła.

Lampa była wielka jak cebrzyk na mleko i ciężka. Objęłam ją – tak by ogień znalazł się jak najdalej od mojej twarzy – i podniosłam. Płomień skakał i syczał, co mi się wcale nie podobało.

– Chodź – zarządziła Symphe i pociągnęła mnie ku celi.

Skupiłam się na spokojnym oddychaniu. Bardzo się starałam nieść lampę stabilnie. Była przeznaczona do stania na półce, nie do noszenia. Nie wiedziałam, jak długo ją utrzymam.

Broń, jakaś broń... Żadnej broni. Może po prostu wyrwać się i uciec? Nie, przecież zamknęła drzwi na klucz. Czy było stąd inne wyjście? Nawet jeśli, to pewnie też solidnie zabezpieczone. Potrzebny mi był plan, a żadnego nie przygotowałam. Potrzebowałam rady ojca. On by wiedział, co robić. Tamtej nocy, gdy spaliliśmy ciało młodej kobiety, pomyślał o wszystkim, a zajęło mu to ledwie kilka chwil. Co robić?

„Przestań myśleć co robić, tylko bądź gotowa działać”.

Że co? Trudno o bardziej nieprzydatną radę.

Symphe wybrała inny klucz spośród zawieszonych na miedzianym kole i obróciła go w zamku.

Uciekać teraz? Nie. Uwolni pozostałych, będą mnie łąpać we troje. Nie miałam pojęcia nawet o rozmiarach pomieszczenia, w którym się znajdowaliśmy, a oni pewnie znali je jak własną kieszeń. Pchnęła drzwi celi, wetknęła koło z kluczami pod pasek i sięgnęła pod bluzkę. Wyjęła ciemny podłużny przedmiot, jakiś pojemnik. Uniosła go.

– Mam coś jeszcze! – oznajmiła triumfalnie. – Zdobyłam, ryzykując wiele... Nie mówiąc o utracie godności, którą zapłaciłam, uwodząc strażnika. Doskonale wiecie, jak pilnie Kapra każe strzec swoich komnat. Jutro wartownik pewnie trafi w ręce kata... gdy się wreszcie obudzi. Ale warto było. Czy wiesz, co tu mam? – Z uśmiechem na szkarłatnych ustach zakołysała pojemnikiem. – To węzowy eliksir.

Vindeliar zerwał się na nogi groteskowo wykrzywiony. Był równocześnie żaloszny i przerażający, gdy stał się wcieleniem nałogu. Dwalia natomiast wyglądała na oburzoną.

– Powiedziałaś, że dałaś nam wszystko. Że nie zostało już nic. Gdybym to miała wcześniej...

– Oddałam ci wszystko – burknęła Symphe. – Ale Kapra, chciwa starucha, okazuje się, różne cuda chowa po kątach. – Prychnęła. – Zachciało się jej mieć to dziecko tylko dla siebie! – Ścisnęła moje ramię jak w imadle, wciągnęła mnie do celi i kopniakiem zamknęła za nami drzwi. Zmierzyła wzrokiem Vindeliara. – Lepiej, żeby dziewczucha faktycznie okazała się coś warta! Musisz mi to udowodnić. Dowieść, że warto było ryzykować. Jeśli mnie nie przekonasz, zostawię cię tu przykutego do kamieni i niech Kapra robi z wami, co zechce! – Mówiła całkiem swobodnie, jakbym ja była psem, jakbym nic nie rozumiała. Jakby Vindeliar był kłodą drewna. – Stań tutaj – rozkazała mi. – Trzymaj lampę. – Odwróciła się do mnie plecami, przodem do Dwalii. – Vindeliar wypije całość. Wtedy przekonamy się, czy mówi prawdę, dowiemy się, czy ona jest nieoczekiwanym synem z proroczych snów. – Zaśmiała się lekceważąco, obrzuciła pogardliwym spojrzeniem człowieka przykutego do połogi.

Bo lurik już miał usta szeroko rozwarte, dolna warga mu drżała cała zaśliniona.

– Czas go wykorzystać, Dwalio – odezwała się Symphe. – Czas ująć wodze w ręce albo je oddać. Złożyłam ci obietnicę, zawarłyśmy układ: pomóż mi się wznieść, a i ja ciebie wyniosę. Błada kobieta nie dotrzymała słowa, lecz jestem gotowa ponieść konsekwencje swojego przyrzeczenia, jeżeli tylko Vindeliar jest rzeczywiście tak użyteczny, jak twierdzisz. I jeśli ta dziewczynka jest zdobyczą, którą mi obiecałaś.

Oswobodziła moje ramię i obróciła się do drzwi celi, by je zamknąć na klucz.

Gdy sięgnęła do pasa, do miedzianej obręczy, zamachnęłam się lampą i chlusnęłam Symphe na plecy gorącą oliwą. Zrobiłam to odruchowo, całkiem bez zastanowienia. Nie myśleć, co zrobić, tylko działać. Wokół rozszedł się ciepły zapach lasu sosnowego. Płomyk na knocie podskoczył, rozlał się po zewnętrznej ścianie naczynia, buchnął ogniem. Pchnęłam w Symphe lampą akurat w chwili, gdy z furią się do mnie obracała.

Takie ciężkie naczynie to groźna broń. Ale może okazać się skuteczna lub nie zdziałać nic. Płomień liznął ubranie oblane oliwą, wydał dźwięk podobny do tego, jaki słychać, gdy ktoś gasi świecę, i luźna tkanina pleców koszuli zajęła się ogniem, który natychmiast buchnął w górę, podpalając włosy. Zaskwierczały i skrzyły się, wydzielając przeraźliwy smród. Symphe wrzasnęła wściekle i zamachnęła się, by mnie uderzyć z całej siły, lecz zamiast tego trafiła w lampę, wytrąciła mi ją z dłoni. Naczynie huknęło o podłogę, bryznęła z niego reszta oliwy. Knot wypadł i nagle tłusta kałuża zmieniła się w ścianę ognia. Odskoczyłam do tyłu, natomiast Symphe siłą rozpędu weszła w nią i rozpoczęła dziki taniec, obracając się wokół własnej osi, tłukąc dłońmi włosy i plecy. Vindeliar wył jak potępiony, Dwalia klęła, na czym świat stoi. Oboje byli jednak skuci łańcuchami, tylko Symphe miała swobodę ruchów. Dlatego najpierw trzeba było właśnie z nią się rozprawić.

Kucnęłam, wybrałam największy kawałek naczynia i chlusnęłam na odlew. Rozciąłam jej rękę. Rana była długa, ale płytka. Symphe złapała ten ostry kawałek porcelany, skaleczyła się przy tym w dłoń, jednak nie dlatego puściła. Ubranie na niej stanęło w ogniu, fragmenty niesione iskrami wirowały w powietrzu – o mnie już nie myślała. Odsunęła się od ognistej kałuży, jednak tańczące w powietrzu iskry zapalały jej ślady. Zaczęła przeraźliwie krzyczeć, szaleńczo uderzała obiema dłońmi w ubranie. Pęk kluczy i cylindryczny pojemnik wyleciały w górę i spadły. Klucze zabrzęczały o kamienie, pojemnik roztrzaskał się na drobne kawałki. Vindeliar zawył z rozpaczycy rzucił się na grudkowaty płyn jak wygłodzony pies na kość. Łańcuch wokół szyi szybko go powstrzymał, więc najdalej, jak mógł, wyciągnął do kałuży szlamu ręce. Dwie nic nie dały, więc jedną. Ledwo, ale sięgnął. Dotknął czubkami palców śluzowatej brei, po czym natychmiast wetknął je do ust, nie zwracając uwagi na brud, na pożeraną przez ogień kobietę, na krzyki Dwalii. Przegrałam. Kawałek skorupy z lampy był za mały, żeby posłużyć jako prawdziwa broń. Symphe będzie poparzona, lecz żywa. I wściekła.

Wtedy zauważyłam długą szklaną drzazgę ze stłuczonego cylindra. Błyszcząca czarno i srebrno, była dłuższa od mojej dłoni. Dość długa, by ją wbić głęboko. Rzuciłam żaloszny kawałek porcelany, chwyciłam szkło.

Było ostre. Tak samo ostre były okruchy szkła w kałuży wydzielin węża.

Pokaleczyłam sobie stopy, rozciąłam rękę. Wcale nie bolało. Przyjrzałam się własnej krwi spływającej do wnętrza dłoni. Kręciło mi się w głowie i miałam lekkie mdłości, jednak czułam się pewnie. Czerwona ciecz wydobywała się z rozcięcia ręki. Ciurkała, lecz krople skapywały z niej na podłogę niesłychanie wolno. I wiedziałam dokładnie, gdzie która spadnie. Dziwne. Co to się działo? Narosła we mnie ogłuszająca cisza, wszelkie dźwięki zostały gdzieś w dali. Wypełniła mnie ta jedna chwila. Z nieprawdopodobną ostrością zdawałam sobie sprawę ze wszystkiego, co się wokół mnie działo.

Symphe tańczyła w ogniu. Widziałam czubki poszczególnych płomieni i wiedziałam, gdzie ją będą lizać. Vindeliar sięgnął ku rosnącej kałuży wydalin, po czym oblizał dłoń. Oczy prawie wyszły mu z oczodołów. Dwalia krzyczała:

– Zostaw ten eliksir! Łap klucze! Klucze! Zabij tę gnidę! Symphe ściągnij ubranie! Chodź bliżej, to ci pomogę!

I tak bez końca. Żadne jej nie słuchało. Wciąż trzymałam szklaną drzazgę, ostry brzeg wbijał mi się w dłoń. Nagle poczułam ból. Pieczenie. Miałam coś zrobić... Aha, zabić. Zabić Symphe, potem Vindeliara, potem Dwalię. Ale jak?

Wtedy wpłynęła we mnie magia. Czułam jej wartkie strumienie, przedostające się do ciała przez ranki w bosych stopach i w rozcięciu na dłoni. Paliła ekstazą. Zadygotałam z rozkoszy, dreszcze przeszły mi przez krzyż, na rękach i nogach pokazała się gęsia skórka. Roześmiałam się w głos. Spodobał mi się ten dźwięk. Ryknęłam śmiechem i skupiłam się na Symphe. Widziałam ją idealnie klarownie, widziałam też wszystko, co może się zdarzyć. Mogła upaść, a jej ubrania nadal by płonęły. Mogła rzucić się do ucieczki i wpaść na pręty drzwi albo na prycę z Dwalią. Najbardziej prawdopodobne było jednak coś jeszcze innego, ponieważ właśnie tego sobie życzyłam. Zespoliłam w czasie swój ruch z tym, który ona musiała wykonać. I w chwili gdy, krzycząc z bólu, odrzuciła głowę do tyłu, znalazłam się przy niej i odłamkiem szkła podciąłam jej gardło. Odstąpiłam, zanim tknęły mnie płomienie. To było całkiem łatwe! Przecież wiedziałam, jak porusza się ogień, gdzie mogę bezpiecznie postawić stopę. Nie miałam wątpliwości, jak mocno należy przycisnąć ostrą krawędź szkła do ciała i jak szybko przesunąć ją po krtani. Vindeliar miał rację! Wystarczyło raz wstąpić na prawdziwą ścieżkę, by wszystko stało się oczywiste i proste.

Nie potrzebowałam już tego kawałka szkła. Wiedziałam, że Symphe umrze od poparzeń i upływu krwi. Zobaczyłam drogi wiodące w przyszłość, na których raniłam się tym szkłem w rękę. Widziałam też inne – tych było znacznie mniej – gdy przydawał mi się on do obrony życia. I zaledwie kilka, na których dostawał się w ręce Dwalii. Kilka to i tak za dużo, więc rzuciłam go w odległy kąt celi. Symphe

upadła. Teraz jej krzyki były zdławione przez krew. Legła na ziemi, przyciskając dłonie do szyi, lecz to nic nie dawało. Stopy miała w płonącej kałuży. Kopała nimi gwałtownie. Odwróciłam wzrok. Wiedziałam, co się dalej stało. To był jej koniec.

Wiedziałam też, co powinnam zrobić. Po każdym czynie najwłaściwsza ścieżka poszerzała się i stawała lepiej widoczna. Moja najwłaściwsza ścieżka. Nie miała nic wspólnego z tą, którą przewidywali Słudzy.

Pochyliłam się, włożyłam skaleczoną dłoń w czarodziejską breję. Wciągnęłam powietrze, magia zakotłowała mi się w żyłach. Czułam, że dołączyła do tej, która dotąd we mnie drzemała, do tej, którą odziedziczyłam wraz z krwią rodu Przezornych. Splotły się obie, zatańczyły we mnie czerwienią, czernią i srebrem. Poznałam wszelkie kształty przyszłości, a także przeszłość.

I zrozumiałam, iż mogę innym ludziom nakazać kształtować wydarzenia zgodnie z moim życzeniem.

Magia Vindeliara obmyła mnie zimną falą. Bardzo słabą i lekką.

– Uwolnisz nas – podsunął mi sugestię.

Oczy mu się rozszerzyły, gdy wolno pokręciłam głową.

– Nic podobnego – odparłam spokojnie.

– Zmusz ją! – warknęła Dwalia.

Tym razem sugestia nadeszła w formie polecenia i nie była falą, lecz mocnym ciosem w świadomość. Owszem, zapiekło mnie to, lecz nawet nie oszołomiło. Naszła mnie chęć, by sobie zażartować. Powoli schyliłam się, podniosłam z ziemi pęk kluczy. Przyjrzałam się im, zachowując twarz bez wyrazu. Wyciągnęłam rękę w stronę Dwalii, a gdy się rzuciła naprzód, upuściłam je tuż poza jej zasięgiem. Robiła, co mogła, mało się nie udusiła, szarpiąc się w żelaznej obroży.

– Uwolnisz nas – powtórzył Vindeliar i tym razem był to stanowczy rozkaz.

Ja jednak już potrafiłam obronić się z łatwością i przemknęłam przez jego czary jak statek po falach. Uśmiechnęłam się do niego, przesunęłam bliżej ciała Symphe. Znalazłam sztylet u jej pasa. Ozdobna pochwa była przypalona. Wyciągnęłam ostrze, zatknęłam je sobie za szarfę. Prawdziwa broń. Umiałam się nią posługiwać, ojciec mnie nauczył. Czułam się wyśmienicie. W kieszeni trupa znalazłam te drugie klucze, na srebrnych łańcuchach. One również należały do mnie.

– Vindeliarze! – wychrypięła Dwalia.

Starął się. Czułam, jak zbiera siły i rzuca mi rozkazy. Podobnie czułabym podmuch wiatru. Uśmiechnęłam się do biedaka. Przypomniałam sobie, jak ojciec odepchnął mnie w myślach, gdy poznałam dotyk jego magii. Zrobiłam teraz to samo i powiedziałam:

– Przestań.

Osunął się na podłogę. W szparkach między powiekami błysnęły białka oczu, drgnął dwukrotnie i znieruchomiał.

– Nie żyje? – usłyszałam własne pytanie.

– Straże! Straże! Na pomoc!

Dwalia była wściekła, kipiała z gniewu. A przy tym po raz pierwszy usłyszałam w jej głosie piskliwe nuty przerażenia.

Nie od razu pojęłam, że to mnie się bała. Zdążyłam się przestraszyć. Zaraz przybiegną jej na pomoc i mnie złapią. Pobią albo i zamordują.

Nie.

– Cicho – powiedziałam. – Nie krzycz.

Zamilkła.

Zmieniłam się w słuch. Dogasające płomienie w oliwnej kałuży i na ciele Symphe szeptały coś niegłośno. Nie słyszałam biegnących straży, nikt nie otwierał drzwi, nie działo się nic. Ach, tak. Przecież Symphe na pewno zadbała o to, by nie było wartowników na pobliskich posterunkach. Z uśmiechem doceniłam jej wysiłki: poszła mi na rękę.

W tej chwili skupienia usłyszałam też krzyk własnego ciała. Miałam poranione stopy, piekło mnie rozcięcie na dłoni. Przyjrzałam mu się. Przywodziło na myśl uśmiech. Czerwone usta wycięte na skórze spływające gładką warstwą krwi. Zamknęłam je drugą ręką i przytrzymałam.

Och, mogłam zrobić więcej. Poczułam, jak brzegi ciała stykają się i przypominają sobie poprzednią formę. Wiedziały, gdzie ich miejsce.

– Połączcie się – powiedziałam i skóra posłusznie zrobiła, co trzeba.

Niemal widziałam drobniutkie nitki mojej własnej materii, zespalające rozdartą tkankę niczym sieć pajęcza. Utykając, odeszłam od plamy węzowych nieczystości i od niedawnej kałuży oliwy, gdzie zamierały płomienie. Usiadłam na podłodze i obejrzałam czerwone, śliskie podeszwy stóp. Wyciągnęłam z pięty okruch szkła. Poleciała krew. Zamknęłam wszystkie rozcięcia, jedno po drugim. Gdy wstałam, stopy miałam jak nowe. Owszem, nieco tkliwe, lecz nie kęsał ich ostry ból.

„Na trać czasu. Zabij ją. Uciekaj”.

„Ćśśś...”.

Tak, uciszyłam go. Nie byłam w lesie, ale w lochach twierdzy. Czy Dwalia będzie mi potrzebna do ucieczki? Zastanowiłam się nad tą kwestią przez chwilę.

– Ty nie jesteś nieoczekiwanym synem! – szepnęła lingstra.

– Powtarzałam ci to bez przerwy. A ty mimo wszystko zniszczyłeś mi życie. Porwałeś mnie, zamordowałeś moich przyjaciół i bliskich.

– Jesteś światoburcą. A myśmy cię tu sprowadzili...

Zaskoczyła mnie. Ja światoburcą? Raptem pamięć podsunęła mi podsłuchane w lesie szepty Reppin i Alarii. Miały rację?

– To prawda – przyznałam.

W chwili gdy to powiedziałam, rozwinęła mi się przed oczyma ta ścieżka. Widziałam, co zrobię. Nie czułam, żebym miała jakikolwiek wybór, gdy wyciągnęłam zza szarfy nóż. Wypadki toczyły się tą drogą w tak wielu wersjach przyszłości, że ominięcie ich wydawało się niemożliwe. Wolno zrobiłam krok w stronę lingstry.

– Jestem światoburcą – powiedziałam. – A ty nie tylko mnie tu sprowadziłaś, ty mnie stworzyłaś. Byłam mało prawdopodobna. Prawie niemożliwa. Ale gdy przybyłaś do mojego domu... Och, nie... – Patrząc na nią, zobaczyłam ślad, jaki za sobą zostawiła. Przypominał trop węża na czystej podłodze. – Nie. To się zaczęło przed laty. Zaczęłaś mnie tworzyć, gdy poddałaś torturom Ukochanego.

Gapiała się na mnie oczyma wielkimi jak spodki. Zrobiłam krok do przodu. Nóż trzymałam w gotowości. Uderzyła mnie w rękę, z całej siły. Nóż upadł. Zagrzechotał na podłodze, dokładnie tak, jak oczekiwałam. Nie potrzebowałam noża. Uśmiechnęłam się do lingstry. Weszłam w jej umysł, jak rozgrzane ostrze wchodzi w masło.

– Umrzyj – powiedziałam miękko.

Umarła.

W jednej chwili zajmowała miejsce w rzeczywistości, a w następnej już nie. Wyraźnie czułam, jak świat zamknął się wokół przestrzeni, gdzie jeszcze niedawno istniała. Ta jej część, która była życiem, zmieniła się w zapowiedź pyłu. Wszystkie wersje przyszłości, jakie mogły powstać za sprawą żyjącej Dwalii, nagle skurczyły się i zniknęły z wielkiego gobelinu nadchodzącego czasu. W ich miejscu załśniły inne nici. Wersje przeznaczenia powstałe w chwili jej śmierci. A jej ciało, w momencie, gdy przestała żyć, zaczęło rozpad i przemianę. Przyjrzałam się temu workowi tkanki, zastanowiłam, jak ją zawierał, czym właściwie była Dwalia. Nie tym, co zostało.

Czyli to tak. To była śmierć. Zastanawiałam się nad nią, podnosząc klucze na miedzianym kółku oraz sztylet.

Spojrzałam na Vindeliara. Drgawki wstrząsały jego ciałem, aż mu się policzki trzęsły, a powieki zaciskały się kurczowo. Pomyślałam sobie, że skończę z nim szybko, lecz zmieniłam zdanie. Jeszcze nie ochłonęłam po tym, co zrobiłam Dwalii. A co z Symphe? Jej śmierci nie odczułam w podobny sposób. Czy różnica wzięła się stąd, że z Dwalią coś mnie połączyło, gdy starałam się nią manipulować? Czy może była to kwestia eliksiru wężowego krążącego w moim ciele? Obawiałam się, co mogę poczuć, jeśli zabiję Vindeliara, gdyż połączył nas rodzaj więzi. Zostawiłam

go więc na pewną śmierć.

Ponieważ Symphe nie zamknęła celi na klucz, wyszłam bez zwlekania, lecz zaraz przystanąłam. Po chwili zatrzasnęłam wejście i nieśpiesznie ruszyłam do drzwi z zakratowanym okienkiem. Otworzyłam je za pomocą odpowiedniego klucza, starannie zamknęłam z drugiej strony, po czym cały pęk wrzuciłam przez kratę do wnętrza, które właśnie opuściłam. Niech sobie ktoś łamie głowę.

Moje myśli gnały niczym wichur przed szkwałem. Mogłam uciec. Szukaliby mnie wszędzie, w korytarzach, pokojach i chatkach. I na pewno by mnie znaleźli, bo nie widziałam sposobu, by tego uniknąć. Znaleźliby mnie ze sztyletem Symphe za szarfą i z jej kluczami na srebrnych łańcuchach, zobaczyliby plamy oliwy i węzowego szlamu na ubraniu. Od razu by mnie rozpoznali, zorientowaliby się, kim jestem. Skrytobójcą. Jaki ojciec, taka córka. Światoburcą z ich przepowiedni. Znaleźliby mnie, rozpoznali i zabili.

Nie chciałam umierać.

„Na razie ukryj prawdziwą siebie” – odezwał się wilk-ojciec. – „Bądź tym, kogo w tobie widzą”.

„Prawdziwą siebie...”.

Niechętnie przyjął tę myśl.

„Taką, jaką ciebie stworzyli”. – Wydawał się równocześnie dumny i smutny. – „Piórko przekute w ostrze”.

Przyśpieszyłam kroku, bo nie wiedziałam, ile czasu minęło. Więzienie i cuchnący stół zostały daleko. Ruszyłam tą samą drogą, którą tu przyszliśmy. Na parterze starałam się sobie przypomnieć, którądy prowadziła mnie Kapra. Poszłam na dziedziniec pralni, a tam, ku swemu zadowoleniu, znalazłam rozwieszone do suszenia czyste ubrania, takie same jak to, które miałam na sobie. Wzięłam, co mi było potrzebne, resztę rozsunałam tak, by zamaskować kradzież. Umyłam ręce i nogi, osuszyłam je pobrudzoną odzieżą. Potem zwinęłam ją w ciasny tłumok i zakopałam na jednym z klombów. I w końcu wróciłam na samą górę, tam, gdzie mnie trzymali w zamknięciu. Cicho jak duch otworzyłam drzwi i wsunęłam się do korytarza na dachu. Wszystkie lampy zgasły. Księżyc i gwiazdy do mnie zaglądały. Żadnej straży. Bezsprzecznie Symphe o to zadbała, teraz działało to na moją korzyść. Napełniłam umysł sennością, prześlizgnęłam się obok zajętych cel. Nikt się nie poruszył. Dopasowanie i obrócenie każdego z czterech kluczy okazało się trudniejsze, niż przypuszczałam. Nie wiedziałam, że powinny być wkładane w odpowiedniej kolejności. Szczęście uśmiechnęło się do mnie przy trzeciej próbie. Weszłam do celi, zamknęłam się w niej najciszej, jak umiałam. Od środka trudniej było operować kluczami, więc zanim odkryłam, że należy użyć ich w odwrotnej

kolejności niż przy otwieraniu, spływałam potem.

Pozostało mi ukryć klucze i sztylet w prawie pustym wnętrzu. Nie miałam dużego wyboru – mogłam jedynie wsunąć je w siennik. Rozprułam kawałek szwu i zrobiłam, co musiałam. W końcu położyłam się, zamknęłam oczy. Nie wiedziałam, jak zasnąć. Wężowa magia kłębiła mi się w ciele i umyśle. Nie potrafiłam się wyciszyć.

– Nie ma Symphe – dobiegł spokojny głos z sąsiedniej celi.

Wstrzymałam oddech. Niech sądzi, że śpię.

– Czyli jednak zabiłaś. Ogromnie ci współczuję.

Leżałam bez ruchu, bez słowa. Wężowa mikstura drażyła mi wnętrzności niczym pasożyty. Wciąż mieszała się z magią rodu Przezornych. Przez jedną przerażającą chwilę wyraźnie czułam obecność Prilkopa w sąsiedniej celi. Wiedziałam też, że jest na dachu sześcioro innych więźniów, jedna z kobiet – w odmiennym stanie. Moja magia sięgała coraz dalej i dalej... Zatrzasnęłam umysł w bezpiecznym zamknięciu. Skoro ja sięgałam w dal myślami, ktoś mógł sięgnąć do mnie, prawda? Vindeliar zapewne nie był tu jedyną osobą pojoną wężowym eliksirem. Postanowiłam być małeńka, niedostrzegalna i twarda jak orzech. I nieruchoma jak kamień. Uciszyłam, zatrzymałam wszystko. Ku memu zdumieniu z rzęs stoczyły mi się łzy. Popłynęły po twarzy. Nie opłakiwałam ani Symphe, ani Dwalii.

Płakałam ze strachu przed tym, czym się stałam.

Rozdział 28

Zdradliwy port

Ten sen nie powinien znaleźć się tutaj. Nie jest z tych ważnych, ma znaczenie tylko dla mnie. Zapisuję go, ponieważ chcę go zachować. Na zawsze.

W tym śnie pracuję z mamą w zielniku. Niebo jest błękitne, słońce już wstało, ale jeszcze nie zawędrowało wysoko, więc jest ciepło, a nie gorąco. Wolno przesuujemy się wzdłuż grządek lawendy. Mamusia ma silne ręce. Gdy chwyta jakiś chwast, wyciąga go razem z długim korzeniem. Staram się pomagać, ale tylko urywam listki. Zatrzymuje się, podaje mi rydel. „Chwasty trzeba wrywać porządnie. Wyciągać całe, razem z korzeniami. W przeciwnym razie bardzo szybko wyrosną znowu. W dodatku silniejsze. Będziesz miała podwójną robotę. Albo ktoś będzie musiał wykonać pracę za ciebie”. Pokazała mi, jak wsuwać narzędzie w ziemię i sprawnie wykopywać chwasty, których nie miałam siły wyciągać.

Po przebudzeniu wciąż brzmiały mi w uszach jej słowa. Taka scena mogłaby być wspomnieniem, bo właśnie w taki sposób mama mnie uczyła, tyle że to nigdy nie miała miejsca. Rysuję tutaj dłonie mamusi. Ciemne, mocne. Mama wrywa z ziemi chwast, cały, razem z korzeniami.

Pszczóły Przezornej „Dziennik snów”

Taki mam niemądry zwyczaj, że nie staram się wyspać, należycie, w noc przed ważnym zadaniem. Przykry sen o zającu szamoczącym się w pułapce wyrwał mnie z ciężkiego zamroczenia. Ze statkiem coś się zmieniło. Musieliśmy już stanąć na kotwicy. A ja to przespałem?

Już jakiś czas temu udało mi się opanować niełatwą sztukę umiejętnego schodzenia z hamaka, teraz nawet w ciemności radziłem sobie z tym nie najgorzej. Z jednej strony dobiegało mnie pochrapywanie Strzyka, z drugiej docierał młodzieńczy oddech Niestrudzonego. Głowę wciąż miałem ciężką od snu i nie wiedziałem, ile czasu spałem. Latarnie pod pokładem dawały niewiele światła. Namacałem buty, wciągnąłem je na nogi i, nadal kierując się bardziej dotykiem niż wzrokiem, odszukałem drabinkę prowadzącą na pokład. Ziewnąłem, otrząsnąłem się, by

przepędzić sen. Nadal byłem otępiały i mało przytomny.

Na horyzoncie pokazała się zapowiedź brzasku. Przetarłem oczy. Moje ciało w dalszym ciągu nie miało chęci wracać do rzeczywistości. Przeszedłem na rufę, unikając pary kapitańskiej, zapatrzonej nie na miasto, lecz w morze. Znalazłem sobie spokojne miejsce przy burcie i przyjrzałem się Clerres w coraz jaśniejszym świetle dnia. O świcie miejscowość okazała się jeszcze piękniejsza niż nocą, ozdobiona wypielęgowaną zielenią, ze schludnymi domami w odcieniach delikatnego różu i bladej zieleni pod nieskazitelnie błękitnym niebem. Właśnie zaczynała się budzić. Dotarła do mnie ulotna woń świeżo upieczonego chleba, z przystani w oddali wypłynęło kilka łódek rybackich, na łagodnym zboczu wzgórza dostrzegłem drobną figurkę mężczyzny z osłem zaprzężonym do wózka. W porcie znajdował się tylko jeden duży statek. Galionem był na nim rzeźbiony bukiet kwiatów. Panował wszechobecny spokój. Nadal chciało mi się spać. Zamrugąłem, przetarłem oczy, zdawało mi się, że zdrzemnąłem się na stojąco.

Nasza rzeźba na dziobie trwała w całkowitym bezruchu jak wystrugana ze zwykłego drewna. Moja twarz z czasów młodości zwrócona była w stronę przystani, miasta i otaczających go wzgórz. Idylliczny obrazek. A przecież właśnie tego dnia miałem ubrudzić sobie ręce. Unurzać we krwi. Jeśli wprowadzę swoje zamiary w czyn, wielu ludzi umrze, a zrobię wszystko, co będę musiał, by odzyskać dziecko. Ostrożnie wypuściłem smużkę Mocy.

„Pszczółko? To ja, tatuś. Znajdę cię i zabiorę do domu”.

Nie wyczułem odpowiedzi, ale i tak czekałem z nadzieją, z otwartym umysłem. I doczekałem się, tyle że to nie Pszczoła ku mnie sięgnęła. Wyczułem myśl króla Sumiennego, delikatną niczym pajęczka przędza. A potem drugą, jeszcze słabszą, Pokrzywy. W następnej chwili pojawił się Młotek, ustabilizował ich oboje niczym lina przewodnicza wiodąca cumę. Nadal był bardzo silny, bo chociaż sędziwy, schorowany i niezadowolony, że obudzono go wczesnym rankiem, bez najmniejszego wysiłku pokonał dzielącą nas odległość i połączył nasze umysły.

„Dzień dobry, dziadku!”.

W pierwszej chwili uznałem pozdrowienie króla Sumiennego za całkowicie pozbawione sensu, lecz zaraz pojąłem je w pełni.

„Dziecko przyszło na świat?”.

Pokrzywa używała Mocy jak zwykle równo i solidnie, jednak znać było w niej wyczerpanie.

„Dziewczynka. Królowa Elliania jest zachwycona. Poprosiła, byśmy uczynili jej zaszczyt i pozwolili nadać dziecku imię. Zgodziliśmy się. Nadzieja. Nasza córeczka ma na imię Nadzieja”.

„Nadzieja” – powtórzyłem.

Poczułem, jak rozplenia się we mnie cnota tego miana. Nie musiałem przesyłać córce słów, wszystko, co czułem do niej i do wnuczki, samo przelało się wartkim strumieniem. Dostałem gęziej skórki.

„Nadzieja” – powtórzyłem.

I taka była prawda. Miałem nadzieję.

„To jeszcze nie koniec dobrych wieści” – odezwał się król Sumienny, niecierpliwy jak dziecko. – „Moja królowa trzymała rzecz w tajemnicy, póki nie uznała, że może się nią bezpiecznie podzielić. Ona także będzie miała dziecko. Wbrew wszelkim przeciwnościom znów zostanę ojcem! Już wybrała imię. Nasze dziecko, dziewczynka czy chłopiec, będzie nazywało się Przymierze”.

Łzy zapiekły mnie pod powiekami, po grzbiecie przeszedł dreszcz. Radość króla pokonała dzielący nas dystans i wlała mi się w serce.

„Tu dziecko, tam dziecko...”. – Ton Młotka nie pozostawiał miejsca na wątpliwości: jego zdaniem cała sprawa mogła bez kłopotu poczekać jeszcze jakiś czas. – „A my wstajemy bladym świtem, żeby sobie o nich pogawędzić...”.

Szkoda mi go było. Strasznie łamało go w kościach.

„Obudźcie kucharzy!” – podsunąłem. – „Świętujcie! Niech podadzą torty z różowym lukrem, ciasteczka imbirowe i pikantne paszteciki mięsne!”.

„Tak! Tak!”. – Młotkowi od razu poprawił się nastrój. – I jeszcze te kuleczki ciasta z wisienkami w środku, smażone na głębokim tłuszczu! I ciemne piwo!”.

„Młotku, przyjacielu mój serdeczny. Nie mogę być z wami, więc może ty ułożysz jadłospis na bal z okazji narodzin mojej wnuczki? I zjesz to, co by było dla mnie przeznaczone?”.

„Da się zrobić!”. – I spytał z wahaniem: – „Mogę ją potrzymać?”.

Wstrzymałem oddech. Uszami Pokrzywy usłyszałem odpowiedź Rebusa:

– Ależ oczywiście! Wsuń obie ręce jak po szczeniaka. Bliżej ciała, trzymaj ją przy sobie. W twoich silnych ramionach czuje się bezpieczna.

„Jaka cieplutka! Jak szczeniaczek! I pachnie całkiem jak psiak! Przy mnie ci nic nie grozi, maleńka... Patrzy na mnie! Zobaczcie, ona na mnie patrzy!”.

Głos królowej Ellianii, dla moich zmysłów cichszy i słabszy:

– Będzie ci ufała.

„Chciałbym być z wami” – wyrwało mi się z serca.

„Nic się nie martw, Bastardzie, będę dla niej dziadkiem, póki nie wrócisz”.

Złożył to zapewnienie tak spontanicznie i szczerze, że nie pozostało mi nic innego jak tylko dać mu odczuć swoją wdzięczność. Równocześnie przyszło mi do głowy, że mój stary przyjaciel, człowiek pod wieloma względami dziwaczny, będzie

lepszym dziadkiem niż ja.

„Gdzie jesteście?” – spytał król Sumienny.

„Zakotwiczyliśmy przed wejściem do portu w Clerres. Dzisiaj idę po Pszczołę”.

W kipieli strachu i nadziei zakotłowały się emocje zbyt liczne, żeby każdą nazwać po imieniu.

„Bądź ostrożny” – tchnęła Pokrzywa z bardzo daleka.

„Bądź bezwzględny. Pozabijaj ich wszystkich, a w mieście niech nie zostanie kamień na kamieniu. Przywieź nam Pszczołę!”. – Tak mi rozkazał król. Opuścił wzrok na córeczkę Pokrzywy, potem przeniósł spojrzenie na zaokrąglony brzuch małżonki. – „Zetrzyj ich z powierzchni ziemi”. – W głosie władcy brzmiała wściekłość odziedziczona po ojcu. – „Niech pożałują, że w ogóle usłyszeli nazwisko Przeworny!”.

Na dźwięk ostatniego słowa coś niewyobrażalnie wielkiego poruszyło się i wzniosło z głębin Mocy. Nigdy wcześniej z czymś takim się nie spotkałem. Pokrzywa, król Sumienny oraz Młotek cofnęli się gwałtownie.

„Chrońcie się!” – krzyknąłem ostrzegawczo, lecz ich już nie było.

W chwili gdy Młotek przestał nas pilnować, rozproszyli się niczym poranna mgła, pozostawiając mnie samego we wzbierającym bagnie obcej magii, która wydawała się odrażająca i zła, cuchnąca i zepsuta, fałszywa jak dziecko syczące niczym jadowity wąż. Wzbierała wokół mnie gęsta i lepka, a na dodatek beztroski moment otwarcia umysłu dał jej do mnie dostęp. Włała mi się w myśli, dotknęła mnie. Był to niechlujny zalew skojarzeń. Skuliłem się, znieruchomiałem, małeńki i twardy jak orzeszek. Uczono mnie używać Mocy rozważnie i z namysłem. Kierować myśli podobnie jak miecz, by dosięgnąć przeciwnika. A tu miałem do czynienia z bezkształtnym naporem. Z niewyobrażalnie wielką, lecz pozbawioną konkretnej intencji siłą. Trochę jakby koń od pługą przygniótł mnie do ścianki boksu. Ani drgnąłem. Nie walczyłem z uciskiem.

„Przeworny... To miano...”. – Owo coś szukało mnie po omacku. Oddychać przestałem już dawno. – „Czuję cię. Jesteś blisko. I nie sam. Co to takiego? Nie człowiek”.

Czarodziejska maź tknęła „Niezrówanego”. Statek wzdrygnął się, dreszcz przebiegł po pokładzie.

„Nie ruszaj!”.

Nim odciął dojście czarom, używając tej samej sztuczki, którą wykorzystywał, gdy nie chciał mnie dopuścić do swoich obserwacji, wyczułem jego niepokój.

Dziwaczna obca świadomość przez jakiś czas gmerała wokół niego bezowocnie, po czym wróciła do mnie. Owinęła się wokół mnie, potrzasała mną i rzucała jak

na wysokiej fali. Nie potrafiłem się przed tym czymś obronić, bo już było w moim umyśle. Ta nieznana potęga przerażała mnie, lecz z drugiej strony zdawało mi się, że ten, kto nią kieruje, nie wie, jak z niej korzystać. Rzucił się na wszystkie strony, błądził jak ślepiec, nie umiał mnie pochwycić. A ja trwałem w bezruchu. Rzucił mnie raptownie, gdy coś innego przyciągnęło jego uwagę. Usłyszałem jakiś głos: „Vindeliarze, zbudź się, mam do ciebie kilka pytań”. I zaraz przepełniony grozą szept: „Coś uczynił?! Symphe! Symphe! O nie! Ona nie żyje! Coś zrobił, nędzniku?! I Dwalia także?! Swoją panią też zabiłeś?”.

„Nie, nie! To nie ja! Nikt mi nie wierzy...! Przychodźcie, zadajecie mi ból, każecie mówić, ale nie słuchacie! Przyszedłeś znowu mnie krzywdzić? Kultri! Lubisz mnie dręczyć! Ty to lubisz!”.

Jego strach uderzył mnie jak młotem i sparaliżował, a tuż za nim pojawiła się furia, pełna oburzenia nienawiść i bolesne uczucie porzucenia.

„Dwalia nie żyje!” – wybuchnął Vindeliar. – „I Symphe też nie żyje! Dręczyłeś mnie i maltretowałeś, a ja przecież mówiłem, że Pszczoła jest zła i potrafi czarować i robi coś okropnego... ale ty twierdziłeś, że kłamię, i tylko zadawałeś mi ból! Teraz one nie żyją, a ty znów chcesz mnie torturować! Nic z tego! Teraz ja ci odpłacę pięknym za nadobne!”.

Zrobił, co obiecał. Nie mnie, bo krzyczałbym równie głośno jak ów Kultri. I tyle jednak wystarczyło, bym upadł bezsilny na pokład. Wiedziałem, co tamten czuje. Obcęgi rozgrzane do czerwoności, łańcuchy, które nie pozwoliły mi wstać, drobne zjadliwe ostrza tańczące po moim ciele. Vindeliar coraz lepiej pojmował swoją siłę.

„Nie krzycz!” – uciszył ofiarę.

Nie był szczególnie bystry, skoro jednak dysponował tak silną magią, nie miało to większego znaczenia. Prędkość jego myślenia mogła się kojarzyć z wołem wciągającym wóz na stromą górę. Wyczuwałem też dziecinną uciechę.

„A teraz, Kultri, będziesz mnie kochał. Jestem dla ciebie najwspanialszy na świecie. Bardzo ci przykro, że mnie torturowałeś. Uwolnij mnie od łańcuchów! Sprowadzisz mi uzdrowiciela i przyniesiesz jedzenie. Dobre jedzenie, takie, jakie dostają Biali w chatkach! Wyprowadzisz mnie stąd, w jakieś miłe miejsce, z miękkim łóżkiem. Przekonasz Kaprę i Felodiego, że mówiłem prawdę: Pszczoła umie czarować i to ona jest winna. Ona zabiła Symphe i Dwalię!”.

Owionęła mnie Moc o niespotykanej sile, skierowana w kogoś innego. Nie miałem wątpliwości, że Vindeliar mówi prawdę. Przesądził mnie tą pewnością, aż zacząłem się bać, że mi to wypali magią. Przez jeden straszny moment dzieliłem z nim całkowitą pewnością: Pszczoła jest niebezpieczna. I niepodważalne

przekonanie: musi umrzeć.

„Mają mi uwierzyć! Ostrzegałem was, uprzedzałem, ale nikt nie chciał mnie słuchać. Powiedz im, że Przewrotny jest blisko! Chce nas wybić do nogi i zniszczyć całe miasto. A w przystani są smoki! Czuję je! Prawie je widziałem! Powiedz im to wszystko! Ale najpierw przynieś mi jeść.

Oddzielanie się od jego świadomości przypominało wpełzanie z grzęzawiska. Wciągał mnie jak bagno. Walczyłem z siłą równą tej, jaką dysponował Młotek w swoich najlepszych czasach. Zamknął mój umysł w ohydny uścisku i nagle zorientowałem się, że patrzy moimi oczyma, używa mojego nosa, czuje smak w moich ustach. Nie mogłem wznieść murów obronnych, a im bardziej wycofywałem się w głąb siebie, tym swobodniej się panoszył. Był o krok od przejęcia kontroli nad moim ciałem i wolą.

Zaatakowałem. Nie spodziewał się napaści. Nie potrafił się bronić? Nie miał żadnej ochrony. Łączył nas szeroki most, a ja z niego skorzystałem. Zawładnąłem jego wzrokiem, po chwili resztą zmysłów. Za pomocą jego oczu przyjrzałem się człowiekowi o twarzy ubielonej farbami i pudrem, odzianemu w zieleń koloru szlamu. Leżałem na kamiennej posadzce, kąsał mnie chłód metalowej obręczy na szyi. Ręce miałem zakrwawione, poznaczone świeżymi, drobnymi nacięciami. Byłem zmarznięty, obolały, posiniaczony i miałem podpuchnięte oczy. Zwykle urazy, nic szczególnego, lecz wszystkie zostały mi zadane przez brata. Wszystko z winy mojego brata, więc teraz go nienawidziłem.

Wycofałem się z obrzydzeniem, odsunąłem jak najdalej. Przywierał do mnie, jak mógł, nie chciał pozwolić uciec. Dałem mu odczuć swoją pogardę dla jego słabości. Żadna z jego ran nie zrobiłaby szczególnego wrażenia na niewolniku. Błazen cierpiał znacznie gorzej. Vindeliara osłabiało poczucie skrzywdzenia. Był mięczakiem, użalał się nad sobą, przypominał mi wrzód wypełniony ropą.

„Torturowali mnie!” – usłyszałem jego słowa.

Poczuł się obrażony, bo jego rany nie zrobiły na mnie wrażenia. Łatwo było go rozproszyć.

– Vindeliarze? – usłyszałem kogoś. – Powiedz coś. Co tu zaszło?

Nadgarstki miał obtarte do żywego mięsa, od kajdanów. Doskwierały mu. Na tym się skupiłem. Dłonie pokryte drobnymi rozcięciami. Zwielokrotniłem ich pieczenie w jego odczuciach. Znalazłem jeszcze obluzowany, bolący ząb i ten ból podkreśliłem przede wszystkim. Zaczął pojękiwać bezradnie. Czułem, że macha rękoma, a gdy skupił się na tym, co mu doskwierało, sam powiększał przykre odczucia. Kazałem mu gwałtownie zatrzasnąć zęby na języku, popłynęła krew. Wrzasnął, w równym stopniu z bólu, jak przestraszony swoją władzą. A mnie było

mało. Chciałem go zabić. Pozwoliłem mu poznać tę myśl, a on, w odruchu paniki, wypchnął mnie z siebie. Wskoczyłem do własnego ciała, błyskawicznie zamknąłem umysł w obrębie szczelnych murów. Pełna ochrona. Ciało skulone. Dyszałem, jakbym właśnie skończył potyczkę na topory z Brussem.

– Książę? Bastardzie!

Otworzyłem oczy. Tuż obok kucał kapitan. Najpierw zobaczyłem na jego twarzy strach, potem ulgę.

– Co się stało? – spytał ciszej? – Czy to „Niezrównany”?

Nie zmieniłem pozycji. Chociaż wstający dzień był ciepły, mnie zrosił zimny pot, przyklejając odzienie do ciała. Kapitan wyciągnął do mnie rękę. Uchwyciłem się jego przedramienia i jakoś wstałem.

– To nie statek – wydyszałem z trudem. – Coś znacznie gorszego. I silniejszego.

– Chodźmy do kajuty. Przyda ci się coś mocniejszego. I mam dla was wieści.

Pokręciłem głową.

– Muszę zebrać przyjaciół. Zejdziemy na ląd jak najszybciej. Jeśli nie odnajdę prędko córki, Słudzy ją zabiją!

Położył mi dłoń na ramieniu.

– Musisz, książę, wziąć się w garść. Miałeś straszny sen. A przed nami nowy dzień i trzeba mu stawić czoło.

Chciałem zaprzeczyć, uwolnić się od niepotrzebnego współczucia, lecz nie zdążyłem, bo następane słowa kapitana zmroziły mi krew w żyłach.

– Mam dla was złe wieści. Amber zginęła.

– Jak to? Wypadła za burtę?

Ściągnął brwi.

– Nie, nie wypadła. W nocy, gdy spaliście, stanęliśmy na kotwicy. Wtedy Althea i ja też postanowiliśmy złapać trochę snu. Niektórzy koniecznie chcieli rozejrzeć się po mieście, o którym tyle słyszeli, więc wsiedli do szalupy i popłynęli na brzeg. Kennitasyn i Basałyk... – Zduślił gniew. – Wiedziałeś, książę, o tych planach? – Zabrzmiało to prawie jak oskarżenie.

– Nie! Podejrzewasz, kapitanie, że Amber się z nimi zabrała?

– Ja to wiem! A powinna być od nich mądrzejsza... Naprawdę... nie rozumiem. Twierdzą, że właśnie ona podsunęła im pomysł. Popłynęła w stroju zwykłego marynarza, przyrzekła, że pokaże im osławioną tawernę, gdzie jedzenie to niebo w gębie, a obsługa potrafi zaspokoić każde pragnienie gościa. Podobno lepszej nie ma na całym świecie. – Pokręcił głową z dezaprobatą. – Znasz ją, panie, od tej strony? Co za pomysł, żeby namawiać załogę do nieposłuszeństwa tuż przed akcją ratunkową, która podobno jest dla niej szalenie istotna?

Usłyszałem gdzieś głos kapitan Althei, po chwili minęła mnie w pośpiechu Mrówka, a zaraz za nią przemknął Niestrudzony. Usunąłem im się z drogi.

– Co to znaczy, że zginęła? – spytałem zdezorientowanego Trella.

– Wycieczkowicze mieli zamiar wrócić przed świtem. A kiedy już zebrali się do powrotu, jej nie było. Szukali, nie znaleźli. Pojawili się całkiem niedawno, bez niej. Szukałem cię, książę, właśnie po to, by ci o tym powiedzieć.

Zorientowałem się, że statek jest w ruchu. Znowu poniewczasie. Do jakiego stopnia otumanilo mnie zetknięcie z Vindeliarem? Jak długo leżałem na pokładzie, nie wiedząc, co dzieje się dookoła? Mocno potarłem oczy, przeciągnąłem rękoma po twarzy, potrząsnąłem głową. Nic nie pomogło, nadal byłem dziwnie zamroczony. Aż nagle zrozumiałem, co się ze mną dzieje.

– „Herbatka” – mruknąłem. – Napoiła mnie wywarem.

– Co takiego?

– Nieważne. Jak szybko dostanę się na ląd?

– Tylko rzucimy kotwicę. Podciągniemy dla ciebie łódź pod burzę. – Cmoknął z niesmakiem. – W życiu nie byłem tak wściekły na syna. Podobno pilnował, żeby wszyscy wrócili! A ona? Czuję się oszukany, ale równocześnie boję się o nią. Ślepa i sama. Dlaczego odłączyła się od innych?

Ja bałem się znacznie bardziej – że zostanie rozpoznana i ujęta.

– Nie wiem. Muszę jak najszybciej zejść na ląd.

– Służę pomocą. – W jego głosie wyraźnie brzmiało gorące pragnienie, by się mnie wreszcie pozbyć, razem ze wszystkimi kłopotami, które wciąż na niego ścigałem.

Trudno było go winić. Odszedł, stawiając długie kroki, a ja zostałem sam. Próbując zebrać myśli, oparłem się o burzę, kilka razy odetchnąłem głęboko. Za dużo tego wszystkiego. Błazen mnie uspił. W obliczu tego faktu zbladła i radość z wieści od Pokrzywy, i strach po przejściach z Vindeliarem.

„Zaplanowała to. Tak chciała”. – „Niezrównany” nie odezwał się. Jego słowa zaistniały mi w głowie szeptem.

„Po co?”

„Nie wiem. Ale teraz rozumiem jej opowieści z zeszłego wieczoru... Ostrożnie!” – rzucił nagle i zniknął z mojego umysłu.

Kompletnie nic nie wyczułem od świadomości, która tknęła nas obu, lecz natychmiast wzmocniłem ochronę. Vindeliar. Już znałem aurę jego dotyku oraz imię. Ten umrze.

Niestrudzonego widziałem kilka chwil wcześniej. Strzyk właśnie pomagał przy manewrze wpływania do portu. Brakowało Skierki. Gdy zastukałem do drzwi kajuty

pani Amber, odpowiedziała mi cisza. Wszedłem w mroczny bezruch. Dziewczyna leżała na koi. Potrząsnąłem nią, uniosła głowę.

– Okropnie źle się czuję – wymamrotała.

– Szanowna pani Amber podała nam środek nasenny. Pewnie wzięła go z moich zapasów.

Mówiąc, wkładałem naszykowany strój. Skierka spuściła nogi za koję i znieruchomiała z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Dlaczego?

– Sądzi, że ma większe szanse uratować Pszczołę, niż ja. Co wzięła ze sobą?

Dziewczyna rozejrzała się wokół niezbyt przytomnym wzrokiem.

– Na pewno nie strój babci. Tak, spodnie przyszykowane dla Niestrudzonego. Będą na nią za krótkie. Kapelusz. – Wskazała ręką słoiczek z jakąś pomadą. – Zamaskowała bladość skóry. – Odetchnęła głębiej, usiadła prosto. – Trudno mieć pewność... Chyba kilka spośród twoich trucizn, panie. I jedną moją. Motyla peleryna zniknęła?

Zniknęła.

Skierka zaczęła uważniej przeglądać paczuszki poukładane obok jej przebrania.

– Zabrała coś z tego? – spytałem.

– Nie widzę, żeby czegoś brakowało. – Wyciągnęła do mnie dłoń z paczuszką pergaminu i woreczkiem. – Cindin albo nasiona kopytnika. Twój wybór, panie.

Wziąłem kopytnik. Lepiej go znałem.

– Skąd to masz?

– Kopytnik jest od pana Ciernia, cindin od księcia Kennitasyna.

Poszperałem w pamięci.

– Zwiększa wytrzymałość. Może powodować pobudzenie. I zapobiec narodzinom dziecka.

Odpowiedziała mi otwartym spojrzeniem.

– Chciał się ze mną podzielić, część schowałam w dłoni.

– Miły człowiek. – Sam się zdziwiłem, że mnie rozczarował.

– To prawda. Uprzedził mnie, jakie cindin ma działanie. Oboje mieliśmy powyżej uszu psiej wachty. Nie chodziło o flirt, tylko o siłę.

– Aha.

Otworzyłem paczuszkę z nasionami kopytnika, oszacowałem, ile będzie mi potrzebne, wysypałem odpowiednią ilość na dłoń i wrzuciłem do ust. Rozgryzłem je starannie, poczułem na języku pikantny smak. Prawie natychmiast rozjaśniło mi się w głowie. Skierka wsunęła pałeczkę cindinu między dziąsło a policzek.

– Niebezpieczny nawyk – przestrzegłem.

– Nawyk tak, niebezpieczny. – Uśmiechnęła się do mnie krzywo. – Jeśli dzisiaj umrzemy, na pewno nie zdążę się uzależnić. Zatrzymujesz, panie, nasiona kopytnika?

– Jeśli mogę.

Kiwnęła głową i wróciła do przeglądania rzeczy, które zostały w kajucie. Ja zająłem się wkładaniem wybuchowych gliniaków do kieszonek w pasie. Po kilku chwilach Skierka przyjrzała mi się uważnie.

– Pamiętaj, panie, który lont jest który. Niebieski: wolny. Pan Cierń poświęcił tym gliniakom sporo pracy, ulepszył je od czasu, gdy zdarzyło wam się jednego użyć. Teraz są znacznie bardziej niezawodne, no i silniejsze. Wielmożny pan Cierń jest... – Uniosła dłoń do ust. – Był z nich bardzo dumy.

Oczy jej się zaszklily.

– Zrobię z nich odpowiedni użytek – obiecałem.

Wróciła do sprawdzania naszego stanu posiadania.

– Nie ma bransolety ze świecącymi klejnotami!

– To akurat wcale mnie nie dziwi. A ognista cegła?

– Została. A tu masz, panie, do niej wygodną pochewkę. Uszyłam wczoraj. Pasuje wyśmienicie, cegła będzie leżała, jak trzeba.

– Dziękuję.

Jakoś nagle dobrze było i słusznie rozmieścić mordercze narzędzia razem z koleżanką po fachu. Włożyłem ognistą cegłę do sakwy. Pasowała doskonale, świetnie się trzymała. Jeden z wybuchowych gliniaków owinąłem w chustkę i starannie umieściłem na cegle. Dołożyłem zatruty tłuszcz i jeden z noży.

Skierka obserwowała mnie uważnie.

– „Nie wkładaj wszystkich jaj do jednego koszyka” – zacytowała.

Ano. Jedna z mądrości Ciernia.

Popatrzyłem, jak umieszcza w szwie rękawa komplet wytrychów.

– Zostałem dziadkiem – powiedziałem. – Dziś rano Pokrzywa przekazała mi tę wiadomość Mocą.

– Dziewczynka czy chłopiec? – spytała, nie podnosząc wzroku.

– Dziewczynka.

– Wielmożny pan Cierń byłby pradziadkiem? Nie, prapradziadkiem.

– Jakoś tak.

Nasiona kopytnika działały coraz mocniej, poranek zyskiwał na ostrości. Błaznowi powiedziałbym wszystko, bez zahamowań. Zanim przekazałem wieści Skierce, rozważyłem je i krytycznie oceniłem. Ile zrozumie? W co uwierzy?

– W trakcie wymiany myśli z Pokrzywą wyczułem coś jeszcze. Kogoś innego.

Vindeliara.

Skierka zmartwiała.

– To ten, co w Białym Gaju odebrał ludziom pamięć. Przekazał ci coś Mocą, panie?

– Nie. Tak. To połączenie przypominało Moc i było potężne, ale równocześnie... ordynarne. Miało tyle wspólnego z królewską magią, co wół z rumakiem.

Patrzyła na mnie oczyma jak spodki. A mnie w końcu ukształtowała się w głowie ta najważniejsza i najgorsza myśl.

– Chyba mnie wyczuł. I „Niezrównanego”. Moim zdaniem wie, że się zbliżamy. Zgodnie z przewidywaniami zbladła, a właściwie zszarzała.

– Podaj mi, proszę, cylindry ze srebrem – rzekłem spokojnie.

Nie przypuszczałem, żebym wykorzystał smocze srebro. To byłoby posunięcie dramatyczne.

Dziewczyna przesunęła leżące na podłodze ubrania.

– Innymi słowy, wszystkie nasze plany na nic? Cała moja praca?

– Bardzo prawdopodobne.

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Panie Bastardzie... Jest tylko jeden. Pani Amber zabrała cylinder ze smoczym srebrem.

Rozdział 29

Oskarżenia

Żadne słowa nie oddadzą ogromu mojego zmartwienia, gdy odkryłem, iż Ukochanego zabrano z sąsiedniej celi. Czy umarł, czy został zamordowany? Czy uciekł, czy zwrócono mu wolność? Nie pozwolono mi na zadanie tych pytań, tym bardziej nie otrzymałem na nie odpowiedzi. W mojej celi zjawili się luricy wyuczeni na uzdrowicieli, by opatrzyć rany zadane w czasie tortur, lecz o Ukochanym nie powiedzieli nic. Karmiono mnie dobrze i do syta, a gdy wyzdrowiałem, kazano mi zachować milczenie i pozwolono żyć między lurikami. Nikt nie wspominał o Ukochanym, a ja nie śmiałem pytać. Zniknął jak nieistotny sen, niczym kręgi na spokojnej wodzie, do której ktoś wrzucił kamień, co to rozchodzą się, wygładzają i w końcu przestają istnieć.

Jakiś czas znosili mnie w jednej z chatek, gdzie miałem styczność z najmłodszymi Białymi. Były pomiędzy nimi istoty godne pożalowania, słabe na ciele i umyśle, o skórze białej niczym śnieg, pełne snów, które ledwo umiały przekazać. Robiłem dla nich, co mogłem. Inni mieli dość bystre umyły, by pojąć, co im mówiłem o świecie poza szkołą.

Z upływem czasu okazało się, że dzieci lubią moje towarzystwo i chcą się ode mnie uczyć. Z przykrością obserwowałem bardzo młode dziewczęta w odmiennym stanie. Rozmawiałem z nimi, starałem się wytłumaczyć, że nie tak odnoszą się do siebie kobiety i mężczyźni. Opowiadałem im o zobowiązaniach wobec świata. Lingstrzy i Kolekcjonerzy słyszeli o moich radach. Niektórzy decydowali się o tym ze mną porozmawiać.

A potem Rada Czworoga przysłała straż. Nie byli to ludzie niemili. Nie byli też mili. Zamknęli mnie w odosobnieniu. Jak byka, z którego chwilowo nie ma żadnej korzyści, lecz zbyt cennego, żeby go ubić. Zabrali z chatki spisane sny. Chcieli je ze mną przedyskutować, dodać do swoich archiwów informacji. Odmówiłem dzielenia się swoimi przeczuciami. Na pewno jednak zauważyli, że światoburca pojawiał się w zapiskach bardzo często.

Umieszczono mnie w celi na dachu, zapewniono wygodne łóżko, odpowiednie wyżywienie, zaopatrzone w pióro i papier, abym mógł spisywać prorocze sny. I zostawiono samego. Ci, co dbali o moje podstawowe potrzeby, dostali polecenie, by się do mnie nie odzywać.

Obudziłam się w celi, na sienniku. Śniłam, że Vindeliar stał nade mną roześmiany. „Dzisiaj umrzesz”, stwierdził.

Drgnąłam, ostrożnie zbadalam rzeczywistość. Umysł chroniony należycie. Dobrze.

Powinnam była skończyć z Vindeliarem definitywnie. Wydawało się nieprawdopodobne, by przeżył cios, jaki mu zadałam, pchnęłam go naprawdę mocno, jednak widać był silniejszy, niż sądziłam. Zadrżałam na myśl, iż mogą tu być inni jemu podobni. Powinnam była się upewnić, że nie żyje.

Następnym razem tego dopilnuję, obiecałam sobie ponuro.

Miałam pewność, że jeśli nadal żyje, to się spotkamy.

I – jeśli nadal żyje – powie innym, kto zabił Symphe oraz Dwalię. Na tę myśl serce podeszło mi do gardła. Czy zostawiłam jakieś ślady, które by do mnie prowadziły? Podciągnęłam długie rękawy, obejrzałam pokaleczoną dłoń. W miejscu rozcięcia została tylko biała kreska. Nie wyglądała na bliznę z minionej nocy. Nagniotłam palcem skaleczenia na stopach. Zabolało. Posłałam tam więcej przywracania zdrowia i ból ustał. Włożyłam sandały i tak długo próbowałam różnych sposobów wiązania troczków, aż przestały mi one przeszkadzać. Jakiś czas chodziłam po celi, ucząc się nie utykać i nie krzywić przy stawianiu nóg. Nie było to łatwe. Stopy pamiętają cierpienie. A ja na dodatek chodziłam po węzowych wydzielinach. Może wdało się jakieś zakażenie? Kto wie? Usiadłam na pryczy i czekałam.

Pojawiła się strażniczka z ustawionymi na tacy miskami, potem przyniosła wodę w dzbankach. Posiłek nie był ani dobry, ani zły. Warzywa gotowane, ryba wędzona. Jedzenie zdrowe i sycące. Kobieta zachowywała się całkiem spokojnie, jak zawsze mówiła mało, a więźniowie, jak zazwyczaj, byli przygaszeni. Gdyby nie moje skaleczenia, lekki zapach oliwy na rękach oraz ledwo wyczuwalna woń dymu we włosach, zdarzenia ostatniej nocy mogłyby być snem. Nie odezwałam się, byłam spięta. Ile czasu minie, nim ktoś zauważy nieobecność Symphe? Kiedy ktoś zanieśie do celi Dwalii jedzenie oraz wodę i odkryje trupy?

Klucze i nóż wypychały siennik. Pilnowałam się, żeby na nich nie usiąść. Nie bardzo sobie wyobrażałam, jak właściwie mam się zachowywać. Jak bym się zachowywała po nocy przespanej w celi? Co bym czuła, o czym myślała? Na taką musiałam wyglądać. Oby Prilkop mnie nie wydał... Przypuszczałam, że mogę mu zaufać, choć nie potrafiłam sprecyzować, skąd to przekonanie. Może stąd, że wydawał mi się smutny.

Tej nocy zabiłam.

Spięłam się cała, po chwili mięśnie zwiotczały. Obawiałam się, czy nie zemdleję. Nie. Za nic w świecie. I nie wolno mi nawet myśleć o tym, co się stało. Zrobiłam, co musiałam. A teraz, gdy czekałam, aż ktoś odkryje morderstwo, musiałam zachowywać się jak dziecko, które wie, że ma przed sobą długi dzień w towarzystwie skryby. I nadzieję na własną chatkę oraz smaczne jedzenie. Przećwiczyłam kilka pełnych nadziei uśmiechów, lecz chyba wyszły mi z tego żałosne grymasy.

Nie czekałam długo. Gdy usłyszałam otwieranie drzwi, położyłam się, udając, że śpię. Kroki. Więcej niż dwie osoby. Nie poruszyłam się, nawet nie otworzyłam oczu, póki nie padły pierwsze słowa.

– Pszczoło, wstań – poleciła mi Kapra.

Poruszyłam się wolno, przetałam oczy, przyjrzałam się przez palce tym, co przyszli. Przy drzwiach celi stała ta najstarsza, ubrana w długą granatową suknię, wcielenie władzy królewskiej. Oddychała głęboko przez nos, jakby nią targały emocje. Za nią stało czterech strażników, dalej Felodi oraz Kultri. Tego ostatniego nie od razu poznałam, bo właściwie nie miał pobielonej twarzy. Puder został tylko na linii włosów i w zmarszczkach. Mężczyzna płakał. Oba rękawy bogatego zielonego stroju były umazane białą farbą i mokre od łez.

Zdezorientowana przyjrzałam się wszystkim im po kolei.

– Idziemy? – spytałam z nadzieją. – Będę dalej opowiadać, co się wydarzyło?

Wstałam, uśmiechem maskując zaciśnięte zęby, bo stopy jednak zaboląły. Zbliżyłam się do prętów.

– Tak, idziemy – oznajmiła Kapra. Uniosła kąciki ust w fałszywym grymasie. – Ale dziś nie będziesz dyktowała skrybie.

Położyła dłoń na prętach, potrząsnęła nimi.

Ani drgnęłam.

Obróciła głowę do dwóch mężczyzn.

– Czy teraz się ze mną zgodzicie? Popatrzcie na nią! To dziecko. Niewykształcone. Chuchro. I zamknięte na cztery spusty! – Podała klucz strażnikowi. – Oto mój. – Podała mu drugi. – A to własność Symphe. Był w jej kieszeni.

Wisiał na zdobionym łańcuchu.

Strażnik oba włożył w odpowiednie otwory i obrócił. Kultri przepchnął się obok Kapry i chwycił za pręty. Potrząsnął nimi gwałtownie, a ja w tamtej chwili ucieszyłam się, że nie są jeszcze otwarte. Twarz miał czerwoną od gniewu.

– Nikczemnica! Vindeliar mi o wszystkim opowiedział! Najpierw zabiła Symphe, potem Dwalię! A jego ogłuszyła magią! – Wycelował we mnie drżącym palcem. – Mnie nie zwiedziesz! Sam słuchałem Vindeliara! Osobiście! Wiem, że nie kłamie!

Kiedy oni z nim porozmawiają, też się o tym przekonają! A wtedy umrzesz straszną śmiercią!

– Milcz, kretynie! – warknęła Kapra. – Dajcie klucze! Otwieramy celę. I zabieramy ją w miejsce, gdzie załatwimy sprawę bez rozgłosu.

Kultri miał klucz zawieszony na szyi. Wkładając go w zamek i obracając, mierzył mnie wzrokiem przepełnionym czystą nienawiścią. Nie pojmowałam, skąd u niego taka niezłomna pewność. I nagle zrozumiałam: eliksir. Za jego sprawą Vindeliar wzmocnił swoją magię. Przecież oblizywał palce, nawet całe dłonie, wchłonał, ile tylko zdołał. A skoro ja go zaledwie ogłuszyłam, to po odzyskaniu przytomności zebrał resztę, na ile się dało. Ile? Jak wielką siłę zyskał? Na pewno wystarczającą, by sobie podporządkować Kultriego. A Kapra? A Felodi? Myślałam gorączkowo. Czy oni nadal myśleli trzeźwo? Vindeliar powiedział kiedyś, że nad osobami z białych rodów trudno mu zapanować. Czyli Dwalia miała rację, twierdząc, że Kultri do nich nie należał?

– Spójrzcie na nią! – krzyknął, a z ust pryskały mu kropelki śliny. – To ona jest wszystkiemu winna! Zasługuje na śmierć! Musi umrzeć jak zdrajca! Sprzeniewierzyła się krwi Białych płynącej w jej żyłach! Zabiła Symphe! Zamordowała naszą biedną, kochaną Symphe!

– Biedną, kochaną Symphe? – powtórzył Felodi cicho.

– Odsuń się i ucisz! Nie wszyscy muszą cię słyszeć! – Kapra wskazała dyskretnym gestem celę Prilkopa.

Kultri zamilkł.

Felodi podał swój klucz. Gdy włożono go w otwór i obrócono, drzwi zostały otwarte. Ledwo żyłam ze strachu.

– Pani... Błagam – odezwałam się do Kapry drżącym głosem. – Ja nic nie rozumiem!

– Ani słowa! Chyba że chcesz stracić język. – Wyrwała ze sztaby swój klucz, następnie ten należący do Symphe. Obróciła się gniewnie ku strażnikom. – Brać ją. – Potem do swoich towarzyszy. – Idziemy. Szkoda mojego czasu.

Ruszyłam naprzód, zanim strażnicy zdążyli mnie chwycić, wyciągnęłam ręce przed siebie.

– Idź przodem – odezwał się któryś.

Gdy mijaliśmy celę Prilkopa, zajrzałam do środka. Siedział na podłodze, przy niskim stoliku, pisał coś. Nie podniósł na mnie wzroku.

Dalej szłam za trojgiem z Rady Czworoga. Korytarzem, za drzwiami, przez otwartą przestrzeń dachu, po tych stromych schodach w dół i do jakiejś niewielkiej salki. Strażnicy zostali z nami. W chwili gdy zamknięto drzwi, Kultri rzucił się na mnie.

Krzyknęłam, uskokczyłam, schowałam się za jednym z rosnących mężczyzn.

– Powstrzymać go! – rozkazała Kapra.

Dwóch gwardzistów chwyciło go pod ramiona i pociągnęło do tyłu. Wrzeszczał, kopał, wył jak rozwścieczone dziecko!

– Uspokój się wreszcie! – krzyknęła Kapra. – Robisz z siebie pośmiewisko. Nie wiem: jeśli powiem ci, że to Vindeliar kieruje twoimi myślami, zrozumiesz, co mówię? – Odczekała moment. – Nie. Wobec tego trzymajcie go. Tam, pod ścianą.

Gdy strażnicy odciągnęli Kultriego we wskazane miejsce, opadła na fotel i wskazała podłogę.

– Usiądź, Pszczoło.

Usiadłam na miękkim dywanie i pośpiesznie rozejrzałam się dookoła. Na ścianach ujęte w ramy obrazy kwiatów, stół z ciemnego drewna, krzesła, karafka z jakimś złotym płynem, szklanki. Felodi odsunął sobie krzesło i usiadł z westchnieniem cierpiętніка.

Kapra zwróciła się do Kultriego.

– Spełniłmy twoje życzenie. Zobaczyłeś na własne oczy, że tkwiła zamknięta w celi. Widziałeś, że każde z nas nadal ma swój klucz. Nie jest pobrudzona krwią, nie czuć jej oliwą. Nie mówiąc już o tym, że to cherlawe dziecko po prostu nie dałoby rady nikogo zabić.

– Zatem musiał to zrobić Vindeliar – oznajmił Felodi w zamyśleniu. – Dostał solidną porcję eliksiru węzowego, może zapanował nad Dwalią w stopniu wystarczającym, by zmusić ją do samobójstwa.

– Czy nakłaniałby Symphe do rozbicia pojemnika z eliksirem poza jego zasięgiem? Ponadto wątpię, by nad nią także zdołał zapanować i kazał jej się podpalić. Nie. Nie zrobiło tego to dziecko, ale też nie Vindeliar.

– Posłuchajcie mnie! – zaskrzeczał Kultri.

Odwrócili się do niego. Kapra miała na twarzy wyraz pogardy, Felodi był zakłopotany. Kultri powiódł wzrokiem od jednego do drugiego, po czym wydyszał:

– Mówię wam, co wiem. Symphe przyprowadziła ją do celi Vindeliana. – Wyswobodził jedno ramię i wskazał na mnie palcem. – Vindeliar mi to powiedział! A ona rzuciła w Symphe lampą i ją podpaliła. Ona stłukła pojemnik z eliksirem! Kazała Dwalii umrzeć, a Dwalia usłuchała. Dwalia nie żyje! Moja najserdeczniejsza przyjaciółka nie żyje! – zagrzmiał, a potem się rozszołał.

– Najbliższa przyjaciółka? – powtórzył Felodi ze powątpiewaniem w głosie.

– On jej nienawidził – stwierdziła Kapra. – Nie usłyszymy od niego nic godnego uwagi. Wszystko przez węzowy eliksir. Vindeliar nigdy nie był tak silny jak teraz. Cóż, nie ma tego złego... Dwalia zostawiła nam użyteczne narzędzie. Tyle że

musimy nauczyć się je kontrolować. Cóż, w tej chwili mamy pilniejsze sprawy do rozpatrzenia.

Czyżby żałowała, że zdradziła się ze swoją myślą przed pozostałymi?

Zmrużyła oczy. Jakiś czas przyglądała się Kultriemu.

– Straż – odezwała się łagodniej. – Kultri musi odpocząć, ochłoniąc z emocji. Zaprowadźcie go do jego komnat na wieży. Przynieście mu kollotiański sut, ten, który dostarczono mi wczoraj. Biedaczysko, poniósł ogromną stratę. Niech warta zostanie przed drzwiami, żeby nigdzie nie wychodził. Mógłby sobie zrobić krzywdę.

Kultriemu oczy zogromniały na wzmiankę o sucie. Gustował w nim, bez wątpienia. Kapra obdarzyła go łaskawym uśmiechem, niemożliwie fałszywym, lecz on był zdecydowany przyjąć go za dobrą monetę.

– Posłuchamy twojej rady – oznajmiła – i porozmawiamy z Vindeliarem. Tym się już nie kłopotcz. A teraz odpocznij. Należy ci się odrobina spokoju, widać, że jesteś zdruzgotany.

Z oczu Kultriego znów popłynęły łzy. Współczucie Kapry go rozczuliło. Nie opierał się, gdy strażnicy poprowadzili go do wyjścia. Słyszałam jego szlochy, póki drzwi się za nim nie zamknęły. Wtedy nastąpiła cisza. Siedziałam bez ruchu. Kapra nalała do szklanki nieco napoju i upiła łyk.

– Twoim zdaniem Vindeliiar kłamie? – chciał wiedzieć Felodi.

– Twierdzi, że w przystani są dwa smoki, że światoburca odzywa się w jego myślach, grożąc obróceniem Clerres w perzynę. Widziałeś dziś jakiegoś smoka? Albo znaki świadczące o tym, że nadciąga jakaś armia? – Upiła kolejny łyk. – Twierdzi, że wszelkie nieszczęścia są dziełem Pszczoły. Czy dostrzegłeś coś, co by dowodziło, że opuściła celę i odwiedziła lochy?

– Ale dlaczego miałby kłamać? Co by mu to dało?

– Wreszcie zadałeś właściwe pytanie. A ja podsunę ci jeszcze kilka innych. Skąd wzięła się w tamtym lochu Symphe? I to z eliksirem, choć nasze zapasy są żałośnie skromne? Skąd u niej ten specyfik? Co knuła? Kto pokrzyżował jej plany? Vindeliiar nie jest najbardziej inteligentną istotą na świecie. Czy zdołał wchłonąć dość eliksiru, by zapanować nad umysłem Symphe? Czy to ona zabiła Dwalię, a potem, celowo lub przypadkiem, odebrała sobie życie? Kultri znalazł się pod wpływem Vindeliiara, więc jest bezużyteczny, lecz Vindeliiar doskonale wie, co zaszło. Moim zdaniem to on jest mordercą i mam zamiar wydobyć z niego prawdę.

– Chcę być przy tym obecny.

– Naturalnie. Ponieważ nie przemknął ci przez głowę nawet cień myśli o wszystkim tym, czym teraz należy się zająć.

– Wszyscy wiemy, że masz zapas wężowego eliksiru – odparł Felodi po chwili. – Czy Symphe wzięła go z twoich zapasów? Tobie go ukradła? Czy też go od ciebie dostała? Jak bardzo muszę pilnować własnych pleców?

Kapra patrzyła na niego bez zmrużenia, aż spuścił wzrok.

– Pójdziemy do niego teraz? – spytał potulnie.

– Zrobisz, co zechcesz! Możesz się płaszczyć przed nowym przyjacielem Kultriego. Ten odrażający stwór w ogóle nie powinien żyć! Pewnie będę musiała ze wszystkim uporać się sama... Symphe nie żyje! Pamiętasz o tym? Rozumiesz, co to znaczy dla ludu Clerres? Minął pierwszy odpływ. Na dole roi się od petentów, niektórzy przybyli tu właśnie do Symphe. A za groblą czekają następni. Przy drugim odpływie będzie trzeba ich odprawić. Ci, co weszli rano, muszą opuścić wyspę. Nikt więcej nie wejdzie, póki nie uporamy się z problemami. Jak, twoim zdaniem, zostanie to przyjęte? Muszę wysłać ptaki z informacjami, przygotować strażę na opanowanie tłumu, zastanowić się, jak mamy sobie poradzić z kilkudniowym brakiem wpływów od kupców przepowiedni. Tak, wiem, dla ciebie to nieistotne drobiazgi, jednak właśnie za sprawą takich szczegółów mamy środki i na obronę, i na wygody. – Westchnęła głęboko. – O śmierci Symphe należy zawiadomić w odpowiedni sposób, z zachowaniem wszelkich obrządków. Mieszkańcy Clerres muszą wiedzieć, że została uhonorowana. Ciało trzeba odpowiednio przygotować, żeby... żeby nadawało się do wystawienia. Nie wolno wyjawiać, iż padła ofiarą morderstwa. Stanowczo zbyt wiele osób widziało zwłoki... Fatalny zbieg okoliczności. Jeśli chodzi o strażnika, który doniósł o sprawie Kultriemu... trzeba go uciszyć definitywnie. To samo z więźniami, przy których Kultri nie potrafił utrzymać języka za zębami. Śmierć Symphe przedstawimy jako zrządzenie losu. Tragiczny wypadek.

– A co z Dwalią?

– Przecież dostała czterdzieści batów! Kto przeżyje taką chłostę?! Ty sądziłeś, że dojdzie do siebie? Ja nie. Zmarła, gdyż poniosła zasłużoną karę. I tyle w tym temacie.

– Został jeszcze Vindeliar.

– Najmniejszy kłopot. Mało kto zauważy jego odejście.

– A kto zastąpi Symphe? – zapytał cicho Felodi.

– Pytasz, kto ją zastąpi? – zachnęła się Kapra. – W jakim sensie? Cóż ona takiego ważnego robiła, w czym ja nie byłabym lepsza? – Ucichła, zamyśliła się nad czymś. – Podzielimy się zadaniami. Wiem, że chcesz porozmawiać z Vindeliarem. Jeśli się tego podejmiesz, ja dopilnuję rozesłania wiadomości i wydam rozkazy związane z zamknięciem bram.

Felodi szybko ukrył zaskoczenie.

– Skoro tak sobie życzysz.

– Właśnie tak. Gdybyś zechciał być uprzejmy.

Wstał, kilkakrotnie skinął głową, po czym niemal wybiegł z pokoju. Nawet ja zrozumiałam, iż dostał upragnione polecenie, gdyż Kapra chciała się go pozbyć. Gdy tylko drzwi się za nim zamknęły, wstała.

– Straże. Dziecko wraca do celi. Mamy dużo zajęć.

– Czy sprowadzić pozostałych z kluczami? – spytał ochryple jeden ze strażników.

Kapra zbyła tę gorliwość oszczędnym ruchem dłoni.

– Od tej chwili z pewnością wystarczy zamknięcie na dwa spusty.

Omali się przy tym nie uśmiechnęła.

Rozdział 30

Przeszkody i czarna flaga

Wielka waga, taka, jaką ma lichwiarz w Dębowym Zdroju. Na jednej szali siada pszczoła, przeważając ją, aż na sam dół. Bardzo stara kobieta o niewzruszonej twarzy pyta beznamiętnie: „Jaką wartość ma to życie? Jaka jest za nie uczciwa cena?”.

Niebieski jeleń szarżuje przez targ. Skacze i ląduje na pustej szalce. Ta z pszczołą unosi się, osiągając idealną równowagę.

Stara kobieta uśmiecha się i kiwa głową. Zęby ma ostre i czerwone.

Pszczoły Przewornej „Dziennik snów”

Nigdy nie lubiłem schodzenia po drabince do szalupy. Zawsze mi się wydawało, że w kluczowym momencie źle postawię stopę. Wchodzenie na nadbrzeże po zniszczonej drewnianej drabinie było prawie tak samo fatalne. Gliniaki objęły mi się o plecy. W pięknym płaszczu z dystynkcjami Księstwa Kozięgo było mi za gorąco. A w dodatku odsłonięte wąsonogi na słupach pomostu zdradzały, że zaczął się odpływ. Kotwiczenie statku w najgłębszej części portu trwało przerażająco długo.

– Prędej – poganiałem niepotrzebnie kompanów. – Przejście do pałacu jest otwierane przy najniższym poziomie odpływu. Musimy dostać się na ląd, wymienić ognistą cegłę na brzęczącą monetę i wykupić prawo do przejścia.

Jedno po drugim przeszli za mną na keję. Skierka była teraz Błyskotką, młodą panną bez zarzutu, która zaklęła soczyście, gdy koronkową halką zahaczyła o pąkle. Strzyk, wystrojony w elegancką kamizelkę, koszulę z koronki oraz kapelusz z piórami, świetnie udawał dandysa. Mój niebieski płaszcz wyglądał niezbyt szczęśliwie z zieloną koszulą, lecz musiałem mieć nadzieję, że niepożądanym kontrastem jedynie naznaczał mnie jako człowieka ekscentrycznego i majątnego kupca. Tylko Niestrudzony czuł się we własnej skórze – miał na grzbiecie swoje własne, solidnie znoszone ubranie. Nóż na jego biodrze był dość długi, jednak nie na tyle, by zwracać uwagę.

Kapitanowie popłynęli z nami, jednak prawie nie zamieniliśmy słowa. Teraz

usłyszeliśmy jedynie: „Powodzenia”.

– Dziękuję – odpowiedziałem.

Zuchwalec wolno skinął głową i odeszli. Odprowadziłem ich wzrokiem. Nieśpiesznie ruszyli w stronę magazynów ciągnących się wzdłuż brzegu. Z pewnością zamierzali sprawdzić, jakie tu oferowano towary. Szli ramię w ramię, niby razem, a jednak osobno. Niczym para koni, które długo chodziły w jednym zaprzęgu. Gdybym to ja tam szedł z Sikorką, położyłaby mi dłoń na ramieniu, często podnosiłaby na mnie wzrok, śmiałaby się i dużo mówiła. Oni w milczeniu skręcili za róg i zniknęli mi z oczu. Wypuściłem powietrze z płuc. Obym nie sprowadził żadnego nieszczęścia na nich ani na ich statek.

Odwrociłem się do uszczuplonego towarzystwa.

– Gotowi?

Zgodnie kiwnęli głowami.

Przeniosłem wzrok na marynarzy w szalupie. Miny mieli nieszczególne. I nic dziwnego: po nocy spędzonej w tawernie zostali solidnie złajani i musieli ponownie wiosłować do przystani.

– Czy zastaniemy was tutaj po powrocie? – spytałem. Po czym dodałem z ociąganiem: – Może nam się zejść.

Jedna z kobiet od królowej Etty właśnie sprawdzała po mnie wiązanie lin. Wyprostowała się, lekko wzruszyła ramionami.

– Każdy żeglarz wie, co to znaczy czekać. – Obdarzyła mnie uśmiechem. – Węzły, jak się patrzy, książę. Powodzenia. I nie dajcie się podziurawić.

– Będziemy ostrożni – odpowiedziałem cicho.

– Dajcie im popalić – dodała, uśmiechając się szerzej. – I dziewczuskę tu nam przyprowadźcie.

Nie kryję, podniosły mnie na duchu serdeczne słowa od osoby właściwie obcej.

Ruszyłem na brzeg, za mną postępowała trójka młodych.

– Rozejrzemy się najpierw za panią Amber? – zapytał Strzyk.

– To by była niepotrzebna strata czasu. Ma czarodziejską pelerynę, więc jeśli postanowiła się ukryć, na pewno jej nie znajdziemy. A ona nas przecież nie zobaczy.

Skierka ściągnęła brwi, po czym ujęła mnie pod ramię jak dobrze wychowana córka.

– Dlaczego miałyby nas nie zobaczyć?

– Bo jest ślepa.

– To nieprawda. Nie widzi zbyt dobrze, ale ślepa już nie jest. Mówiłam ci o tym, panie.

– Jak to? Dlaczego ona mi tego nie powiedziała?

– Wzrok jej wraca. Poprawia się wolno, lecz stale. Nie mam wątpliwości, bo jak się mieszka razem w jednej kajucie, trudno się z czymś takim ukryć.

Panowałem nad oddechem i na ustach miałem uśmiech, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie.

– Nic mi nie powiedziałaś. Dlaczego mi nie powiedziałaś?!

– Powiedziałam. – Ona także się uśmiechała, jednak mówiła przez zaciśnięte zęby. – Powiedziałam ci, panie, że widzi więcej, niż sądzisz, a ty odparłeś, że to nic nowego. Uznałam, że ty również orientujesz się w sytuacji. A dlaczego ci nie powiedziała? Teraz to chyba jasne. Miała swój własny sekretny plan. Zamierzała oddzielić się od nas i sama ruszyć na ratunek Pszczole.

Różne fragmenty rozmów zaczęły mi się w pamięci układać we wzór. Tak, oczywiście. Przecież Błazen uważał, że najlepiej będzie, jeśli wejdzie na teren pałacu sam i bez naszej pomocy odszuka Pszczolę. Jak pomyślał, tak zrobił. Osobiście tłumaczyłem mu, że tak bym zrobił, gdyby nadarzyła się okazja.

Zamilkłem, pogrążyłem się w zamyśleniu.

Było już bardzo ciepło, na szczęście lekki wiaterek od wzgórz niósł żywiczny zapach lasu. Mieszał się on ze smakowitą wonią wędzonych ryb, dojrzałych owoców i aromatem drobnych białych kwiatków o żółtych środkach, które obrastały chyba wszystkie drzewa. A wszystko to na tle dobrze nam znanych zapachów nadbrzeżnego miasteczka. Ulice były niewiarygodnie czyste i wyśmienicie utrzymane. Nie widziałem ani jednego żebraka, natomiast wyraźnie dawała się odczuć aura dostatku. Straż miejska, dobrze widoczna, składała się z doskonale uzbrojonych ludzi o srogich twarzach. Błazen wcale nie przesadzał, rzeczywiście było ich zatrzęsienie. Wiele też było sklepów, często nad handlowym parterem znajdowała się część mieszkalna. Minęliśmy jakąś kobietę strzepującą dywaniki przed drzwiami. Potem dwóch urwisów w luźnych bawełnianych koszulach i krótkich spodenkach biegło jakiś czas naszym śladem. Ot, zwykły, spokojny dzień w bogatym mieście.

Nagle zakląłem soczyście. Skierka aż podskoczyła.

Nie dalej jak wczoraj Błazen czytał mi wyjątek z dziennika Pszczoly. Czy było to z jego strony potknięcie, czy też miał nadzieję, że zwrócę na to uwagę? A może się ze mnie naigrawał?

Zazgrzytałem zębami.

Powietrze świsnęło mi przy uchu, pióra uderzyły w policzek i na moim ramieniu wylądowała Jaskrawa. Tym razem ja podskoczyłem.

– Wracaj na statek – rozkazałem. – Będziesz przyciągać uwagę.

Dziobnęła mnie w policzek. Mocno.

– Nie, nie, nie. Nie.

Przechodnie zaczęli odwracać się w stronę gadającego ptaka, a ja próbowałem udawać, że to nic nadzwyczajnego. Przegoniłem kruczycę machnięciem ręki, przeniosła się na bark Niestrudzonego.

– Nie rozmawiaj z nią – poleciłem ściszym głosem.

Jeszcze tylko tego brakowało, żebyśmy się kłócili po drodze.

Ptaszysko zachichotało i usadowiło się wygodniej.

Szliśmy szeroką drogą prowadzącą wzdłuż nadbrzeża, obok schludnych domów i sklepów. Wiła się łagodnie, wiodąc nas obok pomostów, aż wreszcie wyprowadziła na skalisty brzeg zatoki. Stamtąd zobaczyłem wyciągnięte na plażę łodzie rybackie i zdrowe dzieci, które sortowały wyjęte z sieci ryby. Ciągących razem z nami pielgrzymów było wielu, a sądząc po ubiorach, pochodzili ze wszystkich stron świata. Niektórzy sprawiali wrażenie pogodnych, nawet wesołych. Pewnie spodziewali się dobrej wróżby. Inni wyglądali na przybitych i niespokojnych, burczeli albo pokrzykiwali na swoich towarzyszy, śpieszyli się, żeby jak najprędzej dotrzeć do rozwidlenia. Wszyscy składaliśmy się na procesję stworzoną z nadziei i lęku, gdy tak posuwaliśmy się pięknym bulwarem ku wiedzy o przyszłości.

– Gdzie ona może być? – zapytała Skierka.

– Z samego rana był odpływ, pewnie dlatego już wczoraj zeszła na ląd. Chciała mieć czas na sprzedaż bransolety i opłacenie przejścia. Nie zdziwiłbym się, gdyby już weszła do pałacu.

– Gdzie jej szukać? – włączył się Strzyk.

– Nie będziemy szukać pani Amber – odparłem stanowczo. – Realizujemy jej plan, gdyż właśnie tego się po nas spodziewa. Wchodzimy do pałacu, znajdujemy sobie kryjówkę, a potem sprawdzamy dach. Jeśli tam nie znajdziemy Pszczoły, czekamy na dziedzińcu pralni, z nadzieją, że zastaniemy tam je obie.

Cisza, jaka nastąpiła po moich słowach, była najlepszym dowodem na to, jak bardzo nam się ten plan nie podobał.

– Nie rozumiem, dlaczego pani Amber nie poszła z nami – odezwał się Niestrudzony.

– Sądzi, że oddzielnie ma większą szansę na znalezienie Pszczoły.

– To chyba nie tak. – Skierka mocniej ścisnęła moje ramię. – Wydaje mi się, że powód jest inny. Taka samotna eskapada jest nieprawdopodobna. Niepraktyczna. Bezsensowna.

Chociaż wiedziałem, że czas nas goni, mimowolnie zwolniłem.

– I cóż z tego wynika?

– To czyste szaleństwo. Powiedziałaś, panie, że Słudzy wiedzą o naszym

przybyciu. A pani Amber mówiła o tym, jak potrafią kierować losami świata, ponieważ znają ścieżki, jakimi może podążać przyszłość. Dlatego wybrała tę najmniej prawdopodobną. W nadziei, że tej drogi, tej możliwości nie dostrzegą.

Stanąłem.

– A plany? Ustalanie, omawianie, twoje szycie...?

– Chyba dla podtrzymania pozorów. – Uniosła głowę i uśmiechnęła się do mnie, jak ukochana córka do ojca. – Naprawdę nie wiem, mogę tylko zgadywać. Domyślałem się, z tego, co mówiła o Sługach i swoich snach.

– Jeżeli masz rację – odezwałem się, ruszając dalej – Słudzy będą na nas czekali. A naszą rolą jest odciągnąć ich uwagę.

Dać się pojmać? Wtrącić do celi? Poddać torturom? Czy naprawdę Błazen przewidział dla nas taką rolę? Nie.

Chociaż...

Ile razy wikłał mnie w okoliczności śmiertelnie niebezpieczne po to, by zmienić koleje losu? Mógł to zrobić jeszcze raz. Tak, mnie, owszem. Ale z pewnością nie Skierce, Strzykowi albo Niestrudzonemu.

– Wracajcie na statek – poleciłem.

– Nic z tego – sprzeciwił się Strzyk.

– Nic! – poparła go Jaskrawa.

– To niemożliwe – ocenił z namysłem Niestrudzony. – Trzeba mu koniecznie pomóc. Ściągnąć na siebie uwagę.

Nadal zdążaliśmy półkolistą zakrzywioną drogą wiodącą wzdłuż wybrzeża. W pewnym miejscu rozszerzyła się i przeszła w okrągły brukowany plac, zastawiony straganami o frontach przystrojonych tkaninami w intensywnych kolorach. Od razu domyśliłem się, że na co dzień na tym targowisku huczało jak w ulu, teraz jednak część kramów była zamknięta, co w równym stopniu budziło zdziwienie, jak i rozdrażnienie mieszkańców. Widziałem niedoszłych klientów czekających cierpliwie przy zamkniętej budce. Niespokojny tłum kłębił się na placu, ludzie nawzajem zadawali sobie pytania, mało kto znał odpowiedzi. Ruszyliśmy przez ciżbę. Tu i ówdzie można było kupić picie i coś do jedzenia. Otwartych pozostało też kilka straganów, gdzie oferowano błyskotki, kapelusze o szerokich rondach, pachnidła i maleńkie figurki Białych. Dostrzegłem też dwóch lichwiarzy, więc w razie potrzeby mogliśmy sprzedać ognistą cegłę. Jakaś kobieta stała obok wózka, na którym ustawiono szafkę z mnóstwem szufladek. Wyławiała z nich zwoje z przepowiedniami. Tu i ówdzie widziałem za ladą osoby o jasnej karnacji i blond włosach, jednak nie dostrzegłem ani jednego Białego.

– Zamknęli budkę i tyle. Przyszedł strażnik, powiedział, żeby nie sprzedawali

przepustek.

– No, lepiej, żeby zaraz otworzyli! Ja tu tylko na jeden dzień!

– Zapłaciłem żywą gotówką!

Po drugiej stronie placu, przed wielką bramą zagrządzającą wejście na groblę prowadzącą do pałacu, stali wartownicy o twarzach jak wykutych z kamienia. Poziom wody wciąż jeszcze się obniżał, jednak widać było, że niewiele brakuje do punktu zwrotnego odpływu. Pątnicy z nadzieją ustawili się w kolejce i karnie czekali w palących promieniach słońca. Przeszepowywali z nogi na nogę, szurali, pomrukiwali. Przypominali mi bydło czekające na wejście do rzeźnickiej zagrody. Żał mi się zrobiło wartowników odzianych w skórzane zbroje i w hełmach z piórami. Byli to młodzi ludzie, wyraźnie w dobrej kondycji, a postrzępiona szrama na policzku jednej z kobiet zdradzała, że brali udział w walce. Pot ściekał im po skroniach błyszczącymi strużkami. Nie reagowali na pytania coraz gęściej padające z tłumu.

W pewnej chwili budkę otwarto: koścista staruszka pchnęła okiennicę, a czekający powitali ją okrzykiem ulgi. Kolejka ruszyła, lecz kobieta uniosła obie ręce i zawołała:

– Nie mam żadnych nowych wiadomości! – W jej skrzekliwym głosie wyraźnie brzmiał gniew zmieszany z przestachem. – Przysłali mi ptaka. Mam wstrzymać sprzedaż. Dziś już nikt nie wejdzie. Może jutro, ale nie ma pewności. To nie moja wina! Teraz wiecie tyle, co ja.

Pociągnęła za osłonę okna, by ją zamknąć, lecz jakiś mężczyzna mocno chwycił deski, wołając, że musi koniecznie wejść do pałacu. Na budkę ruszyła ludzka fala, niektórzy potrząsali nad głowami drewnianymi tabliczkami uprawniającymi do wejścia. Jaskrawa rozłożyła skrzydła i zakrakała ostrzegawczo. Obawiałem się rozruchów. Nagle usłyszałem miarowy odgłos kroków żołnierzy poruszających się truchtem.

– Wychodzimy z tłumu – zarządziłem.

Strzyk poprowadził, my ruszyliśmy za nim i przepchnęliśmy się na skraj kolejki. Znaleźliśmy niewielką przestrzeń między straganem z piwem i owocami a kramem, gdzie oferowano szaszłyki. Tam się stłoczyliśmy.

– Co najmniej trzy tuziny – ocenił Strzyk, gdy wojskowi pojawili się w zasięgu wzroku.

Uzbrojeni byli w pałki i działali z precyzją ludzi nauczonych bezwzględności. Uformowali dwuszereg pomiędzy wartownikami a napierającym tłumem. Gdy tylko zajęli pozycje, unieśli pałki i zaczęli odpychać ludzką masę od grobli. Pielgrzymi poddawali się niechętnie, niektórzy odwracali się do nich plecami. Rozległy się narzekania i skargi, które przywiodły mi na myśl niepokojony rój pszczeli.

– Brama! – krzyknął ktoś. – Otwierają bramę!

I rzeczywiście, po drugiej stronie grobli ogromne białe wrota uchyliły się nieznacznie. Ledwo drgnęły, a już zaczęli się spomiędzy ich skrzydeł wylewać ludzie i szerokim strumieniem ruszyli przez groblę w naszą stronę. Ciągnęli jak pędzone bydło, niektórzy wyprzedzali innych krawędzią przejścia, a wszyscy wyraźnie się śpieszyli i gdy tylko podeszli do bramy po naszej stronie grobli, wartownicy pociągnęli jej skrzydła i otwarli ją na oścież. Żołnierze odepchnęli tych, co usiłowali, korzystając z okazji, dostać się do środka, rozkazywali, by robić miejsce dla wychodzących. Dwa ludzkie mrowia zderzyły się niczym fale, w obu podniosły się okrzyki, gniewne i pełne oburzenia.

– Co to wszystko znaczy? – szepnęła Skierka.

– To znaczy, że Błazen jest w pałacu – podsunąłem.

Pomyślałem o brakującym cylindrze ze smoczym srebrem i żołądek podszedł mi do gardła.

Jakby w odpowiedzi na moje domysły rozległ się chór okrzyków bez słów i wyrósł las rąk wskazujących na jedną ze smukłych wieżyc. Z jej okien spuszczone długie czarne sztandary. Obciążone na dolnych krawędziach zwisały nieruchomo i prosto mimo łagodnej bryzy.

– Symphe! – krzyknął ktoś. – To jej wieża! Symphe nie żyje! Na niebiosa, ona nie żyje! Jedno z Rady Czworoga umarło!

Ludziom rozwiązały się języki, rozbrzmiała kakofonia jęków, płaczu, zawodzenia. Starałem się wyłowić z wrzawy jakieś informacje.

– ...jeszcze mój ojciec chłopięciem był! – Męski głos.

– ...niemożliwe... Taka młoda, taka piękna! – Kobięcy.

– Jak zmarła?

– Kiedy pozwolą nam wejść?

Niektórzy szlochali, nie kryjąc łez. Jakiś mężczyzna powiedział, że zjawiał się po przepowiednię rok w rok, a trzy razy rozmawiał z samą Symphe. Twierdził, że była równie dobra, jak piękna. Natychmiast zyskał uwagę innych i otoczyła go aura sławy, właściwa tym, co zetknęli się z doskonałością. A przynajmniej tak twierdzili.

Na dalszym końcu grobli, za białymi wrotami, wyszła z bram pałacu samotna postać. Był to wysoki mężczyzna o jasnej karnacji, odziany w długą luźną szatę w kolorze bladego błękitu. Nieśpiesznie przekroczył obnażoną groblę, która zaczynała już parować i schnąć w słońcu. Szedł z wdziękiem, z postawy i chodu przypominał mi Błazna, gdy ten był panem złocistym. Chór głośnych żalów zmienił się w wołania, próby ściągnięcia uwagi, po czym przeszedł w pomruk. Usłyszałem,

jak ktoś mówi:

– Czy to nie lingster Wemeg, który służy Kultriemu?

Mężczyzna dotarł do drugiego końca grobli, minął wartowników, pikinierzy rozstąpili się przed nim, by pielgrzymi mogli go dobrze widzieć. Wtedy powiedział coś, lecz chociaż mówił głośno, nikt go nie zrozumiał. Po stronie miasta zapadła martwa cisza.

– Rozejdźcie się – powtórzył. – Albo poniesiecie konsekwencje. Dzisiaj nikt nie wejdzie. Jesteśmy w żałobie. Jutro po południu ci, co otrzymali prawo wejścia, zostaną przyjęci.

Odwrócił się i ruszył z powrotem.

– Symphe nie żyje?! – krzyknęła za nim jakaś kobieta. – Co jej się stało?!

Nawet się nie obejrzał. Gwardziści ponownie zwarli szyk.

Tłum zafalował niezdecydowany. Czekaliśmy z nadzieją, że nie dojdzie do rozruchów. I rzeczywiście, ludzie byli raczej markotni i zawiedzeni niż skorzy do buntu. Na podobieństwo plew roznoszonych lekkim powiewem zaczęli się rozchodzić. W rozmowach, które wyłapywałem od tych, co nas mijali, słyszałem niezadowolenie, często smutek, lecz nikt nie wątpił, że następnego dnia sytuacja wróci do normy.

Zduśłem rosnącą panikę.

– Och, Błaźnie, coś ty narobił...? – mruknąłem, patrząc na pustą groblę.

– Co teraz? – spytał Niestrudzony, gdy z wolna ruszyliśmy za odchodzącymi pielgrzymami.

Nie odpowiedziałem. Myślni byłem z Błaźnem, w pałacu. Czy to on zabił Symphe? Czy to znaczyło, że nie znalazł Pszczoły i postanowił się zemścić? Czy też został odkryty i zmuszony do zabicia? Czy go schwytano? Czy może tkwił gdzieś w ukryciu?

– Dzisiaj nie dostaniemy się do pałacu – zauważył Strzyk. – Mamy teraz wrócić na „Niezrównanego” i poczekać, aż znów otworzą bramy?

– Stop! – krzyknął Niestrudzony. – Chodźcie! Tutaj! – Sprowadził nas z zatłoczonej drogi na krawędź urwiska, nad samą wodę. – My się tam nie dostaniemy – szepnął gorączkowo – ale Jaskrawa może tego dokonać!

Patrzyliśmy na niego w milczeniu, niczego nie rozumiejąc. Kruczycyca wciąż siedziała mu na ramieniu, a gdy chłopak podstawił jej nadgarstek, przeskoczyła bez protestu. Przesunął ją sobie przed oczy.

– Pani Amber powiedziała – odezwał się do ptaka poważnym tonem – że cele na dachu mają w ścianach dziury... w kształcie kwiatów i innych takich. Czy możesz polecieć tam i zajrzeć przez otwory? Sprawdzić, czy jest tam Pszczoła... albo pani

Amber? – Głos mu zadrżał.

Chłopak zacisnął usta.

Jaskrawa obróciła łebek i łypnęła na niego błyszczącym okiem, po czym rozłożyła skrzydła i pofrunęła.

– Leci prosto do pałacu! – zatchnęła się Skierka.

Niestety, kruczycyca minęła pałac i wkrótce zniknęła nam z oczu.

Niestrudzony pociągnął nosem.

– Może chce obejrzeć wszystko z góry, zanim postanowi, gdzie usiąść.

– Możliwe – przyznałem.

Staliśmy i czekaliśmy. Patrzyłem na niebo i na morze, aż oczy zaszczyły mi łzami od jaskrawego blasku.

Rozdział 31

Pan motyl

Twoje dążenie do osiągnięcia jak największej skuteczności przy wykorzystaniu skromnych środków jest godne pochwały. Dobrze zarządzasz Białym Gajem pod nieobecność mojego ojca. A jestem przekonana, że to nieobecność czasowa.

Jeśli chodzi o zmiany, jakie proponujesz, nie zgadzam się na nie. Nie opróżniaj, proszę, sypialni Pszczoły. Rzeczy mojej siostry należy uporządkować, wyczyścić, jeżeli to konieczne, a następnie odłożyć na właściwe miejsca. Nie w składziku. Chcę, by zostały tam, gdzie być powinny. Pokojówka Pszczoły, Dbałość, osoba bardzo dobrze zorganizowana, będzie z pewnością wiedziała, co gdzie powinno się znajdować. Nie wolno niczego wyrzucać. Drzwi należy następnie zamknąć na klucz. Taka jest moja wola.

W kwestii sypialni mojego ojca podobnie, z tą tylko różnicą, że ma ona zostać dokładnie w takim stanie, jak w dniu jego wyjazdu. I zamknięta na klucz. Nie ma potrzeby troszczyć się o cokolwiek z przedmiotów, które tam zostawił, póki nie wróci. Z pewnością nie będzie miał do nikogo pretensji, że jego rzeczy zostały nieruszane. Pozostaje sprawa gabinetu ojca i nie mam tu na myśli pomieszczenia, w którym zajmował się sprawami majątku, lecz jego ukochaną kryjówkę, której okna wychodzą na krzewy bzu. Ten pokój również należy zamknąć na klucz, niczego nie zmieniając.

O pomieszczeniu, gdzie moja matka lubiła czytać, już rozmawialiśmy. Ono także ma zostać niezmienione. Tam są jej rzeczy. Nie należy ich sprzątać.

Przed zimą mamy nadzieję we dwoje z panem Rebusem zajrzeć do Białego Gaju, jeśli obowiązki pozwolą.

Pismo księżniczki Pokrzywy do Dixona, ochmistrza w Białym Gaju

Mój powrót do celi przebiegł bez wielkich ceremonii. Kapra zatrzasnęła za mną drzwi, włożyła w zamek swój klucz, obróciła go, a następnie powtórzyła jedno i drugie z kluczem Symphe.

– Co ze mną będzie? – spytałam niepewnie.

– Cóż... – Zaśmiała się niegłęboko. – Możesz mi się później przydać. Może całkiem niedługo. – Jej uśmiech mnie przeraził. – Na razie czekaj. Wszystko dzieje się w odpowiednim czasie. – Wyraźnie zadowolona odwróciła się i odeszła.

Daleko mi było do spokoju. Kapra posłała Fellowdego do Vindeliara. Czy lurik mógł zapanować nad umysłem Białego? Jeśli tak, to moje chwile były policzone, gdyż Vindeliar nade wszystko pragnął mojej śmierci. Nic nie mogłam na to poradzić. Usiadłam na pryczy. Pod udem wyczułam rękojeść noża. Przesunęłam się. Kiedy ostatnio zmarł ktoś z Rady Czworoga? Dlaczego było ich czworo i co oznaczała dla nich śmierć Symphe? Czy teraz będą działali jako Rada Trojga? Ścisnęłam dłonie między kolanami. Próbowałam się uspokoić.

– I cóż, Pszczółko? – dobiegł mnie szept Prilkopa. – Co teraz?

– Pewnie będę tu tak siedzieć – odpowiedziałam cicho. – Nie mam wielkiego wyboru.

– Tak?

Rzeczywiście tak uważałam. Czułam się jak woda płynąca swoim korytem. Woda nie może się zatrzymać ani popłynąć pod górę.

– Woda płynie tam, gdzie prowadzi koryto – powiedziałam.

– Pamiętam ten sen. – Westchnął. – To był akurat mój własny. Czy ktoś ci go przeczytał?

– Nie. Tak sobie tylko pomyślałam. – Wcisnęłam się w kąt celi i usiłowałam zajrzeć za ścianę.

Beznadziejne.

– Powiedz mi, Pszczółko, czy widzisz różne kształty przyszłości, różne ścieżki?

– Czasami – przyznałam z ociąganiem.

– Możesz między nimi wybierać. Bądź ostrożna.

– Chyba wszystkie prowadzą do tego samego końca.

– Nie wszystkie – zaprzeczył. – Ja też to i owo widziałem. Jeżeli zostaniesz w celi, jeśli nic nie zrobisz, to cię zabiją.

Głośno przełknęłam ślinę. Tego nie widziałam. A może? Niezapisane sny bardzo szybko blakły.

Długo milczał. Potem wyciągnął do mnie dłoń wnętrzem do góry, grzbietem na podłodze. Czekał. Po jakimś czasie podałam mu rękę.

– Nikt cię nie uczył – powiedział cicho. – Szkoda, że przyszłaś na świat wśród ludu, który cię nie rozpoznał. Nie wiem, czy nie jest za późno na naukę...

– Właśnie że się uczyłam – stwierdziłam z oburzeniem.

Mało brakowało, a zdradziłabym, że umiem pisać i czytać. A tego nie chciałam.

– Nie nauczono cię tego, co umieć powinnaś, bo w przeciwnym razie rozumiałabyś więcej, wcześniej. Jesteś z Białych, z bardzo starej rasy, której teraz właściwie już nie ma na świecie. Będziesz dorastała powoli i żyła bardzo długo. Może nawet tak długo, jak ja.

– I też zrobię się czarna?

– Jeżeli dokonasz zmian, do których przeznaczył cię los. Przypuszczam, że kilka razy doświadczyłaś przemiany. Łączy się ona z gorączką i słabością. Schodzi złuszczonej skóra. Takie zdarzenie dowodzi, że uczyniłaś krok w przód na właściwej ścieżce.

Przemyślałam jego słowa.

– Czyli pewnie dwa razy.

Z sąsiedniej celi dobiegł dźwięk, jakby Prilkop w czymś się utwierdził.

– Czy wiesz, że każdy biały prorok ma swojego katalizatora? I czy znasz to pojęcie?

Znałam. Z zapisków ojca.

– Katalizator coś zmienia.

– Słusznie – potwierdził zadowolony. – A katalizator przy boku kogoś z rodu Białych pomaga zaprowadzić zmiany, za sprawą których należy pokierować losami świata. Po to, by znalazł się na najlepszej drodze.

Czekałam, aż powie coś więcej, lecz zamilkł na dobre.

– Czy ty, panie, jesteś moim katalizatorem? – spytałam w końcu.

Zaśmiał się niewesoło.

– Z całą pewnością nie. – Znowu nastąpiła długa pauza, tym razem on przerwał ciszę: – O ile nie jestem w błędzie, zabiłaś swojego katalizatora zeszłej nocy.

Zrobił mi ogromną przykrość, mówiąc na głos, że zabiłam. Przez to moje uczynki stały się zbyt rzeczywiste. Milczałam.

– Sama pomyśl – podjął miękko. – Kto cię tu sprowadził? Kto przekuł cię w taką, jaką jesteś teraz? Kto zabrał cię w tę podróż ku terażniejszości, która niegdyś była twoją przyszłością?

Przerażały mnie jego słowa. Zorientowałam się, że oddycham zbyt szybko.

Nie, byle nie to. Za nic w świecie nie chciałam, żeby Dwalia okazała się moim katalizatorem.

Jedno pytanie paliło mnie żywym ogniem. Ledwo je wykrztusiłam.

– Czy powinnam była ją zabić?

– Nie wiem. Tylko ty wiesz, co powinnaś robić. – Po chwili uściślił: – Tylko ty możesz to wiedzieć. Błada kobieta miała zupełnie inną niż ja wizję przyszłości. Sądziła, że przeznaczenie każe jej dopilnować, by smoki nie wróciły na świat.

W rzeczywistości, jej zdaniem najważniejszej, Zawyspiarze powinni stale toczyć wojnę z Królestwem Sześciu Księstw. Chciała rozpadu tego królestwa na skłócone krainy, zamierzała dopilnować, by starożytna magia Najstarszych nie ujawniła się w rodzie Przezornych.

– A ty, panie, wybrałaś inną ścieżkę?

Tym razem w jego śmiechu zabrzmiała nuta wesołości.

– Maleńka, ja jestem starszy od starości. Wykonałem swoje zadanie jako biały prorok na długo przed tym, nim Ilistore przybyła na wyspę Aslevjal. Po śmierci katalizatora nie chciałem opuszczać miejsca, gdzie wykonaliśmy pracę, więc zostałem, a śniegu przybywało i lód zagarniał ruiny. A potem, gdy zjawił się Lodogień, postanowiłem strzec go w czasie snu. Chyba dobrze zrobiłem... – Urwał, najwyraźniej pogrążył się w zamyśleniu. – Gdy przybyła Ilistore – podjął – gdy zaczęła wprowadzać zmiany, wszystkie moje zmysły protestowały przeciwko nim, jakbym słyszał fałszywe dźwięki obtłuczonego dzwonu. Zacząłem się jej sprzeciwiać. Udaremniłem jej wysiłki. Nie zdołała zabić uwięzionego smoka. – Stłumił westchnienie. Odsunął od siebie bolesne wspomnienia. – Niejedno zdarzyło się wtedy bez mojej woli. I znowu wzięłem na siebie obowiązki, które uważałem za dawno wykonane. Wróciły mi prorocze sny. Przez nią. Z jej winy musiałem ponownie zakasać rękawy. – Znowu chwila ciszy. – Tyle chcę ci teraz powiedzieć. Widziałem w kilku snach, co możesz zrobić, dlatego cię ostrzegam. Decyduj mądrze, Pszczółko. Pałac w Clerres stoi tu od niepamiętnych czasów. Odkąd Słudzy nim zawiadują, stał się składnicą historii. Zebrane tutaj zwoje traktują nie tylko o tym, co może się wydarzyć, jeżeli okoliczności ułożą się w określony sposób. Tutaj spisano również ogromną część przeszłości. Złożono wielką mądrość. Słudzy dokumentowali zaprowadzane przez siebie zmiany, a wcześniej zapisywali także dokonania oryginalnych białych proroków. Trzeba też pamiętać o tych, co w twierdzy służą i pracują, a także wziąć pod uwagę, że los mieszkańców miasta jest ściśle związany z funkcjonowaniem zamku, z handlem, do jakiego tutaj dochodzi. Za miastem są wzgórza, gdzie pasterze wypasają bydło, gdzie rolnicy uprawiają ziemię. Rybacy łowią ryby, a dalej, na morzu są wyspy archipelagu. Całość przypomina wieżę zbudowaną z klocków. Jeżeli wyciągniesz któryś u podstawy, wszystko runie. Zmieni się los tysięcy ludzi.

Długi czas myślałam nad jego słowami.

– Zawsze na gorsze?

Odpowiedział nie od razu.

– Niekoniecznie. Czasem na lepsze.

– Czy ty, panie, zmieniłaś los tysięcy ludzi? Czy wiesz, że smoki napadają na stada

bydła w Królestwie Sześciu Księstw? Czy słyszałeś, że obaliły okrutnego księcia w Krainie Miedzi? I że między Królestwem Sześciu Księstw a Zawyspiarzami zapanował pokój?

Tym razem milczał dłużej.

– To i owo wiem. Wiedziałem, że wasz księżę poślubi zawyspiarską narczeskę. A co do reszty... Niewiele tu do mnie dociera, o niczym mi nie mówią. Tyle wiem, co wyśnię. Kapra twierdzi, że dzięki temu moje sny są czyste, pozostają wolne od wpływu świata zewnętrznego. Cóż. Śnię, zapisuję sny... Jestem jak ptak w klatce. Nie mam towarzystwa, potomstwa, nie wiem, co się dzieje na świecie... zapisane sny mi zabierają, nie mam pojęcia, jaki robią z nich użytek. Śnienie i zapisywanie snów to moja ścieżka. Muszę to robić.

– I o mnie śniłeś.

Czułam się ważna.

– Przez wiele lat. Z początku twoje istnienie wydawało się mało prawdopodobne. Potem... chyba jakieś dziesięć lat temu... Trudno mi zyskać pewność, w zamknięciu czas płynie w szczególny sposób...

– Wtedy przyszłam na świat – podsunęłam.

– Naprawdę? Takie z ciebie dziecko jeszcze... Taka jesteś młodziutka... I tyle zmian już zaprowadziłaś...

– Wolałabym zwyczajnie siedzieć w domu. – Miałam ściśnięte gardło. – Nie chcę tego wszystkiego. – Zakiełkował we mnie gniew. – Ostrzegasz mnie przed wpływem na życie innych ludzi. A przecież Dwalii było to obojętne. Słudzy też wcale o to nie dbają. Zabili wiele osób. Trudno policzyć, ile dzieci zostało przez nich sierotami, nie sposób przewidzieć, ile się nie urodzi. I co z tego? Żadnego z nich to nie powstrzymało.

Zamknął czarne palce na mojej skaleczonej dłoni. Uścisk miał ciepły, lecz równocześnie czułam kruchość własnych kości. Mógłby zmiażdżyć mi rękę.

– Nie jesteś Dwalią. Jesteś prawdziwym białym prorokiem naszego czasu. Musisz szukać tego, co prowadzi do najwspanialszego dobra dla wszystkich. Nie możesz być bez serca, nie wolno ci być egoistką.

Nie myślałam dotąd o tym, co chciałabym zrobić. A teraz mogłam. Magia Vindeliara osłabła, lecz wciąż nią dysponował. A jeśli Słudzy mieli więcej węzowego eliksiru i znów mu go podadzą? O nie, nikt ani nic mnie nie powstrzyma. Wiedziałam, co robić.

Prilkop chyba domyślił się mojego zdecydowania, odczytał je ze sposobu, w jaki wyjęłam dłoń z jego ręki.

– Ci, co nie znają przeszłości, popełniają błędy przodków – przestrzegł.

Czy to prawda?

Położyłam się na pryczy, zapatrzyłam na koronkową ścianę. Rozmyślałam nad jego słowami.

– Jeżeli zostanę w celi i nic nie zrobię, to chyba mnie zabiją.

– Miałem taki sen. Szybki oddech, świeca gaśnie.

Wpuściłam do myśli skrawek swojego planu. Ile sny powiedziały o mnie Prilkopowi? Czy znał moje zamiary?

– Twoim zdaniem, panie, powinnam zostać w celi?

Westchnął ciężko.

– Mówię tylko, że istnieje możliwość, której chyba nie rozważyłaś. Może warto się nad nią zastanowić. Sprawdzić, dokąd zawiedzie ta decyzja. – Po chwili dodał bardzo cicho: – Własne życie nie jest dla nas najważniejsze. Chodzi przede wszystkim o ścieżkę, którą uważamy za najlepszą dla świata.

– Vindeliar powiedział, że wie, czy znajduje się na właściwej drodze. Teraz go rozumiem. Teraz i ja wiem.

– Często ma się takie wrażenie, gdy pragnie się coś zrobić.

– Co robiłam w twoich snach?

– Śniłaś mi się na wielu różnych ścieżkach. – W głosie Prilkopa znać było uśmiech.

– Jedne wydawały się mniej, inne bardziej prawdopodobne. – I znów powtórzył te dziwnie znajome słowa: – „Jest ptak srokaty i srebrzysty statek, co zdziałają, któż to wie? Jedno we dwa, a dwa w jedno się zmieni – obudzą przeznaczenie”.

Nadal ich nie rozumiałam.

– Już mówiłam, nie mam ani srokaty ptaka, ani statku. Powiedz mi zwyczajnie, czy odmienię przyszłość?

– Och, dziecko. Każdy z nas odmienia przyszłość. To równocześnie nadzieja i niebezpieczeństwo życia. Każdy codziennie zmienia świat. – Nuta smutku w pogodnym głosie. – Niektórzy bardziej.

– Co to?

Dobiegł nas jakiś dźwięk, a w zasadzie seria dźwięków. Głuche uderzenie, zduszony jęk, łoskot. Wstrzymałam oddech, nadstawiłam uszu. Prilkop cofnął rękę, uznałam, że szybko usiadł przy stoliku.

Otworzyły się drzwi w korytarzu. Gładko przesunęłam się w tył, usiadłam na krawędzi siennika. Zbliżały się do nas miękkie, ostrożne kroki. Czekałam. Usłyszałam szept, cichszy niż powiew letniego wietrzyka.

– Prilkopie! Ty żyjesz? Ty żyjesz!

– Kto mówi? – zapytał Prilkop nieufnie.

– Przyjacieli! – Słowo wsparte śmiechem zabrzmiało jak pierwsze, miłe krople

deszczu. – Odziany w prezent otrzymany z twoich rąk. Mam klucze strażniczeki. Wydostanę cię!

Nieglębne skrobanie metalu o metal.

– Ukochany? Ty tutaj? – Niedowierzenie i radość.

– Tak! To ja! I trudno mi wyrazić, jak bardzo się cieszę, że cię znalazłem, ale szukam kogoś innego. Dziecka. Dziewczynki imieniem Pszczoła.

Ukochany? Przyjaciel ojca? Żebrak z targowiska? Błazen? Błyskawicznie znalazłam się przy prętach, złapałam za nie, wyjrzałam na korytarz. Nikogo. Nie widziałam nic, a jednak słyszałam ciche pobrzękiwanie kluczy. Wilk-ojciec nastroszył sierść na karku. Patrzyliśmy.

– To nie te klucze, przyjacielu – wyszeptał Prilkop drżącym głosem. – Otworzą inne cele, jednak nie wypuścisz ani mnie, ani Pszczoły. Ona jest tutaj i ma...

Nagle z hukiem otworzyły się dwie pary drzwi na obu końcach korytarza. Usłyszałam mocny głos Kapry:

– Macie iść ramię przy ramieniu, szeroko machać pałkami! Jazda! Nie zatrzymywać się, póki nie staniecie twarzą twarzą z kompanami. Intruz jest tutaj na pewno!

– Ale przecież... – zaprotestował ktoś.

– Ruszać się! – krzyknęła. – Jazda! Biegiem! Uderzać pałkami! Wysoko i nisko! On tu jest! Nie wiercie oczom! Ruszać!

Niewidzialnemu gościowi wydarł się zduszony okrzyk przestrachu. Usłyszałam szurnięcie, potem nagle znikąd pojawiła się na moment jedna noga bez reszty ciała. Zrozumiałam, że człowiek którego nie widzę, usiłuje wspiąć się po gładkich prętach naprzeciwko celi Prilkopa. Dostrzegłam go jako falujący kształt niczego, jakbym przyglądała się czemuś przez gorące powietrze nad ogniem. Szybko znalazł się na górze, przed oczyma mignęły mi nagie stopy z podkulonymi palcami. Krawędź motylej peleryny odchyliła się na moment.

– Tam! – zawołał któryś ze strażników.

Wszyscy ruszyli biegiem. Odskoczyłam do tyłu, bo słyszałam grzechot pałek na prętach mijanych cel. Słyszałam też okrzyki innych więźniów, a potem, gdy strażnicy dotarli na wysokość mojej celi, rozległo się przerażające, głuche uderzenie pałki o ciało i zaraz potem zduszony jęk bólu. Wilk-ojciec warczał jak oszalały. Serce wyrywało mi się z piersi, jakby zwierzę skryte w moim umyśle usiłowało wydostać się na zewnątrz.

– Tu jest! Spadł! – zaraportował jeden ze strażników.

Przez moment widziałam mężczyznę. Zwinął się jak sprężyna, po czym skoczył na równe nogi. Nasadą dłoni uderzył jednego z wartowników w szczękę, aż tamten

wyrznął głową o pręty. Ukochany obrócił się błyskawicznie, peleryna zawirowała wokół niego, zobaczyłam poszczególne części ciała. Złapał pałkę innego strażnika i wyrznął go nią pod brodę, aż rozległ się bulgotliwy jęk. Gdyby walczył tylko z dwoma przeciwnikami, udałoby mu się uciec. Tymczasem żołnierz za jego plecami gwałtownie zakręcił pałką. Trafił. Ukochany upadł. Przetoczył się na brzuch. Podciągnął pod siebie kolana, peleryna znów go zakryła, lecz tamci już wiedzieli, gdzie go szukać. Grad szybkich ciosów spadł na człowieka, którego nie było widać.

– Dosyć! Wystarczy! Dosyć! – krzyczała Kapra. – Nie zabijać go! Mam do niego kilka pytań... Mam do niego wiele pytań.

Wycofałam się pod tylną ścianę celi. Nie mogłam złapać tchu. Kapra przepchnęła się między żołnierzami, którzy teraz przypominali pobudzone ogary odwołane od wytropionej zwierzyny. Popatrzyła na podłogę, trąciła coś stopą. Podniosła wzrok i odezwała się, przenosząc spojrzenie raz na mnie, raz na Prilkopa.

– Proszę, proszę! – Z wesołością w głosie. – Cóż my tu mamy? Czyżby skrzydło motyla? Jest taki sen, o którym czytałam, nawet sama śniłam. Podejź, Prilkopie, zobacz, jak się wypełnia twoja przepowiednia.

Chociaż ostatnie słowa skierowała do niego, to ja rzuciłam się przez celę, by z bliska, mimo przerażenia, patrzeć jak unosi fragment materiału przypominającego motyle skrzydło. Gdy go odsunęła, wypełnił się mój sen. Pod motylą peleryną leżał blady mężczyzna, bosy, ubrany na czarno. Pęk kluczy wypadł mu z dłoni, krew płynęła z rozcięcia na czole i z nosa. Oczy miał na wpół przymknięte. Nie ruszał się. Prilkop jęknął z rozpacz. Mnie zabrakło tchu, by wydać jakikolwiek dźwięk.

Kapra przykucnęła, uważnie przyjrzała się leżącemu, po czym podniosła wzrok na Prilkopa.

– Wciąż śnię najprawdziej. – W starczym głosie brzęczały melodyjne tony zadowolenia. – Oto i on. Mężczyzna motyl. Łowca w pułapce! Dajże spokój, śmiało! Możesz okazać podziw! – Kokieteryjnie przechyliła głowę i dodała z udawanym smutkiem: – Przykro mi jedynie, że wciąż nie potrafisz dobierać sobie przyjaciół. Podjąłeś niewłaściwą decyzję i znów będziesz musiał, niestety, dostać nauczkę, gdyż mnie oszukiwać nie wolno.

Człowiek ma dwie ręce. Jedna z rąk pana motyla była wyciągnięta, tuż za ugiętymi palcami leżały klucze, które wypadły mu z dłoni. A teraz druga, ta, która dotąd była ukryta pod peleryną, śmignęła w górę. Myślałam, że uderzył pięścią, póki nie cofnął dłoni z zakrwawionym nożem i nie wbił go ponownie, tym razem w brzuch Kapry. Kobieta nie krzyknęła, tylko zatchnęła się z niedowierzania, a w następnej chwili strażnicy ruszyli na leżącego. Okładali go pałkami i kopali, aż

stał się całkiem bezwładny. Zakrwawiony strzęp człowieka.

Zatkałam uszy, lecz to nie uchroniło mnie przed wyciem wilka-ojca. Prócz niego nie słyszałam nic.

Strażnicy odciągnęli ranną do tyłu. Siedziała na podłodze, obie ręce przyciskała do brzucha, spomiędzy palców ciekła szkarłatna struga, niebieska suknia pociemniała od krwi.

– Idioci! – Kapra kipiała z wściekłości, lecz na krzyk brakowało jej tchu. – Zanieście mnie do uzdrowicieli! Natychmiast! A Ukochanego i Prilkopa wrzucicie do lochów! Ukochanego tam, gdzie przedtem była Dwalia! Sama się z nim rozmówię! Aaa! – krzyknęła z bólu, gdy dwóch strażników próbowało ją podnieść.

– Będą nam potrzebne klucze do czterech spustów – zauważył któryś z pozostałych przytomnie.

– Weźcie te, co tu leżą.

– To nie te.

Kapra nie odpowiedziała. Chyba straciła przytomność.

– Jessim – odezwał się inny strażnik – idź do Felodiego, zapytaj, co mamy robić. Ja i Worum zaniemiemy Kaprę do uzdrowiciela. A wy – zwrócił się do kogoś dalej – zabierzcie intruza do lochu. Tylko aby dobrze go zamknijcie. Dostyc błędów na dzisiaj. – Podnosząc Kaprę wraz z kompanem, dodał ponuro: – W końcu wszyscy pójdziemy siedzieć.

Gdy się oddalali, ani Prilkop, ani ja nie odezwaliśmy się słowem. Kaprę wynieśli, Ukochanego ciągnęli za sobą. Głowa kolebała mu się na boki, zostawił na kamieniu czerwoną smugę krwi. W końcu otworzyły się drzwi.

– Strażniczka nie żyje – powiedział któryś z żołnierzy. – Zabił ją, żeby zabrać klucze. Weźcie ciało.

Jakiś czas trwała cisza, lecz w końcu więźniowie, na podobieństwo wystraszonych ptaków, zaczęli szeptać, zadawać pytania, snuć domysły, domagać się odpowiedzi, szlochać.

– Prilkopie – odezwałam się cicho. – Czy wiesz, co będzie dalej? Czy o tym śniłeś?

– Nie.

– Mam klucze – wyznałam najcichszym szeptem, tylko jemu. – Możemy uciec.

– Nie ma dokąd, maleńka. Zamkną wszystkie drzwi i bramy. – Roześmiał się z goryczą. – Ja opuszczę ten pałac, gdy przypływ zabierze mojego trupa ze zbiornika na odpady. Moje ciało zjedzą ryby, a kości zmienią się w piasek.

– Śniłeś o tym? – spytałam przerażona.

– Uczymy się nie tylko ze snów, ale także od życia. W Clerres jedno jedyne

wyjście nie jest pilnowane dniem i nocą. To droga dla zmarłych. Dwalia i ja spoczniemy w tym samym miejscu: w żołądkach węgorzy. – Głośno przełknął ślinę. – Chciałbym dotrzeć tam szybko, jednak wiem, że będzie to trwało bardzo długo. – Rozszlochał się. Ze strachu.

I ja też się rozpłakałam.

– Pszczoło! Pszczoło! Pszczoło!

Ktoś wołał mnie ochrypłym, strasznym głosem.

– Co to takiego? – spytał Prilkop przez łyżę.

– Nie wiem. Ćśśś!

Nie miałam pojęcia, kto mnie szuka, nie chciałam, żeby znalazł. Znowu otworzyły się drzwi w odległym końcu korytarza. Odgłos kroków. Ile osób? Bałam się, lecz wiedzieć musiałam. Wcisnęłam twarz między najdalsze pręty, skąd widziałam fragment korytarza. Straże. Z nimi Felodi, obok ledwo kuśtykający Kultri. Wyglądał okropnie: chory, a przy tym niesiony wściekłością. Felodi ścisnął w garści klucze, których wcześniej Kapra użyła, by zamknąć mnie w celi. Szybko dotarli do Prilkopa. Za blisko się znaleźli, żebym widziała, co robią, jednak słyszałam wszystko. Wejście do celi otwarto.

– Brać go! – rozkazał Felodi.

Dojrzałam żołnierzy wpadających do środka, po chwili wyszło stamtąd czterech mężczyzn, ciągnąc jednego. Jeszcze inny, na korytarzu, ukląkł i zrzucił na ziemię narzędzie łańcuchów. Prilkop stał potulny niczym wół prowadzony na rzeź. Biernie czekał, gdy zamykano mu obręcz na nogach, nie opierał się, gdy na rękach zatrzaśnięto kajdany.

„Nie po mnie, och, nie po mnie przyszli!” – przemknęła mi przez umysł radosna myśl tchórza.

Chyba została mi jeszcze magia zyskana za sprawą eliksiru węża. Zebrałam Moc i pchnęłam ją ku żołnierzom. Albo zadziałała, albo nie kazano im mnie zabierać. Rozproszył mnie wilk-ojciec.

„Przestań. Wyjście jest wejściem”.

Warknął z głębi gardzieli. Usłuchałam. Uszczelniłam mury chroniące umysł, odsunęłam się od prętów, skuliłam na sienniku. Zabiorą Prilkopa, co z nim dalej się stanie? Będzie cierpiał, jak obiecała Kapra? Czy umrze? Czy podejmując decyzję zeszłej nocy, stworzyłam dla niego tę wersję przyszłości? Czy to moja wina?

Przerażona i samolubna zasłoniłam oczy i modliłam się, nie kierując błagań do żadnego szczególnego boga:

„Spraw, żeby mnie nie zabrali. Błagam, byle mnie nie zabrali!”.

– Witaj, Pszczoło!

Przed moją celą stał Kultri wsparty na ramieniu strażnika. Krzyknęłam ze strachu i natychmiast zniechęciłam się za ten odruch, bo Kultri się uśmiechnął. Choć zdążył poprawić farbę na twarzy, między białymi smugami wyraźnie prześwitywała ciemniejsza cera. Luźne, drżące wargi rozciągnął na boki.

– Wiem wszystko! – wysyczał. – Wiem, że je zabiłaś! Dopilnuję, żebyś za to zapłaciła. Możesz być tego pewna.

– Przestań – odezwał się Felodi. – Jesteś pod wpływem Vindeliara. Ile razy mam ci to powtarzać? Schwytaliśmy mordercę. Gdy sprowadzimy Prilkopa na dół, sam się przekonasz. To Ukochany. Wrócił, pajac jeden. Miał powody zabić Symphe. Dwalię pewnie uśmiercił przy sposobności. Daj wreszcie spokój. Musimy przypilnować uwięzienia Prilkopa, a potem iść do Kapry, sprawdzić, co działali uzdrowiciele. Jessim powiedział, że nóż był mały, może nie uszkodził ważnych narządów.

Odeszli. Prilkop między żołnierzami, stawiając krótkie kroki. Łańcuch dzwonił o kamienną posadzkę. Drzwi trzasnęły ponownie. Zaczynałam nienawidzić tego dźwięku. Korytarz zalała cisza.

– Straż? – dobiegł głos z którejś celi. – Straż?

Nikt nie odpowiedział.

Siedziałam rozdygotana i płakałam. Za dużo tego wszystkiego na mnie jedną. W końcu ktoś mnie odnalazł, ktoś przybył mi na ratunek i... przepadł. Teraz nie miałam już nawet Prilkopa. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo podnosił mnie na duchu. Było mi strasznie zimno. Dygotałam.

– Pszczoła? Pszczoła, pszczoła, pszczoła?

Znów ten koszmar. Tym razem jakbym słyszała ptaka, nie człowieka.

– Pszczoła? Pszczoła, pszczoła, pszczoła?

Zbliżał się. Powtarzał moje imię niczym katarynka. Usłyszałam miękki szelest, jakby ktoś strząsał tkaninę, a potem skrobanie.

– Pszczoła? Pszczoła, pszczoła, pszczoła?

Nie do wytrzymania.

– Zostaw mnie w spokoju!

Nic z tego. Głos zabrzmiał bliżej.

– Pszczoła? Pszczoła?

Dochodził zza ażurowego kamienia, który rzucał na podłogę dziurkowany cień w muszle i kwiaty. Coś zasłoniło jeden z wzorów i szurało niczym szczur za ścianą. Dobrze, że otwory były niewielkie, a ściana gruba. Dzięki temu się do mnie nie dostanie. Zerknęłam na ozdobny motyw i zmartwiałam: w jednym z kształtów zobaczyłam srebrny dziób. Poruszał się, dźgał powietrze.

– Pszczoła? Pszczoła, pszczoła, pszczoła?

Wytwór wyobraźni. To nie mogła być prawda. Nie chciałam patrzeć, ale nie potrafiłam odwrócić wzroku. Srebrny dziób stukał w powietrze, jakby usiłował się do mnie przedostać. Wstałam, poniekąd wbrew woli, i przesunęłam się tak, by zajrzeć w otwór. Ptasi łebek. Błyszczące oko. Pochyliłam się, by widzieć lepiej.

– Pszczoła?

Zmieniał się. Nie bardzo szybko, lecz i tak zaskakiwało mnie to i napełniało obawą. Z łebka ptaka promieniowała korona licznych dróg przyszłości. Po chwili znalazłam na to właściwe słowo: splot. Coś takiego widziałam wokół żebraka – tego ślepego żebraka na targowisku. Innymi słowy, nie była to dobra wróżba.

– Odejdź – poprosiłam drżącym głosem.

– Trud – wychrypiało ptaszysko. – Trud mówi. Znajdź Pszczołę.

– Trud? – powtórzyłam, a nadzieja ścisnęła mi serce. Niestrudzony?

Nadzieja to tylko inny rodzaj udreki. Skąd miałyby się wziąć tutaj, tak daleko od Białego Gaju? Czy naprawdę żył? Może przyprowadził go ten ślepy żebrak?

Ptak zamigotał, lecz nie przed moimi oczyma, a w umyśle. Zamknięcie oczu wcale mi nie pomogło, jednak postanowiłam ich nie otwierać. Zadałam pytanie, wiedząc, że odpowiedź może mnie na zawsze pozbawić wszelkich złudzeń:

– Czy Niestrudzony przybywa mi na pomoc? Czy on mnie uwolni?

– Nie. Nie. Zamknięte. Drzwi zamknięte. Brama. Zamknięta, zamknięta, zamknięta!

Usiadłam na piętach. To chyba sen. Ptaki nie mówią w ten sposób. Nie wiedzą, co to sens i logika. Czyżbym postradała zmysły? Od migotania robiło mi się mdło.

– A sio! – zawołałam słabo. – Uciekaj! – poprosiłam.

– Zamknięta, zamknięta. Amber? Znaleźć Amber? Skierka pyta.

Teraz pierzasty intruz gadał bez sensu.

– Zostaw mnie w spokoju.

„Wyjście jest wejściem! Powiedz mu to! Wyjście jest wejściem! Powiedz Niestrudzonemu!”. – Wilk-ojciec ciskał mi się w głowie i drapał ściany, którymi ściśle otoczyłam umysł. – „Powtórz ptakowi!”.

Nie śmiałam zrezygnować z ostrożności, obniżyć mur choćby odrobinę. Ptak się chyba zaklinał. Próbował wyjść z otworu tyłem, nie bardzo mu się to udawało.

– Wyjście jest wejściem – powiedziałam, choć nie miałam pojęcia, dlaczego miałyby to być istotne.

Ptak znieruchomiał. Usłyszał mnie? Miał zamiar coś do mnie powiedzieć? Kiedyś w Białym Gaju odezwał się do mnie kot. Ale wtedy rozmawialiśmy w myślach, co było znacznie mniej zaskakujące. Ten ptak natomiast mówił ludzkim językiem. Bardzo dziwne. I straszne.

– Ptaku? Przybyłeś tutaj z Niestrudzonym? Czy on dotarł tu z żebrakiem? Żebraka zabrano do lochów. Czy to on miał mnie uratować? – Pytania wysypały się ze mnie jedno za drugim. – Ptaku! Powiedz coś!

– Wejście trudne wyjście. Wejście łatwe. Wyjście niełatwe – poskarżył się kruk. – Uwięziona.

Nabrałam głęboko powietrza. Opanowałam zawrót głowy. Jedno pytanie za jednym zamachem.

– Czy Trud jest blisko?

– Nie. Trud nie pomoże. Uwięziona. Trud nie tutaj. Uwięziona!

Dobrze. Najpierw trzeba pomóc temu nieszczęsnemu stworzeniu. Może wtedy odpowie.

– Wypchnąć cię?

– Nie! – szybko i zdecydowanie, potem seria szurania i skrobania. W końcu zrezygnowane: – Tak.

Wetknęłam rękę w otwór.

– Uwaga! Uwaga! – Gorączkowe ostrzeżenie.

Musnęłam jej dziób. Dźgnęła mnie nim ostro, mocno. Odepchnęła. A mnie jakby poraziła błyskawica. Smoki. Czerwony smok nadciąga. Szarpnęłam rękę do tyłu.

„Wyjście jest wejściem. Tam, gdzie odpady wychodzą z pałacu. Powiedz Trudowi!”.

Zafurkotały skrzydła.

– Chyba odleciała – powiedziałam.

„Usłyszała cię?”.

– Nie wiem – szepnęłam.

Wiatr wsunął do celi jedno aksamitne piórko. Złapałam je. Lśniło czerwienią.

– Nie wiem – powtórzyłam.

Rozdział 32

Wejście

Ogrodzony murem ogród. Opromieniony słońcem, zniszczony jednak złym urokiem. Tylko kilka roślin wystrzeliło do nieba. Większość, blada i skartłowaciała, ledwo dźwiga się z żyznej gleby. Przychodzi ogrodnik. W kapeluszu z szerokim rondem, pokrytym motylami. Nie widzę jego twarzy. Niesie bukiet. Ma u pasa srebrne nożyce ogrodowe, jednak przyklęka i zaczyna wrywać chore rośliny rękoma. Wkłada je do kosza. One wiją się i jęczą, lecz on nie zwraca na to uwagi. Nie ustaje, póki ostatnia łodyga nie zostanie wyciągnięta z ziemi z korzeniami. Wtedy idzie do ogniska i wrzuca krzyczące rośliny w płomienie. „Skończone” – mówi. – „Problem usunięty z korzeniami”. Odwraca się do mnie i uśmiecha. Nie widzę jego oczu ani nosa, lecz zęby ma ostre jak pies i ociekają mu ogniem.

Reppin „Dziennik snów”, sen 723

Staliśmy w słońcu i czekaliśmy. Bardzo chciałem zdjąć płaszcz, ciepły, wełniany. Czulem, jak pot spływa mi po plecach swędzącym strumykiem.

– To tylko ptak – uprzedziłem ich. – Niestrudzony, twój pomysł był wyśmienity, jednak nie możemy oczekiwać zbyt wiele.

– Jest mądra – oznajmił z mocą.

– Pić mi się chce – powiedziała Skierka.

Nie skarżyła się, zwyczajnie stwierdziła.

– A mnie jeść – włączył się Niestrudzony.

– Ty zawsze jesteś głodny.

– Prawda – przyznał chłopak bez oporu.

Nie spuszczał wzroku z nieba nad pałacem.

– Mijaliśmy gospodę. – Życie ma swoje prawa. – Usiądziemy, pomyślimy.

Zawróciliśmy na drogę. Większość pielgrzymów już odeszła, zostali tylko nieliczni maruderzy. Ponieważ na placu przed groblą goście nie byli mile widziani, a my nie zamierzaliśmy z nikim zadzierać, ruszyliśmy za wyrzekającymi pątnikami wracającymi do przystani.

Jeszcze nie tak dawno, gdy Jaskrawa wzbiła się w niebo, zakiełkowała we mnie nadzieja. Teraz wróciła zdwojona niepewność, z nią przygnębienie, a wątpliwości ciążyły mi bardziej niż cały niebagatelny bagaż, jaki dźwigałem.

Skręciliśmy do karczmy.

– Nie wchodzimy do środka, bo Jaskrawa nas nie znajdzie – odezwał się Niestrudzony.

Osobiście byłem przekonany, że ptaszysko dawno wróciło na statek, ale co tam.

– Usiądźmy na zewnątrz. – Wskazałem kilka stolików ustawionych pod drzewem obok budynku.

Razem z Niestrudzonym zajęliśmy miejsca, Strzyk i Skierka poszli do bufetu.

– Źle się czuję – powiedział chłopak. – Jakiś taki... pusty.

Z nadzieją popatrzył na niebo.

– Robimy, co możemy.

Bezużyteczne słowa.

Goście przy innych stołach pili i głośno rozmawiali. Po jakimś czasie Skierka i Strzyk wrócili z kufkami piwa oraz bochnem ciemnego chleba. Zjedliśmy i wypiliśmy w milczeniu, chłonąc krążące wokół nas plotki. Domysły bez żadnych podstaw. Symphe popełniła samobójstwo. Zamordował ją Felodi. Spadła ze schodów i skręciła kark. Ktoś ją otruł. Chyba nikt nie brał pod uwagę możliwości, że najzwyczajniej w świecie umarła. Co najmniej dziwne, jeśli pamiętać, że o tej kobiecie mówiło się tylko dobrze. Nadstawiałem uszu, nikt jednak nie wspomniał o trzymanej w niewoli dziewczynce.

Podobno wróciła Dwalia, razem ze swoim odrażającym pachołkiem Vindeliarem. Najwyraźniej nie cieszyła się sympatią. Dwie osoby rozmawiały z nieskrywaną satysfakcją o tym, że wymierzono jej chłostę, ponieważ wróciła bez lurików i bez przepysznych koni, z którymi wyruszyła. Żaden z rozmówców nie był świadkiem tego zdarzenia. Jeden z nich usłyszał od jakiegoś sługi, że zakrwawioną Dwalię ciągnięto korytarzem „do najgłębszych lochów”. Ani słowa o dziecku. Czy Pszczoła została wtrącona do celi razem z porywaczką? Dwalia ponoć „zjawiała się sama”. Gorszych słów nie słyszałem nigdy.

– Wracamy na statek? – zapytała Skierka.

Nie miałem ochoty odpowiadać. Nie wiedziałem. Nic nie wiedziałem. Smutek i brak jakiegokolwiek pewności wyczerpały mnie gorzej niż zacięta walka. Przegrałem. Straciłem wszystko. Usiłowałem dociec, gdzie popełniłem błąd, a w odpowiedzi zyskiwałem coraz bardziej niezbitą pewność, iż błędna była każda moja decyzja od chwili, gdy po raz pierwszy zgodziłem się na układ Ciernia.

– Leci! – powiedział nagle Niestrudzony.

Wyteżyłem wzrok. Daleko. Para czarnych skrzydeł. Otwarte, zamknięte, otwarte, zamknięte. To mógł być jakikolwiek ptak. Coraz bliżej. Osuszyłem kufel, odstawiłem.

– Wyjdźmy jej na spotkanie.

Opuściliśmy gospodę, przeszliśmy na drugą stronę drogi. Niedaleko zaczynało się dość strome zbocze porośnięte szorstką trawą i krzewami zdolnymi przetrzymać porywiste wiatry, słone powietrze, a od czasu do czasu także wysoki przypływ albo gwałtowny sztorm. Bez wahania zsunęliśmy się po tym zboczu, a następnie zeszliśmy po skalistym urwisku na plażę, która składała się w tej samej mierze z piasku, co z kamieni. Przypływ już się zaczął, jednak wciąż pozostało dla nas dość miejsca. Niezależnie od tego, jakie wieści przynosił ptak, jeśli cokolwiek miał nam do przekazania, nie życzyłem sobie, by je ktokolwiek podsłuchał.

Niestrudzony stał nieruchomo, z wyciągniętym ramieniem, jakby w oczekiwaniu na majestatycznego sokoła. Tymczasem Jaskrawa nie wylądowała dostojnie, jak to robią drapieżniki, lecz zatrzepotała, trochę się wzbijając i trochę opadając, nim złapała równowagę. Chłopak poczekał, aż wygodnie się usadowi, i dopiero wtedy spytał:

– Znalazłaś ją?

– Pszczoła. Pszczoła, Pszczoła, Pszczoła! – oznajmiło ptaszysko, poruszając łebkiem w dół i w górę.

– Tak, właśnie, Pszczoła. Znalazłaś ją?

– Przez dziurę. Uwięziona! Pszczoła. Pszczoła, Pszczoła, Pszczoła.

Wstrzymałem oddech. W co wierzyć? Czy ośmielę się mieć nadzieję? Czy ptak zaledwie powtarzał słowa chłopca?

– Żyje? Cała i zdrowa?

– Czy wie, że tu jesteśmy?

– A pani Amber? – zapytała Skierka.

Ptak nagle znieruchomiał.

– Nie.

Uciszyłem wszystkich gwałtownym gestem.

– Co: nie? – zapytałem.

– Amber nie.

Cisza.

– Wzięła motylą pelerynę – powiedziała Skierka, w jej głosie zabrzmiała nuta smutku, a zarazem nadziei.

– Widziałaś Pszczołę? Nic jej nie jest? – Na usta cisnęły mi się dziesiątki pytań, powstrzymałem je z ogromnym trudem. Po kolei.

– Mówiła – odezwała się Jaskrawa po chwili namysłu. Potem niepewnie, jakby złożenie słów nastęczało jej trudność, dodała: – Dziura mała. Jaskrawa uwięziona.

Wzbierała we mnie potężna furia, nade wszystko zapragnąłem chwycić tego niewydarzonego posłańca i rozszarpać na strzępy. Musiałem wiedzieć. Rozumieniem i Mocą pchnąłem ku niej:

„Błagam!”.

– Głupi Bastard – odparła.

Bez ostrzeżenia wymierzyła mi dziobem cios w twarz. Zasłoniłem się odruchowo. Zdażyłem. Pochwyciła moją dłoń w srebrne kleszcze, pazurami wczepiła się w rękaw, biła przy tym skrzydłami. Nie doszło do połączenia tak czystego, jak ze Ślepunem, lecz zajrzałem przez szparę do jej ptasiego umysłu. Posiniaczona twarzyczka, wielkie niebieskie oczy, rozcięty policzek. Ledwo ją rozpoznałem! Trwożny głosik: „Wyjście jest wejściem. Powiedz chłopcu! Tam, gdzie odpady z pałacu!”. A potem niepojęty widok z góry: pałac, oblewające go wody – jakby z nieprawdopodobnie wysokiej wieży albo z bocianiego gniazda. Poruszył się, a mnie żołądek podszedł do gardła, gdy Jaskrawa pokazała mi, co widziała, lecąc nad pałacem. Dachy, zbrojne patrole, chatki w ogrodzie otoczonym murem, kolejne straże, a potem nurkowanie w locie, coraz bliższa woda. Łódki rybaków podskakujące jak korki, rzucanie sieci, unikanie płycizn w czasie odpływu. Smuga szarawobrunatnej wody w lazurowym morzu, jakby się weń wdarła jakaś nabrzmiąta deszczem rzeka. „Wyjście jest wejściem”, rozległy mi się w uszach echem słowa Pszczoły, a potem ptak puścił mnie i upadł na piasek u naszych stóp.

– Co ci?! – Niestrudzony już pochyłał się nad kruczycą, już ją zbierał w dłonie.

Z kamiennym obliczem powiodłem wzrokiem po zdumionych, niespokojnych twarzach. Zbyt słabą zyskałem nadzieję, by zdołała wesprzeć uśmiech.

– Chłopcze – zwróciłem się do Niestrudzonego drżącym głosem – Pszczoła prosiła Jaskrawą, by ci przekazała: „Wyjście jest wejściem”. – Nabrałem powietrza w płuca. – Trzeba się szykować.



Nie wróciliśmy na „Niezrównanego”. Posłałem na statek kruczycę z prostym przekazem: „Czekajcie, proszę”. Ośmieliłem się mieć nadzieję, że nie zapomni.

Pokój w gospodzie był tani i goły, z dołu docierały wszelkie możliwe hałasy. Położyliśmy się na podłodze, niezrównane stroje posłużyły nam za materace.

Bezskutecznie staraliśmy się zdrzemnąć. Gdy wstaliśmy, w gospodzie nareszcie zapadła cisza.

– Weźcie tylko to, co niezbędne – poleciłem.

Skierka zwinęła nasze piękne stroje w tłumok i poklepała go czule, jakby żegnała się z przyjacielem. Założyłem na plecy naprędce przerobiony pas z gliniakami. W torbie na ognistą cegłę zmieściło się także smocze srebro. Zawiesiłem ją na ramieniu. Płaszcz podałem Strzykowi.

– Weź.

Skinął głową.

W drodze do wyjścia przemknąłem przez kuchnię, ukradłem garnuszek tłuszczu, a z paleniska wygarnąłem garść popiołu i jedno z drugim solidnie zmieszałem. Wkrótce dołączyłem do pozostałych czekających na brzegu morza.

Nie byliśmy zbyt rozmowni, czerniąc twarze i dłonie. Przestrzegłem towarzyszy, że na wodzie dźwięk niesie się bardzo daleko. Sprawdziłem zawartość ukrytych kieszeni. Skierka podobnie, Strzyk również. Nad głowami wisiał nam księżyc w pełni, rzucając więcej światła, niżbym sobie życzył. Zaczynał się odpływ. Do rana grobla będzie całkowicie odsłonięta. Nie ona jednak stanowiła nasz cel.

Cofająca się woda zostawiała na kamienistej plaży dołki wypełnione mokrym piaskiem oraz wodorosty – tu wzgórek, tam wyciągnięta macka – całkiem jak ośmiornice. W którymś momencie Niestrudzony potknął się i pokaleczył ręce, gdy podparł się o kamień obrosnięty pąklami. Nie wydał żadnego dźwięku, tylko przycisnął krwawiące dłonie do brzucha. Nawet nie zwolnił. Czymże zasłużyłem sobie na wierność i oddanie tego chłopaka?

Potoczyłem wzrokiem dookoła, przyjrzałem się morzu i pomyślałem o Elu, surowym bogu, władcy mórz i oceanów. Rzadko się modliłem, lecz tej nocy prosiłem go, by oszczędził moich towarzyszy, i zagroziłem mu przekleństwem, jeśli mi ich odbierze.

Szliśmy za cofającą się wodą. Otoczył nas smród zgnilizny. Grunt opadał pochyło. Szybko pojąłem, dlaczego kapitan Zuchwalec chciał kotwiczyć w najgłębszej części portu. Ustępujące fale obnażyły piasek i groźne skały w czasie przyływu zasłonięte wodą. Między wilgotnymi kamieniami przemykały kraby. Gdzieś pochwyciłem kątem oka błysk łusek rybki uwięzionej w kałuży.

Dotarliśmy do miejsca, które nigdy nie miało zostać całkiem odsłonięte.

– Teraz będziemy musieli się zamoczyć – uprzedziłem pozostałych.

– Nic nowego – odparł Niestrudzony dzielnie.

Weszliśmy do wody, starając się nie chlapać. Strzyk z sykiem wciągnął powietrze przez zęby, gdy woda naląła mu się do butów. Szliśmy dalej, wchodziliśmy głębiej:

po kolana, po uda, po pas. Fale zaczęły w nas uderzać, jakby chciały odepchnąć od miejsca, do którego zdążaliśmy.

Biały pałac na wyspie Clerres miał szlamowate, zielone korzenie. W bezpiecznej odległości od murów i łuczników zatrzymałem swoją grupę śmiałków. Tutaj otaczała nas ciemność, lecz dalej, zgodnie ze słowami Błazna, w kamiennych misach płonął ogień oświetlający brzeg wyspy. Przyglądaliśmy się mu skuleni.

– Teraz musimy poruszać się powoli. Nie chlapać. Nie odzywamy się, a jeśli już, to wyłącznie szeptem. – Ledwo dostrzegłem ich potaknięcia na tle nocy. – Zbliżyliśmy się poniżej oświetlonego poziomu. Powoli. To długa droga. I nie wiemy, czy znajdziemy to, czego szukamy. Może nam się nie udać. Jeśli ktoś chce zawrócić, teraz ma ostatnią szansę. Nie przyniesie mu to żadnej ujmę. Ja muszę iść.

– Aleś nas podniósł na duchu! – mruknął Strzyk.

Niestrudzony zachichotał.

– Po takiej mowie rzuciłabym się za księciem nawet w ogień walki – oznajmiła Skierka, szkaradnie wykrzywiając twarz.

– Chodźmy – powiedział chłopak.

Pałac został wzniesiony na półwyspie i dopiero potem odcięty od stałego lądu. Ci, co przekształcili cypel w wyspę, nie kopali głęboko. Niektóre fale pokrywały się białą pianą, uderzając w skały lekko wystające nad powierzchnię, znaczące dawne położenie lądu. Ukryliśmy się wszyscy pod książęcym płaszczem, by stworzyć nieokreślony kształt na wodzie. Strzyk i ja prowadziliśmy, spod krawędzi tkaniny wystawały nam tylko oczy. Skierka położyła dłonie na ramionach Strzyka, a Niestrudzony trzymał się mojego pasa. Posuwaliśmy się w jednym rytmie, stawiając kroki równocześnie, jakby w jakimś dziwacznym tańcu. Staraliśmy się nie powodować hałasu. Naszego stłumionego szeptu wartownicy na wieżach z pewnością nie słyszeli.

– Uwaga, tu jest niżej.

– Coś mi wlało do buta.

– Ćśśś! – To Strzyk.

Szepty ucichły. Brnęliśmy dalej. Woda wciąż odpływała. Spod kożucha wodorostów i pąkli zaczęła przezierać biała skała. W miarę, jak podchodziliśmy do brzegu, na którym stał pałac, woda stawała się coraz płytsza. Podkradaliśmy się, a ja prowadziłem, mając w pamięci skąpe wskazówki przekazane mi przez kruczycę. W wodzie po uda posuwaliśmy się wzdłuż skalistego brzegu. Dalej wyrastały z ziemi strome klify, a nad nimi baszty, z których roztaczał się widok na ląd i na wodę. Gdy stroma ściana ukryła nas przed wzrokiem strażników przemierzających się wolnym krokiem po murach, zwinąłem płaszcz i wetknąłem

pod ramię. Odpływ trwał.

– Co teraz? – tchnął Niestrudzony.

– Będziemy kierować się węchem.

To było ostrzeżenie.

Szliśmy dalej. Z płaszcza zaczęła skapywać woda. Każdy podwodny grzechot kamienia trąconego stopą, każdy ciężki oddech brzmiał w moich uszach niczym krzyk. Światła miasta przygasały. Powoli okrążaliśmy pałac.

Zapach, za którym podążałem, przybrał na sile. Ekskrementy i gnijące odpady. Niestrudzony prychnął z odrazą, po czym zakrył dłonią nos i usta. Strumień nieczystości wylewał się z twierdzy otwartym kanałem wyłupanym w skale. Słona woda chlupotała w nim z każdym ruchem morza. Fale rytmicznie obnażały otwór w murze, cuchnący i śliski.

– Głęboko tam? – spytał Niestrudzony z drzeniem w głosie.

– Jest jeden sposób, żeby się dowiedzieć – stwierdziłem bez entuzjazmu.

Usiadłem na krawędzi kanału, wodę miałem do pasa. Jedną nogę przełożyłem do środka koryta, opuściłem, ale w gęstym osadzie nie wyczułem dna.

– Daj rękę – poprosiłem Strzyka.

Ukląkł i podał mi dłoń. Uchwyciłem ją mocno i zsunąłem się w płynne odpady. Byłem mokry do pasa, jednak do tej pory moczyłem się w czystej morskiej wodzie. Tu natomiast, pod wodą, znajdowała się gruba warstwa szlamu. Zassało mi nogi, zamokłem po pierś. Tym razem w wodzie zmieszanej z pałacowymi nieczystościami. Smród dławił mnie w gardle, zimna woda ścisnęła płuca.

– Ciągłe mamy odpływ. Chyba uda się wejść. – Wystękałem. I podjąłem ostatnią próbę: – Żadne z was nie musi ze mną iść. To koryto zmieni się w tunel prowadzący w górę, do najniższego poziomu lochów. Droga nie będzie łatwa, a do tego w całkowitych ciemnościach. Tunel kończy się w pałacowym basenie na odpady.

– Mówiłeś to już, panie. W gospodzie, zanim poszliśmy spać – przypomniał Niestrudzony cierpko. – Wszyscy postanowiliśmy iść.

– Jeżeli pani Amber została schwytana, to pewnie zamknęli ją w lochach – dodała Skierka.

– Raczej tak.

– Chodźmy – odezwał się Strzyk. – Niedługo świt.

– Wobec tego zapraszam.

Jedno po drugim zsunęli się do kanału. Niestrudzony z drzeniem wciągnął powietrze, bo brudna woda sięgnęła mu prawie pod szyję. Rzędem ruszyliśmy naprzód. Wkrótce zostawiliśmy za sobą czyste niebo i morską bryzę, bo kamienna rynnna zmieniła się w tunel wykuty w skalistym brzegu. Nie było światła na drugim

końcu. Prowadziłem towarzyszy w smolistą czerń. Z wolna rynna stawała się coraz bardziej stroma. Idąc po zdradzieckim szlamie, musieliśmy uważać na każdy krok.

Wspinaliśmy się w ten sposób bardzo długo, stale w duszącym smrodzie. Ja prowadziłem, Niestrudzony trzymał się mojego pasa, za nim szła Skierka, na końcu Strzyk. W końcu dotarliśmy na szczyt. Zorientowałem się w tym, ponieważ natrafiłem dłonią na żelazną kratę. Zakląłem soczyście. Na szczęście pręty okazały się przezarte przez sól. Razem ze Strzykiem szarpaliśmy je tak długo, aż dwa poddały się i pękły. Przecisnąłem się przez wyrwę, zaczepiając gliniakami o sąsiednią żerdź. Moim towarzyszom poszło łatwiej. Staraliśmy się zachowywać jak najciszej, nie dyszeć w pozbawiającym oddechu smrodzie, nie zwracać uwagi na oblepiające nas brudy.

– Damy radę wrócić tą drogą? – zapytał Strzyk.

– Nie. W czasie przyptywu tunel będzie pod wodą.

Nie dociekał, jak uciekniemy z pałacu. Wiedział, że nie mam o tym pojęcia.

Ciągnęliśmy dalej, walcząc z nurtem niezbyt głębokiego strumienia wypływających z pałacu nieczystości. Zbiornik wciąż się opróżniał. Ślizgaliśmy się na odchodach, przyciskaliśmy jedno do drugiego, przeklinaliśmy cicho. I ciągle szliśmy. Wciąż prowadziłem. W nieprzeniknionych ciemnościach. Jedyłą wskazówką była oślizgła ściana, po której stale wiodłem prawą ręką.

Byle dalej.

Potem ukazał na się niewyraźny półokrąg żółtawego światła.

– Musimy przyśpieszyć – rzucił Niestrudzony bez tchu.

Rozumiałem go doskonale. Zaczynały mnie nękać skurcze, a z powodu wszechobecnego fetoru ledwo łapałem oddech.

– Nie wiemy, kogo tam spotkamy – przypomniałem chłopakowi.

Szliśmy nadal możliwie miarowym krokiem, po cichu. A światło nabierało mocy. Gdy stanąłem w łukowatym wylocie wielkiej kamiennej misy, w niemrawym świetle nakazałem towarzyszom gestem, by nie podchodzili bliżej. Zbiornik miał skośne dno, już pojawiły się w nim nowe ekskrementy i odpadki. Usłyszałem, że Strzykowi zrobiło się niedobrze. To, co uznaliśmy za światło, niewiele różniło się od mroku. Namacałem skorodowaną drabinkę. Żał mi było tych, co musieli schodzić do zbiornika, by oczyścić go szuflami. Odwróciłem się do Strzyka, dałem znak, by ruszał, a pozostałym kazałem czekać. Wkrótce stanął obok mnie, przy drabince.

– Wejść pierwszy, ty zaraz za mną. Jeśli na górze jest wartownik, damy mu radę.

Krótko skinął głową, ledwo dostrzegłem jego gest. Byłem na szóstym szczeblu, gdy zorientowałem się, że i on zaczął się wspinać. Wolno i ostrożnie piąłem się w górę, odsuwając od siebie myśli, jakich brudów dotykają moje dłonie. Wyżej

i wyżej. Światło nieco pojaśniało. W końcu ostrożnie wystawiłem głowę nad krawędź kamiennej misy i rozejrzałem się. Na drugim końcu długiego pomieszczenia płonęły lampy ustawione na półkach. Nie było tu żywego ducha.

Wypełzłem na szczyt kamiennej ściany i po chwili odkryłem stopnie prowadzące w dół, na podłogę. Oczywiście. Krawędź zbiornika musiała znajdować się wyżej niż poziom przyływu. Cuda myśli inżynierskiej. Przyływ napełniał basen wodą, a w czasie odpływu całość, razem z odpadami, wypływała do morza.

Strzyk już także znalazł się na krawędzi misy. Został tam, gdy ja, z nożem w ręku, zszedłem do lochu.

Poruszałem się jak najszybciej i możliwie najciszej. Niemal od razu dostrzegłem charakterystyczny element, o którym wspominał Błazen: stół, ze zwisającymi z niego łańcuchami. Zobaczyłem też duże palenisko. Okazało się całkiem zimne. Narzędzia ustawione obok na stojaku nie były przeznaczone do ognia. Minąwszy je, usłyszałem miarowy dźwięk. Przystanąłem, by się upewnić, że dobrze zgaduję, co to takiego. Chrapanie. Więźnia czy strażnika? Wtopiłem się w cienie pod ścianą i ruszyłem ostrożnie dalej.

Drewniany stół i ława przed celami. Śpiący wartownik, z głową złożoną na przedramionach, twarzą odwróconą ode mnie. Tylko jeden? Na to wyglądało. Ciszej niż kot na łowach podkradłem się bliżej. Jedną ręką chwyciłem śpiącego za włosy i podniosłem głowę, drugą poderżnąłem gardło nożem. Przycisnąłem dłonią usta kobiety, gdy jej ciało, drgając, zalewało stół krwią. I już. Wróciłem do Strzyka, wspiałem się po schodach na krawędź misy, by szepnąć mu do ucha:

– Była chyba tylko jedna osoba na straży, załatwiłem sprawę.

Gestem wezwał pozostałych, oboje po cichu wyszli z tunelu i ruszyli dnem zbiornika. Skierka wspięła się po drabinie szybko i zręcznie. Niestrudzony dojrzał coś, zdusił okrzyk, po czym wskazał zwłoki, leżące na plecach, w cuchnącym gnoju pod przeciwległą ścianą kamiennej misy. Trudno było powiedzieć, że trup pływa. Po prostu tam tkwił. Podeszedłem w jego stronę po krawędzi, stanąłem nad nim, spojrzałem w dół.

– Ani Błazen, ani Pszczoła – zapewniłem.

Ciało było równo powleczone cuchnącym brudem. Za ciężkie i za duże, by je zabrał odpływ. Jedną stronę napuchniętej twarzy znaczyła potworna blizna.

– Ciało jak ciało – powiedziałem miękko, bo chłopakowi oczy płonęły z przerażenia. – Trup nas nie skrzywdzi. Wrzucili zwłoki do odpadów... Może to Symphe?

Nie było nad czym się zastanawiać. Jak powiedziałem, trup nas nie skrzywdzi. Groźna mogła natomiast okazać się nieuwaga.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Niestrudzony ze zdumieniem.

– Na najniższym poziomie twierdzy. W lochach. Tuż nad poziomem przypływu.

Nawet w marnym świetle przedstawialiśmy żałosny widok – ociekający wodą, z nogami pokrytymi śmierdzącym szlamem. Skierka była blada z obrzydzenia. Strzyk usiłował się choć trochę oczyścić i wyraźnie powstrzymywał mdłości. Niestrudzonemu przy każdym kroku chlupotało w butach. Ściągnął je, opróżnił i potwornie skrzywiony włożył na powrót. Uznałem, że powinienem zrobić to samo, Strzyk także poszedł w moje ślady. Strząsnęliśmy z nóg tyle brudu, ile tylko się dało. Skierka, przebrana za narzeczoną, miała na stopach pantofelki. Zsunęła je, otrząsnęła i wyrzuciła. Ruszyliśmy dalej.

Poprowadziłem ich obok stołu, z którego skapywała krew bezwładnie leżącej strażniczki. Cicho weszliśmy w ciemność. Odnalazłem kraty, potem cele. Zajrzałem do pierwszej. Zobaczyłem przewrócony nocnik oraz goły materac. W drugiej to samo. Na widok trzeciej zakręciło mi się w głowie. Ujrzałem to, czego najbardziej się obawiałem: Błazen, pobity i zakrwawiony, leżał nieruchomo na sienniku rzuconym na ziemię. Jedną rękę miał wyciągniętą w naszą stronę, dłoń odwróconą wnętrzem do góry pustą. Patrzyłem na niego, czekając na poruszenie piersi oddechem.

Widziałem tylko bezruch.

Rozdział 33

Świece

I oto przybywa niebieski jeleń w koronie. Budzi kamień. Jeśli zdoła, pojawi się wilk. Złoty człowiek prowadzi wilka na łańcuchu, co idzie mu do sera. Jeśli złoty człowiek przyprowadzi wilka, kobieta rządząca w lodzie poniesie porażkę. Jeśli ona poniesie porażkę, razem z nią umrze prawdziwy prorok, ale z lodu powstanie czarny smok. O tym śniłem, lecz takie sny miałem tylko dwa.

Siedem razy śniłem, że niebieski rogacz pada, zalewając się szkarłatną krwią. Kamień się nie budzi, a tamta kobieta zostaje królową lodu. Prawdziwy prorok zmienia się w marionetkę, upada na zeschnięte liście głęboko w lesie. Porasta mchem i zostaje zapomniany.

Sykorn, Biały z linii Porgendine, zapis nr 472

Ptak odleciał, zostałam sama. Kręciło mi się w głowie i czułam mdłości. Musiałam się położyć. Zamknęłam oczy. Chyba nie spałam. Przecież jak bym mogła? A jednak gdy ponownie zaczęłam słyszeć otoczenie, zdałam sobie sprawę, że więźniowie przyciszonymi głosami zadają pytania:

- Czy to był Ukochany? Zdawało mi się, że nie żyje.
- Jak mocno jest zraniona Kapra?
- W czym zawinił Prilkop? Czy zamierzają go ukarać?

A później:

- Chyba nikt nam dzisiaj nie przyniesie jedzenia...
- Czy ktoś zapali lampy?
- Straż? Straż! Co z naszym jedzeniem?

Wszystkie pytania pozostały bez odpowiedzi.

Światło późnego dnia, wpadające do celi przez ażurową ścianę, stopniowo traciło blask, aż w końcu zgasło. Wyjrzałam na zewnątrz. Widziałam nad murami zamku fragment nocnego nieba. Razem z ciemnością napłynęło chłodniejsze powietrze. Siedziałam na sienniku i czekałam. Potem szukałam piórka, lecz gdzieś zniknęło. Kruki są czarne. Dlaczego śniło mi się czerwone pióro i srebrny dziób? I czerwony smok. Bez sensu.

Jakiś czas rozmyślałam o kruczycy. Niesłychana. Przyleciała, powiedziała o Trudzie, o tym, że nie mógł przyjść. I odleciała.

Czerwony smok nadciąga.

Czy mnie się to wszystko śniło?

„Wilku-ojcie? Dlaczego kazałeś mi powtórzyć, że wyjście jest wejściem?”

„Żeby pojął, jak się do nas dostać”.

„Kto? Niestrudzony?”

„Nie. Twój ojciec. Skoro Błazen tu dotarł, twój ojciec musi być niedaleko. Sięgałem ku niemu, ale skutecznie chronisz umysł”.

„Tata? Pewien jesteś? Mogę usunąć ochronę...”

„Nie!”

Opanował mnie dygot i już nie mogłam przestać się trząść. Czy to możliwe? Po tylu miesiącach, po tym, jak mnie odepchnął?

„Przybył mnie uratować? Pewien jesteś? Wiesz na pewno, że tata jest blisko?”

„Nie” – wybrzmiało słabo.

Jego obecność rozwiewała się, podobnie jak moja nadzieja.

Starannie rozważyłam, co wiem.

Ukochany dotarł do naszych cel. Na pewno. Przybył mi na ratunek, ale wskórał niewiele, właściwie tylko pogorszył sytuację. Wymierzą mu chłostę, umrze. Prilkop też. My, więźniowie, nie dostaniemy jeść, bo zabił strażniczkę, która o nas dbała, a Felodi nie pomyślał, by wyznaczyć kogoś na jej miejsce. Czy Kapra straciła życie? Czy Vindeliar i Kultri przekonają Felodiego, że trzeba mi odebrać życie? Możliwe, że to właśnie Kapra przeciwstawiała się im w tej kwestii. Jeśli nie żyła albo była ciężko ranna, mogli po mnie przyjść. I zabić.

Czy Prilkop jeszcze żył? Powiedział, że będzie umierał długo. Czy ja też będę długo umierała? Uznałam to za bardzo prawdopodobne i ta myśl mnie przeraziła. Wstałam. Serce waliło mi jak młotem. Przycisnęłam dłonie do ust. Potem zmusiłam się, by na powrót usiąść. Jeszcze nie teraz. Na razie wydawało się to niewłaściwe.

Próbowałam poukładać myśli. Kruk był prawdziwy, bo wilk-ojciec kazał mi z nim rozmawiać.

O ile wilk-ojciec był prawdziwy.

Jeszcze raz, od początku. Co wiedziałam z całkowitą pewnością? Vindeliar i Kultri chcieli mnie zabić. Jeżeli przekonają Felodiego, postawią na swoim.

W ten sposób zostawała tylko moja ścieżka. Ta, przed którą Prilkop mnie przestrzegął.

Inna nie istniała. Tylko tę znałam na pewno. Nie mogłam polegać na gadającym ptaku czy płonnej nadziei, że mój ojciec znajduje się gdzieś w pobliżu. Liczyłam

się tylko ja. Mogłam polegać wyłącznie na sobie. Sama dla siebie byłam jedynym ratunkiem i ścieżką, na którą przelotnie zerknęłam, stała się nagle moją właściwą drogą.

Żal mi się zrobiło życia. Wiedziałam, że wszystko skończone. Już nigdy nie usiądę przy stole w Białym Gaju, nie będę przyglądała się, jak z mąki i wody powstaje chleb. Nigdy więcej nie podkradnę ojcu zwojów ani się z nim nie posprzeczam. Nie wrócę do kryjówki między ścianami dworu, gdzie pomieszkiwał kot, który do mnie nie należał. Szybko minęły tamte czasy. Gdybym wtedy wiedziała, jakie były dobre, cieszyłabym się nimi całym sercem. Ale Prilkop się mylił. Nie miałam wyboru. Dwalia odebrała mi wszelkie możliwości, gdy mnie porwała i sprowadziła tutaj. Nie pozostawiła mi wyboru.

Niemądre to było, jednak ogromnie pragnęłam powiedzieć mu, że się mylił. Znowu z nim porozmawiać. Podejrzywałam jednak, że był już martwy. Mimo to zaczęłam szeptać, jakbym do niego mówiła:

– Nie miałeś racji, Prilkopie. Kłopot nie w tym, że zapominamy przeszłość. Problem polega na tym, że ją zbyt dobrze pamiętamy. Dzieci wiedzą, jakie zło wróg wyrządził ich dziadom, i winą za te uczynki obarczają wnuki dawnego nieprzyjaciela. Przecież nie rodzą się z pamięcią o tym, kto obraził ich matkę, zabił dziadka lub zrabował ziemię. Wpaja im się nienawiść, uczy je wrogości, każe dyszeć zemstą. Gdyby dorośli nie przekazywali następnym pokoleniom zadawnionych żalów i niechęci, może wiodłoby nam się lepiej? Może Królestwo Sześciu Księstw nie miałoby wroga w krainie Miedzi? Czy szkarłatne okręty napadłyby na nas, gdyby Zawyspiarze nie pamiętali, co nasi przodkowie uczynili ich dziadom?

Zasłuchałam się w ciszę, która nastąpiła po moim ostatnim pytaniu.

Minęła północ, było bliżej do świtu. Nastąpił czas na realizację planu. Czas, by skierować świat na lepszą drogę.

Znalazłam nieznaczące rozcięcie szwu w sienniku i wyłuskałam ze środka nóż oraz połączone cztery klucze, starannie związane. Rozdzieliłam je. Dobrze, że potrzebowałam tylko dwóch, bo strasznie dziwnie było sięgać przez kraty, by włożyć je w określonym porządku w odpowiednie otwory, a następnie poprzekręcać. I tak długo trwało, nim sprawdziłam, które dwa są tymi właściwymi. Bardzo cicho, szalenie ostrożnie, zrobiłam, co należało, i w końcu przesunęłam skobel. Uchyliłam drzwi z prętów zaledwie na szerokość dłoni. W korytarzu nie zobaczyłam nikogo.

Starannie zamknęłam celę na wszystkie cztery spusty. Trochę to potrwało.

Przez długi czas morskiej podróży z Vindeliarem ćwiczyłam się w sztuce powstrzymywania myśli. Dlatego też teraz, bezdźwięcznie sunąc korytarzem pomiędzy dwoma rzędami cel, umysł miałam pusty, niemal całkowicie. Dostrzegałam

wyłącznie przedmioty najzwyklejsze: oto kafle na podłodze. Klamka. Drzwi. Nie są zamknięte na klucz. Cicho, cichutko. Coś pod stopą... Och. Krew strażniczki. Idź dalej. Na schody. Przyszłość, ku której zmierzałam, rosła, wyostrzała się, jaśniała. Z każdym krokiem zyskiwałam większą pewność. Ale tłumiałam ją i rozwijałam swoją prawdziwą ścieżkę dyskretnie, po cichu. Zamiast o niej myślałam o zapachu świecy zrobionej przez matkę. O ojcu. O tym, jak co noc gorliwie zapisuje swoje myśli i niemal noc w noc rzuca zapiski w ogień.

Bezszelestnie zesłam po schodach prowadzących do korytarza z magazynami snów. Uchyliłam drzwi i ostrożnie wyjrzałam. Półmrok. Opaste lampy. Nie! Niewłaściwe myśli. Zniewalająca woń lasu iglastego. Jakże cudownie pchnie ta oliwa! Nikogo w zasięgu wzroku. Ruszyłam pośpiesznie między ścianami z drewnianych paneli. Ani razu nie podniosłam wzroku na oprawione w ramy portrety i krajobrazy. Dotarłam do drzwi pierwszej biblioteki. Wsunęłam się do wnętrza czujnie – a nuż ktoś tu jeszcze siedział przy pracy? Nie. Cisza i ciemność. Bo na noc zgaszono lampy. Zaczekałam, aż oczy mi przywykną do mroku. Niewidoczne wysokie okna w tylnej ścianie teraz przepuszczały blask gwiazd i księżycy. Będzie mi ono musiało wystarczyć.

Czekało mnie skomplikowane zadanie. Z wyciągniętymi na boki rękoma ruszyłam pomiędzy regały i stojaki. Ściągałam na ziemię zwoje, księgi, luźne arkusze papieru. Zaścielały podłogę szeleszczącym dywanem, a ja wchodziłam coraz głębiej w ogród snów, jakbym była pasiastym owadem, latającym nad łąką obfitującą w pełne nektaru kwiaty. Stare, trzeszczące zwoje i nowiutkie kartki, welin oraz księgi oprawione w skórę. Na ziemię! Na ziemię bez różnicy, aż w labiryncie regałów półek i stojaków powstała ścieżka ze snów.

Musiałam wejść na krzesło, by dosięgnąć ustawionej na półce lampy. Okazała się bardzo ciężka; gdy ją dźwignęłam, rozlałam trochę oliwy. Woń lasu. Narzuciłam sobie myślenie o żyznej glebie i przywołałam wspomnienie matki. „Chwasty trzeba wyrwać porządnie. Wyciągać całe, razem z korzeniami. W przeciwnym razie bardzo szybko znowu wyrosną. W dodatku silniejsze. Będziesz miała podwójną robotę. Albo ktoś będzie musiał wykonać pracę za ciebie”.

Postawiłam lampę na podłodze, przechyliłam jak dzbanek i ciągnąc za sobą, wędrowałam między rzędami półek, wśród stojaków, po zwojach, książkach i arkuszach. Podlewałam swoją ścieżkę opadłych snów. Gdy oliwa w lampie się wyczerpała, przeszłam przez bibliotekę raz jeszcze, ponownie ściągając na ziemię wszystko, co wpadło mi w ręce, a zbiory nasiąkały płynnym tłuszczem. Kolejna półka z lampą. Znowu musiałam wdrapać się na krzesło, znowu rozlałam oliwę, ponownie zarzuciłam ją przepowiedniami. Regały zrobiono z doskonałego drewna.

Z przyjemnością spostrzegłam, iż oliwa gromadzi się pod nimi. Trzecia lampa pozwoliła mi zmoczyć wszystkie możliwe wersje przyszłości, a wówczas uznałam, że w tym pomieszczeniu moje zadanie zostało wykonane.

Myślałam o matczynym ogrodzie, gdy na wpół niosłam, na wpół ciągnęłam krzesło na korytarz. Och, wiciokrzew... Doskonale pamiętałam jego zapach. Ujęłam w dłoń połowę świecy mojej matki. Taka zniszczona... Kiedyś była gładkim, równym, pięknym stożkiem pszczelego wosku... Teraz – wyszczerbiona, pooblupywana, wosk brudny, najeżony nitkami z ubrania... No nic. Palić się będzie na pewno.

W korytarzu półki z lampami znajdowały się wyżej niż w bibliotece. Ledwo dosięgłam płomienia knotem. Zapaliłam go między dwiema częściami. Potem od jednej strony zdusiłam płomyk, a drugą część osłoniłam skulonymi dłońmi i zaniiosłam do magazynu snów. Gdy nakapałam wosku na podłogę, czułam się, jakbym zegnała przyjaciela. Ustawiłam stożek w gorącej kałuży, przykleiłam do podłogi: musiałam zyskać pewność, że nigdzie się nie potoczy. Był wysoki na szerokość kciuka. Gdy zmaleje, oliwa zajmie się od płomienia. Niezbyt dużo czasu.

„Co robisz?”

Vindeliar niczego nie rozumiał. I był tak niezdarny, że pozwolił swoim zdziwionym myślom musnąć mój umysł. Sięgnęłam ku niemu, jak gdybym się go nie bała. Zaokrągliłam przesłanie na krawędziach, wyraźnie rozespana.

„Ogród matki. Oszałamiający zapach wiciokrzewu w gorący letni dzień. Niedalekie sosny, słodki oddech”.

Odetchnęłam głęboko, powoli i wyobraziłam sobie, jak przekręcę się na drugi bok na cienkim sienniku w celi. Powlokłam wszystko sennością i wsunęłam swoją świadomość w jego zmysły.

Już nie znajdował się w celi, a w komfortowo urządzonej komnacie. Ach, u Kultriego. Na języku miał smak przedniej okowity, lecz wcale go to nie cieszyło. Rany posmarowano mu maściami i zabandażowano. W ustach zostało wspomnienie jakiejś sycącej, słodkiej potrawy. Żołądek miał od niej ciężki i wypchany. Ale to jeszcze nie koniec przyjemności. Nie mógł doczekać się dalszego ciągu.

Strach napłynął mi do brzucha niczym lodowata woda. Znałam ten rodzaj pragnienia. Wiedziałam, na co czekał. A przecież miałam nadzieję, że nic nie dostanie, skoro nic nie zostało.

Nie zachowałam ostrożności.

„A wcale że nieprawda! Kapra miała schowane jeszcze cztery fiołki! I już nie może nam ich odmawiać. A kiedy dostanę, czego mi trzeba, wtargnę w twoją główkę magią i nic na to nie poradzisz! Zrobisz, co ci każę! Będę najsilniejszy!”

Nikt mi się nie sprzeciwi! Każę ci umrzeć, jak ty kazałaś Dwalii! Albo nie, właśnie że nie. Mam lepszy pomysł! Umrzesz śmiercią zdrajcy! Robaki będą cię zjadać od środka, aż oczy zaczną ci krwawić i będziesz błagała o śmierć!”.

Ryczał całą mocą, nie dbając o to, czy mnie obudzi. Wzmocniłam ochronę umysłu, więc jego groźby i przechwałki nie były w stanie jej przeniknąć, choć dobijał się i skrobał po niej pazurami. Och, jakże on mnie teraz nienawidził... Nienawidził wszystkich! Bo wszyscy go skrzywdzili, zawiedli, zdradzili! Ale zemsta będzie słodka. I nastąpi wkrótce!

Wiciokrzew i pszczoły. Owady w bajecznym krzewie różanym brzęczące tak głośno, że nie słychać niczego innego. Tylko pszczoły. W najdalszym zakamarku umysłu ucieszyłam się cichutko, że nie tkwię już zamknięta w celi. Podjęłam słuszną decyzję.

„Kultri! Kultri, słuchaj mnie! Ta szczeniara wydostała się z celi! Przeszukać ogrody i chatki! Sądzi, że jest cwana, ale czuje zapach kwiatów, dlatego wiem, gdzie jej szukać! Prędko! Przygotujcie dla niej śmierć przeznaczoną dla zdrajców! Złapcie ją i zróbcie, co trzeba!”.

„Jestem z uzdrowicielem i Kaprą w wieży. Dała mi eliksir węża. Przyniosę ci”.

„Świetnie, doskonale! Tylko wyślij strażę na poszukiwanie! Powiedz im, że uciekła! Jestem tego pewien! Niech zaczną od przeszukania ogrodów i nie wolno im spocząć, póki jej nie znajdą. Ona jest groźna! Nawet nie wiecie, jak bardzo!”.

Stałam nieruchomo. Wzmocniałam mury wokół umysłu. Czy zdołam powstrzymać atak Vindeliara, gdy wzmocni swoją magię eliksirem? Nie wiedziałam.

Czas uciekał. A wciąż jeszcze miałam wiele do zrobienia.

Niczym wiatr pomknęłam do następnych drzwi, za którymi znajdowała się biblioteka. Weszłam do tego wnętrza równie ostrożnie, jak do poprzedniego, jednak i tutaj przywitały mnie pustka i mrok. Powtórnie zostawiłam za sobą węzowatą ścieżkę zwojów. Tym razem szło mi sprawniej, nie walczyłam z ciężkimi tomiszczami. Zostawiałam je na półkach, gdyż doszłam do wniosku, że i tak spłoną, gdy osiągną ich rosnące w siłę płomienie. Pod solidnym drewnianym stołem, ustawionym na grubym dywanie, usypałam stertę zwojów i arkuszy. Znów podsunęłam krzesło pod drzemiącą lampę. Rozlewając oliwę wokół regałów, pozwoliłam, by jej woń napełniła mi umysł bez reszty. Ta sala okazała się większa od poprzedniej. Szkoda, że nie trafiłam najpierw tutaj. Kolejna lampa była wyjątkowo ciężka. Podlałam obficie stoły i krzesła, starając się równocześnie oszczędzać ubranie. Nie do końca mi się to udało, bo oliwa niekiedy pryskała mi na nogi.

Vindeliar tropił moją świadomość. Myślałam o płaskim sienniku w celi. O słomie, którą w nim zaszyto, o tym, jak pode mną szeleściła. Przywołałam zapach kurzu.

Myślałam wyłącznie o zapachu słomy i kurzu. O tym, jak mnie kłuły połamane źdźbła przez szorstką tkaninę. Pozwoliłam, by cieniutki strumyczek tych myśli przesączył się do Vindeliara. Zagustował w tym wrażeniu, więc dałam mu się nim ponapawać. W odległym wołaniu do Kultriego usłyszałam rozkaz, by kolejne strażę wysłał do cel na dachu. Delikatnie odsunęłam się od jego umysłu.

Z trzecią lampą sobie nie poradziłam. Zachwiałam się, gdy ją zdejmowałam, przechyliła mi się w rękach, oliwa przemoczyła mi ubranie, w dodatku od tej chwili miałam śliskie dłonie. Bardzo trudno mi było trzymać naczynie, a jeszcze trudniej myśleć w tych warunkach o wiciokrzewie czy płonących szczapach sosnowych. Gdy w końcu rozlałam całą zawartość lampy, raz jeszcze przeszłam po własnych śladach, zrzucając kolejne zwoje i – tym razem – także księgi z półek i ze stojaków. Nasiąkały aż miło. Ciemniały w oczach.

Vindeliar ciągle się chełpił. Nie podobał mi się triumf w jego głosie, lecz nie śmiałam poświęcić lurikowi nawet jednej myśli. Wyjście jest wejściem. Nie wolno mi było zwracać uwagi na jego wrzaski. Moje myśli zajmował wiciokrzew. I wyrywanie chwastów, dokładne, razem z korzeniami. Trzeba się przyłożyć do tej pracy, bo inaczej odrosną. Pieliałam ogród matki. Chwytałam liście razem z łodygą, ciągnęłam wolno i równo, aż cały żółty korzeń wychodził z ziemi.

Dłoń ześlizgnęła mi się z klamki, trudno było ciągnąć krzesło z litego drewna. Jego nogi skrzeczały, szorując po podłodze. Nie mogłam nic na to poradzić. Wdrapałam się na siedzisko. Druga część świecy była krótsza. Musiałam stanąć na palcach, wyciągnęłam rękę wysoko nad głowę i czekałam, czekałam, czekałam nieskończenie długo, aż knot zajmie się płomieniem.

„Dopadną cię! Właśnie po ciebie idą! Umrzesz śmiercią przeznaczoną dla zdrajcy! Wypaliłem to w ich umysłach, tak samo jak Kultriemu. Nie zrezygnują, póki cię nie znajdą!”.

„Spóźniłeś się”.

Nie powinnam była wypuścić tej myśli, ale... och, jakąż mi sprawiła ogromną przyjemność! Pokazałam mu płomień, podsunęłam zapach wiciokrzewu, który razem z matką zebrałyśmy i zmieszałyśmy z woskiem. A potem pchnęłam w lurika, z całej siły, smrodem płonącej Symphe.

Poślizgnęłam się, schodząc z krzesła. Świeca wypadła mi z ręki, potoczyła się, niedaleko. Rzuciłam się za nią, płomień liźnął mi dłoń powleczoną oliwą, ale się nie rozpałił. Nogi też miałam oblane wonnym paliwem, więc do biblioteki wróciłam, nie odrywając bosych stóp od podłogi. Tym razem nie zostawiłam świecy przyklepionej do podłogi. Weszłam pod ten stół, pod którym usypałam stertę z papierów, ten, co znajdował się prawie na środku pomieszczenia, i tam podłożyłam ogień. Cztery

rzędy regałów dalej kucnęłam i podpaliłam inną furę przepowiedni. Przy trzeciej aż podskoczyłam, gdy błyskawicznie zajęła się ogniem, a płomienie uciekły ode mnie, podążając szlakiem ściągniętych z półek zwojów. Pobiełam do wyjścia, ścigając się z huczącym ogniem. W progu stanęłam, odwróciłam się do huczącego żywiołu.

– Żegnaj, mamó – powiedziałam, stawiając jej ostatnią świecę na zwoju przesiąkniętym oliwą.

Płomienie dotarły już wysoko, lizały drewniane półki i stojaki, biegły wąskimi przejściami między regałami. Panował taki żar, że papier na drugim, trzecim, a nawet na czwartym poziomie półek brązował, chrzęścił i zaczynał się palić. Podniosłam wzrok. Pod sufitem przewalały się gęste kłęby dymu, niczym utopione węże ciągnięte przez odpływ.

Stałam tak jakiś czas, plecami do drzwi, patrząc na rozszały żywioł, wciągając w płuca opary i dym, czując na skórze coraz bliższy żar. Nadpalone fragmenty przepowiedni frunęły na falach gorąca. Wznosiły się wysoko, po czym, na podobieństwo gołębi wracających do domu, osiadały na najwyższych półkach, zanosząc ułożonym tam papierom błyszczące iskry.

Napałam na drzwi z całej siły, ledwo je otworzyłam. Gdy do pomieszczenia wpadło powietrze, ogień zagrział mocarnie. Wskoczyłam na korytarz, bałam się, że zapalą mi się ręce, nogi i ubranie. Świeca w pierwszej bibliotece najwyraźniej wywiązała się ze swojej roli, bo drzwi dygotały, jakby ktoś łomotał w nie z całej siły. Przy framugach wydostawały się cienkie macki dymu. Kojarzyło mi się to z psim oddechem w zimowy dzień.

Stałam bez ruchu zawieszona w równowadze chwili. To był moment mojej doskonałości. Znajdowałam się w miejscu przeznaczenia, wykonałam zadanie, dla którego przyszedłam na świat. Gdy tylko się ruszę, przyszłość na nowo wpadnie w wir przemian. Teraz jednak, w tym momencie perfekcji, byłam spełnieniem przeznaczenia. Może przetrwam. Chciałam żyć, lecz tylko pod tym warunkiem, że wymknę się z rąk Sług. Jeżeli przeżycie równało się egzystencji w niewoli, jeśli miałabym uniknąć śmierci teraz jedynie po to, by mnie zabili w sposób przewidziany dla zdrajców, gdybym za sprawą przetrwania miała znowu widzieć Vindeliara... Nie. Wiedziałam, jak wygląda taka śmierć. Pamiętałam tamtą nieszczęsną dziewczynę pożeraną od środka przez pasożyty, krwawe łzy płynące jej z oczu. Gdybym musiała wybierać między śmiercią a schwytaniem, wybrałabym śmierć. Na tę myśl serce zabiło mi szybciej, a przy każdym uderzeniu narastała we mnie świadomość, że podejmuję decyzję. Ruszać się albo nie ruszać. Wbiegnę do sali bibliotecznej, gdzie pochwyci mnie ogień. To i tak śmierć znacznie szybsza niż ta, którą zgotują mi Słudzy. Płakać, nie płakać. Biec w lewo, skręcić w prawo. Uciec z powrotem

do celi, zamknąć się w niej na cztery spusty. Ukryć się w ogrodzie. Miałam wiele możliwości, a z każdej brały początek niezliczone postacie przyszłości.

Ogień był gorący. Czułam zapach płonącego drewna, drzwi się paliły, nawet widziałam, jak drewno ciemnieje. W korytarzu też zrobiło się znacznie goręcej. Jak wielkie szkody wyrządziłam?

Krzesła, które wyciągnęłam na korytarz, wciąż czekały pod półkami na lampy, tam gdzie zapalałam świecę. Tę, co wyszła spod ręki mojej matki, tę, dzięki której wypleniałam ze świata zło aż do korzeni. Teraz już nic z niej nie zostało. Przyszło mi jednak do głowy, że mogę zrobić coś więcej. Nie marnować czasu na myślenie o niczym. Wdrapałam się na bliższe krzesło.

Dno lampy było grube. I tylko trochę nagrzane. Miałam oliwę na rękach i na ubraniu. Jedno dotknięcie płomienia, a zacznę tańczyć i wrzeszczeć jak Symphe.

„Śmiało. Ale ostrożnie. I uciekaj”.

Podpowiedź wilka-ojca zaszeleściła ledwo słyszalnym szeptem i uświadomiła mi, że beztrąsko zaniedbałam ochronę umysłu. Poczulałam ohydny smak węzowego eliksiru w ustach Vindeliara.

„Nie myśl o nim. Wzmocnij mury”.

Sięgałam do lampy tylko jedną ręką, i to pod warunkiem, że wspięłam się na palce. Pchnęłam. Nic.

„Jeszcze raz”.

Usłyszałam zgrzyt glinianego dna szorującego o drewnianą półkę. Pchnęłam znowu. Nic nie drgnęło. Zakręciło mi się w głowie. Popatrzyłam w głąb korytarza. Był zadymiony. Chciałam zeskoczyć z krzesła, ale raczej z niego spadłam.

Ogień huczał tuż przy progu. Drzwi rytmicznie, z głuchym łoskotem dygotały we framugach. Drewno wyraźnie poczerniało. Wkrótce płomienie wydostaną się na korytarz. Czy uda mi się rzucić krzesłem w lampę? Mogłabym ją w ten sposób stłuc albo zrzucić z półki... w tej samej chwili język ognia wydostał się nad framugę pierwszych drzwi. Zostawił nad nią ciemny ślad liźniętego żarem drewna.

Odeszłam stamtąd. Przeszłam do kolejnych drzwi i je otworzyłam. Stałam w progu. Patrzyłam z trwogą i rozczarowana. Jeszcze więcej zwojów. Następne księgi oraz arkusze papieru. Sny – skrupulatnie zapisane i starannie poukładane, gotowe do wykorzystania.

Nic z tego.

„Nie masz czasu!”.

– Ależ mam – poprawiłam go. Właśnie po to się tutaj zjawiłam. Tę przyszłość miałam stworzyć. To jest mój czas, czas dla mnie. Moja ścieżka tu się zaczyna. Muszę to zrobić.

Tym razem działałam mniej starannie. Pościagałam i pospychałam zwoje oraz książki. Jedna z lamp w sali stała na stole. Oliwy była w niej połowa. Ściągnęłam ją na podłogę usianą zapiskami. Drugą zepchnęłam z półki: huknęła o posadzkę i rozbiła się w drobny mak, a oliwa prysnęła na gobelin i oblała bok jednego z regałów. Dobrze. Doskonale. Teraz jeszcze ogień. Zwinęłam trochę papieru w tubę, wyszłam na korytarz.

Dym. Zakaszlałam. W głowie mi się zakręciło.

„Uciekaj! Ale już!” – Wilk-ojciec przebił się przez mury chroniące mój umysł. – „Musisz się stąd wydostać!”

Miał rację. Usłyszałam donośny trzask, ogień ryknął głośniej.

Ależ oczywiście! Przecież w salach były lampy. Oliwa z tych lamp również podsycala ogień. Wypuściłam z ręki zwinięte arkusze. Nagle zapragnęłam żyć. Zatęskniłam za szansą na ucieczkę, na przetrwanie. Ruszyłam ku schodom. Obejrząwszy się przez ramię, zobaczyłam kłębiący się pod sufitem gęsty siny dym. Panele nad pierwszymi drzwiami stały w ogniu.

Raptem drugie drzwi odskoczyły na zawiasach. Ze środka buchnęły płomienie. Lampa stojąca na półce nieopodal zsunęła się ze swojego miejsca. Oliwa spłynęła po ścianie, zalała podłogę. Płomienie wyszły za próg, zatańczyły na tłustej kałuży. Ogień pieścił ściany obłożone drewnem.

Požoga odetchnęła głębiej i cisnęła we mnie ścianą ukropu. Rzuciło mnie do przodu, bezwładnie wylądowałam na posadzce. Huknęłam o kamień łokciami, kolanami, brodą. Ugryzłam się w język. Z bólu gwałtownie wciągnęłam powietrze, lecz się nim zadławiłam. Zamrugałam, z oczu ciurkiem płynęły mi łzy. Wzięłam się w garść, wstałam. I niemal natychmiast ponownie wylądowałam na ziemi. Nade mną zawisł gruby tuman parzącego dymu. Leżałam, ledwo dysząc.

„Pełnij. Do schodów. Musisz wyjść”.

Usłuchałam.

Rozdział 34

Dym

Widzisz, Bastardzie, po śmierci brata zostałem sam jak palec. Nawet nie przypuszczałem, że istnieje tak dojmująca samotność. Roztropny był moim władcą, rzecz jasna, a także zleceńdawcą, jednak w te godziny, gdy zamek usypiał, a my we dwóch toczyliśmy rozmowy przy kominku w jego sypialni, był także moją bratnią duszą.

Niewielu miałem w życiu przyjaciół. W czasach, gdy tkwiłem między murami twierdzy, poznałem kilku ważnych szpiegów i spotykałem się z nimi, często w przebraniu. Być może właśnie z powodu owej izolacji zwykłem zbyt mocno polegać na Twoim towarzystwie. Czy byłem zazdrosny o Twoje przyjaźnie i miłości? Nie. Lepszym określeniem będzie „zawiść”. Nawet wówczas, gdy wyszedłem spomiędzy ścian i zamieszkałem w Koziej Twierdzy jako wielmożny pan Cierń, trudno mi było szczerze się z kimś zaprzyjaźnić, gdyż cała moja przeszłość musiała pozostać tajemnicą.

Przyjrzyj się swoim bliskim osobom przez pryzmat tamtych dni. Ile z nich wiedziało, jak naprawdę żyłeś, co robiłeś i do czego byłeś zdolny?

Wyimek z pisma Ciernia do Bastarda Rycerskiego Przezornego

– Błaźnie...

Niewyraźne słowo z trudem wydostało mi się na usta. Patrzyłem w czeluść celi, widziałem bladą twarz, zamknięte oczy, biel wyciągniętej ręki, i zrozumiałem, że wykorzystał okazję, którą mu sam stworzyłem, wybrał miłosierny, szybki kres. Czerń zaczęła zaćmiewać mi wzrok. Nie potrafiłem ani odezwać się, ani odwrócić wzroku. Obdarowałem go śmiercią. A on ją przyjął. Teraz przyszliśmy. Moglibyśmy go ocalić. Dlaczego to zrobiłem?!

Usłyszałem niegłośny brzęk metalu o metal.

– Dajcie tu światło – zażądała Skierka cicho.

Obróciłem głowę. Stała tuż przy mnie, już zdążyła wyjąć wytrychy i zaatakowała bardzo stary zamek. Po chwili zjawił się Strzyk z opasłą lampą w rękach. Z łoskotem postawił ją obok dziewczyny. Niewiele jej to pomogło, jednak robiła, co mogła.

A ja przyglądałem się Błaznowi w migotliwym świetle. Krew na twarzy. Umarł sam, w celi. Może to lepsze niż tortury, których tak bardzo się bał, jednak jakoś nie czułem ulgi.

– Daj spokój – szepnąłem do Skierki. – Już za późno. Musimy szukać Pszczoły. Pszczoła, powtórzyłem w myślach.

Trzeba myśleć wyłącznie o Pszczole.

Ale Skierka właśnie stęknęła, napierając na dwa wytrychy włożone z dwóch boków i zamek się poddał. Odruchowo pchnąłem drzwi na oścież, wszedłem do celi i stanąłem nad przyjacielem. Czy musiałem zostawiać tu jego ciało? A czy mogłem postąpić inaczej? Pozostała trójka skupiła się za mną. Pod ich spojrzeniami pochyliłem się, by zetrzeć krew z twarzy martwego druha.

Nocnik minął moją głowę o włos. Świsnął mi przy uchu, po czym z grzechotem rąbnął w ścianę. Odskoczyłem do tyłu, lecz Błazen i tak mnie dopadł, celując paznokciami w oczy. Złapałem go, przycisnąłem do siebie.

– Błaźnie! To ja! Błaźnie!

Jeszcze przez moment był naprężony jak cięciwa, nim zwiśł mi bezwładnie w ramionach.

– Kapra... – Przez spuchnięte usta słowa wydobywały się zniekształcone i niewyraźnie. – Myślałem, że to Kultri. Z gorącymi cęgami. Ona by patrzyła.

– To my. Przyszliśmy po ciebie i po Pszczołę. Błaźnie, dlaczego wypuściłeś się bez nas? – Oto pytanie, które żywym ogniem paliło mnie od świtu.

– Idźcie po Pszczołę. Na dach. Tam jest. I Prilkop też.

– Jaskrawa nam o niej powiedziała.

Ustawił stopy na podłodze, więc pozwoliłem mu stanąć, ale go nie puściłem. Razem przesuwaliśmy się w stronę drzwi.

– Chciałem uwolnić Pszczołę. – Dyszał ciężko, zdania się rwały. – Moja wina, że ją porwali. Ja ich do niej przyprowadziłem. I chciałem ich pozabijać. Załatwić brudną robotę. Posprzątać bałagan. Być katalizatorem tym razem. Tak jak powiedziałeś.

– Pomogę – rzucił Strzyk, biorąc Błazna pod ramię.

Skierka przyjrzała się z bliska twarzy mojego przyjaciela.

– Bardzo z nim źle? – spytała.

– Nie wiem. Błaźnie, przestraszyłem się, że połknąłeś truciznę... Zrobiłeś to?

Straszne, mógł przyjąć ją nawet przed chwilą.

– Nie mogłem. Chciałem, ale nie mogłem. Przecież mają Pszczołę. Nie mogę umrzeć, dopóki wszystkiego nie naprawię. – Na ustach załśnił mu strumyczek krwi. Pociągnął nosem. – Zabiłem dwoje – oznajmił z dumą. – Tak sądzę. Dostałem się do pokojów Felodiego. Musiałem ukryć się na schodach jego wieży, więc uznałem,

że równie dobrze mogę wejść na szczyt i podrzucić mu kilka upominków. Nie zastałem go. Ale chyba się spisałem. Zostawiłem truciznę na krawędzi pucharu. Na wszelki wypadek dosypałem do wina, wtarłem proszek w pościel. I umazałem kławkę. – Głos mu się łamał.

– Powinno wystarczyć – mruknąłem.

Oceeniłem, że jego zabiegi uśmierciłyby jakiś tuzin wrogów. Wyprowadziliśmy go z celi.

– Dokładny jesteś – dorzuciłem. – A jak zabiłeś Symphe?

– Symphe nie. Kaprę. Jęczała z bólu, kiedy ją odciągali... Myślę, że odebrałem jej życie. Dźgnąłem nożem w brzuch. Dwa razy. – Zachwiał się, wsparł o mnie mocniej, lecz zaraz ponownie stanął na własnych nogach. – Nóż straciłem. I czarodziejską pelerynę też.

– Dopuszczalna strata – oceniłem.

– Jest tu beczka z wodą – zameldował Niestrudzony. – Tylko nie wiem, czy aby czystą...

– Woda! – krzyknął Błazen. – Czysta czy nie, muszę się napić.

Podeszliśmy we wskazane miejsce. Na krawędzi beczki zaczepiono chochlę. Niestrudzony napełnił ją i podał Błaznowi, a ten wypił duszkiem. Zawartość następnej wylał sobie na głowę i rozsmarował po twarzy. W mroku, z włosami przyklepionymi do czaszki, wyglądał na bardzo starego.

– Więcej! – zażądał.

Czekaliśmy w milczeniu.

Dopiero gdy skończył, odezwała się Skierka.

– Masz, panie, siniaki i rozcięte czoło, to widać od razu. Czy dolega ci coś jeszcze?

Błazen skrzywił się, ukazując zakrwawione zęby, wypluł ślinę.

– Okładali mnie pałkami. Kopali. Mocno, gdzie popadło. Precyzję rezerwowali dla Kapry, jak się zdaje. Mam nadzieję, że ją zabiłem. Moje rany nie mają znaczenia. Musimy ratować Pszczołę. Widziałem ją w celi na dachu. A Prilkop jest gdzieś tutaj. Myślałem, że zamkną nas razem...

Umilkł, nabrał tchu i odruchowo przytrzymał zębra. Zakaszłał, obaj się skrzywiliśmy.

– Mówiłem ci, że Jaskrawa ją znalazła.

Ile ciosów dostał w głowę? Jak mocne?

Jakiś czas milczał.

– Oczywiście – odezwał się po chwili. – Przede wszystkim ona powinna była zostać naszym szpiegiem.

– Niestrudzony wpadł na ten pomysł – stwierdziłem, a chłopak błysnął zębami w uśmiechu.

Zdążył odciągnąć ciało strażniczki od stołu i przystawić tam krzesło. Pochwaliłem go skinieniem głowy. Gdy usadziliśmy Błazna, chłopak napił się wody i umył ręce. Skupiłem uwagę na przyjacielu.

– Pójdziemy po nią teraz. Nie wyprowadzimy jej przez groblę. Po śmierci Symphe Słudzy zamknęli bramy pałacu. Nie zdołamy się wydostać, chyba że znajdziesz wejście do tunelu.

Zmrużył oczy, wyraźnie zbierał myśli.

– A jak tu weszliście?

– Korytem, którym w czasie odpływu nieczystości z pałacu trafiają do zatoki. Nie zdołamy wrócić tą samą drogą, bo przyptyw ją zaleje. Chyba że po znalezieniu Pszczoły poczekalibyśmy na następny odpływ.

– Pół dnia? – Potrząsnął głową. – Przyjdą po mnie znacznie wcześniej. A wtedy nas znajdą.

– Jak planowałeś uciec?

– Pod peleryną, przez groblę.

– Pierwszej nie mamy, druga zamknięta. Czyli jednak musimy znaleźć tunel.

Zaśmiał się, z trudem łapiąc oddech.

– Mój plan był lepszy. Skąd wiecie, że Symphe nie żyje?

– Z obwieszczenia. Poza tym z jej wieży zwieszono czarną chorągiew.

Pokręcił głową, zachybotła mu się na karku.

– To nie ja.

– Świt się zbliża – przerwała nam Skierka. – Trzeba iść po Pszczołę. Zanim pałac się zbudzi.

– Uwolnijcie też Prilkopa... – Błazen starał się usiąść prosto, lecz nie zdołał. – Proszę...

– Jeśli damy radę. – Nie zamierzałem składać czczych obietnic. Chciałem przede wszystkim odzyskać Pszczołę i bezpiecznie wyprowadzić ją z zamku. – Błaznie – musiałem poruszyć sprawę z zupełnie innej beczki – ile widzisz?

– W tym świetle niewiele.

– Zabiłem tutaj strażniczkę. Czy wiesz, kiedy zostanie przysłana zmiana?

– Nie wiem. Tylko ją jedną tu widziałem. Bastardzie, od setek lat nikt się Sługom nie sprzeciwiał. Możliwe, że śmierć Symphe i mój atak na Kaprę obudziły w nich dawno uspioną czujność, jednak liczby strażników nie zwiększyli.

Kiwnięciem głowy dałem znać, że pojąłem jego słowa.

– Idę po Pszczołę.

– Mogli ją przenieść. Prilkopa mieli zabrać z dachu, kiedy mnie złapali.

– Tak czy inaczej, tam zaczęły poszukiwania. Wy – zwróciłem się do pozostałych – zostaniecie tu z Błaznem. Znajdźcie wejście do tego tunelu, którym Błazen „uciekł” poprzednim razem. Na mnie już czas.

– Sam nie pójdziesz! – zaoponował Strzyk.

Niestrudzony nawet się nie odezwał. Zwyczajnie stanął przy moim boku.

– Niech się zastanowię... – powiedział Błazen, z trudem łapiąc oddech. – Trzeba wejść poziom wyżej. Tam też są cele. Pewnie z tuzin. Niektóre z pewnością zajęte. Słudzy... Przede wszystkim właśnie tam przetrzymują i torturują więźniów. Tkwiliśmy tam z Prilkopem bardzo długo. Może i teraz tam jest. – Po chwili dodał niechętnie: – I Pszczoła też.

Nie miałem pewności, czy pragnę odnaleźć Prilkopa. Jeśli był tak samo okrutnie traktowany jak Błazen, to czy zdołamy w ogóle zabrać go z Clerres?

Bezsensowne pytanie. Na pewno nie mogliśmy go zostawić.

– Mamy iść tymi schodami za beczką?

– Tak. Drzwi będą zamknięte.

– Co to dla mnie... – prychnęła Skierka.

Niczym królik skoczyła naprzód i pomknęła po schodach. Na górze pochyliła się, by obejrzeć zamek z bliska, po czym zaczęła szukać wśród swoich wytrychów tego najwłaściwszego. W czasie, gdy walczyła z zamkiem, ja dokładniej rozejrzałem się po lochu i wkrótce wróciłem do przyjaciół.

– Nie widzę tu żadnych drzwi prowadzących do przejścia pod groblą.

– Wejście do tunelu jest dobrze ukryte – przypomniał mi Błazen. I dodał z ociąganiem: – Może znajdować się nie na tym poziomie. Wtedy raz po raz traciłem przytomność... Bastardzie, znam twoje odczucia. Obawiasz się, że będę ci kulą u nogi, a na dodatek boisz się o Skierkę i Niestrudzonego, ale nie zapominaj o tym, że za tymi drzwiami, które dziewczyna właśnie otwiera, będą kolejni strażnicy. Zapewne tyłu, że sam sobie z nimi nie poradzisz.

– Przydałoby się znaleźć tunel. – Resztę jego słów puściłem mimo uszu.

– Powinien być na ścianie od strony grobli – powiedział Niestrudzony.

– Idź i poszukaj. Może przegapiłem.

Podszedłem do Skierki. Obrzuciła mnie rozeźlonym spojrzeniem.

– Dam radę – sapnęła.

Zrobiło mi się nieswojo, odstałem, żeby nie stać jej nad głową.

Po chwili na górze schodów dołączył do mnie Strzyk. Nasze oczy spotkały się nad pochyloną głową dziewczyny. Nie zamierzałem tracić słów i prosić go, by ją chronił. I nie ją jedną. Rozumiał. Widziałem bez najmniejszych wątpliwości, że

podobnie jak mnie martwiły go domysły, co może nas czekać za drzwiami. Błazen wsadził kij w mrowisko. Z drugiej strony przecież nie on zabił Symphe. Co się wobec tego stało? Czy to był wypadek, choroba czy morderstwo?

– Już wiem – szepnęła dziewczyna niemal w tym samym momencie, gdy Niestrudzony pojawił się na schodach i gestem dał znać, że jego poszukiwania okazały się bezowocne.

Zgrzyt otwieranego zamka wydawał się wyjątkowo głośny. Wstrzymałem oddech, nadstawiłem uszu.

Nic. Czas ruszać.

Zerknąłem na Strzyka. Usta miał zaciśnięte, pokręcił głową. Nie zostanie. Niestrudzony nie spojrzął na mnie, ale już trzymał w ręku nóż. Dotknąłem przedramienia Skierki, wskazałem Błazna.

– Chronь go – powiedziałem bezdźwięcznie.

Na szczęście usłuchała. Bezszelestnie zeszła ze schodów i stanęła obok mojego przyjaciela, który spoglądał w górę, w naszą stronę. Jego blada twarz była w ciemnościach niewyraźną plamą.

Uchyliłem drzwi i kazałem pozostałym czekać, chciałem przejść przez nie sam. Kilka lamp oliwnych oświetlało środek pomieszczenia znacznie większego niż to, które właśnie opuszczaliśmy. W mojej pamięci natychmiast ożyły przerażające opowieści Błazna, ponieważ od razu ujrzałem ławy tortur. Każda miała przytroczone kajdany, a powierzchnię zniszczoną nacięciami. Przestrzeń, gdzie je ustawiono, otaczały z trzech stron podniesione wyżej siedziska. Doskonałe miejsca do obserwacji. Bliżej – wgłębienie na ognisko. Przy nim – narzędzia starannie rozmieszczone na stojaku: szczypce, zgniatacze, gruszki, noże, siekierki, piły i inne, których nazwać nie umiałem. Nigdy nie rozumiałem tej cechy ludzkiej natury. Komu ból innego człowieka sprawia radość? U kogo powoduje uniesienie? A tu zadawanie bólu było najwyraźniej na tyle popularne, by przyciągać ciekawskich.

Loch był naprawdę obszerny. Pod jedną ze ścian znajdowały się zakratowane wejścia do cel. Wzdłuż drugiej ciągnęły się schody. Zrodziła się we mnie nadzieja, w samej swej istocie przerażająca, że Pszczoła jest tu, w tym lochu. Moglibyśmy wtedy uwolnić ją i uciec, zanim przyptyw napełni wodą kanał odprowadzający ścieki. Niełatwo byłoby walczyć z jego nurtem, ale też nie było to niemożliwe.

Poruszałem się cicho i szybko. Nie napotkałem straży. Rozumienie mówiło mi o nikłych płomykach życia w celach, lecz innych istot nie wykrywało. Przydałyby mi się wilcze zmysły. Nie mogłem dłużej zwlekać: podszedłem do cel. W niewyraźnym świetle lamp zgromadzonych pośrodku lochu odkryłem pięcioro więźniów. Wszyscy byli dorosłymi ludźmi. Spali albo leżeli skuleni na słomie. Jednym z nich okazał się

Prilkop. Spał czy był nieprzytomny?

Wróciłem do drzwi na szczycie schodów. Czekali pod nimi już wszyscy czworo, Błazen i Skierka również.

– Ani śladu Pszczoły – wyszeptałem. – W jednej z cel jest Prilkop. Chyba nie ma straży, ale bądźcie cicho. Musimy...

Nagle rozległ się odgłos, który wszyscy natychmiast rozpoznaliśmy: szcęk otwieranego zamka. Błyskawicznie wsunąłem się między Błazna i Skierkę, pociągnąłem za sobą drzwi, którymi wyszedłem.

– Co...? – zaczął Błazen, lecz umilkł, gdy położyłem mu palec na ustach.

Zamarliśmy w bezruchu.

Nie widziałem nic, ale słyszałem dobrze. Szuranie obutych stóp. Więcej niż trzy osoby. Narzekania i mamrotane pod nosem przekleństwa strażników obudzonych do spełnienia przykrego obowiązku. Jakiś grzechot, ordynarne słowo.

– Tu się nie da wytrzymać! Co za smród! Kto by się tu chował? Poza tym przecież nikt tu nie schodził, nikt nas nie minął w wartowni. Drzwi były zamknięte. Wracamy i kończymy śniadanie.

– Wracamy i idziemy dalej – stwierdził dowódca zwięźle. – Mamy przeszukać pałac, zajrzeć w każdy kąt, znaleźć zbiegłego więźnia. Rewtor ze swoim oddziałem przeszukuje chaty i ogrody. Kilp sprawdza teren między twierdzą a murami. Kultri poderwał swoje służby specjalne.

– Od morderstwa Symphe wszyscy są nerwowi. Szkoda, że Vindeliar przeżył. – Nagle strażnik ryknął śmiechem. – Za to mieliśmy z Ferbem zaszczyt wrzucić do szamba Dwalię. A on jeszcze na nią naszczał. Klępa jedna, lepiej wyglądała po śmierci niż za życia.

Dowódca nie wydawał się rozbawiony.

– Ruszać się. Sprawdzamy parter. Dokładnie. Każde drzwi zamykamy za sobą na klucz. Jeśli nikogo nie znajdziemy, przeszukujemy piętro. Nikt się nam nie wymknie.

– Idę o zakład, że Dwalię załatwiło któreś z tych białych dziwadeł. Nie lubiły jej te padalce i miały powody. A jeśli chodzi o Symphe, osobiście uważam, że to był wypadek. Podobno pracowali nad Vindeliarem, żeby im prawdę powiedział. Był tam, na miejscu, skutą, to przecież musiał widzieć, co się stało. Niech go zmuszą do mówienia i tyle! A ja chętnie popatrzę.

– Do roboty. – Dowódca wyraźnie miał dość zwlekania.

Znów rozległy się kroki. Odczekałem, aż zamknęły drzwi, jak zrozumiałem, prowadzące do wartowni.

W martwej ciszy z ust Błazna padły trzy wyrazy.

– Dwalia nie żyje.

Nie wiedziałem: cieszył się czy przestał bać, czy też zrobiło mu się przykro, że nie był obecny przy jej śmierci? A może czuł wszystko to jednocześnie lub nic?

– W jednej z cel jest Prilkop. I w innych jeszcze czworo więźniów.

– Może wiedzieć, co zrobili z Pszczołą. Na dachu byli w sąsiednich celach.

Chyba nie istniały inne słowa, które by mnie przekonały, żeby zwlekać z powodu Prilkopa.

– Strzyku, pójdziesz z Niestrudzonym pilnować wejścia do wartowni. Wiem, zamknęli je, ale to nie znaczy, że nie wrócą. Skierka i Błazen ze mną.

Znów uchyliłem drzwi prowadzące na wyższy poziom lochów i ruszyliśmy niczym cienie. Pokazałem Skierce, w której celi jest Prilkop. Pośpieszyła tam z Błaznem, ja natomiast poszedłem po lampę. Nie zamierzałem budzić ani tym bardziej uwalniać pozostałych więźniów. Nie byłem w stanie przewidzieć ich zachowania, a w aktualnej sytuacji miałem już dość niewiadomych.

Skierka zabrała się do otwierania zamka.

– Prilkopie, zbudź się! – zawołał cicho Błazen.

Potężny mężczyzna leżał na prycy skulony, zakrywając głowę rękoma. Dolna warga przypominała nabrzmiałą kielbaskę, jedno oko miał spuchnięte tak, że nie mógł go otworzyć, drugim jednak patrzył. Pokonując ból, rozprostował się i zsunął nogi na podłogę. Usłyszałem szcęk łańcuchów.

– Gdzie Pszczoła? – spytałem.

Widzącym okiem odszukał moją twarz i przyjrzał mi się uważnie, po czym lekko skinął głową.

– Nieoczekiwany syn. Ja cię oczekiwałem. – Zaśmiał się, lecz śmiech szybko przerodził się w suchy kaszel. – Ostatnio widziałem ją w celi na dachu. Cóż to, kolejna próba uwolnienia?

– Owszem.

Odstawiłem lampę i ruszyłem ku schodom.

– Mam nadzieję, że ta okaże się skuteczniejsza niż poprzednia! – zawołał za mną, głośniejszy, niżbym sobie życzył. – Na dachu jest więcej więźniów. Uwolnijcie wszystkich.

– Jak go wypuścicie, szukajcie tunelu – poleciłem Skierce. – Wrócę tu z Pszczołą. Nie czekałem na protesty. Pobiegłem w górę.

– Zróbcie mi miejsce – poleciłem Strzykowi i Niestrudzonemu, wyjmując własny zestaw wytrychów.

Przed drzwiami panowała smolista ciemność. Co prawda było w nich zakratowane okienko, lecz od drugiej strony szczelnie zamknięte. Na szczęście swego czasu pod

okiem Ciernia do znużenia ćwiczyłem otwieranie zamków po omacku, więc teraz w głębi ducha złożyłem staremu mistrzowi wyrazy podzięk i wziąłem się do roboty. Popychałem, podważałem i przekręcałem, aż usłyszałem, że zamek ustąpił.

– Odsuńcie się – szepnąłem.

Ostrożnie pchnąłem drzwi, wyjrzałem zza framugi. Owszem, wartownia. Stół, cztery krzesła. Kości do gry, porzucone obok nadgryzionej brzoskwini i trzech kubków. Wślizgnąłem się do wnętrza. Krzesła były jeszcze prawie ciepłe, a owoc ugryziono niedawno. Wróciłem do Strzyka i Niestrudzonego.

– Idziemy, ale po cichu. Strażnicy zostali wezwani ledwo co. Obawiam się, że cały pałac postawiono na nogi. Szukają zbiegłego więźnia.

Kolejne drzwi, następny zamek, tym razem szybko poszło. Znowu kazałem moim towarzyszom zaczekać, uchylilem wysokie, ciężkie skrzydło. Wyjrzałem na długi, zakrzywiony korytarz. Najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Dużo drzwi. Żywego ducha. W lampach ustawionych na podstawkach płonęła jakaś wonna oliwa. Cisza i spokój.

Inny świat, po lochach, gdzie wzrok przykuwały kraty i narzędzia tortur. Gdzie rządzą znużeni wartownicy. Tu – ładnie oświetlona krzywizna, wyłożona białym drewnem, jakiego dotąd nie widziałem, podłoga czysta, na ścianach portrety. Jakbym jednym krokiem opuścił nocny koszmar i znalazł się w sennym marzeniu.

I co dalej? Nie cieszyła mnie świadomość, że wszystkie drzwi są zamknięte przez strażników przeszukujących każde pomieszczenie. Jeśli trzeba będzie się ukryć, to gdzie?

Wkrótce znaleźliśmy się w korytarzu we trzech. Ja poprowadziłem, w lewym ręku miałem nóż, w prawym siekierkę. Za mną szedł Niestrudzony, z nożem w dłoni, na końcu Strzyk uzbrojony w krótki miecz. Oddział atakujący zbrojną twierdzę. Śmiechu warte. Cóż, nie mieliśmy wyboru.

Korytarz w obie strony odchodził łagodnym łukiem. Co jakiś czas, niezbyt gęsto, w ścianach osadzono podwójne drzwi bogato zdobione rzeźbieniami. Panowała cisza. Przypominałem sobie szczegóły, jakie poznałem od Błazna, gdy tworzyliśmy mapę. Tutaj, na parterze, należało spodziewać się sal audiencyjnych, poczekalni oraz prywatnych gabinetów, gdzie witano istotnych gości. Powinny też być schody wiodące na piętro. Ruszyłem w prawo.

Sprawdziłem dwoje pierwszych z mijanych drzwi. Zamknięte. Obyśmy wobec tego szli za patrolem. Ale też, gdyby żołnierze zawrócili, nie mielibyśmy gdzie się ukryć.

– Co to za dźwięk? – zdziwił się Niestrudzony.

Ja także słyszałem przygłuszone, nierówne trzaski, momentami głośniejsze,

przywodzące na myśl grzmot. Strzyk szukał źródła na suficie, Niestrudzony spoglądał w drugą część korytarza. Nie miałem czasu się tym przejmować.

– Nie wiem – odparłem krótko. – Szukamy Pszczoły.

Skuleni pobiegliśmy pod ścianą. Pewnie przypominaliśmy szczury.

Wkrótce dostrzegłem schody. Spływał po nich szarawy tuman. Zwolniłem, pociągnąłem nosem. Dym. Teraz pojąłem: to, co słyszeliśmy, to był hurgot pożaru na wyższych kondygnacjach. Usłyszałem odległe krzyki i przestraszone wołania.

– A ona jest na górze – rzuciłem i puściłem się biegiem.

Pokonywałem po dwa stopnie. Mimo to na półpiętrze prześcignął mnie Niestrudzony. Straciłem go z oczu na zakręcie. Wsunąłem nóż do pochwy, siekierkę zaczepliłem u pasa i przyśpieszyłem.

Słyszałem uderzenia stóp o posadzkę, ostry kaszel, kobiecy krzyk. Cztery osoby minęły mnie, gnając w przeciwną stronę. „Pożar!” – krzyknął ktoś. W następnej chwili usłyszałem okrzyk Strzyka, najwyraźniej któreś z biegnących się z nim zderzyło.

Nieznaczna mgiełka u stóp schodów tutaj była sinym, gryzącym tumanem. Jeszcze parę kroków i zacząłem się dusić. Łzy płynęły mi z oczu strumieniem. Potknąłem się, opadłem na kolana. Niżej było nieco chłodniej i wyczuwałem odrobinę mniej dymu w powietrzu. Zasłoniłem nos i usta rękawem, pokonałem następne trzy stopnie.

To tylko dym. Przecież mnie nie powstrzyma.

Dotarłem na ostatni schodek. Na podest. Za nim prowadziły w górę następne stopnie. Nie widziałem Truda. Pszczoła była na dachu. Brnąłem dalej, wyżej. Gdzie ten chłopak?

Tuż przed następną kondygnacją zatrzymałem się z piersią przyciśniętą do ostatniego stopnia. Po lewej ciągnął się korytarz zatkany gęstym dymem i obleczony pomarańczową poświatą ognia. Oddychałem przez koszulę. Mrużąc oczy, wypatrzyłem płomienie liżące ścianę obłożoną panelami. Usłyszałem trzask, a potem grzechot tłuczonej porcelany. Ogień skoczył ku mnie, ślizgając się na oliwie jak po lodzie.

Skuliłem się, wyczułem pod ręką jakieś ciało.

– Chłopcze? – wydyszałem.

Gdzieś nad głową usłyszałem krzyki, ktoś wzywał pomocy. Ktoś inny nadepnął na mnie, zataczając się w drodze na dół, po nim zjawily się jeszcze dwie osoby, rozkaszlane, idące na ślepo. One też mnie nie ominęły. Nie wiem, czy do tego stopnia zadławiły się dymem, czy w ogóle nie zważały na nic na drodze ucieczki, lecz ani ja ani chłopak leżący w poprzek schodów nikogo nie skłoniliśmy nawet do

zwolnienia kroku.

Z oczu ciekło mi tak, że właściwie nic nie widziałem, powietrze paliło w płucach. Potrząsnąłem Niestrudzonym.

– Pomocy... – wychrypiał.

– Pszczoła – stęknąłem.

Jeśli była gdzieś nad nami, zapewne już nie żyła. Bardzo chciałem skoczyć na równe nogi i pobiec na samą górę, na dach. Czy moje dziecko tkwiło w celi, którą spowijał gryzący dym? Czy moja córeczka kuliła się w kącie, jak najdalej od ryczących płomieni? Czy moje maleństwo jeszcze żyło? Mogłem umrzeć, wszystko jedno, byle ją odnaleźć.

Jeżeli zostawię Niestrudzonego tutaj, to na pewną śmierć.

Chwyciłem go za rękę i popęzłem z powrotem, w dół. Na ściąganie go ze schodów potrzebowałem znacznie więcej siły, niż przypuszczałem. Gdy wreszcie dym się przerzedził, dostrzegłem, że chłopak ściska kogoś z całych sił. Jakieś dziecko, z rodu Białych, sądząc po ubraniu. Cały czas ciągnął za sobą owo nieszczęsne stworzenie. To dlatego było mi trudniej. Ledwo łapałem oddech. Płuca miałem pełne dymu. Z sinego tumanu wyłoniła się jakaś postać i chwyciła Niestrudzonego za drugie ramię.

Strzyk.

– Na dół! – wychrypiał.

We dwóch ściągaliśmy chłopaka i nieprzytomne dziecko ze schodów. Gdy dotarliśmy na parter, zwałem się obok nich i na czworaka wykaszlałem tyle dymu, ile dałem radę, a potem przewróciłem się na plecy, przetarłem oczy rękawem i na kilka chwil znieruchomiałem. Dymu przybywało. Kłębił się pod wysokim sufitem, na razie jeszcze jako szara mgiełka. Strzyk klęczał tuż obok. Ze świstem wciągnął powietrze, pozbył się go z suchym kaszlem. Z klatki schodowej dobiegły jakieś hałasy. Wkrótce okazało się, że to dwoje ludzi usiłowało wydostać się z pożaru. Kobieta krzyknęła na nasz widok.

– Uciekajcie! – zawołał wsparty na niej mężczyzna.

Pobiegli dalej, sapiąc i dysząc.

Niestrudzony, stale z dzieckiem w objęciach, leżał na podłodze między mną a Strzykiem.

– Ośle jeden! – wychrypiałem. – Rusz się! Musisz wracać na dół, uciekać!

Chłopak zakaszał, z wysiłkiem otworzył oczy, po czym znów je zamknął. Nawet nie drgnął. Obaj ze Strzykiem dźwignęliśmy się na nogi. Mozolnie odciągnęliśmy dwa bezwładne ciała od schodów.

Gdy smród dymu i grzmot płomieni z wyższych kondygnacji zostały nieco za

nami, postanowiliśmy odpocząć. Usiedliśmy i ciężko dysząc, napełnialiśmy płuca czystiejszym powietrzem. Wyższe poziomy z pewnością utonęły w ogniu. Czy pałac się zawali?

– Musimy wracać – powtórzyłem tępo. Ratowanie Pszczoły się skończyło. Trzeba uciekać. Dźwignąłem się na nogi, pochyliłem i chwyciłem Niestrudzonego za koszulę na piersiach. – Wstawaj! – rozkazałem.

Chłopak rozkaszał się i usiłował podźwignąć na nogi.

– Pszczoła – wychrypiał.

– Już po Pszczole – wypowiedziałem straszną prawdę. – Nie dostaniemy się na dach. Myślę, że nie żyje.

Oczy wciąż łzawiły mi od dymu, teraz doszły do tego łzy rozpacz. Bezbrzeżne okrucieństwo zgotował mi los. Pozwolił dotrzeć tak blisko – i skazał porażkę.

– Pszczoła! – krzyknął Niestrudzony i wyrwał mi się z uścisku.

Straciłem równowagę, zatoczyłem się do tyłu, upadłem. Pojęcia nie miałem, że dym potrafi do tego stopnia osłabić człowieka. Tkwiłem na kolanach, podparty dłońmi, i dyszałem z wysiłkiem.

Niestrudzony potrząsnął nieprzytomne dziecko.

– Panienko Pszczoło, przyszedłem po ciebie – wymamrotał.

A potem się rozkaszał.

Dziecko miało ubranie osmalone i miejscami nadpalone, a twarz zniekształconą przez blizny. Skóra wokół zamkniętych oczu była pogrubiała, jak u weterana zabijaki. Lewą brew przecinała blizna, a w kącie ust widniało ledwo co zasklepione rozcięcie. Biedne stworzenie, na pewno nie wiodło życia godnego pozazdroszczenia.

Chłopiec otworzył oczy i nagle spojrzała na mnie Pszczoła. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Na jej wargach uformowało się słowo, którego oddech nie mógł przepchnąć przez gardło.

– Tatuś?

Taka maleńka. Taka przestraszona. Wyciągnęła do mnie rączki. A mnie wróciła chęć do życia.

– Och, Pszczółko – powiedziałem.

Innych słów nie znalazłem. Przyciągnąłem ją do siebie, przytuliłem. Objęła mnie za szyję.

– Już nigdy cię nie zostawię – przyrzekłem, a ona przytuliła się do mnie mocniej. Z córeczką na rękach klęknąłem. Niestrudzonemu udało się wstać. Płakał.

– Udało się. Znaleźliśmy ją. Ocaliliśmy.

– Ty tego dokonałeś – powiedziałem. Jedną ręką ścisnąłem go za przedramię. –

Strzyku! Chodźmy!

Wstałem i zataczając się na miękkich nogach, pobiegłem. Ciągnąłem za sobą potykającego się chłopaka, a twarzyczka Pszczoły objęła mi się o pierś. Strzyk szybko mnie dogonił, wziął Niestrudzonego pod drugie ramię. Słaniając się i wpadając jeden na drugiego, uciekaliśmy przed dymem długim, łagodnie zakrzywionym korytarzem. W pewnym momencie nagle zakręciło mi się w głowie, padłem na kolana. Nie wiem, jakim cudem utrzymałem Pszczołę w ramionach, lecz Niestrudzonego puściłem, a wtedy Strzyk osunął się na jedno kolano.

– Pszczółko... – wydusiłem z siebie.

Ułożyłem ją na podłodze. Spazmatycznie łapała oddech, jakby się topiła. Znów miała zamknięte oczy. Ale żyła. Żyła. Pogłodziłem ją po twarzy.

Niestrudzony podpełzł bliżej.

– Panienko Pszczółko – odezwał się. Popatrzył na mnie. – Panie, uzdrów ją – poprosił. – Wróc jej życie.

– Żyje – zapewnił go Strzyk.

Wstał, opierając się o ścianę. W rękę ścisnął miecz. Gotów nas bronić.

Pszczółka patrzyła na mnie w milczeniu. Pokręciłem głową. Nie umiałem znaleźć w poranionym sercu nawet jednego słowa. Przesunąłem palcem po bródce zarysowanej jak u Sikorki, musnąłem usteczka wzięte po matce. Gdy zakaszła, cofnąłem dłoń. Nie, to już nie była dziewczynka, którą przybyłem ratować. To pobite i poznaczone bliznami stworzenie już nie było moją Pszczółką. Nie wiedziałem, kogo tulę. Wciąż maleńka jak na swoje lata. W tym wieku ja zacząłem wypełniać polecenia Ciernia zgodnie z jego nauką... Pszczoła Przezorna. Kim się stała?

Przekręciła głowę, by spojrzeć na Niestrudzonego.

– Jesteś... – Wydobyła z siebie świszczące słowo. – Kruk powiedział... – Nie dokończyła.

– Przybyliśmy po ciebie – poświadczył chłopak i znów się rozkaszał. Wziął Pszczołę za rękę. – Panienko Pszczółko, jesteś bezpieczna.

– Żadne z nas nie jest bezpieczne – sprostowałem. – Musimy się stąd wydostać.

Nie czas na przeprosiny ani zapewnienia, nie czas na czułe słówka. Podniosłem wzrok. Przyjrzałem się sufitowi obłożonemu panelami oraz masywnym belkom. Drewno będzie się paliło, ale nie kamień. Płomienie zawsze idą w górę. Byliśmy względnie bezpieczni, póki nie zajmą się drewniane elementy konstrukcji.

Gdzie się znajdowaliśmy? Czy minęliśmy zejście do lochów? Musieliśmy je odnaleźć. Może już wiadomo było, gdzie jest tunel? Jeśli nie, trzeba będzie przebić się na zewnątrz, zanim cały pałac zwali się nam na głowy.

Znowu się rozkaszałem, przetałem rękawem załzawione oczy. Czas ruszać.

– Musimy iść – powiedziałem Niestrudzonemu. – Dasz radę?

– Tak, tak.

Stanął z wysiłkiem, pochylił się, oparł ręce na kolanach i rozkaszał na dobre. Przyglądając mu się, powoli zacząłem pojmować, że wiem, dokąd iść. Gdzie uzyskać pomoc. Spłynęła na mnie ta cudowna ulga, którą odczuwa człowiek, gdy znajdzie oczywiste rozwiązanie problemu i przestaje mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Aż dziwne, że nie pomyślałem o tym wcześniej. Przykląknę, ostrożnie wziąłem Pszczolę na ręce. Niewiele ważyła. Pod ubraniem wyraźnie wyczuwałem żebra, guzki kręgosłupa. Stałem prosto. Ruszyłem naprzód. Niestrudzony też się wyprostował i poszedł za mną niepewnym krokiem. Strzyk wsunął miecz do pochwy. Zerknąłem na niego i od razu dostrzegłem, iż jemu także ciężar spadł z serca. Z uśmiechem pokręciłem głową, gdy uświadomiłem sobie, że Niestrudzony nie schował noża. Ja miałem pewność, że nie będzie go potrzebował.

„Bracie? Dokąd idziemy?”

Wspanialszy niż chłodne powietrze i świeża woda był dotyk Ślepuna w myślach. Natychmiast podniósł mnie na duchu. Od razu wiedziałem, iż wszystko będzie dobrze.

„Gdzieś ty się podziewał?” – spytałem. – „Dlaczego mnie opuściłeś?”

„Byłem ze szczeniakiem. Potrzebowała mnie bardziej niż ty. Tylko kiedy nauczyła się wznosić mury, nie mogłem odejść. Dokąd teraz idziemy, bracie? Dlaczego nie biegniesz? Gdzie jest Bezwonny?”

„Znam bezpieczne miejsce. Wiem, kto nam pomoże”.

Zobaczyłem ich za łagodną krzywizną korytarza. Oddział złożony z tuzina strażników, z bronią w ręku. Szli na nas. Otaczali Skierkę i Prilkopa. Błazen zwiślał bezwładnie między dwoma żołnierzami. Prowadził niski, gruby mężczyzna o ropuszej twarzy i oczach nabiegłych krwią. Tuż za nim kuśtykała wysoka staruszka, z rękoma przyciśniętymi do boku. Przy niej szło dwóch mężczyzn: jeden odziany na zielono, drugi na żółto. Uśmiechnąłem się do nich, a wtedy ten mały, tłusty rozpromienił się w uśmiechu. Na jego skinienie straż się zatrzymała. Czekali na nas.

– Vindeliarze, jestem pod wrażeniem – stwierdziła staruszka. – To naprawdę niesamowite.

– Powinniście byli mi wierzyć, od początku.

„Bracie, coś mi się tu nie podoba. Twoja radość jest nieprawdziwa”.

– Wybacz – powiedziała kobieta. – Od tej chwili będziesz traktowany z należnym szacunkiem.

Strażnicy pokiwali głowami. Wszyscy uśmiechali się głupkowato.

– Panie! – zawołał Niestrudzony. – Zabiją nas! Uciekajmy!
Pszczoła uniosła głowę z mojego ramienia.
– Tato! – krzyknęła przestraszona.
– Ćśśś, wszystko będzie dobrze – zapewniłem.
– Wszystko dobrze – powtórzył Strzyk niczym echo.
– Nie! – sprzeciwił się chłopak. – Co się z wami dzieje?!
– Tato! Chronić umysł!
„Bracie, oni cię oszukują!”.
Zaśmiałem się. Ach, niemądrzy.
– Wszystko w porządku. Teraz już jesteśmy bezpieczni – powiedziałem
i poniosłem Pszczołę ku tym, co na nas czekali.

Rozdział 35

Starcia

Jestem Pszczolą, Pszczoła to ja. Matka wiedziała o tym od zawsze. Czasami, na początku snu widzę siebie. Jestem pszczolą złotą i czarną, lśniąco jak iskry i węgiel. Gdy frunę, moje barwy stają się coraz jaskrawsze, niczym żar, kiedy się na niego dmucha. Jestem tak jasna, że rozświetlam ciemne miejsca i w tych miejscach widzę ważne sny.

Z „Dziennika snów” Pszczoly Przezornej

Czułam się jak we śnie. W takim zwykłym, normalnym śnie, w którym śni się, o czym się chce. Najpierw pojawił się Niestrudzony, a potem ojciec. Odciągnęli mnie od ognia i dymu. Niestrudzony do mnie mówił, słyszałam głos mojego pierwszego i jedyne go prawdziwego przyjaciela. „Ocalę cię, panienko”. Wyczekiwałam tych słów od tamtej zimowej nocy w Białym Gaju. Przez dym nie mogłam oddychać i nic nie widziałam, ale głos poznałam.

Potem, jak za sprawą czarów, zjawił się ojciec. Czule pogładził mnie po twarzy. Wziął na ręce i niósł. Byłam bezpieczna. W jego ramionach byłam bezpieczna. Wiedziałam, że on mnie obroni. Zabierze do domu. Trzymał mnie na rękach i szedł tym swoim rozkołysanym krokiem, który znałam, odkąd zaczął sadzać mnie sobie na barana. Wtuliłam twarz w jego szyję, poczułam zapach siły i bezpieczeństwa. Miał dużo siwych włosów i głębsze zmarszczki, ale to był mój tatuś i w końcu rzeczywiście pojawił się, by zabrać mnie do domu. Podniosłam głowę, uśmiechnęłam się do Niestrudzonego. Urósł od czasu, gdy widziałam go ostatnio, i wydawał się silniejszy. Trzymał nóż tak, jak tata mnie uczył trzymać broń.

Spojrzał na mojego tatę i zawołał:

– Panie! Zabiją nas! Uciekajmy!

Wtedy sen zmienił się w koszmar.

Tata niósł mnie do Vindeliara. Stawiał kroki pośpiesznie, jakby nie mógł się doczekać, kiedy do niego dotrze. Z Vindeliarem szli: Kapra, Felodi i Kultri, wszyscy uśmiechnięci. Kapra trzymała się za brzuch, po ubraniu spływał jej nieśpieszny strumyczek krwi, ale i tak się uśmiechała. Byli ogromnie zadowoleni

z Vindeliara, pewni zwycięstwa. Patrzyłam na nich. Czy wiedzieli, że dwa piętra wyżej rozpałam ogień? Chyba nie. Vindeliar zebrał ich i przyprowadził tutaj. Znali tylko jego wolę, a on chciał mojej śmierci.

– Tato! – krzyknęłam.

– Ćśśś... – Poklepał mnie po plecach. – Przy mnie jesteś bezpieczna.

Tak długo i ściśle chroniłam umysł, że teraz wystarczyło mi tknąć mury, by poczuć bijącą w nie siłę. Na moment dopuściłam do siebie mamidło Vindeliara. „Chodź do mnie, chodź do nas. Wszystko będzie dobrze. Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Wiemy, co dla ciebie najlepsze. Pomożemy ci”.

A mój ojciec mu wierzył!

– Tato! Chronić umysł! – krzyknęłam rozpaczliwie.

Usiłowałam wyrwać mu się z objęć.

Opuścił na mnie wzrok i między brwiami pojawiła mu się zmarszczka. Chyba zaczął rozumieć, co z nim robi Vindeliar, jednak za wolno mu to szło. Zebrałam siły i uwolniłam się z jego objęć. Upadłam, zerwałam się na równe nogi i wyciągnęłam mu z pochwy jego wielki nóż.

– Zabij ją! – wrzasnął Vindeliar, kiedy zobaczył mnie z bronią w ręku. – Zabić Pszczołę, natychmiast! – rozkazał nie tylko głosem, ale i magią.

Oczy wszystkich idących zwięzły się od nienawiści i patrzyły tylko na mnie. Strażnicy wyjęli miecze, nawet Kapra ścisnęła w ręku niewielki nóż. Podniosłam wzrok na ojca, bałam się, że i on zwróci się przeciwko mnie za sprawą czarów Vindeliara, ale nie, na jego twarzy dostrzegłam przerażającą niepewność. Odwróciłam się do napastników. Byłam sama.

– Nie!

Trud odepchnął mnie w bok i ruszył na tamtych. Nie zawahał się ani na chwilę. Natarł na Vindeliara, nożem i całym ciężarem ciała. Obaj padli na ziemię, Niestrudzony przygniótł Vindeliara kolanem. Zobaczyłam, jak cofa łokieć i znów bierze zamach. Potworny ból rannego wybuchł w mojej głowie, barwiąc mi myśli szkarłatem. Rozpaczliwa magia obrała inny cel.

„Nie! Przestań! Upuść nóż! Nie zabijaj mnie, nie rób mi krzywdy!”.

Był tak potężny, że nagle nóż wypadł mi z pozbawionej woli ręki. Zawładnęło mną wszechpotężne pragnienie, by nie krzywdzić Vindeliara.

Niestrudzony jednak nie odczuwał takiego przymusu. Magia go nie sięgała. Wstał, wyciągając z tłustego ciała zakrwawiony nóż, i krzyknął:

– Nikt nie zabije panienki Pszczoły, póki ja żyję!

Był znacznie silniejszy od chłopca, którego pamiętałam z Białego Gaju. Potężne cięcie jego noża miało siłę ciosu zadanego toporem. Ostra krawędź przemknęła po

gardle i wyzwolona z ciała krew trysnęła szerokim łukiem. Niestrudzony odskoczył, a czary Vindeliara słabły, aż ustały.

– Trzymaj się za mną, panienko – rzucił.

Zasłonił mnie własnym ciałem. W uniesionej ręce trzymał nóż.

Rozpętał się chaos.

– Gdzie my jesteśmy?! – zawyła Kapra.

Felodi chciał uciekać, skoczył do tyłu, wpadł na własną straż.

– Uwaga! – krzyknął ojciec i minął nas jednym długim krokiem.

Pochylił się, chwycił nóż, który wypadł mi z ręki. W drugiej dłoni trzymał siekierkę. Ruszył na oszołomionych strażników. Nie wiedzieć kiedy znalazł się między nimi. Ciął nożem, machał siekierą, parując pchnięcia mieczami. Widziałam, jak jednemu zaczepił ostrze siekierą i ściągnął mu miecz w dół, a wtedy podciął odsłonięte gardło. Musiał trzymać się blisko wroga, w tym była jedyna jego nadzieja, tak blisko, żeby nie mogli użyć mieczy. Twarz mu płonęła, wyszczerzone zęby błyszczały, a tak jasnych oczu nie widziałam nigdy dotąd.

Niestrudzony stale mnie chronił.

– Panienska trzyma się za mną! – nakazał.

Ja jednak zaprotestowałam:

– Za dużo ich! Trzeba mu pomóc, bo nas pozabijają!

Wchłaniali go, jak bagno wciąga but nieostrożnego wędrowca. A na tyłach patrolu działo się coś jeszcze. Usłyszałam kobiecy krzyk, nie z bólu, tylko pełen wściekłości, w korytarzu rozniosły się dosadne przekleństwa. I zaraz męski, donośny głos przeciął tę furję:

– Zostawcie go! Zostawcie!

Nóż Symphe! Wydobyłam go spod koszuli, po czym zanurkowałam pod ramieniem Niestrudzonego i skoczyłam na Felodiego. Tchórz patentowany zdążył już odwrócić się i usiłował wyminąć walczących, by uciec. Może i ja okazałam się tchórzem, bo usiłowałam wbić mu nóż w plecy. Krótkie ostrze ześlizgnęło się po żebrach, jakbym patykiem przesuwająca po sztachetach w płocie, aż w końcu znalazło miękkie miejsce nad biodrem. Wcisnęłam je najgłębiej, jak mogłam, po czym uchwyciłam rękojeść w obie dłonie i pociągnęłam w bok, następnie w przeciwną stronę. Felodi odskoczył, ostrze wyszło z jego ciała.

Byłam znacznie lepsza w gryzieniu niż dźganiu nożem.

Wtedy Kultri mnie uderzył. Z potworną siłą wymierzył mi otwartą dłonią cios w głowę. W zniekształconym uchu odezwały się potężne dzwony. Felodi usiłował odpełznąć, wydawał z siebie urywane, skrzekliwe okrzyki. Odwróciłam się do Kultriego.

– Ty zdradzieckie nasienie! – wrzasnął. W oczach miał szaleństwo. – Zamordowałaś Symphe! Zabiłaś biedną Dwalię!

Ciało Vindeliara drgało na podłodze za jego plecami. Z nożem w wyciągniętej ręce rzuciłam się na Kultrię. Zrobił unik do tyłu, potknął się o Vindeliara, upadł. Kopnął mnie, gdy na niego skoczyłam, i choć nie trafił, jak chciałam, poleciałam w bok, straciłam rozpęd. Nieważne. Machał rękoma na oślep, więc wycelowałam nożem w sam środek ciała, w brzuch, gdzie tkwiły narządy konieczne do życia. Wilki zawsze rozszarpują brzuch.

Trafiłam za wysoko. Ostrze zatrzymało się na mostku. Zdążyłam je wyszarpnąć i, trzymając za rękojeść obiema dłońmi, dźgnęłam ponownie. Nadal wymachiwał ramionami, lecz efekt osiągał niewielki. Dwalia biła mocniej. Ostrze weszło mu w brzuch. Położyłam się na nożu, wypychając głębiej. Wtedy Kultri złapał mnie za włosy i pociągnął głowę do tyłu. Głowa, to nie ręce. Nadal wlokłam nóż przez jego ciało. Popękana farbka na twarzy mężczyzny upodabniała go do popsutej lalki.

Raptem inny nóż podciął mu gardło. Kultri nie od razu pojął, że odebrano mu życie. Wargi skurczyły mu się na odsłoniętych zębach, a ja straciłam trochę włosów, uwalniając się z jego uchwytu.

Prawie zapomniałam o innych walczących. Przypomniałam sobie o nich dopiero, gdy Niestrudzony złapał mnie za ramię i pociągnął do tyłu.

– Panienko! – krzyknął. – Niech się panienska tam nie miesza!

Nóż w jego dłoni ociekał szkarłatem.

Mój ojciec wciąż walczył z trzema strażnikami. Krwawił. Nie wiadomo jak zdobył krótki miecz. Z jego gardzieli wydobywał się warkot pełen radości. Felodi nadal próbował odpełznąć. Strażnicy upuścili mężczyznę, którego do tej pory prowadzili między sobą. Czarnoskóry Prilkop stał nad powalonym człowiekiem. Nie miał broni. Między tymi dwoma i resztą patrolu stali, zwrócenieni do siebie plecami, kobieta i mężczyzna. Tym mężczyzną był Bastard Czujny. Strzyk! Żywy! Przebiegł mnie dreszcz. Czy to znaczyło, że wszystko pójdzie w niepamięć? Moje krzywdy i smutek? Ojciec przybył mi na ratunek, Niestrudzony mnie chronił, a Strzyk stał przede mną żywy? Czy wobec tego... mogłam mieć nadzieję, że Birbant także... Czy się ośmielę?

W tej chwili ostrze noża prześlizgnęło się po udzie mojego ojca, rozcinając ciało. Ryknął z wściekłością, choć wcale nie wyglądał na rannego, bo wymierzył tak silny cios, że przeciął bok napastnika prawie do kręgosłupa. Wyrwał z niego miecz, w sam raz na czas, bo akurat drugi zamierzył się w jego głowę.

– Pomóż mu! – krzyknęłam, lecz Niestrudzony tylko ciągnął mnie za sobą.

– Nie może bać się o ciebie, panienko!

Poczułam na sobie spojrzenie ojca. I zaraz usłyszałam głos Kapry:

– Brońcie mnie! Do mnie!

Wyrwała się z kłębowiska, oparła o ścianę, przyciskając dłoń do zakrwawionego brzucha. Pięciu strażników, którzy jeszcze byli na nogach, szybko wycofało się z walki i utworzyło wokół niej barierę. Wsparała się na jednym z nich, a on ją podtrzymał i razem ruszyli niepewnym krokiem. Pozostali czterej wycofywali się zwróceniu do nas twarzami. Ludzki mur najeżony mieczami. Kapra potknęła się i upadła, wtedy żołnierz wziął ją na ręce i poniósł jak dziecko. Felodi wołał za nimi, domagał się pomocy. Jeden ze strażników dźwignął go na nogi, zarzucił sobie jego ramię na szyję i pobiegł, ciągnąc ze sobą ludzkie brzemię.

Ojciec stał, dysząc. Zakrwawione ostrze z wolna opuścił ku ziemi. Strzyk ruszył za wycofującym się oddziałem, lecz dziewczyna go powstrzymała.

– Niech idą!

A on usłuchał.

Odwrot Kapry nas ocalił. Gdy grupka zniknęła za krzywizną korytarza, ojciec pokuśtykał na bok. Niestrudzony zostawił mnie i podszedł do niego, pomógł mu usiąść na podłodze. Tata klął na czym świat stoi, przyciskając udo dłonią. Między palcami zbierała mu się krew. Podbiegłam do niego. Niestrudzony akurat darł swoją koszulę na pasy, ale ta tkanina nie nadawała się do tamowania krwi. Wyciągnęłam rękę z rękawa i wsunęłam mu w dłoń mankiet.

– Tnij! – nakazałam.

Najpierw znieruchomiał, lecz zaraz zrobił, co należało.

– Pszczoło! – wykrzyknął Strzyk, gdy znalazł się przy moim ojcu.

Popatrzył na mnie z góry, a ja na niego z dołu. Twarz miał zbryzganą krwią, lecz to nie była jego krew. Wyglądał, jakby mu się zbierało na mdłości. Domyślałam się powodu.

– Chciałeś mnie zabić, tak? To nie twoja wina. Tak działają czary Vindeliara. Potrafi wmówić ludziom, co zechce. Nawet mnie.

– Ta magia jest podobna do Mocy – odezwał się ojciec zmęczonym głosem. – Nigdy wcześniej nie doświadczyłem czegoś podobnego. – Z trudem przełknął ślinę. – Jest nieprawdopodobnie silna. Ledwo ochroniłem przed nim umysł.

– Ja nie ochroniłem. Gdyby nie Niestrudzony...

– Nic nie czułem – stwierdził mój chłopak stajenny. – Myślałem żeście wszyscy powariowali. – Wydawał się naburmuszony, choć nie widziałam powodu. Ukląkł przy moim ojcu. – Trzeba odsłonić ranę.

– Nie ma czasu – ocenił Strzyk. – Ogień się rozprzestrzenia.

On też przykląkł, wyjął Niestrudzonemu z rąk rękaw mojej koszuli i wprawnie

obwiązał ranę. Gdy zaciskał węzeł, ojciec jęknął. Tkanina szybko poczerwieniała.

Podeszła do nas ta nieznajoma dziewczyna, prowadząc Ukochanego, który kurczowo trzymał się jej ramienia.

– Już ich nie ma – tłumaczyła mu. – Uciekli.

Przyjaciół ojca miał twarz opuchniętą, posiniaczoną i zdeformowaną, z kącika ust sączyła mu się krew, lecz co innego okazało się dla niego najważniejsze.

– Pszczoło! Ty żyjesz!

Wyciągnął ku mnie dłonie podobne do szponów, jedna z nich była osłonięta rękawiczką.

Cofnęłam się odruchowo.

– On cię nie skrzywdzi – powiedział cicho Prilkop.

Prawie o nim zapomniałam.

– Za nic w świecie by cię nie skrzywdził – ciągnął Prilkop. – Ty jesteś jego.

Ukochany wysunął w moją stronę dłoń skierowaną wnętrzem do góry.

– Pszczoło... – Tylko tyle udało mu się powiedzieć, a i to niewyraźnie.

Odsunęłam się od niego ponownie.

– Nie – stwierdziłam stanowczo. – Kiedy go dotykam, widzę za dużo. – I taka była prawda. – Nie chcę tyle widzieć.

– Rozumiem – powiedział Ukochany ze smutkiem i opuścił dłoń.

– Panienko Pszczoło – odezwał się Niestrudzony cicho – na jednej dłoni ma rękawiczkę. Przebył długą drogę, żeby panienkę uratować. – Ton jego głosu przypomni mi ten dzień z odległych czasów, gdy spytał: „To jak, osiodłać?”, a potem przygotował dla mnie klaczkę, choć bałam się na nią wsiąść. To było dawno, a ja już nie byłam tamtym dzieckiem. Odwróciłam wzrok i napotkałam spojrzenie taty.

Wciąż trzymałam w ręku nóż Symphe. Otarłam go z krwi i wsunęłam za pasek. Powoli wyciągnęłam rękę i położyłam ją na grzbiecie dłoni Ukochanego.

– Dałam ci jabłko – powiedziałam cicho. – Pamiętasz?

Usta mu zadrżały.

– Pamiętam – szepnął.

Łzy wezbrały mu w oczach i spłynęły po twarzy.

– Pszczoło... – odezwał się Strzyk – co oni ci zrobili?

Przypatrywał mi się z uwagą. Moje blizny chyba przyprawiły go o mdłości.

Nie chciałam o tym rozmawiać. Nie chciałam, żeby mnie wypytywali. Popatrzyłam na martwych strażników leżących w korytarzu. Przy ciałach utworzyły się kałuże krwi. Dziewczyna chodziła między zabitymi, czegoś szukając. Zobaczyłam, jak wyjmuje miecz z ręki trupa. Kultri leżał na plecach, nieruchomo, pokryty krwią.

Pomogłam go zabić i wcale mnie to nie obeszło. Miałam nadzieję, że Felodi również nie żyje. Gdzieś z odległych części pałacu wciąż dobiegały krzyki i łoskot. Nic nie zatrzyma ognia. Czy naprawdę byłam światoburcą?

– Musimy stąd iść – przypomniałam im wszystkim. Czyżby nie rozumieli, że nie mogliśmy zwlekać? – Podłożyłam ogień w bibliotece. Rozprzestrzenia się.

– W bibliotece? – powtórzył Ukochany słabym głosem. Wydawał się zdruzgotany.
– Spaliłaś bibliotekę Clerres?

– Tak należało zrobić. Spalić gniazdo, by wybić osy.

Nawiązałam do swojego starego snu, a jemu oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

– Oto przybył światoburca – rzekł Prilkop spokojnie.

Ukochany przeniósł wzrok ze mnie na mojego ojca i z powrotem na mnie.

– Niemożliwe. Przecież nie ona.

– Ależ tak.

Cofnęłam dłoń. Teraz nie będzie chciał mnie znać.

– Pszczoło... – odezwał się, lecz ja przysunęłam się do taty. Położyłam rękę na jego przedramieniu.

– Musimy się stąd wydostać, i to jak najszybciej. Jeśli tylko zdołamy.

Zaczął wstawać, nie szło mu to zgrabnie. Posłał mi wymuszony uśmiech.

– Wiem, wiem. Czas się zbierać. Ale powiedz mi jeszcze, jest więcej takich jak Vindeliar?

– Chyba nie. Podobno nie mieli dużo węzowego eliksiru, ale przecież oni wszyscy kłamią.

Czy to możliwe, by stworzyli innego Vindeliara?

– Co to za węzowy eliksir? – spytał Ukochany.

W sekundę znalazł się tuż przy nas, obok niego stanął Prilkop i to on odezwał się niskim, dźwięcznym głosem:

– Słyszałem coś o tym. Czy właśnie taki napój podali Vindeliarowi? Robi się go ze skoncentrowanych wydzielin morskiego węża. Jest pewna wyspa, gdzie smoki miały zwyczaj składać jaja. Z tych jaj wylęgały się węże, które wpełzały do morza. Dziwne istoty żyją na tej wyspie... Niekiedy chwytają jednego czy drugiego węża i trzymają je w niewoli.

Przyglądałam się tacie. Ciężko położył dłoń na ramieniu Strzyka. Oddech mu się rwał. Z wielkim trudem dźwignął się na nogi. Z początku jedną stopą nie dotykał ziemi, potem ustawił ją na podłodze i ostrożnie obciążył. Czerwień na opatrunku pociemniała.

– Trzeba się stąd wydostać. Gdy ogień strawi wyższe kondygnacje, wszystko się na nas zwali. Musimy uciekać z pałacu. I z wyspy.

– Konstrukcja może przetrzymać pożar – stwierdził Prilkop. – Kości, z których zbudowano twierdzę, skamieniały, przetrwały już niejednen kataklizm. Nie pierwszy raz pojawił się tu ogień.

Tata chyba go nie słuchał, więc i ja zignorowałam jego słowa. Ruszyliśmy przed siebie. Trzymałam się przy nim blisko. Przy każdym kroku, gdy opierał ciężar ciała na zranionej nodze, robił krótki głośny wydech, lecz mimo wszystko prowadził. Powoli.

– Zostawcie mnie – powiedział w końcu. – Weźcie Pszczołę i biegnijcie do wyjścia.

– Prosto na wojsko? – zapytała dziewczyna.

– Nie zostawimy cię, panie – stwierdził Niestrudzony ze spokojem.

– Panie – zwróciła się dziewczyna do Prilkopa – czy jest jakieś niestrzeżone wyjście z pałacu? Albo takie, przez które uciekają tłumy? – Zerknęła na nogę mojego ojca, nieporadnie kuśtykającego korytarzem, potem przeniosła spojrzenie na mnie. – Potrzebny będzie drugi rękaw.

Stary człowiek pokręcił głową.

– Pomyślano tę twierdzę tak, by łatwo było jej bronić, a nie ułatwiać ucieczkę. Są tylko trzy wyjścia. Ci, co uciekli przed płomieniami, będą kierowali się na główne schody.

Wsunęłam rękę w koszulę i podsunęłam dziewczynie pusty rękaw. Odcięła go, nawet nie zwalniając kroku.

– Zaczekaj – poprosiłam ojca, a on przystanął.

Dziewczyna przyklękła i zawiązała drugi opatrunek na pierwszym, przesiąkniętym krwią, a tata nieświadomie uniósł górną wargę, jakby miał warknąć.

– Idziemy – rzucił po chwili i ruszył niezdarnie.

– Jak dostaliście się do pałacu? – spytał Prilkop.

Szedł obok mojego ojca. Ukochany trzymał się przy mnie. Myślę, że chciał wziąć mnie za rękę, ale Niestrudzony mnie prowadził. W pewnej chwili przyjaciel puścił moją dłoń.

– Pójdę przodem – rzucił cicho. – Nie podoba mi się, że przez ten krzywy korytarz nie widzimy, dokąd idziemy. Błazen się tobą zajmie, panienko. I pan Strzyk i Skierka.

Włożył moją dłoń w rękę Ukochanego, w tę chronioną rękawiczką, a ja się nie sprzeciwiłam. Pobiegł przodem, trzymając się tuż przy bardziej zakrzywionej ścianie.

Podniosłam wzrok na Ukochanego. On spojrzał na mnie i pozwolił sobie na niepewny uśmiech, marszcząc przy tym posiniaczoną twarz. Nie odpowiedziałam

uśmiechem. Pozwoliłam oczom błędzić za Niestrudzonym.

– Weszliśmy przez kanał, którym przy odpływie opróżnia się zbiornik z nieczystościami. Teraz będzie pod wodą. Dopiero przed wieczorem dałoby się w niego wejść. Tak długo nie przetrzymamy.

– Czy wiesz o tunelu ukrytym pod groblą? – zapytał Strzyk Prilkopa. – Błazen sądzi, że tamtędy wyniesiono go z Clerres.

Szliśmy dalej, niezbyt szybko. Nasze stopy, umazane krwią strażników, zostawiały na nieskazitelnie białej posadzce czerwone ślady. Niestrudzony stale prowadził, przyklejony do ściany, starając się dojrzeć cokolwiek mimo krzywizny korytarza. W jednej dłoni trzymał krótki miecz, w drugiej nóż. Kojarzył mi się z myśliwym. Czy ja też się tak bardzo zmieniłam? Gdy zniknął mi z oczu, aż wstrzymałam oddech. Chciałam, żeby wrócił. Już. Natychmiast.

Ukochany kuśtykał, drugą ręką wspierając się na ramieniu dziewczyny. Ta była uzbrojona w nóż i czyjś miecz.

– Krew ci leci – powiedziałam.

Nawet nie spojrzała na rozcięte przedramię.

– Poleci i przestanie – odparła spokojnie. – Mam na imię Skierka. – Uśmiechnęła się do mnie. – Kawał świata przeżyłam, żeby cię poznać, panienko.

Obok słyszałam Prilkopa:

– Tunel jest stary, został zbudowany za czasów pierwszego imperatora, gdy stawiano pałac i dzielono półwysp. Za moich chłopięcych dni nie była to tajemnica. W tamtych czasach Słudzy żyli skromnie, nie potrzebowali straży ani sekretnej drogi ucieczki. Wiem, że Ukochanego wyniesiono przez ten tunel nie tylko po to, by udawać, że został wykradzony, ale także dla ukrycia całego zdarzenia przed Kaprą. – Popatrzył na Ukochanego. – Opowiadali mi o tym z wielką przyjemnością. Jak cię pokiereszowali i okaleczyli tak, by każdy krok stanowił dla ciebie torturę. Wiedzieli, że tak czy inaczej, ruszysz do katalizatora. I szli twoim śladem niczym psy myśliwskie. Nie po to, by pomagać, ale żebyś nie zrezygnował. Teraz już o tym wiesz, prawda?

– Odgadłem wcześniej – przyznał cicho. – Ale musiałem podążać tą ścieżką.

Czyli to on ich do mnie sprowadził. A teraz trzymał mnie za rękę. Zachowałam tę informację.

– Co z tunelem? – przypomniała Skierka niecierpliwie.

– Jak powiedziałem, jest bardzo stary, istnieje od czasu przekształcenia Clerres w wyspę. Imperator, który zbudował pałac, życzył sobie mieć dodatkowe wyjście na wypadek oblężenia. Wykuto rów w kamieniu łączącym wyspę z lądem, zabudowano go dachem, a następnie usypano na nim groblę. Nie był w najlepszym stanie,

gdy Ukochanego wyniesiono z lochów. Przypuszczam, że w czasie gdy przyplływ zakrywa groblę, może przeciekać. Albo napełniać się wodą. Teraz jest już okryty tajemnicą, dzisiaj się o nim nie mówi. – Uśmiechnął się krzywo.

– Ale gdzie jest? – dopytywała się Skierka. – Na tym poziomie, co zbiornik z odpadami? Czy gdzieś niżej?

– Wyżej. – Lata minęły od czasu, gdy wynieśli Ukochanego... Może całkiem się zapadł? Po jego „ucieczce” Kapra była tak wściekła, że kazała zamurować przejście.

– Cegły nas nie powstrzymają – stwierdziła z uśmiechem dziewczyna. – Byle do niego trafić.

Usłyszałam odległy trzask, gdzieś za nami i wyżej. Wszyscy się wzdrygnęliśmy. Tata pokuśtykał szybciej.

– Prilkopie, skąd tyle wiesz o wypadkach w Clerres? – zapytał Ukochany miękko. W jego głosie pobrzmiwała nuta strachu.

Czarny człowiek zaśmiał się gorzko.

– Nie obawiaj się, nie wydałem cię. Po twoim zniknięciu uznali, że nic nowego już im nie powiem, przestali się mną interesować. Skończyły się tortury, dostałem lepszą celę. Od tamtej chwili chcieli ode mnie wyłącznie snów. A ja je zapisywałem. Raz czy drugi próbowali włączyć mnie w swój plan rozmnażania. Byłem dla nich cenny za sprawą snów i nasienia. Którejś nocy strażniczka miała mnie uwieść... Zostaliśmy przyjaciółmi. Przynosiła mi wieści, lecz mogła powiedzieć tylko tyle, ile sama wiedziała. Rada Czworoga nie dopuszcza do pałacu wieści ze świata. Dla niej Biali istnieją tylko tutaj. Ich zdaniem prawdziwi Biali rodzą się w Clerres.

Nagle zjawił się przed nami zdyszany Niestrudzony.

– Tędy nie wyjdziemy – wychrypiał ze strachem w oczach. – Przed nami wielkie schody. Tam ludzie po nich biegają w tę i z powrotem, a na dole wielki tłum, wszyscy kłębią się jak bydło w zagrodzie i przepychają do wielkich drzwi. Nic z tego, nie da się przez nie wyjść, bo są zamknięte! Nie dałem rady tam podejść, ludzie się przepychają, tratują, szturmują wyjście! – Złapał oddech. – Pobiegłem do następnego korytarza, ale zawróciłem, bo tam patrol. Żołnierze otwierają każde zamknięte drzwi i przeszukują komnaty... Myślę, że to nas szukają. Zobaczyli mnie, ale szybko uciekłem, a oni mnie nie gonili. Pewnie uznali mnie za jakiegoś niewolnika... jednak niedługo tu będą.

– Szukają mnie – odezwała się, gdy umilkł dla złapania oddechu. – Vindeliar powiedział, że wypalił im to w umysłach. Będą mnie szukali, aż znajdą. I zabiją.

Przez długi czas żadne z nas się nie odzywało. Z daleko dobiegały krzyki uciekających. Niestrudzony włożył nóż do pochwy i wziął mnie za rękę.

W końcu odezwał się mój ojciec, brzmiał jak zupełnie inny człowiek. Taki, co to myśli tylko o tym, co trzeba, pozbawiony emocji.

– Błaźnie, poprowadź nas z powrotem do lochów.

W odpowiedzi odezwał się Prilkop.

– Drugie drzwi po lewej. Muszę iść z wami. W celach zostali więźniowie...

– I tam jest zamurowane wejście do tunelu? – Ojciec wydawał się zniecierpliwiony.

– Tak, tam.

– Musimy zamknąć za sobą drzwi wartowni, zanim strażnicy tam dotrą! – rozkazał ojciec. – Biegiem!

Posłuchaliśmy natychmiast, ale go nie wyprzedzaliśmy.

W chwili gdy dotarliśmy do drugich drzwi, Strzyk błyskawicznie je otworzył, a Prilkop wskoczył za próg i zniknął. Tata ścisnął mojego tutora za ramię.

– Zabezpiecz drzwi i te następne, do lochu. Zabarykaduj schody wszystkim, co znajdziesz. – Odwrócił się do Niestrudzonego i Błazna. – Pilnujcie Pszczoły za cenę życia – rozkazał. Zdjął przewieszoną przez pierś taśmę z pękatymi kieszonkami. Z trzech wyjął niewielkie gliniaki. – Weź, Skierko. Niech Prilkop wskaże ci zamurowane przejście. Jeśli nie będzie innego sposobu, wysadźcie ścianę. Zabierzcie Pszczołę na statek. – Wetknął garnczki w jej dłonie.

Przytuliła je niczym dziecko. Podniosła na niego szeroko otwarte oczy.

– Pszczoło – zwrócił się do mnie ojciec. – Słuchaj Strzyka i Błazna. Bądź im posłuszna. Zadbaj o twoje bezpieczeństwo.

– Bastardzie... – odezwał się Ukochany niepewnie.

– Nie ma czasu na sprzeczki. Dotrzymaj słowa!

Jeszcze nie słyszałam u ojca tak ostrego tonu.

Ukochany głośno przełknął ślinę, a zabrzmiało to jak szloch.

– Tato. – Pociągnęłam go za rękaw. – Obiecałeś mi coś! Powiedziałeś, że już nigdy mnie nie zostawisz!

– Musisz mi wybaczyć, maleńka. – Powiódł po nas wzrokiem. – Przepraszam. Idźcie. Prędko.

W ostatnim momencie jeszcze wyciągnął do mnie rękę i położył mi dłoń na głowie. Nie wiem, czy miał pojęcie, co robi, co się stanie, ale dotyk zburzył mury w naszych umysłach. Poznałam go na wskroś. Rozczarowanie sobą samym. Czuł, że na mnie nie zasługuje. Nie ma prawa mnie dotykać, nie śmie nawet wspomnieć, że mnie kocha, gdyż zawiódł jako ojciec. Oszołomiło mnie to. Było jak druga, gruba ściana za murem z Mocy. Pewność, że nikt nie może go pokochać.

Wilk-ojciec odezwał się do nas obojga.

„Kochasz ją bezgranicznie, dlatego jest ci tak źle. Bądź dumny ze szczeniaka.

Walczyła. Zabiła. Przeżyła”. – Poczułam, że przeskoczył ze mnie, do ojca. I na pożegnanie rzucił: – „Biegnij, szczeniaku. My będziemy walczyć jak osaczone wilki. Pędź za Bezwonnym. On jest częścią nas. Ochronicie się nawzajem. Zabij dla niego, jeśli będzie potrzeba”.

Gdy znalazł się z moim ojcem, dosięgła mnie ich radość z połączenia. Będą walczyli, nie tylko z mojego powodu, lecz dlatego, że to kochali. Od zawsze. Tata się wyprostował. Obaj popatrzyli na mnie jego oczyma. Zdumienie i duma. I miłość. Uczucia wylewały się z niego tak samo niepowstrzymanie, jak ciekła krew z jego rany. Wypalały mnie i jednocześnie wypełniały. Cofnął dłoń. Czy wiedział, ile przede mną odsłonił? Czy rozumiał, że wilk-ojciec przez wiele dni był ze mną, a teraz do niego wrócił?

Rozwarł moje palce, niemal delikatnie zdjął moją dłoń ze swojego rękawa.

– Strzyku – odezwał się – zabierz Pszczołę. I Błazna. Wszystkich ich zaprowadź bezpiecznie do domu. Zrób to dla mnie, proszę. Pośpiesz się!

Odepchnął mnie łagodnie. Odsunął od siebie. Odwrócił się od nas, nie czekając na nic, pewien naszego posłuszeństwa.

Odszedł, utykając.

– Dlaczego?! – krzyknęłam za nim.

Zdawało mi się, że za dużo jest we mnie gniewu, żebym mogła płakać, jednak łzy spłynęły mi po twarzy.

– Kochanie, zostawiam krwawy ślad, którym dziecko umiałoby podążyć. Niestrudzony widział strażę. Szukają nas, są coraz bliżej. Zadbam, że by najpierw znaleźli mnie. Idź, córeńko. Idź ze Strzykiem.

Był potwornie zmęczony i niewymownie smutny.

Obejrzałam się przez ramię. Czerwone ślady jego stóp wyraźnie odcinały się od posadzki. Miał rację, ale mnie to jedynie rozwścieczyło.

– Chłopcze – odezwał się Strzyk do Niestrudzonego – i Skierko, zabierzcie ich. Ja zostanę z Bastardem.

– Nie! – zaprotestował ojciec. – Potrzebny im mężczyzna uzbrojony, silny. Trzeba zabarykadować drzwi.

– Nie mogę tak – odezwał się Ukochany cicho.

– Dałeś mi słowo! – zagrzmiął ojciec. Chwycił go za koszulę, przyciągnął do siebie. – Obiecałeś, że jej życie będzie ważniejsze.

– Ale to nie tak! – załkał blady człowiek. – Nie w ten sposób.

Niespodziewanie tata zamknął go w ramionach.

– Nie mamy wpływu na to, co się dzieje. Ale ocalisz ją, nie mnie. Idź już! – Rozwarł ramiona i go odepchnął. – Ruszajcie!

Poszedł. Jego dłoń zostawiała na ścianie purpurowy ślad, a każdy krok odciskał się na posadzce szkarłatem. Nie obejrzał się. Dotarł do następnych drzwi, a my nadal staliśmy skamieniali. Wyjął coś z kieszeni, usłyszałam zgrzyt metalu o metal i po chwili otworzył zamek. Tuż przed tym, nim wślizgnął się za próg, zerknął na nas po raz ostatni. Ponaglił nas gniewnym gestem.

– Ruszajcie!

I zniknął.

Usłyszałam, jak zamknął za sobą drzwi. Oczywiście. Gdybyśmy ukryli się w tym pomieszczeniu, właśnie tak byśmy postąpili. Na podłodze zostały krwawe znaki. I ślad ręki na ścianie oraz na drzwiach. Strażnicy uznają, że nas znaleźli i mają w ręku.

– Chodźmy – odezwał się Strzyk ponuro.

Wziął mnie pod ramię i pchnął w stronę Ukochanego. Zachwiałam się, poszłam odrętwiała. Obok mnie szedł Niestrudzony. Raz wyrwał mu się szloch, słyszałam. I rozumiałam. Ja też płakałam. Gdy drzwi zaczęły się za nami zamykać, Niestrudzony odezwał się cicho:

– Panienko Pszczoło, musisz mi wybaczyć, ale tylko mnie pan Strzyk nie będzie potrzebował. Skierka musi zająć się gliniakami. Prilkop wie, gdzie jest tunel. Pan Błazen obiecał... A ty... Po ciebie żeśmy zjechali pół świata. A ja? Ja jestem tylko chłopakiem ze stajni. Z nożem w ręku. Zostanę z panem Bastardem i mu pomogę. – Pociągnął nosem. – Skierko, szybko. Otwórz mi tamte drzwi.

– Panie Strzyku? – spytała dziewczyna niepewnie.

– Otwórz – polecił. – To w końcu tylko chłopak stajenny. – Odchrząknął. – Chłopak stajenny, który zabił księcia Ellika, ratując życie Bastarda. I stanął u boku tego, któremu przyrzekł służyć, tuż przed smoczą królową. Idź, chłopcze. Upewnij się, żeby odpowiednio wcześniej wiedział, że to ty. A jak już zabijecie strażników, przyprowadź go do nas. Zastukaj dwa razy i po przerwie raz, to nie będę próbował was zabić.

– Tak jest, proszę pana. – Niestrudzony przeniósł wzrok na mnie. – Żegnaj, panienko Pszczoło.

Uściskałam go. Dawno nikogo nie przytulałam. Bardzo dziwne uczucie. A jeszcze dziwniejsza była odpowiedź, tak samo serdeczna, ogromnie delikatna.

– Dziękuję, że zabiłeś Ellika – powiedziałam. – Był okropny.

– Proszę bardzo, panienko. – Głos zadrżał mu tylko odrobinę.

– Chłopak jest przerażony – zaoponował Prilkop.

– Bo jest równie mądry, jak dzielny – oznajmił Strzyk. – Ruszaj, młody człowieku.

– I po co tyle gadania... – mruknęła Skierka. – Trud, szybciej, idziemy!

Obracając się, uniosła dłoń i, nie wiadomo dlaczego dotknęła policzka mojego tutora.

Oboje z Niestrudzonym zniknęli.

Stałam w półmroku obok Ukochanego. Nad nami coś zważyło się z takim hukiem, że sufit zadygotał i spadły z niego płatki farby. Przyjaciel taty opuścił na mnie wzrok i powiedział miękko:

– Światoburca.

Nie potrafiłam ocenić, czy to komplement, czy przygana.

– Schodźcie – polecił nam Strzyk.

I zamknął za nami drzwi.

Rozdział 36

Zrządzeniem losu

Nie, nie podzielam twojego zdania, że pracę tę należy zostawić innym. Tylko my dwaj dysponujemy wiedzą niezbędną do jej właściwego zrozumienia, umożliwiającą odpowiednie segregowanie sześcianów pamięci. Najwyższa mistrzyni Mocy, kierując się nadmiarem ostrożności, odebrała mi worek tych kamieni, które osobiście przyniosłem z wyspy Aslevjal. Przekazała je młodemu czeladnikowi dowodzącemu grupą uczniów. Poleciała, by uczniowie przez krótki czas poznawali wiedzę z każdego kamienia, po to, by zapoznawali się ze sposobami ich używania, a także szlifowali cnotę powściągliwości, niezbędną przy wchodzeniu w nurt Mocy i umożliwiającą wychodzenie z niego po krótkim czasie. Każdy z sześcianów ma zostać odpowiednio sklasyfikowany, ze względu na zawartość: muzykę, historię, poezję, geografię i tak dalej. Każdy ma zostać oznaczony, by utrzymać je w należytych porządku.

A moim zdaniem poświęcenie „krótkiego czasu” każdemu kamieniowi jest z założenia błędne. Obaj doskonale wiemy, że wiersz może być przekazem historycznym, a „historia” pochlebstwem sprokurowanym dla połechtania próżności władcy. To my powinniśmy badać sześciany, tworzyć przejrzyste opisy ich zawartości, a następnie składać na przechowanie w odpowiednim porządku. Stanowczo nie jest to zadanie dla niedoświadczonych czeladników, a „poznawanie przez krótki czas” w celu oceny i zmagazynowania to z pewnością za mało. Rozumiem, że zawierają ogromną ilość informacji. I właśnie dlatego uważam, że powinny zostać gruntownie zbadane przez osoby wyposażone w odpowiednio rozległą wiedzę.

Ciernia Spadającej Gwiazdy list do Toma Borsuczowłosego z Białego Gaju.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi i się o nie oparłem. Dlaczego utrudniali mi sprawę? Uważali, że tego pragnąłem? Że chciałem znowu opuścić Pszczołę?

Wcale nie zamierzałem osunąć się i usiąść na podłodze, ale jakoś tak samo się stało. Bolało, chociaż pewnie mniej, niż gdybym upadł.

Trochę kręciło mi się w głowie. Ciało wymagało snu, odpoczynku. Przez lata przywykłem do bezwzględnego leczenia Mocą, wiedziałem, jak będzie przebiegało. Wszystkie siły, cała energia, skupią się na rozcięciu nogi. Akurat teraz, kiedy musiałem być czujny.

Co z nogą? Bardzo źle?

„Krwawi mniej. Nie ruszaj”.

– Gdzieś ty się podziewał – usłyszałem własny szept.

„Byłem ze szczeniakiem. Pomagałem jej. Nie bardzo mi szło”.

„Żyje, więc ci się udało. Powinieneś być z nią zostać, byłaby bezpieczniejsza”.

„Bezpieczniejsza będzie, jak odciągniemy od niej myśliwych. I zabijemy, ilu się da”.

Zatrzymałem sobie dwa gliniaki. Zsunąłem z torsu pas i z jednej z kieszonek wyjąłem ten, który naprawiałem. Po namyśle wsunąłem go z powrotem na miejsce i wyjąłem ten nietknięty. Miał niebieski lont. Długi i powolny, jak powiedziała Skierka. Nie miałem pewności, czy potrzebny mi będzie właśnie taki rodzaj lontu, nie wiedziałem nawet, co właściwie zamierzam zrobić z tym dziwnym narzędziem. A poza tym „powolny” to jak powolny?

Wiedziałem natomiast, że strażnicy przyjdą. Musiałem być gotów.

Rozejrzałem się dookoła. Mroczne pomieszczenie było niewielkie, najprawdopodobniej przeznaczone do spotkań w cztery oczy. Wysoko w ścianie znajdowały się dwa okienka, drugich drzwi nie było. Szarawe światło zdradziło mi, że na zewnątrz wstaje nowy dzień. W miarę, jak oczy przyzwyczajały mi się do otoczenia, zacząłem rozróżniać przedmioty: stół, przy nim dwa wygodne fotele z wysokimi oparciami, na środku blatu lampa ze szkła zdobionego malowanymi kwiatami. Bardzo ładne, miłe wewnątrz. Marzenie każdego skrytobójcy.

Podniosłem się, niezbyt szybko i przeklinając soczyście, jednak dopiąłem swego: ułożyłem plecak na stole. Otworzyłem go. Na samym wierzchu miałem paczuszkę z nasionami kopytnika. Mało zostało. Wysypałem na dłoń wszystko, wrzuciłem do ust i zmiążdżyłem zębami. Gryząc, wyjąłem ognistą cegłę. Działanie nasion poczułem prawie natychmiast. Doskonale. Wyciągnąłem jak najdalej knot z lampy i ułożyłem go na cegle. Rozgrzała się natychmiast, po krótkiej chwili knot zaczął się tlić, wtedy zdjąłem pokrywkę z gliniaka.

Ktoś szarpnął za klamkę. Skończył mi się czas. Planowałem zapalić lampę po to, by w odpowiednim momencie odpalić od niej lont. W tej sytuacji odwinąłem z gliniaka niebieski sznurek i położyłem go na cegle. Prawie natychmiast zatańczyła na nim iskra, skoczył w górę płomynek, który zaraz przygasł. Na jego miejscu pojawił się czerwony punkcik żaru. Zamek w drzwiach brzdęknął raz, po czym

się obrócił. Przesunąłem cegłę wzdłuż lontu, podпалиłem go bliżej gliniaka. Potem wstałem... a właściwie chciałem wstać; niezupełnie mi się to udało. Oparłem się ciężko na blacie. Miecz był za krótki, żeby się nim podeprzeć. Przeniosłem więcej ciężaru na zranioną nogę. Ugięła się, nie wytrzymała. Ból można zignorować, lecz gdy ciało słabnie, na nic determinacja. Przechyliłem się i na jednej nodze skoczyłem do drzwi. Chciałem znaleźć się za nimi, kiedy wejdą, nie na widoku. Zamierzałem wpuścić napastników, zablokować wyjście i zatrzymać ich aż do chwili, gdy gliniak wybuchnie.

Znalazłem się za drzwiami dokładnie w momencie, gdy zostały otwarte. Przyłgnałem do ściany, wstrzymałem oddech.

– Panie? To ja, Niestrudzony! Nie zabijaj mnie!

Wszedł. Zza ramienia wyjrzała mu Skierka. Nie miałem czasu ich skłąć. Rzuciłem się do gliniaka w tym samym momencie, gdy dziewczyna go zauważyła. Padłem, jak ścięte drzewo, natomiast ona minęła mnie błyskawicznie, wysunęła cegłę spod lontu i odwróciła ją na drugą stronę. Z wprawą oceniła długość pozostałego sznurka.

– Czasu nam wystarczy – stwierdziła. – Pomóż panu Bastardowi. Wrócimy po śladach i znikniemy stąd, zanim gliniak wybuchnie. – Popatrzyła na mnie, przekrzywiając głowę. – Całkiem niezły plan. – Przesunęła jeden z foteli w taki sposób, by zasłaniał widok stołu od drzwi. – Nie zorientują się. Chodźmy.

Usiłowałem wymyślić jakiś argument, żeby się z nią nie zgodzić, lecz Niestrudzony już trzymał mnie pod ramię i prowadził na korytarz. Silny był chłopak, zmężniał.

Skierka ostrożnie musnęła cegłę dłonią.

– Już wystygła – powiedziała. – Niesamowita jest ta magia Najstarszych. – Szybko i sprawnie wsunęła czarodziejski przedmiot do torby. Zacząłem protestować, jednak nie dopuściła mnie do słowa. – Wiem, co robię. – Ostatni gliniak ustawiła w torbie na cegle, całość przewiesiła mi przez ramię. – Chodźmy.

Poszliśmy, choć nie tak szybko, jak bym sobie życzył. Wspierałem się na Niestrudzonym, ale i tak strasznie kulałem. Skierka wsunęła mi się pod drugie ramię. Gdyby była choć odrobinę niższa, już by mi nie pomogła. Zatrzasnęła za nami drzwi.

– Szkoda, że nie zdążę zamknąć – mruknęła.

Serce mi zamarło, gdy zobaczyłem, że następne drzwi uchylają się i zza ich krawędzi ostrożnie wystawia głowę Strzyk. Skierka niecierpliwie machnęła ręką. Na ten znak schował się, zamykając je za sobą delikatnie. Starłem się iść jak najszybciej.

Rytmiczny tupot stóp biegnących ludzi.

– Zostawcie mnie! – rozkazałem. – Biegnijcie! Uciekajcie!

Żadne nie zareagowało.

– Prędeż! – odezwał się Niestrudzony.

Skierka zerknęła przez ramię.

– Zatrzymajmy się! Stawimy im czoło!

– Nie! – zaprotestował chłopak.

Ponieważ Skierka trzymała mnie mocno za ramię, w chwili, gdy stanęła, chcąc nie chcąc, obróciłem się na zdrowej nodze.

– Co robisz?! – krzyknął Niestrudzony.

– Zaufaj mi! – syknęła. – Szykujcie miecze.

Ja swój podniosłem z ogromnym wysiłkiem.

– Odsuń się – uprzedziłem Niestrudzonego.

Raz wreszcie mnie posłuchał.

Iść nie mogłem, ale przynajmniej stałem. Jako tako.

– Na jaja Ela... – wyrwało się chłopakowi. – Mają łuki.

– Oczywiście! – Skierka zaśmiała się z goryczą.

Żołnierze przystanęli, dobrze poza naszym zasięgiem. Był ich jakiś tuzin, wysocy, dobrze zbudowani, cztery łuki, ze sześć mieczy.

– Kapra chce go żywego! – warknął któryś. – Tamtą dwójkę zastrzelić!

– Uciekajcie! – powtórzyłem.

– Schowaj się za pana Bastarda – zarządziła Skierka i równocześnie pociągnęła Niestrudzonego, żeby nie zwlekał. Sama też się za mną ukryła. – I stój! – szepnęła. – Jeszcze chwilę. Czekaj... czekaj... czekaj...

Łucznicy rozstawili się wachlarzem i podchodzili. Wiedziałem, że długo ich nie powstrzymam. Zabiją i Skierkę, i Niestrudzonego.

– Jeszcze chwila... – szepnęła Skierka. – Jeszcze momencik.

Drzwi razem ze ścianą łupnęły w żołnierzy, ja poleciałem do tyłu, lądując na obojgu schowanymi za moimi plecami. W następnej chwili urwał się sufit, spadło poczerwiałe drewno i kamienie. Uderzyła w nas fala piekącego żaru, oślepił gryzący kurz, ogłuszył huk. Miałem wrażenie, że twarz mi płonie. Przetarłem oczy rękawem, zamrugałem. Rozwarłem je z ogromnym trudem, lecz przecież musiałem widzieć nacierającego wroga. Oczy łzawiły mi tak bardzo, że łzy przesłaniały wszystko. Usiadłem powoli, już na gołej podłodze – Skierka i Niestrudzony zdołali się spode mnie wydostać. W chmurze pyłu rysowały się jedynie zburzona ściana i zawalony sufit. Na wierzchu leżała dymiąca belka. Posypał się gruz. Skierka coś powiedziała.

– Co takiego?

– Dobrze poszło! – krzyknęła.

Pokiwałem głową i uświadomiłem sobie, że mam na twarzy głupawy uśmiech.

– Rzeczywiście. Chodźmy!

Niestrudzony pomógł mi się podnieść, twarz miał zaczerwienioną z gorąca, ale też się uśmiechał. Coś mnie ukąsiło w kark. Odruchowo klepnałem się w szyję i zsunąłem z niej strzałkę. Popatrzyłem na pocisk nie całkiem przytomnie.

– Uwaga! – krzyknęła Skierka. – Są następni! Miecze!

Wybuch ogłuszył nas do tego stopnia, że nie usłyszeliśmy drugiego patrolu. Tym razem też pojawił się jakiś tuzin żołnierzy, przybiegli z drugiej strony, najwyraźniej w ramach okrążania, którego tak się obawiałem. Czterech na froncie podniosło do ust mosiężne tuby. Ich dźwięk miał z pewnością wezwać wsparcie. Tych trzeba było zabić przede wszystkim.

„Walczyć, jak osaczone wilki”, zgodziłem się ze Ślepunem.

Podniosłem miecz i we dwóch z Niestrudzonym skoczyliśmy na wroga, rycząc wściekle, akurat w chwili gdy trębacze nadęli policzki. Nie zdążyli zadać, bo znów oberwał się sufit. Niestrudzony padł na kolana, a mnie odrzuciło w bok. Przetoczyła się nad nami fala gorąca, strażnikami zakołysało, nie usłyszałem grania rogów. Ogłuchłem? Poczułem natomiast niezbyt mocne dźgnięcie w pierś i spuściwszy wzrok, zobaczyłem strzałkę wystającą z kamizeli. Skierka wytrząsała inną z włosów. Drobiazg spadł na ziemię akurat, gdy skoczyłem do przodu, z mieczem w osłabłej dłoni. Jednego z wrogów zdążyłem przebić, nim zatoczyłem się i upadłem. Niestrudzony stanął nade mną, wrzeszcząc i wymachując ostrzem. Skierka także natarła, z wściekłym krzykiem na ustach. Tuż obok żołnierzy gwałtownie otworzyły się drzwi prowadzące przez wartownię do lochów. Jęknąłem z zawodu. Ujawnili się! Zdradzili! Umrzemy wszyscy.

Spodziewałem się, że zobaczę Strzyka, lecz to była Pszczoła! Wycelowała w nich czubkiem noża, jednak nie była to jej prawdziwa broń. Otworzyła oczy szeroko i patrzyła na nich.

„Odejdź, odejdź, odejdź! Bój się, bój, uciekaj!”.

Moc potężna jak u króla Szczerego, tyle że nie wsparta jego mądrością ani opanowaniem. Zatrzasnąłem dojsię do umysłu przed nieokiełznaną magią. Niestrudzony patrzył w zdumieniu, jak nasi wrogowie porzucają broń i uciekają. Skoczyłem naprzód, w ostatniej chwili złapałem Skierkę za kostkę. Runęła jak długa, lecz nie zmieniła zamiaru i usiłowała się od nas chociaż odczołgać.

– Pszczoło! Przestań! Skierko, nie ty! Nie uciekaj! Skierko!

„Skierko, to nie do ciebie!”.

Pszczoła nie panowała nad własną siłą.

Dziewczyna rzuciła się niczym ryba na haczyku, po czym znieruchomiała z otwartymi oczyma. Okazało się, że Pszczoła, podobnie jak król Szczery, mogła wpływać na ludzi, którzy mieli tak niewielki talent to władania Mocą, że nawet się go nie domyślali. Swego czasu mój władca za sprawą tej siły przekonywał kapitanów statków, by zawracali od wybrzeży Królestwa Sześciu Księstw albo kierowali szkarłatne okręty wprost na skały. Teraz moja córka odstraszyła żołnierzy. Zmusiła wroga do ucieczki. I wprawiła w podziw swoich sprzymierzeńców.

– Wchodzimy – poleciłem. – Niestrudzony, weź Skierkę. – Powlokłem się do wejścia. Chłopak w tym czasie złapał Skierkę pod ramiona i pociągnął. Moja córka przytrzymała nam szeroko otwarte drzwi. – Wchodź już, Pszczoło!

Zza framugi wystawił głowę Strzyk.

– Co się stało? – szeptał kredowobiały z przerażenia.

– Po wybuchu gliniaka zwałił się sufit. A Pszczoła używa Mocy. Ma ogromny talent. To ona cię wystraszyła. Nie umie kierować magii w konkretny cel. Przepłoszyła żołnierzy. Na razie jesteśmy bezpieczni, to jednak nie będzie trwało wiecznie, bo odzyskają przytomność umysłu, a wiedzę, gdzie jesteśmy.

– Nie sprawdziłem się, przepraszam! Prilkop akurat pokazywał mi miejsce wejścia do tunelu – Miała stać przy mnie. – Ujął mnie pod ramię i mocno podparł.

– Tata mnie potrzebował – wyjaśniła Pszczoła.

– Zaraz, to panienka Pszczoła ich wystraszyła? – zdziwił się Niestrudzony.

Opuścił Skierkę na podłogę, po czym starannie zamknął za nami drzwi. Przez kilka chwil staliśmy bez ruchu w pomieszczeniu wartowników. Nadal dzwoniło mi w uszach.

– Skierko! – krzyknął Strzyk z rozpaczą w głosie, opadł przy dziewczynie na kolana. – Co jej się stało? – Oczy miał pełne łez.

– Jest oszołomiona Mocą. Powinna zaraz dojść do siebie. Pszczoło, nikt się na ciebie nie gniewa. Ocaliłaś nam życie. Chodź do mnie, kochanie.

Niestrudzony, nie zwracając na nas uwagi, robił swoje: już przepchnął pod drzwi stół. Chwycił krzesła, ledwo zdążyłem usunąć mu się z drogi. Tak czy inaczej, najważniejsza była Pszczoła. Skuliła się w kącie, twarzą ukryła w dłoniach.

– Nie chciałam zrobić jej krzywdy! I na dodatek teraz już wiedzę, gdzie się ukrywamy!

– Kochanie, ocaliłaś nas. Ocaliłaś nas wszystkich.

Wyskoczyła z kąta, podbiegła do mnie i przez jedną ulotną chwilę trzymałem na rękach swoje dziecko, pełne ufności, że potrafię je ochronić. Przez czas potrzebny na jeden oddech czułem się jak dobry ojciec.

– Co się stało? – zapytał Błazen, stając na szczycie schodów prowadzących

do lochu.

– Idziemy na dół – zarządził Strzyk.

Postawił oszołomioną Skierkę na nogi. Dziewczyna miała otwarte oczy. Uznałem to za dobry znak, choć wydawała się niezbyt przytomna. Na suficie pojawiła się szpara: szybkim zygzakiem wydłużyła się i poszerzyła. Spadły na nas płatki farby i tynku.

– Jeśli sufit runie, zostaniemy tu uwięzieni – uświadomiłem wszystkim głośno.

– Nawet gdyby sufit nie zawalił korytarza i tak nie minęlibyśmy straży. Czy chcemy, czy nie, musimy iść w dół.

„Wcale mi się to nie podoba”.

„Mnie też nie”.

Błazen podpierał mnie, jak mógł. Strzyk prowadził Skierkę, która przywarła do jego ramienia. Niestrudzony dołożył ostatnie krzesło na barykadę pod wejściem i podążył za nami.

– Umiesz, panienko, czarować? – zapytał Pszczołę, przytrzymując nam drzwi prowadzące do lochów.

– Umiem. A ty ani trochę! Cieszę się jak nie wiem co! Inaczej byś od nas uciekł! – Na mgnienie oka na twarzyczce Pszczoły pojawił się uśmiech.

Na tej drobnej, poznaczonej bliznami buźce wykwitł uśmiech Sikorki. Serce omal mi nie pękło.

– Nigdy w życiu! – zarzekł się chłopak i pokazał w uśmiechu wszystkie zęby, a moja córka niczego poza nim nie widziała.

Za moimi plecami odpadł fragment sufitu, rozniósł się dym, buchnął smród i przejście z korytarza do wartowni zostało skutecznie zablokowane. Fala gorąca pchnęła nas w stronę schodów. Gdy zeszliśmy kilka stopni, Trud starannie zamknął za nami kolejne drzwi.

– No tak. Tędy to już raczej nikt za nami nie przyjdzie – rzekł niemal pogodnie. – Nic nam nie grozi.

Nie zamierzałem się z nim spierać, wiedziałem jednak, że od rozżarzonego drewna zajmą się ściany. Byliśmy w pułapce.

Pszczoła i Niestrudzony zeszli przodem. Ja obrzuciłem schody spojrzeniem pełnym zwątpienia.

– Oprzyj się na mnie – poprosił Błazen.

Z każdym krokiem rana w udzie otwierała się szerzej. Z dołu prowadziło nas ledwo widoczne światło. Pochwyciłem zapach sosny, lecz woń oliwy wkrótce zdusił smród więzienia. Chwilę później wstrząsnął nami potężny łoskot, jakby gigantyczny koń kopnął w ścianę, aż drzwi zadygotały we framugach. Z pewnością zawalił się

kolejny fragment sufitu. No i tyle. Nie mieliśmy już drogi odwrotu. Jeżeli nie znajdziemy wyjścia, umrzemy w lochach.

– Zawrócić, nie zawrócimy – stwierdził Błazen.

W odrętwieniu pokiwałem głową. Gdy dotarliśmy na dół, usiadłem na najniższym stopniu. Błazen usadowił się obok, zaraz też podeszła do nas Pszczoła. Proszę bardzo. Oto my. Wszyscy żywi. Na razie.

Objąłem córeczkę ramieniem, przytuliłem. Zesztywniała pod moim dotykiem, lecz tylko na moment. Oparła się o mnie i tak została. Jakiś czas po prostu siedzieliśmy. Byłem całkowicie wyzuty z sił, za to odzyskałem Pszczółkę. Moja córeczka siedziała tuż obok.

Na górze ogień, ruiny i groźny wróg. Na dole zimno, ciemność i woda. Uwięzieni między morzem a skałą.

Prilkop kucnął przy uwolnionych więźniach. Skupili się w jednej celi, na sienniku, obszarpani, skuleni, wystraszeni. Nie słyszałem ich rozmowy. Po drugiej stronie pomieszczenia Skierka, jeszcze trochę nieswoja, z uwagą oglądała fragment muru. Obok niej Strzyk obmacywał podrapaną zaprawę, popychał kamienie. Oboje kręcili głowami. Wydawali się zniechęceni.

– Może gliniak się przyda? – podsunął Strzyk.

Skierka potarła oczy.

– Jako ostatnia deska ratunku – zdecydowała. – Jeżeli nie włożymy go w ścianę, to większa część siły wybuchu uderzy w nas, nie w kamień. Sprawdzaliśmy to z wielmożnym panem Cierniem. Równie dobrze może nam zwalić sufit na głowę.

– Jestem okropnie zmęczona – szepnęła Pszczółka.

Ledwo ją słyszałem.

– Ja też.

Działanie nasion kopytnika minęło, zostawiając po sobie znużenie i apatię.

– Wilk-ojciec jest teraz z tobą?

„Tak”.

– Tak.

Podobało mi się jej imię dla Ślepuna.

– Czym on jest?

Nie wiedziałem.

– Jest dobry – odpowiedziałem po namyśle.

Ślepun pochwalił mój wybór.

– To prawda – zgodziła się Pszczoła.

Czekała, aż powiem coś więcej, lecz ja tylko wzruszyłem ramionami. Przyjęła moją bezradność z uśmiechem. A potem spytała:

– Czy tu jesteśmy bezpieczni?

– Na razie tak.

Przyjrzałem się jej twarzy. Spuściła wzrok.

– Wiem, jak wyglądam – rzekła, unosząc wyzywająco bródkę. – Już nie jestem ładna.

– Nigdy nie byłaś.

Wyzywająco przekrzywiłem głowę. Błazen aż się zatchnął, słysząc moje okrutne słowa, Pszczółce oczy pociemniały.

– Byłaś i jesteś piękna – dokończyłem. Uwolniłem rękę, by leciutko dotknąć jej zniekształconego ucha. – Każda blizna świadczy o zwycięstwie. Widzę, że jesteś bohaterką.

Wyprostowała się.

– Zawsze, kiedy mnie bili, starałam się sprawić im ból. Wilk-ojciec mnie tego nauczył. „Niech się ciebie boją”, powiedział. Posłuchałam go. Dwalii odgryzłam pół policzka!

Wstrząśnięty nie znalazłem słów, lecz Błazen przejął pałeczkę.

– Bravo! Pięknie! Żałuję, że sam nie mogłem tego zrobić. – Obdarzył ją promiennym uśmiechem. – Podoba ci się nos ojca?

Pszczółka podniosła na mnie wzrok, a ja przeciągnąłem palcem po grzbiecie nosa. Innego mnie nie widziała.

– Dlaczego miałby mi się nie podobać? – spytała zdziwiona.

– Nos jak nos – obwieścił Błazen radośnie. – Zawsze wszystkim powtarzam: jego nos jest jak najbardziej w porządku! – Roześmiał się głośno.

Strzyk i Skierka odwrócili się do nas zaskoczeni. Dowcipu nie zrozumiałem, lecz na widok ich min też zaśmiałem się w głos, nawet Pszczoła zdobyła się na uśmiech, taki, jakim obdarza się szaleńca. Przyłgnęła do mnie, zamknęła oczy.

Ból w zranionej kończynie pulsował mi w rytm uderzeń serca: „Odpocznij, odpocznij, odpocznij”, mówił. A ja wiedziałem, że nie mogę. Ciało pragnęło snu, chciało zdrowieć, to jednak nie był właściwy czas. Musiałem wstać, pomóc innym. Tyle że Pszczoła osunęła się na mnie, a ja nie chciałem jej przenosić. Oparłem się więc o wyższe stopnie. Ostatni gliniak wpił mi się w plecy.

– Pomóż – poprosiłem Błazna.

Przyjaciel ściągnął ze mnie pas z kieszonkami.

Pszczółka nawet nie drgnęła. Przyjrzałem się drobnej twarzyczce. Oczy zamknięte. Zniekształcające skórę blizny snuły przerażającą opowieść. Jedne powstały dawniej, przed miesiącami, inne były świeże. Powstrzymałem impuls, by dotknąć rozcięcia w kąciку ust i natychmiast je uleczyć. Nie. Przede wszystkim –

nie budzić. Uświadomiłem sobie, że wspieram się ciężko na Błaźnie. Uniosłem głowę, popatrzyłem mu w oczy.

– Udało nam się? – zapytał.

Uśmiech na spuchniętej twarzy wyglądał upiornie.

– Dopiero zwycięstwo kończy walkę – powiedziałem.

Słowa Brusa. Kiedyż to było, gdy je od niego słyszałem...

Dotknąłem nogi. Ciepła i wilgotna. Byłem głodny, zmęczony i chciało mi się pić, ale miałem przy sobie ich oboje i wszyscy żyliśmy. Traciłem krew i dzwoniło mi w uszach, mimo to żyliśmy.

Pod przeciwległą ścianą Strzyk zaczął wydrapywać zaprawę czubkiem miecza. Niestrudzony przykląkł obok niego i robił to samo w innej szczelinie. Skierka podeszła do stojaka z narzędziami przeznaczonymi do rwania ciała, a nie zaprawy z kamienia. Z odsłoniętymi zębami wybrała jakiś poczerniały żelazny przyrząd. Odwróciłem od tego wzrok, popatrzyłem na Błażna.

– Powinienem im pomóc – powiedział.

– Jeszcze nie teraz.

Spojrzał na mnie pytająco.

– Pozwól mi nacieszyć się tą chwilą. Po prostu bądźmy wszyscy razem. Jeszcze przez moment. – Niespodziewanie odnalazłem w sobie uśmiech. – Mam dla ciebie wieści. – W dalszym ciągu rozpierała mnie radość. – Błaźnie, zostałem dziadkiem! Pokrzywa ma córeczkę. Nadzieję. Wspaniałe imię, prawda?

– Ty dziadkiem. – On też się uśmiechnął. – Nadzieja. Tak, to wspaniałe imię.

Jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu. Byłem śmiertelnie znużony i wciąż groziło nam niebezpieczeństwo, lecz nie przeszkodziło mi to rozkoszować się słodczą istnieniem, życia, ukochanego towarzystwa. Byłem potwornie zmęczony. Noga mnie rwała. Nieważne. Ważne było to, co piękne. Wsunąłem się w wilczą radość z tego, co było tu i teraz.

„Odpocznij. Będę cię strzegł”.

Nawet nie wiedziałem, że się zdrzemnąłem, póki nie obudziłem się z drgnieniem. Chciało mi się pić i byłem tak głodny, że zjadłbym konia z kopytami. Pszczoła, wsparta o mnie, trzymała mnie za rękę i nadal spała. Czując dotyk jej skóry, miałem wrażenie, że jest częścią mnie. Bezwiednie odszukałem umysłem mur skrywający jej myśli i uśmiechnąłem się lekko. Sama posiadała tę umiejętność. Będzie potężna. Podniosłem wzrok na Błażna. Wyglądał mizernie, ale był pogodny.

– Jestem, jestem – powiedział cicho.

Pod przeciwległą ścianą dostrzegłem Strzyka, bez koszuli, spoconego mimo chłodu. Razem z Niestrudzonym i Skierką wydrapywali zaprawę z fragmentu muru.

Oni zdobycznymi mieczami, ona czymś w rodzaju pogrzebacza. Udało im się zrobić otwór pozwalający na włożenie ręki. Kamień, który wyciągnęli, miał szerokość równą długości męskiego ramienia i o połowę mniejszą wysokość. Kamienne bloki w ścianie były ułożone naprzemiennie: trzeba było usunąć trzy wyższe, żeby wyjąć dwa niżej. Należało wyjąć przynajmniej sześć, by Niestrudzony zdołał przecisnąć się przez otwór. Powinienem im pomóc. Wiedziałem o tym doskonale, jednak moje ciało zużyło ostatnie rezerwy energii na leczenie nogi. Ostrożnie dotknąłem bandaża. Lepki, lecz zaskorupiały. Bez świeżej krwi. Mimo wszystko rana otworzy się na nowo, jeśli tylko wstanę.

– Odsuńcie się – polecił Strzyk, stając prosto.

Gdy Skierka i Niestrudzony wykonali polecenie, kopnął w głaz, nad którym się biedzili.

– Jeszcze nie – stwierdziła dziewczyna znużonym głosem.

Niestrudzony wrócił do wydrapywania zaprawy.

– Może byśmy tam wsadzili gliniak?

Skierka przyjrzała mu się z uwagą.

– Jeśli chcesz zawalić tunel, możemy spróbować.

Niestrudzony prychnął i z krzywym uśmiechem wrócił do pracy.

Błazen i ja siedzieliśmy w milczeniu.

W pewnej chwili jeden z więźniów wyszedł z celi. Wolno, niepewnym krokiem, podszedł do Niestrudzonego i Skierki.

– Pomogę, jeśli mi dacie jakieś narzędzie – powiedział. Głos miał niby młody, lecz skrzekliwy.

Dziewczyna zmierzyła go spojrzeniem, po czym włożyła mu w rękę swój nóż. Chłopak zaczął skrobać zaprawę.

– Naprawdę obawiałem się, że będę musiał między wami wybierać – odezwał się Błazen niegłośnie. Gdy nie odpowiedziałem, dodał: – Przez jej sen o jeleniu, pszczole i wadze.

– Mimo wszystko jestem tutaj, żywy, a nasi wrogowie zostali odgradzeni zwałowiskiem rozżarzonego gruzu. Może wciąż jestem katalizatorem i zmieniam przepowiednie, nawet prorocze sny własnej córki? Żyję i nie zamierzam umierać. Zabieram Pszczołę do Koziej Twierdzy. Będzie wychowywana jak na księżniczkę przystało. A ty zostaniesz u jej boku, by ją uczyć i wspierać radą. Będzie cieszyła się miłością siostry i będzie się bawiła z siostrzenicą.

Jeszcze dwójka oswobodzonych Białych postanowiła nam pomóc. Podeszli do stojaka z narzędziami tortur. Wybrali, co uważali za stosowne, i dołączyli do Strzyka, Skierki oraz Niestrudzonego. Razem podjęli walkę ze spoiną. Dostrzegłem ironię

tej sceny.

– I będziemy żyli długo i szczęśliwie? – zapytał Błazen.

Przyglądałem się odpadającym kawałkom zaprawy.

– Właśnie tak to widzę.

– Ja także mam taką nadzieję. Chociaż niewielką.

– Nie wolno ci wątpić, bo będziemy zgubieni.

– Bastardzie, mój najukochańszy. W tym rzecz: ja nie wątpię, ja w ogóle nie wątpię w sny Pszczoły.

Otworzyłem usta, lecz poszedłem po rozum do głowy i zamknąłem je, nie wydawszy dźwięku. Mimo wszystko musiałem zadać pytanie, które zrodziła straszna myśl.

– Co się stało ze smoczym srebrem, które wzięłeś ze sobą? Czy wpadło w ręce Sług?

– Ukradłem je, by dotrzymać obietnicy – powiedział. – A co, sądziłeś, że wzięłem je dla siebie?

– Tego się obawiałem.

– Bez sensu. Nawet go ze sobą nie zabrałem. Powiedziałem Basałykowi...

Pszczoła się poruszyła, uniosła głowę i zsunęła dłoń z mojej ręki. Więż Mocą trwała nadal, wątpła jak nitka, lecz niezaprzeczalna. Czy moja córka też ją czuła? Wciągnęła głęboko powietrze i powoli je wypuściła. Przeniosła spojrzenie ze mnie na Błazna. On uśmiechnął się do niej tak promiennie, jak nigdy do nikogo. Blizny mu się przy tym naciągnęły, a na wpół ślepe oczy zaśniły czułością. Pszczoła przytuliła się do mnie mocniej i nie spuszczając z niego wzroku, powiedziała:

– Miałam sen.

Zmierzwiał jej włosy dłonią w rękawiczce.

– Chcesz mi go opowiedzieć?

Zerknęła na mnie pytająco, a ja kiwnąłem głową.

– Siedzę przy ogniu obok taty i wilka. Tata jest bardzo stary. Opowiada mi różne historie, a ja je zapisuję, ale jestem przy tym okropnie smutna. Wszyscy są pogrążeni w smutku. – Zebrała się w sobie. – Ten sen jest wyjątkowo prawdopodobny.

Uśmiechnąłem się do niej uspokajająco.

– Mnie wydaje się wspaniały. Jedyne, co bym w nim zmienił, to twój smutek.

Ściągnęła brwi zmartwiona, że nic nie rozumiem.

– Tato, ja nie układam snów. Nie mogę ich zmieniać. Są takie, jakie są.

– Wiem, wiem – zapewniłem ją pogodnie. – Z Błaznem jest tak samo. Czasami nawet ma pewność, że sen się spełni. – Wzruszyłem jednym ramieniem. – A potem ja sprawiam, że proroctwo mija się z rzeczywistością.

– Jak to robisz? – spytała niebotycznie zdumiona.

– Jest moim katalizatorem – odezwał się Błazen. – Zmienia koleje losu. Czasami w sposób, jakiego bym się nigdy nie spodziewał. Na dodatek często jestem mu za to wdzięczny – przyznał niechętnie. – Widzisz, Pszczoło, sporo cię muszę nauczyć. O katalizatorach, o snach i o...

– Według Prilkopa moim katalizatorem była lingstra Dwalia. Gdy się pojawiła, spowodowała w moim życiu zmiany. Zmieniła mnie. W ten sposób umożliwiła przekształcenia, które ja wprowadziłam. A ja ją zabiłam. Zabiłam swojego katalizatora. – Podniosła na mnie wzrok. Oczy miała błękitne, jak niezapominajki, jasne loczki przykleiły jej się do głowy. – Wiesz, że zabiłam ludzi? I spaliłam wszystkie sny, żeby Słudzy nie mogli już dłużej używać ich do czynienia zła. Tato, jestem światoburcą.

Słuchałem oniemiały.

– Możesz to zmienić? – spytała cichutko. – Dla mnie?

– Jesteś Pszczołą, moją córeczką – oznajmiłem z mocą. – Tego nic nie zmieni. Nic, nigdy.

Gwałtownie odwróciła głowę, a ja powędrowałem wzrokiem za jej spojrzeniem. Oto z celi wyszła jeszcze jedna osoba; kobieta wolno zbliżała się do nas, twarz miała wykrzywioną bólem, a dodatkowy grymas pojawiał się przy każdym kroku, gdy przenosiła ciężar ciała na obrzękniętą stopę.

– Widziałam cię, dziewczusko – powiedziała. – We śnie cię widziałam. – Uśmiechnęła się do nas spierzchniętymi ustami. – Byłaś stworzona z płomienia, w snopach iskier tańczyłaś i wywołałaś wojnę tam, gdzie jej nigdy nie było. Ognistym mieczem odcięłaś przeszłość od terażniejszości i terażniejszość od przyszłości.

Prilkop przyglądał nam się z zaniepokojeniem. Biała podsunęła się bliżej.

– Mam na imię Kora, przypisuję sny do odpowiednich grup. Uczyłam się i pracowałam w bibliotece zwojów. Miałam śliczną chatkę, jednak pewnego dnia rozlałam inkaust na stary tekst. Wiedziałam, że zostanę ukarana, lecz wiedziałam też, iż któregoś dnia wrócę do swoich farbek, piórek i wyśmienitego welinu. Do dni wypełnionych pracą, zakończonych wypoczynkiem przy winie i śpiewie w świetle księżycy. Tymczasem zjawiłaś się ty. I wszystko zniszczyłaś! – Ostatnie słowa wyrzesczała, rzucając się na Pszczołę.

Ta krzyknęła, ze strachu i złości, zerwała się na równe nogi. Mój nóż brzdęknął o ostrze w dłoni córki, gdy równocześnie wbiliśmy oba w ciało kobiety. Biała osunęła się pod naszym wspólnym ciężarem. Błazen też coś zawołał, lecz zagłuszył go wściekły ryk Niestrudzonego. We mnie rządzi mord przyćmiła wszystko. Pszczoła była szybka. Wyciągnęła nóż z ciała i dźgnęła ponownie, zanim

uśmierciłem napastniczkę. Kora jęknęła bulgotliwie, lecz dźwięk ten szybko utonął w milczeniu. Leżeliśmy na brudnej podłodze, ręce miałem śliskie od krwi, zranioną nogę rozdzierał ból. Pszczoła stoczyła się z Białej i próbowała wstać. Przeraziła mnie czerwienią na jej ubraniu, jednak moja córka nie była ranna. O tym wiedziałem dzięki Mocy. Wytarła nóż o brudne spodnie zabitej.

– Koro! – Prilkop znalazł się przy nas. – Koro, coś ty zrobiła? – Usiłował ściągnąć mnie z trupa, lecz gdy na niego warknąłem, odstąpił.

Niestrudzony znalazł się przy nas w mgnieniu oka, pociągnął Pszczołę do siebie.

– Musieliście ją zabić? – zapytał Prilkop. – Naprawdę musieliście ją zabić?

– Ja musiałam – potwierdziła Pszczoła. Łypnęła na niego rozognionym wzrokiem.

– Bo mam przeżyć.

Niestrudzony trzymał ją za ramiona, patrzył na nią z mieszaniną podziwu i strachu.

Zsunąłem się z trupa. Zamierzałem wstać, lecz nie zdołałem. Zranionej nogi za nic nie mogłem zgiąć, a druga trzęsła się jak galareta.

– Pan się teraz odsunie – uprzedził Strzyk Prilkopa głosem bez wyrazu. – Dźwignął mnie w górę, postawił.

Byłem mu za to wdzięczny, tak samo jak za szorstkość. W tej chwili nie potrzebowałem delikatności.

Ciszę nabrzmiałą napięciem przeciął krzyk Błazna.

– Dlaczego?!

Zanim zdążyłem otworzyć usta, odezwał się Prilkop.

– Zaiste, dlaczego twój katalizator i jego córka zamordowali Korę? Przypominasz sobie Korę, prawda? Przemyciała dla nas wiadomości.

– Kora... – odezwał się Błazen cicho, a jego twarz postarzała się w jednej chwili.

– Tak – przyznał drżącym głosem – pamiętam.

– Ta kobieta rzuciła się na Pszczołę! – przypomniałem im obu.

– Nie miała broni – zaprotestował Prilkop.

– Nie czas na takie dysputy! – wtrącił się Strzyk. – Kora nie żyje... nie ona jedna. My też wkrótce będziemy martwi, jeśli nie poradzimy sobie z tymi kamieniami. Prilkopie! Pomóż nam! Błaznie, ty także! Nie ma teraz czasu na wspominki ani wyrzuty. Chodźcie pod mur, chodźcie!

Popatrzyłem na ciało Kory i uświadomiłem sobie, że nie czuję skruchy. Zaatakowała moje dziecko! Przechyliłem głowę i przyjrzałem się też paskudnemu czarnemu ostrzu leżącemu obok jej ciała. To było jedno z narzędzi tortur.

– Na tamtym stojaku przy ławie są ułożone różne narzędzia tortur. Wybierz to, który najlepiej przyda się do usuwania zaprawy. – Trąciłem stopą nóż zabitej. – Ale

chyba to będzie dla ciebie w sam raz, Prilkopie.

Obrzucił mnie urażonym spojrzeniem. Niemal natychmiast pożałowałem swoich słów. Tymczasem Pszczoła schyliła się i podniosła mordercze narzędzie. Podeszła z nim do ściany i zaczęła wydrapywać spoinę spomiędzy niższych bloków. Błazen ruszył za nią.

– Błaznie, pomożesz mi?

– Co z nogą?

– Nie jest tak znowu źle. Gorzej, że ciało zużywa resztki energii, by ją wyleczyć.

– Czyli ślepy będzie prowadził kulawego?

– Cóż, powinno być odwrotnie. – Położyłem dłonie na jego barkach. – Uważaj, stawiaj kroki ostrożnie – poprosiłem i poprowadziłem go wokół trupa.

– Nie była zła – zauważył Błazen miękko. – Pszczoła zniszczyła jej życie. Za sprawą obcego dziecka straciła wszystko, co znała i kochała, sens życia.

– Trudno. Pszczoła skoczyła jak kot gończy.

„Jak wilk”.

– Raczej jak wilk – sprostował Błazen.

Dreszcz mnie przeszedł na dźwięk jego słów stanowiących echo myśli Ślepuna. Ten sam dreszcz przywołał na moje wargi uśmiech.

Strzyk zerknął na nas przez ramię i odprawił gestem ręki.

– Was tu nie trzeba. Nie ma miejsca – ocenił.

Akurat w tej chwili Niestrudzonemu udało się ze Skierką poruszyć jeden z bloków. Kamień obrócił się, lecz nie dał wyjąć. Wrócili do usuwania zaprawy. Wydlubywanie spoiwa wymagało cierpliwości i długo trwało. Podobnie wyciąganie oswobodzonego kamienia. Nad naszymi głowami znów coś się zawaliło. Popatrzyłem na sufit.

– Jak sądzisz? Martwi są? – spytał Błazen.

Nie musiałem pytać, o kogo mu chodzi.

– Dwalia i Vindeliar na pewno. Pszczoła zabiła Symphe. Felodi, jeśli jeszcze nie stracił życia, będzie trupem wcześniej czy później, bo z pewnością dotknie czegoś w swojej komnacie. I chyba Pszczoła na dodatek dźgnęła go w korytarzu, przynajmniej raz. Niestrudzony podciął gardło Kultriemu. A Kapra, kiedy ją ostatnio widziałem, wciąż krwawiła od wcześniejszego ciosu nożem.

Nie wspominałem o bezimiennych ludziach, którzy zginęli w pożarze.

Jakiś czas milczał.

– Dwóch zabił Niestrudzony: Vindeliara i Kultriego. Dwie Pszczoła: Symphe i Dwalię. Może troje, chyba że sobie przypiszę śmierć Felodiego. Ona pchnęła go nożem, lecz jeśli zanieśli go do komnat, umrze z pewnością. – Zaśmiał się. –

A u ciebie, Bastardzie, zero na koncie. Mój ty wyśmienity skrytobójco.

– Jeszcze Skierka, za sprawą wybuchu gliniaka zabiła żołnierzy z patrolu. A Pszczoła odstraszyła wartowników. – Nie wspomniałem o tych, którym odebrałem życie w walce. – Straciłem pazur, Błaźnie. Tak, jak się obawiałem. Chyba czas to przyznać. Powinienem znaleźć sobie inne zajęcie.

– Nie widzę powodu do wstydu – stwierdził, lecz nie poprawił mi tym nastroju. – Później – dodał.

– Co później?

– Później, gdy Pszczoła będzie już bezpieczna, może wrócimy i upewnimy się, że nikt tu nie przeżył.

– O ile smoki nas nie uprzedzą.

Przymknął oczy i rozciągnął usta w wyrazie najczystszej rozkoszy.

– Skoro mamy Pszczołę, niech smoki robią, co chcą.

W pełni się z nim zgadzałem. Byłem niemożliwie zmęczony. Równocześnie obawiałem się, że jego pragnienie zemsty wciąż pozostało niezaspokojone, lecz teraz, gdy patrzył na Pszczołę, obdrapującą zaprawę z kamienia, wydawał się całkiem usatysfakcjonowany. Jakby jej obecność między nami pozbawiła go wszelkich ambicji.

Rzadko czułem się bezużyteczny, a wtedy nastąpiła właśnie taka chwila. Żołądek bolał mnie z głodu, pragnienie wysuszyło usta, mimo to postanowiłem zostawić nasze szczupłe zapasy wody dla tych, którzy pracowali. W końcu Strzyk wyciągnął ze ściany kamień.

– Widać coś przez tę dziurę?! – zawołałem.

– Ciemność! – odkrzyknął i powrócił do przerwanej pracy.

W którymś momencie Błażen pomógł mi przykuśtykać do siedzeń przy ławie tortur. Stamtąd lepiej widziałem postępy w pracy. Mniej więcej wtedy troje pozostałych Białych przyszło po ciało Kory. Zanieśli je z powrotem do celi, ułożyli na sienniku. Prilkop do nich dołączył, przez kilka chwil stali w milczeniu nad zwłokami.

Szepnąłem na ten temat kilka słów do Błażna, a on westchnął.

– Pszczoła jest dla nich światoburcą. Opłakują zmarłych: tę tutaj i tamtych, co zginęli w ogniu. Nie koniec na tym, stracili dorobek pokoleń. Szkody są ogromne. Zniknął kawał historii, odcięto ich od korzeni.

Pomyślałem, że mój przyjaciel jest ślepy nie tylko dosłownie.

– Pszczoła zniszczyła groźną broń. Zlikwidowała niebezpieczeństwo – powiedziałem cicho.

Nic na to nie odparł.

Słuchaliśmy zgrzytania metalu o zaprawę, cichych uwag przy pracy. Strzyk wcisnął pogrzebacz pod róg drugiego kamienia i napał z całej siły. Bez efektu.

– Jeszcze nie. – Westchnął i na powrót zabrał się do pracy.

Gdy następnym razem nacisnął na dźwignię, udało się poruszyć kamień. Błazen pomógł mi podejść do ściany.

Strzyk wsunął rękę w otwór i pociągnął: stężały mu mięśnie ramion i torsu, skała, przesuwana po nierównej powierzchni, zachrzęściła i znieruchomiła. Szarpnięta raz, drugi i trzeci zachrobotła, opornie przesunęła się w naszą stronę, wreszcie spadła, odsłaniając powiększoną ciemną przestrzeń.

– Jeszcze jeden i Niestrudzony wciśnie się tam z pochodnią.

Chłopak gorliwie pokiwał głową. Zakręcił się i gdzieś zniknął. Po paru chwilach wrócił z prowizoryczną pochodnią w ręku: owinął koniec pogrzebacza szmatami z któregoś siennika, całość nasączył oliwą z lampy. Strzyk odsunął się na ten widok, a Trud zapalił pochodnię i wetknął ją w dziurę między kamieniami.

– Nie za dużo widać! Auć!

Płomienie zawróciły ku jego dłoni, liznęły skórę. Upuścił pręt, a ten z brzękiem spadł w ciemność.

Pszczola także zajrzała w czeluść. Wsunęła się między kamienie, sięgały jej do pasa.

– Co widzisz? – spytałem.

– Schody prowadzące w dół... i właściwie nic więcej.

Wcisnęła się głębiej i nagle zniknęła nam z oczu, spadła po przeciwnej stronie muru.

– Pszczoło! – zawołałem nie na żarty przestraszony.

Wstała z pochodnią w dłoni, objęła nas spojrzeniem.

– Nic mi nie jest.

Uniosła pochodnię wyżej, a ja zajrzałem w otwór z bliska. Zobaczyłem szerokie stopnie prowadzące w smolistą czerń. Czuć było morzem i wilgotnym kamieniem. Podejrzywałem, że na dole schody giną w stojącej wodzie. Sufit był kamienny, ściany także, w niższej części pokryte burozielonymi plamami.

– Pójdę na dół, zobaczę, co widać – oznajmiła Pszczoła.

– Nie ma mowy – sprzeciwiłem się stanowczo.

Próbowałem ją złapać, lecz nie dosięgnąłem.

– Tato... – Zaśmiała się, budząc w pustce dziwaczne echo. – Już nigdy nikt nie będzie mi niczego zakazywał. Nawet ty. – Ruszyła w dół. – Wróć – obiecała.

Oczy Strzyka napotkały moje spojrzenie. Obaj byliśmy równie wstrząśnięci.

– Ja się przecisnę! – rzucił Niestrudzony.

Przepchnął się między mną a Strzykiem, wetknął w otwór głowę i ramiona. Wycofał się, spróbował ponownie, tym razem z rękoma złożonymi przed głową.

– Popchnijcie mnie! – zawołał zduszonym głosem.

Strzyk go posłuchał. Mimo że chłopak niecierpliwie machał nogami, zdołał go złapać pod kolana i popchnąć. Ubranie szurnęło o kamień, Niestrudzony łupnął w ziemię z drugiej strony muru, stoczył się po kilku stopniach. Natychmiast zerwał się na nogi i zawołał:

– Pszczółko! Panienko Pszczółko! Niech panienka zaczeka!

– Weź miecz! – rozkazał mu Strzyk i wrzucił broń do tunelu.

Trud uchwycił rękojeść, po czym ruszył biegiem. Prawie całkiem zasłonił roztańczony blask, oznaczający miejsce, gdzie znajdowała się Pszczoła z pochodnią.

– Panienko! Nie tak prędko!

Zawołał jeszcze coś do nas i zniknął.

– Dzielni oboje – rzekła Skierka.

Zorientowałem się, że przymierza na oko, czy zmieści się w otwór. Strzyk złapał ją za ramię.

– Pomóż wyjąć jeszcze jeden kamień... lepiej dwa. Wtedy uciekniemy wszyscy... O ile to rzeczywiście jest droga na wolność.

– Bez ciebie bym nie poszła – powiedziała i natychmiast wróciła do usuwania zaprawy.

Chwilę później Strzyk przykląkł obok i zabrał się do wykrobywania sąsiedniej spoiny. Ja stałem i wpatrywałem się w ciemność. W cieniu, między którymi zniknęli Niestrudzony i Pszczoła, w coraz odleglejszą smużkę żółtawej poświaty. Maląła i maląła, aż w końcu zniknęła. Czekałem, wyteżając wzrok, lecz widziałem jedynie czerni.

– Pochodnia zgasła. – Starąłem się opanować drżenie głosu. – Trzeba tam posłać Skierkę.

Oczywiście widziałem tysiące niebezpieczeństw czyhających na Pszczołą.

– Jeszcze jeden kamień – powiedział Strzyk.

Czas włókł się niemiłosiernie. Wszyscy milczeliśmy. Tylko chrobotanie narzędzi o kamień odmierzało przemijanie wieczności. Wciąż ciemność. Nosiło mnie, nade wszystko pragnąłem chodzić w tę i z powrotem... Nie mogłem. Pracowali na zmianę: Skierka ze Strzykiem, potem dwóch więźniów, następnie znowu Skierka ze Strzykiem. Zaprawa osypywała się po ścianie. Nad nami i za naszymi plecami pomrukiwał ogień.

– Stop – odezwał się nagle Strzyk. Pochylił się nad Białymi, którzy pracowicie usuwali spoiwo, zajrzał w otwór. – Widzę światło! Wracają.

Odepchnąłem go. W oddali drżała ledwo dostrzegalną zapowiedź poblasku, okruczeństwo w czarnej ciemności. Strzyk pośpiesznie zrobił drugą pochodnię i przerzucił ją do tunelu. Widzieliśmy więcej, lecz musieliśmy jeszcze długo czekać, nim ujrzeliśmy wspinającą się po stopniach Pszczołę.

– Gdzie Niestrudzony?! – zawołałem z sercem w gardle.

– Stara się przebić przez drzwi na drugim końcu – odpowiedziała bez tchu. – Są drewniane i stare, częściowo zbutwiałe, ale nie mogliśmy się przedostać. Udało mi się wbić ostrze między deski, wtedy przedostało się przez nie trochę światła, więc to chyba jest wyjście! Na dole tych schodów jest spadek aż do wody. Skaleczyłam się o pąkle, wtedy Niestrudzony urwał rękawy i owinął mi nimi stopy. Dalej natrafiliśmy na stopnie prowadzące do góry, dużo ich, szliśmy i szliśmy, aż wreszcie dotarliśmy do drzwi. Trud powiedział, że to kiedyś mogła być wartownia. I że ciemności mu nie przeszkadzają, a mnie w drodze będzie potrzebne światło. Trzeba zabrać pogrzebaczę do wyłamania desek... albo siekierkę. Postaramy się rozbić drzwi.

Plan był sensowny. I bardzo mi się nie podobał.

Przełożyliśmy przez otwór najmniejszą lampę, oddałem siekierkę. Pszczoła przycisnęła lampę do piersi, siekierkę i prowizoryczną pochodnię niezgrabnie wetknęła pod ramię. Odprowadzałem ją wzrokiem, jakby schodziła z tego świata.

– Sufit się pali – zauważył Błazen. – Czuć dym. I robi się cieplej.

– Pośpieszmy się – powiedział Strzyk i wszyscy wrócili do pracy.

Po jakimś czasie, gdy wreszcie ocenił, że jest dość miejsca na pogrzebacz, wsunął go pod kamień.

– Chwileczkę – odezwał się Prilkop i wepchnął w szczelinę drugi. – Teraz – powiedział i obaj równocześnie nacisnęli z całej siły.

Kamień ani drgnął.

Fragment sufitu spadł na ławę tortur i na schody, gdzie niedawno siedziałem. Zatańczyły na nim płomienie. Posadzkę i ściany wartowni zrobiono z kamienia, lecz marne to było pocieszenie, gdyby spadło na nas płonące rumowisko. Nie mówiąc już o dymie i rozżarzonym powietrzu. Popatrzyliśmy po sobie szeroko otwartymi oczyma.

– Pomogę wam! – krzyknęła Skierka. Przycupnęła na jednym z pogrzebaczy, niczym ptaszek na gałązce. – Teraz pchaj! – nakazała Strzykowi.

Obaj z Prilkopem nacisnęli z całych sił. Ciężki kamień, przy wtórze tarcia, niechętnie drgnął w posadach i uniósł się nieco. Prilkop wepchnął narzędzie głębiej, naparł na nie z jękiem. Kamienny blok przekrzywił się nieco na skos, zwężając otwór. Więzień, który pierwszy zaczął nam pomagać, też napierał na głaz całą swoją

mizerną wagą zagłodzonego szkieletu. Skalna bryła wsunęła się nieco w czeluść tunelu. Prawie otwarliśmy drogę ucieczki.

Strzyk rzucił pogrzbacz i górną połowę ciała wparł się w ciemność. Więzień, który stał obok niego, też pchał ile sił.

– Pomóż – wysapał do drugiego.

Wezwany wcisnął się w na wpół otwarty otwór obok towarzysza niedoli. Przy wtórze stękania i pojękiwania, tarcia kamienia o kamień, wreszcie ciężka zawalidroga niechętnie ustąpiła. Powoli otworzyła się przed nami droga ku wolności. Dwaj więźniowie błyskawicznie znaleźli się po drugiej stronie muru i odsunęli od przejścia. Strzyk przepelznął zaraz za nimi. Wyjrzał przez otwór.

– Szybko!

Odstąpił, robiąc miejsce Skierce.

W chwili gdy dziewczyna zrobiła krok w przód, Biała kobieta, ostatnia pozostała w lochach, rzuciła się w otwór. Prędko, gwałtownie, niczym wystraszony szczur. Natychmiast znalazła się po drugiej stronie. Usłyszałem zaskoczony okrzyk Strzyka, potem soczyste przekleństwo.

– Pobiegli – stwierdził kwaśno.

Zaalarmowało mnie to – żadnemu z nich nie ufałem.

– Biegnij za nimi! – poprosiłem.

– Miecz! – zażądał, a Skierka natychmiast podała mu broń.

– Ja też biegnę – stwierdziła i prześlizgnęła się przez otwór, trzymając swój miecz w wyciągniętej ręce. – Zabierzcie moją trobę! – rzuciła przez ramię i już jej nie było.

Strzyk dawno wtopił się w ciemność na schodach. Czas na nas.

Usiłowałem podejść do samej ściany, lecz noga się pode mną ugięła. Błazen podparł mnie pod ramię, pomógł stanąć prosto. Zraniona noga po prostu nie mogła udźwignąć mojego ciężaru. Na moment wezbrała we mnie taka wściekłość, że aż odebrało mi mowę. Potrzebowałem chwili, by odzyskać opanowanie. Podniosłem wzrok na Prilkopa.

– Skrzywdzą Pszczołę? – zapytałem. – Chcą się na niej zemścić?

Wziął ostatnią lampę. Przeniósł spojrzenie ze mnie na Błazna, przygryzł wargę.

– Mam nadzieję, że nie. – Tyle mógł mi ofiarować. – Ale są przerażeni. I rozgniewani. Trudno przewidzieć, do czego zdolni są ludzie, którzy się boją.

– Idź za nimi – poprosił Błazen. – Powstrzymaj ich.

– Nie wiem, czy posłuchają... – zaczął Prilkop.

– Przynajmniej spróbuj! – krzyknął Błazen.

Prilkop gwałtownie kiwnął głową. Sztywno precyzyjnie się przez otwór, zabrał

odstawioną na bok lampę i ruszył schodami w dół, o wiele za wolno.

– Wchodź – powiedziałem Błaznowi.

– Niewiele widzę – poskarżył się Błazen. – Właściwie tylko światło lampy. – Namacał wejście do tunelu, po czym zręcznie wspiał się po murze.

– Podaję ci miecz – powiedziałem.

Schyliłem się wolno i podniosłem broń. Ostrze używane do wydłubywania zaprawy nie było w najlepszym stanie. Sufit wyraźnie skrzypnął. Zerknąłem przez ramię. Spora część powały wygięła się i zwiśla.

– Nie czekaj na mnie. Idąc przy ścianie, dasz sobie radę sam. Będę się śpieszył.

Błazen ponuro kiwnął głową i zanurzył się w ciemność, której nie widział.

Jakieś światło było jednak potrzebne. Podskakując niezgrabnie, ruszyłem na jednej nodze wzdłuż ściany. Znalazłem tobołek Skierki, potem swój prowizoryczny pas na gliniaki. Postanowiłem jedno i drugie zabrać w drodze powrotnej. Zaryzykowałem i kulawo skoczyłem od ściany do stołu. Tam uchwyciłem się krzesła i podparłem się nim jak przyciężką laską. Im dalej szedłem, tym bardziej dym szczypał mnie w oczy. Zanim dotarłem do cel i sienników, zrozumiałem, że podjąłem złą decyzję. Płonące kawałki sufitu unosiły się na podobieństwo grubych płatków śniegu.

Wciągnąłem jeden z sienników na krzesło. Szurając po podłodze drewnianymi nogami, ruszyłem w drogę powrotną. Mało co widziałem przez zmrużone powieki, a gdy raz głębiej wciągnąłem powietrze, rozkaszałem się od dymu. Fragment sufitu spadł na górne stopnie prowadzących do lochu schodów. Był wielkości żrebaka. Akurat w chwili gdy tam spojrzałem, oderwał się następny kawał. Zdążyłem osłonić twarz przed falą żaru. Parł na mnie gęsty tuman. Porzuciłem wszelkie myśli o pochodni, gorączkowo pchnąłem krzesło w stronę otworu w murze. Jakaś belka huknęła o podłogę. Była osmalona, miejscami jarzyła się czerwienią. Wyskoczył na niej płomień, jakby uradowany wolnością, i szybko pomknął wzdłuż drewna. Za nim następny. Wróciły do mnie słowa „Niezrówanego”: „W wodzie i ogniu, w wietrze i ciemności. Powoli”. Czy zbliżał się mój kres? Jakby dla potwierdzenia tych domysłów duża część powały z łoskotem spadła na ziemię. Gorący podmuch zwałił mnie z nóg. Runąłem na ziemię jak długi, byłem oślepiony i zdezorientowany. Przetarłem twarz rękawem. Gdzie tunel? W którą stronę?

– Bastardzie, gdzie jesteś? Bastardzie?!

Błazen? Zacisnąłem powieki na iskrach kłujących w oczy i przez gruz popełzłem tam, skąd dobiegał głos przyjaciela. Wpadłem na nogę od stołu.

– Błaźnie?! – zawołałem.

– Tutaj!

Dotarłem do ściany, oparłem się o nią pozbawiony sił. Błazen pociągnął mnie za

koszulę na plecach, raz, drugi, trzeci, nie ustawał, szarpał i tarł, aż wepchnąłem się w otwór i po chwili stoczyłem na kamienie po drugiej stronie ściany, dałem nurka w chłodniejsze powietrze. On poszedł w moje ślady, znacznie sprawniej.

– Po coś ty tam wracał? – zapytał.

– Po pochodnię.

– Mało brakowało, a sam byś zmienił się w pochodnię.

Wytarłem oczy rękawem, otworzyłem je, zamrugałem i solidnie potarłem dłońmi. Czerwona łuna powlekała ściany i łukowaty sufit korytarza rozedrganym blaskiem.

– Idziemy – zarządził Błazen.

Przerzucił sobie moje ramię przez barki i wstał. Pokuśtykaliśmy parę kroków w bok, do ściany. Oparłem na niej dłoń i ruszyliśmy w dół. Jeden stopień, potem drugi.

– Masz mokre nogi – zauważyłem.

– Niedługo ty też będziesz mokry – odparł. – I uważaj na skorupiaki na ścianach.

A poza tym mamy przypływ, Bastardzie, przypływ.

Obaj wiedzieliśmy, co to znaczy. Dopuściłem do siebie lodowate macki strachu.

– Myślisz, że skrzywdzą Pszczołę? – spytałem po chwili.

Miałem na myśli Białych, którzy pobiegli przodem.

Błazen dyszał z wysiłku. A stopnie, które pokonaliśmy, można było policzyć na palcach jednej ręki.

– Nie przypuszczam. Nie dadzą rady Strzykowi ani Niestrudzonemu. A chłopak gotów jest bronić ją za cenę własnego życia.

– Zaczekaj – poprosiłem. Oparłem się o ścianę i wykaszałem dym. Dopiero gdy zdołałem odetchnąć pełną piersią, stanąłem prosto. – Chodźmy.

Z każdym stopniem czerwona łuna za naszymi plecami blakła, oddając nas ciemności.

– Tato? – wypłynął ku mnie słaby głosik Pszczoły.

Obaj z Błaznem aż podskoczyliśmy. Wbiłem wzrok w otchłań nieprzeniknionej czerni. Minęło kilka chwil, nim dostrzegłem w dole niewyraźne światło.

– Pszczoło? Jestem tu, z Błaznem. – A jego poprosiłem: – Zostaw mnie, idź do niej.

Usłyszał, ruszył przodem.

Ledwo widoczny poblask zmienił się w słaby płomień dogorywającej pochodni. Podrygiwał nad dłonią mojej córki. Wkrótce znieruchomiał odbity w lustrze wody obejmującej ją za kostki.

– Tato! – zawołała Pszczoła niespokojnie. – Niestrudzony wyrąbał przejście

przez drzwi. Powiedział, żebyśmy zaczekali na was wszystkich, ale potem z tunelu wybiegli więźniowie... cali mokrzy! I strasznie rozeźleni. Gdyby Niestrudzony nie miał miecza... Staralam się wpłynąć na ich umysły, ale nie dałam rady! – Z trudem chwyciła oddech.

Pokonaliśmy z Błaznem następny stopień, potem jeszcze jeden.

– Zagroził im mieczem, wtedy uciekli. Niedługo później zjawiała się Skierka ze Strzykiem. Kiedy Niestrudzony powiedział im, co się zdarzyło, Skierka pobiegła za nimi, żeby ich zabić. Tutor kazał nam zostać, czekać i ruszył za dziewczyną. Tato, Biali pobiegną prosto do Clerres i powiedzą, gdzie jesteśmy. Wróciłam cię ostrzec. Przyjdą w większej grupie i nas pozabijają. Niestrudzony strzeże przejścia. Spróbuj ich powstrzymać.

Dopiero pod koniec sprawozdania głos jej zadrżał. Gdy ruszyła w górę, spostrzegłem, że jest mokra prawie do pasa. Innymi słowy, poziom wody się podnosił. Jak wysoko sięgnie? Czy ośmielimy się uciekać przez zalany korytarz? Światło gasnącej pochodni wyławiało z mroku skorupiaki na ścianach. Wysoko na murze. Nie podobały mi się wnioski, do jakich prowadziły te obserwacje. Przyptyw na pewno sięgał co najmniej połowy schodów, czyli zalewał całkowicie położony u ich podnóża tunel.

Za nami ogień. Przed nami woda. Sytuacja bez wyjścia.

Wtedy rozległ się huk wybuchu. Wyrzuciło mnie w ciemność.

Rozdział 37

Dotyk

Ospiarz zwiastuje nieszczęście. Był widziany nie tylko w Koziej Twierdzy, lecz także w Srogiej Przeprawie i na Piaszczystych Kresach, kilka tygodni przed wystąpieniem krwawej zarazy, która zdziesiątkowała ludność Królestwa Sześciu Księstw. Stał na balkonie przeklętej Wieży Płetwiej dwa dni przed trzęsieniem ziemi, które zważyło ją na miasto. Niektórzy twierdzą, iż widzieli go w Kuźnicy, tuż przed pierwszym zarażeniem mieszkańców. W noc, gdy został zamordowany król Roztropny, był na podwórku pralni w królewskiej twierdzy. Zawsze chudy, śmiertelnie blady i z czerwonymi plamami na twarzy.

O Królestwie Sześciu Księstw

– Bastardzie? Bastardzie! Pszczoło! – Pauza. – Bastardzie, ona jest ranna! Bastardzie, odezwij się wreszcie! Gdzie jesteś?!

Nie pamiętałem, żebym się kładł. Jak długo Błazen mnie wołał? Kręciło mi się w głowie, ze zmęczenia ciążyło mi ciało. Głos przyjaciela dobiegał z oddali.

– Jestem tutaj – odezwałem się niemrawo.

Odpowiedziała mi dźwięcząca cisza.

Tkwiłem w ciemności absolutnej.

– Błaznie? To ty? – upewniłem się.

– Tak. Zostań w miejscu. Wracam do ciebie. Mów coś.

– Jestem tutaj. Jakoś... nie mogę wstać. Coś mnie przygniotło. – Przywołałem najświeższe wspomnienia. Clerres. Tunel. Pszczoła! – Co się stało? Gdzie Pszczoła?! Gdzie inni?

– Pszczoła jest ze mną. – Jękliwy głos nie dodał mi otuchy. – Żywa, ale nieprzytomna.

– Ostrożnie, nie ruszaj...

Za późno. Usłyszałem, jak wspina się po gruzowisku, wkrótce poczułem szukającą po omacku dłoń. Miał świszczący oddech. Z bólu. Ciężko osunął się na ziemię przy moim boku. Wyciągnąłem rękę, natrafiłem na Pszczołę, drobne, bezwładne ciało w jego ramionach.

– Edo, Elu! Nie, nie! Teraz, tak blisko zwycięstwa? Błaźnie, czy ona oddycha?

– Chyba tak. Jest umazana krwią, ale nie znalazłem rany. Bastardzie, co teraz? Co robimy?

– Przede wszystkim zachowamy spokój.

Chciałem się do niego przysunąć, lecz nie zdołałem. Coś mi przycisnęło nogi do ziemi, unieruchomiło. Leżałem na wznak. Powoli świadome myślenie brało górę nad paniką. Głowę miałem niżej niż stopy. Czyli leżałem na stopniach. I coś przygniatało mi nogi tuż powyżej kolan. Wyciągnąłem ręce, jednak dosięgnąłem ciężaru ledwo czubkami palców. Napiąłem mięśnie brzucha, spróbowałem usiąść, lecz uniemożliwił mi to potworny ból w plecach. Poddałem się.

– Błaźnie, coś mi przygniotło nogi. Nie mogę wstać. Połóż Pszczołę ostrożnie, pozwól mi ją zbadać.

Usłyszałem nierówny oddech, gdy przyjaciel z wysiłkiem ułożył Pszczołę obok mnie na zasypanych gruzem stopniach.

– Cały jesteś? – spytałem poniewczasie.

– W lepszej formie, niż powinienem. Kłopot mam tylko z jedną nogą, z tą, którą mi zmiażdżyli. Jakoś... mnie nie słucha. Bastardzie... Pszczoła jest taka krucha, taka jeszcze mała... Czy po tym wszystkim, co przeszła, co wycierpiała, teraz mamy ją stracić?

– Nie ruszaj się – poprosiłem. Nie słyszałem takiej rozpacz w jego głosie od śmierci króla Roztropnego. Narzuciłem sobie opanowanie. Musiałem zachować spokój, żeby on nie stracił ducha. – Teraz bądź silny i za siebie, i za nią. Znajdź moją rękę, połóż jej na głowie.

W kompletnej ciemności dotknąłem włosów dziecka. Przesunąłem dłonią po uszach, nosie i ustach. Blizny, dużo, jednak żadnego nowego rozcięcia. Brak świeżej krwi z uszu czy z nosa. Dalej. Klatka piersiowa, brzuch. Następnie kończyny. Sprawdzałem delikatnie. Ośmieliłem się ostrożnie wykorzystać łączącą nas nic Mocy. Odnalazłem świadomość córki: wycofaną i skuloną, lecz nienaruszoną.

– Błaźnie... Pszczoła jest ogłuszona. Jedno ramię ma wilgotne, ale ciecz jest chłodna, więc to raczej woda. Chyba że... Czy to twoja krew?

– Och... Możliwe. Niewykluczone, że leci mi krew z czoła. I może też z ręki.

Coraz gorzej. Koniecznym było się skupić, uporządkować myśli.

– Błaźnie, już wiem, co się wydarzyło. W lochu zostały gliniaki Ciernia. Z pewnością doszło do eksplozji, gdy spadł na nie sufit. Trudno przewidzieć, czy na tym się skończy. Raczej nie. Trzeba koniecznie zabrać stąd Pszczołę. Natychmiast. Pomóż mi się wyswobodzić.

– A co z nią? Powinna chyba odzyskać przytomność...

– Po co? Żeby też się bała? Ocknie się sama z siebie, kiedy przyjdzie na to czas. A my musimy wtedy być gotowi do drogi. Pomóż mi.

Przesunął dłonie po moim brzuchu, potem wzdłuż uda.

– Belka spadła – powiedział cicho. – Leży ci w poprzek na nogach. A na niej gruz. Duże głazy. – Usiłował wepchnąć rękę pod moją nogę. Między ciało a kamień. Zacisnąłem zęby, żeby nie krzyczeć z bólu. – Jesteś przyciśnięty do stopni. Nic spod ciebie nie wyciągnę.

Zgodne milczenie zamknęło nas w gęściejszej ciemności. Dłoń trzymałem na piersi Pszczoły, czułem, jak mostek unosi się i opada poruszany oddechem. Żyła. Błazen głośno przełknął ślinę.

– Błaznie – odezwałem się, ignorując dzwonienie w uszach. – Najważniejsza jest Pszczoła, pamiętasz? W tej kwestii zgodziliśmy się bez dyskusji. Jeśli będziesz musiał dokonać wyboru, nie będziesz się wahał. Teraz nastąpiła ta chwila. Teraz zrobisz, co trzeba, bez żadnych obiekcji. Mnie nie uratujesz. Zabierz Pszczołę, wyprowadź ją stąd, póki jeszcze można. Bo kiedy wybuchnie następny glińskiak, może zwalić się reszta sufitu. A woda w tunelu stale wzbiera. Nie ma czasu do stracenia. Idź.

Z trudem wciągnął powietrze.

– Bastardzie... Nie mogę.

– Musisz. Nie czas teraz na sprzeczki. Powiem za ciebie, co myślisz: nie chcesz mnie zostawiać na pewną śmierć. I ja też tego nie chcę, ale zrobisz to, bo musisz. To mój koniec. Ocal moje dziecko. Ocal nasze dziecko.

– Bastardzie, nie mogę! – Wyrwał mu się szloch. – Mam złamaną nogę! I ranę w ramieniu. Tracę mnóstwo krwi.

– Przysuń się. Sprawdzę, co z tobą. – Starłem się mówić spokojnie, chociaż spokoju nie czułem wcale.

– Jestem tuż obok.

Na moment doznałem olśnienia. Spłynęło na mnie natchnienie. Poczułem obie jego dłonie na twarzy: jedną w rękawiczce, drugą bez. Doskonale. Chwyliłem tę osłoniętą i mocno przytrzymałem.

– Możesz tego dokonać – powiedziałem, ściągając mu rękawiczkę – i dokonasz. Weź wszystko, co we mnie zostało, i ratuj Pszczołę.

– Co takiego? – W pierwszej chwili nie zrozumiał, lecz zaraz pojął moje intencje.

Chciał wyszarpnąć rękę z mojego uścisku, jednak ranny nie miał na to szans. Przycisnąłem sobie jego posrebrzone palce do szyi. Natychmiast ogarnęła mnie ekstaza, paląca żywym ogniem, a jednocześnie przepełniająca bezkresną radością. Szybko połączyła nas więź, taka, jaką znałem z komnaty księcia Szczerego na

wieży. „Za dużo”, powiedziałem wtedy i uciekłem. Teraz spowiłem ją we własną świadomość i szczerą chęć. Poczulem Błazna całą tożsamością, zobaczyłem jego rozmigotane, rozdygotane życie, dojrzałem sekrety błyszczące niczym gwiazdy na nocnym niebie. Nie, nie, niczego nie zamierzałem brać. Jego tajemnice zawsze należały tylko i wyłącznie do niego. Jak zrobić to, co trzeba było uczynić? Próbowałem wyrwać mi dłoń z uścisku, lecz skoro podjąłem ostatni wysiłek w życiu, musiałem osiągnąć cel. Bez pobłażliwości. Dla żadnego z nas. Objąłem przyjaciela drugą ręką, przycisnąłem do siebie i trzymałem mocno, choć się wyrywał. Zniknęły wszelkie granice między nami. Połączyliśmy się w akcie, który przypominał zdrowienie. Wyczułem ranę w jego ramieniu rozszarpane ciało, złamaną kość, ostry ból skruszonych kostek w stopie.

– Nie ruszaj się – nakazałem prosto w jego usta. – Nie walcz ze mną. Co ma być, to będzie.

Nabrałem powietrza, wstrzymałem oddech. Ściskając Błazna za nadgarstek, przywarłem do niego nie tylko ciałem. Gdy wypchnąłem z siebie powietrze, razem z nim oddałem siłę, zdrowienie, całego siebie. Przecisnąłem to wszystko do Błazna. Przywołałem w myślach chwilę, gdy czerpałem energię od Rebusa.

„Tak samo, tylko w przeciwną stronę”, pomyślałem i wlałem w przyjaciela siłę. Sam nie potrzebowałem już niczego. Dotknąłem uszkodzeń jego ciała. Zadygotał z bólu, znieruchomiał.

„Niewiele nam zostawiasz, bracie”.

„Daję wszystko, by ratować Pszczolę”.

Błazen leżał mi na piersi, otumaniony, niezbyt przytomny. Opór zniknął. Przesunąłem dłonią po jego ramieniu. Koszula i skóra były rozdarte. Zakręciło mi się w głowie, gdy wyczułem zwisający kawałek ciała. Ułożyłem go na miejscu, przytrzymałem, zasklepiłem. Niech kość będzie cała, a ciało niech się zrośnie. Leczyłem gorączkowo, w pośpiechu, nie oszczędzając ani siebie, ani jego.

„Ślepunie, powinieneś iść z nim, być przy Pszczole”.

„Jeśli mamy tu spotkać swój koniec, zostanę z tobą. Tak jak ty zostałeś ze mną”.

„Jak wygląda polowanie tam, gdzie jesteś?”.

„Z tobą będzie lepsze”.

„Idę do ciebie, bracie”.

Wlałem w ciało Błazna Moc. Całą. Nastawiłem staw skokowy. Umieściłem ścięgno tam, gdzie powinno się znajdować według starych ksiąg, które pokazywał mi Cierń.

„Napraw się”, rozkazałem i razem z Mocą posłałem siłę.

Czułem, że się kurczę. Błazen drgnął, zadygotał z bólu i ponownie stracił

przytomność. Bardzo dobrze. Przynajmniej nie będzie ze mną walczył.

Czekała mnie ostatnia bitwa, ze sobą. Czułem, że w niego wsiąkam. Jeśli do tego dopuszczę, staniemy się jednością. Poznałem przedsmak tego stanu, gdy zawróciłem go zza bram śmierci. Trafiłbym do domu jako jego nieodłączna część. Element całości. Ale nie.

„To nie twoja decyzja. Ja bym z tobą nie poszedł”.

„Wiem, wiem”.

Błazen musiał żyć samodzielnie. Ocalić Pszczołę, nie mnie. Złożyliśmy sobie obietnicę.

Moje ramię zsunęło się z jego tułowia. Oddarłem swoją jaźń od przyjaciela. Ostatkiem sił odszukałem kędzierzawą główkę Pszczoły i położyłem na niej dłoń.

– Niech cię Eda ma w swojej opiece – szepnąłem, odwołując się do bogini, której nigdy nie poznałem.

Znalazłem nitkę Mocy, szarpnąłem ją, zerwałem.

I na koniec szepnąłem, z całkowitą pewnością:

– Błazen cię ocali.

Już się poruszał. Czas odejść. Żeby to był mój, nie jego wybór. Wypuściłem powietrze i dołączyłem do czekającego Ślepuna.

„Gotowy, bracie?” – spytał.

„Gotowy”.

Wsiąknąłem w nicość.

Rozdział 38

Smoczy statek

Biała prorokini Gerda ledwo skończyła lat dwadzieścia, gdy wyruszyła w świat na poszukiwanie swojej katalizatorki. Śniła o niej często od dzieciństwa. Pokonała długą drogę od rodzimej spokojnej, zielonej krainy, wędrując przez lądy i morza do wioski w górach, gdzie jeden ze szczytów w dzień dymił, a nocą lśnił czerwienią.

Przybyła do domu Kulleny. Ta była wtedy już babką, mieszkała z synem i synową. Za dnia, gdy oni polowali i łapali ryby, zajmowała się siódemką ich potomstwa. Nie skarżyła się, choć kości ją bolały, a wzrok zawodził. Gerda usiadła na progu i nie chciała odejść.

– Tu masz jedzenie – powiedziała jej Kullena. – Nasyć się, a potem idź swoją drogą.

Ale o zmierzchu biała prorokini wciąż tkwiła w tym samym miejscu.

– Prześpij się przy ogniu – powiedziała jej Kullena – bo noce chłodne, a raniem idź swoją drogą.

Ale raniem Gerda znów usiadła na progu.

W końcu Kullena powiedziała:

– Skoro już koniecznie musisz tu siedzieć, niechże przynajmniej będzie z ciebie jaki pożytek. Ubij no mleko na masło albo uspokój płaczące dziecko w kołysce. Albo zszyj futerka na płaszcz, bo do zimy już niedaleko.

I tak Gerda robiła wszystko, co jej polecono, bez protestu i bez zapłaty innej niż wikt oraz miejsce przy ogniu. Uczyła dziatwę czytać i pisać, pojmować liczby, rozumieć ilości i odległości. Utrzymywała Kullenę przy życiu przez wiele lat, a staruszka w zamian pozwalała jej z nimi mieszkać. Czas mijał i Gerda uczyła też latorośle tamtych dziatek, których było czterdzieścioro.

A potem jeszcze ich pociechy.

W ten sposób zmieniła świat, gdyż spomiędzy tych, których wyuczyła, wyrosła kobieta, która zjednoczyła swój lud, a oni wznieśli solidne domy i wychowali mądre dzieci. Żyli w zgodzie z lasem, wcale go nie niszcząc, dbali o swoją ziemię i o ludzi. Służyli jedno drugiemu i wzajemnie sobie pomagali. Potomkiem tej kobiety był mężczyzna, który stał się sługą dla całego swego ludu żyjącego w górach i w ten sposób ich prowadził.

Podobnie czynili ci, co po nim nastali, przejmowali jego obowiązki jako tego, który przewodził, służąc.

W ten sposób biała prorokini Gerda zmieniła świat.

Relacja o prorokach dawnych

Przypomniało mi się, jak Birbant wniósł mnie na rękach do domu. Teraz schody prowadziły w dół. A ja dygotałam z zimna, bo byłam mokra, a nie zmarznięta. Stopami zagarniałam wodę. Czy śnieg? Podniosłam głowę z jego ramienia.

– Birbancie? – szepnęłam w rażący blask.

– Pszczoło? Jesteś przytomna?

Te słowa wypowiedział blask. To był splot, błyszczący nieskończoną liczbą dróg przyszłości. To nie był Birbant. Jaskrawość kłuła mnie i żądliła, dźgała i siekła. Naprężyłam mięśnie, chciałam się wyrwać, lecz on mnie przed tym przestrzegł:

– Nie rób tego. Ciemno tutaj, woda wpływa do tunelu. Potłukłaś się przy upadku, straciłaś przytomność.

– Puść mnie! Nie wytrzymam tego!

– Nie wytrzymasz? – szepnął zmieszany.

Wzmocniłam ochronę umysłu, pogrubiałam i podwyższyłam mury, na ile tylko zdołałam, jednak nic to nie dało. Blask nie do wytrzymania nie tyle raził mnie, ile oślepiał. Tyle różnych możliwości biorących początek w tym momencie...

– Puść mnie – poprosiłam.

– Na pewno? Głęboko tu dla ciebie, chyba powyżej pasa. I woda zimna.

– Za dużo dróg! – krzyknęłam. – Puść mnie, postaw!

– Och, Pszczoło... – Westchnął i wtedy go poznałam.

Ślepy żebrak z targowiska. Ten, którego mój ojciec nazywał Błaznem. Ukochany, który przybył mi na ratunek. Zbyt wolno jak na moje potrzeby uwolnił mnie z objęć. Miał rację, woda sięgała mi powyżej pasa i była tak zimna, że aż się zatchnęłam. Odstąpiłam od niego i omal się nie przewróciłam. Chwycił moją koszulę na ramieniu. Pozwoliłam, by mnie w ten sposób trzymał. Otuliła mnie błogosławiona ciemność.

– Gdzie Niestrudzony? – On pierwszy przyszedł mi na myśl. Dopiero potem: – Gdzie mój ojciec?

– Niestrudzonego zostawiłaś przy wejściu do tunelu. Wkrótce do niego dotrzemy. Mam nadzieję. Idziemy niezbyt szybko. Woda przybiera, nie jest łatwo. – Zamilkł na moment, po czym zapytał ostrożnie: – Czy pamiętasz, gdzie jesteśmy i co się stało?

– Trochę pamiętam. – Chciałabym, żeby mówił głośniej. W uszach mi dzwoniło. Ojciec pewnie ruszył z innymi przodem. Żeby dogonić uciekających Białych. Szkoda, że mnie zostawił. Potknęłam się, odzyskując równowagę, narobiłam mnóstwo hałasu, wreszcie stanęłam prosto.

– Wziąć cię na rękę?

– Nie. Pójdę sama. Naprawdę nie rozumiesz? Kiedy mnie dotykasz, widzę wszystkie ścieżki! Wszystkie jednocześnie!

Milczał. Na pewno?

– Mów głośniej!

– Ja nie widziałem nic. Żadnych ścieżek. Tylko ciemność, przez którą idziemy. Pszczoło... Weź mnie za rękę. Poprowadzę cię. – Musnął palcami moje gołe przedramię.

Szarpnęłam się do tyłu.

– Będę szła za twoim głosem.

Westchnął.

– Chodźmy więc.

Zaczął się oddalać. Podłoga ukryta pod zimną wodą była w zasadzie gładka, jednak pokryta żwirem i piaskiem. Staralam się trzymać ręce wyżej, żeby ich nie zanurzać. Dodatkowy wysiłek utrudniał oddychanie. Zrobiłam kilka kroków, nim spytałam ponownie:

– Gdzie mój ojciec?

– Został. Pamiętasz, że wybuchł pożar? A my mieliśmy ze sobą gliniaki wypełnione specjalnym proszkiem. Doszło do wybuchu, sufit się zawalił. Twój ojciec... Sufit zwałił się na niego.

Stanęłam jak wryta. Po pas w zimnej wodzie, otoczona przez ciemność, poczułam inną, jeszcze zimniejszą czerń. Ta narastała we mnie. Przekonałam się, że istnieje coś poza bólem i strachem. Właśnie mnie wypełniało.

– Wiem, co czujesz – powiedział ochrypłym głosem.

Ale ja wiedziałam, że nie miał jak poznać moich uczuć.

– Trzeba się śpieszyć – dodał. – Zniosłem cię po schodach, teraz jesteśmy na dnie tunelu, wody ciągle przybywa. Zaczyna się przyplływ. Możliwe, że całkiem zaleje przejście. Nie możemy zwlekać.

– Tata nie żyje? Jak to? On umarł, a ty żyjesz?

– Idź – nakazał.

Ruszył przed siebie, a ja za nim podążyłam. Usłyszałam, jak wciąga powietrze. Wyrwał mu się szloch.

– Bastard nie żyje – powiedział niewyraźnie. Chciał dodać coś jeszcze, lecz

nie zdołał. Dopiero po dłuższym czasie wypchnął z ust zdławione słowa: – Obaj wiedzieliśmy, że możemy stanąć przed trudnym wyborem. Sama słyszałaś. Obiecałem, że uratuję ciebie. Takie było jego życzenie. Czy pamiętasz swój sen o wadze?

– Muszę po niego wrócić!

Był szybki. Mimo ciemności błyskawicznie chwycił mnie za nadgarstek. Zachwiałam się od blasku, na szczęście zaraz mnie puścił i złapał za koszulę na plecach.

– Nie mogę ci na to pozwolić. Nie ma na to czasu i nie ma to sensu. Nie żył, gdy od niego odchodziliśmy. Nie słyszałem jego oddechu, nie czułem bicia jego serca. Sądzisz, że zostawiłbym go w pułapce? – Mówił ze ściśniętym gardłem, głosem bez wyrazu, lecz przy ostatnich słowach emocje wzięły górę. Oddychał z trudem. – Już tylko jedno mogę dla niego zrobić – dodał. – Spełnić jego ostatnie życzenie. Wyprowadzić cię z lochów. Idziemy. – I ruszył, ciągnąc mnie za sobą.

Kopnęłam go, lecz to nic nie dało. Próbowałam się wyrwać, bezskutecznie.

– Przestań – poprosił. – Pszczoło, nie chcę używać wobec ciebie siły. Nie zmuszaj mnie do tego. – Głos mu się załamał. – Ledwo sam siebie przymuszam, by iść dalej. Wolałbym zawrócić i umrzeć u jego boku. Ale muszę ocalić ciebie! Dlaczego Trud pozwolił ci wrócić samej? – Wydawał się zmartwiony. Jakbym była bezradnym maleństwem. Jakby dało się przerzucić winę na kogoś innego.

– Nikt mi na nic nie pozwalał – stwierdziłam. – To ja kazałam Niestrudzonemu pilnować wejścia, a sama zawróciłam, żeby was ostrzec.

– Co z Prilkopem? – spytał niespodziewanie.

– Minęłam go, wracając drugi raz.

– Daleko do wyjścia?

– Skoro jesteśmy na dnie, to najpierw podłoga będzie szła skosem do góry, potem zaczną się długie schody. Natrafimy na podest, a nad nim jest kolejny ciąg stopni, te już prowadzą do wyjścia. Czy sufit go zmiażdżył?

– Pszczoło... – powiedział cicho i miękko.

– Obiecał, że mnie już nigdy nie zostawi!

Milczał.

– Nie mógł umrzeć! – załkałam.

– Dobrze wiesz, że nie żyje.

Naprawdę? Poszukałam go w myślach. Odsłoniłam umysł, przetrząsnęłam wszystkie zakamarki. Ani śladu wilka-ojca. Nie było też więzi, która połączyła nas, gdy dotknął mojej głowy. Zniknęła.

– On umarł.

– Umarł.

Najgorsze słowo w życiu. Wyciągnęłam rękę, chwyciłam Błazna za rękaw. Ruszyliśmy szybszym krokiem, jakbyśmy mogli uciec przed śmiercią mojego taty.

Podłoga nadal była pozioma, lecz woda stawała się coraz głębsza. Brnęliśmy w całkowitych ciemnościach. Po jakimś czasie zaczęliśmy się wspinać, jednak wody wciąż przybywało.

– Prędeż – powiedział.

Starłam się, jak mogłam.

– Co ze mną będzie? – spytałam.

Okropne, samolubne pytanie. Tata właśnie stracił życie, a ja pytałam o swoją przyszłość...

– Będziesz pod moją opieką. Najpierw się stąd wydostaniemy, później wsiądziemy na statek, który zabierze nas w bezpieczne miejsce. Potem wrócimy do domu.

– Do domu – powtórzyłam. Puste słowa. Co właściwie znaczą? – Chcę do Niestrudzonego.

– Tak, idziemy do niego. Jak najprędeż.

Przystanął, naciągnął rękaw na dłoń i wziął mnie za rękę. Holował mnie w przybierającej wodzie, ciągnął w takim tempie, że ledwo dotykałam nogami podłogi. Potknął się na pierwszym, niskim stopniu. Oboje upadliśmy i znaleźliśmy się pod wodą, lecz on błyskawicznie wstał i pociągnął mnie w górę. Uciekaliśmy przed wzbierającą falą, która nas goniła. Stopnie były nierówne. Uderzałam o nie kostkami, poobijałam sobie golenie. Nie puścił mnie ani na moment, nieubłaganie ciągnął w górę. Wspinaliśmy się długi czas i choć śpieszyliśmy się, jak mogliśmy, woda obniżała się bardzo powoli.

– Czy to światło? – zapytał nagle.

Zmrużyłam oczy.

– Lampa.

– Widzę światło – rzekł drżącym głosem. – Strzyku? Niestrudzony?

To był Strzyk. Wyszedł nam na spotkanie z lampą w jednym ręką, a mieczem w drugim. Jego twarz była maską światła i cieni.

– Pszczoło? Bastardzie? Błaźnie? Co tak długo? Obawialiśmy się najgorszego! – Schodził, rozbryzgując wodę. – Baliśmy się, że utknęliśmy w tunelu. Jeszcze trochę, zaraz wyjdziemy z wody. – Wyjaśnienia płynęły mu z ust wartkim strumieniem. – Skierka nie wróciła. Wyprzedziła mnie. A ja zdążyłem akurat na czas, by zobaczyć, jak Prilkop ucieka. Musiałbym go zabić, żeby zatrzymać. Niestrudzony stoi na straży przy wyjściu. – Dotarł na tyle blisko, że objęło nas światło lampy. – Gdzie Bastard?

Błazen z drzeniem nabrał tchu.

– Nie z nami.

– Ale przecież... – Jakiś czas wpatrywał się w niego, następnie opuścił wzrok na mnie.

Nie mogłam tego znieść. Ukryłam twarz w koszuli Ukochanego.

– Nie! – krzyknął Strzyk chrapliwie. – Jak...?

– Doszło do wybuchu. Sufit się zawalił. Nie ma już Bastarda.

Szli w górę powoli, jakby dźwigali wielki ciężar. Raptem Strzyk się zatrzymał. Światło lampy zadygotało w rytmie rozdierającego szłochu.

– Nie! – Ukochany chwycił go za ramię i potrząsnął z całej siły. – Nie tutaj. Nie teraz. Nie możemy sobie na to pozwolić. Przyjdzie czas na żałobę, gdy ona będzie bezpieczna. Teraz musimy przetrwać. Opanuj się, weź się w garść. Idziemy!

Strzyk usłuchał. Głośno zaczerpnął tchu, ruszył. Szłam między nimi, a potem zostałam trochę z tyłu. Jakoś nie mogłam pojąć, że mój ojciec odszedł. Znowu. Tyle że tym razem nie wróci. Roztrząsałam w myślach sen o wadze. Od dawna tkwiło we mnie przekonanie, że tata ofiaruje za mnie życie. Tyle że z każdym oddechem coraz bardziej przytłaczało mnie nieznośne brzemię. Poczucie winy i wyrzuty sumienia. Straszliwe połączenie. Nie płakałam. Łzy byłyby zbyt niepozorne, stanowiłyby obrazę wobec ogromu straty. Chętnie bym krwawiła smutkiem, żeby ból wypłynął ze mnie razem z życiem.

Strzyk obejrzał się przez ramię.

– Pszczoło, nie potrafię wyrazić, jak mi przykro.

– Nie zabiłeś go. Oddał życie, żebym ja przetrwała.

Uderzył stopą w schodek, zachwiał się lekko.

– Poniosę cię – zaproponował. – Będzie szybciej.

Chciałam odmówić, jednak nie miałam siły. Pochylił się, wziął mnie na plecy. Objęłam go za szyję, tak, by go nie dławić.

Czy przypływ rzeczywiście wypełnił tunel pod nami? Czy woda oblała ciało taty? Czy zjedzą go ślepe rybki?

Szliśmy szybciej, stopnie były bardziej strome, woda stawała się coraz płytsza. W pewnej chwili daleko przed nami rozbłysło ledwo widoczne światło. Kołysało się i podskakiwało. Było coraz bliżej.

– Zejdź, Pszczoło – powiedział Strzyk cicho.

Zsunęłam się z jego pleców, a on stanął przed nami, z obnażonym mieczem w dłoni.

To była Skierka. W rękę trzymała prowizoryczną pochodnię zrobioną z gałązek.

– Ścigałam ich przez krzaki, aż do miasta, ale po ulicach nie mogłam za nimi

ganiać z mieczem. Uciekli. Gdzie Prilkop?

– Poszedł za Białymi. Mogłem go dogonić i zabić, ale postanowiłem zostać z Niestrudzonym.

– Nie widziałam Prilkopa! Gdzie pan Bastard?

Już zobaczyła, że za nami nikt nie idzie.

– Nie żyje – stwierdził Strzyk bez obsłonek.

– Oddał za mnie życie – wyznałam.

Oddech ugrzązł jej w gardle. Strzyk objął ją za ramiona. Tyle można było dla niej zrobić. Śpiesznie ruszyliśmy dalej.

Pochodnia z gałązek wkrótce się wypaliła, wtedy Skierka cisnęła nią o ścianę. Doskonale rozumiałam jej gest.

– Dokąd idziemy? – szepnęła.

– Wyjście z tunelu znajduje się na zboczu wzgórza, za miastem – odpowiedział Ukochany. – Trzeba będzie przejść przez miasto do portu. Tam powinien czekać na nas statek. Dalej przed nami długa podróż morska. A na jej końcu dom. – Nagle opuściła go cała odwaga. – Wracamy do domu.

– Do Białego Gaju? – spytałam cicho.

– Jeśli tam będziesz chciała się znaleźć... – odpowiedział z wahaniem.

– Nie mam innego domu.

– Mogłabyś zamieszkać w Koziej Twierdzy.

– Może tam. Byle nie w Białym Gaju. Zbyt wielu tam straciło życie...

– Rozumiem.

Skierka i Strzyk narzucili szybkie tempo, a ja ledwo za nimi nadążałam, więc uchwyciłam się rękawa Ukochanego. Dzięki temu było mi łatwiej.

– W Koziej Twierdzy mieszka moja siostra. Pokrzywa. I Rebus.

– Właśnie. Ach, ty jeszcze nie wiesz! Dziecko im się urodziło. Dziewczynka. Twój ojciec powiedział: „Zostałem dziadkiem...” – umilkł.

– Dziecko! – powtórzyłam zaalarmowana.

Stanowczo mi się nie podobała ta zmiana, choć nie wiedziałam dlaczego. Czy bałam się, że teraz Pokrzywa nie znajdzie dla mnie czasu? Usunie mnie ze swojego życia? Jeszcze przed chwilą była wyłącznie moją siostrą, teraz nagle stała się czyjąś matką. A Rebus miał już swoją własną maleńką dziewczynkę.

– Nadzieja.

– Co?

– Twoja siostrzenica ma na imię Nadzieja.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Dobrze jest mieć do kogo wracać – powiedział tęsknie. – Masz siostrę.

I Rebusa. Lubię go.

– Ja też.

– Już niedaleko – rzuciła Skierka przez ramię. – Teraz musimy być cicho. Strzyk i ja pójdziemy przodem, sprawdzimy, czy wszystko w porządku. Panienko Pszczoło, pan Błazen będzie cię strzegł. Zaczekajcie tutaj.

Kiwnęłam zgodnie głową, lecz mimo wszystko wyjęłam nóż Symphe i przygotowałam go w dłoni, jak uczył mnie tata. Skierka na ten widok uśmiechnęła się mimowolnie.

– Świetnie – pochwaliła mnie szeptem.

Oboje ze Strzykiem bezszelestnie podążyli w stronę szarawego światła poprzecinanego krzaczastymi cieniami.

Ukochany odstawił lampę.

Zasadzki nie było. Tuż przed rozrąbanymi drzwiami czekał na nas Niestrudzony z sierkierką w ręku.

– Panienska Pszczoła! – wykrzyknął na mój widok.

W dwóch krokach znalazł się tuż-tuż i zamknął mnie w uścisku. Ja najpierw go uścisnęłam, a potem przywarłam do niego.

– Wiesz – szepnęłam mu do ucha – mój tata nie żyje. Sufit na niego spadł. Trzeba było go tam zostawić.

– Nie! – wyrwało mu się w proteście. Przycisnął mnie mocniej. Dyszał ciężko. – Nie bój się, panienko – odezwał się po chwili głosem ciężkim od gniewu. – Ja cię obronię.

– Idziemy na statek – przypomniał nam Strzyk. – Czas goni. Trzeba się śpieszyć.

Za drzwiami sterczał kopczyk odsuniętych przez nie liści, ziemi oraz porastającego je zielska. Nikt nie pilnował tego wyjścia, nikt od bardzo dawna w ogóle tych drzwi nie tykał.

– Co za bezmyślność – mruknął Strzyk, torując sobie drogę przez winorośl i osty. – Wątpię, żeby ktokolwiek atakował zamek tą drogą.

– Byli przekonani, że potrafią nieomylnie przewidzieć nadciągającą katastrofę – wyjaśnił Ukochany. – I uniknąć jej, odmienić przyszłość na swoją korzyść. Wiedzieli także o światoburcy, wątpię jednak, by spodziewali się dziewczynki. I raczej nie przypuszczali, że sami ją tu sprowadzą. Poza wszystkim innym – dodał – poczynania nieoczekiwanego syna były, jak zwykle, nieoczekiwane. Bastard zawsze umiał ich zaskoczyć i pozbawić wszelkich atutów. Może jeszcze jakiś czas nie będą nas widzieli? Bastard dał nam ten czas. Nie wolno go zmarnować.

Dał nam czas i już nic więcej dla nas nie robi, pomyślałam.

Nigdy więcej.

Niestrudzony mocniej ścisnął mnie za ramię. Myśleliśmy o tym samym.

Wyszliśmy z korytarza w słoneczny dzień. Zamrugałam oślepiona. Miałam wrażenie, że minął rok, odkąd wyszłam z celi. W wysokiej trawie próżno by szukać jakiejś ścieżki. Na żdźbłach lśniły kropelki rosy. Ślady Białych i Prilkopa widziałam całkiem wyraźnie. Prowadziły do miasta.

– Pozwól, panie – odezwała się Skierka do Ukochanego – wezmę cię pod ramię i poprowadzę. Musimy się śpieszyć.

– Nie jestem ślepy. Widzę jak dawniej. Doskonale.

– Jak to? – zdumiał się Strzyk.

– Dzięki Bastardowi. – Ominął jeżyny i rozejrzał się, jakby świat budził w nim zachwyty. – Oddając życie, uleczył mnie po raz ostatni. Podejrzewam, że oddał mi resztki sił. – Opuścił na mnie wzrok. – Nie prosiłem go o to. Nie chciałem tego. Ale on wiedział swoje. Zdawał sobie sprawę, że tkwi w pułapce. Postanowił wlać we mnie resztę swojego życia.

Popatrzyłam na niego. Zmienił się od czasu, gdy go widziałam ostatnio. Był szczuplejszy, właściwie chudy. Siniaki na twarzy prawie całkiem zbladły. I trzymał się jakoś inaczej. Podszedł do mnie powoli. Już nic go nie bolało.

Odwróciłam wzrok. Nie potrafiłam zdecydować, co czuję.

– Musimy jak najszybciej dostać się na statek – stwierdził Strzyk głosem bez wyrazu. – Starajmy się nie rzucać w oczy. Nie wiemy, czy więźniowie albo Prilkop nie nastawili przeciwko nam ludzi w mieście, musimy więc założyć, że tak zrobili. Niestrudzony, w razie ataku łapiesz Pszczołę i uciekasz. Nie włączasz się do walki, nie zatrzymujesz. Uciekasz z nią, chowacie się i czekacie, aż da się dotrzeć do statku.

– Wcale mi się to nie podoba. Całkiem jakbym nie umiała walczyć. Wydaje wam się, że nie walczyłam?

Niestrudzony miał taką samą wściekłą minę, jak ja.

Strzyk obrzucił mnie ciężkim spojrzeniem.

– Nie jest ważne, czy ci się ten plan podoba, moja panno – oznajmił. – Ojciec kazał mi strzec Bastarda. Zawiodłem go. Nie dopuszczę, by tobie stała się krzywda. Póki w moich żyłach płynie krew. Musisz to zrozumieć i w razie potrzeby usłuchać. Proszę – dodał po chwili, lecz w jego tonie próżno by szukać prośby. Była to zaledwie grzeczność.

Niestrudzony krótko skinął głową, z czego wywnioskowałam, że nie mam wyboru. Długie miesiące byłam zdana na siebie. Teraz nie minęło jeszcze południe, a ponownie zdegradowano mnie do roli bezwolnego dziecka.

– Ja poprowadzę – stwierdził Ukochany. – Kiedyś znałem to miasto jak własną

kieszeń – dodał, bo Strzyk wyraźnie zamierzał się sprzeciwić. – Znajdę taką drogę do przystani, że mało kto nas w ogóle zauważy.

Mój dawny tutor skinął głową i ruszyliśmy. Najpierw wydostaliśmy się z ciernistych krzewów na pastwisko. Ze zbocza wzgórza widać było miasto, które wydawało się nieświadome katastrofy. Gdzieś zaskrzypiał przejeżdżający wóz. Jakiś statek akurat wchodził do portu. Wiatr od wody przyniósł z którejś kuchni zapach pieczonego mięsa.

Mokre trawy biły mnie po nogach, zostawiając na goleniach drobne zadrapania. Czy to rybacy wypływali na połów? Nie wiedzieli, czego dokonałam nocą? Jakim sposobem życie toczyło się jak co dzień, choć mój ojciec umarł? Dlaczego świat nie popadł razem ze mną w czarną rozpacz? Podniosłam wzrok na zamek. Bez trudu dostrzegłam cienkie macki dymu. Skutek moich czynów. Uśmiechnęłam się. Przynajmniej tamci łączą się ze mną w bólu.

– Dziwne – odezwał się w pewnym momencie Strzyk. – Czy mieszkańców miasta nie zastanawia dym nad zamkiem? Nie chcą wiedzieć, co się tam stało?

Przysunęłam się do Ukochanego.

– Jak myślisz, dokąd poszedł Prilkop?

– Nie mam pojęcia. – W jego głosie rozpoznałam nutę smutku i strachu przed zdradą. – Nie ma czasu się nim przejmować.

– Jest dobrym człowiekiem. – Stałam w obronie czarnego kolosa. – Był dla mnie miły. Myślę że jest moim przyjacielem.

– Rozumiem. Ja też tak sądzę, jednak dobrzy ludzie też nie zawsze się zgadzają. Mogą się nawet kłócić. A teraz już nic nie mów. Musimy być cicho. I iść jak najszybciej.

Poprowadził nas okrężną drogą, nieopodal zagród dla owiec, potem przez taką część miasta, gdzie za murami obrośniętymi winoroślą kryły się ogrody i bogate domy. W końcu znaleźliśmy się w wąskiej alejce, przemknęliśmy obok mniejszych domów i skromniejszych budynków. Wyszliśmy na błotnistą, zrytą koleinami drogę, łagodnymi zakrętami prowadzącą do magazynów nad wodą. Tutaj na ulicach nie było żywego ducha.

– Wszyscy stoją przy wejściu na groblę i jeden drugiego pyta, co się stało – ocenił Ukochany.

Dorośli szli zwawym krokiem, ja truchtałam u boku Niestrudzonego. Byłam na bosaka, zniszczone spodnie smagały mnie po łydkach. Jakiś mężczyzna, pchający wózek, zatrzymał się na nasz widok i zmierzył nas uważnym spojrzeniem spod ściągniętych brwi, ale nie wszczął alarmu, nie ścigał nas ani nie przepędzał.

– Teraz biegiem – zarządził Ukochany ścisłym głosem.

Usłuchaliśmy natychmiast. Minęliśmy dwie staruszki z koszami warzyw. Obie dziwiły się głośno, wskazując palcami smugi dymu nad zamkiem. Jakiś praktykant w skórzanym fartuchu przeciął nam drogę, lecz śpieszył się tak, że chyba nas nie zauważył. Znaleźliśmy się na drodze prowadzącej wzdłuż nadbrzeża. Okropnie kłuło mnie w boku, lecz nadal biegliśmy. Napotkaliśmy więcej ludzi, lecz wszyscy zdążali w przeciwną stronę. Do przejścia na grobli, do pałacu. Tak jak przewidział Ukochany.

Spoza murów zamku ciągle wznosił się w górę dym, ciemny na tle modrego nieba. Na wodzie pojawiło się stadko łodzi rybackich, jedne pod żaglami, inne wiosłowe. Wyłoniły się zza cypla, spokojnie, niczym ptaki morskie.

Pomost zadudnił pod naszymi stopami. Szybko dotarliśmy do krańca. Zgięłam się w pół, oparłam dłonie na kolanach.

– Dzięki Edzie i Elowi – rzekł Strzyk drżącym głosem.

Zrobiłam jeszcze dwa kroki, popatrzyłam w dół. Zobaczyłam łódkę, w niej czworo ludzi. Troje drzemało, jednak ledwo zaczęliśmy schodzić, obudzili się i wszyscy zajęli miejsca przy wiosłach.

– Gdzie Bastard? – spytała kobieta cała w tatuażach.

– Nie przyjdzie – odparł Strzyk.

Wojowniczką kiwnęła głową, potwierdzając, że zrozumiała. Ruchem głowy wskazała wyspę.

– Jak w nocy zobaczyłam ogień, to tak sobie pomyślałam, że to pewno jego robota. – Przyjrzała się Ukochanemu i tylko pokręciła głową. Przeniosła na mnie wzrok. – I co tam, pędraku, to o ciebie chodziło w całym tym zamieszaniu?

– O nią – wybawił mnie Strzyk. – I to ona wywołała pożar – dokończył, jakby był ze mnie dumny.

Kobieta rzuciła mi wilgotny pled.

– Dobra robota, szkrabie – stwierdziła. – Dobra robota. – Zwróciła się do pozostałych: – Ciągaj żwawo! Zmywamy się stąd, jak najprędzej!

Dzień jaśniał, ku niebu wciąż wznosił się dym: dwie cienkie smużki oraz jedna czarna, tłusta kolumna. Zewnętrzne mury twierdzy zasłaniały widok na zamek, więc nie potrafiłam ocenić, jakie szkody udało mi się spowodować, ale uśmiechnęłam się przekonana, że osiągnęłam cel. Mało co zdołają ocalić, tego byłam pewna.

Usiadłam w szalupie obok Niestrudzonego. Skierka przycupnęła na dnie, przy Strzyku. Żeglarze naprężyli grzbiety, pociągnęli za wiosła.

– Późną nocą zobaczyłam ogień – powiedziała kobieta w tatuażach. – Niezbyt długo było go widać. Niektórzy ludzie powychodzili z domów, pokazywali sobie pożar, coś krzyczeli, ale zaraz pojawili się strażnicy. Kazali gapiom się schować,

nawet pozamykali tawerny. „Wracajcie do domów i tam zostańcie!”, tak krzyčili. A ludzie posłuchali, jak owce jakieś, jak barany! My to się wepchnęliśmy pod pomost i siedzieliśmy cicho. Tak sobie myśleliśmy, że lada moment zjawicie się biegiem, ale nie, nikogo. Tuż przed świtem widziałam trzy łodzie, ze światłami, wypłynęły z za wyspy i dobiły do brzegu. Myślałam, że podniosą alarm, ukarzą strażników, ale nic. – Wzruszyła ramionami.

– Konsekwencje z pewnością będą – odezwał się Ukochany ponuro. – Tyle że oni piorą brudy we własnym domu.

Kobieta pokiwała głową.

– Przyłożyć no się – rzuciła i cała czwórka powiosłowała szybciej.

Byli krzepcy i mocni. Zginali grzbiety w jednym rytmie, napinali mięśnie równocześnie, jak członki jednego silnego stwora, nie cztery odrębne istoty.

Na kotwicy stało kilka dużych statków. Minęliśmy pierwszy, minęliśmy drugi, a wtedy zobaczyłam ten, do którego zmierzaliśmy. Żagle miał zwinięte, na pokładzie panował spokój, lecz w bocianim gnieździe ktoś stanął, po czym błyskawicznie zsunął się po maszcie. Nie wołał, nie krzyczał, nie alarmował. Najwyraźniej takie dostał rozkazy. Gdy podpłynęliśmy bliżej, na rufie dostrzegłam kilku marynarzy. Wkrótce zobaczyłam galion. Oto z wysoka patrzył na mnie ojciec, z lekkim uśmiechem na twarzy. Nie udało mi się zapanować nad sobą: wybuchnęłam płaczem.

Niestrudzony przycisnął mnie do siebie. Czułam na plecach, że i w jego piersi wezbrał szloch, lecz nie wydał żadnego dźwięku. Skierka tkwiła na dnie łodzi skulona jak dziecko, Strzyk, z pochyloną głową, obejmował ją za ramiona, a z nosa skapywały mu łzy. Wioślarze milczeli jak zakłęci. Spojrzałam na Ukochanego. Twarz miał niczym wyciosaną z lodu. Blizny zniknęły, lecz wyglądał starzej. Był wycieńczony. Tak głęboko pogrążony w rozpacz, że nie mógł płakać.

Ktoś rzucił drabinkę sznurową, jeden z wioślarzy ją złapał.

– Na górę! – rozkazała kobieta.

Pierwsza wspięła się Skierka. Stanąwszy na pokładzie, podała rękę najpierw Niestrudzonemu, potem mnie podciągnęła. Ukochany szedł tuż za mną, jakby pilnował, żebym nie spadła. Zanim Strzyk dobrze stanął na pokładzie, już dwóch wioślarzy przywarło do drabinki. Z żurawików spuszczone linki do podniesienia szalupy.

– Mamy ich! – zawołał niegłośnie któryś z marynarzy. – Wszyscy na pokładzie!

Do Strzyka podeszła szybkim krokiem kobieta o włosach ściągniętych w koński ogon.

– Rozumiem, że się udało... – Raptem ściągnęła brwi. – Zaraz! A Bastard?

Strzyk wolno pokręcił głową, a wówczas twarz kobiety oblekł smutek. Nie mogłam słuchać o śmierci ojca. Miałam inne zmartwienie.

Bo gdy, wchodząc na pokład, dotknęłam relingu, wyczułam szum niepokoju i z troskania. Odwróciłam się do Niestrudzonego.

– Ten statek nie jest z drewna – powiedziałam niezdolna wytłumaczyć, co poczułam.

– To żywostatek – odrzekł. – Zrobiony ze smoczego kokonu. Ma ducha smoka, który w nim uwięził. A galion, dawno temu, wyrzeźbił przyjaciel twojego ojca, panienko. – Rozejrzał się. Jego wzrok padł na Błazna, pogrążonego w ponurej rozmowie z kobietą, która powitała nas na statku.

Strzyk i Skierka czekali obok.

O mnie chyba wszyscy zapomnieli.

– Chodźmy – odezwał się Niestrudzony, ujmując mnie za rękę. – Teraz nie może z panią rozmawiać, bo musi udawać, że jest z drewna. Ale potem to na pewno.

Minęła nas jakaś para, kobieta objaśniała mężczyźnie:

– Obrócimy go na kotwicy i cichcem wyjdziemy z portu. Wiatr słaby, ale będzie musiał wystarczyć.

Im bliżej byłam galionu, tym bardziej nieswojo się czułam. Z każdym krokiem silniej odbierałam świadomość statku. Starannie otoczyłam umysł murem, uszczelniłam go i poprawiłam. A potem jeszcze raz. Niestrudzony wydawał się całkowicie nieświadomy buzujących wokół emocji. Pociągnęłam go za rękaw, dając do zrozumienia, żebyśmy stanęli.

– Ten statek jest rozgniewany – powiedziałam.

– Skąd wiesz?

– Czuję. On mnie przeraża.

„Nie na ciebie ten gniew”.

Jakby mi przez ciało przeszły wibracje od tej potężnej myśli. Ścisnęłam Niestrudzonego za rękę, aż krzyknął z zaskoczenia.

„Słyszałem, co mówili. Uwięzili węża i trzymali w niewoli dla haniebnego napoju”.

„To prawda. Vindeliar go pił. Wtedy mógł rozkazywać ludziom”.

Dygotałam na całym ciele. Chciałam uwolnić się od niezmiernie wściekłości statku. Byłam pełna smutku. Nie zostało we mnie miejsce na jego furię. Spróbowałam go uspokoić:

„Niestrudzony go zabił. Zabił Vindeliara. A ja zabiłam kobietę, która dawała mu napój”.

Nic z tego. Moje słowa, jak oliwa wylana na ogień, jedynie podsyciły nieokiełznaną wciekłość.

„Śmierć to za mało! On pił, ale inni też zawinili. Mściciele nadciągają! Nie odejdę, póki nie zobaczę Clerres obróconego w perzynę! Nie będę uciekać jak tchórz!”.

Usłyszałam, że Niestrudzony gwałtownie zaczerpnął tchu. Do moich uszu dotarły okrzyki załogi. Ale to, co poczułam, usunęło w cień wszelkie inne doznania. Przez statek przeszedł dreszcz tak wielkiej emocji, że runęłam jak ścięta. Chociaż pokład nie zakołysał się ani nawet nie zadrżał, przywarłam do desek przerażona, że mogę zostać wyrzucona wysoko w powietrze.

– Przemienia się! – zawołał ktoś ostrzegawczo.

Niestrudzonemu wydarł się okrzyk.

Deski pod moimi dłońmi straciły fakturę drewna i przekształciły się w łuski. Zakręciło mi się w głowie, pusty żołądek podszedł do gardła. Ledwo żywa ze strachu uniosłam głowę. Tam, gdzie jeszcze niedawno wznosiła się figura mojego ojca, widniały teraz dwie smocze głowy na długich, giętkich szyjach. Większa była lazurowa, mniejsza turkusowa. Ta pierwsza obróciła się i na nas spojrzała. Jej oczy przywodziły na myśl wir wypełniony złotem w różnych odcieniach; jak w tyglu ze stopionym metalem mieszały się w nich barwy szlachetnego kruszcu: od ciemnopomarańczowej po jasnożółtą. Gdy wydała głos, gadzie wargi rozsunęły się, odsłaniając bieluteńkie, szpiczaste zębiska.

– Niezrównany! Mściciel za krzywdy węży i smoków!

Udało mi się uklęknąć. Niestrudzony wbił wzrok w figurę na dziobie, usta miał rozciągnięte tak, że widziałam prawie wszystkie zęby, lecz nie potrafiłam ocenić, czy to uśmiech, czy grymas przerażenia. Usłyszałam, że ktoś biegnie. Raptem Strzyk poderwał mnie na nogi.

– Tu jesteś! Jakoś... Pszczoło, razem! Trzeba cię stąd zabrać!

Zdażyłam się nastroszyć – i nic więcej, bo Niestrudzony już się wtrącił:

– Zabiorę panienkę do kajuty.

Przejął mnie od Strzyka, bez kłopotu, bo ten z kolei skamieniał, ze wzrokiem wbitym w galion. Pociągnął mnie za sobą, uskakując z drogi żeglarzom. Pozwoliłam się prowadzić, nie zwracałam uwagi, dokąd ani którądy. W powietrzu wisiała katastrofa. Czy ja kiedykolwiek będę bezpieczna? O ile przeżyję dzisiejszy dzień?

Niestrudzony usiłował stłumić moje obawy.

– Wszystko będzie dobrze, panienko – stwierdził, otwierając drzwi niewielkiego pomieszczenia. – Jak tylko wyjdziemy z przystani i złapiemy wiatr, nikt nas nie dogoni. „Niezrównany” mknie po falach jak na skrzydłach.

Pokiwałam głową, chociaż jego zapewnienia w niczym mi nie pomogły. Buzujące

podniecenie statku cięło mnie tak, jakby z mojego ciała wychodziły połamane kości.

– Panienska tu zaczeka. Chciałbym też zostać, ale na pewno mnie potrzebują. – Cofnął się do drzwi, poklepując obiema dłońmi powietrze, jakby to rzeczywiście mogło mnie uspokoić. – Panienska zaczeka – powtórzył błagalnym tonem i wyszedł.

Zostałam sama. Zakołysałam się w przód i w tył. Czułam opór statku. Nie zgadzał się z załogą. Oni chcieli uciekać. On nie.

Kajuta była niewielka, trudno byłoby powiedzieć, że panował w niej nieskazitelny porządek, ale nie było brudno. Światło dostawało się do środka przez niewielkie okno. Trzy łóżka. Na podłodze rozrzucona damska garderoba. Na obu niższych kojach najróżniejsze przedmioty. Usiadłam, odsunęłam na bok jakąś koszulę. Niebieską. Ojciec nazywał ten kolor „zamkowym niebieskim”. Ruch tkaniny rozbudził woń trzech świec, które się z niej wyturlały. Zniszczonych, połamanych, nabitych brudem i szorstkimi nitkami. Mimo wszystko od razu poznałam dzieło rąk mamy. Wiciokrzew. Bez. Te drobne fiołki znad strumienia, który wpływał do Łoziny. Zebrałam je w ojcowską koszulę, jakbym otulała niemowlę. Przytuliłam, zakołysałam. Czy to wszystko, co mi zostało po mamie i tacie? Narastało we mnie szczególne zrozumienie. Byłam sierotą. Straciłam oboje rodziców. Odeszli. Na zawsze.

Nie widziałam ojca martwego, ale czułam jego śmierć całkiem wyraźnie. Nie mogłam jej zaprzeczyć.

– Wilku-ojczy – powiedziałam.

Nic. Poczucie straty mnie ogłuszyło. Tata nie żył. Długie miesiące szukał mnie po świecie, a gdy znalazł, dane nam było spędzić razem zaledwie pół dnia. Na pamiątkę po nim zostały mi tylko drobiazgi, które uznał za niezbędne w dalekiej podróży. Jak świece zrobione przez moją mamę.

Przyjrzałam się tym przedmiotom. Otarłam twarz koszulą. Na pewno nie miałyby nic przeciwko temu. Przesunęłam zniszczone spodnie, pod nimi leżał pas, który znałam. A obok były moje księgi.

Moje księgi?

Jak to? Mój pamiętnik. I mój dziennik snów. Znalazł je w kryjówce obok prywatnego gabinetu i zabrał ze sobą. Wciąż miał przy sobie, przez tak długi czas... Czytał?

Dziennik snów rozchylił się na zapisanym prorocztwie ze świecami. Spojrzałam na rysunek, który stworzyłam przed wiekami, następnie przesunęłam wzrok na świece wystające z fałd niebieskiej tkaniny. Zrozumiałam. Zamknęłam dziennik, wzięłam w dłonie pamiętnik. Przeczytałam stronę, drugą, a potem go zamknęłam. To już

nie był mój raptularz. Został napisany przez kogoś innego, przez dziewczynkę, którą byłam kiedyś i już nigdy nie będę. Nagle zrozumiałam, dlaczego tata czuł przymus, by palić swoje zapiski. Tamte codzienne rozważania należały do kogoś innego, do kogoś, kto zniknął, tak jak wcześniej matka, a teraz ojciec. Miałam ochotę spalić obie książki, pożegnać się z nimi na stosie pogrzebowym, jakiego nie wzniosłam dla żadnego z rodziców. Ściąłabym kosmyk włosów, może dwa, ku pamięci tego dziecka, które odeszło w przeszłość, i mężczyzny, który starał się być dobrym ojcem.

Przyjrzałam się innym przedmiotom. Znałam je, rozpoznawałam. Nożyki, fiolki, mordercze narzędzia pracy. Kilka niedużych woreczków. Uśmiechnęłam się. Zabiłam, nie dysponując takim arsenałem. Byłby ze mnie dumny.

Ciążyło mi ogromne zmęczenie, lecz gwałtowne uczucia statku nie pozwalały odpocząć, szturmowały mój umysł nieprzewidywalnymi falami. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam się zdrzemnąć, i równie dobrze wiedziałam, że nie dam rady. Wilk-ojciec poradziłby mi, żebym odpoczęła, na ile zdołam.

Wdrapałam się na wyższą pryczę, zabierając ze sobą tłumoczek ze świecami. Położyłam się, lecz niespodziewanie uderzyłam głową w coś twardego, co znajdowało się pod poduszką. Usiadłam, sięgnęłam pod spód, znalazłam tam nocną koszulę, a pod nią szklany pojemnik. Cóż to takiego? Był tak ciężki, że musiałam go wziąć w obie ręce. Gdy przechyliłam ten długi cylinder o grubych ściankach, jego zawartość przelała się leniwymi kłębami szarości i srebra. Serce mi przyśpieszyło. Nie mogłam oderwać wzroku od znaleziska. W jakimś sensie je znałam, w jakimś sensie ono mnie znało! Mimo grubych ścianek sięgało ku mnie, a ja mogłam jedynie odpowiedzieć tym samym.

Gdy odruchowo przytuliłam cylinder do piersi, przeszły mnie te same błyski rozgorączkowanego szaleństwa, jakie poczułam, gdy rozciętą stopą stanęłam w eliksirze węża. Nieokiełznana siła wzywała mnie i kusiała, a znajdowała się w zasięgu ręki! Tuż za szklaną ścianką! Mogłam po nią sięgnąć. Otworzyć cylinder, zanurzyć się w potędze, stać się, czym tylko zechcę, robić, co mi się żywnie spodoba, nie znać żadnych ograniczeń. Mogłam być jak Vindeliar, zmuszać ludzi, by wierzyli w to, w co ja każę im wierzyć.

Zadygotałam, rzuciłam cylinder tam, gdzie go znalazłam. Zapomniawszy o łzach, przyglądałam się mu z uwagą. Mój ojciec, właśnie on, wszedł w posiadanie tej przerażającej magii, zabrał ją ze sobą w daleką podróż. Dlaczego? Czy z niej korzystał? Czy pragnął osiąść władzę? Teraz już nie mogłam go spytać.

Wzięłam w ręce trzy ostatnie świece matki, koszulę zakryłam cylinder. Zeszłam na niższą koję. Przyjrzałam się swoim nogom. Brudne niewyobrażalnie. Ręce?

Szorstkie, powalane szadzą.

Kozia Twierdza. Czy znajdę tam sobie miejsce?

Nad moją głową ludzie biegali. Ruch statku się zmienił. Może minął czas uciekania chyłkiem.

I nagle statek ryknął – zagrzemiał krzykiem bez słów, pełnym strachu i gniewu.

– Ogień! – tym razem krzyknął człowiek.

Usiadłam prosto, serce podeszło mi do gardła. Po chwili skoczyłam do okna, wyjrzałam. Otaczały nas łodzie rybackie... tyle że nikt na nich nie łowił ryb. Czymś z nich rzucano w „Niezrównanego”. Właśnie coś rozbiło się o burtę tuż pod oknem. Przyjrzałam się uważniej. Na jednej z łodzi zobaczyłam łuczника. Gdy naciągnął cięciwę, inny mężczyzna zapalił strzałę. Moment później ognisty pocisk z furkotem ruszył w naszą stronę. Nie widziałam, czy trafił w cel. W następnej chwili za oknem skoczyły w górę płomienie, przesłaniając mi widok. Rzuciłam się do drzwi, wyjrzałam na mroczny korytarz. Zewsząd dobiegały krzyki załogi.

– Odcięli kotwicę!

– Zostaw to! Mamy pożar!

– Gdzie Pszczoła? – To był głos Ukochanego.

Nikt nie odpowiedział.

– Tutaj! – krzyknęłam.

– Pszczoło! Panienko Pszczoło! – Kroki Niestrudzonego zadudniły w przejściu.

– Statek płonie! Trzeba nam na łódź!

– I co dalej?! – odkrzyknęłam. – Na brzeg? Złapią mnie i zabiją!

Przecucie mnie nie myliło. Nie byłam bezpieczna na statku. I nie mieliśmy dokąd uciekać. Popatrzyliśmy po sobie z Niestrudzonym. Serce waliło mi tak, że dudniło mi w uszach.

Przez statek przebiegł straszny krzyk, ochrypły, pierwotny. Wydobył się z trzewi. Każda deska wibrowała mi w kościach. A co gorsza, czułam też ból statku. „Niezrównany” płonął żywcem. Cierpiał podwójnie, bo właśnie stracił szansę na przemianę. Umierał jako statek, nie zakosztował losu smoka.

Trud chwycił mnie za rękę.

– Najpierw zadbamy o to, żeby nie spłonąć.

Wyswobodziłam się z jego uścisku i zawróciłam do kajuty.

– Nie będę uciekać. Mam lepszy pomysł.

Wspięłam się na górną pryczę, chwyciłam ciężki pojemnik. Niestrudzony patrzył na mnie z niedowierzaniem.

– Wiem, co się z tym robi – zapewniłam go.

Srebrna ciecz szeptem składała mi obietnice. Nie dopadną mnie Słudzy. Mogłam

im rozkazać, by skoczyli z łódek w morskie odmęty, żeby się potopili, a oni to robią.

– Co chcesz zrobić, panienko? – Niestrudzony był przerażony. – Nie rób tego! – rzucił. – Lepiej tego nie ruszać, to śmiertelnie niebezpieczne. Błazen ma odrobinę na palcach... mieszkańcy Deszczowych Ostępów powiedzieli, że go to zabije!

Przepchnęłam się obok niego i pośpieszyłam na pokład. Miałam pewność, że jego ostrzeżenia mnie nie dotyczą. Widziałam, co Vindeliar robił z węzowym eliksirem. Ta ciecz była inna. Silniejsza i czystsza. Nie wiedziałam tylko, jak należy jej użyć. Czy powinnam ją wypić? Błazen miał odrobinę na palcach... Czy to znaczy, że powinnam włożyć rękę do cylindra? Wylać sobie jego zawartość na głowę?

Dotarłam do drabinki prowadzącej na pokład. Nie zdążyłam jej złapać, gdy z pokładu zeskoczył mężczyzna. Wylądował na mocno ugiętych kolanach, wyprostował się i objął mnie spojrzeniem jasnoniebieskich oczu. Skórę miał czerwoną od poparzeń i poczerniałą od sadzy.

– Tu jest! – krzyknął. – Ta mała ma!

Następny mężczyzna zeskoczył z pokładu i przyklęknął obok pierwszego. Twarz miał pokrytą bąblami, jedno ramię, całe w pęcherzach, przyciskał do piersi. Z rękawa koszuli zostały tylko nadpalone resztki.

– Posłuchaj, maleńka – odezwał się. – Pani Amber opowiedziała mi o tym specyfiku tamtej nocy, gdy szalupą przeprawiliśmy się do Clerres. To jest dla statku. Daj mi naczynie. „Niezrównany” potrzebuje smoczego srebra.

– Basałyku! – krzyknął Niestrudzony przerażony jego wyglądem.

Znalazł się przy mnie w mgnieniu oka, a ja stałam nieruchomo, nadal przyciskając do siebie szklany pojemnik. Śpiewał dla mnie. O sile i o władzy. Do mnie należał. Statek ryknął ponownie. Jego głos przetoczył się kaskadą od dzioba po rufę i rozbrzmiał we mnie echem. Nie mogłam sama siebie odnaleźć pośród jego rozpacz. To samo uczucie dostrzegłam, niczym w lustrze, w oczach obcych mężczyzn. Ten z poparzoną twarzą odezwał się drżącym głosem, szybko wyrzucając słowa:

– Ogień się rozprzestrzenia. Niestrudzony, nie opanujemy pożaru. Nie wiemy, czym podpalają statek, lecz wodą nie sposób tego ugasić. Musisz zabrać dziewczynkę z „Niezrównanego”, jednak smocze srebro... jest mi potrzebne. Dla statku. Zatonie tutaj i zatraci się w niebycie, jeśli tu i teraz nie przemieni się w smoki. Pani Amber powiedziała mi, gdzie szukać płynnej magii. Obiecała „Niezrównanemu” smocze srebro w zamian za pomoc.

Drugi mężczyzna wyciągnął do mnie rękę.

– Maleńka, bardzo cię proszę. Tobie nic z tego srebra nie przyjdzie, dla ciebie to

trucizna. A jemu może wystarczy, żeby smoki się uwolniły!

Gdybym zatrzymała srebro, mogłabym zmusić ich do posłuszeństwa. Nie tylko tych dwóch, wszystkich. Byłabym jak Vindeliar, tylko znacznie silniejsza.

Byłabym jak Vindeliar...

– Weźcie. – Wetknęłam pojemnik w rękę bliższemu. Temu z poparzoną twarzą.

– Zrobimy odwrotnie – zarządził ten usmolony. – Ty sprowadź ich ze statku, ja zaniosę srebro.

– Nie dasz rady – sprzeciwił się poparzony. – Kennitasynie, nie przedrzesz się przez płomienie.

– Tu chodzi o „Niezrównanego”. To jest mój statek rodzinny. Moja krew. Muszę.

Ten, którego nazwano Kennitasynem, chwycił pojemnik, przycisnął do siebie i przytrzymując się drabinki jedną ręką, wyskoczył na pokład.

Kolejny udręczony krzyk rozdarł powietrze i przeszył kości statku.

– Panienska wychodzi! – nakazał mi Niestrudzony, a ja go posłuchałam.

Na pokładzie stanęłam w wirze popiołu i gęstego dymu. Spojrzałam w górę. Zwinięte żagle paliły się nieśpiesznie, rozsiewając dookoła grube płyty popiołu i nadpalone płachty płótna. Na jednej z burt ogień stanął ścianą żaru. Tędy nie było ucieczki. Dym przykrywał wszystko grubą derką. Aż dziwne, jak błyskawicznie potrafił zająć się huczącym ogniem. Łzy płynęły mi z oczu strumieniem, prawie nic nie widziałam. Jakaś dłoń w rękawiczce chwyciła mnie za ramię.

– Do szalupy! – krzyknął Ukochany, z trudem łapiąc oddech. – Jego już nic nie uratuje. Och, „Niezrównany”, mój wierny przyjacielu!

– Pani Amber! Gdzie moi rodzice?! – zawołał mężczyzna z poparzoną twarzą.

– Pobiegli na dziób. Tam skupił się atak. Basałyku, nie przedrzesz się przez ogień, są już straceni!

Młody mężczyzna nie słuchał, ruszył za przyjacielem, który pobiegł ze smoczym srebrem. Jeszcze przez moment widziałam ich obu, skoczyli w ognistą kurtynę. Miałam nadzieję, że była to warstwa płomieni, a nie gorejące piekło. Zawodzenie statku wypełniło mi uszy, raniło ciało i umysł. Dygotałam od jego strachu i gniewu. Właśnie tak wszyscy skończymy. Wiedziałam to z równą jak on pewnością. A Ukochany ciągnął mnie w przeciwną stronę. Był silniejszy, niż można by się spodziewać. Przemknęło mi przez głowę pytanie, czy to za sprawą mojego ojca był teraz taki mocny.

Gdy we trójkę znaleźliśmy się przy relingu, wyjrzał za burtę i zaklął, a Niestrudzony krzyknął:

– Zostawili nas!

Ukochany wciąż ścisnął moje ramię. Zasłonił twarz przedramieniem.

– Musieli. W przeciwnym razie szalupa też stanęłaby w ogniu – wyjaśnił głosem stłumionym przez tkaninę. – Są tam, czekają na nas, ale musimy skoczyć do wody i do nich podpłynąć. A łodzie Sług są coraz bliżej.

– Co ze Strzykiem? – Niestrudzony się rozkaszał. – Gdzie Skierka?

– Nie wiem.

– Nie umiem pływać – powiedziałam.

Właściwie nie miało to większego znaczenia. Zastanowiłam się tylko, czy śmierć przez utonięcie boli bardziej niż spalenie żywcem. Pewnie jednak mniej. Tak czy inaczej, z fałszywych łodzi rybackich wciąż leciały na statek ogniste strzały. Dwóch marynarzy stanęło przy naszym boku z bezużytecznymi mieczami w dłoniach.

– Skaczemy? – wychrypiał Niestrudzony.

Jemu też łzy płynęły z oczu. Dym cuchnął potwornie i smakował jak palone mięso. Jak ciało tej kobiety, która przybyła do taty z posłaniem i którą spaliliśmy na stosie tak dawno temu.

Nagle coś się zmieniło. Statek zadygotał niczym koń strząsający muchy. Pokład zaczął się wypaczać.

– Skaczemy! – krzyknął Niestrudzony.

Nie dał mi czasu na wykonanie polecenia. Chwytał mnie za ramię, wyrwał z uchwytu Ukochanego. Nie zdążyłabym wdrapać się na reling, bo bez żadnych ceregieli pociągnął mnie za poręcz i pewnie nawet nie zauważył, że wyrznęłam goleniami w drewno. Aż dziwne, jak silny i przykry wydał mi się ten ból wobec wszystkiego, co działo się dookoła.

Ukochany skoczył z nami. Lecąc, machał bezładnie rękoma i nogami. Widziałam go tylko przez moment, bo zaraz zamknęła się nade mną zimna woda. Nie zdążyłam nabrać tchu w locie, a Niestrudzony wypuścił mnie, gdy uderzyliśmy o powierzchnię, poszłam w dół, w zimną, niespodziewaną ciemność. Woda wcisnęła mi się do nosa, to bolało. Otworzyłam usta, zachłysnęłam się słoną cieczą, więc natychmiast je zacisnęłam. Cała byłam zanurzona we wrogim półmroku.

„Machaj nogami, machaj!” – powiedziałam sobie.

Machaj rękoma, zrób coś! Cokolwiek, ale coś zrób! Walcz o życie!

„Wilku-ojcie!”.

Nie. Nic z tego. Jego już nie było, odszedł razem z tatą, zostałam sama. Musiałam walczyć. Jak wilki zamknięte w pułapce. Jak według jego słów walczyłyby mój ojciec.

Machałam nogami i rękoma z całej siły, biłam się z wodą, która nie chciała mnie puścić. Nienawidziłam jej tak samo jak Dwalii i Vindeliara. I nagle, na mgnienie oka, głowa wyskoczyła mi nad powierzchnię. Nie zdążyłam złapać tchu, zanurzyłam

się z powrotem.

Machaj mocniej!

I znowu: światło, powietrze na twarzy. Wykrztusiłam wodę. Wciąż gwałtownie machałam rękoma, młócąc na oślep, byle tylko utrzymać się na powierzchni. Ledwo zaczerpnęłam powietrza, uderzyła mnie w twarz fala.

Ktoś chwycił mnie za ramię. Natychmiast wdrapałam się na tę osobę, niczym kot wspinający się na drzewo. Nawet przez moment nie przemknęło mi przez myśl, że spycham swojego wybawcę w głębinę, gdy sama wystawiam głowę nad powierzchnię, by zaczerpnąć tchu. Zrobiłam długi wdech, a wtedy ktoś inny złapał mnie i pociągnął do tyłu.

– Kładź się! – rozkazał mi kobiecy głos. – I nie wierzgaj. Leż spokojnie.

Świat był rozmazany. Leżeć spokojnie? Nie potrafiłam. Dziewczyna przytrzymała mnie pod ramię, podparła głowę. Obok nas pojawiła się na falach jeszcze jedna twarz. To był Niestrudzony. Prychnął, wypluł wodę chwycił mnie za drugą rękę, przyciągnął się bliżej.

– Dziękuję – powiedział. – Mrówko... Jesteś nieoceniona.

– Płyniemy! – krzyknęła tamta nagle. Machaj nogami! – rozkazała mi. – Z całej siły!

Zamrugałam, pozbyłam się słonej wody z oczu. Spojrzałam w górę. Z tej perspektywy statek wydawał się przeogromny. Ogień lizał mu boki, a poczerńiałe od spalenizny fragmenty żagli wzbijały się w powietrze pchane w górę ukropem pożogi. Usłyszałam pełne gniewu i przerażenia okrzyki marynarzy z innego statku zakotwiczonego nieopodal. Bali się, że chmara łodzi, które nas zaatakowały, zwróci się także przeciwko nim, lecz napastnicy właśnie zaczęli się wycofywać zadowoleni z osiągniętego efektu.

Machałam nogami, naśladując Mrówkę i Niestrudzonego. Rzeczywiście, oddalaliśmy się od „Niezrówanego”, niestety dość wolno. Statek górował nad nami, stopniowo pogrążając się w morzu ognia. Kolejne dwie osoby wyskoczyły z płomieni, szukając wątpliwego bezpieczeństwa w morskiej toni. Wolny przechył, połączony z obrotem, ukazał nam figurę na dziobie. Były to teraz dwa smoki, lazurowy i turkusowy, lecz oba płonęły. Drewno jakby walczyło z ogniem. Poczerńiałe łuski powlekały się na nowo błękitem lub zielenią, jednak niezwyciężona oliwa przypalała je na nowo i znowu buchały w górę płomienie. Ogień lizał długie szyje. Oba łby szarpały się na boki. Przedni pokład zniknął zakryty pożogą. Nawet na odległość bezlitośnie chłostała mnie rozpacz żywostatku, a ryki wściekłości toczyły się echem przez całą zatokę i dalej, po łagodnych wzgórzach za miastem.

Jakaś większa fala zalała mi twarz. Musiałam wypluć wodę i przetrzeć oczy. Gdy

ponownie zwróciłam wzrok na galion, zobaczyłam, jak płonący mężczyzna skacze na szyję lazurowego smoka. Zamknął ją w uścisku i coś krzyknął. Uniósł wysoko szklany pojemnik mojego ojca. Gad rozwarł szczęki, człowiek spadł do morza. Lazurowy łeb odchylił się do tyłu i zamknął paszczę. Spomiędzy gadzich warg wypadł okruch srebra.

– Zdziałało? – wysapał Niestrudzony.

– Co miało zadziałać? – zdziwiła się Mrówka.

– Łapcie linę! – krzyknął ktoś i ciężki sznur uderzył mnie w pierś.

Niestrudzony chwycił go kurczowo, ja poszłam w jego ślady. Okazało się, że pomoc nadeszła z jednej z szalup. Drugi koniec liny trzymała wytatuowana kobieta, którą już poznałam.

– Chyba jednak za mało – stwierdził Niestrudzony ze smutkiem.

Kobieta wybierała linę, podciągając nas do łodzi. Fale uderzyły w nas mocniej. Kolejna zalała mi twarz i gdy wreszcie pozbyłam się słonej wody z oczu, odniosłam wrażenie, że „Nieźrównany” się rozpada. Maszty chyliły się i upadały, nadbudówka na rufie zsunęła się do zatoki i kołysała niepewnie, relingi obwisły smętnie, a poluzowane deski zsuwały się jak mokry śnieg z gałęzi na koniec zimy. Niestrudzony plunął wodą. Już tylko kadłub statku pozostał w całości, nieduży fragment pokładu, dosłownie kilka poręczy.

– Gdzie pani Amber?! – krzyknął Trud do naszych wybawców.

– Tu jej nie ma – odparła kobieta.

Kurczowo ścisnęłam linę, lecz nie odrywałam wzroku od statku. Po deskach przebiegła zmarszczka barwy. Ktoś mnie wyciągnął z morza, przeniósł nad burtą i upuścił na dno wyładowanej szalupy, tuż obok kałuży morskiej wody. Wręga wbijała mi się w żebra. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Mrówka i Niestrudzony wdrapali się do szalupy o własnych siłach: ona z wprawą, on z niejakim trudem, najpierw zaczepiwszy się nogą o burtę.

– „Nieźrównany” – szepnął.

Statek szedł na dno. Nieopodal tonącego wraku na powierzchni morza unosił się ktoś kurczowo uczepiony jakiejś deski. Miałam nadzieję, że to Strzyk. Pasażerowie szalupy nie szukali ocalałych. Jak urzeczoni przypatrywali się wyjątkowym zdarzeniom. W pewnym momencie spomiędzy fal wyłonił się turkusowy łeb, chwilę później przednie łapy, młóćąc wodę, wpiły się szponami w drewno i oto smok wydzwignął się nad powierzchnię wody. Przysiadł na wolno idącym na dno kasztelu rufowym. Rozpostarł skrzydła, strząsnął z nich wodę. Były splamione czernią i szarością, barwami spalonego drewna i brudnego dymu. Raptem wyrzucił łeb do góry i wydał z siebie gwizdliwy krzyk. W ten odgłos w mieszały się słowa

królowej. Tak, najważniejszej smoczyca, ponieważ w chwili gdy jej myśli uderzyły w mój umysł, rozpoznałam w niej władczynię.

– Zemsta! Do mnie i do moich należy!

Niektórzy ludzie skulili się i zasłonili uszy, inni zaczęli wiwatować. Smocza królowa poruszyła mocarnymi skrzydłami, podrywając w powietrze wodę oraz szczątki statku. Jak na smoka nie była duża, nie większa niż koń z zaprzęgiem, lecz to w niczym nie przeszkadzało. Gdy znów ryknęła, ujrzałam lśniące białe zębiska i szkarłatno-żółtą wyściółkę gardzieli. Wzleciała w powietrze, poszybowała w górę, aż stała się turkusową figurką na tle błękitu. Dwukrotnie zatoczyła nad nami koło, a jej skrzydła wydawały się z każdym ruchem silniejsze.

Zanurkowała ku morzu, wprost na uciekające łodzie. Chwyliła w pysk jednego z wioślarzy. Trzy z wypuszczonych do niej strzał chybiły, czwarta odbiła się od łusek. Królowa uniosła łeb z nieszczęślikiem w pysku, a gdy zacisnęła szczęki, jego nogi spadły po jednej stronie, a głowa i ręce po drugiej. Napastnicy krzyczeli z przerażenia, a na naszej szalupie zapanowała martwa cisza. Nikt nie potrafił głośno cieszyć się z obrotu spraw, gdyż obraz był zbyt przerażający. Dosadnie unaocznili nam, co smok może zrobić z człowiekiem. Z każdym. Nawet nieduży smok.

– Niebieski! – krzyknął ktoś.

Z taką uwagą śledziłam poczynania królowej, że przeoczyłam lazurowego smoka. Oto stał, na rozsuniętych łapach, na rozchybotanych wręgach, w oparach dymu, z wysoko uniesionymi skrzydłami naznaczonymi wzorem czerwieni. Większy niż turkusowa królowa. Gdy ryknął, zagrzmiął niskim grzmotem z głębi gardzieli. Zgiął długą szyję i pochylił łeb. Nie wiedziałam, że obok niego jest człowiek, póki nie trącił go nosem.

– Och, na słodką Edę! To Basałyk! Pożre Basałyka!

Jakby w odpowiedzi na ten trwożny okrzyk lazurowy smok uniósł łeb i zaczęłam rozumieć, że „słyszę” jego mowę, pojmuję słowa, choć w uszach brzmi pozbawiony wyrazów ryk.

„Żyje. Przyjaciel to nie mięso. Pożywię się wrogami!”

Uderzył powietrze silnymi skrzydłami, wolniej i potężniej niż smoczyca. Wzbił się w powietrze. Gdzieś z brzegu dobiegły krzyki świadczące o tym, że królowa wciąż ucztuje. A my patrzyliśmy na lazurowego smoka. Wioślarze również zastygli w bezruchu. Dryfowaliśmy w grubym kobiercu resztek statku. Samiec wzlatywał coraz wyżej, aż w pewnej chwili spadł na wybraną ofiarę. Porwał z pokładu tłustego wioślarza, łódź zatopił jakby mimochodem. Z mężczyzną w pysku wznosił się tak wysoko, że ledwo słyszeliśmy krzyki ofiary. Wreszcie, podobnie jak smoczyca, zacisnął szczęki, gubiąc zwisające części ciała wioślarza. Na tym jednak

nie skończył: widowiskowo dowiódł swojej zwinności, bo przełknąwszy korpus, dogonił w locie spadające nogi, chwycił je i także pożarł.

W naszej szalupie gwałtownie chwycono za wiosła. Natychmiast pojęłam, dlaczego: oto kolejny rozbitek wydzwignął się na jakąś deskę. Usiłował dotrzeć do ciała Basałyka, lawirując wśród przedmiotów stłoczonych na powierzchni wody.

– To Świstak! – krzyknął Niestrudzony.

Jeden z marynarzy przyklęknął na dziobie szalupy i energicznie odpychał na boki szczątki zagradzające drogę. Wszystkim zależało, byśmy płynęli jak najprędzej, lecz inna szalupa okazała się szybsza. Po chwili ujrzałam, że Skierka wyskakuje za burtę i, tańcząc na resztkach wraka, dociera do unoszącego się na wodzie ciała. Kucnęła.

– Żyje! – krzyknęła.

Z obu łodzi buchnęły okrzyki radości. Ludzie radowali się z odzyskania przyjaciół. Z życia.

Ja natomiast nie byłam już dobrym człowiekiem. Odwróciłam wzrok od ocalałych i obserwowałam dwa smoki na polowaniu: kołujące, porywające ofiary, śmigające w górę, gdy deszcz krwawych szczątków sług spadał na Sługi.

Czerpałam gorzką satysfakcję ze śmierci.

Rozdział 39

Zemsta

Na temat Plaży Skarbów wiadomo, co następuje:

„Należy zakotwiczyć w zatoczce po stronie południowej. Uwaga na pływy! Przy odpływie osiądziesz na mieliźnie. Przyptyw może rozbić statek o brzeg.

Ścieżką przez las podążaj ostrożnie. Nieszczęście spada na tych, co z niej zбочą.

Na przeciwległym krańcu idź wzdłuż linii przyptywu. Nie opuszczaj plaży. Ludziom nie wolno postawić stopy na Wyspie Innego Ludu nigdzie poza wyznaczoną ścieżką i plażą.

Może się zdarzyć, że znajdziesz skarby przyniesione przez fale. Prądy morskie i wiatry ściągają je z daleka i tam składają. Zbierz, ile zechcesz. Żadnego nie wolno ci zabrać z wyspy.

We właściwym czasie przyjdzie do ciebie istota. Traktuj ją z szacunkiem. Pokaż zebrane skarby, a ona, w swej mądrości, zdradzi ci przyszłość i wskaże najlepszą drogę życia. Usłyszawszy przepowiednię, możesz zostawić skarby w ścianie klifu, w którejś niszy.

Nie wolno ci zabrać ze sobą niczego, co zostało znalezione na Plaży Skarbów, nawet najmniejszego drobiazgu. Jeśli to zrobisz, ściągniesz przekleństwo na siebie i swoich potomków po wsze czasy”.

Aljeni „Spis miejsc magicznych”, przełożony przez Bastarda Rycerskiego
Przezornego

Zdumiał mnie rozmiar zniszczeń, jakie potrafiły spowodować dwa smoki. Ci, spośród Sług, którym dane było przetrwać katastrofę, z pewnością przeżyli szok. Dwa gady, lazurowy i turkusowy, przegnały łodzie, które ściągnęły na nas katastrofę. Inne statki stojące w porcie szybko podniosły kotwice, postawiły żagle i uciekły przed zagładą. Przypuszczalnie załogi doszły do wniosku, że mieszkańcy Clerres oszaleli, skoro bez powodu podpalili jednostkę, która nikomu w niczym nie wadziła. A gdy ze statku zrodziły się dwa dzikie smoki, niesłychane zdarzenie musiało przekroczyć granice ludzkiego pojmowania.

Cóż powiedzieć o tamtym dniu? Wspomnienia przesiąknięte są słoną wodą, nieutulonym żalem i wycieńczeniem. Gdy napastnicy uciekli, zebraliśmy przyjaciół, żywych, martwych i tych, co nie byli ani tacy, ani tacy. Nasza przeciążona szalupa została przycumowana na końcu pomostu. Troje marynarzy, w tym kobieta w tatużach, zdawało się świetnie obeznanym z walką. Choć nie mieli żadnej broni godnej tej nazwy, potrafili nas odpowiednio zorganizować i stanęli w gotowości, z nożami w dłoniach. Pozostali wypuścili się na nowo w morze, szukać innych szalup i ocalałych towarzyszy wśród szczątków statku.

– Czy będziesz czuła się bezpieczna, panienko, jeśli cię tu zostawię i poszukam naszych? – spytał mnie z ogromną powagą Niestrudzony.

– Żadne z nas nie jest bezpieczne. – Wzruszyłam ramionami. – Mamy przeciwko sobie całe miasto, wszyscy nas nienawidzą i wkrótce znajdą sposób, żeby nam to okazać. – Zatoczyłam ręką koło. – Nie mamy jak uciekać. Nasz statek zmienił się w smoki, inne odpłynęły... albo zostały zniszczone przez gady. Broni mamy tyle, co kot napłakał, żadnych cennych przedmiotów, którymi można by zapłacić za życie... – Sytuacja była jasna: zostaliśmy na lodzie. Żal mi się zrobiło Niestrudzonego. Czy naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że wszyscy umrzemy właśnie tutaj, i to już niedługo? – Idź – powiedziałam. – Może kogoś znajdziesz.

Zanim wrócił, pojawiła się inna szalupa z „Niezrównanego”. Wycieńczeni rozbitkowie wydostali się na pomost. Była między nimi Skierka. Nie było Strzyka. Ten z poparzoną twarzą i ręką okazał się Basałykiem. Świstak pomógł mu wspiąć się po drabince.

– Czy ktoś widział moich rodziców? – spytał ten młody mężczyzna.

Zdziwiło mnie, że wciąż jeszcze mógł mówić, a nawet stać.

Nikt nie odpowiedział. Twarz mu się zapadła, usiadł, gdzie stał. Wolno legł na boku. Kobieta zwana Mrówką przycupnęła tuż obok.

– Mamy słodką wodę? – zapytała.

Nie mieliśmy.

Do mnie podeszła Skierka. Całkiem przemoczona i rozdygotana. Przytuliłyśmy się w nadziei na wzajemne ogrzanie.

– Co z panią Amber? – chciała wiedzieć. – Gdzie Niestrudzony?

– Niestrudzony pomaga szukać ocalałych. Pani Amber nie znam.

Popatrzyła na mnie, zamruwała.

– Pani Amber to Błazen, przyjaciel twojego ojca, panienko. A także jego Ukochany.

– Ukochany – powtórzyłam cicho. – Ostatni raz widziałam go, jak skakał ze statku.

Nie pozostało nic więcej do powiedzenia. Siedzieliśmy. Nikt nas nie atakował. Łodzie Sług zostały rozpedzone. Niektórzy z ich pokładów schronili się w zamku ścigani przez dwa smoki. Oba gady krążyły teraz nad fortecą, oznajmiając donośnym skrzekiem swój gniew. Łucznicy marnowali strzały, bo pociski nie docierały do zbyt odległego celu, a jeśli go sięgały, odbijały się od łusek. W mieście ludzie gromadzili się na dachach domów oraz w oknach górnych pięter. Na ulicy nie widać było żywego ducha i najwyraźniej nikt nie zamierzał rzucać nam wyzwania. Czyżby mieszkańcy miasta w ogóle nie widzieli w nas wroga? Kto wie? Słońce, wędrując po jasnym niebie, przygrzewało coraz mocniej. Ogrzewało nas i suszyło nam odzienie. Siedziałam na krawędzi pomostu, machałam nogami, patrząc na własne bose stopy, i czekałam. Czekałam, aż dowiem się, kto przeżył. Czekałam, aż mieszkańcy Clerres nas zaatakują. Czekałam, aż stanie się cokolwiek.

– Jestem głodna – zwierzyłam się Skierce. – I pić mi się chce. – Po chwili dodałam: – Szkoda, że nie mam butów. – Pokręciłam głową. – Dziwne to takie... bezduszne: tata nie żyje, a ja rozpaczam, że nie mam butów...

Objęła mnie i przytuliła. A mnie to jakoś nie przeszkadzało.

– Chętnie bym rozczesała włosy i ściągnęła do tyłu – stwierdziła. – I choć drzę z obawy, czy Strzyk ocalał, to równocześnie jestem na niego zła.

– Bo gdybyś smuciła się i płakała, to by znaczyło, że dla ciebie już umarł.

– Właśnie. – Popatrzyła na mnie dziwnie. – Skąd ty wiesz takie rzeczy, panienko? Wzruszyłam ramionami.

– Jestem wściekła na ojca. Nie chcę już po nim płakać. Będę go opłakiwała, wiem, ale nie chcę. – Przekrzywiłam głowę. – I jestem zła na Ukochanego. Na panią Amber. – Ostatnie słowo wymówiłam z pogardą.

– Dlaczego? – zdumiała się Skierka.

– Bo tak. – Nie miałam zamiaru wyjaśniać.

On żył, a tata umarł. On ściągnął na nas wszystkie te nieszczęścia. Ukochany. To on doprowadził Sługi na próg Białego Gaju. To przez niego wszystko się zaczęło, ponieważ on zrobił z taty katalizatora.

Podniosłam wzrok na Skierkę i zadałam pytanie, którego się obawiałam:

– Czy wiesz, co się stało z panną Szkodą?

– Z siostrą Strzyka? Ze Światłą? Uciekła Sługom. Twój ojciec ją znalazł. Właśnie od niej dowiedzieliśmy się, że weszłaś w kamień, panienko.

– Siostra Strzyka...? – powtórzyłam zbita z tropu.

Przez usta dziewczyny przemknął niewesoły uśmiech.

– Też była zaskoczona. – Przycisnęła mnie mocniej. – Mówiła mi też o was. Że z początku nie bardzo się dogadywałyście. W ogóle dużo mówiła o panience... –

Zamilkła. – Ale jestem głodna! – rzuciła nagle. – I też mi się pić chce. I jestem wściekła na Strzyka. I wstyd mi za wszystkie te uczucia razem i za każde z osobna. – Pokiwała głową na boki. – Gdy dzieją się takie straszne rzeczy, to zmażą na honorze wydaje się marzenie o filizance herbaty. I kawałku chleba.

– O ciasteczkach imbirowych. Mama piekła takie dla taty... – Zasłoniłam usta dłonią. – Teraz to by dopiero była na niego rozeźlona...! – Znienawidzone łzy ponownie napłynęły mi do oczu.

Niedługo później u wejścia do przystani zjawiała się któraś z naszych szalup. Przy jednym z wiosł siedział Niestrudzony. Obie wstałyśmy. Na dnie łodzi leżał ktoś zawinięty w kawałek żagla.

– O, nie...! – jęknęła Skierka.

Obok ciała siedział Ukochany.

– Czy to Strzyk?! – zawołała, ledwo łódź zbliżyła się do pomostu.

– To Kennitasyn – odparł Trud drętwym głosem. – Zginął w płomieniach.

Skierka ukryła twarz w dłoniach. Może po to, by nikt nie dostrzegł ulgi, że to piracki książę, nie Strzyk.

Niestrudzony wspiął się na pomost, podszedł, zamknął mnie w uścisku. Odpowiedziałam mu tym samym. Dojrzał nad moją głową postać leżącą na deskach.

– Nie! – krzyknął ochryple. – I Basałyk też?!

– Żyje – sprostowała Mróka. – Ale źle z nim.

Młody człowiek uniósł głowę, zaraz jednak opuścił.

– Kennitasyn – wymamrotał z trudem – uratował statek.

Wciągnięcie owiniętego płótnem trupa na pomost okazało się nie lada wyzwaniem. Trzeba było do tego trzech mężczyzn. Ukochany pomagał, jak mógł, lecz odniosłam rażenie, że kilkoro członków załogi dziwnie na niego patrzy. W końcu to on rozwinął całun i pochylił się nad skurczonym ciałem, by je ułożyć.

Ze znużeniem pokręcił głową, podniósł na mnie wzrok. Usta rozciągnął mu nieśpieszny uśmiech, lecz oczy pozostały smutne.

– Tu jesteś. Jak tylko zobaczyłem Niestrudzonego, wiedziałem, że ocalałaś. – Zrobił dwa kroki w moją stronę, otworzył ramiona.

A ja stałam niewzruszona.

Ręce mu opadły. Dłuższą chwilę patrzył na mnie bez słowa.

– Och, Pszczoło... – westchnął w końcu. – Zaczekam. Wiem, jestem ci obcy, chociaż mam wrażenie, że znam cię jak nikt.

Chyba nie mogłam usłyszeć od niego bardziej irytujących słów. Odruchowo pomyślałam o swoim pamiętniku i o dzienniku snów. Oba leżały teraz na dnie morza.

Czyżby...? Nie. Z pewnością nie zniżył się do tego, by czytać cudzy pamiętnik. Tak się po prostu nie robi. Chociaż... ja czytałam zapiski ojca... Zawiesiłam wzrok w przestrzeni za jego plecami. Nie odpowiedziałam. Miałam świadomość, że Skierka mi się przygląda, w końcu przeniosła na niego współczujące spojrzenie.

– Jak się czujesz, panie? – spytała ze szczerą troską.

– Jestem całkowicie wyjałowiony – przyznał grobowym głosem. – Wiele masek nosiłem, teraz nic mi nie zostało. Nawet gniew nie daje mi siły. Strata jest tak... Chcę tam wrócić, zobaczyć jego ciało, zrozumieć, że to prawda...

– Nie da się – stwierdziła Skierka bez ogródek. – Za mało nas, żebyśmy się dzielili. Prawie nie mamy broni. A poza tym... nie ma sensu jątrzyć ran. – Odwróciła wzrok.

– On nie żyje – odezwałam się cicho. Podniosłam spojrzenie na nich oboje. – Przez krótki czas jeszcze go czułam. Byliśmy połączeni. Wyczuwałam jego i wilka-ojca. Teraz już ich nie ma.

Zapatrzył się w palce obleczone rękawiczką. Po długim czasie przycisnął dłoń do piersi.

– Wiem – przyznał. – Ale został sam, w takim miejscu... Ta woda coraz wyżej...

– Mamy jakiś plan? – przerwała mu Skierka. – Czy będziemy tu siedzieć, aż ktoś nas pozabija?

Głos miała schrypnięty, lecz mówiła bez emocji. W gardle pewnie tak samo jej zaschło jak mnie. Zaczynałam ją lubić. Podobnie jak Niestrudzony, mocno stała na ziemi. I tak jak on żyła chwilą obecną.

Ukochany wyprostował się, zerknął przez ramię na grupkę ocalałych i skromny szereg obrońców.

– Tak. Mamy plan. Niestety będzie wymagał niebagatelnego poświęcenia. – Odgarnął z twarzy wilgotne włosy. – Na razie zostaniemy tutaj. Za mało nas, żebyśmy w razie potrzeby obronili się w mieście. Tutaj mamy lepszą pozycję obronną.

Za to nie mamy nic do jedzenia. Ani wody. Ani schronienia przed słońcem. Są między nami ranni. Nie byłam pod wrażeniem planu człowieka, który zastąpił tatę.

Usiadł obok mnie, skrzyżował nogi. Skierka zrobiła to samo, po chwili przyłączył się do nas Niestrudzony. Basałyk został przy trupie. Jakiś muskularny, poznaczony bliznami mężczyzna przyjrzał się pęcherzom na jego twarzy, poparzonemu ramieniu – i odwrócił wzrok. Po jakimś czasie Basałyk osunął się w bok; mężczyzna podtrzymał go i ostrożnie położył. Młody człowiek stracił przytomność. Mrówka z nożem w ręku lustrowała wzrokiem miasto. Innych nie znałam. Było ich jedenaścioro. Dwoje trzymało wartę na terenie u wejścia na keję. Słońce prażyło.

Zaczął się odpływ, unosił ze sobą szczątki statku. Większe jednostki zniknęły z zatoki na początku awantury, została jedna, wyraźnie osiadła na mieliźnie.

– Jeśli nadciągną z łucznikami – odezwał się Niestrudzony – nie mamy gdzie się schować. Jeżeli zbiorą się na odwagę i podpłyną łodzią albo nawet podejną lądem, szybko się z nami uporają. Ale wystarczy, że przetrzymają nas tutaj bez jedzenia i wody. Bez schronienia przed słońcem. No tak. Pewnie tu skończymy.

– Masz rację – przyznał Ukochany – jednak na razie są zajęci obroną przed smokami, więc nie będą o nas myśleć. I będą mieli coraz gorzej. Najpierw w zamku, potem w mieście.

Popatrzył dziwnie bezbarwnymi oczami w stronę pałacu. Dwa smoki rozprawiły się z łodziami, zostawiając na wodzie tylko trochę drewna. Turkusowy wisiał teraz na szeroko rozpostartych skrzydłach dokładnie nad zamkiem. Kołysał się w powietrzu niczym orzeł wsparty na wietrze. Lazurowy nękał obrońców: podlatywał to z tej, to z tamtej strony, spadając na łuczników, kpiąc z ich wysiłków. Szyli do niego bezustannie, lecz strzały się go nie imaly. Wzlatywało ich coraz mniej.

Raptem zmienił taktykę. Z wdziękiem jaskółki przysiadł na szczycie jednej z tych wież, w których mieściły się komnaty Rady Czworoga. Nie na baszcie strażniczej, lecz na jednym z czterech najwyższych elementów konstrukcji. Zaryczał głośno, jakby kogoś wzywał. Cofnął łeb na wężowej szyi, a gdy gwałtownie wyrzucił go do przodu, z otwartego pyska spadło mu coś błyszczącego. Usłyszeliśmy krzyki.

– Pluje jadem – powiedział Ukochany. – Na ludzi spadł żrący deszcz. Nie zatrzyma go ciało, zbroja, kość ani kamień.

Podniosłam na niego wzrok.

– Traf śpiewał mi o smokach. Wiem, co potrafią.

Pomyślałam o miłych, pogodnych Białych, którzy mieszkali w chatkach. O ich nieskazitelnych szatach rozwieszonych pod kwitnącymi drzewami. Oni także zostaną ukarani. Razem z Kaprą, sługami, strażnikami oraz żołnierzami. Czy zasługiwali na okrutny los? Czy wiedzieli, jak wielką krzywdę ich skatalogowane sny wyrządzały całemu światu? Zrobiło mi się ich trochę żal, jednak poczucia winy nie miałam. Ich los nie ode mnie zależał, tak samo jak burza czy trzęsienie ziemi. Albo porwanie z Białego Gaju.

Smoczyca wydała z siebie długi, przenikliwy okrzyk, a z nim pojawiło się jedno słowo:

– Zemsta! – Raz rzucone zwielokrotniło się echem.

Zemsta, zemsta, zemsta!

Zaraz, to nie echo.

– O-o... – odezwał się Ukochany.

Wizja, którą dostał od swojego taty, nabrała wyraźniejszych kształtów. Dostrzegł je jako pierwszy. Dwa klejnoty, błyszczące, lśniące w oddali. Jeden szkarłatem, drugi błękitem jaśniejszym niż niebo.

– Smoki! – wykrzyknął Ukochany, wskazując je wyciągniętą ręką. – Hiibi i Tintaglia, jeśli się nie mylę. Generał Rapskał uprzedzał, że się zjawia!

Nagle rozległ się furkot i na ramieniu Niestrudzonego siadła kruczycyca. Podskoczyłam przestraszona, on tymczasem zaśmiał się z radości. Dziwne to było stworzenie. Dziób miała srebrny, a pióra, zamiast na czarno, połyskiwały granatowo. Co więcej, na każdym skrzydle było kilka czerwonych. I w niczym nie przypominały piór kogucich, bo lśniły niczym wypolerowany metal.

– Jaskrawa! – krzyknął Trud. – A ja się bałam, że utonęłaś, albo cię trafiła jakaś złąkana strzała! Cieszę się, że żyjesz! Gdzieś ty się podziewała?

Ptak pokiwał głową, jakby potakiwał, następnie rozłożył skrzydła.

– Latam ze smokami – oznajmił ludzkim głosem pełnym satysfakcji. Łypnął na mnie błyszczącym ślepiem. – Wyjście jest wejściem!

Dreszcz mnie przeszedł.

– Byłaś przy mnie na dachu!

Ona nie słuchała. Popatrzyła w niebo.

– Lodogień! Lodogień!

Na twarzy Niestrudzonego pojawiło się zmieszanie, jednak nie zdążyłam spytać, co oznacza to słowo. Pojawił się czarny smok. Nie nad wodą, jak inne, lecz od strony lądu. Oznajmił swoje przybycie potężnym rykiem.

– Ja, Lodogień! Wracam i niosę wam śmierć!

Przybliżał się szybko, z każdym uderzeniem potężnych skrzydeł rósł w oczach, aż wydał się niewiarygodnie wielki. Nie do uwierzenia był sam fakt, że w ogóle istniała tak nieprawdopodobnie wielka istota! I jeszcze na dodatek fruwała! A jednak. Gdy nadleciał nad zamek, słyszeliśmy tylko szum jego skrzydeł, lecz po chwili ze smoczej gardzieli buchnął ogłuszający ryk, dźwięk tak donośny, że wszyscy zakryliśmy uszy. Przed potęgą dźwięku zdołaliśmy się uchronić, lecz jego treść odcisnęła się nam w myślach.

„Pamiętasz mnie, Clerres? Czy pamiętacie, jak nakarmiliście nas zatrutym bydłem? Czy pamiętacie, jak tańczyliście i śpiewaliście, by zwabić nas na miejsce zdradzieckiej biesiady? Czy pamiętacie, jak urządziliście rzeź umierających smoków? Czy pamiętacie, jak wypełniliście moje myśli klątwą, gdy chciałem walczyć? Kazaliście mi pogrzebać się w lodzie! Uciekłem. Okryliście mnie hańbą! Zostałem ostatnim smokiem na świecie! Spośród was nie zostanie nikt. Nikt nie będzie wspominał, jak dziś przestaliście istnieć!”

Lazurowy smok pośpiesznie skoczył z wieży wysoko w górę, niczym sójka poderwana przez kruka. Czarny jednak nie zamierzał nigdzie przysiąść. Spadł na dach jednej z wewnętrznych wież, w locie chwycił go w szpony i pchnął z impetem. Smukła konstrukcja przewróciła się i rozsypała, jakby była stworzona z dziecięcych klocków. Myślałam, że czarny gad zburzy zamek doszczętnie, ale nie, on uderzył mocarnymi skrzydłami i wzniósł się w górę. Coraz wyżej i wyżej. Turkusowy oraz lazurowy krążyły wokół niego, ale w bezpiecznej odległości, jakby się obawiały, że mogłyby je skruszyć w zębiskach.

I wreszcie runął w dół. Niczym kamień. Prosto ku ziemi. Dopiero w ostatniej chwili zmienił kierunek lotu. Jedno machnięcie skrzydeł i ruszył na basztę z kopułą w kształcie czaszki. Była ona znacznie solidniej skonstruowana niż wdzięczne wieże pałacu. A mimo to nie przetrwała uderzenia. Przerazająca czasza przekrzywiła się, jakby ktoś ją potężnie spoliczkował. Na podstawie z góry do dołu zarysowało się pęknięcie, rosnące z każdym ruchem skrzydeł smoka wczepionego w kamień. W końcu baszta przechyliła się i zaczęła dziwnie wolno osuwać się na bok. Lodogień frunął do góry. Łoskot kamienia uderzającego w ziemię przetoczył się głuchym echem.

Kruczyca, wciąż usadowiona na ramieniu Niestrudzonego, szeroko rozpostarła skrzydła. Z jej gardła popłynął strumień entuzjastycznych okrzyków. Kiwała łebkiem wyraźnie uszczęśliwiona.

– Smoki! – wykrzyknęła. – Moje smoki!

Niestrudzony położył jej dłoń na grzbiecie. Nie chciał, żeby odleciała.

– To niebezpieczne – przestrzegł.

– Moje smoki! – upierało się ptaszysko.

– Wreszcie znalazła sobie stado – rzucił Niestrudzony pod moim adresem. – Inne kruki jej nie chciały, dziobały, przepędzały, były gotowe zamordować! A smoki ją przyjęły.

Ukochany nie odrywał wzroku od spustoszenia, jakie czyniły latające gady.

– Mówi się, że kruki to mordercy, a jak nazwać to, co robią smoki?

– Masakrą – odpowiedział ktoś niskim głosem, bez śladu humoru.

– Ani kroku! – rozkazał jeden z naszych wartowników na drugim końcu pomostu.

Zobaczyłam tam znajomą postać. Serce zabiło mi mocniej, lecz zaraz ogarnęły mnie wątpliwości: przyjaciel czy wróg?

– Nie mam broni – rzekł Prilkop.

Czy mówił prawdę? Za nim stało dwóch spośród uwolnionych z lochu Białych. Wydobrzeli na tyle, by nieść duże wiadro.

– Przynieśliśmy wam słodką wodę. I możecie schronić się w domu przyjaciela.

Gestem polecił Białym, żeby razem z wiadrem podeszli bliżej. Zerknęli na siebie, po czym jeden gwałtownie pokręcił głową. Postawili wiadro tam, gdzie stali, i wycofali się trwożnie. Prilkop powiódł za nimi wzrokiem, cofnął się do wiadra, wziął je i ciężkim krokiem ruszył w naszą stronę. Trzymał pałąk oburącz, niósł ciężar przed sobą, przy każdym kroku woda chlupała przez krawędź. Niespodziewanie uświadomiłam sobie, że jest rzeczywiście stary i już nie tak silny jak kiedyś. Przyglądaliśmy mu się i myśleliśmy chyba wszyscy tylko o jednym, a na pewno ja miałam w głowie jedną jedyną myśl: pić.

Za jego plecami mieszkańcy miasta opuszczali domy: jedni uciekali w popłochu niczym przestraszone wiewiórki, inni najwyraźniej zdołali pomyśleć, zanim wyszli, gdyż pchali lub ciągnęli wózki, nieśli różne pakunki. Miałam niezbitą pewność, iż przynajmniej niektórzy doskonale zrozumieli słowa Lodognia. Czyżby mieszkańcy znali opowieści o tym, jak Słudzy wybili smoczy ród? A czy w najgorszych koszmarach wyobrażali sobie taką zemstę?

Ukochany wyszedł Prilkopowi naprzeciw, przejął od niego wiadro.

– Dziękujemy ci, przyjacielu.

Zostawił czarnego starca niedaleko naszych wartowników, sam dotarł na koniec pomostu.

– A nie zatruta przypadkiem? – spytała kobieta w tatuażach. – Smok mówił, że to truciele.

– Nie jest zatruta – zapewnił ją Ukochany. Wyłowił z wiadra chochlę, napił się pierwszy. – Słodka – oznajmił. – I chłodna. Możemy pić. Najpierw Basałyk.

Młody człowiek dostał trzy porcje, nikt nie protestował. Ja zadowolona się jedną, choć powiedziano mi, że mogę wypić więcej. Niepostrzeżenie przesunęłam się bliżej strażników, stale czujnie pełniących wartę. Słuchałam, co Prilkop przekazywał Ukochanemu.

– Niszczą wszystko! – zawołał. – To, co Pszczoła zaczęła, wznecając pożar, teraz one kończą, jadem, uderzeniami skrzydeł i ogonów. Nie zaznają wytchnienia, póki nie obrócą zamku w perzynę. Przyszedłem błagać, byś je ułagodził. Zmieńmy tę ścieżkę. Zawrzyjmy pokój. Pomóż mi przywrócić Clerres do pierwotnej, właściwej postaci. Niech znów będzie takie, jak niegdyś.

Ukochany pokręcił głową. W jego głosie nie usłyszałam smutku.

– Pokój między nami zyskać łatwo. Pozwól nam wsiąść na pierwszy statek, który zechce nas zabrać. O nic więcej nie proszę. Mamy to, po co przybyliśmy.

– Skradzione dziecię.

– Na smoki nie mamy wpływu – podjął Ukochany. – Ich zemsta jest starsza niż moja. Dokonają jej. Nic ich nie powstrzyma.

Prilkop nie odpowiedział, lecz przygarbił się, postarzał w oczach.

Lazurowy smok objął we władanie szczyt zachodniego muru. Przechadzał się po nim w tę i z powrotem niczym dumny wartownik. Wymachiwał ze świstem ogonem, z każdym ruchem niszcząc blanki. Od czasu do czasu cofał łeb na długiej szyi, po czym wyrzucał go do przodu, bryzgając na zamek żrącą cieczą. Turkusowego nie widziałam. Nagle rozległ się głuchy warkot i chwilę później spory błękitny gad śmignął między ostatnimi dwiema basztami. W tej samej chwili nad miastem przeleciał czerwony. Wylądował przy końcu grobli, po stronie miasta. Miał coś na grzbiecie, lecz z daleka nie widziałam, co to takiego. Czyżby jeździec?

– Hiibi! Piękna Hiibi! – wykrzyknęła kruczycyca.

Poderwała się z ramienia Niestrudzonego, lecz ten błyskawicznie ją pochwycił – i to tak szybko, że prawie nie zauważyłam ruchu jego rąk.

– Hiibi będzie teraz walczyć. Zostań ze mną. Tam nie byłabyś bezpieczna.

– Bezpieczna? Bezpieczna? – Ptaszysko roześmiało się ochryple, strasznie.

Niestrudzony przycisnął jej skrzydła do boków, a ona z nim nie walczyła, jednak ledwo posadził ją sobie na ramieniu, odskoczyła w bok. Wystarczyły dwa machnięcia skrzydłami, by znalazła się w górze i jak strzała pognała do czerwonego smoka.

– Lecę, lecę, lecę!

– Rób, jak chcesz – westchnął chłopak. – Może i ma rację. Pewnie ani dla niej, ani dla nas nie jest tu bezpiecznie.

Ogromny srebrzysto błękitny smok zawrócił, zataczając koło. Podobnie jak wcześniej Lodogień, tak teraz i ten ogłosił swoje imię z mocą:

– Ja, Tintaglia! – zagrzmiała. – Zemsta! Za moje jaja, ukradzione i zniszczone! Za nasze węże, uwięzione i splugawione! – Przelatując obok baszty strażniczej, raz machnęła ogonem. Tylko raz uderzyła.

Patrzyliśmy. Nic się nie działo. Aż w pewnej chwili wolno, bardzo powoli, kamienna czasza odchyliła się do tyłu i straciła podparcie. Upadła, pociągając za sobą pół wieży. Usłyszeliśmy odległy gruchot skalnej kaskady.

– Spędziłeś w Clerres wiele lat – odezwał się cicho Prilkop. – Dzieckiem będąc, pracowałeś w komnatach zwojów. Złożono tam również twoje sny. Nic nie czujesz?

– Tego bym nie powiedział. Czuję. Między innymi ulgę. – Ukochany bez zmrużenia patrzył na walące się mury zamku. – Zadowolenie, że to, co mnie spotkało, nie przydarzy się już żadnemu innemu dziecku.

– A co z tymi, które są tam teraz? – Prilkop nie krył oburzenia.

– To smocza zemsta – odparł Ukochany. – Nikt jej nie powstrzyma. –

Przeniósł wzrok na przyjaciela. – Prilkopie, wykorzystałem Bastarda Rycerskiego – odezwał się głosem proroka. – Zabiłem go tuzin razy! Nikt nie wie, ile mnie to kosztowało. Nikt! To moja przyszłość, moja droga, wybrałem ją jako biały prorok aktualnego czasu! Ślepy jesteś? Nie widzisz, czego dokonaliśmy? We dwóch, on i ja, doprowadziliśmy do odrodzenia smoków! – Stanął na lekko rozstawionych nogach przodem do zamku, ręce zaplótł na piersi. – Wyście wybrali tę ścieżkę! – krzyknął. – Na długo przed moimi narodzinami wepchnęliście świat w koleiny drogi prowadzącej do tej, a nie innej przyszłości. Gdy zaczęliście zabijać i niszczyć dla własnej korzyści, gdy bogactwo i władza stały się dla was najważniejsze, wtedy utworzyliście tę formę rzeczywistości! Zwlekaliście z zapłaceniem rachunku. – Nagle zmienił się ton jego głosu, stał się zimny i okrutnie spokojny. – Ale to my wygraliśmy. Mój katalizator i ja. Oto właściwa przyszłość, a zemsta przerosła nawet wyobrażenie proroka. – Głos mu się załamał. – Okupiona śmiercią.

Bryza lekko uniosła jego jasne włosy. Nie musiałam go dotykać, by wiedzieć, że jest punktem newralgicznym. Na jedną chwilę rozbłyły wokół niego wszelkie możliwe ścieżki prowadzące w przyszłość, ruchome i zmienne, bo każda z nich lśniła jasną drogą, po czym wybuchła, mnożąc się w niezliczone nowe możliwości. Biły mnie one w oczy, lecz nie mogłam odwrócić wzroku. Raptem opuścił ręce, a wtedy na powrót stał się smukłym mężczyzną o jasnej skórze.

– Jak sądzisz – spytał, tłumiąc szloch – czy byłbym zdolny zniszczyć choćby jedno, nawet najmniejsze ogniwo pracy, skutek wysiłku mojego katalizatora?

Równie dobrze jak ja wiedział, że Clerres musi odejść w przeszłość. Ukochany był w tym samym stopniu co ja światoburcą. Wyrывał chwasty z najgłębiej wrośniętymi korzeniami. Nie do końca świadoma, co robię, postąpiłam dwa kroki, ujęłam go za rękę w rękawiczce i razem popatrzyliśmy na Prilkopa.

– Czy miasto też zniszczą? – szepnął zatrwożony.

Cała nasza niewielka kompania zebrała się przy białym proroku.

– Tak. Prilkopie, widzę dla ciebie wąską ścieżkę. Zbierz, tych, co są ci drodzy, i uciekajcie na wzgórze. Tyle możesz zrobić, tyle mogę ci ofiarować. Oto trwa przywrócenie równowagi, które nadciągało od dawna. – Spuścił głowę. – Nie ode mnie się zaczęło, lecz od smoków. I smoki je zakończą. Po to tu przybyły.

Prilkopowi ręce drżały. Przycisnął je do piersi. A Ukochany podszedł do niego z podniesionym czołem i zamknął go w uścisku.

– Tylko ciebie mi szkoda, stary druhu – rzekł cicho. – Rób, co możesz. Poprowadź swoich ku lepszemu światu.

– Tam były dzieci – powiedział Prilkop łamiącym się głosem.

– W Białym Gaju też były dzieci – przypomniałam mu.

Nie podkreśliłam, że i ja między nimi.

– Nie zasługiwały na karę!

– Ludzie w moim domu też nie robili nic złego! – Czy on mnie w ogóle słyszał?

Raptem u mego boku wyrósł Niestrudzony. Twarz miał wykrzywioną gniewem. Jeszcze go takiego nie widziałam.

– Mój ojciec i dziad stracili życie, bo zachciało się wam porywać dziecko! Twoi ludzie, panie, wymazali mnie ze wspomnień matki! Nie poznała mnie, przegoniła z progu domu! Tego już nic nie zmieni. Słudzy zniszczyli mi życie! I panience Pszczole! Jej ojciec także nie żyje. Też przez was!

Niespodziewanie zrozumiałam sen sprzed bardzo długiego czasu.

– Czy wiesz, że doprowadzili do rozpięcia sieci przy Wyspie Innego Ludu, by chwycić i zabijać węże? Żeby nie zmieniały się w smoki???

– Ale... – zająknął się Prilkop.

– Nikt nie zasługuje na taką śmierć – poparł go nagle Ukochany. – Ale też nieczęsto dostajemy od życia to, co nam się należy.

Starzec nadal błagał spojrzeniem.

– Prilkopie, czas ucieka. Idź.

Czarny mężczyzna popatrzył na Ukochanego z niebotycznym zdumieniem. Wreszcie odwrócił się i ruszył, powłócząc nogami. Po kilku krokach zebrał się, przyśpieszył do truchtu. Odprowadziłam go wzrokiem. Nasi towarzysze mieli z pewnością mnóstwo pytań, lecz nie zostało już nic do powiedzenia.

– Basałyk się zbudził – powiedziałam.

Mrówka od razu do niego pośpieszyła. Młody mężczyzna usiadł o własnych siłach, lecz wyglądał gorzej niż poprzednio. Gdy tak mu się przypatrywaliśmy, daleko za nim coś poruszyło się na wodzie.

– Co to? – padło pytanie.

Wszyscy skupiliśmy uwagę na tym czymś dalej w porcie.

– Człowiek! – wykrzyknęła Skierka głosem wydartym z głębi serca.

Bez chwili wahania skoczyła do wody i popłynęła do mężczyzny wczepionego w kawałek deski. Uparcie machał nogami. Przyglądaliśmy się scenie, niektórzy okrzykami dodawali obojgu animuszu. Dziewczyna dotarła do ocalałego, razem z nim podparła się na desce i nieco szybciej ruszyli w naszą stronę.

– Tata! – krzyknął raptem Basałyk. – Żyje! A gdzie matka?

Dźwignął się na nogi, zachwiał, a Mrówka szybko wsunęła się pod jego zdrowe ramię. Ten, którego nazywali Świstakiem, wskoczył do wody i popłynął na pomoc.

– Zuchwalec Trelle – odezwał się Niestrudzony. – Kapitan „Niezrównanego”.

Twarz mu promieniała nadzieją.

Czas włókł się niemiłosiernie, zbliżali się, lecz bardzo wolno. Długo to trwało, choć fale popychały ich w naszą stronę. Basałyk, z poparzonym ramieniem przyciśniętym do piersi, stał wyprostowany, a na jego twarzy malowały się nadzieja i udręka. Wreszcie rozbitek i ratownicy podплыnęli do pomostu. Niestrudzony zwinnie zsunął się po drabince, by pomóc Zuchwalcowi, a potem Świstakowi i Skierce wejść na pomost. Kapitan osunął się na deski, a Mrówka posadziła obok niego Basałyka. Ojciec wyciągnął rękę do syna, lecz zaraz ją cofnął, nie mając odwagi dotknąć poparzonej skóry. Obaj ronili łzy, gdy kapitan opowiedział, że przez mgnienie oka widział Altheę, gdy statek rozpadał się na wodzie, lecz od tamtej pory próżno się za nią rozglądał. Pływał od jednej wyspy szczątków do drugiej, szukając jakiegokolwiek znaku, jakiejś podpowiedzi, lecz na próżno. Gdy pozostałe po wraku przedmioty zaczęły wypływać z zatoki, musiał wracać do brzegu, żeby i jego przyptyw nie wyniósł na pełne morze. Wycieńczony nie zdołał już płynąć o własnych siłach, więc przylgnał do jakiejś deski i wytrwale dążył w naszą stronę.

Ci, co skupili się wokół ojca i syna, śmiali się i płakali. Skierka tymczasem, jak zauważyłam, usiadła w pewnym oddaleniu i rozpłakała się w głoś. Strzyk zaginął, podobnie jak kapitan Althea oraz inni członkowie załogi, których nie poznałam, o których nic nie wiedziałam. W pewnej chwili kapitan dostrzegł ciało starannie ułożone na pomoście. Krzyknął z żalu i z rozpacz, a Basałyk znów się rozszlochał.

– Zawiodłem, tato, zawiodłem! Dwa razy próbowałem dostać się do galionu, przedrzeć się przez płomień, ale nie wytrzymałem bólu i w końcu to Kennitasyn ocalił „Niezrównanego”. Wyrwał mi z rąk cylinder ze srebrem i rzucił się w płomień. Z bólu krzyczał przeraźliwie, jednak się nie zatrzymał. To on wybawił statek.

Mężczyzna milczał, nie próbował pocieszać syna, pozwolił mu się wypłakać. Dwa smoki, które jeszcze niedawno były jego statkiem, błyszczały na tle nieba niczym wstążki rzucone na wiatr. Chociaż były znacznie mniejsze od innych smoków, sprawnie burzyły zamek. Kapitan przez kilka chwil obserwował, jak uwijają się przy tym zajęciu.

– Tyle strat... Tyle szkody.

Czerwona smoczyca rozhulała się na lądzie. Wkrótce dołączyły do niej oba smoki ze statku. Ciągnęły niezmordowanie, siejąc zagładę, metodycznie niszczyły budynek za budynkiem. Zaczęły od domów mieszkalnych i straganów przy grobli. Ognia nie zapalały. Szkarłatna samica pluła żrącym jadem, a potem, gdy struktura słabła, obracała ją w gruzy: wystarczyło machnięcie skrzydłami lub uderzenie ogonem.

Słyszeliśmy trzaski, łomot i krzyki, strumień uciekinierów przybrał na sile. Jedni biegli w stronę pastwisk i pól za miastem, inni pchali wózki na drogę prowadzącą ku wzgórzom. Siedziałam na pomoście i patrzyłam w górę, wodziłam wzrokiem nad dachami zamku i pięknych posiadłości, patrzyłam na łagodne pagórki. Gdzieś tam na ich zboczach ludzie zabierali ze sobą owce i szli dalej, aż ginęli za linią szczytów.

Powoli, jakby niechętnie, nadciągał letni wieczór. Nie było płomieni, które by rozświetliły noc. Lodogień i Tintaglia, skończywszy z zamkiem, przyłączyły się do mniejszych smoków i razem z nimi systematycznie niszczyły miasto. Nie było w ich postępowaniu niczego przypadkowego. Działy z zimną kalkulacją. Kojarzyły mi się z Dwalią albo z Kaprą. Widziałam matki uciekające z potomstwem na rękach, ojców z pociechami w wózkach i na ramionach. Patrzyłam. Tu nie chodziło o sprawiedliwość. To była zemsta. Zemsta nie dba o niewinnych czy prawych. To było ogniwo łańcucha łączącego straszne wydarzenia, które decydowały o tym, że z jednego strasznego aktu musiał narodzić się następny, jeszcze gorszy, prowadzący do kolejnego. Z wolna zaczynałam pojmować, że ten łańcuch nie ma końca: ci, co przeżyli tutaj, będą nienawidzili smoków oraz mieszkańców Królestwa Sześciu Księstw, a także być może tych, co pochodzili z Wysp Pirackich. Opowiedzą o dzisiejszym dniu swoim potomkom. Zadbają, by pamięć o tych wydarzeniach nie umarła, więc będzie trwała nawet wówczas, gdy przyczyn już nikt nie będzie pojmował. I pewnego dnia zrodzi się z niej nowa zemsta. Czy taka nie oplatała każdą drogę prowadzącą do przyszłości? Czy pojawi się kiedyś biały prorok, który zdoła ją zerwać?

Chociaż Basałyk był ciężko poparzony, a inni także odnieśli mniejsze lub większe obrażenia, nie śmieliśmy opuścić względnie bezpiecznego miejsca, podczas gdy smoki szły ulicami i wlatywały nad miastem. Zdrzemnąłam się, gdy sen wziął górę nad strachem i niewygodami.

O zmierzchu powitał mnie nieznany dotąd widok. Na żadnym domu w mieście nie ostał się dach. Przystań była najeżona masztami zatopionych łodzi. Tylko nasza keja pozostała nienaruszona. Panował bezruch, martwota. Na ulicach – żywego ducha. Obudziłam się, bo Skierka potrząsnęła mnie za ramię. Usiadłam, ujrzałam dwa smoki. Te najmniejsze, zbliżające się pomostem.

– Czego chcą? – spytał jeden ze strażników drżącym głosem.

Ukochany podszedł do niego i zepchnął w dół jego rękę z gotowym do użycia ostrzem.

– Przyszli po swojego. Po tego, którego uważają za krewniaka. Odsuń się, bo przejdą tak czy inaczej.

Kapitan Zuchwalec stał nad skulonym synem. Basałyk nie mógł się podnieść. Większość żeglarzy wycofała się aż na kraniec pomostu, lecz Skierka Niestrudzony i ja zostaliśmy na miejscach. Deski skrzypiały ostrzegawczo pod ciężarem gadów. Oba zatrzymały się nieopodal, poruszając łbami na długich szyjach i z sapaniem obwąchując Ukochanego. Oczy im wirowały, aż od patrzenia kręciło się w głowie. Lazurowy otworzył paszczę, by głębiej wciągnąć powietrze.

– Powiedz mi, panienko, co mówią – poprosił szeptem Niestrudzony.

– Jak dotąd nic nie powiedziały.

Wziął mnie za rękę. Nie wiedziałam, czy pragnie dodać mi odwagi, czy zaczerpnąć jej ode mnie. Nie miało to żadnego znaczenia, ale tak czy siak, byłam z tego zadowolona. Nawet małe smoki są dużymi stworzeniami, a znajdowały się bardzo blisko. Uśmiechnęłam się jednak, gdyż były tak piękne, że mimo strachu i smutku obudziła się we mnie błogość.

– Przyszliśmy po niego – stwierdził lazurowy, a ja cicho powtórzyłam smocze słowa Niestrudzonemu.

Ukochany odwrócił się do żeglarzy.

– Smoki, które niegdyś były żywostatkiem zwanym „Niezrównany”, stawiały się po ciało Kennitasyna.

Na twarzach załogi dostrzegłam niepewność.

– Co takiego? – spytała kobieta w tatużach, która wiosłowała na naszej szalupie.

Ukochany opuścił wzrok na ciało, a następnie powiódł spojrzeniem po marynarzach.

– Zjedzą go. Żeby zatrzymać jego wspomnienia między swoimi. – Jego słowa wzbudziły zgrozę. – W pojęciu smoków to wielki zaszczyt.

– Czy to właściwy koniec dla księcia z Wysp Pirackich?

Dwóch mężczyzn wystąpiło do przodu i stanęło po bokach kobiety. Jednemu łyż płynęły strumieniem, lecz nóż w dłoni trzymał mocno i pewnie.

Zanosilo się na kłopoty.

– Gdy Kennit zmarł na pokładzie statku, „Niezrównany” przyjął jego wspomnienia – odezwał się Ukochany. – Kennitasyn pójdzie w ślady ojca i dziada. Tak jak oni zostanie wchłonięty przez żywostatka, tyle że teraz jest on w postaci smoków. To dobry koniec dla każdego pirata.

Tylko Ukochany, tylko on jeden wydawał się przekonany, że smoki pożrą ciało człowieka, który był towarzyszem obecnych tu żeglarzy, lecz gdy gestem nakazał ludziom odsunąć się, wszyscy posłuchali, ustąpili z drogi smokom. Pomost zadygotał i zakołysał się na filarach, gdy wielkie gady postąpiły w przód i zatrzymały się przy ciele. Sądziłam, iż będę świadkiem jakiejś ceremonii, jakiegoś uroczystego

przyłączenia. Nic podobnego nie nastąpiło.

Każdy ze smoków chciał być pierwszy, więc oba łby wystrzeliły w stronę trupa. Zakryliśmy go tylko kawałkiem nadpalonego żagla, nic innego nie mieliśmy, toteż zobaczyliśmy dokładnie, jak lazurowy smok złapał Kennitasyna na wysokości barków i pociągnął zwłoki w górę, gdy równocześnie turkusowy pochwycił dolną część ciała. Nie zdążyliśmy złapać tchu, a lazurowy już połknął górną połowę z większą częścią jelit.

Fragmenty wnętrzości zjedzonego spadły na deski. Jeden z żeglarzy obrócił się na pięcie i zwymiotował gwałtownie. Mrówka zasłoniła oczy. Basałyk przywarł do ojca jak dziecko, a kapitan pobladł niczym ściana. Skierka wzięła mnie za drugą rękę, zachwiała się, ledwo stała na nogach.

– I po wszystkim – oznajmił Ukochany, jakby za sprawą jego słów scena mogła zmienić charakter. Jakby krwawe szczątki na deskach pomostu miały od tego zniknąć.

– Jego wspomnienia pozostaną we mnie – oznajmił lazurowy smok.

– I we mnie – zawtórowała mu smoczyca.

– Teraz będę spał – stwierdził lazurowy. Odwrócił się, ostrożnie i powoli, lecz mimo to zamiótł ogonem niebezpiecznie blisko. Zrobił krok, po czym się zatrzymał. Opuścił łeb, obwąchał pierś Zuchwalca. Obrócił łeb w bok, przyjrzał się Basałykowi. – Spalili nas! – zagrzmiał, jakby przypomniawszy sobie zdarzenia sprzed wieków. Wydał z siebie niski dźwięk przypominający bulgotanie gorącej wody w ogromnym kotle. – Zapłacili. – Nie spuszczał wzroku z młodego człowieka. – Basałyk. Obdarzam cię zaszczytem mojego imienia. Brzmi ono Karrig. – Uniósł łeb. – I biorę część twojego miana. Karrigvestrit. Nie zapomnę cię.

Mały smok ruszył dumnym krokiem ku brzegowi.

Turkusowa smoczyca przyjrzała się nam w milczeniu, a potem nabrała głęboko powietrza, stanęła na tylnych łapach i rozwarła szczęki, a ja w szkarłatnych i pomarańczowych pasach jej podniebienia zobaczyłam śmierć. Wszyscy cofnęli się odruchowo, jeden z marynarzy spadł do wody. Królowa syknęła, lecz nie plunęła jadem. Zamknęła pysk i raz jeszcze popatrzyła na nas z góry.

– Zawsze byłam smokiem – oznajmiła ze wzgardą.

Obróciła się z impetem, pomost jęknął pod jej ciężarem. Obawiałam się, że deski nie wytrzymają i wszyscy wpadniemy do morza, gdy odbiła się od drewna i pofrunęła w górę. Skuliliśmy się jak zające, gdy omiótł nas prąd powietrza, wzbudzony ruchem jej skrzydeł. W następnej chwili lazurowy smok także wzbился w powietrze. Mrówka płakała ze strachu. Przycupnęła obok Zuchwalca, a on uspokajająco objął ją za ramiona. Niestrudzony powiódł wzrokiem po niebie.

- Nie widzę pozostałych smoków.
- Na pewno śpią... nasycone – wyjaśnił Ukochany z ociąganiem.

Nie chciał nam przypominać, czym się nasyciły, ale nikogo nie zwiódł i po jego słowach zapadła niezręczna cisza.

Odprowadził wzrokiem smoki znikające na tle ciemniejącego nieba. Nie potrafiłam odczytać wyrazu jego twarzy. Westchnął z głębi serca.

– Jestem strasznie zmęczony... – Westchnął. Zrozumiałam, że mówi do kogoś, kogo przy nas nie ma. – Smoki odleciały, w mieście spokój – powiedział, zwracając się do wszystkich skupionych na pomoście. – Trzeba znaleźć coś do jedzenia i jakieś schronienie na noc.

Kapitan Zuchwalec, Mrówka oraz marynarz imieniem Pierwszak zostali z Basałykiem, gdy pozostali i ja ruszyliśmy zwartą grupą do miasta. Przodem szła kobieta w tatuażach z kompanami, gotowa odeprzeć każdy atak. Świstak trzymał się przy nas, nóż trzymał w gotowości, czujnie rozglądał się na boki. Chwilami odnosiłam wrażenie, że nie miałyby nic przeciwko jakiejś napaści. Wkrótce przekonaliśmy się, że nie wszyscy mieszkańcy uciekli. Ci, co zostali, zerkali na nas zza na wpół zawalonych murów, gdzie szukali niepewnego schronienia. Inni nieśli pomoc, gdzie tylko mogli. Jeszcze inni rabowali. Nawet ci ostatni byli źle uzbrojeni, więc na nasz widok znikali. Raz ktoś rzucił w nas cegłą. Pocisk ześlizgnął się Skierce po barku, lecz napastnika nie zobaczyliśmy. Oczywiście wzięliśmy sobie to zdarzenie do serca i od tego momentu zachowywaliśmy większą ostrożność.

W szopie z żaglami przygotowanymi do naprawy wyszperaliśmy sporą płachtę w całkiem dobrym stanie i Ukochany posłał ludzi po Basałyka. Rozbiliśmy się obozem pod murem domu jakiegoś żaglomistrza. Noc była ciepła. Niestrudzony zrobił mi siedzisko z płótna. Któryś z mężczyzn przyniósł w wiadrze od Prilkopa wodę.

Ukochany nie chciał, żebym poszła z tymi, którzy mieli znaleźć coś do jedzenia, ale go nie posłuchałam, byłam zbyt głodna. Poszukiwania nie trwały długo. Miasto było bogate, a jego mieszkańcy, uciekając w pośpiechu, niewiele zabrali. Drzewa owocowe w przydomowych ogródkach nie należały do rzadkości. Wszyscy mieliśmy za sobą długie dni na morzu, więc mało nas obchodziło, czy owoce były nie całkiem dojrzałe, czy może odrobinę nadgniłe. Napełniliśmy nimi podwinięte koszule. Niestrudzony znalazł w zburzonej piekarni chleb, bułki, a nawet ciasteczka. Mnie trafiła się faska masła.

- Podobno tłuszcz pomaga na oparzenia – powiedziałam Niestrudzonemu.

Nie wyglądał na przekonanego, jednak zabraliśmy trochę.

- Basałyk zawsze był dla mnie dobry – stwierdził. – I kapitan Zuchwalec też.

I Kennitasyn. I kapitan Althea – dodał ze ściśniętym gardłem. – I Linka.

Idąc dalej, myślałam o jego słowach. Zyskał na statku przyjaciół. Czy przez to oddalił się ode mnie? Szłam, jadłam i myślałam. Dla kogo właściwie byłam ważna? Pokrzywa i Rebus zostali na drugim końcu świata, a w dodatku mieli dziecko. Wilk-ojciec zniknął. Znalazłam się we wszechogarniającej pustce.

Wróciwszy na miejsce noclegu zobaczyliśmy, że Kapitan Zuchwalec porozcinał synowi ubranie i okładał go zimnymi kompresami. Poparzenia okazały się znacznie rozleglejsze, niż sądziłam. Miejscami koszula wżarła się w ciało, tworząc nasycone barwą flagi na spieczonym torsie.

– Damy radę obudzić go, żeby zjadł trochę chleba? – spytał Niestrudzony.

Kapitan pokręcił głową. Twarz miał pooraną zmarszczkami, w jego kręconych włosach połyskiwały srebrne nitki. Podniósł na mnie wzrok.

– To jest owo dziecko, które przybyliśmy ratować... Niemało straciliśmy, wielu ludzi poświęciliśmy, by je zabrać do domu... – rzekł z goryczą.

Bez wątpienia uważał, że zgadzając się na tę transakcję, popełnił błąd. Czy mogłam go za to winić? Zapłacił za moje uwolnienie utratą statku i życiem żony. Być może także syna.

Przyklęklam obok leżącego. W rękach trzymałam masło. Za mną stanął Świstak, a po chwili dołączyła do niego kobieta w tatuażach, którą wszyscy nazywali nawigatorką.

– To na rany – powiedziałam kapitanowi.

W jego ciemnych oczach nie dojrzałam nadziei, lecz nie zaprotestował. Włożyłam palce w miękką żółtawą masę i z największą delikatnością, powoli, rozsmarowałam ją na twarzy młodego mężczyzny. Wszechobecne pęcherze drażniły mi opuszki palców. Jeden z większych pękł, wyciekł z niego przejrzysty płyn i zmieszał się z masłem. Źle, wszystko źle. A jak powinno być? Dotknęłam niewielkiego fragmentu zdrowej skóry. Właśnie tak. Tak powinno być. Przeciągnęłam palcami po zdrowej skórze. Chętnie bym ją naciągnęła na poparzone ciało jak chłodne okrycie.

Kapitan raptownie pochylił się nad synem.

– Tak działa masło? – spytał niebotycznie zdumiony.

– Nie – odparł Niestrudzony zdławionym głosem. – Tak działa ród Przezornych. Pani Amber! Tutaj! Prędko!

Nie miałam czasu zajmować się nimi. Zafascynowało mnie coś innego. Przypominało to malowanie cienkim pędzelkiem albo dobrze przyciętym piórem, nakładanie koloru dokładnie tam, gdzie powinien się znajdować. Za pomocą palców mogłam rysować zdrowe ciało na poparzonych fragmentach. Chociaż nie, niezupełnie tak. Dobrze się stało, że zaczęłam od zdrowej skóry, bo czystą tkanę,

okazało się, można było rozsnuwać jak zieleń na spalonej ziemi. Odepchnęłam na bok przeszkodę w postaci martwej miazgi.

– Przestań! Basałyk musi jeść i odpoczywać! Może później coś dla niego zrobisz. Słyszysz mnie? – Głos Ukochanego. – Niestrudzony, weź ją pod pachy i odciągnij! Ja nie odważę się jej dotknąć.

Nagle zorientowałam się, że siedzę przy ogniu. Zamrugałam. Nade mną stał Niestrudzony. Minę miał nieodgadnioną.

– Jestem bardzo głodna – powiedziałam. – I zmęczona.

Jeden kącik ust powędrował mu w górę.

– Na pewno, panienko, na pewno. Mamy chleb i masło. I trochę ryby.

Nos podpowiedział mi także, iż pieczemy kurczaki. Czyli poszukiwania żywności przyniosły całkiem dobry skutek. Znalaziono też jakąś beczułkę, a gdy ktoś wybił otwór w jej wieku, zapachniało piwem.

Wstałam chwiejnie, zerknęłam na Basałyka. Ojciec młodego człowieka uśmiechnął się do mnie, lecz oczy miał mokre od łez. I najwyraźniej nie pozostały mu żadne wątpliwości co do moich intencji. Ukochany badał rannego. Nie wyleczyłam poparzonego całkiem, lecz teraz już mógł zamknąć powieki, a usta miały całkiem zdrową skórę.

– Jest na tyle przytomny, że powinien zjeść. Leczenie przez osobę z rodu Przezornych jest bardzo wyczerpujące dla pacjenta. – Ukochany zerknął na mnie z troską. – Podobnie jak dla leczącego.

– No proszę! Widzę, że odzyskaliście porwane dziecko! – odezwał się ktoś obcy. – I na dodatek, jeśli mnie słuch nie myli, to rzeczywiście córka swego ojca.

Drgnęłam zaskoczona, że ktoś podszedł nas niezauważony. Jeszcze nigdy nie widziałam kogoś takiego dziwnego. Mężczyzna budził skojarzenia z postaciami z baśni. Był wysoki, smukły, szkarłatny i ubrany w błyszczący strój. Gapiłam się na niego jak sroka w gnat.

– Generał Rapskał – odezwał się Ukochany półgłosem.

Niestrudzony wsunął mi w rękę solidną piętękę chleba umaczaną w maśle. Odgryzłam tak wielki kęs, że oba policzki umazałam sobie tłuszczem. Nieważne. Ze wzrokiem wlepionym w czerwonego jaszczurzego człowieka żułam z zapamiętaniem. Jego ubranie zostało wyposażone w mnóstwo skórzanych pasków z klamerkami, do których przypinano różne przedmioty, ale rozpoznałam tylko sakwę na wodę. Kojarzył mi się z jarmarcznym lalkarzem. Nie rozumiałam, dlaczego i Ukochany, i Niestrudzony odnosili się do niego z wyraźną rezerwą. Objął wzrokiem nas wszystkich, po czym zapytał:

– A gdzie księżę Bastard Rycerski? I gdzie Kennitasyn? Obiecałem, że poleci

z nami siać zemstę. Jutro przeczeszemy wzgórze, znajdziemy uciekinierów. Będzie mu się podobało polowanie.

– Obaj zginęli – odparł Ukochany.

– Och! Mam nadzieję, że nie przez smoki! Jeżeli jednak, przyjmijcie moje przeprosiny. Rozgniewane są wyjątkowo skupione na swoim najważniejszym celu.

Ukochany wydawał się oszołomiony zdawkowymi przeprosinami.

– Stracili życie przed przybyciem smoków – rzekł ze ściśniętym gardłem.

– A, to doskonale. Nie chciałbym, żeby umarli przez smoki. Oczywiście przykro mi to słyszeć. Zwłaszcza że księżę z Wysp Pirackich był szczerze zachwycony Hiibi, a ona lubiła jego komplementy. Nie tak dawno natknąłem się na kilku waszych. Powiedzieli mi, że straciliście więcej ludzi. Między nimi młodego Strzyka. Przykre. Wydawał się ujmujący.

– Taki był – powiedział Niestrudzony cicho.

Dopiero wtedy szkarłatny mężczyzna uświadomił sobie, że zachował się bezdusznie.

– Cóż. Znajdę sobie coś do jedzenia. Hiibi śpi, więc mam trochę czasu dla siebie. Niedługo przypłynie „Werwa”. Minęliśmy ją w drodze. Bez wątpienia i ona sama, i jej załoga będą zawiedzeni, że ominęła ich bitwa.

Odwrócił się i już miał odejść, równie nagle jak się pojawił, gdy zabrzmiał głos nawigatorki:

– Ej, panie rumiany! Zjedz pan z nami. I wypij za Kennitasyna, księcia z Wysp Pirackich.

Stanął jak wmurowany.

– Mnie zapraszacie?

– Dzisiaj wspominamy zmarłych – oświadczył Świstak.

Czerwony rozpromienił się w uśmiechu.

– Przyprawdę Hiibi. Zrozumie, że to zaszczyt. Teraz śpi, z brzuchem pełnym mięsa, ale gdy się obudzi, wrócimy.

Odszedł pośpiesznie. Wszyscy odprowadzali go baranim wzrokiem. Tylko ja napychałam usta chlebem. Kilka chwil później zjawiła się Skierka z koszem cebuli oraz marchwi.

– Zebrałam u kogoś w ogrodzie – powiedziała jakby zawstydzona. – Z domu niewiele zostało, pewnie właściciele nie wrócą. Co z Basałykiem?

– Czuje się znacznie lepiej – odpowiedział Niestrudzony. – Panienska Pszczoła umie leczyć jak jej ojciec. I „Werwa” niedługo tu przypłynie. Może zabierze nas do domu?

– Czyli same dobre wieści. – Dziewczyna uśmiechnęła się, lecz w jej głosie

pobrzmiewał skrywany smutek. – Nie mogę się doczekać, kiedy opuszczę to miejsce.

– Nie ty jedna – zapewnił ją Ukochany.

Dziwna była ta noc. Ktoś podsunął kapitanowi piwo w misce. Pił wolno, nie wypił dużo i ani na moment nie odszedł od Basałyka. Generał Rapskał wrócił, przyprowadził ze sobą szkarłatnego smoka imieniem Hiibi. Ze zdziwieniem stwierdziłam, że Hiibi jest nieśmiała, trzyma się na uboczu i w ogóle nie odzywa. Ktoś z załogi wstawił się i dużo śpiewał, o napadaniu, rabowaniu i żeglowaniu. Nawigatorka też miała w czubie, pokazywała każdemu, kto chciał patrzeć, że jej tatuaże to mapy portów i szlaków wodnych. Po jakimś czasie oddaliła się od nas w towarzystwie Rapskała, któremu chciała pokazać wyjątkowy tatuaż na brzuchu. Niestrudzony rozłożył mi posłanie z dala od ognia, śmiechów i gwaru. A gdy przy mnie usiadł, czuć go było piwem. Później Skierka położyła się obok. Płakała cicho w ciemnościach.

Ukochany znalazł sobie własne, odosobnione miejsce. Przyglądałam mu się, dopóki nie zasnęłam. Z ostatnią przytomną myślą uświadomiłam sobie, że oboje jesteśmy równie samotni.



Obudziły mnie ptasie trele. Przez gałęzie drzewa nad głową dostrzegłam strzępki błękitnego nieba.

Dwalia!

Aż mną targnęło ze strachu.

– Dzień dobry, panienko. – Głos Niestrudzonego. – Długo panienka spała.

Usiadłam powoli. Nie miał na sobie koszuli. Och, to dlatego, że mnie nią przykrył. Oddałam mu ją bez słowa.

– „Werwa” z samego rana wpłynęła do przystani. Właściwie to do zatoki. W przystani dla niej za płytko. Wysłali szalupę na poszukiwania, a generał Rapskał poleciał do nich i pokazał, gdzie jesteście. Basałyka już zabrali. Kolej na nas.

Rozejrzałam się niezbyt przytomnie, zamrugalam.

– Jest coś do jedzenia? – zapytałam niemądrze.

– Jest, proszę.

Chleb zdążył sczerstwieć, ale znalazła się też brzoskwinia. W czasie, gdy ja jadłam, Niestrudzony ogrzał chleb nadziany na patyk nad stygnącym żarem i zamoczył go w maśle. Smaczne. Obmyłam twarz i dłonie.

– Obudził mnie śpiew ptaków – powiedziałam. – Czy miałeś granatowego kruka? Z kilkoma czerwonymi piórami?

Wydawało mi się, że o nim śniłam.

– Chyba poleciała ze smokami. To one dały jej kolory. Piękne, prawda? Jest zachwycona.

Za to on posmutniał. Zmieniłam temat.

– Kto to taki Werwa i po co tu przypląnęła?

– „Werwa” to żywostatek, taki jak „Niezrównany”. Płynęła za smokami i generałem Rapskalem. Najpierw zawinęła na Wyspę Innego Ludu. Tam doszło do bitwy, chodziło o wybicie Innych, bo oni podbierali smocze jaja i łapali ledwo wyklute młode węże. Potem „Werwa” uznała, że muszą przypląnąć tutaj, pomóc Tintaglii wyrzucić zemstę...

– Już rozumiem – powiedziałam, ale tylko po to, by zatrzymać potok jego słów.

Mąciło mi się w głowie, za dużo było tych nowych wiadomości. Powoli wstałam, rozejrzałam się dookoła. Skierka snuła się apatycznie po naszym obozowisku, jakby szukała sobie zajęcia. Oczy miała zaczerwienione, kąciki ust opuszczone. Pozostali zniknęli.

– Czy Ukochany też jest na statku?

– Nie. Poszedł na wzgórze, szukać wejścia do tunelu. Był tam już wcześniej, nocą, ale nie znalazł, więc wstał o świcie i znów próbuje.

– A mnie nie obudził? – Zatrzęsłam się z oburzenia.

– Mnie też nie. Ani Skierki. Poprosił Mrówkę, żeby nam powiedziała, co postanowił, i zniknął. – Dołożył chleba na patyk. – Chyba musiał iść sam.

– Moje potrzeby się nie liczą? – Oburzenie zmieniło się w gniew i pulsowało mi w żyłach niczym czary Przezornych. Jak magia tamtej nocy, gdy węzowe odchody dostały mi się w skaleczenia.

– Panienko? – Niestrudzony odsunął się o krok.

Zobaczyłam Ukochanego na skraju obozu. Szedł wolno, ze zwieszoną głową.

– Widziałeś go?! – zawołałam. – Dlaczego mnie ze sobą nie zabrałeś? – Nie udało mi się wyrzucić złości z głosu.

– Nie widziałem go – ochryple przyznał się do porażki. – Znalazłem wejście do tunelu, ale jest tak, jak się obawiałem: w czasie przypląwu woda zalewa go całkowicie.

Skrzywiłam się. Nie chciałam myśleć o ciele ojca unoszącym się w zimnej, słonej wodzie. O skubiących go rybach.

– Mówiłam ci, że nie żyje. Czuję to.

Nawet na mnie nie spojrzął.

– Skierko, Niestrudzony – odezwał się z wysiłkiem. – Jeśli chcecie coś zabrać ze sobą, czas się zbierać. Obiecałem Prawemu, że nie będziemy zwlekać. Pewnie szalupa już na nas czeka.

Niestrudzony zsywał owoce na kawałek płótna, chwycił tkaninę za rogi, podniósł.

– Gotowy – oznajmił.

– Ja nic nie biorę – powiedziała Skierka.

Ukochany popatrzył na mnie. Wzruszyłam ramionami.

– Nic. Nie biorę nic. Zostawiam wszystko.

– Wiem, że on nie żyje – przyznał zdruzgotany. – Tylko ty mi po nim zostałeś.

Oczy miał czerwone, wokół ust rysowały się głębokie bruzdy.

– Wobec tego nie zostało ci nic – odparłam z całkowitym spokojem.

Rozdział 40

Ciepła woda

Jeśli walczysz ze śmiercią do ostatniego tchu, nawet gdy umierasz nieznany, jesteś bohaterem. Jeżeli natomiast biadolisz i płaczesz, imię twoje stanie się symbolem tchórzostwa.

Powiedzenie z Krainy Miedzi

„Nudne to całe umieranie” – zauważył Ślepun.

Wciągnąłem więcej powietrza.

„Chyba mamy do sprawy różne podejście” – stwierdziłem. Mój głos brzmiał obco.

Woda podchodziła coraz wyżej, a ja tkwiłem na kamiennych stopniach, przywalony gruzem, z głową niżej niż nogi. Czy utonę? W tej chwili nie przychodziła mi na myśl żadna gorsza śmierć. Oczyma wyobraźni widziałem czarne lustro wody, choć nawet nie zmoczyła mi włosów. Gdyby podeszła tak wysoko, zapewne bym się napił. Morska, nie morska – strasznie mi się chciało pić.

Tymczasem woda zaczynała opadać. Przyływ nie dotarł do miejsca, gdzie tkwiłem uwięziony. Tym razem. Nie wiedziałem, czy przy następnej okazji nie sięgnie wyżej. Powitałbym taki rozwój zdarzeń niemal z ulgą, tak mi się zdawało. Nie oczekiwałem następnego przebudzenia we własnym ciele, dalszych dolegliwości. Przeszkadzało mi, że ból zranionej nogi nie zagłusza głodu i pragnienia. Objąłem się ciasno ramionami. Było mi zimno. I nie był to chłód zwiastujący śmierć, lecz dokuczliwy, przykry, usztywniający członki.

„Ty rządysz tą śmiercią, braciszku. Gdy odejdziesz, pójdę z tobą”.

„Powinieneś być zostać z Pszczołą”.

„Na jedno by wyszło. Gdy ty umrzesz, ja też zginę”.

Czerń absolutna. Albo straciłem wzrok albo nie docierał tu najmniejszy ślad światła. Obie możliwości były jednakowo prawdopodobne, chciałem jednak mieć nadzieję, że oddałem Błaznowi swoją siłę i wzrok. Oraz że wystarczyło jednego i drugiego, by wydostali się z tunelu, wrócili na „Niezrówanego”, podnieśli kotwicę, postawili żagle i odpłynęli, wcale o mnie nie myśląc.

Kolejny raz spróbowałem się ruszyć. Krawędzie stopni wbijały mi się w pośladki,

plecy i barki. Zimne i twarde. Rana od miecza wciąż bolała, a kark swędział nieludzko. Podrapałem się któryś raz. Tylko tyle mogłem zrobić.

„Masz plan, by leżeć tu, aż umrzemy?”

„To nie plan. To nieunikniony los”.

„Myślałem, że więcej w tobie z wilka”.

To mnie ukłuło. Ściągnąłem brwi i rzuciłem wyzywająco w ciemność:

– Podsuń mi wobec tego lepszy plan.

„Zdecyduj się. Czy śmierć jest twoim przyjacielem? Jeśli tak, zaproś ją na polowanie, jak ja to zrobiłem. A jeśli jest ci wrogiem, to z nią walczy. A ty gnuśniejesz tu nie wiadomo po co, jak krowa, która potulnie czeka na drapieżnika, co to ma za nią skończyć sprawę. Nie jesteś ofiarą! Jeżeli mamy umrzeć, rozstańmy się z życiem jak wilki!”.

„To co mam zrobić? Odgryźć sobie nogi?”.

Krótką ciszą. A potem:

„Mógłbyś?”.

„Nic z tego. Nie dam rady się zgiąć odpowiednio, moje zęby się do tego nie nadają i pewnie prędzej bym się wykrwawił, niż uciekłem”.

„Po co więc o tym mówisz?”.

„To była ironia”.

„Ach. Pszczoła nie była ironiczna, ani trochę. Bardzo mi to odpowiadało”.

„Opowiedz mi, co robiliście razem”.

Dłuższa pauza w myślach i wreszcie:

„Nie. Wydostań się stąd i żyj, wtedy może sama ci opowie. Nie będę ci opowiadał, jaka była dzielna, kiedy ty leżysz i kwiczysz jak zarzynana świnia”.

Była dzielna.

„Ciężko jej było?”.

„Dosyć ciężko”.

Podobnie jak przygana bolała mnie tylko jego wzgarda. Znow spróbowałem unieść nogi. Bezskutecznie. Belka przywaliła mi je tuż nad kolanami. Nie miałem jak jej podważyć. Usiłowałem sobie przypomnieć, czy został mi w plecaku długi nóż. Co do jednego wilk się nie mylił: nie chciałem dłużej znosić niewiadomego. Czy posunę się do tego, by odciąć sobie nogi? Dziwaczny pomysł. Pozbawić się nóg, żeby uciec. Poza tym nożem nie odkroję kości. A co z siekierką?

Zacząłem po omacku szukać torby. Zanim wybuch zrzucił mnie ze schodów, miałem ją przewieszoną przez ramię. Teraz niestety zniknęła. Namacałem tylko gruz i skałę. A gdy wyciągnąłem ramiona na całą długość za głowę, dotknąłem kałuży. Opłukałem w niej palce, mokrą dłonią wytarłem z twarzy pył. Dobrze było obmyć

ją ciepłą wodą. Sięgnąłem ponownie, zanurzyłem w niej zimne palce.

Ciepła woda...

Ciepła woda?

Zastygłem.

Znałem tylko dwa źródła ciepła: żywe istoty i ogień. Rozumienie upewniło mnie, że w pobliżu nie ma żadnej żywej istoty. Ogień w wodzie nie wchodził w rachubę. Wtedy przypomniałem sobie, że ludzi dotkniętych kuźnicą nie wyczuwałem Rozumieniem, choć byli żywi i wydzielali ciepło. Skóra mi ścierpła. Z drugiej strony nie spotkałem nikogo takiego od dziesiątków lat, ostatnio wówczas, gdy zaistnieli, za sprawą napastników na szkarłatnych okrętach, w czasie wojny z Zawyspiarzami.

„Kiedyś znaleźliśmy gorące źródło”.

„Cuchnęło. A teraz nic nie czuję”.

„Ja też nie”.

Wyteżyłem wzrok, byle coś zobaczyć, cokolwiek, jednak wciąż nie widziałem nic. Uzbroiłem się w najsilniejszą wolę i ponownie zbadałem otoczenie. Tak, woda była stanowczo cieplejsza. Wyciągnąłem ręce za głowę jak najdalej, rana w nodze znów się rozeszła. Ale woda, tak, była zdecydowanie cieplejsza. Czubkami palców musnąłem przedmiot, który natychmiast rozpoznałem. Torba.

Jeszcze trochę. Wyprężyłem się, rozciągnąłem do granic możliwości, przesunąłem opuszkami palców po szorstkiej tkaninie, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Nic z tego. Co gorsza, pakunek bujnął się na stopniu i z przytłumionym stuknięciem spadł o stopień niżej. Całkowicie poza mój zasięg.

Równocześnie głuche łupnięcie ciężkiego przedmiotu uświadomiło mi, co miałem w plecaku. Otóż jeden z gliniaków Ciernia. Oraz cylinder ze smoczym srebrem.

A także ognistą cegłę Najstarszych.

I któraż to strona cegły znajdowała się teraz u góry? Czy gliniak mógł wybuchnąć pod wodą? Na pewno nie dało się go tam podpalić. Czy do wybuchu wystarczy odpowiednio wysoka temperatura?

A co się stanie z podgrzanym smoczym srebrem?

Zapewne nic.

Minął jakiś czas. Długi albo krótki. W ciemnościach bardziej rzetelną miarą istnienia były odczucia: ból, głód, pragnienie. Od czasu do czasu próbowałem choć odrobinę zmienić pozycję, by krawędzie stopni wbijały mi się w nieco inne fragmenty ciała. Raz czy drugi podrapałem się w kark. Zaplotłem ręce na piersi. Potem rozprostowałem ramiona. Myślałem o Pszczole. I o Błaźnie. Czy udało im się uciec? Czy dotarli bezpiecznie do statku? Może już byli na morzu, w drodze do domu? Zateęskniłem za nimi, lecz natychmiast siebie za to zgromiłem. Przecież nie

życzyłem sobie, żeby tu ze mną tkwili w nieprzeniknionej ciemności. Chociaż bardzo chciałbym wyśmiać proroczy sen przyjaciela, jego przepowiednia najwyraźniej się sprawdzała. Odżyła mi w pamięci jedna z ilustracji w brulionie Pszczoły. Błękitny jeleń stojący na jednej szali wagi, pszczołka na drugiej. A pod rysunkiem starannie wykaligrafowane słowa kobiety o czerwonych zębach: „To uczciwa cena”.

Zaiste.

Potem błądziłem myślami. Życzyłem dziecku Pokrzywy, by rosło zdrowo i pięknie. Z Rebusa będzie dobry ojciec. Następnie ugruntowałem w sobie nadzieję, że Strzyk, Skierka oraz Niestrudzony zrozumieją moją decyzję. We wspomnieniach wróciła do mnie Sikorka, wtedy pograżyłem się w żalu, że nie umrę w łóżku, obok niej, z jej dłonią w ręku.

Moc pozbawiała mnie resztek sił, lecząc skaleczenia, rany i złamania, a równocześnie uzupełniając braki energii, którą pchnąłem w Błazna. Tymczasem ciału nie pozostało już nic, czym mogłoby wypełnić luki. Czułem się jak niktący płomyk na resztkach knotu. Zrobiłem się senny, nie mogłem jednak zasnąć, bo było mi okropnie niewygodnie. Trudno. Wiedziałem, że sen w końcu mną zawładnie, czy będę chciał, czy nie. Możliwe, że już spałem, w kompletnej ciemności trudno było zyskać jakąkolwiek pewność. A może już byłem martwy?

„Wolałem nudę od tego skamlenia. A woda po lewej jest wyraźnie cieplejsza. Powinieneś czuć jej zapach, nawet tym swoim żalonym kulfonem”.

Wyciągnąłem rękę za głowę i w lewo. Musnąłem dłonią lustro wody. Rzeczywiście, była znacznie cieplejsza, niż normalnie byłaby woda stojąca w podziemnym tunelu. Sprawdziłem jeszcze raz. W zasadzie była nie tyle ciepła, ile wręcz gorąca. Ognista cegła miała wielką moc.

Zdążyłem zabrać rękę, gdy doszło do wybuchu. Natychmiast zorientowałem się, że nie oślepiłem, poraził mnie bowiem srebrny blask. Zbryzgała mnie gorąca ciecz. Parząca. Otarłem ją rękawem, lecz nie zdołałem usunąć: paliła mi skórę na rękach i połowie twarzy.

To nie była woda. Wsiąkła we mnie niczym płyn rozlany na suchym piasku, przeniknęła do mojego wnętrza. A ciało chłoneło ją chciwie, jakby od zarania dziejów marzyło o czarodziejskiej uczcie. Gęsta maź szybko pokryła mi pół twarzy, klatkę piersiową, lewy bark i obie ręce, po czym rozchodziła się dalej, na podobieństwo żywej istoty pragnącej spowić mnie całego. Krzyknąłem, jednak wcale nie z bólu. To była ekstaza, tak potężna, że nie mieściła się w mojej cielesnej powłoce. Cztery razy wydałem z siebie okrzyk w ślad za doznaniem, jakiego żaden człowiek nigdy nie miał doświadczyć. Potem ległem bezwładnie, dysząc i szlochając. Nasiąkałem magią, czułem, jak mnie zmienia. Opanowuje mnie i zniewala.

Znowu przetarłem oczy. W czasie krzyku srebro dostało mi się do ust i do nosa. Pałaca rozkosz stała się nowym rodzajem piekącego bólu. Zamrugałem kilkakrotnie, by uwolnić od niej powieki, lecz na to było już za późno: zobaczyłem w ciemności zupełnie nowy świat. Lśniące plamy srebra zbryzgały kamienny gruz. Równocześnie pojąłem wreszcie, co Błazen usiłował wytłumaczyć mi jeszcze w Koziej Twierdzy, gdy mówił o smoczym widzeniu. Teraz dostrzegałem ciepło – i to z rozchlapanego srebra, i to dobywające się z wody. Przyglądałem mu się, gdy blakło w miarę jak woda stygła.

Znów otoczyła mnie ciemność. A smocze srebro nadal mnie drażyło. Leżałem nieruchomo, daleko poza granicami błogości, niedostępny dla bólu. Oddzielony od czasu. Zamknąłem oczy. I poniechałem wszystkiego.

„Bastardzie. Zrób coś”.

Pojąłem, że wciąż oddycham. Ta myśl wyzwoliła we mnie świadomość istnienia ciała – i bólu.

„Co mam zrobić?” – wychrypiałem.

„Twój książę Szczery posrebrzonymi rękoma kształtował kamień. A Bezwonny drewno”.

„Och...”.

Czubkami palców przeciągnąłem po belce, która przywalała mi nogi. Pogładziłem ją. Nie wyczułem żadnej zmiany. Podrapałem drewno. Drzazgi weszły mi pod paznokcie. Nic przyjemnego. Wygładziłem ją samymi opuszkami palców.

Nie mam pojęcia, ile czasu potrzebowałem na opanowanie tej umiejętności. Nie potrzebowałem siły fizycznej, nie zamierzałem podważać ani odsuwać drewna, musiałem je przekonać. Ani go nie ścisnąłem w dłoniach, ani nie rozdarłem, lecz dobrze się z tą belką zapoznałem.

Najtrudniejszym wyzwaniem okazało się ciągle napinanie mięśni brzucha i podnoszenie górnej połowy ciała, by sięgać do belki. Zbyt często musiałem opadać na plecy i zbierać siły. Smocze srebro nie było pożywieniem ani nie gasiło pragnienia. Dawało mi potrzebną umiejętność, lecz nadal byłem bardzo głodny i spragniony. I nieprawdopodobnie zmęczony.

Gdy w końcu uwolniłem drugą nogę, z bólu spowodowanego powrotem do życia długo unieruchomionych mięśni szlochałem w głos, krzyczałem i wyłem. Zsunąłem się z kilku stopni w kałużę ciepłej wody i obracałem niezdarnie, aż w końcu głowę ułożyłem wyżej niż tułów. Wpełzłem na pokruszone głązy. Chyba straciłem przytomność. Gdy ją odzyskałem, woda stała nieco niżej. Nie mogłem dźwignąć się na nogi, nawet pozycja siedząca okazała się wyczerpująca. Postanowiłem się przespać.

„Nic z tego. Prześpisz się, jak znowu zobaczysz niebo. Wstawaj. Wstań i idź. Jeszcze nie czas na odpoczynek”.

Nie człowiecza silna wola, lecz wilczy upór kazały mi walczyć z krnąbrnym ciałem. Stopy – dalekie ogniska cierpienia. Nogi – posiniaczone. Skóra na nich – pomarszczona, ściągnięta. Czułem to wyraźnie pod palcami. I postrzępiony brzeg rany od miecza. Cieszyło mnie, że postrzegam dolne kończyny wyłącznie jako wydłużone kształty ciepła.

Z początku było bardzo trudno. Pełzłem, dźwigałem się na nogi, zataczałem i upadałem. I znów to samo. I jeszcze raz. I kolejny. Stopnie ciągnęły się w nieskończoność, a każdy chwiejny krok był udręką. W końcu dotarłem do płytkiej słonej wody. Brnąłem w całkowitych ciemnościach. Gdy namacałem fragment względnie całej ściany, wyraźnie ocalałej z wybuchu gliniaka, posuwałem się dalej, wodząc dłońmi po murze. Kaleczyłem się o skorupiaki gęsto rozsiane na kamieniach. Mniej więcej wtedy uświadomiłem sobie, dość bezmyślnie, że jestem boso. Gdzie i kiedy straciłem buty? Ubranie miałem w strzępach, to jasne, ale co z butami? Dobrze, trudno, mniejsza. Ból nie jest wieczny. Za to stopnie prowadzące w dół nie miały końca. Całe szczęście, że woda się cofała, bo gdybym musiał z nią walczyć, nie wiem, czy bym ją pokonał. W końcu dotarłem do podnóża schodów. Rozchlapując wodę po kolana, zdałem sobie sprawę z całkiem nowej dolegliwości.

Owo uczucie, gdy Moc nakłania ciało do zdrowienia, znałem doskonale. Tu jednak doszło do czegoś więcej. Gdy dotknąłem miejsca cięcia mieczem, gdy posrebrzone smoczym srebrem palce musnęły ranę oblaną płynną magią, miałem wrażenie, że dotknąłem łąty. Jakby ktoś skórzaną kurtę naprawiał płótnem. Wcale nie czułem, że to moje ciało, i nie miałem żadnego wpływu na proces zablizniania. Mogłem, owszem, jak najbardziej mogłem przekonać drewno i kamień, by mnie uwolniły, natomiast moja własna skóra kierowała się odrębną wolą.

Naprzód. Musiałem dogonić pozostałych. Błazen jest przekonany, że umarłem. I taką wieść przekaże pozostałym! Mojej Pszczółce...! Nie sposób go za to winić. Sam uznałem siebie za zmarłego.

„I byłbyś martwy, gdybym nie zatrzymał dla nas trochę życia. Dla mnie. Dla ciebie. A najbardziej dla szczeniaka. Przestań wreszcie głupio ryzykować. Musimy żyć”.

Ile czasu spędziłem w tunelu? Gdy uciekli moi towarzysze, zaczął się przypływ. Ocenilem, że nastąpił odpływ, kolejny przypływ, a teraz woda znowu się cofała. Innymi słowy, minął dzień. Co najmniej. A może dwa. Gdzie była teraz Pszczoła, gdzie moi towarzysze? Czy uciekli? Czy płynęli przez morze na „Niezrównanym”,

coraz dalej od tego ohydneho pałacu, miasta, wyspy? Wracali do domu, na łono rodziny?

Spróbowałem przesłać Mocą wiadomość do Pszczoły. Efekt uzyskałem taki sam jak zwykle, gdy ku niej sięgałem: niepowodzenie. W ogóle korzystanie z Mocy, kiedy większą część mojej świadomości zajmował ból w towarzystwie dziwnych odczuć wywoływanych przez smocze srebro, przypominało próby głośnego krzyku w czasie wyczerpującego biegu, gdy człowiek nie może złapać tchu. Dałem sobie spokój. Skupiłem się na tym, by stale iść naprzód. Dołączyć do nich.

Czy natrafili na strażników? Czy byli zmuszeni walczyć? Czy zdradzili ich Biali uwolnieni z lochów? A jeśli tak, to polegli, czy odnieśli zwycięstwo? Lub zostali wzięci do niewoli? Za każdym razem, gdy opanowywała mnie chęć, by się zatrzymać, odpocząć, przywoływałem te myśli, roztrząsałem te pytania, a one poganiały mnie jak biczem – zatem szedłem dalej.

Czerń poszarzała, a potem pojaśniała. Wytrwale dążyłem ku niewyraźnej plamie światła przeciętej kilkoma ciemniejszymi liniami... która okazała się częściowo otwartymi drzwiami zarośniętymi przez chaszczę. Tyle tam było różnego zielska, że ledwo zdołałem się przez nie przedrzeć. Ciernie jeżyn chwyciły mnie za postrzępione ubranie i darły skórę, lecz, nie bacząc na nie, rozrywałem kolczastą zasłonę, aż w końcu stanąłem na zielonym zboczu wzgórza pod błękitnym niebem. Pomiędzy krzewami o cienkich gałązkach wyrastała trawa sięgająca mi nad kolana. Osunąłem się na ziemię niepomny ledwo co zasklepionej rany. Zebrałem się na odwagę i postanowiłem ją obejrzeć.

Była powleczona smoczym srebrem, jak dziura w dachu zasmarowana smołą. Nacisnąłem skórę tuż obok i skrzywiłem się z bólu. Pod spodem, pod srebrną łąką moje ciało trudziło się nad wyleczeniem. Wzrok mi się nieco poprawił. Dłonie miałem srebrne. Zagapiłem się na nie bezrozumnie. Ręce chude jak szkielet, z wystającymi kośćmi, z nabrzmiętymi żyłami i mocno zarysowanymi ścięgnami, a wszystko lśniło jak zanurzone w srebrze. Leczenie przebiegało kosztem ostatnich zapasów. Ubranie wisiało na mnie jak na wieszaku.

Dźwignąłem się i ruszyłem przed siebie. Powłóczyłem nogami, a ziemia była nierówna i zatrzymywały mnie kępy trawy. W pewnym momencie nastąpiłem na spłaszczony oset i upadłem. Niełatwo było wydłubać z podeszwy stopy drobne blade kolce srebrnymi palcami. Czego nie widziałem, to wyczuwałem, magia obdarzyła moje ręce nieznaną dotąd wrażliwością. Przyjrzałem się dłoniom w świetle słońca. Błyszczały, były lśniące i jasne. Albo miałem na rękach znacznie więcej srebra niż król Szczery, albo było ono o wiele lepszej jakości. Połyskująca warstwa na rękach mojego władcy kojarzyła mi się z gęstym błotem, gdy tymczasem u mnie wyglądała

jak eleganckie srebrne rękawice, przylegające wiernie do każdej zmarszczki na skórze. Raz jeszcze sprawdziłem uważnie miejsca, gdzie trafił mnie rozbryzg srebra. Ubranie miałem w strzępach. Od wybuchu gliniaka czy przeżarte przez magię? Lśniaca warstwa powlekała mi część klatki piersiowej, plamami naznaczyła obie nogi. Wiedziałem, że pokryła mi także ponad pół twarzy. Jak wyglądałem? Jak wyglądały moje oczy? Wolałem o tym nie myśleć.

Tu i ówdzie w trawie dostrzegłem długie, smukłe łodyżki koniczyny. Były liście i fioletowe kwiaty. Sikorka używała kwiatów koniczyny do przyprawiania grzanego miodu oraz do naparów. Zebrałem garść, włożyłem do ust. Nikły ślad wilgoci i słodczy. Trochę pomogło, jednak tylko trochę.

Wyprostowałem się najbardziej, jak mogłem, choć niezbyt pewnie stałem na nogach. Gdzie wyszedłem? Na pewno na jednym z łagodnych wzgórz za miastem. Nieco w dole, w miejscu, gdzie jeszcze niedawno wznosił się pałac, zobaczyłem ruiny. Nie mogłem od nich oderwać wzroku. Po białej twierdzy zostały tylko góry gruzu na końcu długiego półwyspu. Z pewnością nie był to skutek pożaru wywołanego przez Pszczołę. Powoli zaczynałem pojmować, co się stało. Na pewno smoki dotarły już na wyspę. Hiibi i Tintaglia. A ja miałem przed oczyma skutek obiecaną przez nie zemsty. Ludzie potrzebowaliby długich miesięcy, by zniszczyć twierdzę tak dokładnie. A poza tym nie było powodu, żeby ją zrównywać z ziemią. W ludzkiej naturze leży chęć wyciągania korzyści z wszelkich podbojów. Tutaj smoczy jad przepalił ściany, topiąc drewno i mury. Całość przywozili na myśl upuszczony tort. Dostrzegłem dwie postaci wędrujące po gruzie, potem jakiegoś mężczyznę pchającego wózek po ledwo przejezdnym szlaku, który jeszcze niedawno był drogą. Z ciągnących się wzdłuż niej budynków także pozostało niewiele. I niewielu mieszkańców... Ilu tkwiło pod gruzami? Czy między nimi znaleźli się moi towarzysze?

A gdzie „Niezrównany”?

Nie było go w porcie ani dalej, na kotwicy. Zniknął. W ogóle nie widziałem dużych statków. Ani jednego. Nie dostrzegałem też na nadbrzeżu wózków ani taczek wyładowanych wszelkimi dobrami, nikt nie przechadzał się alejkami targu, wśród magazynów nie było nikogo. Wszystkie budynki zostały pozbawione dachów, a ściany wspierały się o siebie nawzajem jak pijane. Nie brakowało natomiast przeróżnych szczątków unoszących się na falach, a z cofającej się w odpływie wody sterczał las masztów mniejszych jednostek.

Moje spojrzenie przyciągnęło coś lśniącego na nieboskłonie. Skrzydła. Czerwone i błękitne, połyskujące srebrem. Tintaglia i Hiibi. Skończyły, co miały do zrobienia, i wracały do domu. O, a pod nimi statek na pełnych żaglach. Czyżby „Niezrównany”?

Taką miałem nadzieję. Niestety odpływał. Zostawiając mnie na wyspie.

W tej chwili mój wzrok przyciągnął jakiś ruch na granicy portu. Na statku podnoszono żagle. Znałem ten kształt, nie sposób go było pomylić z żadnym innym. Ten kadłub, ta rufa, na niej kasztel. Oto żywostatek, „Werwa”. Wypływała w morze. Beze mnie.

– Pszczoło! – wyrzuciłem z siebie najdroższe imię. A potem jeszcze: – Błaźnie! Zaczekajcie!

Głupiec, po trzykroć głupiec.

Zaczerpnąłem głęboko tchu, zebrałem wszystkie siły i Mocą rzuciłem gorączkową myśl:

„Pszczoło! Powiedz im, że mnie słyszysz, niech zawrócą. Jestem tutaj, niech po mnie wrócą!”.

Żadnej odpowiedzi, wcale nie czułem obecności córki, w ogóle nie wykryłem znajomego nurtu. Czyżby mój talent do korzystania z królewskiej magii ucierpiał, podobnie jak ciało? Spróbowałem ponownie, z całej siły, w milczącym zacięciu szukałem połączenia.

Zakreśliło mi się w głowie, gwałtownie usiadłem na trawie.

Usłyszała mnie? Czy też umysł ściśle otoczyła barierą ochronną?

Jakiś czas obserwowałem statek z nadzieją, że zmieni kurs, że gwałtownie zawróci.

Czy Pszczoła znajdowała się na tym statku?

Czy nadal potrafiłem sięgnąć ku niej Mocą?

Jeśli żyła, to pragnąłem wiedzieć, co się wydarzyło, a nie miałem u kogo zasięgnąć języka. Co robić?

„Przede wszystkim trzeba przeżyć, barania głowo. Zjedz coś, koniczyna nie wystarczy. I ugaś pragnienie. Znajdź wodę”.

Mój wilk zawsze żył chwilą.

Rozejrzałem się za strumieniem, poszukałem znaków świadczących o jego obecności: wyższej, zieleńszej trawy albo wręcz roślinności bagiennej. Szybko dostrzegłem w dolnej części zbocza przestrzeń wyraźnie zdeptaną kopytami, chociaż ze stada zostały ledwie trzy owce. Spokojnie szczypały trawę. Już wiedziałem, dokąd iść. Ziemia dookoła wodopoju była naga, pokryta jedynie owczym łajnem. Wszystko jedno. Gdy wszedłem do sadzawki, błoto wcisnęło mi się między palce stóp. Odszukałem chłodniejsze miejsce, bijące źródło i nabrałem wody w powleczone srebrem dłonie. Przyjrzałem się im nieufnie, lecz pragnienie zrobiło swoje: napiłem się, nie bacząc na to, czy powlekę magią wnętrzości. Wciąż jeszcze gasiłem pragnienie, gdy usłyszałem nad głową krakanie. Skoro krakanie, to

zapewne kruk, a jeżeli kruk, to może Jaskrawa?

Podniosłem wzrok.

I rzeczywiście. Ona, bez wątpienia kruczycza z posrebrzonym dziobem. A przy tym szkarłatne pióra?

Krążyła mi nad głową.

– Jaskrawa! – zawołałem.

Wrzasnęła coś po swojemu i odleciała. W dół, nad miasto.

– Głupi ptak – mruknąłem pod nosem.

„Widziała nas. Czekał”.

Taka rada od Ślepuna?

Piłem dalej. Gdy już napełniłem żołądek wodą, wyszedłem z oczka wodnego na czystą trawę.

„Teraz mogę się przespać?”.

„Skoro nie będziesz jadł, to śpij. Ale nie na otwartej przestrzeni. Kiedyś ty się pożegnał z rozumem?”.

Gdy przestało mi na czymkolwiek zależeć.

Tej myśli z nim nie podzieliłem. Dobrze by mi zrobiło, gdyby mnie ktoś zaatakował, żebym mógł rzucić się na niego, dusić, gryźć i kopać. Moje obawy przekształciły się w bezrozumny gniew na wszystko, nad czym nie mogłem panować.

Wyczułem ją Rozumieniem i obróciłem głowę, zanim wylądowała na trawie upstrzonej przez owcze łajno. Rzuciła coś pod moje stopy, po czym przywitała mnie serią kruczych podskoków.

– Jedz, człowieku srebrzysty, jedz – nakazała.

Przeczesała dziobem pióra. Ich piękno biło w oczy. Na każdym skrzydle miała kilka purpurowych lotek, a czarne zyskały stalowobłękitny połysk.

– Srebrny dziób – powiedziałem.

Przechyliła łeb i obrzuciła mnie porozumiewawczym spojrzeniem.

– Zadajesz się ze smokami – zgadłem, a ona w odpowiedzi wydała z siebie dźwięk przypominający zduszony śmiech. – Co to takiego? – spytałem, pochylając się nad brązowym, wilgotnym podarunkiem.

– Jedzenie – poinformowała mnie i wzbiła się w powietrze.

– Czekał! – krzyknąłem za nią. – Gdzie inni? Co się z nimi stało?

Zatoczyła wokół mnie krąg.

– Smoki! Piękne smoki! „Niezrównany” to teraz smoki!

– A co z moimi przyjaciółmi? Powiedz, proszę, gdzie są moi przyjaciele?

– Jedni umarli. Drudzy odpłynęli – odparła, wznosząc się wyżej. – Jeden

nadciąga.

– Kto umarł? Kto odpłynął? Kto nadciąga? Czekać, nie odlatuj! Wracaj!

Wcale nie zwracała uwagi na moje wołanie. Puściła się w drogę jak strzała, prosto do zburzonego miasta, może w tamto miejsce, skąd odebrała jedzenie. Ach, jedzenie. Podniosłem kleistą bryłę, powąchałem. Pachniała dobrym czerwonym mięsem.

„Jedz!”

Skoro Ślepun miał pewność, więcej nie było mi trzeba. Bez dalszej zwłoki odgryzłem kęs. Była to wyśmienita solona wołowina. Porcja wielka prawie jak moja pięść, więc bez wątpienia największa, jaką ptak zdołał unieść. Przestałem złościć się na Jaskrawą. Nadal pragnąłem wszelkich informacji, jednak dla mojego ciała ważniejsza była żywność. I znów musiałem się napić. Wróciłem do źródła. Ugasilem pragnienie, spryskałem twarz i kark, spłukałem z nogawek resztę lepkiego brudu. Mycie rąk nie wywarło żadnego wpływu na srebro pokrywające dłonie.

W pewnej chwili wszystkie trzy owce uniosły łby, więc popatrzyłem w tę samą stronę, co one. Po zboczu z wolna wchodził Prilkop. Za nim, w pewnej odległości, podążał Biały. Czekałem na nich, stojąc bez ruchu. Prilkop patrzył na mnie z niedowierzaniem, a może także z lękiem. Czy wyglądałem aż tak strasznie? Ależ tak, z pewnością. Gdy podszedł na tyle blisko, że nie musiałem do niego krzyczeć, spytałem:

– Kto przeżył?

Zatrzymał się.

– Spośród twoich czy moich? – zapytał ponuro.

– Moich! – Jego wątpliwość rozzłościła mnie subtelnie wyrażonym zarzutem.

– Pszczoła i Ukochany. Ten chłopak, który nie odstępował cię na krok, i młoda kobieta.

Radość przyćmiewało następne pytanie, jakie musiałem zadać.

– A Strzyk?

– Wojownik, który ci towarzyszył? Nie było go z twoimi ludźmi, gdy ich widziałem po raz ostatni. Pewnie utonął, gdy statek przemienił się w smoki.

Kolejny wstrząs dla mojego zmaczonego umysłu. Wyszedłem z wody, teraz już błotnistej, i zrobiłem następnych kilka kroków, by znaleźć się poza wydeptanym, upstrzonym odchodami kręgiem gołej ziemi. Prilkop znalazł się blisko, lecz nie podał mi ręki. Nie miałem mu tego za złe.

– Gdzie są moi towarzysze? – spytałem.

– Zabrał ich inny statek. Wszyscy odpłynęli.

Popatrzyłem mu prosto w oczy. Dojrzałem w nich udrekę.

– Po co tutaj przyszedłeś?

– Zobaczyłem kruka ze szkarłatnymi piórami. Kiedyś o takim śniłem. Gdy go zawołałem, wymówił twoje imię i powiedział, że znajdę cię z owcami. – Objął spojrzeniem ostatnie sztuki. – Tymi kilkoma, które ocalały. – W jego głosie ponownie zabrzmiała oskarżycielska nuta. Widziałem tego ptaka z twoimi przyjaciółmi, gdy ostatni raz rozmawiałem z Ukochanym.

– To samica – skorygowałem odruchowo. – Rozmawiałeś z Ukochanym?

Pod stopami miałem prawie całkiem czystą trawę. Osunąłem się na nią niczym stary gobelin spadający z haków. Prilkop usiadł odrobinę mniej niezgrabnie, lecz różnica była niewielka. Ile miał lat?

Biały, którego ze sobą przyprowadził, stał w pewnej odległości, jakby był gotów lada chwila uciekać.

– Zostaw jedzenie i wino – polecił mu Prilkop. – Potem idź swoją drogą.

Mężczyzna pośpiesznie zsunął z ramienia płócienny worek, odwrócił się i uciekł. Prilkop wydał z siebie szczególny dźwięk, coś pomiędzy jękiem a westchnieniem. Dźwignął się na nogi, przyniósł worek i ułożywszy go między nami, usiadł ponownie.

– Wyglądam aż tak przerażająco? – zapytałem, gdy wyciągał wiktuały.

– Przypominasz raczej posąg niż człowieka. Figurę ze srebra, kości obciążnięte skórą i powleczone kruszczem. Kapra ci to zrobiła? Czy któryś ze smoków?

– Sam do tego doprowadziłem. Magia wymknęła mi się spod kontroli – przyznałem zbyt zmęczony na szersze wyjaśnienia. – Co stało się z Pszczołą i z Ukochanym? Co z innymi?

– Mają cię za zmarłego. Opłakują rzewnymi łzami.

Dziwne zjawisko taka próżność. Oni mnie opłakiwali, a mnie zrobiło się ciepło na sercu, zyskałem bowiem dowód, że mnie kochali.

Prilkop wyjął korek z butelki otulonej pajęczyną. Ustawił ją między nami i zajął się dalszymi przygotowaniami dziwnego pikniku.

– To dobre wino – rzekł, starannie dobierając słowa. – Z najlepszej tawerny w mieście. Jedzenie musiałem wybierać z tego, co ludzie zostawili. Mam surowe jaja ze zniszczonego kurnika. Kilka moreli. Nie są całkiem dojrzałe, ale spadły z drzewa, więc je zebrałem. Podobnie jest z rybami: znalazłem je między gruzami wędzarni. W środku są jeszcze surowe.

– Dla mnie to przyniosłeś?

– Akurat zbierałem jedzenie, gdy zobaczyłem kruka. Myślę, że z nas dwóch ty odczuwasz głód bardziej dotkliwie.

– Dziękuję.

Stan pożywienia był mi całkowicie obojętny. Nie dbałem również o to, skąd pochodzi. Z największym trudem panowałem nad sobą, by nie rzucić się na nie, póki Prilkop nie wyjmie wszystkiego z szorstkiego worka.

– Jedz, nie czekaj – powiedział.

Posłuchałem z ochotą. Rzeczywiście jaja były surowe, a ryba nie do końca uwędzona, lecz i tak pochłonałem jedno i drugie w mgnieniu oka. Surowe jajka nie są takie złe, gdy człowiek wie, czego się spodziewać, i przygotowuje na to żołądek.

Z opowieści Prilkopa nie dowiedziałem się wszystkiego, jednak to, co powiedział, dało mi spokój. Widział na własne oczy Pszczołę z Błaznem, a także Skierkę i Niestrudzonego. Strzyk najprawdopodobniej zginął. Ktoś został poparzony. Trudniej było mi pojąć, że po zatonięciu „Niezrównanego” z morza wyłoniły się dwa smoki. Miałem swoje domysły na ten temat. Jakież inne smoki oraz szkarłatny człowiek przybyli zniszczyć Clerres. Oniemiałem ze zdumienia, gdy usłyszałem o czarnym smoku. To z pewnością był Lodogień. A ów „szkarłatny człowiek” zapewne był generałem Rapskałem.

Pewnych spraw Prilkop nie umiał wyjaśnić. Skąd, na przykład, „Niezrównany” wziął siłę, by przemienić się w smoki. Nie wiedziałem, póki sobie nie przypomniałem słów Błazna o moim zaginionym cylindrze ze srebrem. Tintaglia i Hiibi miały przylecieć jak najszybciej i najwyraźniej dotrzymały słowa, jednak obecność Lodognia mnie dziwiła. O „Werwie” Prilkop wiedział jedynie tyle, że statek z żywym kobiecym galionem wpłynął do zatoki, smoki krążyły nad nim, coś do niego pokrzykując, a następnie na jego pokładzie odpłynęli wszyscy ocalali z „Niezrównanego”.

Powinienem cieszyć się, że moi najbliżsi są bezpieczni i ruszyli w drogę powrotną. Tymczasem na dnię serca odkryłem poczucie krzywdy, że zostawili mnie na pewną śmierć, choć przecież sam się tego domagałem. Niemądre było to uczucie, bezsprzecznie, jednak bolało mnie, że odpłynęli beze mnie. Bolesnym echem wróciło wspomnienie Brusa i Sikorki, żyjących razem, gdy uwierzyli w moją śmierć. Co za durne uczucia! Na ich miejscu zrobiłbym to samo! Zepchnąłem myśli na inną drogę, zmusiłem się do skupienia na męczarni Prilkopa. Widziałem ją w jego oczach.

– Żle cię traktowali, odkąd wróciłeś do Clerres, ale nie życzyłeś im takiego losu, prawda? Jak radzą sobie mieszkańcy miasta? Co z twoimi przyjaciółmi, Białymi?

– Bastardzie Rycerski Przezorny... – Odchrząknął. – Musisz pamiętać, że długo chodzę po tym świecie. Widziałem upadek rządów bladej kobiety na wyspie Aslevjal i serce mi się radowało na ten widok. Zapewne pamiętasz, że miałem swój udział w ocaleniu życia Lodognia, gdy był uwięziony w lodzie. Ale Clerres... Tak,

rzeczywiście, źle mnie tu traktowano. – Spuścił wzrok na białe blizny znaczące mu ręce. – Gorzej, niż źle. Podobnie ty wycierpiałeś niejedno od własnej rodziny, jak mi wiadomo od Ukochanego. A przecież nigdy nie obarczałeś jednego wuja przewinami drugiego, prawda? Gdy przebywałem w Clerres jako dziecko, było to miejsce nauki. Kochałem bibliotekę! Tutaj dowiedziałem się, kim jestem. Poznałem czyny białych proroków, którzy odeszli, zanim nastąpiłem. Czytałem o przygodach, jakie przeżywali, szukając swoich katalizatorów, ale też chłonałem wiedzę, która płynęła tu szerokim strumieniem, poznałem lasy starożytnej królowej, uczyłem się map i historii odległych miejsc... Trudno sobie wyobrazić rozmiary strat, jakie spowodowała Pszczoła. Nie winię jej, z pewnością nie potrafiła sprzeciwić się siłom, które ją ukształtowały i pchnęły na tę ścieżkę, ale oplakuję stratę. Zginęły przy tym niewinne istoty, Biali mieszkający w chatkach pod zamkiem stracili życie pogrzebani pod gruzem z białych kości. A to były dzieci! Ich sny z pewnością można było wykorzystywać do niecznych celów, lecz gdyby chcieć je za to winić, równie dobrze można by obciążać Pszczołę odpowiedzialnością za jej uczynki. Tak wielu straciło życie... Tak wielu... – Umilkł przytłoczony brzemieniem smutku.

Nie przychodziła mi do głowy żadna odpowiedź. Owszem, wielu niewinnych straciło życie. Ale również ci, co torturowali Błazna, a także ci, co porwali i skrzywdzili moją córkę. Oni też byli już martwi i tego nie żałowałem.

– Nie żyją członkowie Rady Czworga. Co teraz poczniesz?

Popatrzył na mnie.

– Troje nie żyje. Kapra przetrwała. – Przyjrzał się mojej twarzy o beznamiętnym wyrazie. Czy umiał czytać w myślach? – Z pomocą smoków wybiliście nas niemal do nogi. Zebrałem siedemnaścioro Białych. Swego czasu były ich ponad dwie setki. Nie wszyscy czystej krwi, to prawda. Ci, co przetrwali, schronili się pod skrzydłami Kapry. Prowadziła ich od pokoleń. Zdradziła nam teraz, iż słabość koncepcji tkwiła w samym istnieniu Rady Czworga. Od tej chwili będzie ona jedna jedyna i zadba o to, byśmy mieli przed sobą wyraźnie postawiony cel. Rozmawiałem z nią, obiecała mi, że wrócimy do dawnych obyczajów. Potem wyszedłem znaleźć jedzenie dla tych, którzy przetrwali. Gdy zobaczyłem kruczycę, zawołałem ją, a ona do mnie przyleciała. Wtedy zrozumiałem, że powinienem odszukać ciebie. I błagać o litość dla pozostałych przy życiu. Zaklinać cię, byś odrobinę zboczył z obranej ścieżki. I okazał wielkoduszność tym, którzy mnie poprosili, bym ich strzegł.

Naprawdę dlatego przyszedł? Czy zorientował się w moich zamiarach?

Popatrzyłem na skorupki jajek. Czy chciał mnie przekupić?

– Mogłem cię otruć – stwierdził z ostrzejszą nutą w głosie.

– Tego byś nie zrobił. Długie lata miałeś dostęp do żywności bladej kobiety,

a mimo to jej nie zatrąłeś. Nie jesteś zabójcą. I powinieneś się z tego cieszyć.

– A ty nigdy nie wydrzesz tej części ze swego umysłu.

– To prawda.

– Przyniosłem ci jedzenie. Czy mogę kupić za nie życie moich Białych towarzyszy?

Milczałem, ważąc jego słowa, a on w tej ciszy domyślił się odrzucenia prośby. Wstał gwałtownie.

– Chyba nigdy nie byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi.

I ja wstałem, choć wolno i z trudem.

– Chociaż z przykrością, to muszę się z tobą zgodzić. Mimo wszystko darzę cię szacunkiem.

– Ja ciebie także szanuję.

Wykonał intrygujący ukłon wymagający przestawienia do tyłu wyprostowanej nogi. Figura była raczej sztywna niż wdzięczna, podejrzewałem, że wymagała od starego człowieka niemałego wysiłku. Odpowiedziałem formalnym ukłonem praktykowanym w Księstwie Kozim.

I tak się rozstaliśmy. Nie spotkałem Prilkopa już nigdy potem.



Gdy słońce zaczęło przygrzewać mocniej, schroniłem się między kolczastymi krzewami. Do towarzystwa miałem flaszkę wina. Osuszywszy ją do dna, resztę dnia przespałem. Obudziłem się znowu głodny, lecz w znacznie lepszym stanie niż kiedy zasypiałem. Nawet wzrok mi się poprawił.

„Widzisz w ciemnościach tak jak ja kiedyś” – zauważył Ślepun.

„I, jak dawniej, teraz razem zapolujemy”.

Jeżeli Prilkop ostrzegł Kaprę, to go nie posłuchała. A może ocenił, że jestem za słaby na szybkie podążanie ścieżką zemsty. Albo uznał, że jest dobrze chroniona. Znaleźć ją było łatwo. Przemykałem przez Clerres niczym duch, aż natknąłem się na obszerny budynek z kamienia, przed którym odgarnięto z ulicy gruz i rozpoczęto odbudowę dachu. Owszem, pilnowało ją kilku strażników, lecz przecież ich nie musiałem zabijać. Strzegli okien i drzwi wychodzących na ulicę, ja natomiast podszedłem od podwórza. Moja srebrna dłoń bezgłośnie usunęła stary kamień i zaprawę. Utworzyłem dla siebie nowe wejście.

Znaleźli jej wspaniałe łożo. Z wysokich, drewnianych kolumn spływały koronkowe firany zwieńczone baldachimem. Obudziłem ją, zanim odebrałem jej

życie. Mój uścisk odebrał jej głos.

– Zabiję cię za Pszczołą i za Ukochanego – wyszeptałem, patrząc w jej pełne zaskoczenia oczy.

Na tyle sobie pozwoliłem. Dłońmi powleczonymi srebrem wycisnąłem z niej życie. Rozumienie połączyło mnie z jej strachem, bólem i zgrozą. Zabiłem ją jak zającą. Nie opóźniałem zgonu, jednak wbijałem wzrok prosto w źrenice, aż do chwili, gdy jej tam już nie było. Zachowałem się w myśl najwcześniejszych nauk Ciernia: przyszedłem, zabiłem i odszedłem. I zabrałem ze sobą połówkę kurczęcia.

Mięso było wyśmienite.

O wschodzie słońca szedłem równolegle do drogi, oddalając się od Clerres.

Rozdział 41

Podróż na „Werwie”

Żal mi dobrego papieru i pięknej skórzanej oprawy tych dzienników, które dostałam od ojca. Już ich nie ma, poszły na dno razem z całym dobytkiem pasażerów i załogi „Niezrówanego”. Nie tęsknię za treścią, która znajdowała się na tamtych stronicach, gdyż pamiętnik pisało dziecko, które ledwie pamiętam, a przelane na karty sny są nieistotne, ot, kamienie milowe na drogach, co już nie istnieją. Kilka zachowało prawdopodobieństwo spełnienia, a one urzeczywistnią się lub nie, bez względu na zapis inkaustem na papierze.

Teraz przychodzą do mnie inne sny, a Ukochany pilnuje, bym je zapisywała. Nie lubię nazywać go tym imieniem. Gdy któregoś razu nazwałam go Błaznem, wzdrygnął się, a kapitan statku skarcił mnie wzrokiem, jakbym zachowała się niegrzecznie. Przy innych nazywam go nauczycielem. Jemu chyba obojętne, jak się do niego zwracam. Nie będzie dla mnie panią Amber.

Nie piszę teraz w dziennikach; Ukochany dał mi papier w arkuszach, najprostsze pióro i czarny inkaust. Chyba wyprosił te rzeczy u kapitana Prawego.

Pierwszy sen, jaki zapisuję, wyglądał następująco: stare drzewo rozkwita i rodzi jeden piękny owoc. Ten spada na ziemię i się toczy. Pęka, ze środka wychodzi kobieta w srebrnej koronie.

Przykro mi, że rysować mogę tylko czarną kreską na białym papierze.

Powiedział, że będzie czytał zapisane sny. Musi, żeby mnie poprowadzić. Zapisuję tutaj to, co już mu powiedziałam, będzie mógł przeczytać ponownie. Nie pozwolę, by moje sny były wykorzystywane do kształtowania losów świata. I jeszcze jedno: niezależnie od tego, co obiecał mojemu ojcu, ja uważam, że czytając moje zapiski, daje dowód swojego grubiaństwa.

Dziennik Pszczoły Przezornej

Clerres zostało za rufą, opuszczałam je bez żalu. Jedyne powód do smutku był taki, że został tam mój tata. Że nie spaliłam jego ciała, że zostawiłam go

w strasznym miejscu.

Statek odezwał się do mnie w chwili, gdy postawiłam nogę na pokładzie.

„Kim jesteś? I dlaczego tak dziwnie dźwięczysz w moich zmysłach?”

Obudowałam umysł solidnym murem, lecz to tylko podsyciło jego ciekawość. „Werwa” naciskała na mnie, a ja czułam to tak, jakby ktoś dźgał mnie palcem wskazującym w pierś. Dlatego w końcu odpowiedziałam.

„Nie wiem, jak ani dlaczego odczuwasz moją obecność. Nazywam się Pszczoła, pochodzę z rodu Przezornych. Byłam więźniem Sług w Clerres. Pragnę wrócić do domu”.

Stała się wtedy rzecz niesłychana: poczułam wyraźnie, że statek oddzielił się ode mnie murem. Był to jednak powód do ulgi, nie obrazy.

My, dodatkowi pasażerowie na „Werwie”, stanowiliśmy dość szczególną zbieraninę. Dorośli pogrążyli się w rozmowach, ja prawie od razu zasnęłam. Niewielkie miało znaczenie, co uradzą. Bo byłam niczym orzeszek płynący z nurtem strumienia. Mnie niosło moje przeznaczenie.

Rozwieszono dla nas hamaki, lecz nic nas nie oddzielało od załogi. Nieważne. Od razu, gdy tylko mogłam, wdrapałam się na rozpięte w powietrzu legowisko i zasnęłam. Niedługo później, obudziły mnie okrzyki pełne niedowierzania. Stoczyłam się z hamaka i pośpieszyłam w górę, na pokład. Bałam się, że zostaliśmy napadnięci.

Szczałki „Niezrówanego”, niesione odpływem, wydostały się na szerokie wody. Razem z nimi – jeszcze jeden rozbitek. Skierka wkrótce straciła świeżo odzyskaną nadzieję, bo ktoś krzyknął, że widać oszołomioną i spaloną słońcem kobietę. Jak się okazało, była to matka Basałyka. Żona Zuchwalca. I coś łączyło ją z kapitanem Prawym. Żywostatek piał z radości, aż wibrowały mu wręgi. Postąpiłam jakiś czas, popatrzyłam, jak wciągają ocaloną na pokład i poją słodką wodą, a potem wróciłam na hamak. Rozplakałam się. Nie z radości, tylko z zawiści. I ponownie zasnęłam.

Ukochany na statku przeobraził się w osobę imieniem Amber. Nie miałam pojęcia, dlaczego używał tak wielu różnych imion ani z jakiego powodu był teraz kobietą. Wszyscy to akceptowali. Po chwili namysłu uprzytomniłam sobie, że i mój ojciec zmieniał wcielenia. Był przecież Tomem Borsuczowłosym, a także Bastardem Rycerskim Przezornym. I ze mną chyba sprawa miała się podobnie. Pszczoła Borsuczowłosa. Pszczoła Przezorna. Światoburca.

Sierota.



Drugiego dnia podróży, otworzywszy oczy, zobaczyłam Niestrudzonego.

– Co się dzieje? – spytałam zaniepokojona.

Usiadłam gwałtownie, a on złapał mnie, nim spadłam na deski. To nie była kwestia hamaka. Statek mocno bujał.

– Nic się nie dzieje, tylko strasznie dużo panienka śpi. Trzeba się trochę przejść, rozruszać, zjeść coś.

Skoro wspomniał o jedzeniu, dotarło do mnie, że jestem głodna i bardzo, ale to bardzo chce mi się pić. Poprowadził mnie przez las hamaków do długiego stołu z ławami wzdłuż obu boków. Siedziało przy nim kilka osób, kończyły posiłek. Zobaczyłam talerz przykryty misą.

– Żeby nie stygło – wyjaśnił Niestrudzony.

Nałożyłam sobie gęstego gulaszu. Pachniał dziwnie, ale mi posmakował. Czułam cynamon i śmietanę, był kwaskowaty. Z warzyw – cebula i kawałki ziemniaków. Mięso – baranina, jak twierdził Niestrudzony – nie było ani twarde, ani żylaste. Mój jedyny przyjaciel przysunął misę z jakimś gotowanym brązowym ziarnem.

– To jest ryż. Podobno rośnie na bagnach i zbiera się go z łodzi. Pasuje do gulaszu.

Jadłam tak długo, aż zabrakło mi miejsca w brzuchu, a Niestrudzony wyskrobał do czysta dno wielkiego czarnego kotła.

– Pójdziemy na pokład? – zaproponował.

Pokręciłam głową.

– Chcę spać.

Ściągnął brwi, lecz nic nie powiedział; odprowadził mnie do hamaka i pomógł się nań wdrapać.

– Panienka nie jest chora, że tak dużo śpi?

– Spać jest łatwiej niż nie spać – odparłam i zamknęłam oczy.

Po jakimś czasie obudziły mnie przyciszone głosy. Słuchałam, nie unosząc powiek.

– Ciągle tylko śpi i śpi! – martwił się Niestrudzony. – Nic innego nie robi, tylko śpi.

– Niech śpi. To znaczy, że czuje się bezpieczna. Odsypia cały ten czas, gdy była w niewoli. I musi sobie wszystko poukładać. Po tym, jak wróciłem... Jak Bastard zabrał mnie do Koziej Twierdzy, długie dni prawie wyłącznie spałem. Sen jest skutecznym lekarstwem.

Niemniej jednak, gdy kilka godzin później otworzyłam oczy, Niestrudzony siedział przy moim hamaku.

– Możemy teraz porozmawiać? – zapytał. – Chciałbym wiedzieć, co się z tobą

działo, panienko, przez cały ten czas, kiedy się nie widzieliśmy. I sam też mam o czym opowiadać!

– Ja nie bardzo mam o czym mówić. Porwali mnie i zawlekli do Clerres. Traktowali mnie źle. – Zamilkłam.

Nie chciałam zdradzać szczegółów ani jemu, ani nikomu innemu.

– No dobrze. – Ze zrozumieniem pokiwał głową. – W takim razie opowie mi panienka innym razem. Ale ja też niejedno widziałem od tamtego dnia, kiedy mnie panienka przykryła motylą peleryną na śniegu.

Zsunęłam się z legowiska i wyszliśmy na pokład. Dzień był piękny, jaśniał przejrzystym błękitem. Niestrudzony zaprowadził mnie w pobliże galionu, nikomu nie wchodziliśmy w drogę. Mówił, co się z nim działo, a ja słuchałam tego, jak legendy o herosach. Czy Traf ułożyłby o tym pieśń? Kilka razy się popłakałam. Ze smutku, tak, ale to były dobre łzy. Ileż dokonali, by mnie odnaleźć...! Wtedy, gdy ja wątpiałam, gdy pytałam siebie, dlaczego tata nie przybył mnie ocalić i czy w ogóle mnie kochał... Wróciłam na hamak i ułożyłam się do snu, znając odpowiedź: kochał.



Następnym razem obudził mnie statek. Wiercił dziurę w murze otaczającym mój umysł.

„Pomóż, proszę, pomóż nam. Przyjdź na przedni pokład. Jesteś potrzebna”.

Oczywiście spadłam, schodząc z hamaka. Myślałam, że wszystkich pobudzę. Pod pokładem było ciemno, jak zwykle, jednak wnioskując z liczby zajętych hamaków, domyśliłam się, że jest noc. Światło docierało od jedynej, przyćmionej lampy bujającej się w rytm kołysania statku. Nie miałam ochoty na nią patrzeć. Przeszłam między śpiącymi żeglarzami, którzy przywodzili na myśl dojrzałe owoce zwisające z gałęzi drzewa, i pośród ruchomych cieni dotarłam do drabinki. Wyszłam na pokład.

Wiała ożywcza bryza i niespodziewanie ucieszyłam się, że nie śpię. Popatrzyłam w górę. Płótna wzdęte wiatrem przypominały brzuch majątnego kupca, a dalej, nad nimi, rozpościerał się bezkres gwiazd na czarnym niebie. Pokład statku na szlaku nigdy nie jest pusty, lecz tej nocy spokojna bryza wytrwale dmuchała w żagle, więc i marynarzy niewielu zostało na wachcie. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Pokonałam niedługi ciąg schodów i znalazłam się na przednim pokładzie. Tam docierała większość lin, każda naprężona włączała się w mruccando

dyrygowane wiatrem. Za nimi znajdował się mniejszy pokład, wystający w stronę galionu. Czegoś takiego jeszcze nie widziałam. A właśnie tam leżał na deskach mężczyzna. Gdy podeszłam ostrożnie, poruszyły się dwie inne postaci. Jedną z nich rozpoznałam: to był ojciec Basałyka, kapitan ZuchwalecTrell. Teraz już, zdaje się, niczym nie dowodził, a jego syn, poparzony, leżał bez ruchu. Prawie zapomniałam, że ocalona została także matka młodego mężczyzny. Twarz i ręce miała pokryte jaśniejszymi plamami, po chwili zorientowałam się, że to świeża skóra w miejscach po oparzeniach słonecznych. Objęła spojrzeniem moją poznaczoną bliznami twarz i w jej oczach rozblęśla litość. Odwróciłam wzrok.

„Nazywa się Althea Vestrit. Gdyby jej losy w przeszłości ułożyły się inaczej, dziś dowodziłaby na moim pokładzie. Tak czy inaczej, jest moją rodziną. I jej syn także. A Trell służył na moich deskach długie lata i jego także wysoko sobie cenię”.

– Czego chcesz ode mnie? – spytałam równocześnie głosem i myślami.

Statek nie odpowiedział.

– Jest tutaj! – wykrzyknął Zuchwalec. Widać było po nim znużenie. – Altheo, właśnie o tym dziecku ci opowiadałem. Tę dziewczynkę przybyliśmy ratować. W Clerres leczyła Basałyka dotykiem. Pod jej palcami oparzenia znikają.

– Witaj, Pszczoło – odezwała się kobieta ze smutkiem. – Współczuję ci straty ojca.

– Dziękuję. – Czy to dobrze dziękować komuś za to, że czuje się źle z powodu śmierci?

Już wiedziałam, dlaczego statek mnie wezwał. Basałyk cuchnął. Gdy obok niego przyklękałam, poczułam, że statek go przytula. Nie było żadnego wgłębienia w deskach, w którym by go trzymał, lecz tam, gdzie umierający dotykał czarodrzewu, „Werwa” przypominała mu, jak być żywym, i podsuwała wspomnienia czasu spędzonego na jej pokładzie. Pochodziły one nie tylko od niego, ale też od matki, dziada i prababki. Wszyscy oni pływali na tym statku. A on zatrzymywał wspomnienia tych, którzy oddali ducha na jego pokładzie.

– To dlatego smoki pożarły Kennitasyna – powiedziałam do siebie.

„Tak”.

– Smoki Niezrównanego pożarły Kennitssona? – upewniła się kapitan Althea.

– Zrobiły to z dobroci. Chciały go w sobie zatrzymać. Podzieliły się ciałem.

– Och... – Dotknęła Basałyka. – Potrzebujesz czegoś? – spytała, nie patrząc na mnie.

Chciała, żebym odeszła.

– Statek mnie tu wezwał. Chce, żebym pomogła.

– Co mogłabyś...

– Ćśśś... – przestrzegł ją kapitan.

Zdążyłam już ułożyć dłonie na zdrowym ramieniu Basałyka. Chciałam go naprawić. Był niewłaściwym elementem na idealnym statku. Potrafiłam mu pomóc.

– Chce mu się pić – powiedziałam rodzicom.

– Przez cały dzień nie poruszył się ani nie odezwał.

– Chce mu się pić – powtórzyłam.

Jeżeli miałam spowodować, by cokolwiek się z nim zdziało, potrzebował wody.

Matka uniosła mu głowę, a wyglądało to tak, jakby się bała go dotknąć. Wlała mu między suche wargi strumyczek cieczy. Zakrztusił się lekko, ale przełknął. To był mój pierwszy krok w niesieniu tej pomocy.

– Więcej – poleciłam.

Kobieta trzymała kubek z wodą przy ustach syna, a ja przypominałam młodemu mężczyźnie jak pić. Wypił. Cały ten kubek, a potem jeszcze trzy. Wtedy łatwiej mi było poruszać się w jego wnętrzu.

– Taka słona zupa, co robicie, żółta. Będzie teraz dobra.

Nawet z zamkniętymi oczyma wiedziałam, że mi się przyglądają. Kobieta wstała i śpiesznym krokiem odeszła. Strach ścisnął ją za serce, a jednocześnie dla syna gotowa była zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy. Ugotuje zupę.

Zakołysałam się łagodnie i moje dłonie przemówiły do chorego ciała. Znalazłam w myślach melodyjkę, której dotąd nie znałam, i zaczęłam nucić ją w czasie pracy. Dwa głosy podrzucały słowa do melodii. Statek i ojciec śpiewali miękko razem. Była to szanta o węzłach i o żaglach. Miała uczyć, podobnie jak rymowanka mojego taty, dzięki której zapamiętywało się, na co zwracać uwagę przy ocenie konia. Spychając poparzoną skórę oraz martwe tkanki, naciągając zdrowe, zastanawiałam się nad tym, czy w każdym fachu, czy w każdej rodzinie istnieje taka przyśpiewka. Natrafiłam na miejsce, gdzie usiłowało rosnąć coś, co nie należało do ciała. Zabiłam to i wypchnęłam. Zsunęło się niczym szlam, paskudny i śmierdzący.

Ciało w wielu miejscach robiło, co mogło. Wszystkie je rozpoznałam. Basałyk zachłysnął się gorącym dymem, co uszkodziło mu gardło i narządy wewnętrzne służące do oddychania. Ramię miał spalone, podobnie pierś i bok twarzy. Które z obrażeń było najgorsze? Zadałam to pytanie ciału i dowiedziałam się, że ramię. Tam zabrałam się do pracy.

Matka wróciła z zupą w garnczku.

– O, na Sa! – wykrzyknęła.

Teraz bała się znacznie mniej. Śmielej ujęła głowę syna i przystawiła mu kubek do ust. Zupa wydzieliała cudowny zapach, przypomniało mi się, jaka jest smaczna: słona i odrobinę cierpka. Wypił ją, a ponieważ poświęciłam trochę czasu jego gardłu, mógł już przełykać.

– Co tu się dzieje?

– Amber! Ona pomaga Basałykowi.

– Nie wolno jej! To jeszcze dziecko! Jak możecie tego od niej wymagać!

– Niczego nie żądaliśmy. Żegnaliśmy się z synem, bo umierał. Przyszła, położyła na nim rękę i teraz będzie żył! To widać, przeżyje!

– A ona? – Ukochany był rozeźlony. Nie, raczej przestraszony. – Pszczoło, przestań. Nie możesz tak.

Zaczerpnęłam głęboko tchu.

– Owszem, mogę – oznajmiłam i wypuściłam powietrze.

– Nie. Oddajesz mu za dużo własnej energii. Zabierz rękę.

Uśmiechnęłam się, bo w pamięci wróciły do mnie słowa, które swego czasu usłyszałam ode mnie tata.

– Już nigdy nikt nie będzie mi niczego zakazywał. Nawet ty.

– Pszczoło! Natychmiast!

Uśmiechnęłam się znowu.

– Nie.

– Podnieś rękę albo cię od niego odciągnę!

Czy wiedział, że to zaboli nas oboje?

– Jeszcze chwilę.

Uszedł z niego dźwięk świadczący o frustracji.

Powiedziałam Basałykowi, żeby zdrowiał, żeby nad sobą nadal pracował, powoli, spokojnie, ostrożnie. Że ja muszę już odejść, ale on powinien starać się nadal, tak, dostanie więcej zupy. Przypominało to uspokajanie zwierzęcia. Nagle zyskałam pewność, że w cielesnej powłoce, która mogłaby należeć do zwierzęcia, jest umysł Basałyka. I że właśnie do niego mówiłam.

Otworzyłam oczy. Ukochany wyciągnął do mnie rękę, lecz uniosłam dłoń, zanim mnie dotknął. Usiadłam, zaplotłam rękę na piersi. Nie wiedziałam, ile czasu spędziłam pochylona nad Basałykiem, ale bolały mnie plecy. Otarłam dłoń o koszulę. Wilgotne i lepkie.

I nagle coś pojęłam.

„Statku! Ty mnie zwiodłeś! Sprawileś, że chciałam to zrobić!”

Rzeźbiona kobieta odwróciła się nieco w moją stronę.

– To było konieczne.

– To dziecko! – zaprotestował Ukochany. – Wykorzystałaś ją.

– Nie zdawałem sobie z tego sprawy – odezwał się kapitan.

– Nic mi się nie stało – zaprotestowałam, lecz nie zdołałam wstać.

Althea podsunęła mi kubek z zupą, wypiałam ją długimi łykami. Były w niej

jakieś rozgrzewające przyprawy, niektóre szczypały w język. Ukochany przyglądał mi się z uwagą. Basałyk oddychał i brzmiało to całkiem dobrze. Odstawiłam kubek na deski.

– Statek mnie w sobie rozkochał. Chyba podobnie robią smoki... – Nagle byłam niewymownie zmęczona. – Czasem stają się dla kogoś wyjątkowo ważne. Czytałam gdzieś o tym. Gdzieś czytałam.

– Ludzie nazywają to smoczym urokiem – odezwała się cicho „Werwa”. – Masz na imię Pszczoła? Składam ci podziękowania. U krańca tej podróży każde z nas pójdzie swoją drogą. Martwiło mnie, że Althea i Zuchwalec mogą stracić syna. Ocaliłaś mu życie, pójdzie z nimi i będzie dla nich pociechą. Ta wiedza mi jest miła i będzie taka również wówczas, gdy stanę się smokiem.

– A Pszczoła stanie się podporą dla mnie i dla Niestrudzonego, i dla swojej siostry Pokrzywy. Statku, jeżeli jeszcze raz wywrzesz wpływ na to dziecko, wtedy ja...

– Amber, nie masz mi czym zagrozić. Ucichnij. Pszczoła dosyć zrobiła dla Basałyka. Czego jeszcze mogłabym od niej chcieć?

Ukochany zamilkł, lecz widziałam słowa spiętrzające się w jego wnętrzu niczym niezapisane sny.

– Nic mi nie będzie – zapewniłam wszystkich i nareszcie wstałam. Musiałam się uśmiechnąć. – „Werwo”, jesteś rzeczywiście tak piękna i doskonała, jak mi się objawiłaś. Mogłabym cię pokochać. – Zachwiałam się nieznacznie. Byłam niewyobrażalnie zmęczona. Tego nie mogłam powiedzieć. – Idę spać – oznajmiłam. Życzę wszystkim dobrej nocy.

Po chwili zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami. Zawsze miałam dobry słuch.

– Kiedyś pewnie była śliczna – powiedział Zuchwalec z nieskrywanym współczuciem.

– Okropne te blizny! Ale, dzięki Sa, wreszcie jest z nami. Ta dziewczynka ma wielkie serce.

– Błagam was na wszystko, bądźcie rozważni. Nie jest taka silna, jak moglibyście sądzić. Potrzebuje czasu.

Mylił się. Miałam tyle siły, ile potrzebowałam. Przeszkadzało mi, że usiłuje mnie chronić. Ma mnie za słabeusza i przekonuje o tym innych. Zapalił się we mnie płomyk gniewu.

Na drżących nogach jakoś dotarłam do zejścia pod pokład, lecz tam przystanęłam, bo uzmysłowiłam sobie, że raczej nie zdołam wdrapać się na hamak. Wspomniałam dzień, w którym po raz pierwszy wspięłam się na grzbiet Fanaberii. Mojej klaczki. Niestrudzony miał rację. Chętnie bym ją zobaczyła.

Drgnęłam, bo niespodziewanie usłyszałam Ukochanego.

– Pszczoło, uzdrowienie poparzonego było dobrym uczynkiem, teraz jednak musisz myśleć przede wszystkim o sobie. Nie doszłaś jeszcze do siebie. Nie będę wymagał od ciebie żadnej obietnicy, ale poproszę cię, żebyś dała mi znać, jeżeli znowu postanowisz zrobić coś podobnego. Powinien być przy tobie ktoś, komu leży na sercu twoje dobro.

– „Werwa” nie pozwoliłaby mi posunąć się zbyt daleko – powiedziałam.

Uśmiechnęłam się w głębi ducha, bo poczułam ciepłe potwierdzenie, zapewnienie bez słów, że powstrzymałaby mnie w odpowiednim momencie.

Jemu pokazałam twarz bez wyrazu.

– Zachowujesz się jak ojciec. Nie odpowiedziałś mi. – Uśmiechnął się, lecz był to uśmiech poważny i smutny.

Westchnęłam. Chciałam spać, nie rozmawiać. Co więcej, nie życzyłam sobie, żeby się o mnie troszczył. To nie była jego rola. Wybrałam kłamstwo.

– Nie ma powodu do zmartwienia. Właściwie już prawie wyczerpałam te możliwości.

Wyraźnie strapiony ściągnął brwi.

– Co przez to rozumiesz?

– Tamtej nocy, gdy walczyłam z Symphe, Dwalią i Vindeliarem, ta... najczcigodniejsza miała fiolkę z węzowymi wydaliniami. Dwalia nazywała je eliksirem. Myślę, że były w nim ślady czarodziejskiego srebra, takiego, jakie „Niezrównany” wypił, żeby przemienić się w smoki. – Ziewnęłam szeroko. I nagle nabrałam chęci na wyjaśnienia. – Kiedyś mi się śniło, że mieli tę breję od morskiego węża trzymanego w ciasnym basenie ze słoną wodą. Symphe miała dać ją do wypicia lurikowi. Przyjmował ją już wcześniej, zyskiwał dzięki niej wielką siłę. Gdy podpaliłam Symphe, upuściła pojemnik, a on się stłukł. Potem nadepnęłam na szkło, kiedy się na nią rzuciłam, żeby ją zadźgać. Skaleczyłam się w stopę i trochę na pewno dostało mi się do krwi. Dlatego stałam się potężniejsza niż Vindeliar. Byłam tak wszechwładna, że zwyczajnie powiedziałam Dwalii, żeby przestała żyć, a ona wykonała polecenie.

Słuchał zmieniony w kamień. Obserwowałam go. Będzie się mnie teraz bał? Znienawidzi mnie?

Nie. Gdy odzyskał panowanie nad sobą, oczy miał przepełnione smutkiem.

– Podpaliłaś Symphe. A potem ją zadźgałaś.

Dlaczego uważał, że to smutne? Postawiłam sprawę jasno:

– Powiedziałam ci to, kiedy mówiłam tacie. Zabiłam je obie. Nie uczyniłam nic złego i niczego nie żałuję. Należało to zrobić, ja znalazłam się w odpowiednim miejscu i czasie, miałam obowiązek wykonać zadanie. Wykonałam. Powinnam była

tamtej nocy pozbawić życia także Vindeliara. Uniknęlibyśmy wielu kłopotów.

– Śniłaś o tym? – spytał z widocznym wahaniem. Po chwili, gdy patrzyłam na niego bez słowa, uściślił: – Czy widziałaś we śnie, że zabicie ich jest twoją powinnością?

Wzruszyłam lekko jednym ramieniem i zsunęłam się po drabince pod pokład. Chwilę później stanęłam przy swoim hamaku i jakoś się na niego wdrapałam. Naciągnęłam na siebie koc. Mieliśmy lato, ale pod pokładem nocą panował chłód. Zamknęłam oczy.

– Nie wiem. Wiem, że niektóre sny coś znaczą, ale są takie dziwne, że nie umiem ich dopasować do tego, co robię. Śniłam kiedyś o srebrnym mężczyźnie rzeźbiącym własne serce. Odchody węża są srebrne. Czy to byłam ja, czy zmieniłam serce Dwalii w martwe?

– Raczej nie – szepnął.

Rzeczywiście miałam taki sen, całkiem niedawno. Lepiej się poczułam, gdy o nim powiedziałam.

– Teraz będę spać – oznajmiłam.

Zamknęłam oczy. A on ani drgnął. Przeszkadzało mi to. Miałam nadzieję, że sobie pójdzie. Czekałam długi czas, aż w końcu zerknęłam przez rzęsy. Miałam zamiar powiedzieć mu, żeby sobie wreszcie poszedł, a zamiast tego spytałam:

– Kochałeś mojego tatę?

Znieruchomiał niczym kot. Gdy się odezwał, bardzo uważał, co mówi.

– Z twoim ojcem łączyła mnie głęboka więź. Jak z nikim innym.

– Dlaczego nie chcesz powiedzieć, że go kochałeś? – Otworzyłam oczy, spojrzałam mu prosto w twarz.

Tata oddał mu wszystko, co miał, całą swoją siłę, zdrowie, energię, a on nie potrafił zwyczajnie powiedzieć, że go kochał?

Uśmiechnął się, lecz zbyt skąpo, jakby usiłował w ten grymas przekuć inny wyraz twarzy.

– Nie przepadał za tą deklaracją.

– Sam też nieczęsto mówił, że kocha. Jego miłość objawiała się w czynach.

– Nigdy nie pamiętał, co dobrego zrobił dla mnie, jednak zawsze był przekonany, iż ja dla niego zrobiłem wiele.

– Wobec tego kochał cię.

Kochał cię tak bardzo, że mnie porzucił, by ciebie zabrać do Koziej Twierdzy.

Wszelkie uczucia zniknęły mu z twarzy, w dziwnych oczach została tylko pustka.

– Pisał do ciebie listy, niestety nie miał dokąd ich wysłać. Rozpaczliwie za tobą tęsknił. Kochał moją mamę, ale dla niej musiał być silny. Miał przyjaciela

w Rebusie, kochał Trafa. Ale w listach do ciebie pisał o rzeczach, o których nie mógł rozmawiać z żoną, Rebusem ani Trafem. Porzuciłeś go i zostało mu tylko pisanie listów.

Przypatrywałam mu się uważnie, więc bez trudu dostrzegłam, że moje cierpkie słowa, choć wypowiedziane cicho, zraniły go i sprawiły mu ból. Chciałam, żeby wreszcie sobie poszedł. Było mi obojętne, czy cierpiał. On żył, a mój ojciec umarł.

– Źle zrobiłeś, że go zostawiłeś – cisnęłam szeptem.

– Skąd wiesz, co pisał? – zapytał. Twarz miał wciąż pozbawioną wyrazu.

– Nie zawsze palił listy nocą. Czasami dopiero rano.

– Czytałaś jego prywatne zapiski.

– Zdaje się, że czytałaś moje dzienniki?

Nie zdołał ukryć zaskoczenia.

– Rzeczywiście – przyznał po chwili.

– Nadal czytasz. Gdy wydaje ci się, że mocno śpię.

Nawet nie drgnął.

– Doskonale o tym wiesz. Pszczoło, wiele przeszłaś, lecz nadal jesteś dzieckiem. Twój ojciec oddał mi cię pod opiekę. Przyrzekłem, że się o ciebie zatroszczę. Zrozum, dorośli robią to, co najlepsze dla młodej istoty, za którą ponoszą odpowiedzialność. Ten obowiązek spoczywa zwłaszcza na rodzicach. Dobro dziecka jest dla nich ważniejsze od zaspokojenia jego pragnień, a nawet od tego, co ono uznaje za najważniejsze. W twoich żyłach płynie krew rodu Białych, twoje sny są ważne, a także niebezpieczne. Potrzebujesz przewodnika. Tak, przeczytałem twoje dzienniki. Po to, żeby cię lepiej poznać. I nadal będę czytał sny, które zapiszesz.

Zostałam myślami przy jego wcześniejszych słowach.

– Mam krew Białych po mamie?

Ojciec miał korzenie w Królestwie Górskim oraz Księstwie Kozim. Tyle wiedziałam na pewno.

– Po mnie.

Wlepiłam w niego wzrok.

– Jak to?

– Jesteś za młoda, żeby to zrozumieć.

– Nieprawda. Dobrze znałam tatę. I mamę też. – Wstrzymałam oddech, czekając na potworne kłamstwo o matce.

– Czy wiesz, w jaki sposób smoki przemieniają Najstarszych? Jak obdarowują ich łuskami i swoimi barwami? Czy wiesz, że ich dzieci niekiedy rodzą się już pokryte łuskami?

– Nie. W ogóle nie wiedziałam, że ich przemieniają.

– Widziałas generała Rapskała, tego szkarłatnego mężczyznę.

– Tak.

– Przemienił go smok. Smok, który go mocno pokochał. Hiibi, czerwona smoczyca, dodała mu coś od siebie, w ten sposób go przemieniła. A równocześnie zaczerpnęła od niego sposób myślenia, zachowanie.

Słuchałam z zapartym tchem.

– Żyłem u boku twojego ojca przez długie, długie lata – ciągnął. – Wydaje mi się, że obaj... nawzajem się przemieniliśmy. – Na moment zatonął w myślach.

– Kiedyś powiedział, że zamieniliśmy się rolami: on został białym prorokiem, ja katalizatorem. Długo rozważałem te słowa. Uznałem, że chciałbym, by były prawdziwe. Zaprzagnąłem odmiany. Dlatego przybyłem do Clerres, dlatego próbowałem zostać tym, który zmienia.

– Niezbyt dobrze ci poszło.

– To prawda. Lecz na początku znajomości z twoim ojcem nawet by mi nie przyszło do głowy próbować. – Westchnął ciężko. – Będiesz na mnie zła, muszę jednak powiedzieć ci prawdę: zrobiłem to, czego chciał twój ojciec. Wydostałem cię z Clerres. A jeśli naruszam twoją prywatność, jeżeli ingeruję w twoje życie, to dlatego, że on zlecił mi opiekę nad tobą. Dałem mu słowo i to jest dla mnie najważniejsze. Miałem nadzieję zyskać przynajmniej twój szacunek, jeśli nie sympatię. Rozumiem twoje uczucia. Spala cię gniew, bo ja żyję, a on umarł. Tylko czy koniecznie trzeba z nimi walczyć dzisiaj?

Wzięłam się w garść, spojrzałam mu prosto w wodniste oczy.

– Dzisiaj chciałeś zastępować mi ojca. Zachowywałeś się, jakbyś nim był. A nie jesteś. I nie życzę sobie, żebyś traktował mnie jak swoje dziecko. Możesz mnie uczyć. Potrzebuję wskazówek. Ale nie jesteś moim ojcem, więc go nie udawaj.

– Właściwie... – zaczął, lecz zaraz urwał.

Coś przede mną ukrywał. Czytał mój pamiętnik, znał moje zapisane sny, najskrytsze myśli, a mimo to chciał mieć przede mną tajemnice? Tego nie mogłam puścić płazem. Cisnęłam w niego półprawdą, równie dobrą jak kłamstwo.

– Czytałam ostatni list, jaki do ciebie napisał. Nie spalił go, bo właściwie rozmawiał w nim sam ze sobą. Wyznał, iż rozumie, dlaczego odszedłeś. Twoja przyjaźń nie była szczerym uczuciem, tylko pretekstem, by go używać jako narzędzie. Uznał, że lepiej mu bez ciebie, bo moja matka kochała go za to, jaki jest, a nie ze względu na to, do czego mógł się przydać. Wyraził nadzieję, że nigdy już cię nie spotka, bo zniszczyłeś mu życie i pozbawiłeś radości. A bez ciebie wreszcie może robić, co uzna za stosowne i sam podejmować decyzje. – Przerwałam na moment. – Niestety spotkał cię znów i historia się powtórzyła. Wróciłeś tylko po to,

by go wyzyskiwać. Zniszczyłeś nam dom. Przez ciebie mój tata nie żyje. Wszystko przez ciebie.

Odwróciłam się do niego plecami, choć to niełatwe na hamaku. Wbiłam wzrok we wręgi oraz ruchome cienie. Ojciec nie byłby ze mnie zadowolony. Powinnam przeprosić i przyznać się do zmyślenia. Nawet nieszczerze? Chyba tak.

Obejrzałam się przez ramię, ale on uciekł.

Rozdział 42

Furnich

Pomiędzy resztkami spalonych zbiorów (a zostało ich niewiele, gdyż Twoja protegowana sumiennie wykonała zadanie!) znalazłem ocalały skrawek zwoju. Przepisuję go tutaj.

„Gdy tylko przestanie być zdolny do walki, należy go jak najszybciej wykrwawić. Czas jest tu elementem decydującym: jak największa ilość trucizny musi pozostać w żołądku, by nie skazić mięsa, kości, mózgu albo jęzora. Najpierw trzeba zebrać krew, potem organy wewnętrzne, na końcu mięso. Oznaczyć wszystkie pojemniki dokładnie, gdyż zawartość każdego trzeba będzie sprawdzić osobno, zyskać pewność, że nie przeniknęło do niej zbyt wiele trucizny, zmieniając ją w preparat śmiertelny. Próbkę podaje się przynajmniej dwóm niewolnikom. Jeśli choć jeden umrze, zdobycz jest nieprzydatna i należy się jej pozbyć. Niestety nie potrafimy ustalić, ile przynęty zjada konkretny smok, a co za tym idzie, ile wchłania substancji trującej.

Ślepią przechowujemy w occie. Ogromnie łatwo się psują. Mięso kroimy w cienkie plastry, solimy i suszymy.

Jedynie żołądek przeznaczamy na straty. Każdy inny, nawet najmniejszy fragment bestii zbieramy i zabezpieczamy, gdyż po całkowitym wyeliminowaniu smoków będą to ostatnie...”.

W tym miejscu tekst kończy się pokruszoną sadzą. Miałeś rację, przyjacielu. Słudzy celowo i z rozmysłem tępił smoki oraz węże ocalałe z katastrofy na północy. Fragmenty innych dokumentów, na których pozostały jedynie daty i liczby beczek czy baryłek, zdradzają, że do krwawej rzezi dochodziło w różnych miejscach.

Co wyjaśnia smoczą chęć zemsty. A także długowieczność Rady Czworka.

Po tym, jak zamordowano Kaprę, zaopiekowałem się kilkoma ocalałymi Białymi. Opuściliśmy Clerres i zamieszkaliśmy w niewielkim gospodarstwie na kontynencie. Uczę młodzież, jak się samemu wyżywić. Siąc i zbierać. Na dobrą sprawę przestali śnić.

Obawiam się, że miną długie miesiące, nim ten list do Ciebie dotrze. Przy ostatnim spotkaniu z Bastardem Rycerskim Przezornym padły ciężkie słowa. Proszę, przekaz mu ode mnie wyrazy szacunku. Nie wątpię, że do Ciebie wróci,

tak jak i Ty do niego wróciłeś.

List od Prilkopa do Ukochanego

Błazen opowiedział mi, swego czasu, jak za pierwszym razem wrócił do Clerres. Teraz ja musiałem pokonać tę samą drogę – w przeciwną stronę. Najpierw przejdę na drugą stronę Wyspy Jasnej, do któregoś z portów głębokowodnych: Sizalu albo Crupton. Stamtąd statkiem przeprawię się do Furnich. Tam, na wzgórzach za przystanią odszukam ruiny budowli Najstarszych i mocno przechylony filar Mocy.

Łatwo powiedzieć, trudniej zrobić. Jak zawsze.

Na noc schroniłem się w wejściu do tunelu. Był to świetny punkt obronny, jak powiedział Strzyk Pszczole. O świcie wdrapałem się na wzgórze, które uznałem za najwyższe w okolicy, i wypatrzyłem drogę. Odprowadzany podejrzliwym spojrzeniem dwóch krów przeciąłem pastwisko, minąłem ruiny jakiegoś domu i wyszedłem na trakt. Ruchu właściwie nie było, lecz wiedziałem, że taki stan nie potrwa długo, bo wieść o losach Clerres z pewnością rozprzestrzeniła się lotem błyskawicy. Wkrótce zaczną ściągać złodzieje, rabusie, wszelkiego rodzaju grabieżcy i bandyci, hieny żerujące na ludzkim nieszczęściu. Wieści o smokach ich nie powstrzymają. Miałem nadzieję, że Prilkop szybko zajmie pozycję przywódcy, skoro mu to umożliwiłem. Pozostali przy życiu Słudzy oraz Biali mogli za sprawą jego nauk wrócić do dawnych obyczajów. Ja, tak czy inaczej, więcej nie będę miał z nimi do czynienia.

Noga w dalszym ciągu zdrowiała i wciąż bolała. Byłem stale głodny. Komary używały sobie na mnie, ile wlezie, a na dodatek coś podobnego do kleszcza wczepiło mi się w kark. Nie mogłem namacać owada, lecz miejsce ugryzienia swędziało niemiłosiernie. A do tego wszystkiego bardzo mi brakowało butów. Tego popołudnia musnął mnie cień ptaka. Za następnym przelotem Jaskrawa usiadła mi na ramieniu.

– Zabierz mnie do domu – zażądała.

– Nie zdążyłaś na statek? – spytałem.

Nie miałem ochoty przyznawać, że pasuje mi jej towarzystwo.

– Tak – potwierdziła, choć nie od razu.

– Kruczycyco... Jaskrawa. Skąd wiedziałaś, że żyję? Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?

– Człowiek srebrzysty, a wciąż tak samo głupi – rzuciła. Wzbiła się w powietrze.

– Drzewo owocowe! – zawołała. – Drzewo owocowe.

Poleciała przodem, wskazując drogę.

Wilk w moim sercu był równie zły, jak rozbawiony.

„Z krukiem się związałeś pod moją nieobecność? Cóż. Ach, przynajmniej nie jest ofiarą. I ma swój rozum”.

„Z nikim się nie związałem!”.

„Nie? Co prawda, to inna więź niż ta między nami, ale Rozumienie łączy na różne sposoby. Ona cię wyczuwa, choć nie ma ochoty używać swoich zmysłów”.

Nagle wiele spraw stało się dla mnie jasnych. A równocześnie poczułem coś w rodzaju oburzenia.

„Dlaczego trzyma mnie na dystans?”.

„Wie, że nigdy nie zwiążesz się z nią tak, jak ze mną. Chroni siebie”.

Ponieważ milczałem, po dłuższym czasie dodał:

„Lubię ją. Gdybym nadal szedł u twojego boku, cieszyłoby mnie jej towarzystwo”.

Wyczułem zapach dojrzałych owoców, zanim spostrzegłem drzewo. W niezbyt dużym sadzie. Wąska boczna droga prowadziła do kolejnego zniszczonego domu. Smoki nie oszczędziły nikogo. Pod gałęziami leżały morele, których nie miał kto zebrać. Na ziemi roiło się od mrówek. W powietrzu rozbrzmiewało brzęczenie owadów. Większość owoców nadal rosła. Zrywałem je szybko i pośpiesznie zjadałem. Zaspokajałem i głód i pragnienie, bo spływały sokiem.

Napełniwszy żołądek, nazrywałem więcej owoców, po czym z koszuli, z której i tak już niewiele zostało, zrobiłem coś w rodzaju worka. Załadowałem go do pełna i wróciłem na drogę. Ruszyłem przed siebie z nadzieją, że usłyszę stukot kół wozu lub tętent kopyt dość wcześnie, by się ukryć. Po niedługim czasie zaczął mnie boleć brzuch, nienawykły do takiej ilości świeżych owoców, jednak lepsze było to niż głód. Jaskrawa od czasu do czasu leniwie zataczała krąg nad moją głową. Za którymś razem ostrożnie sięgnąłem ku niej Rozumieniem. I owszem, gdy się skupiłem, wyczułem delikatną nić łączącej nas więzi. A równocześnie lekkie wzburzenie i odepchnięcie. Zostawiłem ją w spokoju.

Jedno, czego się od Błazna nie dowiedziałem, to ile czasu trwała jego podróż. Część drogi pokonał wozem, a ja miałem do dyspozycji tylko własne nogi. Noce spędzałem pod gołym niebem, za dnia uparacie szedłem. Żywiłem się tym, co znalazłem, często roślinami, których nie znałem, bo te, które rozpoznawałem, nie wystarczały do zaspokojenia głodu. Dni były zbyt gorące, w nocy kąsały mnie owady.

Tamtego wieczoru szukałem jakiegoś miejsca, w którym zdołałbym się schronić przed komarami, lecz okazało się to mżonką. Usiadłem więc w końcu pod jakimś drzewem, oparłem się o nie plecami i, klepiąc się po odsłoniętej skórze, sięgnąłem myślą ku Sumiennemu. Chciałem dać mu znać, że żyję i wracam do domu. Niech

Pszczoła i Błazen dowiedzą się o tym jak najprędzej. Może król zdoła mnie wspomóc bręczącą monetą? Zamierzałem przez filary Mocy dostać się do Kelsingry, liczyłem na ciepłe powitanie w mieście Najstarszych, lecz trochę gotówki zawsze się przyda. Po ostatnich wydarzeniach mój majątek był co najmniej skromny: ubranie przepalone srebrem, nóż przy pasie oraz kilka drobiazgów, z którymi skrytobójca nigdy się nie rozstaje, ukrytych w dyskretnie rozmieszczonych kieszeniach.

Skupiłem się, odsunąłem od siebie natrętne myśli o robactwie i twardych kamieniach. Pchnąłem Moc ku swemu władcy... i poniosłem całkowitą klęskę. Tak bezsilny nie byłem od lat.

Kolejny raz pacnąłem krwiopijcze insekty na karku, naciągnąłem koszulę na głowę i uporząkowałem myśli. Okiełznałem je, sięgnąłem ku Sumiennemu po raz wtóry. A potem raz jeszcze. I znowu. Czuję się tak, jakbym usiłował wyłowić z bulgoczącej zupy małą muszkę: za nic w świecie nie mogłem jej nabrać na łyżkę. Odpocząłem chwilę, opanowałem się, zrzuciłem z siebie złość. Spokój. Nie rozumiałem, co się dzieje. Takiej niemocy nie zaznałem od bardzo dawna. Kiedy to ostatnio...? Ach, wówczas, gdy usiłowałem porozumieć się z królem Szczerym. Był wtedy w Królestwie Górskim. On także miał na rękach srebro.

Może nie tylko we mnie tkwiła przyczyna kłopotów? Zawinił nie tylko mój nawyk związany z kozłkiem?

Objąłem kciuk srebrnymi palcami i wsłuchałem się w pulsującą w moim ciele szczególną moc. Ból. Nie, to rozkosz. Nie. Uczucie zbyt intensywne, by je określić słowem. Wobec tego ponownie: Kozia Twierdza i król Sumienny. Na moment znalazłem się w strumieniu Mocy.

Trafiłem na głębię, której istnienia nawet nie podejrzewałem. Tłoczyły się tam nieprzeliczone świadomości istnienia.

„Zapomniałem nakarmić...”.

„Jaki śliczny!”.

„Chłopcze mój...!”.

„Brakuje pieniędzy”.

Całkiem jak w wielkiej sali w Koziej Twierdzy, gdyby na tle muzyki wszyscy zgromadzeni mówili jednocześnie, równie głośno. Nie umiałem ich porozdzielać. Potem zjawiała się jakaś obecność, wielka i potężna. Wybiła się na tle gwaru niczym rozkaz wodza rzucony z mocą w oku bitewnego cyklonu. Inne rozstały się przed nią jak płatki przed grubą rybą, zamykając przestrzeń po jej przejściu.

Kiedyś, bardzo dawno temu, napotkałem jedną z takich osobowości w nurcie Mocy. Niemal się wtedy w niej zatraciłem. Tutaj, w tej warstwie, było ich wiele. Inne, mniej znaczne, dołączały do nich, powiększając je i wzmacniając. I ja

chciałem... Ja też pragnąłem...

Oddzieliłem się od niej, wróciłem do siebie. Dolną wargę zagryzłem do krwi.

Co się ze mną stało? Może smocze srebro wzmocniło u mnie potęgę królewskiej magii do tego stopnia, że trafiłem na poziom, gdzie nie dawałem rady nią rozporządzać? Wzniosłem ochronę umysłu i rozważyłem tę koncepcję.

Ostrożność przede wszystkim, zdecydowałem.

Mogłem wstrzymać się z używaniem Mocy. Po dotarciu do Kelsingry przesłać królowi Sumiennemu ptaka. Nie było potrzeby ryzykować.



Trafiając na rozstaje dróg, za każdym razem wybierałem trakt bardziej uczęszczany. A że przy tym starałem się unikać ludzkich siedlisk, musiałem nie raz i nie dwa zbaczać ze szlaku. Odkryłem w sobie radość, że smoki nie wybiły ludzi do nogi, ale też wolałem nikogo nie spotkać. Wiedziałem, jak wyglądam. Kruczycyca niekiedy pomagała mi wybrać drogę, kiedy indziej, gdy jej nie było, błądziłem po lasach i myliłem ścieżki zaopatrzone jedynie w nadzieję. Bezwstydnie podbierałem żywność z mijanych gospodarstw, zakradałem się do ogródków warzywnych, kurników i wędzarni. Raz wziąłem prześcieradło rozwieszony do wyschnięcia. W zamian zostawiłem zawiązane w rękaw suszącej się koszuli kilka drobnych monet, jakie jeszcze miałem na dnie kieszeni. Nawet skrytobójca ma swój honor. Kury złożą następne jaja, warzywa też urosną, ale zabrać prześcieradło to prawdziwa kradzież. Zrobiłem z niego prowizoryczny płaszcz, dzięki czemu zyskałem ochronę przed palącym słońcem oraz kąsającymi niemiłosiernie insektami. I szedłem dalej.

Pogoda wciąż była piękna, a podróż bardzo trudna. Stale myślałem o Pszczole i Błaźnie, bez ustanku się o nich martwiłem. Opłakiwałem w duchu Strzyka. W napływie egoizmu żałowałem, że nie dane mi było widzieć przeobrażenia „Niezrówanego” w smoki. Łamałem sobie głowę nad próżnymi obliczeniami, ileż to czasu może zająć moim towarzyszom powrót do domu. Obawiałem się, co będzie, gdy królowa Etta usłyszy o śmierci księcia. Oddała nam chłopca pod opiekę, a my ją zawiedliśmy. Pogrzeży się w żalu czy zapłonie gniewem? A może jedno i drugie?

Głód był moim stałym towarzyszem. Pragnienie pojawiało się i zniknęło, zależnie od tego, czy napotykałem strumienie.

Bez przerwy czułem ból i byłem notorycznie wycieńczony.

Moje ciało wciąż się leczyło, zużywając na to resztki sił. Nie żywiłem się, jak należy. Nie miałem butów. Całymi dniami szedłem, nocami przysypiałem pod

gołym niebem – a przecież dawno odwykłem od takiego trybu życia. Jednakże nawet wzięwszy to wszystko pod uwagę, byłem zdumiewająco wyczerpany. Któregoś ranka, otworzywszy oczy, byłem pogrążony w tak wielkim letargu, że nie znalazłem w sobie chęci, by w ogóle się ruszyć. Z jednej strony owszem, chciałbym znaleźć się w domu, jednak z drugiej nade wszystko pragnąłem pozostać w bezruchu. Leżałem na gołej ziemi, w cieniu drzewa, które gubiło liście. Po mojej dłoni maszerowały mrówki. Usiadłem, strząsnąłem je z ręki, podrapałem się po karku. Rana po kleszczu nie goiła się dobrze. Zdrapałem z niej strup, poczułem się trochę lepiej.

– Do domu! – zaskrzeczała Jaskrawa z gałęzi. – Do domu, do domu, do domu!

– Racja – zgodziłem się i podciągnąłem nogi pod siebie.

Bolały. Brzuch też.

„Bracie, masz robaki”.

Rozważyłem tę myśl. Zdarzała mi się ta przypadłość już wcześniej. Kto jej nie doświadczył? Znałem kilka środków zaradczych, niestety żaden nie był teraz dostępny.

„Kiedyś kazałeś mi połknąć miedzianą monetę”.

„Miedź zabija robactwo, a szczeniakowi nie zaszkodzi. Nauczyłem się tego od Brusa”.

„Serce Stada dużo wiedział”.

„Nie mam miedziaków. Muszę wrócić do domu. Tam będą zioła, które znam”.

„No to wstawaj i ruszaj w drogę”.

Jaskrawa miała rację. Należało wracać do domu. Wyobraziłem sobie, jak przytulam Pszczołę. Srebrnymi ramionami do połyskliwej twarzy... O, nie.

Tę myśl odsunąłem na bok. W pozbywaniu się niepożądanych myśli osiągałem coraz lepsze rezultaty.

Wystarczy, że dotrę do domu, uznałem.

Wtedy wszystko uporządkuję. Zobaczę się z Pokrzywą, poznam wnuczkę. Jakoś poradzę sobie ze srebrem. Cierń na pewno zna jakiś sposób... A, nie, Cierń nie żyje. Nie żyje też jego syn. Jak przywita mnie Szkoda po takich wieściach? Czy Najstarsza miała rację? Czy srebro rzeczywiście mnie zabijało? Powiedziała, że wsiąknie mi w kości.

„Wstawaj. Ty leżysz, a słońce wędruje. Chyba że postanowiłeś za dnia spać, a podróżować nocą?”.

Tej nocy będzie pełnia. Obejrzałbym sobie księżyc w pełni.

„Tak. Będę szedł nocą” – skłamałem.

O zmierzchu wstałem. Kruczycza przycupnęła mi nad głową. Podniosłem wzrok na pociemniałe gałęzie i ku swemu zaskoczeniu zobaczyłem ją jako plamę ciepła.

Błazen mówił o takim efekcie. Wtedy, gdy napił się smoczey krwi.

– Będę szedł. Mam cię nieść?

Kruki nie latają po zmierzchu.

Zakrakała lekceważąco. Mogła mnie znaleźć, kiedy tylko zechciała. Udowodniła mi to nie raz.

Przez ostatnie dni na drodze panował większy ruch, ale tylko za dnia. Nocą niewiele było na niej wozów i koni. Szedłem okryty płaszczem z prześcieradła, prawie całkiem zasłonięty. Tamtej nocy pokonałem spory dystans. Kamienie rozgrzane za dnia słońcem emanowały inne światło niż drobne ssaki szukające pożywienia przy krawędzi drogi. Kolejne wzgórze do pokonania. Trakt wiódł między polami uprawnymi i pastwiskami. Gdzie znajdę schronienie po brzasku? Będę się tym przejmował o świcie. Wszedłem na wzgórze i ujrzałem tętniący życiem port. Latarnie na zakotwiczonych statkach świeciły jasno, w mieście błyszcząły lampy. Miejscowość była przynajmniej tak duża jak Kozia Twierdza, tyle że rozłożyła się niczym ciasto w makutrze. Jak miałem niezauważony dotrzeć do kei? Musiałem przekonać załogę któregoś statku, by zabrała mnie do Furnich. I na dodatek nie mając grosza przy duszy. Może ukrąść jakąś niedużą łódź? I popłynąć... dokąd? Bez mapy? Potrzebna mi była łódź z załogą, która mnie posłucha.

Wieczne kłopoty. I dlaczego byłem ciągle tak śmiertelnie znużony?

Tamtej nocy ukradłem z klatki kwokę i trzy jaja. Potem ziarno z zagrody dla bydła, przyszpiliwszy wzrokiem psa, który na mnie warknął. Przekonałem go, że napotkał wilka. Tracony potęgą smoczego srebra splecioną z Rozumieniem podkulił ogon i wziął nogi za pas, skamłając żałośnie.

Dziwne wrażenie.

Uciekłem z tym, co ukradłem. Człowiecze zęby niezbyt dobrze nadają się do rozdrabniania surowego mięsa, jednak wytrwale ogryzłem kwokę do gołych kości. Połknąłem jajka, a ziarna przeżułem niczym krowa. Popiłem to wszystko wodą ze strumienia. Na dzień znalazłem sobie miejsce na kamienistym wale rozdzielającym pola.

Wyczekiwałem nocy. Zanim księżyc wzeszedł na niebo, biały i krągły, chyłkiem podążyłem do portu. Młotek potrafił całkowicie ukryć się za pomocą czarów, lecz był ode mnie znacznie potężniejszy. Zasłoniłem większą część twarzy prześcieradłem i trzymałem się cienia, a prócz tego słałem przekaz: „Nie widać mnie, nie widać”. Tak przemykałem cichymi ulicami. Ludzi było o tej porze niewiele. Tylko dwie osoby zahaczyły o mnie spojrzeniem. Potęga moich czarów płynących ze zmieszanych magii była w równej mierze niepokojąca, jak i uspokajająca. Do jakiego stopnia zdołam jej zawierzyć? Czy mogłem niezauważony iść ruchliwą ulicą w środku

dnia? Jeżeli spróbuję i mi się nie powiedzie, mogę stracić życie.

Wiedziałem, dokąd należy iść, więc się nie wahałem. Ruszyłem prosto na nadbrzeże.

Przystań nigdy nie zasypia. Nocą statki oddają i biorą towary, żeby wyjść w morze z porannym odpływem. Wybrałem keję, gdzie robotnicy portowi sznurem, na podobieństwo mrówek, ciągnęli z wózkami oraz taczkami do przycumowanego statku. Trzymałem się cienia i obserwowałem ładunek. Znowu byłem głodny, stale obolały i zmęczony. Mimo wszystko musiałem wziąć się w garść.

Wypatrzyłem statek, z którego wyładowywano skóry. Błazen mówił, że Furnich to miasto garbarni. Zastąpiłem drogę jednemu z żeglarzy.

– Muszę dostać się do Furnich. – Powlokłem go warstwą przyjaznego nastawienia.
– Chcesz mi się przypodobać – szepnąłem.

Przystanął, zmierzył mnie wzrokiem. Odpowiedziałem ledwo łypnięciem spod prześcieradła. Mięśnie twarzy mu się rozluźniły, a potem nagle ułożył wargi w serdeczny uśmiech, jakbym był jego przyjacielem.

– Właśnie stamtąd przybywamy – powiedział. – Niezbyt miłe miejsce. – Podkreślił słowa, kręcąc głową. – Żał mi ciebie, skoro musisz tam płynąć.

– Mimo wszystko muszę. Któryś ze statków się tam wybiera?

– „Tancerka”. Drugi z tamtej strony. Dowodzi Rasri. Przy grze zedrze z człowieka ostatnią koszulę, więc o hazardzie w podróży zapomnij.

– Dziękuję za radę. Niech ci wiatry sprzyjają.

Pożegnał mnie rozmarzonym uśmiechem kochanka. Nie byłem z siebie dumny, lecz musiałem dążyć do celu.

„Tancerka” okazała się niewielkim, bardzo dobrze utrzymanym statkiem o zgrabnym kadłubie i niewielkim kasztelu. Nie wymagała licznej załogi. Na pokładzie dostrzegłem kobietę. Wzmocniłem wolę, uprządłem z niej woal sympatii oraz zaufania. Zapytałem o kapitana. Żeglarce oczy się rozszerzyły, pomimo mojego dziwnego przebrania obdarzyła mnie uśmiechem.

– Kapitan Rasri to ja. Jaką masz do mnie sprawę?

Ujrawszy moją posrebrzoną twarz, cofnęła się o krok.

Uśmiechnąłem się uspokajająco i podsunąłem niezbite przekonanie, że to tylko dziwna blizna. Kapitan uprzejmie odwróciła wzrok.

– Muszę płynąć do Furnich.

– Nie bierzemy pasażerów, dobry człowieku.

– Dla mnie możecie zrobić wyjątek.

Jakiś czas przyglądała mi się uważnie, czułem, że toczy ze sobą wewnętrzną walkę. Nacisnąłem na jej wolę nieco mocniej.

– Moglibyśmy – przyznała z ociąganiem, choć równocześnie pokręciła głową.
– Przydam się na pokładzie. Liznąłem żeglowania.
– Mógłbyś się przydać – stwierdziła, marszcząc czoło.
– Jak daleko do Furnich?
– Dwanaście dni przy dobrej pogodzie. Musimy zawinąć do dwóch portów po drodze.

Gożąco pragnąłem zasiać w niej niezbite przekonanie, że musimy płynąć prosto do celu, jednak przyzwoitość mi nie pozwoliła. Już i tak zły byłem na siebie za to, co robiłem.

– Kiedy ruszamy?
– Z porannym odpływem. Niedługo.

Na pokład wszedłem dopiero, gdy Jaskrawa szeroką pętlą spłynęła gdzieś z niebosiężnych wyżyn i siadła mi na ramieniu. Na widok ptaszyska pani kapitan rozjaśniła się twarz.

– Dzięki – zakrakała kruczycą. – Wielkie dzięki.

To samo powtórzyła załodze.

Przedstawiłem się jako Tom Borsuczowłosa i korzystając z tego, że marynarze zajęci byli kruczycą, przykryłem ich, niczym pledem, zgodą na moją obecność. O brzasku ruszyliśmy w drogę.

Była to dla mnie najgorsza podróż w życiu. Nie bez powodu statek został nazwany „Tancerką”. Kiwał się i podskakiwał, dygał i zarzucał, bujał i kołysał. Cierpiałem na chorobę morską jak nigdy dotąd.

Mimo wszystko starałem się być użyteczny, skoro już tak siebie zaprezentowałem. Odświeżałem brązy, gładząc je palcami, każdy skrawek metalu na „Tancerce” błyszczał jak nowy. Wygładziłem postrzępione liny, by łatwiej przesuwwały się w bloczkach, wzmocniłem żagle, które nie były już pierwszej młodości. I chociaż byłem ciągle głodny, nie jadłem więcej, niż na mnie przypadało.

Podróż nie miała końca. Narzucanie woli załodze wymagało sporo siły i niemałego skupienia, a jednego i drugiego mi brakowało. Bałem się zawijania do portów, bo oznaczało to cumowanie na długi czas, potrzebny do wyładunku i załadowania towaru. Tyle w tym było mojego, że poszedłem do tawerny, by najeść się do syta. Wróciłem na „Tancerkę” wreszcie najedzony i zapadłem w ciężki sen. Po obudzeniu przez cały dzień czułem się silniejszy. Wkrótce jednak znużenie wróciło.

W czasie długich, rozkołysanych nocy myślałem o królu Szczerym i o tym, jak używał czarów dla obrony królestwa. Potrafił z niemałej odległości wyszukać zawyspiarskie statki, wywrzeć wpływ na kapitanów oraz nawigatorów, narzucić im swoją wolę. Ile wrażeń jednostek posłał w objęcia sztormu albo prosto na skały?

Co czuł, gdy za pomocą królewskiej magii siał spustoszenie, zabijał nieprzebrane rzesze ludzi? Czy spędzało mu to sen z powiek? Czy dlatego ruszył do Królestwa Górskiego, by tam, kierując się zaledwie niewyraźnym śladem z pradawnego przekazu, szukać pomocy Najstarszych?

W tę noc, gdy dotarliśmy do Furnich, wpoilem załodze oraz pani kapitan przekonanie, że wyświadczyli komuś ogromną przysługę i mają prawo być z tego dumni. Gdy ich opuszczałem, wydawali się nieco zaintrygowani i może odrobinę zakłopotani, lecz zadowoleni z siebie. Jaskrawa znów usiadła mi na ramieniu.

– Do domu – przypomniała.

A ja zaczerpnąłem siłę z jej nakazu.

Furnich okazało się ponurym miastem z gburowatymi mieszkańcami. Przerabianie bydła na mięso i skóry to zajęcie przykre, jednak nie musi być plugawe. Tymczasem Furnich było brudne, a w powietrzu unosił się odór beznadziei. Niskie, zaniedbane budynki przycupnęły nad samą zatoką. Nieco dalej, na wzgórzach, widać było ruiny dawnej siedziby Najstarszych. Wyraźnie została zniszczona celowo. Musiałem trzymać się nadziei, że filar Mocy jest nadal w takim stanie jak wówczas, gdy korzystali z niego Prilkop i Błazen. Podobno prawie leżał. Jeśli jednak zostało pod nim tyle miejsca, bym zdołał wcisnąć się pod kamienną bryłę, wykorzystam okazję, z wiarą, że w ten sposób dostanę się do Kelsingry.

„To niebezpieczne”.

„Bardziej niebezpieczne jest odwlekanie powrotu”.

Doskonale czułem jego powątpiewanie i dużo wysiłku kosztowało mnie, by mu się nie poddać.

Szedłem przez miasto, znowu głodny, lecz nie dostrzegłem żadnej oberży, do której miałbym ochotę wstąpić. Te, co mijalem, wyglądały odstręczająco, nie budziły zaufania. Postanowiłem iść wprost do miasta Najstarszych, odszukać czarny kamień i jak najszybciej opuścić to niegościnnie miejsce. Brzydota przylegała tu do wszystkiego niczym kleisty odór. W Kelsingrze mnie znają. Nakarmią, będą dla mnie mili. Tutaj nikt nie wiedział, co znaczy to słowo.

Przystanąłem dla złapania oddechu, wsparłem się o ścianę stajni. W tej samej chwili rozpacz i zwątpienie zasnuły mi świadomość, jakby mnie owiał wiatr niosący gryzący dym. Znałem intensywność takiego odczucia, nieobce było mi też brzęczenie w uszach.

„Tutaj nas zdradzili. Przez długie lata zwodzili nas, udawali przyjaciół... A potem, w czarnej godzinie, gdy się tu schroniliśmy, wyrznęli nas. Wymordowali, tak jak i smoki, tak samo jak węże w morzu”.

Przez chwilę widziałem ich na własne oczy. Najstarszych biegnących ulicami,

szukających bezpiecznego schronienia, którego znaleźć nie mogli. Uciekali ze zburzonego miasta, przybiegli tutaj, do siedziby ludzkiej, gdzie powietrze nie było przesączone trucizną i ciężkie od popiołu. Tymczasem, gdy wyłonili się z kamiennych portali, już na nich czekali najemnicy, już nieśli im śmierć. Słudzy bowiem wiedzieli, że miasta Najstarszych zadrżą w posadach i upadną, że i Najstarsi, i smoki będą uciekać właśnie tutaj. By wyeliminować smoki, musieli to samo zrobić z Najstarszymi.

I zrobili.

Wspomnienie zdrady skąpanej we krwi wsiąkło w kamienie miasta Najstarszych. A kolejne pokolenia ludzi mieszkających nad zatoką zaopatrywały się w budulec w miejskich ruinach i z nich stawiały Furnich. Tym samym przenosiły do swoich domów pamięć wiarołomstwa, pogromu i śmierci. Nic zatem dziwnego, że patrzyli na czarne ruiny z nienawiścią.

Im bliżej podchodziłem do zniszczonych willi na łagodnym zboczu, tym ciemniejsze i bardziej ponure wspomnienia ogarniały mój umysł. Moc i smocze srebro jednakowo silnie wirowały mi w świadomości, gdy chwiejnym krokiem zdążałem pomiędzy duchami. Kobiety i mężczyźni. Krzyczeli i płakali. Martwe dzieci. Ulice spływające krwią.

Wzniosłem mury chroniące umysł, odciąłem się od makabry.

Kelsingra stanowiła krynicę wspomnień Najstarszych, śpiewała o festiwalach, dzwoniła o jarmarkach, grała o szczęśliwych czasach. Tutaj kamienie nasiąkły cierpieniem i śmiercią tych, co stworzyli z nich piękne miasto. Koszmarne dziedzictwo strachu i beznadziei przechodziło z pokolenia na pokolenie, a dawne radosne sceny utonęły we krwi.

Nie znałem nazwy miasta Najstarszych wzniesionego na wzgórzu. Trawa próbowała tu rosnąć między popękkanymi płytami chodnika, lecz przy jego konstrukcji użyto zbyt wielu magicznych kamieni. Ulice pamiętały, czym były, i nie pozwalały roślinom wzrastać. Wszędzie widniały ślady po młotkach i dłutach, rzucone z podestów rzeźby celowo rozbito na kawałki, zniszczono fontanny, zburzono ściany willi.

Gdzie szukać czarodziejskich filarów? W centrum miasta, jak w Kelsingrze? Na szczycie wieży? Na placu targowym?

Błąkałem się po pustych ulicach, brnąłem przez rzekę rozkrzyczanych zjaw. Jaskrawa poderwała się w górę, zatoczyła krąg, po czym wróciła na moje ramię. Kiedyś miasto było piękne, strojne w bogate majątki i kipiące zielenią ogrody. Teraz przypominało martwego jelenia zżeranego przez larwy, odartego z majestatu, dostojeństwa i urody, skalanego wspomnieniami śmierci, zdrady, nienawiści. Tylko

Rozumienie upewniało mnie, że należą one do przeszłości.

Również ono upредиło mnie o obecności ludzi, którzy ciągnęli moim śladem. Trzymali się w pewnej odległości. Chroniąc umysł przed krzykiem kamieni, zaniebalem Moc, zapomniałem, że muszę się pod nią ukrywać. Ale co tam, może była to po prostu grupka ciekawskich? W końcu każdy obcy wzbudza niejaką sensację. Czy zaintrygowała ich moja skóra pochlapana smoczym srebrem? Jaskrawa zakrakała w górze, a gdy podniosłem na nią wzrok, zatoczyła koło, po czym gwałtownie zanurkowała i siadła mi na barku.

– Uważaj – rzuciła ochryplym szeptem. – Uważaj, Bastardzie.

Zamykali okrąg.

Stałem bez ruchu, skupiłem się na powolnym, spokojnym oddechu. Rozumieniem sięgnąłem szeroko, sprawdzając, ilu ich jest i gdzie dokładnie się znajdują. Czego chcieli? Czy naprawdę sądzili, że mam coś, co warto mi odebrać? A może to po prostu łobuziaki, które nie potrzebują szczególnego powodu, żeby obcemu przetrzepać skórę? Nie miałem siły biec, a co dopiero walczyć.

„Zostawcie mnie w spokoju!” – rzuciłem w noc żarliwą prośbę, lecz przesiąknięte Mocą kamienie osłabiły i zdusiły mój przekaz.

Żeby zapanować nad myślami przeciwnika, musiałem spojrzeć mu w twarz, zajrzeć w oczy. A oni wciąż utrzymywali dystans. Bez wątpienia świetnie znali ruiny. Być może podsycali w sobie tę nienawiść napędzaną strachem już od lat dziecińczych. Nadal ich nie widziałem. W pewnej chwili kątem oka dostrzegłem w ciemności ślad ruchu, gdy któreś z nich przemykało od jednej osłony do drugiej. Ilu miałem przeciwników?

Czterech. Nie. Pięciu. Dwóch trzymało się razem. Rozszerzyłem nozdrza, wciągając ich zapach. Odruch, jednak przy użyciu żalósnego ludzkiego nosa właściwie bezsensowny.

„Są blisko. Wybierz miejsce”.

To była moja niezaprzeczalna przewaga. Wyciągnąłem nóż i stanąłem pod fragmentem ściany, który osłaniał mi plecy. Odrzuciłem na bok prześcieradło udające płaszcz. Może mój wygląd ich wystraszy? Przekona do zmiany zdania? Tylko... czy w zapadających ciemnościach dojrzą, jak rzeczywiście wyglądam? Ze ściśniętym sercem zadałem sobie pytanie, jacyż to ludzie z własnej woli zanurzają się w gęstej atmosferze nienawiści i przelanej krwi. Na pewno nie byli dobrzy.

Usłyszałem niegłóсны śmiech, zaraz ktoś kogoś uciszył. Zaśmiała się kobieta. Cóż. Wobec tego przyszedli raczej rozerwać się niż wzbogacić. I najpewniej nie byłem pierwszą ich ofiarą.

W ścianę, o którą się opierałem uderzył kamień. Drgnąłem gwałtownie,

a kruczycyca skoczyła w górę i odfrunęła. Nic dziwnego. Mogli ją zabić, wystarczyło, żeby trafili raz. Następny kamień stuknął tuż przy mojej głowie. Nadal stałem bez ruchu, słuchałem. Kolejny trafił mnie w udo i tym razem nikt nie uciszał śmiechu. Napastnicy nadal pozostawali w ukryciu. Usłyszałem miękki świst procy, a wypuszczony z niej ładunek łupnął mnie w piersi. Uniosłem ramię, zasłoniłem twarz, jednak któryś z pocisków znalazł drogę i z przykrym trzaskiem rozciął mi wargę do krwi. Zabrzęczało mi w uszach.

„Tchórze!” – warknął Ślepun. – „Zabić ich!”.

Gdy mój wilk żył, Rozumienie łączyło nas tak ściśle, że często czułem się w równym stopniu człowiekiem i zwierzęciem. Po śmierci ciała zamieszkał w moim, tkwił we mnie przez lata. Stał się częścią mnie. W jakimś sensie, nie do końca.

W czasach najwcześniejszych prób opanowania Mocy moja magia zwierzęca zawsze była z nią nierozzerwalnie spleciona. Konsyliarz starał się mnie jej pozbawić, głównie przez bicie. Inni wpajali mi osobno panowanie nad królewską magią, odrębnie nad Rozumieniem, i potępiali mnie, że nie potrafiłem ich rozdzielić. A teraz, kiedy Ślepun, rozwścieczony moim bólem, szarpnął Rozumieniem, Moc niesiona smoczym srebrem nie zdołała mu się oprzeć.

Przelotnie dojrzałem kobietę przemykającą od zwalonej ściany do kępy jeżyn. Na niej skupiłem uwagę.

„Umrzyj” – powiedziałem cicho i upadła jako pierwsza.

Osunęła się znienacka, zwiotczała, jakby ogłuszona, lecz Rozumienie dało mi pewność, że pożegnała się z życiem. Serce w jej piersi stanęło, przestała oddychać.

Jej dwaj towarzysze, za sprawą źle pojętej lojalności lub może z głupoty... albo z obu powodów – rzucili się do niej biegiem. Ach, w końcu, po cóż się dłużej kryć? Człowiek zapędzony w pułapkę nie stanowi zagrożenia. Uniosłem drżącą rękę powleczoną srebrem i wskazałem jednego z nich.

– Giń – poleciłem.

Napastnik osunął się na ziemię, drugi stanął zdezorientowany.

– Gin – powiedziałem do niego, a on posłusznie oddał życie.

Jakież to łatwe. Zbyt łatwe.

– Powalił ich! – krzyknął ktoś. – Nie wiem jak, ale ich powalił! Saha! Bar! Wstawajcie! Co z wami?

Z ukrycia wyszedł chudy wyrostek o ciemnych potarganych włosach. Nie spuszczać ze mnie wzroku, przemykał ukradkiem ku ciałom.

– Nie żyją! – stwierdził po chwili.

Miałem nadzieję, że ucieknie. A jeszcze bardziej chciałem, by podjął walkę.

Kobieta, płochliwa niczym łania, wstała i wyszła spomiędzy wysokich traw. Była

śliczna. Rozpuszczone ciemne włosy spływały jej na ramiona.

– Saha? – odezwała się niepewnie. Tym razem w jej głosie nie było śladu wesołości.

– Zabił ich! – krzyknął chłopak piskliwie.

Ruszył na mnie, kobieta natychmiast poszła w jego ślady. Jednym ruchem dłoni przeciąłem ich ścieżkę.

Upadli oboje równie martwi, jakbym im toporem zdjął głowy z karków. Rozumienie natychmiast upewniło mnie, że nie została w nich najmniejsza iskra życia. Nigdy dotąd nie używałem czarów w taki sposób. Nigdy wcześniej nie byłem tak silny. Przypomniało mi się, jak w początkach nauki walczyłem o umiejętność zapanowania nad Mocą. Teraz spowodowałem śmierć ludzi, których nawet wyraźnie nie widziałem.

„Nie wiedziałem, że tak potrafimy!”.

Ślepun wydawał się odrobinę wystraszony.

„Ani ja”.

Czy naprawdę czułem wstyd, że podporządkowałem sobie umysły załogi na „Tancerce”? Tak, owszem. A teraz byłem wstrząśnięty do tego stopnia, że aż odrętwiały. Taki sam spokój widziałem u człowieka, który stracił nogę. Moi wrogowie umarli, a ja żyłem. Wyrzuty sumienia odsunąłem poza świadomość.

Zabrałem pokonanym, co się dało. Jedno z nich miało pasujące na moje stopy sandały. Od ślicznej kobiety wzięłem płaszcz. Nie pogardziłem brzęczącą monetą. Jeszcze sakwa na wodę, nóż. Przy drugiej kobiecie znalazłem papierowy rożek z gumowatymi miętowymi cukierkami. Od razu wrzuciłem je do ust, popiłem cienkuszem. Odwróciłem wzrok, gdy Jaskrawa wybierała sobie z ciał najsmaczniejsze kąski. Czymże się od niej różniłem? A oni byli martwi. Niechże i ona skorzysta.

Noc gęstniała, księżyc wspiął się wyżej na niebo. Wspomnienia tragedii w zrujnowanym mieście przybierały na sile. Jaskrawa przysiadła mi na ramieniu. Czy mieszkańcy Furnich byli potomkami tych, co urządzili rzeź Najstarszym? Czy brzydota, zohydzenie i wieczna nienawiść stanowiły nieplanowaną torturę tych, co nie wiedzieli o karygodnych czynach swoich przodków? Czy posępny nastrój ciążył na każdym następnym pokoleniu morderców?

Filary znalazłem, idąc pod prąd strumienia widmowych uciekinierów. Przedzierałem się przez efemeryczne ciała i krzyczące widma, aż dotarłem do miejsca, gdzie Najstarsi w postaci duchów kłębili się niczym owce okrażone przez wilki. Wychodząc z filaru Mocy, dostrzegali trupy i próbowali od razu zawrócić, choć przecież i w miejscu, skąd uciekli, nie byli bezpieczni. Właśnie tam,

w kłębowisku oszalałych zjaw znalazłem kamienny portal.

Wszystko zgadzało się ze słowami Błazna. Ktoś włożył dużo wysiłku w obalenie ciężkiej kolumny. Leżała na ziemi, księżyc w pełni zapalał nierówne błyski na jej podrapanej powierzchni. Ściany, do których był łatwy dostęp, pokaleczono ostrymi narzędziami. Smród moczu i kału zatykał dech. Po tylu latach nienawiść wciąż kazała ludziom okazywać agresję w ten prymitywny sposób?

„Ludzie sikają ze strachu”.

Wokół obalonego monumentu rosła wysoka trawa. Wyłaniający się z niej Najstarsi przyciskali do piersi dzieci, nieśli naręcza uratowanych z katastrofy przedmiotów. Opadłem na czworaki, utorowałem sobie drogę między szorstkimi źdźbłami, przez splecione powój. Przydałaby mi się teraz mapa sporządzona przez Ciernia, ta, na której zaznaczono wszystkie znane nam filary Mocy wraz z miejscami przeznaczenia, do których prowadziły. Trudno. Nieważne. Nie ma jej, to nie ma, pozostawało mieć nadzieję, że niedźwiedziowi smakowała. Błazen powiedział, iż ten etap podróży zakończyli pod filarem. Czyli wystarczyło dostać się pod spód. Tam była właściwa dla mnie ściana. Musiałem pokonać drogę w odwrotną stronę. Zajrzałem pomiędzy pnączami w smolistą czerń pod leżącą kolumną. Jaskrawa przywarła do mojego płaszcza, uczepiła się strzępów koszuli, zostawiając zadrapania na karku.

„Gotowy?”.

„Nigdy nie jestem na to gotowy. Rób, co trzeba”.

– Do domu. Do domu.

„Świetnie, wobec tego”.

Rozsunąłem gałęzie jeżyn, syknąłem, gdy kolce rozorały miąż dłoń. Musiałem teraz rozpląszczyć się na ziemi, by wpełznąć pod filar.

Wystarczył moment głupoty spowodowanej zmęczeniem. Chcąc wpełznąć pod kolumnę, przytrzymałem się dłonią – dłonią powleczonej smoczym srebrem, najbliższej powierzchni magicznego portalu. Wciągnął mnie. Zdążyłem tylko dostrzec zniszczoną runę. Nie rozpoznałem jej. Jaskrawa krzyknęła z przestachu i znaleźliśmy się w przejściu.

Rozdział 43

Miasto Wolnego Handlu

Do Najwyższej mistrzyni Mocy, Pokrzywy – od praktykanta Suwerena.

Zgodnie z Twoją wolą, Pani, zwierzam się ze swojej winy na piśmie i równocześnie prezentuję wyjaśnienia. Nie przepraszam, lecz przedstawiam powody, dla których nie usłuchałem czeladniczki Ścinki, która nadzorowała mnie w czasie wizyty na wyspie Aslevjal. Wiedziałem, w jakim celu się tam udaliśmy. Mieliśmy zbierać kostki Mocy, notować, skąd zostały wzięte, i przynieść je do zamku w Koziej Twierdzy, by tam zostały odczytane, posegregowane i złożone na przechowanie. Ścinka całkiem jasno przekazała mi, że mam trzymać się grupy i nie dotykać niczego, co nie wiąże się z naszym zadaniem.

Miałem jednak w pamięci niesłychane opowieści o tamtejszej komnacie mapy i pragnienie ujrzenia tego wnętrza pokonało zdrowy rozsądek oraz karność. Niepostrzeżenie oddaliłem się od kręgu Mocy, odszukałem słynne wnętrze i przekonałem się na własne oczy, że opowieści o nim nie były ani na jotę przesadzone. Zamarudziłem tam dłużej, niż zamierzałem, więc zamiast wrócić w miejsce, gdzie zbieraliśmy kamienie, poszedłem wprost do filaru, przez który dotarliśmy na wyspę.

Najważniejsza część tego pisma z pewnością nie tłumaczy mojego nieposłuszeństwa. Pozostali jeszcze do filaru nie dotarli. Byłem zmęczony, ciążył mi worek z kostkami. Usiadłem i oparłem się plecami o ścianę. Nie wiem, czy się zdrzemnąłem, czy też zagarnęły mnie wspomnienia tamtego miejsca, lecz zacząłem widzieć Najstarszych, wchodzących w filar i z niego wychodzących. Byli między nimi bardzo wytwornie odziani. Niektórzy przechodzili przez kamień z taką łatwością, jakby przechadzali się po ogrodzie. Po jakimś czasie uświadomiłem sobie, że każda płaszczyzna filaru przenosi tylko w jedną stronę. Jeśli Najstarsi z którejs wychodzili, to w nią nie wchodzili – i na odwrót.

Sądzę, że powinniśmy starannie zbadać runy na każdej ze ścian kolumny. Moim zdaniem niektóre przypadki zaginięcia na pewien czas w kamieniu albo utraty sił po podróży mogą być tłumaczone niewłaściwym wykorzystaniem czarnych filarów, podróżowaniem w stronę odwrotną od założonej. Nim nadszedł czas powrotu do Kamieni Świadców byłem już ogromnie

podekscytowany. Jestem przekonany, że opóźniliśmy się z powrotem o dzień, ponieważ weszliśmy w filar od strony, z której dawni Najstarsi wyłącznie wychodzili.

Za niestosowne zachowanie i oddalenie się od kręgu najmocniej przepraszam. Zachowałem się lekkomyślnie i nieodpowiedzialnie. W sprawie osądu i kary oddaję się, Pani, do Twojej dyspozycji.

*Z najszczerzszymi wyrazami szacunku
Praktykant Suveren*

Płynęliśmy coraz dalej. A ja powoli budziłam się do życia.

Dwalia zostawiła mi po sobie pamiątkę. Jeśli było zimno albo mokro, lewa kość policzkowa dawała mi się we znaki, czasem z lewego oka płynęły łzy. Lewe ucho było bezkształtne i guzowate i nie dało się spać, gdy było przyciśnięte do poduszki. Otarcia i siniaki od metalowej obroży schodziły bardzo wolno. Tak czy inaczej, to właśnie było moje ciało. Najzwyczajniej w świecie nie miałam ochoty nic robić. Tylko leżeć na hamaku w półmroku. I pragnęłam, by Ukochany, pani Amber oraz Błazen przestali mi się naprzykrzać. Za każdym razem, gdy zapisywałam sen w dzienniku, karnie wspominałam o tym przyjacielowi ojca. Mimo to przychodził do mnie kilka razy dziennie. Jeżeli tkwiłam na hamaku, pani Amber siadywała w pobliżu zajęta jakimiś robótkami ręcznymi. Czasami zostawiała rzeźbione w drewnie zgrabne zwierzątka: to pewnie były prace Błazna, tata o tym pisał. Podobały mi się i chętnie bym je sobie wzięła, lecz nigdy ich nie ruszałam. Zwykle starałam się nie patrzeć na panią Amber, a jeśli już nasze spojrzenia się spotkały, w jej wodnistych oczach widziałam żal i błaganie.

Ukochany nigdy nie stracił przy mnie cierpliwości.

Żarzył się we mnie ogieniek niechęci, który podsycalam przy każdej okazji. Często myślałam o tym, że on jest, a taty nie ma. Wyobrażałam sobie, co byśmy razem robili w drodze do domu, gdyby był. Otóż rozmawialibyśmy ze statkiem i obserwowali ptaki. Uczyłby mnie historii oraz geografii Królestwa Sześciu Księstw, objaśniał sprawy związane z Miastem Wolnego Handlu i z Deszczowymi Ostępami. Byłby wobec mnie uczciwy i niezmienny. Tyle tylko że już go nie było. A ja, za każdym razem, gdy patrzyłam na człowieka, który usiłował go zastąpić, darzyłam tego kameleona coraz większą antypatią.

Niestrudzony zaczął mnie traktować nieco bardziej bezpośrednio. Nalegał, bym jadała posiłki przy wspólnym stole, pokazywał mi, jak wiązać węzły. Basałyk,

choć z trudem, to jednak radził sobie o własnych siłach. Któregoś razu przysiadł się do nas w czasie posiłku i tak mnie zasypał wyrazami wdzięczności, że aż się zawstydziałam. Nie wiedziałam, gdzie podziąć oczy. Jego matka zawsze się do mnie uśmiechała. Kapitan Prawy podarował mi naszyjnik z klejnotem świecącym w ciemnościach oraz kubek, który w czarodziejski sposób podgrzewał zawartość.

– Panienska musi poznawać statek, póki można – przekonywał mnie Niestrudzony jednego popołudnia. – Bo kiedy panienska jeszcze popłynie żywostatkiem? Nigdy! Wszystkie przemienią się w smoki. Trzeba korzystać z okazji.

Miał rację, jednak aktywność w każdej formie męczyła mnie niewypowiedzianie. Raz uparł się, żebym spróbowała wspinaczki po takielunku.

– Panienko, tylko kawałek, pięć kroczków, żeby panienska poczuła liny pod stopami. Wystarczy iść za mną, stawiać nogi tam, gdzie ja, chwytać się rękoma w tych samych miejscach.

Nie ustąpił. Nie spytał, czy się boję. Tak samo było przy okazji nauki jazdy na Fanaberii. A mnie duma nie pozwoliła wykrzyknąć, że jestem przerażona. Dlatego w końcu wspięliśmy się po olinowaniu. Wyżej i wyżej. Znacznie wyżej niż pięć kroczków. Na szczycie masztu znajdowała się niewielka platforma ze ściankami uplecionymi z taśmy. Pomógł mi się tam wtarabanić, a ja przycupnęłam na deskach i wreszcie poczułam się bezpieczniej.

– To jest bocianie gniazdo – wyjaśnił. Nagle posmutniał. – Mój kruk lubił tu przysiąść.

– Wiem, że za nim tęsknisz.

– Właściwie to samica. Ma na imię Jaskrawa. Ostatni raz widziałem ją, kiedy poleciała za czerwoną smoczyką. Może teraz będzie ze smokami. Polubiła Hiibi. – Umilkł na chwilę. – Martwię się, czy przeżyła. Dawniej kruki dziobały ją, bo miała kilka białych piór. Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej, skoro teraz są czerwone.

– Przykro mi, że zniknęła. Chętnie bym ją poznała lepiej.

– Panienko Pszczółko, wyleczyłaś poparzenia Basałyka – zmienił nagle temat. – Dlaczego nie wygładzisz swojej skóry, nie pomożesz sobie?

Odwróciłam od niego twarz. Zabolało mnie, że przeszkadzają mu moje blizny.

– Nie chodzi o wygląd – zapewnił. – Widzę, jak utykasz. Przyciskasz dłoń do policzka. Blizny na pewno ciągną. Nie chcesz poczuć się lepiej?

– To nie byłoby w porządku – odparłam po jakimś czasie.

Nie potrafiłam mu wytłumaczyć, że nie chcę robić tego sama. Powinien być przy mnie tata. Jego rolą było wygładzenie mi twarzy troskliwymi dłońmi, zauważenie, przyznanie, że zostałam skrzywdzona. A tak musiałabym to robić sama. I dlaczego? Dlatego że zamiast ojca przeżyła pani Amber. Tego nie mogłam mu powiedzieć,

więc znalazłam inne wyjaśnienie.

– Tata miał blizny. Rebus ma blizny. Mama miała blizny, tyle dzieci urodziła. Tata mówił, że każda blizna świadczy o zwycięstwie. I gdyby miały zniknąć... – Dotknęłam zgruchotanego policzka. Już od jakiegoś czasu czułam, że kość jest wgnieciona. – Czasu i tak nie cofnę. Co się stało, to się nie odstanie.

Pokiwał głową na boki. Potem rozwiązał troczki przy kołnierzu i rozsunął koszulę, odsłaniając gładką, umięśnioną pierś.

– Widać, gdzie mnie trafiła strzała wtedy, w Białym Gaju?

Przyjrzałam się uważnie.

– Nie.

– Bo pan Bastard zatarł ten ślad. Uzdrowił mnie. I tutora panienki też. A jak wyglądał pan Błazen, zanim ojciec panienki go wyleczył...? Szkoda gadać! Pan wziął na siebie jego rany, żeby szybciej wyzdrowiał.

Jak to zrobił? I jak szanować Błazna, który własne cierpienie złożył na barki mojego ojca?

Dopiero gdy Niestrudzony dotknął mojego policzka, zorientowałam się, że długo milczę.

– Panienko... widzę, że cierpisz. Trzeba to wszystko ponaprawiać. Czasu nikt nie cofnie, ale nie ma powodu cierpieć bez końca. To jakby wciąż być w rękach oprawców.

– Zobaczymy. A teraz chcę zejść. Strasznie tu huśta.

– Łatwo się do tego przyzwyczaić. A bocianie gniazdo można polubić.

– Zobaczymy – powtórzyłam.

I dotrzymałam słowa. Dwa dni później, gdy wiatr zamarł i żagle obwisły, znów wspięliśmy się na samą górę. Czy mi się to podobało, trudno powiedzieć, ale już nie bałam się tak strasznie, jak za pierwszym razem. Cisza na morzu trwała kilka dni, w tym czasie bocianie gniazdo stawało mi się coraz bliższe. Bywało zajęte przez Mrówkę. Nie mówiła dużo, uwielbiała tam siedzieć. Polubiłam ją.

Nocami, na hamaku, za każdym razem po troszeczkę, zaczęłam się uzdrawiać. Nie było to łatwe, lecz też nie śpieszyłam się, bo nie chciałam, by zmiany rzucały się w oczy. Nie pragnęłam, by ktokolwiek zwrócił uwagę, że wyglądam lepiej, albo mnie za to chwalił. Nie umiałabym wytłumaczyć tego nastawienia, nawet sobie. Tak czy inaczej, to i owo poprawiłam. A ucho, którego tata dotknął i nazwał świadectwem zwycięstwa? Zostało niezmienione.



Pokochałam statek. Chyba dlatego, że odbierałam, jakimi uczuciami on mnie darzył. Wystarczyło, że położyłam dłoń na srebrzystym drewnie relingu, a już powstawało połączenie. Trochę przypominało to sceny z mamą – na przykład, gdy wchodziłam do pokoju, gdzie szyła, podnosiła wzrok znad robótki i uśmiechała się na mój widok. Ot, takie drobne powitanie i przesłanie dobrych myśli. Nie miałam odwagi rozmawiać z „Werwą”, lecz byłam pewna, że jest mi życzliwa. Więcej nie potrzebowałam.

Słyszałam natomiast jej rozmowy z kapitanem. Potrwało trochę, nim zorientowałam się w sytuacji, jednak w końcu zrozumiałam, iż kapitan Prawy jest siostrzeńcem kapitan Althei Vestrit, a „Werwa” statkiem rodziny Vestritów i to na jej pokładzie wychowała się kapitan Althea. Żywostatki były, najwyraźniej, szalenie ważne dla swoich rodzin właścicielskich. „Niezrównany” przemienił się w dwa smoki i odleciał, co oznaczało, że Althea, Zuchwalec i Basałyk nie mieli już statku. „Werwa” też chciała przybrać smoczą postać. W tej sytuacji żadne z nich nie będzie miało żywostatku. Niestrudzony miał rację. Zanim dorosnę, żywostatki znikną.

Był to powód do smutku, jednak zaistniał też konflikt bardziej palący. Któregoś razu umościłam się na zwiniętej linie, blisko przedniego pokładu, i zapadłam w drzemkę. Gdy się ocknęłam, dostrzegłam przede wszystkim żeglarzy, stojących rzędem, z kapeluszeniami w dłoniach. Nie słyszałam, o co zapytali statek, lecz odpowiedź dotarła do mnie całkiem klarowna. „Werwa” odmówiła zawinięcia na Wyspy Pirackie. Na nic się zdały prośby kapitana, nie pomogły błagania Basałyka, pozostała nieugięta. Widziałam w jej czarnych kręconych włosach rysunek drewna, a jednak poruszały się, gdy potrząsała głową.

– Kennitasyn nie ożyje – stwierdziła – niezależnie od tego, gdzie ani w jaki sposób dowiedzą się o jego śmierci. Wszyscy wiemy, że dla królowej Etty i dla Sorkora, a w zasadzie dla każdego na Wyspach Pirackich będą to wieści tragiczne. Sądzicie, że mnie Kennitasyn był obojętny? Nie łączyły nas więzi krwi, ale go lubiłam. Znałam jego ojca i chyba rozumiałam lepiej, niżbym chciała. Szanuję niektóre spośród jego uczynków. Niemniej nie mam życzenia tkwić w Łupigrodzie, gdy Etta będzie szalała z rozpaczy, klęła i szlochała. Doskonale wiecie, że zażąda odpowiedzi na setki pytań, rzuci wiele oskarżeń i po tysiackroć znajdzie winnego. Potrwa to długie tygodnie, jeśli nie miesiące.

– Co w takim razie zamierzasz? – Pytanie zadała nawigatorka.

– Zamierzam ominąć Wyspy Pirackie. Wiem, że potrzebujecie zapasów. Nie jestem „Szalonym Statkiem”, troszczę się o załogę. Mam swój plan. Zatrzymamy się na krótko w Mieście Wolnego Handlu. Potem ruszę Rzeką Deszczową do Trehaugu. Po srebro. Chcę stać się smokiem, którym powinnam być zawsze.

– A co ze mną? – spytał kapitan Prawy zniechęcony. – Jak mnie oceni królowa Etta? Czy jeszcze kiedykolwiek będzie mi dane zawinąć do Łupigrodu, jeśli nie dostarczę władczyni osobiście wieści o śmierci jej syna? – Pokręcił głową. – Stracę twarz. A może i życie.

Do stojących podszli Althea, Zuchwalec oraz Basałyk. Czy obawiali się buntu załogi?

„Werwa” milczała czas jakiś. Gdy się odezwała, w jej głosie brzmiały smutek i zdecydowanie.

– Wiem tylko, że już zbyt długo byłam statkiem. Prawy, jestem uwięziona, muszę odzyskać wolność. Muszę się uwolnić. I ty także. Lata całe minęły... Etta nigdy nie pokocha cię tak mocno, jak Kennita. Jej miłość można zdobyć jedynie chłodem i lekceważeniem. Uznała, że mężczyzna kocha ją, ponieważ jej nie bije. A Kennit? Nigdy nawet przed sobą nie przyznał, że była dla niego kimś więcej niż podręczną dziewczką. Ciebie lubił bardziej niż ją. Wracaj do domu. Zabierz mnie do domu. Czas, byśmy oboje odzyskali wolność.

Po słowach „Werwy” zapadła tak długa cisza, że zaczęłam się zastanawiać, czy aby nie zostałam już sama. Rozchyliłam powieki. Kapitan Althea objęła siostrzeńca za ramiona. Załoga, chcąc mu zaoszczędzić wstydu, odwracała wzrok od jego przygnębionej twarzy.

– Ma rację – wyszeptał Basałyk. – Wszyscy wiemy, że ma rację.

Prawy wzruszył ramionami, strząsając z nich rękę ciotki i, stawiając długie kroki, odszedł od rodziny, załogi oraz galionu.

Uznałam, że najlepiej zrobię, nadal udając, że śpię. I nigdy nie będę z nikim rozmawiała o tym, co usłyszałam.

Większość żeglarzy pływających na „Werwie” pochodziła z Wysp Pirackich. Gdy usłyszeli, że nie wrócą do rodzimego portu, poczuli się urażeni i zdradzeni. Napięcie rosło, chociaż załoga wiedziała, że decyzję podjął statek, nie Prawy. Kapitan był bezsilny.

Dopiero gdy Wyspy Pirackie ukazały się w zasięgu wzroku, wystąpił z pewną propozycją. Tym, którzy chcieli zejść z pokładu i popłynąć do Łupigrodu, oddał do dyspozycji szalupy. Jedną postanowił zatrzymać, choć wiedział, że w razie jakiejś katastrofy i tak wszyscy się w niej nie zmieścimy.

W efekcie ze statku zeszło raptem dziesięciu marynarzy. Ci, co pływali z „Werwą” od lat, chcieli zobaczyć jej przemianę w smoka.

– Będzie o czym gadać do końca życia! – oznajmił któryś wilk morski. – Takiej sensacji nie przegapię!

Wtedy dwóch innych, już gotowych wracać, zmieniło zdanie. Takich zdarzeń

było więcej. Prawy pożegnał odchodzących i zapewnił, że rachmistrz dopilnuje, by otrzymali należne wynagrodzenie. A Basałyk załatwił swoją sprawę z najstarszym żeglarzem.

– Powierzam ci to, byś przekazał królowej. Wszyscy, którzy schodzicie ze statku, pilnujcie tego. Nie może zaginać.

Załoga potraktowała jego prośbę z wielką powagą. Ludzie wielokrotnie powtórzyli przyrzeczenie, że oddadzą ów przedmiot królowej do rąk własnych. A przecież dał im zwykły naszyjnik z matowym szarawym wisiolem.

Spuszczono szalupy. Napędzane wiosłami ruszyły przez fale. A my zostawiliśmy Wyspy Pirackie za rufą.

Tamtej nocy kapitan Prawy się upił. Razem z nim upili się Althea i Zuchwalec. Basałyk objął wachtę i dowodził statkiem. Towarzystwa dotrzymywał mu Świstak. Dołączył do nich Niestrudzony. Siedli na pokładzie nieopodal galionu i śpiewali pikantne szanty. Następnego dnia wszyscy mieli niezdrowo zaczerwienione twarze i trzęsły im się ręce. Pani Amber oraz Skierka przyłączyły się do prac załogi, by choć trochę zastąpić brakujących żeglarzy, chociaż z drugiej strony „Werwa” płynęła właściwie sama, śpieszno jej było do Dzikiej Rzeki Deszczowej.

Zdarzyło mi się kolejne stadium choroby, straciłam siły, dostałam gorączki. Gdy pani Amber zjawiała się z zapewnieniami, że wszystko będzie w porządku, odparłam, iż przechodziłam przez te dolegliwości już wcześniej i chciałabym zostać sama. Wydała się tym żądaniem mocno zdziwiona, jednak spełniła moje życzenie. Nie ona, lecz Niestrudzony przynosił mi wodę i zupę, a gdy gorączka minęła, wyprosił u kapitana, by pozwolono mi wykąpać się w kasztelu. Przyniesiono balię, w której mogłam stanąć, ręcznik i wiadro gorącej wody. Marzyła mi się wanna pełna po brzegi, lecz Niestrudzony wyjaśnił, że musimy oszczędzać słodką wodę, ponieważ nie przybiliśmy do portu na Wyspach Pirackich. To, co dostałam, pozwoliło mi pozbyć się większości obłazącej skóry. Wyszłam z kajuty kapitańskiej z ciałem w barwie o ton bliższej kolorytowi Niestrudzonego i znacznie poprawionym samopoczuciem.



Dziwne, lecz nuda podróży pozbawionej jakichkolwiek zdarzeń okazała się dla mnie trudna do zniesienia. Po długich miesiącach, gdy dzień w dzień łamałam sobie głowę, jak przeżyć, nagle nie miałam prawie żadnego zajęcia. Nikt nie oczekiwał, iż wezmę na siebie jakiekolwiek obowiązki. Bez przerwy słyszałam,

że mam odpoczywać. W efekcie przez długie godziny bezczynności siłą rzeczy rozpatrywałam każdy szczegół z niedawnej przeszłości. Usiłowałam znaleźć jakiś sens w tym, co się wydarzyło. Tata nie żył. Ci, co mnie porwali, nie żyli, na pewno większość z nich. Wracałam „do domu”, do zamku w Koziej Twierdzy. Do siostry, której prawie nie znałam, i do siostrzenicy, jeszcze niemowlęcia.

Myślałam o tym, co mi zrobiono, a także o tym, co ja musiałam zrobić, żeby przetrwać. W niektóre z własnych doświadczeń trudno mi było uwierzyć. Odgryzłam Dwalii pół twarzy. Pani Akriel umarła na moich oczach. Zostałam światoburcą, zabiłam lingstrę, podpaliłam Symphe i puściłam z dymem zbiory biblioteczne. Ja? Pszczoła Przezorna? Naprawdę?

Śniłam. Przychodziły do mnie sny zwykłe i śnienie brzemiennie w przepowiednie. Niekiedy trudno było je rozróżnić. Wędrowałam między ścianami Białego Gaju, wołałam ojca, a przyszedł do mnie wilk. Pani Akriel pełzała do mnie, krzycząc, że to moja wina. Chciałam od niej uciec, jednak nogi miałam jak z waty. Niebieski rogacz skoczył w srebrną toń jeziora, a wyskoczył z niej czarny wilk. Tuzin smoków wzniosło się w chwalebny locie. Dwalia stała przy moim łóżku i śmiała się do rozpuku z mojej głupoty, skoro sądziłam, że mogłam ją zabić. Śniłam też o kobiecie, która orała bezkresne pole, gdzie wzrastała złota trawa zwożona skrzypiącymi wozami. Śniła mi się mama. Powiedziała: „Kocha cię, tylko nie umie tego pokazać”. A innym razem obserwowałam we śnie wspaniały bal w cudownie ustrojonej sali. Patrzyłam przez szczelinę w ścianie.

Niektóre z tych snów zapisywałam na papierze, który podsuwał mi Błazen, inne zatrzymywałam dla siebie. Przeszedł do mnie pewnego wieczoru.

– Usiądźmy razem – zaproponował – poczytasz mi swoje sny i razem się nad nimi zastanowimy.

Nie chciałam się nimi dzielić. Zapisywanie dodawało im wagi. Czytanie na głos nadałoby im jeszcze większe znaczenie. Nie odpowiedziałam.

Usiadł obok. Ostatnio lubiłam wieczorami siadywać na przednim pokładzie. Obie smukłe dłonie, jedną w rękawicze, złożył swobodnie na kolanach.

– Pszczoło, chciałbym cię poznać. Pozwól mi na to. To dla mnie najważniejsza sprawa na świecie. Chcę się z tobą zaznajomić, nauczyć cię tego, co musisz wiedzieć, żeby siebie zrozumieć. O snach, o tym, co mogą oznaczać, i o życiu. Któregoś dnia będziesz musiała znaleźć sobie katalizatora, zacząć wprowadzać zmiany...

Nie powiedział, że chciałby, bym poznała jego, zwróciłam na to uwagę. Panią Amber, Błazna, Ukochanego. Zakryłam rysunek pani Akriel.

– Znalazłam katalizatora – powiedziałam z uśmiechem. – Wprowadziłam zmiany. Skończyłam z tym. – Pomyślałam, czego by oczekiwał tata, zaczerpnęłam głęboko

tchu i dałałam, starając się nie zranić uczuć Błazna: – Nie chcę być, jak ty, białym prorokiem.

– Chciałbym, żebyśmy mieli na to wpływ, ale obawiam się, że nie zdołasz tego uniknąć. Nie mówmy o tym. Opowiedziałabyś mi o swym katalizatorze? – Przekrzywił kapelusz. – Czy to Niestrudzony?

Nie wiem, czy zdołałam ukryć konsternację. Co za dziwaczny pomysł?! Niestrudzony był moim przyjacielem.

– Już mówiłam: moim katalizatorem była Dwalia. Za jej sprawą stałam się tym, kim powinnam – światoburcą. Zmieniła moje życie. Zabrała mnie z Białego Gaju do Clerres. Tam wprowadziłam zmiany, których wszyscy oni się obawiali. A potem ją zabiłam. Jestem światoburcą, zniszczyłam świat Sług.

Jakiś czas milczał. Jego palce, jedne obleczone rękawiczką, inne nie, bawiły się sobą wzajemnie.

– Masz pewność, że Dwalia była twoim katalizatorem?

– Prilkop tak powiedział – uściśliłam. – Prilkop tak uważał.

– Cóż, jak wiadomo, Prilkop nie zawsze ma rację. – Nagle westchnął. – Pszczoło, sądziłem, że to będzie łatwiejsze dla nas obojga... Poza wszystkim innym wtedy miałem nadzieję, że będziemy we troje, razem z twoim ojcem. A on pomoże ci zaprzyjaźnić się ze mną, obdarzyć mnie zaufaniem.

– Ale nie żyje.

– Właśnie. – Wyprostował się, przechylił głowę i przyjrzał mi się uważnie.

Te oczy. Odwróciłam wzrok.

– Pszczoło, czy winisz mnie za jego śmierć?

– Nie. Winię jego.

Pojęcia nie miałam, że powiem coś takiego, lecz gdy tylko słowa padły z moich ust, zrozumiałam, iż właśnie tak wygląda prawda. Umarł na własne życzenie. A ja miałam prawo czuć gniew.

Ukochany wziął mnie za rękę dłonią ukrytą w rękawiczkę. Już na mnie nie patrzył. Zbłądził wzrokiem gdzieś nad morzem.

– Ja też. I chyba jestem tak samo rozsierdzony, jak ty.

Zabrałam rękę.

Niewiniątko się znalazło!



Płynęliśmy wzdłuż urozmaiconej linii brzegowej, zwanej, jak się wkrótce

dowiedziałam, Przekłętymi Brzegami. Każdy dzień przybliżał nas do Miasta Wolnego Handlu, aż któregoś wieczoru na horyzoncie zamigotały światła. Ukochany ustalił dla nas plany. Mieliśmy zejść na ląd, wysłać do Koziej Twierdzy ptaka z wiadomością, że potrzebujemy środków na powrót oraz czekamy na wieści. Kapitan Althea zaproponowała, byśmy na fundusze poczekali w jej rodzinnym domu, a „pani Amber” z gracją na to przystała. Do czasu otrzymania pieniędzy z kraju byliśmy nędzarzami zdanymi na przychylność gospodarzy.

Do Zatoki Kupieckiej, a następnie do przystani w Mieście Wolnego Handlu wpłynęliśmy w słoneczny dzień. „Werwa” skierowała się od razu ku miejscom zarezerwowanym dla żywostatków. Nasze przybycie wywołało niemałe poruszenie, wkrótce inne żywostatki zaczęły witać przybyłą. Niesamowite to było wrażenie, słuchać, jak statki wołają do siebie, rozpytując o wieści. Domyśliłam się, że dwa smoki, które były „Niezrównanym”, zatrzymały się w Mieście Wolnego Handlu, by inne żywostatki ściągnąć do Kelsingry. Teraz wszystkie chciały wiedzieć, czy prawdą jest to, co usłyszały? Czy rzeczywiście owe dwa smoki były wcześniej żywostatkiem? „Pojętny”, wyjątkowo głośny, grzmiał, iż najwyższy czas, by wszystkie uwolniły się i przekształciły we właściwą postać. Stał przycumowany do osobnego pomostu, na masztach nie miał żagli. Podczas gdy inne żywostatki wydawały się głównie zadowolone, ten buchał gniewem, aż przerażał.

Nie tylko wśród statków nasze przybycie wzbudziło sensację. Gdy cumowaliśmy, na pomoście już czekała grupa ludzi odzianych w osobliwe stroje. Usta im się nie zamykały. Schodząc ze statku, słyszeliśmy ich żądanie wpuszczenia na pokład. Widziałam i mężczyzn i kobiety, a wszyscy mieli ponure miny.

– Kto to? – spytałam.

Szliśmy we czwórkę – prócz mnie Ukochany, Skierka i Niestrudzony.

– Miejskowa rada kupców – odpowiedział cicho ten pierwszy, wcielony w postać pani Amber. – Każdy ród pierwszych osadników dysponuje głosem w Radzie Miejskiej, może uczestniczyć w podejmowaniu decyzji, które dotyczą wszystkich mieszkańców. Wielu z nich zdenerwuje perspektywa przemiany żywostatków w smoki. Te wyjątkowe statki nie tylko mogą podróżować Rzeką Deszczową, ale na otwartych wodach są niedoścignione, dlatego rodziny posiadające żywostatki od niepamiętnych czasów miały przewagę nad innymi kupcami. Nadciągające zmiany odbijają się nie tylko na rodach, które dzięki żywostatkom dorobiły się ogromnych majątków, ale też na wszystkich powiązanych z nimi odbiorcach, liczących na szybką dostawę najlepszych towarów z Deszczowych Ostępów.

– Basałyk wspominał, że Rada nie będzie uszczęśliwiona – wtrącił Niestrudzony.

– Dzisiaj na pewno zbiorą się, by obmyślić, co robić.

Samo miasto okazało się równie piękne, jak gwarne. Nikt tu nie próżnował, każdy załatwiał jakieś sprawy. Pewna kobieta głośno wypytywała jakiegoś mężczyznę, gdzie jest jej dostawa najmniejszej skórki cielęcej. Na moich oczach dwóch mężczyzn podniosło się od stołu i uściśnęło sobie dłonie nad dzbankiem herbaty oraz dwiema filiżankami. Jakaś dziewczyna, wyraźnie posłana z pilną sprawą, pędziła niczym wiatr. Do obfitego biustu przyciskała sakwę z pismami. Clerres było miastem pastelowych barw i spokojnych mieszkańców. Tutaj ze wszystkich stron buchały żywe kolory i dźwięki, kwitł handel. Powietrzem zawładnęła woń przypraw oraz mięsiwa. Pani Amber szła z szerokim uśmiechem na twarzy, czuła się tu jak u siebie. Co prawda nie zawsze wiedziała, gdzie skręcić, lecz szybko znalazła miejsce, skąd można było wysłać wiadomość do zamku w Koziej Twierdzy. Skierka wydobyla sakiewkę i starannie odliczyła należność.

Gdy ruszyliśmy w dalszą drogę, zważyła woreczek w dłoni.

– Nie za dużo zostało.

– Szczęście, że w ogóle coś mamy – odparła pani Amber. – Musi wystarczyć, ile jest.

Miała na sobie strój, który z równym powodzeniem można było uznać za kobiecy lub męski. Wszyscy ubrani byliśmy w pożyczoną garderobę, ponieważ na pokład „Werwy” trafiliśmy jedynie w tym, co mieliśmy na grzbiecie. W porównaniu z elegancko wystrojonymi kupcami oraz barwnymi mieszkańcami miasta wyglądaliśmy na żebraków.

Już wracaliśmy na statek, gdy Skierka nagle podskoczyła, krzyknęła i pomknęła niczym strzała. Prawie równocześnie jakiś mężczyzna rzucił się w jej stronę. Moment później chwycił ją w talii, przycisnął do siebie i obrócił. Na oślep szukałam noża przy pasie, gdy usłyszałam Niestrudzonego:

– Strzyk? Niemożliwe! Pan Strzyk!

I rzeczywiście. Mimo że spalony słońcem i w łachmanach, to jednak naprawdę był on.

Skoro odzyskaliśmy towarzysza, postanowiliśmy za resztę pieniędzy urządzić ucztę, choćby najskromniejszą. Usiedliśmy przed jakąś herbaciarnią, przy stoliku w cieniu daszka z lekkiej tkaniny. Strzyk dorzucił swoje pieniądze do naszych.

– Miałem szczęście. Tkwiłem w wodzie uczepiony jakichś szczątków „Niezrówanego”, gdy minęła mnie „Róża Morska” uciekająca z przystani. Załoga rzuciła mi linę, chwyciłem się jej jak tonący brzytwy i nie puściłem, aż wciągnęli mnie na pokład. Błagałem, żeby zawrócili, lecz nikt nie chciał o tym słyszeć. Okazało się, że trafiłem na bunt załogi, oszalałego kapitana zostawili w Clerres.

Dobrze się słuchało tej opowieści. Mój dawny tutor harował na pokładzie

jak pierwszy lepszy żeglarz, a gdy jednostka zawinęła do portu, zszedł z pokładu i wsiadł na statek płynący na Wyspy Korzenne. Tam znów szczęście mu dopisało, znalazł zajęcie na statku wyruszającym do Miasta Wolnego Handlu. Dotarł tu dzień przed nami.

Usiłowałam cieszyć się razem ze Skierką i Strzykiem, lecz ich szczęście przyprawiało mnie o łzy. Ukochany miał na twarzy uśmiech pani Amber, lecz przyłapałam go na melancholii w oczach. Tamci kupili napoje z wyciśniętych owoców, dosmaczone jakąś pikantną przyprawą, od której mrowił język. Gdy przyszło do uregulowania rachunku, właścicielka herbaciarni odmówiła przyjęcia zapłaty.

– Te kolczyki – trąciła drewniane koła w uszach – przyniosły mi tyle szczęścia, że trudno wyrazić. Miło mi znowu widzieć cię w mieście, pani Amber. Może zagościsz na jakiś czas na ulicy Deszczowych Ostępów?

W drodze na „Werwę”, jeszcze zanim dotarliśmy do przystani, napotkaliśmy kapitan Altheę. Na widok Strzyka uśmiechnęła się szeroko.

– Baronecie! – krzyknęła uradowana. – Znalazłeś ich, jak widzę. Chodźmy, czas do domu. – Był to raczej rozkaz niż zaproszenie.

Poprowadziła nas brukowanymi ulicami do dzielnicy, gdzie piękne domy wyglądały sponad murów obrosniętych pnączami usianymi wonnym kwieciem. Skoro zostawiliśmy za sobą gwar i ciżbę, odezwała się do nas ciszej.

– Idziemy do mojej matki – rzuciła naprędce. – Członkowie Rady są rozdrażnieni, gotowi na wszystko, by uzyskać głos Vestritów. Oczekują, że opowiemy się za prawem zabraniającym udostępniania żywostatom smoczego srebra. Wszystko w rękach mojej matki. I mnie, i Zuchwalca potraktowali bardzo nieprzyjemnie, oskarżyli o zaniedbanie powinności kupieckich, co ponoć przejawiało się w tym, że jakoby pozwoliliśmy „Niezrównanemu” przemienić się w smoki.

– Jakby ktokolwiek mógł temu zapobiec – rzucił Niestrudzony.

– Gorzej. Jakby naszym Obowiązkiem było go powstrzymać. „Niezrównany” miał rację. Ja i Zuchwalec wiedzieliśmy, że to właściwa dla niego droga, od chwili gdy pojęliśmy, że taka przemiana jest możliwa. Niezależnie od tego, jakie to dla nas trudne.

– Będziecie przekonywali do tego, by żywostatom zapewnić smocze srebro?

– Nie – odparła ponuro kapitan Althea. Nie weźmiemy udziału w spotkaniu. Ani Zuchwalec, ani ja. Ani Prawy. Tędy. – Jak na niską osobkę szła zadziwiająco szybko. Co prawda kroki stawiała niezbyt długie, ale za to prędkie.

Z cienistego przejścia skręciła na ulicę. Odrobinę dalej dotarliśmy do grubego muru z ciosanego kamienia, lecz nawet nie zwolniliśmy, nie było bowiem bramy,

która by nam broniła dostępu. Znaleźliśmy się w ogrodzie, jakiego dotąd nie widziałam. Na prawo i na lewo, jak okiem sięgnął, rozpościerały się szerokie połacie traw, przyciętych tak równo, jakby się na nich pasaly owce, chociaż nie zauważyłam odchodów. W cieniu wysokich drzew pyszniły się barwne klomby. W pewnej chwili dostrzegłam niezbyt duży dom o przezroczystych ścianach. Znajdujące się wewnątrz rośliny naciskały na szkło niczym ciekawskie dzieci. Szliśmy i szliśmy, a do celu wędrówki wciąż było daleko.

– Powinnam była wysłać gońca po wóz – mruknęła w pewnej chwili kapitan. – Gniew mija się z rozumem.

– Wyjątkowo tu pięknie w tym roku – stwierdziła pani Amber i w odpowiedzi otrzymała krzywy uśmiech gospodyni.

– Kto ma pieniądze, ma dobrą służbę. Ale to prawda, w tym roku jest szczególnie pięknie. Z pewnością nie jest to ten krajobraz po burzy, jaki tu widziałas za pierwszym razem. – Pokręciła głową. – Nie wiem, czy bez „Niezrówanego” zdołamy utrzymać majątek w tym stanie... Nareszcie. – Ostatnie słowo, wsparte głębokim wydechem, wypowiedziała, wchodząc na szerokie stopnie. Nie zwalniając, otworzyła drzwi, wkroczyła do środka i zawołała:

– Mamo! Zawinęliśmy do portu! Mam ważne wieści!

Pośpieszyła ku nam dwójka służby w identycznych liberiach.

– Miło was widzieć – powitała ich Althea. – Rennoldsie, nie będziesz mi potrzebny. Angar, gdzie moja matka?

– Altheo, czy to ty? – dobiegło z korytarza i otworzyły się drzwi. Wyszła z nich siwa kobieta z laską w ręku. Zaciśnięta na drewnie dłoń miała węglowate stawy, a twarz idącej znaczyły głębokie zmarszczki, lecz staruszka szła żwawym krokiem.

– Kogóż to przyprowadziłaś tym razem? – zagaiła z uśmiechem. – Kogo to ja widzę? Amber? Po tylu latach... Nie wierzę własnym oczom! – Uśmiechnęła się szerzej.

– To ja – powiedział Ukochany.

– Chodźcie, chodźcie wszyscy, zapraszam. Już poleciłam przygotować herbatę i coś na ząb. Rennoldsie, czy możesz dopilnować, by niczego nie zabrakło? Niech będzie wszystkiego jak dla pułku wojska, przecież wiesz, jaki apetyt ma Althea po powrocie z morza!

Górujący nad nami mężczyzna skłonił się lekko.

– To prawda, proszę pani. Dopilnuję wszystkiego. Natychmiast.

Kapitan Althea przedstawiła nas matce, lecz gdy zaczęła opowieść o najnowszych zdarzeniach, nie dane jej było skończyć.

– Wiem więcej, niż ci się zdaje – przerwała staruszka – jednak o wiele mniej, niżbym sobie życzyła. Dostałam waszą wiadomość z Łupigrodu i, szczerze mówiąc, bardzo się martwiłam o ciebie, Zuchwalca i Basałyka. Na szczęście Karrigvestrit zapewnił mnie, że przeżyliście, a „Werwa” sprowadzi was do domu. W jakim stanie jest Basałyk?

– Karrigvestrit? – powtórzyła kapitan zdumiona.

– Ten lazurowy. Turkusowa nie miała ochoty zdradzać swojego imienia. Jest... płocho. To pewnie głównie ona odpowiada za... niezrównoważony charakter „Niezrównanego”. Co z Basałykiem?

– Smoki tu były? Rozmawialiście?

– Chciałybyś zobaczyć, jakiego bałaganu narobiły w hodowli irysów dookoła stawu zwierciadlanego? Właśnie tam uciekły dwa byczki, których sobie zażyczyły, więc i tam smoki ucztowały. I tak dowiedziałam się, że przeżyliście. Miałam nadzieję, że zmierzacie prosto do domu, ale poza tym wiem niewiele, a rozumiem jeszcze mniej!

– Wobec tego oszczędzimy nieco czasu, jednak i tak pozostało sporo do przekazania, a jeszcze więcej zmartwień. Przedstawicielstwo rady kupieckiej pofatygowało się na nadbrzeże. Byli wściekli, że „Niezrównany” zmienił się w smoki. Ni mniej, ni więcej, tylko oskarżyli nas o zdradę. A teraz „Werwa” pragnie...

– Sprawy handlowe dotyczą kupców – zmitygowała ją matka. Do nas zwróciła się z uśmiechem. – Nie spamiętałam waszych imion, jednak serdecznie witam was wszystkich w moim domu. Czujcie się jak u siebie, rozgośćcie się, a ja zamienię z córką kilka słów na osobności. Tędy, zapraszam tutaj.

„Tutaj” okazało się obszernym wnętrzem z fotelami przy oknach wychodzących na zniszczony ogród irysów. Podłogę ułożono z białych płytek, wokół stołu o białym blacie stało sześć krzeseł. Gdy pani Amber nas rozsadzała, usłyszałam z korytarza: „O, doskonale, Rennoldzie. Zanieś tam, proszę, a potem jeszcze zgłoś się do mnie”.

– Obraziliśmy ją? – zapytał Strzyk przyciszonym głosem.

– W żadnym razie – uspokoiła go pani Amber. – Kupcy strzegą swoich tajemnic. Na pewno wkrótce obie do nas dołączą. Ojej, gorąca herbata! – wykrzyknęła z zachwytem. – I cytryna!

Rennolds wniósł dużą srebrną tacę, na której ustawiono parujący dzbanek oraz filiżanki. Umieścił ją na blacie. Owionął mnie zapach herbaty, na talerzyku zobaczyłam pokrojony w plasterki nieznan mi żółty owoc. Po chwili kolejna dwójka służących wniosła na podobnych tacach ciasteczka, plastry zimnego mięsa

oraz bułeczki.

– Prawdziwe jedzenie! – wyrwało mi się.

Niestrudzony zaśmiał się wesoło.

– Jak w Białym Gaju – potwierdził.

Czułam się nieco skępowana, natomiast pani Amber niczego sobie nie żałowała. Rozsiadła się wygodniej, a gdy Rennolds nalał nam herbaty, podziękowała mu skinieniem głowy. Moja filiżanka miała maleńkie, delikatne uszko, ozdobiono ją rysunkiem róży. Herbata okazała się ciemna i mocna. Idąc za przykładem pani Amber, wycisnęłam do naparzu sok z plasterka żółtego owocu. Spróbowałam. Smakowało. Wywar miał działanie uspokajające, a równocześnie rozjaśniające umysł. Strzyk nałożył ciasteczek na talerzyk i postawił go przede mną. Przypomniało mi się zimowe święto i obchody, których nie było, aż mnie coś ścisnęło w gardle. Niestrudzony nadgryzł ciastko oprószone cynamonem. Ja wybrałam inne i je przełamałam. Było różowe, tak samo w środku, jak na zewnątrz. Smakowało truskawkami. Takimi, jakie rosły w ogródku mamy. Przegoniłam łyżę i zjadłam smakołyk. Herbata smakowała kuchnią w Białym Gaju o poranku. Z trudem przełykałam gorący płyn.

– ...fundusze ze skarbów Igrot – tłumaczyła innym pani Amber. – Moim zdaniem Althea duży fragment swojej części przeznaczyła na odbudowanie domu rodzinnego, bo ucierpiał, nim najemnicy zniszczyli pół miasta. Oczywiście obawia się, że wraz ze zniknięciem żywostatku stracą majątek, ale też nie wątpię, że Ronika inwestuje na wielu polach i „Niezrównany” nie był jej jedynym źródłem utrzymania. Poza wszystkim innym moim zdaniem razem z córką i zięciem robią pieniądze na każdym statku, nie tylko takim, który umie mówić.

– Zjedz więcej – odezwał się do mnie Strzyk. – Ledwo skubnęłaś.

Zdumiała mnie troska w jego spojrzeniu, lecz już w następnej chwili zrozumiałam, że tego dnia on również dotkliwie odczuwał nieobecność mojego ojca.

– Jakoś nie mogę.

Pokiwał ze zrozumieniem głową.

Niestrudzony jadł jeszcze długo po tym, jak pani Amber oraz Skierka wstały od stołu i z filiżankami w dłoniach podeszły do okna, by ocenić ogrom zniszczeń po wizycie smoków.

Rozległo się stukanie do drzwi, wszedł Rennolds.

– Jeśli państwo pozwolą... – zaczął dość niepewnie. – Kupcowa Vestrit zauważyła, że dziecko jest bose. Mamy tu między służbą dzieci... One, jak wiadomo, wyrastają z butów i ubrań, stąd myśl, byście państwo zechcieli przyjąć, co się przyda. – Zwracał się do Strzyka oraz pani Amber, jakbym ja była za młoda, by pojąć kwestię.

– Z wdzięcznością przyjmę obuwie – oznajmiłam.

Wyglądałam najgorzej z naszego towarzystwa, gdyż z innymi członkowie załogi „Werwy” podzielili się ubraniami, na mnie natomiast nic nie pasowało. Po chwili służący przyniósł kilka par miękkich skórzanych pantofli, jakie zwykle nosi służba, i jedną parę na twardszej podeszwie. Szczęściem akurat ta pasowała na mnie najlepiej. Włożyłam też spódnicę, ukrywając pod nią wystrzępione bawełniane spodnie. Spódnica miała w talii szarfę i była stanowczo zbyt elegancka przy poplamionej górze. Podziękowałam Rennoldsowi za troskliwość, trochę zdziwiona, że Niestrudzony kręci ze smutkiem głową.

– Księżniczka Sześciu Księstw – odezwał się niegłośnie, gdy Rennolds zdążył do drzwi. – Ubrana w odzież po służbie.

– Księżniczka? – powtórzyła gospodyni, która właśnie przekroczyła próg.

Uśmiechnęła się przy tym, jakby włączała się do zabawy.

– Nie jest to dokładny tytuł – odezwała się pani Amber – raczej: panna ze szlacheckiego rodu.

– Która dziękuje za buty – włączyłam się, by matka kapitan Althei nie wzięła mnie za osobę niewdzięczną. Ukłoniłam się dwornie, korzystając z możliwości, jakie mi dała spódnica. – I za troskę.

– To córka Bastarda Rycerskiego Przewornego – uzupełniła kapitan. – Właśnie po nią popłynęliśmy.

Gospodyni przeniosła wzrok na córkę.

– To jej ojciec uleczył Phrona? – Wydała się wzburzona. – Nie wiedziałam! Ogromnie zasmuciły mnie wieści o jego śmierci. To był twój ojciec? Och, tak mi przykro! Nasza rodzina ma wobec niego dług, którego nie sposób spłacić.

– Podwojony od chwili, gdy ona uleczyła Basałyka. Nie przeżyłby oparzeń. Wiesz, mam, gdy najgorsze minęło, uznaliśmy że nie będzie mógł używać jednej ręki, a blizny pozostaną mu do końca życia, tymczasem skórę ma różowutką i zdrową.

– Basałyk był poparzony? Jak słyszę, w twojej opowieści pozostały jeszcze spore luki!

– To prawda, a czasu jak na lekarstwo. Mam, musimy wracać na statek. Mogę wziąć powóz?

– Oczywiście. Zaczekajcie na mnie, tylko zmienię buty. Rennolsie! Powóz, proszę, a żywo! Altheo pójdiesz ze mną, nie marnujmy ani chwili, mam do ciebie mnóstwo pytań.

Obie wyszły pośpiesznie.

Niestrudzony i Strzyk nie zostawili na stole nawet marnego okruszka i wysączyli

herbatę do ostatniej kropli.

Wkrótce Ronika, w kapeluszu na głowie, zaprowadziła nas do powozu. Poruszałam się z niejakim trudem, bo właściwie zapomniałam, jak chodzi się w spódnicy. Wchodząc na wysokie stopnie pojazdu, przydepnęłam rąbek. Niestrudzony zdążył tylko zerknąć na smolście czarne rumaki, które miały nas zawieźć z powrotem do przystani, zamknięto za nami drzwiczki i ruszyliśmy w drogę.

Wkrótce końskie kopyta zadudniły na brukowanej ulicy. Ronika Vestrit pochyliła się, ujęła moje ręce.

– Gdyby czas pozwolił, kochanie, wyprawilibyśmy ucztę na twoją cześć, a ja dopilnowałabym, żebyś została odpowiednio wystrojona. Nie chodzi o status ani o urodzenie, lecz o serce. Mam tylko dwóch wnuków, a twoja rodzina obu ich ocaliła. Żałuję, że musimy rozstać się tak szybko, i serdecznie współczuję ci straty. Przykro mi, że musisz już dziś ruszać w dalszą drogę.

– Jak to? – zdumiała się pani Amber.

– Wysłałam ptaka do przystani – objaśniła Althea zwięźle. – Prawy i Zuchwalec mieli dopilnować uzupełnienia wody i zapasów, na ile się da w tak krótkim czasie. Wkrótce zostanie zwołana Rada Kupców, dlatego wypływamy, kierujemy się do Trehaugu. Posłałam wiadomość również do Kelsingry, by przygotowano tam wszystko, co się należy „Werwie”: tyle czarodziejskiego srebra, by mogła przemienić się w smoki.

– Ale... – usiłowała się wtrącić pani Amber.

– Powinnam była powiedzieć wam wcześniej, że do matki dotarły ptaki z wiadomościami od Malty i Reyna. Kozia Twierdza przysłała do Kelsingry ludzi władających magią. Część z nich nie zniosła głosów miasta i nie mogła zostać na dłużej, ale inni „wzniesli mury wokół umysłu”, jak to sami nazywają, i pomogli wielu mieszkańcom. A gdy przeszli na drugą stronę rzeki, z dala od kamieni Najstarszych, okazali się jeszcze bardziej pomocni.

– Uwolnili od cierpień między innymi siostrę Reyna – uzupełniła z uśmiechem Ronika Vestrit. – Zawiadomiliśmy Kelsingrę, że już niedługo będziecie płynęli w górę rzeki. O ile dobrze zrozumiałam, ci co używają magii, umieją podróżować między Kelsingrą a Królestwem Sześciu Księstw dzięki czarodziejskim rzeźbom. I zapewne będą mogli w ten sposób zabrać was do domu.

– Owszem – przyznała cicho pani Amber. Najnowsze wieści wyraźnie ją poruszyły. – I to naprawdę szybko. – Wzięła mnie za rękę. – To może być trochę straszne, ale znacznie skróci drogę powrotną.

Oswobodziłam dłoń.

– Podróżowałam przez kamienie – przypomniałam jej.

I zamilkłam, bo zagarnęło mnie wspomnienie, jak utknęliśmy w ruinach w Krainie
Miedzi. I jak Reppin wpadła z powrotem w kamień.
Koła wozu turkotały.

Rozdział 44

W górę rzeki

Tej nocy – zupełne rozczarowanie. Wyślizgnęłam się z sypialni i jak najciszej powędrowałam do gabinetu ojca. Poprzedniego wieczoru wzięłam z biurka kilka tekstów. Dowiedziałam się z nich o pewnym dniu, który spędził z moją mamą, gdy byli młodzi. Przeczytał jej wiadomość, którą dla niej zostawiła jej matka. Przepis na świece. Jak dziwnie było poznawać sentymentalne słowa, które spłynęły z pióra w dłoni człowieka, który siebie zawsze trzymał w ryzach. Napisał coś, o czym nie miałam pojęcia. Tego wieczoru, gdy powiedziała mu, że wkrótce pojawię się na świecie, gdy poszedł za nią do sypialni, gdzie miałam wydostać się z ciała matki, paliły się tam właśnie te świece.

Jak mógł mi o tym nie powiedzieć? Czy czekał, aż będę starsza? Czy owo cenne pismo od mojej babki wciąż jeszcze istniało? Odłożyłam zapisane przez ojca stronicie nierówno, tak jak leżały, gdy je zabierałam.

Dziś wieczór, gdy w końcu usłyszałam, że ułożył się do snu, ponownie zawędrowałam do jego gabinetu. Chciałam raz jeszcze przeczytać jego tkliwe słowa o mojej mamie, o jego zdumieniu przy moich narodzinach, o przekonaniu, że nie będzie mi dane żyć.

Tymczasem nie znalazłam stronic tam, gdzie je zostawiłam. A gdy poruszyłam zamierający w kominku żar, by w lepszym świetle łatwiej ich szukać, zobaczyłam, jaki spotkał je los. Ujrzałam słowa, które zapamiętałam z ostatniej strony. „Nigdy nie będę żałował”. Skurczyły się na stronicy trawione przez ogień. Przyglądałam się, jak znikają, jak tracę je na zawsze.

Dlaczego zapisuje, a potem pali? Czy próbuje pozbywać się wspomnień? Czy też boi się, że zapisanie ich przyda im ważności? Któregoś dnia mam nadzieję usiąść przy nim i zażądać, by mi opowiedział wszystko, co pamięta. A ja to zapiszę i nigdy nie oddam na pastwę płomieniom.

Z pamiętnika Pszczoły Przezornej

Ponownie wsiedliśmy na „Werwę”. Wydawała się innym statkiem. Althea, Zuchwalec i Basałyk byli na pokładzie, lecz regularna załoga „Niezrówanego”

zeszła ze służby na dobre. Z tego, co usłyszałam, Zuchwalec zadbał, by dostali pieniądze na zaspokojenie najpilniejszych potrzeb, a ostateczne rozliczenie obiecał w ciągu najdalej dwóch dni. Zapewnił też pochlebne opinie do przedstawienia u następnych pracodawców. Niektórzy spośród żeglarzy długie lata nie mieszkali na łądzie. Ich domem był „Niezrównany”, więc już rozglądali się w porcie za robotą na innym statku.

– Dlaczego tak szybko wypływamy? – zapytał Strzyk Basałyka.

Tkwiliśmy w kambuzie, żeby nie plątać się pod nogami. Syn kapitańskiej pary zajrzał tam na moment, by wręczyć mi paczkę przesłaną na statek. Oznaczono ją moim imieniem. Płótno było obwiązane sznurkiem. Rozplątanie węzłów zajęło mi trochę czasu, ale nie chciałam ich rozcinać.

– To kwestia kupieckich obyczajów. Jeżeli ruszymy w drogę, zanim rada przegłosuje, że statkom nie można pozwolić na przedzierzgnięcie się w smoki, nie będziemy znali wyniku głosowania, więc nie uchybimy wyrokowi. A o takie zachowanie żaden z Kupców Miasta Wolnego Handlu nie chce być podejrzewany, a tym bardziej oskarżony, czy skazany na grzywnę. Od czasu, gdy w handlu na rzece zaczęły rywalizować statki odporne, sojusze kupieckie zyskały na znaczeniu. Gdyby wszystkie żywostatki przemieniły się w smoki, kupcy z Miasta Wolnego Handlu nie mieliby sposobu na sprowadzanie dóbr z Trehaugu, Kelsingry oraz różnych mniejszych miejscowości rozłożonych wzdłuż Dzikiej Rzeki Deszczowej. Byliby zmuszeni najmować jednostki odporne. Kupcy z Deszczowych Ostępów musieliby układać się z tymi samymi przewoźnikami, a co za tym idzie, stracilibyśmy monopol na handel dobrami pochodzącymi od Najstarszych. Dlatego ruszamy natychmiast i mkniemy co sił do Trehaugu. Z nadzieją, że Malta oraz Reyn dzielą nasze zdanie i błyskawicznie wysłali smocze srebro do Trehaugu. A skoro już ruszy w drogę, my, jako honorowi kupcy, będziemy zobowiązani do zaakceptowania dostawy.

– Czy naprawdę można zabronić żywostatkom przemiany w smoki? – chciał wiedzieć Niestrudzony.

– Zapewne nie. Ale ci, co nie znają żywostatków i mają je za zwykłe gadające łodzie, wierzą, że mogą nam to nakazać. A potrafią nam utrudnić życie.

– Czyli żywostatki to nie są zwykłe gadające łodzie? – spytał Niestrudzony niewinnie.

– Nie. To członkowie rodziny – odpowiedział Basałyk z całkowitą powagą i dopiero wtedy uświadomił sobie, że chłopak żartuje.

W końcu rozwiązałam sznurek. Rozwinęłam płótno. W środku znalazłam spodnie i bezrękawik. Jedno i drugie z jedwabiu w złote żaby na tle zielonych liści lilii wodnych. Wzór był nasycony soczystymi barwami, jak motyla peleryna. Gdy

przesuwałam tkaninę w dłoniach, zahaczała o moje połamane paznokcie i szorstką skórę.

– Piękne rzeczy. Zaczekam, aż do nich dorosnę. Komu mogę za nie podziękować? Basałyk wpatrywał się z otwartymi ustami w podarunek.

– Mojej babce – powiedział bez tchu. – I nie musisz czekać, aż do nich dorośniesz. To ubranie stworzone przez Najstarszych. Dopasuje się.

– I będzie niewidzialna? – spytał Niestrudzony.

– Jak to?

– Panią Pszczoła miała taką pelerynę w motyle, że jak się człowiek pod nią schował, to stawał się niewidzialny.

Basałyk chwilę patrzył na niego bez słowa.

– Całkiem niewidzialny? No właśnie, nie pokazałeś nam, jak to działa, tamtej nocy, kiedy Bastard wygonił nas z kajuty pani Amber. Wtedy, kiedy razem z Kennitasynem zobaczyliśmy smocze srebro. – Umilkł, wspominając przyjaciela. – Myślałem, że Pszczoła przykryła cię peleryną i przysypała śniegiem, żeby nie było cię widać. – Odchylił się na oparcie. – Macie ją? Mogę zobaczyć?

Niestrudzony zdążył tylko pokręcić głową.

– Basałyk! Na pokład! – rozległ się głos kapitana Zuchwalca.

Chłopak skoczył na równe nogi.

– Nie, nie będzie w tym stroju niewidzialna – rzucił. – Ale wart jest fortunę. Śmiało, wkładaj. – I śmignął na górę.

Jeszcze tej nocy ponownie ruszyliśmy w drogę. Wybraliśmy cumy i odbiliśmy od nabrzeża, ignorując wołania podwładnych kapitana portu. Płynęliśmy pod czystym niebem. Gdy wyszłam na pokład, zobaczyłam w świetle księżyca, że nie jesteśmy sami: naszym śladem zdążył „Pojętny”. Obok mnie stanął kapitan Zuchwalec.

– Cieszę się, że rodzina nie będzie już z nim walczyła. – Przyjrzał się mojemu strojowi z uśmiechem. – Pięknie! Bez gadania: pięknie!

Basałyk minął nas śpiesznie, lecz w pędzie zdążył zmierzić mi włosy.

– To na szczęście! – rzucił półgłosem i już go nie było.

Wkrótce na masztach „Werwy” rozkwitły kolejne żagle, a wówczas „Pojętny” szybko został daleko za rufą.

Uciekaliśmy wzdłuż wybrzeża. Niestrudzony i Mrówka na zmianę trzymali wartę w bocianim gnieździe, wypatrując ewentualnej pogoni. Dostrzegli dwa statki, lecz żaden nie zdołał zbliżyć się ani do „Werwy” ani nawet do „Pojętnego”. A gdy weszliśmy w koryto rzeki, Zuchwalec ze śmiechem oznajmił, że teraz już nikt nie będzie nas ścigał.

Płynęliśmy pod prąd. Patrzyłam na to ze zdumieniem i z takim samym

niebotycznym zdziwieniem obserwowałam przekraczający wszelkie wyobrażenia krajobraz. Wieczorami nasza grupka zbierała się przy stole. Zaczęło się od tego, że Niestrudzony opowiedział mi o podróży w dół rzeki z Kelsingry, potem stopniowo ożywały inne historie. Strzyk przywołał czas, gdy Trud zabił księcia Ellika, a przedstawił te zdarzenia całkiem inaczej niż mój przyjaciel. W efekcie dawny chłopak stajenny spiekł raka. Wspominaliśmy tych, co stracili życie w Białym Gaju. Skierka popłakała się, gdy Niestrudzony mówił o tym, że nie poznała go rodzona matka. Basałyk przybliżył nam „Niezrówanego”, a mówiąc o statku, który przemienił się w smoki, raz po raz ocierał łzy. Usłyszałam o Malcie, o jej romansie z kupcem z Deszczowych Ostępów, który skrywał twarz za welonem, i o tym, jak w końcu po wielu przygodach zawarli ślub. Zapragnęłam ją poznać. Gdy nadeszła moja kolej, by podzielić się wspomnieniami, z wahaniem opowiedziałam o tym, jak zostałyśmy ze Szkodą porwane. A potem o księciu Elliku. I o czarach Vindeliara. O wydarzeniach w Krainie Miedzi. Nawet o pani Akriel i jej śmierci. Tylko o zabiciu Symphe i Dwalii nie zająknęłam się nawet słowem. Ukochany... pani Amber także milczała. Chętnie bym się dowiedziała czegoś o ojcu, posłuchała, co ta osoba ma do powiedzenia o ich wspólnie spędzonych latach, ale się nie doczekałam.

Im dalej płynęliśmy w górę rzeki, tym dziwniejszy świat nas otaczał. Widziałam ptaki o jaskrawym upierzeniu, a raz dojrzałam stado rozwrzeszczanych małych uciekających po drzewach. Nikt nie wymagał ode mnie ciężkiej pracy, nikt mnie nie bił ani mi nie groził. Nie miałam powodu się bać. A mimo to budziłam się po kilka razy każdej nocy, roztrzęsiona i zapłakana albo sparaliżowana strachem do tego stopnia, że nie potrafiłam nawet wołać o pomoc.

– Chodź ze mną – powiedział ktoś pewnej nocy, stając przy moim hamaku w rozkołysanej czerni.

Krzyknęłam ze strachu, bo to znów był Vindeliar, który zyskał władzę nad moim umysłem. Nie. Tym razem to był Ukochany. Poszłam za nim na pokład, w stronę dziobu, niedaleko galionu, lecz nie na ten szczególny fragment pokładu, gdzie rodzina „Werwy” często zbierała się, by z nią porozmawiać. Nocami nie płynęliśmy: za sprawą kapryśnych prądów podróż była zbyt niebezpieczna. Statek stał na kotwicy, dodatkowo zacumowany.

Bałam się, że Ukochany będzie nalegał na jakąś długą zasadniczą rozmowę, tymczasem on wyciągnął niezbyt długi flet.

– Podarek od Prawego – powiedział i zaczął grać.

Muzyka była niegłośna, miła dla ucha i ożywcza. Skończywszy, podał mi drewnianą rurkę ze słowami:

– Tutaj kładzie się palce. Jeżeli dźwięk jest piskliwy, to znaczy, że palec nie

zatyka dokładnie otworu. Spróbuj każdy ton po kolei.

Zadanie okazało się równocześnie trudniejsze i łatwiejsze, niż sądziłam. Zanim słońce wyrzało spomiędzy drzew, nauczyłam się wydobywać z instrumentu czyste nuty. Zjadłam ze wszystkimi, a potem znalazłam sobie miejsce na dachu kajuty kapitańskiej, zwinęłam się tam w kłębek i z dala od wszystkich zasnąłam. Czułam się jak kot drzemiący w słonecznym blasku, gdy wszyscy wokół pracują. Przez sen usłyszałam głos „Werwy”:

„Tak samo trucizna rozchodzi się z rany. Musisz się wypłakać i musisz dygotać ze strachu. Na moim pokładzie nie potrzebujesz odwagi. Uwolnij wszystko, co musiałaś trzymać w ryzach”.

Zanim dotarliśmy do Trehaugu, nauczyłam się grać cztery proste melodyjki. I spać nocami. W ciemności. Statek dwukrotnie pomógł mi spotkać się po kryjomu z Basałykiem. Nie on zabiegał o te spotkania, lecz „Werwa”. Raz powiedziała, że coś mu się ściska w łokciu, tak że nie może wyprostować ręki. Pracował razem z innymi równo i nie uskarżał się na nic, lecz nie mógł poruszać się po takielunku tak swobodnie jak dawniej. Zbudziła mnie, gdy stał na wachcie kotwicznej. A ja do niego poszłam. Poruszałam się cichuteńko, więc podskoczył, gdy wzięłam go za rękę.

– Nie mów – szepnęłam, a on patrzył na mnie wstrząśnięty.

Chciał zabrać rękę, lecz ją przytrzymałam, a po chwili poczuł, co robię.

– Statek mówi, że to jak oswobodzenie liny zakleszczonej w bloczku – wyjaśniłam.

Wyprostował rękę.

– Jak ci dziękować?

– Nie zdradz mnie przed nikim.

Bezszelестnie wróciłam na hamak.

Ale następnego dnia zabrał mnie aż pod bocianie gniazdo i pokazał, na co warto zwrócić szczególną uwagę, patrząc na rzekę i na dżunglę. A gdy wymieniał nazwy ptaków i drzew, poprawiłam mu jedno miejsce na karku, gdzie skóra narosła gładka i błyszcząca jak wypolerowane drewno.

– Czasami ciągnie – przyznał.

W końcu zeszedliśmy na pokład i nikt poza nami o niczym nie wiedział.

Po tym, co usłyszałam od Niestrudzonego o Trehaugu, wyglądałam egzotycznego miasta z nieskrywaną ciekawością. Gdy tylko pokazały się pierwsze domki zawieszane na drzewach, przyjaciel od razu mnie zawołał. Staliśmy przy burcie i z okrzykami pokazywaliśmy sobie nawzajem małe dzieci biegające po gałęziach, czy ludzi, którzy łowili ryby w rzece, siedząc na drzewach.

Nic dziwnego zatem, że byłam rozczarowana, gdy „Werwę” zakotwiczone na rzece. Co prawda przy brzegu, jednak z dala od pomostów, przy których cumowały inne statki. Okazało się, że czekał na nas inny żywostatek: czarna płaska barka imieniem „Smolisty”. Połączono go linami z „Werwą”. Podpłynęły do nas trzy łódki z miasta, lecz kapitan Prawy nie pozwolił nikomu wejść na pokład ani przywiązać łodzi do statku.

– Finalizujemy umowę – ostrzegł przybyszów.

Wedle kupieckich obyczajów oznaczało to, że nikt obcy nie może wejść na statek ani nawet z nami rozmawiać.

Stałam przy relingu, obserwowałam i żałowałam, że nie potrafię wziąć udziału w tym, co się dzieje. Wtedy „Werwa” sięgnęła ku mnie, a ja opuściłam barierę chroniącą umysł. Nasyciła moje myśli pewnością siebie, dodała ciepłą falę wdzięczności za pomoc udzieloną Basałykowi oraz jego kuzynowi, Phronowi.

„Nikt inny by tego nie dokonał” – rzekła.

Ze „Smolistego” dobiegły okrzyki powitalne. Niestrudzony ścisnął mnie za rękę i poprosił o pozwolenie dla nas obojga na przejście na barkę. Kapitan Althea zgodziła się od razu. Gdy pokonywaliśmy przepaść między jednostkami, z emocji serce miałam w gardle. Czy „Werwa” rozmawiała ze „Smolistym”? Powitał mnie miło i słowami pasującymi do nobliwego starszego pana zapewnił, że na jego pokładzie jestem bezpieczna. Kapitan barki, przechodząc nieopodal, zobaczył, jak gładzę poręcz.

– Powinienem był się domyślić – mruknął.

Na obu jednostkach wrzała praca. Szalupy „Werwy” spuszczone i przywiązano do „Smolistego”. Z ładowni oraz kajuty kapitańskiej wyniesiono wszystko, co miało jakąkolwiek wartość: materialną lub emocjonalną. Mapy, fotele, szkło i pościel – przedmioty wszelkiej maści transportowano ponad klifami burt i składowano w lukach barki. A równocześnie wydobyto z nich beczki i ustawiono rzędem na pokładzie.

Kapitan Lewszun oraz jego rudowłosa żona mieli za dużo pracy, by się z kimkolwiek witać. Polecili Niestrudzonemu zaprowadzić mnie na płaski dach nadbudówki. Trud wykonał polecenie i natychmiast wrócił do pracy. Dziwnie się czułam jako jedyna bezczyzna, lecz nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: nie rzucałam się w oczy, za to docierały do mnie strzępy rozmów, z których niejedno dało się wywnioskować. Paru ludzi z załogi „Smolistego” żartowało ze Skierką i Niestrudzonym, że strach się bać wycieku z ustawionych rzędem beczek.

– Licho wie, czy nie obudzimy się w smoczym brzuszysku zamiast pod pokładem barki! – zawołał ktoś do Strzyka.

Uciszył go chór zgodnych głosów.

– Dźwięk niesie po wodzie – przypomniała mu pulchna kobieta.

Odpowiedział uśmiechem i zamilkł.

Około południa stanął obok nas „Pojętny”.

– Nie wiem, czy wystarczy! – zawołał niegłośnie Zuchwalec do jego kapitana.

– Weźmiemy, ile zostanie – odparł tamten.

Był to mężczyzna w latach, starszy od mojego taty. Twarz miał pooraną zmarszczkami, a oczy takie same jak Zuchwalec, gdy ten klęczał przy Basałyku, oglądając jego poparzenia.

– O niczym innym nie marzy od lat – odparł ze smutkiem. – Najwyższy czas go uwolnić.

„Pojętny” chyba jakiś czas nie pływał, bo niewiele z niego zabrano. W czasie przeładunku kapitan podziękował nielicznej załodze za przeprowadzenie trudnego statku w górę rzeki. Ponuro życzył swoim ludziom powodzenia w szukaniu zajęcia. Wtedy kapitan Lewszun wtrącił szorstko, że Smoczy Kupcy mają dwa statki odporne, na których przyda się doświadczona załoga.

– Zapomniałem, że w Kelsingrze mieli takie jednostki – mruknął kapitan „Pojętnego”.

– Nie były często używane, odkąd je przejęliśmy. „Smolisty”, z jego niedużym zanurzeniem, jest na rzece lepszy. Ale kiedy przyjdzie jego kolej... – Umilkł.

Stary kapitan także milczał.

– Przez jakiś czas będziemy mieli nadmiar kapitanów – odezwał się Lewszun po chwili. – Ale wprawna załoga zawsze znajdzie pracę.

– Czyli „Smolisty” też zmieni się w smoki?

– Jeszcze nie zdecydował. Na razie jest naszym kołem ratunkowym, ale kiedy obsadzimy statki odporne... – Kapitan Lewszun przeciągnął dłonią po relingu, jakby mierzwił włosy chłopięciu. – Jego decyzja – podkreślił.

– Jesteśmy gotowi – zawiadomił Prawy.

Mimo wszystko trzeba było jeszcze trochę czasu. Dzień był piękny, wiatr niósł słodką woń kwiatów, a załoga zegnała się z „Werwą”. Nie obyło się bez łez i nic dziwnego, skoro niektórzy spośród członków załogi spędzili na pokładzie żywostatku większą część życia. W końcu na „Werwie” zebrano cumy i podniesiono kotwicę: przede wszystkim po to, by ustawić ją galionem przy burcie barki, ale także by później zachować łańcuch i resztę sprzętu. Na własne oczy przekonałam się, że kupcy dbali o majątek. Gdyby mieli więcej czasu, chyba zdjęliby z żywostatku wszystkie płótna i liny, jednak na „Smolistego” nie dało się więcej załadować.

Załoga „Pojętnego” czekała w niepewności. Ich galion zaplótł ręce na piersi,

wybrzuszyły mu się napięte mięśnie. Z marsem na czole popatrywał dookoła. W pewnej chwili napotkał mój wzrok. Wyprostował się, jakby był zakłopotany, i nawet próbował się uśmiechnąć. A to było jeszcze bardziej przerażające niż poprzedni grymas.

Moi przyjaciele dołączyli do mnie na dachu nadbudówki. Załoga „Werwy” przeszła na pokład barki. Pani Amber, nie wiedzieć czemu, szlochała. „Werwa” wzięła beczkę z pokładu „Smolistego”, jakby ujmowała w dłonie spory kubek. Przyjrzała się jej uważnie, a potem, z niewiarygodną siłą, zgmiotła kciukiem wieko, uniosła beczkę do ust i zaczęła pić. Jej barwy pogłębiły się, jakby dopiero co ją pomalowano, choć z każdego fragmentu czarodrzewu farba odłaziła płatami. Deski i poręcze lśniły niezwykłym blaskiem.

Druga beczka. Trzecia.

– „Niezrównany” nie potrzebował aż tyle – zauważył Trud.

– Był przyparty do muru – powiedział Basałyk. – Musiał przemienić się za wszelką cenę, inaczej by umarł. Pewnie dlatego jego smoki są małe. Zrobił, co mógł z niewielką ilością czarodziejskiego srebra.

„Werwa” sięgnęła po kolejną beczkę. Pochwyciła moje spojrzenie i mrugnęła do mnie porozumiewawczo. Odwróciłam wzrok. Wypiła sześć beczek. Czułam napięcie „Pojętnego”, rozmigotaną poświatę. Zniknęła już prawie połowa zapasu.

A żywostatek się zmieniał. Jego twarz traciła ludzkie rysy. Deski z czarodrzewu zaczęły pokrywać się łuskami. Następna beczka. Usłyszałam chrzęst i trzaski. „Werwa” rzuciła pustą beczkę do rzeki i zadrżała jak koń zrzucający muchy z grzbietu.

– Uwaga! – krzyknął Lewszun, lecz nie było dokąd uciekać, gdy maszt zaczął upadać niczym ścięte drzewo.

Mieliśmy mnóstwo szczęścia: zwałił się w większości na odległą od nas część kadłuba. Pociągnął za sobą reje, takielunek, cały pozostały sprzęt. Skuliłam się i odruchowo osłoniłam głowę rękoma, ale nas minął. Woda pochwyciła żagle i usiłowała zabrać ze sobą maszt razem ze wszystkim, co było do niego przytroczone. Na „Smolistym” marynarze w szaleńczym pośpiechu zrzucali liny „Werwy” z takielunku barki. Rozbrzmiały głośnie okrzyki, uderzenia toporków tnących olinowanie, szczątki żywostatku przechylały barkę. Poszukałam wzrokiem „Werwy”, lecz ujrzałam jedynie trudne do określenia fragmenty kotłujące się w kipieli.

Raptem prąd rzeki porwał obszarpany wrak, podobny do ruiny tratwy, drewno, liny, płótna. Jakiś czas widziałam kasztel rufowy, który pogrążał się coraz głębiej.

– Niebezpiecznie będzie na rzece – zauważył ktoś i miał słuszność.

Ja nie zwracałam na to uwagi, bo między szczątkami żywostatku dostrzegłam burzącego rzeczny nurt srebrnego smoka. Była to istota dwukrotnie większa od każdego ze smoków „Niezrównanego”.

– Czy ona tonie?! – wykrzyknęła kapitan Althea schrypniętym głosem.

Smoczyca rzeczywiście tonęła. Potężny łeb o błyszczących niebieskich ślepiach przez chwilę kołysał się na powierzchni, po czym zniknął nam z oczu. Kapitan Althea krzyknęła rozdzierająco, wyciągnęła ręce, jakby chciała bestię wyciągnąć z wody.

– Czekajcie! – krzyknął Zuchwalec.

Wstrzymałam oddech. Całą sobą czułam, iż w głębinach toczy się walka. Smoczyca borykała się z nurtem i w końcu mu się poddała. Poniósł ją w dół rzeki. Obróciłam głowę w tamtą stronę i nagle, w płytszej części koryta, ujrzałam, jak woda porusza się, wiruje, aż w końcu rozbryzguje.

– Tam! – zawołałam, wskazując.

Najpierw ujrzeliśmy łeb. Następnie długą szyję. Potem kolczasty grzbiet. I w końcu srebrzysty gad wydobył się z ogromnym wysiłkiem nad powierzchnię. Smoczyca gwałtownie zatrzepotała szeroko rozpostartymi skrzydłami, rozchlapując wodę, lecz nie krople poleciały w górę, a całe wiadra. Przestraszyłam się, że spadnie z powrotem w odmęty, lecz ona przeciwnie: z każdym ciężkim łopotem wydobywała się wyżej, aż w końcu zobaczyliśmy długi ogon.

– Ona lata! – ucieszyła się kapitan Althea, a jej radość i szczęście smoka złączyły się w jedno.

– Jestem z ciebie dumny jak nie wiem co! – krzyknął Basałyk.

Wszyscy na pokładzie śmiali się i wiwatowali.

Smoczyca zatępiła na próbę.

– Nie sięgam! – zawył „Pojętny”, zagłuszając triumfującą Werwę”.

Przechylił się na burtę, gdy jego galion, wyciągnięty do granic możliwości, usiłował złapać beczki pozostałe na deskach „Smolistego”.

– Przetoczyć beczki! – huknął Lewszun, a załoga natychmiast skoczyła wykonać rozkaz. – Żywo!

Nic dziwnego, że się śpieszyli. „Smolisty” był niespokojny, bo „Pojętny” już się na nim wspierał. W efekcie barka przechyliła się na bok, a wówczas jednemu z marynarzy beczka wyslizgnęła się z rąk, potoczyła w dół, aż wyrznęła w nadburcie. „Pojętny” chwycił ją i podniósł do ust. Na pokład barki spłynął cienki strumyczek czarodziejskiego srebra.

– O, na Sa! – krzyknął kapitan Lewszun.

Srebro wsiąkło w „Smolistego” jak w gąbkę, zniknęło bez śladu. Chyba tylko

ja poczułam, że barkę przeszedł dreszcz rozkoszy. Nic więcej się nie wydarzyło. „Pojętny” stanął o własnych siłach, pokład „Smolistego” odzyskał poziom i pozostałe beczki przetransportowano bez dalszych przygód.

Ludzie stojący na brzegu pokrzykiwali i pokazywali sobie nawzajem smoczyce „Werwy”, która nad korytem rzeki sprawdzała, czego może dokonać za pomocą skrzydeł.

„Pojętny” rozprawiał się z czwartą beczką, gdy podpłynęła do nas nieduża łódź z Trehaugu.

– Łapać linę! – rozkazał mężczyzna stojący na dziobie.

Nikt go nie posłuchał.

Wtedy podniosła się siedząca pośrodku niewysoka kobieta o czerwonej twarzy i z szopą ciemnych, kręconych włosów.

– Wczoraj wieczorem – odezwała się – o uzgodnionej godzinie zostało przeprowadzone głosowanie. To, co robicie, jest zabronione przez Radę Miasta Wolnego Handlu.

– Zakaz przyjęła również Rada Kupców z Deszczowych Ostępów! – dokończył mężczyzna. – Natychmiast przerwijcie bezprawne działania!

– O co chodzi?! – krzyknął kapitan Lewszun. – Możecie powtórzyć?

Rzeczywiście, w chwili gdy przybysze wygłaszali swoje mowy, przeleciała nad nami smoczyca „Werwy”, donośnie trąbiąc z radości.

– Przestańcie natychmiast!

– Ale co?

Wioślarze na obcej łodzi robili, co mogli, by utrzymać ją przy „Smolistym”. Wydawało się, że za każdym razem, kiedy zbliżali się do którejś z lin kotwicznych na tyle, by ją chwycić, barka lekko się od nich odsuwała. Co więcej, ta, która jeszcze niedawno była „Werwą”, krążyła stale nad nami, a jej skrzydła biły powietrze z taką siłą, że wszyscy kuliliśmy się w mocarnych podmuchach powietrza. Łodzią drobnej kobiety rzucało na wodzie niczym dziecięcą zabawką. Zanim odpowiednio głośno zostało wyrażone żądanie, byśmy nie pomagali żadnemu statkowi w przemianie w smoki, „Pojętny” opróżnił ostatnią beczkę i rzucił ją niedbale. Wpadła do wody z głośnym pluskiem, tuż obok łódki z przybyszami, kobiecie wyrwał się okrzyk przestachu i byłaby wpadła do rzeki, gdyby jeden z wioślarzy jej nie przytrzymał.

Kapitan Lewszun cmoknął z niesmakiem.

– Nawet dziecko wie, że w łodzi nie staje się bez potrzeby – rzekł, nie kryjąc drwiny.

– Zapłacicie za to! – krzyknęła rozsierdzona posłanka. – Dostaniecie grzywnę za lekceważenie prawomocnych wyroków Rady!

Nikt jej nie słuchał. Przytomni wioślarze zawrócili do miasta, a my wszyscy przyglądaliśmy się „Pojętnemu”. Oto mieliśmy przed oczyma jaskrawo ubarwionego smoka, o łuskach poukładanych w pasy i łaty w kolorach pomarańczowym, różowym, czerwonym oraz czarnym. Ślepia miał jadeitowo zielone. Nieco mniejszy niż „Werwa”, wznosząc się w przestworza, raczej trelował, niż grzmiał czy huczał. Przyłączył się do samicy, dwukrotnie natarli na siebie, po czym zgodnie odlecieli w górę rzeki.

Kapitan Lewszun objął wzrokiem pokład barki i skupioną na nim powiększoną załogę.

– Czas się zbierać – ocenił. – Podnieść kotwice! „Smolisty” chce wracać do domu.



– Coś wykombinował – mruknął kapitan Lewszun do Alise.

Jego towarzyszka właśnie uczyła mnie węzłów żeglarskich. Ku memu zdziwieniu część z nich była identyczna jak te, które znałam z szydełkowania. Siedzieliśmy przy stole w kambuzie, bo padał deszcz. Kapitan podszedł prosto do rozgrzanej kozy, znacząc drogę mokrymi strużkami. Gorący metal zasyczał, jakby był rozeźlony, gdy z nieprzemakalnego płaszcza poleciała nań woda. Lewszun nalał sobie kawy do kubka.

– Coś wykombinował? – powtórzyła zaniepokojona Alise.

Jej partner pokręcił głową.

– Bijemy rekordy prędkości – niespodziewanie odezwał się do nas wszystkich. – Utrzymujemy niesłychane tempo. – Przeniósł wzrok na swoją towarzyszkę. – Odkąd jestem kapitanem, nie płynęliśmy z taką prędkością. – I wyszedł znowu na pokład, na deszcz.

Chyba wyglądałam na wystraszoną, gdyż Alise poczuła, że musi mnie uspokoić.

– Nie przejmuj się, kochanie. Statek czasem lubi pożartować. Na pewno dojdą do porozumienia.

A mnie „niesłychane tempo” Smolistego”, płynącego ku źródłom rzeki, wydawało się raczej ślimacze.

Nauczyłam się grać na flecie kolejne trzy piosenki. Skierka i Niestrudzony nalegali, bym poznawała kolejne węzły. Zdziwiła ich moja informacja o ściegach szydełkowych. Nie bardzo radziłam sobie z grubymi linami, miałam do nich za małe dłonie, brakowało mi siły, natomiast z cienkich linek plotłyśmy we dwie z Alise podkładki na stół. Sporo czasu spędzałam z nią w kambuzie,

pomagając w gotowaniu. Równie często bywałam w kapitańskiej kajucie na rufie, słuchając opowieści o jej dziewczęcych latach w Mieście Wolnego Handlu. Gdy spacerowałyśmy razem na pokładzie, kapitan Lewszun zwykle obserwował nas z zadumanym wyrazem twarzy. Jeśli tylko pogoda pozwalała, sypialiśmy na dachu nadbudówki i nim zmorzył nas sen, wpatrywaliśmy się w czerń nieba usianego gwiazdami. Raz, kiedy zatrzymaliśmy się przy piaszczystym brzegu, wyszłam z panią Amber nabierać wysokich trzciny, przypominających dobrze mi znajome znad naszych jezior pałki. Ścięła ich pewnie z tuzin, po czym, już na pokładzie, zrobiła z nich kilka świstawek. Wkrótce Niestrudzony uczył się grać razem ze mną. Dźwięk piszczałki nie był tak ładny jak ten, który wydawał drewniany flet, ale mimo to sprawiał dużo radości. Zwykle byliśmy w czasie nauki wypraszani na rufę.

Inne lekcje pobierałam od Ukochanego. Odbywały się one w niewielkiej kajucie, którą dzieliłam z nim i ze Skierką. Mówił mi o snach, o zmianach skóry, o odpowiedzialności wobec świata i przed własnym sumieniem. Opowiadał o innych białych prorokach, o tym, jak zmieniali losy świata, niekiedy za sprawą całkiem niepozornych uczynków. Wbrew sobie słuchałam z zapartym tchem. W stosunku do niego miałam mieszane uczucia. Zaczynałam go lubić, chociaż co noc, gdy tęskniłam za tatą, podsycalam w sobie wściekłość na tego człowieka.

Jego nauki uświadomiły mi, że do wielkich zmian dochodzi często za sprawą drobnych zdarzeń.

– Twój ojciec był nieoczekiwanym synem. Za młodu śniłem o nim, wiedziałem, że zmiany dokonywane przez niego w chłopięcych latach będą niewielkie, a jeszcze mniejsza szansa była na to, że dożyje lat męskich. Właśnie dlatego przybyłem, aż z Clerres, pokonałem długą i trudną drogę do Koziej Twierdzy, oddałem się na usługi króla Roztropnego i czekałem, w nadziei, że zrobiłem, co należało. Gdy zobaczyłem go po raz pierwszy, on mnie nie widział. Był zaledwie dzieckiem podążającym krok w krok za srogim koniuszym. Obserwowałem ich z okna wieży. Zrozumiałem, że to właśnie on. Tego samego dnia, gdy jakiś woźnica chciał mu dopiec, sam dał sobie z nim radę, powstrzymał go bez słowa. – Spuścił głowę. – Och, Pszczoło... Ileż on przeze mnie wycierpiał... Nie miałem dla niego litości. Odnalazłem go i zażądałem, by żył, by cierpiał katusze, by znosił bicie i poniżanie. Raz za razem zawracałem go z progu śmierci. Poznał ból i niedostatek, harówkę i zawód miłosny. A także samotność. Ale przecież zmienił świat. Dzięki niemu znów istnieją smoki.

To właśnie tamtego dnia ukrył twarz w dłoniach – jednej nagiej, a jednej obleczonej rękawiczką – i zapłakał. Po jakimś czasie wstałam i zostawiłam go samego. Nie umiałam mu pomóc, tak samo jak on mnie nie potrafił pocieszyć.

Cumowanie w Kelsingrze poszło tak gładko, że kapitan Lewszun aż zaklął ze

zdumienia. Zjawiliśmy się tam w środku dnia. Na niebie roilo się od smoków. Były między nimi te dwa z „Niezrównanego”. Urosły od czasu, gdy widzieliśmy je ostatnio. Była „Werwa”, był „Pojętny”, a także czerwony smok, którego zobaczyłam w Clerres, i ten ogromny, srebrzystoblękitny, imieniem Tintaglia. Nie widziałam natomiast czarnego kolosa, który pomógł zrównać twierdzę z ziemią.

Egzotyczne miasto okazało się zdumiewająco wielkie. Nigdy nie było mi dane oglądać tak wielu i w dodatku tak ogromnych budynków naraz. Było większe niż Nadsewel.

– Kelsingra została wzniesiona dla Najstarszych i dla smoków – wyjaśnił mi Niestrudzony. – Zobacz, panienko, jakie szerokie są schody, jakie wysokie drzwi!

W czasie drogi zdążył mi opowiedzieć o tylu cudach, jakie napotkam w tym mieście, że nie mogłam się doczekać, kiedy wreszcie „Smolisty” przybije do nabrzeża. Tkwiłam przy burcie, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę.

– Galar! – krzyknął nagle Strzyk tuż za moim ramieniem.

Omal nie wpadłam do wody.

– Rudawka! – wołał uradowany. – Na Edę i Ela! Moczar! Triumfator! Wy tutaj! Kto by się spodziewał? Wy w Kelsingrze!

Podskakiwał, dosłownie podskakiwał z radości. Minęło kilka chwil, nim udało mi się wydobyć z niego informacje, że ludzie, których witał z takim żarem, przybyli tu z Koziej Twierdzy. Byli członkami królewskiego kręgu Mocy, szczególnie uzdolnionymi w używaniu magii, szkolonymi przez moją siostrę. Skierka ich nie знаła, Niestrudzony wiedział tyle, co ja, czyli nic.

Mieszkańcy Księstwa Koziego wydawali się tutaj istotami odmiennego gatunku: niscy, smagli, o ciemnych, kręconych włosach, stanowili przeciwieństwo wysokich i smukłych Najstarszych, o skórze poznaczonej łuskami we wszystkich kolorach i wzorach, jakie mogła podsunąć wyobraźnia.

– Przybyli zabrać nas do domu – powiedziała cicho pani Amber.

Objęła mnie za ramiona, a ja się nie sprzeciwiłam. Czekając, aż załoga przycumuje barkę i rzuci trap, zamyśliłam się nad pojęciem „dom”. Ja nie wracałam do domu. Cóż. Teraz miałam poznać tych, którzy służyli mojej siostrze, tych, którzy zostali przez nią wybrani i wyszkoleni. Wyprostowałam się, przygładziłam włosy. Niewiele to dało: po chwili znów sterczały na wszystkie strony. Ubrania nie musiałam poprawiać. Strój nasączony magią Najstarszych był nieskazitelny i wyglądał przeświecnie. Przywołałam na twarz uśmiech i ruszyłam. Gdy zbliżyliśmy się nieco do naszych rodaków, uniosłam dłoń w geście powitania.

Niestrudzony wziął mnie za rękę i szepnął:

– Byłby z ciebie dumny, panienko.



Kelsingra okazała się jeszcze bardziej zdumiewająca, niż wynikało z opowieści Niestrudzonego, lecz równocześnie szalenie męcząca. Wszystko wokół mnie stale kłębiło się i wirowało, brnęłam przez odmęty rozmazanych plam. Na ulicach świętowali Najstarsi, współcześni oraz ci, po których zostały barwne cienie. Powitano nas z honorami godnymi rodziny królewskiej. Nabrało to dla mnie sensu dopiero wówczas, gdy Niestrudzony przypomniał mi, że pochodzę z królewskiego rodu. Członkowie kręgu Mocy chronili swoje umysły tak skutecznie, że ledwo ich wyczuwałam. Staralam się brać z nich przykład, lecz niespecjalnie mi się to udawało, być może wciąż jeszcze miałam we krwi resztki węzowego eliksiru. Wszystkie cuda i atrakcje Kelsingry razem i z osobna nie zdołałyby mnie przekonać do pozostania w kakofonii głosów i tęczowym wirze dawnych obrazów. Rudawka, mistrzyni kręgu, dała mi do wypicia miętę z walerianą, napar z dziwnym, gorzkim posmakiem. Tak jak obiecała, głosy przycichły.

Równocześnie jednak zbudził się we mnie uśpiony smutek. Łzy wzbierały mi pod powiekami nawet w czasie uroczystej kolacji, również wtedy, gdy dwa smoki „Nieźrównanego” zażyczyły sobie mnie widzieć, także wówczas, gdy wygłaszałam przygotowaną wcześniej mowę dziękczynną, w której podkreślałam swoją wdzięczność za uwolnienie. Oba gady oznajmiły, że mój ojciec będzie pamiętany jako ich przyjaciel oraz ten, który dokonał zemsty. Dopóki smoki będą latać, a węże pływać, nie zostanie zapomniany. Wyraziły swoje ubolewanie, że nie mogły pożreć jego ciała i przejąć wspomnień. Zaśmiałam się wtedy głośno, z przerażenia. Na szczęście pojęły mój wybuch jako spontaniczny wyraz radości, że pragnęły zjeść mojego tatę na obiad.

Wreszcie wszystko się skończyło i poszłam spać. Niestety nawet we śnie nie zaznałam odpoczynku, gdyż wszechobecne głosy nie dawały mi spokoju. Ani wówczas, gdy w niewielkiej łódce, przymocowanej do liny rozpiętej między brzegami, płynęłam na drugą stronę rzeki. Wciąż słyszałam tych, co już odeszli: opowiedzieli mi historię mostu, który teraz leżał na dnie.

Tam, na przeciwległym brzegu pozostali członkowie kręgu Mocy zajmowali się mieszkańcami „tkniętymi” przez smoki. Ci dzielni przybysze pracowali tu już od dwóch miesięcy i, jak mi powiedziano, działali dla miejscowych prawdziwe cuda. Przypisywano im cztery przypadki umożliwienia poczęcia – przez kładzenie rąk na brzuchach kobiet potrzebujących pomocy. Podobno coś w nich otworzyli. Pewien młody mężczyzna, który zmarł, bo nie mógł oddychać, został odrodzony

i uleczony. Świątował trzecie urodziny syna. Wdzięczność za wszystkie radosne zdarzenia przypisywano mojemu ojcu, gdyż to on wyraził życzenie, by sprowadzić do Kelsingry ludzi władających Mocą.

Niestety nie mieli zostać dużo dłużej, skoro ja się zjawiłam. Wypoczywałam w ślicznym pokoju, gdzie ryby pływały w ścianach i pluskały mi nad głową. Niedobrze mi się robiło od samego patrzenia.

Pewnego dnia Rudawka przekazała władcom, że musimy opuścić ich krainę. Odwiedzili mnie wtedy i przy mnie toczyła się rozmowa.

– Tylko za sprawą napar, którym ją poję, pozostaje przy zdrowych zmysłach. Wyłącznie dzięki niemu jest przytomna. Wy nazwalibyście ten stan zatonięciem we wspomnieniach. Jeżeli zostanie tu dłużej, przestanie reagować na rzeczywistość. Musimy zabrać ją do domu.

– Czy będziecie podróżowali przez filary? – spytała królowa Malta.

Członkowie kręgu Mocy potwierdzili milcząco.

Ukochany wciąż był panią Amber. Siedziała w fotelu przy moim łóżku. Trzymała moją dłoń w ręce obleczonej rękawiczką. Napar i związana z nim apatia odnowiły moją niechęć do tej postaci. Nie lubiłam jej dotyku, lecz dzięki niemu byłam osadzona. Najlepszy w tej roli okazał się Niestrudzony. Był tak całkowicie odporny na magię, że mogłam się w nim ukrywać. Niestety, gdy powiedziałam o tym Rudawce, zmarszczyła czoło i stwierdziła, że w ten sposób pozbawiam go siły, a to dla niego groźne. I nas rozdzieliła.

– Pszczoła nie może podróżować w tym stanie – zaproponowała pani Amber. – To dla niej zbyt wielkie ryzyko.

– Najwyższa mistrzyni Mocy postanowiła, że ruszy z wami w drogę cały krąg – odparła Rudawka spokojnie. – Zabierzemy was do Koziej Twierdzy wszystkich jednocześnie.

– Nie mogę na to przystać – sprzeciwiła się pani Amber głosem Błazna.

– Nie do nas należy ta decyzja – oznajmiła kobieta. – Jutro ruszamy.

Odetchnęłam z ulgą i zapadłam w sen. Nie zadałam sobie trudu, by słuchać dalszych, nieskończonych pożegnań z królem i królową Najstarszych.

Niedługo będę z siostrą. I z Rebusem.

Księżniczka z rodu Przezornych

Siwy mężczyzna rzuca śpiew na wiatr. Jego czupryna ma kolor chmur burzowych albo deszczu na szybie okiennej. Jest zadowolony. Włosy i płaszcz odlatują. On, po trochu, za nimi – zostaje tylko pieśń.

Obudziłam się z tego snu z uśmiechem na ustach. To obietnica, znak pomyślny. Spełni się.

Pszczoły Przezornej „Dziennik snów”

Stałam się osobą krwi królewskiej. Nieszczególnie mnie to zachwycało. Zrozumiałam, dlaczego tata starał się mnie przed tym ochronić.

Podróż między kamieniami Mocy przebiegła bez kłopotów. Udręką była koszmarna procesja, która nas do nich zaprowadziła, niekończące się pożegnania oraz trąbienie smoków kołujących nam nad głowami. Uśmiech bezlitośnie przywarł mi do warg, kłaniałam się i wszystkim dziękowałam. Uprosiłam, by nie rozdzielano mnie z Niestrudzonym. W czasie przeprawy ściszałam go za rękę z całej siły, za drugą dłoń trzymała go Rudawka. Weszliśmy w kamień jak sznurek koralików.

A po drugiej stronie napotkaliśmy towarzystwo powitalne. Odbyła się kolejna procesja, zostaliśmy powiadomieni, że zaplanowano dla nas ucztę i bal. Cały czas ściszałam Niestrudzonego za rękę.

– W głowie mi się kręci – powiedział w pewnej chwili.

Dopiero wtedy zorientowałam się, co robię, i puściłam jego dłoń. Z drugiej mojej strony stał Rebus. Usłyszawszy mojego przyjaciela natychmiast stanął między nami, jedną rękę położył mi na ramieniu, drugą na plecach Niestrudzonego. Oboje poczuliśmy się lepiej.

Wiele się tamtego dnia wydarzyło. Poznałam swoją siostrzenicę. Formalnie, w obecności wszystkich zebranych, złożyłam przed nią głęboki ukłon. Nadzieja była cała w koronkach zdobionych perłami, a twarzą miała drobną i czerwoną. Krzyczała bez ustanku. Pokrzywa wydawała się wyczerpana. Musieliśmy wypić herbatę i zjeść coś w komnacie, w której tłoczno było od kobiet wystrojonych w ekstrawaganckie suknie i zbyt obficie uperfumowanych.

Gdy wyznałam, że jestem zmęczona, zaprowadzono mnie do jakiejś komnaty, podobno mojej. Stała w niej piękna szafa, którą kazał dla mnie zrobić Birbant, w środku znalazłam swoje dawne ubrania. Gdy niespodziewanie pojawiła się Dbałość i powitała mnie niskim ukłonem, najpierw krzyknęłam, a potem się rozpłakałam. Wciąż na nowo pytałam, czy jest cała i zdrowa, czy to naprawdę ona, bo nie mogłam uwierzyć, że napastnicy zostawili ją przy życiu. Ona też się rozszlochała i tak obie łączyłyśmy łzy, aż kobieta, która mnie przyprowadziła, stanowczo nakazała nam się uspokoić i zagroziła, że w przeciwnym razie wezwie uzdrowiciela, by za pomocą leków położył kres naszej „histerii”. Straciłam panowanie nad sobą i kazałam jej się wynosić. Dbałość zamknęła za nią drzwi na skobel i już bez przeszkód płakałyśmy, ile nam było trzeba.

Służąca zapewniła mnie, że całkiem doszła do siebie, lecz chyba minęła się z prawdą. Przyjechała do Koziej Twierdzy zaledwie dzień wcześniej. Powierzono jej dawną posadę, rolę mojej pokojówki, gdyż Pokrzywa chciała dla mnie jak najmniej zmian. Kozia Twierdza była jednak ogromna, pełna obcych ludzi, nocą strach było wychodzić z komnaty, a w ogóle, to co ona, prosta dziewczyna ze wsi, miała robić w takim zamczysku?

Odpowiedziałam jej, że czuję się tak samo. Przycisnęła mnie z całej siły, mało mi żebra nie potrzaskały.

Pomogła mi zdjąć strój Najstarszych, a potem jakiś czas spędziłyśmy na nużącym strojeniu mnie w sztywne, szeleszczące spódnice, które według zapewnień Dbałości były zgodne z najnowszą modą prosto z Jamaili. Podobno fakt, iż uniknęłam wszy, należało uznać za cud, ponieważ na głowie miałam, pomimo wysiłków Skierki, jeden wielki kołtun. Sporą część włosów zostawiłam na grzebieniu. Potem zebraliśmy się w jednej z komnat, przeszliśmy do wielkiej sali i tam, na podwyższeniu, jedliśmy kolację. Szkoda siedziała trzy osoby dalej. Teraz była szlachetnie urodzoną panną Światłą, wystrojoną jeszcze bardziej niż w Białym Gaju. Czy nadal zostawiała na podłodze zrzucone z siebie ubranie? Spojrzałyśmy na siebie raz i zgodnie odwróciłyśmy wzrok.

Resztę nocy spędziłam w nowej komnacie, w wielkim łożu. Przyśnił mi się Birbant. Otworzyłam szafę, a on wyjrzał z lustra i podziękował mi za chustki. Obudziłam się zapłakana. Dbałość przyszła do mnie i do rana zostałyśmy razem. Przez sen trzymałyśmy się za ręce.

Czy to następnego ranka odbyła się ceremonia żałobna, pożegnanie mojego ojca? Spaliłam tylko kosmyk włosów, bo Pokrzywa powiedziała, że więcej nie mogę. Czy to tamtego, pierwszego dnia zostałam przedstawiona parze królewskiej? Zdarzenia mieszały mi się i plątały niczym beztrosko zostawiona wełna w koszyku. Codziennie

musiałam poznać kogoś nowego, zjeść posiłek z ludźmi, którzy zapewniali mnie o swoim żalu z powodu śmierci mojego ojca. Miałam spotkanie w cztery oczy z panią Ketriken, która na wieść o nieszczęściu zległa w łóżu i od tamtej pory nie opuściła swojej komnaty. Była blada i stara. Uśmiechnęła się do mnie smutno.

– Złote loczki... Czy Szczery dałby mi taką dziewczuszkę, gdybyśmy mieli więcej czasu?

Dziwaczne mi się to wydało.

Zaprowadzono mnie także do panny Światłej.

– Współczuję ci straty ojca – powiedziałam w obecności pokojówek oraz komtesy Parnej, która wszędzie za mną chodziła.

– I ja tobie.

Żadna z nas nie miała ochoty rozmawiać o tym, przez co przeszliśmy, więc po jakimś czasie wymówiłam się zmęczeniem. Kolejny obowiązek spełniony. Przy posiłkach mijałyśmy się bez słowa, pozdrawiając się skinieniem głowy.

Któregoś ranka chciałam zobaczyć się z Niestrudzonym. Powiedziano mi, że nie mam na to czasu, lecz równocześnie zapewniono, że został odpowiednio uhonorowany, otrzymał parę karoszy z najlepszej miejscowej hodowli oraz wysokie stanowisko w stajniach. Zapytałam, czy zajmuje się Fanaberią. Na to pytanie komtesa Parna nie знаła odpowiedzi, jednak zapewniła mnie, że zadba, by klacz trafiła pod bezpośrednią opiekę Niestrudzonego, skoro to dla mnie istotne.

Było istotne.

Pokrzywa i Rebus chcieli zjeść ze mną w spokoju kolację, jednak nie dało się wykluczyć z towarzystwa niemowlęcia, jego niańki, dwóch dwórek Pokrzywy, komtesy Parnej oraz jednego z ludzi Rebusa, więc w efekcie siedziałam sztywno wyprostowana, a rozmawialiśmy o tym, że tarta z jeżynami jest bezdyskusyjnie wyborna. Później, gdy została z nami tylko piastunka, Pokrzywa powiedziała mi, że niedługo dołączę do grona towarzyszek władczyni. Nie mam czego się obawiać, gdyż królowa Elliania jest bardzo miła. A ja muszę nauczyć się wszystkiego, czego ona, Pokrzywa, niestety nie została nauczona. Dostanę osobistego tutora.

– Strzyka? – spytałam.

Z nadzieją czy z obawą?

– Niestety, baronet Skrzący ma inne obowiązki, zajmie się tobą Skrzętny. To skryba, który wyuczył niejedno dziecko ze szlacheckiego rodu, wpoi ci litery i cyfry, ale także zasady protokołu.

Pokiwałam głową. Zerknąwszy na Rebusa, zobaczyłam w jego oczach współczucie i troskę.

Od następnego dnia spędzałam dużo czasu z tutorem i jeszcze więcej, towarzysząc

królowej. Musiałam znać imiona wszystkich książąt, księżnych oraz ich dzieci, pamiętać barwy rodowe oraz herby. Wieczorny posiłek zawsze spożywano w wielkiej sali, siadałam po lewej ręce Pokrzywy i Rebusa.

Co rano brałam udział w spotkaniu z królową. Musiałam siedzieć wyprostowana i koniecznie mieć jakieś zajęcie: wyszywać, tkać albo robić na drutach. Słuchałam paplaniny dam dworu. Wyznaczono mi miejsce obok panny Światłej. Obie byłyśmy zbyt zajęte, żeby ze sobą rozmawiać, natomiast już trzeciego dnia królowa zostawiła nas przy pracy, a sama poszła jeszcze poleżeć, i w chwili gdy drzwi się za nią zamknęły, poczułam się jak smakowity kawałek chleba rzucony stada kwok.

– Panno Pszczoło, ależ panna ma śliczne loki, złote, naprawdę złote! Zapuści panienka włosy?

– Czy to prawda, że panna była niewolnicą w Krainie Miedzi? – To pytanie rzucono zgorszonym szeptem.

– Nie znam tego ściegu, który panienka użyła do stokrotek, chętnie bym się nauczyła...

– Baronet Skrzący twierdzi, że nie zna dzielniejszej osóbki. Och, ależ on jest przystojny! Może będzie któregoś wieczoru usiedli we dwójkę ze mną i z panną Łaskawą do gry?

– Nic nie wiemy o waszych przygodach. – Panna Plenna uśmiechnęła się pożądliwie. – Aż drzę na myśl o tym, co taka drobna dziewczuszka oraz panna Światła musiały wycierpieć w szponach bandziorów!

– Panna Światła nie powiedziała nam właściwie nic na temat dnia porwania – dorzuciła dama imieniem Fiołkowa. – Na pewno umierałyście ze strachu! Ponoć najemnicy z Krainy Miedzi nie mają szacunku dla kobiet. A przetrzymywali was wiele dni... i nocy.

Zerknęłam na Szkodę. Broda jej drżała.

– To był bardzo trudny czas – oznajmiła sztywno panna Światła – i nie życzę sobie o nim mówić.

Natychmiast pojęłam, że nie cieszy się sympatią dwórek, a panna Fiołkowa chętnie by ją zawstydziła przed całym dworem, gdyby tylko mogła.

Była to młoda kobieta, śliczna, lecz nie tak urokliwa jak Szroda. Piękność o lśniących zielonych oczach i gęstych ciemnych lokach. Figurę też miała gorszą. Na dworze zaczęłam zwracać uwagę na takie szczegóły.

– Ale Pszczołka z pewnością coś nam opowie! – upierała się panna Fiołkowa. – Zdołałyście ocalić życie... – naciskała, jakby oczekiwała ode mnie wyznania plugawych sekretów. – Czym wykupiłyście się z rąk brutalni?

Przyspiliłam ją spojrzaniem.

– Jestem panną Pszczołą – przypomniałam.

Kilka dwórek zachichotało. Jedna zerknęła na mnie ze współczuciem, lecz zaraz uciekła wzrokiem i zajęła się robótką.

– Przetrwałam, gdyż chroniła mnie panna Światła – oznajmiłam głosem dźwięcznym i donośnym, jakiego używał Traf, gdy chciał być dobrze słyszany.

– Troszczyła się o mnie w chorobie. Na zimnie dzieliła się ze mną pledami. Dbała, żebym miała co jeść. Podjęła ogromne ryzyko, pomagając mi w ucieczce.

– Umilkłam na moment dla uzyskania większego efektu. – Zabiła dla mnie. Narażając własne życie, uciekła, odszukała mojego ojca i skierowała go na mój ślad. Ma prawdziwie lwie serce. – Zajrzałam w jej ogromne zielone oczy, następnie uśmiechnęłam się do Fiołkowej. – Jeżeli ktoś ją skaleczy, krwawić będę ja. A tego z pewnością nie przeoczy księżniczka Pokrzywa.

– Proszę, proszę! – rzuciła panna Fiołkowa wyniośle. – Kociątko ma pazurki.

Zduszone śmiechy zabrzmiały jak gdakanie kwok zawołanych na karmienie ziarnem.

– Pszczoła ma żądło – skorygowałam.

Nasze spojrzenia się spotkały. Żadna nie spuściła wzroku. Dwórka szyderczo wykrzywiła usta, ja odpowiedziałam uśmiechem. Wcale nie chroniła umysłu.

– O wiele chętniej niż mojej ponurej opowieści posłuchamy o wydarzeniach minionej nocy. O twojej schadzce ze dżentelmenem ubranym w obcisły grynszpanowy kaftan. Stanowczo zbyt obficie namaszcza włosy oliwą.

Szkoda błyskawicznie zasłoniła usta dłonią. Nie był to jednak przejaw zgorznienia, lecz próba zahamowania wybuchu śmiechu pełnego zachwyty.

– Nie ma w tym krzty prawdy! – Panna Fiołkowa wstała, a jej spódnice furknęły przy tym jak ptasie skrzydła. Ruszyła do drzwi. W progu przystanąła i zmierzyła mnie ciężkim spojrzeniem. – Tak się kończy włączanie pospólstwa w kręgi arystokratyczne! – I już jej nie było.

Nie mogłam dopuścić, by jej uwaga mnie dotknęła. Mnie albo Szkodę. Zaśmiałam się niegłośnie.

– Uciekła jak wystraszona kwoka, prawda? – odezwałam się do panny Światłej.

Rzucony przeze mnie kamyk wzbudził kręgi nerwowego śmiechu. Panna Fiołkowa cieszyła się popularnością, lecz nie sympatią, właśnie zyskałam na to dowody. I miałam pewność, że jeszcze dojdzie między nami do starcia.

Szkoda wyprostowała się, uniosła brodę. Starannie odłożyła robótkę do koszyka ustawionego przy stopach. Wstała z gracją, jakiej próżno by szukać u panny Fiołkowej, i wyciągnęła do mnie rękę.

– Kuzynko, przejdźmy się do Ogrodu Kobiecego. Masz ochotę?

Podniosłam na nią wzrok.

– Podobno tam fiołki rzeczywiście ślicznie pachną.

Tym razem śmiechy rozbrzmiały głośniejsze.

Wyszliśmy. Nikt za nami nie poszedł. Mimo wszystko Szkoła zerknęła przez ramię.

– Prędzej.

Nie podążyłyśmy jednak do Ogrodu Kobiecego, w którym rosły zioła i kwiaty, lecz do zupełnie innego, znajdującego się na szczycie wieży, gdzie ton nadawały krzewy w donicach, rzeźby i ławki. Szkoła otworzyła drzwi kluczem. Przez godzinę dużo spacerowałyśmy, a mówiłyśmy mało. Wychodząc, dała mi klucz.

– Należał do mojego ojca. To dobre miejsce na samotność.

– Jak sobie radzisz?

Odpowiedziała mi uśmiechem.

– Za życia ojca miałam na dworze obrońcę. Teraz jestem sama.

– Masz brata.

– Nie czuje się przy mnie swobodnie – odparła sztywno. – Ja przy nim również – dodała ze smutkiem.

– Wolałabym stawić czoło napastnikom uzbrojonym w noże niż tym sekutnikom z szydełkami – oznajmiłam na pożegnanie z wyjątkową szczerością.

Zaśmiała się głośno, a wiatr przydał nieco koloru jej policzkom. W ułożeniu warg dostrzegłam cień dawnej Szkoły.

– Nie miałam w ręku groźniejszej broni niż „obcisły grynszpanowy kaftan”. Obiecuję dobrze ją wykorzystać. – Podniosła rękę, zakrzywiła palce dłoni. – Czas, by lwica pokazała pazury.

I zostawiła mnie w tym ogrodzie na szczycie wieży, gdzie wiatr niósł woń jaśminu, a chmury płynęły po niebie jak statki.



Zacząłam odnajdywać się w codziennej rutynie, w napiętym planie dnia. Niestrudzonego ani Skierki nie widywałam wcale. Ukochany przybrał kolejne wcielenie, został hrabią Sposobnym. Przychodził do mnie raz dziennie, o wyznaczonej porze. Zawsze pytał o zdrowie, a ja odpowiadałam, że nic mi nie dolega. Jego aktualną rolę uzasadniała jakaś skomplikowana historia o tym, jak to dołączył do mojego taty i Strzyka, by wraz z nimi mnie ocalić. Mnie ona nie przeszkadzała. Dostawałam od niego upominki: raz wyrzeźbionego z drewna

żołędzia ze skrytką pod szupinką, kiedy indziej lalkę ubraną w biało-czarny strój, a któregoś razu puszczalkę, znacznie lepszą od tych, które sami zrobiliśmy na rzece.

– Będzie lepiej, Pszczoło – zapewnił mnie kiedyś, wychodząc. – Ktoś poniesie porażkę, ktoś inny będzie święcił triumfy i ludzie przestaną ci się tak uważnie przyglądać. Córka Pokrzywy podrośnie i wyjdzie trochę spod skrzydeł matki, wtedy twoja siostra nie będzie tak strasznie zmęczona. A gdy przyjdzie na świat dziecko pary królewskiej, zejdziesz na drugi plan, wtopisz się w cień. I znowu będziesz Pszczołą.

Niespecjalnie dodało mi to otuchy, lecz każdego ranka zaczynał się kolejny dzień, a każdej nocy zostawiałam go za sobą. Najważniejszy okazał się ten, gdy Rudawka zaprowadziła mnie do komnaty Pokrzywy, w wieży, gdzie zwyczajowo zbierał się królewski krąg Mocy. Jeden z sześciu przebywających w Koziej Twierdzy i w jej bezpośrednim pobliżu. Jeden przypadał na każdego księcia, jeden miał król, jeden mistrzyni Mocy... Tyle ich było...! Czułam się trochę urażona, że Rudawka mojej własnej siostrze zdaje sprawozdanie z moich postępów w nauce korzystania z królewskiej magii. Opowiedziała ze szczegółami, jak w Kelsingrze odurzyła mnie naparem z kozłka. Dowiedziałam się przy okazji, że niektóre moje sny, nie te prorocze, ale zwykłe, pospolite, wyciekały mi z umysłu i przeszkadzały członkom kręgów. Rudawka, przepaszając za zbytnią bezpośredniość, podsunęła sugestię, że powinnam codziennie zażywać odpowiednie środki aż do czasu, gdy nauczę się panować nad swoją nieokiełznaną Mocą albo zostanie ona zahartowana. Pokrzywa obiecała wziąć jej wskazówki pod rozwagę.

Postarałam się o sposobność, by porozmawiać z Pokrzywą na osobności, jak z siostrą, i spytałam, czy ja nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia.

– Widzisz, Pszczoło, czasami osoba dorosła musi decydować, co najlepsze dla dziecka. W tej sprawie musisz mi zaufać.

Łatwe to nie było.

Zdarzały się jednak także miłe chwile. Pewnego wieczoru, dość późno, w drzwiach mojej komnaty stanął Traf Radosne Serce, w towarzystwie hrabiego Sposobnego i Strzyka. Dbłość była szczerze zgorziona, póki nie przypomniałam jej, że nowo przybyły jest, na dobrą sprawę, moim bratem. Zaśpiewał kilka zabawnych piosenek, wkrótce pokojówka także chichotała. W pewnej chwili hrabia Sposobny zauważył, iż powinnam, gdy będę czuła się na siłach, opowiedzieć minstrelowi o wszystkim, co mi się przydarzyło, możliwie najwierniej oddając wszelkie szczegóły, gdyż moje przeżycia stanowią element historii księstwa oraz całego królestwa i należy zachować je dla potomności. Przypomniały mi się wtedy słowa siostry – obiecałam

„wziąć jego wskazówki pod rozwagę”.

Traf skwitował to szerokim uśmiechem.

– Tak przypuszczałem! – rzucił i zaintonował kolejną przyśpiewkę.



Kolejne dni miały mi na poznawaniu dworu, słuchaniu mów, oficjalnych posiłkach oraz przyjęciach w towarzystwie moich szlachetnie urodzonych rówieśników. Grafik towarzyski organizowała mi komesa Parna. Odwiedzali mnie bracia, nie wszyscy naraz, niektórzy z żonami i dziećmi. Przekonałam się, że prawie się nie znamy. Kochałam ich, lecz nie byli mi bliscy. Tak samo wyglądało to w drugą stronę. W czasie takich spotkań zawsze obecna była Pokrzywa z dzieckiem. Razem słuchałyśmy żartów, porad i częstych „a pamiętacie?”. Bracia wracali we wspomnieniach do rodziny, której nie znałam. Byli dla mnie mili. Przynosili upominki, takie, jakie daje się młodszej krewnej. Rebus w czasie tych wizyt siadał obok mnie, żebym miała do kogo otworzyć usta, i uczył mnie, jak uśmiechać się do obcych, którzy mnie kochają, a nie mają pojęcia, przez co przeszłam. Ja wciąż nie zamierałam się tym dzielić. Przy takich okazjach cieszyłam się, że poszłam za radą Niestrudzonego i zatarłam blizny. Jeżeli w ogóle coś mówiłam, opowiadałam o tym, jak na moich oczach statki przemieniały się w smoki, o ruchomych galionach, o cudach Kelsingry. Wierzyli może w połowę tego, co słyszeli, uznając większość za wytwór dziecięcej wyobraźni, a mnie to nie przeszkadzało.

Zaczynałam rozumieć, dlaczego mój ojciec pisał nocami. I dlaczego te zapiski palił.

Zdarzył mi się pewien ranek bez żadnych obowiązków, gdyż królowa w odmiennym stanie odprawiła dwórki. Wyprosiłam wtedy pozwolenie na konną przejażdżkę i to w dodatku na Fanaberii. Niestety, w czasie zmiany stroju dotarła do mnie wiadomość, że będzie mi towarzyszyło czworo rówieśników. Co gorsza, każde zabierało ze sobą jedną osobę ze służby, a jakby tego było mało, kilkoro rodziców także postanowiło z nami jechać. Ze mną mieli być Bastard Czujny oraz hrabia Sposobny. Ucieszyłam się, gdy zobaczyłam Niestrudzonego, jednak on zaledwie przytrzymał Fanaberię za uzdę, w czasie, gdy „mój” paż pomagał mi wsiadać na konia.

– Dam sobie radę – burknęłam.

Tak. Bunt na miarę prawdziwego rozwydrzonego bachora.

A potem było jeszcze gorzej. Wlekiśmy się niemiłosiernie, w tempie, które

pozwalalo doroslym spokojnie toczyć pogawędkę, a młodzieży zaczepiać mnie nudnymi, bezbarwnymi uwagami. Niestrudzony jechał daleko z tyłu. Zobaczyłam go, gdy przypadkiem zerknęłam przez ramię. Nasze spojrzenia się spotkały. Pochyliłam się nad grzywą Fanaberii i szepnęłam:

– Biegiem!

Czy użyłam przy tym czarów? Chyba nie, ale klacz i tak skoczyła naprzód z wielką chęcią, natychmiast wysforowałyśmy się przed grupę. Popędziłam ją jeszcze. Gnała jak na skrzydłach. Po raz pierwszy od czasu, gdy mnie porwano, poczułam się wolna, swobodna i miałam nieodparte wrażenie, że panuję nad sytuacją, chociaż siedziałam na grzbiecie cwałującego konia. Za nami rozległy się wołania i przestraszone okrzyki, ale mnie to nie obchodziło. Skręciłyśmy ze szlaku między drzewa, pognałyśmy w górę zboczem łagodnego wzgórza. Dalej Fanaberia poniosła mnie jakimś wąwozem, przecięłyśmy błotnisty potok, wspięłyśmy się na kolejny, nieco bardziej stromy stok. Z początku słyszałam za sobą stukanie końskich kopyt, potem już nie. Jechałam dalej, przed siebie, przywarłam do klaczy, jakbyśmy były jednością, obie uradowane, obie szczęśliwe. Wysokopienny las otworzył przed nami widok na trawiaste pastwiska. Łąki ciągnęły się daleko niczym soczyście zielony kobierzec. Białe stadka owiec przywodziły na myśl rozsypane guziki. W końcu Fanaberia stanęła. Obie oddychałyśmy głęboko. Gdy usłyszałam kląskanie kopyt i obejrzałam się za siebie, serce zadrżało mi z radości: to był Niestrudzony. Na pięknym czarnym wierzchowcu. Najwyraźniej dotrzymano słowa, dostał to, co mu przyrzeczono. Zatrzymał się obok nas i poklepał swoją klacz po szyi.

– Jak się nazywa? – spytałam.

– Pięknota – odpowiedział z szerokim uśmiechem, lecz zaraz spoważniał. – Panienko Pszczoło, trzeba wracać, bo będą się martwić.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

– Za momencik. Potrzebna mi jeszcze chwila bez całego tego towarzystwa. Oni wszyscy są...

Czekał cierpliwie, a ja nie umiałam znaleźć słowa, które by wyraziło, jak na mnie patrzy, albo jak zawieszają wzrok nad moją głową, ani tego, że wiecznie ktoś przy mnie jest.

– Ciągle ktoś mnie pilnuje – wyznałam w końcu żałośnie. – Ja już w ogóle nie bywam sama.

Niestrudzony ściągnął brwi.

– Mam odjechać?

– Nie, ty mi nie przeszkadzasz. Nigdy nie patrzysz na mnie jak na muchę

wyciągniętą z zupy.

Zaśmiał się i po chwili ja także.

– Jak ci się żyje? Dobrze cię traktują?

Uśmiech spelzł mu z twarzy.

– Jestem chłopcem stajennym. Jednym z wielu. Koniuszy często powtarza mi, żebym nie zadzierał nosa. Wczoraj zganił mnie, że nie dbam jednakowo o wszystkie konie. Prawda, zwlekałem przy Fanaberii. – Potarł kark. – Raz mi przyłożył styliskiem od miotły, bo powiedziałem, że klacz pana Strzyka potrzebuje więcej owsa. „Dla ciebie to on jest baronet Czujny, chłopcze! A mnie nie pouczaj!”. – Zaśmiał się na wspomnienie scenki.

Dla mnie ta anegdota nie była zabawna.

– A co u panienki?

– Lekcje, zajęcia, nauka. – Westchnęłam ciężko. – I wielkie zmiany w garderobie. Teraz muszę siedzieć nieruchomo i prosto w ubraniach, które są sztywne i drapią. Komtesa Parna nie odstępuje mnie na krok, poprawia bez ustanku i dba, żebym stale miała jakieś „pożyteczne zajęcie”. Właściwie nie wychodzę z zamku.

– A widzisz, panienko, Skierkę? Pana Strzyka i... – zaciął się – hrabiego Sposobnego?

– Skierki nie widuję wcale, a Strzyk i Ukochany niewiele ustępują mojemu ojcu, jeśli chodzi o umiejętność zostawiania mnie samej.

Niestrudzonemu rozszerzyły się oczy. Pożałowałam swoich słów, ale przecież tak wyglądała prawda. Regularnie widywałam jedynie Ukochanego, lecz on był zainteresowany głównie czytaniem zapisków moich snów, od wielkiego dzwonu zadawał jakieś pytanie.

– Stęskniłem się za nimi – przyznał Niestrudzony cicho.

– Nie widzicie się?

– Ze Skierką wcale. A jeśli chodzi o baroneta Skrzącego i hrabiego Sposobnego... Siodłam im konie. Pan Strzyk... Baronet Czujny zawsze wsuwa mi w dłoń monetę. Wiem, że obaj dobrze mi życzą, i tyle. Zawsze jesteśmy wśród innych ludzi, wiecznie trzeba dbać o pozory. – Poklepał się po kieszeni, coś w niej zabrzęczało. – Ciekawe, czy będę kiedyś miał czas wydać te pieniądze.

Usłyszeliśmy stukot końskich kłopot. Oboje poprawiliśmy się w siodłach, Niestrudzony odsunął klacz od mojej. Spomiędzy drzew wyłonił się Strzyk, zaraz za nim Ukochany. Wydawali się zdenerwowani. Ukochany podjechał do mnie pierwszy.

– Klacz poniosła, bo ją mucha ukąsiła – rzucił śpiesznie, przyciszonym głosem. – Niestrudzony cię dogonił, złapał Fanę za ogłowie... Zsiadaj – nakazał

Niestrudzonemu. – Chwytaj wodze. Szybko! – Popatrzył na mnie surowo. – Pszczoło, nie wolno ci narażać przyjaciela na reprimendę. Wkrótce będą tu pozostali. Postaraj się wyglądać na roztrzęsioną.

Niestrudzony zdążył już wykonać polecenie. A mnie pozostała nadzieja, że buzujący we mnie gniew nada mi wygląd „roztrzęsionej”. Za każdym razem, gdy zaczynałam lubić Ukochanego, robił coś, co dusiło moją sympatię w zarodku. Właśnie dowiedziałam się, że opuścili Niestrudzonego, i miałam ochotę napluć mu za to w twarz. Już nabrałam tchu, by mu to powiedzieć, lecz akurat w tej chwili na krawędzi lasu pojawiło się dwóch paziów oraz czyjś ojciec. Jeden przez drugiego pytali, czy nie spadłam i czy nie przydarzyło mi się nic złego. Któryś ze służących z ponurą miną podsunął myśl, że powinnam dosiadać jakiegoś spokojniejszego wierzchowca, „do chwili gdy młoda dama lepiej opanuje sztukę jeździecką”.

Cofnęliśmy się na szlak okrężną, łatwiejszą drogą. Dwie matki uznały, że trzeba wracać, ponieważ były mocno zaniepokojone, a przy tym stanowczo nie życzyły sobie ryzykować, że staną się świadkami kolejnego incydentu z tym „niesfornym zwierzęciem”. Młodzież patrzyła na mnie oczyma wielkimi jak spodki, Niestrudzony ponownie znalazł się na szarym końcu orszaku.

Jakiś czas później siostra poprosiła mnie „na słowo”. Słów usłyszałam znacznie więcej niż jedno. Kołysząc dziecko w ramionach, Pokrzywa chodziła w tę i z powrotem, przypominając mi, na różne sposoby, że teraz muszę zachowywać się godnie. Nawet nie spytałam, czy podjęła decyzję w sprawie mojej nauki Mocy. Nie był to dobry moment, by przypominać, że okazuję samowolę na różne sposoby. Po wszystkim Rebus odprowadził mnie do komnaty.

– Nie wiem, na ile ci to pomoże – rzekł, gdy stanęliśmy przed drzwiami, ale twój ojciec też nie przepadał za tym aspektem życia. Mimo wszystko jakoś to ścierpiął. I ty też musisz.

Tego wieczoru położyłam się wcześniej, a w głowie kołatała mi myśl, że czasem łatwiej było znieść pobicie przez Dwalię niż wykład Pokrzywy i jej rozczarowanie. Zgodnie z najnowszym obyczajem przed snem obowiązkowo sprawdziłam, czy należycie chronię umysł. Chodziło w jednakowym stopniu o to, bym swoje koszmary zatrzymywała przy sobie, jak i o to, bym nie dopuszczała do siebie cudzych. Po jakimś czasie zbudziła mnie dobiegająca z daleka muzyka. Za oknem było ciemno, zamek ułożył się do snu. Leżałam i słuchałam. Kto gra o tej porze i dla kogo? Nie umiałam nazwać instrumentu, który słyszałam, lecz wydawane przezeń dźwięki doskonale pasowały do mojego nastroju. Czułam się samotna, lecz nie smutna, jakby samotność nie była taka znowu zła.

Wstałam, włożyłam podomkę. Drzwi do pokoiku Dbałości były zamknięte,

poza tym moja pokojówka miała mocny sen. Wyszłam na korytarz i stanęłam niezdecydowana, czy nie łamię jakiejś kolejnej reguły, lecz przecież nikt nigdy nie zabronił mi chodzić po Koziej Twierdzy nocą. Cicho zamknęłam komnatę.

Chociaż uważnie nadśluchiwałam, nie potrafiłam ocenić, skąd dobiegają tajemnicze dźwięki. Zamknęłam oczy, by się lepiej skupić, i krok za krokiem zaczęłam oddalać się najpierw od swojej komnaty, a potem od luksusowego apartamentu na końcu korytarza, gdzie mieszkali Pokrzywa z Rebusem. Mijałam kolejne drzwi. Od czasu do czasu przystawałam, nadstawiałam ucha, decydowałam, dokąd iść. I ruszałam dalej. Muzyka przybierała na sile. W końcu trafiłam pod jakieś wejście, zatrzymałam się i przycisnęłam ucho do desek. Nic. Ale gdy cofnęłam się o krok, znów usłyszałam granie, całkiem głośne. Jakiś czas stałam, sprzecząc się ze sobą w duchu. Ciekawość zwyciężyła. Zastukałam.

Żadnej odpowiedzi.

Zastukałam ponownie, tym razem głośniej.

Nic.

Pchnęłam drzwi. Nie były zamknięte na skobel. Za nimi znajdowało się przytulnie urządzone pomieszczenie, trochę mniejsze niż moja komnata. Na kominku płonął niezbyt duży ogień. Nie było w tym nic dziwnego, gdyż stare kamienie Koziej Twierdzy wydawały się zimne nawet w środku lata. Przed paleniskiem, na miętko wyściełanym fotelu, siedział mężczyzna o okrągłej twarzy. Krótkie nogi wsparte miał na tapicerowanym podnóżku i zakryte kocem. Mocą rozsyłał muzykę, którą śnił.

Urzekła mnie ta scena, podniosła na duchu. Poczułam się tak, jakbym weszła do starej, dobrze znanej bajki.

Na kolanach gospodarza spała szara kocica. Uchyliła powieki.

„Dobrze nam” – powiadomiła mnie.

– Czy on zawsze tak gra przez sen? – zapytałam niegłośno.

Kotka nie odpowiedziała, za to mężczyzna spojrzał na mnie. Nie wydawał się zaskoczony ani zaniepokojony. Oczy miał zamglone jak u starego psa. Rysy twarzy zdradzały zaawansowany wiek, powieki były wypukłe, uszy drobne, przylegające do czaszki. Oblizął usta i nie do końca schował język.

– Śniłem piosenkę dla córeczki Bastarda – powiedział. – Na wypadek gdybym ją spotkał.

– To ja – stwierdziłam i podeszłam bliżej.

Wskazał mi poduszkę leżącą na posadzce, obok fotela.

– Jak chcesz, możesz sobie usiąść tutaj. To legowisko Smugi, ale skoro siedzi ze mną, nie będzie miała nic przeciwko.

„Wręcz przeciwnie”.

Usiadłam na stopniu kominka, podniosłam wzrok na staruszkę.

– Czy ty jesteś Młotkiem? – spytałam.

– Tak mnie nazywają. Tak.

– Ojciec pisał o tobie. W pamiętnikach.

Twarz rozdzieliła mu się w szerokim uśmiechu. Przypomniałam sobie, że ten człowiek jest ograniczony na umyśle.

– Tęsknię za nim – powiedział. – Przynosił mi cukierki. I ciasteczka. Z różowym lukrem.

– Łakocie.

– Pyszności. I śliczności. Układałem je rzędkiem i długo patrzyłem.

– Ja ustawiałam w rzędzie świece matki. I wachałam. Ale nigdy nie paliłam.

– Mam cztery miedziane guziki. I dwa drewniane. A jeden z muszelki. Chcesz zobaczyć?

Chciałam. Tęskniłam za prostotą. Za zwykłymi przyjemnościami, jak oglądanie guzików. Kocica prychnęła, zeskoczyła z kolan opiekuna i ułożyła się na poduszce. Młotek musiał pokonać ból, by wstać, otworzyć szafkę i wyjąć z niej pudełko z guzikami. Wtedy nabrałam pewności, że jest bardzo stary. Stawianie nóg sprawiało mu ogromną trudność, lecz guziki były szalenie ważne. Z pudełkiem w rękach wrócił na fotel. Ponieważ koc przy wstawaniu zsunął się na podłogę, podniosłam go i na nowo ułożyłam mu na nogach. Pokazał mi wszystkie guziki po kolei, przy każdym opowiedział, jak go znalazł.

Potem spytałam:

– Nauczysz mnie grać Mocą?

Zamarł.

– Moją muzykę? – upewnił się miękko.

Stracił pewność siebie, nagle miał się na baczności.

Milczałam. Czy tą jedną prośbą wszystko popsułam?

Wyciągnął do mnie rękę. Zawahałam się, lecz w końcu jednak wsunęłam w nią swoją. Zamknął palce wokół mojej dłoni. Jego uścisk wibrował potęgą.

– Musimy grać cichutko. Mam pilnować, żeby moja muzyka nie brzmiała głośno.

– Zrobił coś dziwnego z murami chroniącymi mój umysł i nagle znaleźliśmy się u niego, w bardzo szczególny sposób. – Teraz – zdecydował. – Właśnie tak się gra. – Uśmiechnął się i dodał: – Zaczniemy od kociego pomrukiwania.

Tamtej nocy zyskałam nauczyciela i przyjaciela.

Wróciłam do siebie tuż przed świtem. Przez minione godziny nauczyłam się tworzyć muzykę z kociego mruczenia, skrzypienia bujanego fotela i cichego strzelania ognia. Zanim wyszłam, przyjaciel oblókł mnie w czar „jej nie widzisz!”.

Następnego dnia z niewyspania leciałam z nóg. Nieważne. Wieczorem przyjaciel na mnie czekał. Pomogłam mu stworzyć „namiot”, który okazał się mocniejszy i solidniejszy od każdego muru chroniącego Mocą, jaki do tej pory udało mi się wznieść. Posiłki jadał u siebie, podzieliliśmy się resztkami. Na dodatek zostawił dla mnie kilka ciasteczek imbirowych. A potem wspólnie tworzyliśmy muzykę kociego mruczenia, dodając do niej nowe elementy. Poczułam się zaszczycona, gdy włączył w nią mój śmiech na widok kota tańczącego z kłębką wełny. Nigdy, nigdy w życiu z nikim nie bawiłam się tak wspaniale. Ta noc przyćmiła nawet tamten dzień, gdy ojciec zabrał mnie na targ do Dębowego Zdroju, ponieważ nikt nie podrzynał gardzieli żadnemu psu, nikt nie dźgał nożem żebraka. My się po prostu bawiliśmy.

Dla kogoś, kto nigdy w życiu nie miał towarzysza zabaw, było to nadzwyczajne.

Rozdział 46

Kamieniołom

W Królestwie Sześciu Księstw krąży niejedna legenda o ludziach, którzy zaginęli w filarach Mocy. Znane są też opowieści o takich, co się z nich niespodziewanie wynurzyli. Zwykle podania dotyczą osób, które uciekały przed niesprawiedliwą karą i w kamieniach znalazły schronienie przed prześladowcami. Niekiedy wychodzący z kamieni ludzie wyglądają dziwnie lub obco, lecz spełniło się ich życzenie, na przykład zostali wyleczeni z jakiejś przypadłości.

Moim zdaniem wszystkie te przekazy mają korzenie w bezmyślnym korzystaniu z magicznych portali przez osoby całkowicie do tego nieprzygotowane.

„Historia filarów Mocy w Królestwie Sześciu Księstw oraz poza jego granicami”. Cierń Spadająca Gwiazda

„Coś niedobrze z księżycem”.

Zamrugalem. Racja. Księżyc był. Księżyc świecący w ciemnościach oznaczał, że nie znajdowaliśmy się już w magicznym przejściu. Nie byliśmy pomiędzy filarami, niezależnie od tego, co miałyby znaczyć owo „pomiędzy”. Leżeliśmy gdzieś na ziemi i patrzyliśmy w górę, na księżyc. Kruczycyca stała mi na piersiach. Gdy się poruszyłem, zeskoczyła ze mnie, odsunęła się. Księżycowy blask spłynął po jej szkarłatnych piórach, lecz zaraz zniknęła. Chłodne powietrze mile gładziło skórę. Pod plecami miałem twardy kamień. Oderwałem wzrok od księżycyca i zobaczyłem filar, z którego wypadłem. Za nim las.

To nie była Kelsingra.

„Księżyc!” – Ślepun był uparty.

Podniosłem wzrok. Och. Prawie pełnia. Był w pełni, gdy dostaliśmy się w kamień. Wobec tego albo wyszliśmy z filara, zanim weszliśmy w magiczny portal, albo spędziliśmy w nim prawie miesiąc.

„Albo i dłużej”.

– Gdzie jesteście? – spytałem głośno, by uniknąć myślenia o straconych dniach.

Miesiącach? Latach?

Znałem podania o ludziach, którzy zniknęli w filarach Mocy i pojawiali się na nowo po długich latach, czasem niezmiennymi, a kiedy indziej znacznie starsi niż w momencie wejścia. Czy ja się postarzałem? Z pewnością czułem się starszy. Słabszy. Wyobraziłem sobie Pokrzywę jako staruszkę. Pszczolę jako matkę. Usiadłem. Dygotałem na całym ciele.

„Gdzie jesteście?”

„Tam, gdzie powinniśmy być. W jedynym miejscu, w jakim być możemy”.

Postanowiłem zebrać siły i jednak wstać. Najpierw podparłem się rękoma i nogami, potem dźwignąłem do pionu. Nade mną świeciły gwiazdy i ten księżyc, prawie w pełni. Powiodłem wzrokiem po stromych skalnych ścianach, za nimi rysowały się ciemne kształty lasu iglastego. Czułem wodę. Obróciłem głowę w stronę tego zapachu i poszedłem w jego stronę. Sandały zachrząściły na kamińkach. Grunt prowadził lekko w dół, wkrótce dotarłem nad imponującej wielkości kwadratowy staw. Pachniał zieleniną. Ukląknąłem na brzegu, nabrałem wody w dłonie i wypłem. Potem więcej.

Usiadłem. Wciąż byłem głodny, lecz gdy zaspokoilem pragnienie, zelżał nieco ból głowy, z którym dawno się pogodziłem. Rozejrzałem się. Zaczynałem powoli rozpoznawać to miejsce. Kamieniołom. Ten, z którego Najstarsi pozyskiwali bloki kamienia Mocy. Znajdowałem się całkiem niedaleko miejsca, gdzie król Szczery zakończył życie jako człowiek. Wyrzeźbił smoka z czarnego kamienia połyskującego srebrem, wznosił się w powietrze jako skrzydlata bestia i bronił swego królestwa.

„Doskonałe miejsce”.

„Nie! Zamierzałem dotrzeć do Kelsingry”.

„Wiem. Ale to tutaj powinniśmy być”.

Zepchnąłem jego słowa w najdalszy zakamarek umysłu.

Kiedyś znałem kamieniołom jak własną kieszeń. Zmienił się bardzo, a jednocześnie wcale. Usiłowałem sobie przypomnieć, gdzie stał zniszczony namiot mojego władcy, gdzie rozpaliliśmy ogień, gdzie rozbiliśmy się obozem. Promienie księżycy budziły do życia grube żyły srebra w czarnej skale. Błądziłem między porzuconymi kamiennymi blokami. Kiedyś, dawno temu, kręgi Mocy Najstarszych przybywały tutaj, by wybrać odpowiednią bryłę i wyrzeźbić istotę, której zostaną powierzone ciała i wspomnienia. Podejrzewałem, iż tak stanowiła tradycja, w pewnym sensie odtworzona przez kilka kręgów Mocy naszego królestwa. Może ta opowieść przetrwała gdzieś w murach Kelsingry albo w którejś z kostek pamięci z wyspy Aslevjal.

Znalazłem dawny obóz króla Szczerego. Po latach właściwie nic z niego nie

zostało. Miałem nadzieję na coś więcej, przecież, opuszczając go, zostawiliśmy wszystko. Cóż mogłem znaleźć? Wspomnienie po łuku królowej Ketricken? Jakiś nóż? Koc albo pled? Noc była chłodna, przykrycie by nie zaszkodziło... Dziwne uczucie tak nagle przenieść się z upału na gorącym łądzie w lato w Królestwie Górskim.

„Lata już niewiele zostało. Podnieś głowę, bracie, powąchaj świat. Wyczujesz nadciągającą jesień, liście zaraz będą spadać z drzew”.

„Tak długo tkwiliśmy w kamieniu?”.

„Nic nie pamiętasz?” – Wilk wydawał się szczerze zdziwiony.

„Zupełnie nic”.

„Ani Szczerego? Ani Roztropnego? Ani spotkania z Cierniem?”.

Wstrząsnęły mną jego słowa. Stałem zmieniony w kamień, szukając śladów w pamięci. Przypomniałem sobie łotrów, którzy napadli nas w dawnym mieście Najstarszych, potem przypadkowe dotknięcie niewłaściwej ściany kolumny. Poszperałem głębiej.

„Tu jesteś, chłopcze!”.

„Zostaw go. To nie jego miejsce. Nie jego czas. Ma zadanie do wykonania”.

„Pokaż tę broszę, a zawsze zostaniesz do mnie wpuszczony”.

Leżałem na plecach, wpatrywałem się w księżyc tuż przed pełnią. Czy tylko wyobraziłem sobie te myśli dotyczące mojego umysłu? Czy to ja je stworzyłem? Ogarnęło mnie znużenie.

„Coś z nami niedobrze. Jak choroba, ale inaczej”.

„Podróż, przez magiczne portale. Czuję się podobnie, gdy opuszczając Asleviajl, utknąłem na jakiś czas w czarnej skale”.

„Nie” – upierał się wilk. – „To coś innego”.

Zignorowałem go. Ile czasu spędziliśmy w kamieniu? Przynajmniej miesiąc. Pszczoła zapewne już dotarła do Miasta Wolnego Handlu.

Jakby mnie uderzyła zimna fala. Przecież oni wszyscy wciąż mają mnie za zmarłego! Muszę ich zawiadomić, że żyję. Wtedy będę mógł spokojnie poczekać kilka dni, wydobrzcć po przeprawie między filarami. Potem starą, opuszczoną drogą Mocy dotrę na dawny targ, do filaru, który znam. Stamtąd już łatwo trafię do Księstwa Koziego. Ile czasu zajmie mi powrót do domu? Znajdę się tam przed następną pełnią! Najwyższy czas dać znać królowi Sumiennemu, że przeżyłem, a on przekaże tę wieść Pszczole, gdy tylko się z nią spotka.

Stałem, objąłem się ramionami, znieruchomiałem. Zbierałem się w sobie, koncentrowałem. Nagle jednak uświadomiłem sobie przede wszystkim, że jestem strasznie chudy. Żebra mi wystawały. Potem dotarło do mnie, że mi strasznie

zimno. Musiałem rozpalić ogień. Czym? Były na to stare sposoby. Choćby szybkie obracanie patyka na drewnku. Tak. Najpierw światło i ciepło, wtedy łatwiej będzie się skupić.

„Szczery mówił, żebyś lepiej tego nie robił, pamiętasz? Oszczędzaj siły na wykonanie zadania”.

„Nie pamiętam. Niczego nie pamiętam. Nawet samego spotkania. Nie wiem, o jakie zadanie chodzi”.

„Przypomniałbyś sobie, gdybyś naprawdę chciał”.

Dziwaczna i nieprzyjemna uwaga. Naburmuszone słowa zawisły między nami, gdy szukałem drewna. Księżyc powlekał nagie skały kamieniołomu upiornym światłem. Deszcz i wiatr odarły drzewa z martwych liści, które zaścieliły kamień, lecz na szkielecie głazów nie rosło prawie nic. Głód na stałe zacisnął mi szpony na żołądku.

Kamieniołom znajdował się w lesie. Ruszyłem brzegiem, na styku dwóch światów, zbierając suche drewno. Owady brzęczały, uciekając przed nietoperzami.

„Jeżozwierz!”.

Wyczułem go w tej samej chwili, gdy buchnęło we mnie podniecenie Ślepun. Uśmiechnąłem się bezwiednie. Nigdy nie potrafił zapanować nad fascynacją tymi kolczastymi istotami. Nie zliczę, ile razy wyciągałem mu kolce z łap i z kufy. Odłożyłem zebrane drewno, wybrałem tylko jeden ciężki konar.

Jeżozwierz za jedyną broń ma kolce. Jest to stworzenie powolne, jedno z niewielu, jakie można zabić pałką. Odwracał się do mnie tyłem, ogonem, a ja usiłowałem okrążyć go, by uderzyć w łeb. Zanim go zabiłem, byłem wyczerpany. A świadomość, ile jeszcze pracy przede mną, zanim będę mógł go zjeść, niemal mnie pokonała. Niemal.

Musiałem obrócić dwa razy, żeby zanieść jeżozwierza i drewno na opał do kamieniołomu, niedaleko naszego starego obozowiska. Las wokół skalnej kopalni był suchy jak wiór, nie chciałem tam rozpalać ogniska, by się przypadkiem nie zajął od jakiejś zbłąkanej iskry, lecz wkrótce marzyłem wyłącznie o jakiegokolwiek iskrze. Nóż zabrany łotrowi w dawnym mieście Najstarszych był moim jedynym większym narzędziem. Zaostrzyłem czubek patyka, wydłubałem otwór w najsuchszym kawałku drewna. Następnie przystąpiłem do niewdzięcznego zadania uzyskania iskry. Chociaż jednej. Patyk wirował mi między dłońmi. Niechże się wreszcie pokaże dym... Coraz częściej musiałem robić przerwy na odpoczynek. Łokcie i barki odmawiały mi posłuszeństwa.

„Spróbuj jeszcze raz” – poprosił miękko Ślepun.

Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że przysnąłem nad patykiem i drewnkiem.

Wzięłem patyk w oblaną srebrem dłoń, ułożyłem na drugiej, też połyskującej metalicznie... I nie mogłem wykonać żadnego więcej ruchu. Zadanie wydało mi się beznadziejne. Wiedziałem, że nie dam rady. W rozpaczy beznadziei dźgnąłem patykiem wydrażone drewnienko i zawyłem:

– Chcę rozpalić ogień! Czy pragnę zbyt wiele? Ogień!

Buchnęły płomienie. Nie była to iskra ani smużka dymu. Prawdziwy żywy ogień zapłonął na obu kawałkach drewna, aż odskoczyłem. Serce waliło mi młotem, czułem je w gardle!

„Nie wiedziałem, że tak umiemy”.

„Ani ja”.

„Podłóż coś, bo zgaśnie!”.

O, na pewno nie. Poukładałem nad zarzewiem ogniska kolejne patyki, patrzyłem, jak zajmują się ogniem. Złoty blask odepchnął cienie i rozbudził srebrzyste błyski w czarnym kamieniu. A moja metaliczna dłoń lśniła pełnym blaskiem. Przyjrzałem się jej w skupieniu, na wpół zdumiony, na wpół wystraszony. Proszę bardzo, jakie to praktyczne.

Wróciłem do lasu, zebrałem znacznie więcej drewna, ile tylko zdołałem unieść. Powtórzyłem tę wyprawę jeszcze dwukrotnie, aż wreszcie zabrałem się do szykowania mięsa.

Obdzieranie jeżozwierza ze skóry jest zgodne z oczekiwaniami. To praca wymagająca delikatności, ostrożności i uwagi. Najlepiej powiesić go z rozłożonymi łapami, ale po pierwsze, nie miałem sznurka, a po drugie, w kamieniołomie nie było drzew. Mimo wszystko jednak warto było się natrudzić. Okazał się tłusciutki niczym jesienny wieprz. Gdy opiekałem go nad ogniem, mięso skwierczało i strzelało w dymie tłuszczem. Najadłem się do syta, potem usnąłem zawinięty w płaszcz kobiety, której nakazałem umrzeć. O brzasku zbudziłem się pod kryształowo błękitnym niebem. Rozpaliłem ogień, zjadłem jeszcze trochę. Poszedłem do wody w niższej części kamieniołomu, obmyłem ręce i zaspokoilem pragnienie. Z pełnym brzuchem uznałem, że mogę stawić czoło nowemu dniowi.

Przypomniało mi się, że niedaleko jest strumień. Taki, w którym żyją ryby. Wilga. Na brzegu tamtego strumienia powiedziałem jej, że jej nie kocham, starałem się być szczery. Potem nasze ciała połączyły się w błogości właściwej dla zwierząt, a jednocześnie był to początek dziwnej i skomplikowanej znajomości, która trwała, wciąż powracała, przez dziesięć lat z okładem. Wilga Słowicza, w pasiastych pończochach, żona bogatego mężczyzny, z dumą słuchającego jej ballady o naszej wyprawie.

Cóż, tej znamiennej sceny nie zawarła w pieśni, pomyślałem z uśmiechem.

Wróciłem do ognia. Jaskrawa wybierała co lepsze kęski spośród wnętrzości jeżozwierza. Gdy podniosła na mnie wzrok, z dzioba zwisał jej kawałek jelita.

– Do domu? – zakrakała z nadzieją.

– Dzisiaj odpoczywam. Odsypiam i łapię ryby. Jedne zjem, inne ususzę. Nie zamierzam więcej podróżować o głodzie. Trzy dni odpoczynku, jedzenia i snu. Nabieramy sił. Potem ruszamy dalej.

„Mądrzej byłoby wybrać głąz i zacząć już teraz”.

Znieruchomiałem przy ogniu. Wiedziałem, o co Ślepunowi chodzi.

„Wracam do domu”.

„Od dawna wiedzieliśmy, że nastanie ten czas. Jak często marzyliśmy o powrocie tutaj i wyrzeźbieniu smoka? Jesteśmy w kamieniołomie. Nastąpiła ta chwila. Może mamy jeszcze dość czasu i siły, żeby tego dokonać. Nie chciałbym zostać uwięziony w kamieniu jak dziewczyna na smoku”.

Uformowałem stanowczą myśl i wyraziłem ją słowami:

– To jeszcze nie jest ta chwila. Nie jestem stary. Tylko zmęczony. Odpocznę trochę i...

– Do domu? – przypomniała się Jaskrawa. – Pszczoła! Pszczoła! Niestrudzony! Błazen! Strzyk! Skierka!

– Strzyk nie żyje – sprostowałem ostrzej, niż zamierzałem.

Wilk się nie patyczkował.

„Jak dalej będziesz taki uparty, to umrzesz. A ja razem z tobą”.

Myśli mi zakrzepły.

– Do domu! – oznajmiła Jaskrawa.

– Już niedługo – zapewniłem.

– Teraz – stwierdziła.

Oderwała następny fragment wnętrzości jeżozwierza, zdobycz owinęła jej się wokół dzioba, ciemna na tle srebra. Ściągnęła pożywienie stopą, ułożyła, jak jej było wygodnie, i połknęła. Przeczesała pióra. Te granatowoczarne i te szkarłatne.

– Żegnam! – rzuciła i wzbiła się w powietrze.

Odprowadziłem ją wzrokiem.

– Długa droga przed tobą! – zawołałem.

Czy w ogóle wiedziała, dokąd lecieć?

Okrzyżowała kamieniołom nisko, tuż nad luźnymi bryłami i stertami kamiennego gruzu, pozostałego jako ślad dawnych prac. Przelatując nad niższą częścią kopalni, musnęła stojącą tam wodę. Obróciłem się, odprowadzając ją wzrokiem. Leciała prosto do kamiennego portalu. Przestraszyłem się, że za chwilę będę biegł do rannego albo martwego ptaka, lecz ona gładko wsiąknęła w skałę.

– Nie miałem pojęcia, że to potrafi – przyznałem. – Oby wyszła z kamienia cała i zdrowa.

„Nie pierwszy raz podróżuje dzięki magii. I ma Moc na dziobie”.

„To prawda”.

Mimowolnie zrobiło mi się smutno na myśl, że mogę jej więcej nie zobaczyć. Skupiłem się wobec tego na własnych planach. Kilkakrotnie przyniosłem opał. Upiekłem kości jeżozwierz, aż dały się połamać i dostałem się do szpiku. Potem nadszedł czas na łapanie ryb. Dawno tego nie robiłem. Poszedłem nad strumień, znalazłem miejsce, gdzie mogłem się ułożyć na brzuchu, na stromym brzegu, gdzie zwisające rośliny odcinały słońce. Tak należało postąpić, by nie zdradził mnie własny cień. Dobrze, że pamiętałem, jak się zachować. Wkrótce miałem w rękach dwa piękne, wyrosnięte pstrągi. Przeciągnąłem im przez oskrzela wierzbową witkę i tak wetknąłem do wody. Złapałem jeszcze dwa. Doskonały połów. Dwa na dzisiaj, dwa do ususzenia albo uwędzenia w dymie. Byłem zadowolony.

„Nadal »nie pamiętasz« rad króla Szczerego?”

„Wpadłem w kamień, wypadłem z kamienia. Z samego przejścia nie pamiętam nic”.

„Byłeś głęboko w rzece magii. Król Szczery cię znalazł. Jest tam grubą rybą, noszą go wartkie prądy. Powiedział ci, żebyś wyrzeźbił smoka. I żebyś z tym nie zwlekał. Król Roztropny też tam był, ale mniejszy, chudszy. Obok Ciernia. Wszyscy trzej mają nadzieję, że uda ci się osiągnąć cel”.

– Niczego takiego sobie nie przypominam – odezwałem się po jakimś czasie. – Zupełnie nic. Chociaż bardzo bym chciał.

„To ja ci przypomnę. Król Szczery napominał, żebyś nie zwlekał. On sam ledwo zdążył. Gdybyś nie sprowadził Pustki, gdyby ona nie stała się tym, kim i czym chciała, zostałyby tylko na wpół ukończony smok oraz martwy władca. A w Koziej Twierdzy pewnie rządząliby Zawyspiarze”.

„My nie gramy o tak wysoką stawkę”.

„A, tak. Tylko o twoje życie. No i moje”.

„Zastanowię się nad tym wieczorem”.

„Bastardzie. Nie chcę przestać istnieć. Zrób z nas smoka. Daj mi tę namiastkę życia. Niech znowu poczuję zapach powietrza, pozwól mi zapolować, zanurzyć się w chłód nocy i upał słonecznego dnia”.

Jakże silna żądza brzmiała w jego słowach. Poczułem się samolubny. Doświadczał świata przez moje ciało, lecz przecież moje zmysły stanowiły zaledwie echo tego, co mu wcześniej dostarczały własne.

– Ślepunie? Czym jesteś?

Jakiś czas milczał.

„Jestem wilkiem. Trzeba ci o tym przypominać?”

– Byłeś wilkiem. A czym jesteś teraz? Duchem, który zamieszkał w moim ciele? Mieszaniną moich wspomnień i przewidywań, co mógłbyś powiedzieć lub zrobić?

„Nie przypuszczam. Przecież pamiętam ostatnie spotkanie z królem Szczerem, a ty nie. Poza tym byłem z Pszczołą, oddzielony od ciebie. I ona mnie słyszała”.

„Żałuję, że nie powiedziałem jej o tobie więcej. Chętnie bym się z nią podzielił wspomnieniami”.

„Ja nie żałowałem jej naszych wspomnień. Wie niemało o naszym wspólnym czasie. I o moim życiu”.

„To dobrze, cieszę się”.

„Ja też. Nie jestem wytworem twojej wyobraźni”.

„Żyjesz we mnie”.

„Tak. I jeśli umrzesz, ja także przestanę istnieć”.

– Wilku... Chcę wrócić do domu. Zobaczyć się z córką. Muszę być przy niej, nadrobić stracony czas, naprawić błędy. Być wreszcie dobrym ojcem.

„To samo powiedziałaś królowi Szczeremu. A teraz powtórzę ci jego odpowiedź. »Inni zrobią to za ciebie. A ty musisz ufać, że dobrze wywiążą się z tego zadania«. Wie, co mówi, przecież oddał innym swojego syna. Nawet go nie poznał”.

„A dlaczego mam się śpieszyć z rzeźbieniem?”

„Bracie, przecież coś cię zżera. Od środka. Czuję to wyraźnie. Przestań wreszcie ukrywać to przed sobą”.

„Za długo tkwiłem w kamieniu i tyle”. – Przeciągnąłem dłonią po żebrach. Kości biodrowe też mi wystawały. – „Myślisz, że mam robaki?”

„Ja to wiem. Robią swoje bardzo szybko. Twoje ciało nie nadąza zdrowieć”.

Wracając znad strumienia do kamieniołomu, rozmyślałem o jego słowach. Ogień przygasał. Zagarnąłem węgle i upiekłem na nich dwie ryby. Zjadłem dwie, popatrzyłem na pozostałe. Wciąż byłem głodny. Doszedłem do wniosku, że jutro mogę ich nałapać więcej i przygotować na podróż. Znowu podgarnąłem węgle i położyłem na nich pozostałe dwie ryby.

„Kiedy zdecydujesz?”

„Niedługo”.

Niemal usłyszałem jego sapnięcie, takie samo jak wówczas, gdy chciał wspólnie polować nocą, a ja wolałem zostać w chacie, zatracić się w ponurym zapisywaniu arkuszy papieru, które o brzasku wrzucałem w ogień. Wetknąłem w rybę patyk. Prawie gotowa. Nie należy jeść surowych ryb, bo można od nich dostać robaków. Uśmiechnąłem się krzywo. Czy te nowe pasożyty pożarłyby robactwo pustoszące

moje ciało? Za pomocą dwóch kijków przewróciłem ryby na drugą stronę. Cierpliwości.

Zaczęło padać. Parę kropel spadło mi na nadgarstek. A, nie, to krew. Leciła mi z nosa. Zacisnąłem nozdrza palcami.

„A jeśli nie pomoże?”

„Zawsze pomaga”.

„A twoje ciało zawsze się leczy”.

Po jakimś czasie puściłem nos. Ani śladu świeżej krwi.

„Widzisz?”

Brak odpowiedzi.

„Wilku, jesteś ze mną?”

Mrukliwe potwierdzenie.

Przyszła mi do głowy pewna myśl.

„Gdybyś musiał... Gdyby coś mi się stało... Czy mógłbyś zostać z Pszczołą? Do końca jej życia?”

„Byłbym cieniem swojego cienia”.

– Ale to możliwe?

„Chyba tak. Jeśli opuści mury chroniące umysł i wszystko będzie, jak trzeba. Ale i tak bym tego nie zrobił”.

– Dlaczego?

„Nie jestem rzeczą. Nie możesz mnie oddać. Jesteśmy połączeni”.

Wypchnąłem rybę z ognia. Wiotką gałązką zgarnąłem z niej popiół. Gdybym nie był taki głodny, pewnie zdjąłbym skórę i dostał się do mięsa, a skórę wyrzucił. Teraz nawet nie zaczekałem, aż dobrze ostygnie, tylko żonglowałem chwilę parującymi kęsami, by się nie poparzyć, gdy wrzucałem je do ust. Uczta szybko dobiegła końca. Poszedłem napić się wody. Poczułem się lepiej.

Podniosłem wzrok na błękitne niebo. Nawet latem noce w górach były chłodne. Postanowiłem, że przyniosę więcej drewna na opał. Wychodząc z kamieniołomu, minąłem kilka porzuconych bloków odciętych od litej skały. Akurat szedłem do lasu, gdy Ślepun znów się odezwał:

„Ten mi się podoba”.

„Trochę mały”.

„Jest nas tylko dwóch”.

Żeby go ułagodzić, podszedłem do skalnego bloku. Od razu pojąłem, dlaczego został odrzucony. Stanowił część większej całości, która pękła wzdłuż grubej srebrnej żyły. Połyskiwał czernią przeplataną gęsto siateczką jasnych nitek. Był znacznie mniejszy od tego, który wybrał król Szczery. Może wielkości wózka

do zaprzęgnięcia kucyka. Położyłem na nim dłoń. Dziwne to było uczucie. Ten surowy kamień Mocy okazał się pusty. Czekał na napełnienie. W nieokreślony sposób nakłaniał do dotyku. Chciałem go czuć. Był przyjemnie nagrany od słońca. Gdybym był kotem, chętnie bym się na nim zwinął w kłębek.

„Uparty jesteś”.

„A ty to nie?”.

„Dawniej tak, jako szczeniak. Chciałem cię nienawidzić. Pamiętasz, jaki byłem dziki, gdy pierwszy raz mnie zobaczyłeś? Siedziałem w klatce. Usiłowałem cię ugryźć przez pręty, kiedy mnie niosłeś”.

„Smarkaty byłeś. I źle traktowany. Nie miałeś powodu mi wierzyć ani w ogóle słuchać, co mówiłem”.

„Prawda”.

Był wtedy brudny i cuchnął, sama skóra i kości. Nękanie przez pasożyty i pełen gniewu. I właśnie ten gniew nas połączył. Identyczna wściekłość na pozbawienie wolności. W tych pierwszych chwilach nie wiedziałem, że doszło do połączenia naszych umysłów. Że powstała głęboka więź oparta na Rozumieniu, niezależnie od naszej woli czy chęci.

– Och, szczeniaku...

„Tak mnie nazywałeś”.

W tej chwili zrozumiałem, co zrobiliśmy. Nasze zespolone wspomnienia przepłynęły od nas do kamienia. Czułem to pod ręką, wiedziałem dokładnie, co pod nią znajdę, gdy ją przesunę. Oto pojawiła się smuga sierści, takiej jak na karku Ślepuna, w miejscu gdzie długi włos, wystający nad gruby szaro-czarny podszerstek, tworzył coś w rodzaju wicherka. Zmysły podsunęły mi wspomnienie. Tak to było czuć, gdy się tam kładło rękę. Robiłem to często, gdy szliśmy dokądś razem albo siadaliśmy na krawędzi klifu, by popatrzeć na morze. Właśnie tam, w naturalnym geście składałem dłoń. Jakbym w ten sposób stale odnawiał łączącą nas więź, jakbym ponawiał przysięgę.

Dobrze było znów to poczuć.

Uniesienie ręki wymagało silnej woli.

Ale proszę, oto było, zostało na kamieniu... Niezupełnie sierść z podszerstkiem i nie na żywym, ciepłym zwierzęciu, ale w kształcie i rozmiarze mojej ręki, w miejscu gdzie dłoń zetknęła się ze skałą. Widziałem każdy włos z osobna.

Głęboko zaczerpnąłem tchu.

Nie. Jeszcze nie teraz.

Odszedłem.

Ślepun zachował milczenie.

Minąłem dawne obozowisko. Pani Ketriken była wtedy taka młoda... Błazen i ja – niby dorośli, a przecież nie do końca. Stara Pustka, kobieta o mądrych oczach osadzonych w gniazdach ze zmarszczek, jej niezgłębione sekrety. I Wilga. Wilga Słowicza, która potrafiła mnie irytować jak brzęczący nad uchem komar.

Powiodłem wzrokiem dookoła. Drzewa były wyższe. Na kamieniach zostały tylko przegniłe kawałki tkaniny i sznurków. Gdy trąciłem stertę nogą, odsłoniła warstwę z zachowanym kolorem. Ten błękit to płaszcz pani Ketriken. Schyliłem się, musnąłem sukno palcami.

Królowa moja, pomyślałem z uśmiechem.

Przesunąłem zbutwiały płaszcz, a wtedy spod niego wyłonił się obuch naszego toporka. Z trudem go rozpoznałem. Wprostowałem się i odszedłem.

Dalej znajdowało się miejsce, gdzie król Szczery rzeźbił smoka. Odłamki kamienia wciąż otaczały pustą przestrzeń, skąd gad wzniósł się do lotu. Z początku król używał dłuta, a zamiast młotka miał kamień, lecz od czasu, gdy zanurzył dłonie w czystej magii, kształtował smoka gołymi rękoma. Mój władca. Czy naprawdę powiedział mi, że czas, bym zaczął rzeźbić własnego smoka? I oddać Pszczołę komuś pod opiekę? Czas przekształcić ludzką powłokę w kamień i Moc?

Nie. Jutro o świcie pójdę nałapać ryb. Wyłowię tuzin i wszystkie zjem. Potem złapię jeszcze więcej i je uwędzę, a następnego ranka wyruszę do opuszczonego pawilonu na placu targowym. Przekonam się, czy zima zabiła starego niedźwiedzia, czy też znów będzie mi sprawiał kłopoty.

„Nie dojdziemy tam żywi. Wiem, co mówię. Dlaczego mnie nie posłuchasz?”

„Nie mogę”.

Taka była prawda. Nie mogłem porzucić nadziei, że wrócę do domu, do Pszczoły. Pasożyty nie były takie znowu straszne. Brus znał pół tuzina sposobów na pozbycie się robactwa. Uzdrowiciele w Koziej Twierdzy mieli w Ogrodzie Kobięcym wszelkie potrzebne zioła. Jak tylko dotrę do domu, odpocznę, nabiorę sił. Wreszcie będę z córeczką. Opuścimy dwór razem ze wszystkimi jego zasadami. Będziemy podróżowali w siodle. Od twierdzy do twierdzy, od zamku do zamku, jak minstrele. Pszczoła nauczy się historii oraz geografii Królestwa Sześciu Księstw, bo podróże kształcą. Błazen pojedzie z nami. No i Niestrudzony. Będziemy żyli jak prości ludzie, zdążali, gdzie oczy poniosą, bez zbędnych ciężarów, i cieszyli się szczęściem.

„Nie chcę patrzeć na twoje umieranie”.

„Nie zamierzam umierać”.

„A kto zamierza?”.

Zebrałem naręcze chrustu. Nie musiałem szukać opału, pełno było opadłych gałęzi.

Jednej z większych nie dałem rady złamać. Potrzebowałem jakiegoś narzędzia. Uśmiechnąłem się, bo wróciło wspomnienie, jak król odświeżył swój miecz, gdy mi go podarował. Wróciłem po zardzewiały toporek. Trzymając go w dłoniach, przypominałem sobie jego właściwy kształt i stan, po czym odepchnąłem z niego rdzę. Przesunąłem ostrze między kciukiem a palcem wskazującym, wyobrażając sobie naostrzoną krawędź. Dopasowanie trzonka zajęło nieco więcej czasu, ale za to potem, wyposażony w odpowiednie narzędzie, bez większego trudu narąbałem grubszych gałęzi. Z daleka czułem rybę, która w tym czasie dochodziła na ogniu. Szkoda, że było jej tak mało. Siadłem przy ognisku, dorzuciłem kilka patyków.

Obudziłem się w środku nocy. Leżałem na zimnym kamieniu, ogień prawie zagaśł. Podsyciłem go na nowo. Całe szczęście, że miałem dość opału, bo wcale mi się nie uśmiechało błąkanie po ciemnym lesie w poszukiwaniu gałęzi. Wiedziałem, że wilk skarci mnie za lenistwo i głupotę. Czekałem.

Nie skarcił.

Jakiż czas potrwało, nim uświadomiłem sobie, że zniknął. Po prostu zniknął.

Zostałem sam.

Rozdział 47

Wilcze serce

Birbancie, pojedź, proszę, jeszcze dziś do Dębowego Zdroju. Tamtejsza rymarka, Marglowata, przysłała wiadomość, że moje zamówienie jest gotowe. Powierzam Ci ocenę tego wyrobu i przyjęcie go lub zlecenie odpowiednich zmian. Zwróć uwagę, by stronice należycie trzymały się w okładkach, papier był świetnej jakości, a wytłoczenie na skórze dobrze wyciśnięte. Jeśli uznasz, że praca jest wykonana właściwie i warta swojej ceny, oddaj ten przedmiot do moich rąk własnych. To prezent dla panienki Pszczoły, chcę zrobić jej niespodziankę.

Spomiędzy dokumentów Birbanta w Białym Gaju

Chodziłam do Młotka co noc, chociaż przez to za dnia byłam otępiała i niezbyt lotna. Nie obchodziły mnie ani nagany za to, że nie wykułam na pamięć nowych słówek w języku Krainy Miedzi, ani to, że musiałam wyciągać nici z haftu, gdyż wyszyłam płatki stokrotek groszkowym kordonkiem. Każdego wieczoru kładłam się do łóżka jedynie na krótką drzemkę, z której wybudzała mnie łagodna muzyka. Wtedy w samej koszuli nocnej pędziłam korytarzami, złąkniona najlepszych chwil w życiu.

Bardzo chciałam coś Młotkowi dać, cokolwiek. Barwne apaszki, które przywiozłam dla Birbanta, wciąż tkwiły u mnie w szafie. Długo trwało, nim zdecydowałam się podarować je nowemu przyjacielowi, lecz nawet taki podarunek nie był dość wspaniały, by wyrazić moje uczucia wobec przemiłego staruszka. Postanowiłam wobec tego wykorzystać farbki przeznaczone do prowadzenia dziennika snów. Z wielką starannością wydarłam z niego jedną kartkę i namalowałam na niej Smugę tańczącą z kłębkim włóczki. Wiernie oddałam zieleń kocich tęczówek oraz głęboką czerń źrenic, szare futro i drobne białe pazurki.

Młotek był zachwycony. Obiecał zachować moje prezenty w tajemnicy.

Wróciłam do komnaty i resztką sił wpełzłam pod kołdrę skonana ze zmęczenia, lecz nieprawdopodobnie szczęśliwa.

– Pobudka!

Otworzyłam oczy. W nogach łóżka siedziała Skierka.

– To ty? Naprawdę? Gdzie się podziewałaś? Stęskniłam się za tobą!

– Ćśśś... – Ruchem głowy wskazała pokoik Dbałości. Dolatywało stamtąd lekkie pochrapywanie. – Mieszkam w Koziej Twierdzy. Jestem bardzo zajęta. Zaraz po powrocie do królestwa pani Pokrzywa powierzyła mi ważne zadanie, a pan Rebus je zatwierdził. Ja cię pilnuję, panienko. Dbam, żebyś była bezpieczna.

– Przez to, że uciekłam w czasie przejażdżki... – domyśliłam się.

Ot, przykrość. Prawda, postąpiłam wtedy nierozsądnie. Siostra straciła do mnie zaufanie... Cóż, miała rację.

Skierka gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie, nie, od pierwszego dnia. Bo przecież pani Pokrzywa też kiedyś była obca w Koziej Twierdzy. Jako małe dziecko. I dlatego teraz bała się, że ten czy ów może chcieć panienkę wykorzystać. Pan Rebus się z tym zgodził i dlatego ja teraz panienki pilnuję, dzień w dzień. I zdaję im raport.

– Ale ja cię wcale nie widuję... Ach... – Przebiegłam wzrokiem po ścianach komnaty, szukając szpiegowskiego judasza. Gdzieś musiał być.

– Lepiej mi panienki pilnować dyskretnie – powiedziała z uśmiechem. – Umiem poruszać się po zamku tak, żeby nikt mnie nie widział. Może kiedyś panience pokażę.

– Dlaczego teraz tu przyszłaś?

– Powiedzieć panience, że Młotek nie umie dotrzymać tajemnicy. Będzie się chwalił chustkami, już się w dwie wystroił do łóżka. No i portret Smugi też na pewno komuś pokaże. Za bardzo mu się podoba, żeby go zachował tylko dla siebie. A trudno nie poznać ręki artysty. Nikt nie rysuje tak jak panienka. Nikt nie potrafi tak starannie oddać szczegółów.

– Czy Pokrzywa zabroni mi przyjaźnić się z Młotkiem?

Skierka wzruszyła ramionami. W jej włosach, obciętych na znak żałoby, zalśniła nitka pajęczej sieci. Ściągnęłam ją delikatnie.

– Jeszcze nie zdecydowała, ale tak czy inaczej, będą o wszystkim wiedzieć. Jutro muszę im złożyć raport.

– Czy powiesz, że mnie uprzedziłaś?

Nabrała głęboko powietrza, po czym wolno je wypuściła.

– A ty im, panienko, powiesz?

– Nie. Nie pisnę ani słowa.

– Fatalny ze mnie szpieg – stwierdziła.

Gdy bezszelestnie zniknęła za drzwiami, odprowadziłam ją wzrokiem.

Potem już nie spałam. Rano ubłagałam Dbałość, by pozwoliła mi zjeść

w komnacie, gdyż dzięki temu uniknęłam nużącego rytuału związanego ze strojeniem się i układaniem włosów, który napawał mnie lękiem. Pokojówka przestraszyła się, że jestem niezdrowa, i szybko wyraziła zgodę. Zjadłam, następnie poddałam się różnym skomplikowanym zabiegom, za sprawą których zostałam wystrojona, a moje krótkie włosy były wyczesane i podpięte najlepiej, jak się dało, aż wreszcie wyszłam, pełnić swoją rolę damy dworu przy boku królowej Ellianii. Brzuch naszej władczyni sterczał już jak dziób statku i mówiło się głównie o dziecku, które miało niedługo przyjść na świat, a szyło się wyłącznie wyprawkę. Potem miałam lekcje: języki i historię.

Na obiad stawiałam się wystraszona tym, co musiało nastąpić. Razem z inną szlachtą usiadłam przy stole ustawionym na podwyższeniu, jadłam jak wszyscy. Pod koniec posiłku Rebus zaprosił mnie na popołudniową przejażdżkę w towarzystwie Pokrzywy. W oczach miał ciepły blask, oszczędzał słowa. Zgodziłam się grzecznie. Komtesa Parna odprowadziła mnie do komnaty. Dbalność przyszykowała odpowiedni strój. Zielony z żółtymi dodatkami. W barwach Białego Gaju. Na jego widok naszła mnie refleksja na temat mojego miejsca w hierarchii Przezornych.

Zesłam gotowa na spotkanie z większą grupą, jaka z pewnością miała stanowić kompanię na czas tej wycieczki. Tymczasem nie zastałam nawet piastunki z niemowlęciem. Rebus odprawił wszystkich paziów, także Niestrudzonego, który z nadzieją kręcił się nieopodal. Bez ceregieli wsadził mnie na konia, Pokrzywa także wsiadła sama, nikt jej nawet nie dotknął. Ruszyliśmy nieśpiesznym stępem, lecz tuż za murami puściliśmy się cwałem. Nie zamieniliśmy w drodze ani słowa. Galopem przemknęliśmy po drodze, prowadzącej przez las w zaciszną dolinkę niedaleko strumienia. Tam zsiadliśmy i napoiiliśmy konie.

– Wiem, że co noc odwiedzasz pana Młotka – powiedziała Pokrzywa. – Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że nie przystoi ci bieganie po zamku w koszuli nocnej.

Spuściłam głowę, starałam się wyglądać na zaskoczoną.

– Słucham – odezwała się po chwili.

– Przyjaźnimy się. Uczy mnie tworzyć muzykę Mocą. Zawsze ma jakieś smakołyki. Bawimy się z kotem. Nic więcej.

– Przy okazji nauczyłaś się tak dobrze chronić umysł, że ledwo mogę cię znaleźć w ciągu dnia.

Nie odrywałam wzroku od murawy.

– Żeby muzyka nie uciekała. Nie wolno grać głośno, bo uczniowie nie mogą spać.

– Opuścisz mur i pozwolisz mi posłuchać tej muzyki?

To był sprawdzian, czy ufam siostrze na tyle, by wpuścić ją do swojego

umysłu. Żeby sprawdziła, czy powiedziałam jej prawdę. Jeżeli odmówię... Nie. Taka możliwość nie istniała. Odsłoniłam się. Poczułam jej myśli. Zaczęłam tworzyć muzykę z kociego mruczenia.

Wilk-ojciec wpadł w moją świadomość z takim impetem, że aż klapnęłam na ziemię.

„Do królowej!”.

„Królowa Elliania cię zna?”.

Byłam oszołomiona, zabrakło mi powietrza. Usłyszałam krzyk siostry, Rebus gwałtownie ukląkł obok, ale to nieważne, nieważne! Najważniejszy był wilk.

„Skąd ty tutaj, skoro mój ojciec nie żyje?” – spytałam.

– Co ona mówi? – spytała Pokrzywa zaalarmowana.

„On żyje. Jeszcze żyje. Muszę dostać się do królowej. Do tej, która ze mną polowała. Królowa Ketriken. Chcę się z nią pożegnać”.

„Pożegnać?”

„Tak”.

Coś przede mną ukrywał. Wilk-ojciec, tak podobny do mojego rodzonego ojca.

„Dobrze. Postaram się”.

Popatrzyłam na Rebusa, potem na Pokrzywę. Jak im to szybko wytłumaczyć? Nie było sposobu.

– Nic mi się nie stało. Usłyszałam Ślepuna. Muszę natychmiast rozmawiać z królową Ketriken. Mój ojciec żyje. Ślepun chce się z nią pożegnać. – Następne słowa przepchnęłam przez gardło z najwyższym trudem. – Chyba umierają.

Rebus położył mi dłonie na ramionach.

– Mów jaśniej. Od początku.

Wilk w panice darł pazurami.

– Czasami, kiedy tata nie mógł być przy mnie, przychodził wilk-ojciec. – Staralam się, jak mogłam. – W myślach. Ślepun. Znaie go. Był związany z tatą Rozumieniem i po śmierci żył w jego ciele. – Przeniosłam spojrzenie z jednej zatroskanej twarzy na drugą. Przecież o tym na pewno wiedzieli. A patrzyli na mnie jak na szaloną. – Kiedy mnie porwano, wilk-ojciec ruszył ze mną. Pomagał mi, jak umiał, podpowiadał, ostrzegał, radził. Ale czasami, jeżeli zbyt szczelnie otaczałam umysł murem, nie mógł się do mnie odezwać. Potem spotkałam tatę i wilk-ojciec do niego wrócił. A teraz, kiedy odsłoniłam myśli, znów się pojawił. I chce się widzieć z panią Ketriken. Bo mój tata umiera. – Pokręciłam głową i spytałam Ślepuna głosem: – Mówisz, że ojciec umiera, ale Ukochany twierdzi, że on już nie żyje. Po co by mnie okłamywał? Dlaczego miałby zostawić go samego?

„Twój ojciec nie umarł. Ale sam długo nie wytrzyma. Wierzy, że jeśli odpocznie,

wróci do domu. A ja wiem, że nie da rady. Musi zostać tutaj. Czas rzeźbić smoka”.

– Pszczoło!

„Tak?”.

– Pszczoło, odezwij się. – To Pokrzywa. – Czy korzystasz z Rozumienia?

– Nie... chyba nie... – Rzeczywiście nie miałam pewności. Pytanie bez sensu, akurat gdy usiłowałam zrozumieć, o co chodzi Ślepunowi. – Nie wiem. Koty się do mnie czasem odzywają, ale one mówią do każdego. W każdym razie, do każdego, kto słucha. Ale to nie jest Rozumienie. Tak mi się wydaje. Ślepun jest moim wilkiem-ojcem. Jedźmy do królowej, proszę! To na pewno bardzo ważne!

Teraz i Pokrzywa położyła mi ręce na barkach.

– Pszczoło – zaczęła wolno i wyraźnie. – Ojciec nie żyje. Trudno nam się z tym pogodzić, ja także wolałabym udawać, że to nieprawda. Niestety umarł. Z ciężką raną od miecza został unieruchomiony pod belką. Błazen nam to powiedział. Nasz ojciec przekazał mu ostatki swojej siły życiowej, po to, by on uratował ciebie. Nie miał szans przeżyć, a co dopiero wydostać się z pułapki.

– Ja tam bym się o to nie zakładał – mruknął Rebus. – Ciała nikt nie widział. W drogę. Wracamy do Koziej Twierdzy.

– Do uzdrowicieli? – spytała Pokrzywa z powątpiewaniem.

– Do pani Ketriken – zarządził Rebus. – Pokrzywo... Wiem, że trudno ci uwierzyć w to, co słyszysz, jednak musimy działać, jakby to była niepodważalna prawda. Jedziemy do pani Ketriken, ją spytamy, co o tym sądzi. A potem zastanowimy się nad tym drugim wyjściem.

– Jedźmy więc – zgodziła się bez przekonania.



Dawna królowa niedomagała od czasu, gdy dotarły do niej wieści o śmierci mojego taty. W drodze do jej komnat Pokrzywa powiedziała mi, że zdaniem uzdrowicieli była zdruzgotana. Nie mieli nadziei na poprawę jej kondycji.

– Boję się – przyznała moja siostra, mówiąc do Rebusa. – Obyśmy nie spowodowali pogorszenia jej stanu... Jest teraz taka słaba...

– Moim zdaniem „słaba” nigdy nie była, nie jest i nie będzie. Natomiast rzeczywiście straciła nadzieję. Jest zrezygnowana.

Ja widziałam się z panią Ketriken tylko raz. W dniu tamtego spotkania była chora i prócz tego pełna smutku. Wtedy w jej komnacie wszystkie okna były zasłonięte.

Teraz okna zostały odsłonięte i pootwierane, słońce wlewało się do wnętrza szerokimi strugami. Komnata była urządzona bardzo skromnie: ustawiono w niej krzesła oraz niski stolik i w zasadzie na tym kończyło się umeblowanie. Wzrok przyciągał wysoki wazon, prawie mojego wzrostu, z ułożonymi w nim trawami i pałkami wodnymi. Goła posadzka wyłożona kaflami świeciła czystością.

Pani Ketriken weszła bez żadnych ceremonii wkrótce po tym, jak służba wprowadziła nas do komnaty i zaanonsowała. Szare włosy miała splecione w warkocze i upięte wokół głowy. Ubrana była w prostą, jasnoniebieską, przewiazaną w pasie suknię z bawełny, na nogach miała miękkie pantofle. Żadnej biżuterii, śladu makijażu. Równie dobrze moglibyśmy spotkać ją na targu. Przywitała nas spokojnym spojrzeniem. Oczy miała błękitne. Nie zbesztła nas, chyba żeby uznać za skargę stwierdzenie:

– Nie spodziewałam się gości.

Zorientowałam się, że mam na ustach szeroki uśmiech, jestem uszczęśliwiona i mało nie podskakuję na wszystkich czterech... Ach, tak. To Ślepun był uszczęśliwiony. Głęboko wciągnęłam powietrze spragniona znajomej woni.

– Nadal chodzisz jak leśny łowca – powiedziałam. – Lekki krok, pewne oko.

– Pszczoło... – Pokrzywa przywołała mnie do porządku.

Tymczasem pani Ketriken zaledwie obdarzyła mnie zdziwionym uśmiechem.

– Siadajcie, proszę. – Wskazała nam miejsca i także usiadła, tylko odrobinę sztywno. – Miło mi was widzieć. Czy poprosić o przekąski?

– Można chcieć ciasteczka imbirowe? – spytałam, nie wiedząc, że się odezwę.

Zawstydzona zwiesiłam głowę i zerknęłam na królową spod oka.

Uniosła brwi.

– Chyba nie wszystko rozumiem... Czy potrzebuję wyjaśnień? – spytała z troską.

Pokrzywa spojrzeniem poprosiła o pomoc Rebusa, lecz on milczał. Wobec tego siostra zebrała się w sobie.

– Pszczoła sądzi, że nasz ojciec żyje. Podobno przysłał...

– Nie – przerwałam stanowczo. – Nie przysłał Śleputa. Wilk zjawił się z własnej woli. I poprosił, żebym przysłała do królowej Ketriken.

Dawna władczyni miała jasną cerę. Nie sądziłam, by mogła zblednąć, a jednak.

– Nie jestem już królową – przypomniała.

– Dla niego zawsze nią będziesz, ale co więcej, jesteś tą, co pięknie szyjąc z łuku, potrafiła wyżywić stado w czarnej godzinie. Cieszyło go, że mógł dotrzymywać ci towarzystwa, uwielbiał biec przodem i naganiać zwierzynę, robił, co mógł, by cię pocieszać, gdy walczyłaś ze smutkiem.

Wargi jej zadrżały.

– Jak słyszę – odezwała się cicho – ojciec opowiadał ci o naszym pobycie w Królestwie Górskim.

Objęłam się mocno ramionami, uniosłam głowę. Świadoma, że mogą mnie uznać za wariatkę albo histeryczkę, wzięłam się w garść.

– Pani, mój ojciec, Bastard Rycerski, niewiele mi mówił o tamtych czasach. To i owo wiem, jednak niedużo. Tego, co mówię teraz, dowiaduję się od wilka-ojca. On chce ci przekazać wiadomość, zanim wróci do mojego taty. Po to, by umrzeć, jak sądzę.

– Czy to możliwe? Jak przetrwała ta wilcza świadomość? Jakim sposobem dotarła do ciebie? Gdzie jest Bastard? Nadal w dalekim Clerres? I żyje?

Dawna władczyni postarzała się na naszych oczach. Ze spojrzenia wyzierała jej rozpacz.

Zaczekałam, aż wzbierze we mnie odpowiedź.

– Jest w Królestwie Górskim, w kamieniołomie. Znasz dobrze to miejsce. To tam, gdzie król Szczery rzeźbił smoka. Bezzwonne sądzi, że umarł. Myli się. Jest tam. Tylko że bardzo słaby i robaki go zżerają. Niedługo umrze, a ja razem z nim. Chciałem cię spotkać ostatni raz. Bo byłaś mi bardzo droga. – Zamilkłam.

Ze zdziwieniem stwierdziłam, że stoję przed panią Ketriken, trzymając ją za rękę.

Następna myśl od wilka była tylko dla mnie.

„Twoja matka była dobrą parą dla Bastarda. Dała mu to, czego potrzebował. Ale ja wybrałbym dla nas tę kobietę”.

Kłopotliwe wyznanie. Odepchnęłam wilka.

– Wilk sądzi, że dasz wiarę jego słowom, gdy odświeży jedno wspomnienie. – Przekładałam obrazy na słowa. – Czasami, gdy na polowaniu zmarzłaś i zmokłaś, ściągałaś rękawiczki i rozgrzewałaś dłonie w sierści na jego gardzieli.

Pani Ketriken podniosła się wolno, płynnym ruchem, jak nieśpieszna fontanna. Spojrzała na Pokrzywę. Znów była siwowłosa królową.

– Potrzebne będą ciepłe ubrania i namiot, bo w górach nawet latem wieczory są chłodne. Zabierzcie mnie tam. I Błazna także. Pana Złocistego, czy kim on tam teraz jest. Jego również zabieramy. Dzisiaj.

– Weźcie jedzenie! – poleciłam. A potem wilk powiedział nam coś, czego wolałabym nie wiedzieć. – Robaki zżerają go od środka. Niknie w oczach, nie wiem, na jak długo od niego odszedłem. – Następne słowa dziwnie było mi usłyszeć: – Zapytaj Pszczołę. Ona zna taką śmierć. Widziała.

Zbłąkł w moich myślach, jakby wycieńczony. Rozumiałam to bez trudu. Nigdy dotąd nie czułam go tak intensywnie. Zostałam sama, między trójką nie do końca przekonanych dorosłych.

Nagle zrozumiałam i aż zgięłam się wół. Przycisnęłam dłonie do ust. Robaki. Śmierć. Kara dla zdrajcy. Vindeliar mi ją przyrzekł. Czy ojciec wziął ją na siebie, żeby mnie przed nią ocalić?

Dłonie pani Ketriken na moich ramionach przypominały szpony drapieżnika.

– Wytłumacz mi, co to takiego.

Opowiedziałam o młodej kobiecie, która przybyła do nas z przesłaniem. I o jej śmierci. Każde słowo sprawiało mi ból. Ile wiedział Ukochany?

Królowa kazała przynieść przekąski. Po chwili służba wniosła herbatę i ciasteczka imbirowe. Jadłam z apetytem, choć po policzkach płynęły mi łzy. Żarłocznie wchłaniałam zapach i smak, a równocześnie mówiłam o krwistych oczach, pelerynie w motyli wzór i o stosie pogrzebowym w środku nocy. Dotąd sądziłam, że tata wspomniał o tamtych zdarzeniach Rebusowi albo Pokrzywie. Najwyraźniej tego nie zrobił. Moja siostra skuliła się, ukryła twarz w dłoniach.

– Och, tato... Jak mogłeś?

Przełknęłam ciastko.

– Śmierci nie da się powstrzymać. Tak powiedziała tamta kobieta. To kara przewidziana dla zdrajców. Konanie jest bolesne, koniec nadchodzi powoli. – Chwyciłam następny smakołyk.

Przyglądali mi się z uwagą.

– On je uwielbia – wyjaśniłam przez łzy. – Ojciec umiera straszną śmiercią. Nie można go ocalić. Ale imbir zawsze jest przepyszny.

– To prawda – przytaknęła pani Ketriken.

Włożyła mi w dłoń następny przysmak.

Odgryzłam spory kęs i na kilka chwil mój świat wypełniły smak imbiru oraz nieopisana słodycz. Wyparły wszystko inne. A dorośli rozmawiali mi nad głową.

– Nie miał wyjścia – argumentował Rebus.

Przypomniał Pokrzywie, że poprzednia wysłanniczka zniknęła bez śladu najpewniej zamordowana. Ta, która to zjawiała się w czasie obchodów zimowego święta, długie lata przed tym, nim trafiła do nas kobieta z motylą peleryną. Siostra opuściła ręce, ściągnęła brwi. Pani Ketriken powiedziała tylko:

– Zrobił, co musiał. Pszczoło, przykro mi, że musiałaś mu pomagać. Teraz my musimy zrobić, co do nas należy. Tracimy czas. Rebusie, idź, zarządz, by przygotowano wszystko, co nam potrzebne. Wyruszamy przed zachodem słońca.

Pokrzywa uniosła dłoń.

– Pani... wskazana jest roztropność. – Zaczerpnęła tchu, lecz najpierw spojrzała na mnie, jakby wołała nie mówić w mojej obecności. – Kocham siostrę, jednak powinniśmy jej słowa traktować z niejaką rezerwą. Wiele wycierpiała. Byłam od

niej starsza, gdy Brus umarł, a jednak nawet teraz we śnie czasem wydaje mi się, że do nas przychodzi. Nie zarzucam jej kłamstwa – spojrzała mi w oczy – jednak obawiam się pomyłki. Niech przodem ruszy krąg Mocy i zbada stan rzeczy. Jeśli go znajdą, sprowadzą do domu! Taka podróż zajmie kilka dni. Muszą pojechać konno do tego kamienia, który pokazała nam panna Światła. Kazałam ustawić filar prosto i oczyścić, możemy przyjąć, że nadaje się do użytku. Trzeba wybrać spokojne wierzchowce, które bez szkody zniosą przejście przez filar. A dalej, od targowiska jest jeszcze kawałek drogi?

– Tak – przyznała pani Ketriken. – Na szczęście pogoda dopisuje. Zimą podróż ciągnęła się w nieskończoność. Musieliśmy polować, żeby jeść. Tym razem weźmiemy ze sobą zapasy. Nie ma śniegu, a do tego pamiętam drogę.

– Pani moja, kiedy ostatnio jechałaś konno?

Dawna królowa zwiesiła ramiona, spojrzała na skurczone palce.

– Tu chodzi o Bastarda – rzekła miękko.

– Krąg Mocy dotrze do niego znacznie szybciej niż nasza wyprawa. Dopilnuję, żeby zabrali ze sobą przynajmniej dwóch wybitnych uzdrowicieli. Jeśli rzeczywiście go znajdą, sprowadzą do domu.

Pani Ketriken podjęła ostatnią próbę:

– Mam dobrą mapę. Sama ją narysowałam. Będzie pomocna.

Pokrzywa i Rebus milczeli. Ja także stałam bez słowa, niepewna, czego się ode mnie oczekuje. I nagle zrozumiałam: oni zamierzali mnie zostawić w twierdzy!

– Ja też jadę – oznajmiłam. – Na Fanaberii. I z Niestrudzonym.

– Przyniosę mapę – oznajmiła pani Ketriken, jakby klamka zapadła, i wyszła.

– Muszę się spakować i znaleźć Niestrudzonego – powiedziałam.

Pokrzywa wolno pokręciła głową. Wydawała się bardzo zmęczona.

– Pszczoło, miejże rozum, dziecko drogie. Pani Ketriken też musi działać rozsądnie. Porozmawiam z nią raz jeszcze, za kilka chwili, gdy ochłonie. Nie ma potrzeby ryzykować jej albo twojego bezpieczeństwa, zabierać was przez filary. Ja pojadę. Nadzieja zostanie z Rebusem, a ja wezmę najlepszy krąg Mocy. Jeżeli ojciec jest w kamieniołomie, jeśli wszystko to nie jest straszną iluzją, to go tu sprowadzimy, do domu, do Koziej Twierdzy. I tu się nim zajmiemy, wyleczymy. Królowa Elliania sprowadziła dwóch nowych uzdrowicieli, jeden jest z Wysp Zewnętrznych, a drugi pobierał nauki w Jamailli, od kapłanów i kapłanek Sa. Obaj wnieśli świeży powiew w nasze praktykowanie medycyny, wprowadzili nowe zioła i odnoszą sukcesy, uznawane również przez naszych uznanych leczących. Twoja przeprawa przez kamienie jest ryzykowna. Już i tak zbyt często się narażałaś, choć jeszcze krótko żyjesz. Najwyższy czas, byś zaznała bezpieczeństwa. Dlatego

zostaniesz tutaj i, póki możesz, będziesz korzystała z tego, że jesteś dzieckiem. Rozumiesz, co mówię? Nie zabiorę cię w podróż przez filary.

Spojrzałam jej w oczy.

– Rozumiem – powiedziałam spokojnie.

– Powtórz.

Rozeźlona nabrałam tchu.

– Nie zabierzesz mnie ze sobą przez filary do kamieniołomów, do taty. Choć on pewnie tam umiera.

Pokrzywa zacisnęła wargi, a Rebus, patrząc na mnie, teatralnie wywrócił oczyma.

– Właśnie tak – potwierdziła po chwili. Westchnęła. – A teraz już idź. Zajmij się codziennymi obowiązkami i, proszę, nikomu o niczym nie mów. Sama zawiadomię króla. Aha, no i sprawa, o której rozmawialiśmy wcześniej: oczywiście możesz odwiedzać Młotka, lecz o przyzwoitej porze, w dzień i w towarzystwie kogoś z jego służby. Poćwiczcie opanowanie, bardzo mu go brak. Dzisiaj wydam odpowiednie polecenia. Musisz przy nim być ostrożna. Bywa nadpobudliwy, czasem trudny... Natomiast kwestia twojej nauki korzystania z Mocy musi poczekać do mojego powrotu. Możliwe, że trzeba będzie zdusić twoje zdolności do czasu, gdy będziesz potrafiła korzystać z nich z większą rozwagą.

Moim zdaniem wcale nie był trudny. Ani trochę. Ale się nie odezwałam. Ukłoniłam się przed siostrą dwornie.

– Pszczoło, wiem, że masz mnie za osobę surową i może zbyt chłodną – odezwała się, gdy już wychodziłam. – Pamiętaj, proszę, że jesteśmy siostrami. I niewiele brakowało, bym cię straciła. Nie możesz sobie wyobrazić, jak bezradna czułam się przez cały czas stanu odmiennego. Nie wiedziałam, czy moje dziecko w ogóle zobaczy cię na oczy. Rebus zdręczał się, że z tobą nie został. Na szczęście jesteśmy znów razem. Niestety straciliśmy ojca. Nie chcę stracić ciebie.

Kiwnęłam głową, odwróciłam się i wyszłam. Uważnie zamknęłam za sobą drzwi. A potem puściłam się biegiem przez korytarze. Najpierw: odszukać Ukochanego. On umiał przejść przez filar. I był mi winien odpowiedzi na kilka pytań. Przed wszystkim: powiedział, że mój ojciec zmarł, a teraz dowiaduję się, że żyje, chociaż zostało mu niewiele czasu. Byłam wściekła, równocześnie jednak wiedziałam, że będę potrzebowała jego pomocy. Potem należało znaleźć Niestrudzonego. A tak, tak. Przecież Pokrzywa nie zabroniła mi wyprawić się do ojca. Ustaliła jedynie, że ona mnie do niego nie zabierze.

Na szczęście wciąż miałam na sobie strój do konnej jazdy. W spodniach biega się znacznie łatwiej niż w niedorzecznej spódnicy. Moje myśli pędziły jedna za drugą. Czy Ukochany mógłby udać, że planuje piknik, i pod tym pretekstem kazać

przygotować zapasy na drogę? Niestrudzony z pewnością mógł wyprowadzić konie ze stajni. Będzie potrzebny jeden dodatkowy, dla ojca.

„Jedziesz się pożegnać, a nie sprowadzić go do domu. Potrzebne mu jedzenie, miejsce do spania i jakiś dach nad głową. Dzięki temu pożyje dość długo, by wykonać zadanie”.

„Nie zgodzę się więcej na jego śmierć. Raz wystarczy”.

Jakiś paż minął mnie w pośpiechu, po czym nagle zawrócił.

– Panienska dobrze się czuje?

Uświadomiłam sobie, że łzy płyną mi po twarzy strumieniem i skapują z brody. Otarłam je pośpiesznie.

– Pył mi się dostał do oczu na przejażdżce. Miło z twojej strony, że pytasz. Nie widziałeś przypadkiem hrabiego Sposobnego?

– Owszem, na schodach prowadzących do Ogrodu Królowej, tego na dachu...

– Dziękuję. Wiem, gdzie to jest.

Zmieniłam kierunek i pośpieszyłam we właściwą stronę, zostawiając za sobą usługowego chłopca. Jakież było moje zdziwienie, gdy dogonił mnie w dwóch krokach i chwycił pod ramię. Obróciłam się do niego z furią i skamieniałam, bo paż okazał się Skierką.

– Co się dzieje?

– Muszę pomówić z hrabią Sposobnym. Natychmiast.

Zacisnęła wargi.

– Panienska zmieni wyraz twarzy – syknęła. – Każdy widzi zbuntowane dziecko. Niech się panienska uśmiechnie, jakby czekała na coś miłego, i idzie. Szybko, ale idzie, nie biegnie. Będę parę kroków z tyłu.

Odzyskałam zdolność ruchu. Posłuchałam mądrej rady. Otarłam twarz rękawem, przywołałam na wargi uśmiech. Korytarz nigdy nie wydawał mi się tak długi. Nienawidziłam każdego stopnia w schodach prowadzących na wieżę. Dwukrotnie musiałam przystanąć dla złapania oddechu. Miałam gorącą nadzieję, że Ukochany nadal jest tam, dokąd zdążał, gdy widziała go Skierka. Drzwi prowadzące do ogrodu były ciężkie, miały bowiem wytrzymać porywiste wiatry oraz napór śniegu. Skierka wyjęła wytrychy, ja pokazałam jej klucz. Wyrwał jej się okrzyk zdumienia. Razem pchnęliśmy ciężkie skrzydło i wyszliśmy na piękny letni dzień.

Wysoko nad naszymi głowami po błękitnym niebie płynęły wąskie chmurki. Wiatr był tutaj chłodniejszy. Wielkie donice pełne kwitnących roślin wydawały się zbyt spokojne dla mojego wzburzonego umysłu. Nie od razu dojrzałam hrabiego Sposobnego. Najpierw ruszyłam na chybił trafił ścieżką z kafli i dostrzegłam go dopiero przy jej końcu. Stał odwrócony do mnie plecami. Podziwiał krajobraz.

– Panie hrabio! – zawołałam.

Odwrócił się do mnie i na ustach pojawił się niepewny uśmiech.

– Oho-ho! Nie przypominam sobie, żebyś kiedyś wcześniej zatęskniła za moim towarzystwem. Potrójnie miłe zaskoczenie! – Głos miał ciepły, pełen nadziei. A potem zobaczył Skierkę i w jego oczach błysnął strach. – Co się stało?

Sądziłam, że zdołam zachować spokój.

Nic bardziej mylnego.

– Dlaczego twierdziłeś, że mój ojciec nie żyje?! Jak mogłeś go zostawić?! Co z ciebie za przyjaciel, że po niego nie wróciłeś?

– Panienko! – zmitygowała mnie Skierka, lecz ją zignorowałam.

Moje oskarżenia starły z twarzy Ukochanego ostatni ślad uśmiechu. Wydawał się chory, jakby go ktoś pobił. Usiłował wciągnąć powietrze, udało mu się to dopiero za drugim razem.

– Pszczoło... Bastard nie żyje. Sama mówiłaś, pamiętasz, czułaś, że umarł. – Dłonią w rękawiczce ścisnął tę drugą. – Ja czułem, że łącząca nas więź pękła. Umarł. Czuję to. – Twarz miał udręczoną, był wstrząśnięty. – Zostawił mnie – powiedział zwyczajnie.

Wtedy furia we mnie buchnęła ukropem.

– On żyje! – cisnęłam. – Ślepun mówi, że jest w kamieniołomie, umiera zżerany przez robaki, tak jak tamta blada posłanniczka. Nie znam gorszej śmierci. Wiesz, o czym mówię. Nazywają to karą dla zdrajców! Wystarczy draśnięcie zatrutej strzały! A ty go zostawiłeś! Skazałeś na taki los!

Skierka z sykiem wciągnęła powietrze.

– Strzelali do nas. Tuż przed wybuchem. Panienska ich odgoniła, a pan Bastard potem strząsnął strzały z kamizeli...

Na twarzy Ukochanego nadzieja walczyła o lepsze z przerażeniem.

– On umarł, na pewno – stwierdził.

Ale, och, jakże pragnął zadać kłam własnym słowom.

– Przekazałam wszystko Pokrzywie i Rebusowi. Razem byliśmy u pani Ketriken. Pokrzywa chce wysłać krąg Mocy, który sprawdzi, jak jest w rzeczywistości. Uważa, że sprowadzi tatę do twierdzy. Ale Ślepun mówi, że on umiera, chociaż w to nie wierzy. Wilk twierdzi, że tata powinien zostać w kamieniołomie i wyrzeźbić smoka. Że nie powinniśmy go tutaj sprowadzać.

– Wyrzeźbić smoka? – Skierka najwyraźniej przestała cokolwiek rozumieć.

Usłyszałam szuranie kroków. Na ścieżce pojawili się Strzyk i Niestrudzony.

– Panienski tata żyje! – wykrzyknął mój przyjaciel, w tej samej chwili gdy Strzyk zawołał:

– Wreszcie cię znaleźliśmy! Dzięki, Edo!

Najdziwniejsze jednak było to, że właśnie w tej chwili pojawiła się Jaskrawa. Zatoczyła nad nami koło, usiadła na ramieniu Niestrudzonego i krzyknęła:

– Bastard! Bastard! Kamieniołom!

– Ruszamy przed wieczorem – zarządził Ukochany. – Ketriken też.

– A jak tam dotrzemy? – zapytała Skierka.

Chyba zbierało jej się na mdłości.

– Tak jak wcześniej. Od filaru w lochach – na Aslevjal. Stamtąd – na okrągły targ. Potem pieszo do kamieniołomu. Skierko, ty lepiej zostań. Poprzednim razem źle to zniosłaś.

– Nie mamy smoczej krwi.

– Ale ja mam smocze srebro na palcach. Na pewno mi się uda. Jeśli ktoś obawia się podróży przez kamień, niech lepiej zostanieie.

– Ja na pewno nie zostanę – oznajmiła Skierka, choć bez wielkiego entuzjazmu.

– On wie, jak otworzyć kamień – odezwała się. – Ja wiem, jak użyczać siły. I potrafię ją, w razie potrzeby, ściągać od Niestrudzonego.

Mój przyjaciel przytaknął z zawziętą miną. Strzyk nie odezwał się słowem, lecz na jego twarzy znać było zdecydowanie. Skierka zaplotła ręce na piersi.

– Pani Ketriken ma swoje lata, stawy ją bolą. Nie dotrzyma nam kroku.

– Och, dziewczyno, ty jej nie znasz – mruknął Ukochany. – Na pewno da radę. A poza tym i tak jej nie zostawię.

Skierka wyrzuciła ręce w górę.

– To czyste szaleństwo. I koniec mojej kariery w Koziej Twierdzy. Wszyscy ryzykujemy zdrowie i życie. – Odwróciła się do Strzyka i Niestrudzonego. – Co to, szanowni panowie wrośli w ziemię? Trzeba się spakować. – Brzmiało to, jakby była rozzłoszczona. – Hrabio, ty musisz porozmawiać z panią Ketriken, nie kto inny, a na pewno nie ja. – Przeniosła spojrzenie na mnie. – A panienka niech idzie na lekcje. Jak gdyby nigdy nic. Nawet wieczorem trzeba przebrać się do łóżka. Przyjdziemy po ciebie, panienko, jak już wszystko będzie gotowe.

Rozdział 48

Czas

Klatka jest zrobiona z drgających, pełzających istot. W środku znajduje się coś, co kiedyś było człowiekiem. Czarno-biały szczur spogląda na niego, po czym śmieje się i oddala, robiąc fi flaki.

Nie dołączam rysunku, bo ten sen wydaje się prawdziwy, a ja będę świadkiem spełnienia go.

Pszczoły Przezornej „Dziennik snów”

– Co może zjeść niedźwiedź, nada się i dla człowieka – powiedział mi kiedyś Brus.

Dawno temu. Po tym, jak umarłem w lochach księcia Władczego, a zanim odnalazłem się na nowo w ludzkim ciele. Patrzył wtedy na zagrzebaną w liściach niedźwiedzią zdobycz, na którą natknęliśmy się w czasie jednego z moich obowiązkowych spacerów. Błyskawicznie wyciął kilka połci z nadgniłej łani i pośpiesznie oddaliliśmy się od spizarni drapieznika.

Dojrzałe mięso jest znacznie delikatniejsze niż świeże. Tamtą zdobycz wspominam z rozrzewnieniem. Brus miał rację we wszystkim, co mówił, a jego uwagi często miały głębszy sens. Człowiek może zjeść pędraki spod spróchniałej kłody albo żabę. Miększe korzenie i świeże pędy szorstkiej trawy. Rzęsa ze stawu nadaje się na zupę, jeśli tylko jest w czym ją ugotować. Glony można jeść garściami, podobnie rukiew, a korzenie pałki wodnej można przypiec na wolnym ogniu. Czasami zastanawiałem się, czy i król Szczery żywił się podobnie, zanim pani Ketriken zjawiła się w kamieniołomie i zaczęła dla niego polować.

Następnego ranka po tym, jak wilk mnie zostawił, po obudzeniu przetarłem zaropiałe oczy. Usiadłem i rozkaszałem się przeraźliwie. Nie mogłem złapać tchu. Wreszcie mi się to udało. Otarłem usta grzbietem dłoni. Została na nim smuga krwi. Przyjrzałem się jej ze smutkiem. Wezbrała we mnie fatalistyczna pewność. Potem coś okropnego zadziało mi się w ustach. Nie zabolalo, nie, ale wołałbym ból. Pochyliłem się i splunąłem na ziemię. Krew i ślina. Oraz kilka bladych wijących się robaków, nie grubszych niż cięciwa, nie dłuższych niż paznokiec.

Och.

Poszedłem do stawu, nabrałem w usta wody, przepłukałem je, wyplułem na ziemię. Jeszcze jeden.

Drobne fragmenty informacji zaczęły mi się kłębić w myślach. A wnioski przstraszyły mnie nie na żarty. Błada posłanniczka, którą spaliliśmy z Pszczołą. Przemyślałem to wspomnienie, po czym je odrzuciłem. Ślepun twierdził, że mam robaki. I tyle. Kucnąłem, przyjrzałem się z bliska temu stworzeniu, które we mnie żyło. Nie widziałem takiego wcześniej, ani u człowieka, ani u zwierzęcia. Tak czy inaczej, robak jak robak, nic mniej i nic więcej. Może mi się poszczęści i znajdę gdzieś w pobliżu dziko rosnący czosnek albo gorzknik. Jedno i drugie umożliwiało pozbycie się pasożytów. Lepiej było rozpocząć podróż do starożytnego placu targowego i stamtąd prosto do Księstwa Koziego. Tam będą uzdrowiciele.

Nabrałem wody w dłonie i przetarłem twarz. Gdy je opuściłem, zauważyłem na nich różowe plamy. Dotknąłem nozdrzy, spojrzałem na palce. Nie.

Przyłożyłem ręce do oczu. Czerwone. Wtedy nabrałem fatalnej pewności. Posłanniczka płakała krwawymi łzami. Powiedziała, że robactwo, którym zarazili ją Słudzy, pożera jej oczy. Że już prawie nic nie widzi. Podniosłem wzrok, rozejrzałem się dookoła. Nadal widziałem.

Ale jak długo jeszcze?



Miałem codziennie do wykonania dwa obowiązki i wywiązywałem się z nich sumiennie: zbierałem drzewo na opał i zaspokajałem pragnienie, schodząc do niższej części kamieniołomu. Chętnie bym się przeszedł nad strumień, nałapał ryb, jednak byłem coraz słabszy. Krwawienie z nosa stało się normą, plecy i uda miałem pokryte drobnymi swędzącymi rankami. Nie było ich tylko tam, gdzie nogi ochlapało mi smocze srebro.

Zbyt późno przyznałem rację wilkowi. Pragnąłem, by do mnie wrócił, żebym mógł mu to powiedzieć. Trzeciego dnia jego nieobecności nie mogłem już udawać, że nie widzę, jak z chwili na chwilę opuszczają mnie siły. Wilk odszedł, a ja nie wrócę do domu. Kilka razy próbowałem sięgać Mocą, lecz ani razu mi się ten zamiar nie powiódł. Może przez smocze srebro na ciele, a może dlatego, że tkwiłem pomiędzy czarnymi kamieniami. Powód nie miał znaczenia. Zostałem sam. Musiałem wobec tego zrobić jeszcze jedno – przygotować dla nas kamień. Z nadzieją, że wilk wróci, by go ze mną dzielić.

Od chwili gdy Ślepun rozpoczął rzeźbienie za pomocą śladu mojej dłoni,

nie ulegało wątpliwości, że to będzie wilk. Codziennie zatem pracowałem nad naszym „smokiem”, gładząc kamień srebrnymi rękoma, oddając mu nasze wspólne fragmenty pamięci. Zdziwiło mnie, gdy kamienny wilk okazał się figurą z wyszczerzonymi zębami oraz zjeżoną sierścią na karku. Czy naprawdę wyglądaliśmy tak groźnie? A przecież nawet gdy oddawałem sceny wspólnego polowania i dzielenia się zdobyczą, dzikich harców na śniegu i schwywania myszy w starej chacie albo wyciągania kolców jeżozwierza i nacisku szczęk Ślepuna, gdy odgryzał drzewce strzały tkwiącej w moich plecach, wiedziałem, że zabraknie mi obrazów przeszłości do wypełnienia skalnego wilka. Zdawałem sobie sprawę, że wówczas, gdy nastanie czas na ostatni oddech, położę się na tej zimnej istocie i w nią przejdę. I zostanę tu, odwzorowany w kamieniu, całkiem jak dziewczyna na smoku sprzed dziesiątków lat.

Powinienem być go posłuchać. Powinienem być. Gdyby nadal mi towarzyszył, we dwóch mielibyśmy więcej do włożenia w naszego smoka-wilka.

Pozostawał wciąż w barwach kamienia i to mnie martwiło. Chciałem przed śmiercią jeszcze raz spojrzeć w jego mądre ślepia. Pragnąłem ujrzeć blask ognia w błyszczących, zielonych tęczęwkach. Sypiałem wsparty o niego plecami, jak mieliśmy w zwyczaju. Nie szukałem w kamieniu ciepła, tylko miałem nadzieję, że moje sny wsiąkną w niego i pomogą wilkowi prędzej się ukształtować.

Obudziłem się nocą. Człowiek zziębnięty i osłabiony zna dwa rodzaje snu. Jeden to ten, gdy udaje, że śpi, kręci się i wierci, usiłując zatrzymać ciepło. Owinąłem się poplamionym prześcieradłem, zakryłem głowę, by nie kąsały mnie owady. Wszelkie insekty uwielbiają istoty, które żegnają się z życiem. Potem zapadłem w sen tego drugiego rodzaju. Ciężki z wyczerpania, niewrażliwy na chłód i ból. Taki sen jest, moim zdaniem, zwiastunem śmierci.

Przebudziłem się z niego niechętnie i powoli, niepewny, gdzie przebiega granica między nim a rzeczywistością. Głosy. Stłumione kroki. Z niejakim trudem odsłoniłem głowę. Nie wstałem, ale otworzyłem oczy. Zamrugąłem drętwo, oślepiiony blaskiem rozkołysanej latarni. Zbliżała się.

– Chyba gdzieś tutaj – powiedział ktoś.

– Lepiej rozbić obóz i szukać rano. Nic nie widzę.

– Jesteśmy blisko. Wiem na pewno. Pszczoło, czy możesz sięgnąć ku niemu Mocą? Powiedział, że kiedyś wyczuł twoją magię?

– Ten kamień... Nie mogę. Nie umiem. Przecież wiesz, że nikt mnie nie uczył!

Światło błyszczało tak, że poza nim nie widziałem nic. Po jakimś czasie dostrzegłem cienie i sylwetki. Ludzie. Ludzie z latarnią. I z bagażami. Słabo pchnąłem w ich kierunku Rozumienie.

– Bastard! – krzyknął ktoś.

Słyszałem to wołanie wcześniej, przez sen, ono mnie zbudziło. Co więcej, znałem ten głos.

– Tutaj! – odpowiedziałem, lecz dźwięk ledwo wykształcił się w suchym gardle.

Wilk wpadł we mnie, jakby mnie uderzył. Wstrząsnął moim skurczonym ciałem prawie jak siła królewskiej magii.

„Och, bracie, nie mogłem cię znaleźć! Bałem się, że wracam za późno. Że beze mnie wszedłeś w kamień”.

„Jestem”.

– Patrzcie! Tu palił ognisko! Jest! Bastardzie! Bastardzie!

– Nie dotykaj! – krzyknąłem, przyciskając srebrne ręce do piersi.

Podbiegli do mnie śpiesznie, cienie w mroku. Pierwszy dotarł Błazen, lecz gdy znalazł się w słabym blasku ogniska, stanął jak wryty. Zatrzymał się o krok ode mnie i tylko stał i patrzył z szeroko otwartymi oczyma. Ja też patrzyłem. Czekałem.

– Och, Bastardzie! – odezwał się w końcu. – Coś ty sobie zrobił?

– To samo, co ty. – Udało mi się uśmiechnąć. – A ty dwa razy! – Po czym dodałem słabo: – To nie specjalnie.

– Nigdy nie posunąłem się aż tak daleko! – stwierdził. Objął mnie badawczym spojrzeniem, zatrzymując wzrok na posrebrzonej stronie mojej twarzy. Jego mina powiedziała mi więcej niż lustro. – Jak mogłeś...? Dlaczego?

– Naprawdę niespecjalnie. Tak wyszło. Cylinder ze srebrem. Cegła Najstarszych.
– Uniosłem bezradną posrebrzoną dłoń.

– Tatusiu! – krzyknęła Pszczoła.

Zaszklonymi oczyma dojrzałem Niestrudzonego, który zamknął moją młodszą córkę w objęciach i mocno trzymał. Ona walczyła, wyrywała się, wyszczerzyła zęby.

– Panienko Pszczoło – odezwał się chłopak. – Przecież panienska jest mądra.

Z tymi słowy ją puścił. Nie podbiegła do mnie, lecz podeszła wolno, drobnymi kroczkami, przyglądając mi się uważnie. Potem ułożyła dłonie na moim ramieniu, wybrawszy miejsce wolne od smoczego srebra. Skóra na skórze. Nagle udało mi się głęboko zaczerpnąć tchu. Zakwitła we mnie nadzieja. Mogłem żyć. Mogłem wrócić do domu.

I w tej samej chwili zorientowałem się, co robi moje dziecko.

– Nie, Pszczoło, nie! – sprzeciwiłem się i usunąłem ramię spod jej dłoni. – Nie oddawaj mi siły.

Nie ustąpiła.

– Mam jej dużo.

– Pszczółko... I wy wszyscy. Nie wolno mnie dotknąć. Rzeźbię smoka. Ze Ślepunem. Muszę włożyć w niego wszystko, co mam. Ale nie waszą energię.

Błazen położył dłonie na ramionach Pszczoły. Delikatnie pociągnął ją do tyłu. Widziałem, jak zeszywniała ze złości i na moment pokazała zęby. Strzyk i Niestrudzony wpatrywali się w moją twarz z przerażeniem i pełni współczucia.

– Wyjaśnienia mogą poczekać – stwierdził Błazen. – Najpierw trzeba rozpalic ognisko, zaparzyć wywar, ugotować zupę. W tamtym dużym tobole są pledy. – Podniósł głos. – Skierko! Tutaj!

W zasięgu mojego wzroku pojawiła się kolejna rozkołysana latarnia. Po chwili wszyscy zaczęli rozkładać bagaże. A on mówił dalej, prawił o rzeczach najwspanialszych: o gorącej herbacie z miodem i wędzonym mięsie i o miękkich kocach. Wilk w moim umyśle brykał ze szczęścia.

Zamknąłem oczy. Gdy je otworzyłem ponownie, zobaczyłem kolejne osoby zajęte rozbijaniem obozu. Siedziałem spokojnie, gdy Pszczoła opowiadała mi o tym, jak wrócili do domu, i o swojej codzienności w zamku w Koziej Twierdzy. Błazen krążył w pobliżu, czasami przystając, by wysłuchać uważniej jakiegoś fragmentu opowieści, lecz przede wszystkim wydawał polecenia Strzykowi oraz Niestrudzonemu, pilnował rozbijania namiotów i układania zapasów wyciąganych z toreb, worków i plecaków. Wsparty o kamiennego wilka próbowałem cieszyć się tym wspólnym czasem, który przecież był dla nas pożegnaniem.

Jaskrawa przysiadła na rozpoczętym smoku i przekrzywiwszy łebek, przyglądała mi się bez słowa. Chyba miała w oczach smutek. Przeciągnęła srebrnym dziobem po kamieniu, a ja poczułem, że coś w nim złożyła. Wspomnienie dobrego pasterza. Człowieka, który przyjął pod swój dach dziwaczne pisklę. Potem skoczyła w powietrze i wylądowała na stercie drewna.

Dostałem gruby wełniany koc, Niestrudzony rozpalił zbyt duże ognisko, a Strzyk przyniósł wody do kociołka i do saganka.

– Proszę – powiedziała Skierka, kładąc przede mną jakieś jedzenie.

Skąd ona się tu wzięła? Wszystko jedno, z zawiniątka, które przede mną położyła, unosił się zapach tak wspaniały, że zapomniałem nawet o powitaniu. Odwinąłem kleiste opakowanie. W środku był zimny bekon, grube, tłuste plastry, włożone między pajdy ciemnego chleba. Strzyk odkorkował butelkę wina i postawił ją tuż obok. Zachowywali się przy mnie, jak przy wściekłym psie, który może rzucić się na kogoś i ugryźć znieścacka. Zadbali o mnie, lecz skrzętnie unikali mojego dotyku. Napełniłem brzuch mięsem i chlebem, wielkie, na wpół przeżute kęsy popiłem mocnym czerwonym winem.

Skierka parzyła napar w brzuchatym kociołku. Strzyk mieszał w kotle z gotującą

się wodą, do której dołożono suszoną wołowinę, marchew i ziemniaki. Gdy dotarła do mnie woń zupy, z głodu aż zadygotałem. Wziąłem się w garść.

– Bastardzie? Czy coś cię boli?

To spytał Błazen, głosem ciężkim od poczucia winy.

– Pewnie, że boli – odparłem. – Przecież mnie to zżera od środka, draństwo. Robactwo robi swoje, moje ciało leczy się, jak tylko może, a pasożyty zżerają mnie dalej i ciągle na nowo. Chyba jest gorzej, odkąd się posiliłem.

– Ja ci pomogę – powiedziała jakaś kobieta. – Dużo się nauczyłam o ziołach przeciwbólowych. I mam ze sobą wszystko, co potrzebne.

Podniosłem wzrok raz jeszcze. To była pani Ketriken. Moja królowa. Och, Ślepunie.

– Pani. Nie dostrzegłem cię wcześniej.

– Nic nowego – powiedziała ze smutnym uśmiechem.

Poprosiła Skierkę o przyniesienie ze swojego bagażu czajniczka i niebieskiego zawiniątka z ziołami.

– Tatusiu, jutro poczujesz się lepiej – zapewniła mnie Pszczoła. – Ruszymy na stary plac targowy, a stamtąd zabierzemy cię do domu. Pokrzywa mówi, że w Koziej Twierdzy są nowi uzdrowiciele. Przybyli z daleka, znają całkiem nowe sposoby leczenia.

– Pokrzywa cię tu przysłała, żebyś mnie zabrała do domu? – Nagle uświadomiłem sobie, że wszystko idzie w złym kierunku. A może to były po prostu omamy umierającego? Starłem się przebić wzrokiem ciemności. – Nie ma tu kręgu Mocy?

Przez twarz mojego dziecka przemknął wyraz zakłopotania.

– Zostawiłam jej wiadomość – szepnęła Pszczoła. A gdy pokręciłem głową, dodała: – Nie pozwoliliby mi ruszyć. Wysłałaby po ciebie krąg Mocy.

– Pszczółko, nie wracam do domu. Tutaj doczekam końca.

Sięgnęła po moją rękę, a ja usunąłem się, wetknąłem ją pod ramię.

– Córeńko, nie dotykaj.

Ukryła buzię w dłoniach. Popatrzyłem nad jej głową na Błazna, który trzymał się nieopodal. Z trudem wyszukałem słowa pocieszenia.

– Musisz mi uwierzyć, że wiem, co robię. To lepszy koniec niż ten, który by mnie czekał w domu. I właśnie ten wybrałem. Tak zdecydowałem.

Błazen zmierzył mnie ciężkim spojrzeniem i wycofał się z kręgu światła. Wkrótce przysłała pani Ketriken, z parującym czajnikiem i kubkiem o grubych ściankach. Nalała wywaru. Dłonie jej drżały nieznacznie.

Ostrożnie pociągnąłem łyk. Wyczułem karime i walerianę. Przeciwbólowe. Prócz

tego zioła na wzmocnienie oraz imbir. Całość osłodzona miodem. Podziało bardzo szybko: ból zelżał. Całkiem jakbym wlał w swoje ciało życie.

– Jutro będziesz silniejszy, wtedy zabierzemy cię do Koziej Twierdzy i zajmą się tobą uzdrowiciele – rzekła pani Ketricken pocieszająco.

Usiadła przy moim ogniu, a ja się do niej uśmiechnąłem. Cóż, zapowiadało się długie pożegnanie.

– Pani moja, znasz to miejsce. Oboje wiemy, co będzie dalej. Widzisz za mną mojego wilka. Ukończę go, a teraz, gdy Ślepun znowu jest ze mną, praca pójdzie szybciej.

Sięgnąłem za siebie, położyłem rękę na jego łapie. Czułem każdy palec, przestrzeń między nimi, pamiętałem, jak miał osadzone pazury. Pogłodziłem wypolerowaną gładkość jednego z nich i odniosłem wrażenie, że zaraz cofnie łapę zirytowany. Taki miał odruch.

„Twoja ulubiona zabawa. Jak zasypiałem, muskałeś sierść na łapach w miejscu, gdzie najbardziej łaskocze. Nie do wytrzymania”.

Pozwoliłem temu wspomnieniu wsiąknąć w kamień. Przez jakiś czas byłem sam na sam z wilkiem. Słyszałem, jak pani Ketricken zabiera kubek, a potem jej ciche kroki, gdy odeszła.



– Bastardzie, czy możesz to zostawić? Przestać rzeźbić na jakiś czas, póki nie odzyskasz sił? – W głosie Strzyka brzmiała gorąca prośba.

Otworzyłem oczy. Minął czas. Postawili namiot nade mną i wilkiem. Przed wejściem rozpalili ogień, płótno zatrzymywało ciepło. Byłem im za to wdzięczny. W Królestwie Górskim nocą przychodził dojmujący chłód. Siedzieli w półkolu po drugiej stronie ogniska. Powiodłem po nich wzrokiem. Pszczółka, chłopak stajenny, uczennica skrytobójcy, bękart Ciernia i moja królowa. Oraz Błazen. Tak, on też tam był. Siedział na styku światła z ciemnością. Nasze spojrzenia się spotkały, odwrócił wzrok. On też już to widział, tak samo jak pani Ketricken. Innym musiałem pomóc zrozumieć. Przynajmniej spróbować.

– Rozpoczętego zadania nie sposób porzucić. Już oddałem wilkowi dużą część siebie, a im więcej w niego włożę, tym mniej będę sobą. Tak samo zrobił król Szczery. To zadanie mnie wytrawi, wchłonie, tak jak jego. – Z trudem skupiałem się na ich niespokojnych twarzach. – Pszczoło, posłuchaj mnie uważnie, póki jeszcze mogę zebrać myśli. Będę się od ciebie odsuwał. Gdy król Szczery oddalał się od

pani Ketriken,omal nie złamało jej to serca. A jednak nigdy nie przestał jej kochać. Tylko musiał włożyć tę miłość w smoka, bo sądził, że więcej jej nie zobaczy. Nadal tu jest, w kamieniu. Będzie trwał wiecznie. I tak samo wieczna będzie moja miłość do ciebie. I miłość wilcza. – Przeniosłem spojrzenie na Strzyka, potem na Skierkę i w końcu na Niestrudzonego. – Wszystkie moje uczucia do was znajdują się w kamieniu.

Poszukałem wzrokiem spojrzenia Błazna, lecz on wpatrywał się w ciemność za moimi plecami.

Pszczoła siedziała między Skierką i Niestrudzonym. Włosy jej odrosły, lecz nadal były krótkie. Złote loki. Pierwszy raz widziałem takie włosy. Loki jak u mnie, a kolor po mojej matce. Po mojej matce. Czy wspomnienie matki również powinienem złożyć w wilku? Tak. Bo kochała mnie wówczas, gdy mogła mieć mnie przy sobie.

– Bastardzie?

– Tak?

– Gubisz myśli. – Pani Ketriken patrzyła na mnie z troską.

Pszczoła osunęła się na bok, zasnęła. Ktoś przykrył ją pledem.

– Jesteś głodny? – spytała moja pani. – Chcesz jeść?

Opuściłem wzrok na miskę po zupie. I na łyżkę. Trzymałem ją w dłoni. W ustach miałem smak wołowiny.

– Tak. Poproszę.

– I powinieneś się przespać. Wszystkim nam przyda się trochę snu.

– Wezmę pierwszą wartę – powiedział Strzyk.

Skończyłem zupę, ktoś wziął ode mnie miskę. Ogarnęła mnie senność. Ale póki jeszcze miałem na świeżo w pamięci smak zupy, włożyłem go w kamiennego wilka.

Jakoś przed świtem ktoś mnie pociągnął za rękaw. Akurat kształtowałem szorstkie poduszki na wilczych łapach. Dziwnie było rzeźbić coś, czego nie widziałem ani nie mogłem dotknąć. Opuściłem wzrok na Pszczolę, która usiadła przy mnie ze skrzyżowanymi nogami. Ułożyła przed sobą, równo i starannie, jakąś księgę, słoiczek z inkaustem, pędzelek i pióro.

– Tato... Śniłam o czasie, gdy będę siedziała przy tobie i słuchała opowieści o twoim życiu. To musi być teraz, bo nie mamy przed sobą długich lat na przekazanie wspomnień.

– Pamiętam, mówiłaś mi o tym śnie. – Rozejrzałem się po kamieniołomie. – Nie tak to sobie wyobrażałem. Sądziłem, że będę starcem, zbyt słabym, żeby pisać, że siadę przy kominku w przytulnym pokoju i będziemy razem wspominać szczęśliwe

lata. Czy to jest dziennik, który ode mnie dostałaś?

– Nie. Tamten poszedł na dno morza w zatoce przy Clerres, gdy „Niezrównany” zmienił się w smoki, a my wszyscy wpadliśmy do wody. Ten jest nowy. Dostałam go od tego, którego nazywasz Błaznem. I jeszcze drugi, do zapisywania snów. Tamten czyta, próbuje mi pomóc je zrozumieć, ale ten... Wy tłumaczył mi, że musisz wszystkie swoje wspomnienia powierzyć wilkowi, żeby stał się żywym kamieniem, jak smok króla Szczerego. Jeśli będziesz wspomniał na głos, ja mogę je spisywać. Przynajmniej tyle mi zostanie.

– Co chciałabyś usłyszeć? – Trudno mi było się na niej skupić. Kamienny wilk czekał.

– Wszystko. Wszystko, co byś mi powiedział, kiedy dorosnę. Zaczynaj od początku. Co pamiętasz? Jakie masz najdawniejsze wspomnienie?

Wszystko mógłbym jej opowiedzieć, gdybym miał przed sobą więcej życia. Poczulem świeże ukłucie bólu. Czy rozważanie wspólnej przyszłości, która nie będzie nam dana, to też wspomnienie? Zastanowiłem się nad pytaniem córki.

– Pierwsze, co pamiętam wyraźnie... Mam starsze wspomnienia, lecz dawno temu skryłem je przed sobą... – Głęboko zaczerpnąłem tchu. Znowu te najdawniejsze czasy... Obawy i radości. Włożyłem je w kamień. – Byłem przemoczony do nitki. W zimny, mroźny dzień. Trzymała mnie za rękę dłoń twarda, z odciskami. Trzymała mocno, ale nie boleśnie. Bruk był oblodzony, kiedy się poślizgnąłem, uchroniła mnie przed upadkiem. Równocześnie jednak nie pozwalała mi zawrócić, pobiec do matki.

Zanurzyła pióro w inkauscie i zaczęła śpiesznie pisać. Nie wiedziałem, czy powierza stronicom dokładnie moje słowa, a gdy zacząłem przelewać te najdawniejsze czasy w kamień, jej pisanina miała coraz mniejsze znaczenie.

Nastał świt. Strzyk i Niestrudzony poszli po moich śladach do strumienia, nałapali ryb. Zjadłem je z chlebem i gotowanym bekonem. Siły mi wracały, moja cielesna powłoka otrzymała wsparcie konieczne do odbudowania tego, co zniszczyły pasożyty – i do rzeźbienia. Inni ludzie łowili ryby i przynosili drewno na opał. Ja już nie musiałem wcale przerywać swojej najważniejszej pracy. Byłem im wdzięczny i powiedziałem im, że doceniam ich uprzejmość, ale im bardziej zajmowałem się wilkiem, tym więcej skupienia wymagał ode mnie kamień, tym mniej zajmowali mnie oni.

Wiedziałem, co się ze mną dzieje. Nie pierwszy raz przelewałem wspomnienia w rzeźbę z czarnego kamienia. Przed dziesiątkami lat wyjąłem z siebie ból po stracie Sikorki i oddałem go dziewczynie na smoku. Pozbywszy się uczucia, byłem jak ogłuszony, ale też doznałem ulgi. Istniała jednak również ciemna strona takiego

zapominania. Widywałem ludzi, którzy topili ból w gorzałce albo gubili w sucie, czy innych ziołach, i zawsze, w każdym przypadku, rozstanie z cierpieniem odbierało im fragment żywotności. Człowieczeństwa. Tak działo się i ze mną.

Codziennie snułem opowieść dla córeczki i dzień za dniem te same wspomnienia, które jej powierzałem, wkładałem w kamień. Czasami płakała. Gdy opowiedziałem jej o wypadkach, jakie nastąpiły w lochach Koziej Twierdzy, gdy trzymał mnie tam książę Władczy. A kiedy wyznałem jej, że po jej narodzinach nie miałem pojęcia, w jaki sposób obdarzyć miłością tak szczególną istotę, znowu łzy spłynęły jej po policzkach. Może ze współczucia dla matki, związanej z wyjątkowo bezmyślnym człowiekiem, a może dla siebie, jego dziecka. Przykrość, jaką sprawiło mi to pytanie, również wepchnąłem w kamień. Dobrze było się jej pozbyć.

Śmiałem się, opowiadając o psikusach, jakie płataliśmy we dwóch z Pomocnikiem, kiedy indziej śpiewałem głośno, choćby wówczas, gdy mówiłem o tym, jak uczyłem się od wędrownego minstrela ballady „Poświęcenie kręgu Mocy baronowej Ognistej”. Ze Ślepunem nigdy nie byłem tak blisko, zlewaliśmy się w jedno istnienie, toteż nieczęsto słyszałem jego myśli jako inne niż własne. Jego wspomnienia także przekazywałem córce: o polowaniach, walkach, o śnie przy ognisku. Chciała wiedzieć, kiedy po raz pierwszy spotkałem Błazna. Ta historia zaprowadziła nas do następnej, potem do kolejnej i jeszcze jednej... na wołowej skórze by nie spisał, ile razy krzyżowały się i splatały nasze ścieżki. Ogromna część jego życia stanowiła moje – i na odwrót.

Robiłem, co do mnie należało: pracowałem nad smokiem, a życie obozowe toczyło się swoją drogą. Strzyk i Niestrudzony polowali oraz łowili ryby, Skierka nosiła wodę i parzyła napary, dzięki którym nie czułem bólu. Otworzyły mi się niektóre wrzody na plecach. Pani Ketricken nalegała, by zmyć mi plecy ciepłą wodą i wyszorować mchem, żeby pozbyć się robaków, które wiły się w otwartych ranach. W końcu ustąpiłem. Przeszkodziła mi w tym najważniejszym zadaniu.

Czasem, gdy musiałem zrobić przerwę, by napić się albo zjeść, widziałem na ich twarzach smutek. Czułem się winny, że sprawiam im ból. I było mi wstyd. Wszystkie te uczucia wkładałem w kamień.

Kilka dni po przybyciu Błazna i Pszczoły zjawili się inni. Wjechali do obozu konno, przywieźli więcej żywności. Chleb, ser i wino. Kiedyś tak niewyszukane teraz dostarczały mi szerokiego wachlarza wrażeń, które skwapliwie oddawałem kamieniowi. Tego wieczoru uświadomiłem sobie, kim są nowo przybyli. Zajrzałem w przepelnione smutkiem oczy Pokrzywy. Krąg Mocy, który jej asystował, ustawił własne namioty w pewnej odległości od naszych. Wszyscy obecni mówili o mnie, wokół mnie, a czasem także do mnie, jednak trudno im było zyskać moją uwagę,

oderwać mnie od najistotniejszego zadania. Pokrzywa w którymś momencie szorstko potraktowała Pszczołę, Skierkę, Błazna i Strzyka. Nawet miałem się wtrącić, lecz musiałem przede wszystkim myśleć o wilku. Na ich sprawy nie miałem ani czasu, ani zbędnych emocji.

Tamtego wieczoru jedzenie przyniosła mi starsza córka. Dostałem wspaniały chleb pieczony na węglach obozowego ogniska, który dzielił się upajającą wonią z ciemniejącym niebem, podduszone na miękko jabłka oraz plaster wędzonej szynki. Zjadłem, smakując każdy kęs dwukrotnie, bo wiedziałem, że najmniejszy okrucuch niekłamanego zachwyty oddam kamiennemu wilkowi. Pokrzywa wciąż pytała, czy pozwolę, by dotknął mnie obdarzony Mocą uzdrowiciel.

– To niebezpieczne – ostrzegłem czekającego przy niej mężczyznę. – Możesz nie tylko przenieść na siebie pasożyty, ale jeszcze i ja mogę przypadkiem wziąć coś od ciebie dla mojego wilka.

Uzdrowiciel przyjrzał się bardzo uważnie moim ranom i spróbował ocenić, co dzieje się we wnętrzu mojego ciała. Był człowiekiem mądrym i bezpośrednim.

– Uszkodzenia są rozległe – stwierdził. – Chory w tym stanie, tak bardzo osłabiony, przyjmując zioła zabijające pasożyty, szkodzi także sobie.

Na to odezwała się Pszczoła.

– Niech krąg Mocy każe pasożytom umrzeć.

Uzdrowiciel wydawał się wstrząśnięty. Potem zamyślił się głęboko.

– Gdyby te stworzenia w ogóle miały umysł w naszym rozumieniu, być może osoba o potężnym talencie do korzystania z Mocy zdołałaby zasugerować im, by ich serca przestały bić.... O ile mają serca. Cóż, przykro mi, drogie dziecko. Takie nieprzebrane ilości robactwa roją się w twoim ojcu i tak szybko się mnożą, że nawet gdybyśmy, dzięki Mocy, zabili te pasożyty, to zanim połowa z nich straciłaby życie, byłoby ich dwa razy więcej. Hrabia Sposobny powiedział nam, że w ranach twojego ojca widział jaja i larwy. Pasożyty całkiem opanowały ciało chorego. Żyją w nim jak mrówki w spróchniałej kłodzie. Powiem ci szczerze, dziecino: księżę Bastard Rycerski umrze. Nie mogę ręczyć nawet, czy przetrwałby powrót do Koziej Twierdzy, w takim jest stanie. Jeśli spytasz, co zalecam, to powinniśmy zadbać o niego, na ile to możliwe. I w odpowiednim czasie ofiarować mu głęboki sen, który jest początkiem końca, zamiast tego, czego należy się spodziewać.

Pszczoła spuściła głowę, zasłoniła twarzyczkę dłońmi. Niestrudzony objął ją za ramiona. Pokrzywa miała na twarzy wymalowany niepokój.

– Wejść w kamień – oznajmiłem. – Nie jestem pewien, czy to jest to samo, co śmierć.

– Podobne – stwierdziła Pokrzywa z goryczą. – Znikniesz.

– Nie pierwszy raz – odparłem.

– Co prawda, to prawda – przyznała, a jej słowa trafiły mnie jak strzałą w serce.

Usiłowałem odchrząknąć, lecz uświadomiłem sobie, że nie mam słów, które należałoby wypowiedzieć. Skierka naląła coś do kubka, Strzyk mi go podał. Wypiłem. Jakiś niezbyt mocny alkohol z mieszanką ziół.

– Co to było? – spytałem na koniec.

– Karime. Waleriana. Trochę kory wierzbowej. I parę innych ziół od uzdrowiciela Pokrzywy.

– Wszystko dobre, póki nie usypia mnie na śmierć. Tego nie chcę, za nic w świecie. Muszę być przytomny, całkiem świadomy, kiedy wejdę w wilka. Tak jak król Szczery. – Potrząsnąłem głową. – Nawet jeśli mam zapłacić za to bólem. Muszę być przytomny.

Popatrzyłem na młodszą córkę. Za nią stał Niestrudzony. Najdłuższym chłopak nigdy nie będzie, chociaż takie miał plany, ale rozrośnie się w ramionach, będzie miał bary topornika. Czas pomyśleć o takich sprawach, póki jeszcze mogłem. A kamień już mnie wzywał. Trudno mi było skupić wzrok na otaczających mnie ludziach. Zaczerpnąłem tchu, wyprostowałem się. Należało załatwić sprawę, póki to było możliwe.

– Mam kilka dyspozycji dotyczących mojej młodszej córki, Pszczoły. Polegam na was, że zostaną one przeprowadzone zgodnie z moją wolą. Pokrzywo, Błaźnie, Strzyku, pani Ketriken, moja prześliczna królowo. – Wyraźnie powiedziałem coś nie tak, zobaczyłem to w twarzy Pokrzywy. Za późno. Nigdy nie byłem mocny w przemowach. A tej nawet nie zaplanowałem. – Poprosiłbym też swojego serdecznego przyjaciela, Rebusa, lecz on jest ode mnie mądrzejszy i został ze swoją córką. – Zmusiłem się, by spojrzeć Pokrzywie w oczy. – Powinienem był zachować się tak samo. Nie raz, ale dwa razy. Sądzę, że decyzja nie do mnie należała, jednak biorę za nią odpowiedzialność. Córki moje, obie, proszę was o wybaczenie. Należało zostać z wami.

Poczucie winy wciąż mi doskwierało. Niezależnie od tego, jak często powierzałem je kamiennemu wilkowi, wciąż mnie przygniatało, gdy tylko pomyślałem o swoich błędach. Błazen patrzył na mnie bez słowa, lecz wiedziałem, że czuje podobnie. Nie umiałem załagodzić jego wzburzenia.

Powstrzymałem lawinę myśli. Skupiłem się na zadaniu, które należało wykonać.

– Niestrudzony, wystąp.

Chłopak stanął przede mną, oczy miał jak spodki. Chłopak? O, nie, już nie chłopak. To mu odebrałem. Z chłopaka stajennego zrobiłem młodego mężczyznę, który umiał zabijać, który zabił – dla mnie i dla Pszczoły. Mogłem mu ufać.

– Chcę, żebyś pozostał przy boku Pszczoły i służył jej po kres swych dni – oznajmiłem. – Lub do chwili gdy jedno albo oboje zechcecie zrezygnować z tego zobowiązania. W przeciwnym razie niech nikt się nie waży was rozłączać. I chcę, żebyś razem z nią pobierał nauki. Z każdej dziedziny. Języki. Historia. A ona ma się razem z tobą uczyć władania mieczem i inną bronią. Nie mam niczego, by cię nagrodzić za wierną służbę. Wszelkie cenne przedmioty straciłem w drodze. Zaraz... Poza tym. – Namacałem kołnierz. Była tam, jak zwykle.

Trochę potrwało, nim ją odpiąłem. Przyjrzałem się jej, ułożonej na własnej dłoni. Niewielki lis patrzył w górę błyszczącymi ślepiami. Przeniosłem spojrzenie na panią Ketriken.

– Czy zechcesz, pani, dać ją chłopcu? Tak jak niegdyś mnie ją podarowałaś?

– Po tylu latach wciąż masz...? – Głos uwiązał jej w gardle. Wyciągnęła do mnie rękę, a ja złożyłem broszę na jej dłoni. Przeniosła wzrok na Niestrudzonego. – Młody człowieku... Jak brzmi twoje pełne imię?

– Jestem Niestrudzony z Białego Gaju, pani. Syn Dłuższego i wnuk Długiego.

Instynkt kazał mu przyklęknąć. Odchylił przy tym głowę, odsłaniając kark.

– Podejź bliżej – poprosiła pani Ketriken.

Usłuchał. Wstał i przysunął się do niej. Dopiero teraz zobaczyłem, że moja władczyni ma dłonie powykrzywiane i sękaty, a palce koślawe. Mimo to bez słowa skargi starannie przypięła srebrnego lisa do kołnierza niebieskiej kurty przypominającej mundur z Koziej Twierdzy.

– Służ wiernie swojej pani, aż do śmierci.

– Tak będzie.

Moment zawieszenia. Przerwałem ciszę.

– Pokrzywo, córko moja kochana. Przekaż Rebusowi moją prośbę, by dopilnował szkolenia Niestrudzonego. Będzie wiedział, czego mu trzeba.

– Dobrze – zgodziła się cicho.

– Nic dla ciebie nie mam – ciągnąłem. – Ani dla ciebie, ani dla Pszczoły. W Białym Gaju, w kufrze ustawionym w nogach łóżka, zostało kilka pamiątek po waszej matce. Musicie się nimi podzielić. Ach, tak i miecz króla Szczerego. Przypuszczam, że król Sumienny będzie chciał go dostać.

Kiedyś zamieniliśmy się mieczami ojca, lecz po jakimś czasie każdy z nas odebrał swój. Teraz on będzie miał oba. Po jednym dla każdego ze swoich synów.

Przeniosłem wzrok na Strzyka i Skierkę. Podjąłem wysiłek, by się uśmiechnąć.

– Znienacka uświadomiłem sobie, że jestem człowiekiem ubogim. Nie mam czego przekazać potomności. Nie śmiem nawet ucisnąć z wami nadgarstka po raz ostatni.

– Napisałeś list do mojego ojca – odezwał się Strzyk niegłośno. – Więcej mi nie trzeba.

Przeniosłem wzrok na Pokrzywę.

– Zajmiesz się Skierką?

Objęła dziewczynę spojrzeniem.

– Nie jest szczególnie karna, gdy idzie o wykonywanie rozkazów – rzekła sucho.

– Nie wiem, na ile mogę jej ufać.

– Czy umie posługiwać się igłą? – spytała ni stąd, ni z owąd pani Ketriken. Skierka wyglądała na skonsternowaną, lecz odpowiedziała zgodnie z dobrym wychowaniem.

– Tak, pani. Umiem wyszywać i szydełkować.

– Zawsze mam w pamięci, jak dobrze służyła księżnej Cierpliwej Lamówka. Młoda damo... Ja się starzeję. Przydałaby mi się młódka na posługi. W Koziej Twierdzy i w moich rodzinnych górach. Czy chcesz towarzyszyć mi w Królestwie Górskim?

Skierka rzuciła ukradkowe spojrzenie Strzykowi. Ten spuścił wzrok i trwał w milczeniu.

– Słyszałam o Lamówce, pokojowej księżnej Cierpliwej. Tak, pani, sądzę, że będę mogła służyć ci w podobny sposób.

Rozpanoszył się smutek. Miałem zrobić coś jeszcze, lecz palący ból ciała i nieodparty zew nieukończoności wilka przyciągały moje myśli z siłą nie do odparcia. Szalenie trudno było mi się skupić, pamiętałem jednak, że zostało coś ważnego do zrobienia.

Jeszcze jedna sprawa, kwestia ostatniej spuścizny.

– Pszczoło – odezwałem się niegłośno. – Chcę, żeby Błazen otoczył cię ojcowską opieką. Jest w tej sprawie ode mnie znacznie lepszy. Czy zgadzasz się na to?

– Ale Rebus... – wymknęło się Pokrzywie.

Pszczoła wpadła jej w słowo.

– Rebus ma córkę. Podobnie ty, Pokrzywo. Lepiej nadal bądź dla mnie siostrą, a twój mąż niech zostanie moim bratem. Nie chcę w was mieć zastępczych rodziców. – Uśmiechnęła się niemal promiennie. – Poza tym jest na tym świecie jeszcze Traf Radosne Serce. On może się mną zaopiekować. – Przeniosła na mnie spojrzenie. – Ja wiem, że miałam ojca – rzekła z powagą. – Zawsze byłeś moim ojcem, teraz już jakoś dam sobie radę. Nie martw się o mnie, tato. Na ile mogłeś, dobrze mnie wychowałeś.

– Na ile mogłem – przytaknałem.

Ból. Gorycz rozczarowania samym sobą. Następne uczucia dla wilka.

„Skończone?” – zapytałem wilka.

„Chyba tak. Ale może oni jeszcze nie skończyli z nami”.

I rzeczywiście. Wróciłem do rzeźbienia, mamrocząc swoją opowieść. Pszczoła siedziała w pobliżu i wszystko notowała. Czasami widziałem nie słowa, lecz obrazek lub szkic. Nie zadawała pytań, po prostu przyjmowała to, co jej mówiłem. Zauważyłem, że coraz niżej pochyla głowę nad dziennikiem, a gdy spojrzałem na nią po raz kolejny, leżała na boku, zwinięta w kłębek, wokół zapisków. Pióro wypadło jej z dłoni, nie zakorkowała kałamarza. Ja jednak w tym czasie przekazywałem wilkowi piknik z Sikorką i nie mogłem zrobić w tym przerwy.

– Bastardzie – odezwał się Błazen.

Opuściłem na niego wzrok. Trzymał w dłoniach kałamarz, właśnie go zamknął. Nie widziałem ani nie słyszałem, kiedy podszedł. Odstawił inkaust na bok, wyjął dziennik z objęć Pszczoły i przykrył ją kocem. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami, z wyprostowanymi plecami i otworzył brulion rozłożony na kolanach. Zaczął go kartkować.

– Ona wie, że to robisz? – spytałem.

– Godzi się, choć niechętnie. Czuję, że muszę to robić, bo ona się przed nikim nie odsłania. Powiedziała mi dzisiaj, że przekazałeś wilkowi dużo wspomnień, a ona je zapisała. Trochę mnie to zaniepokoiło, przyznaję.

Odsunąłem się od wilka, usiadłem obok przyjaciela. Był to niebagatelny wyczyn. Splotłem ręce na kolanach. Srebro na srebrze. Strasznie kościste. Bezwiednie zatarłem dłonie, naostrzyłem jedną o drugą, poprawiłem ciało i sięgną pod smoczym srebrem. Potrafiłem i tak. Nie za darmo.

Błazen przyglądał mi się z uwagą.

– A nie możesz zrobić tego z całym ciałem?

– Płacę za te zmiany wysoką cenę. Tkankę i siłę muszę zaczerpnąć z innego miejsca. A pasożyty atakują bez przerwy. Ręce są potrzebne mi do wykonania pracy, dlatego je wzmacniam.

Odwrócił stronicę i z uśmiechem podniósł na mnie wzrok.

– Spisała imiona psów, które bawiły się pod stołem, gdy mnie pierwszy raz zobaczyłeś. Pamiętałeś je wszystkie?

– Przyjaźniliśmy się. Pamiętasz imiona swoich przyjaciół?

– Pamiętam – potwierdził cicho.

Przerzucił parę kolejnych kartek, czytając pobieżnie, czasem z uśmiechem na ustach, kiedy indziej w zamyśleniu. W którymś miejscu sięgnął brwi, po czym delikatnie zamknął dziennik.

– Bastardzie, ja się chyba niezbyt dobrze nadaję na ojca Pszczoły.

– To całkiem tak samo jak ja. Ale wyszło, jak wyszło.

Mało brakowało, a byłby się uśmiechnął.

– Tak, prawda. Ona jest moja i nie jest. Nie chce być. Słyszałeś, co powiedziała. Woli nie mieć ojca wcale niż mnie w tej roli.

– Za młoda jest, żeby decydować, co dla niej dobre.

– Pewien jesteś?

Rozważyłem odpowiedź na to pytanie.

– Nie – przyznałem w końcu. – Ale kogo mam poprosić o zastępstwo?

Tym razem on jakiś czas milczał.

– Może nikogo? Albo Strzyka?

– Strzyk ma i tak dość komplikacji w życiu, a pewnie będzie ich więcej.

– Traf?

– Traf będzie zawsze pomocny, ale jako starszy brat.

– Rycerski albo któryś inny spośród synów Sikorki?

– Gdyby któryś tu był... Niestety nie ma ich, w dodatku nie wiedzą nic o jej przejściach. Ty wiesz. Chcesz, żebym cię zwolnił z obietnicy? Przecież wiesz, że nie mogę. Niektórych obowiązków nie można uniknąć.

– Wiem – przyznał cicho.

Zaniepokoiła mnie nowa myśl.

– Czy jest coś innego...? Czujesz, że musisz zająć się czymś, przez co nie będziesz mógł zostać przy Pszczole? Wzywają cię inne zobowiązania?

Opuści ją tak samo, jak mnie opuścił?

– Tak, ale w tej sprawie twoje życzenie jest dla mnie ważniejsze niż własne. – Zamrugnął, starając się powstrzymać łzy. – Stanowczo zbyt wiele decyzji podjąłem za nas obu. Teraz czas, bym zaakceptował twoją, obojętne jak trudną. Biorąc przykład z ciebie. Często tak robiłeś. – Pochylił się nagle i położył dłoń na wilczej łapie. – Dam ci wspomnienie z chwili, gdy król Roztropny zobaczył cię jedzącego resztki między psami – powiedział. – Wyglądałeś na całkowicie zaskoczonego. – Po chwili zsunął rękę z kamienia i potrząsnął głową jak pies wychodzący z wody. – Zapomniałem jakie to uczucie. Oddawanie życia kamieniowi. – Zamknął w dłoniach dziennik Pszczoly i spuścił na niego wzrok. – Mogę dużo dać tobie i twojemu wilkowi. Jeśli tylko zechcesz.

Przypomniało mi się coś, co kiedyś usłyszałem od Ślepuna.

– Nie chcę, żeby Pszczola miała za ojca człowieka pozbawionego ducha. A taki się stanesz, jeśli zbyt wiele siebie oddasz kamieniowi. Zostaw sobie i wspomnienia i uczucia. Wkładanie ich w kamień nie jest dobrym pomysłem.

– Dawno już nie miałem jakiegoś dobrego pomysłu. – Westchnął.

Wsunął dziennik pod dłoń Pszczoły i cicho wyszedł z mojego namiotu.

Którejś nocy przyszła do mnie pani Ketriken. Mimo wszelkich moich ostrzeżeń położyła mi rękę na ramieniu.

– Przestań – poprosiła. – Zdzierasz skórę na plecach do żywego mięsa.

Swędzenie stało się nie do zniesienia. Znowu wziąłem jakiś patyk, by się podrapać. Wyjęła mi go z dłoni, rzuciła w ogień. Uświadomiłem sobie, że jest późna noc i wszyscy śpią.

– Kto pełni wartę? – spytałem.

– Skierka. A Strzyk dotrzymuje jej towarzystwa.

Nie miała do młodych pretensji. Ja też nie dostrzegałem w ich postępowaniu winy. Pszczoła leżała skulona pod kocem. Dla ochrony przed komarami okryła również twarz. Dziennik też najwyraźniej miała pod przykryciem. Podniosłem wzrok. Pani Ketriken zniknęła.

Czas nieodmiennie mnie zdumiewał. Zamiast płynąć, rzucał się i szamotał. Pani Ketriken wróciła, trzymając coś w ręku. Gdy przykucnęła za mną, usłyszałem, jak strzeliło jej w kolanach.

– W Królestwie Górskim zimą dzieci miewają wszy. Tłuszcz dusi insekty. Przywiozłam go z myślą o twoim ocaleniu... Może przynajmniej ulży ci w cierpieniu.

– Nie dotykaj, pani! – Przestraszyłem się nie na żarty.

Zapomniałem, że jest mądra. Miała drewnianą szpatułkę, lekko wgłębioną, jak łyżeczka. Ranek na plecach było dużo, więc nakazała mi odwrócić się tyłem do ognia i podciągnąć koszulę. Koszula mnie zdziwiła. Była ładna, wygodna i miękka. Kiedy ją na mnie włożyli?

– Nie ruszaj się – poinstruowała mnie dawna królowa i cierpliwie nałożyła na każdą ranę odrobinę tłuszczu. Gęsiego lub niedźwiedziego, zmieszanego z wonnymi ziołami. Z miętą. Mięta odstrasza wiele szkodników. Przy każdym dotknięciu swędzenie ustawało. A królowa, robiąc swoje, mówiła przyciszonym głosem.

– Chciałabym pójść z tobą. Naprawdę bardzo tego chcę. Ale trzeba myśleć o Pszczole. No i mamy następne wnuczę w drodze. Elliania ma nadzieję na dziewczynkę, mnie płęć dzieciątka jest obojętne. Pomyśleć tylko! Jeżeli urodzi się dziewczynka, zostanie narczeską, samo jej istnienie pomoże umocnić pokój z Zawyspiarzami. Królestwo Górskie przyjmie Nieskazitelnego jako Poświęcenie i księcia. Między innymi dlatego tam pojedę. Aby ułatwić tę przemianę. – Odetchnęła głębiej. – Czy pamiętasz nasze pierwsze spotkanie w górach? Próbowалаm cię otruć, bo sądziłam, że przybyłeś zamordować mojego brata...

– Pamiętam.

Poczułem na ramieniu coś ciepłego.

Łza.

– Płaczesz, pani, z żalu, że ci się nie udało? – spytałem.

Zdołałem ją rozśmieszyć, choć nie na długo.

– Och, Bastardzie. Zmieniliśmy świat nie do poznania... Naprawdę bardzo chciałabym pójść z tobą.

Nigdy nawet nie rozważałem takiej możliwości.

– W drodze do kamieniołomu... spędziłem jakiś czas w filarze. Nie mam pewności, jak długi. W ogóle tego nie pamiętam, jednak Ślepun twierdzi, że w nurcie Mocy mówił do mnie król Szczery. Powiedział, że powinienem pożegnać się ze swoim dzieckiem i powierzyć je innym, z wiarą, że dobrze je wychowają. Przypomniał mi, że sam musiał postąpić tak samo.

– Och. – Z początku tylko tyle. Dopiero potem dodała: – Obiecuję ci. Zajmę się nią jak własną. Zawsze chciałam mieć takie dziecko!

Zdumiała mnie tą obietnicą.

– Już poprosiłem Błazna. Chociaż trudno mi sobie wyobrazić go w roli ojca.

Wydała mi się rozbawiona.

– To prawda. Pewnie sam zdecyduje, gdy przemyśli sprawę. Dziwi mnie tylko, że do tej pory tego nie zrobił. – Nieustraszona władczyni pocałowała mnie w policzek. – Nie wiem, czy jeszcze będę miała okazję – wyjaśniła. – Jutro zabieram Skierkę i idę odwiedzić Szczerego pod postacią smoka. Jeśli ci się uda, nie odchodź, póki nie wrócę.

Pokiwałem głową. Wstała i znów usłyszałem trzask w kolanach. Potem szum spódnic, gdy odchodziła. Pochyliłem się i ostrożnie złożyłem pocałunek w kamiennym wilku. Właściwie był dla niego.



– Tylko to skończę – powiedziałem Błaznowi.

Gładziłem szorstką, kamienną sierść wilka. W dalszym ciągu nie miał koloru. Włosy na ogonie robiły wrażenie zbitych w grudki. Ślepie należało dopracować koniecznie, no i te odsłonięte zębiska. Ściągnęła w tylnych łapach.

Zamknąłem oczy. Musiałem przestać katalogować, czego brakowało.

Byłem stosunkowo spokojny. Zapadła noc, nadciągał górski chłód. Namiot był przydatny, rzecz jasna, lecz zimne powietrze mimo wszystko dostawało się pod dach. Siedziałem przed otwartym wejściem, oparty plecami o wilka. Ostatnio wciąż

miałem poczucie, że muszę go stale dotykać. Dla bezpieczeństwa.

Błazen przysiadł nieopodal, podciągnął kolana pod brodę i popijał herbatę. W pewnej chwili ostrożnie odstawił kubek na ziemię.

– Naprawdę miałeś nadzieję, że dane ci będzie umrzeć w samotności? – Jego smukła dłoń zatrzepotała, obejmując obozowisko, jakie wykwitło w kamieniołomie.

Przy ogniskach wyrosły namioty o ściankach lekko wzdymanych nocnym wiatrem. Na krawędzi lasu ktoś pilnował spętanych koni. Ile tu było ludzi? Nie umiałem zgadnąć. Pewnie więcej niż trzy dziesiątki. Dzisiaj zjawili się kolejni. Wszyscy przybyli oglądać moją śmierć.

Król Sumienny był ze swoim kręgiem Mocy. A także z obydwoma synami, Nieskazitelnym oraz Pomyślnym, mimo obiekcji ich matki. Panna Światła nie dołączyła do nich, chociaż bardzo tego pragnęła, gdyż wciąż czuła przemożny lęk przed korzystaniem w podróży z kamiennych filarów. Traf zabrał się z rodziną królewską, teraz leżał w jednym z namiotów, dezorientowany, cierpiący na nudności. Uznał, że drogę powrotną chętnie pokona konno, przez Królestwo Górskie: wolał to niż raz jeszcze przeprować się przez magiczne portale. Księciu Nieskazitelnemu pomysł ten przypadł do gustu. „W końcu i tak niedługo mam być w Królestwie Górskim”, stwierdził. Król Sumienny bił się z myślami. Czekali na panią Ketriken, chcieli przedyskutować z nią sprawę, gdy wróci od króla Szcerego pod postacią smoka. Wyczuwałem zniecierpliwienie władcy. Jego żona miała wkrótce urodzić. Powinien być przy niej, a nie patrzeć na moje umieranie. Powiedziałem mu w którejś chwili: „Wejdę w smoka jak najszybciej. A teraz powinieneś wrócić do domu. Być z ukochaną kobietą, skoro tylko możesz”.

Wydawał się zmartwiony i niespokojny, jednak został.

Nie miałem ochoty myśleć o żadnej z tych spraw. Zaczynałem się czuć jak rozklekotana szopa na krawędzi klifu. Nadal jadłem, lecz nie czerpałem z tego żadnej przyjemności. Działa mi krwawiły, nos miałem stale umazany czerwienią. W ogóle świat smakował i pachniał krwią. A swędziało mnie wszystko, w środku i na zewnątrz, ciągle pojawiały się nowe krosty i świeże ranki. Najbardziej przeszkadzało mi jedno miejsce w tylnej części gardła i jedno wysoko w nosie. Doprowadzały mnie do szału. Zateśniłem za krzepkim ciałem, które zawsze uważałem za oczywistość. Palcem wskazującym i kciukiem zdjąłem niepotrzebną grudkę z ogona Ślepuna.

– Co ci powiedział król Sumienny? – spytał Błazen.

– To, co zawsze. Obiecał roztoczyć opiekę nad Pokrzywą i Pszczołą. Będzie za mną tęsknił. Przykro mu, że nie zobaczą jego trzeciego dziecka... Wiem, że to, co mówi, jest dla niego istotne. Chciałbym, żeby dla mnie także było ważne. Na pewno

kochałem go i jego synów też, ale... teraz już jest mnie za mało na takie uczucia. – Pokręciłem ze znużeniem głową. – Wspomnienia o tej więzi przejął wilk. Obawiam się, że go zraniłem. Wolałbym, żeby wrócił do domu. Razem ze swoim kręgiem.

Wolno pokiwał głową, upił łyk naparu.

– Tak samo zachowywał się król Szczery w ostatnich dniach. Trudno było się z nim porozumieć. Czy to cię bolało?

– Tak, ale go rozumiałem.

– To samo czuje król Sumienny. I pani Ketriken. – Odwrócił wzrok. – My wszyscy.

Uniół dłoń obciążoną rękawiczką i przyjrzał się jej z uwagą. Pierwszy raz posrebrzył sobie palce za sprawą przypadku. Usługiwał wtedy królowi Szczeremu i nieopatrznie dotknął rąk władcy pociągniętych magią.

– Bastardzie – odezwał się nagle. – Czy wystarczy cię do napełnienia wilka?

Z uwagą przyjrzałem się swojej rzeźbie. Bryła kamienia pamięci nie była duża w porównaniu z tą, którą wybrał król Szczery, jednak znacznie większa od rzeczywistego wilka. Kłęb znajdował się na wysokości moich barków. Z drugiej strony wielkość zdaje się nie miała ścisłego związku z wypełnianiem.

– Chyba tak. Nie dowiem się, póki w niego nie wejdę.

– Kiedy to będzie?

– Podrapałem się po karku. Zakrwawiłem sobie palce. Otarłem je o udo.

– Chyba wtedy, gdy już nie będę miał nic do oddania. Albo jeśli znajdę się tak blisko śmierci, że będę musiał odejść.

– Och, Bastardzie... – westchnął żałośnie, jakby po raz pierwszy zetknął się z tą myślą.

– Tak będzie najlepiej – powiedziałem, starając się wierzyć we własne słowa.

– Ślepun znowu stanie się wilkiem. I ja też nim będę. Ty zaopiekujesz się Pszczołą i...

– Wiesz, Bastardzie, obawiam się, że jestem jej całkiem obojętny.

– Błaźnie... I Pokrzywa, i Traf nie raz jeden przejawiali wobec mnie... brak sympatii.

– Chyba czułbym się lepiej, gdyby mnie nie lubiła. A tak... Równie dobrze mógłbym w ogóle nie istnieć. – Ścisłym głosem dodał: – Byłem pewien, że pokocha mnie równie gorąco, jak ja ją. Wystarczy, byśmy się poznali. Tymczasem... nic z tego.

– Bycie rodzicem nie polega na byciu kochanym przez dzieci.

– Ja kochałem rodziców. Okropnie ich kochałem.

– Nie mam doświadczeń w tej sprawie – przypomniałem.

– Przecież miałeś Brusa.

– No tak, prawda. – Uśmiechnąłem się niewesoło. – Miałem Brusa. I w końcu pojąłem, że naprawdę go kochałem. Ale parę lat mi to zajęło.

– Parę lat – powtórzył Błazen ze zniechęceniem.

– Cierpliwości – poradziłem.

Musnąłem jeden z wilczych paluchów. Pazury były gładkie. A to niedobrze. Powinny mieć odpowiednie prążki. Przypomniałem sobie smak jeleniej krwi w zimowy pranek, we wspomnieniach zobaczyłem, jak się ona zsiada na lodzie w różowe kuleczki. Poprawiłem pazur.

– Bastardzie?

– Tak?

– Przestałeś słuchać.

– Rzeczywiście – przyznałem.

– Dużo mnie w niego włożyłeś?

Musiałem się chwilę zastanowić.

– Twoją komnatę w wieży w Koziej Twierdzy. Tamten raz, gdy wspiąłem się po skruszałych stopniach i nie zastałem ciebie, i rozglądałem się wokół zdumiony tym, co tam zobaczyłem. Potem jeszcze ten dzień, kiedy urządziliśmy wodną bitwę w strumieniu, niedaleko stąd. No i tę okropną piosenkę, którą śpiewałeś wszędzie, gdzie się tylko dało w Koziej Twierdzy, żeby mnie wprowadzić w zakłopotanie. I Szczurka. Tak, oddałem mu Szczurka. I jeszcze ten dzień, kiedy leczyliśmy twoje rany po tym, jak zbiry księcia Władczego pobiły cię, wsadziwszy ci na głowę worek. I to, jak niosłeś mnie na plecach przez śnieg, wtedy, gdy mnie nie poznałeś. – Uśmiechnąłem się. – Jeszcze coś. Twoje spojrzenie, gdy król Roztropny dał mi broszę. Siedziałem wtedy pod stołem w wielkiej sali. Razem z zamkowymi psami posilałem się resztkami z uczy. Wtedy wszedł monarcha. I księżę Władczy. I ty.

Na twarzy przyjaciela wykwitł niepewny uśmiech.

– Czyli będziesz mnie pamiętał, gdy zostaniesz wilkiem.

– Obaj będziemy cię pamiętali. I ja, i Ślepun.

Westchnął.

– Cóż. To by było tyle.

Musiałem kaszlnąć. Oczywiście odwróciłem głowę i w efekcie drobne czerwone krople spryskały kamiennego wilka. Wtedy, na krótką chwilę, zanim w niego wsiąkły, ujrzałem barwy, jakie miał przybrać. Odkaszałem raz jeszcze, nabrałem głęboko tchu i rozkaszałem się na dobre. Oparłem się przy tym o skałę, czołem i przedramieniem. Skoro już kaszlałem krwią, niech się ona przynajmniej nie zmarnuje. Ani jedna kropla. Gdy w końcu udało mi się ze świstem wciągnąć

powietrze przez ściśnięte gardło, z nosa sączyła mi się czerwona strużka.

„Już niedługo” – szepnął Ślepun.

– Już niedługo – przyznałem.

Jakiś czas panowała cisza. A potem znowu odezwał się Błazen.

– Bastardzie, przyniosłem ci chłodny wywar. Jest w nim waleriana. I karime.

Wypiłem.

– Za mało karime, taka ilość nic nie daje. Potrzebuję więcej.

– Nie miałem odwagi zaparzyć mocniejszego naparu.

– Obojętna mi twoja odwaga. Dodaj więcej karime!

Przez moment patrzył na mnie bez słowa, wyraźnie wstrząśnięty. Nie spodziewał się usłyszeć dawnego Bastarda.

– Błaźnie... wybaczone. Po prostu żrą mnie naprawdę niemiłosiernie. Od środka i na zewnątrz, dosłownie wszędzie. Wszystko mnie swędzi, piecze i świerdzi. Mało gdzie mogę się podrapać. Czuję ich hurgotanie w płucach, przy każdym oddechu. Gardło mam zdarte do krwi, dosłownie, cały czas czuję jej smak...

Nie powiedział nic, tylko zabrał kubek. Wstyd mi się zrobiło. Włożyłem to uczucie w kamień, wystarczyło na podkreślenie uniesionych fafli. Na dźwięk głosu Błazna drgnąłem zaskoczony.

– Ostrożnie. Gorące. Dodatkową porcję karime trzeba było zalać wrzątkiem.

– Dziękuję.

Wziąłem naczynie z jego rąk i osuszyłem duszkiem. Gorący napar zmieszał mi się w ustach z krwią. Przełknąłem. Przyjaciel śpiesznie wyjął kubek z mojej drżącej ręki.

– Błaźnie, czym byliśmy?

Pytanie wcale nie było retoryczne. Naprawdę musiałem to wiedzieć. Musiałem zrozumieć, żeby włożyć w kamień.

– Nie wiem – odparł ostrożnie. – Przyjaciółmi. Białym prorokiem i katalizatorem. W tym układzie cię wykorzystywałem. Bastardzie... ty wiesz i ja wiem... wiele razy cię za to przepraszałem. Mam nadzieję, że wierzysz w szczerość moich uczuć. I może zdołasz mi wybaczyć.

Czułem w jego słowach ogromne napięcie, lecz nie o tym chciałem rozmawiać, więc rozproszyłem je machnięciem dłoni.

– Tak, tak – zbagatelizowałem. – Chodzi mi o coś innego. Łączyło nas coś więcej. Zawsze, odkąd pamiętam. Gdy umarłeś, przywróciłem cię do życia. W tamtej chwili, gdy wracaliśmy do własnych ciał, gdy przenikaliśmy jeden przez drugiego...

„Byliśmy jednością. Całością”.

A Błazen czekał na moje dalsze słowa. Wydawało mi się niedorzeczne, że nie

usłyszał wilka.

– Byliśmy jednością. Całością. Ty, ja i Ślepun. Czułem wtedy niewysłowiony spokój. Jakbym wreszcie został należycie poukładany i spojony. – Pokręciłem głową. – Brakuje mi słów.

Położył mi dłoń na ramieniu. Tę obleczoną w rękawiczkę, na rękawie koszuli. Dwie warstwy tkaniny stłumiły moc dotyku, lecz i tak poczułem jego melodię. Nie było to owo zdumiewające dotknięcie, jakie połączyło nas w wieży króla Szczerego. Pamiętałem je doskonale. Skuliłem się wtedy, zwinąłem w kłębek, bo nagle zaznałem zbyt wiele, za dużo poznałem, zbyt kompletnie i całkowicie pojąłem inny byt. Ślepun był istotą nieskomplikowaną i łączyła nas niewymyślna więź. Tymczasem Błazen okazał się złożony, skomplikowany, pełen tajemnic i sekretów, cieni i mrocznych zakamarków, zawiłych koncepcji. Nawet teraz, choć dostęp do niego miałem częściowo zagrodzony, z ogromną siłą wciągnął mnie w świat swojej tożsamości. Bezczesny, sięgający daleko poza odległy horyzont. A równocześnie w jakimś sensie znajomy. Ponieważ należał także do mnie, ja go stworzyłem.

Cofnął dłoń.

– Czułeś to? – spytałem.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Nigdy nie musiałem cię dotykać, żeby to czuć. Dla mnie tak jest zawsze. Nie ma żadnych ograniczeń.

Jakąś częśćią umysłu pojmowałem, że to ważne. Że kiedyś było to dla mnie szalenie istotne. Nieporadnie szukałem słów.

– Oddam to wilkowi – powiedziałem wreszcie, a on przygarbił się i powoli odwrócił.



– Tato?

Starąłem się unieść głowę.

– On żyje – powiedział ktoś zdumionym głosem, a ktoś inny go uciszył.

– Przyniosłam ci napar. Przeciwbólowy. Chcesz?

– Na bogów, tak!

Właśnie to chciałem powiedzieć. Tkwiłem na wilku, gdyż obawiałem się, że nocą umrę i nieprzytomny nie zdołam się w niego wsączyć. Zamrugąłem, trochę pomogło, widziałem lepiej. Pokrzywa. Obok niej Pszczoła. Starsza córka przystawiła mi kubek do ust. Gdy go przechyliła, płyn omył mi wargi. Wessałem trochę, starałem

się połknąć. Częściowo mi się to udało. Część spłynęła po brodzie.

Spojrzałem dalej, nad jej ramieniem. Pani Ketricken płakała. Król Sumienny obejmował ją ramieniem. Jego synowie stali obok. Dalej Błazen, Strzyk, Skierka i Niestrudzony. A za nimi rzędy ciekawskich. Kręgi Mocy oraz ci, którzy przybyli z nimi. Wszyscy zebrali się, by obejrzeć ostatnią odsłonę spektaklu. Nareszcie miałem zrobić to, o co zawsze podejrzewano Rozumiejących – przemienić się w wilka.

Przypomniały mi się ostatnie dni w lochach księcia Władczego. Torturowali mnie, bym odsłonił swoją zwierzęcą naturę. Chcieli zyskać pretekst, żeby mnie zabić.

Teraz – prawie to samo.

Wolałbym, żeby odeszli.

Wszyscy poza Błaznem. On mógłby do mnie dołączyć. Właściwie jakoś zawsze sądziłem, że do mnie dołączy. Teraz nie pamiętałem dlaczego. Może tę rację również oddałem kamieniowi.

Usłyszałem muzykę. Dziwną. Przeniosłem spojrzenie w bok i dojrzałem Trafa z jakimś nieznanym mi instrumentem strunowym w dłoniach. Popłynął ku mnie akord, a potem mój przybrany syn zaczął niegłośno śpiewać „Poświęcenie kręgu Mocy baronowej Ognistej”. Sam go nauczyłem tej pieśni, dawno, dawno temu. Jakiś czas słuchałem, pozwalając, by muzyka niosła mnie ze sobą. Przypomniało mi się, jak uczyłem chłopaka i jak potem śpiewał z Wilgą Słowiczą. Przypomniało mi się też, jak sam się tej pieśni nauczyłem. Wszystkie te wspomnienia oddałem wilkowi. Wtedy we mnie zszarzały i uwiędły. Śpiew Trafa był już tylko śpiewem. A Traf stał się zaledwie śpiewającym.

Umierałem. I jak zwykle miałem kłopot z dokończeniem tego, co zacząłem.

„Czas go poprosić. Albo odejść bez niego”.

„Nie mogę o to prosić przyjaciela. Skoro mi tego nie zaoferował, nie będę pytał. Nie chcę mu sprawiać kłopotu. Postaram się odejść. Nie wiem jak”.

„Nie pamiętasz wspólnego ciała w lochach księcia Władczego?”.

„To było dawno. Wtedy bałem się żyć i bałem się tego, co mnie czekało. Teraz boję się śmierci. Obawiam się, że tylko przestaniemy istnieć, jak pęknięta bańka mydlana”.

„Nigdy nie wiadomo. Ale tak dłużej nie można”.

„Lepsze to niż zanudzić się na śmierć”.

„Chyba nie. Może go jednak spytaj?”.

„Nie mogę. Poprosiłem go, żeby zatroszczył się o Pszczołę”.

„Ona świetnie sobie radzi bez opieki”.

„Odchodzę. Teraz. Umieram”.

Ale nie mogłem.

Rozdział 49

Kłamstwa i prawda

Starłam się spisywać wypadki z życia ojca, gdy oddawał je kamiennemu wilkowi. Zyskałam przekonanie, że gdy jestem obok i piszę, wybiera je starannie, z wielką ostrożnością. Rozumiem i akceptuję fakt, że ma wiele wspomnień zbyt intymnych, by je dzielić z córką.

Dziś najwięcej mówił o przeżyciach związanych z tym, którego nazywa Błaznem. Nedorzeczne imię, lecz gdyby ktoś nazwał mnie Ukochanym, być może „Błazna” uważałabym za lepsze wyjście. Jaki właściwie cel mieli jego rodzice? Czy naprawdę sądzili, że każdy, kogo ich dziecko napotka na swojej drodze, będzie chciał nazywać go „Ukochanym”?

Zauważyłam coś jeszcze. Mówiąc o matce, ojciec jest bezwzględnie przekonany, że ona go kochała. Pamiętam ją doskonale. Potrafiła być ostra i wymagająca, lecz wierzyła, że łączy ich miłość, która przewycięży takie przeszkody. Nawet gdy się gniewała na męża, to zwykle ze złości, że mógł w nią zwątpić. Tak ją widzę jego oczyma, gdy o niej opowiada.

Tymczasem, gdy wspomina długoletnią przyjaźń z Błaznem, w jego słowach zawsze pobrzmiwa nuta wahania. Albo wątpliwości. Bo przecież: kpiąca przyśpiewka, wybuch gniewu, złośliwostka. Ojciec był zdezorientowany, jak to człowiek, który został odtrącony, a nie rozumie, czym zawinił. Widzę w nim katalizatora wykorzystywanego przez białego proroka. Bezlitośnie. Czy tak się traktuje osobę ukochaną? Wydaje mi się, że właśnie nad odpowiedzią na to pytanie rozmyśla teraz mój ojciec. Dawał z siebie wszystko, a jednak wciąż nie miał przekonania, że to dość, gdyż Błazen zawsze chciał od niego więcej. A odchodząc, jak zrozumiałam, nawet nie obejrzawszy się za siebie, wbił mojemu ojcu nóż w plecy. Tata nigdy się z tego nie otrząsnął.

Od tamtej pory inaczej patrzył na ich związek. A potem, gdy Błazen nieoczekiwanie powrócił do życia ojca, ten nie potrafił już w pełni uwierzyć w szczerść ich przyjaźni. Nieustannie liczył się z tym, że Błazen ponownie wykorzysta go wedle swojej woli i znowu porzuci.

Najwyraźniej miał rację.

– Powinni odejść – szepnęłam do Pokrzywy. – To nasz ojciec. Jak go znam, nie chce, żebyśmy nawet my oglądały go w takim stanie.

A już na pewno ja nie chciałam widzieć taty leżącego na kamiennym wilku jak pranie rozwieszona na płocie. Wyglądał okropnie. Jak układanka złożona z części ciała powleczonych gładkim srebrem oraz pozostałych, w różnym stopniu opanowanych przez robactwo. A cuchnął jeszcze gorzej, niż wyglądał. Czysta koszula, którą włożyliśmy na niego wczoraj, dziś była poplamiona herbatą i nie wiadomo czym jeszcze. Ślady zaschniętej krwi ciągnęły mu się od uszu po szyi aż do barków. W jednym z kącików ust zakrzepła czerwona ślina. Druga część twarzy, ta pokryta srebrem, pozostała gładka i czysta, bez jednej zmarszczki. Przypominała człowieka, którym był jeszcze całkiem niedawno.

Zeszłej nocy patrzyłam, jak Pokrzywa z ponurą miną obmywa te fragmenty twarzy ojca, które pozostały ludzkim ciałem. On próbował się sprzeciwić, lecz była nieustępliwa, a on nie miał siły postawić na swoim. Pracowała bardzo ostrożnie. Zwilżała ściereczkę i składała ją tak, że zabrudzona część zawsze była bezpiecznie schowana, aby tylko nie zetknęła się z jej skórą. Z każdej rany wymywała wijące się robaki. Zużyte szmatki wrzucała do ognia.

– Oni wcale o niego nie dbają. Są tutaj tylko po to, by zobaczyć, jak wilk przebudzi się do życia.

– Wiem. I oni też wiedzą. I tata wie. – Umilkła na dłuższy czas. – To nie ma żadnego znaczenia.

– Dla mnie by miało. Wolałabym umierać w spokoju. A nie tak.

– Pochodzi z Przezornych. Z królewskiego rodu. Nie ma dla niego czegoś takiego jak prywatność. Ty też powinnaś to zrozumieć, jak najszybciej. Pani Ketriken ma rację: władca jest sługą dla poddanych, lud bierze od nas wszystko, czego potrzebuje. A także to, czego chce.

– Powinnaś wrócić do domu, do dziecka.

– Gdybym mogła decydować zgodnie z własną wolą, tak bym zrobiła. Bardzo tęsknię i za Nadzieją, i za Reusem. Nie wypada mi jednak opuścić w tej chwili ojca i siostry. Rozumiesz, o czym mówię? – Popatrzyła na mnie oczyma matki. – Nie robię tego dla ciebie. Co więcej, będę starała się ciebie przed tym chronić. I właśnie po to, by ci zapewnić ochronę, muszę prosić, byś jak najmniej rzucała się w oczy. Jeżeli nie będziesz mi posłuszna, jeśli będziesz zachowywała się wyzywająco czy prowokująco, ściągniesz na siebie uwagę. Jeżeli natomiast uda ci się sprawiać wrażenie osoby przeciętnej, nawet pospolitej, zyskasz szansę na odrobinę prywatności. – Posłała mi zmęczony uśmiech. – I nie zaszkodzi ci, że siostra doskonale wie, jak daleko ci do osoby przeciętnej, nie mówiąc o pospolitości.

– Aha... – mruknełam.

Nie powiedziałam, że żałuję, że ktoś nie objaśnił mi tego wszystkiego, zanim utrudniłam jej życie. Ale wzięłam ją za rękę.

– Świetne mury – pochwaliła moją ochronę. – Młotek dobrze cię wyuczył.
Kiwnęłam głową.



Zrobiło się jaśniej. Ktoś zrolował do samej góry i przywiązał troczkami wejście do namiotu ojca, by wpuścić tam nieco ciepła budzącego się dnia i przegnać zapach śmierci. Siedziałam przy wilku, ściskając dziennik, w którym spisywałam wspomnienia taty. Dwa dni minęły, odkąd ostatni raz odezwał się do mnie zrozumiale. Mimo wszystko ciągle starałam się trzymać w pobliżu. Rysowałam wspomnienia, o których mówił na głos.

Pokrzywa przekazała mi wszystko, co wiedziała o nieuniknionych zdarzeniach. Nie było tego wiele. Podobno w dawnych czasach starzejące się kręgi Mocy z Królestwa Sześciu Księstw przybywały tutaj, by rzeźbić smoki i w nie wchodzić. Przejęli ten zwyczaj od Najstarszych. Zapewniał on coś w rodzaju nieśmiertelności.

– Żywotność kamienia zdaje się nie trwa bardzo długo. Król Szczery walczył jako smok, aż zostały pokonane szkarłatne okręty. Tata obudził śpiące smoki i nakłonił je do pomocy królowi Szczeremu, ale jak tego dokonał, właściwie nie wiadomo. Niektóre stworzone przeze mnie kręgi zdecydowały, że gdy nastanie ich czas, spróbują pójść tą ścieżką. Tata powiedział mi kiedyś, że stara dziecięca piosenka „Sześciu czarowników zjechało do Stromego” opowiada właśnie o kręgu Mocy rzeźbiącym smoka w Królestwie Górskim.

– Czy wszyscy oni umierali tak okropnie i w bólu?

– Nie przypuszczam. Niestety, wszelkie zapiski na ten temat, instrukcje, porady, wskazówki czy sugestie, przepadły, gdy ksiązę Władczy wyprzedał biblioteczne zwoje. Istnieje nadzieja, że uda się znaleźć jakieś przydatne wiadomości w kostkach pamięci z wyspy Aslevjal. Na razie jednak nie mamy nic.

Jej słowa nie podniosły mnie na duchu. Przeżarte przez robaki ciało mojego ojca było wystawione na widok publiczny, jakby był jakimś zamkniętym w klatce zwyrodnialcem w Krainie Miedzi. Skoro już musiał umrzeć, powinien leżeć w wygodnym łóżku, w odpowiednio wyposażonym pokoju. Albo, jak mama, po prostu osunąć się na ziemię w trakcie robienia czegoś, co uwielbiał robić. Chciałam wziąć go za rękę i pocieszyć. Westchnęłam, przełożyłam nogi.

- Nie musisz na to patrzeć. Mogę poprosić kogoś spośród utalentowanych, by zabrał cię do Koziej Twierdzy.
- Przed chwilą wytłumaczyłaś mi, dlaczego nie mogę stąd odejść.
- Rzeczywiście.



Zapadła noc, rozpaliliśmy ogień, a on w dalszym ciągu nie umarł. Czułam, że jeszcze trochę, a umrę pierwsza. Napięcie było nie do zniesienia. Wszyscy chcieliśmy, żeby umarł, i nienawidziliśmy siebie za to pragnienie.

Jego prawdziwa rodzina – tak nazywałam nas w myślach – siedziała ciasnym kręgiem przy ogniu, plecami do kamieniołomu.

– Czy możemy mu jakoś pomóc? – rzucił nagle Niestrudzony. – Każde z nas włożyłoby w kamień coś od siebie? – A potem z jego ust padło kłamstwo, pierwsze, jakie od niego usłyszałam: – Nie ma czego się bać, jestem pewien.

I wstał.

– Czekaj! – nakazała mu Pokrzywa, ale on już rozplaszczył dłoń na wilku.

– Nie wiem, jak to zrobić, jednak oddaję wspomnienie o tym, jak matka mnie nie rozpoznała i przegnała z progu naszego rodzinnego domu. Nie chcę tego pamiętać. Nie potrzebuję tego uczucia.

Dłoń mojego ojca, ta bez srebra, drgnęła lekko. Niestrudzony stał i czekał. W końcu odsunął się od kamienia.

– Chyba nic to nie dało – ocenił.

– Nie martw się – pocieszyła go Pokrzywa. – Pewnie trzeba do tego mieć chociaż odrobinę Mocy, ale uważam, że to dobry pomysł. A już ojciec z pewnością nam tego nie zabroni. – Wstała, poruszając się jak zawsze z wdziękiem i gracją. Położyła dłoń na pysku kamiennego zwierzęcia. – Wilku z moich snów, zabierz moją tkliwą pamięć o tobie. – Nie zdradziła, co dokładnie mu ofiarowuje, lecz patrząc na nią, miałam pewność, że coś mu oddała.

Gdy wróciła na miejsce, podniósł się Strzyk.

– I ja spróbuję – oznajmił. – Chciałbym ofiarować Bastardowi nasze pierwsze spotkanie. Było przerażające.

Położył rękę na wilczym barku. Stał nieruchomo przez bardzo długi czas. Potem jednym palcem dotknął cielesnej dłoni mojego ojca.

– Weź, Bastardzie – poprosił.

I może tak się stało.

Skierka również spróbowała, lecz nic jej z tego nie wyszło. Gdy nastąpiła kolej na panią Ketricken, ta uśmiechnęła się oszczędnie.

– Już mu oddałam to, co miało trafić do wilka – powiedziała.

Na tym skończyła wyjaśnienia. Mogliśmy domyślać się do woli.

– Ja nie – oznajmił Traf. – Zatrzymuję wszystkie wspomnienia o nim, każde związane z nim uczucia. Są mi potrzebne. Jak inaczej miałbym układać pieśni? A taka jest rola minstrela. I on o tym wie. Nie chciałby ode mnie takiego daru.

Król Sumienny wstał, lecz obu synów zatrzymał.

– Wy, chłopcy, musicie pielęgnować te okruchy pamięci, które jego dotyczą. Ale ja mam coś do ofiarowania. Pewnej nocy starliśmy się, wtedy go znienawidziłem. Potem tego żałowałem. Może teraz do czegoś się to przyda.

Gdy skończył, otarł z policzków łzy i usiadł. Przez dłuższy czas nic się nie działo. Zgromiłam wzrokiem Błazna. Tak, o tak, teraz był zwykłym, pospolitym fircykiem, nie pozostało w nim nic z hrabiego Sposobnego, pani Amber, czy pana Złocistego, wszystkie maski spadły pod ciężarem smutku. Nie był też teraz niczym Ukochanym. Był smutnym człowieczkiem, załamany filutem. I siedział. Nie wstał, nie oznajmił, że odda coś mojemu ojcu. Siedział bez ruchu. Wiedziałam, że muszę przemyśleć następne kroki, bo inaczej na pewno zostanę odciągnięta, zanim zrobię swoje. Zwiesiłam głowę, jakby z obawy przed próbą. Po chwili oczekiwanie minęło, Skierka zaproponowała, że przyniesie nam wszystkim herbatę.

– I trochę zimnej wody – poprosiła pani Ketricken. – Chciałabym spróbować przynajmniej zwilżyć mu usta. Może to mu przyniesie ulgę.

Nie teraz. Nie wolno mi tego zrobić przy świadkach. Przywykli, że noce spędzam w pobliżu wilka. Niektórzy zasną.

Nie umieraj jeszcze, tato, jeszcze nie umieraj.

Nie ośmieliłam się pchnąć do niego tej myśli Mocą, starannie pilnowałam murów chroniących umysł, byle tylko Pokrzywa nie zorientowała się w moich zamiarach.

Nigdy dotąd noc nie ciemniała tak wolno. Wypiliśmy herbatę, pani Ketricken otarła popękane usta mojego taty zwilżoną szmatką. Oczy miał zamknięte i nie wyglądało na to, żeby je miał otwierać. Kościste plecy podnosiły mu się i opadały w rytm powolnego oddechu. Skierka przekonała panią Ketricken, by ta położyła się i choć trochę przespała. Potem razem ze Strzykiem poszła na wartę, w górną część kamieniołomu. Król Sumienny i Pokrzywa odeszli kawałek i pograżyli się w rozmowie. Książęta siedzieli wsparci o siebie wzajemnie plecami. Drzemali. Traf zajął miejsce nieco dalej, jego palce błędziły po strunach. Na pewno grał nuty wspomnień. Czy dźwięk wsiąkał w kamień?

Skuliłam się, udając, że śpię. Po bardzo długim czasie otworzyłam oczy.

Cisza i spokój. Podsunęłam się bliżej do wilka, jakbym we śnie zmieniła pozycję. Wyciągnęłam rękę na pokruszonym kamieniu, sięgnęłam do łapy. W chwili gdy uniosłam dłoń i rozcapierzyłam palce, by tę łapę mocno chwycić, usłyszałam Błazna:

– Pszczoło, nie rób tego. Wiesz, że nie mogę ci na to pozwolić.

Nie zerwał się, nie rzucił, by mnie powstrzymać. Schylił się tylko i dołożył dwa kawałki drewna do ognia. Cofnęłam dłoń. Odrobinę.

– Ktoś musi to zrobić – powiedziałam. – On trwa, w bólu i cierpieniu, żeby zyskać coś jeszcze do powierzenia kamieniowi. Wszystko, co oddał, nie wystarczyło.

– Ciebie tam nie chce na pewno.

Patrzyłam mu prosto w oczy, nie odwracając wzroku. Poznałam najgorszą prawdę. Tata nie chciał, bym przyłączyła się do niego w kamieniu. Ale jego by chciał. O mało nie powiedziałam tego na głos. Niewiele brakowało. Zamiast tego zadałam pytanie.

– Dlaczego ty do niego nie idziesz?

Pragnęłam usłyszeć, że chce żyć, bo musi dokonać wielkich czynów. Że się boi.

Nic z tego.

– Oboje znamy odpowiedź – rzekł spokojnie. – Ty to zapisałaś, a on powiedział mi wprost. Podjął decyzję. Wreszcie mógł to zrobić i zrobił. Przepowiedziały to twoje sny. Zapisałaś dla mnie to proroctwo. Czarno-biały szczur, który od niego ucieka. Jego ostatni list do mnie, w którym napisał, że wolałby, żebym nie wrócił, chciałby wreszcie sam decydować. Wiedział, że go wykorzystałem, wiele razy. – Zaczerpnął z drzeniem tchu i zakrył twarz dłońmi. A potem rozszlochał się jak dziecko. – Jeśli planował zemstę za wszystko, co mu uczyniłem, lepszej by nie znalazł. Nic gorszego nie mógł mi zrobić. Teraz wiem, co to znaczy zostać porzuconym. Tak jak ja uczyniłem wobec niego.

Co ja narobiłam...

Ożyły mi w pamięci dawne słowa. Słyszałam je od ojca, czytałam, łowiłam uchem u innych.

– Nie rób czegoś, czego nie da się cofnąć, dopóki nie przemyślisz, czego nie będziesz mógł zrobić, gdy już do tego dojdzie.

Powoli uniósł głowę.

– Cytat nie jest dosłowny, ale oddaje sens i ducha. – Wydawał się skarłały, skurczony i chory. – „Nie rób kroku, którego nie możesz cofnąć, dopóki nie rozważysz, czego nie będziesz mógł zrobić, gdy już go uczynisz”. Wyśniłem te słowa dawno temu. Przebyłem długą drogę, by przekazać je królowi Roztropnemu. Po to, by on, wypowiadając je, nie pozwolił księciu Władczemu zabić bękartą

księcia Rycerskiego. Wiedziałem, że jeśli zdołam podsunąć te słowa władcy, ocalę Bastardowi życie. Po raz pierwszy. – Pokręcił głową. – I po raz pierwszy z wielu wmieszałem się w jego życie, pchnąłem na inną ścieżkę przeznaczenia. Musiał żyć, żebym go mógł wykorzystać do zmieniania przyszłości.

Mój świat stanął w zupełnie nowym porządku. Z wielką starannością wybrałam słowa.

– Jesteś taki głupi...

Oślupiał tak, że zapomniał o udreće.

Czy wciąż jeszcze mogłam cofnąć skutki kroku, który uczyniłam? Po to, by on zrobił to, co powinien?

– Kłamałam! – cisnęłam w niego jadowitym szeptem. – Wiedziałam, że czytasz mój dziennik, poznajesz moje sny. Napisałam to, co miało cię zranić do żywego! I powiedziałam, co należało! Chciałam cię skrzywdzić, upokorzyć, zniszczyć, dlatego kłamałam! Uznałam, że zasłużyłeś na to, bo zostawiłeś go na pewną śmierć, a sam się uratowałeś. Za to, że kochał cię bardziej niż mnie! – Zaczerpnęłam tchu. – Nikogo nigdy nie kochał tak jak ciebie!

– Co?

Nie zamknął ust po tej jednej głosce, oczy miał jak spodki. Wyglądał niczym idiotyczna maska paraliżującego zdziwienia.

Jakby dotąd nie wiedział, że został obdarzony najczystszym uczuciem. Że był Ukochanym.

– Bezgraniczna głupota! Głupie pytanie! Idź! Idź do niego! On czeka na ciebie, nie na mnie, idź!

Kiedy podniosłam głos? Nie wiem. Nie było to ważne. Zrobiłam przedstawienie i co z tego? Niech się wszyscy obudzą, niech się na mnie gapią.

A właśnie to się działo. Pierwszy wstał król Sumienny, właściwie zerwał się, z mieczem w dłoni, dzikim wzrokiem szukając przeciwnika. Wszyscy byli półprzytomni, gwałtownie wyrwani ze snu. Traf gapił się na nas z szeroko otwartymi ustami, Pokrzywa odruchowo przycisnęła dłonie do policzków. Od razu pojęła rację moich słów.

A tata uniósł rękę. Jego twarz była obliczem śmierci, poza tą częścią, którą powlekało srebro. Niepewnie, z wysiłkiem, urywanym ruchem, odwrócił dłoń wnętrzem do góry. Spękane usta drgnęły.

„Ukochany”. Usłyszeć się nie dało, ale i tak wiedziałam.

Podobnie jego Błazen.

Wstał. Nie zwrócił uwagi na pled, który zsunął mu się z ramion. Ściągnął rękawiczkę i upuścił ją nieuważnie. Ruszył naprzód, niepewnie, jak marionetka

w rękach ucznia lalkarza. Stanął przy moim ojcu. Z niewysłowioną czułością ujął go za rękę. A potem, nie spuszczając wzroku z jego twarzy, schylił się i oparł na wilku. Objął ramieniem wychudłe plecy. Przyciągnął mojego tatę do siebie, po czym przycisnął srebrne palce do kamienia.

Na moment zapanował bezruch. Potem zobaczyłam, że palce Ukochanego gładzą miękkie futro na wilczym grzbiecie. W dwóch ludzkich ciałach rozjarzył się ogień, mój tata i Ukochany zmiękli, zaczęli wsączać się w kamień. Poczułam coś, czego nie sposób nazwać. Jak strumień powietrza, gdy ktoś otwiera drzwi, lecz to był nurt Mocy, w dodatku tak silny, że nawet Pokrzywa się wzdrygnęła. Na chwilę krótszą niż mgnienie oka z obu mężczyzn buchnął snop światła. Znak połączenia, punkt newralgiczny, rozstaje na drodze przeznaczenia. Dokonało się. Wreszcie zaistniała całość, spoista jedność.

Ich kolory blakły, a wilcze ślepia rozjarzały się blaskiem. To działo się powoli, lecz nagle zniknęli, pozostał sam wilk. Opuścił fagle, zniknęły kły. Postawił uszy. Wolno obrócił ciężki łeb. Uniósł kufę, wciągnął w nozdrza chłodną noc. Ależ miał ślepia! Gęsta ciemność przepelniona blaskiem życia. Gdy złapały światło z ogniska, błysnęły zielenią.

Wszyscy skamienieliśmy w obliczu ogromnego drapieżnika.

A on otrząsnął się od pyska po czubek ogona, całkiem jak mokry pies. Drobne kamyczki poleciały na wszystkie strony, zagrzechotały, spadając. Można było odnieść wrażenie, że się niedawno w nich wytarzał.

Spokojnie powiódł po nas wzrokiem, zatrzymując wzrok na każdym po kolei. W końcu także na mnie. Spojrzenie miał twarde i zarazem rozbawione.

„Zdumiewające łgarstwa, szczeniaku. A już to ostatnie...! Niedoścignione. Masz talent po ojcu”. – Otrząsnął się po raz drugi. – „Czas na polowanie!”.

Ruszył. Pazury zostawiły w kamieniu głębokie bruzdy. Jednym susem przeskoczył nie tylko nad ogniskiem, lecz i nad nami wszystkimi. Stał się ruchem w czerni. A potem zniknął.

– Udało mu się! – krzyknął król Sumienny. – Udało!

Zamknął Pokrzywę w ramionach, poderwał z ziemi i okręcił wokoło.

Traf nabrał głęboko powietrza i głosem minstrela obwieścił całemu obozowi:

– I tak oto wilk z Zachodu powstał z kamienia! I stawi się ponownie, gdyby go potrzebował lud Królestwa Sześciu Księstw.

– Siedmiu – poprawiła go pani Ketriken.

Rozdział 50

W górach

Sądzę, że droga z magicznego czarnego kamienia, prowadząca przez Królestwo Górskie, przetrwa dłużej niż ludzie, Najstarsi, a nawet smoki. Czarodziejski kamień pamięta. Właśnie tego nauczyli się Najstarsi przed wiekami i tę wiedzę nam zostawili. Ludzie umierają, a po ich odejściu blaknie pamięć o tym, kim byli oraz czego dokonali. Kamień natomiast pamięta swoje zadanie.

Z zapisków Bastarda Rycerskiego Przezornego

– To nie jest dobry pomysł – powtórzyła Pokrzywa.

– To jest pomysł wyśmienity – oznajmiła pani Ketriken. – W dodatku podsunął mi go Bastard. Nie przejmuj się, nie będę jej pobłażała. Przecież mnie znasz.

Nie minął jeszcze dzień, a namioty już złożono. Król Sumienny, posłuszny woli matki, razem z księciem Pomyślnym, Strzykiem oraz kręgiem Mocy wracał do królowej Ellianii.

Książę Nieskazitelny i Traf zostawali. Podobnie jak Niestrudzony, Skierka i ja. Krąg Pokrzywy stał zbity w grupkę, czekając na swoją mistrzynię. Chcieli jak najszybciej wracać do Koziej Twierdzy, podzielić się z innymi najnowszymi wrażeniami. Czułam od nich zalew Mocy, już porozumiewali się z członkami innych kręgów.

Król przeniósł wzrok z syna na mnie, potem na matkę.

– Nie boję się, że będziesz zbyt pobłażliwa w stosunku do jednego czy drugiego. Za dobrze cię znam, żeby się tego obawiać, matko. Muszę jednak postawić sprawę jasno: nawet konno nie będzie to dla ciebie podróż łatwa.

Dawna władczyni siedziała pewnie na popielatej klaczy.

– Kochany mój, nie ma drogi milszej niż powrót do domu. W każdym razie dla mnie. Nie zatrzymuj nas dłużej. Przyda nam się światło dnia, zamierzam wykorzystać każdą chwilę.

Moja siostra otworzyła usta, chciała oponować, lecz pani Ketriken ścisnęła konia piętami.

– Żegnaj, Pokrzywo! Przekaż serdeczności Rebusowi i Nadziei!

Skierka, niezbyt pewna siebie w siodle, ruszyła za dawną królową. Nieskazitelny pojechał z nią strzemię w strzemię.

– Przywykniesz – zapewnił dziewczynę.

Traf zajął pozycję przy jej drugim boku.

– Nie słuchaj księcia pana. Dziś wieczór nie będziesz mogła się ruszać. O ile dożyjesz wieczoru i nie zjedzą cię po drodze niedźwiedzie.

– Kłamca jak każdy minstrel – zauważył księżę.

Zaśmiali się wszyscy troje, Skierka trochę nerwowo.

Jaskrawa, usadowiona wygodnie na ramieniu Trafa, także się roześmiała, nieco chrypliwie. Młodemu mężczyźnie wyraźnie schlebiało, że właśnie jego wybrała. A ja wiedziałam, że kruczycza czekała na okazję, by skraść któryś z jego błyszczących kolczyków.

Niestrudzony czekał nieopodal, trzymając wodze obu naszych koni.

Pokrzywa mnie uściskała, a ja na to pozwoliłam. Potem uznałam, że stać mnie na więcej, i oddałam uścisk.

– Będę się starała bardziej – obiecałam.

– Jestem tego pewna. Jedź już, bo zostaniesz z tyłu.

Niestrudzony przystąpił bliżej, lecz to siostra podsadziła mnie na konia.

– Zachowuj się, jak należy – przypomniała mi surowo.

– Spróbuję – obiecałam.

– Opiekuj się nią – poleciła Niestrudzonemu.

Odwróciła się i odeszła. Nie płakała. Chyba żadne z nas już nie miało łez.

– Wracamy – oznajmiła swojemu kręgowi Mocy.

I tak się rozstałyśmy.

Jechałam obok Niestrudzonego. Miałam najmniejszego konia. Brązowego, z czarną grzywą, smolistym ogonem i białą gwiazdą na czole. Już zdążyliśmy się przekonać, że gryzie. Niestrudzony obiecał nauczyć go manier. On jechał na wałachu o sierści w kolorze rzeczno błota. Na piersi błyszczała mu brosza w kształcie lisa.

Myślałam o sprawach następujących: gryzący koń i lisia brosza. Złodziejska kruczycza. O tym, kiedy będziemy mogli posłać po własne konie, które powinny zostać sprowadzone do dawnego Królestwa Górskiego. Co czują do siebie Skierka i Strzyk i co mogą w związku z tym zrobić.

Traf układał strofy, szukał rymów.

– Nic sensownego nie rymuje się z wilkiem! – rzucił w końcu ze złością.

– Coś na pewno będzie pasowało – stwierdził Nieskazitelny, po czym zaczął

podsuwać minstrelowi bezsensowne propozycje.

Gdy opuściliśmy kamieniołom, ze zdziwieniem stwierdziłam, że jedziemy drogą gładką jak stół, na którą las najwyraźniej nie miał śmiałości wtargnąć. Droga Mocy. Zachowując ostrożność, obniżyłam nieco mury chroniące umysł. Usłyszałam szepty niezliczonych wędrowców. Irytowały mnie one, więc zaraz ponownie osłoniłam myśli.

– Słyszycie? – zapytał nagle Niestrudzony.

Zdziwił mnie. Przecież nie miał talentu do magii. Tego byliśmy pewni.

– Kruk się nie boi – stwierdził Traf. – Ała! – krzyknął, gdy ptak po raz pierwszy spróbował odebrać mu kolczyk.

Niestrudzony nie miał nastroju do żartów.

– Niech panienka trzyma się przy mnie blisko – poprosił.

Zmusił konia do szybszego kroku. Rozglądał się czujnie dookoła, gdy doganiailiśmy panią Ketriken czarną drogą prowadzącą w cieniu lasu, nakrapianą jasnymi plamkami słońca.

– Pani! – zawołał, znalazłszy się blisko. – Coś nas śledzi. Idzie lasem, stale równo z nami.

Pani Ketriken odpowiedziała na jego słowa uśmiechem.